# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

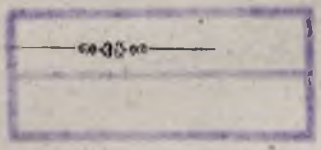
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 157.

# BIBLIOTEKA
# WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1880.



Tom pierwszy.

WARSZAWA.
Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.
1880.

4620. 1880. 1
II



30.000,—

Дозволено Цензурою.

*Варшава, 28 Декабря 1879 года.*

X-14257
4620/ II 1.
/1880

Druk. J. Bergera, ulica Elektoralna N. 14 w Warszawie.

# DAWID HILCHEN.

SZKIC BIOGRAFICZNY NA TLE DZIEJÓW INFLANCKO-POLSKICH OSNUTY.

SKREŚLIŁ

*Stanisław Leliwa.*

## WSTĘP.

Na tle wypadków inflancko polskich z końca XVI i na samym początku XVII stulecia, pięknie się odbija szlachetna postać Dawida Hilchena. Od młodości, związany stosunkami z Rzeczpospolitą, szanowany przez najznakomitszych mężów, jakich u nas w owe czasy nie brakło, szczerze ukochał kraj, z którym się ojczyzna jego dobrowolnie złączyła i przez całe życie wiernie mu służył; ale kiedy widział, że obietnice i wzajemna ugoda, z jednéj lub drugiéj strony naruszone zostają, śmiało głos podnosił, nie lękał się narazić w obronie prawdy, za którą srodze od swoich był prześladowany. Obywatel Rygi, szlachcic polski, żołnierz w szeregach Farensbacha, w każdym zawodzie wytrwał na swojém stanowisku; dzieła zaś po nim pozostałe, a szczególniéj reformy w Rydze, za jego sprawą zaprowadzone i księga ustaw dla Inflant, wysokie dają wyobrażenie o nauce, patryotyzmie i umysłowych Hilchena zdolnościach.

Starowolski jeszcze w *Scriptorum Polonicorum Hecatontas* skreślił życiorys Hilchena, jednakże, lubo niemal spółczesny, napełnił go licznemi błędami. Na tymto życiorysie opierając się, Encyklopedye nasze najfałszywsze o Hilchenie podały wiadomości, a przecież warto poznać bliżéj męża, którego kochał i szanował kanclerz Zamoyski, za którego krzywdy upominał się Żółkiewski, który przelewał krew w sprawie polskiéj i patrzał na bohaterski zgon przyjaciela swego Farensbacha, zwanego przez niemców „Bajardem inflanckim." Opierając się przeważnie na źródłowych pracach pisarzy niemieckich, a między innemi na cenném dziele doktora Beniamina Bergmanna, skreśliliśmy ten życiorys, starając się go oprzeć na tle ważnych ówczesnych wypadków.

Nazwisko nawet Hilchena najczęściéj błędnie przez pisarzy naszych było przytaczane. Starowolski i Niesiecki nazywają go Chilchen, tenże sam Niesiecki, jako biograf Farensbacha, tudzież Święcki i Krasicki mianują go już Hilchenem. Encyklopedye poprawiają nazwę Hilchen na Chilchen; oryginalny zaś dyplom szlachecki Dawida,



REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

dotąd w ryskiéj izbie szlacheckiéj przechowywany, oryginalne podpisy, wszystkie źródła niemieckie, wyraźnie ród ten Hilchen nazywają, którą to pisownią, jako bezwątpienia właściwą i my w pracy naszéj utrzymaliśmy.

## I.

### Urodzenie Dawida Hilchena.—Rzut oka na dzieje Inflant za młodości Hilchena, aż do śmierci Zygmunta Augusta.

Dawid Hilchen urodził się w Rydze roku 1561 r. Ojciec jego był zamożnym obywatelem tego miasta i pełnił zaszczytny urząd oldermana wielkiéj gildy, matka Katarzyna pochodziła ze szlacheckiéj Kalbów rodziny. Z rodzeństwa znamy dwu braci: Jana, doktora medycyny i Franciszka.

Czas, w którym Dawid Hilchen ujrzał światło dzienne, odznaczył się ważnemi w ojczyźnie jego wypadkami. Kończył się właśnie niezależny byt Inflant. Państwo związkowe rozpadło się na pięć części. Śledząc bacznie dzieje jego, łatwo przekonać się możemy, że w wewnętrznym ustroju leżał już zarodek rozkładu. Na ziemie, zaludnione przez Estów, Kurów i Łotyszy, należących do fińskich i litewskich plemion, wtargnęli w środku XII wieku Niemcy. Zwyczajem swoim, trzymając krzyż w jednym a miecz w drugim ręku, usiłowali podbitych nawrócić do wiary chrześciańskiéj. Ujarzmione ludy długo opór stawiały, w końcu uległy przemocy. Nienawiść jednak głęboko utkwiona, przetrwała aż do naszych czasów. Zostawieni jednak w stanie ciemnoty, srodze uciskani, nie mogli upomnieć się o prawa swoje. Biskup Albert de Appeldern, po założeniu Rygi, dla prędszego ujarzmienia kraju, już w r. 1202 założył zakon rycerski Kawalerów Mieczowych, którym w r. 1206 oddał w posiadanie trzecią część kraju. Tak więc władza została rozdzieloną: jedne zamki należały do biskupa, inne do zakonu, który trwał zaledwie lat trzydzieści jeden i wtedy już pierwsze ziarna niezgody pomiędzy władzą biskupią a zakonno-rycerską kiełkować zaczęły. W r. 1237 po śmierci drugiego z kolei mistrza Volquina połączyli się Kawalerowie mieczowi z Zakonem krzyżackim, a wielki mistrz Herman Salza, pierwszym prowincyonalnym mistrzem mianował Hermana Balke.

Piąty z kolei biskup rygski Albert Suerbeer został arcybiskupem. Zakon nie poprzestając na władzy, nadanéj przez Kościół, dążył do bardziéj niezależnéj. Wywiązała się ztąd długa, przeszło trzy wieki trwająca wewnętrzna walka, która osłabiła najzupełniéj Inflanty. Za czasów mistrza Plettenberga, który potrafił na chwilę podnieść kraj do szczytu potęgi, wkrótce po pojawieniu się Lutra, weszła do Rygi reformacya. Mistrz i rycerstwo widzieli w niej jedyny środek zniesienia władzy biskupiéj, dlatego przyjęli nową wiarę i takową, obojętnym na nią krajowcom, narzucili. Tam wszakże, gdzie dwie władze bezustan-

nie z sobą spory wiodły, gdzie ludność miejscowa, obca językiem, pochodzeniem, srodze uciśniona, żadnym interesem z garstką władnącego nią narodu, nie była związana; tam nie mógł rozwinąć się ustrój państwowy i kraj taki przy pierwszém silniejszém z zewnątrz wstrząśnieniu upaść musiał. I rzeczywiście tak się stało.

Władza arcybiskupia, słabnąc coraz bardziéj, musiała w końcu stać się dziwną anomalią, równie jak i cały ustrój państwa zakonno-rycerskiego. Z upadkiem Krzyżaków, Plettenberg stał się niezawisłym, a cesarz Karol V uznał go księciem Rzeszy niemieckiéj. Lutéranizm rwał wszakże wszelkie węzły tradycyi. Arcybiskupi praw się swych nie zrzekali, walka więc wewnętrzna ustać nie mogła. Nakoniec w r. 1539 tron arcybiskupi dostał się Wilhelmowi brandeburskiemu, bratu cioteczenemu Zygmunta Augusta. Książę ten Kościoła, chociaż już napoły zlutrzały, rzucił jednak klątwę na mieszkańców Rygi, za przystąpienie do związku szmalkaldzkiego. Miasto wypowiedziało posłuszeństwo i zajęło dobra arcybiskupie. Po zawarciu układów w Lemzal, 1542 r., Neuermüllen i Wolmarze, 1546 r., Ryga upokorzyła się, a następnego roku Wilhelm i mistrz rzekomego Zakonu, odprawili uroczysty wjazd do stołecznego grodu, nad którym obaj władzę dzierżyli.

Zgoda nie trwała długo. Wilhelm wbrew ugodzie wolmarskiéj, wezwał na koadyutora Krzysztofa meklemburskiego. Zakon uważał to za naruszenie traktatu, a Fürstemberg, najprzód komtur feliński, następnie koadyutor mistrza Hermana de Galen, czynnie wystąpił. Zagrożony arcybiskup zwrócił się do Zygmunta i Albrechta księcia pruskiego. Obiecane posiłki prusko-polskie nie przybywały, Fürstemberg łatwo zdobył zamek Kokenhuzen, zwykłą rezydencyą arcybiskupów. Krzysztof jednego dnia, a Wilhelm drugiego, zdali się na łaskę zwycięzcy i złożyli mu klucze. Pierwszy, jako jeniec, odesłany był do Wendenu, drugi zaś do Adsel.

Wtedy na mocy praw, służących królom polskim, Zygmunt August czynnie wystąpił. Jeszcze bowiem w 1366 r. Karol IV, z powodu ciągłych sporów pomiędzy Zakonem a władzą biskupią, oddał kościół inflancki pod opiekę Polski, Danii, Szwecyi, Meklemburga i Szczecina. Sobór bazylejski już tylko Polskę uznał za jedyną jego opiekunkę, na mocy czego Zygmunt I w r. 1526 ujmował się za pokrzywdzonemi prawami arcybiskupa. W r. 1555 poseł polski Kacper Łącki dowodził, że Zakon nieprawnie wzdraga się uznać koadyutorem Krzysztofa, mistrz Gallen dał odpowiedź: że umowa zawartą została ze stanami, wprzód zatém im żądanie Polski przedstawić musi.

Zygmunt August miał obowiązek, jak widzieliśmy, ująć się za arcybiskupem rygskim. Chciał pośredniczyć w zawarciu pokoju i zaraz wysłał do mistrza, Wacława Wierzbickiego, nominata żmujdzkiego, do Wilhelma zaś, znanego już nam Kacpra Łąckiego. Mistrz Gallen dał odmówną odpowiedź, twierdząc, że arcybiskup jako zdrajca sądzonym być musi; Łąckiego zaś, wbrew prawom narodów, pod błahym

pozorem, że niéma potrzebnych papierów, rozkazał Janowi Schall, wójtowi rzerzyckiemu pochwycić i okrutnie zamordować. Honor polski został zadraśnięty, pomścić go należało; sejm warszawski 1556 roku uchwalił pobór, a w razie potrzeby pospolite ruszenie. Wojna nad Inflantami zawisła: w ręku Zygmunta był los osłabionego państwa.

Fürstemberg po śmierci Gallena zostawszy mistrzem, dumnie odrzucił pośrednictwo cesarza, króla duńskiego i książąt pomorskich, twierdząc, że na żadne ustępstwa się nie zgodzi. Jednak kiedy stanęło około Pozwola przeszło stutysiączne wojsko polskie, siedm tysięcy inflantczyków, stojących pod Bońskiem, niemogło stawić im czoła: trzeba się było upokorzyć. Dawni pośrednicy wyjednali ugodę, która zawartą została dnia 14 września 1557 r. Ugoda wolmarska została zniesioną. Arcybiskup odzyskał swobodę i utracone dobra. Krzysztof potwierdzony na koadyutorstwie, po śmierci Wilhelma miał objąć rządy archidyecezyi ryskiéj, mistrz uroczyście przeprosił króla. Nadto zawarte zostało przymierze zaczepno-odporne przeciw Moskwie. Koszta wojenne w ilości 60,000, stany inflanckie zobowiązały się Polsce zapłacić, które Zygmunt wspaniałomyślnie darował.

Traktat pozwolski jest świadectwem ówczesnego stanu Inflant. Pokazuje on z jednéj strony zuchwałą i samolubną dumę dawnych rycerzy, z drugiéj niedołęztwo i uznanie własnéj słabości. Zakon podtrzymywała jeszcze ostra reguła z ducha katolicyzmu wypływająca. Skoro zaś rozszerzyła się nowa wiara, napozór sprzyjająca jedności państwowéj, nastąpiło straszne rozprzężenie obyczajów. Rozpusta, pijatyki, nieporządne miłostki kazały zapomnieć o wojnie. Na zjeździe w Wolmarze z największą powagą rozbierano, jak szlachcic ma postąpić, kiedy tańcuje z mieszczanką.

Wśród takiego stanu rzeczy, niepodobna było, aby sąsiedzi nie zwrócili na Inflanty uwagi: czekano tylko sposobności. Z jednéj strony Moskwa, z drugiéj Szwecya pragnęły chciwie zagarnąć kraj, zwany powszechnie rajem ziemskim. Polska najsilniejsza wówczas przeczuwała tylko, że wkrótce nadejść może potrzeba wmieszania się w sprawy Inflant i zapobieżenia, aby kosztem ich nie wzbogaciły się nieprzyjazne jéj narody. Wyprawa i ugoda pozwolska przekonały były zakon, że z jednéj strony Rzeczpospolita ubliżać sobie nie pozwoli, ale z drugiéj znowu strony stanowiła dla Inflant potężnego sprzymierzeńca, który dał rzadkie dowody siły i bezinteresowności: tam więc umysły zwracać się poczęły.

Myśl zbliżenia Moskwy do brzegów morskich, którą w półtora wieku później spełnił Piotr Wielki, snuła się już po głowie Iwana Groźnego. Zanim upłynął zawarty w r. 1503 pięćdziesięcioletni rozejm z Inflantami, car szukał tylko sposobności, aby wypowiedzieć wojnę i stać się panem osłabionego kraju. Żądał on wypłaty dawno już zapomnianéj daniny z Dorpatu, a gdy zakon przewidując zamiary, wzbronił przejazdu przez Inflanty wezwanym z Niemiec do Moskwy inżynierom i rzemieślnikom, a nadto wyrobił u magistratu w Lubece, że nie

dozwolił wspomnionym ludziom wsiąść na okręty; car gotować się zaczął do wojny i w 1556 r., zawarł sześcioletni z Polską rozejm. Poselstwo inflanckie zgodziło się już w r. 1557 na zapłacenie daniny, ale gdy żądanéj sumy zaraz uiścić nie mogło, wojna wybuchła. Do powodów jéj, Iwan dołączył także i ugodę pozwolską.

W styczniu następnego roku, wojska moskiewskie wkroczyły do Inflant i najokropniéj je spustoszywszy, zaraz się cofnęły: oporu prawie nie było. Car przekonał się o słabości kraju i w tym samym roku wojnę zdobywczą prowadzić zaczął. Zygmunt August związany przymierzem, pomocy Inflantom dać nie mógł. Straszne obrazy morderczéj téj walki kreślą nam dzieje. Krwi popłynęły strumienie, mordy i pożogi zamieniły bogaty kraj w obszerną pustynią. Rycerstwo niemieckie hulało na weselu bogatego w Rewlu mieszczanina a tymczasem zdobyto Narwę i Dorpat. Neuhaus poddał się po walecznéj obronie. Zbudzili się nakoniec i następcy walecznych rycerzy, a zebrawszy się w Walku, wymogli na niedołężnym Fürstembergu, że się zrzekł władzy na rzecz walecznego Gotarda Kettlera. Ten długo nie chciał przyjąć rządów skołatanego państwa, nakoniec uległ powszechnemu żądaniu; ale cóż mógł uczynić i najzdolniejszy człowiek, kiedy nie było ani wojska, ani pieniędzy? Wysłani posłowie do ościennych mocarstw z niczem powrócili. Cesarstwo tylko jakby jałmużny rzuciło sto tysięcy złotych. Pod koniec roku, lubo zwycięzkie wojsko opuściło kraj zniszczony, w zdobytych jednak grodach i zamkach pozostały silne załogi. Nakoniec za staraniem Polski i Szwecyi zawarte zostało zawieszenie broni od 1 maja do 1 listopada 1559 roku.

Widząc grożące niebezpieczeństwo, udał się sam Kettler do Krakowa, w celu bliższego z Polską porozumienia się. Zgodnie z arcybiskupem miał zamiar za posiłki oddać część kraju; rada koronna wszakże, unikając wojny z Moskwą, o żadnym układzie słyszéć nie chciała. Polska dała dowód bezinteresowności swojéj polityki. Daleką zawsze była Rzeczpospolita od wszelkich zaborów, a obojętność z jaką przyjmowano w Krakowie Kettlera, może najlepszą być odpowiedzią dla historyków niemieckich, bezustannie podejrzywających nas o intrygi w celu zawładnięcia Inflantami.

Sam Zygmunt August inaczéj się jednak na tę sprawę zapatrywał i postanowił działać jako wielki książę litewski; dlatego naznaczył na sierpień zjazd do Wilna. Fürstemberg usunął się zupełnie od władzy, a zebrawszy ogromne skarby, zamieszkał w Felinie, najsilniejszéj twierdzy w Inflantach. Kettler został obrany mistrzem, co na zjeździe w Wilnie niemało dodało mu powagi.

W sierpniu 1559 r., zjechali się w stolicy Gedymina król polski i nowo obrany mistrz zakonu. Radziwiłł wysłany został do Rygi z oświadczeniem, że Zygmunt wtedy tylko da pomoc, kiedy Inflanty zupełnie Polsce się poddadzą. Miasto dało wymijającą odpowiedź, wysłało jednak posłów do Kettlera z poleceniem, aby ustąpił część pograniczną kraju. Ostatniego sierpnia zawartą była ugoda, na mocy któ-

réj Gotard siebie i Inflanty oddał pod opiekę króla, ustąpił także pas ziemi przy Drui, po obu brzegach Dźwiny, aż do Ascheradu, wraz z zamkami Dyneborkiem, Selburgiem, Lucynem i Rzerzycą, prócz tego zamek Bowsk z należącym doń okręgiem. Po ukończeniu wojny z Moskwą, ziemie te za 100,000 złotych mogły być wykupione. Zygmunt ze swéj strony zobowiązał się zachować wolność wyznania, zostawić mieszkańców przy dawnych prawach, tudzież samowolnie nie obciążać ich podatkami.

Przed zjazdem jeszcze wileńskim wypadł w Augsburgu sejm Rzeszy niemieckiéj. Skutkiem przyjęcia Plettenberga do związku, Inflanty miały swój głos na nim. Wysłani zostali posłowie Siberg de Viszling od zakonu, a Aswerus Brand ze strony arcybiskupa. Obaj błagali pomocy. Zaraz wymówiono im, że Inflanty nie opłacają podatków należnych Cesarstwu. Posłowie tłómaczyli się, że wojna wycieńcza wszystkie ich zasoby. Następnie zwrócono uwagę, że samych tylko westfalczyków wzywają do objęcia wyższych posad, do nich zatém i o pomoc zwrócić się winni. W końcu sejm zgodził się jedynie na napisanie listów polecających do królów angielskiego, hiszpańskiego, duńskiego, szwedzkiego i polskiego. Smutny skutek poselstwa ostatecznie przekonał, że nie ze strony Cesarstwa pomocy należy się spodziewać.

W tym samym czasie kiedy Kettler układał się z Zygmuntem w Wilnie, Jan V de Münchhausen, biskup ezelski i kuroński, obie dyecezye sprzedał za 30,000 talarów Frydrykowi II, królowi duńskiemu, który zaraz je odstąpił bratu swemu Magnusowi de Holstein. Biskup Jan, niedawno żarliwy katolik, udał się do Westfalii, gdzie przyjął luteranizm i mimo podeszłego wieku wstąpił w związki małżeńskie. Kettler opierając się na przymierzu z Polską, nie czekał ukończenia rozejmu i uderzył na Moskwę. Tém pogorszył sprawę; Zygmunt do r. 1562 związane miał ręce, a nie było słusznego powodu traktat z Iwanem rozrywać.

Pierwsze wystąpienie Kettlera było dla niego pomyślne: rozbił on pod Nüggen niedaleko Dorpatu obóz moskiewski, ale skoro po wkroczeniu wojsk nieprzyjacielskich poddał się silny zamek Maryenburg, Inflanty znowu w smutném znalazły się położeniu. W kwietniu 1560 roku zjechali się do Rygi dostojnicy zakonu, gdzie postanowiono, aby Kettler sekularyzował się, ożenił i jako świecki książę władał Inflantami; prędko wszakże przekonano się, że kraju to nie zbawi, że potrzeba aby wszedł on w skład jednego z ościennych mocarstw, że tylko pod płaszczem Polski bezpiecznie spocząć można.

W tym czasie i biskup rewelski sprzedał posiadłości swoje Magnusowi, a uciśnięty Kettler nie mógł się zajęciu ich oprzéć.

Stan rzeczy ciągle się pogorszał. W czerwcu wkroczył drugi oddział wojska moskiewskiego, a w lipcu pokazały się nowe siły. Kurbski kraj szeroko pustoszył, nakoniec przystąpił do oblężenia Fellina. W Parnawie odbywał się właśnie ostatni sejm inflancki. Mistrz, arcybiskup, koadyutor i Magnus radzili nad środkami obrony. Miasto zdo-

byte i zburzone zostało, zamek warowny bronił się jeszcze: mieszkańcy złożyli w nim całe swe mienie. Zdrada otworzyła bramy. Sędziwy Fürstemberg dostał się do niewoli; uwieziony do Moskwy, wycierpiał urągania, do jakich tylko Iwan był zdolny. W końcu wyznaczono mu na mieszkanie Łubin w dzisiejszéj Kostromskiéj gubernii, gdzie w roku 1566 życie zakończył. Odtąd już ratunku nie było: nic sile nieprzyjacielskiéj oprzéć się nie zdołało. Jeden tylko Altenbuckewn tak dzielnie bronił zamku Weisensteinu, że Moskwa po daremném pięciotygodniowém oblężeniu odstąpić musiała.

Magnus, postawiwszy nogę w Inflantach, zamierzał i całą Estonią zawładnąć, mieszkańcy jednak przeniknęli te zamiary, a widząc w nim słabą obronę, postanowili poddać się Szwecyi lub Polsce. Względy geograficzne, handlowe, wspólność wiary skłoniły na stronę pierwszéj.

Król szwedzki z początku odrzucił prośbę wysłanych posłów, późniéj dopiéro *przez wzgląd na smutne położenie kraju*, zgodził się Estonią do korony swojéj przyłączyć. Gotard Kettler napróżno starał się przeszkodzić rozerwaniu na części państwa; fakt jednak spełniony został i akt poddania się w dniu 4 czerwca 1561 r. podpisany, na mocy którego Eryk XIV, nowym swym poddanym zapewnił wolność wyznania protestanckiego, tudzież zachowania praw miejscowych.

Widząc nowe smutne położenie kraju, arcybiskup i Kettler znowu zwrócili się do Polski. Zygmunt August przekonany, że czeka go o Inflanty ciężka nietylko z Moskwą ale i ze Szwecyą wojna, zażądał już bezwarunkowego poddania się. Radziwiłł wysłany do układów postawił za warunek, aby arcybiskup i kapituła bezzwłocznie Zygmunta królem swoim uznali; mistrz winien był sekularyzować się, a jako dziedziczne lenno otrzyma kraj położony na zachód od Dźwiny, pozostała zaś część wraz z Rygą wejdą w skład Rzeczypospolitéj. Zakon przystał na te warunki, stany wszakże o nowym podziale słyszéć nie chciały, a zapobiegając temu, równie dla zapewnienia jedności tudzież politycznych i religijnych swobód, żądały aby Kettler został dziedzicznym władzcą Inflant, albo przynajmniéj ich administratorem.

Koadyutor książę meklemburski i miasto Ryga z odmiennych powodów przeciwni byli warunkom postawionym przez Radziwiłła.

Krzysztof widział, że skutkiem poddania się Polsce ucierpi w przyszłości władza jego arcybiskupia. Ryga zaś lękała się monarchizmu i wpływu katolickiego. Jednakże w dniu 8 września 1561 r. stanęła ugoda: Radziwiłł osobnym dokumentem (*cautio prima Radziviliana*) zapewnił: zachowanie augsburgskiego wyznania, sejmy w dotychczasowéj formie i nadane przywileje. Miasto wymagało jeszcze, aby Zygmunt wystarał się o zwolnienie z przysięgi złożonéj na wierność Cesarstwu, aby zależném było od Polski i Litwy, a w razie rozłączenia się tych dwu krajów do niezależności wróciło.

W początku października zjechał do Wilna Zygmunt August z panami litewskimi, dokąd przybyli także: mistrz, arcybiskup, posło-

wie od Rygi, rycerstwa i stanów, w liczbie których historycy wyliczają: Remperta Ghilsheim, Jerzego Franke, Henryka Platera, Jana Medema i Fabiana Borga. W dniu 19 października posłowie otrzymali audyencyą i przystąpili do układów, które ustnie i piśmiennie prowadzodzone, w dniu 28 listopada ukończone zostały. Inflanty weszły w skład Polski. Zygmunt wydał dokument znany pod nazwą *Privilegium Sigismundi Augusti*, który potwierdzany przez zmieniających się kolejno władzców Inflant, tworzy po zaprowadzonéj kodyfikacyi historyczną podstawę państwowego ich prawa.

Treść tego ważnego aktu podajemy:

Król podaje do ogólnéj wiadomości, że Inflanty przez sąsiedztwo, dawne i nowe układy, są zobowiązane i sprzymierzone, że od wielu lat są przez Moskwę mieczem i ogniem pustoszone, prawie wywrócone ze szczętem i do ostatecznéj przywiedzione zagłady; że nieszczęśliwy Zakon teutoński nie ma już sił do dalszéj obrony, będąc opuszczonym od cesarza i Rzeszy niemieckiéj, a nadto od Szwedów napadany lądem i morzem. Zatém czyniąc zadość licznym poselstwom, które przekładały ze łzami stan swój; zdjęty litością, a widząc że tylko połączonemi siłami Polski i Litwy skuteczna obrona stać się może, król przyjął prośbę o zupełne poddanie się Inflant. Ze swojéj strony obowiązuje się bronić ich od nieprzyjacioł i odebrać zajęte zamki, a gdyby stany koronne, na poddanie się zgodzić nie chciały, wtedy ziemia ta pod temiż warunkami do Wielkiego Księstwa Litewskiego wcieloną zostanie. Daléj przyrzeka na połączenie wyrobić zezwolenie cesarza i Rzeszy niemieckiéj. Zaręcza i uroczyście przyrzeka księciu i wszelkiego stanu mieszkańcom wolne wyznanie wiary według obrządku augsburgskiego. Prawa i przywileje duchowne i świeckie, tudzież język niemiecki, jako urzędowy, utrzyma w całéj swéj sile. Wzywa szlachtę i mieszczan, aby udali się do Rygi i tam wybrali sobie sędziów, od których wyroków mają prawo apelować do króla lub ustanowionego przezeń senatu. W Księztwie zaś kurlandzkiém apelacya służy do księcia; w ważniejszych tylko wypadkach może być do króla zaniesioną. Urzędnicy po zamkach i starostwach mają być z języka i narodu niemieckiego, na czas tylko wojny król może i z innego mianować. Nadaje prawo bicia monety i zapewnia, że w całych Inflantach nie pozwoli żydom handlu prowadzić, ceł i szynków trzymać. Gotardowi Kettlerowi, który jednocześnie sekularyzował się, oddaną zostaje Kurlandya na prawach lennych, dziedzicznych; reszta zaś kraju przechodzi pod panowanie Polski i Litwy, i tę część książę od poddaństwa uwalnia. W końcu przyrzeka Zygmunt wdanie się swoje, aby Kettler o długi od Ryżan i Gdańszczan nie był turbowany.

Na dotrzymanie powyższéj umowy Zygmunt August, Gotard Kettler, arcybiskup i stany inflanckie uroczyście przysięgę wykonali.

Polityka Polski długo sprzeciwiała się przyjąć Inflanty pod swoję opiekę. Rzeczpospolita nigdy nie była państwem zaborczém, lękała się nadto wojny z Moskwą i Szwecyą, które, roszcząc prawa do Inflant,

mogły lada chwilę zbrojnie wystąpić. Jakoż rzeczywiście nie mało z téj przyczyny wylało się krwi polskiéj, a nieszczęścia, jakie z powodu Inflant spadły na Polskę, wykazują jawnie polityczny zmysł szlachty ówczesnéj, która bardzo niechętnie na to połączenie patrzała.

Arcybiskup Wilhelm, w rok po ugodzie wileńskiéj umarł w Rydze; koadyutor jego Krzysztof meklemburski, jawny nieprzyjaciel Polski udał się do Szwecyi, tam się ożenił i tém samém utracił prawo do arcybiskupstwa, które sekularyzowaném zostało.

Ryga jeszcze przez lat dwadzieścia zachowała pewien cień niezależności.

Pierwszym namiestnikiem Inflant został książę kurlandzki Gotard Kettler.

Wojna z Moskwą była nieuniknioną. W czasie sejmu piotrkowskiego przyszła wiadomość, że Iwan obległ Połock. Dowojna, dowódzca fortecy, długo mężnie się trzymał, w końcu poddać się musiał. Zygmunt August, gdy rokowania o pokój spełzły na niczém, a Eryk król szwedzki zawarłszy przymierze z Moskwą, w każdéj chwili mógł wkroczyć do Inflant, zmuszony był na ciężkich warunkach połączyć się z Danią, która miała wydać wojnę Szwecyi na morzu. Kettler i Wajer walczyli w Inflantach. Ostatniemu udało się w zamku Dahlen pochwycić Krzysztofa, żonatego biskupa, który odesłany do Wilna, pijąc razem z Wąsowiczem przebił go puginałem. Następnie zamknięty w Rawie pod strażą Jarzyny, który tylko pił wodę, uwolniony został w 1569 r. W roku 1563 wyruszyły dwa wojska moskiewskie pod dowództwem Serebrnego i Piotra Szujskiego, miały one połączyć się pod Orszą i wspólnie napaść na Wilno. Mikołaj Radziwiłł Rudy z Grzegorzem Chodkiewiczem uderzyli nad Ułą na Szujskiego i na głowę go porazili. Serebrny przestraszony cofnął się do Smoleńska.

W kilka miesięcy odnowiła się wojna. Tolmakow napadł na Jezierzyszcze; pokonany cofnął się do Newla. Leśniowski pustoszył Księztwo Siewierskie i okolice smoleńskie. Radziwiłł wszakże nie mógł odzyskać Połocka, a Tolmakow zdobył Jezierzyszcze.

W r. 1565 wysłane do Moskwy poselstwo polskie żądało Smoleńska i Połocka, ofiarując w zamian połowę Inflant, po wygnaniu wspólnemi siłami Szwedów z zajętéj przez nich Estonii. Car zgadzał się tylko na odstąpienie pretensyi swoich do Kurlandyi, a nadto żądał wydania Kurbskiego. Układy zerwane zostały. Szlachta inflancka niezadowolniona z rządów Kettlera, zażądała na namiestnika którego z panów litewskich. Król, stosując się do ich woli, wyprawił dla objęcia rządów Jana Hieronima Chodkiewicza. W tymże roku na sejmie w Wilnie stanęła unia Inflant z Litwą. Sejmy nadal mają być wspólne, wolność wyznania augsburgskiego zapewniona. Rządzcą ma być Inflantczyk lub Litwin; kanclerz jeden dla obu krajów. W sprawach sądowych apelacya do Litwy zniesiona. Ryga stawiła opór Chodkiewiczowi: pośrednictwo Kettlera skłoniło ją do uległości.

Wojna z Moskwą znowu dla Polski szczęśliwy wzięła obrót. Roman Sanguszko w 1567 roku odniósł nad Piotrem Serebrnym zwycięztwo. Szczerbaty i Boratyński pobici. Kurbski i książę Korecki spustoszyli okolice Wielkichłuk. Wyprawa cara w jesieni do Inflant żadnéj mu korzyści nie przyniosła. W tymże roku zawarte zostało przymierze między Moskwą a Szwecyą, ale zanim posłowie moskiewscy opuścili Sztokholm, Szwedzi zrzucili Eryka z tronu, a na jego miejsce wynieśli Jana księcia finlandzkiego, szwagra Zygmunta Augusta. Poddanie się Uły Sanguszce, porażka Gołowina, zmiana stosunków ze Szwecyą, skłoniły Iwana do układów, a w r. 1569 dokonana szczęśliwie na sejmie w Lublinie unia Polski, Litwy i Inflant przyśpieszyły takowe. Jan, król szwedzki prosił Zygmunta o pośrednictwo w zawarciu przymierza, które przy pomocy posłów polskich: Dymitra Solikowskiego, Piotra Kłoczewskiego, Kromera i Justa Klaudiusa w Szczecinie zawarte zostało.

Iwan, pomimo rozpoczętych układów, zamierzał nanowo podnieść sprawę Inflant. Magnus, królewicz duński, chciał rozszerzyć nabyte od biskupów posiadłości. Starał się on już uprzednio o rękę Anny Jagiellonki, teraz zawiązał stosunki z Iwanem, udał się w r. 1570 do Moskwy i pojął w małżeństwo synowicę Cara, który nadał mu tytuł króla Inflant. Utworzone nowe państwo miało zostawać pod lennictwem potężnego sąsiada, a Magnus pod opieką wojska moskiewskiego, jechał objąć nową swoję posiadłość. Wyprawa nie powiodła się. Iwan nie oddał nawet przyrzeczonych w posagu zamków. Następnie w 1578 r. długi zmusiły króla inflanckiego do zawarcia w Bowsku ugody z Polską, na mocy któréj powiat Piltyński, we dwa lata po śmierci Magnusa, nastąpionéj 1583 r. powrócił do Polski.

Ze śmiercią Zygmunta Augusta 1572 r., kończy się pierwszy okres dziejów inflancko-polskich. Panowanie jego ważny wpływ wywarło na losy wschodniéj Europy. Król, jak wielu utrzymuje, słaby i niedołężny, umiał wszakże godzić najsprzeczniejsze żywioły, z różnicy pojęć wiary i stosunków społecznych wypływające.

Inflanty w krótkim przeciągu czasu utraciły swoję samoistność. Niemcy utraciły oddaloną kolonią, nie ruszywszy się nawet na jéj obronę. Najbardziéj dziwném w téj sprawie pokazuje się postępowanie domu brandeburgskiego. Joachim II zdala się tylko przypatrywał sprawom inflanckim, nie myśląc zgoła przyjść w pomoc blizkiemu krewnemu. Jeden tylko książę pruski, chociaż sam zagrożony, szczerze jednak dopomagał bratu; miał on jednak przez stany Księztwa ręce związane i lękał się stanąć w jawnéj do Zygmunta opozycyi, przez wzgląd na własne niepewne położenie. Przeważnie zatém Joachimowi II, któremu niemiecki, religijny i familijny interes nakazywały stanąć w obronie Inflant, przypisać należy taki obrót sprawy zakonno-rycerskiego państwa. Na ziemi inflanckiéj toczyła się owa wielka walka, zwana, jak mawiali ojcowie nasi, o *dominium maris Baltici*. Polska, Moskwa, Szwecya

i Dania, jak widzieliśmy, najprzód poszły z sobą w krwawe zapasy, pragnąc na Północy pierwsze zająć stanowisko.

Pomiędzy aktorami tego wielkiego dziejowego dramatu, najpierwszy zwraca na siebie uwagę Eryk XIV, który śmiałością i wielkością swych planów bardzo przypomina nieszczęśliwego Chrystyana II, króla duńskiego. Gustaw Waza utorował już synowi drogę przez usunięcie Szwecyi z zawisłości od Hanzy i zawiązawszy stosunki handlowe z Francyą i Szkocyą. Eryk, przejęty jedynie tylko myślą, aby ze Szwecyi pierwszą na Północy uczynić potęgę, zaledwie wstąpił na tron, zaraz śmiało się rzucił w odmęt walki. Chwytaniem okrętów, żeglujących do Narwy, odkrył zamiar wyłącznego panowania na wschodniéj części morza Baltyckiego. Danią postanowił zepchnąć z wysokiego stanowiska, jakie na Północy zajmowała i w tym celu zbliżył się do książąt lotaryngskich, usiłując przez pozyskanie ręki ich siostry, zespolić ze swemi zamiarami; Moskwę chciał uczynić nieszkodliwą, usiłował przeto przeciąć jéj stosunki handlowe z Anglią; myślał nawet o związku małżeńskim z Elżbietą, która wszakże o tem i słyszeć nie chciała, nie dlatego zapewne, że wysoko ceniła swoje panieństwo, ale w związku z Moskwą większych spodziewała się korzyści.

Król szwedzki, rzuciwszy rękawicę Polsce i Danii, podejrzywał brata swego Jana o tajemne stosunki ze szwagrem Zygmuntem, dlatego chcąc go uczynić nieszkodliwym, wtrącił do więzienia. Czyn ten jednak przypłacił utratą tronu i wolności. Dopiéro następcom Eryka udało się, lubo na krótko, dojść do celu, do którego ten przez całe swe życie zmierzał.

Zygmunt August doskonale także oceniał stosunki europejskie i wiedział, jak ważném dla Polski i Litwy było przyłączenie Inflant. Widać to z listów jego, pisanych do księcia pruskiego. W jednym z nich donosi Albrychtowi, iż napomniał zawczasu Gdańszczan, aby się postarali o okręty wojenne, z pomocą których możnaby stawić czoło nieprzyjacielowi: *Baltici maris dominium affectanti.*

W Eryku XIV i Iwanie Groźnym miał Zygmunt najgroźniejszych nieprzyjaciół. Widząc w królu szwedzkim zarówno wroga i Danii, zamierzył wytworzyć silną koalicyą z książąt nadbałtyckich i w tym celu 5 października 1563 r. zawarł w Szczecinie z Frydrykiem II zaczepno-odporne przymierze, które przeciw Erykowi wymierzone jedynie było, bo Duńczycy przez wzgląd na księcia Magnusa, pragnęli zachować z Moskwą przyjazne stosunki. Zygmunt August zastrzegł warunek, aby, w razie gdyby z Erykiem przyszło do pokoju, wojska szwedzkie z Inflant wycofane były, a okręty polskie swobodną żeglugę na Bałtyku zapewnioną miały.

Za staraniem Augusta, książęta: pruski, pomorski, kurlandzki i meklemburgski, przystąpili do téj koalicyi, która wszakże nie wydała spodziewanych owoców.

Zmuszony więc był sam Zygmunt August starać się o środki do obrony nowonabytych Inflant. Przedewszystkiém powziął wielkiéj donio-

słości zamiar utworzenia floty polskiéj. Wpływ Polski na Baltyku, już dlatego tylko, że posiadała południowe jego wybrzeże był niemały i jednał powszechne w Europie poważanie. Brak wszakże polskiéj floty, dotkliwie dawał się uczuć; skutkiem tego zależność Polski od wielkich miast niemieckich, dotkliwie jéj czuć się dawała, potém nie można było wzbronić obcym okrętom zawijać do Rewla i Narwy i znosić się z nieprzyjaznemi Polsce potęgami; daléj szło Zygmuntowi i o to, aby Polacy, omijając wszelkie pośrednictwa, czynny brali udział w handlu baltyckim; wreszcie wymagała okrętów obrona handlu i zasłonięcie północnych części państwa od napadów nieprzyjacielskich.

Wszystko to skłoniło króla do uzbrojenia kupieckiéj flotylli, pod dowództwem kapitana Szerpinka. Flotylla ta miała być początkiem przyszłéj floty polskiéj. Wiadomo, jak niemiłą ona była królowi duńskiemu, Elżbiecie angielskiéj, Gdańszczanom, jak zewsząd na nią zachodziły skargi. Zygmunt był niewzruszony. Niechętni Gdańszczanie porozumieli się z Duńczykami i napadli na Szerpinka, który dotąd szczęśliwie krążył po Baltyku, a rozgromiwszy jego okręty, zabrali mu wielu ludzi, których ścięto w Gdańsku: sam Szerpink zaledwie zdołał życie ocalić. Nieszczęśliwy ten wypadek nie sprowadził króla z raz obranéj drogi, poskromił on Gdańszczan i nie zrzekł się zwierzchnictwa nad portem i morzem, tudzież jego brzegami.

Zajęcie Inflant wplątało Zygmunta w przykre położenie. Sprawy wewnętrzne nie dozwalały południowym częściom Rzeczypospolitéj uczestniczyć w ważnéj wojnie prowadzonéj na Północy. Przewidywane bezkrólewie, matactwa Austryi, nieprzyjaźne stosunki z elektorem saskim, który usiłował zniweczyć sojusz pomiędzy Danią a Polską, przyczyniały niemało kłopotów Zygmuntowi. Król, gdy znikąd nie mógł otrzymać pomocy, a Polacy słabo popierali jego zamiary, musiał zjednywać sobie sprzymierzeńców nader wielkiemi ofiarami. Z kłopotliwego tego położenia umieli zręcznie skorzystać elektorowie brandeburgscy i wyjednali dla siebie prawo dziedzicznego lennictwa w Prusiech. Byłto wypadek zgubny dla Polski. Na tym samym sejmie lubelskim, na którym stanęła owa brzemienna w skutki umowa z Brandeburgczykami, przyszło do dokonania wielkiego dzieła unii Litwy z Polską, nad którém pracował Zygmunt August przez całe życie, a które wywołały ostatecznie wypadki inflanckie.

Wśród ważnych tych zdarzeń upływały dziecięce lata Dawida Hilchena, które według wszelkiego prawdopodobieństwa spędził przy rodzicach w ojczystém swém mieście. Spełniając wolę ojca, poświęcił się młody Dawid nauce prawa i ukończywszy szkoły w Rydze, wyjechał do Tibingi, gdzie słuchał wykładów Herbranda, Jakóba Schegka, Mikołaja Warnbüllera, Jana Harkmanna, Mikołaja Krussyusza i Samuela Heilanda; następnie przez rok uczęszczał na prelekcye Walentego Forstera: w końcu już jako przewodnik i towarzysz Aleksandra, księcia słuckiego, syna Jerzego i Katarzyny Tęczyńskiéj w Ingolsztacie, pod Fryderykiem Martini, zaszczytnie ukończył nauki i stopnie naukowe otrzymał.

Stosunek z młodym księciem zaprowadził Wilhelma do Polski i tu zaraz dał się jéj poznać z głębokiéj nauki, z któréj wkrótce w całéj Europie zasłynął. Jeden z największych mężów swego czasu, Jan Zamoyski, prędko ocenił młodego prawnika, baczne na niego zwrócił oko i do saméj śmierci przyjaźnią swoją otaczał. W Lowanium Hilchen zapoznał się z Szymonowiczem, a uczony Lipsyusz, pisząc do Zamoyskiego tak się wyraża: „Twój Hilchen i Simonides zachęcają mnie i wiodą do Ciebie, obaj warci są Ciebie i tych pięknych przymiotów, z których są światu uczonemu znani."

Dawid Hilchen miał sposobność przyjrzéć się dokładnie stosunkom i organizacyi Polski, widział on w niéj wolność prawdziwą, reprezentacyą narodową, o jakiéj w Europie nikt jeszcze nie marzył; sam przywiązany do nowéj wiary, podziwiał Jagiellonów tolerancyą religijną: nic więc dziwnego, że został wiernym synem Rzeczypospolitéj, na usługi któréj całe swe życie poświęcił.

## II.

### Czasy Stefana Batorego. Początek rozruchów kalendarzowych. Pierwsze publiczne wystąpienie i ożenienie się Dawida Hilchena.

Po kilkumiesięcznym panowaniu Henryka Walezyusza, wstąpił na tron polski Stefan Batory. Przyjąwszy sam religią katolicką, chciał ją uczynić narzędziem polityczném. Zamiary jego sięgały daleko. Marzeniem mądrego króla było przekształcić formę rządu, tron elekcyjny zamienić na sukcesyjny, utrwalić monarchią. Środki te, aczkolwiek wielu wydają się dzisiaj zbawienne, ale wykoleiłyby Polskę z téj drogi, na którą wprowadziła ją Opatrzność, targnęłyby się na ustrój wewnętrzny, owoc wielowiekowéj pracy narodu. I dziś, badając bezstronnie, wyznać potrzeba, że najmędrszy z naszych królów nie znał tych drobnych napozór nitek, które, wiążąc się z sobą, stawały się spójnią organizmu. Mądra tolerancya religijna ostatnich Jagiellonów ocaliła kraj od wstrząśnień strasznych, pełnych krwi i brudu, jakie w innych państwach Europy widzimy. Stefan oburzał wszystkich na siebie, drażnił, a lubo zdawało mu się, że silna jego ręka porządek utrzymać potrafi, wszakże, skoro go niestało, wątek rwać się zaczął i Polska szybkim krokiem chylić się do upadku zaczęła.

Nietaktowne postępowanie z inflantczykami, srodze ich rozdrażniło; nieufność zajęła miejsce uczucia, z jakiém się do Polski przygarnęli, a chociaż niemało znalazło się takich, którzy serdeczną miłością pokochali nowych swych braci, którzy niemało krwi w obronie Rzeczypospolitéj wylali i w chwili, kiedy Inflanty odpadły do Szwecyi, wyrzekli się obszernych dóbr i przenieśli się na Litwę, przecież zadrażnione stosunki do téj pory ślady pozostawiły i ze stronniczą niechęcią historycy inflantcy wspominają te czasy, kiedy kraj ich pod władzą

Polski zostawał. Prawda, że nie umieją oni wniknąć głębiéj w ducha czasu, zrozumieć okoliczności; przyznać wszakże należy, że mądry Stefan nieraz niebaczném słówkiem stawał w sprzeczności z przywilejem Zygmunta Augusta i zaprowadzonemi przez siebie mądremi reformami.

Wojna o Inflanty przedłużała się. W r. 1577 dwa wojska moskiewskie: jedno pod dowództwem cara, a drugie Magnusa, wkroczyły w granice Inflant. Pióro się wzdryga przed opisem spełnianych okrucieństw. Mieszkanki Kiesi, lękając się paść ofiarą rozpusty, zapaliły prochy w lochach zamkowych i wysadziły się w powietrze. Jeden mieszkaniec cudem ocalał, ale i ten na pal wbity został. Całe Inflanty, z wyjątkiem Rygi, uległy Iwanowi, ale téż tu nastąpił kres jego potęgi. W tym samym już roku Polacy odzyskali Wenden i Dynebork.

Następny 1578 rok poświęcił Batory na przygotowania wojenne, prowadząc z Moskwą wojnę podjazdową; przygotowawszy się należycie, rozpoczął pełną chwały dla oręża polskiego walkę z Moskwą, która ciągnęła się do roku 1582.

Traktat, czyli raczéj rozejm dziesięcioletni, zwany Zapolskim, a zawarty w Kiwerowejhorce zapewnił Polsce posiadanie Inflant, Połocka i Wieliża.

Niemało trudów poświęcili Polacy, niemało wyleli krwi i znaczne ponieśli koszta, zanim zdołali oswobodzić nowonabytą swoję prowincyą od potężnéj prawicy Iwana. Prawda, że zdołali pokonać potężnego sąsiada, który również Polsce i Litwie był niebezpieczny. Ale chciwe oko Szwecyi i Moskwy nie przestało na Inflanty zwracać się, znajdując tam za pieniądze sprzymierzeńców, którzy, radzi każdéj sposobności, umieli rozszerzać ogień niechęci i zamiary Polski w inném zupełnie przedstawiać świetle. Inflanty téż były powodem długiéj wojny moskiewskiéj, o nie właściwie toczyła się sześćdziesięcioletnia wojna szwedzka.

Zwróćmy teraz oko na sądowe i administracyjne urządzenia Inflant, które zaprowadził Stefan, zaraz po ukończeniu wojny moskiewskiéj i uspokojeniu kraju.

Obok głównego rządzcy, ustanowiony był prowincyonalny poborca (*questor provincionalis*), który miał do pomocy poborców okręgowych (*subcollectores*). Całe Inflanty rozdzielone zostały na trzy prezydentury: *Wendeńska* łącznie z Maryenhauzem, Rzerzycą i Lucynem, zamkniętą była Dźwiną i Inflancką i rozciągała się do granicy moskiewskiéj. *Derpcka* leżała między Aą, Wircjerwem, szwedzką i moskiewską granicą: *Pernawska* obejmowała resztę kraju. Prezydenci posiadali władzę cywilną i wojskową, na podobieństwo wojewodów wyprowadzali szlachtę na wojnę. Pod ich rozkazami stali chorążowie, dowodzący pojedyńczemi oddziałami i podkomorzowie, którzy sprawy graniczne między dobrami roztrząsali. Prezydentury dzieliły się na starostwa. W każdéj prezydenturze znajdował się sąd ziemski, któremu podlegali wszyscy mieszkańcy, z wyjątkiem wszakże miast, które posiadały osobne przywileje. Sądy dwa razy do roku zwoływane były. Na czele

stał sędzia ziemski, mianowany przez króla z pomiędzy przedstawionych przez szlachtę kandydatów; daléj zasiadało sześciu ławników (*scabini*), również przez rząd z podwójnéj liczby podanych ze szlachty kandydatów zatwierdzani. Nakoniec znajdował się przy każdym sądzie ziemskim notaryusz, jako też sekretarz i protokólista. Prezydenci tylko w sprawach nieprzechodzących trzydziestu marek, mogli jako sędziowie polubowni występować. W sprawach kryminalnych strona niéma prawa do układu, z grzywny zaś zasądzonéj, skrzywdzony otrzymuje dwie trzecie, pozostała zaś trzecia część do sądu należy. Władzy sądowéj ulegają wszyscy mieszkańcy bez różnicy stanu i pochodzenia. Król bez osobnéj apelacyi nie może naznaczać sędziów, z wyjątkiem spraw granicznych w dobrach skarbowych. Sędziemu apelacyjnemu sądzenie drugi raz jakiéjkolwiek sprawy nie może być poruczone.

Od wyroków sądowych apelacya służy do sejmu krajowego, który w jesieni i na wiosnę ma się zbierać w Wendenie. Prezyduje w nim naczelny rządzca kraju lub osobny delegat królewski. Składają go biskup, trzech prezydentów i podkomorzych, starosta wendeński, dwaj deputaci Rygi, jeden z Pernawy, Derptu i Wendenu. Wyroki sejmowe są bez apelacyi, ta jednak może być założoną do sądów królewskich w sprawach o utratę czci lub zagrabienie mienia.

Za pozwoleniem królewskiém mogą być zwoływane nadzwyczajne sejmy, na których ma się znajdować i poseł księcia kurlandzkiego. Na sejmikach w każdéj prezydenturze, szlachta osiadła we wsiach i miastach wybiera posłów.

Aby położyć koniec resztkom ucisków pozostałych z dawnego feudalnego prawa, pod karą śmierci zabroniono samemu sobie wymierzać sprawiedliwości. W razie potrzeby, dla wykonania wyroku sądowego, prezydenci powoływać mogą szlachtę ze swego okręgu, gdyby zaś to nie skutkowało, udawać się mają do króla. Winny podlega karze pięćdziesięciu złotych, opierający się więzieniu. Każdy poddaje się właściwemu prowincyonalnemu sądowi; w przestępstwach wszakże kryminalnych i schwytani na gorącym uczynku, pociągani są do odpowiedzialności do miejsca, w obrębie którego przestępstwo dokonaném zostało. Obywatelom miast wolno posiadać dobra ziemskie. Szlachta może również i miejskie nieruchomości nabywać. Jedni i drudzy obowiązani ponosić publiczne przywiązane do nich ciężary.

Król zwrócił uwagę i na uciemiężonych włościan i wraz z sejmem krajowym przedsięwziął byt ich poprawić i stosowne wydał w tym celu rozporządzenia. Włościanom służyć ma odtąd prawo sprzedawania na rynkach miejskich swoich towarów. Broni, z wyjątkiem wójta, nosić im niewolno. Żegluga na rzekach i rybołówstwo nikomu wzbranianém być nie może, z zachowaniem wszakże praw własności. Towary moskiewskie tylko przez Rygę i Pernawę do Polski wprowadzane być mogą.

W ciągu długich wojen, miasta Pernawa, Fellin, Wenden i Derpt najwięcéj ucierpiały. Do Wendenu aby nowych osadników sprowadzić,

Stefan dnia 7 listopada 1582 r., udzielił miastu przywilej, na mocy którego otrzymało oddzielny, wolny wybór rady, miejską wagę, dziesięcioletnie uwolnienie od podatków. Dorpat z licznych kościołów zaledwie dwa ocalił, mieszkańcy niemcy zostali uprowadzeni do Moskwy, a tamtejsi osadnicy ich miejsce zajęli, którzy przy odzyskaniu miasta musieli je opuścić, lubo bardzo niechętnie. W celu podźwignięcia miasta naznaczył król oddzielną komisyą, złożoną z krolewskiego sekretarza Łoknickiego, Stanisława Pękosławskiego, Wilhelma Tödwena i Jana Grölicha. Komisya darowała miastu grunta, należące do skarbu państwa i zwróciła kościół św. Jana, skutkiem czego nowi niemieccy osadnicy natychmiast przybywać zaczęli. Kasztelan warszawski mianowany był starostą derpskim w r. 1582. W następnym roku miasto otrzymało radę złożoną z czterech burmistrzów, trzech wójtów sądowych, czterech podkomorzych, czterech wettherrów, dwu przełożonych kościołów, dwu opiekunów ubogich i jednego sekretarza. Urządzono także dwie gildy. Skutkiem tych rozporządzeń odebrano staroście zarząd majątków królewskich i władzę sądowniczą, którą pełnił dotychczas. Kasztelan rozpoczął spór z Łoknickim i miastem, kazał nawet uwięzić jednego z radzców. Król wszakże 22 czerwca 1564 roku, skarcił starostę i rozkazał nie przeszkadzać miastu w rozwoju jego praw i przywilejów. Skutkiem długiéj wojny, wielu z posiadaczy musiało dobra swe opuścić, które następnie w inne przechodziły ręce. Nowe uregulowanie stosunków majątkowych stało się nieodzownem. Zamieszanie jednak było ogromne.

Dobra rządowe zostały na cztery klasy podzielone. Do pierwszéj należały te, których dochody służyć miały na opatrzenie zamków i w ten sposób zapewniać bezpieczeństwo kraju; do drugiéj zaliczono majętności stanowiące utrzymanie biskupa, kościoła i skarbu publicznego; do trzeciéj będące przeznaczone na zaspokojenie słusznych pretensyi tych, których dobra skutkiem wojny najwięcéj ucierpiały, lub nawet z rąk wyszły: do czwartéj nakoniec należące, przeznaczone były na wynagrodzenie zasług wojennych.

Nagrody były szczodre. Król zostawił nawet w posiadaniu dzieci dobra rządowe, które w jakibądź sposób znalazły się jako własność poległych w boju. Wielu otrzymywało szlachectwo, a Zamoyski chętnie ich do swego herbu przypuszczał.

Polska robiła wiele aby zabliźnić rany zadawane Inflantom przez długie wieki. Zarzuty nietolerancyi religijnéj, ucisku i niedotrzymania warunków umowy osłabną znacznie, skoro wejdziemy w ducha ustaw, które w streszczeniu podaliśmy. Arcybiskupstwo rygskie upadło już za rządów Polski, a narzekania na odebranie kościołów św. Jakóba i św. Maryi Magdaleny wychodziły z partyi wichrzącéj. Mogły urazić ryżan słowa Batorego przez Possewina przytoczone, nie zamierzamy bynajmniéj ich bronić, ale tyle krwi polskiéj w sprawie Inflant przelanéj, mądre do czasu i miejsca zastosowane ustawy, szalę na przeciwną stronę przeważą. Zresztą zwróćmy uwagę i na rozstrój wewnętrzny Inflant,

w straszliwy sposób przez stronnych nawet niemieckich pisarzy przedstawiony, a który skutkiem przyprowadzenia do porządku Inflant przez rząd polski, łatwo mógł pobudzić do narzekania tych, dla których był on korzystny i skłonić do chwytania pozorów w celu szerzenia niechęci, co się najwyraźniéj już pokazuje w czasie, kiedy wystąpił na widownią Dawid Hilchen i położył prawdziwe zasługi dla kraju swego i Rzeczypospolitéj polskiéj.

W czasie bezkrólewia, po ucieczce Henryka, ryżanie zajęli byli i zburzyli uciążliwy dla handlu blokhaus nad Dźwiną. Wiadomo z dziejów, że wtedy głównymi kandydatami do tronu polskiego byli Stefan Batory i cesarz Maksymilian II. Nic dziwnego, że sympatye niemieckich obywateli i mieszkańców Inflant zwracały się ku ostatniemu. W 1576 r. dnia 9 kwietnia cesarz potwierdził dawne ich przywileje i udzielił nowy, *bardzo ważny* (!): pozwolił do pieczęci używać czerwonego wosku! Stefan umocniwszy się na tronie, zażądał ostatecznego wcielenia Rygi do Polski. Na sejm 1578 r., na który miasto zostało wezwane, wysłanym był sekretarz Tastiusz, lecz otrzymał prywatną tylko u króla audyencyą. W następnym roku oddzielne poselstwo winszowało Stefanowi otrzymanéj przed trzema laty polskiéj korony i prosiło o zatwierdzenie przywilejów. Król wyznaczył dwu komisarzy, którzy mieli z deputowanymi od miasta przywileje te przejrzéć, umowę spisać i do zatwierdzenia przedstawić. Miasto wysłało burmistrza Kacpra Bergen, radzcę Mikołaja Ecke, sekretarza Jana Tastyusza, oldermanów wielkiéj gildy Rolofa Schröder i Gorrissa Bauer. Solikowski i Agryppa, jako komisarze od Polski wyznaczeni zostali. Układy prowadzono w Grodnie, a następnie w Drohiczynie. Miasto pełnomocnikom swoim zaleciło: 1) Wyjednać zapewnienie wolnego zachowania augsburgskiego wyznania. 2) Utrzymanie przywilejów nadanych przez dawnych mistrzów prowincyonalnych. 3) Dochody celne aby należały w jednéj połowie do miasta, a w drugiéj do króla. 4) Utrzymanie wzniesionego w czasie ostatniéj wojny wału pomiędzy zamkiem a miastem.

Ugoda drohiczyńska zapewnia Rydze wszystkie dawne przywileje, duchowne i świeckie prawa, posiadłości, uchwały, traktaty i handlowe układy, z zastrzeżeniem wszakże, aby prawa króla na tém nie cierpiały. Prawa miasta, wykonywanie cywilnego i kryminalnego prawa, forma procesów, utrzymane być mają w całéj swéj mocy. Członkowie magistratu, jak dotąd, pozostają wybieralni. Z pomiędzy czterech kandydatów, król corocznie około Wielkanocy naznacza burgrafa, który jak w miastach pruskich trzyma sąd nad szlachtą cudzoziemską. Z ceł miasto tylko trzecią część otrzymuje. Miasto posiada prawo bicia srebrnéj i złotéj monety, na jednéj stronie ma być herb Rygi, a na drugiéj wyobrażenie króla. Na Nowy Rok miasto w dowód poddaństwa ma składać królowi tysiąc złotych, a w czasie wojny jest obowiązane wystawić trzystu ludzi z całém uzbrojeniem i takowych swoim kosztem utrzymywać. Ponieważ miastu Rydze zapewnione zostały najważniejsze prawa, deputowani stosownie do woli Stefana pozostawili do jego przy-

jazdu sprawę fortyfikacyi i ostateczne urządzenie majątków duchownych.

Dawniejsi kronikarze inflanccy, opierając się na Wickenie, stanowczo twierdzą, że na prywatnym obiedzie Solikowski wymógł na pełnomocnikach Rygi ustąpienie katolikom dwu kościołów, katedralnego i św. Jakóba; nowsi stanowczo zaprzeczają. Sprawę tę następnie raz jeszcze będziemy musieli poruszyć; odegrywała ona bardzo ważną rolę w czasie zamieszek kalendarzowych i była przyczyną, dla której wiele krwi niewinnéj przelanéj zostało. Zaznaczywszy zarzut powracamy do dalszéj treści.

We dwa tygodnie po powrocie pełnomocników, zjechali do Rygi jako komisarze królewscy Solikowski i Agryppa. W dniu 7 kwietnia 1582 r., na środku rynku wzniesiono wysokie rusztowanie, na które przy dźwięku trąb obaj komisarze zostali wprowadzeni. Rada i obywatele na wierność królowi i Rzeczypospolitéj uroczystą przed nim składali przysięgę. Komisarze znowu w imieniu króla zaprzysięgli miastu wierne zachowanie praw i przywilejów. Burmistrz Bergen stosownie do drohiczyńskich warunków na godność burgrafa wyniesiony został.

Potrzeba urządzeń w nowo nabytym kraju, o których już mówiliśmy, przyzwała Stefana do Rygi. Wiele lat nieporządków, ciągła wojna rozprzęgły niejedno, gwałtowna potrzeba czuć się dawała zaprowadzenia nowego ładu w Inflantach.

Po zawarciu traktatu zapolskiego, Stefan udał się sam do Rygi; w dniu 12 marca 1582 r. stanął w zamku, a 1 kwietnia odbył uroczysty wjazd do miasta.

W bramie powitali króla burgraf Bergen, burmistrz Ecke i syndyk Welling i w dalszym pochodzie towarzyszyli. Ulice były zasłane gałązkami jedliny, domy ozdobione zawieszonemi w oknach dywanami. Przed ratuszem wznosił się łuk tryumfalny, na ganku którego stanął kantor ze śpiewakami ubranymi w białe szaty. Kiedy król przez tę bramę przejeżdżał, chłopiec przebrany za skrzydlatego anioła unosząc się w powietrzu, włożył złotą na jego głowę koronę, mówiąc po łacinie te słowa: „Bądź pozdrowion królu Polski i Litwy, Ojcze Ojczyzny!" Były także sztuczne ognie przygotowane, które urządzone w kształcie zamku, miały być spalone za pomocą lontu przeprowadzonego z wieży ś. Piotra. Zawcześnie wszakże został zapalony i do połowy spłonął kiedy król wjechał na rynek.

Stefan miał na sobie szatę czarną aksamitną, bramowaną gronostajami, polski kołpak, przy którym powiewała wspaniała kita, przypięta ogromną dyamentową spinką. Jechał on na rumaku, przykrytym aksamitnym czaprakiem. Obok króla jechał wielki kanclerz. Z przodu szli znakomici polscy i węgierscy panowie, z tyłu postępowało wojsko. Zewsząd cisnął się lud podając prośby, które król sam przyjmował i z początku za kołpak a następnie zanadrę chował. Oprócz Jana Zamoyskiego, który już po przyjeździe Batorego przybył do

Rygi, towarzyszyli królowi: Jerzy Radziwiłł biskup wileński, Michał Gedrojć biskup żmudzki, Eustachy Wołłowicz kanclerz, Krzysztof Radziwiłł hetman wielki litewski; prócz tego znajdowali się jeszcze w orszaku OO. Jezuici: Piotr Skarga i Marcin Santerna. Król na miejsce namiestnika Mikołaja Radziwiłła mianował Jerzego biskupa wileńskiego, który pomimo kapłańskiéj godności, umiał równie jak i Solikowski zyskać serca Inflantczyków.

Pierwszém staraniem króla było zwrócenie uwagi na smutny stan katolickiego kościoła. We wspaniałych świątyniach odbywały się już obrzędy nowéj wiary. Zakonnice utraciły kościoł ś. Maryi Magdaleny. Początkowo Stefan miał zamiar kościół katedralny przywrócić katolikom, który jeszcze w roku 1551 został miastu przez arcybiskupa sprzedany, wszakże sam Skarga skłonił króla do zażądania w zamian dwu kościołów, a mianowicie: ś. Jakóba i ś. Maryi Magdaleny. Sprawa kościołów wywołała wiele hałasu. Welling i Tastyusz, którzy najprzód mieli objawioną sobie wolę królewską, wszystkich dokładali starań aby zatrzymać kościoły. Kiedy ich prośby i przełożenia skutku nie odniosły, a książę kurlandzki doradzał ustąpić, rzecz musiała być przedstawioną radzie miejskiéj. Król mając zamiar święta w Rydze przepędzić, nalegał na wypróżnienie kościołów. Rada wezwała duchowieństwo, które zebrane 26 marca, doradzało użycie wszelkich środków, aby tylko zatrzymać przy sobie kościoły. Te jednak nie skutkowały: dnia 6 kwietnia król zażądał stanowczéj odpowiedzi. Rada i duchowieństwo znowu się zebrały. Oberpastor Neuner przedstawiał, że król może spełnić pogróżkę i wszystkich zażądać kościołów, lepiéj zatém jeden poświęcić. Oldermani obu gild widzieli w żądaniu królewskiém naruszenie przysięgi i doradzali wysłanie nowéj deputacyi pod przewodnictwem księcia Gotarda. W końcu uradzono, aby nazajutrz nowe poselstwo udało się na zamek i dołożyło wszelkich starań, aby zmiękczyć umysł królewski. Wysłani na drodze spotkali powracającego biskupa, który właśnie poświęcił kościoły i przywrócił je katolicyzmowi. W tym samym dniu Stefan darował miastu kościół katedralny ze wszystkiemi należącemi do niego budowlami, z obowiązkiem płacenia stu złotych rocznie na utrzymanie katolickiego duchowieństwa. W czasie pobytu swego w Rydze, Stefan zajmował się jeszcze uregulowaniem fortyfikacyi miejskich i często odbywał publiczne sądy, na które każdy miał prawo wejść i skargę swoję złożyć królowi [1]).

---

[1]) Opowiadają, że jakiś uczony doktor z Królewca przedstawił się królowi i miał wygłosić przygotowaną mowę. Zmieszał się jednak tak dalece, że słowa przemówić nie mógł. Stefan szepnął coś dworzaninowi, który zwróciwszy się do doktora powiedział mu, że król dziś nie jest usposobiony słuchać go, zatém odkłada audyencyą do jutra. Doktor zrozumiał znaczenie tych słów i nazajutrz śmiało już łacińską swą mowę wygłosił. Król słucha-

Działalność Batorego w Inflantach objawiła się w politycznym i religijnym względzie. Król dekretem z dnia 3 grudnia 1582 roku erygował wendeńskie biskupstwo, zarząd nad którém powierzony był Dymitrowi Solikowskiemu. Uposażenie było bogate: dobra i zamki Wolmar, Tribaten, Burtinek, Wrangelshof, Rodenporis i Odenpä stanowiły jego majątek. Cała ulica w Wendenie oddaną była na użytek kapituły. W kilka miesięcy Solikowski przeniesiony został na arcybiskupstwo lwowskie; miejsce jego zajął Aleksander Mieliński. Za jego rządów przybyli do Rygi Jezuici; Stefan zamyślał o założeniu dla nich akademii. Mieliński również krótko rządził, zdaje się, że nawet zupełnie nie był w Inflantach. W tym samym roku już na stolicy biskupiéj widzimy Petrycego, po którym nastąpił Otto Schenking, szlachcic inflancki. Gorliwość duchowieństwa katolickiego zwróciła się głównie na lud srodze uciśniony. Widzieliśmy już jak bierną w życiu religijném i polityczném rolę on odegrywał. Z oporem przyjmował chrześciańską wiarę. Luteranizm był dla niego rzeczą najzupełniéj obojętną. Mieszkańcy wyższych warstw, fanatycznie do augsburgskiego wyznania przywiązani, niechętnie patrzali na założone w Wendenie biskupstwo i usadowienie się Jezuitów w Rydze, w których przewidywali zaciętych bojowników idei kotolickiéj.

Papież Grzegorz XIII, zalecając nowy, poprawiony kalendarz, starał się usilnie o jego wprowadzenie nie siłą rozkazu, ale drogą rozumnego przekonania. Książęta katoliccy usłuchali głosu Ojca Świętego. Grecki i protestancki kościoły odrzuciły nowy kalendarz, dlatego tylko, jak powiada Beniamin Bergmann, że on z Rzymu pochodził.

Król Stefan zaraz w 1582 roku polecił namiestnikowi Jerzemu Radziwiłłowi zaprowadzić Gregoryański kalendarz, a to dla zrównania rachuby czasu we wszystkich ziemiach Rzeczypospolitéj. Dorpat i Ryga oparły się temu stanowczo. Dorpat wszakże zgodził się w końcu w czynnościach cywilnych wprowadzić nową rachubę czasu, zostawiając w kościelnych stary kalendarz. Ryga podburzana przez niespokojnych obywateli, wytrwała w pięciolotnim oporze.

Oberpastor Neuner przedstawił zaraz królowi, że lubo uznaje potrzebę poprawy kalendarza, wszelako ośmiela się zrobić uwagę, że dotąd żaden protestancki książę, ani nawet cesarz u siebie nowéj rachuby czasu nie zaprowadzili, uprasza zatém o zwłokę, aby narada ja-

---

jąo, miał zwyczaj prawą nogą uderzać o lewą i kręcić włosy na brodawce znajdującéj się na twarzy.

W czasie wydawanéj uczty, król jadał przy osobnym stole. Stawiano zwykle przed nim wszystkie przygotowane potrawy; Stefan dawał znak, z którego półmiska jeść życzy: pozostałe natychmiast sprzątano. Obok stał mały stolik, przy którym siadywał młody chłopiec w zielonéj sukni, podpasany białym jedwabnym pasem. Kto zaś on był? Bóg tylko i JK. Mość wiedzieć mogą, powiada naiwny Wicken.

ką chcą odbyć z protestanckimi uczonymi uspokoiła ich sumienie, że mający się zaprowadzić kalendarz w niczém augsburskiego wyznania nie obraża.

W listopadzie 1584 r. nastąpiło ponowne rozporządzenie króla, grożące w razie nieusłuchania karą 10,000 dukatów. Znaczniejsza część rady miejskiéj chętnie się zgodziła i starała się skłonić mieszkańców. Gmina wszelako odmówiła przyzwolenia i żądała pierwéj znieść się z Lubeką i Rosztokiem. Obawa wszakże kontrybucyi skłoniła burgrafa Ecke do zaprowadzenia w Rydze nowego kalendarza, po uzyskaniu uprzednio zezwolenia oberpastora.

Rektor Möller, konrektor Raschius i wielu studentów ze smutkiem patrzeli, że święta w innym już dniu obchodzić mają. W pierwszy zatem dzień Bożego Narodzenia, lud podburzony wraz ze studentami wdarł się do kościoła OO. Jezuitów, przeszkodził odprawianemu nabożeństwu, wyrzucił ławki, połamał i znieważył naczynia święte. Przybyła straż pochwyciła kilku chłopców. Oberpastor zrobił uwagę rektorowi, aby czujniejszą zaprowadził karność między młodzieżą. Möller na to oświadczył, że wprowadzenie do Rygi Jezuitów i nowego kalendarza, uważa za naruszenie umowy z królem polskim. Oberpastor polecił nadużycie sekretarzowi Ottonowi Kanne wnieść do protokółu. Burgraf z syndykiem znajdowali się wtedy w Grodnie.

Zbliżał się tymczasem czas Bożego Narodzenia według starego stylu. Według nowego nikt z obywateli miasta nie był w kościele i pracowano jak w dzień powszedni. Mieszkańcy żądali nabożeństwa. Rada miejska oświadczyła że święta już przeszły. W wigilią wieczorem zgromadzono się w kościołach, zapalono świece, śpiewano, modlono się. Duchowieństwo wszakże nie było obecném. Rektor wezwał uczniów, aby nazajutrz zgromadzili się w sali szkolnéj, co gdy nastąpiło, miał do nich przemowę, w któréj wiele było aluzyi do okoliczności obecnych.

Nazajutrz wysłaną została deputacya do rektora z zagrożeniem zawieszenia go w urzędzie. Möller oświadczył, że miał tylko chrześciańską przemowę do uczniów, dodając, że codzień przemawiałby podobnie, jeżeliby to było możliwém.

Burmistrz z syndykiem powrócił, rozpatrzył sprawę i nazajutrz po Nowym Roku skazał rektora na uwięzienie.

Uczniowie pod przewodnictwem konrektora, zaraz wieczorem, wraz z innymi zapaleńcami oswobodzili Möllera z więzienia, weszli z toporami i halabardami na rynek i zawiązali spisek na mniemanych nieprzyjaciół starego kalendarza. Wybito drzwi do Neunera, znieważono go we własném mieszkaniu i rannego w głowę zostawiono półumarłym. Wdarto się następnie do domu burgrafa Ecke, który się zamknął, zburzono jego kamienicę; to samo powtórzyłoby się i z syndykiem, gdyby przez dach nie uciekł był do sąsiada.

Burzyciele trunkiem zagrzani mieli już pochwycić wójta miastowego Tastyusza, gdyby nie energiczne wystąpienie burmistrza Nystede,

który przy pomocy rozsądniejszych rozegnał burzycieli, rannego oberpastora wziął pod opiekę, zagrożone domy zabezpieczył.

Zdawało się że wszystko wróci już do zwykłego porządku, tymczasem dnia 3 stycznia powstańcy zamknęli bramy miasta, członkowie gminy zgromadzili się w Schwazhäupterhauzie, wysłali deputatów do zamkowego wójta i Jezuitów *z posłuszeństwem w ustach*, buntem w sercu. Dzień ten niedzielny przeszedł spokojnie. Bramy były zamknięte. W dniu 4 stycznia, cztery bandy z muzyką i chorągwiami pociągnęły do ratusza i uchwalono schronionym tam burgrafowi i syndykowi bezpieczeństwo. W dniu 5 tegoż miesiąca obywatele wypowiedzieli posłuszeństwo zwierzchności, ale nie królowi. Siódmego Ecke i Welling powrócili dobrowolnie i byli przez uzbrojonych do ratusza zaprowadzeni. Adwokat Marcin Giese zadał pytania: 1) czy wszyscy, czy tylko niektórzy zezwolili na odstąpienie Jezuitom; 2) czy rada, czy burgraf uwięził rektora? Na to odpowiedziano, że burmistrz Schottler z powodu choroby, a rajca Fiche przez usunięcie od urzędu, ani zezwolić, ani zaprzeczyć odstąpieniu kościołów nie mogli. Uwięzienie rektora nastąpiło skutkiem rozkazu burgrafa.

Szesnastu członków wybranych z gminy z każdéj części miasta umawiało się z radą przy zamkniętych bramach. Dawnego władzcę Gotarda Kettlera i obecnego kardynała Radziwiłła nie wpuszczono. Dnia 23 stycznia burzyciele uchwalili 63 artykułów, na mocy których gregoryański kalendarz i niektóre nowości mniejszéj wagi zostały usunięte, a rzeczy dawne wznowione. Chory obersekretarz Otto Kanne na noszach z dzid był wyniesiony za granice miasta, a miejsce jego, w skutek dawniejszego polecenia Zamoyskiego oddane było Dawidowi Hilchenowi. Stadtvogt Tastyusz z powodu umowy drohiczyńskiéj był przyaresztowany. Burgraf Ecke, aby podobnego losu uniknąć, umknął z miasta i w dniu 24 marca znalazł schronienie na zamku pod opieką kardynała Radziwiłła.

Namiestnik długo napróżno wszelkich dokładał starań, aby sprawę całą załagodzić; nakoniec w dniu 16 listopada przedstawił ją królowi. Stefan chciał wszystko do dawnego stanu przyprowadzić. Giesego i przewódzców nieporządków zawezwał w ciągu czterech tygodni przed sąd królewski.

Miasto Ryga apelowało do *do udzielonego przez Boga rozumu królewskiego* i w dniu 5 stycznia 1586 r. posłało do Grodna rajców: Nystede, Wellinga, Derlinga, obersekretarza Dawida Hilchena, przełożonych Parbersa i Wiege, tudzież licencyata Kacpra Turban. Dawid Hilchen z powodu choroby zostać w Wilnie był przymuszony. Turban wystąpił z długą skargą łacińską, w któréj nieporządki uniewinniał, a radę potępiał, a ponieważ inni deputowani w tym języku odpowiedzieć niemogli, wygnańcy Ecke, Tastyusz, Kanne i Neuners wypadki w prawdziwém okazali świetle. W dniu 29 marca nastąpił wyrok królewski, na mocy którego wszystko do dawnego winno było powrócić stanu; polecono skrzywdzonym wynagrodzić poniesione straty, a Marcin

Giese, Hans zum Brinken, Henryk Möller i inni pod karą zaoczności winni byli stawić się w Grodnie.

Nasz sekretarz Dawid Hilchen wyrok ten przywiózł do Rygi, gdzie burzyciele podnieśli znowu sprawę odstąpienia kościołów. Burmistrz Kasper zum Bergen, jako pierwszy deputowany do Drohiczyna, uwięziony został. Nazajutrz, po przyjeździe, takiż los spotkał i Tastyusza, który miał zamiar przez most na Dźwinie zbiedz z Rygi. Zmuszonym był świadczyć wbrew własnemu przekonaniu, że już w Drohiczynie kościoły były odstąpione. To samo wyznał i Welling na torturach.

Lepiéj myślący chcieli ratować uwięzionych, ale przestrach opanował do tego stopnia wszystkich, że każdy chronił się jak mógł najdaléj. Sąd i wyrok zaraz nastąpiły. W dniu 27 czerwca Tastyusz, 1 lipca Welling ścięci zostali, chociaż obaj o niewinności swojéj zaręczali. Uwięzionego burmistrza, Kacpra zum Bergen, uratowało jedynie poświęcenie żony, która zamieniwszy ubiór ułatwiła ucieczkę.

Stefan rozgniewany za te gwałty, wydał nowy wyrok na Giesego i Brinkena, zażądano wydania Möllera i innych winnych. Blokhaus na Spilwie założono, aby zatamować handel Rygi, wojskom pod Farensbachem około Neuermühlen kazano się zbierać.

Radziwiłł używał całego wpływu na Giesego, aby uległ woli królewskiéj; ten jednak nietylko, że sam się opierał, ale jeszcze i innych od posłuszeństwa odwodził. Książę Gotard Ketler dnia 15 sierpnia przybył do Rygi i przez obersekretarza Dawida Hilchena, skłonił do powrotu rajców: Nystede i Weppena, za których staraniem burgrafowi i oberpastorowi wypłaciła gmina po 3,000 marek rygskich.

Burmistrz Weppen i sekretarz Eyke byli do króla wysłani, który zagroził przez nich miastu swoją niełaską, dopóki kara na winnych wymierzoną nie będzie. Giese poraz drugi zagrożony, dnia 8 listopada wraz z dwoma współwinnymi pojechał do Szwecyi, aby tam szukać opieki; ponieważ jednak niémiał żadnego pełnomocnictwa, starania jego pozostały bez spodziewanego skutku.

Śmierć Batorego, nastąpiona dnia 2 grudnia 1586 r., ośmieliła Giesego do powrotu; zaraz w swojém imieniu wysłał Oswalda de Grahou do arcyksięcia Maksymiliana, za którym były sympatye inflantczyków. Zygmunt Waza, następca tronu szwedzkiego, obrany został królem polskim, a Maksymilian, porażony przez Zamoyskiego pod Byczyną, ustąpić musiał.

Przy końcu 1586 r. Dawid Hilchen zaręczył się już z pasierbicą zacnego Nystede, Katarzyną Krumhaussen. W następnym zaś roku, w dniu 8 stycznia, odbyło się uroczyste wesele. Ojczym, od ożenienia się swego z wdową po Hansie Krumhaussen, niczego nie żałował na wychowanie Katarzyny, którą jak własną córkę miłował; wydając ją przeto za mąż, nie chciał odstąpić od zwyczajów, oddawna w jego mieście panujących. Na trzy tygodnie przed weselem, wysłano liczne zaproszenia, przez kobiéty wyłącznie tém się trudniące. W wigilią uro-

czystości, otoczeni tłumem przyjaciół, oblubieńcy nawzajem się odwiedzili i bogate z sobą zamienili podarki. Niedziela na ślub była przeznaczoną: wybranie każdego innego dnia za wstyd i hańbę uważaném było. Zastosowano się również do zwyczaju, wybierając na uroczystość weselną wielką gildę. Domy w owych czasach budowano nieobszerne, a pokoje w nich licznych gości pomieścićby nie mogły. W dniu oznaczonym, orszak ślubny przed 9 zrana wyruszył do kościoła. Bogactwo odzieży i ozdób zwracało na siebie wszystkich oczy. Kosztowne futra, drogie pasy, srebrne łańcuchy, klejnoty, pierścienie, świetnie połyskiwały, odbijając na sobie blask wschodzącego słońca. Po odbytym ślubnym obrzędzie, małżonkowie z całym orszakiem weselnym, udali się do wielkiéj gildy. Tu czekał już na nich wystawny obiad. Około siedmdziesięciu srebrnych mis dymiło się potrawami; goście zasiedli do stołu: wino i piwo lało się strumieniami. Żona pijąc do męża, życzyła mu syna i córki. Po obiedzie pochowano srebrne czasze, puhary i naczynia, każdy cynowych tylko mógł używać. Kto chciał, udał się na popołudniowe nabożeństwo; pozostali, używając darów Bożych, zabawiali się tańcem. Koło dziesiątéj wieczorem, na mocy obowiązującego prawa, odprowadzono nowożeńców do oddzielnéj komnaty, zwanéj izbą nowożeńców; nad drzwiami do niéj wiodącemi, znajdowała się istniejąca dotąd płaskorzeźba Bogarodzicy.

Nystede nie poprzestał na wyprawieniu wesela, ale przez rok cały młode małżeństwo u siebie utrzymywał, nadto kupił kamienicę, naprzeciw swego domu znajdującą się, odbudował nanowo, opatrzył nowym dachem i w sumie dziesięciu tysięcy marek oddał ją nowożeńcom. „Kosztowało mnie to nierównie więcéj, mówi w swoich pamiętnikach poczciwy burmistrz, ale przyjemnie mi było, że matka i córka razem prawie mieszkać mogły; dlatego zapisałem kamienicę na imię małżonka mojéj pasierbicy Pana Syndyka. Niech Bóg im i ich dzieciom ześle swoją łaskę, zdrowie, długie życie i błogosławieństwo."

Dawid Hilchen przez ożenienie swoje, połączył się związkami rodzinnemi z człowiekiem nietylko zacnym i znaczącym, ale i powszechnie szanowanym. Odtąd, jako obywatel Rygi, interesami osobistemi związany został z ojczystém miastem.

## III.

### Początek panowania Zygmunta III. Nobilitacya Dawida Hilchena. Działalność jego w sprawach kraju i miasta. Mianowanie landrichterem wendeńskim.

Obowiązki obywatelskie nie dozwoliły Hilchenowi długo przebywać z młodą małżonką; w kilka tygodni po ślubie musiał się z nią rozłączyć. Jako deputowany Rygi, wysłany został do Warszawy, aby wyjednać zatwierdzenie augsburgskiego wyznania, zwrot kościoła ś. Jakóba, zburzenie kastelu Spilwe, ponieważ załoga tamtejsza coraz bar-

dziéj ograniczała żeglugę po Dźwinie, pustoszyła okolice i dopuszczała się licznych gwałtów. Nie czekając skutku poselstwa, w sam dzień koronacyi nowego króla, dnia 30 czerwca 1587 r., Giese przypuścił szturm do kastelu, który odparty został, pomimo że złożono przysięgę zginąć lub zwyciężyć. Oblegający znaczne ponieśli straty. Dawid Hilchen, powróciwszy z sejmu, oznajmił, że dawne polecenie królewskie utrzymuje się w całéj swéj sile, na które wszakże tak mało już zwracano uwagi, że odebrano Jezuitom kościół ś. Jakóba, a buntowniczy Giese w miejsce Brinkena obrany został oldermanem wielkiéj gildy.

Na początku 1589 r. Hilchen z Meppenem i Ringenburgiem znowu udał się do Polski. Miał on sobie poleconém wyrobić przez wielkiego kanclerza, usunięcie dotychczasowego uciążliwego dla miasta położenia rzeczy.

Po pięciu miesiącach, deputacya przywiozła wiadomość, że królewscy komisarze, dla zbadania rzeczywistego stanu sprawy, wkrótce zesłani zostaną. Jakoż i rzeczywiście w dniu 17 czerwca przybyli do Rygi: kanclerz wielki litewski Lew Sapieha i Seweryn Bonar. Na ich przywitanie zagrzmiały działa, a Jerzy Farensbach o 3 z rana obsadził rynek polskiém wojskiem. Obywatele miasta, pomimo że Giese utracił dawne znaczenie, odebrano bowiem od niego klucze od gildy, a na jego miejsce obrano innego oldermana, zebrali się na ulicach, przeciągali z zapalonemi pakułami i zmusili w końcu Fareusbachczyków do odstąpienia. W pięć dni późniéj rozpoczęło się rozpatrywanie sprawy. Giese i Brinken aresztowani zostali, inni ocalili się ucieczką.

Stronny Vicken nazywa Hilchena synem piekła, utrzymując, że on poświęcił na ofiarę dwu pobożnych mężów, a Uryaszowe jego listy i rady stały się jakby ćwiekiem do trumny dla wielu obywateli; przyznaje wszakże, że komisarze działali stosownie do udzielonych sobie instrukcyi, poskromili powstanie, zarządzili przysięgę poddaństwa i kościoły ś. Jakóba i ś. Maryi Magdaleny katolikom zwrócili. Giese i Brinken, z rozkazu komisarzy, zostali uwięzieni, chociaż Mikołaj Ficken powstanie na ich korzyść podniósł. Wezwano wygnanych: Kacpra de Bergen, Mikołaja Ecke i Ottona Kanne, Neur jeszcze 1587 r. życie zakończył. Nakazaną przysięgę, w dniu 27 lipca burgraf Ecke, rada i gmina na klęczkach wykonali. Komisarze zaraz przystąpili do prowadzenia sprawy, a po rozważeniu skargi i wysłuchaniu obrony, skazano obu obecnych głównych przywódzców na ćwiertowanie, Hilchen wszakże wyrobił, że kara ta zamienioną została na ścięcie mieczem.

Brinken i Giese rano w dniu 2 sierpnia, w żałobnych płaszczach, otoczeni strażą, wprowadzeni byli na rynek. Na twarzy pierwszego malowała się męzka rezygnacya, drugi drżał cały, chociaż do ostatniéj chwili miał nadzieję, że życie darowaném mu będzie. Po dopełnionym wyroku, ciała pochowane zostały przy katedralnym kościele. W kilka dni późniéj, gisernik Sengeisen również był ścięty. Brat Giesego na rok i dzień jeden więzienia, innych winowajców skazano od dwu tygo-

dni do trzech miesięcy więzienia lub na wygnanie. Ci, którzy, jak: rektor Möller, zdołali umknąć, zostali z kraju wywołani. Na Rygę nałożoną została kontrybucya, w ilości 50,000 złotych, od zapłacenia których miasto, za staraniem Hilchena, znowu uwolnioném zostało.

Kanclerz wielki litewski polecił nowomianowanemu syndykowi Dawidowi Hilchenowi, ułożyć punkta ugody z miastem i takowe w dzień ś. Seweryna zostały odczytane publicznie. Rada, oldermani i starsi, zaprzysięgli spełnienie zawartych w nich warunków. Trzy odpisy były sporządzone: jeden dla rady, a dwa dla obu gild. Rocznica ugody uroczyście miała być święconą i akt każdego roku odczytany.

Ugoda seweryńska określała obowiązki stron obu, pozwalała na wysłanie sześciu deputowanych i na apelacyą do sądu królewskiego. Czterdzieści osób z wielkiéj gildy, a 30 z małéj, reprezentować miało gminę. Zgromadzenie gild bez zezwolenia rady było zabronione. Publiczne dochody, jak dawniéj, przez dwu członków rady i tyluż obywateli, winny były być zbierane.

Niespokojni mieszkańcy nazwali akt ten piekielnym, ale dopóki Ecke stał na czele zarządu miasta, t. j. do dnia 24 lipca 1605 r., ściśle był przestrzegany.

Kościół ś. Jakóba, po długich sporach, został powrócony Jezuitom; wprowadzenie zaś juliańskiego kalendarza, milczeniem zostało pominięte.

W imieniu komisarzy sekretarz królewski, znany dyssydent Andrzej Wolan, w łacińskiéj mowie wystawił obowiązek posłuszeństwa dla zwierzchności i wykazał na Giesem i Brinkenie smutne następstwa oporu. Ze strony znowu rygskiéj rady miejskiéj, przemawiał Dawid Hilchen również w łacińskim języku; wykazał on, jakie szczęście spotkało miasto, skutkiem ugody seweryńskiéj, która zakończyła pięcioletnie niepokoje. Nie podobała się wszakże obywatelom pochwała komisarzy i nagana winnych.

Dzień ś. Seweryna, na karcie tytułowéj, oznaczony został 7 września, według nowego stylu.

Bezstronniejsza od obywateli rada miejska, oddała należną sprawiedliwość działalności Hilchena w sprawie kalendarzowéj. „Podczas największych nieporządków, mówi współczesny urzędowy dokument przez członków jéj podpisany, kiedy wszędzie powstańcze ruchy panowały, spełniał on najważniejsze sprawy z taką zręcznością, że każdy chwalił jego czynność, działalność i pilność, wspierał przysłanych komisarzy słowem i piórem, doprowadził sprawę miasta do szczęśliwego rozwiązania. Przyczynił się do seweryńskiéj ugody, w któréj krótko i jasno położenie miasta określoném zostało. Za jego sprawą, nałożona na miasto kara pieniężna, darowaną została, a uciążliwy dla Rygi Blokhaus zburzony."

Komisarze królewscy znowu w dniu 4 października 1599 r., następne dali świadectwo zasług, położonych przez naszego syndyka: „Wiadomo czynimy wszystkim, którzy czytać to będą, że, podczas pra-

wie całorocznéj pracy naszéj około uspokojenia Inflant podjętéj, szlachetnie urodzony pan Dawid Hilchen, odznaczał się działalnością swoją pomiędzy wszystkimi naszymi pomocnikami; ten według naszego i wszystkich zdania, zasługuje na nagrodę od Jego Królewskiéj Mości i Najjaśniejszéj Rzeczypospolitéj. Pracowicie i pilnie spełniał on wszystko, co do naszego interesu należało, a zdrowia własnego przytém nieszczędził."

„Gdyby Najwyższy Bóg i Pan, mówi znowu Nystede w swoich *Pamiętnikach*, sekretarza Dawida Hilchena nie był zesłał w tym smutnym i rozpaczliwym stanie miasta, toby je źli ludzie do nicości byli doprowadzili."

Roku 1590 razem ze swoim teściem i rajcą Kacprem de Hofe udał się Hilchen na sejm do Warszawy, aby na nim przedstawić kościelne sprawy miasta i chociaż jezuici kościół św. Jakóba zatrzymali, udało mu się przynajmniéj wyjednać, że polecono im nie w mieście ale na zamku zamieszkać.

Jezuici nie spełnili rozporządzenia królewskiego i w tym samym roku Hilchen wraz z burmistrzem Ecke znowu pojechał do Warszawy, tam bronił interesów miasta i tłómaczył znaczenie dyplomu Stefana o wprowadzeniu jezuitów. Król wziął stronę zakonu i tak źle przyjął wystąpienie deputatów, że zagroził uwięzieniem Hilchenowi. Zamoyski ułagodził gniew króla, wyrok jednak przeciwny pierwszemu utrzymanym został.

Przyjaźń Zamoyskiego sprawiła, że Zygmunt nietylko urazy darował, ale jeszcze w dniu 2 stycznia 1591 roku Dawida, Jana i Tomasza Hilchenów podniósł do godności szlacheckiéj wraz z ich potomstwem. Dyplom opowiada o zasługach poniesionych dla króla i Rzeczypospolitéj, wzmiankuje o podróżach z polskimi magnatami, mówi o obszernych wiadomościach okazanych nietylko w dysputach, ale i w działalności, podnosi odwagę, poczciwość i mądrość syndyka, jakich dał dowody w chwilach kiedy zdołał powściągnąć lud wzburzony.

Zamoyski przypuścił Hilchenów do własnego herbu. Odtąd rodzina ta pieczętuje się Jelitą, na hełmie tylko zamiast dawnego Saryuszów kozła mieszczą ogon pawi.

Względy, jakich Hilchen doznawał na dworze królewskim, zdawało się że zabezpieczyć go potrafią od zazdrości, cała bowiem działalność jego skierowaną została do uszczęśliwienia rodzinnego miasta. O zasługach jego, położonych na tém polu, następnie obszernie powiemy.

Do roku 1595 tracimy go z oczu. W tym dopiéro roku jako deputowany Rygi przybył do Warszawy, zkąd wysłany został do Brunszwiku w sprawie spadku po zmarłéj tam bezpotomnie księżnie Zofii, siostrze Zygmunta Augusta; prócz tego poleconém mu było od miasta i rządu polskiego skłonić do odwołania błędów dwu historyków niemieckich, z których pierwszy Müller w *Historyi północnéj*, a drugi Chyträus w *Saskiéj kronice*, za porozumieniem się z Giesem, Möllerem

i innymi, stronnie i w fałszywém świetle przedstawili rozruchy kalendarzowe.

Jeszcze 1/10 września 1589 r., obaj komisarze Sapieha i Bonar pisali z Rygi do Chyträusa, zganili mu, że trzyma stronę inflanckiego Katyliny i łotra jakim jest Giese i żądali odwołania zawartych w dziele jego fałszów; prócz tego Farensbach zebrał zdania szlachty inflanckiéj i obywateli Rygi o rozruchach kalendarzowych i posłał takowe do Rostoku. Chyträus nie odwołał raz wyrzeczonego zdania, uważał je za słuszne, chociaż pisali do niego, zbijając takowe, najbliżsi krewni Tastyusza i Wellinga, a rada miejska zdanie ich poparła. Hilchen dopiéro zaopatrzony w świadectwa i dowody doniósł radzie, że w Lubece z wielkim mozołem potrafił skłonić historyka do odwołania błędnych ustępów w dziele jego. Chyträus od miasta w podarunku otrzymał sto dukatów, za co składając podziękowanie, zobowiązuje się zarazem nic nie pisać o Rydze bez uprzedniego porozumienia się z radą i syndykiem.

Jako urzędnik rygski, Hilchen wezwał w Rostoku uczącą się tam inflancką młodzież, zachęcał ją do pilności, a jako uczony dał próbę głębokiéj nauki w publicznéj z uczonymi dyspucie. O szczegółach i skutku poselstwa jego do Królewca, Rostoku, Lubeki i Brunszwiku, niémamy żadnych wiadomości; podróż ta wszakże ważną jest z powodu stosunków, jakie pozawierał z uczonymi, jak z Bekem w Gdańsku, Cramerem w Szczecinie, Taubmannem w Witembergu i wielu innymi.

W roku 1597 Hilchen wraz z Brakelem i Ottonem Dönhofem znowu wysłany był do Warszawy, aby od stanów inflanckich zanieść skargę na niezachowanie przywilejów. Posiadanie ważniejszych i zaszczytniejszych urzędów było tylko w ręku polaków i litwinów, a rodowici inflantczycy za cudzoziemców uważani byli. Skargę tę w drukowanéj mowie Hilchen na sejmie w dniu 7 września królowi przełożył: „Żyjemy, wyraża się w niéj, gorzéj jak niewolnicy, od wszystkich korzystnych posad jesteśmy usunięci, widzimy żony i dzieci nasze w poddaństwie, lękamy się co chwila czy zdołamy jeszcze zachować to co nam nasi zostawili. Nie obstajemy już nawet na mocy dawnych umów, aby urzędy wyłącznie tylko inflantczycy zajmowali, chociażbyśmy mieli do tego zupełne prawo; prosimy tylko, abyśmy niebyli zupełnie pomijani, aby równo choć urzędy rozdawano."

Zygmunt wydał polecenia, aby na przyszłość prawa Stefana zachowane były, aby opróżnione urzędy rozdawać pomiędzy zacnych polaków, litwinów i inflantczyków, a przy każdym z trzech wojewodów aby było po trzech kasztelanów, z każdéj narodowości po jednym. Księgę praw z ustaw polskich, inflanckich i litewskich polecił ułożyć. Sejmy w Wendenie mają się odbywać. Do spełnienia postanowień swoich wyznaczył Zygmunt jedenastu komisarzy pod prezydencyą Dymitra Solikowskiego, arcybiskupa lwowskiego. Syndyk miejski Dawid Hilchen mianowany został sekretarzem i landrichterem wendeńskim.

Komisarze stosownie do udzielonéj sobie instrukcyi zwołali sejm do Wendenu, na którym polecenie Zygmunta spełnili. Hilchen zaraz w ostatnich miesiącach 1599 roku ułożył inflanckie prawo krajowe.

Podzielił on ustawę na trzy księgi. Pierwsza traktuje o duchownych i świeckich urzędach, przywilejach, cle, monecie, handlu i majętnościach; druga o prawach stanu, płci i wieku, o polowaniach, pasiekach, lasach, testamentach, dziedzictwach, przestępstwach i obrazach; trzecia o wiejskich, zamkowych, podkomorskich prawach, procesach, cytacyach, apelacyach, egzekucyach. Samo zestawienie przedmiotów pokazuje niedostateczność zbioru, krótki przeciąg czasu, pozwolił ledwo powierzchownie zająć się tą pracą.

W archiwum rygskiém znajduje się rewizya dóbr państwa przez komisyą wykonana „Przy rewizyi, mówi ona, zamków do Waszéj Królewskiéj Mości należących, z powodu niedostatku środków żywności, wszędzie wszyscy być niemogliśmy, postanowiliśmy przeto rozdzielić pomiędzy siebie zajęcie i tym sposobem dokonać rewizyi. Opatrzyliśmy wszystkie zamki i należących do nich ludzi, wszystko spisaliśmy do osobnéj księgi, którą Waszéj Królewskiéj i stanom składamy. Widzieliśmy w wielu miejscach smutny stan ludzi. Skarżą się oni, że wbrew prawu, panowie stosunkowo zamało włościanom, a sobie zawiele wydzielili ziemi. Zbyt surowo wieśniacy przez dozorców karani bywają, obciążeni są ciężkiemi robotami i nowe jeszcze powinności na nich nakładają. Od starostów i zamków pobierane dochody na pieniądze przez nas zamienione zostały, które w złych czy dobrych latach od starostów lub ich zastępców niebędą mogły być rozgrabiane."

(*Dokończenie nastąpi*).

---

# KALEWALA.

## EPOS NARODOWE FINNÓW.

PRZEZ

*Feliksa Jezierskiego.*

Nie naszą, nie nowożytną jest ta myśl, że imponującym rozmiarom i twórczemu natężeniu natury pierwotnéj i w świecie ludzkim odpowiadać musiało również imponujące natężenie siły duchowéj. Wprawdzie, myśliciele starożytni pochopniejszymi są do wspominania o olbrzymiéj budowie germanów przedhistorycznych i „niezmiernych cielskach" owéj rasy, hodującéj się w borach niedostępnych: ale są tam wskazówki i o mamutowym okresie *ducha*.

W najwyższych zagadnieniach, jakie umysł ludzki mógł sobie kiedykolwiek postawić; w zaciekaniach się nad tajemnicą życia, śmierci i nieśmiertelności, istotą Boga, człowieka i jego postawy w stosunku do wszechświata: mędrcy starożytni, przedewszystkiém zwykli byli odwoływać się do świadectw lub wskazówek, jakie im owa era dziewicza przekazać mogła. „Pragniesz dowodów wiecznego trwania duszy, mówi filozof tuskulański, to zasięgnij głosu starożytności, ona bowiem, im bliżéj stała kolébki i rodu boskiego, tém lepiéj zapewne dostrzegała prawdę." Głębokie wejrzenie w utwory poezyi bliższéj domniemanego okresu pierwotności, a szczególniéj téż epos wschodnie i greckie, bezwątpienia myśli naszéj, na wstępie tu położonéj, nie zachwieje. Gdybyśmy chcieli zapytać się o istotne źródło uroku, jaki na nas i na wszystkie wieki wywiera epopea *właściwa*, tedy po psychologicznym rozbiorze tych wrażeń, okazałoby się, że ona urzeka nas niczém inném, jak właśnie ciepłem i świeżością, tém wyższą, z im głębszych warstw przeszłości ku nam wypływa. W *Iliadzie* lub *Odyssei*, w poematach indyjskich niéma piękności wykończenia, niéma żyłek drobnowidzowych; są tam obrazy majestatu, bezpośrednio wcielającego się w kształty i tym majestatem czarują nas one. Inaczéj niepodobnaby było wytłómaczyć sobie zapału, z jakim świat uczony, a szczególniéj estetycy chwytają odkrycie każdego zabytku pieśni ludu, a nawet tak zwany cykl ossyaniczny, który do tego stopnia poruszył był sfery krytyki i poezyi, że pomimo najsurowszych krzyków sceptycyzmu, publiczność nie prędko ochłonąć mogła z podziwu.

Wyobraźmy sobie człowieka, w jego szczęśliwém dziecięctwie, w rajskiém otoczeniu jutrzenkowych chwil przyrody i bezwiedności, to myśli tego człowieka będą samą promiennością, bijące w nim tętna będą jakoby pulsowaniem bóstwa samego. Wyobraźmyż go sobie znowu w chwili niespodziewanéj, nieprzypuszczanéj nawet dotąd walki, potknięcia o jakąś nową, nieprzejrzystą sferę, o nieszczęście, śmierć lub boleści; to wówczas rozpacz jego będzie rozpaczą prawdziwą, boleścią będzie, jakiéj sam Bóg już przyświadczyć może. Takimi są ludzie Homera, Kalidasy, takimi ludzie Kalewali; mowa ich szczęścia jest słońcem, krwią jest łza ich cierpienia. Oto np. jeden z tych żałobnych typów fińskiego eposu: Kullerwo, tułacz, wypędzony z gniazda rodzinnego, wśród tułactwa dowiadujący się, że niéma ojca, ani matki, że jego siedzibę spalono, że ścianę, przy któréj stała jego kolébka, z ziemią zrównano. Otóż Kullerwo, dosłownie mówiąc: wprost obraca się obliczem do „Boga Stworzyciela," wylicza klęski swoje z kolei i przypuścić nie może w rozpaczy, aby takiego jak on nędzarza *Bóg miał stworzyć*. Podajemy, jako rys przedwstępny, kilka słów tułacza:

Cisza, wokół bór bez krańca,
Tylko słychać... jęk wygnańca:
„Kto mię stworzył?" czyżby Boża
Ręka Twoja, Wszechrodzicu!

Bym wśród czterech ścian przestworza,
Snuł się w dzień i po księżycu?
Temu drzwi otworem stoją;
Tamten, ma ojczyznę swoją...
Mnie, ojczyzną, puszcz parowy,
Drzwiami, gąszczu szlak rozwiewny,
Trzonem, ogień piorunowy,
Łaźnią moją, deszcz ulewny!...
Nie! nie mogłoś, Sprawco świata,
Nigdy, jak latami lata,
Dziecka na téj życia niwie
Stworzyć tak niesprawiedliwie,
Tak bezchronnie, tak sierocol
Na tułactwo dniem i nocą,
Wtrącić, jak łań do obieży,
Tak bez ojca, bez macierzy,
Jakoś mnie biédnego stworzył,
Ciałem nędzy mię obłożył,
Mnie, mewę na oceanie;
Nie, najpotężniejszy Panie!
Jaskółce, to słońce świeci;
Co mówię?... lada ptaszynie,
Chmarom wszech powietrznych kmieci,
Lśni się, w złotych nitkach płynie.
A nademną—czy brnę lasem,
Czy pomorzem—nad przybłędą,
Nigdy—póki tu czas czasem,
A wieki wiekami będą.
Nie znam tego, co mię zrodził,
Téj, co mię nosiła w łonie;
Ot, może gdzie na wygonie
Ptak wysiedział mię i spłodził;
Może w bagnie, na upłazie,
Czy w rozpękłym schował głazie.
Ojcam stracił pacholęciem,
Matkę, z pierwszém jéj objęciem;
Czworo oczu się zawarło,
Wielkie plemię odumarło.
Ze śniegum ja nabiodrniki,
Z kry odziedziczył trzewiki,
Jakby dla rozbicia głowy,
Pchnięty na gołoledź ślizką,
By mię wzionął dół stokowy
Lub rozpłynione śmiecisko.
Ale... ojcze mój i matko!
O! nie doczekają ludzie,

Abym mostem był po brudzie,
Albo nad gnoiskiem kładką.
Z tą lewicą i prawicą,
Nie zgniję pod trzęsawicą.
„Górą pomsta!...”

W Niemczech, Szwecyi i Francyi, *Kalewala* żywe obudziła zajęcie. Widocznie tkwi w duszy człowieka instynktowa żądza obejrzenia się w pewnych chwilach ku źródłu. Po wielu i różnorodnych wrażeniach życia, myśli, teoryi i kierunków, zaszedłszy daleko z biegiem téj rzeki Heraklita, w którą nikt z ludzi dwa razy nogą nie wstąpił, miło jest, ożywczo, spotkać się z przedwiecznym sobą i zwracając spojrzenia

w odległejsze wieki
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy krzewiną
Usiądź zamyślonym, z hebrajską rodziną.

Wprawdzie epos Finnów nie przenosi nas pod cień palmowy, ale zato przenosi nas w tém wspanialsze otoczenie, bo w widoki przyrody kontemplacyjnéj, jaką człowiek Północy wysnuł z samego siebie, ku upokorzeniu narzuconych sobie przeznaczeń. Zanim więc znajdzie się pióro, zdolne do odrzeźbienia przecudnych prostotą form *Kalewali*, w całéj budowie, postaraliśmy się wstępne jéj zarysy, przed kilku laty poprowadzone umiejętną ręką [1]), dokreślić w ten sposób, aby czytelnik mógł się przynajmniéj domyśléć, jakie to odświeżenie widnokręgu, sprowadziłby dla nas całkowity, *poetycki* jéj przekład.

Poemata tego rodzaju, jak *Kalewala*—poemata dziewictwa społeczności ludzkiéj, w odpłatę za urok, jaki wywierać mają na czytelnika, stawiają téż pewne wymagania. *Iliada*, *Nibelungi*, dramat *Sakuntali*, zastrzegają dla siebie ze strony czytelników pewne dostrojenie się do ich psychicznego poziomu. Kraj lodów i szronu, w jaki nas przenosi *Kalewala*, jest krajem wiecznéj wiosny co do uczuć, ogrójcem miłości ku ojcom i ojczyźnie, tak pojmowanéj, jak ją wypowiada nasz stary Derszniak w *Noclegu hetmańskim*. Ale język tych boskich wzruszeń ma dla siebie jakieś odrębne dźwięki, zaledwie nam zrozumiałe. Jest tam jakiś wyłącznie właściwy ład i uorganizowanie namiętności. W walce plemiennéj a wiekuistéj pomiędzy Kalewą (ziemią Finnów) a Saryolą (ziemią Północy, krajem Lappów), krzyżują się dwie sprzeczne dźwignie: nienawiść i miłość; Kalewa nienawidzi Saryolę, przeklina ją, wojuje aż do żądzy zgładzenia jéj z oblicza ziemi; ale królowéj serca wyszukuje sobie właśnie w gronie dziewic nienawistnego plemienia.

Przybywa tu jeszcze jedno z główniejszych znamion—czary; po wszystkich drogach, lasach, górach i wąwozach, niejako rozsnute są sieci magiczne. Czary, to najpotężniejszy zabytek metafizyki pierwotnéj,

[1]) P. Seweryny z Żoch. Duchińskiéj (*Bibl. Warsz.*, t. III, 1869 r.).

przyznającéj niesłychaną moc i urok słowu ludzkiemu. Wajnamojnen, główny bohatér, kilku zwrotkami pieśni unicestwia wrogów, albo ich przeistacza, nieczułą kochankę przemienia w mewę morską, przeciwnika swojego w bagno zaklina. Mając w rozrządzeniu swojém całą naturę Północy, *Kalewala* rzuca jéj skarby na wszystkie strony, farby i promienie wydostaje z niéj, jakby z własnéj skarbnicy. Dodajmyż jeszcze niewysłowioną czerstwość typów, przebieg akordów coraz to nowych, niespodzianych, a przy tém wszystkiém w wielu miejscach widoczną pokrewność z pieśniami naszego ludu.

Oto są przedwstępne wskazówki, których podanie uważaliśmy za stosowne, przed wykładem samego poematu. Poemat ten nie stoi odosobniony w literaturze Finnów: tysiące pieśni mniejszych lub większych, tysiące podań ludowych, snuje się tam wokoło niego, jak drzewka i krzewy w gąszczu borów patryarchalnych. Niektóre z nich tworzą nawet rozległe grupy, a wśród nich szczególniéj wyróżnia się dziwnéj piękności powieść estońska: *Kalewi poeg (Syn Kalewy)*, z którym zapoznał naszą publiczność prof. Antoni Bąckiewicz (w *Przeglądzie Polskim* z września 1870 r.). Jakiżto hołd należy się dr. Lönnrotowi, Porthanowi i innym mężom mrówczéj pracowitości, podniecanéj zamiłowaniem tego, co swoje, że wydarli zapomnieniu szczątki przeszłości przedhistorycznéj, że ziemię Kalewa osnuli jakoby siecią symboliczną, zespalającą każdą prawie piędź ziemi z szeregiem wspomnień! „Do dziś dnia, mówi prof. Bąckiewicz, Estończyk patrzy na skałę Rewelską, na mogiłę starego Kalewa, na jezioro, które powstało z łez wdowy Lindy, na głazy rozrzucone, stanowiące przed laty jéj grobowiec; widzi dziwnie poetyczny skamieniały jéj obraz w skale góry Iry; widzi pagórki, na których spoczywała głowa Kalewipoega... widzi nakoniec jezioro Pejpus, do którego przywiązano tyle prastarych tradycyi o synie Kalewa" (*Przegląd Polski* 1870 r., str. 393).

Ale zwrócić winniśmy uwagę na punkt niedość jeszcze znany, na punkt, którego wskazanie nawet mogłoby wydawać się zbyt śmiałym krokiem, a przecież nie ulega on wątpliwości. Ukazanie się *Kalewali* w świecie piśmienniczym nie przeszło bez echa i w literaturze powszechnéj. Jużto w wykładzie samego poematu, już w ogólnym poglądzie na *Kalewalę*, który odkładamy na zakończenie całego obrazu, czytelnik spostrzeże wydatne skazówki jéj wpływu na zewnątrz literatury Finnów. Epopea ta, przedstawiająca się obecnie w poważnych rozmiarach, bo dorównywająca obszernością swoją epopei greckiéj, nie odrazu ukazała się w całokształcie swoim. Stopniowe zbieranie, a w końcu: zebranie jéj członków, rozproszonych po całém plemieniu, dokonaném zostało niedawno, jako owoc ofiarnéj gorliwości kilku miłośników tradycyi ojczystych. Tę jednak stronę kwestyi pomijamy z uwagi, że już została starannie przeprowadzoną przed kilku laty. Podajemy więc na czele sam wykład, a wszelkie poglądy ogólniejsze zamieszczamy w końcu, w tym celu, aby czytelnik, zapoznawszy

się z utworem, względną ich właściwość lub braki, sam ocenić był w stanie.

*Kalewala* składa się z wierszy ośmiozgłoskowych, rymu w niéj braknie zupełnie, ale natomiast panuje mocno uwydatniona alliteracya. Nieprzystępność mowy Finnów, rozgrupowanéj na liczne narzecza, dziwny układ jéj organizmu, zupełnie odbiegający i to w najgłówniejszych znamionach od rodziny aryjskiéj, były to może najważniejsze powody, dla których to epos tak długo ukrywało się przed widokiem szerszéj publiczności literackiéj.

Głównym bohaterem *Kalewali* jest Wajnamojnen albo Wajna, którego imię w języku lapońskim oznaczać ma *tęsknotę* (tak mniema Jakób Grimm). Urodzony z bogini, ten pół-bóg, bohatér przyszły i pieśniarz, wciela się w życie ludu, pragnie go podnieść i uszczęśliwić i jako pracownik w tym podwójnym kierunku, towarzyszy losom tego ludu aż do chwili wielkiego przesilenia się jego przeznaczeń pierwotnych. Wajnamojnen był synem córki powietrza, a matki wód. Urodziwszy się na morzu, długo się na jego falach kołysał, nim przypłynął do brzegu. Matka jednak długo czekała na jego urodzenie, długie lata przeżył on w jéj łonie, a więc przyszedł na świat już nie młody i dlatego w epopei imieniu jego ciągle towarzyszą przydomki: „prawy, stary Wajnamojnen."

Wyszedłszy na ląd, poleca on Pellerwojnowi (pelt=pole) zasiać lasy, a potém sam zasiewa zboże i tak modli się o wzrost ich szczęśliwy: „Powstań, ziemio, ze snu twojego; ocknij się z uśpienia, kraino Boga Stworzyciela, aby źdźbła podnieść się mogły, aby się szypułki ostały, tysiące wzrosło kłosów, aby pola moje rozszerzyły się stokrotnie..."

Ukko (bóg powietrza i grzmotów) wysłuchał go. Nadeszła wiosna; rozgląda się Wajnamojnen, aż tu na brzozę przylatuje kukułka wiosenna. „Wołaj, luba kukułko, mówi Wajna (Wajnamojnen), dla ciebie zostawiłem tę brzozę, śpiewaj mi pieściwą krtanią, srebrnym głosem, piersią śpiewaj cynową i rano i z wieczora..."

Wajnamojnen zasłynął mądrością i śpiewem, ale sławy téj pozazdrościł mu Jukahainen, chudy, nikły Lapończyk. Wybiera się więc do Wajnoli (Kalewali, kraju Finnów) na walkę pieśniarską, ale nie mogąc podołać współzawodnikowi, wyzywa go na bój. „Nie będę walczył z tobą, odpowiada Wajna, nie zmierzę się mieczem z takim niecnotą." Lapończyk tedy obrzuca go szyderstwami, grozi zepchnięciem go na gnoisko, do kąta obory. Rozgniewał się śpiewak, zaczarował zuchwalca, tak, że zapadł się w bagnisko. Zwyciężony, uwięziony w trzęsawicy, wyprasza się chudy Lapończyk tysiącem obietnic, przyrzeka nakoniec dać mu w zamężcie siostrę, piękną Aino. Ułaskawił się obietnicą Wajnamojnen. Lecz Aino, dowiedziawszy się, komu ją brat przeznacza, wpada w smutek rozpaczliwy i użala się przed matką, że brat oddać ją chce staremu. Oburzyła się matka wyrzekaniem córki, bo cały świat uwielbiał Wajnamojnena i rozkazuje, aby się przystroiła świetnie i stanęła przed narzeczonym. Aina, nieutulona w rozpaczy, wybiega

z domu, puszcza się w głąb' lasów, dochodzi do wybrzeża morskiego, usiada na skale, płacząc; nagle osuwa się skała i Aino zapada w toń morską. Płakała matka nad Ainą, długo płakała; aż z łez jéj trzy strumienie powstały, a w każdym wodospad ognisty; z piany wodospadu wystają trzy skały, a na kraju każdéj skały wzgórek, a na szczycie każdego wzgórka brzoza wyrasta" (*runa* I—IV).

Wajnamojnen nie może zapomnieć ukochanéj topielicy; zapuszcza wędkę i chwyta rybę. Lecz zaledwie podniósł rękę na zdobycz, ryba wymyka mu się z rąk i rzucając się w morze, oznajmia, że jest ową topielicą, którą on tak opłakuje. Napróżno jednak sili się powtórnie ją usidlić. Rozżalony więc, wraca do domu. „Niegdyś, mówi, inaczéj bywało: o zorzy rannéj i wieczorem, o! nawet w południe, odzywała się kukawka, luby ptak rozkoszy. Cóż dziś zamknęło jéj gardziołek, jéj odzew stłumiło? ha! jużci smutek! Już oto nie słyszę jéj głosu ani po zachodzie, ani rankiem, ani w odwieczerze. I pojąć nie mogę doprawdy, jak dziś żyć ja będę, jak się tułać po tym świecie. Gdybyto matka moja jeszcze żyła!"

Matka budzi się z grobu i daje mu odpowiedź: „Żyje matka, czuwa jeszcze stara matka twoja. Nie rozżalaj się synu. Pójdź do córek Północy, znajdziesz tam dzieci jeszcze piękniejsze, dwakroć, sześćkroć piękniejsze, nie żadne pleciuchy, ani te płaksy lapońskie. Tam wyszukaj sobie żony, co to i słodka w wejrzeniu i rosła kibicią i rzeźka stopą i zwinna członkami."

Więc na swym rumaku przez morze puszcza się w drogę na Północ. Ale chytry Lapończyk, młody Jukahainen czyha tam na niego, czyha i wygląda, a doczekać się nie może. Napróżno matka własna odradzała mu, aby nie zabijał śpiewaka, bohatéra Kalewy. „Jeżeli ty, mówi, zabijesz wieszcza Wajnamojnen, wtedy, ach! wszystek śpiew zejdzie z téj ziemi i wesela już nie będzie na świecie! a wesołość tu na ziemi, a pieśń tu, na górnym świecie, lepszą jest niźli tam w przedświecie, w padołach królestwa śmierci." Nie usłuchał matki chytry Lappa.

Raz, o rannéj godzinie, zwrócił oczy ku północo-zachodowi: coś czarnego wyziera z morza, coś błękitnieje na fali. „Ha! może to obłok od wschodu, może świta jutrzenka."

Nie, nie; ani to obłok od wschodu, ani świtająca jutrzenka, to był stary Wajnamojnen, czarotwórczy byłto śpiewak, a śpiewak wiekuisty. Chytry Lapończyk wypuszcza strzałę, dosięga nią konia i Wajnamojnen spada w morze, unosi go fala (pieśń V i VI). Orzeł, zawsze wdzięczny zato, że mu niegdyś Wajnamojnen ocalił sosnę, pożycza mu grzbietu i tak unosi go na brzegi Północy. Tam naszego tułacza przyjmuje Louhi, władczyni Północy, ogrzewa, przygarnia, pociesza i wciąż zapytuje, dlaczego smutny, dlaczego tak płakał na pobrzeżu Północy?

„O! królowo Pohjoli! mam ja czego płakać, mam się czego rozżalać; tylem się morzem napływał, tylem fal porozbijał na dalekim wód przestworze, na pustyni bezbrzegowéj; to téż płaczę i płakać będę, pó-

ki mego życia, że oto z ziemi ojczystéj do obcych przyszedłem krajów, przyszedłem pukać do cudzych drzwi, do furty nieznanéj: tu mię drapie każde drzewo, każda gałąź mię zadziera, każda sosna mię targa, każda szczypie olcha. Tylko wiatr jeden, mój dobry znajomy, tylko słońce mi tu bratnie, pod drzwiami obcemi, pod cudzą tu furtą."

Królowa utula jego smutek, iście bogini Homerowska, odpędzająca pocisk nieprzyjacielski od ulubieńca, jak matka, muchę od twarzy dziecka! Nawet gotową jest oddać mu córkę za żonę, z zastrzeżeniem, jeżeli zdoła ukuć dla niéj klejnot talizmanowy: Sampo. Wajnamojnen przyrzeka jéj przysłać Ilmarynena, Hefesta fińskiego, mistrza w cudach sztuki kowania. Wajnamojnen odjeżdża do ojczyzny (ru. VII). W podróży swojéj, podniósłszy oczy, spostrzega cudowne zjawisko: naprzód nad głową słyszy turkot czółka tkaczego, a potém widzi, jak piękny łuk rozpina się na niebie, stojąca na łuku przecudna dziewica, ze złotéj przędzy tka sukienkę, przetykając ją srebrem. Zachwycony śpiewak błaga ją, aby usiadła obok niego do sani. Ale chytra piękność Północy zastrzega sobie, aby cudami dobił się jéj ręki. Żąda, aby z drzazg jéj wrzeciona zbudował łódkę i spuścił ją na wodę, niedotykając. Wajnamojnen więc zasiada do roboty, ale obok niego, niewidzialnie, zasiada na trzeci dzień zły geniusz: Hiizy (inaczéj Lempo) i wśród roboty zdradziecko odwraca toporzysko: topór odskakuje od skały i wbija się w żyły pracownika, krew prysnęła strumieniami. Zraniony Wajnamojnen biegnie szukać znachora, któryby mu krew utamował. Nakoniec znajduje starca, który zamawia ranę i namaszcza ją balsamem. Tymczasem nieobeszło się i bez gawęd; Wajnamojnen bowiem opowiada rodowód żelaza, w którem, jako anioł powieści, występuje Ilmarynen. Nic naiwnie piękniejszego, jak zdumienie tego starca, który, jako człowiek okresu roślinnego, ani przypuszczał, aby duch potęgi i zbrodni czaić się mógł w martwéj bryle kruszcu: „A bodajże cię, starzec zawołał, teraz więc znam ród żelaza i złośliwe sprawy stali. O! ty nędzne, ty złośliwe żelazo! takżeś to wzrosło, tak zesrożało. Bryło marna! tyś zapewne nie miała wielkości, byłaś ani drobną, ani wielką, ani piękną, ani silną. I gdzieżeś ty bywała przedtém? Mléczną jeszcze była twoja postać, kiedyś leżała ukryta we wdzięcznych piersiach dziewczyny, w pełném łonie prześlicznéj, na długiéj szlarce obłoku, pod nieba sklepieniem." A teraz, o! bryło zbrodnicza! Oto wyrosłaś i dostałaś wścieklizny. Złamałaś możną przysięgę; psią paszczęką pokąsałaś cześć plemienia twego, usty ją dotknęłaś nieczystemi. I ktoto podniecił ciebie do złoczyństwa? do wrogiéj zuchwałości? ojciec, czy matka twoja, czy z braci najstarszy, czy z siostr najmłodsza? Ani ojciec, ani matka... nic, tyś sama poczęła w sobie nieszczęście i postrach. Pójdźże teraz i przypatrz się oto dziełu twojemu; pójdź i pomoc daj w nieszczęściu, póki cię nie oskarżę przed matką twoją; o! bo srodze boleje matka, kiedy dziecię puszcza się na niecnotę."

Były to magiczne słowa do zamówienia rany. Po zamówieniu i omaszczeniu rany, starzec taką daje radę uleczonemu:

„Nie chódź ty o własném ciele, jedno chódź o ciele Boga Stwórcy; nie puszczaj się o własnych siłach, jedno o siłach Wszechmocarza; ani usty mów własnemi, mów ustami wszechmocarza; jest ci słodycz w ustach twoich, ale więcéj słodyczy w ustach Stwórcy; jest ci piękność w ręku twoich, piękniejsze są ręce Stwórcy" (IX).

Wraca więc do ojczyzny Wajnamojnen i prosi Ilmarynena, aby się udał na północ, do kraju Pohjoli i ukuł tam miecz talizmanowy, przez co wysłuży sobie rękę córki królowéj ziem Saryoli, która mieszka tam w zimném siole, a z nikim zaślubić się nie chce; a wielbi ją połowa ziem Saryoli, bo przecudnie jest piękną: „księżyc z jéj skroni promienieje, światło słońca z jéj piersi, łysk niedźwiedzia z jéj ramion, a gwiazd siedm z jéj grzbietu."

„Nie, odpowiada mistrz żelazny, nie pójdę ja tam. Tyś mię przyrzekł niewiaście Północy na to, abyś własną głowę ocalił. Nie pójdę, póki życia mego, póki świeci światło miesiąca, do siedziby północnéj, bo tam ludzi rozszarpują, do morza spychają bohatérów."

Trzeba było aż podejścia: Wajnamojnen zaklina wiatry, aby tam uniosły Ilmarynena. Przybywa tedy do kraju Lappów i Louhi przyjmuje gościa uprzejmie. Przywołuje piękną córkę swoją: „cudowne dziewcze Północy, ozdoba wód i lądów, wdziewa szaty najwybrańsze, najczyściejsze z sukni swoich; a wdziała ich aż pięcioro; i na głowie śliczną wdziewa, skroń opina miedzianą obręczą, złotym się pasem przewiązuje. Wchodzi z alkowy do komnaty; a prześliczne było to dziewczę: bo i w oczach ponętna i uszu krojem powabna, i promieniejąca twarzy i policzków rumieńcem, na jéj piersiach lśni się złoto, srebro błyszczy się na głowie."

Prosi go więc gospodyni Północy o miecz talizmanowy (sampo). „Zgoda, mówi, jako żądasz, ukuję ja Sampo, utoczę nałbicę z szypułek łabędzich, z mleka zsiadłego, z ziarnek jęczmienia, z runa letniego jagnięcia; ukuję, skoro ukować mogłem niebo i dach powietrza."

Kiedy Sampo już był gotowy, gospodyni Północy ukrywa go w górnéj skale. Teraz Ilmarynen dopomina się o córkę. Ale córka wyprasza się jeszcze. Jakoś jéj tęskno rozstać się z gniazdem: więc mówi:

„Przyjdzie lato, zmierzch czy rano,
Ilmarynen! któż tu zgoła
Kukułeczkę wygadaną,
Kto na śpiewkę mi przywoła
Makolągwę szaropiórną,
Jak wywieziesz połącznicę
Mnie, poziomkę tę nagórną?
Za dziesiątą gdzieś granicę.
— Ilmarynen! za nic w świecie
Nie zarzeknę się bezcennych

Nie, dziewictwa dni wiosennych,
Skrzętów, trosk o skwarném lecie.
A tożby tu pustką całą
Wszerz i wzdłuż pomorze stało,
Nieprzebrnione brzóz altany,
Jodeł las nieośpiewany.
— A tożby mi, Ilmarynen,
Gąska moja sierocina,
Kwoczka moja nie usiadła.
Marnie wiśniaby opadła
I czerwienna żórawina.
Ba! i ptastew ćma sierotna
I kukułka niepowrotna,
Z niżówby się usunęły
Z gór naczołka ufrunęły."

Stroskany Ilmarynen opuszcza kraj Saryoli, opowiada matce swoję niepomyślną przygodę, a Wajnamojnena uwiadamia, że Sampo już jest gotowy (X).

Z końcem dziesiątéj runy poczyna się boczny zwrot eposu; dwaj bracia Wajnamojnen i Ilmarynen schodzą ze sceny i nie spotykamy ich aż w runie XVI. Po zadziergu tedy ogólnéj nici, mamy przed sobą trzeciego brata Lemminkajnen, syna Lempi'ego. Rześki, ruchliwy, nieustraszony w przygodach miłosnych, jak sam jego przydomkowy epitet zapowiada (lieto=ochoczy), Lemninkajnen przedsiębierze również pochód na Północ dla zdobycia sobie ręki Saryolitki.

Wyprawa idzie szczęśliwie. Wyszydzany z początku, zniewala sobie później dziewczęta saryolskie. Jedna tylko z nich Kyllikki zimno go przyjmuje, ale porwana przemocą, jedna się z nim nakoniec, łagodzi jego butę wojowniczą, przysięga mu stałość, przyrzeka nie uczestniczyć w tańcach wiejskich. Ale wkrótce wymyka się potajemnie na wieczorynki; mąż rozgniewany postanawia ją odtrącić od siebie i puścić się na północ, po nową Saryolitkę. Matka odradza mu nową wyprawę i śmierć mu tam przepowiada. Nadaremne były słowa matki. Kiedy mówiła do niego: „luby Ahti, mój ty synu, nie chodź tam; nie znasz mowy lapońskiéj." A właśnie wówczas Ahti (=Lemminkajnen) czesał piękne włosy swoje. Więc odrzekł matce, odrzucając grzebień na zapiecek: „wtedy chyba nieszczęście spadnie na Ahti'ego, na rześkiego młodziana, gdy z tego grzebienia krew popłynie czerwona" [1]). Puszcza się więc na północ; Louhi, matka pięknéj Saryolitki, przed wydaniem córki, ciężkie na niego wkłada trudy: rozkazuje naprzód, aby schwytał łosia złego ducha (Hiizi'ego), aby następnie ujarzmił jego konia ogniem buchającego i do niéj go przyprowadził; a nakoniec zabił łabędzia piekielnéj rzeki Tuoni.

[1]) Runa XI i XII.

Lemminkajnen puszcza się na niebezpieczne łowy. Dla schwytania łosia zaopatruje się w cudowne obuwie odśnieżne, zupełnie tak samo jak amerykański bohatér Hiawatha, i po wielu przygodach wraca do Gospodyni Północy z trofeem. Również powiodło mu się z ujarzmieniem rumaka.

Ale nieszczęsny koniec miała wyprawa ostatnia: na łabędzia płynącego po rzece umarłych (Tuoni). Tam na nieustraszonego łowca czyhał nienawistny mu pasterz i kiedy Lemminkajnen stanął na pobrzeżu z pełnym strzał kołczanem, pasterz nasyła zpod fali wodnéj węża; wąż zapuszcza żądło w serce męża, w wątrobę i oba ramiona. Nieszczęśliwy młodzieniec w przeczuciu blizkiéj śmierci żałośnie wyrzeka na swoję niedolę, a szczególniéj na to, że nie zapytał matki o dwa zaklętne słowa: jak począć z raną od ukąszenia węża, z bólem od trzciny wodnéj.

„Staruszeczko, matko miła,
Coś w żywocie mię nosiła,
Coś się chowem uznoiła;
Ach! ty nie wiesz nieszczęśliwa!
Gdzie twój biedak dogorywa!
Rodzicielko! dniem i nocą
Rączo biegłabyś z pomocą,
Od śmierci mię zasłaniała:
Matko, żyć mi jeszcze dała,
Jeszcze zasnąć snem młodzieńczym."

Tedy pasterz ów, starzec ślepy, pochwycił umierającego syna Kalewy i strącił w czarną rzekę Tuoni; i rzeźwy przed chwilą młodzieniec zapadł się w wir śmiertelny i z falami jego popłynął. Zbroczony krwią syn Tuoni jeszcze go pierwéj uderzył mieczem swoim, pociął zwłoki na ośm części, wołając: „rozpierajże się teraz z kołczanem swoim, łukiem i strzałami, poluj na łabędzie tam w podwodném przestworzu, poluj na ptaki." Więc umarł Lemminkajnen, umarł niestrudzony zalotnik w czarnym potoku Tuoni, w ujściach głębin boga śmierci! (runa XIII).

W piętnastéj runie przenosimy się do domu matki zalotnika. Zaciszny to domek, ale dziś nie ma tam ciszy. Niechże czytelnik posłucha kilku dźwięków miłości macierzyńskiéj w duchu Kalewali; niech przyjrzy się sprężynom serca, wiekuiście jednym i tym samym, a przecież jakoby odmiennym, bo pierwotnym. Krwią czuł i krwią miłował ów człowiek zapomnianego świata, jedynie na dźwiękach runy odciśniętego.

Matka przypomina sobie, że syn dawno juz odszedł na wyprawę i zaczyna się dziwić:

— Kroczy w stronę tę i ową,
Duma i zachodzi w głowę:

„Gdzieście syna mi podzieli,
Najdroższego Kaukomieli? [1])
Kiedyż to mię on porzucił!
A nie słychać żeby wrócił."
Ach! niewiedna matka miła,
Co w żywocie go nosiła:
Co się chowem uznoiła,
Gdzie dziś legnął kęs jéj ciała,
Gdzie się krew jéj obracała;
Czy go stopy w bór zawiodły,
Czy pod mrok nagórnéj jodły?
Czy go wiatrem poddymana
Prze na grzbiecie morska piana?
Może wojny zgiełk morderczy
W bój go znęcił ludożerczy,
Może dziś mi krwią się broczy,
Po kolana krwią posoczy?
— A Kylikki, śliczna żona
Rozgląda się utęskniona
Po wszech kątach, w każdéj celi,
Po dziedzińcu Kaukomieli;
To o słońcu, to o cieniu,
A spogląda po grzebieniu.
Ot... i oczom niedowierza,
(A było to z odwieczerza):
Grzebień roni krwawe grono,
Grzebień łzawi się czerwono.
— Aż i matka tuż nadchodzi,
Patrzy, patrzy—i zawodzi
Jękiem piersi, jękiem słowa:
„Ach! ja biedna białogłowa!
Cóż ja poczne z sercem mojém,
Co z żywotem uciśnionym"? i t. d.

Rozpaczająca matka rwie sobie włosy, rozdziera szaty i koszulę i puszcza się na Północ na odszukanie syna; pędzi co tchu i sił, góry trzęsą się pod jéj stopami, doliny podnoszą się, wyżyny zapadają, głębie rosną nad poziom. Dotarła wreszcie do siedzib Louhi. Kiedy ta zapytana, dokąd posłała jéj syna, wykręca się jak może, napomykając o wilkach, niedźwiedziach, o topieliskach; wtedy matka oburzona, odpowiada: „kłamiesz mi w żywe oczy; mojego rodu wilk nie rozszarpie, ani niedźwiedź; Lemminkajnen jednym palcem przewraca wilka..."

Nakoniec dowiedziawszy się prawdy, że syn wyprawionym został na zabicie łabędzia śmierci, wybiega na odszukanie straconego. Jeżeli

[1]) Kaukomieli=dalekowidzący, obmyślny.

napotkała w drodze jodłę, to jodłę pyta o syna; pyta każdą drogę o syna. Pyta wreszcie i księżyca. Lecz i jodły i drogi i księżyc odpowiadają jéj z kolei, że nic nie wiedzą o jéj synu; bo same o sobie mają dosyć troski. I tak np. księżyc, który Bóg stworzył, dał wcale mądrą odpowiedź: „ja sam troszczę się o siebie, a o synu twoim nic powiedzieć ci nie mogę, bo ciężką jest moja dola, jestem nieszczęśliwy; samotnie koczować muszę po nocy, świecić wśród najstraszniejszego mrozu, muszę czuwać zimą, a latem niknąć."

Dopiero słońce odkrywa jéj smutną tajemnicę, którą już pierwéj przeczuwało jéj serce, kiedy grzebień syna krwią spłynął (XIV).

Na chwilę wraca do poematu Ilmarynen; osierocona matka prosi go o ukucie grabi o stu sążniach w podłuż i pięciu sążniach trzonka miedzianego, z żelaznemi zębami. Wtedy matka schodzi na poziom wodospadu Tuoni, przegrabia całą głębinę, aż dopóki nie wygrabiła utopionych członków.

Nic równie naiwnego jak to igranie cudownością, jak wiejąca wskroś całéj Kalewali wiara w pobłażliwość Wszechmocnego Prawodawcy sił przyrodzenia: „Za trzecióm przeciągnięciem grabi, mówi poeta, matka pochwyciła na żelazne zęby ogromny snop. Ale *nie był to snop*, jedno trup Lemmenkajnen [1]), ten sam śliczny Kaukomieli. Podniósł się tedy na grabiach matki z przejrzystych wód śmierci, ale brakło kilku cząstek: ręki i głowy połowę, a zarazem brakło życia... Zadumała się rodzica, zadumała i mówi płacząc: „stanież się jeszcze z tego człowiek? czy powstanie nowy bohatér"? „Hej, kobieto, kruk zakrakał, nie stanie się człowiek z topielca, lipnie dawno oczy mu wyjadły, szczupaki ramiona ogryzły; rzuć tego męża w nurty Tuoneli, niech tam stanie się foką, niech wyrośnie na wieloryba."

Jak rzewnie widzieć tę matkę przykładającą ciałko do ciałka, kość do kości, związującą członki, spajającą żyłę z żyłą. A co się nie namodliła przy téj pracy wtórorodnéj (czyli jak się wyraża niezrównany śpiewak Kalewali): „kiedy poraz drugi rodziła tego syna! A modliła się do wszystkich bogów świata i nadświata! ba nawet i do Suonetar, smukłéj bogini żyłek, coto znała wszystkie pasma i pasemka żył i ścięgien.

Już więc wszystko skończone, zrosły się członki, spoiły ścięgna i żyły; ożył, urodził się, ale mówić nie może. Jak tu tchnąć mowę, jak otworzyć mu usta na pieśni? Na to potrzeba balsamu z daleka, aż z krain Metsola (bóstwo lasów). Wyprawia więc w poselstwie pszczołę, wskazuje jéj drogi i dróżki prowadzące do kraju, gdzie gotują miody. Lecz i miód nie pomaga. Posyła ją więc do Stwórcy, opowiedziawszy drogę do niego.

„Pszczółko, ptaszku ty miodowy,
Moja księżno leśnych kwieci:

[1]) Nazwiska Lemmenkajnen w drugim przypadku, jest Lemminkajnen.

Litujże się matki wdowy,
Leć w poselstwie poraz trzeci.
W górne niebo, zwinnie, skoro,
A przez niebios dziesięcioro.
Ach! pszczółeczko, tam patoki,
Tam są miodów całe stoki,
Ile chuć załaknie żywa.
Sam go Stwórca Bóg zażywa
Przenajświętszy, albo maści
Serca, chore przez napaści
Czarnych potęg, widm straszydła;
W miodzie skąp przejrzyste skrzydła:
Piórka twoje skąp w patoce..."

Pszczółka, zmyślny to ptaszek; przetoż mówi: „jakże ja dolecę do Boga Stwórcy, ja *człowieczek* bez siły"? Matka jéj na to: „o! dolecisz i dobrze; pięknie sobie pofruniesz poza księżyc i pod słońce, za prześliczne gwiazdy nieba. Pierwszego dnia wachlarzem skrzydełek owiejesz skronie księżyca, na drugi dzień staniesz nad łopatkami niedźwiedzicy, na trzeci staniesz u grzbietu siedmiogwieździa; a ztamtąd już niedaleko do siedziby Boga Świętego i błogosławionych."

Usłużnie sprawiła się pszczółka. Po wskazanych drogach dofrunęła aż do saméj *piwnicy* Stworzyciela i nabrała zapasów słodyczy niebieskiéj. Matka bierze do ust, probuje i ocenia... „Ha, mówi ona, otóż to jest prawdziwy balsam, prawdziwa maść, którą Stworzyciel goi boleści." Namaszczony topielec wraca do życia i opowiada przygody swoje. Matka wymawia mu lekkomyślność, że się puścił do ziemi Lappów, nie znając ani wężów, ani żmij tego królestwa. Charakterystycznym jest podany przez matkę rodowód gadzin. „Gadzina poczęta była w wodzie, w nurtach ziemi powstał wąż z mózgu kaczki, ze szpiku jaskółki morskiéj; Sjonatar (ludożerka) plunęła niegdyś w wodę, puściła na falę ślinę, którą woda uniosła a potém słońce oświetliło, wiatr ukołysał, prąd morza wyniósł ku brzegom i na ląd wyrzucił."

W XVI runie poeta wraca do głównego bohatéra. Wajnamojnen buduje łódź morską, a jak w każdéj, tak i w téj sprawie dopomaga sobie mową czarów. Czaromówca wiekuisty! łódź budował pieśnią. Zaśpiewał jednę i dno powstało; zaśpiewał drugą i boki stanęły; zaśpiewał trzecią i sterowe kłonice stanęły. Już robota dosięga końca, gdy oto nagle słów mu zabrakło: „biada mi nędznemu, biada, zawołał; łódź nie dosięgnie wody, nie stoczy się na fale; zkąd tu ostatnich słów wyszukać? czy z móżdżku jaskółek? czy z głów łabędzi? czy z ramion gęsi"?

Co się on nie napolował na renifery, co nabił jaskółek, gęsi, wiewiórek a łabędzi!.... naprożno. Ha! może znajdzie czarodziejskie sło-

wa w pałacach śmierci, w północnéj dziedzinie Tuoni. Tam więc się zapuszcza, wyprasza sobie czółno u księżnéj umarłych i na niém przepływa rzekę śmierci. Ale tam uśpiono go zdradziecko: pochwycono w sieci, osnuto w sznury żelazne i miedziane. Wtedy zmienia postać swoją: cienieje na sitowie, pełza niby robak żelazny, czołga się w kształcie węża i wyślizguje się nakoniec z sieci. Wraca do ojczyzny, ale nadaremnie. Był na świecie olbrzym: Antero Wipuni, władzca słów czarodziejskich. Otóż bohatér nasz, w trzewikach stanąwszy żelaznych, w żelaznéj koszuli, przebija się we wnętrze cielska wielkoluda i tam kole go, kraje i pali. Wściekłe męki cierpi wielkolud. Cała prawie pieśń odchodzi na wyrzekanie; niema warstwy świata i podświata, niema choroby, pomoru, żmij, trzęsawisk i odmętów morza, któréjby nie nawoływał struty mocarz. Czytelnik znalazłby tu cały magazyn przekleństw i wyrzekań, przypominający Szekspira, Homera, Danta i wszystkich, jacy kiedyś mogli kląć i pomstować, aby go zwolnił od męki ten zły duch (Hiizy). To żebrze litości, to grozi że go przed matką oskarży, to mu wytyka jego ród domniemany w całéj kolumnie przydomków: „może przyszedłeś z koła guselników, może z gniazda czaromówców, ze stolicy złych duchów, ze sfory psów Hiizy'ego, z wnętrzności ziemi, może z siedziby męża umarłego, może z otchłani pięciogórza, z nory borsuka, może z jaskini, w któréj burze nocują, albo z pobojowiska, albo ze szlamu morskiego, albo z tylnych krańców nieba, z bezdni na tysiące sążni, czy z krętu wód, z wiru pełnych płomieni" i t. d. „Ha! przyjdź tu lesie bezmierny, zbierz sługi swoje, wszystkie jodły i świerki; matko wód! powstań z pod fali, w modrym czepcu; i ty, najwielmożniejsza córko stworzenia! prześliczna złota dziewico, przyjdź najstarsza z niewiast, najdawniejsza z matek! i patrz, jak ja cierpię!" Nic to nie nada; Wajnamojnen odzywa się z głębi, że nie pierw ustąpi, aż usłyszy wszystkie słowa czaru—a tyle ich umiał, że i dzieci nie naśpiewają ich tyle, i mocni bohatérowie nie nasłuchają ich tyle dziś, w tych czasach złośliwych, w upadku plemienia ludzkiego." Rad nie rad, olbrzym musiał wyśpiewać wszystkie słowa czaru. W śpiewie tym oczywiście, wysnuć trzeba mu było cały rodowód ziemi i nieba.

Przy całéj wielobożności, w Kalewali przebijają się, i często, popędy panteizmu a jeszcze dokładniéj wyrażając się: panenteizmu. Na rozkaz woli Stworzyciela, jak to wypowiada olbrzym na mękach, z niego samego wydzieliło się powietrze, z powietrza wydzieliły się wody, z wody ziemia, a z ziemi wszystkie rośliny. Owa zaś pieśń bytu, jak mówi nasz poeta, miała być tak piękną, że przysłuchiwało się jéj słońce, księżyc zatrzymał się w biegu, wody przystanęły na morzu, bałwany przysiadły w zatoce, prąd rzeki odpoczął, nawet Rutja, wodospad umilknął, umilknął Jurtani (zapewne Jordan). Tak więc Wajnamojnen naraz zostaje i wyzwolonym z wnętrza olbrzyma ziemi i świadomym trzech słów cudu (XVII).

Dorabia więc swojego statku morskiego i puszcza się na Północ dla zdobycia sobie ręki pięknéj Saryolitki. Już wyzłocona, wysrebrzo-

na łódź, z piersią purpurową, o żaglu błękitnym i czerwonym, pruje modrą głębinę. Nie zapomniał żeglarz i o modlitwie do Boga i żywiołów:

Znijdź do łodzi, o! bezmierny
Stwórco, znijdź, wszechmiłosierny!
Płyń w mój łodzi, arcy-święty,
Mnie drobnemu na obronę:
Przez błękitne te odmęty,
Przez to morze rozścielone.
— Wiéj wietrzyku, kołysz łódką,
Faluj falo, pędź drobniutką
Nowo-rodną nawkę moję,
Niech u steru ja nie stoję,
A nie smagam rudla biczem
Po modrawym grzbiecie toni,
Po bezmierzu tajemniczém.

Siostra Ilmarynena, Annikki, to córka nocy i świtu, właśnie wstawszy przed wschodem słońca, miała trzepać bieliznę i płukać szmaty, i kiedy dostrzegła płynącego, zatrzymuje go i bada dokąd się wybrał. Wajnamojnen wymyśla jedno po drugiém, ale prawdziwego celu wyprawy odkryć nie chce. To niby wyprawia się na połów leszczy, to gęsi, to na forelle, to na zgiełk wojny, na pasowanie się w równym boju głową na głowę. Ale siostra Ilmarynena nie dowierza. Wreszcie przyparty ciekawością dziewczęcia wyznaje całą prawdę. Ot Annikki chust nie wytrzepała i szmat nie wypłukała, lecz pobiegła do brata w chwili, kiedy „ten kowal wieczny" kuł żelazną ławę i srebrem ją nakuwał. „Bracie, mówi, Ilmarynen kowalu; wieczny ty czarotwórco młota i obcęgów, ukuj ty mi czółno tkackie, ukuj mi prześliczny pierścień, ukuj dwie a trzy zausznice, przytém pięć a sześć łańcuszków na opaskę, to ci powiem prawdę bez kłamu." Otrzymawszy obietnicę, wypowiada wszystko co słyszała; i smutek padł na żelaznego męża, z pięści prawéj opuścił obcęgi, z lewéj ręki młot mu upada. Najprzód więc wykonywa obiecane siostrze podarunki, a następnie idzie do łaźni, umywa się, wystraja i wsiada do sani, aby coprędzéj pośpieszyć na Północ, a nie dać się ubiedz współzalotnikowi. Wajnamojnen jako żeglujący modli się do ducha odmętów morskich; Ilmarynen, jako jezdny na saniach modli się do Gromotwórcy (Ukko). „Bóstwo piorunujące, ześlij ty mi śnieg, a świeży, nasiéj mi miękkich płat, aby się sanie zwinnie ślizgały." Wysłuchał go Ukko, zesłał śnieg świeży i miękkich płat nasiał; nakrył szypułki kwiatów i czubki jerzynowe. Trzeba doganiać współzalotnika; więc nuż w prośby do gromotwórcy, nuż w prośby do lubego rumaka, do szarogrzywca aby sadził rączo, a nie potykał się. Nareszcie stanęli narówni obok siebie, ten na morzu, ten na śniegu, mistrz żelaza i mistrz pieśni; stanęli współzawodnicy, uosobienia z dwu biegunów świata pierwotnego. Jakaż walka ma rostrzygać, kto owła-

dnie sercem córki Północy? „Wajnamojnenie przedwieczny, mówi do niego Ilmarynen, rozprawmyż się pokojowo: niech ta piękna, acz obaj sięgamy po jéj miłość, nie z nakazu, nie z przynaglenia, ale samochcąc, wolna, pójdzie za mężem swoim.” Przyjął umowę pieśniarz i obaj puścili się daléj na wyprawę: raźno łódź odbija od brzegu, rączo pędzi rumak, ziemia drga mu pod kopytem. Dotarli wreszcie na podwórzec. I oto zaszczekał legawiec zamkowy, zawyła wyżlica pałacu, tam na Północy na wieki blasku niewiednéj.

Zrywa się władczyni Saryoli i woła na córkę, jakby podsłuchawszy naszéj pieśni ludowéj:

Wilcy grają, psy szczekają,
A wyjrzyjno, co tam mają.

I tu podobnież odzywa się królowa do córki: „Wyjdź-że córko, a przepytaj się, co tam szary pies zaszczekał, zaskowyczał długouchy, bo nigdy pies nie zaszczeka marnie, nie zawarczy pies na pstrąga.” Sama więc wyszła na dziedziniec i psu patrzy na paszczę, a tu paszcza psa zwrócona ku przylądkowi burzy, ku nagórzu olchowemu. Goście więc to być muszą; ależ z czém oni jadą? trzeba powróżyć. Luba ty córeczko mała, weź-no ty szczypkę jarzębiny i rzuć ją na trzon do ognia. Jeśli szczypka ta krwią spłynie, to znak, że przychodzą z wojną; jeśli czystą wodą spłynie, to znak, że przyjeżdżają z pokojem.” Włożyła córka szczypkę na trzon; nie krwią czerwoną spłynęła szczypka, ani czystą wodą; miód się posączył, słodka patoka spłynęła. Nareszcie wchodzą wywróżeni goście-zalotnicy. Matka doradza córce pieśniarza, ale córka wybiera Ilmarynena. Zadają mu krocie cudów do spełnienia przed ślubem, a cuda to niebezpieczne. To ma zaorać niwę wężową, to ujarzmić niedźwiedzia tuońskiego, to wilka Manala (bóstwa z podziemia śmierci), to szczupaka wyciągnąć z potoku królestwa śmierci. Ilmarynen spełnia wszystkie zadania i rękę córki otrzymuje (XVIII i XIX). Następuje uczta weselna z iście homeryczną wystawą i również majestatyczną prostotą. Nadmieniamy przytém, że do tych zwycięztw tajemnicę wskazała mu sama narzeczona, prawdziwa Medea starego świata finnów.

Przez następne dwie runy ciągnie się opis uczty weselnéj. Po wszystkich krainach Pohioli rozchodzą się poselstwa z zaproszeniem na ucztę; w pałacu królowéj warzą piwo i gotują potrawy; olbrzymi wół z Suomi (z Finlandyi) przeznaczonym zostaje pod topór na gody weselne. Dla pokazania czytelnikowi, jak łatwo pas graniczny pomiędzy rzeczywistością a niebem zaciera się w Kalewali, rzućmy okiem na ofiarnego wołu. „Wyrósł sobie wół w Karelii, tłusty cielec w kraju Suomi, nie był on-ci z największych, nie był i z najmniejszych; ogonem był równy Jemom, głową równy rzece Kemi; rogi miał on stusążniowe, paszczę na sto pięćdziesiąt sążni; po naszyjnéj jego wici łasica tydzień drogi miała, a jaskółka tydzień lotu pomiędzy rogami i to jeśli biegła

z pośpiechem, bez spoczynku wśród podróży; z ramion jego do ogona miesiąc cały szła wiewiórka, a nim dobiegła do końca, pierwéj miesiąc cały minął." Widocznie cudowność stanowi najdawniejszy pierwiastek odgrupowania dwu światów: prozy i poezyi. Tę chwiejność pomiędzy dwiema sferami powieści spotykamy stale w całéj Kalewali. Co więcéj, jak we wszystkich epopeach, ogarniających cały pochód wielkiego cyklu, dostrzegamy téż i w Kalewali, że w miarę posuwania się treści poematu ku czasom późniejszym, pojedyńcze rysy osób i dziejów tracą wymiary kolosalne, a zstępują do wymiarów dziejowych, ludzkich, rzeczywistych.

Na zakończenie uczty, władczyni Pohioli upomina się o pieśni. Ten i ów ofiaruje się zaśpiewać. Jakiś staruszek skulony na zapiecku, przypomina sobie dawne czasy, kiedy i on był mocarzem tonów ludzkich, kiedy dźwięki z płuc jego rozchodziły się po wód zwierciadłach, po łąkach i borach Północy. Ale dziś piersi umilkły. „Silny, piękny był mój głos, mówi starzec, wielmożnemi były dźwięki płuc moich; płynęły one, podobne najpiękniejszemu strumieniowi, szumiały jak gwar wodospadu, ślizgały się jak na śniegu trzewik śniegowy, a na wód otchłani żaglowe okręta. Dziś nie umiem powiedzieć, nie umiem odgadnąć, co złamało głos potężny, co słodziuchny dźwięk ugięło; już nie płynie on jak rzeka, już nie bucha z pełnią morską: jest on jak graca ciągnąca po nowinie z pniakami, jako jodła na śniegowéj płaszczyźnie, albo łyżwica na piaskach, jak łódź na suchych głazach." Rozmaitości zaś językowéj na odcieniowanie wszelkich rodzajów i subtelności dźwięku, eposowi Finnów pozazdrościćby można.

Uwieńczeniem wesela jest pieśń Wajnamojnena XXII.

Runa XXII otwiera nam nawskroś wnętrze bytu rodzinnego Kalewali; jesteśmy tu w dziedzinie świętéj, homerycznéj pierwotności, ale wyższéj nad nią o obyczajową całą skalę; grube instynkta i rubaszność stanu natury usunął tu nam poeta zprzed oczu. Jeżeli ludzie Homera nie rumienią się nad rajską nagością swoją, tedy Kalewidowie przesięgają poza sferę téj rajskości; ani kochanek, ani oblubienica nie stają tu obojętnie względem jasności dziennéj; niéma tu ani jednego z owych rysów *Iliady*, lub jaskrawych farb Szekspira, któreby potomność złagodzić lub omijać musiała. Ani obrzęd weselny, ani odprawa narzeczonéj nie zawadzają o nieskażoność obyczajów, żaden z tych rubasznych dźwięków, któremi jakaś nieuczciwa ręka poplamiła ludową tradycyą w pieśniach naszych wiejskich. Kiedy narzeczona Ilmarynena rozstaje się z domem matki, kiedy żegna wszystko co ją otaczało tu od dzieciństwa, od węgłów domu aż do poziomek i mleka ukochanéj krówki: to wszystko jest tam święte, dziewicze. Zaprawdę, krwią wstydu i upokorzenia spłonęłaby twarz Saryolitki na byle tętno drastyczne, jakich krociami podnieca dziś pokolenia szkoła naturalistyczna.

„Naczekałeś się długo, luby mój bracie, narzeczony, mówi władczyni Północy do Ilmarynena, naczekałeś się, wysoko urodzony zięciu; oto już ukończyła strój oblubienica twoja, ubrała się już ptaszyna two-

ja," a do córki mówi: „idź-że, idź, kupiona dziewico, idź, ty kurczątko kupione przez obcego. Pośpieszyłaś się, serduszko moje, nie rozejrzałaś się po obu stronach, główeczko luba; wstąpiłaś w kupno żałosne, na cały żywot łez pełne, pełne jęku na lata przyszłe; opuściłaś dom ojca, odstąpiła od ojczyzny, od boku lubéj matki." Widocznie rapsodysta zebrał żywcem kłosy i pokłosia z natury, z ust ludu. Szczęśliwi Finnowie! ich nauczyciele nie wyganiali pieśni, jak Belzebuba z organizmu narodowości. „Szczęśliweś ty było dziecię moje, mówi matka, aniś troski nie zaznała, myślą główki nie łamała; troskiś jodłom zostawiła, myśli przęsłom zostawiła, smutki twoje olchom bagien, sosnom piaskowym, kochanko! sama rzeźwiąc się jak listek, jak poziomka łąk ojczystych, jak ta jagódka polowa." Jakaż to miłość ojczyzny, istna miłość Sakuntali w tych żalach matki: „Teraz odchodzisz mi z domu, zapuszczasz się do cudzego, do innéj matki, do innéj czeladki; tam inaczéj niźli tutaj, inaczéj po obcym domu: inne tam grzmią rogi, inne drzwi skrzypią, inne wrota kręcą się na zawiasach." Ależ niepodobna oderwać się od scen i obrazków téj epopei serca, bez żalu. I powtarzamy: to *nasza* pieśń ludowa. Z jaką to boleścią córka opuszcza dom matki, a przecież ma ona przed sobą kraj piękniejszy: jedzie na Południe, zpod lodów Saryoli, z kraju śmierci do kraju życia, od Lapów, wężów i niedźwiedzi do ziemi słońca! Ale mów-że tu z nią, z tą upartą chorobą ojczyzny!

Biédne dziewczę! z jaką boleścią odrywają ją od proga ojczystego. „Wszystko co żyje w domu, żegna ją piosenką." Rozrzewniła się córeczka: „łez pełną dłoń napłakała." „Płacz-że córeczko, mówi matka, napłacz się pieszczotko, ile siły starczą. Albożto tak płakać ty będziesz, jeśli kiedyś wrócisz do domu; kiedy wrócisz, a tu luba siostra leży powalona na drodze, a w jéj objęciach pień stary." Westchnęła tedy córka, westchnęła, tchu nabrała z dna piersi (runa XXII, wiersz 382 i daléj).

Dusza Saryolitki zrosła się z naturą i ten sznurek rodowy za każdém trąceniem uczuć się daje, a w chwilach rodzicielskiéj lub bratniéj pieszczoty, wśród najwyższego nawet natężenia psychicznego słychać pulsowanie instynktów pierwotnych. Osmotar, śliczna córa Kalewy, tak się odzywa do dziewicy dom rodziców opuszczającéj. „O! narzeczona, siostro moja ukochana, słuchaj mojego słowa. Oto odchodzisz kwiatku mój, znikasz nam z oczu w oddale, jagódko poziomna, rąbeczku barwny, płatku szkarłatowy! Odchodzisz z domu; co chcesz, wszystko z sobą zabrać możesz, trzy rzeczy tylko zostaw w domu: marzenia dzienne, śpiewy i wstydliwość dziewiczą, lubych słów matki nie zabieraj nam z sobą... Pamiętaj, nigdy, póki księżyc nad światem świecić będzie, nigdy nie wchodzić do domu bez prawości, bez cnoty do przybytków ludzi, nie przestępuj progu bez poczczenia krewniaków. Gdyby tam dziadkiem był wilk, przyczajony w kącie, a babką w alkowie niedźwiedzica; gdyby szwagrem wąż na progu, a bratową maczuga na dziedzińcu, czoło przed nimi pochylić potrzeba" (XXIII).

Matka teraz z kolei przemawia do Ilmarynena; błaga aby strzegł jéj dziecięcia, bronił i kochał. Pożegnanie córki w zupełności przypomina nasze pieśni weselne, a raczéj budzi w nas tę smutną rozwagę, czémto być mogła i czém być musiała rzeczywiście nasza liryka przedchrześciańska, nim ją topór nieproszonych purystów z zielonych liści ogołocił. „Czém ja się dziś odpłacę, ja biédna, w chwili rozstania, lubéj matce za mléko, ojcu za dobroć, bratu za miłość, siostrze za przyjaźń? Bodajbyście, drodzy moi, nigdy troski nie zaznali, nigdy żałości nie poczuli, żem was opuściła, w kraje obce poszła; chociaż i tam zapewne świeci słońce Stworzyciela, błyszczy miesiąc Boga Bogów i niebieskie gwiazdy świecą i blask wielkiéj niedźwiedzicy rozpiera się po powietrzu i tam gdzieś na obcéj ziemi, nietylko tu nad dziedzińcem ojca. Składam więc pożegnanie wszystkim i wszystkiemu: lasom, krajom i jagodom, smugom i miedzom z kwiatami, łąkom ze wszystkiemi zioły, jeziorom z wysep krociami, toniom wszystkim z rybiętami, wzgórzom prześlicznym z jodłami i sosnowym borom moim."

Wreszcie zbliża się chwila ostatnia, trzeba odjechać: smutno to zapowiadają jéj sanie, odwrócone przodem ku oddalom. Ilmarynen uwozi z sobą oblubienicę (XXIV).

Tymczasem Lokka matka nowożeńca, piękna córa szczepu Kalewa z trwogą oczekuje syna, bo o nim wieści już dawno nie słyszy.

„Wioska nowin wyglądała,
Młodzież świtu pożądała;
Dziatwa, łączki i jagody,
Łódź maszczona, modréj wody.
Ach! nie czekam ja księżyca,
Ni ja świtu, żałośnica:
Syna czekam, oczka głowy,
Syna mego i synowéj.
Gdy noc mgławie przerzedzała,
Tom świtania wyprzedzała,
Dniem i nocą nieświadoma,
Czy zachorzał mi, czy chroma,
Czy hoduje maluczkiego,
Czy nakarmia wychudłego.
Gdzie on słania się? gdzie bywa?
Aj! sierota ja sędziwa.
A przyrzekał, że powróci,
Nim wiatr z kwiatu liść ustrzygnie;
A przysięgał, że powróci,
Pierw niż po nim ślad ostygnie.

Przybywa nakoniec Ilmarynen z oblubienicą, poczyna się uczta, któréj przepychu Wajnamojnen dodaje pieśniami swojemi (XXV).

W runie XXVI poeta wraca do zapomnianego bohatéra Lemminkajnen'a i odtąd epos w kilku następnych runach przybiera zwrot wo-

jowniczy. Lemminkajnen rozgniewany, że go nie zaproszono na gody weselne, puszcza się na Północ, do krajów Saryoli (Pohioli Laponii), dla pomszczenia zniewagi. Naprożno matka odradza mu tę wyprawę, tysiącem niebezpieczeństw zagrażającą. „Pamiętaj sobie, synu, ostrzega matka, skoro wejdziesz do komnat Pohioli, tam na deskach sterczyć będą pale, na dziedzińcu będą koły z głowami ludzkiemi na ostrzach, a jeden kół bez głowy; otóż na ten kół wetkniętą zostanie twoja głowa."

„Ile! matko, odpowie jéj syn przemyślny (=Kaukomieli), tylko głupcy zważaliby na to, nicponie; gdyby mię czekało sześć lat wojny i siedm lat boju, niedbam ja o to; przynieś mi bojową koszulę, przynieś starą zbroicę, a miecz ojca ja sam sobie przyniosę, sam opatrzę głowicę: długo ona leżała tam samotnie w skrytości i napłakała się, czekając na swego bojownika." Nie pomogły więc odradzania; upomina go tedy, aby przynajmniéj powściągał się na biesiadach. „Synu, mój ty jedynaku, jeśli wejdziesz do piwiarni, wypijaj dzbanek do połowy, wypijaj tylko do połowy czary, a drugą oddaj innym, gorszemu ją oddaj, bo i ona gorsza: na dnie czary leżą gadziny, na dnie dzbanka pełzają robaki."

Sprawdziły się wróżby matki, całą podróż syna napełniają krocie niebezpieczeństw: na drodze leżą rozproszone pióra cietrzewi, koń jego nastroszył grzywę, lękliwie parska nozdrzami... oto przed nim bucha rzeka ognista, wpośrodku rzeki ognista kaskada, wpośród niéj skała ognista, na skale wzgórek ognisty, na wzgórku orzeł z gardła ogniem buchający, daléj węże i potwory i t. d. Wszystko to jednak bohatér ubezwładnia czarami i dosięga krajów Pohioli (XXVI).

Dumnie i nakazująco wkracza Lemminkajnen do pałacu Pohioli: „Oto, mówi, przybyłem i witam wszystkich tych, którzy mnie witają. Słuchaj, ty książę Pohioli, a masz na dziedzińcu u siebie jęczmień dla mojego rumaka, a masz piwo dla jeźdźca?" „Jest tu jęczmień w dziedzińcu, jest wolne miejsce dla rumaka; jeżeli zachowasz się skromnie w moich komnatach, jeżeli przy drzwiach stać będziesz, przy drzwiach pod krokwiami, wpośrodku kotłów, przy trzech hakach." „A! niech Lempo, zły duch przy drzwiach stoi, a smoli się sadzami kotłów, odpowie Lemminkajnen, potrząsając czarniejszą od sadzy czupryną: nie stał mój ojciec przy drzwiach, nie stał pod krokwią i hakami ukochany mój staruszek: zawsze czekała tam gotowa stajnia dla rumaka, pokoje dla męża, kąt na rękawice, tyczka na obuwie, ściana na miecze..." A dobra gospodyni, Ilpotar na to się odzywa: „młodzieniaszku Lemminkajnen! nie wyglądasz mi na gościa. Przychodzisz deptać mi po głowie, skronie przygnieść mi do ziemi; nie, młodzieniaszku, jeszcze piwo leży w jęczmieniu, jeszcze słód leży we zbożu, jeszcze żyto nie młócone; trzeba ci było przyjść wczoraj albo jutro."

Zaczyna się sprzeczka, krew rozgrzewa się z obu stron; gospodarz zrazu otwiera walkę na czary, a skoro czarami przemódz nie może, chwyta za miecz. Zaczyna się więc pojedynek, ale długim mieczom zaciasno pomiędzy ścianami; wychodzą więc na dziedziniec. Na dziedzińcu leży skóra wołowa, rozkładają się więc na skórze wołowéj; długo

pryskały iskry z mieczów, aż szyja władcy Północy, jakby blaskiem zorzy zalśniła. „O! władco, zawoła Lemminkajnen, szyją błyszczysz jak jutrzenką; biedny synu Północy!" i wyrzekłszy to, mieczem strąca mu głowę z szyi, jakby głuszca z gałęzi.

Ahti (=Lemminkajnen) szybko oddala się z kraju Północy, którego władzczyni zwołuje wszystkich mężów na pomszczenie za śmierć męża. Przybywszy do ojczyzny, a wciąż ścigany, za poradą matki kryje się na ustronną wyspę za morzami. Mnóstwo epizodów miłosnych urozmaica zbiegowi życie na wyspie. Wreszcie i ztamtąd uciekać musi przed sprzysiężeniem tysiąca współzalotników, opuszcza wyspę z wielkim smutkiem „dla siebie i dziewcząt." W odwrocie do ojczyzny na trzeci dzień zaskoczyła go burza morska, rozbija boki jego łodzi. Ahti „wpada w wodę na ręce, musi wiosłować palcami, musi sterować nogami. Płynie dnie, płynie noce, aż zobaczył zdala obłoczek, chmurkę na Zachodzie, a ta chmurka zwolna w ląd się zamieniła, w przylądek się obróciła. Wyszedłszy na ląd zgłodniały, dochodzi do nieznajomej chatki, gdzie gospodyni chleb piecze, a córka gniecie ciasto. Ogrzeli topielca, nakarmili. Puszcza się daléj, jeszcze daléj, a wciąż ku ojczyznie. Ot i dobiegł do ojczyzny."

Zdala poznał ziemię swoją;
Jak zadawna bory stoją,
Świecą brzegi i ostrowy,
Pasek morza kryształowy;
Na pomorzu; jak przed laty
Słup tam widzi rosochaty,
Górę z jodłowemi szczyty,
Wzgórek sosnami nakryty;
A dopatrzyć się nie może,
Gdzie izdebka, gdzie jéj ściany?
Gdzie jéj piecyk wybielany?
Dawnéj chaty sprzęt i łoże?
Nic już, nic dojrzyć nie może;
Tylko dawne gór pokrowce:
Jodły, sosny i jałowce.
Szepnął coś przybysz z topieli,
Westchnął śliczny Kaukomieli:
„Toż ja w gaju tym igrałem,
Na głazach się kołysałem;
Na murawiem téj, na łące
Skoki dawał szalejące.
Kto zrąb wyrwał zpod izdebki?
Z jéj pokrowia mech i klepki?
Ha! zgorzała nasza chata,
Tylko zgliszcze wiatr rozmiata."
I zapłakał Kaukomieli—
Aż tu na pierzastéj skrzeli

W podniebia ptaszynka płynie.
Był to orzeł—a ten z płaczem:
„Orle, orle turyaninie,
Zlitujże się nad tułaczem!
Powiedz, kędy się puściła
Matka moja, co dni krocie
Nosiła mię w swym żywocie;
A gdy w bólach donosiła,
Mlekiem piersi wykarmiła"?
Próżno pyta Kaukomieli:
Ani orzeł zpopod chmury,
Ani kruk ten czarnopióry,
Głupi ptacy—niewiedzieli;
Wiedzieli tylko, że długo
Po zagórzu, zimno-blada
Kroczyła śmierć i zagłada:
Z mieczem, grotem i maczugą.
Mam nagrodę, mam o! dziwy!
Ja, szaleniec nieszczęśliwy,
Żem miecz wezwał do pomocy:
Że dotarłem, pomście gwoli,
Do dziedzińca Pohioli,
Na granicę kraju nocy!
Zagubiłem moje plemię,
Matkę strąciłem pod ziemię...
Choć, ludzie! nie uwierzycie:
Tam, jak z płatka szło mi życie;
Tam czerwono lśnią się drzewa,
W smugach błękit się rozlewa,
Złotem świecą kwiaty łączne,
Srebrem, brzozy stutysiączne.
Ach! doprawdy: tam ze skały
Strugi miodu wytryskały;
Tam po jodłach słodycz płynie,
Białe mleko po sośninie.
A czemuż ta ziemia żyzna
Nie wabiła mlekiem, miodem?
Ach! bo cudza krwią i rodem?
Bo nie swoja, nie ojczyzna. (XXX)

(*Dokończenie nastąpi*).

# CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEŃ O CNOCIE *).

PRZEZ

*Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.*

## III.

### Stoicy i Epikurejczycy.

Po śmierci „boga," podzielili się ludzie jego królestwem. Bynajmniéj nie karły, bohatery na wzór bohaterów Homera, namiętni jak oni, odważni i nieprzezwyciężeni; ale wydają się małymi przy Macedończyku, tak samo, jakby się był małym wydał Agamemnon, wódz mężów, gdyby był przy nim stanął i zajaśniał winogradem, strojny cudotwórca Dyonizos, syn Semeli, co się zaśmiał tylko i świat podbił. Stają obok mężów i heroiny, piękne jak dawniéj, jak dawniéj namiętne, rozkochane i kto czyta dzieje królów, co w Europie, Azyi i Afryce podzielili się dziedzictwem zdobywcy, temu się wyda chyba, że to się odrodzili dawni Pelopidzi, Labdacydzi, Eacydzi, lud chrobry, co żył w pieśni Homera. A długo sięga głową ponad wszystkich matka Aleksandrowa, zabójczyni męża, władżczyni narodów, dumna Olimpia. Siedząc wśród skał w Peli Macedońskiéj, wysyła rozkazy do wojsk dalekich i rządzi i zabija i kłamie i przed nikiem karku nie ugnie, aż wreszcie zginie, jak dawna heroina, pod strzałami żołnierzy syna, z rozkazu zdrajcy Kasandra, którego ród wyginął rychle, dając krew swoję za krew Olimpii, Zewsów oblubienicy. Brzęk oręża, krzyk wojsk najętych, napełnia dzieje. Każdego kraju królem Greczyn, od Indusu po Wezuwiusz, a w każdego Greczyna wojsku, stąpają czarne, duże indyjskie słonie. Mowy, wiary się mącą; nagi bramin siada w Atenach na Agorze i myśli wśród ruchowych Greków o nieskończonéj nicości, a helleński sofista bawi na dworze króla Sandragupty nad Gangesem, w drewnianéj Pantalibotrze i uczy starych Indusów, jak mają pisać dzieje, układać sylogizmata wedle Arystotelesowego wzoru i pisać tragedye; żydzi przyjmują greckie imiona, a Grecy żydowską wiarę i mącą się granice, co dzieliły ludzkość od bogów. Syn Antygonów Demetryusz, zajechał namiętny i rozpustny do Aten, na czele statków, a Ateńczycy ujrzeli w nim największego boga ziemi.

---

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. p.

Zawsze jeszcze lubili Ateńczycy naukę i ozdobne, a dowcipne mowy; zawsze muzykę lubili i śpiewy i filozofią i wesołą komedyą i tragedyą uroczystą, co łzy wyciskała; ale mimo dwu szkół Arystotelesa i Platona, co w Atenach kwitły, nieumieli Ateńczycy już żyć cnotliwie. Raz stanęli do boju z jednym z wielu królów greckich, z Antypatrem Macedońskim i ponieśli straszną klęskę, o której się dowiedział najpierwszy, najgłówniejszy wówczas mówca ludowy w Atenach. Zamilczał jednak prawdę sumienny następca Peryklesa i głosząc ludowi, że przeciwnie, odniesiono zwycięztwo, wniósł, by sobie z téj okazyi sprawiono ucztę trzydniową, który to wniosek został z aplauzem przyjęty. Ucztowano tedy dni trzy, wieńcząc głowę kwiatami, tańcząc i słuchając muzyki, a po trzech dniach dowiedziano się o prawdzie smutnéj z ust biesiad wnioskodawcy, który się tłómaczył przed ludem, że w obecném nieszczęściu chciał jemu przynajmniéj trzy dni wesela sprawić. I podobało się to tłómaczenie ludowi.

Otóżto Demetryusz przybył do Aten, by wygnać ztamtąd Antypatrowe załogi i wdzięczny zato lud, policzył go natychmiast między bogi i wywrócił cały kalendarz do góry nogami, k'woli zaszczytów nowego Aten pana. Śpiewano głośno po Atenach, że Zews wysoko, a jego posągi z kamienia, że przeto ni on, ni posągi modlitw nie słyszą, a jedynym bogiem, do którego się modlić warto, Demetryusz syn Antygonowy, Demetryusz, co wiezie za swojém wojskiem wieże o stu pociskach ognistych, któremi miasto tak zburzy, jak gdyby miał na rozkazy wszystkie pioruny Zewsowe. Upadlano się przed Demetryuszem, synem Antygonowym na wszystkie sposoby, które podłość ludzka wymyślić może, a przed których powtórzeniem wzdryga się pióro, a Demetryusz z uśmiechem na twarzy uciskał gród filozofów w pokoju.

Bo też i filozofowie się zmienili wraz z narodem; nie myśleli już o rzeczypospolitych ustroju, skoro prócz króla niestało już w Grecyi innéj rzeczypospolitéj; myśleli już o tém tylko, jakby mógł człowiek, wdali od walk politycznych, żyć spokojnie i naprawdę szczęśliwie. I ci filozofowie, prorocy samolubnéj cnoty, znaleźli rozgłos, jakiego się nie doczekali nigdy wielcy wieków minionych myśliciele; nie szkoły już zakładali i nie klasztory; stawali się duchownymi poradnikami całego narodu greckiego i kto lada jak był wykształcony, ten życie swoje przerabiał na epikurejską lub stoicką modłę, podczas gdy lud słuchał nauk i rad Cyników, tak jak we Włoszech nowożytnych chadzał na pasku u mnichów żebraków.

A najpierw o Epikurze, którego uczniowie przez pięć wieków przezywali bogiem i zbawicielem, a raczéj przed Epikurem słów kilka powiemy o Demokrycie, na którego barkach stanął Epikur.

Demokryt rodem z Abdery, a współczesny Sokratesowi, nie był właściwie filozofem w ścisłém znaczeniu tego słowa, gdyż oddawał się tylko naukom przyrodniczym. Zjechawszy świat prawie cały stworzył system fizyki, nowy a zupełnie odmienny od tych, któremi się Grecy zazwyczaj posługiwali, realistyczny i obchodzący się zupełnie bez bo-

gów. Onto pierwszy ustanowił wyraźnie teoryą atomów, będących wedle niego niezmiernie małémi ciałami, niedającémi się daléj dzielić, a mającémi postać rozmaitą. Te atomy, które istnieją od początku, lecą od początku w otchłań, na dół i nieustannie na dół, a w prądzie swoim tworzą różne ciała, grupując się rozmaicie i stając się tém samém, powodem nietylko kształtu i zwartości ciał, ale także ich barw i innych własności.

Z ciała każdego wychodzą niezliczone ciał wizerunki, z atomów także złożone, nieważkie i nikłe, które się dostają do mózgu przez otwory zmysłowe i rodzą w nas przedmiotów wyobrażenia i wszystkie nasze myśli, które nie są czém inném, jak mienianiem się owych obrazów we wnętrzu naszéj czaszy; i tak, oto Demokryt, pierwszy z wielu przyrodników, przekroczył granicy własnéj nauki i bez dostatecznego filozoficznego przygotowania, wdał się w kwestye ontologiczne i metafizyczne, dodając jeszcze etyczną rzekomo naukę, że szczęście ma się wtedy, gdy ma się zdrowy żołądek i spokojne nerwy i że przeto cnota zależy na dwu rzeczach: raz na rozsądnéj dyecie i hygieniczném życiu, a powtóre na unikaniu troski i lęku. A że jego zdaniem, lękali się ludzie najwięcéj bogów, duchów i upiorów, tudzież zagrobowéj odpowiedzialności, nauka jego miała niby tę dobrą stronę i była dlatego nadzwyczaj pożyteczną dla tych, co cnotliwymi być pragnęli, że obchodziła się zewszystkiém bez bogów i duchów i nieśmiertelności i przeto uwalniała od wszelkiego zabobonu. A niechcąc poprzestać na słowie i chcąc czynem pouczyć ludzi o tém, jak marnemi są starych bab strachy, urządził sobie przyrodniczą i lekarską pracownię w dużym grobowym pomniku, wśród cmentarza, w rodzinnéj Abderze. Mówią nawet, że raz kilku żaków Abderytów postanowiło wystawić na próbę, zimną krew mędrca i poprzebierało się za upiory w prześcieradłach z maskami, na wzór trupich główek i wpadło do grobowca, wyprawiając wszystkie tradycyjne piekielne hałasy i zaczęło tańczyć o saméj północy, dokoła mędrca zagłębionego w anatomicznéj jakiéjś sekcyi. Zrazu, powiadają, nie dostrzegł Demokryt niczego, tak był cały zanurzony w swoich badaniach; ale gdy wreszcie głowę podniósł i zobaczył ów taniec śmierci wśród grobowca, roześmiał się w głos i śmiał się prawie do rozpuku. To też żył długo, bo aż lat sto kilka i był do śmierci w dobrym humorze.

Demokryt zostawił po sobie mnogich zwolenników i Epikur przejął jego naukę o powstaniu rzeczy i myśli, żywcem w siedmdziesiąt lat po jego zgonie, mimo to, że przed kilku laty, dopiéro zmarły Arystoteles dowiódł był jak na dłoni, że przedmioty wszystkie nie pędzą na dół, w otchłań, jedno padają na ziemię i że niedorzeczną jest teorya o latających obrazach rzeczy, gdyż nie tłomaczy bynajmniéj różnego pozoru rzeczy z różnego stanowiska widzianych i stoi w sprzeczności z tém, że mamy przecie wyobrażenie o rzeczach, którycheśmy nigdy nie widzieli i nawet o rzeczach, których nigdy a nigdy nie było, jakoto np. o Centaurze lub o złotéj górze. Nauka była łatwą do pojęcia; przyjął ją tedy

wygodniś Epikur: jeden tylko usunął zarzut, a mianowicie ten, że atomy lecące wszystkie jednakowo prostopadle w dół, nigdy się nie spotkają i przedmiotów zmiennych nie wytworzą, wygodną poprawką jakoby niektóre atomy, zresztą bez przyczyny, czasem nieskończenie mało zbaczały z drogi swéj prostopadłéj.

Drugim filozofem, od którego się Epikur poczęści zapożyczył, był zmarły przed laty pięćdziesięcioma Arystyp, uczeń Sokratesa, z Cyreny w Afryce. Nie wiemy już, jaką drogą przyszedł mąż ów do przekonania dość powszechnego u filozofów nowożytnych, że człowiek wié tylko o własnych wrażeniach, a że nic nie wié o istocie rzeczy, o ile ta w tych wrażeniach ujętą nie jest. Znamy przedmiotów farbę, kształt widomy i namacalny, woń, stopień światłości, twardości i ciepłoty, podzielność widomą i namacalną, smak ich, odgłos, który wydają i widome ich przemiany, a darmo się trudzimy, gdy chcemy znać więcéj. A że to co widzimy, słyszymy, czujemy i t. d., jest naszém wrażeniem, więc nie znamy nic prócz wrażeń naszych. Z téjto metafizycznéj podstawy wychodząc, powiedział daléj Arystyp, że nie możemy miéć przyjemności innéj nad tę, którą nam sprawiają zmysły, że one tylko przykrości naszych źródłem i że mędrzec winien tedy szukać przedewszystkiém zmysłowego używania; ale że, niestety, zmysłem najpewniejszym uczucie i że ono sprawia największą rozkósz i boleść najdotkliwszą; a że daléj uczucie częściéj przynosi cierpienie jak rozkosz, więc życie jest zawsze katuszą i mędrzec powinien przedewszystkiém szukać śmierci, co jest uwolnieniem od wszelkiéj męki. Zobaczymy, jaki użytek z téj nauki zrobił bogaty ateńczyk Epikur, człowiek niezbyt uczony, ale bardzo rozsądny i zrodzony wtedy właśnie, gdy społeczeństwo, pozbawione politycznych wolności, potrzebowało takiego człowieka.

Otóż Epikur spraszał mnogich gości do ogrodu swego prywatnego i rozmawiając z nimi o tém i o owém, a zachwalając głośno filozofią Demokryta, mówił, że głupiec tylko może nie być szczęśliwym. Wszak dzieciństwem owe lęki, owe strachy przed śmiercią, owe zgryzoty sumienia i skrupuły, co mają swój początek w babskich powieściach o bogach, boginiach i piekle, a prostą niedorzecznością trudy wielu filozofów, co zawróciwszy oczy patrzą w niebo, by tam znaleźć to, czego niéma, szukają w myśli coś, coby w zmysłowych wrażeniach niémiało początku swego i zamiast cieszyć się i życiem i światem, dręczą się jakiemiś umartwieniami. A jakżeż śmieszny żołnierz lub mąż stanu, co sobie gwałt zadaje, by służyć rzeczypospolitéj. Niech wojuje, niech gada na mównicy, ile mu się to podoba, jeśli go to bawi, ale niech nie będzie głupi i niech się nie poświęca w nadziei przyszłéj zagrobowéj chwały. Bo i cóż na świecie, cóż może komu przyjść z tego, że będą ludzie o nim pleść dobrze lub źle, gdy prochem będzie i niczem, gdy zaśnie owym snem najsmaczniejszym, w którym się nic nikomu nie marzy? A gdzież ma rozsądek ten, co chce skarby zbierać, albo ten, co się pcha po zaszczyty, na palcach staje i ręką chce sięgnąć wysoko; czyż nie widział każdy wesołego szewca i smutnego księcia? Czyż bo-

gactwo, czyż tytuły, bez prawdziwéj mądrości, przyczynią się w czém do szczęścia? Staranie o nie tylko przysparza troski, trudu i strachu, a troska, trud i strach, to przecie cierpienie.

Mędrzec zawsze szczęśliwym, zawsze wesołym będzie; umié widzieć, słyszeć, uczuć co przyjemne, a zawsze tego przyjemnego jest moc dokoła. Spojrzyj tylko, a ujrzysz świat i piękny i barwny, pełen kształtów i światła i ujrzysz w świecie czarującą piękność ludzką i dzieła sztuki cudowne! Słuchaj, a usłyszysz zrazu miłe, ciche szmery w naturze, a potém śpiew ptaków, głos ludzki, muzykę i boską poezyą! Wieleż rozkosznych woni jest na świecie, a czyż nienajrozkoszniejszém tchnienie świeżego powietrza, rzecz ze wszystkich najpospolitsza? Czyż każda potrawa nie jest rozkoszą dla głodnego? A czémże nazwiesz, z czém porównasz błogość ową, która daje świadomość życia? Chyba jedno ją przewyższy, a to jedno nieuchronne; chyba sen milszy jeszcze od wesołego czuwania, chyba smierć lepsza jeszcze od rozkosznego życia. Bo w śmierci niémasz bólu, a gdzie bólu niéma, tam szczęście!

Zawsze, w każdéj chwili, w każdém położeniu znajdziesz dokoła siebie mnogo rzeczy pięknych i miłych. Prawda, że przymiesza się czasem do nich cierpienie jakieś rzeczywiste, ból ciała, ale mędrzec na ból ten pojedyńczy nie zważy i patrząc wkoło siebie, widzi szczęścia suty pokarm, co się zewsząd uśmiecha. Głupiec tylko na cierpienie zwraca uwagę; głupiec tylko jest nieszczęśliwym wtedy nawet, gdy nic go nie boli, rojąc sobie troski wymarzone.

Są rozkosze trojakie: niepotrzebne i przeciwne naturze; niepotrzebne, a zgodne z naturą i wreszcie potrzebne i zgodne z naturą. Pierwszemi wzgardzi mędrzec, drugich nie potrzebuje, a trzecie zawsze prawie znajdzie i zawsze niemi cieszyć się będzie. Daj mędrcowi dzban wody i kawał chleba, a będzie szczęśliwy, jak sam Zews na niebie; weź go na męki a zawoła: jakżeżto rozkosznie! Bo jedno z dwojga: albo męka będzie słabą, a wtedy mędrzec potrafi zwrócić myśl swoję na jakiś miły przedmiot obecny, albo na przyjemne a żywe wspomnienie; albo męka będzie ciężką, a wtedy mędrzec będzie wiedział, że śmierć najlepsza blizka i tą myślą ucieszy się nad wyraz.

Takąto uśmiechniętą filozofią wykładał Epikur gościom w ogrodzie swoim i wszystkich ucieszyła i podobała się wszystkim témbardziéj, że dodawał do niéj i trochę poezyi, co Grecy zawsze lubili. Oto mówił najpierw dla tych, co lubią myśléć o rzeczach nieskończenie wielkich, że atomy w locie swoim wiekuistym nietylko ten jeden świat stworzyły; że przeciwnie, stworzyły światów wiele, nieskończenie wiele i to różnorodnych i że wyobraźnia może latać jaknajzuchwaléj zanim wymyśli coś, czego na świecie naprawdę niémasz. I co więcéj, że nieskończenie wiele, to rzecz bez liku i granicy, więc nietylko najbujniejsze poetów fantazye istnieją gdzieś naprawdę, ale każdy człowiek, w każdéj chwili istnieje nieskończenie wiele razy, w nieskończenie wielkiéj ilości światów: „W téj chwili, mawiał Epikur, rozmawiam z tobą

przyjacielu Metrodorze, tu, w tym ogrodzie, w Atenach i w téjże chwili i od początku wieczności, co początku niémiała i do końca jéj, któréj nigdy nie będzie; rozmawiało, rozmawiają i rozmawiać będzie nieskończenie wiele takich samych Epikurów jak ja, z takimi samymi Metrodorami jak ty, słowo w słowo o tym samym przedmiocie." I tym śmiałym pomysłem wrócił Epikury nieśmiertelność tym, którzy o nią koniecznie stali.

I nie zabronił nabożnym w bogów wierzyć. I owszem, wierzył napewno, że muszą istnieć bogowie niezliczeni i nieskończenie piękni w przestrzeniach między światami różnemi i że to one dały początek wyobrażeń ludowych, wysyłając z ciała swego lotne obrazy, co się pomieściły w ludzkich mózgach. Piękni owi bogowie nieskończeni, a że tak szczęśliwi, jak mędrzec na ziemi, niémają ni trosk, ni obowiązków, nie dbają o świat, którego nie stworzyli i cieszą się tylko wiekuiście tém, że żyją naprawdę.

Tak nauczał Epikur i odtąd pogaństwa całego część większa cieszyła się nauką tą i przezywała Epikura mędrcem, najlepszym mędrcem, zbawicielem rodzaju ludzkiego i bogiem szczęśliwym; a przynajmniéj tak mówiła większa część mężczyzn majętnych i jakotako wykształconych, usiłując żyć i weselić się według téj nauki; ale inna szkoła, któréj założyciel Zenon przybył aż z Fenicyi do Aten, by wykładać pod portykiem, zyskała mniejsze wprawdzie wzięcie, ale większe poważanie i liczyła długi poczet sławnych nauczycieli, których imiona nie należą jednak tu, tylko do systematycznéj historyi filozofii; tu powiemy tylko, że dopiéro w kilkadziesiąt lat po śmierci założyciela szkoły stoików, nadał jéj Chryzyp, w ostatnich latach III-go wieku przed Chrystusem ostatnią formę. A szkoła ta, raz wykończona, przypominała sztywnością swoją, złym stylem pism i niejasnością wyrażeń, tak głośne na początku tego stulecia pisma niemieckich filozofów szkoły transcendentalnéj.

Stoicy stawali z podniesioną przyłbicą do walki z Epikurejczykami i kto słyszał początek ich zawiłego wykładu, zrozumiał to, jeśli wogóle zrozumiał cokolwiek, że wszystko, co u Epikurejczyków prawdą, kłamstwem pod portykiem; a najpierw fizyka epikurejska była dla uczniów Zenona zgorszeniem; była to, wedle nich, rzecz bezbożna, która przeczyła nietylko wierze wszystkich ludów, ale i doświadczeniu wieków. Jakżeż można było twierdzić, że się świat sam stworzył wypadkiem, kiedy wypadkiem nigdy posąg nie powstanie, a świat od posągu wszelkiego stokroć cudowniejszy! Jak wątpić o ciągłém i nieustanném bogów staraniu o rzeczy ziemskie, kiedy bogowie przez wróżby, proroctwa i cuda jawili się i jawią wszystkim narodom? Zapewne trudno wierzyć w dziecinne baśnie poetów o Charonie, Cerberze i piekielnych rzekach i w powiastki nianiek o Saturnie, co pożerał własne dzieci i miłostkach i zdrożnych i niedorzecznych Zewsa Olimpijskiego. Ale odrzucając mitologią, nie należało się odrzucać wiary w bogów, mających pieczę nad ludźmi. I owszem, łatwo krótkiemi słowy prze-

konać wszystkich o istnieniu Boga i bogów. Bóg najwyższy, to rzecz ze wszystkich największa i najdoskonalsza, w któréj i przez którą wszystko inne istnieje. Oto wszechświat rzeczą największą i najdoskonalszą, przez którą i w któréj wszystko istnieje. Wszechświat przeto Bogiem najwyższym i na to niémasz odpowiedzi.

Podobnież jest rzeczą oczywistą, że to, co nie ulega zmianie, doskonalszém od tego, co zmienne; że to, co podobne do najwyższego Boga, doskonalszém od tego, co doń niepodobne; że wreszcie to, co porusza doskonalszém od tego, co jest poruszaném, a najdoskonalszém to, co od nikogo poruszaném nie bywa. I każdy się zgodzi, że jeśli są istoty o wiele doskonalsze od ludzi, te istoty są bogami. Otóż tak sam sklep niebieski, jak i pojedyńcze ciała niebieskie, t. j. gwiazdy stałe, planety, słońce i księżyc są o wiele doskonalsze od ludzi. Od tysięcy lat patrzą na nie uczeni Babilonii, a dotąd nie dostrzegli w nich żadnéj zmiany; podobnie jak Bóg Wszechświat, są koliste i ogromne, bo przecie słońce, co najmniéj dwadzieścia razy większe od ziemi, a niewiadomo jak wielkiemi niezmiernie odległe gwiazdy stałe; wreszcie ciała te niebieskie, niepchnięte żadną siłą, poruszają się same bez wytchnienia z szybkością, co się nawet pomyśléć nie da, krążąc przez przestrzeń dokoła ziemi. Ciała niebieskie tedy są bogami.

Gdyby bogowie się nie mieszali do rzeczy ziemskich, trzebaby przypuścić albo że ich niéma, albo że nie chcą się trudzić ziemią, albo że tego czynić nie mogą. Oto dowiedziono już, że są bogowie. Gdyby nie chcieli się mieszać do rzeczy ziemskich, dowiedliby albo lenistwa, albo złéj woli; gdyby nie mogli dowiedliby niemocy. Otóż zła wola, lenistwo i niemoc, są to wady, a bogowie, jako istoty doskonałe wad miéć nie mogą. Bogowie przeto są, mogą się mieszać do rzeczy ziemskich i chcą to czynić; a więc bogowie mieszają się do rzeczy ziemskich, a że są wszechmocni, więc urządzają świat wedle myśli swojéj i cała piękność świata jest ich dziełem, a los pojedyńczych ludzi, zależy głównie od tego, jak ustawili się na niebie bogowie, których zwykle gwiazdami zowiemy, w chwili, w któréj się narodził.

Gwiazdy są bogami; gwiazdy są ogniem; przeto ogień jest treścią bogów, jest ich istotą. Każde ciepło jest ogniem; życie utrzymuje się za pomocą ognia wewnętrznego, który zwiemy duszą. Dusza przeto tak ludzi jak zwierząt uczestniczy w istocie boskiéj i po śmierci, wychodząc z ciała, pędzi do góry ku gwieździstym sferom, w których przebywają bogowie, poruszając się po niezmiennych kolejach, a rodząc koniecznemi ruchami swojemi, niemniéj konieczne i nieuchronne myśli ludzi i zdarzenia świata. Duch mędrca z natury swéj do boskiego podobny, trwa długo w niebie osobiście; duch człowieka zwyczajnego rozpływa się wkrótce, a dusza zwierzęca tonie zaraz po śmierci w ogólnéj ciepłocie wszechświata. Ale nawet i dusza mędrca musi wreszcie przestać istnieć osobiście, bo skoro jest zawsze mniéj doskonałą od niezmiennéj istoty bogów, niemoże być tak, jak ona, wiekuistą.

Tak to dowodzili Stoicy, jak sądzili nieomylnie, że fizyka Epikurejczyków była zewszystkiém i mylną i bezbożną. Niemniéj gorszącą i nieprawdziwą była, wedle nich, etyka filozofów ogrodu. Wprost zdrożnością było szukać szczęścia w rozkoszy tylko; to chyba zwierząt godne, a kilkoma słowami da się dowieść, że to z gruntu fałszywe. Rozkosz nietylko nie jest szczęściem, nie jest nawet prostą przyjemnością, bo przecież każdy przyzna, że tylko to, co jest dobrém, jest przyjemném. A daléj, któż śmie zaprzeczyć, że tylko cnota jest dobrą? Czy może występek? Czy może lekkomyślność? Nikt nawet z bezbożnych Epikurejczyków nie powié tego, by występek był dobrym, by lekkomyślność złą nie była. Każdy przyzna, każdy przyznać musi, że tylko cnota stateczna dobrą. A że powiedzieliśmy już, że tylko to, co dobre, jest przyjemném, musimy się zgodzić bez dalszego sporu na to, że tylko cnota jest przyjemną i podobnież łatwo dostrzeżemy, że nieprzyjemnym sam jeden występek. Powiemy tak: wszystko, co jest nieprzyjemne, jest złe; tylko jeden występek jest zły, więc tylko jeden występek jest nieprzyjemny. Wszystko inne, co nie jest ani cnotą, ani występkiem, jest obojętne; a że szczęśliwym ten, co najwięcéj przyjemności doznaje, więc cnotliwy tylko jest szczęśliwym; tylko występny nieszczęśliwym jest. Mędrzec winien przeto tylko za cnotą gonić, a unikać tylko występku; głupcy gonią za czém inném i chronią się przed czém inném. I to wszystko dowiedzione białe na czarném, tak, że nikt przy zdrowych zmysłach nie może wątpić o tém, że tylko cnota daje szczęście.

Prawda, że się zaprzeczyć nieda, że są pośród rzeczy obojętnych niektóre, które sprawiają rozkosz i używanie, inne, które znieść łatwo, inne wreszcie, które sprawiają boleść i które znieść trudno. Z tych trzech rzeczy można nazwać jedne pożądanemi, drugie mniéj pożądanemi, a trzecie niepożądanemi. Pożądanemi są: zdrowie, wygoda, przyjaźń, rozkosz, dobra sława, władza, wolność i pośmiertna chwała; mniéj pożądanemi są tysiączne wydarzenia życia, na które nikt nie narzeka i z których nikt się nie cieszy; niepożądanemi wreszcie są: choroba, boleść, ubóstwo, kalectwo, niewola, zapoznanie i zapomnienie. Rzeczy te wszystkie, tak pożądane jak i niepożądane, mogą się wydarzyć mędrcowi, i nie jest w jego mocy ich uniknąć albo pozyskać. Że zasługą człowieka to tylko, co od niego zależy, a cnotą tylko zasługa, więc posiadanie rzeczy pożądanych a unikanie rzeczy niepożądanych, nie stanowi cnoty. A że cnota tylko szczęściem, więc mędrzec wié, że to wszystko, o co się ogół ubiega, w niczem do szczęścia przyczynić się nie może. Mędrzec tedy, jak mówiliśmy, już powinien gonić za cnotą tylko, a unikać samego występku, ale zresztą winien żyć tak, aby miał jaknajwięcéj rzeczy pożądanych, jeśli tylko tak żyć może bez uszczerbku dla cnoty. Winien się starać o bogactwo, potęgę, wolność i sławę, jeśli to może tylko czynić uczciwie i jeśli te rzeczy jemu się wydają pożądanemi, a może i powinien zawsze tego uniknąć, coby się mogło stać nieznośném. Śmierć jest rzeczą mniéj po-

żądaną, ale znośną. Kto tedy może żyć zdrów, bogaty, szanowany i wolny, ten winien wybrać sobie życie; ale kto może już tylko żyć w chorobie, albo w nędzy, albo w hańbie, albo w niewoli, ten winien sobie obrać śmierć. Cnotą wtedy staje się samobójstwo.

Bo jeśli chcecie wiedzieć, na czém wreszcie cnota Stoików zależy, powiem wam, że na tém właśnie, by umieć wybierać rzeczy pożądane, a odrzucać rzeczy niepożądane ze spokojem i stanowczością i używając dobrze obmyślanych i odpowiednich środków. Stoik, a było ich wielu w późniejszéj starożytności, starał się i strojem swoim i postawą samą wzbudzić u drugich szacunek; nosił wielki płaszcz ciemny na dowód, że niedba o błyskotki i w tym samym zamiarze golił głowę i zapuszczał długą brodę. Czcił bogów, bo tak przyzwoitość kazała, bo tego wymagały prawa rzeczypospolitéj i bo więcéj zazwyczaj szanowano nabożnych, jak bezbożnych; rozmawiać lubiał o kwestyach politycznych i bywał prawnikiem, aby módz sobie w świecie zjednać wzięcie i aby nie popaść łatwo w jaką pułapkę. Jeśli był obywatelem rzeczypospolitéj, bronił jéj praw; jeśli był członkiem arystokracyi, strzegł jéj przywilejów; gdy miał panowanie i berło, nie oddawał go łatwo; bo to były rzeczy pożądane, które dawały władzę albo wolność, co władzy cząstką. Nie było jednak powodu wysilać się nadmiarę na to, by zachować albo zdobyć owo dobre, a zewszystkiém szalonym i bezrozumnym był ten, co nadto by się cieszyć panowaniem żył w trwodze, nieufając nikomu, nie ciesząc się niczyją rozmową, śpiąc nawet w pancerzu, w nieprzystępnym pokoju, do którego można było się tylko dostać zapomocą mostu zwodzonego, jak to czynili mnodzy namiestnicy poosadzani po różnych miastach Grecyi przez królów z macedońskiéj dynastyi Antygonidów. Utratę władzy i utratę swobód republikańskich znosił Stoik zarówno obojętnie, wiedząc, że z tém nie przepadło szczęście i pod panowaniem króla o nieograniczonéj władzy żył mędrzec daléj spokojnie, broniąc tylko godności własnéj i osobistéj niezawisłości. Jeśli król był człowiekiem prawym, żył z nim w przyjaźni; jeśli był tyranem, stronił od dworu i wśród zacisza był zawsze wolnym. Podobnież i majątkiem nie gardził mędrzec, bo widział w nim dawcę wielu pożądanych rzeczy, ale miał za głupców tych, co się nadto wiele majątkiem troskali, co się zajmowali handlem lub lichwą, albo co skąpiąc i odmawiając sobie wszystkiego, chcieli zachować majątek, którego używać nie umieli. Gdy mędrzec stracił majątek, znosił to zupełnie obojętnie, myśląc, że z pracą i oszczędnością zawsze wyżyje uczciwie. Niewięcéj dbał o pożądaną zresztą dobrą sławę, zadowolniony, gdy zachował jednego przyjaciela, a gdy podupadł na zdrowiu, leczył się starannie, ale nieskwapliwie i spokojnie, jeśli tylko wierzył, że choroba da się usunąć.

Dla męża cnotliwego nie było troski, nie było nieszczęścia, nie było obawy. On jeden był wolnym i szczęśliwym, on jeden był bogatym, on jeden zawsze był królem. Obojętny na wszystko, postanowił z nieugiętą wolą, nigdy nie uledz temu, coby mogło obojętność zamą-

cić. Gdy widział, że nieuniknie niewoli, albo klątwy bogów, albo ciągłego obcowania ze złym tyranem, albo nieuleczonéj choroby, ciężkiéj nędzy czy téż zupełnéj samotności; gdy widział, że grozi mu nieszczęście, któremu nie zajrzy w oczy obojętnie, obierał śmierć dobrowolną i nikt nie mógł go zmusić do tego, by żył, bo śmierć głodowa nawet lepsza od długiéj męki. Toć niedziw, że mędrzec nazywał naprawdę dobrą tylko cnotę, obojętność ową co go strzegła od wszelkiéj boleści. Kto posiadł stoiczne panowanie nad sobą, ten był szczęśliwym nad wyraz, ale na nic się nie zdało, gdy kto się do doskonałości zbliżał. Utonie zarówno ten, którego głowa zanurzona tuż pod morza powierzchnią i ten, co przymocowany do dna; szczenię, któremu braknie godziny do dziewięcia dni, ślepe, jak w pierwszéj chwili po narodzeniu, i człowiek, co doszedł już prawie do mądrości, równie głupi i nieszczęśliwy jak ten, co więcéj nie słyszał wcale [1]).

Tymto paradoksem kończyli Stoicy naukę, o któréj twierdzili, że jest wbrew przeciwieństwem epikureizmu, a doskonalszą podobizną nauki o cnocie Arystotelesa. I nie zaprzeczymy tego, że jest znaczna różnica między nauką Zenona, a mądrością ogrodu; zdaje nam się jednak, że każdy przyzna, że Arystoteles zajmował stanowisko dalekie od téj późnéj greckiéj mądrości i że on był podobniejszym o wiele do poprzedników swoich, gdy uczył najwymowniéj, jako ma żyć obywatel wolny wolnéj rzeczypospolitéj, że stanął chyba obok Platona i Anaksagorasa, mówiąc o naturze duchownéj, różnéj od ciała. Tak Stoicy jak Epikurejczycy byli w metafizyce swéj materyalistami, podobnie jak pierwsi filozofowie Grecyi i nierozumieli wcale istoty ducha i umysłu; tak jedni jak i drudzy, prorokowali o egoistycznem szczęściu ludzi prywatnych; Epikurejczykowi nigdy na myśli nie była rzeczpospolita i sprawa publiczna, a bogowie i prawa zarówno mu obojętnemi były. Stoik, który sobie wymyślił własnych nieżywotnych bogów i który wmawiał w siebie, że czci owe bogi sferyczne, gotów był stawiać jakiś opór doktrynerski początkom monarchii, ale nie umiał tego oporu doprowadzić do bohaterstwa, a umiał żyć i umierać spokojnie, i pod najcięższym despotyzmem; a już napewno cynizm, trzeci brat tamtych dwu systemów, nie mógł obronić niepodległości starzejącego się narodu. Bywał on filozofią ludzi ubogich, nieuczonych, leniwych i pozbawionych dobréj sławy. I niepotrzeba długiego wywodu, by wytłómaczyć, czém była owa filozofia psów, jak ją nazywali właśni adepci. Antystenes, jeszcze uczeń Sokratesów, twierdził, że zwierzęta bywają szczęśliwemi, podczas gdy ludzie szczęścia nieznają; że jedyném zwierząt nieszczęściem ból cielesny. a że ludzie wymyślili sobie samochcący cały tłum trosk i przykrości, któremi sobie głupiec głowę zamąci i życie zatruje. a o które mędrzec i mąż cnotliwy nie dba i na krztę.

---

[1]) U Cycerona akademik i de finibus; Seneka, Epiktet, Marek Aureli, Augustyn św. w wielu miejscach służą niniejszemu streszczeniu za źródło. Prócz nich Dyogenes Laercyusz.

I tak, pies chodzi sobie wesół po mieście, machając ogonem i wąchając, czy gdzie nie dostanie jadła, a gdy raz jadło zwącha, chwyta je niepytając ani o przyprawę, ani o prawo własności i najadłszy się, zwija się w kłębek, gdzie się zdarzy i śpi w najlepsze: naprawdę szczęśliwy i mądry. A człowiek wymyśli Bóg raczy wiedzieć co, wszystko na własne udręczenie. A pieniądze, a pałace, a sztuczne potrawy, a kuchenne przeróżne przyprawy, a pieniądze, krągłe, lśniące, marne ludzkich sporów rodzice! Kłopotów, trosk, chorób, niesmaków, nudów mnogi początek.

Psu kto słabszy dokuczy, a pies ukąsi, psa kto mocniejszy uderzy, a pies weźmie ogon pod siebie i skowycząc ucieknie, a nigdy pies nie zazna ni wstydu, ni zgryzoty sumienia, nigdy pies się nie zmusi do nudnego nabożeństwa, ani do trudnego męztwa, różnego od gniewliwéj, ślepéj, zwierzęcéj odwagi. A czego sobie ludzie nie wymarzyli, by nie modz dać folgi miłym towarzyszom, a popędom wrodzonym, gniewowi, pomście, strachowi, co do nóg skoro ucieka, kłamstwu i wesołemu bezwstydowi? Pocóż w głupocie swojéj nakłamał sobie ród ludzki, że są bogowie i jest życie pośmiertne? Naco wymyślił imię cnoty, któremu rzeczywistość żadna nie odpowiada i prawa co krępują ludzką swobodę i honor, co jarzmem ciążącém na karku przesądnego a nieszczęśliwego człowieka? I pocóż to powstały za sprawą śmiesznie głupich ludzi państwa te i ojczyzny, którym się niesie wciąż ofiarę z myśli niespokojnych i nocy niewyspanych, z majątku zebranego zmudnie i skrzętnie i wreszcie i z krwi swojéj i z życia [1]).

Mędrzec z psów sekty przejrzał niedorzeczność wszystkich tych trosk i usiłowań, rozkoszy i przyjemności, uczuć i poświęceń kłamliwych, którémi ludzi i samych siebie uwodzą. On żyje jak pies zawinięty ladajakim łachmanem i oparty o kij, śpi na ulicy, a w deszcz pod portykiem albo w beczce, jé co się nawinie i co mu kto da, nie powstrzymuje żadnéj chuci, ale nie przebiera, gdy przyjdzie ją nasycić, a jeśli nie szczeka jak pies, to dlatego tylko, że mówić może bezwstydnie, tak, jak żyje bez sromu, chełpiąc się bezwstydnością swoją i szkaradą. To też inni, wszyscy, prócz mnogich trosk zapobiegliwego żywota, doznają jeszcze lęku przed śmiercią, przed śmiercią zimną, co im zabierze wszystko, co mają i czém się cieszą: bogactwo, cześć, piękność i kochanie; filozof-pies zagląda obojętnie w paszczę grobu, co pożre życie bez złudzeń i rozkoszy; filozof-pies nie straci nic na tém gdy umrze; niegorzéj mu będzie, gdy będzie czerepem bez pamięci, jak teraz, gdy głodny i nagi siedzi w rowie pod miastem; on jeden drwi sobie z żyjących przestrachu; a gdy umrze, nie każe się grzebać z pieśnią, jedno pójdzie za przykładem najsławniejszego ze swéj szkoły dziwaka, owego Dyogenesa, z którego konceptów po dziś dzień śmieją się dzieci i każe się jak psa wyrzucić za bramy miasta, ręcząc, że nie dokuczy mu to, gdy psy i ptaki będą pożerać nieczułe ścierwo.

---

[1]) Cynizm najlepiéj poznasz z dyalogów Lucyana.

I takimi filozofami trzech szkół nieprzyjaznych zaludniały się miasta Grecyi. Byli obok nich jeszcze Perypatetycy wierzący w obywatelską cnotę, i czciciele Platońskich ideałów, ale nieliczni; a nie było już dawnych naiwnych karnych Greków, o jakich niegdyś marzyli mędrcy i jakich stworzyli niegdyś królowie Persów na przekorę. Panowali królowie greccy nad wielką częścią ziemi; żyli i dworno i bogato i uczenie. Grecy niezliczeni co osiedli w Zachodniéj Azyi, w Egipcie i aż gdzieś w Indyach, hellenizując wszystko dokoła; ale miłość ojczyzny zgasła i uczona rozpusta, a pracowita intryga filozofów szkół różnych była życiem jedyném wewnętrzném potężnych a bogatych państw. Od marmurów lśniły ogromne grody Antyochia i Pergam, Aleksandrya i Seleucya i sztuka zniewieściała wykonywała jeszcze zawsze cuda wdzięku i barwy; ale ducha niestało. Bogowie Wschodu pomarli wszyscy, pomilkły wyrocznie, ludzie szukali mądrości w obojętności samolubnéj i niewytrwałéj, i jeśli czasem coś na wzór dawnego bohatérstwa zabłysło w Peloponezie, w Macedonii albo w Epirze, to tylko na jedno oka mgnienie: były to niby błędne ogniki próchna.

Poraz ostatni zbudził się Apollo, poraz ostatni zwyciężała w bojowym szeregu helleńska falanga pod Antygonem II synem Demetryuszów, gdy Gal barbarzyniec najechał Helladę. Wtedyto błyskawice i ciemności jakieś obroniły świętą w Delfach opokę, wtedyto mężow szeregi zwarte, wyszły z Peloponezu by oswobodzić od najazdu wszystko, co leżało powyżéj korynckiego przesmyku; i choć pieśń Pindarowa nie sławiła nowego czynu Hellenów, król filozof i to uczeń podobno Arystotelesa, umiał urządzić Grecyą swobodną a bezpieczną, wracając miastom swobodę a całości siłę. Ale już następca jego Demetryusz II uciskał samolubnie i sprowadził w Grecyi pod wpływem stoicznych teoryi nowe dawnych form zmartwychwstanie. Arat z Sycyonu chciał królewskość zastąpić rzeszą rzeczypospolitych, i zdołał na chwilę Demetryusza i Macedonów wygnać za Termopile, ale wnet zobaczył przed sobą widmo co go przeraziło i co kazało się rzucić napowrót do stóp rodziny królewskiéj. Ze Sparty wyszła burza co wstrząsła całym Peloponezem i dawnych królów Sparty i Hellady potomek Kleomenes, stał się rzecznikiem niewolników, włóczęgów i ubogich, domagając się dla wszystkich równego ziem podziału, a dla siebie powrotu prawowitéj władzy. Legitymizm starożytny zawarł dziwne przymierze ze starożytnym socyalizmem, i jawiąc się poraz ostatni na widnokręgu dziejów greckich, obalił ostatnie marzenia o republikańskiéj swobodzie. Antygonus III macedoński powołany przez starego republikanina Arata przelękłego widokiem socyalnéj mary, i Kleomenesa pokonał i rozpędził jego głodnych włóczęgów; ale czyniąc to rozdeptał i wolność grecką, i niedowierzając miastom wsadził wszędzie najęte załogi i srogich starostów. Nie było już cnoty obywatelskiéj w Helladzie, i toczył się odtąd tylko głuchy bój między królewskością zamienioną w despotyzm, a mieszczaństwem co niegdyś Grecyi przewodziło a teraz szuka-

ło wciąż pomocy obcych: to Egipcyan, to Rzymian. Gasło powoli słońce Grecyi: wstawał na widnokręgu Rzym młody.

Niedługo po śmierci Aleksandra, zapędził się był jeden z jego następców Pirus pan Epiru aż na rzymskie legiony, i zwyciężył je widokiem słoniów dwukrotnie, a wreszcie został pokonany nie przez oręż tyle, ile przez jakąś nieokreśloną siłę, co ówczesnych Greków zadziwiła czémś, od czego odwykli. Nie znali się przeciwnicy greckiego zdobywcy na miodopłynnéj wymowie, na filozoficznych abstrakcyach, na sztuce, nauce i poezyi, ale mieli na uściech cztery słowa: męztwo, wiara, prawo i przymierze; a przez przymierze rozumieli przymierze z bogami, którzy miastu ich przyrzekli wieczne trwanie w zamian za nabożeństwo pilne i strzeżenie obrzędów i zakonów świętych tak wobec swoich, jak i wobec obcych.

Pod opiekuńczém berłem Jowisza kapitolińskiego siadło miasto święte, któremu od dawien dawna przyobiecano panowanie, siadły rody patrycyuszów i plebejuszów; siadł senat w prostocie swojéj: istne zgromadzenie królów; siadły pokolenia Rzymian; ojcowie i synowie rodzin wraz z tłumem klientów i niewolników, w prostocie i miłości ojczyzny. Nieumieli ci powiedzieć dlaczego wierzyli w starodawne z bogami przymierze, ale wierzyli że ono stanęło i strzegli go we wszystkiém, tak w domu jak w radzie i wojnie; jak niegdyś żydzi ufni w nagrody i moce, nietyle dla tych lub owych, ile dla narodu całego Kwirytów.

Rzymianin od dzieciństwa żył pewny, że lepszy jest i bogom milszy od innych narodów, choć Etrurejczyk bieglejszy w sztuce wróżenia, choć Grek uczeńszy, a bogatszy Kartagińczyk. Mądrość i cnotę którą niezmiennie i jedynie męztwem zwał, posiadł sam jeden Rzymianin; dokoła żyli bogaci rozpustnicy, albo ubodzy górscy rozbójnicy, w Romie, co wiecznie stać miała, żyli jedyni praw miłośnicy, słudzy rzeczypospolitéj, jedyni na ziemi ludzie, co umieli słuchać sumienia wspólnego wszystkim w narodzie; jedyni przeto którzy mogli być jeszcze wolnymi, którzy musieli zapanować nad gadatliwym a niezliczonym tłumem późniejszych Greków.

Malec rzymski żył przy matce wśród „rodziny" niewolników ojcowskich w domu, choć naprawdę zasobnym, skromnym i napozór ubogim, i słuchał pieśni o bogach i ludziach które matka przędąc śpiewała; siostra jego od kołyski wiedziała o tém jaką to bogów łaskę obfitą sprowadzają na Romę niewiasty bogobojne; jako zaraz na miasta początku Samnitki przez Rzymian w święto porwane, Rzymian i Samnitów pogodziły i z dwu narodów jeden uczyniły, zaco cześć wielką dostały po wszystkie pokolenia; jako niewiasta z obcego narodu Tanakwil była niegdy Romy królową i wróżąc zawsze, a bogów pomna, wywróżyła Romie prawodawcę Serwiusza Tuliusza, co murem gród otoczył i poddane ludy zamienił w rzymskich obywateli.

Przy przędzy i kądzieli śpiewała matka Rzymianka dzieciom pod niebytność męża, co pociągnął w bój, powieść ową, którą wszyscy znacie, o Lukrecyi żonie Kolatyna, którą znieważył syn tyrana, a któ-

réj zniewaga własną jéj dłoń uzbroiła przeciw własnéj piersi na wieczne wygnanie królów z Rzymu. A po pieśni o Lukrecyi, szła pieśń druga podobna o Werginii, Lukrecyi plebejskiéj, którą ojciec własny wpierw zabił, zanim ją oddał w ręce nowego tyrana, i któréj ojciec potém z dymiącym nożem w ręku wołał legiony do nowéj walki o wolność. Wspominały Rzymian matki Waleryą i Wolumnią, co zwycięzkiego zdrajcę Koryolana pierwszéj męża, a drugiéj syna, odwróciły prośbami od bram Rzymu. Wspominały ogień wieczny, którego strzegły rzymskie dziewice, wspominały i cześć matki matek, któréj przez matrony Romy wśród ciemności sprawowane obrzędy zapewniały przyszłość i potęgę wieczną Romy. W czci dla niewiast wzrastało rzymskie pacholę.

A przed ojcem drżało, jako miało drżéć kiedyś przed konsulem i jak przed niém miał drżéć obcy, buntownik i niewolnik. Ojciec nad synem miał prawo miecza; syn był ojca rzeczą i sprzętem i wtedy gdy bawił jeszcze wśród niewiast, i wtedy gdy się uczył podrostkiem praw ojczystych, i wtedy wreszcie gdy żołnierzem, wodzem, trybunem lub konsulem służył ojczyźnie, gdy wśród senatu zasiadał jakby król jaki w złotolitym haftowanym ornacie, gdy nawet zwyciężywszy wrogów, wracał na rydwanie ciągniętym przez białe konie, do Rzymu jako tryumfator, o którym mieli do późna układać pieśni. W tém był już pierwszy dowód rzymskiéj cnoty i karności, że syn z ugiętym karkiem czekał na wyrok ojca najsroższy, choć na syna skinienie drżały całe pokolenia podbite, że syn co był namiestnikiem prowincyi, dawał się bez szemrania przez ojca zaprzedać w niewolą, gdy zechciał ojciec, i że nie pytał nawet o rozkazu powody.

I jak ojca syn słuchał, tak słuchano w mieście konsula, gdy szedł z czerwoną opaską dokoła białéj togi, każąc przed sobą nieść rózgi i topory; tak czczono przedewszystkiém obyczaj i prawo. Prawo nakazywało, że wolno miéć tylko tyle a tyle morgów roli, a tryumfator zwycięzki wracał, może nieco teatralnie na swoje zagony, by wprządz własnoręcznie wielkie, białe, rzymskie woły do pługa; wykład prawa wymagał nauki, i nie było dla Rzymianina większego zaszczytu, jak kiedy siadł przed progiem i dawał odpowiedzi tym, co przychodzili się pytać o rozwiązanie prawnych sporów. Sam konsul szedł w służbie prawa jako adwokat, nie wymownie ale prawdomównie, przed sądem bronić słusznéj sprawy; a sędziowie nie zważali na godność obrońcy, jedno na to, po czyjéj stronie stało prawo. Nic a nic z tego co było sprawą rzeczypospolitéj niezostawiono rękom najętym, a chlubą młodego patrycyusza było dopilnować porządku na ulicach, i strzedz by rynki zamieciono, a nadewszystko strzeżono praw świętych.

Nic nie przedsięwzięto bez bogów zezwolenia: ani rady ludu, ani wojny. Urzędnicy przed każdém ważniejszém przedsięwzięciem patrzeli się na znaki niebieskie, na wnętrzności ofiar, a nadewszystko na to, czy ptak jaki nie przyleciał i nie jadł w miejscu samotném, w którém stawał urzędnik zwołujący lud, zanim zeszedł do ludu. A gdy spra-

wa była ważna, otwierano księgi sybilińskie zachowywane w Kapitolu i stosowano się dosłownie do orzeczenia, które znaleziono na ich kartkach.

Raz przepaść się otworzyła pośrodku *Forum Romanum* a księgi orzekły, że przepaść ta się zamknie dopiéro wtedy, gdy konno do przepaści na śmierć skoczy rycerz rzymski. I wyjechał, poprostu i bez przechwałek w pełnéj zbroi rycerz, i dał skacząc życie za rzeczpospolitą, jako na bogobojnego człowieka przystało.

Bez obrzędu, bez pozwu, bez powodu nie wolno było wydać wojny; a gdy kto zawarł pokój hańbiący z Samnitą lub Galem, nie zatwierdzał senat pokoju, ale okupywał wiarę Romy, oddając wrogom na śmierć urzędnika, co się zgodził na upokorzenie ojczyzny. A gdy się szeregi rzymskie w bitwie zachwiały, zarzucał jeden z konsulów płaszcz na głowę i pędził cwałem między wrogi, aby swoją śmiercią zadowolnić nieprzyjazną moc bóstw piekielnych. Dać życie za ojczyznę fraszką było dla Rzymianina, niepodobieństwem prawie zgwałcić ojczyste prawo.

A litości żadnéj nie przypuszczał do serca swego republikanin rzymski. Ojczyznie i rodzinie po ojczyznie, służyć trzeba było obojętną a zimną i nieubłaganą rachubą. Gdy lud jaki pokonano w boju i jeśli lud ten wpierw zerwał przymierze raz już narzucone mu przez Rzym zwycięzki, palono jego miasto, zabijano mężów zdolnych do boju, zabierano pola i dzielono je między swoich bez gniewu, tak jak bogowie nieśmiertelni zwykli wykonywać sprawiedliwość nieubłaganą. A potém, jeśli lud podbity żył w pokorze przez pokoleń kilka, dawano mu powoli przystęp do praw rzymskich i do rzymskiéj cnoty, i udział w panowaniu, czyniąc z niechętnego niewolnika rodaka pełnego poświęcenia.

Gdy kto z obywateli zdradził, zabijano wraz z nim żonę i dzieci; dłużnika brali wierzyciele gdy niestało majątku jego na to by długi spłacić i żywcem krajali go na sztuki, by się ciałem podzielić. Na pogrzebie ojca kazał syn niewolnikom zabijać się wzajemnie, by tym widokiem zahartować widzów serce, i sprawić, by było niedostępném tak dla litości wzglądem siebie, jak i dla litości względem innych. Krwawe widowiska dziecko już zaprawiały do owéj *conscia virtus*, do owéj świadoméj cnoty co była własną nagrodą. Mało to Rzymianina obchodziło, co tam będzie po śmierci, byleby mógł powiedzieć o sobie z dumą za życia: *Romanus sum*, jestem Rzymianinem; byle widział jak wszyscy uszanują człowieka co te słowa wypowié; byleby się czuł wolnym i mocnym nie przez ślepy traf, jedno przez własną zasługę.

I tacy mężowie podbili już Italią całą, gdy się pierwszy raz pod Herakleą i Ausculum Apulum spotkali oko w oko ze słoniami i z falangą greckiego króla, i dali się przez słonie rozdeptać i musieli ustąpić z pola; a mimoto gdy się im Pirusowy lekarz ofiarował króla najeźdźcę otruć cichaczem, nie użyli téj bezbożnéj broni, i chcąc Greków zadziwić widokiem rzymskiéj cnoty, dali Pirusowi znać o podłym zamiarze; i miasto swoje postanowili bronić z pokojem aż do śmierci, i wkrótce

przekonali Greka że bój z nimi daremnym bojem, i odtąd greccy republikanie zaczęli patrzéć mimowoli z podziwem na barbarzyńców zachodniego półwyspu, co im przed oczy przywodzili ojców dawną cnotę; i w Olimpii przestano niebawem Rzymian nazywać obcymi, i poseł Romy stał się w Grecyi człowiekiem czczonym, na którego słowie można było spokojnie polegać. I widziano z pewną radością, jak Rzymianie mówiąc prawdę, dotrzymując przymierzy i kochając ojczyznę, pokonali kupców kartagińskich, odwiecznych a okrutnych wrogów Grecyi. Widział wyraźnie Helleńczyk, co umiał się patrzéć, że tu na tym półwyspiu wyrosła moc, przed którą bladły królestwa greckie, jak gwiazdy gasnące przed słońcem. Trzeba było wojska, a Roma słała w pole krocie karnych żołnierzy; trzeba było statków, a rolnicy zamieniali się do roku przez świadomą cnotę w zwycięzkich panów błękitnéj toni; trzeba było posła, a znalazł się Regulus, co wolał umrzéć na mękach w Kartaginie, jak dać swoim złą radę. A gdy afrykański wróg najechał Włochy, gdy Hanibal odnosił zwycięztwo po zwycięztwie i po obydwu stronach Apeninu gromił rzymskie legiony, senat rzymski nie ugiął karku, dziękował konsulom pokonanym za to że nie zwątpili o ojczyźnie, i dotrwał póty, póki wreszcie Kartaginy i Hanibala nie pokonał na wieki, i póki do Italii podbitéj niedodał Sycylii i Hiszpanii.

Więc ku Romie wyciągały ramiona swe zniewieściałe miasta Grecyi, pełne artystów i kłótliwych filozofów, i wołały o pomoc przeciw własnym wiarołomnym królom. Zdawało się Grekom, że obca cnota potrafi zapewnić ich wolność; i swarliwi malkontenci Hellady wezwali do kraju swego orły rzymskie, by obaliły ową królewskość, któréj znosić nie umieli, a któréj zawdzięczali przecie panowanie nad Wschodem. Senat i naród bez trudu zgruchotały tron Antygonidów i wróciły republikańską wolność Grecyi, zdziwieni opowieścią o dawnéj Hellenów chwale, podziwiając grody pełne posągów i obrazów, a czcząc dawnych mężów popioły. Nie chcieli Rzymianie panowania nad narodem mędrców i nauczycieli, chcieli tylko wolności i statecznego przymierza. Przyjęto Kwirytów między helleńskie narody, choć obcą mówili mową, a że bądźcobądź Italia większa od Attyki lub Lacedemonii, słuszna było by Rzymianie rej wodzili pośród wolnych i równych.

Ale próżne Greczyny niezechciały tego rozumiéć. Na sejmie greckim w Koryncie, znieważono z krzykiem rzymskie posły, a Roma zawołała, że zgwałcone święte prawo; że bogini Fides, czyli wiara co strzeże przymierza znieważona; i z krzykiem oburzenia poszli na Grecyą. Zburzyli Korynt, do innych miast wprowadzili załogi i Grecya stała się tém na co zasłużyła: podchlebiającą, podłą Rzymian niewolnicą, co nieumiała uczcić prawa i uszanować bogów, co nieumiała ani być wolną, ani znosić rządu własnych królów; piękna, cnotliwa i mężna niegdyś, a dziś zewszystkiem nikczemna!

A Roma zwycięzko dała się oczarować niewysłowionym wdziękiem niewolnicy przebiegłéj i słuchała jéj podszeptów, i uczyła się jéj mowy, jéj występków, jéj niewiary i gotowała sobie saméj niewolą.

Ateńczycy napadli bez powodu na jedno z miasteczek sąsiednich i złupili je, a pozwani za to bezprawie krzyczące przed senat rzymski, wyprawili poselstwo z trzech filozofów najgłośniejszych w ówczesnych Atenach, z trzech luminarzy ówczesnéj ateńskiéj wszechnicy, jeśli tak nazwać można ów zbiór pięciu niezawisłych szkół filozoficznych, co kwitł podówczas w najsławniejszém mieście Grecyi. Jeden z nich był stoikiem, drugi akademikiem, trzeci perypatetykiem; ale nas tu złotousty akademik Karneades sam jeden naprawdę obchodzi; onto bowiem zwinnym językiem przyłożył topór do potężnego pnia rzymskiéj rzeczypospolitéj, on przywiódł senat do tego, że wydał wyrok niesprawiedliwy, korzystny dla Aten wymownych; on pierwszy tak był odważnym, czy też zuchwałym, że w Rzymie wołał na głos że niéma sprawiedliwości na świecie, i że ten kłamie kto o sprawiedliwości prawi; że prawo ludzkim wymysłem, a cnota przesądem. W akademii uczył greczyn nadmiarę wymowny, ale odbiegł daleko od dogmatycznego idealisty Platona, i od Sokratesa, co umarł by świadczyć prawdzie i cnocie; dysputował wciąż w Atenach na złość stoikom, a tu w Rzymie na złość zwycięzkiéj cnocie Romy, i wreszcie na dwu odczytach przekonał młodzież rzymską, że to wszystko śmiesznem, co siwe głowy mają za święte, że mędrzec niczemu wierzyć niewinien, a winien czynić to tylko, co mu wygodnie. Słysząc o tych wywodach, gorszył się wzór Rzymian—sędziwy Kato cenzoryusz i kazał Karneadesowi i towarzyszom jego wyjechać z Rzymu, ale zapóźno: padło już na urodzajną rolę złe nasienie, i rój mnogi młodych paniczów zakochanych w greckiéj muzie, ruszał odtąd w Rzymie ramionami, gdy mu prawiono o dawnéj cnocie i karności.

Kato sam byłto ze wszystkiém człowiek dawnéj daty, a że w Rzymie słuchano jego głosu, więc na złość bardziéj ludzkim Scypionom, zwycięzcom Kartaginy, miłośnikom greckiéj poezyi, wywiesił wysoko starorzymskie zimne okrucieństwo ponad głowy podbitego świata. Miłymci nie był Kato Cenzoryusz, ale słuchał prawa i tacy jak on byliby utrzymali Rzeczpospolitą. Większy podziw budziłaby w nas jego cnota, gdybyśmy słyszeli o niéj w czasach, kiedy obywatel rzymski walczył jeszcze o panowanie, kiedy mógł jeszcze spotkać w obcym równego sobie wroga. Wtedy byłby nam się Kato może wydał w surowości swojéj wielkim; teraz wydaje nam się przedewszystkiém nielitośnym, a jednak poznajemy dawnego Rzymianina, gdy słyszymy, jako sam pilnie uprawiał rolę i jako zbierając skrzętnie pieniądz i rozpożyczając go nawet na lichwę, żył mimoto ubogo, i rzekłbym, prawie nieschlujnie. Jak przodkowie przed nim, tak Kato, ze wszystkich może ostatni chodził pilnie na *forum* przy każdém głosowaniu, strzegł zabobonnie niby obrzędów, choć w tém do przodków niepodobny, głośno się przyznawał do tego, że w święte wróżby nie wierzy; jak przodkowie siadał w skwar, w ciężkiéj todze na progu, by uczyć prawa tych, co praw byli ciekawi i mówił krótko a źle z afektacyi i poczytywał to sobie za grzech, ilekroć udał się morzem tam, dokąd się lądem udać

mógł i prześladował zbytki i sztuki i filozofią i wszystko, co obce. Z biczem w ręku chodził po starodawnemu pośród trzody niewolników o ogolonych głowach, karmił ich żołędziami i nadpsutemi figami, kazał im pracować tak usilnie, że mało który pięć lat przeżył i brakował potém osłabłych, każąc ich rzucać na wyspę na Tybrze, gdzie albo marli z głodu, albo stawali się pastwą zwierząt drapieżnych.

Zdawało mu się, że taki szorstki i nielitośny i wyłącznie rzymski jak przodkowie, a jednak i na niego wywierały wpływ nowy odmienne czasy. Ojcowie gdy wojnę wydawali, wydawali ją po długim namyśle i nie bez słusznego powodu i uważali niesłuszną zaczepkę za pewnego zwiastuna klęski dla tego, co zgwałcił prawo narodów, albo zerwał zaprzysiężone przymierze. Marcellus, Regulus, Scypiony, Flamininy, a dawniéj jeszcze Fabrycyusz i Kamilus, ofiarowali zwyciężonemu wrogowi przymierze i wtedy nawet, gdy się to zdawało niepolitycznie, chcąc by wróg na siebie sam sprowadził gniew bogów i zagładę rzymską, gwałcąc zaprzysiężone traktaty; a gdy z szlachetnym wrogiem pokój zawierali, pragnęli, by wróg niegdyś sławny i potężny żył naprawdę w przymierzu z Rzymem szczęśliwy i swobodny. A Kato inaczéj! Kato sam gwałcił prawo narodów wierząc, że siła Rzymu wystarczy, by odwrócić klęski od przemożnego krzywoprzysięzcy. Bez powodu, bez pozoru nawet napaść kazał na bezbronną Kartaginę i nie spoczął, aż zburzył wielką niegdyś nieprzyjacielkę Rzymu, a namawiał głośno senat, by złamał przymierze hiszpanom zaprzysiężone. W ojczyźnie swéj okrutny i zimny, z obcemi narodami stał się wiarołomnym i od jego czasów było jarzmo rzymskie coraz bardziéj nieznośném.

Do wielkiego, przeludnionego, brzydkiego miasta ciągnął motłoch ze wszystkich części świata i zalegał *forum* w dzień rady, a młodzież rzymska z dniem każdym stawała się podobniejszą do owéj ateńskiéj co Grecyą zgubiła, tylko że wszystko zło czyniła na większe rozmiary a mniéj pięknie. Synowie senatorów przybierali strój podbitych Greków, uczyli się greckiéj mowy i greckich kłamstw; śmieli się z bogów i z obrzędów, które przed ludem pełnili; pijani ze wszystkiém, wyprawiali, zataczając się, nieprzystojne komedye przed tłumem wyzwoleńców zalegających *forum romanum*, udając, że walczą o zasady i dobro ludu, gdy naprawdę walczyli o prywatę. Głodni urzędów przekupywali lud pożyczonemi pieniędzmi i widowiskami, w których ginęło najpierw lwów, a potém ludzi stu, krwawiąc piasek areny w sposób, coby dla nas był wstrętnym, a co sprawiał rozkosz głupiéj, bezmyślnéj gawiedzi tarzającéj się w błocie Romy. A odbywszy rok urzędowania, pędził młodzieniec, co za Karneadem dowodził, że niémasz cnoty, albo z Epikurem twierdził, że cnotą szukanie rozkoszy, gdzieś na prowincyą, gdzie uciskał gorzéj od najwybredniejszego wschodniego despoty. Dla Weresa sąd niebył sądem, był źródłem dochodu i wygrywał sprawę zawsze ten, kto lepiéj zapłacił, a często dawał głowę, kto nie chciał sędziom darować całego majątku. Cześć dziewic, pomniki świątynne i zboża na polu były zarówno łupem prokonsula lub pretora, a gdy się

udał który, zostawiał po trzech latach prowincyą gorzéj zniszczoną, jak po trzech latach wojny. Nienawidził przeto świat Rzymian serdecznie.

Krocie niewolników gniły po Italii dla ich zabawy; Italików sprzymierzonych pola zabierano bez powodu, by je rozdać żołnierzom, albo by z nich uczynić pastwisko dla koni senatora, albo ogromne łany, na których marli pod biczem senatorów niewolnicy, a królowie ościenni nie wiedzieli, gdy zasypiali, czy się niezbudzą pozbawieni dziedzictwa przez niesprawiedliwy ukaz ludu w Romie. Wszystkie piękne wybrzeża morza Śródziemnego jęczały pod uciskiem i porywały się do buntu pojedyńczo, lecz nieustannie. To Samnici i Italicy wydzierali Rzymianom prawa obywatelskie, to Mitrydates król Pontu, mordując Rzymian po drodze, docierał aż do Grecyi, to Rzymianie i konsulowie Maryusz i Cynna sami stawali w obronie praw narodów podeptanych, stąpając drogą, po któréj stąpali wpierw dwaj bracia i dwaj trybuni Grakowie; a gdy tych wszystkich zwyciężył Sulla, obrońca senatu i gdy wytępił na zimno krocie ludzi, zasłynął obrońca wolności ludów Zachodu Sertaryusz na górach Hiszpanii, Spartakus na czele niewolników zagroził samemu Rzymowi, zbiegi z całego świata założyli w Cylicyi państewko piratów, którego statki spędziły z morza Śródziemnego łakomych kupców Romy, a król Mitrydates odnowił bój w Azyi, oparty o Tygranesa, potężnego pana Armenii. I znów Pompejusz szczęśliwy odnowił czyny Sulli i podbił świat na nowo łagodniéj od Sulli i z większą jeszcze chwałą, ale wszystkie te czyny nie zmieniły losów senatu. Patrycyusze już niemogli być wolnymi, skoro z prawa się śmieli, plebejusze dawni ustąpili z oblicza ziemi przed tłumem wyzwoleńców, albo sami w patrycyuszów się przemienili wiarołomnych, a jeśli gdzie w górach i na wsi trwała jeszcze dawna cnota świadoma, niestało jéj, by odwrócić konieczną niewolę. Pompejusz obrońca senatu stał się senatu panem, a już za Alpami wstawały nowe narody w dawnéj prostocie, gotowe rozbić zniewieściałą już Rzymian potęgę; w Romie na *forum* bronił świata podbitego prawa młody senator Kajus Juliusz Cezar. Aby się pozbyć rywala w mieście, pozwolił Pompejusz Cezarowi pójść podbijać Północ i Cezar ku zdziwieniu senatu podbił niezliczone i hartowne narody, zgruchotał niemi wojska senatu, podparł niemi Rzym i stworzył ogromne despotyczne cesarstwo, co trwało odtąd przez pięć wieków nieruchome, oparte na zniewieściałości i barbarzyństwie, dla którego niebyło już prawa, dla którego jak niegdyś dla pierwotnego Wschodu prawem musiała być nieugięta wola pana. Po greckich i rzymskich republikanach zostały się tylko sofistyczne systemata samolubnéj filozofii. Pana świata niewolnicy myśleli wciąż o tém, jakby mogli być szczęśliwymi i czuli wciąż, że coś ich gniecie. Darmo uczeń Epikura chodził w haftach i kołnierzykach i pił wino i jadł przysmaki i gonił za tanecznicami, nie odgonił od siebie nudy, chyba postanowił, jak Marek Antoniusz lub po nim Otto nie w kostki już grać, grać w państwa. Może się Marek Antoniusz przecie chwilami zabawiał, gdy usypiał na dworze ostatniéj greckiéj królowéj i Afrodyty egipskiéj, Kleopatry, wie-

lu królów kochanki i gdy się wraz z nią przybierał to za tego to za owego bożka, ale nuda nieubłagana wracała i chciano siebie samego zadziwić dziwactwem, pijąc perły w occie rozpuszczone, albo myśląc o najsłodszéj śmierci, albo tkając przeciw Romie tkanki pajęczę, które fortuna rozerwała prawie bez walki. I Antoniusza nudy epikurejskie skończyły się chyba wtedy, gdy umarł samobójczą śmiercią.

Udawał całe życie obojętną cnotę, młodszy Kato co wzgardził nawet godnością konsula. Stoikiem był i niby dawnym Rzymianinem; mówił wszystkim prawdę i o nic nie pytał i cieszył się najlepszą sławą. Gdy się przyjaciele jego kazali nieść w lektykach, szedł wśród italskiego skwaru w ciężkiéj todze i z odkrytą głową, a zadziwiał senatorów, chodząc do sali obrad z księgami; które rozkładał dokoło siebie, nie myśląc o niczém, jak tylko o nauce swojéj i o tém, jakby dojść do niedostępnéj cnoty mędrca. Blady Donkiszot portyku stawiał dla zasady słaby opór Juliuszowi Cezarowi, a pokonany w Uttyce, nie mógł tego przenieść na sobie, by mu Cezar przebaczył i rozpruł sobie brzuch nie z patryotyzmu, jak mówią po dziś dzień niebacznie, ale z dziecinnéj pychy, bo patryotyzm byłby kazał teraz żyć i służyć ujarzmionéj ojczyźnie.

Powstało w Italii znudzonych samobójców plemię, powstał naród któremu nie starczyło ni sztuki, ni bogactw, ni ogrodów, ni pałaców by odegnać śmiertelną nudę. A ponad głowami narodów mijali się Cezarowie, rzekomo tylko pierwsi rzeczypospolitéj urzędnicy, a naprawdę panowie jéj samowładni, karykatury Arystotelesowego ideału. Wydrzyźniał się z pamięci Wielkiego Aleksandra nowy bóg-człowiek Kajus Klaudyusz Cezar, zwany zwykle Kaligulą.

Dziecko wychowywało się w domu stryja Tyberyusza, co doszedł do panowania nad światem nie bez wielkiéj zasługi, łożonéj około dobra państwa i dziecko to wyrastało w trwodze, bo Tyberyusz byłto mąż starorzymski, zimny jak głaz, nieubłagany, któremu starczyło złéj myśli, by kazał zabić syna lub wnuka. Strzegł staréj Rzymian cnoty i był znienawidzony od narodu i od rodziny, jako sam narodem i rodziną gardził. Tém tylko żył nie po rzymsku, że rządząc Rzymem, bawił na wyspie Kaprei wśród Neapolitańskiéj zatoki, niedostępny jak niedźwiedź na zimowém leżu. Drżał tedy młody Kajus przed zabójcą rodzeństwa i cieszył się myślą panowania, bo na jego głowę spływała, omijając potężnego Tyberyusza, cała popularność niezmierna kilku pokoleń ubóstwianych przez lud, bo zdawało się jemu i ludowi, że w jego żyłach krąży boska krew Juliusza, Eneasza i Wenery, bo wschodni królowie niewolnicy, podchlebiali mu wciąż, porównywając przyszłą jego potęgę do słonecznego majestatu.

I dorwał się wreszcie młodzieniec, przed czasem łysy, o niespokojném oku i berła i władzy, a świat odetchnął i przyklasnął dłoniami, a wszędzie, od Egiptu po wybrzeża Brytanii, płonęły bogom niebieskim dziękczynne ofiary za to, że objął panowanie na ziemi bogów

potomek. Otworzono naroścież skarby umarłego tyrana, aby sprawiać uczty po wszystkich miastach świata, aby wszystkie ziemi grody po nocy rozświecić pochodniami, krzewiąc jasność jakby w dzień biały. Śmiał się pijany świat cały, a na czele świata śmiał się cezar młody; i zawróciło mu się w głowie i uwierzył, że bogiem jest naprawdę i naśladując Jowisza, poślubił trzy siostry odrazu, tak jak Jowisz poślubił: Junonę, Cererę i Temidę. W złotéj chodził brodzie i złocistéj peruce, a za pomocą śmiesznéj maszynki z blachy naśladował grzmoty. Stawał na Palacyum, od strony forum między dwiema kadzielnicami i czekał aż się lud zejdzie, by przed nim bić czołem, jakby przed bogiem, a gdy odebrał hołdy, roześmiał się w głos, odwrócił i odszedł do stajen, kędy włożył oznaki konsularne na kark konia faworyta.

Zrywał się po nocy, by rozmawiać z duchami, a we dnie przemyśliwał o śmiesznych wyprawach. Raz popędził legiony aż nad morze Północne, by się przeprawić do Brytanii, zebrał muszle i żądał, wróciwszy, od senatu tryumfu; i drżący senat tryumfu nie odmówił, bo łatwo było Kaliguli strącać głowy z karku, zwłaszcza wtedy, gdy strąciwszy głowę, mógł zabrać majątek spory.

Niepokoiło go to, że Neptun stąpał po fali i przedsięwziął Cezar młody, na złość morskiemu bogu, poczwórnym rydwanem przejechać przez zatokę Neapolitańską. Kazał tedy wyłapać po wszystkich przystaniach wszystkie statki handlowe na Śródziemném morzu i z nich ułożyć most przez zatokę, po którém przejechał się ze śmiechem wartogłowa. Potém na moście sprawił ucztę ludowi i z Neptuna w Bacha przemieniony, upił sią wraz z ludem i kazał o północy pijanym żołnierzom pijany lud do morza powrzucać. I wiele wtedy motłochu potonęło ku wielkiéj Cezara uciesze.

A śmiał się sam z siebie pan świata młody i żartował z własnego bóstwa i z narodów podłości. Wszedł raz do senatu wesół i mówił ciągle; mówił biało, a potém czarno, a potém znów biało, a senatorowie zawsze chwalili. Wreszcie spojrzał po nich Kaligula gniewliwie i spytał się: jak śmią poddani objawiać tak różne zdania, chwaląc mowy wbrew przeciwne. Osłupieli i oniemieli senatorowie; ledwo jeden śmielszy śmiał wyjąknąć, że cezar sam niekonsekwentny, trudno by ganił podobną chwiejność u słabszego umysłu poddanych. Ofuknął się tedy pan w wielkim gniewie, mówiąc: że co bóstwu wolno, to śmiertelnym zasie.

Bóstwo owo kapryśne i śmieszne było po kądzieli potomkiem dwu tryumwirów: Antoniusza i Oktawiana, z których drugi pierwszego pokonał pod Naupaktem. Oto gdy wigilia rocznicy owéj bitwy, powołał imperator do siebie dwu konsulów i przemówił do nich w te słowa: „Jutro w każdym razie pozlatują wam głowy z karku. Jeśli jutro nic nie będzie słychać w mieście, znak to, że nie dbacie o wielkie rzeczypospolitéj rocznice; jeśli jutro będzie w mieście wesele, obrazicie potomka Marka Antoniusza; jeśli będzie smutek, znieważycie cienie boskiego Oktawiana Augusta.” I rzekłszy to, patrzał Kaligula konsulom w oczy i cieszył się z ich zmięszania.

Za dni naszych prawie, zdobył sobie panowanie nad jedną częścią świata Napoleon I, podobny duchem do Aleksandra i Cezara; wypuszczał gromy z orężnéj prawicy i walił trony, i wreszcie, gdy ujrzał się u szczytu potęgi oszalał prawie, rozpoczął bój z zimą srogą i niebaczniéj jeszcze deptał po miłości własnéj pokonanych i runął przeto ów olbrzym. Niedziw tedy, że młodzieniec nieletni, bez trudu i zasługi wyniesiony przed wiekami na podobną wyżynę, oszalał także, znieważył dzieje sprośnym śmiechem, porobił sobie pogardą i żartami wrogów i zginął zasztyletowany u wejścia do teatru, w którym się bawił przed chwilą wraz z motłochem.

---

## Przodownicy ruchu umysłowego w wieku XVIII.

PRZEZ

*Kazimierza Kaszewskiego.*

Nic powszechniejszego a mniej uzasadnionego w kraju i zagranicą, jak myśl o bezrządzie Polski. Ileżto nie nacytowano jego przykładów, zwłaszcza z epoki przejścia z wieku XVII na XVIII; ile nie nawytykano wad administracyi, nadużyć, samowoli szlachty i tym podobnych rzeczy, z nieuchronnym zawsze dodatkiem: i jakżeż taki stan niémiał doprowadzić do upadku politycznego?...

Taka powierzchowność analizy poszczególnych pierwiastków, stanowiących życie społeczne i państwowe, tworzy się z niezachowania jednego z warunków analizy dobréj, t. j. porównania danych spółczesnych w dwu przedmiotach obserwacyi, między któremi zachodzą różnice i podobieństwa. Przypuszczamy więc, że tak, jak być powinno, znany jest nam dostatecznie stan Polski z pierwszéj połowy XVIII wieku, ów stan *nieuleczonego* bezrządu i porównajmy go ze stanem wewnętrznym ówczesnéj Francyi.

Od Ludwika XI do końca panowania Ludwika XIV, usiłowania rządu dążyły do zjednoczenia władzy w jednéj ręce; i to, szczególniéj z pomocą Ryszeliego, udało się przedziwnie; zamiast mnóstwa ziem i dzielnic, pod tysiącem mniejszych i większych panów feudalnych, Francya w XVIII wieku otrzymała jednego pana i politycznie silną była, jak ten pęk rózg, o którym głosi apolog. Ale na tém ograniczyła się rola reform: feudalizm zgnębiony politycznie, żył sobie daléj pełnią życia średniowiecznego w obyczajach i instytucyach tak sądowych, jako i administracyjnych. Ludność porównaną została tylko co

do posłuszeństwa rozkazom jednego, ale w gruncie porównanie takie nic dobrego jéj nie przysporzyło, bo wszystkie stare nierówności co do prawa pozostały. Zamiast prawa jednego, istniało w wieku XVIII trzysta ośmdziesiąt cztery prawa zwyczajowe, osobne, w miarę różnych działków ziemi: tak, iż co na jednym punkcie królestwa było prawowitém, na drugim stawało się wykroczeniem [1]). Trzy stany królestwa: duchowieństwo, szlachta i mieszczaństwo, tak się różniły między sobą prawami i obowiązkami, że były to trzy całkiem odmienne gałęzie pnia państwowego, jakby każda z innego pochodzące korzenia.

Co większa, poza temi stanami, uznanemi w królestwie i opatrzonemi w przywileje mniejsze lub większe, istniały miliony nieszczęśliwéj czerni, niemającéj przywilejów żadnych, lecz tylko same ciężary i służebności, miliony żyjące z łaski: to chłopi i niekatolicy.

Chłop był poddanym pana, jak za najlepszych czasów feudalnych. Za kawałek ziemi i wolność oddychania opłacał on czynsz, wykonywał pewne roboty i poddawać się musiał pod mnóstwo ograniczeń co do wyrębu, rybołówstwa, polowania, a nawet czci domowéj, gdyż przywilej Seigneura, zwany *jus primae noctis*, nie był nigdy zniesiony urzędowo [2]); a lubo ten gwałt bezecny przed samą siłą obyczaju chrześciańskiego i cywilizacyi upadał, dziedzic jednak mógł się, z mocy służącego mu prawa, każdéj chwili do niego odwołać. Takim był stan chłopa.

Stan drugiego proletaryusza, jakim był niekatolik, a zwłaszcza protestant, kto wié, czy nie był jeszcze okropniejszym. Za sprawą pobożnéj pani de Maintenon, niegdyś nałożnicy Ludwika XIV, a potém jego prawéj małżonki, podżeganéj przez fanatyczne duchowieństwo, król popełnił najstraszniejszą zbrodnię na ciele swego kraju, znosząc edykt Nantejski, wydany przez zacnéj pamięci swego poprzednika Henryka IV, a równouprawniający wszystkie wyznania chrześciańskie. Zbrodnia ta miała taki skutek, że najdzielniejsza i najinteligentniejsza część protestanckiego ludu Francyi, wyniosła się do Niemiec, by kiedyś ręką i myślą potomków mścić się na francuzach za krzywdę praojców i świecić znakomitemi nazwiskami (Maurice Carrière, Michelet, Savigny, Duboys-Reymond) w liczbie nieprzyjaciół Francyi; druga albo uległa przymusowi i wcieliła się w katolicyzm, albo téż jedną miłością ogarniając i wiarę i ziemię rodzinną, pozostała w ojczyźnie, pozbawiona stanu cywilnego i ta była najliczniejszą. Nad nią to najsrożéj zawisł czarny kruk nietolerancyi i przy lada sposobności, wywołanéj byle jakim drobiazgiem, rażącym wzrok nietolerantów katolickich, zapuszczał krwawe szpony w jéj serce. Ośmielone zniesieniem edyktu duchowieństwo francuzkie, podtrzymywane we wszystkich swych roszcze-

---

[1]) Duruy: *Historya Powszechna* t. III, str. 23.

[2]) Sławnéj komedyi Beaumarchais'go: *Wesele Figara*, z wieku XVIII; treść oparta jest na tym przywileju.

niach przez bigoteryą starego króla i pani de Maintenon, która oświadczyła, że dewocyę uczyni modną, a niebawem miała sposobność przekonać się, jak mody są krótkotrwałe, duchowieństwo mało wierzące w Boga, a naigrawające się całém swém życiem świętéj nauce Chrystusowéj, podniosło głowę, oglądając się za protestantami i z kościoła Bożego, pod protekcyą despotyzmu królewskiego, uczyniło jatkę inkwizycyjną.

Do bezprawi, jakie pociągnąć za sobą mogła nietolerancya przez władzę cywilną uprawniona, dopomagało okrucieństwo prawa kryminalnego i tém też tylko okrucieństwem równającego się we wszystkich prowincyach. Byłże tam wtedy istotnie jaki kodeks racyonalny, jakie gremium kompetentne? Mój Boże! zwyczaj i samowola: oto cały artykuł kodeksu. Podsądny niemiał tam adwokata, nie mógł wyłączyć świadków: sądził go kto chciał, syndyk, notable, burmistrz... Były tam wprawdzie gdzieniegdzie stany i parlamenta po miastach; ale godne patrycyatu miast niemieckich. Rzadko któréj sprawie, a zwłaszcza o występek religijny, nie towarzyszyła, zastępująca miejsce badania z dowodów i świadków, tortura; jeżeli zaś wynikiem była kara śmierci, to rzadko ta śmierć przychodziła sama, ale najczęściéj i to prawie nieodzownie poprzedzana pewném wyrafinowaniem męczarni, łamaniem kości, ćwiertowaniem, ucinaniem języka, „ku większéj chwale Bożéj i zbawieniu ludzkości," a dopiéro następowała szubienica, wbicie na pal, darcie pasów (*écorcher vif*) i inne wymyślne rodzaje śmierci.

Taką była Francya polityczna i prawnopaństwowa, w któréj głos rozkazu rozlegał się jedyny tylko, według dewizy Ludwika XIV: *l'Etat c'est moi!* Oprócz służalczego parlamentu do spraw czysto sądowych i administracyjnych, a powolnego skinieniom dworu, żadnych wreszcie zgromadzeń poważniejszéj skali, których dawna nawet tradycya nie śmiała ze strachu przed Bastylią wychylić głowy; żadnego sejmu, a tém mniéj *liberum veto;* żadnéj elekcyi, żadnego organu woli powszechnéj, żadnéj opieki nad proletaryatem. A choćby i wynikła nawet potrzeba jakiegoś plebiscytu, rozumié się, bardzo umiarkowanie doradczego, to ten stosować się mógł tylko do trzech stanów.

A teraz zobaczmy, jaką jest Francya administracyjna. Szlachta francuzka była podwójną: *noblesse d'épée* i *noblesse de robe.* Pierwsza miała monopol stopni wojskowych, dostojeństw duchownych, dygnitarstw dworskich i dyplomatycznych; druga poprzestawała na skromniejszych urzędach sądowych i administracyjnych. Mieszczanie (*roturiers*), zbogaceni przemysłem i handlem, mogli kupować sobie dyplomy szlacheckie na pośmiewisko u równych, na wzgardę u wyższych, przechodzącą do kilku pokoleń zstępnych. Ale nic na świecie nie może przedstawić czegoś tak okropnego, jak ówczesna skarbowość francuzka, z rozkładem podatków. Duchowieństwo, posiadające dobra ogromne, prawie piątą część całego terytoryum Francyi wynoszące, pobierało dziesięcinę z gruntów szlacheckich i nieszlacheckich, a nie płaciło żadnego podatku, tylko składało podarunki skarbowi królew-

skiemu. Szlachta i urzędnicy królewscy nie wnosili podatku z gruntów, ale zato opłacali pogłówne i dwudziestą część dochodów; tylko że przez stosunki znajdowali sposobność wyłamywania się zpod tego obowiązku. Wszystkie ciężary podatkowe dotykały nieszlachty: onito płacili te kolosalne sumy, konieczne dla opędzenia potrzeb państwa i zachcianek dworu, pod nazwą podatku gruntowego, dziesięciny, pańszczyzny (*denrées*) i ciężarów feudalnych. Nierówność podatku, ze względu na osoby, rozciągała się i do prowincyi: taż sama miara soli opłacała w jedném miejscu 6 liwrów, w drugiém 62 [1]). Rachunkowość była prowadzona najgorzéj: od czasów Franciszka I, skarb publiczny był zarazem szkatułą dworską, bez żadnéj kontroli i innéj formalności, prócz assygnacyi podskarbiego. To, co dziś rozumiemy pod nazwą budżetu i bilansu (a co istniało u nas w wieku XVIII, jak to wykazał, w znakomitéj pracy swéj p. Rossmann, w pierwszym numerze *Ekonomisty*), nie leżało nawet w pojęciu skarbowości francuzkiéj, absolutystycznie jak wszystko prowadzonéj; ztąd król czerpał dopóki starczyło, mieszając razem wszystkie wpływy i wydatki; a gdy kasa okazała się próżną, uciekano się do nowych podatków albo do pożyczki. W ciągu jednego roku naprzykład, Ludwik XV strwonił w podobny sposób na zabawy lub na gratyfikacye dla dworzan 180 milionów liwrów [2]). Nieład téż i nędza postępowały już nie stopniowo, ale krokiem szalonym. Odzywały się głosy poważniejszych statystów, jak: Vauban, Bois-Guilbert, d'Argenson, Machaut, nawet Choiseul, każdy ze swego stanowiska, za reformą ekonomiczną i polityczną, za decentralizacyą, ustanowieniem rad miejskich i gminnych, za urzędami królewskiemi z wyborów ludności, za wolnością handlu wewnątrz i zewnątrz, za zdemokratyzowaniem władzy, zrównaniem podatków, za uszczupleniem majątków duchownych nieprodukcyjnych i t. p., ale nadaremnie.

Wszystkie te wołania statystów głuchły pod rządem kobiét, nikły tłumione różanemi usty kochanek, zamierały w gwarze rozpusty, jaka wrzała na dworze i podle dworu, nakształt tych orgii, które, lubo o delikatniejszych pozorach, niczém się w gruncie nie różniły od orgii Heliogabala, a począwszy od Ludwika XIV, wzmogły się za regencyi, ustaliły z Ludwikiem XV i wydały owoc za Ludwika XVI. W kraju nawykłym wzorować się wedle dworu, nic nie było szkodliwszego, jak podobny przykład. Któżby był sobie pozwolił obliczać wydatki Regenta, kiedy widziano, jak trwonił na zakup brylantów skarby, o które daremnie dopraszała się potrzeba publiczna. Ktoby śmiał okazywać się wstrzemięźliwym i skromnym na jego wieczorku? Dworacy, nawet obojętni na uciechy, pozowali na rozpustników i udawali pijanych, kiedy się książę zataczał, idąc do niepustego łóżka. Rozwiozłość tedy stanęła na porządku dziennym wieku XVIII: wstydzono się domowego

[1]) Duruy, *loc. cit.*
[2]) Tamże.

szczęścia, żona własna ciężyła mężowi na przechadzkach i w towarzystwach; małżeństwo stawało się parawanem prostytucyi. Pałac Regenta służył za schronienie wszelkiemu zepsuciu: szulerce, pijaństwu, wszeteczeństwu. Wtedy to powstali tak zwani *chevaliers d'industrie*, szlachta spodlała i zubożona rozpustą, która odrabiała fortunę grą w karty i oszustwem. Rząd, nie mogąc im przeszkodzić i ażeby nie broili potajemnie, założył pod swym nadzorem ośm akademii szulerskich, początek domów gry publicznéj.

Tym sposobem szlachta zbliżała się do fatalnego kresu, wesoło, wśród zabaw, intryg miłości i zepsucia ubarwionego elegancyą. Towarzystwa epikurejskie w Temple, w Sceaux, w Caveau, w części bachiczne, w części literackie, nabywają rozgłosu. Po zdeptaniu praw boskich i ludzkich, muza wyuzdania króluje, brzmią rozkoszne piosnki poety Chaulieu, bezbożne zwrotki Jana-Baptysty Rousseau; niedługo posłyszymy tam deklamowaną *Dziewicę Orleańską* Woltera, przy aplauzie francuzkiego rycerstwa, którego przodków dziewica ta prowadziła do chwały zwycięztwa przeciw anglikom. Duchowieństwo świeckie dopomaga szlachcie na tém nowém polu zasługi, bo duchowieństwo, to taż sama szlachta, tylko przestrojona z fraka w sutannę. Ksiądz Prevost pisze romanse lubieżne, ksiądz Cotin robi madrygały miłosne, ksiądz Grécourt układa poezye wyuzdane, w guście naszego Węgierskiego; ksiądz de Pure pisze dzieło: *Histoire galante des Précieuses*, a ksiądz d'Aubignac wsławia się swoją *Rélation du royaume de la Coquetterie*. I tak jedni z duchownych prześladowaniem heretyków, drudzy analizą uczuć miłosnych, pracują jak mogą dla swoich owieczek. Tacy to *abbés*, wysadzeni z Francyi przez Rewolucyą, obłudnicy religii, w gruncie materyaliści, rozeszli się po Europie, a między innymi i u nas powołani zostali do kształcenia młodzieży w zasadach wiary, obyczaju i dobrego tonu!

Nie! kłamstwem jest jakoby wadliwy ustrój administracyjny, a nawet częściowe zepsucie obyczajów, powodowały same jedne ruinę państwową: zabijają rząd, jak go zabiły we Francyi, ale z pod ruiny rządu, na gruzach zbutwiałéj budowy powstał tam naród silny, świetnością nowych instytucyi, podtrzymywanych orężem na polu zwycięztw, zdumiewający Europę. Byt polityczny ocalał.

Ocalał, dzięki komu i czemu?

Zadługa byłaby to historya i tu porównanie wypadłoby zgoła na korzyść Francyi, która chciała i umiała bronić swoich reform socyalnych, wówczas, gdy Polska powstała zbrojno przeciwko własnéj ustawie zaprzysiężonéj, a mającéj na celu zaprowadzenie stałego porządku, zgodnego z duchem czasu i sprawiedliwością.

Inicyatywę co do konieczności reform we Francyi dawali, jak widzieliśmy, statyści, ale głos ich wołał na pustyni. Rzecz tę skuteczniéj wzięli w rękę literaci, na czele których w opinii świata stoją: Voltaire i Rousseau.

* * *

## I.

## Voltaire.

Jak o każdym człowieku wyższym i wpływowym, który nie chadza oględnie drogami środkowemi, lecz śmiało przerzuca się na krawędzie, by ztamtąd nowe ścieżki torować, tak i o Wolterze słyszymy zdania i opinie biegunowo-przeciwne. Hrabia de Maistre podziwia go i gotówby mu wystawić pomnik, ale *ręką kata*. Veuillot oświadcza, iż słusznie wiek XVIII nazwano wiekiem Woltera, bo onto zebrał i usystematyzował wszystkie pierwiastki zła, zrobił z nich broń nieustającą, nadał walce z dobrém taktykę i zwyciężył: zwycięztwo pychy i nieczystości było zupełne. Naodwrót Herder mieści Woltera między *aniołami* ludzkości, a Gete powiada o nim, że byłto człowiek największy w literaturze może wśród wszystkich wieków, istota najbardziéj zadziwiająca, jaka wyszła z rąk Stwórcy, istota w któréj On zgromadził naraz, w wątłym ustroju ludzkim, wszelkie rozmaitości talentu, wszelkie glorye geniuszu, wszelkie potęgi myśli. Dr. Strauss napisał osobną książkę, która cała jest samą apoteozą Woltera, przedstawiającą go jako głównego przedstawiciela epoki *rozświetlenia* (*der Aufklärung*). Ta różność zdań czegóż dowodzi? Oto sympatyi do pewnych kierunków myśli i pewnych dążeń serca, antypatyi do drugich. Nie dobrą wiarę podejrzywamy w tych oświadczeniach, ale widzimy raczéj siłę przekonań ludzi, dążących z pewnością do jednego celu, lecz różniących się w środkach. Stara dewiza, że między dwiema ostatecznościami prawda zwykle stoi pośrodku, znajduje tu podobno najwłaściwsze zastosowanie. Chodzi tylko o to, gdzie leży ten prawdziwy środek, którego w bolesném poszukiwaniu swém wiek XVIII nie znalazł.

Wziął on w spadku wszystkie potężne nabytki i niedogodności swego poprzednika. Niebywały dotąd rozwój nauki ścisłéj, podrywając mniemania oparte na powadze, wprowadził do umysłów sceptycyzm i torował drogę materyalizmowi. Ton w tym ruchu umysłowym, jak dzisiaj przez Milla, Darwina, Spencera, tak i wówczas nadawała: Anglia ze swoim Boylem i Newtonem, Hobbesem i Lockem, ze swoją konstytucyą i swobodą słowa. Ale Anglia przy swym umyśle trzeźwym i rozważnym mogła być bez obawy o przyszłość, nie lękać się wstrząśnień moralnych i politycznych; pomimo kierunku w nauce stanowczo i nieodwołalnie materyalistycznego, wszyscy ci jéj koryfeusze żyli w zgodzie z Kościołem i wiarą objawioną, żywili cześć najgłębszą dla dogmatów i nawyknień tradycyi religijnéj, a ćwicząc rozum i zdobyczy jego używając, pozostawiali społeczeństwu wszystkie korzyści uczucia. Wolność przeto myśli i wolność obyczajów w Anglii wzięła obrot zgoła inny od tego, jaki za powiewem zpoza Kanału, przybrać miała w sąsiedniéj Francyi.

Stosunek jéj intelektualny z Anglią począł się dopiéro w końcu panowania Ludwika XIV. Kiedy dawniéj najprzedniejsze umysły angielskie często przybywały dokonywać ukształcenia we Francyi, teraz naodwrót najlepsze głowy francuzkie uciekały się do Londynu; uczono się języka angielskiego, poznawano literaturę, wtajemniczano się w zasady filozofii, począwszy od obu Bakonów. Wrodzony zmysł polityczny Francuzów, dręczonych podówczas w kraju absolutyzmem władzy, doznał zwłaszcza przyjemnego upojenia wobec liberalnego ducha urządzeń angielskich, wobec doktryn o wolności cywilnéj, o nienaruszalności praw obywatelskich. Owocem tego dziwnego ślubu pomiędzy materyalizmem angielskim i sceptycznością francuzką była nienawiść coraz bardziéj szerząca się we Francyi przeciwko Chrystyanizmowi i instytucyom kościelnym. Słowem, ten embryon filozoficzny wszczął się raczéj z humoru francuzkiego, niż z angielskiego temperamentu; boć nie do takiego przecie wyniku przyszli Newton, Hartley, lub Priestley, materyaliści w nauce najbardziéj zdeklarowani. Jestto zatém rzeczą dość osobliwą, lubo bardzo wytłumaczoną, że filozofia Newtona, na czystym mechanizmie oparta, stała się we Francyi propedeutyką do ateizmu. A kiedy w Anglii materyalizm ten doprowadził do rozwinięcia ekonomii politycznéj, do postępów umiejętności przemysłowych, do pomyślności narodowéj, we Francyi objawił się rozwiozłością obyczajów, lekceważeniem życia, kultem rozkoszy: słowem wszystkiemi obrzydliwemi cechami słynnego wieku Regencyi.

Wpośród takichto okoliczności urodził się w Chatenay, niedaleko Sceaux, Franciszek-Marya Arouet, roku 1694. Dzieckiem będąc, ulegał wpływowi bezwyznaniowemu księdza de Chateauneuf, niedowiarka, swego ojca chrzestnego; następnie oddany został do kolegium Ludwika Wielkiego w Paryżu, gdzie jezuici, pod których kierownictwem zostawał zakład, wykładając mu dogmata religii katolickiéj sucho, rutynicznie, bez obudzenia w nim miłości i wiary, zaszczepili raczéj wstręt do nich w umyśle młodym, a ironicznym z natury. Po wyjściu z kolegium, młody Arouet wprowadzony został przez swego chrzestnego ojca w towarzystwo paniczów wyuzdanéj obyczajności i wpośród weteranów rozkoszy, jak: Conti, Vendôme, Sully, Richelieu, wpośród których błyszczeli dwaj poeci przyjemni i łatwi, La Fare i Chaulieu.

To wesołe, lubieżne, epikurejskie towarzystwo ludzi, zwanych we Francyi *beaux-esprits*, z którymi równało go jeśli nie urodzenie, to wychowanie, nie wyszło mu jednak na dobre. Posądzony o napisanie wiersza satyrycznego przeciwko Regentowi i księżnie Berri, wtrącony został do Bastylii (r. 1715), zkąd po dwuletnim pobycie powrócił autorem tragedyi: *Edyp*, napisanéj na temat Sofoklesowy, a na wzór Kornela i Rasyna, która pomimo wielu braków, zdobyła sobie powodzenie. Potém napisał jeszcze dwie tragedye: *Maryamnę* i *Artemis*, oraz wielką epopeję: *Henryadę* (1726) i byłby może pozostawszy w Paryżu, utrzymał się wyłącznie lub przeważnie przy poezyi, gdyby nie wypadek który go przerzucił na inne pole. Obrażony przez kawalera de Rohan,

wyzwał go. W odpowiedź kawaler kazał go zbić swoim lokajom i wsadzić powtórnie do Bastylii, zkąd po półroku wyszedł ale z rozkazem udania się na wygnanie. Arouet, a raczéj już Wolter (zkąd przybrał to nazwisko, niewiadomo), udał się do Anglii i tam bawił trzy lata (od 1726—1729).

Nowa to a wielka w jego życiu epoka, która stanowi o całym dalszym zawodzie Woltera. Już te pierwiastkowe jego pisma, które tu wymieniliśmy, pomimo charakteru zgoła beletrystycznego, tchną wolnomyślnością wyłamującą się z karbów wszelkiéj powagi, oraz duchem reformatorstwa, jeszcze wyraźnie niesformułowanego. Cóż to będzie, kiedy Wolter stanie w samém ognisku prądów nowych, determinujących się z taką precyzyą. To téż pojechał on do Anglii poetą a powrócił filozofem.

Filozofem! Czy można tę nazwę seryo stosować do Woltera?... Bynajmniéj; a w każdym razie nie w duchu takim, do jakiego dziś ją przywiązujemy i jaki powiewał z pism i działań ówczesnych reprezentantów myśli filozoficznéj angielskiéj. Już od samego powrotu do Francyi, Wolter zaczyna uchodzić za materyalistę i ateusza, i w tym charakterze usiłowali i usiłują przedstawiać go nieprzyjaciele. Lecz jeżeli takiemu zdeterminowaniu jego usposobień towarzyszy zła intencya, jestto oszczerstwo; jeżeliby zaś miało ono oznaczać jego stanowisko naukowe, to zbytek zaszczytu.

Wprawdzie konsekwencyą taką mógłby był Wolter wyprowadzić z trzechletniego pobytu w Anglii, gdzie właśnie podówczas nauka usiłowała osadzić się na gruncie materyalistycznym, ale umysł jego zamało miał ku temu głębokości. I lubo prawdą jest, że doktryna materyalistyczna pierwszy raz od czasów starożytnych dopiéro w XVIII wieku, na ziemi francuzkiéj ujętą została w system, ale dzieła tego dokonał baron Holbach. I trzebaby mało znać Francuzów, ażeby sądzić, że oni mogą być materyalistami metodycznymi i to przez wiek cały. Mają oni umysł zbyt lekki i zbyt kapryśny, by się zastosować do pojęcia rzeczy czysto naukowego. Zdrowy rozsądek, rozstrzygający u nich zwykle w ostatniéj instancyi, nie lubuje się w filozofii, która mniema, iż może obejść się bez Opatrzności, bez przyczyn celowych, bez intuicyi rozumowych apryorystycznych, bez moralności przyrodzonéj lub objawionéj, bez duszy nieśmiertelnéj i Boga osobistego. Nie liczmy kilku wyjątków, niemających zgoła uznania w masach inteligencyi. W chwili gdyby Francuzi ze swym umysłem geometrycznym zrezygnowali się na utratę tych pięknych idei, możeby byli blizcy materyalizmu, ale czyżby pozostali jeszcze Francuzami?... Zupełnie tak samo jak Polacy.

Francuzem doskonałym był pod tym względem Wolter. Wysłuchał on w Anglii wszystkich teoryi materyalistycznych, jakie były na dobie, ale ani sam nie wyciągnął z nich konsekwencyi na rzecz metody filozoficznéj, ani ich niebył ścisłym tłómaczem w ojczyznie. On ma-

[1]) Elements de la philosophie de Newton.

teryalista i ateusz! ależ to istna farsa, on czysty literat, który pomimo chwalebnéj gorliwości dla fizyki, chemii i geometryi, nie przeszedł nigdy poza pierwsze zasady nauk przyrodniczych i matematycznych, cobądź o tém za jego wiedzą przemawia profesor Dubois Reymond w swéj rozprawie: *Voltaire in seiner Beziehung zur Naturwissenschaft.* Nie Woltera to zaczepiać było można o wyprowadzenie ostatnich wyników z takiego pojęcia o świecie, jakie utworzył Newton. Zrozumiał on jego naukę w zakresie specyalnym, jako pojętny uczeń popularyzował ją we Francyi [1]), ale jego spekulacya poszła w inną stronę. Nie pogodził się on z Kościołem, na wzór swych nauczycieli angielskich, ale zawsze pozostał wiernym ich dwom zasadom metafizycznym. Człowiek oburzający się przeciwko wszelkim dogmatom na drodze religii, jest on przecież wielkim zwolennikiem celowości w świecie, kar i nagród, wolnéj woli, a kto wié czy nie z większą stanowczością niżeli sam mistrz jego Clarke, obstaje za dogmatem istnienia Boga. Bóg jest dlań artystą najwyższym, który utworzył świat mądrze i kieruje nim ku dobremu. I nic nie było bardziéj obcém jego myśli nad to, że świat powstał z mgławicy kosmicznéj, materyalnéj, przechodzącéj przez rozmaite stany zgęstnienia, a wszystko co istnieje wytwarzającéj bez celu i zamiaru. Wolterowi bardzo chodziło o to, ażeby niebyć materyalistą. Jeżeli nie lepiéj był on uzdolnionym do filozofii pierwszéj, czyli ontologii, jak do nauk przyrodniczych, nie zbywało mu przecież na przenikliwości w rzeczach psychologii i pod tym względem znowu zaszedł daléj niż mistrz jego Locke. Nie cofał się przed tym faktem doświadczalnym, że materya czuje i myśli; uważał przeto duszę za abstrakcyą urzeczywistnioną, ale zarówno z Lockem czémprędzéj dodawał, że byłoby to zarazem bezbożnością twierdzić, że Stwórcy niepodobném było ukształtować człowieka w sposób myślący. Czy wierzył w nieśmiertelność duszy? To trudno z niego wydobyć. Chwiał się między argumentami teoretycznemi, które wierzenie to czynią nieprawdopodobném i argumentami praktycznemi, które zdają się je podtrzymywać jako konieczność moralną w duchu Kanta.

W etyce znowu Wolter już nie za Lockem idzie, ale za uczniem jego Shaftesburym. Niemógł się przekonać do téj doktryny o względności pojęć dobra i zła, którą Locke po Hobbesie oparł na nieistnieniu pojęć wrodzonych, oraz na spostrzeżeniach czynionych przez podróżników w rozmaitych częściach świata. Zdrowy rozsądek Woltera oburzał się na myśl przypuszczenia tego, ażeby stosownie do południka, przebaczenie wrogowi albo zjedzenie go, miało być czynem jednako dobrym. To psuło ten piękny porządek rzeczy, o jakim on marzył na świecie i przeciwiło się jego przywiązaniu do symetryi. Trzymał się więc doktryny zarówno prostéj, jak powierzchownéj, odróżniającéj bezwarunkowo dobre i złe, w jakimbądź czasie i miejscu. Razem z Russem, razem ze wszystkiémi co we Francyi zwłaszcza uprawiali filozofią dyalektycz-

[1]) Elements de la philosophie de Newton.

ną, Wolter odwołuje się do świadomości i mniema, że każdy człowiek od urodzenia przynosi z sobą oprawny egzemplarz prawa moralnego.

I takiżto człowiek jest materyalistą i takiżto człowiek jest ateuszem? Nie. Wolter broni idei Boga przeciwko wszystkim materyalistom, przeciwko wszystkim ateuszom, przeciwko wszystkim nieprzyjaciołom, a najbardziéj przeciwko... Kościołowi. Powierzchowny i niekonsekwentny w swéj tak nazwanéj filozofii, kłócącéj z sobą dwa pierwiastki niepogodzone, pojęcie świata Newtona z celowością, wierzgające ku sobie jak dwa gniewne rumaki, dopóki ich biegły automedon nie ujmie w rękę, by sprządz do jednego wozu,—Wolter z całego tego eklektyzmu filozoficznego utworzył jeden obszerny rozdział teologii społecznéj, rozdział wprawdzie pod tą nazwą nieistniejący nigdzie, czysto naszego wynalazku, ale nie możemy innego wymyślić miana dla tego kierunku spekulacyjnego, którym głównie zasłynął Wolter jako filozof i miał prawo zasłynąć.

Wojna z Kościołem, „jako z nieprzyjacielem Boga i ludzi:" oto zadanie jego życia i jego filozofii. *Ecrasez l'infâme!* oto jego okrzyk wojenny, rozbijający się po wszystkich górach i pieczarach jego linii bojowéj, gromadzący pod jego sztandary setki, tysiące, miliony; okrzyk namiętny, nienawistny, nieprzejednany, który utkwił w gardle wodzowi kiedy konał z wysilenia walki, a za sobą zostawił łuny i rusztowania, przez które krok za krokiem, trup za trupem, przeciskać się musiała nienawiść, nim się roztroiła we Francyi w równość, bratniość i wolność: co chcecie, trzy ideje, albo trzy blagi. Tu Wolter jest cały, tu jego zcielenie się z wiekiem XVIII-tym: w tém jego idea, nie w jego filozofii ani poezyi, ani romansie, ani historyi. One są tylko téj idei formą, okazyą, procą, w któréj jako kamień, spoczywa zawsze taż sama myśl: *Ecrasez l'infâme!*

Co pod tym okrzykiem rozumiał Wolter i jaką to infamię kazał tak uporczywie dusić? Nie absolutyzm i kastowość, które siecią Bastylii różnych nazw gnębiły masy, nie obyczaje rozwiozłe, gangrenujące społeczność całą od szczytu do fundamentów. On zrazu przez pryzmat pomsty osobistéj przeciw instytucyi, która kazała spalić publicznie ręką kata jego *Listy angielskie*, widział jedno tylko złe główne, naczelne, powód jakoby wszystkiego złego, szarpiącego ludzkość. Od sfery swych zjadliwych pocisków odsunął absolutyzm cywilny, w imię którego działo się tyle nadużyć, prześladowań, zbrodni; bo absolutyzm płacił i karał, a Wolter dwa razy zakosztowawszy pobytu w Bastylii, trzeci raz nie śpieszył się tam w odwiedziny: wolał pobierać pensye. Nie do téj więc potwory stosuje się jego okrzyk. Tą potworą według niego było duchowieństwo, kościół, religia chrześciańska, co wszystko razem mięszał on w jedno wyobrażenie. Gdyby wymierzał swe ciosy tylko przeciw spółczesnemu sobie duchowieństwu, niebyłoby w tém nic dziwnego; wiadomo jakiém ono było za czasów Regencyi i jak daleko mogła sięgać jego władza. Ale pocisk Woltera sięgał daléj: nie do form, lecz do samego serca instytucyi, którą uważał „za przyczynę fanatyzmu niszczącego Europę, za przyczynę zabobonu, który ją ociemniał, za

źródło klęsk, jakie rozsiewali naokoło siebie ludzie obsługujący tę instytucyą, w widokach zysków osobistych i władzy, prześladując ludzkość postrachami sumienia i nietolerancyą. Przeciwko zatém religii chrześciańskiéj, a głównie katolickiéj, jako posiadającéj najliczniejsze pobudki nietolerancyi, zwrócił on wszystkie swoje baterye, wypuszczając mnóstwo pism, całą bibliotekę, gdzie wymowa, dyskussya, a zwłaszcza gryzące szyderstwo, ubiegały się o lepsze, ażeby tę instytucyą tak pod względem historycznym, jak dogmatycznym, ze strony największéj szkodliwości dla społeczeństwa wyświecić."

Zastrzegamy się z góry, że nie przyjmujemy żadnéj solidarności z opiniami Woltera wziętemi ryczałtem, ani ze zdaniami dzisiejszych spóźnionych wolterkulów żywiących się jego ochłapami i wyłamujących drzwi przez niego na roścież otwarte, oraz zarówno z nim wolnomyślnych w religii a z respektem zachowujących się względem porządku cywilnego: przedstawiamy rzecz tylko objektywnie, ażeby cele działalności Woltera o ile można należycie streścić.

Umysł jego w tę stronę skierował się bardzo wcześnie. Młodzieniec dwudziestoletni, już w *Edypie* czyni aluzye bardzo przezroczyste do swéj ulubionéj tezy. Zrywająca pęta powagi myśl jego, wyraża się śmiało wobec publiczności::

„Nos prêtres ne sont pas ce qu'un vain peuple pense;
Notre crédulité fait toute leur science."

(Nasi kapłani nie są tém, za co ich ma lud ciemny; nasza to łatwowierność stanowi całą ich wiedzę).

Wiara jego w siebie, zarozumiałość, co do uskutecznienia przewrotu społecznego we względzie religijnym, niemiała granic. W liście do d'Alemberta (20 czerwca 1760 r.) sam przytacza rozmowę, jaką miał w młodości z wyższym urzędnikiem policyjnym.

— Ty nie zniszczysz religii chrześciańskiéj, rzekł doń urzędnik.

— Zobaczymy, odpowiedział skromnie młodzieniec.

Nudzą mnie już, mawiał w dojrzałym wieku, powtarzaniem, że dość było dwunastu ludzi do ustanowienia Chrześciaństwa, i mam wielką chęć przekonać ich że dosyć jednego człowieka ażeby je obalić.

Jużto na dobrych chęciach mu nie zbywało, lecz pokazało się że ten jeden człowiek, chociaż stojący za cały legion, nie wystarczył. W dobréj myśli o sobie zapomniał Wolter, że religie istotnie tworzyły się przez jednego człowieka, ale raz utworzone, nigdy przez jednego człowieka nie giną: one muszą się rozleźć z wycieńczenia; na to istnieją świadectwa historyi. Religię, jeżeli jest kruchą w swym organizmie, zabija postęp wszechwiedzy, nie człowiek.

Takiém jednak przejęty zadaniem Wolter, zbiera zewsząd same tylko fakta zdolne sformułować wielki akt oskarżenia przeciwko religii chrześciańskiéj. W jéj wierzeniach, tajemnicach i obrzędach widzi on tylko urągania rozumowi ludzkiemu albo niedorzeczności. Byłoby to dlań przedmiotem śmiechu, gdyby niedorzeczności te, utytułowane mianem dogmatów, nie służyły do wyzyskiwania łatwowierność.

ci ludzkiéj, do ścigania na równi z dzikiemi zwierzęty tych, co się nie chcieli ugiąć pod jarzmem. „Rzecz widoczna, powiada [1]), że religia chrześciańska jest matnią, w którą oszuści (*fripons*) oplątywali głupców przez więcéj niż siedmnaście wieków, oraz sztyletem, którym fanatycy mordowali braci swych przez wieków czternaście.“ A ponieważ dogmat jest właśnie, według jego zdania tą rzeczą, która wnosi rozdział, nienawiść, okrucieństwo po prowincyach, miastach i domach, więc trzeba wypędzić teologów, a świat będzie spokojnym, przynajmniéj co do względów religijnych: pozostawić im władzę, a wnet ziemia spłynie krwią [2]). I to nie chodzi mu o przetrzebienie teologii, o rozpoczęcie na nowo, dla oczyszczenia religii, ale o zniweczenie zupełne, ponieważ teologia służyła tylko zawsze do przewracania mózgów a czasem i państw, a co większa do wytwarzania ateizmu [3])!“

Tu już, jak widzimy, najżywsza jego zawziętość dotyczy Kościoła katolickiego, i ztąd niektórzy dzisiejsi sprzymierzeńcy Woltera probują utrzymywać, że on *summa summarum* w założeniach swych religijnych niewiele daléj zachodził jak dzisiejszy protestantyzm liberalny: co się zgoła nie zgadza z prawdą, gdyż Wolter najzapalczywiéj występując istotnie przeciw Rzymowi, niemniéj potępia *wszelki* dogmat, jako podstawę dla teologii i teokracyi, któréj nienawidzi tak dobrze w komży jak w berecie i turbanie, i tak samo przedrzeźnia odpusty, jak zasadniczą w Chrześciaństwie tajemnicę jedności troistéj Bóstwa.

Ażeby w ten sposób oczernić religią, wyśmiewając jéj dogmaty, rzucając przekleństwa na środki jakiemi się posługiwała przez swych ministrów, nie poprzestaje on na rozprzestrzenianiu pojęć swych po masach przez mnóstwo pism formy poważnéj i pamfletowéj, ale nadto przedsiębierze do swéj sprawy zainteresować panujących, przedstawiając im że religia zarówno ogranicza ich władzę cywilną jak rozum i uczucia tłumów, że tworzy państwo w państwie, dopuszczając wpływy obce na rozwój spraw krajowych; że zatem szkodliwą jest dla monarchów równie jak dla ludów. I tu znowu zapomniał Wolter, iż był czas, kiedy władza Kościoła jedynie zdolną była utrzymywać jaką taką równowagę pomiędzy absolutyzmem rządzących i bezwarunkowém osieroceniem rządzonych; że na stolicy Apostolskiéj najczęściéj zasiadał lud, a przez to ona jedna mogła była odczuwać jego potrzeby, i udzielać mu opieki przeciwko gwałtom i bezprawiom możnych. Ale mniejsza o to: za czasów Woltera rzeczy odmieniły się bardzo. Długi jego pobyt na dworze Fryderyka II, ateusza i fatalisty, płodnym był bardzo w czyny rozpowszechniające myśl wolną, zmierzającą do obalenia powag duchownych i utrwalenia powag świeckich. Ale oprócz tego monarchy, korrespondencya Woltera prowadzona z cesarzową Katarzyną, Chrystyanem duńskim, Gustawem szwedzkim, Józefem II, nie

[1]) De la Paix perpétuelle, art. 31.
[2]) Dieu et les hommes, 43. Axiomes, 342.
[3]) Entretiens philosophiques, 24.

co innego miała na celu, jak nakłonienie tych osób do przyjęcia i zastosowania w państwie jego polityki kościelnéj. Wprawdzie opłacały się sowicie filozofowi te homilie polityczno-religijne, ocukrzone pod pozorem niepodległości dworaczemi pochlebstwami, którym przez zręczne obroty dowcipu nadawał podwójną wartość, a podnoszącemi każdego z monarchów do ideału panującego (Stanisław-August był, podług jego determinacyi Salomonem Północy); ale nie mamy prawa sądzić, ażeby ten tylko powód był zawiązkiem jego stosunków z panującymi, przed którymi się płaszczył. Wolter szczerze miłował swoją ideę i byłby ją w ten sposób propagował *gratis:* a że komuś podobało się za nią płacić, no... to po ludzku biorąc, można było wziąć zapłatę. Zależy to od ręki, a ręka Woltera, już od saméj młodości bardzo czystą nie była [1]).

Pomimo jednak takiéj siły zbrojnéj i takiéj wytrwałości w walce przez tyle lat prowadzonéj, wbrew téj zamłodu pewności siebie, jaką tu zaznaczyliśmy, Wolter na starość zwątpił o tém całkowitem powodzeniu jakie sobie zakładał. W liście do d'Alemberta [2]), już nie mówi on o jednym człowieku mającym zburzyć dzieło ludzi dwunastu, ale przeciwnie, oświadcza: że „filozofowie zapewne nie zniszczą Chrześciaństwa; ale religia stanie się mniéj barbarzyńską a społeczność ludzka łagodniejszą." A! szkoda że nie w téj myśli rozpoczął; bo to co teraz wyrzekł jest bardzo praktyczne, i rzeczywiście z rolą filozofii przeciw fanatyzmowi religijnemu niewątpliwie zgodne. Co większa, w niespełna półtora roku potém, ustępstwo jego zachodzi nierównie daléj. Pisząc do Helvetiusa [3]), nie kryje on roli jaką odegrał przez swe pięćdziesięcioletnie bojowanie na rzecz równowagi pomiędzy religią a wolnością. „Zrobił się widoczny przewrót, powiada, w umysłach od lat dwunastu... Wiem że niepodobna zburzyć ustanowionéj *hierarchii*, skoro ona *potrzebną* jest dla ludu; nie obalimy sekty panującéj, ale z pewnością uczynimy ją mniéj panującą i mniéj niebezpieczną. Chrystyanizm stanie się rozsądniejszym, a przez to mniéj prześladowczym." Dodajmy do tego jeszcze i to wyrażenie, które w *Entretiens philosophiques* brzmi jak następuje (str. 24): „Wiem na co się przyda ksiądz który zbiera jałmużny dla ubogich, który pociesza chorych i zaprowadza spokój w rodzinach;...." a zobaczymy zgoła nowy rys i wcale nieoczekiwany.

Tym sposobem Wolter już na lat kilkanaście przed śmiercią zapewnia sobie honorową rejteradę. Przekonany o bezowocności usiłowań dla obalenia tego co zbudowały wieki, i co musiało mieć jakąś podstawę silniejszą niż mu się wydawało, jakieś pierwiastki dodatnie, których umysł jego poza namiętnością walki dopatrzyć nie mógł, Wol-

[1]) Zobacz artykuł o Wolterze w *Bibliotece Warszawskiéj*, z r. 1878, oraz *Histoire des idées mor. et polit.*, przez Jul. Barni; tom I, str. 250.

[2]) 13 lutego, 1764 r.

[3]) 26 czerwca, 1765 r.

ter zgadza się już i na religią i na Kościół i na księdza: pod warunkiem większego rozsądku i tolerancyi. Ten przewrót w umysłach, o którym wspomina w swym liście, był rzeczywistym: dowodem bulla znosząca zgromadzenie Jezuitów, których uważano za główny powód nienawiści do Kościoła. Zniesienie to było niemałą dla niego pociechą, rzec można, tryumfem, po części dziełem. Jednostajność tematu jaka objawiała się w jego pismach, nie była bez skutku. Przedmioty oburzające rozsądek i uczucie ludzkie, powiada Condorcet w biografii Woltera, „ukazywały się nieustannie we wszystkich jego dziełach, w tysiącznych barwach przeróżnych. Podbudzał on oburzenie, wyciskał łzy, rozśmieszał. Nie obawiał się podstawiać często pod oczy tych samych widoków, tych samych rozumowań. Powiadają że się powtarzam, pisał do mnie: otóż powtarzać się będę, dopóki się nie poprawią."

Jeżeli wreszcie kiedybądź był on przeciwko Chrześciaństwu, nigdy wszakże nie był przeciw Chrystusowi. Wyśmiewał Biblię zarówno jak Alkoran, Mahometa obryzgał w swéj tragedyi, która także niczém inném nie jest tylko aluzyą teokratyczną: dla Chrystusa zawsze zachował cześć i pewną sympatyą, a to wbrew niektórym publicystom, i nawet, rzec można, wbrew całemu nastrojowi publicystyki spółczesnéj, tak zwanéj filozoficznéj, oraz całemu duchowi panującemu pośród klas oświeceńszych i wytwornych a nader niereligijnie usposobionych. Na kłamliwy zarzut, uczyniony mu, jakoby w *Słowniku filozoficznym* zelżył osobę Chrystusa, odpowiada Wolter między innemi [1]): „Trzebaby się wyrzec wszelkiego wstydu i stracić wszelki rozum, by Chrystusa mienić szarlatanem i oszustem; Jego, który żył zawsze w pokorze i odosobnieniu... który zalecał tylko miłość Boga i bliźniego, który o Bogu mówił zawsze tylko jak o ojcu, a nie nadając sobie bynajmniéj tytułu Boga; przy śmierci wyrzekł: odchodzę do ojca który jest waszym ojcem, do Boga który jest waszym Bogiem." Oczywiście, że w tém uznaniu dla osoby Chrystusa niéma ani cienia uznania dla dogmatów religii chrześciańskiéj, jest nawet wyraźne zaprzeczenie bóstwa, co stanowi tych dogmatów podstawę, i, naturalnie, zeznanie takie nie mogło zmodyfikować opinii wiernych o ateizmie Woltera, ale opinia ta zgoła nie jest uprawiedliwiona całą pism jego tendencyą.

Przeciwnie, nie z mniejszą zawziętością występował on przeciwko ateizmowi jak przeciwko teologii i teokracyi. Do Fryderyka II pisze (list z 27 lipca 1770 r.): „Ateizm nigdy nic dobrego sprawić nie może, a zabobon wyrządza złe bez granic: strzeżmy się tych dwu przepaści." Pod wyrazem *Bóg*, znajdujemy w *Słowniku filozoficznym* takie wyrażenie: „Obawiacie się ażeby ludzie przez cześć dla Boga nie powrócili wkrótce do zabobonu i fanatyzmu? Ale czyż nie ma obawy, ażeby, zaprzeczając Boga, nie oddali się namiętnościom i zbrodniom najstraszniejszym? Pomiędzy dwiema temi ostatecznościami czyż niéma roz-

[1]) Le pyrrhonisme de l'histoire, 18...

sądnéj spójni? Gdzie schronienie pośród tych dwu opok? Oto jest: Bóg i rozumne prawa." Mocniéj jeszcze uzasadnia on oburzenie swe przeciwko ateizmowi w znakomitych ustępach z *Histoire de Jenny*: „Ateusz ubogi a gwałtowny, pewien bezkarności, głupcem będzie, jeżeli cię nie zabije aby ci ukraść pieniądze. Tym sposobem zrywają się wszystkie więzy społeczne, wszystkie zbrodnie ukryte zalewają ziemię, jak szarańcza, zrazu zaledwie dostrzeżona, niszczy pola i niwy: lud prosty stanie się hordą rozbójników... Kto powstrzyma królów i możnowładzców w ich pomstach, w ich ambicyach, którym chcą wszystko poświęcić? Król ateusz niebezpieczniejszym jest niż fanatyczny Ravaillac. Ateusze roili się we Włoszech w XVI wieku, i cóż ztąd wynikło? Otruć było rzeczą tak pospolitą jak dać komuś wieczerzę; a wbić sztylet w serce przyjaciela było tak łatwo jak uściskać go."

Nigdzie wreszcie nie wybuchła namiętniéj jego zasada anti-ateistyczna jak w krytyce dwu dzieł ateistycznych, z których jedno miało tytuł: *Système de la nature*, i było czysto naukowém; drugie *Christianisme démoilé* nosiło na sobie cechy tylko agitacyi bezwyznaniowéj.

Z tego wszystkiego okazuje się że Wolter najfałszywiéj oskarżonym jest o propagandę ateuszowską. Nie będąc zaś ateuszem, musi być teistą. Co do tego, nie może być nawet najmniejszéj wątpliwości, i tylko ci, co powtarzają na wiarę, sami nie chcąc nawet zajrzéć do labiryntu pism jego, mogą nie wiedzieć że on, oprócz nader częstych pojedyńczych oświadczeń i argumentów teistycznych, pozostawił cały pod tym względem kodeks sformułowany, pod tytułem: *Profession de foi des théistes*.

Głośnym jest jego wiersz, którego jeden ustęp kończy się temi słowy:

„Si Dieu n'existait pas, il faudrait l'inventer."

Wierszowi temu niezmiernie rad jest Wolter, cieszy się że go chwalą: bo téż on istotnie najlepiéj myśl jego wyraża. Bóg u niego niczém inném nie jest tylko potrzebą i rękojmią moralności, do któréj sprowadzał, czyli dla któréj poświęcał swą metafizykę, całą filozofią opierając na dwu filarach: na wierzeniu w rozsądek powszechny (*sens commun*), oraz na potrzebach praktyki życiowéj.

Ogół filozofów francuzkich z XVIII w., pod wpływem doktryn angielskich, a mianowicie Locke'a, trzyma się téj zasady że wszystkie pojęcia wynikają z doświadczenia. Ponieważ jest to formułą sensualizmu, uchodzą więc za sensualistów; a że sensualizm zaprzecza duszy, Boga, sprawiedliwości i wolności, przeto i im narzucają też same zaprzeczenia, pod zarzutem niekonsekwentności. Ależ zkądinąd onito przecież wystąpili w obronie wolności politycznéj i sprawiedliwości społecznéj: niekonsekwentność jest zatem widoczną, jak u innych tak i u Woltera.

Zarówno z innymi spółczesnymi sobie, znał on Kartezyusza tylko poprzez krytykę Locke'a, który, jako twórca i orędownik sensualizmu, powstaje przeciwko tak zwanym pojęciom wrodzonym, tkwiącym w doktrynie Kartezyusza. Wolter też idzie za nim w trop i dalejże na Kartezyusza w jedném z pism swoich [1]). „Kartezyanin, mówi, zabrał głos i wyrzekł: dusza jest duchem czystym, który jeszcze w żywocie matki otrzymał wszystkie pojęcia metafizyczne, ale który wyszedłszy ztamtąd, musi iść do szkoły i uczyć się nanowo tego co tak dobrze znał i czego znać już nie będzie. Na to odpowiedział mu zwierz ośmiomilowy: wartoż to aby dusza twoja była tak mądrą w żywocie matki, by być tak ograniczoną jak ci broda porośnie.... Nieopodal stał mały stronnik Locke'a, i kiedy nareszcie odezwano się do niego: ja nie wiem, rzekł, jakim sposobem myślę, ale to wiem że nie myślałem nigdy inaczéj tylko z okazyi zmysłów... Zwierz Syryusza uśmiechnął się: ten z pomiędzy nich wydał mu się nie najmniéj mądrym; a karzeł Saturna byłby uściskał stronnika Locke'a [2])....

Pomimo formy barocco jaką Wolter nadaje swemu rozumowaniu, aż nadto widoczném tu jest zdeklarowanie się za sensualizmem przeciwko spirytualizmowi. Doprowadźże więc, filozofie, zasadę swą do granic ostatecznych, a całą wiedzę opierając wyłącznie na zmysłach i doświadczeniu, żądaj rozwiązania zagadki świata i człowieka od materyalizmu: wtedy będziesz konsekwentnym, ale ku temu musisz miéć naukę nie już Locke'a ale Darwina i Spencera. Wolter nie posiadał nauki materyalistów, i był ich zaledwie pojętnym uczniem. Sensualizm więc jego pozostał zgoła bezpłodnym; a metafizykę swą poddając moralności, jak to głosił w liście do Fryderyka; bez względu na pierwotną zasadę, Wolter przyjmuje z góry: obowiązek, Boga, wolność, instynkt, bezinteresowność, kto wié nawet czy nie życie przyszłe, lubo co do tego dosyć jest ciemnym.

Kto wychodzi z zasady sensualistycznéj, ten niéma prawa mówić o tém wszystkiem jako o ideach, a jednak Wolter sprawiedliwość i niesprawiedliwość uważa za idee powszechne, a więc za prawdy rozumowe, które niedawno potępiał razem z Locke'm w Kartezyuszu, i do tego stopnia za temi ideami obstaje, że aż się dopuszcza fałszu doświadczalnego, wspólnego wreszcie wszystkim, którzy o ludnościach nizko uspołecznionych sądzą na pamięć, z gabinetu, bez odbycia podróży. Powiada np. w *Philosophe ignorant:* stawiam jako fakt to, że niéma żadnego ludu, u którego byłoby sprawiedliwém, piękném, przyzwoitém, uczciwém, odmówić pożywienia rodzicom, jeżeli dać im można; że żadna ludność nigdy nie mogła uważać oszczerstwa za czyn dobry i t. p. Cóżby na to powiedział, gdyby mu wykazano, że objawy moralności istotnie zmieniają się w miarę południka, czasami aż wprost do przeciw-

---

[1]) *Micromegas*„ rozd. 7. Jestto rodzaj dyalogu filozoficznego pomiędzy istotami różnych planet.

[2]) Zobacz artykuł *Voltaire* w *Dictionaire des sciences philosophiques.*

ległych? Mocno jednak przekonany o istnieniu bezwarunkowém tych idei, pisze rozdział *Przeciwko Locke*'mu zwracając się do Hobbesa: „Daremnie ty zadziwiasz swych czytelników, prawie z powodzeniem dowodząc im, że w świecie niéma praw żadnych innych, oprócz praw umownych; że niéma nic sprawiedliwego ani niesprawiedliwego, krom tego co tak się w danym kraju nazywać zgodzono. Gdybyś ty się znajdował sam na sam z Kromwellem na jakiéj wyspie bezludnéj, i gdyby on chciał cię zabić za to, że przyjąłeś stronę swojego króla w Anglii, zamach ten z jego strony, czyż nie wydałby ci się równie niesprawiedliwym na twéj nowéj wyspie, jak we własnéj ojczyznie? Czy sądzisz że władza nadaje prawo, i że syn silny niéma sobie nic do wyrzucenia że zabił ojca słabego i zgrzybiałego? Ktokolwiek studyuje moralność, rozpocząć powinien od wyrzucenia z serca twéj książki.

O ile szlachetne są pojęcia, które tu Wolter wygłasza, o tyle obrona ich słaba i niemniéj słabemi, lubo wielce dowcipnemi ze względu na dyalektykę, są wszystkie argumenta, jakie wynaleźć można w jego przeróżnych pismach, mianowicie w „Korrespondencyi z Fryderykiem," dla utrzymania idei wolności, Boga i innych podstaw moralnych, przy tak wątłéj podstawie metafizycznéj, jaką myśliciel ten posiadał. Wierząc niezłomnie w rozsądek powszechny, sprowadzając ustawicznie metafizykę do moralności, za prawdę bierze to tylko, co jest bezwarunkowo pożyteczne moralnie, obchodzi się bez reszty, głosząc, że gdyby prawda jaka była konieczną do dobrego życia, Bógby nam jéj nie ukrył. Gdybyśmy zatém mogli jeszcze dostatecznie wybadać go co do zdania o nieśmiertelności duszy, niby niebrakło téj doktrynie do charakteru przeważnie spirytualistycznego. Ale w tym ostatnim punkcie Wolter jest nieprzeniknionym. Iżby nie zasypywać cytatami, oświadczymy tylko, że przypuszcza on stanowczo nagrody i kary, zarówno jak Spinoza, ale zarówno jak Spinoza nie determinuje ich z precyzyą, gdzie i jak. Przypominamy sobie z drugiéj strony jego dyalogową przypowieść, gdzie dobry czyn, dla nagrody lub z obawy kary, został stanowczo potępionym, a wyniesioną bezinteresowność. Stoi przeciw temu wyraźnie przez niego napisane w liście do Fryderyka (24 listopada 1770 roku): „Twój obrzydliwy znajomy, który utrzymuje, że wszystko umiera z nami, mógłby bardzo miéć słuszność." A ponieważ podobne ustępy niejednokrotnie napotykają się w jego pismach, zachodzi pytanie, czy wierzył w życie przyszłe albo nie. Jeżeli wierzył, dlaczego wiary swéj nie uzasadnił; jeżeli nie wierzył, w co się obrócą jego ideje powszechne prawa, wolności, bezinteresowności, razem z Bogiem, który bez idei życia przyszłego niéma żadnego znaczenia. Jeżeliby zatém istniał jaki argument za uczynieniem mu zarzutu ateizmu, to chyba ten, że wymyślił Boga, który jest w trzech czwartych nieuzasadnionym, a w jednéj czwartéj niepotrzebnym.

Słowem, filozofia Woltera, jak każde dzieło eklektyzmu, pisane nie z myślą wydobycia prawdy niepodległéj, ale w celu pewnym, powziętym z góry, jak tu na rzecz moralności społecznéj, jest pełną nie-

konsekwencyi i niekompletną. Pomimo więc przyznawanego mu przez wiek XVIII i później miana filozofa, którém czczono wówczas każdego niepodległego myśliciela, w mniemaniu naszém nie był on nigdy filozofem, ale raczéj retorem, i stoi w takim stosunku do filozofów, jak tak zwani filozofowie rzymscy, np.: Cycero i Seneka, do mistrzów greckich. Jakkolwiek znowu ta jego filozofia była w zasadzie podstawowéj wątłą i niekompletną, jakkolwiek po rozebraniu do dna, możnaby w niéj dopatrzyć się ateizmu, bo pojęcie Boga niedostatecznie uzasadnione, rozpada się i nie pozostawia za sobą nic; powierzchownie jednak walcząc za ideje powszechne prawa, moralności i Boga, dzięki zwłaszcza retorycznemu talentowi i energii słowa, tyle przynajmniéj tamowała postęp materyalizmu w masach płynącego z innych doktryn, ile przyczyniała się do rozluźnienia węzłów religijnych, uderzając obuchem dowcipu i ironii na dogmata, na obrządki i na duchowieństwo. Jak sam Wolter w życiu swém prywatném był najgorszym przedstawicielem téj moralności społecznéj, dla któréj poświęcił cały swój aparat myśli, tak i edukacya jego moralna, przyczyniając się do wyrobienia cnot publicznych, nie mogła nie wpłynąć na osłabienie rygoru cnót domowych i ściśle do *forum internum* należących. „Nie rozumiano dosyć w XVIII w., powiada Barni [1]), że im więcéj chciano wyzwolić ducha, tém mniéj należało rozluźniać obyczaje; a tymczasem, zamiast podnosić w kobiécie godność małżonki i matki, zanadto robiono z niéj narzędzie rozkoszy." Wolter jest na nieszczęście jednym z tych, którzy sobie najwięcéj pozwolili w tym rodzaju; a tém cięższą jest jego wina, im większy talent, nadający mu niejako przodownictwo w szkole. Boileau wyraża się, że: „w wierszu czuć zawsze nizkość serca." Może powiedział zawiele, może nie wprost do Woltera, ale to pewna, że w jego stylu czuć nader często lekkość obyczajów.

Najlepiéj to wreszcie odbiło się w działaniach tłumu podczas Rewolucyi, która była tak dobrze dziełem Woltera jak innych, w swéj stronie pięknéj i dla ludzkości zbawiennéj, zarówno jak w nadużyciach, wołających o pomstę do sprawiedliwości i cnoty.

Naruszenie pewnego porządku, niewiadomo gdzie się zatrzymać może. Wolter, który za największego wroga społeczności uważał dogmat religijny i teokracyą, do których co chwila stosował swój okrzyk wojenny: *écrasez l'infâme!* nie był tak ściśle wymagającym względem władz politycznych, jak ci, co nastąpili po nim. Jego gwałtowność ściąga się jedynie do Kościoła, a i ta, jak widzieliśmy z cytat powyżéj zamieszczonych, ograniczyła się zczasem do wymagań wcale umiarkowanych. Z całego więc ogromu jego pracy piśmiennéj, z całego zachodu filozoficznego, literackiego i agitatorskiego, na korzyść prawdziwą wieku, w którym żył i umysłowo królował, pozostaje tylko jego moralność społeczna, zawierająca się w dwu słowach, ale głębokich jak ocean lub dusza społeczna: to tolerancya i ludzkość. Dla nichto

[1]) *Hist. des idées mor. et pol.* t. I, str. 250.

chciał on zniesienia religii, ażeby różnice wyznaniowe nie różniły braci pomiędzy sobą i nie podawały broni w rękę jednym przeciwko drugim; dla nich walczył lat sześćdziesiąt do upadłego, energią ducha podtrzymując wątłość ciała, zmuszając je do życia. Oprócz Polski i Polaków, dla których okazał się bruduo niesprawiedliwym i stronnym i przeciwko którym najnikczemniéj instygował u swojego chlebodawcy Fryderyka, zjadając przytém chléb Stanisława Leszczyńskiego, gdziekolwiek indziéj, wreszcie, w jakimkolwiek kraju i w jakimkolwiek wieku widział prawo uciśnione, starał się je podnosić. Wszędzie i zawsze obstawał za uciemiężonemi, używał na rzecz ich całego swego wpływu, nazwyczajał niejako władze rządzące do sprawiedliwości przeciwko zastarzałym obyczajom i przesądom, słowem, miał zaszczyt teoryami i wywoływaniem pojedyńczych zmian na dobre, przygotowywać to, co późniéj, jako zasada prawna, przechodziło w konstytucye niektórych państw bliższych ruchu postępowego, a mianowicie jego własnéj ojczyzny. Ażeby zadosyć uczynić swéj zasadzie moralności społecznéj, którą późniéj nazwano filantropią, nie poprzestawał on na głoszeniu idei, ale wprost brał pod swą osobistą opiekę osoby.

Dość tu przypomnieć głośne w swoim czasie sprawy uciśnionych, jak: nieszczęśliwy i niewinny admirał Bing, poświęcony gwoli polityki Pitta; rodzina Calas'ów, prześladowana o religią, z któréj kilku członków poniosło śmierć męczeńską, dzięki gorliwości inkwizytorskiéj kapitula Davida, który, gdy Wolter wykazał jego nadużycia, oszalał i z szaleństwa umarł. Z niemniejszą chlubą powiodła się mu opieka, udzielona Sirvenom, biédnéj rodzinie protestanckiéj, któréj ojca skazano na śmierć zato, jakoby córkę porwaną z jego domu i zawiezioną do klasztoru, wykradł i ukrył. Powiodło mu się téż przywrócić mienie ubogiéj szlachcie, podstępnie złupionéj przez jezuitów.

Nic bardziéj gorszącego, jak sprawa trzech młodych ludzi, z roku 1765, oskarżonych o nieprzyzwoite zachowanie się w Abbéville, podczas procesyi, oraz mocno podejrzanych o złamanie krucyfiksu na placu. Na monitorya biskupa amieńskiego, w skutek śledztwa cywilnego, prowadzonego przez Duvala de Saucourt, jeden z młodzieży, kawaler de la Barre, skazany został przez sędziów z Abbéville na torturę zwyczajną i nadzwyczajną, potém na ucięcie głowy i spalenie; drugi, d'Etallonde, na ucięcie rąk i języka, a potém na spalenie wolnym ogniem. Kiedy parlament zatwierdził ten wyrok, Wolter z zapałem rzucił się ku obronie, ale niewiele wskórał. De la Barre'a stracono; d'Etallonde zdołał umknąć do niego i przez jego pośrednictwo dostać się do Prus. Wolter nie ustał w agitacyi, aż wyrok ten potępiony został przez króla i przez opinią powszechną, ale ułaskawienia dla d'Etallonda uzyskać nie mógł.

Oburzało Woltera poddaństwo. Protestował przeciwko temu nadużyciu energicznie, uparcie. Obalić téj czarnéj instytucyi nie zdołał; miał jednak tę pociechę, że na jego instancyą, król w swoich do-

brach włościan usamowolnił. Nie poszła za jego przykładem szlachta i duchowieństwo: przenikniona duchem i zamiarami Woltera, dokonała tego Rewolucya.

Charakterystycznem jest jego wdanie się w sprawę hrabiego de Lally, skazanego na śmierć w Paryżu r. 1766, za jakieś podejrzenie o złe postępowanie w Indyach, niczém nieudowodnione. Dwanaście lat bronił go Wolter, aż nareszcie w godzinę śmierci dowiedział się o skasowaniu niesprawiedliwego wyroku. Kostniejącą ręką napisał do syna hrabiego: „Umieram zadowolony: widzę, że król kocha sprawiedliwość." Były to ostatnie słowa ręką jego nakreślone w życiu [1]).

Takiemito czynami usprawiedliwiał on niejako praktycznie to, czego teoretycznie domagał się w swych pismach treści polityczno-filozoficznéj. Jeżeli poddamy pod rozbiór główniejsze z pomiędzy nich i treści téj najbliższe, jak: *Voyage de la raison*, *Prix de la justice et de l'humanité*, *Commentaire sur l'esprit des lois*, przekonamy się, że w głównych podstawach cybernetycznych są one tylko echem traktatów politycznych Spinozy, z którego Wolter jaknajwyraźniéj czerpie argumenta antiteologiczne, oraz Hobbesa, któremu zawdzięcza swe szkice konstytucyjne. Czegóż mianowicie żądał Wolter? Oto, oprócz najbezwzględniejszéj tolerancyi religijnéj, proponował on rząd na wzór angielskiego, który zachowuje wszystko, co ma pożytecznego monarchia i co koniecznego zawiera rzeczpospolita; prawa jednostajne dla wszystkich prowincyi i ludzi, kontrolę skarbową, urzędy z wyborów. Głównie zaś zwracał uwagę na potrzebę reformy w sądownictwie, które w jak opłakanym, w jak rozpaczliwym stanie musiało być we Francyi za jego czasów, dość spojrzéć na zacytowane przez nas przykłady nadużyć, przeciw którym osobiście występował Wolter. Na rzecz reformy proponował on: prawodawstwo skrupulatne, oparte na naturze i sile dowodów; radę i obrońcę dodawanego oskarżonemu; zniesienie konfiskaty majątkowéj, procedury tajemnéj i tortur; ograniczenie kary śmierci do wypadków nadzwyczajnych; motywowanie wszelkich wyroków; uprzedzanie występków ile możności przez uchylenie wywołujących je pobudek, jak: głód, nędza, niesprawiedliwość i t. p.; ustosunkowanie kar do wykroczeń. Żądał nareszcie, ażeby społeczność nie uznawała za żadne wykroczenie tego, co płynie z przekonań sumienia indywidualnego, jak: odszczepieństwo, małżeństwo mieszane, opinia polityczna lub religijna, wystąpienie przeciwko powadze jakiéj szkoły: słowem żądał usamowolnienia myśli i przekonań pod osłoną prawa, które zawsze, zdaniem jego, regulować się powinno według sprawiedliwości przyrodzonéj, do tego stopnia, że rozkaz niesprawiedliwy władzy, choćby najprawowitszéj, nie powinien znaleźć w społeczności uwzględnienia.

* * *

[1]) Fakta zaregestrowane w *Dict. des sciences phil.* pod artykułem: „Voltaire."

Oto jest poważna strona pracy i wysileń Woltera, które, łącząc się z wysileniami innych przywódzców ruchu umysłowego i politycznego w wieku XVIII we Francyi, zwyciężyły stary porządek rzeczy, nadużywający tytułu „łaski Bożéj," przeciwko czemu protestował już Locke, i stały się jutrzenką, wprawdzie nazbyt krwawą, nowego dla ludzkości dnia, niepozbawionego jeszcze chmur i kataklizmów, ale czyniącego powrót niemożliwym do dawnego mroku. Wszystkie te, proponowane przez Woltera reformy, wprowadzone zostały w życie po jego śmierci, przez stopniowy rozwój prawodawstwa, począwszy od roku 1789, szeregiem konstytucyi, których ostatnim wykwitem był kodeks, zwany „Napoleona." Jestto zatém tryumf jego pracy destrukcyjnéj około społeczeństwa, tryumf stanowczy i nieodwołalny.

Obok téj, inna strona jego działalności, względnie do rezultatów tak dla niego upokarzających, wydaje się dziś nader wątłą; to usiłowanie, zmierzające nietylko do obalenia religii chrześciańskiéj, ale i do ustanowienia nowéj, co mu się nawet wydawało zrazu, jak na jego siły pomnożone przez zarozumiałość, rzeczą łatwego zachodu. Jakim sposobem w głowie człowieka rozumnego mogła powstać myśl obalenia religii wyznawanéj w saméj tylko jego ojczyźnie, jak naówczas przez dwadzieścia kilka milionów ludzi, tego istotnie pojąć niepodobna. Czy sądził, że pismami swémi odrazu przerobi na filozofów wszystkich chłopów nieumiejących czytać? czy myślał, że znalazłszy sprzymierzeńców w klasach wyższych, a nawet u dworu i wśród panujących, skłoni ich do spółdziałania i wyjedna rozkazy zamknięcia kościołów, rozpuszczenia duchowieństwa i wzbronienia kultu, tak, jak to stało się w lat kilkanaście po jego śmierci i trwało lat kilka zaledwie za czasów rzeczypospolitéj i dyrektoryatu, a było niesłychanym gwałtem, zadanym uczuciu ogromnéj większości? Trudna na to odpowiedź; dosyć, że możnaby kilkanaście tomów zapełnić przytaczaniem samych tylko tekstów atakujących religię chrześciańską, ze wszystkiemi jéj przynależnościami, co ze względu na skalę, gwałtowność tonu, obelżywość wyrażeń, nienawiść nieprzejednaną, nieprzebieranie w środkach, stanowiło pierwszy na świecie przykład publicystycznéj odwagi, posuniętéj do zuchwalstwa, a wrogiém usposobieniem względem religii dorównywało zaledwie obecnemu dziełu Drapera. To apostolstwo destrukcyjne Woltera, które nie dało mu się ucieszyć żadnym tryumfem stanowczym, a nawet pod koniec życia oznaczyło się znakomitémi ustępstwami, jak to widzieliśmy z przytoczonych powyżéj cytat, nie przeszło jednak bez śladu o tyle, że pozostawiło po sobie tlejące żarzewie, przy którém przychodzą zapalać swoje łuczywka tacy Feuerbachowie, Straussy i inni, dotąd nie z większém powodzeniem od samego koryfeusza podpalający gmach religijny.

Ale apostolstwo konstrukcyjne nie powiodło mu się zupełnie, bez żadnego zastrzeżenia. Chciał on miéć snać coś gotowego na wypadek zburzenia religii chrześciańskiéj i przygotował w tym celu nowe *credo*, które nazwał: *Profession de foi des théistes* (wyznanie wiary teistów).

Zasadą téj wiary jest Bóg, jedyny, Stwórca wszechrzeczy, początek i koniec, szafarz nagród i kar, źródło sprawiedliwości i dobra, opatrzność.

W przypisaniu téj księgi zakonu, królowi pruskiemu, powiada on: „Jest nas przeszło milion ludzi w Europie, których nazwać można teistami, możemy w tém powołać się na świadectwo Boga jedynego, któremu służymy. Gdyby można było zebrać wszystkich tych, co bez rozbioru idą za dogmatami sekt, w których się urodzili, gdyby zgłębili własne serce, gdyby posłuchali prostego rozumu, ziemia byłaby okryta podobnymi nam. Szalbierz tylko albo człowiek zgoła obcy światu, śmiałby nam zaprzeczyć, jeżeli powiemy, że mamy braci na czele wszystkich wojsk, zasiadających we wszystkich trybunałach, doktorów we wszystkich kościołach, rozproszonych po wszystkich zawodach, a nawet przyodzianych władzą najwyższą." Z téj dedykacyi okazuje się, że Wolter tak rozumiał (mniejsza czy je sprawdził) usposobienia pewnych indywiduów w pewnych warstwach społecznych, rozklasyfikował je, zaprowadził pomiędzy niemi pewną jedność i utworzył ich fizyognomię, któréj wyrazem ma być ta księga, suma niejako wszystkiego, co kiedykolwiek gdzieindziéj o teizmie mówił. Dla większéj powagi i solidarności, nigdzie on téż nie przedstawia wiary téj od siebie, ale czyni się niejako tłómaczem i rzekomym, z polecenia własnego mandataryuszem tych wszystkich teistów, których się domyśla.

Zachodzi jednak pytanie, czy w tém *credo* jest wiara, czy przypuszczenie racyonalne?

Pierwszy artykuł téj wiary stanowi to, że jest najczystszą ze wszystkich religii, bo opiera się na rozumie, który prędzéj czy późniéj przemawia do wszystkich ludzi. Onto ukazuje, że świat nie mógł urządzić się sam przez się, oraz że społeczeństwa istnieć nie mogą bez cnoty: ztąd wniosek, że jest Bóg i że cnota jest konieczną [1]). Jestto zatém dowodzenie, nie żadna bezpośredniość uczucia; to wywód, do którego nieustannie zwraca się Wolter, że nie może zrozumieć zegarka bez zegarmistrza; słowem jego teizm, jestto doktryna, negacya ateizmu, dokonywana chłodno i rozważnie, zupełnie tak samo, jak negacya naturalistów, i matematyków, którzy w świecie widzą tylko prawa bez prawodawcy. Wolter oświadcza, że narówni ze Spinozą, przyjmując przyczynę pierwszą, inteligencyę najwyższą, wyrzeka się zrozumienia jéj natury; nie wié, gdzie jest Bóg, „ten wiekuisty geometra," czy w jedném miejscu, czy w każdém bez zajmowania przestrzeni; czy z własnéj substancyi utworzył wszystko; czy jest bezmiernym, bez ilości i jakości: każe Go tylko czcić i być sprawiedliwym. Prawdziwym kultem, prawdziwą pobożnością, prawdziwą mądrością, według niego, jest to, ażeby czcić Boga jako wspólnego ojca wszystkich ludzi bez różnicy i być dobroczynnym; bo religia nie zależy ani na marzeniach kwakrów, ani anabaptys-

[1]) *Histoire de l'établissement du christianisme*, roz. XXVI.

tów lub pietystów, ale na znajomości Istoty najwyższéj, wypełniającéj naturę całą, i na cnocie.

Do czegóż zatém redukuje się cała ta wiara nowa, któréj nowość głosi Wolter przy huku dział i dźwięku fanfary filozoficznéj? Do bardzo staréj treści, a różnica zachodzi tylko w formach. Jestto zatém nic innego, tylko obalenie dogmatów, i żydzi w takim razie mogliby go śmiele ogłosić za swego współwyznawcę lub plagiatora, z wyjątkiem, iż jego moralność teistyczna jest kompilacyą moralności chrześciańskiéj, szczególniéj pod względem braterstwa ludzi mocno zrabowanéj, w innych punktach, stosownie do potrzeby, mocno przetrzebionéj.

Rzeczywiście, całe to *exposé* religijne w *Profession de foi*, ukazuje grunt wspólny wszystkim religiom pozytywnym: Boga; oraz chęć zatarcia różnic, przez zniesienie dogmatów, które są właśnie cechą charakterystyczną tego, co nazywamy religią, czyli wiarą manifestującą się przez kult, oznaczający mniéj więcéj symbolicznie ten stosunek, który człowiek upatrzył między Bogiem i sobą. Pod tym względem zaszedł zadaleko. Oprócz pewnych usposobień wyjątkowych, którym wystarcza cywilizacya i oprócz usposobień apatycznych, obojętnych, człowiek w ogólności potrzebuje takiéj wiary, którąby mu powiadała zkąd on przyszedł i dokąd idzie. On, jeżeli rozumem nie sięga Boga, potrzebuje takiéj wiary, którąby mu Boga wyobraziła; potrzebuje mieć to głębokie i serdeczne przekonanie, że Bóg dopomaga mu w jego ciężkim pochodzie ku spełnieniu przeznaczenia: to dogmat, to związek bezpośredni człowieka z Bogiem, któregoto związku Wolter nie uczuł i nie zrozumiał, a nawet zrozumiawszy przyjąćby go nie mógł, po ogłoszeniu wszelkich tajemnic religijnych, wszelkich podań i zwyczajów, za zabobony.

Z drugiéj strony zapomniał on o tém, że do wszelkiéj wiary łączy się pierwiastek naiwności wszystkim ludziom wspólny, cechujący młodość uczucia, na podobieństwo téj cechy kształtów niezdeterminowanych, a pełnych wdzięku, którą przybierają rośliny w porze kwitnienia. Porę taką przebywa każda jednostka nim przejdzie do ociężałéj dojrzałości, porę taką przebywają masy, które nie dojrzewają nigdy. Naiwność potrzebuje być olśnioną, pociągniętą sercem i wyobraźnią, a wtedy ona ufa, poddaje się, wierzy, jak dziecię rodzicom, gotowe pójść za niemi i w ogień, jeśli oni idą prowadząc je za rękę, pewne, że ich nie sparzy. Do jakiego stopnia naiwność ta trzyma się mas, dowodem społeczność nowéj Ameryki, ukształcona, surowa i trzeźwa w Stanach Zjednoczonych, która mogąc bez żadnego wstrząśnienia albo zgoła pozbyć się religii, albo uformować sobie cześć Boga konwencyonalnego, obstaje przy dawnych wierzeniach albo je modyfikuje, stosownie do swoich wyobrażeń, w formie rozmaitych sekt.

Dla takich usposobień Bóg książkowy na nic się nie przydał, i sam Wolter wiedział o tém dobrze, bo mówił niejednokrotnie, że Bóg filozofów nie jest Bogiem mas. W jakim więc celu głosił swój teizm, jako religią i nadał jéj charakter, określony w *Profession?* Argumen-

ta jego zbyt są wątłe i nienaukowe, ażeby po Kartezyuszu, Spinozie, Leibnitzu i Clarkem, mogły zadowolnić metafizyków; zbyt suche i martwe, ażeby mogły pociągnąć umysły religijne. Ta jedna tylko okoliczność tłómaczyć może z jego strony ten objaw misyi apostolskiéj, że ponieważ Bóg tak mu był potrzebnym w systemacie świata fizycznego i moralnego, iż „choćby nie istniał, to należało go wymyśléć," przeto go wymyślił. Książka téż jego pozostała na wieki wieków literą martwą; próba zastosowania się do niéj podczas Rewolucyi, przez uznanie abstrakcyjnéj Istoty najwyższéj i kult Rozumu, pozostawiła tylko wrażenie śmieszności. Jego socyologia, jeżeli tak możemy nazwać szereg usiłowań reformistycznych, pozostawiła głęboki ślad na gruncie dziejowym; jego teozofia nie pozostawiła za sobą nic.

Na tém cośmy tu wskazali w najogólniejszych zaledwie napomknieniach, ogranicza się mniéj więcéj rola Woltera, jako filozofa, socyologa, polityka i teologa, przedstawiciela, słowem, tych wszystkich idei, które w wieku XVIII stanowiły przedmiot najżywszego zajęcia, wszystkie inne upodrzędniając. Czyż Wolter był sam jeden, który koło nich się krzątał? Widzieliśmy że nie: obok niego stoi mnóstwo nazwisk. Czy z pomiędzy wszystkich był najoryginalniejszym lub najgłębszym? Ani jedno ani drugie: był to uczeń i kompilator, często niekonsekwentny sam z sobą. Dlaczegoż więc nazwisko jego tak niezmiernie góruje nad innemi, że zaledwie jedno przy niém na równi się ostało? Dlaczego on mianowicie w zdaniu ogółu zestrzeliwa w sobie wszystkie pierwiastki swojego wieku? Dlaczego na jego mianowicie głowę spadają słowa admiracyi i gromy przekleństw?...

Wszystko to pochodzi z przyczyn rozmaitych. Nasamprzód przy talencie pisarskim, który niémiał równego sobie współcześnie, a i późniéj rzadkie tylko porównanie nastręcza; wziąć trzeba na uwagę jego nadzwyczajną płodność, mogącą wyczerpać kilku wielce uposażonych ludzi, rozmaitość form w jaką myśli swoje owijał, powtarzając się nieustannie, a nigdy bezbarwnie, nigdy zatém nie pozwalając myśli ludzkiéj zasypiać, a trafiając do umysłów rozmaitéj skali i przezto się popularyzując. Powtóre: wszyscy niemal spółcześni mu pisarze, głębsi od niego, bylito ludzie gabinetowi, spokojni, którzy myśli swe przedstawiali w sposób teoretyczny, zwysoka, co najwięcéj produkowali się w ścieśnioném kółku salonów i potrzebowali dopiéro komentatorów, ażeby dojść do mas. Wolter był komentatorem sam sobie: czego nie dopowiedział w traktacie, wygłosił na scenie, w romansie, w satyrze, w wierszyku ulotnym, w pamflecie. Nadto, dzięki poczynionym stosunkom, ideje wprowadzał częściowo w praktykę, wdawał się osobiście, pełno go było wszędzie. Jego podróże po dworach, korrespondencya olbrzymia, od czasów Cycerona niesłychana, czyniły go głośnym zarówno jak jego dzieła, nietylko w kraju, ale i zagranicą. Potrzecie: Wolter swemi przymiotami osobistemi przewyższał wszystkich uczonych swojego wieku; gentlemen skończony, wytworny, wymowny, towarzyski (czego mu zawsze zazdrościł Rousseau), imponował drugim; siłą dowci-

pu i złościwéj ironii steroryzował każdego, czyto na piśmie, czy ustnie, zarówno jak każdego zjednać potrafił uprzejmością i przymileniem. Do tego wszystkiego dodajemy nareszcie, że w pismach swych nie cofnął się nigdy przed skandalem, który po wszystkie czasy miał przywilej robienia rozgłosu, a będziemy mieli pewną miarę wyższości, nadaną mu przez współczesnych, któréj spokojny rozbiór dzieł jego, z pewnéj odległości uczyniony, dostatecznie nie usprawiedliwia, ale która w swoim czasie mogła być tém za co ją podawano; jeżeli bowiem nie w głąb, szła bardzo daleko wszerz, tak daleko, że nikt zgoła za nim podążyć nie mógł, co istotnie uznać można za potęgę ogromną swojego rodzaju, jako wywierającą wpływ wstrząsający na masy. Głos jego był owym rykiem lwa, na który drżą dokoła wszystkie istoty leśne: wszelkie téż głosy, jakie współcześnie odzywały się przeciw niemu, kiedy przemawiał, wydają się beczeniem owiec, zwłaszcza jeżeli wychodzą zpod sukni obryzganéj krwią ofiar heretyckich.

* * *

Ale oprócz sławy filozofa *sui generis*, Wolter ma sławę historyka i poety.

Wieki przeszłe pozostawiły Francyi ogrom materyału historycznego w postaci roczników i pamiętników, zabytek uczoności i skrzętności benedyktyńskiéj, zabytek szacowny i chwalebny, do którego nowe skarby dokładali i pisarze XVIII wieku, kontynuatorowie poprzedników, jak: Mabillon, Montfaucon, Ruinart, Lobineau i inni. Historyi w ściślejszém znaczeniu nie było. A jeżeli jeden Bossuet wzniósł się aż do obszerniejszéj całości, zato punkt wyłącznie religijny, z którego zapatruje się na dzieje, sprowadził go do uważania historyi politycznéj tylko za dopełnienie historyi kościelnéj. Co większa, historya za poprzednich panowań, jakakolwiek wreszcie była jéj wartość pod względem metody, przyjęła na siebie smutną rolę chwalczyni urzędowéj, a nikczemność dworacza dochodziła do tego stopnia, że Gomberville proponował na seryo w r. 1620, ażeby sami tylko królowie mieli prawo kazać pisać historyą i ażeby żywcem ze skóry odarty był każdy, ktoby sobie tego pozwolił bez upoważnienia [1]). Wielki zatém był czas utworzenia jakiéjś metody bliższéj charakteru umiejętności i z tym téż zamiarem wystąpił Wolter.

Metoda jakiéj chwycił się on w historyi, jest tą samą, która przewodniczyła jego filozofii. Jak ze wszystkich innych okazyi, tak i z tego uczynił on sobie broń dla swéj idei głównéj, poza którą jakby umyślnie nic widzieć nie chciał, a ztąd sądy jego to stronne, to jednostronne, to fałszywe, nakręcane do myśli *a priori*. Nie uczynił on wyboru między krasomówstwem wielkich wieków literackich Tucydydesa i Tacyta, a naiwnością czasów pierwotnych, ale historya za jego sprawą stając się poważną, przybrała charakter opozycyjny i epigramatyczny: zamiast wizerunków począł kreślić karykatury. Schlegel powiada o nim, że

[1]) Cantu; księga 17, roz. 8.

nietyle zaszkodził swoją bezbożnością, jak tym fałszywym duchem, który rozprzestrzenił w historyi. Tam gdzie jednak chodzi o malaturę, gdzie wypadki tłumaczą się z natury swéj w samém opowiadaniu, gdzie badacza i myśliciela pochłania niejako artysta, okazał się nieporównanym żywością słowa, malowniczością obrazowania, prostotą środków, dochodzącą wszakże niekiedy aż do zapału. Te dodatnie strony jego talentu jaśnieją najwydatniéj w monografii zwanéj *Historyą Karola XII*, gdzie autor nie zdoławszy ze stanowiska historyka usprawiedliwić wojny, do najwyższego jednak stopnia przejmuje sympatyą dla swego wojowniczego bohatéra, z którego uczynił postać godną epopei [1]).

Ale co Wolter zyskał na *Karolu XII*, utracił na *Piotrze Wielkim*, utworze więcéj gadatliwym niż epickim.

Nic wszakże bardziéj nie usprawiedliwia zdania Schlegla o historyzmie Woltera, jak jego *Wiek Ludwika XIV*. Powiedzieliśmy już niejednokrotnie, że reformator ten, rzucający się z całą zajadłością na religią, z obawy zapewne, ażeby go nie spotkał los proponowany przez

---

[1]) Z powodu krytyk, jakie wzniecila ta książka w pierwszéj swéj edycyi (genewskiéj), król Stanisław Leszczyński, wówczas już książę Lotaryngii, rozkazał ministrowi swemu, hrabiemu de Tressan, napisać świadectwo następujące.

„My, naczelny wódz armii królewskiéj, wielki marszałek nadworny najjaśniejszego króla Polskiego, dowódca w Toulois, Barrois i t. d., zaświadczamy, że jego królewska mość, po przeczytaniu *Historyi Karola XII*, napisanéj przez p. de Voltaire (ostatnie wydanie genewskie), pochwaliwszy styl téj historyi, podziwiając rysy cechujące wszystkie dzieła tego znakomitego pisarza, raczył oświadczyć nam, iż gotów jest wydać świadectwo panu de Voltaire, potwierdzające istotną prawdziwość faktów zawartych w téj historyi. Monarcha ten dodał, że p. de Voltaire nie pominął, ani nie przekręcił żadnego faktu, żadnéj okoliczności ważnéj, że wszystko jest prawdą, że wszystko jest we właściwym porządku w téj historyi, że mówił o Polsce i o wszystkich wypadkach, jakie tam zaszły, jak gdyby był ich naocznym świadkiem. Zaświadczamy również, że monarcha ten rozkazał nam napisać natychmiast do p. de Voltaire, by mu zdać sprawę z tego cośmy usłyszeli, oraz zapewnić go o jego szacunku i przyjaźni.

„Żywe współczucie, jakie mamy dla sławy pana de Voltaire i to jakie każdy uczciwy człowiek powinien mieć dla wszystkiego co potwierdza prawdziwość faktów w historyach współczesnych, skłoniło nas do tego, ażeby upraszać króla Polskiego o pozwolenie posłania panu de Voltaire formalnego świadectwa o tém wszystkiém, co jego królewska mość oświadczyć nam raczył. Król Polski nietylko pozwolił, ale nawet rozkazał nam posłać z prośbą do p. de Voltaire, ażeby on uczynił zeń użytek, ilekroć uzna za właściwe, czyto załączając je, czy drukując i t. d.

Dan w Commercy, dnia 11 lipca 1759 roku,

podpisano: *Hrabia de Tressan.*

Gomberville'a, trzymał się bardzo oględnie względem władzy politycznéj, w żadnym razie niechcąc jéj sobie narazić, przeciwnie, opieki i spółdziałania pod jéj skrzydłami szukając. Owoż, ażeby zamanifestować niejako swoją prawomyślność monarchiczną, w chwili gdy inni pisarze, mniéj zajmujący się kwestyami religii, śmiałe poczęli przeciwko instytucyi rządowéj wymierzać pociski, z których pachniało republiką: ażeby wyprzéć się solidarności z podobnemi objawami, których śmiałość przestała mu się podobać, bo mu odbierała część oklasków; ażeby przeciwważyć wpływowi Russa, Wolter pisze istny panegiryk *wielkiego monarchy*. Nie sięga on tam do głębi rzeczy, nie wytyka zmiany jakie zaszły w obyczajach, nie powiada czy sprawiedliwemi były prowadzone podówczas wojny, albo nie; milczy o strasznéj ruinie ekonomicznéj, jaka wynikła z zarządu krajem, wielbi tylko, podziwia wielkość, wyszczególnia chwały pisarskie, zdobiące tę epokę, względem któréj cała przeszłość Francyi była, zdaniem jego, barbarzyńską. Pod względem metody nic bardziéj przeciwnego kompozycyi historycznéj jak to jego dzieło. Plan zamiast przenikać całość, rozpada się na części najluźniejsze. Zrazu idą wypadki polityczne, potém anegdoty dotyczące prywatnego życia monarchy, następnie kwestye finansowe, stan nauk i sztuk, nareszcie sprawy kościelne; wszystko to poprzegradzane rozdziałami, bez względu, że objawy życia łączą się ściśle jedne z drugiemi, stanowią jedne drugich przyczynę albo skutek. Historyk angielski Gibbon uważa to dzieło, z tego mianowicie względu, za zupełnie chybione; niemożna mu jednak odmówić wartości materyału, nie podziwiać barwności i stylu.

Tak wychwalane przez Villemaine'a jego: *Essai sur les moeurs et l'esprit des nations* (*O obyczajach i duchu narodów* [1]), jest dziełem erudycyi olbrzymiéj, ale bez krytyki ściśle historycznéj. Najmocniéj w niém wydatnieje ten *esprit de système*, tak przeciwny bezstronności krytycznéj; czego autor nie lubi, to najmocniéj gani. Na zasadzie troskliwie zebranego i przejrzanego materyału, potrafił on wybornie scharakteryzować tam pewne instytucye, ale ocenienie ich względnie do ducha czasu pozostawia wiele do życzenia. Ponieważ kocha on ludzkość w pewien sposób, przeto nie może ani zrozumieć, ani wytłómaczyć pewnych epok koniecznych do jéj rozwoju, ale przeciwnych jego ideałowi wytworności i wolnomyślicielstwa. Ztąd średniowieczność, ten długi i bolesny moment przejściowy, wzbudza tylko jego pogardę i gniew; oświadcza on, że pierwsze wieki naszéj ery „nie więcéj zasługują na opisanie, jak dzieje niedźwiedzi i wilków." Rozumié się, że historyk tak się zapatrujący na rzecz, schodzi ze stanowiska sędziego, a przyjmuje rolę satyryka i spóźnionego pamflecisty. Co zaś, według

[1]) „I dziś jeszcze, pod względem historyi ogólnéj świata nowoczesnego, niéma książki tak trwaléj, jak *Essai* Woltera"—powiada Villemain w swéj *Historyi literatury wieku XVIII.* Nie pojmujemy tego zdania wobec tylu prac źródłowych niemieckich i angielskich.

nas, zabija całą wartość historyozoficzną dzieła, to ta dziwna w tak wysokim umyśle nieoględność na prawo przyczynowe i jakaś skłonność przypisywania wielkim wypadkom przyczyn błahych. Zamiast szukać związku objawów w naturze rzeczy i wyprowadzać jedne z drugich w sposób genetyczny, Wolter chwyta zjawiska powierzchowne i łączy je arbitralnie, przeskakując przez szereg związków istotnych, a tym sposobem mistrzem kolei ludzkich czyniąc prosty przypadek. Przypadek wytwarza religie u ludzi przerażanych potęgą jakiegoś kataklizmu; przypadek, sprowadzający jakiegoś pielgrzyma do Jerozolimy, wytwarza krucyaty; przypadek, mocą którego Nazarejczyk umiera na krzyżu, burzy wzniosłą budowę cesarstwa rzymskiego i t. p. Tak był jakoś po manijacku skłonnym Wolter oddawać przypadkowi w ręce zdarzenia najważniejsze, że nie pamiętam w którém już piśmie nastroju humorystycznego, powiada, iż gdyby komuś nie była się noga powinęła w Indyach, to Ravaillac nie byłby zabił Henryka IV, a tém samém, że Europa przybrałaby inną postać...

Cóż dopiéro mówić o jego *Filozofii historyi*, którą podał za wstęp do swojego *Essai*. Toż to urywek nawet niegodny wspomnienia, pełen błędów, cytat naciąganych, ustępów cechujących najgrubszą nieświadomość, a wszystko to przeplatane żarcikami tak plugawemi, że nie wiem co w tym urywku bardziéj jest do potępienia, czy nędzota treści, czy obrzydliwość formy. Słowem, oddając całą sprawiedliwość stronie erudycyjnéj i pragmatycznéj prac historycznych Woltera, nie możemy dopatrzéć w nich ani na chwilę wzoru historyi i nie sądzimy, ażeby oneto posłużyły za punkt wyjścia do tych prac, które w dalszym przebiegu nauki postawiły ten przedmiot na stanowisku dzisiejszém. W każdym jednak razie, zaprzeczyć tego niepodobna, że pisarz ten był pierwszym historykiem Francyi, który, bez względu na złą metodę, usiłował przynajmniéj poddać tę gałąź piśmienniczą badaniu naukowemu: zbierał materyały, zaglądał do źródeł, krytykował z pewnego stanowiska, czego nikt tam przed nim, prócz Bossueta, nie czynił, tak iż traktowanie historyi, jako nauki, od niego właściwie datuje się we Francyi.

Umysł Woltera był uniwersalnym i chwytał doskonale stosunki, te zwłaszcza które się odnosiły bezpośrednio do życia spółczesnego. Nie było kwestyi, którejby nie dotknął, a ten jego *bon sens*, na którym głównie w rozumowaniach swych polegał, pozwalał mu z jakiegoś pierwszego lepszego szczegółu wyprowadzić zasadę, obgadać ją logicznie i wyprowadzić z niéj wnioski znakomite. Chodziło tylko o to, czy z dobréj strony spojrzał na ten pierwszy szczegół, mający być przedmiotem jego analizy i czy go widział takim, jakim jest istotnie. Że nie bywało tak zawsze, dowodem są rozmaite okoliczności jego długiego zawodu pisarskiego, najgłówniéj to, że przeciwko czemu walczył najwięcéj, czyli religia chrześciańska, mniéj straszną wydała mu się w końcu niż na początku. Dowodzi téż zbyt powierzchownéj i pobieżnéj obserwacyi pochwała, udzielona Regentowi w pierwszych latach jego

zarządu, do którego przywiązywał wielkie nadzieje; dowodzi jego zdanie o Szekspirze, przywiezione z pobytu w Anglii. „Szekspir, powiada on, ten Corneille londyński, zkądinąd wielki waryat, podobny jest raczéj do Gillesa, niż do Corneille'a; ale ma kawałki przedziwne [1])." Nazwać wieszcza angielskiego waryatem, porównać go do lichego komedyoroba, nie dostrzedz w nim téj głębi filozoficznéj i poetycznéj, jaka widnieje w najmniejszym urywku, znaczyłoby to nie być samemu ani filozofem ani poetą. Tymczasem jestto prosta pomyłka, pochodząca ztąd właśnie, że Wolter, czyniący często obserwacye z żywością uczucia i wrażenia, niéma czasu do namysłu, zobaczy błędnie, a nie poprawiwszy spostrzeżeń, snuje na nich rozumowanie doskonałe, tylko że z fałszywym rezultatem, bo na fałszywéj podstawie oparte. Jak Szekspira nazywa waryatem, tak Danta mieni barbarzyńcą, może dlatego, że pisał w wiekach średnich i teologicznie. Ten jednak, który z jakiegobądź powodu nie poznał się na dwu najwyższych wieszczach nowego czasu, sam jest znakomitym poetą swojego wieku, wprawdzie mało poetycznego a zabsorbowanego prawie wyłącznie surową praktyką polityczno-socyalną. Pisarz wytworny, potrafił on utrzymać środek między napuszystością i trywialnością; energiczny i umiarkowany, naturalny i poprawny, stylowi zawdzięcza wielką część swoich powodzeń. Nie powiemy, ażeby poezya jego była bezpośrednim wylewem gieniuszu nieświadomego siebie, ażeby nakształt Getego lub Bajrona przychodziła z nowém światłem pomysłów i form, ażeby stanowiła nowy zwrot w kierunku wyobraźni ludzkiéj; ale na starych tematach i starych formach oparta, wcielając w nie ideje swojego wieku, pobłyskuje iskierkami indywidualności niepospolitéj, na tle dostarczoném przez poezyą wieku poprzedzającego.

Zawód poetycki rozpoczął on, jak wiemy, od teatru, który, dzięki trzem poprzednim dramaturgom, stanowił wówczas najwyższą chwałę literacką Francyi. Rzucił się więc odrazu młody Wolter na tor najświetniejszy, by uzyskać od pierwszego wystąpienia inwestyturę poety. W tym celu wszedł on, ze swym *Edypem* w ręku, pomiędzy Sofoklesa i Corneille'a; tylko że stylem dorównywając pierwszemu, przerażającą prostotę greckiego wieszcza werniksuje elegancyą konwencyonalną, a surowéj i uczciwéj Jokaście, wprawia w serce śmieszną miłość dworską dla Kreona, przez co zabija wszystko co było najpiękniejszego w temacie, osnutym na *fatum*. Była to pierwsza jego praca, któréj kierunek zgoła fałszywy, nie opłacił się kilku scenami charakteru wzniosłego; a jednak na publiczności dobre zrobiła ona wrażenie.

Po powrocie z Anglii, rozpoczął nanowo studya dramatyczne, a to pod wpływem tych wrażeń wolności, jakiemi przejął go widok tamecznych instytucyi. Wtedyto kolejno ukazały się tragedye: *Brutus* i *Śmierć Cezara*, szkice szlachetne i czyste, nakształt *Katona* Adyssonowego, w których znowu piękność niektórych charakterów, nie

[1]) *Corr. gén.* t. I, list 157.

okupuje braku uczucia i życia. Tedy Wolter, zmiarkowawszy te braki, namyśla się widocznie, dotyka uczuć najgłębszych natury ludzkiéj, kreśli czułość macierzyńską, miłość heroiczną, nieszczęśliwą, zazdrosną, zrozpaczoną, uderza częstokroć silniéj niż trafniéj, częstokroć nie wykończa planu należycie, ale naciska na widza nagłością sytuacyi, scenami patetycznemi, byle go w jakibądź sposób poruszyć. I otóż powstaje *Alzyra* (1736 r.), *Meropa* (1743 r.), *Tankred* (1760 r.), nad któremi jednak, zdaniem naszém, prym trzyma najwcześniejsza (1732 r.) *Zaira* i o niéjto sam powiada autor [1]). „Postaram się rzucić w to dzieło wszystko, co w religii chrześciańskiéj zdaje się być najpatetyczniejszém i najwznioślejszém, a co w miłości jest najczulszém i najokrutniejszém. Zajmie mi to pół roku czasu: *quod feliæ, faustum, musulmanumque sit.*" Dziwna rzecz, że najlepszemi, a przynajmniéj uczuciem poetyczném najprawdziwszém tchnącemi tragedyami Woltera, są te dwie, które osnuł na niecierpianéj przez siebie religii chrześciańskiéj. Nie możemy tu rozpościerać się nad wartością pojedyńczych jego utworów dramatycznych, którym częściowo nie zbywa na poezyi i akcyi: po latach stu od śmierci twórcy, interesuje nas jedynie charakterystyka główna twórczości. Pod tym względem Wolter nie zajmuje żadnego miejsca wydatniejszego. Jego dramat, to przeważnie tendencyjność filozofii spółczesnéj. Onato wprowadza tam te tyrady deklamacyjne, te wiersze efektowne, oklaskiwane w swoim czasie, a dziś zimne jak wypalone węgle; onato wreszcie popycha autora po téj spadzistości, wiodącéj od czasów jeszcze Corneille'a, tragedyę francuzką ku abstrakcyi. Nie zdobywszy się na żaden kierunek nowy, Wolter schwycił za koturny, porzucone przez pierwszego mistrza, nie przejąwszy jego prostoty i zapału poetycznego, a bez względu na wszystkie swe przedmowy, protestujące przeciwko tragedyi dawnéj i zapowiadające reformy, idzie sam w kierunku przez innych wytkniętym. Żywioł historyczny, barwa miejscowa, indywidualność charakterów, zacierają się u niego coraz bardziéj, pozostawiając na scenie intrygę idealną, obracającą się w próżni, jak zagadnienie matematyczne, oczekujące rozwiązania: jego osoby, są to sytuacye raczéj, czasami charaktery, ludzie nigdy. Zamiast subtelnych studyów nad sercem ludzkiém, Wolter dba więcéj o zadosyćuczynienie gustowi publiki, bez tych jednak skrupułów sumienia artystycznego, jakie miał pod tym względem Racine, dba o efekta teatralne, o urok dekoracyjny, o frazesy deklamatorskie, o wyrażenia namiętne, więcéj niż o prawdę wiekuistą, a o sukces natychmiastowy więcéj niż o nieśmiertelność. Nie stawszy się więc żadnym przyczynkiem do budowy sztuki w swoim czasie, tragedya Woltera dla nas, ludzi dzisiejszych, jeśli nie zbiorem pięknych aleksandrynów, jest zgoła niczem.

Takiż sam charakter i taki sam rezultat jest jego epopei. „Ja, ażeby zostać nieśmiertelnym, napisałem *Henryadę*," skromnie powie-

[1]) *Corr. gén.* list 57.

dział o sobie Wolter. Dość ją porównać z *Iliadą*, ażeby odkryć w niéj wszystkie warunki przeciwne nieśmiertelności: inni to ludzie, niż Wolter, tworzą *Iliady*. Potrzeba wierzyć z całą naiwnością i kochać zapamiętale bez zdawania sobie sprawy dlaczego, ażeby zostać bardem swego narodu. Nie wiekto XVIII mógł być pepinierą dla takich uczuć; nie pyszne i egoistyczne serce Woltera ich skarbnicą. Jego wzgarda dla religii nie pozwala mu szukać tematu epickiego w czasach poetyckich; on udaje się poń do czasów analizy i znajduje bohatéra, popularnego wprawdzie, ale zgoła niepodatnego do celów epopei. O ile téż *Iliada* jest natchnioną, o tyle *Henryada* robioną, układaną według wszelkich reguł z których wywiało życie, z całym ceremoniałem epicznym, na kalce *Eneidy*. Jest tam i burza i opowiadanie i heroina opuszczona, zstąpienie do piekieł, przepowiednia dobréj i złéj doli, brakuje tylko oryginalności, podniesienia tych złudzeń do stanowiska prawdy i możności odczucia jéj przez społeczność z gruntu sceptyczną i od wszelkiéj naiwności daleką. Tego braku żywiołów podstawowych nie zastąpią rozprawy w niebie o tolerancyi i o grawitacyi Newtona, o rzeczach politycznych i społecznych, ani wystawy uczuć wzniosłych: jako dzieło rozumu, *Henryada* ma wartość niepospolitą; żadną, jako dzieło poezyi.

Czyż wreszcie zdolnym był, czy godnym był jąć się arfy barda narodowego, człowiek, który śmiał z duszy swéj wyrzucić takie plugastwo, jak: *Pucelle d'Orleans?* Otóż, w téj jednéj okoliczności widzimy cały stosunek umysłu Woltera do poezyi narodowéj. Przypuściwszy nawet, że wiek XVIII nie byłby przeciwnym nastrojowi poetyckiemu w kierunku epickim i gdyby znalazł się poeta zdolny odczuwać uczuciami wieków zamierzchłych, to pominąwszy pierwotne dzieje Francyi, epoki Faramondów i Martelów, przeniknione nawskroś zapachem poezyi bohaterskiéj, poeta ten, powiadamy, upadłby na kolana przed takim tematem, jaki przedstawia Joanna Darc. Wolter z tego tematu, mieszczącego tyle podniosłości, tajemnicy i ofiary, około którego wirują złocistym pyłkiem wszystkie uczucia narodowe, wszystkie wspomnienia patryotyczne, uczynił śmiecisko, orgię brutalną szyderstwa i złościwości; a jako francuz sprawił się tak, jakgdyby który z nas plunął w twarz Kordeckiego. Jednakże miejmy wyobrażenie, czém była ówczesna społeczność francuzka:—dzieło to, ta świętokradcza względem narodu epopeja, zrobiła autorowi wielką reputacyę w towarzystwach, które edukacyą swą odbyły na wieczorynkach Regenta.

Na wzór Pope'a tworzył Wolter rozprawy wierszowane, które zawierają wszystkie piękności, jakich oczekiwać można po moralności bez religii, po metafizyce bez wiary. Uczą one nie poruszając serca; wskazują prawidła życia, lepszym człowieka nie czyniąc. Jego satyry posiadają werwę znakomitą, a lubo niemają ani męzkości Juwenala, ani dobroduszności Krasickiego, lepiéj, zdaniem naszém, przedstawiają swój gatunek poetyczny, niż odnośnie wszystkie inne jego utwory poe-

tyckie, i dzisiaj też jeszcze, zarówno z satyrami Horacego, posiadają znaczenie artystyczne, realne. Toż samo rzecby można o wszystkich niemal jego wierszykach ulotnych, a pełnych eleganckich i dowcipnych obrotów, jakotéż o jego rozkosznych romansach, pełnych tendencyi zgodnéj z wiekiem, ale i pełnych wdzięku literackiego.

Ze wszystkiego zatém, cośmy w tym pobieżnym szkicu zdołali streścić, przychodzimy do przekonania, że Wolter niémiał na żadnéj drodze żadnych pomysłów twórczych i oryginalnych: jego filozofia, to eklektyzm sensualistyczny angielski, pomieszany bezładnie z idealizmem; jego deizm, który miał niefortunny zamiar podstawić na miejsce wszystkich religii, to także deizm angielski; jego polityka pożyczaną jest u rozmaitych źródeł spółczesnych lub poprzednich; jego nawet pojedyńcze środki ekonomiczne lub prawne, nie usprawiedliwiają pierwszeństwa przypisywanego im przez niektórych historyków mniéj świadomych rzeczy: jego historya, jako metoda badania, przedstawia zaledwie usiłowanie, a jego poezya jest głosem raczéj konającéj rutyny, niż przedśpiewem nowego zwrotu. Nigdy téż on nie stanowił ani stanowić nie może w nauce i sztuce źródła, punktu zwrotnego, do którego cofają się w swych badaniach krytycznych wieki, dla wytłómaczenia sobie początku jakiejś idei lub związku jednéj z drugą, tak jak w nauce zwracają się do Ptolomeusza, Kopernika lub Newtona, do Vico lub Smitha, w poezyi i sztuce do Fidyasza, Sofoklesa, Danta lub Szekspira, w filozofii do Arystotelesa lub Kanta, choćbyśmy nawet, dla porównania z Wolterem, jeszcze o połowę i więcéj wysokość téj skali zmniejszyli. Wolter jestto umysł obszerny, wysoko asymilacyjny i posiadający niesłychaną moc odśrodkową, popularyzacyjną. Potęga jego nie leżała w twórczości, ale w umiejętném rozrobieniu myśli zkądbądź zaczerpniętéj i w słowie.

Nie przedstawiając tu rozwoju człowieka pod względem jego istoty, oraz na tle stosunków wiekowych, ale wskazując tylko poza człowiekiem ducha jego dzieł, niémamy prawa mówić ani czarno, ani biało o jego charakterze czysto ludzkim, który i dziełom zarazem pewną barwę nadaje. Dzieła jego są przeważnie i w wysokim stopniu *filantropijne*, bez względu na cały sarkazm, drwiny, żółć i jad, któremi je autor obryzguje, szydząc i żartując wtedy nawet, kiedy mówi o Bogu i cnocie. Czy jego apostolstwo filantropii było wynikiem miłości, czy nienawiści *respective* wziętych, niémamy prawa sądzić; trudno wszelako zamilczéć o tém, że niéma śladu, ażeby człowiek ten rzeczywiście kochał kogobądź indywidualnie, chociaż z wielu ludźmi żył na dobréj stopie; natomiast ślady niewdzięczności i egoizmu napotykamy często. Dość wreszcie spojrzéć na to oblicze suche i zimne, na te usta ścięte, do których zda się przyrósł śmiech szyderczy, sataniczny, ażeby sobie zrobić wyobrażenie o charakterze człowieka. Ten śmiech szyderczy, dochodzący aż do cynizmu, a przez starego waryata poetycznego, dla efektu słów, porównany do łez Chrystusa, to charakterystyka istoty Woltera. Przychodzimy więc do tego raczéj, że

Wolter kochał ludzkość, ale abstrakcyjnie, czyli kochał w niéj swoję ideję, tak jak lekarz, jako lekarz, kocha subjekty dozwalające mu walczyć przeciw chorobie, którą środkami nauki usiłuje tępić. Cały wreszcie wiek XVIII przepojony jest wiarą i miłością pewnego postępu nieskończonego, który ma przeistoczyć ludzkość: i syn wieku, Wolter, dzieli tę wiarę i tę miłość swojego rodzica. I wszystkie też jego zajęcia kierują się ku temu postępowi społecznemu. Pragnie on go, wywołuje. Błądzi w tém całe życie, iż urzeczywistnienie tego postępu odnosić chce do jednéj osoby, zamłodu do Regenta, w czém się srodze omylił; na starość do ministra Turgota, do którego na trzy lata przed śmiercią stosuje ten wiersz [1]):

Contemple la brillante aurore
Qui t'annonce enfin les beaux jours:
Un nouveau monde est près d'éclore!

(Spojrzyj na świetną jutrzenkę, która zwiastuje ci nareszcie piękne dni: wybłysnąć ma świat nowy).

Błądzi w środkach, chcąc religię zastąpić filozofią i filantropią. Pomimo nadużyć i szaleństw, jakie działy się w imię i pod maską religii, pokolenia wychowane przez Woltera wróciły do ołtarzów, przez jego przyczynienie się obalonych. W tym ruchu reakcyjnym, w tym powrocie, widzimy wskazówkę czystszą i wznioślejszą, niż proste zamiłowanie w zabobonie lub nikczemną chęć wyzysku: widzimy potrzebę wiary. Filozofia Wolteryańska nie czyniła zadość téj potrzebie wiary w Boga dobrego i sprawiedliwego, w opatrzność, w nieśmiertelność istot, i przeto zastąpić nie mogła religii. Ludzie nigdy nie odstąpią wiary, jakkolwiekby ona była niedoskonałą, dla nicości; wolą miéć jakiekolwiek schronienie przeciw dolegliwościom życia, niż żyć bez żadnego namiotu i obrony w czasie burz, idących z wewnątrz i z zewnątrz. I zawsze oni pójdą raczéj za tym, który serdecznie kochającym głosem zawoła: „pójdźcie do mnie, wy, którzy cierpicie, a ja was przytulę;" niżeli za tym, który w niedoli życia ukaże im formułę abstrakcyjną w zimnym rozumie wylęgłą. Filantropia, miłość pomiędzy ludźmi, jedna z podstaw religii chrześciańskiéj, nie zastąpi i nie wyręczy drugiéj; tak jak miłość między braćmi nie wypełni idei rodzinnéj, jeżeli się nie zestrzeli w miłości ojca. Nie posiadał takiéj pochodni wspólnéj świat filozoficzno-pogański i przeto dzielił się na wolnych i niewolników: podział ten słabiał coraz bardziéj w prawodawstwach świata chrześciańskiego i pomimo całego oporu obłudy i złéj woli, upadł.

Wolter trafił właśnie na taki opór i na taką złą wolę. Uczuł zbliżającą się porę do zadania ciosu stanowczego, stanął do szeregu z innymi żołnierzami wyzwolenia i wymierzył cios najsilniejszy. Ja-

[1]) Sur le passé et le présent.

kiekolwiek były pobudki tego popędu, czyn jego domaga się wdzięczności, a winy przebaczenia, bo pomimo obelg, rzucanych na religią chrześciańską, przyczynił się on na drodze prawodawczéj do urzeczywistnienia tego jéj postulatu, który głosi zbratanie się ludzi, a krzywdy wzajemne potępia.

---

# PRZEGLĄD
# LITERATURY BELETRYSTYCZNÉJ
## za rok 1879.

PRZEZ

*Waleryę Marrené.*

*Aurelian*, Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.—*Lublana*, *Bratanki*, Józ. Ig. Kraszewskiego.

Dzieje powieści byłyby ciekawe do skreślenia, gdyż dzieje te obejmują historyą rozwoju niektórych stron umysłowych i moralnych ludzkości. Pierwsze ślady powieści jakie spotykamy, były to tylko marzenia dziecinnéj wyobraźni, marzenia pełne cudotworności, epizody zastosowane do pojęć chwili, w któréj nie kuszono się o zrozumienie ani zjawisk wewnętrznych, ani zjawisk otaczających, gdy wśród młodzieńczego świata rozpościerały się swobodnie tajemnicze siły demonów, dobrych duchów, nimf, rusałek, czarodziejów, rządziły swawolnie losami pojedyńczych ludzi i czyniły sobie z nich igraszkę.

W owéj dobie ludzkości, ludzie pierwotni żyli stokroć więcéj ciałem i krwią niż nerwami i myślą; nie mogli posiadać zatém tak różnorodnych indywidualności, tak skomplikowanych charakterów i tak subtelnych uczuć, a co najważniejsze, nie nawykli byli badać, analizować, zdawać sobie sprawę z samych siebie; nie mieli ku temu nawet stosownego narzędzia w języku, któremu brakło zwykle całego szeregu wyrazów na oddanie gammy odcieni nieistniejących jeszcze.

Powieść więc była wówczas, czém być mogła i musiała; nie wewnętrznym wizerunkiem walk myśli i uczuć, ale wprost zewnętrznym obrazem zetknięcia człowieka z okolicznościami mniéj więcéj dziwnemi, stosownie do stopnia wyobraźni autora. Człowiek nie był sprawcą i motorem, tylko motywem dramatycznym powieści, a sam co naj-

więcéj reprezentował jeden ujemny lub dodatni przymiot: naprzykład był stałym, dobrym, wiernym albo téż przewrotnym lub okrutnym.

Autor nie kłopotał się o to bynajmniéj, ażeby naznaczyć go odrębną indywidualnością; dawał mu imię powiększéj części pięknie brzmiące i to starczyło na odróżnienie go od wszystkich innych bohatérów powieści, których złośliwe losy czy téż potęgi rządzące losami, oddzielały od przedmiotu ich zapałów, legalnych prawie zawsze, bo w starożytnéj powieści pełnéj awantur i katastrof, bohatérami byli niezmiennie młodzieniec i dziewica, albo téż para młodych małżonków, którym jakieś zazdrosne potęgi nie dozwalały używać szczęścia spokojnie.

Wiarołomstwo i wszystkie inne okoliczności stanowiące tło dzisiejszéj powieści, dlatego właśnie że rodzą walkę wewnętrzną, były to czynniki zgoła nie potrzebne tam, gdzie interes cały leżał nie na wewnątrz ale na zewnątrz człowieka, gdzie uczucie, w właściwém nowożytném tego słowa znaczeniu nie istniało wcale.

W starożytności namiętność była gwałtowną, jak zwykle u ludów pierwotnych; istniało silne poczucie praw głowy rodziny względnie do innych jéj członków, poczucie obowiązków młodszych dla starszych, dzieci dla rodziców, nawet kobiety dla małżonka i pana; ale wszystko to jeszcze nie było właściwém uczuciem, a jeśli przebłyski czegoś podobnego pokazują się niekiedy na szczycie cywilizacyi greckiéj i łacińskiéj w pojedyńczych osobnikach, jestto objaw zbyt indywidualny a nawet zbyt rzadki ażeby mógł znaleźć miejsce w powieści i stać się jednym z jéj czynników.

Stan społeczny kobiety szedł w parze z temi znamionami pierwotnego ustroju. Była ona rzeczą kupioną przez męża, w obliczu prawa i obyczaju, wiecznie bezwłasnowolną. A jeśli kiedykolwiek wbrew prawom i obyczajom podnosiła się w hierarchii moralnéj, nie działo się to nigdy za sprawą miłości. Jako żona, matka, obywatelka, przy nadzwyczajnych przymiotach i nadzwyczajnych okolicznościach, mogła nabrać przypadkowego znaczenia, nie nabierała go nigdy prawie jako kochanka. I nic dziw, miłość była namiętnością, niekiedy fatalizmem, dopustem Bogów, jak to widzimy w *Fedrze:* nie była nigdy uczuciem.

Dobijano się niejednokrotnie o piękną kobietę, jak np. o trojańską Helenę, ale miłość w dzisiejszém tego słowa znaczeniu, miłość pełna subtelności, odcieni, poszanowania i czci nawet, nie pojawia się wcale w starożytnym świecie i pojawiać się nie może na ówczesnym szczeblu cywilizacyi.

Kobieta jest koniecznym współczynnikiem powieści; ażeby więc ta gałąź literatury rozwinęła się stosownie, potrzeba było długiego szeregu wieków, w którychby wyrobiły się obyczaje a uczucia dosięgły takiego stopnia subtelności, by mógł się na nich skupić cały interes dramatyczny z zaniechaniem wszelkich zewnętrznych czynników.

Bujny rozrost powieści idzie w parze z podniesieniem społecznego i towarzyskiego położenia kobiety i temuto przypisać należy słaby i niedołężny jéj rozwój w krajach, gdzie jak we Włoszech lub Hiszpanii, kobieta pozostała ogólnie więcéj motywem niż działaczem w poematach sercowych.

Powieść jest wiernem zwierciadłem życia. Gdybyśmy na to potrzebowali dowodów, znaleźlibyśmy je w odmiennéj charakterystyce powieści rozmaitych narodów, bo wszędzie ona być musi odbiciem właściwych obyczajów, jakich jéj każde społeczeństwo dostarcza.

Ażeby się o tém przekonać, dość porównać powieść angielską i francuzką. Pierwsza zaleca się nadewszystko swoją czystością. Brudne namiętności rozrywające rodzinę, skandale i wyuzdane obyczaje stanowiące powszednią cechę romansów francuzkich, nigdy nie przebyły Kaletańskiéj cieśniny i nawet na próbę nie pojawiły się w angielskiéj literaturze.

Bo téż i w społeczeństwie tamtejszém fakta podobne do nadzwyczajnych wyjątków należą. Rodzina wogóle ukonstytuowana jest na silnych podstawach, a tém samém nie daje wzoru do ulubionego rodzaju intrygi—wiarołomstwa, jaką posługuje się powiększéj części powieść francuzka.

Oprócz tego w obyczajach angielskich znajdujemy jeszcze jeden powód przyczyniający się najdzielniéj podobno do utrzymania powieści w karbach cnoty i legalności. Powodem tym jest silnie rozwinięta indywidualność niewieścia i to jeszcze w latach dziewictwa.

Panna w Anglii używa rozsądnéj wolności, która w każdym innym kraju budzi dziwny przestrach i oburzenie. Wychodzi i wyjeżdża sama, przyjmuje odwiedziny, robi znajomości, rozmawia i przechadza się z młodymi ludźmi, bez zwrócenia na siebie oczów i obmowy. Ma się rozumiéć, podobne obyczaje wyrabiają charakter, nadają piętno wyraźnéj osobistości, jakie rzadko i wyjątkowo tylko posiadają panny w innych narodach.

Jestto więc zupełnie różna istota od téj, którą tak dosadnie opisał Oktawiusz Feuillet w jednéj ze swoich komedyi, kiedy zapytuje: „Któż potrafi określić tę otchłań przysłonioną kwiatami, noszącą nazwę panny; kto odgadnie co się w niéj kryje: szczęście życia czy téż rozpacz i hańba.” Te słowa starczą by wykazać różnicę, jaka istnieć musi pomiędzy francuzką a angielską powieścią. Panna we Francyi zarówno jak kobiéta we Włoszech i Hiszpanii nie dostarcza wątku powieściowego, nosi ten nieokreślony charakter, który coraz mniéj odpowiada coraz subtelniejszym wymaganiom obecnym. Szukając więc kobiety rozwiniętéj, kobiety zdolnéj utrzymać interes powieściowy, zwrócono się z konieczności do mężatki; te same powody działają na wypadki życia, których odbiciem dopiéro i obrazem jest powieść. Za brakiem indywidualności panien, idą małżeństwa konwencyonalne i rodzina nazwiskiem tylko wspólném związana, które dać nie może ani

gwarancyi żadnéj, ani zadowolenia serca i nosi w sobie ferment buntu i niewiary.

Kobieta na stopie umysłowéj i społecznéj niższości jest logicznym wynikiem pewnych przekonań, na które można się zgodzić lub nie zgodzić, ale na któréj obronę można przytoczyć przeszłość przynajmniéj; gdy tymczasem kobieta powołana do bytu i indywidualności po ślubie, wówczas gdy rozrządziła już sobą na ślepo, musi koniecznie wobec logiki pozostać potwornym produktem, który niczém usprawiedliwionym być nie może. Jestto wybornie obmyślony sposób zaszczepienia wiarołomstwa w obyczaje i podkopania rodziny, zanim się ona utworzy. Kobieta w chwili zawierania małżeństwa, najczęściéj nie jest wstanie zdać sobie sprawy z własnéj istoty; jest ona zerem, przed którém cyfrę stosowną dopiéro życie postawi. Wzięta jako towar w dodatku do swego posagu lub stosunków, skoro zrozumie swoje położenie, buntuje się przeciw niemu, a często im więcéj ma uczucia i inteligencyi, tém buntuje się srożéj.

Oto źródło złych obyczajów i geneza powieści francuzkiéj, geneza prosta i naturalna, którą jedynie przez zupełną reformę wychowania i obyczajów usunąć można. Mylne jest bowiem pojęcie, że społeczeństwo umoralniać się i psuć może przez powieść; tak twierdzić, jestto brać przyczynę za skutek: to powieść przeciwnie umoralnia się lub psuje przez społeczeństwo, tak samo jak prawodawca nie tworzy obyczajów ale obyczaje wytwarzają prawa.

Nie jest to bynajmniéj igraszka słów, tylko zasadnicza różnica pojęć nie obrachowana w następstwach, gdyż powstają z niéj całe szeregi faktów ciągnących się w nieskończoność.

A jeśli mi kto zarzuci że dzieła geniuszów jak *Werther* Göthego lub *Zbójcy* Schillera, wywołały liczne objawy samobójstwa i buntu przeciw ustawom społecznym, miało to miejsce prawdopodobnie z powodu, że dzieła te budząc tak niesłychane wrażenie, musiały odpowiadać uczuciom drgającym w łonie mas, że wypowiadały one wyraźnie smutki zniechęcenia, uczucia i porywy, których te masy może tak konkretnie sformułować nie zdołały, ale które w nich tkwiły i prędzéj lub późniéj musiały znaleźć swój wyraz. To właśnie było powodem szalonego wrażenia, jakie wywarły. Każdy poznawał w nich cząstkę siebie; a dawno już powiedział Cypryan Norwid, że w książkach szukamy jedynie samych siebie, że odrzucamy obojętnie to wszystko, w czém nie odczuwamy tętna własnego serca i promieni własnéj myśli, czyli innemi słowy, że właściwie *niema czytelnika*. Są to końcowe słowa fantazmatu w formie dramatycznéj, pod tytułem *Dwa kominki*.

Tak więc powieść odzwierciedla a raczéj odzwierciedlać usiłuje społeczeństwo, wśród którego wykwita. Naturalnie, odzwierciedla je powierzchowniéj lub głębiéj, stosownie do siły i bystrości wzroku powieściopisarza, do subtelności analizy i plastycznéj zdolności jaką posiada. Ogół pojmuje coraz więcéj, że zadaniem powieści, nie jest wcale przeprowadzać etyczne postulata, ani kreślić ideały, dawać wzory postępowania; że nie jest ona polem popisu uczoności ani areną walk stronni-

czych, jakkolwiek w danéj chwili wolno jéj używać tych wszystkich czynników i o wszystkie kwestye potrącać. Powieść powinna przedewszystkiem malować ludzi na tle miejsca, czasu i otoczenia; o ile więc doktryny i postulaty znalazły wśród nich swoich reprezentantów, o ile wpłynęły na charaktery i wywołały pomiędzy niemi starcie, należą do dziedziny powieści. Trzeba tylko, by one działały w niéj przez ludzi a nie naginały ich gwałtem na swoję posługę. Tu leży główna różnica pomiędzy psychologiczną a tendencyjną powieścią, tutaj leży szkopuł, o który wiednie i bezwiednie rozbiło się wiele talentów. Tu także znajdziemy powód, dla którego dzieła nieraz rozbudzające w danéj chwili ogólny poklask, przechodzą w pamięci narodów jak sen znikomy, w czasie gdy inne trwają i zaciekawiają pokolenia za pokoleniami. Jedne przemawiały do namiętności za pomocą szablonowych figur, drugie szukały ich odbicia w głębi umysłów i serc ludzkich.

W wieku, w którym wszystko poddane jest analizie, w wieku rozsubtelnienia nerwów, gdzie rozmysł bierze stanowczą górę nad akcyą, kiedy inteligencya rozgorączkowana coraz nowemi zdobyczami sili się zrozumiéć wszystkie zjazwiska tak materyalnego jak umysłowego świata; nie dziw że główna uwaga skierowaną jest na człowieka, na tajemnicze sprężyny pobudzające go do uczuć, myśli i czynów. Jak w wieku gorącéj wiary silono się zrozumiéć Boga i wszystkie siły umysłowe wytężano na sformułowanie tajemnic religijnych, na sprzeczki i spory względem najbardziéj abstrakcyjnych i niepochwytnych kwestyi; jak w wieku XVIII rozkochano się w ludzkości i naturze: tak w naszym refleksyjném stuleciu przyszedł pod rozbiór sam człowiek, jego natura i uzdolnienia.

Zaniechano daremnego dobadywania się rzeczy przenoszących doniosłość zmysłów i rozwiązania zawiłych tajemnic bytu zaczęto szukać w jego wnętrzu.

Z tego powodu jeden z najoryginalniejszych umysłów współczesnych, fizyolog i psychiatra Maudsley, zrobił trafną uwagę w swojém dziele *Physiologie de l'esprit:* iż biografia jest najwłaściwszą formą literatury obecnéj, bo jeśli tylko przedstawia człowieka na tle wieku i okoliczności, wśród których żył i działał, jeśli bierze w rachunek usposobienia różnorodne, jakie po przodkach odziedziczył i wpływy pod któremi się rozwijał, staje się wówczas zastosowaniem pozytywnéj nauki do potrzeb umysłowych. Czémże zaś jest powieść? czyż nie jest to biografia pojęta właśnie w najszerszy sposób; czyż nie przedstawia ona właśnie człowieka w walce z różnemi okolicznościami, pod wpływem rodziny, społecznego koła, kraju i idei wśród których żyje?

Jeśli więc powieść jest tak powszechnie poszukiwaną i czytaną, dzieje się to za sprawą praktycznego zmysłu ogółu, który sobie szuka właściwego pokarmu i uczy się życia tam, gdzie jego obraz znajduje wbrew nawoływaniom, przestrogom i radom, starającym się odwieść go od tego.

Powieść przemawia do ludzi żyjących ich własnym językiem, pokazuje praktycznie czyny i ich skutki; oto jéj niespożyta zasługa, oto

wytknięta eksperymentalna droga, odpowiadająca najlepiéj potrzebom chwili, naginająca się do coraz nowych zwrotów myśli i obyczajów. W ten sposób służyć może za probierz wyrobienia społeczeństwa wśród którego wykwita i daje dokładny obraz ogólnych nawyknień, dążeń, aspiracyi i dezyderatów. Tym sposobem znaczenie jéj jest wielkie: jestto bowiem nie tylko dzieło literackie, ale dokument świadczący o stanie umysłowości danego narodu w danéj chwili lub epoce.

Ztąd téż płynie głęboka różnica, jaka zachodzi pomiędzy powieścią w rozmaitych literaturach; ztąd różnica wrażenia, jakie wywołują te, co wykwitły na narodowym gruncie, a te które przychodzą do nas z obczyzny. Pierwsze dają obraz tego co nas otacza, drugie zaznajamiają ze światemm niéj więcéj obcym. Ma się rozumiéć, że mówiąc w ten sposób o powieści, zabstrachować trzeba siłę talentu rozmaitych jego przedstawicieli. Są geniusze, które nadają nadzwyczajną ważność pewnéj literaturze, wysuwają ją naprzód nieskończenie i zapewniają jéj przodownictwo, jak to uczynili Balzac, Wiktor Hugo i inni, którzy w swoim czasie postawili powieść francuzką na świeczniku. I tutaj jednak niepodobna rozdzielać roli od rośliny, którą wykarmiła, społeczeństwa od powieściopisarzy, jakich wydało; istnieje bowiem pomiędzy nimi solidarność konieczna.

Przy równéj jednak sile talentu powieściopisarzy własnych i obcych, jeszcze wrażenia przez nich wywołane muszą być zupełnie odmiennéj natury, bo jedne przedstawiają znane typy i obrazy, a drugie przenoszą w świat obcy. Jeżeli zaś w pewnych warstwach towarzyskich nawet bardzo mierne powieści zagraniczne przenoszone są nad własne, stwierdza to tylko faktycznie aż nadto znany i powtarzany pewnik, że warstwy te przez wychowanie cudzoziemskie i pobyt za granicami kraju, przez oderwanie się moralne od jego potrzeb i uczuć, stanowią tylko przypadkowych mieszkańców jego i należą do tych kalekich indywidualności, którym braknie najszlachetniejszych i najsubtelniejszych strun, do tego umysłowego plebsu, mającego za dewizę *ibi patria ubi bene.*

Wprawdzie powieść trzyma się wszechludzkich sfer, dotyka czynników i uczuć wspólnych wszystkim istotom obdarzonym uczuciem i myślą, może więc przemawiać i przemawia niezawodnie pod pewnemi względami zarówno do ludzi rozmaitych narodowości. Ależ uczucia i myśli wcielają się w indywidua i nabierają od nich koloru, a im więcéj powieść porzuca idealne sfery a wkracza w dziedzinę realności, témbardziéj musi stać się narodową. Widzimy to dokładnie na autorach takich jak Dickens lub Balzac, którzy jakkolwiek budzą zachwyt literatów i estetyków mistrzostwem szczegółów z artyzmem kompozycyi, kolorytu, stylu, wreszcie głęboką analizą psychiczną, nie zdołali zyskać sobie poza granicami własnego kraju prawa obywatelstwa i poza temi granicami, nie byli nigdy dokładnie zrozumieni przez ogół dlatego, że światy jakie przedstawiają są tak silnie napiętnowane narodowym stemplem. Jeśli chodzi jeszcze o oddanie

typów, w których ukazuje się spotęgowana pewna strona wybitna, pewna wada lub śmieszność panująca samowładnie nad charakterem i pochłaniająca całego człowieka: wówczas giną, zarówno jak znamiona indywidualne, i narodowe znamiona. Taki *Skąpiec*, taki *Świętoszek*, jak ich Molière przedstawił, należą do wszystkich społeczeństw i do wszystkich epok, ale im bardziéj schodzimy do zwykłych przeciętnych figur, do mieszaniny cnót i wad, podniosłych i nizkich stron człowieka—a właśnie powieść obecna ma za postulat przedstawiać takich bohaterów—tém bardziéj uwydatniają się różnice narodowości, témbardziéj powieść tracąc konwencyonalno-idealny charakter, musi zaznaczać odrębność rzeczywistą każdego społeczeństwa i każdéj rasy, czyli odrębność narodową.

Pojął to doskonale jeden z głębszych francuzkich powieściopisarzy Wiktor Cherbuliez, twórca niejako powieści etnograficznéj, który w szeregu bohatérów starał się odzwierciedlić główne rysy rozmaitych narodów. Ekscentryczność angielską w miss Rowel, okrutny despotyzm samowoli niczém nie krępowanéj w hrabi Kostii, głębokie zepsucie i brak moralnego zmysłu pociągnięty sentymentalnym pokostem *w naiwnéj* Mecie Holdenis, a wreszcie nieopatrzną butę, szlachetne i lekkomyślne porywy w Władysławie.

Być może, iż nie zawsze Cherbuliez szczęśliwie wyszedł ze swego zadania; być może, iż typy przez niego przedstawione są jednostronne, iż nie wniknął w zupełności w charaktery narodów i nie mógł przedstawić ich w całéj pełni. Nie wchodzi bynajmniéj w mój zakres rozbiór tych utworów: idzie mi jedynie o zaznaczenie kierunku, o przytoczenie widocznych przekonań autora, wypowiedzianych tak wydatnie nie w jednym typie, ale w ich szeregu, gdyż przemawia on najwyraźniéj w duchu różnic narodowych, ujawniających się w powieści.

Im różnostronniéj i bogaciéj rozwinięte jest społeczeństwo, tém téż powieść w tém społeczeństwie większy zakres obejmuje i sięga rozmaitych kierunków, świadcząc wymownie, że nie jest produktem przeszczepionym sztucznie na niestosowną dla siebie glebę, gwoli zapełnienia dziennikarskich odcinków, jak to ma miejsce we Włoszech: ale że odpowiada istotnym potrzebom narodu, którego staje się zwierciadłem.

Pocieszającym więc faktem jest liczba nowych powieści, jakie przyniósł nam rok miniony a szczególniéj pocieszającą jest ich jakość. Niepodobna szczegółowo rozbierać wszystkich bez wyjątku, gdyż rozszerzyłoby to nadmiernie ramy tego przeglądu; zajmę się więc temi tylko, które wyróżniają się od ogółu talentem, myślą przewodnią, lub téż poglądami autora.

---

Zamierzchłe dzieje prastarych pokoleń, z których Polanie ród swój wywodzą, od niejakiego czasu zajmują żywo wyobraźnię pisarzy naszych.

Odkąd Słowacki w *Balladynie*, *Lilli Wenedzie* poruszył brylantowém piórem złotą nić legend i mitów, bo tradycyami nazwać ich

jeszcze niepodobna, owa przeszłość mglista, nieokreślona, fantastyczna, coraz wyraźniéj przemawiać zaczęła do wyobraźni, budzić w niéj widziadła i przyoblekać się szatą dramatu lub powieści.

Śliczna legenda o Wandzie, dzięki może okolicznościom, służyła za tło rozmaitym dramatycznym utworom, od chwili odrodzenia literatury polskiéj aż do obecnych czasów. Oprócz téj legendy jednak poruszono wiele innych, sięgających dalszéj jeszcze przeszłości: zaczęto odtwarzać wedle rzadkich historycznych danych i analogii obyczajów ludów, stojących na pierwotnym stopniu kultury prawdopodobne obrazy przeszłości.

Kraszewski w cudnym utworze zwanym *Starą baśnią*, na polu przedhistorycznéj powieści jak na każdém innem, utorował drogę tym, coby chcieli jego śladem zapuszczać się w ten świat napół barbarzyński, napół dziecinny, napół surowy jeszcze, kiedy wśród starych szumiących puszcz, tocząc walki z dzikim zwierzem i z ludźmi, nieraz od niego dzikszymi, osiadł lud bitny, miłujący swobodę i bogi swoje.

Rok ubiegły przyniósł nam dwie powieści sięgające owych przedhistorycznych dla nas czasów: *Aureliana* Wojciecha hr. Dzieduszyckiego i *Lublanę* Kraszewskiego.

Jakkolwiek za tło jednéj i drugiéj służą obyczaje i uczucia tak głęboko różne od dzisiejszych, ani Kraszewski ani hr. Dzieduszycki nie roszczą sobie prawa do tytułu historycznéj powieści: dziedzina ich i interes zamyka się w czysto psychologicznéj sferze.

Hrabia Dzieduszycki wypowiada to nawet wyraźnie w swojéj przedmowie, tłumacząc się, dlaczego ten a nie inny przedmiot wybrał do swojéj powieści. Bohaterem jego jest ów imperator rzymski wyniesiony na tron świata z prostego żołnierza-barbarzyńcy, który pod berło swoje zajął rozsypujące się w gruzy potworne cesarstwo, królowę Palmiry w złotych kajdanach przykuł do tryumfalnego rydwanu i jak tylu innych poprzedników i następców jego, zginął na kończynach cywilizowanego świata od sztyletu skrytobójcy.

W *Aurelianie* więc występują wobec siebie dwa szczepy, dwie wiary i dwa narody. Jeden, ujarzmiony ale niecierpliwie czekający na chwilę sposobną do zrzucenia nienawistnych więzów, pełen sił i energii młodzieńczéj; drugi, dumny zwycięztwami odniesionemi nad światem, dumny cywilizacyą swoją świetną, wyrafinowaną acz strupieszałą, depcze po karkach zwyciężonym, powtarzając odwieczne jak świat stare: *vae victis*.

Imperator Aurelian a raczéj Bojan, bo takie jest jego pierwotne miano, należy do plemienia Antów, rozsiadłego na stokach Karpat, porosłych odwiecznemi puszczami: na dzisiejszém Pokuciu, które malowniczo i dosadnie nazywa autor *kudłatą* północą.

Rzeczywiście kraj ten był Północą dla Romy, która tu za Trajana zatknęła zwycięzkie sztandary, w warowniach osadziła legiony swoje a płowowłosych Antów miała za barbarzyńców.

Barbarzyniec jednak obdarzony siłą ramienia i siłą inteligencyi zasiada teraz na tronie Augustów; pochodzenia tego Anta nikt nie zna na pewno. Wśród zgrai różnorodnych ludów cisnących się do stolicy ówczesnego świata, więcéj znaczyła śmiałość, zręczność, odwaga wreszcie, niż pochodzenie. Przed szesnastu wiekami tak samo jak dzisiaj siła szła przed prawem, a przed potęgą uchylano czoła nie badając o jéj początki.

Dzieje, które wytrąciły z kolei zwykłego życia młodego Anta, były zwykłemi dziejami serca; to nie chciwość, nie żądza bogactw lub panowania rzuciła go w obce, wrogie społeczeństwo, fatum świata nie szeptało mu po nocach jak zastępom barbarzyńców tego tajemniczego wyrazu *Roma*, które miały na ustach, waląc się jak lawina na miasto wiekuiste. Bojan poprostu pokochał córkę pana swojego, Swiętosza, Krasę, a wypędzony za to przez niego, opuścił kudłatą Północ, przysięgając że powróci dość potężny ażeby ją poślubić.

Losy sprzyjały mu, ostrzem miecza swojego zdobył stokroć więcéj niż zapragnął, niż śmiał marzyć. I po piętnastu latach powraca jako imperator do miejsc, które porzucił jako sługa.

Nie poznaje go nikt, bo któżby śmiał przypuścić, że Bojan kryje się pod purpurą; pamięć Bojana zresztą zaginęła w myśli współbraci i trwa już tylko w jedném sercu, w sercu Krasy.

Zawsze piękna w całym majestacie rozkwitu niewieściego, Krasa, którą Bojan porzucił piętnastoletniém dziewczęciem, dotąd pozostała dziewicą. Zmyśliła ślub czystości dla Nii, wiążący ją do lat trzydziestu i czekała wierna, cierpliwa, powrotu ukochanego.

Najpiękniejszéj z cór Antów nie zbrakło zalotników: dobijał się o jéj rękę w śród wielu innych młody Zabor, potomek dawnych władzców, który patrzał na Krasę jak w jasną tęczę. Aż wreszcie gdy doszła lat trzydziestu, gdy ojciec naglił by pojęła małżonka a Bojan nie dawał znaku życia, zaślubiła Dzięcioła Detiusa, jak się z rzymska przezywał, bo i ojciec jéj Swiętosz należał do stronników rzymskich.

Dlaczego Krasa wśród tylu innych współzalotników tego najmniéj godnego na małżonka wybiera? czy jestto wybór ojca czy jéj saméj? Punkta te nie są bynajmniéj wyjaśnione, a Dzięcioł wpół obłąkany, wyznawca sekty Manichejczyków, niczém nie odpowiada potrzebom ani pojęciom tego pierwotnego społeczeństwa. Fakt ten uderza tém mocniéj, że położenie społeczne nowożeńca nigdzie nie jest wypowiedziane, niepodobna więc zrozumiéć powodów, dla jakich przebiegły Swiętosz nie oddał córki śmiałemu rycerskiemu Zaborowi, lub człowiekowi używającemu także wielkiego znaczenia w swojém plemieniu, jak Kocisz, a nie temu wybladłemu czcicielowi obcego Boga, bo żadna zewnętrzna okoliczność za nim nie przemawia, a przynajmniéj czytelnik nie jest w nią wtajemniczony.

Kiedy odbywają się zaślubiny, przybywa Aurelian do krainy Antów. Wielkość która miała zrazu być mu środkiem tylko, powoli stała mu się celem, purpura sama sobie starczyła, a serce czy zmysły,

rozpieszczone przylgnęły do pięknéj królewskiéj branki Zenobii, która towarzyszy mu w wyprawie na Północ.

Dowiedziawszy się o przybyciu imperatora, Swiętosz przychodzi złożyć mu hołd wraz z drużyną weselną, i prosi o tę najwyższą łaskę, by raczył obecnością swoją zaszczycić ucztę, jaką wydaje.

Pod purpurą cezarów Swiętosz ani na chwilę nie domyśla się Bojana, ale Krasa poznaje go odrazu i pada zemdlona.

Na jéj widok, w piersi Aureliana odzywa się cała przeszłość, przeszłość uśpiona a nie zamarła, przeszłość, która drgała w jego sercu, skoro sam bez potrzeby koniecznéj odbył tę daleką podróż, zapragnął odetchnąć powietrzem ojczystém, ujrzéć rodzinne puszcze i góry.

Przeszłość przemówiła silniéj niżeli się tego spodziewał i od téj chwili niezłomny, stanowczy Aurelian staje się tylko igraszką wypadków i ludzi, nad któremi zapanować więcéj nie umié. Dawna namiętność dla Krasy, budzi się szalona jak niegdyś, ale nie jestto miłość władzcy świata, przed którym drżą mocarze, chwieją się trony twarzą, w proch padają ludy: to miłość pokorna, niemal miłość pasterska, miłość równie dziwna w imperatorze, jak i w pół dzikim Ancie.

Wśród uczty weselnéj na skinienie Aureliana wyszli wszyscy, on pozostał sam jeden z oblubienicą. Chce on uwieść z sobą Krasę, zerwać śluby z Dzięciołem, posadzić ją obok siebie na tronie, nakazać dla niéj cześć boską. Krasa jednak pozostaje wierną przysiędze, wierną ojczyznie i bogom swoim; odpycha Bojana w imię tych trzech potęg, a gdy on grozi jéj przemocą, odpowiada, że jak rzymska Lukrecya umrzéć potrafi, byle się od hańby uwolnić. A wreszcie ucieka się pod obronę Izydy egipskiéj.

Scena ta krótka ma niezaprzeczone piękności, ale już wikła się w niéj akcya i występuje główna wada powieści: chwiejność działania i motywów kierujących bohatérami.

Każda z przyczyn przywiedzionych przez Krasę byłaby dostateczną, ażeby stanąć pomiędzy nią a rzymskim cezarem, ale wszystkie razem osłabiają się wzajemnie. Krasa nie była tak przywiązaną do wiary ani obyczajów Antów, bo ojciec jéj był rzymskim stronnikiem i dawną nazwę Świętosza zamienił na Sentesa, sama zaś poślubiła Dzięcioła, który z rodu jedynie należał do jéj pokolenia, a zatracił zupełnie pierwotne znamiona słowiańskie. Zresztą uczucia patryotyczne Krasy nie stanowiły niezwalczonéj przeszkody, skoro w końcu po śmierci Dzięcioła gotuje się towarzyszyć Aurelianowi i czeka z piersią bijącą szczęściem na wysłańców ukochanego. Zresztą ona wiedziała przecież, że Bojan idzie u wrogów Rzymian dobijać się znaczenia i potęgi. Czemuż nie powiedziała mu wówczas, że to daremnie, że tą drogą nie pozyska jéj nigdy. Skrupuły obudzone teraz dopiéro zdają się istniéć dlatego tylko, ażeby zadzierzgnął się węzeł powieści. Bo wszakże Dzięcioł, ten mąż jednéj chwili, któremu zaledwie usty ślubowała, nie może stanowić istotnéj przeszkody w obec obyczajów i pojęć owéj epoki.

„Jam wszystkich wiar arcykapłan, mówi słusznie Aurelian, jam wielki dawca rozwodów."

Pomimo to Aurelian jest odepchnięty, widocznie, tak chciał autor, tak wymagał dalszy bieg wypadków. Dzięcioł nie wierzy w niewinność Krasy, zamiast uczcić jéj wierność, opuszcza ją natychmiast i idzie szukać śmierci. Nie dzieje się to jednak za sprawą zranionego uczucia lub dumy, odzywają się w nim idee religijne, pragnienie męczeństwa i nieba i dlatego podchodzi do namiotu cezara i rzuca na niego trupią czaszką.

Pomysł dziwaczny i nieusprawiedliwiony należycie, zwłaszcza, iż Dzięcioł utyskuje, że nie zabił Aureliana. Wszakże kto chce zabijać, inaczéj się do tego bierze i innego szuka narzędzia śmierci. Zresztą powody, które rządzą Manichejczykiem, są znowu różnorodne. Nie jestto mąż chcący pomścić zniewagę sobie wyrządzoną w osobie małżonki, nie jestto zazdrosny kochanek, ani logiczny nieprzyjaciel Romy, godzący na człowieka, który zasłania ją przed zalewem barbarzyńców, ani też sekciarz, chcący przerwać prześladowania swoich współwyznawców, bo w każdym z tych wypadków Dzięcioł inaczéjby działał i przemawiał. Tak samo jak Krasa i on zamiast jednego silnego uczucia i kierunku, ma ich wiele niewyraźnych i pomieszanych. Cezar więzi go i oddaje pod sąd za czyn szalony.

Krasa jednak wyprasza życie małżonka, który nią pogardził, ale Dzięcioł wypuszczony z więzienia, ucieka z Sentesowego dworu, błąka się po puszczach, by odszukać bogobojnego pustelnika Nicefora, gdyż podejrzywa go, że jest manichejskim kapłanem; przekonawszy się jednak, że to człowiek innéj wiary, ucieka w głuchą puszczę i oddaje ciało na pastwę dzikim zwierzętom, prosi tylko Nicefora, by oznajmił Krasie, że mąż przeklinając ją umarł.

Tymczasem pod wpływem ojczystego powietrza budzi się człowiek dawny w imperatorze. Fakt ten jest psychicznie możebny i gdyby tylko odcienia były lepiéj wystudyowane i zaznaczone, byłby to obraz nowy, obraz głęboko zajmujący walki pierwotnych nawyknień, uczuć i instynktów, z naleciałościami życia.

Jednak to szarpanie wewnętrzne jest raczéj natrącone, niż przeprowadzone konsekwentnie, a co dziwniejsza, Aurelian niéma odwagi powziąść postanowienia. Zamiast zrzucić rzymską togę i stanąć na czele swego plemienia, gra rolę Wallenroda i to nie z miłości dla kraju i jego swobód, która to miłość nie przyszła mu na myśl wśród walk i rozkoszy panowania, ale jak sentymentalny rycerz, dla pięknych oczu Krasy.

Miłość do ojczyzny Aureliana nie jestto miłość czynna i gorąca, on poprostu chciał odetchnąć powietrzem rodzinnéj Północy, ujrzéć te szumiące puszcze, co spływały falą po garbatéj ziemi. Sam się przyznaje w rozmowie z Krasą, że niémiał czasu myśléć o swojéj ziemi, ani nawet o kochance, bo podtrzymywał walący się świat. Oczywiście, światem dla niego była Roma, a takiego szermierza wzrok kobiéty

i słowo kobiéty nie mogło wytrącić z obranéj kolei i popchnąć do burzenia skrycie dzieła, którém się pysznił w ten sposób. Przytém Aurelian chce i nie śmié, rzuca słowa podstępne na wojennéj radzie i cofa je. To nie lew walczący, to pełznąca żmija, a raczéj, jak wszyscy bohatérowie hr. Dzieduszyckiego, to człowiek, który nie wié sam, czego chce i dlaczego chce.

Co innego Wallenrod: on lata całe obrachowywał potęgę zakonu i czém ją skruszyć można; on czuł, że w otwartém polu pół dziki Litwin nie sprosta krzyżakowi, a kochał Litwę nad wszystko. Ważył się lata całe na swoje przedsiewzięcia i spełnił je z ofiarą serca, bo ofiara ta według niego konieczną była.

Aurelianowi dość było nie podtrzymywać Romy, która rozpadała się własnym ciężarem i ogromem, dość mu było ogłosić się panem jéj części, zapanować nad narodem swoim i narodami ościennemi i zamienić Castrum Gaudii, gdzie gości chwilowo, w pyszną stolicę, gdzieby królował z ukochaną, jak to niejednokrotnie już przed nim miało miejsce w innych prowincyach i po nim miało nastąpić. Tymczasem dzieje się wcale inaczéj; gdy Aurelian waha się bezczynny, Zabor, młodzieniaszek niedoświadczony, kreśli mu plany przyszłości i dalszego postępowania, a on pozwala mu się powodować, jak dziecię i oddaje mu znak swój cesarski, rubinowe słońce, które nosił na piersiach, jako talizman zwycięztwa: znak dobrze znany przez legiony i dowódzców rzymskich.

I to imperator, równie znany z roztropności, jak odwagi, daje ten znak w ręce marzącego młodzieńca, na pierwsze niemal słowo, które słyszy z ust jego.

Pomiędzy Antami za poduszczeniem Zabora wszczyna się bunt; Aurelian wierny roli Wallenroda, patrzy nań obojętnie i nie raczy, a raczéj nie chce go poskromić. Wreszcie dowódzca jednego oddziału powstańców Kocisz, dawny współzalotnik Dzięcioła, którym Krasa wzgardziła, napada na zagrodę Świętosza; Świętosz jest stronnikiem Rzymian, więc Kocisz pali i rabuje jego mienie, dogadzając tém osobistéj namiętności, a córkę chce posiąść gwałtem. Kiedy zaś widzi Rzymian nadbiegających by porwać Krasę i uprowadzić ją na dwór Aureliana, przebija ją bez wahania.

Wówczas dopiéro imperator wychodzi z bezczynności, mniemana miłość ojczyzny pierzcha, jednym zamachem potężnego ramienia zgniata powstałych Antów, ale utrata Krasy przywodzi go do rozpaczy, zapowiada, że rozpoczyna nową erę panowania, w któréj chce iść w zawody z okrucieństwem Nerona i ginie ugodzony zdradnie przez greka Mnesteusza, który spiskując z Zenobią, lękał się jego zemsty.

Autor doskonale snać obznajomiony ze światem starożytnym, przedstawił cały zewnętrzny jego obraz z wiernością, nic nie zostawiającą do życzenia; widać w nim głębokie i sumienne studya, widać wniknienie w ten świat umarły i ukochanie, za pomocą którego autor powołuje go zmartwych i ożywia tchnieniem swojém.

Czy jednak ludzie ci odziani w koturn, togę i zbroje starożytne, należą istotnie do starożytności? czy zarówno jak strój i duszę mają rzymską lub barbarzyńską? Inaczéj nawykliśmy wyobrażać sobie ludzi ówczesnych.

Dzięcioł, jakkolwiek akcya wysuwa go zrazu na główną widownię, mniéj ma jeszcze prawdopodobieństwa od tytułowego bohatéra i jego kochanki. Ten dziki mistyk, ten Ant zgreczony, ten wpół szalony małżonek, wygląda zupełnie na utwór wyobraźni autora: niéma też wcale wybitnych konturów i zdaje się rozpływać w mgle bezcielesnéj, Zenobia ciągle plącząca się w akcyi, nie jest jednak konieczną jéj sprężyną. Niéma walki pomiędzy nią a Krasą, bo odrazu za pierwszém spojrzeniem na dawną kochankę, Aurelian odtrąca ją stanowczo; Zenobia nie waży nic na szali tego serca. Zresztą ta zwyciężona rycerka, ta władczyni Wschodu, nie posiada żadnego rysu, któryby ją od zwykłéj zalotnicy odróżniał. Autor mówi, że ona jest dumna, jednak duma to gminna tylko, która pokazuje się w tupnięciu nogą, lub w obelgach rzucanych Pizonowi: „Pleciesz a pleciesz, a zarozumiały jesteś gorzéj od kobiéty. Nic nie widziałeś, głupcze." Trzeba przyznać, że słowa te niémają nic królewskiego: prawdziwa duma inaczéj przemawia. Jedyną wybitną cechę Zenobii stanowi jéj czarodziejska papuga, istota obdarzona przebiegłością i myślą, z którą rozmawia jakby z człowiekiem wszystkiemi językami, którą wysyła na zwiady, gdzie jéj potrzeba. Posiadając taką papugę, Zenobia nie potrzebowała szukać sprzymierzeńca w Pizonie i zlecać mu obowiązku szpiegowania Aureliana, bo stokroć lepiéj uskuteczniał to ptak cudowny.

Papuga owa nadaje charakter fantastyczny powieści, która tego bynajmniéj nie potrzebuje, a co więcéj: jest ona zupełnie zbyteczną w powieści. Akcya prosta, jasna, oparta na czynnikach psychicznych, nie wymaga żadnéj nadprzyrodzonéj pomocy, a mogłaby być stokroć jeszcze prostszą i jaśniejszą, gdyby kierunki i dążenia działających figur były więcéj jednolite, więcéj wyraziste.

Chwiejność bohatérów, oto grzech główny téj powieści, z tego powodu scenom brak siły, z tego powodu wyradza się nużąca monotonność pomimo barwności stylu i bogactwa epizodów. Chwiejność ta rozluźnia dobrze zadzierżgnięty dramatyczny węzeł, zaciera różnicę charakterów i narodowości i zamiast ludzi dążących wprost za myślą swoją, wyrabia półsenne, niewyraźne, rozłamane postacie. Ani jedna z nich niéma energii czynu, energii woli przynajmniéj; Aurelian chwieje się pomiędzy rzymskim a słowiańskim światem i kochając Krasę, wzajemnie od niéj kochany, waha się i cofa, aż nóż zabójcy ubiega go w jéj sercu. Krasa walczy pomiędzy miłością a obowiązkiem, pomiędzy uczuciem dla kraju, a nienawiścią dla Rzymian, pomiędzy wiarą w swoje bogi, a pragnieniem szczęścia. Odpycha Aureliana, przysięga, że nigdy nie pójdzie z nim w ten świat zwycięzców obcy i nienawistny, a jednak kilka słów ojca starczy na złamanie jéj oporu i już gotową jest dzielić z ukochanym panowanie świata. Czyny ich są równie nie-

konsekwentne, jak motywa i rozumowania. Dzięcioł to szaleniec, który nie dąży do żadnego obmyślanego celu. Świętosz umié tylko rozprawiać z córką, a do żadnego dzieła nie przykłada ręki; lęka się Rzymian, lgnie do nich, przecież z Antami nie zrywa.

W owéj epoce jednak walk ciągłych nie było miejsca dla obojętnych: kto nie zabijał ten ginął i Świętosz, jeden z przedniejszych w swoim narodzie, musiał się przyłączyć do jednéj lub drugiéj strony, przygotować do obrony przynajmniéj, zamiast dać się pochwycić znienacka. Zenobia jakkolwiek pospolicie wystawiona przez autora, najbardziéj może jest zrozumiałą, chociaż i ona raz przechyla się ku Aurelianowi, gdy sądzi, że go opanować zdoła, to znów gdy czuje, że jéj się z rąk wymyka, spiskuje przeciwko niemu, ale przynajmniéj motywa téj chwiejności są zrozumiałe.

Zabor, Zybar, Kocisz, wreszcie wodzowie Antów niémają wybitnéj indywidualności; Zabor kocha się zrazu w Krasie, ale widząc jéj wpływ na Aureliana, nie staje z nim do współzawodnictwa, a co więcéj, przestaje o niéj myśléć zupełnie; Krasa ustępuje miejsca w jego serca ojczyznie, jakkolwiek idea ojczyzny nie mogła się była ukształtować w duszy barbarzyńcy według naszych dzisiejszych pojęć i nie mogła ani współzawodniczyć z niewiastą, ani jéj zastąpić.

A jednak pomimo te wszystkie wady kompozycyi, Aurelian posiada niezaprzeczone piękności: główne postacie imperatora i Krasy kreślone są ciepłemi rysami. Autor pojął je widać daleko lepiéj, niż w akcyi odtworzyć potrafił. Fakt ten widny jest w całym przebiegu powieści, a ilekroć razy Aurelian występuje na scenę, tryska z niego jakaś potęga; pomimo chaotyczności dążeń snać zarysował się w całéj pełni w wyobraźni powieściopisarza i owładnął nią. To wyróżnia go od innych postaci i nadaje mu wielką plastykę.

W przedmowie swojéj hr. Dzieduszycki spowiada się niejako z téj kompozycyi i z jéj genezy, twierdząc naprzód, że nie jestto bynajmniéj powieść historyczna, bo w niéj historya zbyt małą gra rolę i zbyt jest dowolnie traktowaną, a daléj dodaje: „Napisałem ją, bo taki Aurelian jedną przemożony namiętnością, ściga mnie od lat wielu, stale zamieszkał w mojéj wyobraźni od lat dziecinnych i gwałtem na świat się dobywał." Te słowa tłómaczą piękności Aureliana, poetyczną siłę, jaka go otacza, ilekroć występuje na widownię powieściową i całą osnowę, która nie wyszła równie jasno w kompozycyi, jak w myśli autora. Według téj myśli Aurelian to człowiek czynu niezwyciężony, dopóki siły swoje skupił w akcyi; ażeby go zwalczyć, potrzeba siły potężniejszéj, którąby go obezwładniła. Tą siłą jest miłość dla Krasy. Gdyby miłość ta nie spotkała przeszkody żadnéj, nie posiadłaby obezwładniającéj siły, nie opętałaby takim czarem cezara, by zapomniał o położeniu swojém i jego niebezpieczeństwach.

Stosownie więc do zadania, jakie sobie postawił, autor musiał szukać przeszkód i tutaj nie był wcale szczęśliwy. Siła twórcza jego jest widocznie słabszą od siły poetycznéj. Widział jasno położenie,

w jakiém chciał umieścić swego bohatéra, ale nie wypadki i środki, za pomocą których mógł to uskutecznić. Najlepiéj widać zarysował mu się w myśli pierwszy obraz przyjazdu Aureliana z dworem swoim do Castrum Gaudii, bo ten obraz jest prawdziwie mistrzowski, nadewszystko opis okolicy, bladego nieba Północy i gór porosłych borami, świadczy, że hr. Dzieduszycki posiada artystyczne pióro, które kreśli krajobrazy na wzór pędzla Ruisdala. Natura żyje w nich, oddycha, szumi, a Aurelian wysunięty naprzód, odnajdujący wśród puszcz rodzinnych dawno znajome szlaki, rysuje się odrazu wyraziście.

*Lublana* Kraszewskiego także osnuta na tle obyczajów przedhistorycznéj Polski, przez to tło jednakie, zapożyczone od odległéj przeszłości, spokrewnia się z Aurelianem. Przecież pomiędzy jednym a drugim utworem zachodzi różnica, jaka istnieć zwykła pomiędzy dziełem początkującego artysty, a wytrawnego mistrza.

Twórcza wyobraźnia Kraszewskiego umié z dziwną świeżością malować ów legendowy świat, z którego łona powstała *Stara Baśń*. *Lublana* przypomina ją chwilami, jakkolwiek różna jest akcyą i charakterami działających osób. Autor narysował figury swoje śmiało, wyraźnie, nie wahał się nadać im dzikości wilka i przebiegłości lisa, a często obżarstwa niedźwiedzia. Ludzie ówcześni mieli wiele wspólnych rysów ze zwierzętami, z któremi dzielili puszcze i knieje. Jego bohatérka Lublana na współkę z psem swoim, powala na ziemię podstępnego nieprzyjaciela, późniéj rzuca się w bój zacięty, podżega do niego, walczy razem z mężami, a na widok ojca padającego pod ciosem kniazia Leszka Sroki, wykrzykuje, że pragnie napić się krwi jego.

To nie sentymentalni bohatérowie sielanki, to obyczaje barbarzyńskich ludów, pochwycone z całym realizmem prawdy. Barbarzyńską jest ich miłość, przyjaźń, walka, bo takim jest duch epoki, we wszystkich jéj przejawach. Autor rozumiał dobrze, iż w owéj dobie nie było skomplikowanych uczuć i stosowną akcyę obmyślił; ludzie bili się wówczas o chleb, o ziemię lub piękną kobietę; to téż o piękną dziewkę Lublanę rozgrywa się rzecz cała. Zalotnicy nie wzdychają do niéj, nie pytają o wzajemność: godzą na nią przemocą, prawo pięści panuje samowładnie na świecie i ludzie nie pojmują by inaczéj być mogło. Lublana téż broni się podstępem i siłą przed wstrętnym zalotnikiem a jest nim sam kneź Leszek Sroką przezwany, który dowiedziawszy się o cudnéj piękności dziewczynie, zjechał sam do zagrody Ryżca jéj ojca i nie chce ustąpić dopóki jéj nie dostanie. Ryżec opierać się ani chce ani może, jakkolwiek Leszek ma blizko lat pięćdziesiąt i pełno żon na swoim grodzie. Ale Lublana najpiękniejsza z dziewic na kraj cały, skłoniła serce do młodego i dzielnego Mirka. Nie myśli ona wypraszać się ani kneziowi ani ojcu, wie dobrze iż to byłoby daremnie; ucieka z domu a za poradą staréj Rusej, trochę żebraczki, trochę czarownicy, szaty swoje zostawia nad wodą, by sądzono że się utopiła i nie ścigano ją w lesie, gdzie szuka schronienia.

Knieja była wówczas wspólną kryjówką człowieka i dzikiego zwierza; a zatém kryjówką niebezpieczną, ale ci co lękali się przemocy ludzkiéj przebierać nie mogli, i woleli się ważyć na walkę z drapieżnym wilkiem, niedźwiedziem lub rysiem, niż ze złym człowiekiem.

Takim był los Lublany. Kneź Leszek, wściekły że dziewki pożądanéj nie dostał, wraz ze swą drużyną zrabował zagrodę Ryżca, mówiąc że skoro córki niestało, nie potrzebne już jéj wiano.

Rusa dała jéj wprawdzie schronienie w głębi puszczy, gdzie stary spróchniały dąb służył jéj za pałac, ale Lublanie tęskno, pusto i straszno było w samotności téj, gdzie ją mógł wytropić myśliwiec lub wysłaniec Leszka, który nie bardzo dowierzał jéj śmierci.

Wprawdzie Mirko byłby z rozkoszą pojął ją za żonę i skrył lub obronił od przemocy knezia; ale piękna córka kmieca miała swoją dumę: nie chciała jako bezdomna włóczęga wstępować w progi mężowskie; nie chciała w wianie przynosić mu niebezpieczeństwa i nieprzyjaźni książęcéj. A przytém paliła ją żądza pomsty. Czuła niesprawiedliwość wyrządzoną sobie przez władzcę, przed którego przemocą kryć się była zmuszona, a w piersi jéj poczucie własnéj krzywdy budziło poczucie wszystkich krzywd, innym także wyrządzonych przez Leszka.

Lublana była niewiastą, ale miała duszę mężną, aże i dawniéj miały ją u nas niewiasty, świadczy najlepiéj o tém legenda o Wandzie.

Tymczasem Leszek wysyła na zwiady zaufanego dworzanina, by odszukał dziewczynę, która była zbyt piękną by się ukryć mogła; ktoś ją spotkał z Rusą i doniósł o tém kneziowi. Były więc i wskazówki gdzie jéj szukać, bo wiedziano że Rusa ukrywała się w lesie.

Jakoż dworzanin wytropił wkrótce jéj siedzibę, pełzał za starą wśród drzew i zarośli, gdy powracała do siebie z żywnością. Ujrzał Lublanę przy świetle ogniska i zapatrzył się w nią jak w obraz, tak była piękną. Szczęściem, dziewczyna miała wiernego stróża psa Łyska, który opuścić jéj nie chciał; on zwietrzył niebezpieczeństwo, przypadł do wroga i wściekłym zębem szarpać go zaczął. Powalonego przez brytana kobiéty skrępowały: Rusa bez ceremonii zabić go chciała, dowiedziawszy się, że jest wysłańcem knezia, Lublana jednak wzdryga się na myśl zabicia tego bezbronnego. Niéma w niéj wyraźnego uczucia litości, któreby w owym czasie mogło za sentymentalizm uchodzić, jest tylko wstręt jakiś, niechęć zabicia człowieka, który wprawdzie przyszedł tu we wrogich zamiarach, ale który patrzył na nią z takim zachwytem. A przytém ważyły się w jéj myśli zamiary jakieś.

Scena ta, w któréj autor bynajmniéj nie starał się wyidealizować bohatérki, scena o krótkich, urywanych słowach i długich milczeniach, rozgrywająca się wśród głuchéj puszczy, przy krwawym blasku ogniska pomiędzy starą wiedźmą ostrzącą nóż, spokojnie na gardło niewolnika, złowrogo zamyśloną dziewczyną, a wysłańcem Leszka, nad którym strażuje pies warczący, gotowy go zagryźć na skinienie swéj pani,

scena ta przejmuje dziką zgrozą owych czasów tak plastycznie oddanych.

Odbywa się cicha narada pomiędzy kobiétami, narada burzliwa, bo tu szło o życie własne i bezpieczeństwo, aż wreszcie Lublana zwycięża Rusę czarem, jaki posiadała, a czarem tym było mężne serce i myśl śmiała. Zbliża się do jeńca i zapytuje: z czém go wysłano i dlaczego. On odpowiada, że Leszek wié, iż nie utonęła, a zatém niéma dla niéj nadziei: on wszędzie ją znajdzie zawsze prześladować będzie. Wówczas Lublana nie waha się daléj, zamiary jakieś dojrzewają w jéj głowie, do spełnienia ich potrzebny jéj ten człowiek. Wymaga od niego przysięgi, że służyć jéj będzie ślepo, wiernie, a wówczas rozwiązuje go i opatruje mu rany.

Autor nie wyjawia nam zamiarów Lublany, widzimy je po skutkach.

Po siołach i kniejach odbywa się jakiś ruch tajemniczy: to naród cały podburzony nieprawościami Leszka zbiera się na wiec i chce sobie obrać innego knezia. Kto pobudził lud? kto go zwołał? kto stał się echem głosów wszystkich i w czyn je zamienił? Niewiadomo. To pewna, że pomiędzy mężami obraduje niewiasta, niewiasta upiór zapewne, bo zkądżeby jéj odwaga taka i mądrość taka; wszakże ta niewiasta utopiła się, żeby nie popaść w ręce knezia, a teraz upiorem powróciła dla pomsty nad nim.

Ta wiara dodaje męztwa ludowi zbuntowanemu. Źle musi być z Leszkiem, skoro tajemnicze potęgi godzą na niego.

Dopiéro, gdy wszystko gotowe do wiecu, gdy ciągną kmiecie ze stron wszystkich na wskazane pole, Lublana zjawia się w chacie ojcowskiéj. Teraz może to już bezpiecznie uczynić, obrońców ma tylu, ilu niechętnych Leszkowi, a przytém ona na wiec świąteczne szaty włożyć musi i ojca z sobą nakłonić.

Lublana jednak to nie żadna heroina; i to właśnie czyni ją tak bardzo zajmującą i prawdziwą. „Taka moja dola, mówi ona do ojca, dziwiącego się, co dziewka ma robić na wiecu, zła ona, czy dobra, nie wiem sama; a pcha mnie ona tam, gdzie iść muszę: na tom ja musiała ztąd iść precz, głód cierpiéć, chłód znosić, łzy wylać, aby dola była spełniona.” Jaka dola, pyta ojciec. „Alboż wiem! ta, co mi przeznaczona.”

W podobny sposób odpowiadała Joanna d'Arc tym, co dziwili się jéj posłannictwu. Dodajmy do tego podniesienie umysłu obudzonego samotnością, ciszą, rozpamiętywaniem, do wyobraźni uderzonéj nagłemi wypadkami, naiwną wiarę średnich wieków, a Lublana przekształci się z łatwością w pasterkę z Domremy.

Ten nastrój mistyczny, tę fatalistyczną odwagę, rodzącą się w prostych i szczerych umysłach, pod wpływem okoliczności gwałtownych oddał Kraszewski z miarą, z poczuciem prawdy i z artystycznym smakiem, które go cechują.

Lublana walczy ze swoimi przeciw Leszkowi, gdy ten uwiadomiony o grożącéj mu burzy, uderza znienacka na lud, zebrany około Ryźcowéj zagrody.

Ale szczęście, jakto często bywa, nie przechyla się na stronę sprawiedliwości. Leszek śmiały i odważny pokonywa buntowników. Ryżec i wielu innych pada trupem, reszta idzie w rozsypkę. Lublana byłaby się dostała w ręce knezia, gdyby nie to, że Rusa, oceniwszy wprawném okiem położenie, dała jéj się napić jakiegoś ziela, na sen podobny do śmierci.

Po zwycięztwie Leszek powraca na swój gród, zostawiając pobitych, żal mu dziewki pięknéj, ale cóż, trup żoną być mu nie może. Rusa tymczasem krząta się koło Lublany z wzrastającą trwogą, bo Lublana, która miała się wkrótce obudzić, spała ciągle; widocznie dała jéj zawiele ziela i to zamiast snu śmierć sprowadziło.

Tak było do dnia trzeciego, kiedy nadjechał Mirek, którego nie było w czasie napadu knezia i bitwy. Ten, gdy ujrzał Lublanę, załamał ręce, zapatrzył się na trupa i na pożegnanie pocałował ją w czoło, a dziewczyna, jakby wśród snu śmierci, odczuła pocałunek miłego, otworzyła oczy i powstała z pościeli.

Już teraz naturalnie wstała upiorem, wszyscy uwierzyli temu, uwierzyła nawet i ona sama. Ale obudziwszy się znowu na świecie, obudziła się do podwójnéj zemsty. Powstali mściciele pobitych i ciągnęli na gród Leszka, a na ich czele leciała upiorzyca równie straszna dla tych, których wiodła, jak dla tych, przeciw którym walczyła. Upiorzyca cudnéj piękności.

Miała z sobą ludu mnóstwo: żupany, władyki, kmiecie, wszystko co żyło, biegło na gród Leszka.

Mimowolnie przypomina się tutaj stara baśń i oblężenie Popielowego zamku, bo téż sięgając w te zamierzchłe czasy, musimy się spotkać z jednakimi opisami. Intryga jednak i cały wątek powieściowy, a nawet charaktery, jakkolwiek w owéj epoce subtelnie rozwiniętemi być nie mogły, niémają z sobą nic wspólnego. *Lublana* jest równie piękna jak *Dziwa*, ale zupełnie od niéj różna. Ona nie szukała wyjątkowego losu, wiodła spokojny, dostatni żywot w domu ojca. Gdyby Mirek przysłał po nią swatów, a ojciec zezwolił, szczęśliwa i spokojna byłaby weszła w dom męża i wiek swój cały przeżyła w ciszy jego.

Wypadki wyrwały ją z téj kolei, ona sama się ich lęka, sama nie pojmuje siebie, jest ofiarą swego losu, a raczéj ofiarą téj dumy i szlachetności, naturalnie szlachetności wedle pojęć ówczesnych, która każe jéj walczyć w imię krzywdy doznanéj i poszukiwać na zabójcy śmierci ojca. Postawiona w bitwie w pośród krwi rozlewu, walczy ona także nieustraszona, ale widocznie jest już wyrzucona z właściwéj kolei, działa jakby pod władzą tajemniczego demona, bo natura to łagodna, niewieścia, kochająca i spokojna. Autor nie potrzebuje nam tego mówić i nie mówi nigdy, jest on na to zbyt wielkim artystą, rysy te są widne pod bohaterstwem dziewczyny.

Padł wreszcie gród Leszkowy, on sam spłonął na stosie, na którym kazał postawić purpurą obite krzesło swe książęce, w olbrzymiém ognisku, w które po kolei rzucały się żony jego, gnane niepojętém uczuciem, a kiedy lud dokonał zemsty swojéj, Lublana zwróciła konia od dogorywającego stosu i jechała samotna. Posłannictwo jéj było spełnione, niémiała co więcéj robić na świecie; lękali się jéj wszyscy i ona lękała się saméj siebie: wszakże upiorzycą była, wszakże powróciła ze świata umarłych, z którego nikt nie powraca. Po mniemaném utopieniu ludzie mogli nazywać ją upiorem, ale ona śmiała się z tego, wiedziała dobrze iż jest żywą. Teraz co innego; teraz ona sama pyta, czy jedzie do chaty swojéj, czy do mogiły. Jechała; ludzie rozstępowali się przed nią, jeden Mirek puścił za nią konia w zawody, dognał i zatrzymał. Serce jego lgnęło do niéj, czy była żywą, czy umarłą, pragnął z nią żyć, a gdy żyć nie mógł, chociaż umrzéć z nią razem.

Ale Lublana kochała go zanadto, ażeby na to przystać. „Wróć do swoich, do żywych, prosiła; ja umarłam, ty wiesz, ino mi kazano wrócić na to, abym śmierć ojca pomściła..." Śmierć zaraźliwa: kto z trupem przestaje, umierać musi.

Rozpoczyna się pomiędzy nimi walka uczucia.

— Dobra z tobą i godzina—wołał Mirek—a potém niech już palą oboje.

A gdy Lublana umknęła, nie chcąc mu przynieść nieszczęścia, wołał znowu: „Żywa, czy upiór, muszę ją miéć, bez niéj żyć nie mogę: wolę z nią umierać.

Jestto miłość mocna jak śmierć, miłość pierwotnych ludzi, która nie rozpływa się darmo w słowa i marzenia, ale przed niczem się nie cofa.

Lublana uciekła wprawdzie przed Mirkiem, tylko przed dolą swoją uciec nie mogła, a dola to była okropna, być saméj sobie postrachem. Zagrodę jéj ojca najechał zły stryj i groził, że upiorzycę pochwycić trzeba i serce jéj przebić osikowym kołem, ażeby nie błąkała się pomiędzy ludźmi i krwi ich nie piła. Ulękła się i uciekła znowu w głuchą puszczę do schronienia Rusy. Bo choć sama nie wiedziała, umarłąli była czy żywą, wzdrygała się na myśl o podobnéj męce.

Staréj Rusy żal się zrobiło Lublany, a lękała jéj się mniéj od innych, wiedziała bowiem jakiemi zaklęciami bronić się od złych duchów i upiorów, a w ostatku myślała sobie: „dziś czy jutro śmierć, do mogiły mi i tak niedaleko."

Ale dziwnego rodzaju upiorzyca była z Lublany: nie zmieniała się ani w dzień ani w nocy, jadła i piła jak zwykli śmiertelni, a na samo wspomnienie krwi, wzdrygała się, bo tyle jéj widziała w około siebie w dniach bitwy; zresztą była smutną, cichą, zamyśloną, ale nie tém zamyśleniem niespokojném, gorączkowém, jak wówczas, gdy snuła zamiary zrzucenia przemocy Leszka.

Byłto smutek wielki po straconych nadziejach, po życiu uroczém, po krasnéj młodości, po téj miłości wreszcie, która ukazała jéj się w całéj sile w chwili, gdy ją odtrącić musiała. Lublana sądziła, że to wszystko zostawiła poza sobą niepowrotnie, że przed nią była już mogiła tylko, a żywotne siły buntowały się przeciwko temu.

Rusa, która znała się dobrze na obyczajach upiorów, patrzała na nią z coraz większém powątpiewaniem, aż udała się do mądrzejszego od siebie czarodzieja Znoska i we dwoje przyszli do przekonania, że dziewczyna jest żywą.

Przychodzi Rusa z tą wesołą wieścią do Lublany. Dziewczyna budzi się do życia namiętnie i w téj chwili dopiéro wybucha siłą pragnień niewyznanych dotąd. Rzuca się w uniesieniu na szyję i do nóg Rusy, znów wyrywa jéj się krzyk jeden potężny, jak siły młodości... Żyć, żyć i kochać! To nie połowiczne refleksyjne uczucie Krasy, to nieprzeparta gwałtowność istoty, która nic nie widzi poza miłością swoją. Miłość ta nie zna półcieni, nie zna tych wszystkich subtelności, charakteryzujących wyższy stopień cywilizacyi; wybucha jak płomień w Mirku, zarówno jak w Lublanie: on ważył się na śmierć dla niéj, przezwyciężył lęk, jaki przejmuje prostaczków przed nadprzyrodzoném zjawiskiem, chciał ją pochwycić w ramiona, choćby upiorzycą była i miała zażądać krwi jego. Ona zaś woła, gdy dowiaduje się od Rusy, że Mirkowi żonę swatają. „Nie może to być, jeśli mu żonę dadzą: ja pójdę, zabiję ją, siebie, jego. Żyć mam, to z nim, a bez niego ja nie chcę."

Ale Mirek żony nie pojął. Wyniesiono go na tron Leszkowy i nastawano, by młodych lat nie marnował; on wolał tron porzucić, a Lublanie przeniewierzyć się nie chciał, czy nie mógł. W tych ludziach niéma refleksyi, są tylko siły, które w nich się budzą i rządzą nimi samowładnie.

To właśnie pochwycił Kraszewski i oddał z całym urokiem poezyi, drzemiącéj w łonie istot nieświadomych jeszcze siebie samych.

Świat legend narodowych wpleciony w *Lublanę* jak w *Starą Baśń*, nadają jéj tém większy urok. Mamy tutaj ową konną gonitwę o tron książęcy, którą opowiadają stare kroniki i podstęp zdradliwych współzawodników, co doły pokryte chrustem pokopali w części toru, sobie wolne zostawiając miejsce. Stosownie do legendy, podstępni nie otrzymują zwycięztwa; Mirek, który o to nie stoi, kneziem zostaje i panuje lat wiele z Lublaną: tym sposobem kończy się ta druga baśń stara, nie ustępująca pierwszéj poetycznym nastrojem, a kto wié, czy nie więcéj pociągająca, z powodu bardziéj zrozumiałego dla nas charakteru bohatérki.

Nawet widma, które po dwakroć ukazują się w powieści, tutaj, niémają nic rażącego; wówczas widma były artykułem wiary, a ludzie łatwo widzą to w co wierzą: więc stary Lech, powstający z grobu i prowadzący do zwycięztwa swoje pokolenie, mógł łatwo wysnuć się

z rozigranéj wyobraźni ludzi, dla których wszystko wkoło było jeszcze tajemnicą i cudem.

*Lublana* owiewa czytelnika czarem przeszłości, przenosi w świat nieznany, a utworzona jest z takiém mistrzowstwem, iż ani razu nie nasuwa czytelnikowi wątpliwości żadnéj co do uczuć i wypadków, jakie się przed nim roztaczają: nie spotykamy tu jak w *Aurelianie* ludzi rozłamanych, rozprawiających zamiast działać. Każdy wié, czego chce i do czego dąży, mówi mało, myśli mniéj jeszcze, a jeśli tka myśli, nie umie z nich sobie sam zdać sprawy. Nerwy i mózgi nie rozwinęły się, jak to dziś ma miejsce, zato krew gra niepohamowanie, silne mięśnie są w ciągłym ruchu, inteligencya nagina się do praktycznych celów, staje się przebiegiem: uczucie nie wyłoniło się jeszcze z kolébki popędu, namiętności i instynkta panują samowładnie.

Kraszewski porusza się z zupełną swobodą, w tym odmiennym świecie umie pochwycić charakterystykę epok minionych, przejąć się ich duchem tak dalece, iż każda powieść na tle przeszłości jest wiernym téj przeszłości obrazem. Tak dzieje się nawet, kiedy sięga epok przedhistorycznych, kiedy fantazya i artystyczne poczucie może jedynie służyć mu za przewodnika.

Niemniéj wiernie rozumie i maluje inne dziejowe epoki, mianowicie téż niezbyt odległe od nas czasy saskie, dostarczyły mu, oprócz powieści historycznych jak: *Hrabina Cosel*, *Brühl* i t. p. wielu obyczajowych epizodów, do któréjto grupy należą i świeżo wyszłe *Bratanki*.

Nierządowi i zamieszkom politycznym, charakteryzującym te czasy, towarzyszyły téż zatargi domowe. Rozlóźnienie węzłów społecznych szło w parze z nieposzanowaniem prawa, owa zgubna swawola, będąca charakterystycznem znamieniem narodowego usposobienia, nabierała téż potwornych nieraz rozmiarów. A jeśli w indywiduach szlachetnych choć nieopatrznych była nieraz szkodliwą, to dla złych i przewrotnych stawała się wielką plagą społeczną i prowadziła ich do zbrodni.

Jedną z takich zbrodni rodzinnych przedstawia nam Kraszewski w *Bratankach*. Pomiędzy Piotrem a Witem Zagłobą rozgrywa się dramat straszny. Bratankowie podobni są do siebie twarzą, ale jakże różném jest ich usposobienie i dola: Piotr jedynak u bogatego ojca i posiada wszystkie przymioty, gdy Wit sierota, wychowany w domu stryja, jakby drugi syn jego, odpłaca się za dobrodziejstwa tajoną zawiścią. Nieszczęście chciało, że bratankowie pokochali się w jednéj kobiécie: Piotr jawnie, Wit tajemnie. A gdy Piotr został szczęśliwym małżonkiem i ojcem, niepodejrzywającego zdrady Wit, namówił na jakąś daleką łowiecką wyprawę. Pojechali obadwaj z licznym pocztem, a Wit jeden powrócił, bo w drodze napadli ich rabusie czy Tatarzy i Piotr legł z ich ręki. Takie przynajmniéj było opowiadanie pozostałego bratanka.

W każdym razie powieść ta mogła się podejrzaną wydawać; Marya młoda, osierocona wdowa, zrazu okazywała ku niemu wstręt wiel-

ki, po trzech latach jednak, zmuszona groźbami, czy nie mogąc sobie dać rady z majątkiem, oddała rękę Witowi.

W owych czasach miały miejsce podobne rzeczy, kobiety bywały bezwłasnowolne, potulne; nie znały często ani praw swoich, ani umiały się oprzéć męzkiéj przemocy. Przecież skoro poznajemy bohaterkę *Bratanków*, fakt ten staje się niezrozumiały zupełnie. Marya zanadto kochała dziecię, aby oddać je pod opiekę człowieka, na którym ciążyło posądzenie, że męża jéj zgładził lub nie bronił. Jedna miłość mogłaby tylko te związki prawdopodobnemi uczynić. Ale Marya zamiast miłości, miała zawsze instynktowy wstręt do mężowego bratanka. Groźby także nie potrzebowała obawiać się zbytecznie, bo chociaż sierota, miała krewnych możnych, którzyby ją bronili, a lepiéj było ważyć się na wszystko, niż przez małżeństwo oddać się z dzieckiem na łaskę i niełaskę złego człowieka.

Małżeństwo to jest nie do wytłómaczenia, charakterem bohaterki i jedynie na wiarę autora przyjąć je musimy jako fakt spełniony. W życiu zdarzają się takie niezrozumiałe fakty, w powieści jednak miejsca miéć nie powinny, lub téż świadczą zawsze o jakiéjś niedokładności w postawieniu charakterów. W życiu bowiem istnieje wiele czynników nie dla wszystkich dostrzegalnych, ale gdyby znanemi były, służyłyby niezawodnie za komentarz i tłómaczenie faktów z pozoru niepojętych. Powieść odsłania nam kulisy życia, dlatego każde jéj zdarzenie, każdy postępek działających osób, powinny być ściśle konsekwentne. Jeśli zaś w myśli czytelnika pozostaje wątpliwość, jeśli wypadki nie idą torem sobie właściwym, tylko widnieje w nich samowola powieściopisarza, wówczas powieść traci interes i znaczenie, bo nie możemy przywiązać się do bohatérów, których nie pojmujemy dokładnie.

Tak dzieje się w *Bratankach*. Nietylko bowiem małżeństwo Maryi zbyt słabo jest umotywowane, ale i całe postępowanie Wita z nią jest niewytłómaczone. Jakkolwiek jest on zdolny do podłości i zbrodni, do kłamstwa i brutalstwa, przecież więżąc żonę, nie pozwalając jéj miéć stosunków z krewnemi, obchodząc się z nią jak z niewolnicą, tém samém potwierdza posądzenia, jakie na nim ciążyły. Postać ta narysowana staranniéj, mogłaby miéć tragiczną grozę; tak jak jest, budzi tylko pospolity wstręt. Gdyby np. namiętność szalona do żony bratanka zrodziła się w mniej zepsutéj naturze, gdyby była wystudyowaną psychologicznie, wówczas Wit występny nawet i zbrodniarz, mógłby stać się znakomitym materyałem powieściowym.

Tymczasem interes z psychologicznego pola przenosi się w dziedzinę awantur i zdarzeń, autor prowadzi je zręcznie bardzo i przytém ma sposobność przedstawić galeryę figur i typów ówczesnych, nie starczy to jednak do pokrycia ubóstwa poważniejszéj treści.

Akcya cała opiera się na tém, że Piotr nie zginął w zasadzce, a tylko dostał się do niewoli tureckiéj, zkąd wraca po ośmiu latach.

Wit naprowadzony na poszlakę prawdy, lękając się, by wieść ta nie doszła do Maryi, wywozi ją gwałtem do Drezna, gdzie ma liczne i świetne stosunki. A Piotr stara się wszelkiemi siłami uwolnić żonę i córkę z jego przemocy. Jestto rodzaj gry w chowanego, w któréj obadwaj bratankowie rozwijają nadzwyczaj wiele przebiegłości i męztwa, a autor pokazuje niepospolitą pomysłowość.

Podobne powieści świadczą o bujnéj wyobraźni i są jéj właściwym wytworem, nie zasadzają się na konsekwencyi charakteru; ztąd zakończenie zależy od dowolności autora i wypada wedle kaprysu ręki trzymającéj nici poruszające akcyą, a wypada naturalnie na korzyść pospolitéj etyki, która z rzeczywistą niéma nic wspólnego, bo nie opiera się na żadnéj logicznéj zasadzie. Piotr powraca do własności żony, dziecka i majątku, zły Wit ginie, ale tylko pozornie, albowiem pomimo iż był umarłym i pogrzebionym, znajdujemy go po latach wielu w klasztorze Kartuzów, żeby przynajmniéj nie poszedł na wieczne potępienie, umierając bezpokutnie.

Jestto, nawiasem mówiąc, nieprawdopodobieństwo, niczém nieumotywowane. Wit bowiem niéma nawet téj dumy i wielkości w zbrodni, któraby pozwoliła nam wierzyć w jego pokutę. Bratanki i ich losy są tylko pozorem dla autora, ażeby miał sposobność przeprowadzić czytelnika po kraju i zagranicą, ukazać ten dwór drezdeński, który poznał tak doskonale, że się w nim jakby wśród współczesnego porusza i przedstawić znowu wzajemne stosunki reprezentantów dwu narodów, jakto już niejednokrotnie, a zawsze tak szczęśliwie uczynił.

Jestto więc powieść zupełnie różnego pokroju od *Lublany*, téj doskonale poetycznéj kreacyi, a w któréj poezya nie wyklucza wcale konsekwencyi charakterów utrzymanych jednolicie od początku do końca. *Bratanki* odpowiadają kierunkom sensacyjnym i świadczą, że na tém także polu Kraszewski nie traci świetnych przymiotów swoich i w każdym rodzaju mistrzem pokazać się umié.

# Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Uprawa drzewa eukaliptowego w Europie i innych częściach świata.—Roślinność paleozoiczna.—Zapładnianie roślin morskich działaniem wymoczków.—Drzewo mleczne (brosimum galactodendron).—Objętość czaszki w człowieku.—Badania antropometryczne.—Odkrycie profesora Marsha.—Produkta wulkaniczne na dnie oceanu Spokojnego.—Fauna i flora morza Karaibskiego.—Kształt kontynentu południowo-amerykańskiego.—Wulkany szlamiste.—Nowo odkryte metale.—Nowe minerały.—Wielki meteoryt.—Polidaktylizm u koni.—Jaskinia morawska.—Czy rybojaszczury były żyworodne?—Źródło ciepła słonecznego.

W najburzliwszym roku historyi świata, w którym ukonstytuowała się pierwsza Rzeczpospolita francuzka, w którym nieszczęśliwy Ludwik XVI pociągnięty został do odpowiedzialności przez Zgromadzenie narodowe, a cała Europa uzbroiła się przeciwko Francyi, naturalista francuzki Labillardière dokonał znakomitego odkrycia.

Na kilka lat przedtém przygotowaną została wielka naukowa wyprawa, pod kierunkiem sławnego żeglarza La Pérouse; ale ponieważ nie było nic o niéj słychać od r. 1788, przeto Zgromadzenie narodowe wysłało dwa okręty dla poszukiwania zaginionego statku. Takim sposobem przyszło do skutku odkrycie sławnego w naszych czasach *eukaliptu* (*Eucalyptus globulus*).

Historya tego drzewa, które obecnie hodowane jest na wielką skalę w wielu krajach Europy, jest jedném z najciekawszych opowiadań w nauce, opowiadań przejmujących podziwieniem i wdzięcznością dla tych, którzy pierwsi na tém polu pracowali, i dlatego korzystamy z ogłoszonéj niedawno w tym przedmiocie rozprawy uczonego angielskiego Bethama Edwarda, aby bliżéj zaznajomić czytelników z tém ze wszech miar godném uwagi drzewem.

Drzewo gumowe Australii, czyli *eucalyptus*, stanowiące znakomity środek lekarski przeciwko niektórym chorobom, a którego przeznaczeniem było zamienić miazmatyczne płaszczyzny i zaraźliwe bagna w przyjemne miejsca pobytu; drzewo, które odkryło człowiekowi niezliczone źródła bogactwa i przemysłu, jest zatém, jak mówi pomieniony autor, dziecięciem wielkiéj rewolucyi francuzkiéj.

Bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że Labillardière, przeczuciem prawdziwego geniuszu wiedziony, odgadł wiele ważnych rezultatów, zdobytych przy jego pomocy. Gdyby mógł w duchu przenieść się z jednéj plantacyi eukaliptu do drugiéj, z Algieru na wyspę Ceylon, z Przylądka Dobréj nadziei do Hiszpanii, z Nowéj Zelandyi do Riviera; gdyby mógł porównać suchy i niezdrowy klimat, jaki poprzednio w wielu krajach panował, oraz bagna i trzęsawiska z zielonością i aromatycznym zapachem, cechującemi obecnie te kraje, to zaiste przejęty

byłby dumą i wzruszeniem na samą myśl dobrodziejstw, jakie za jego przyczynieniem się spłynęły na ród ludzki. Gdyby wiedział, jak okręty, przerzynające wielkie drogi na oceanach, przenoszą cenne paki nasienia eukaliptu do wszystkich części świata, przeznaczone pokryć pustynie kwiatami i zielenią, zawołałby niewątpliwie z poetą Romy starożytnéj:

Quae ora in terris nostri non plena laboris!

Labillardière nazwał to drzewo gumowe *Eucalyptus globulus* [1]). Nadzwyczajna jego wysokość zwróciła nań uwagę naturalisty francuzkiego. W saméj rzeczy napotykają się niektóre okazy tak wysokie, któreby mogły panować nad katedrą strasburgską i rzucać nawet cień na piramidę Cheopsa! Jakkolwiek drzewo to hodowane bywa nawet w Anglii, np. w ogrodach w Dulwich Common, w Kew, i t. d., jakkolwiek wzdłuż brzegu Riviera, w Hiszpanii, w południowéj Afryce, w Algierze zwraca na siebie uwagę podróżnych; to jednak, aby je widzieć w całéj pełni blasku, potrzeba zwiedzić jego rodzinny kraj, Tasmanią, w któréj te olbrzymy świata leśnego przewyższają w wysokości niebotyczne wellingtonie Kalifornii.

Rodzaj *eucalyptus* należy do rzędu mirtowatych (*myrtaceae*) i liczy około 150 gatunków, z których około 50 aklimatyzowało się w Algierze. Liście niektórych gatunków kopalnych odkryte zostały na licznych miejscach w Szwajcaryi, w pokładach należących do okresu miocenicznego. W Monte Bolca, w północnych Włoszech, odkryto 3 gatunki w pokładach okresu eocenicznego.

Pani Bodichon tak opisuje w *Pall Mall Gazette* młody las eukaliptowy, zwiedzony przez nią przed kilkoma laty w Algierze: „Przechadzaliśmy się pod wysmukłemi drzewami, do 50 stóp wysokiemi, w lesie, który przed siedmioma laty założony był przez zasianie nasienia, mniejszego niż nasienie gorczycy. Plantacya ta, założona na złym gruncie, nie była otoczona należytém staraniem, a jednak wzrost drzew był prawdziwie zadziwiający. W tym wiecznie zielonym lesie widzieliśmy wysokie, czerwonawe, gładkie pnie, ze zwieszoną korą i szaremi, podobnemi do wierzbowych, liśćmi, falującemi na giętkich gałązkach. Prawie na 25 stóp od ziemi, pnie drzew w wewnętrznéj części plantacyi niémają gałęzi; z zewnętrznéj strony lasu drzewa wypuszczają gałęzie, dotykając się prawie ziemi. Sprawiała na nas dziwne wrażenie ta przechadzka po cienistym lesie australsko-afrykańskim, albowiem przychodziło nam na myśl, że taki był las okresu miocenicznego. Mnóstwo ptaków, ciągłe ich przelatywanie z drzewa na drzewo, zwiększały jeszcze to wrażenie. Mierzyłam te drzewa i znalazłam, że mają czterdzieści do czterdziestu pięciu cali w obwodzie; stojące na brzegu lasu były, ma się rozumiéć, kilka cali grubsze. Kwiat eukaliptu bardzo po-

[1]) Z greckiego: εὐκάλυπτος dobrze schowany, z powodu kształtu kielicha.

dobny do kwiatu mirtu; pełen jest miodu i zwabia mnóstwo much i pszczół; a ptaki chronią się naturalnie pod to drzewo, znajdując w niém nie tylko pożywienie, ale nadto grube, ciepłe, liściaste pokrycie w zimie, a w lecie osłonę od palących promieni słońca. Niektóre gatunki eukaliptu mają wielkie, piękne kwiaty."

Wspaniałą postawę eukaliptu w jego kraju rodzinnym, opisują autorowie rozprawy: *Cośmy widzieli w Australii.* Znaleźli w Australii mało gatunków drzew liściastych, z wyjątkiem jednak eukaliptów czerwonych, białych i błękitnych; te jednak zmieniają się tak bardzo w rozmaitych okresach wzrostu, w rozmaitém położeniu i pod zmiennem działaniem światła, że sprawiają efekt sosen, jodeł, wiązów, dębów, a zwłaszcza wierzb. Pojedyńcze drzewa są tak piękne kształtem, jak najładniejsze nasze dęby i wiązy.

Długa przerwa następuje w historyi eukaliptu po odkryciu Labillardièr'a, które zdawało się pójść w zapomnienie. W Tasmanii różne użytki i własności jego ekonomiczne były wcześnie ocenione. Ale prawdziwa historya eukaliptu datuje od założenia kolonii Wiktoryi, przed czterema dziesiątkami lat. Uczony dyrektor ogrodów botanicznych w Melbourne, baron Müller, którego imię jest również nierozerwalnie złączone z nazwą eukaliptu, pierwszy zajął się rozszerzeniem po świecie tego drzewa, znajdując w kupcu francuzkim Ramel gorliwego współpracownika na tém polu. Dzięki ich wspólnym staraniom, drzewo to rozpowszechnione zostało daleko. Ramel w interesach handlowych zwiedził Australią i zauważył w ogrodach publicznych w Melbourne młode drzewo, którego nawet nie znał nazwy. „Uderzony byłem, powiada, jego elegancyą, i dlatego zainteresowało mnie bardzo." Zabrał z sobą kilka nasionek do Francyi, gdzie je zasadził, a nadzwyczaj szybki ich wzrost, piękne niebiesko-zielone liście, obudziły jego ciekawość. Jakkolwiek nie botanik, tylko człowiek praktyczny, poświęcił się mu z zapałem, jaki tylko widzieć można w świecie naukowym. Wystudyował je pod każdym względem i przepowiedział mu wielką rolę, jaką odegra w ekonomicznéj historyi świata. Wierzył w eukalipt według słów jednego z jego przyjaciół, jak optymiści wierzą w ostateczny tryumf dobrego nad złem na ziemi. W imaginacyi swojéj widział płaszczyzny i bagna pokrywające się plantacyami i lasami eukaliptowemi, widział znikającą febrę i malaryą, widział, jak klimat i grunt ulegały zadziwiającym przeobrażeniom, a szczęście ludów kwitło tam, gdzie poprzednio gorączka, zaraźliwe choroby i źle wynagradzana praca dziesiątkowały pionierów cywilizacyi. A jakkolwiek fantastycznemi wydawały się innym te marzenia, z tém wszystkiém jednak w znacznéj części okazały się prawdziwe, jak to zaraz zobaczymy.

Müller i Ramel popierali hodowanie eukaliptu na różnych miejscach, zwłaszcza w Algierze. W krótkim czasie przekonano się, że siew przedstawia najprostszy i najpewniejszy sposób jego rozpowszechnienia. Nasiona tedy były wysyłane przez Müllera w wielkich ilościach, a Ramel znalazł bardzo czynnych pomocników w niektórych

mieszkańcach kolonii, jakimi byli: Trottier, Cordier, Bodichon i wielu innych. Wielki udział w tém przedsięwzięciu przyjął również znakomity botanik Durando. Przekonano się niebawem, że *Eucalyptus globulus* nie tylko stanowi źródło przemysłowego bogactwa dla kolonii, jako drzewo budowlane, ale nadto, będąc hodowanym na dostatecznie rozległą skalę, daje gwarancyą przeciwko strasznemu, poprzednio niezwyciężonemu nieprzyjacielowi: malaryi. Jak pilnie pracowano w tym kierunku, dowodzi tego fakt, że kiedy w r. 1862 nie było jeszcze ani jednego ziarnka nasienia tego drzewa, w roku 1878 liczono tam całe setki tysięcy. Zasiano wprawdzie wiele milionów ziarn, ale wielka liczba wyginęła wcześnie; Arabowie niszczyli je nadzwyczaj, kobiéty i dzieci łamały i kaleczyły gałęzie. Drzewa te dochodzą do 60 stóp wysokości, a nieraz nawet do 90 już po upływie lat 10; przyrost 2 yardów na wysokość w ciągu roku nie uważa się za nadzwyczajny.

Indywidualnym usiłowaniom, mającym na celu rozpowszechnianie eukaliptu, dostarczyły poparcia towarzystwa prywatne i rząd algierski w wielu okręgach, ile że przekonano się, iż wszędzie, gdzie założone zostały plantacye eukaliptu na wielką skalę, poprawiały się stosunki sanitarne, a takim sposobem zamiłowanie do nauki i uczucie ludzkości pomagały dobroczynnemu w skutkach swoich dziełu.

Przeważnie uprawiany jest *Eucalyptus globulus*, jakkolwiek i *Eucalyptus colossea* napotyka się również w Algierze, zwłaszcza w Laghouat. Te pachnące lasy australskie, napotykane w pośród pustyń afrykańskich, stanowią obecnie prawdziwy cud natury, dla podróżującego po Algierze, cud ręką człowieka dokonany; lasy te pokrywają dziś wielkie przestrzenie, podczas gdy przed 10-ciu lub 12-tu laty sama nazwa eukaliptu była zaledwie znana niektórym uczonym.

Ale nie na samym Algierze ograniczyła się praca miłośników tego drzewa. W południowéj Francyi i Hiszpanii, na Korsyce, na wyspie Ceylon, w Transwaalii, oraz w innych częściach południowéj Afryki, jak również na Jamaice, uprawiany jest eukalipt i zawsze z najlepszemi rezultatami. W skutek połączonych usiłowań Rameľa i Wilson'a, zaprowadzono uprawę eukaliptu w Walencyi. W czasie ich podróży po Hiszpanii, malarya pustoszyła nieszczęśliwy kraj. Eukalipt zaprowadzono w najniezdrowszych miejscach, a niedługo potém wieśniacy poznali jego wartość, zaczęli używać jego liści do przygotowywania odwaru, dając eukaliptowi nazwę drzewa przeciwko zarazie. Dziś drzewa te, jużto pojedyńczo, już w całych plantacyach, napotkać można w okolicach Sewilli, Grenady, Malagi, Nicei, Monaco, Cannes, zwłaszcza w ogrodach prywatnych, a rzymska Kampania (*Campagna Romana*), to siedlisko zarazy, byłaby zupełnie inną, gdyby plantacye eukaliptu zaprowadzone w niéj zostały na wielką skalę.

Trottier, tak ze względów sanitarnych, jak i ekomicznych, popiera nadzwyczaj uprawę eukaliptu, widząc w nim źródło bogactwa, a w jego własnościach najpewniejszy środek przeciwko malaryi. Opinie swoje wypowiada w licznych broszurach, jak: *Notes sur l'Eucalyp-*

*tus, Influence des arbres sur la pluie, Rôle de l'Eucalyptus en Algérie*, i w wielu innych. Konkluzye jego dają się tak streścić:

1-o Rezultaty szczegółowych spostrzeżeń, dokonanych przy pomocy pluwiometru, wykazują, że lasy ściągają większą ilość deszczu, niż uprawny odkryty grunt; że nawet pod drzewami woda dostająca się do gruntu jest obfitszą, niż na gruncie nieosłonionym; że przez wielkie plantacye klimat gorący i suchy łagodnieje i staje się mieszkalnym dla Europejczyków.

2-o Trottier wykazuje dostatecznie, że ze wszystkich drzew eukalipt najlepiéj nadaje się do sprowadzenia fizycznéj zmiany, tak potrzebnéj dla Algieru; aromatyczny zapach jego liści posiada silne własności przeciw gorączce, podczas gdy jego drzewo, kora i olejek dostarczają nowego źródła bogactwa.

3-o Pod względem szybkości wzrostu żadne drzewo nie może z nim iść w porównanie. Drzewo to w wielkiéj ilości znajduje się w południowéj Francyi, dla pięknego wyglądu i obfitości cienia, jakiego dostarcza w ogrodach, jak również, i to głównie, dlatego, że żadne inne drzewo nie rośnie tak prędko. Buduje się willa, zasiewa nasiona eukaliptu, a po 7-iu latach powstaje las, pełen zieloności i kwiatów, którego drzewa dochodzą 50 stóp na wysokość. Las taki nie tylko jest piękny, ale i pożyteczny, i dostarcza materyału do budowy i na opał, zwabia ptaki i pszczoły, poprawia powietrze okoliczne. Nie sadzą tu drzewa dla potomności, ale dla siebie samych. Eukalipt odpowiada zatém nawet charakterowi francuzkiemu, zawierającemu się w przysłowiu: *Après nous le déluge*.

Sanitarny wpływ eukaliptu tak się objaśnia: olejek aromatyczny, czyli esencya dystylowana z liści, daje się porównać do kamfory, mięty pieprzowéj i innych środków antyseptycznych, czyli powstrzymujących gnicie, podczas gdy kora posiada niektóre własności chiny.

Na poparcie powyższych twierdzeń przytoczymy tylko jeden przykład. Raport konsula Playfair za r. 1877, wydrukowany w dzienniku *Times*, wspomina o jedném towarzystwie kopalnianém, które zasadziło 100,000 tych drzew w Mokta-el-Hadiet. Poprzednio robotnicy nie mogli przebywać tam w lecie, z powodu niezdrowości powietrza; a ci, którzy tam pozostali, wszyscy wymarli, i trzeba było każdego dnia przywozić i odwozić robotników, zaimprowizowaną na ten cel koleją żelazną. Od czasu zaprowadzenia drzew eukaliptowych, robotnicy pozostają na miejscu w ciągu całego roku. Podobnież płaszczyzna Silg, w prowincyi Oran, w Algierze, gdzie poprzednio zaraźliwe panowało powietrze, została zupełnie ozdrowioną.

Doktorowi korsykańskiemu Carlotti winniśmy szereg bardzo pouczających obserwacyi na tém polu, zwłaszcza co do używania eukaliptu jako środka lekarskiego, przez przygotowywanie infuzyi (nalewek) i dekoktów (odwarów) z liści tego drzewa. W niektórych razach lekarstwo bywało skuteczniejsze, niż sama china, nie dopuszczając recydywy. To samo utrzymuje dr. Tedeschi, oraz dr. Miergues z Bouffaric (Al-

gier). Ten ostatni jest autorem 24 różnych preparatów lekarskich pod formą proszków, plastrów i t. p. środków. W południowéj Francyi i w Rzymie w powszechném jest użyciu dodawanie kilku suszonych liści tego drzewa do lekkiego wina, dawanego choremu do picia, albo też pomieszczanie młodego drzewka w bliskości łóżka chorego dla wywołania snu.

W Algierze używanie eukaliptu, jako środka lekarskiego, znane jest od lat kilku, i odtąd ciągle wzrasta. Kilka liści, włożonych do kąpieli z wody ciepłéj, sprawia ulgę w cierpieniach reumatycznych i newralgicznych, oraz w razie nadzwyczajnego osłabienia, następującego skutkiem malaryi.

Zadalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy chcieli przywodzić długą listę środków przygotowywanych z eukaliptu. Poprzestać musimy na powyższych kilku cytatach.

Co do wartości eukaliptu, jako drzewa budulcowego, powiemy tylko, że ze swego rodzinnego kraju, Tasmanii, wywożoném jest w ogromnéj ilości, na olbrzymią sumę 800,000 funtów szterlingów rocznie.

Nadmieniamy, że eukalipt udaje się tak na gruncie bagnistym, jak również i na suchym, że bardzo silnie opiera się wpływom suchego roku, korzystając z wiosennych i jesiennych deszczów.

Drzewo eukaliptowe używane bywa do budowy okrętów, na maszty, nadaje się również na podkłady dla dróg żelaznych, do budowy mostów, wiaduktów, i t. d. Poprzednio pszczoły były nieznane w Australii; posiadanie ich obecne zawdzięczają mieszkańcy téj części świata kwiatom eukaliptu.

Tak więc w nasionku eukaliptu, nie większém od ziarnka gorczycy, mamy nietylko źródło bogactwa narodowego tych krajów, w których jest uprawiany, ale źródło zdrowia przyszłych pokoleń, oraz ulepszenia tych warunków fizycznych, w których człowiek zmuszony jest żyć. Jak w intellektualnéj historyi społeczeństwa, słowo może być dźwignią niezmierzonéj siły, rozszerzającą duchową władzę człowieka, tak w naturalnéj historyi świata, nasienie jest nieraz czynnikiem, rozszerzającym wokoło potężny wpływ, objawiającym nowe tryumfy nauki.

* * *

Hrabia Gaston de Saporta, w podanéj niedawno do wiadomości publicznéj rozprawie, traktuje o pewnych organizmach, odnoszących się do dolnéj formacyi syllurskiéj, których natura dotąd była bardzo wątpliwą: organizmy te przez naturalistów były uważane jużto za odciski roślinne, już za szczątki mięczaków i innych istot niższych królestwa zwierzęcego. Wymienione typy przez hrabiego de Saporta są następujące: *tygillyty*, *bilobity* i skandynawski *eofit*. Pierwsze z nich są to ciała cylindryczne, nagromadzone całemi koloniami, pomieszczone pionowo w skałach i wypełnione następnie po śmierci istoty, która je zamieszkiwała. Z zewnętrznego wyglądu i wymiarów, z obecności ciemnych pasków wzrostu, dotąd widzialnych na powierzchni, ze spo-

sobu, w jaki są zakończone od spodu, i wogóle ze wszystkich swych cech, zbliżają się bardzo do tak zwanego *Spirographis*, który dotąd żyje na brzegach morza Śródziemnego.

*Bilobity* uważane są za organizm roślinny morski, jakkolwiek nic podobnego do nich nie napotykamy w wodorostach obecnych. De Saporta przytacza, dla podtrzymania roślinnéj natury tych skamieniałości, szczególną osobliwość w sposobie skamienienia. Znajdowane są w płaskorzeźbie na dolnéj powierzchni pokładów, w których są zachowane, i przedstawiane są zawsze przez próżne odciski na górnéj powierzchni pokładów pod niemi leżących. Ta płaskorzeźba, wykazująca wszystkie szczegóły zewnętrznego ustroju tych dawnych roślin, jest rezultatem wciśnięcia się mięsistego lub chrząstkowego ciała, które, uformowawszy się w osadzie, znikło następnie skutkiem rozkładu. Ciśnienie pokładów w biegu ich tworzenia się wypełniało następnie dolną połowę formy, tworząc wspomnianą wyżéj płaskorzeźbę. Bilobity składają się z dwu wypukłych części, połączonych w linii środkowéj i oznaczonych na powierzchni pochyłemi wgłębiającemi się prążkami. Z liczby godnych uwagi odcisków, zebranych przez profesora Morière z Caen, widać, że linie łączności, które z początku są pojedyńcze, stają się coraz bardziéj złożonemi w skutek rozgałęzień. Na wielu punktach powierzchni bilobitów dostrzedz się dają blizny, które prawdopodobnie utworzone zostały przez organa rośliny.

*Eofity* są to ciała cylindryczne, więcéj lub mniéj wydłużone, rozgałęzione u góry lub rozszerzone, z boków ściśnięte, i zawsze oznaczone regularnemi prążkami oraz delikatnemi brózdami, biegnącemi w kierunku podłużnym. Nie mają one żadnego podobieństwa do *bilobitów* (zwanych inaczéj jeszcze *Cruzianae*), i dwa te typy musiały stanowić odrębne rodzaje, jeżeli już nie familie. Nie mogą być uważane, podług opinii pomienionego naturalisty, za blizkie pokrewieństwem do jakichkolwiek z istniejących wodorostów, ale mogą być uważane za zaginione typy, mające dalekie pokrewieństwo z rodziną *Caulerpeae*.

* * *

Profesor Dodel-Port z Zurychu, ogłosił w czasopiśmie *Kosmos* sprawozdanie z nadzwyczaj ciekawych spostrzeżeń, wykonanych nad zapładnianiem wodorostu *Polysiphonia subulata*, który, jak to wynika z tych spostrzeżeń, przedstawia szczególne analogie z roślinami jednopłciowemi, zapładnianemi przez wiatr i owady. Liczne ryciny służą do dokładnego przedstawienia rzeczy w téj pięknéj rozprawie, którą w streszczeniu pomieścił tygodnik angielski *Przyroda* [1]). Nie mogąc się posiłkować tym środkiem pomocniczym, zmuszeni jesteśmy ograniczyć się na ogólnikowém przedstawieniu rzeczy, ile że i przedmiot sam wkracza w granice specyalności: Jak wiele innych przedstawicieli familii *Florideae*, wodorost ten jest rozdzielnoorganowy, rośliny męzkie i żeńskie częstokroć przebywają w znacznéj od siebie odległości. *Polysiphonia subulata* pozbawiona jest w zupełności ścianek komórko-

[1]) *Nature*, 11 September, 1879.

wych (*cell-wall*), a tém samém rzęs (*cilia*), przy pomocy których komórki nasienne męzkie tak wielu wodorostów wędrują po wodzie, szukając organów żeńskich, które przeznaczone są zapłodnić. Organa te są to kulki protoplazmy, ściśle podobne do ziarnek pyłku rośliny jawnopłciowéj, zapładnianéj przez wiatr (*anemophilous or wind-fertilized phanerogamous plant*).

Co do tych ostatnich roślin, wiadomém jest, że szansa zapłodnienia zwiększa się nadzwyczaj w skutek ogromnéj ilości pyłku, jaką kwiaty męzkie oddają każdemu przechodniemu wietrzykowi, a to samo, jak się zdaje, przeważa w przypadku wspomnianego wyżéj wodorostu *Polysiphonia*. Jasną jest rzeczą, że komórki nasienne męzkie téj rośliny, będąc zupełnie pozbawione wszelkich organów służących do zmiany miejsca, czyli organów lokomocyi, muszą zachowywać się biernie, unoszone będąc we wszystkich kierunkach przez prądy wodne i inne ruchy wody, dopóki, spotkawszy się z rośliną żeńską, nie przylegną do niéj i nie spełnią swego obowiązku. Kiedy obie płci rosną w niewielkiéj od siebie odległości, wtedy, zdaniem profesora Dodel-Port, drobne zwierzątka morskie, jak skorupiaki, wymoczki i t. p., które roją się w podmorskich lasach familii *Floridеae*, znakomicie pomagają w przenoszeniu zapładniającego elementu do organu żeńskiego; ale w biegu swoich badań odkrył, że pewne zwierzątka biorą udział w procesie w nierównie ciekawszy sposób, żywo przypominając nam, przy szczególném zastosowaniu środków do celów, o zadziwiających stosunkach, istniejących niezaprzeczenie pomiędzy owadami a roślinami kwitnącemi. Dr. Dodel-Port znajdował stale na młodych gałązkach wielką ilość żyjątek Bella, czyli tak zwanych lanuszek (*Vorticella*) [1]), które były tam, jak zazwyczaj, w nieustannym ruchu. Te małe istoty żywią się w mowie będącym wodorostem pływającym po wodzie; znaczna ich część rzęsami swemi wywołuje wiry w wodzie, i tén ruch wody jest dobroczynnym dla rośliny w mowie będącéj, ułatwiając zetknięcie się osobników męzkich z żeńskiemi.

W saméj rzeczy obecność lanuszek udziela biernie zachowującym się komórkom nasiennym męzkim wodorostu *Polysiphonia* ruch podobny do tego, jakim obdarzone są komórki nasienne innych wodorostów, które opatrzone są rzęsami. W przypadku opisywanym, dobroczynne działanie wirów sprawianych przez lanuszki zwiększa się jeszcze obecnością w bezpośredniém sąsiedztwie części składowych organów żeńskich, to jest widelczykowatych włosków, złożonych z wielu komórek. Te włoski, zdaniem autora, rozdzielają wiry wodne, tworząc tym sposobem wiry pomocnicze, dążące bezpośrednio do skierowania i zbliżenia do siebie organów męzkich i żeńskich pomienionéj *Polysiphonii*. Profesor Dodel-Port kończy swoją rozprawę następującemi wnioskami:

„Zupełny brak czynnych organów ruchu w anterozoidach familii *Floridеae* wskazuje wspólnego przodka, od którego różne gałęzie téj

[1]) Istoty te należą do gromady wymoczków (Infusoria).

familii odziedziczyły nieruchomość anterozoidów. Podczas różniczkowania, wiele form niewątpliwie wymarło w skutek tego, że zapładnianie nie miało miejsca z powodu bierności komórek męzkich, podczas gdy inne formy usunęły się do miejscowości sprzyjających procesowi zapładniania przez czynne prądy wody, pomimo nieruchomości anterozoidów. Wiadomo dobrze, iż obecnie znajdujemy wielką liczbę istniejących gatunków familii *Florideae*, na brzegach ciepłych mórz, które są stale opłókiwane falami, podczas gdy brzegi północne, pokryte powłoką lodową w ciągu znacznéj części roku, są bardzo w nie ubogie. Przyszłe badania wykażą, do jakiego stopnia w wielu z tych roślin wodnych miało miejsce różniczkowanie rodzajów w kierunku przystosowania się do żyjątek morskich, sprzyjających ich zapładnianiu w przedstawiony wyżéj sposób."

* * *

Podczas pobytu swego w Maracayu, w Ameryce Południowéj, Boussingault badał soki drzewa mlecznego (*Brosimum galaetodendron*), bardzo rozszerzonego po Ameryce zwrotnikowéj. Sok tego drzewa zbliżony jest do mleka, zkąd poszła nazwa samego drzewa, którego sok Anglicy nazywają mlekiem drzewa krowiego (*Milk of the Cow-Tree*). Następujące substancye otrzymane były z niego (mleka) przez Boussingault'a, a mianowicie:

1. Substancya tłusta podobna do wosku, topliwa przy + 50C°, bardzo rozpuszczalna w eterze i cokolwiek rozpuszczalna we wrzącym alkoholu. Substancya ta, stopiona i ostudzona, podobną jest do wosku, z którego robione były świece. 2. Substancya azotowa, podobna do twarogu. 3. Materye cukrowe. 4. Sole potasu, wapnia, magnezu, fosforany. Ilość stałych części w mleku ocenioną została na 42%.

Próbki tego soku mlecznego, przysłane na ostatnią wystawę paryzką, dały ekstrakt, który w stanie stężonym przedstawiał skład następujący:

| | |
|---|---|
| Wosku czyli materyi tłustéj | $84{,}_{10}$% |
| Cukru . . . . . | $3{,}_{40}$% |
| Gumy . . . . . | $3{,}_{15}$% |
| Twarogu, białka . . . . | $4{,}_{00}$% |
| Popiołu, fosforanów . . . | $1{,}_{00}$% |
| Substancyj bezazotowych nieoznaczonych . . . | $4{,}_{25}$% |

Co wszystko, po sprowadzeniu do soku mlecznego, zawierającego 42% materyj stałych, daje w procentach:

| | | |
|---|---|---|
| Wosku. . . . . | $35{,}_{2}$ | |
| Cukru i substancyi podobn. | $2{,}_{18}$ | |
| Twarogu, białka. . . . . | $1{,}_{7}$ | $4{,}_{00}$ |
| Ziem, alkaliów, fosforanów . | $0{,}_{95}$ | |
| Substancyi nieoznaczonych . | $1{,}_{18}$ | |
| Wody . . . . . | $58{,}_{0}$ | |
| Razem. . . | 100 | |

Takim sposobem, w ogólnym swoim składzie sok galaktodendronu zbliża się do mleka krowiego, z tą różnicą tylko, iż zawiera około trzech razy więcéj materyi stałych, w skutek czego należałoby raczéj przyrównać to mleko roślinne do śmietanki, któréj skład, według rozbiorów dokonanych przez Jeannier'a, jest następujący:

| | |
|---|---|
| Masła . . . . . | $34_{,3}$ |
| Cukru mlecznego . . . . | $4_{,0}$ |
| Twarogu i fosforanów . . | $3_{,5}$ |
| Wody . . . . . | $58_{,2}$ |
| Razem. . . | $100_{,0}$ |

Masło jest tu prawie w tym samym stosunku, jak materya woskowa w mleku galaktodendronu.

* * *

Powszechnie przyjmowana opinia, że w rodzie ludzkim czaszki największéj objętości należą do plemion najinteligentniejszych, a w każdém plemieniu do najpojętniejszych osobników, zachwianą została w czasach ostatnich. Na dowód tego Anoutchine podaje [1]) następującą listę objętości, obliczonych przez różnych uczonych, ale według tego samego systemu.

| | | |
|---|---|---|
| Niemcy | (Weissbach) . . . | 1521 kub. cent. |
| „ | (Welcker) . . . . | 1448 „ |
| Kroaci | (Weissbach) . . . | 1499 „ |
| Kałmuki | (Miecznikow). . . . | 1498 „ |
| Chińczycy | (Lucae) . . . . | 1482 „ |
| Rumunowie | (Weissbach). . . . | 1478 „ |
| Rossyanie | (Lauzert) . . . . | 1471 „ |
| Czukczy | (Wyman) . . . . | 1468 „ |
| Czesi | (Weissbach). . . . | 1456 „ |
| Węgrzy | (Weissbach). . . . | 1437 „ |

Podług tego, Kałmuki i Chińczycy mają większą objętość czaszki, niż wiele narodów europejskich, Czukczy zaś większą, niż Węgrzy. Wielka objętość głowy Kałmuków zauważoną była przez wielu podróżnych i sprawdzoną wykonaniem pomiarów przez von Baera.

Co do plemion przedhistorycznych europejskich, jak utrzymuje Anoutchine, nie możemy przypuszczać, aby objętość ich czaszki była mniejszą, niż u plemion nowożytnych. Średnia objętość czaszki u nowożytnych Paryżan jest 1558 cent. sześć. (u kobiet 1337). Co do czaszek przedhistorycznych, posiadamy cyfry następujące:

| | | |
|---|---|---|
| Czaszka z Cro-Magnon. . . . . | 1550 cent. sześc. | |
| „ „ . . . . . | 1590 | „ |
| „ Grenelle. . . . . | 1530 | „ |
| „ L'Homme Mort. . . . | 1606 | „ |
| „ La Truchère . . . . | 1925 | „ |
| „ Solutré . . . . . | 1560 | „ |
| „ „ . . . . . | 1428 | „ |

[1]) *Assoc. Fran. pour l'Avancement des Sciences*, 1878, pag. 868.

Czaszka z Furfooz . . . . . 1300 cent. sześc.
„ „ . . . . . 1450 „

Tak więc nie zdaje się, aby te przedhistoryczne ludy miały posiadać objętość czaszki stanowczo mniejszą, niż objętość czaszki dzisiejszych Paryżan. W rasie z Canstadt oraz u człowieka z Neanderthal mamy odmienny stan rzeczy, gdyż ten ostatni, jak oznaczono, posiada zaledwie objętość 1200 cent. sześc. Ale mógł to być charakter indywidualny, wyjątkowy, podobnie jak Duńczyk Kay Lysse, który odegrał ważną rolę polityczną w swoim kraju, a przecież miał objętość czaszki tylko 1250 cent. sz., a według dokonanego pomiaru przez Luschana, objętość czaszki jednego Węgra wynosiła tylko 1195 cent. sześciennych.

Pod względem różnicy w objętości największych i najmniejszych czaszek męzkich u osób dojrzałych, oraz jéj domniemanego wzrostu z biegiem cywilizacyi plemienia, Anoutchine wykazuje, iż jakkolwiek Le Bon znalazł, że ta różnica wynosi 592 u Paryżan nowożytnych, a tylko 472 u Paryżan VII wieku, podczas gdy u mieszkańców Australii wynosi ona tylko 284, profesor Mantegazza znalazł różnicę 533 u Papuasów Nowéj Gwinei, a Miecznikow 539 u Kałmuków. Pierwszy z tych uczonych nie uważa tego za absolutny fakt, aby różnica objętości pomiędzy czaszką męzką i żeńską miała być większą u narodów cywilizowanych, niż u ludów półdzikich. Przez porównanie 30 czaszek płci obojéj, Welcker znalazł, że średnia różnica u Niemców wynosi 148 (1448—1300), a podług profesora Mantegazza, różnica ta wynosi 140 (1425—1285) u Papuasów. Dwie te różnice są bardzo siebie blizkie, a przecież różnica w cywilizacyi dwu narodów jest ogromna.

* * *

Komitet antropometryczny Stowarzyszenia brytańskiego (Anthropometric Committee of the British Association), ustanowiony w celu systematycznego badania wagi, wysokości i innych wymiarów człowieka, na ostatniém zgromadzeniu tego ciała naukowego złożył wypracowany w tym przedmiocie raport [1]). Znakomity postęp dokonany został na tém polu w roku zeszłym: ułożono wykazy, obejmujące miejsce urodzenia, płeć, wiek, wysokość, ciężar, kolor włosów i oczu, wymiar piersi, siłę muskularną i bystrość wzroku wielkiéj liczby osób, między innemi wychowańców szkół, policyi londyńskiéj, zecerów, wojskowych, przestępców. Tym sposobem komitet zebrał około 12000 oryginalnych obserwacyj w kwestyi wysokości i wagi w stosunku do wieku, w skutek czego liczba obserwacyj z poprzednio dokonanemi przechodzi 60000. Z tablic obejmujących te badania dowiadujemy się, że zecerzy londyńscy mają najniższą wysokość, która przy przeciętnéj cyfrze, w wieku między rokiem 20 a 35, wynosi od 64—67,, cali. Klasa ta ludzi dała również najniższą cyfrę przeciętną co do wagi, która wynosiła tylko od $122,_5$—$139,_0$ funtów. Policya stolicy Wielkiéj Brytanii stała na czele obu list; oznaczone cyfry średnie były w tym razie $69,_2$—$71,_5$ cali wy-

[1]) *Nature*, 18 sept. 1879 r.

sokości, a $162,_5$—$182,_7$ funtów wagi ciała. Inne tablice zdają się wykazywać, że średnia waga i wysokość zmienia się wraz z pozycyą społeczną i zajęciami pewnego ludu, w skutek czego wyprowadzić się daje wniosek, że dla otrzymania typowych proporcyj plemienia brytańskiego należałoby dokonać pomiarów na proporcyonalnéj liczbie osobników każdéj klasy. Jeżeli weźmiemy spis ludności z r. 1871 za podstawę, to gmina typowa składać się będzie z $14,_{82}\%$ klasy niepracującéj, $47,_{46}\%$ klasy pracującéj, robotników (*labouring class*), $37,_{72}\%$ klasy rzemieślniczéj. Do tego typu ludności zbliża się ludność niektórych większych miast, jak: York, Derby, Exeter. W klasie rzemieślniczéj pełnego wzrostu dosięga się pomiędzy 25 a 30 rokiem życia; przy zajęciach innéj profesyi w wieku lat 21. Podług niektórych statystów amerykańskich, powolny przyrost na wysokość ma miejsce do 35 roku życia. Wzrost na wadze nie ustaje wraz z wzrostem wysokości, ale trwa powoli w obu klasach aż do 30 roku. Podobne badania, prowadzone w innych krajach, wydały prawie te same rezultaty.

* * *

Profesor O. C. Marsh odkrył niedawno [1]) ciekawe szczątki drobnych zwierząt ssących okresu jurasowego w pokładach gór Skalistych (Rocky Mountains), między któremi odróżnił cztery gatunki. Dwa z nich uważa za zwierzęta workowate, odnoszące się do osobnego rodzaju, któremu daje nazwę: *Dryolestes*. Jeden z okazów posiada cechy, wyróżniające zwierzęta workowate, inny zębami swemi okazuje, że rodzaj ten jest zupełnie różny od dydelfa. Profesor Marsh daje nazwy *Dryolestes priscus* i *Dryolestes vorax* tym gatunkom, które oba są niewielkich rozmiarów. Z dwu innych zwierząt, których zęby szczegółowo opisuje, jedno zbliża się do rodzaju *Styladon*, drugie do rodzaju *Triconodon* i *Phascolotherium*. Marsh uważa je za workowate owadożerne i daje nazwy tym rodzajom: *Stylocodon gracilis* i *Tinodon bellus*, należącym odpowiednio do familij *Stylodontidae* i *Tinodontidae*. Bliższe szczegóły pomijamy, notując tylko fakt samego odkrycia.

(*Dokończenie nastąpi*).

---

# Kronika poznańska.

*5 grudzień.*

Przedłożony obradującemu obecnie sejmowi pruskiemu budżet, zawiera w pozycyach swych wiele danych dotyczących W. Ks. Poznań-

---

[1]) Sprawozdanie o tém ogłoszone było w *Dzienniku Silliman'a* (*Silliman's American Journal*, za miesiąc lipiec i wrzesień 1879 r).

skiego; uważamy więc za stosowne zacząć obecną naszą kronikę od wymienienia odnośnych cyfr, celem obznajmienia Was z niemi.

Dochody z dóbr rządowych w Poznańskiém wynoszą 1,260,000 marek; fundusz prowincyonalny szkolny wykazuje dochodu 68,000 m., z któréjto kwoty daje rząd na gimnazyum świętéj Maryi Magdaleny w Poznaniu 18,000 m., tyleż na gimnazyum niemieckie tamże; gimnazyum w Lesznie pobiera 14,000 m., w Ostrowie 2,000 m., w Szremie 600 marek. Seminarya dwa nauczycielskie, a mianowicie w Rawiczu i w Paradyżu, otrzymują 7,500 m., seminaryum zaś żeńskie w Poznaniu 5,700 m. Fundusz sekularyzacyjny wynosi w procentach 117,000 marek. Z tego dochodu przypada na biskupstwa 31,000 m., na duchownych i kościoły patronatu rządowego 14,000 m., na uniwersytety (których przecież w Księztwie wcale nie mamy!) łoży rząd 10,000 m., na gimnazya i szkoły realne 28,000 m., na seminarya nauczycielskie 13,000 m., na szkoły elementarne 6,000 m., na kult i naukę 12,000 marek. Z sumy wyż wymienionéj, 28,000 m. na gimnazya i szkoły realne, przeznaczone jest 15,000 m. na stypendya dla uczniów. Nawiasowo dodaję o memoryale przedłożonym sejmowi, co do zregulowania koryta Wisły; takowy wykazuje potrzebę 850,000 m., które rozłożone być mają na lat 14.

---

Mimo utrudnionéj nad miarę nauki, wykazują urzędowe cyfry, ogłoszone dopiéroco w *Centralblatt für das Unterrichtswesen*, że Poznańskie bynajmniéj nie pozostaje w tyle za innemi prowincyami. Czytamy np. wykaz, sporządzony wedle prowincyi z r. 1877, i oto pokazuje się, że w gimnazyach poznańskich złożyło 1% więcéj uczniów egzamin dojrzałości niż na Szlązku; z wykazu zaś szkół pierwszorzędnych przekonywamy się, że ze wszystkich prowincyi państwa pruskiego, nasze Poznańskie najwyższy dostarczyło procent abituryentów, bo aż 95,28 podczas gdy np. Szlązk dostarczył tylko 57,5%. W wykazie z r. 1878 czytamy, że procent abituryentów gimnazyalnych w Poznańskiém wynosił 81,7%, zajmowało więc Poznańskie siódme miejsce; co się zaś tyczy szkół realnych, piąte miejsce (83,8%).

Niech mi wolno będzie z okazyi powyższych danych o rezultatach nauki gimnazyalnéj i realnéj w Księztwie, dotknąć kwestyi, jaka i u nas stoi ciągle na porządku dziennym. Chcemy tu mówić o zarzucie, jaki coraz natarczywiéj i z naszéj strony spotyka nauki gimnazyalne, ze względu na ich treść. Wielu mniema, że czas poświęcany nauce języków starożytnych, jest czasem straconym dla tych, którzy nie chcą oddać się im specyalnie, i że w ogóle dzisiejsze wymagania przemawiają raczéj za nauczaniem nauk ścisłych. Powierzchownie zdawać się może, że mają słuszność przeciwnicy gimnazyalnego nauczania; ale głębiéj zastanowiwszy się, innego trzeba być zdania.

Realizm we wszystkich ujawniający się dziś dążeniach, ściśle związany jest z naczelną myślą *walki kulturowéj*. Kulturnicy stawiają coraz natarczywiéj na pierwszym planie nauk nauki ścisłe, a stawiają

w nadziei, że geometrya, a przedewszystkiém chemia i fizyka, nauczane przez pozytywistów, najskuteczniéj przyczynią się do zabicia w duszach młodych wiary. Przeciwnicy nauk gimnazyalnych między nami nie dość biorą w rachubę, w jakich żyją czasach. Konkluzyą bowiem logiczną kulturników jest, *zniszczenie Kościoła.* Ale i z innéj strony patrząc na wychowanie, twierdzić należy, że gimnazya używają nauki języków starożytnych jako środka, jako *narzędzia* do wyrobienia duchowego, podczas gdy wychowanie fachowe użyć chce *ducha* za narzędzie do zastosowywań naukowych; twierdzić należy, że nauka języków starożytnych zaprawia umysł na logice, tłómaczącéj nam najdelikatniejsze operacye duchowe, że w gramatyce uczymy się porównań idei, w postaciowaniu mowy, ducha analogii.

*Kuryer Poznański* skrzętnie zbiera materyały szczegółowe, dotyczące szkół elementarnych, a materyały te dowodzą coraz jaśniéj, ile szkoły ludowe w skutek tendencyi germanizacyjnéj, ucierpiały. Z dwudziestu kilku sprawozdań, jakie już ogłosił, bierzemy treść choćby dwu, aby wam służyła za ilustracyą plagi, jaka na nas ciąży; z małą podobno nadzieją zwrotu ku lepszym warunkom.

Wykaz porównawczy szkół parafialnych w dekanacie Kcyńskim zawiera np. co następuje:

Brzyskorzystew: ma dwie szkoły katolickie; dzieci wyłącznie są polskie; wykład religii wzbroniony od r. 1875, dzieci do pierwszéj spowiedzi przysposabia ksiądz w kościele; inspektor lokalny protestant; lekcye religii umniejszono po jednéj na tydzień, dla polskiego języka wyznaczono jednę tygodniowo; zresztą wykład niemiecki. Chojna: ma dwie szkoły katolickie, ale chodzą do nich i dzieci protestantów; lokalnym inspektorem pastor; godzin religii nie zmniejszono. Chomentowo: dwie szkoły katolickie, inspektorem lokalnym protestant. Gołańcz: parafia ma trzy szkoły wiejskie katolickie; miejską szkołę trzyklasową katolicką przyłączono, mimo reklamacyi i nieustannych petycyi, do symultannéj żydowsko-niemieckiéj; inspektorem pastor; religii udzielają nauczyciele, ale w mniejszéj liczbie godzin niż dawniéj; język polski zredukowany do dwu godzin, zresztą wykład li niemiecki przez wszystkie klasy. Dzieci tymczasem więcéj dawniéj po niemiecku umiały niż obecnie. Dawniéj uczęszczało 60 dzieci polskich do 1 klasy, dziś tylko troje, bo wszystkie dla niemczyzny ugrzęzły w klasie III-éj, z któréj już nie postąpią do wyższéj. Tak jak w téj miejskiéj, tak i w wiejskich trzech szkołach wykład niemiecki, a nawet pacierza inaczéj odmawiać dzieciom nie wolno tylko po niemiecku. W jednéj wsi chodzą dzieci katolickie do szkoły protestanckiéj, w drugiéj przeciwnie. Dawniéj słynął śpiew w kościele, dziś ustał, bo w szkole uczą dzieci podobnych pieśni niemieckich, jak np. *Wacht am Rhein.*

Z powiatu Pleszewskiego i z miasta Pleszewa, oto co donosi korespondencya:

We wszystkich szkołach powiatu nie uczą nawet w najniższych oddziałach języka polskiego, w wyższych zaś oddziałach wyznaczono

tylko dwie godziny tygodniowo na takowy, i to wbrew nawet rozporządzeniom naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego, który przeznaczył trzy godziny tygodniowo na naukę języka polskiego. Dawniéj szkoła polska w mieście Pleszewie uchodziła za dobrą: zasilała téż uczniami swymi gimnazya; dziś zniżono ją w randze, i zakazano uczyć po łacinie, wywyższono natomiast szkołę niemiecką do rangi t. z. *Bürgerschule*. Na 730 dzieci katolickich jest sześciu nauczycieli, gdy tymczasem jest ich aż dziesięciu na 430 dzieci niemieckich i żydowskich.

---

Minister finansów podając sejmowi w Berlinie *projekt do prawa o podatkach gminnych*, motywuje takowe przytoczeniem interesujących liczb. Oto one, o ile Was ze względu na Poznańskie obchodzić mogą. Obciążenie podatkami gminnemi wynosi w Poznańskiém na głowę $3^1/_2$ marki, podczas gdy w Hanowerskiéj prowincyi wynosi aż $8^1/_2$ marki. Przeciętna na głowę wypada w miastach daleko wyżéj niż po wsiach. Ale rzecz godna uwagi, że ta przeciętna stanowi dla Poznańskiego w miastach 5,39 marki, podczas gdy np. w Hanowerskiém tylko 4,90. W gminach wiejskich, z wyłączeniem dominiów, przypada przeciętna na głowę w Poznańskiém 2,30 marki, w Pomeranii zaś np. tylko 1,83 marki. W ogóle wynoszą podatki gmin $139^1/_4$ milionów marek w całém państwie pruskiém. W sumie téj nie mieszczą się przecież bynajmniéj inne ciężary ponoszone przez gminy, nie mieszczą się t. z. dodatki i zobowiązania *in natura*, jak np. reparacye dróg w obrębie nieraz mil kilku.

Jużto w ogóle *podatki* uciskają nas niepomiernie. Kanclerz obiecał był wprawdzie zaprowadzić przeważnie opodatkowanie pośrednie, obiecał choć podatek od budynków przekazać gminom, ale jak oświadczył świeżo minister finansów, mają znów i ten raz podatki bezpośrednie stanowić główną podstawę dochodów rządowych; przyczém o przekazaniu podatków od budynków gminom zamilczał całkiem. Podług przepisów dotychczasowych, które i nadal zobowiązywać mają, płacić winien każdy obywatel *3 procent od czystego dochodu*. Wykazać nie trudno, że norma ta nie jest słuszną, skoro zastosowana jest tak dobrze do tych, którzy od ust odejmować sobie muszą, jak i do tych, którzy się dobrze mają i oszczędzać jeszcze mogą coś z dochodów. Jasnéj definicyi, co stanowi dochód czysty, dotąd prawo nie dało, z czego wypływają bezustanne interpretacye fiskalne, ktore nie dopuszczają potrącenia kosztów na budynki gospodarcze i na ulepszenia takie, jak np. nawodnianie, dreny i t. p. Za normę dochodu z ziemi służy dochód wedle taksy gruntowéj, co przecież w złych latach bynajmniéj nie odpowiada rzeczywistości. Dodajmy teraz do tego sposób wykonywania podatku! Członkowie komisyi szacunkowéj wybierani bywają wprawdzie przez stany powiatowe i prowincyonalne, ale że w naszém Księztwie nowa organizacya takowych nie została dotąd wprowadzoną, zakres obrony jest ścieśniony, podczas gdy tém większe idzie parcie z góry o podwyższenie podatku. Rolnik nasz cierpi bar-

dziéj, niż innych zawodów ludzie, bo nie może, tak jak kapitalista, ukryć ani cząstki swego dochodu. Rząd z nieubłaganą zwykle ścisłością, dochód z pracy rolnika oblicza, czego nie czyni w miastach przy obliczaniu dochodu kapitalistów, którzy z renty żyją.

Drugim podatkiem bezpośrednim jest *podatek gruntowy*, który mamy za całkiem niesłuszny, skoro dochód *z pracy* około ziemi już objęty jest podatkiem dochodowym. Podatek ten gruntowy istniał wprawdzie już dawno, ale nie był tak bardzo wielkim jak dzisiaj. Zasada jego widzi nam się być poprostu rewolucyjną, skoro podkopuje w ogóle żywioł wiejski, będący, bądź jakbądź, podstawą każdego państwa. Wszechwładny kanclerz zdawał się to uznawać, gdy głosił potrzebę reformy podatkowéj; ale tymczasem dotąd zapowiedź ta nie doznaje sprawdzenia.

Trzecim podatkiem bezpośrednim jest *podatek od budynków*. W miastach da on się słusznie zastosować, bo normą jego jasną jest dochód od najmu; ale po wsiach? Toć mieszkania ludzi służebnych nieodzowny stanowią warunek pracy gospodarczéj, środek, bez którego stałby się dochód z roli niemożebnym. Rola więc trojako obciążoną jest w państwie pruskiém, a dziś niestety dowiadujemy się, że sejm zezwala na nowe wyśrubowanie podatku budynkowego.

Czwarty podatek bezpośredni stanowi podatek t. z. *komunalny*. Państwo zobowiązania swe w obec prowincyi mniemało wypełnić ustanowieniem dotacyi osobnéj, zwanéj funduszem prowincyonalnym; tymczasem fundusz ten jest o wiele zamały dla naszego Księztwa, z czego wypływa, że składki komunalne równają się już dziś kwocie podatków rządowych, a niezadługo to je i przewyższą.

Oprócz tych czterech podatków, istnieją jeszcze: podatek na szkoły, daniny dla kościoła, asekuracye od pomoru bydła i koni, koszta urzędu t. z. cywilnego, ciężar utrzymania ubogich i t. d.

Włościaństwo nasze skarży się słusznie coraz bardziéj na podatki *szkolne*. Płaca nauczycieli elementarnych zwiększoną została, a w parze z jéj zwiększeniem idzie dążenie do zakładania coraz nowych szkół, w każdéj niemal wsi. Obiecał wprawdzie rząd dawać dodatki, ale nie zawsze je daje, a może przecież i cofnąć już dane. Ciężary szkolne doszły do tego stopnia, że w regule przewyższają w dwójnasób kwotę innych podatków, czasem nawet w trójnasób. Ludzie służebni dworscy uchylali się jak mogli od wysokości tych składek, ale odkąd trybunał najwyższy dominia uczynił odpowiedzialnemi za swe sługi, muszą i oni składki te płacić.

I asekuracyjny podatek od bydła i koni ma włościanin za niesprawiedliwy, i to także słusznie; bo zaraza np. płucowa u bydła, nie ima się w regule jak tylko bydła ras zagranicznych lub bydła karmionego wywarem, a włościanin-chłop, który nie ma ani pierwszego, ani gorzelni nie stawia, musi przecież składki dawać. Przy tém zachodzi inna jeszcze niesprawiedliwość, t. j. stosunek wynagrodzenia do straty

rzeczywistéj. Chłop ma źrebaka, który np. wart 40 m., czyż więc słuszna, aby płacił od niego tyle, co właściciel źrebaka wartującego 6 lub 10 razy więcéj? To samo da się zastosować i do wartości bydła. Tak tedy słynny ład w Prusiech niezmiernie wiele kosztuje.

---

Że żadne państwo nie dąży tak systematycznie jak Prusy, do zapanowania wszechstronnego nad życiem swych obywateli, przedewszystkiém zaś *nateraz* nad życiem ekonomicznem, coraz staje się widoczniejszém. Cóż bowiem znaczy innego w gruncie usiłowanie rządu zakupienia wszystkich kolei żelaznych i zaprowadzenia systemu wyłącznie rządowych kolei? Za dźwignią ku temu posłużyła rządowi dziś kwestya taryf kolejowych, posłużyła z epoki miliardów francuzkich rozszalała *grynderka*. Budowali wówczas ohydni wyzyskiwacze liczne linie kolejowe bez wartości rzetelnéj i oszukiwali tym sposobem publiczność, a gdy wybuchło bankructwo ekonomiczne, dyrekcye podwyższyć chciały taryfę kolejową o 20%, co straszliwą wrzawę w państwie sprawiło i pomogło do zdyskredytowania kolei prywatnych. Rząd przez wszechwładnego kanclerza oświadcza, że reformy kolei, to jest zmonopolizowania ich przez państwo, wymaga przedewszystkiém *dobro ekonomiczne ludności*. Pisma rządowe wywodzą, że nie pomogą żadne cła, jeśli koleje prywatne będą mogły zniweczyć za pomocą zmiennych taryf działalność ceł. Nareszcie minister handlu w motywach projektu przedłożonego sejmowi pruskiemu, rozwodzi się nad tém, że kwestya systemu kolei państwowych nie może już być kwestyą sporną dla obywateli nieuprzedzonych. Powinno państwo bardzo obszerne pozostawić sobie prawo kontroli, regulacyi ruchu i budowy, a nawet w pewnéj mierze i cen kolei żelaznych prywatnych; ale żeby koleje z natury swéj musiały prędzéj czy późniéj stać się monopolem państwa, tego już trudno dowieść. Bądź jakbądź, rzeczą jest niemal pewną, że projekt rządowy i izby pruskie zatwierdzą. Takito prąd centralizacyjny panuje w państwie, prąd, idący przeważnie z potężnéj piersi kanclerza, który całą siłę żywotną mieszkańców chce oddać w ręce rządu.

Ale jakżeż my, jakże *nasza* ludność wyjdzie koniec końcem na tym monopolu? Czy i jak uwzględni system kolei wyłącznie państwowych *nasze* stosunki? Nie przesądzamy, ale nauczeni doświadczeniem, obawiamy się, że centralna władza nie wejrzy nigdy dobrze, bo nigdy chętnie, w warunki potrzeb lokalnych; że zapanuje w zarządzie nielada biurokratyzm pruskiego zakroju, który zwykł niczego nie uwzględniać w obec swych form. Monopoliści chwytają wielu na lep, zapowiedzianéj w systemie kolei państwowych *taniości*. Ale jeżeli koleje państwowe nie przyniosą, w skutek dajmy na to taniéj dla pewnych interesantów bezpośrednich taryfy, odpowiedniego dochodu, któż deficyt w takim razie zapłaci? Czy państwo? Zapewne, ale z naszych, t. j. podatkujących kieszeni, które i tak są próżne. A jakieżto dopiero pole otworzy się władzom traktowania bądź po macierzyńsku,

bądź po macoszemu, tych lub owych okolic, wedle tego czy śpiewają piosnkę żądaną lub nie!

Kiedy już o kolejach żelaznych wspomnieliśmy, nie możemy pominąć kwestyi, jaka dopieroco w części zachodniéj naszego Księztwa z wielką gorliwością podjętą została, a którą trudni się i projekt drukowany banku „Kwileckiego, Potockiego i Spółki.“ Rzecz się tak ma: kraniec zachodniéj części Księztwa przerżnięty jest koleją żelazną między Poznaniem a Wrocławiem; natomiast brak połączenia takowéj z koleją prowadzącą od Gniezna na Jarocin do Oleśnicy i z koleją prowadzącą takoż na Jarocin, do Kluczborga. Chodzi więc o to okolicom, między temi liniami położonym, a należącym do najzamożniejszych i najżyzniejszych, o uzyskanie lepszej niż dotąd komunikacyi z owemi wzwyż wymienionemi arteryami. Ku temu celowi zgromadzili się do narady, tak właściciele większych w tamtéj okolicy majątków, jak i reprezentanci władz, i zgodzili się na potrzebę poczynienia kroków umożebniających urządzenie *tramwajów*, między Lesznem, przez które koléj Poznańsko-Wrocławska i Poznańsko-Głogowska i t. d. przechodzi, a 10 mil odległym Jarocinem, który stanowi punkt, łączący ze sobą koléj prowadzącą z Gniezna do Oleśnicy i koléj idącą z Poznania do Kluczborga.

Że jednak koleje, lokalnemi wywołane stosunkami, utrzymać się winny li własnemi środkami, zachodzi pytanie, ażaliby to potrafiła uskutecznić projektowana koléj *tramwajowa*, która iśćby musiała po tak zwanéj latowéj stronie szosy, łączącéj już dawno Leszno z Jarocinem. Byłaby to pierwsza tramwayowa komunikacya w państwie pruskiém. Rząd, który, można to śmiało powiedzieć, całą swą wytęża siłę, aby na pierwszym planie militarnym jak najwszechstronniéj zadosyć uczynić wymaganiom, nosił się był z myślą wybudowania pomienionéj kolei. Czy ją zaniechał stanowczo, czy nie? nikt nie wié. Przytaczamy to tymczasem dlatego, że wielu obywateli bierze ztąd pochop do małéj gorliwości w sprawie przeprowadzenia owéj linij „tramwajowéj;“ twierdzą oni, że rząd darmo to zrobi i na obszerną skalę, a jeżeli nie miał zrobić, to uniknie się ryzyka, jakie zawsze połączone bywa z podobnemi próbami.

Otóż projekt banku pomienionego stara się dowieść datami, tak statystycznemi, dotyczącemi przewozu frachtowego obecnego w tych okolicach, jak i innemi obliczeniami technicznemi, że ryzyka w przedsięwzięciu niéma, że zresztą znalazły się w Belgii do dyspozycyi na ten cel kapitały. Ponieważ część pomieniona Księztwa jest płaszczyzną zupełną, oblicza projekt, że mila kosztowałaby tylko 170,000 marek.

Wspominam o tym planie głównie dla tego, aby wam dać poznać, jak bardzo biorą się dziś u nas na uwagę kwestye ekonomiczne; jak chcąc czy nie chcąc, myśl nasza zaprząta się wszystkiém, coby mogło jakąś ulgę przynieść chwiejącym się coraz bardziéj interesom materyalnym.

Sprawozdanie o ruchu ekonomicznym, o ile takowy uwydatnia się w *spółkach zarobkowych* i w *Towarzystwach przemysłowych*, odłożyliśmy do dzisiejszéj kroniki, gdyż dziś dopiéro data pewne i obraz pewien podać możemy.

*Spółek zarobkowych* mamy obecnie 58, z których niemal wszystkie są pożyczkowe. Liczba ogólna członków wynosiła *w r. 1878* 10,500, z któréjto liczby najwięcéj przypada członków na spółkę poznańską—718. Potém idzie spółka w Srodzie 624, w Gnieźnie 424, w mieścinie Miksztacie 402, Kościanie, Węgrówcu, Krotoszynie, Jarocinie i w. i. O wiele znaczniejsza część spółek tych powstała dopiéro po roku 1870. Dla uzupełnienia dodaję, że Prusy Zachodnie mają 27, zaś Górny Szlązk 17 spółek ludowych.

Spółki pobierają przeważnie 8 procent. W ogóle zaś stan i działalność spółek w *całéj dzielnicy pruskiéj*, t. j. w W. Ks. Poznańskiém, Prusach Zachodnich i Górnym Szlązku taki w *roku 1878:*

| | |
|---|---|
| W portfelu było weksli na . . . . . | 6,639,366 marek |
| Interes wekslowy wzmógł się o . . . . | 593,158 „ |
| Udział członków wynosił . . . . . | 1,250,758 „ |
| Podniósł się (mimo wystąpienia 1,084 członków) o . . . . . | 81,274 „ |
| Dywidendy było . . . . . | 31,451 „ |
| Depozytów było . . . . . | 4,852,238 „ |
| Podniosły się w porównaniu do r. 1877 o. | 318,647 „ |
| Fundusz rezerwowy wynosi . . . . . | 268,154 „ |
| Pożyczek miały spółki . . . . . | 465,586 „ |
| Przybyło ich w porównaniu do r. 1877 . | 101,500 „ |

Zestawiwszy bilans spółek, wedle sprawozdania patrona, od roku 1873, następujący zyskujemy pogląd:

### Rok 1873.

*Aktywa.* Ilość spółek 43; liczba członków 7,660; weksle 3,321,400 marek; banki 124,463 marek; gotówka 123,399 m.; koszta procesowe i t. d. 1,636 m.; różne 166,394 m.

*Pasywa.* Udział 623,486 marek; dywidenda 10,859 marek; depozyta 2,600;800 marek; fundusz rezerwowy 74,296 marek; banki 287,411 m.; różne 106,432 m.; administracya 35,950 m.

*Suma aktywów i pasywów* 3,739,302 m.

### Rok 1874.

*Aktywa.* Ilość spółek 48; liczba członków 8,715; weksle 4,206,000 m.: gotówka 123,400 m.; koszta procesowe i t. d. 4,824 m.; różne 137,268 m.

*Pasywa.* Udział 711,575 m.; depozyta 3,345,649 m.; fundusz rezerwowy 89,400 m.; banki 192,000 m.; różne 123,000 m.; administracya 32,948 m.

*Suma aktywów i pasywów* 4,493,258 m.

**Rok 1875.**

***Aktywa.*** Ilość spółek 50; liczba członków 9,600; weksle 4,522,000 marek; gotówka 130,400 marek; koszta procesowe i t. d. 5,000 m.; różne 7,366 m.

***Pasywa.*** Udział 816,452 m.; depozyta 3,415,000 m.; fundusz rezerwowy 111,115 marek; banki 290,000 marek; administracya 33,000 m.

*Suma aktywów i pasywów* 4,665,000 m.

**Rok 1876.**

***Aktywa.*** Ilość spółek 63; liczba członków 11,226; weksle 5,230,000 marek; banki 69,180 m.; gotówka 129,000 m.; koszta i t. d. 5,990 m.; różne 330,974 m.

***Pasywa.*** Udział 962,000 marek; dywidenda 55,500 marek; depozyta 4,114,000 marek; fundusz rezerwowy 167,629 marek; banki 364,000 m.; różne 145,277 m.; administracya 25,749 m.

*Suma aktywów i pasywów* 5,833,879 m.

**Rok 1877.**

***Aktywa.*** Ilość spółek 70; liczba członków 13,488; weksle 6,046,207 marek; banki 55,377 m.; gotówka 203,871 m.; koszta procesowe i t. d. 8,174 m.; różne 20,161 m.

***Pasywa.*** Udział 1,169,484 m.; dywidenda 28,322 m.; depozyta 4,534,000 marek; fundusz rezerwowy 209,605 marek; banki 355,100 m.; administracya 37,609 m.

*Suma aktywów i pasywów* 6,333,792 m.

**Rok 1878.**

***Aktywa.*** Ilość spółek 73; liczba członków 14,508; weksle 6,640,600 marek; banki 64,175 m.; gotówka 172,277 m.; koszta proces. i adm. 9,310 m.; różne 50,753 m.

***Pasywa.*** Udział 1,250,800 m.; dywidenda 31,451 m.; depozyta 4,853,000 m.; fundusz rezerwowy 268,154 m.; banki 456,586 m.; administracya 81,851 m.

*Suma aktywów i pasywów* 6,935,886 m.

Dwadzieścia jeden spółek nie przysłało wykazu.

*Towarzystwa przemysłowe* wybrały były na walném zgromadzeniu swych delegatów, odbytém w r. 1876, radę przemysłową, któréj celem było pilnowanie rozwoju istniejących, a zakładanie nowych Towarzystw. Chodziło przedewszystkiém o wyrobienie poczucia potrzeby umiejętniejszéj niż dotąd pracy.

Rada uznała, rozważywszy rzecz wszechstronnie, że pierwszą potrzebą jest pozyskanie patrona, na wzór patronów pozyskanych dla spółek zarobkowych, w osobie księdza Samarzewskiego, a dla kółek włościańskich, w osobie p. Jackowskiego. Usiłowania rady uwieńczył nareszcie pomyślny skutek w r. 1877.

Prezes Towarzystwa przemysłowego w Szremie, Ks. Wawrzyniak, podjął się bowiem obowiązków patrona i śmiało rzec można, więcéj

zdziałał dla ożywienia Towarzystw i pouczenia ich, aniżeli rada przemysłowa przez cały ciąg swego istnienia. Gorliwe i rozumne krzątanie się ks. patrona, zostającego w ciągłéj niemal podróży po całém Księztwie, tyle obudziła życia wśród towarzystw, że można było cieszyć się nadzieją, iż stanowczo już zanosi się na lepsze, że skorupa zobojętnienia i niezapobiegliwości przełamaną została.

Ile patron zdziałał, wskazują dobitnie i jasno sprawozdania i artykuły, jakie zamieszczał *Ruch ekonomiczno-społeczny*, pisemko małe ale cenne, będące organem związku spółek zarobkowych. Ale niestety! już w pierwszych miesiącach r. 1878 złożył patron swój urząd, nie mogąc sprostać właściwemu swemu obowiązkowi, t. j. obsłudze parafialnéj.

Odtąd nie udało się pozyskać nikogo w miejsce ks. Wawrzyniaka.

Rada przemysłowa zajmowała się innemi jeszcze rzeczami, a mianowicie *szkołami wieczornemi* dla młodzieży rzemieślniczéj. W Poznaniu samym chodziło o dalszy rozwój szkoły wieczornéj, w innych miastach o jéj założenie. Tymczasem tylko w Szremie udało się wprowadzenie podobnéj szkoły, co zawdzięczamy ks. Wawrzyniakowi.

Poruszono także w łonie rady rzecz o założeniu *Muzeum przemysłowego* w Poznaniu. Muzeum to uznano bowiem za ważny środek kształcenia fachowego. Hr. Działyński nie wahał się ofiarować na cel ten dwu sal w swym poznańskim pałacu.

W tych dniach odbywa się w mieście Pleszewie przepisane statutami kolejne walne zgromadzenie delegatów Towarzystw przemysłowych, o którém, jeśli tylko dane będą potemu, później napiszę.

Od dość dawnego czasu nędzne są stosunki zarobkowe szerokich warstw ludności w całych Niemczech. Daje znać o tém, choćby ubytek znaczny sum, wpływających poprzednio do Towarzystw zabezpieczenia na życie. Témbardziéj obchodzić nas więc może stanowisko, jakie zajmuje bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu. Zestawienie porównawcze z r. 1878 wykazuje 35 Towarzystw podobnych w Niemczech. Poznańskie Towarzystwo, zwane *Westa*, a założone w końcu r. 1873, zajmuje pomiędzy niemi 33 miejsce co do czasu istnienia, co do stanu zabezpieczeń zajmuje 26-te, zaś co do czystego przyrostu 21-sze.

„Westa" poznańska pracuje wprawdzie i po Niemczech, ale w pierwszym podobno rzędzie w okolicach rolniczych wschodniéj części Państwa Pruskiego, w czém współubiegają się z nią *per fas et nefas*, jak słyszymy, inne towarzystwa.

Obywatele wiejscy mało bardzo korzystają dotąd u nas z téj instytucyi, również mało i niższe warstwy ludności wiejskiéj. Wydatków nadzwyczajnych tyle jest u nas, że trudno ogółowi zdobyć się na nowy. Chociażby zaś i zdobyć się mógł ten i ów na zabezpieczenie życia, nie przypada mu do gustu, słusznie czy nie, w to nie wchodzimy, ten rodzaj deski ocalenia.

Pisałem w przedostatniéj méj kronice o nowéj organizacyi sądownictwa, przyczém zwróciłem ogółowo uwagę waszą tak na dodatnie, jak i ujemne strony takowéj. Dziś chcę jeszcze słówko wspomnieć o zmianie na lepsze w ważnéj bardzo *kwestyi przymusowéj przysięgi*, która za dawnego prawa dała się nam mocno we znaki. Krzyczące to były niesprawiedliwości, chociaż niby prawidłowe. Dość wspomnieć o sprawie zacnego ks. Kanteckiego, który będąc redaktorem *Kuryera Poznańskiego*, niemal 1½ roku przesiedział jako oporny świadek w sprawie błahéj, w więzieniu, a miał perspektywę i całe przesiedzieć życie, gdyby rzecz ta nie nabrała była rozgłosu takiego, iż i wszystkie pisma niemieckie oburzeniu swemu dały wyraz i wraz z posłami zażądały jaknajszybszego położenia tamy podobnéj procedurze. Sędziemu służyło dawniéj, wedle przepisów niedwuznacznych, prawo karania świadka niechcącego złożyć zeznania, tak długiém więzieniem, jak mu się podoba, chociażby ono i całe życie trwać miało. Tak samo mógł sędzia, wedle swego przekonania, bezustannie karę więzienia dekretować.

Wedle nowéj procedury, może być skazany świadek na karę pieniężną aż do wysokości 300 marek, a gdyby nie zapłacił, na więzienie aż do 6 tygodni. Może być także zadekretowaną kara więzienia celem zmuszenia do przysięgi, ale nigdy ponad trwanie saméjże procedury w instancyi i nigdy na dłuższy czas jak na ½ roku. Jeżeli zaś te kary raz zastosował sędzia, niewolno mu już takowych powtórzyć ani w téj saméj procedurze, ani w innéj, w któréj chodzi o ten sam fakt.

Wedle dawnego prawa mogli odmówić świadectwa: duchowni w sprawach, o których zawiadomieni byli przy spowiedzi, urzędnicy w interesie państwa i kunsztmistrz oraz procederzysta, gdy chodziło o wyjawienie tajemnicy kunsztu lub procederu, mogące im przynieść szkodę. Związki krwi, małżeństwo, nie uwalniały od przymusowéj przysięgi. Inaczéj dzisiaj. Dziś mają prawo nie składania świadectw przeciw sobie, małżonkowie, narzeczeni i krewni aż do 3-go stopnia, daléj w pewnych granicach duchowni, adwokaci, lekarze, urzędnicy, nawet gdy już ze służby wystąpili, nareszcie może każdy świadek odmówić zeznania na takie pytanie, któreby, bądź jemu, bądź krewnym jego aż do 3-go stopnia, groziło kryminalną procedurą.

---

Pora zimowa sprzyja, jak zwykle, różnym odczytom i o nich téż chcemy wam donieść. W *Towarzystwie Przyjaciół Nauk* 3 do 6-ciu tygodni miane były odczyty. Ks. Łukowski czytał o *S. Wojciechu i dekretach pseudo-Izydorowych*. Pochop do pracy téj dał prelegentowi kodeks, znajdujący się w bibliotece kapituły Gnieźnieńskiéj. Kodeks ten pergaminowy nazywany był księgą ś. Wojciecha i zbiorem dekretów pseudo-Izydorowych, a nazwę tę ustalił ś. p. ks. biskup Brodziszewski przed 29 laty w dołączonéj do kodeksu rozprawie swéj ła-

cińskiéj. Prelegent, podawszy ogólne znamiona kodeksu co do treści, formy i źródeł, poczynił krytyczne uwagi nad rozprawą biskupa. Z uwag tych wynika, że kodeks nie może uchodzić za własność ś. Wojciecha, ani za zbiór dekretów pseudo-Izydorowych, ponieważ zawiera dekretalia papieży z XI wieku, gdy tymczasem ś. Wojciech żył w wieku X, a zbiór pseudo-Izydorowych powstał w wieku IX. Prelegent przytoczył przy téj sposobności, że taki sam kodeks posiada biblioteka watykańska, jak stwierdzili bracia Balleryni, którzy odnoszą kodeks do wieku XI. Tablica porównawcza, ułożona z jednéj strony przez Ballerynich, z drugiéj przez ks. Meszczyńskiego, przekonywa o tożsamości obu kodeksów. Na pierwszéj stronnicy kodeksu wypisana jest antyfona do ś. Wojciecha charakterem z XIII wieku i onato dała powód zapewne do błędnego dotychczasowego mniemania.

Zkądinąd dowiadujemy się, że dr. Toeppen, dyrektor gimnazyalny w Kwidzynie, zadał sobie pracę wybadania miejsca, na którém zabity został św. Wojciech, i miał przyjść do przekonania, że jest niém dzisiejsza wieś Albrechtsau (t. j. Wojciechowo), leżąca o milę od miasteczka Susza, która właśnie na pamiątkę morderstwa na świętym popełnionego, takie otrzymała miano.

Drugi odczyt, który drukiem ma być niezadługo ogłoszony, trudnił się „przywilejem dla żydów Bolesława kaliskiego.“

Trzeci odczyt miał p. Skarzyński „o wolnym handlu i systemie protekcyjnym.“ Była to druga część już dawniéj czytanéj rozprawy. Autor wydaje całą tę pracę drukiem i przeznacza dochód na nieszczęśliwych Górno-Szlązaków.

W wydziale przyrodniczym Tow. Przyj. Nauk rozpoczął prezes jego prof. Szafarkiewicz, wykłady o geologicznych pokładach W. Ks. Poznańskiego. Twierdzi prelegent, że w naszém Księztwie, na formacyi mioceńskiéj spoczywa Poznań; daléj zaś Warszawa i Wieliczka. Z drugorzędnych pokładów zasługuje na uwagę formacya białego Jura, bo na niéj spoczywa wieś Krotoszyn, gdzie przed niewielu jeszcze laty nikt się nie spodziewał natrafić na wapno, aż dopiero przypadek zrządził, że przy kopaniu studni dla leśniczego, napotkano w głębokości stóp 12-tu zbitą masę skalną, która, jak poszukiwania wkrótce wykazały, składa się z jurasowego wapna. Przedsięwzięte wiercenia dały poznać, że wielki pokład tegoż wapna rozciąga się, w małéj głębokości, na milę od zachodu ku wschodowi.

Dziś wypala się tam wapno w trzech ogromnych piecach. W głębokości 60 stóp nie napotkano jeszcze dolnéj warstwy pokładu. Znaleziono, jak słyszymy, u urzędnika tamecznego wielką ilość odcisków muszli, kryształów, kawał zęba przedpotowego zwierza morskiego, a nawet parę rogów ammona. Z kopalni téj, należącéj wraz z majątkiem Krotoszyńskim do p. Brzeskiego, możnaby całe muzeum zapełnić, gdybyśmy inaczéj około rzeczy chodzić umieli i chcieli.

Na téj saméj formacyi białego Jura, mówił daléj p. Szafarkiewicz leży i Inowrocław z swemi kopalniami soli, dziś już w szerszych zna-

nemi kołach, leży i wieś Wapno, gdzie oddawna wapno masami znajdowano, leży i miasteczko Kcynia, w którego okolicy natrafiamy z tego powodu na łąki słonawe, pokryte roślinami, jakie tylko widać nad morzem.

Najważniejszą wszelako jest dla nas dokładna znajomość t. z. pierwszorzędnych pokładów, stanowiących glebę Księztwa. Otóż, z pomiędzy pierwszorzędnych, stanowią pokłady diluwialne u nas ziemie urodzajne, z niewielkiemi wyjątkami, co zaś do pokładów aluwialnych podzielonych przez dzisiejszych geologów na stare i młode, napomknął profesor, że do starych zaliczyć trzeba wybrzeża Niemna i Wisły. Dalszy wykład odłożył prelegent na późniéj.

I w Towarzystwie przemysłowém Poznańskiém ożywiły się odczyty. Ostatni dotyczył *wolnego handlu a cel*, i miany był przez dra Szymańskiego, redaktora *Orędownika*.

Na obchodzie rocznicy śmierci naszego Adama, urządzonéj przez towarzystwo „Stella“ miał odczyt ks. Chotkowski „o znaczeniu poezyi, mianowicie u nas“ i podał ocenę i charakterystyczne właściwości pierwszych dwu tomów poezyi Mickiewicza, wyszłych w r. 1822, przedewszystkiém zaś *Grażyny*. Deklamacyą ustępu o Jankielu z *Pana Tadeusza*, zakończono część literacką obchodu.

Spodziewaliśmy się, że zacny Jubilat Kraszewski zjedzie, jak zapowiedziano, w tym jeszcze roku do nas, aliści dziś dowiadujemy się, że jeżeli przyjedzie, to dopiero po Nowym Roku. Obecnie, jak mnie zapewniano, zbyt jest cierpiącym.

---

Do ostatnich czasów z latarnią można było szukać niemieckiego pisma, któreby się trudniło z pewną względnością naszém życiem duchowém. Lekceważenie było widocznem, przesiąkła niém była cała sfera uczona niemiecka. Kiedy Niemiec, ale rodem z Księztwa, Hüppe, napisał był znane swe dzieło: *Ueber die Verfassung Polens*, zarzucali mu Niemcy uczeni bez ogródki, że niepotrzebnie poświęcił tyle pracy treści tak przedpotopowéj. Znam zaś akademików, którym, gdy do rozprawy doktoryzacyjnéj wybrali byli temat z historyi polskiéj, profesorowie niemieccy zadziwienie swe niedwuznacznie objawiali, jak można było takie przebrzmiałe i bagatelne opracowywać przedmioty. Że gazety niemieckie Księztwa wszystko co mogły czyniły, aby temu lekceważeniu dodawać materyałów, bądź przez fałszywe przedstawianie ruchu umysłowego, bądź przez podstawianie jasnym jak dzień dążnościom literackim, ukrytéj a Niemcom nieprzyjaznéj myśli, nie będziem się nad tém obszerniéj rozwodzić. Zdaje się, że rozrost, że wyrabianie się coraz silniejsze naszéj inteligencyi, zwróciło (mianowicie od chwili obchodu jubileuszowego dla Kraszewskiego) oczy Niemców na nas i skłania ich w niejakiéj mierze do innego niż dotąd na nas poglądu. Otóż np. pisała sympatycznie o Kraszewskim *Breslauer Zeitung*, obszerną jego biografią umieściła *Illustrirte Leipziger Zeitung* (nr. 1895), *Schlesische Zeitung* zamieszcza ze sprawiedliwą oceną pisane *War-*

*schauer Briefe*, *Magazin f. d. Literatur d. Auslandes* (nr. 44), zamieszcza początek rozprawy „o walce klasyków z romantykami,“ *Kölnische Volks-Zeitung* pisze obszernie i sumiennie o szkolnictwie ludowém w Poznańskiém: dodatkowy tom *Encyklopedyi Meyera*, umieszcza jak nam donoszą, dość wyczerpującą rozprawę o obecnym stanie literatury polskiéj. W Lipsku wyszło po niemiecku porównanie Goetego *Hermann und Dorothea* z naszego Adama *Panem Tadeuszem*, a w Poznaniu wyszło tłómaczenie niemieckie Asnykowego *Kiejstuta*.

---

Jakkolwiek z zasady tylko Księztwem trudnią się moje kroniki, nie mogę na ten raz nie zrobić wyjątku i muszę wspomnieć o strasznem położeniu górno-szlązkiego ludu. Wiadomości jakie dochodzą, każą się obawiać, że się tam powtórzy tasama klęska co w r. 1878, że się pojawi znów straszna śmierć głodowa. Rok bieżący nawiedził kraik ten wielkiemi powodziami i lichém żniwem; w skutek fatalnego stanu powietrza, nie udały się ziemniaki, a zarazem tak są drogie, że płaca dawana robotnikom nie wystarcza na ich zakupno. Z powiatu Raciborskiego 6,119 posiedzicieli chłopskich poszkodowanych zostało: z téj liczby ma tylko po 20 lub po 18 morgów gruntu 3,766 posiedzicieli, reszta mniéj jeszcze. W powiecie Rybnickim oświadczył sejmik tameczny, że tylko z 800,000 marek zapomogi rządowéj ustrzedz się powiat potrafi od ostatecznéj nędzy. W powiecie Koźlińskim zniszczyła Odra w czerwcu siewy, owoce strączkowe, ziemniaki i sprzęt pierwszy siana. Powiat Lubliniecki już w kilku ostatnich latach bardzo nędzne miał żniwa, ale nigdy takie jak tego roku. Ziemniaków sprzątnięto 56% mniéj jak ostatnich złych lat, a kapusty aż do 70% mniéj. I inne płody albo bardzo lichy plon dały, albo niedopisały całkiem. Co siana zebrać zdołano, to albo zgniło w wodzie, albo straciło w niéj całą wartość. Trzodę chlewną zbyćby się jeszcze dało, ale tu czychają handlarze miejscowi i wyzyskują najokropniéj lud nieszczęśliwy.

W ogóle zaś najgorszém jest położenie robotników i wyrobników, których nędzna żywność, jako to: ziemniaki, kapusta i mąka na żur, niebawem się wyczerpie.

Starano się ulżyć niedostatkowi przez obniżenie o połowę taryfy przewozowéj dla ziemniaków, na przestrzeni między Koźlem i Kandrzynem a Oświecimem. Składki zbierane są, mianowicie na Szlązku dolnym i w samém mieście Wrocławiu z wielkim pośpiechem; nasze Księztwo, chociaż już tak zdziesiątkowane, także poczuwa się do niesienia pomocy, a słyszymy, że i Wam straszna dola Górno Szlązaków bardzo leży na sercu!

Niemiecka *Posenerka* ruszyła konceptem, aby lud górnoszlązki przenieść do jakiéj niemieckiéj prowincyi.

---

# KORRESPONDENCYA.

## Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W dalszym ciągu pomieszczanych w *Bibliotece Warszawskiéj* corocznych sprawozdań moich, a raczéj treściwych wiadomości o odkrytych przezemnie nowych stacyach krzemiennych, lub powtórném badaniu dawniéj znalezionych tych przedwiecznych osad z czasów użytku krzemienia; mam obowiązek przesłać szanownéj Redakcyi pobieżne sprawozdanie za rok 1879.

Na wiosnę w roku powyższym otrzymałem od p. Michała Federowskiego znaleziony przez niego w starém, dziś już wyschłém korycie rzeki Muchawca, pod miastem Prużaną, w gubernii grodzieńskiéj, uszkodzony nóż krzemienny sierpowego kształtu, pięknéj roboty. Nóż ten, jakich niemało znajdują w Skandynawii, na wyspie Rugii i Wołyniu, napotkany koło Prużany w dawnym Muchawcu, każe wnosić, że nad brzegiem téj rzeki istniała prawdopodobnie w pobliżu starożytna osada.

W pierwszych dniach kwietnia badając brzegi rzeczki Śliny w pow. mazowieckim, gub. łomżyńskiéj, na prawym jéj brzegu pod wsią Makowem, od strony Kobylina, znalazłem niewielką ilość wiórów krzemiennych, łupanych ręką starożytnego człowieka, który widocznie posiadał tu zapewne ubogą i nieliczną sadybę.

W dniu 8 kwietnia, wspólnie z panem Władysławem Przybysławskim, znanym starożytnikiem pokuckim, zwiedziłem odkrytą przezemnie przed kilku laty miejscowość przedhistorycznéj osady na gruntach wsi Radule, w pobliżu szosy, o tysiąc około kroków od rzeki Narwi, w tymże powiecie mazowieckim położoną. Obecnie znaleźliśmy tu jedną strzałę krzemienną, garść takichże wiórów i okrzosków, tudzież połówkę z ciekawego narzędzia bronzowego w kształcie jakiéjś gładyszki, przewierconéj w pośrodku, piękną patyną przez czas powleczonéj. Nazajutrz zwiedziłem z p. Przybysławskim stare grodzisko pod Tykocinem.

W dniu 12 maja, robiąc poszukiwania nad rzeką Biebrzą, w okolicy miasta Goniądza, napotkałem na wyspie piaszczystéj wśród błot i łąk biebrzańskich, na połowie drogi między dzisiejszém korytem rzeki i wsią Sośnią, w pow. szczuczyńskim, gub. łomżyńskiéj, niepospolitéj obfitości stacyę krzemienną. Kilkanaście morgów wydm piaszczystych w odludnéj okolicy, gęsto było tu zasianych nałupanemi w starożytności wiórami krzemiennemi. Wszystkie kieszenie i woreczki, które przy sobie posiadałem, napełniłem w ciągu trzech godzin ułamkami nożyków krzemiennych i innych drobnych narzędzi. Znajdowały się między niemi skrobacze i siedm strzałek, z których dwie z ostrzami w bok za-

krzywionemi osobliwszego kształtu. Bronzu nie znalazłem wcale, tylko jak zwykle na wszystkich stacyach krzemiennych, czerepy dawnych naczyń z gliny i tłuczonego granitu.

W dniu 14 maja, w towarzystwie d-ra medycyny p. Sarosieka, robiąc wycieczkę z miasteczka Łunny, po prawym brzegu Niemna, w gub. grodzieńskiéj, znalazłem w pobliżu tego miasteczka, od strony Grodna, nieliczne wprawdzie, ale pewne zabytki krzemienne w miejscu starożytnego siedliska.

Dzień 6 sierpnia należał w tym roku do najpomyślniejszych dla mnie. Wspólnie z hr. de Fleury, obywatelem gub. grodzieńskiéj i licznem gronem chciwéj łupu naukowego młodzieży szkolnéj, robiłem wycieczkę wzdłuż brzegów rzeki Biebrzy, rozgraniczającéj gub. łomżyńską od grodzieńskiéj, powiat szczuczyński od białostockiego. Jak wiadomo, całe lato w r. 1879 było dla poszukiwań niepomyślne, bo dżdżyste, témbardziéj więc byliśmy wdzięczni Panu Bogu za przedziwną pogodę, która nam w trzydniowéj wędrówce naszéj przyświecała i do powiększenia plonów archeologicznych znakomicie się przyczyniła. Jeszcze w maju robiąc wycieczkę do owéj bogatéj stacyi pod Sośnią, zanotowałem już był sobie kilka miejscowości koło Osowca i Szafrank, poniżéj Goniądza, do których teraz udaliśmy się, aby przekonać, czy dawniejsze domysły moje z okna wagonu przechodzącéj tędy drogi brzesko-grajewskiéj czynione, miały jakie prawdopodobieństwo. Na szczęście domniemania owe nie omyliły mnie, co tém się tłómaczy, że od lat dziewięciu poszukując po kraju miejscowości starożytnych osad z czasów użytku krzemienia, nabrałem tém samém pewnéj wprawy lub doświadczenia w ocenianiu zdaleka miejsc, gdzie siedliska w owych czasach zakładane bywały, co zresztą nie należy wcale do rzeczy trudnych. Owoż po noclegu na wonném sianie biebrzańskiém w Osówcu, wyruszywszy o świcie, napotkaliśmy na piaskach, ciągnących się pomiędzy tą wioską, a domem dróżnika kolejowego wióry krzemienne, nożyki, okrzoski, około dziesięć strzałek krzemiennych, szczątki takichże innych drobnych narzędzi i czerepy z popielnic, które jak zwykle na naszych stacyach krzemiennych zachowywane w piasku bez osłony kamiennéj, po wytrzebieniu otaczającego lasu, wywiane z ziemi i potłuczone, zbierać dziś można na powierzchni, równie jak rozproszone z ich wnętrza, przepalone, śnieżnéj prawie białości drobne kostki, jedyne szczątki szkieletów ludzi, którzy te przedwiekowe osady zaludniali. O ile popielnice były dawniéj z piasku wywiane, o tyle na drobniejsze pokruszono je szczątki. Pod Osówcem w jedném miejscu znaleźliśmy spore odłamy, co dowodziło, że niedawnemi jeszcze czasy naczynia te grobowe spoczywały w spokoju. Lepione z czerwonéj gliny, bez użycia koła garncarskiego, nosiły na sobie ornamentykę ciekawą, ale posiadającą charakter wspólny z innemi osadami nad rzeką Biebrzą. O kilkaset kroków od obszernych piasków osówieckich, na niewielkiém wzgórzu i wydmach, które przecięła dziś linia kolei, znajdowała się także starożytna osada, niby przysiółek owéj większéj.

O ćwierć mili od Osówca, ku Goniądzowi, na przeciwnym, prawym brzegu Biebrzy, o kilkaset kroków od koryta rzeki i nieco daléj od wsi Szafrank, na piaskach w pobliżu drogi i na saméj drodze z Goniądza i Szafrank do dworca kolei wiodącéj, napotkaliśmy podobną stacyą starożytną, jak pod Osówcem, nieco tylko bogatszą w strzałki i krzemień, a trochę uboższą w czerepy popielnic. Pomiędzy strzałkami znalazło się kilka nader pięknéj roboty.

Już po południu tegoż dnia (6 sierpnia) przybyliśmy wodą do miejscowości, o milę od Szafrank odległéj, gdzie nęciła nas owa wśród łąk i błot wyspa piaszczysta pod wią Sośnią, którą miałem teraz zwiedzić powtórnie w licznem i ruchliwém towarzystwie niosących mi pomoc młodych zbieraczów. Od dzieci pasących w pobliżu dobytek dowiedzieliśmy się, że po wiosennéj mojéj tu bytności, cała ludność powyższéj wioski, a mianowicie dzieci i wyrostki rzuciły się chciwie do zbierania łupanego krzemienia. Nagromadzono go dużo w chęci spieniężenia, ale gdy amatora do kupna niebyło i mnie się wkrótce nie doczekano, starszyzna wiejska szydzić z przemysłowców poczęła i ci krzemień uzbierany na śmieciska powyrzucali. Jedna tylko kobiéta przyniosła mi owoc pracy swojego syna, kilka garści wiórów krzemiennych i okrzosków, wśród których znajdowało się kilka ułamków narzędzi, nożyków i jedna niezrównanéj piękności strzała krzemienna z trzonkiem do osadzenia w brzechwie. W ślad za nią przybył ze wsi poważny sołtys, który uroczyście zabronił nam zbierać więcéj krzemieni, jako własności nie do nas należącéj. Że sołtys był na swojém prawie, a słońce chyliło się ku zachodowi i mieliśmy przed sobą daleką wodną drogę, nie pozostawało więc nic, jak uczynić odwrót honorowy i pożegnać się z sołtysem, unosząc w kieszeniach znalezione w ciągu paru godzin kilkanaście strzałek, nukleusów i kilkaset całych lub pokruszonych nożyków, narzędzi i okrzosków bez liczby.

W kilkanaście dni późniéj Ignacy Sikorski, chłopiec ze wsi Kobylina w Tykocińskiém, którego nauczyłem poznawać strzałki krzemienne, gdym przed kilku laty napotkał pod Kobylinem miejscowość starożytnéj osady, przyniósł mi teraz nowe zabytki w innem miejscu, znacznie daléj od rzeczki Śliny, na gruntach Kobylina znalezione, gdzie jak się pokazało, istniały także siedliska przedwieczne. Że ludzie mieszkali tutaj od czasów bardzo dawnych, dowodzą tego również dwa kamienie żarnowe, kształtu niecki czy kopani, przez tegoż Sikorskiego, idącego za śladem moich badań, w roku 1879 wśród Kobylina wykryte i do Jeżewa, gdzie zbiory moje się znajdują, odwiezione. Rzecz szczególna, że wszędzie, gdzie podobne kamienie znajdowałem, było ich po dwie sztuki, tak w Leśnikach, tak na polach Stelmachowa.

W dniu 26 sierpnia, badając Kępę Lipnicką, wśród błot rzeki Narwi, o trzy ćwierci mili od Tykocina położoną, w lesie na pagórkach piaszczystych, znalazłem nader nieliczne ślady ubogiego we wszelkie zabytki starego siedliska ludzi.

W dniu 3 września, pod wsią Jaworówką, w pow. białostockim, na prawym brzegu rzeki Supraśli, o ćwierć mili od ujścia jéj do Narwi, na wydmie piaszczystéj wśród łąk i nizin, nazbierałem garść łupanego przy robocie narzędzi krzemienia, skrobacz i kilka ułamków takichże noży.

Poszukiwania w tymże miesiącu czynione nad brzegami morza Baltyckiego pod Lipawą nie przyniosły mi żadnych plonów. W dniu 16 września zwiedziłem tylko o pół mili od Szawel na Żmujdzi stare z czasów pogaństwa Litwy grodzisko, zwane w spolszczeniu *Słodką górą*, nad okolicą jeziora Szawelskiego panujące.

W październiku udawszy się na Pokucie, robiłem wspólnie z p. Władysławem Przybysławskim poszukiwania w słynnéj z bogactwa archeologicznych zabytków Horodnicy nad Dniestrem. Zbadaliśmy tu trzy groby, stanowiące jak się zdaje jeden familijny. Szkielety leżały przeszło na metr pod powierzchnią ziemi, przykryte wielkiemi płytami kamiennemi. Przy mężczyznie po lewéj stronie głowy stał garnek z płaskiemi kamykami, któremi przyłożono prawdopodobnie postawioną nieboszczykowi strawę. Czoło kobiéty ozdobione było przepaską ze złotogłowia, na któréj dochował się deseń grecki i którą udało mi się wraz z czaszką przywieźć do muzeum Akademii umiejętności i na posiedzenie komisyi antropologicznéj do Krakowa. W grobie tym był i ułamek bronzowéj igły czy śpilki, także szczątek szydła kościanego. Pomiędzy szkieletami dwojga tych ludzi, leżał trzeci siedmioletniego dziecka, przykryty najmniejszą płytą. Była to zapewne dzieweczka, przy któréj głowie znaleźliśmy kilka bronzowych kółek, przy ręku ciekawy szklanny pierścionek, na piersiach szczątki starożytnéj tkaniny z deseniem wyobrażającym szlak z fantastycznych ptaków. W ogóle odkrycie było nader cickawe. Włościanie naznosili nam mnóstwo czerepów z odwiecznych malowanych naczyń. Jedno z nich prawie całe, osobliwszego kształtu i amforę starożytną, w miejscowości zwanéj *Dulawa* znaleziono. W narzędzia kamienne obfituje tu miejscowość *Leszówka*, w krzemienne szlifowane *Riweńka*, w wióry i noże krzemienne na powierzchni pola rozsiane, miejscowość *Priskie*.

Jeżewo, w grudniu.

*Zygmunt Gloger.*

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

### Z DZIEDZINY EDUKACYJNEJ.

*Nauczanie bez książki*, czyli wskazówki teoretyczno-praktyczne, odnoszące się do pierwszego nauczania, z piśmiennictwa angielskiego zebrane przez Adolfa Dygasińskiego.

Pedagogika, jako umiejętność, należy do mniéj opracowanych u nas gałęzi wiedzy, podczas kiedy sąsiedni nam Niemcy zacytować mogą całe szeregi nazwisk naturalistów, filozofów, a nawet głośnych poetów, którzy, szczególniéj w początkach bieżącego stulecia, żywo kwestyą wychowania i nauczania zajmowali się. My jedynie tylko na szczupłą ilość w części już przestarzałych dzieł: Piramowicza, Trentowskiego, Dziekońskiego i Sierocińskiego powołać się możemy.

Ostatni przecież dziesiątek lat przedstawia pewne pocieszające objawy na tém odłogiem leżącém polu Znaki życia, wywołujące do walki rutynę wychowawczą, występują wyraźnie w trzech zjawiskach:

1-e Uwzględnianie strony fizycznéj przy wychowaniu dzieci, a to dzięki zrozumianemu nareszcie celowi gimnastyki, którą poprzednie jeszcze pokolenie wprost za zbyteczną, a niekiedy niebezpieczną rozrywkę uważało.

2-ie Wprowadzanie w życie, jakkolwiek na małą podotąd skalę metody Froëblowskiéj, w zastosowaniu do gier i zabawek dziecinnych.

3-cie Pojawianie się częstsze głosów w prasie w tym kierunku. Przekłady dzieł cudzoziemców, jak: Hippeau, Légouvé, Esquiros oraz mniejszego zakresu prace oryginalne lub na wpółoryginalne.

Do rzędu tych ostatnich należy przed niedawnym czasem wyszła, niewielkich rozmiarów książka pana Dygasińskiego, z któréj treścią i kierunkiem obecnie czytelników naszych zaznajomić postanowiliśmy.

Autor, stanąwszy na gruncie, jaki zajął znakomity myśliciel szwajcarski Jan Pestalozzi, w pracy swojéj przeprowadza dwie myśli:

*a)* Punktem wyjścia prac pedagogicznych w zastosowaniu, t. j. pedagogiki jako *sztuki*, powinna być natura człowieka i jéj dokładne zbadanie.

*b)* Celem rozumnego wychowania jest osiągnięcie najwyższego stopnia rozwoju samodzielności ucznia.

Jeżeli zastanowimy się nad naturą człowieka w ogóle i badać ją będziemy uważnie, poczynając od chwil najpierwszego dziecięctwa, to dojdziemy niezaprzeczenie do wniosku, że skłonność kształcenia się po-

wstaje w nas już od kolebki. Wrażliwość niemowlęcia nawet, na wszystko co go otacza, żywo zwracana, niespokojne oko na każdy przedmiot świata zewnętrznego, chęć wzięcia wszystkiego do ręki, zanim jeszcze mówić pocznie, a następnie nieustanne, nieraz nawet bardzo dowcipnych rzucanie pytań swoim opiekunom: oto wszystko najwyraźniejsze dowody w drodze naturalnéj budzącéj się jaźni, oto objaw pierwiastkowego rozwoju myślenia, czucia i woli.

Na téj drodze wszyscy doszliśmy do zdobycia nazw otaczających nas sprzętów, rozróżniania kolorów a nawet co większa kojarzenia (asocyacyi) pojęć, jak np. pojęcia słońca z pojęciem światła i ciepła, pojęcia nocy z pojęciem ciemności. Na téj drodze daléj, powstały w duszach naszych pierwotne zaczątki pojęć dobrego i złego, cnoty i występku, piękna i brzydoty, zaczątki poczuć estetycznych i fantazyi.

Równolegle z żądzą wiedzy objawia się wnas od dziecięctwa skłonność do czynienia osobistych doświadczeń i naocznych poglądów, a tém samém do rozwoju samodzielności intellektualnéj.

Lalka o oderwanéj główce, konik tekturowy z rozpłataném wnętrzem dla zobaczenia „co tam téż w środku?" to znowu najpierwsze objawy téj dążności doświadczalnéj.

Podobnemi drogami zawsze postępował umysł ludzki: tym szlakiem idzie dziecię, tym szlakiem ciągnął człowiek przedcywilizacyjny. Obserwacya poprzedzała wiedzę, a praktyka życiowa szła przed poważnym korowodem ksiąg, foliałów i manuskryptów. Historya, cywilizacya, dzieje wszystkich nauk i umiejętności dzielnie bronią téj prawdy. Zapewne człowiek nie znał jeszcze medycyny i lekarzy, a już obserwował naturę, siebie i swój stosunek do przyrody; w jéjto bogatych spichlerzach roślinnych i mineralnych, ożywczych, *cudownych krynicach* szukał ulgi na swoje przypadłości, a niejeden z leków użytych z dobrym skutkiem przez barbarzyńca, nauka późniéj występująca, uświęciła pieczęcią swojéj powagi.

Jak z jedną z najstarszych nauk, tak samo miały się rzeczy z innemi gałęziami wiedzy, tak samo się ma dotychczas z naukami, które po dziś dzień z kolebką się nie rozstały.

Takieto mniéjwięcéj spostrzeżenia doprowadzają autorów do uznania, że pedagogika jako *sztuka*, powinna za wzór sobie postawić naturę i wyjść z tych danych, z jakich najpierwsza nasza nauczycielka wychodzi. Pobudzać zatém obserwacyą i dążyć do najwyższego stopnia rozwoju samodzielności.

Dzisiejszy system wychowania postępuje wszakże wprost przeciwnie. Nauczyciel podaje uczniowi książkę z gotowemi wynikami wiedzy, które mu przyswajać zaleca; nie obserwacya, nie doświadczenie, nie indukcya, ale proste zapamiętanie, jest środkiem i celem pedagogiki. Tak samo uczą języków, tak samo fizyki lub chemii. Porządek cały odwrócono, myśl natury spaczono, zmysł doświadczenia i naocznych poglądów zabito. Samodzielność, zepchnięta na plan ostatni, ustąpiła miejsca pamięci, a rozwój inteligencyi wzbogaceniu umysłu ty-

siącem wyrazów i nazw. Puszczono w niepamięć starą maksymę: *nunquam aliud natura aliud scientia dicit*, bo wygodniéj podać gotowe prawdy umysłom, niż mozolić się nad tém, aby kierując niemi umiejętnie, do wykrywania owych prawd doprowadzać.

System podobny, jako szkodliwy, należy stanowczo odrzucić, metodę uczenia z książki zastąpić metodą uczenia na przedmiotach. Zamknąwszy przed okiem malca podręczniki, pokazywać mu rośliny, zwierzęta, minerały; zwracać uwagę jego na zjawiska przyrodzone. Niechaj je obserwuje i bada; niech się uczy czytać w staréj księdze przyrody i niechaj sam dochodzi do zdania sobie sprawy z objawów, jakie go otaczają.

Samo już z siebie wynika, że wobec podobnéj metody, pierwszeństwo dać należy naukom, które początek swój w obserwowaniu zjawisk natury wzięły. Botanika, zoologia, mineralogia, a także fizyka i chemia przedewszystkiém, w zakres tak zrozumianych wykładów wejść powinny. Ogromne bowiem tu jest pole dla wiedzy doświadczalnéj, a tém samém do rozwoju samodzielności ucznia—że nie wspomnimy już o korzyści wpływu, jaką obcowanie z przyrodą na młodego zwłaszcza ducha wywiera.

Jako środki przy podobném nauczaniu właściwe, widzi p. Dygasiński: 1-sze dostarczanie uczącym się odpowiednich okazów; 2-gie wykonywanie doświadczeń przez wychowańca i 3-cie stawianie zręcznych zapytań, które w umiejętny sposób wyzyskując zaobserwowane fakta prowadziłyby ucznia od odpowiedzi najprostszych do coraz więcéj złożonych, bacząc ściśle na to, aby łańcuch postępu składały drobne ogniwa wzajemnie się wspierających i uzupełniających pojęć; aby ściśle przestrzeganém było stopniowanie w przejściu od rzeczy znanych do nieznanych, aby przez wycieczki w dziedziny przedmiotów pokrewnych, nie obałamucać uwagi wychowańca, a tém samém nie utrudniać mu procesu formowania pojęć z téj lub innéj gałęzi wiedzy. Częste wreszcie powoływanie się na prawdy już poznane i wyjaśniane do zrozumienia całości niesłychanie przyczynić się może.

Cała praca p. Dygasińskiego cechuje się wytrawniejszym i zdrowym poglądem na rzecz przez siebie traktowaną. Na każdym kroku widać pedagoga, który gruntownie kwestyą wychowania zbadał i tém samém postawione przez się założenia umiejętnemi wywodami usprawiedliwić potrafił. Modły zapytań i odpowiedzi wzajemnych, jakie przy nauczaniu w powyższym kierunku przyjąć zaleca autor, ułożone w sposób praktyczny i ciekawy; szkoda, że dla szczupłości ram niniejszego sprawozdania do dziełka samego odesłać nam wypada. Język, jakkolwiek miejscami twardy, zrozumiały; polszczyzna dobra.

Przyznając te zalety rozebranéj przez nas pracy, czujemy, że mimowolnie ciśnie się nam pod pióro uwaga, dlaczego autor nic nie powiedział o sposobie wykładu nauk takich, jak: religia, języki, geografia, historya, matematyka, lub zbył je wszystkie bardzo luźnemi wzmiankami,

a przecie wykład tych przedmiotów pominąć się nie da i nawet zdaniem naszém niektóre z nich metodzie poglądowego nauczania nie ubliżają. Przy pobudzaniu np. umysłu wychowańca w kierunku badania samodzielnego zjawisk przyrody, cóż za świetne pole do zwrócenia jego uwagi na ostateczną przyczynę wszechrzeczy. Wykładając taką np. fizykę, niepodobna znowu pomijać nauki o wielościach i jednościach matematycznych i t. p.

Kończąc jednak, oświadczymy, że praca p. Dygasińskiego, mimo pewne braki, szczupłością zakresu tłómaczące się, jest niesłychanie korzystnym nabytkiem w naszéj literaturze pedagogicznéj i dlatego gorąco polecić ją możemy naszym wychowawcom i nauczycielom.

*Henryk Sokolnicki*

---

*Zasady poprawnego pisania w przykładach*—ułożyła Józefa Kamocka, b. nauczycielka gimnazyum żeńskiego i wyższych Zakładów naukowych w Warszawie. 1879. Warszawa. Str. 208.

W bieżącéj literaturze pedagogicznéj oddawna jest znane imię pani Kamockiéj, jako autorki potrzykroć wydawanéj *Gramatyki języka polskiego*, *Stylistyki* i innych pism. Jak w owych dziełach, tak i w obecnéj pracy widzimy chwalebne zamiłowanie przedmiotu i wielką miłość uczącéj się dziatwy. A gdy w sprawie wychowania i nauczania dwa te warunki: miłość przedmiotu i miłość dzieci, uważamy za najważniejszy czynnik w celu osiągnięcia wyższych, szlachetniejszych zadań pedagogii; z prawdziwém przeto zadowoleniem i należném uznaniem wspominamy o téj dodatniéj stronie dziełka pani Kamockiéj. Serdeczne słowo, myśl poczciwa, uczucie żywe i współczujące, ku młodzieży skierowane, na każdéj nieledwo karcie dostrzedz może uważny czytelnik. Takie żywe zainteresowanie się przedmiotem swoim, żywotném bywa w skutkach i płodném w pożądane wyniki trudów dydaktycznych i pedagogicznych w ogóle. Bezstronny wszakże pogląd na powyższą myśl zmusza nas do zrobienia tu uwagi, że byłoby wielce pożądaném dla samego przedmiotu, jeśliby autorka tę swoję miłość zkądinąd uznania godną, formułować zechciała w sposób nieco przystępniejszy dla umysłów mniéj rozwiniętych i nie wpadała w zapęd liryczny, osłonięty nieco mglistemi frazesami, zpoza których niekiedy bywa trudno istotnéj myśli autorki dopatrzéć.

Tak np. mówiąc o téj prostéj uwadze, że język żywy nieustannie się zmienia, że przetwarzają się jego formy i sposoby wygłaszania, co wszystko utrudnia wielce zadanie pisowni, autorka tak się wyraża: „Jak więc stałą i gładką sz ybą nie zostanie powierzchnia wody, tocząca

swe fale za prądami wiatru; jak listki drzewa, chwiejące się pod tegoż wiatru podmuchem, nie dadzą się powstrzymać w nieruchomym spoczynku: tak żywy nasz język z dziwną giętkością naginający się w kierunku naszego uczucia i myśli, w martwe kształty zakuć się nie pozwoli, tak i wszystkich poruszeń najdrobniejszych cząstek naszéj przecudnie pięknéj mowy powstrzymać się nam nieuda, i dlatego tyle jest odmian w jego formach, tyle sprzeczności w pisowni" (str. 2).

Praca obecna pani Kamockiéj składa się z trzech części: *a*) z objaśnień główniejszych zasad pisowni; *b*) z trzech oddziałów ćwiczeń gramatycznych i stylistycznych, odpowiednio do wieku uczniów układanych i *c*) z objaśnień trudności ortograficznych i niewłaściwości w używaniu pojedyńczych wyrazów i zwrotów przeciwnych duchowi języka."

Najwydatniejszą stronę pracy pani Kamockiéj i najwięcéj zabierającą miejsca (od str. 28 do 156) stanowi część druga. Dział ten ćwiczeń dla „małych" i „starszych" niezmiernie pracowicie ułożony i wyczerpujący wszelkie teoretyczne wskazówki, jakie podaje autorka, stanowi istotę tego dziełka. Przynieść on może niemałą korzyść nauczycielom mniéj zaradnym, bo jest dość praktycznie i dostępnie ułożony. Mówiąc wszakże o zaletach tego działu, dwa tu zastrzeżenia zrobić musimy: *a*) autorka prowadzi swój wykład tak nużąco-drobiazgową metodą, że ona może być przydatną tylko dla bardzo tępych umysłów, młodzież zaś trochę więcéj niż średnich zdolności znudzić tylko może; *b*) wątpliwą jest wielce w dydaktyce kwestya: czy można bezwarunkowo stosować do nauki błędne wzory, by je następnie uczący się poprawiał? Robi tak wielu, ale praktyka dowodzi, że zamiast dopięcia celu, wręcz przeciwne osiągamy rezultaty, to jest że wrażliwość umysłu dziecinnego sprawia to, iż uczeń, znając już nawet zasady poprawności pisowni, w praktyce mimowolne popełnia błędy, na wzór tych, jakie oko jego pierwotnie dostrzegło. Myśl ta w ostatecznem rozwinięciu swojém jest tego rodzaju, że zadać sobie możemy pytanie: czy potrzebny jest dla uczących się taki zbiór rozmaitego rodzaju błędów, którychby może dziecko w znacznéj części nie widziało i nie popełniało? a przynajmniéj, czy właściwie uczniom go nasuwać przed oczy? Możeby raczéj stosowniejszém było zrobić wskazówki dla samego nauczyciela, a w samém nauczaniu prostować te tylko błędy, które dziecko popełnia. Co się tyczy wzorów zebranych przez p. Kamocką, tém większy kładziemy nacisk, że spotykamy tu błędy, jakich my w wieloletniéj praktyce nauczycielskiéj nie słyszeliśmy nigdy, jak np. „dwa uszy" (str. 69), „więcéj piękniejszego," „cnoty teologalne" (str. 182), „temu źrebiątkowi," „przyznano Fredremu" i t. d. Takie silenie się na wynajdywanie błędów wkracza w dziedzinę humorystyki i mimowolnie przypomina dowcip Kuryerka Świątecznego, który przed kilku laty czytałem („nie mówi się temu psowi, ale temu psemu"...). Przyjąwszy już wszakże metodę autorki, bez żadnéj straty dla nauki, wszystkie te wzory do połowy ograniczyćby można, widzimy w nich bowiem zbyt częste powta-

rzanie tych samych usterków; do nich należą: błędne użycie biernika zamiast dopełniacza w zdaniach przeczących („nie splamię *ją*“), błędne użycie zaimka osobowego *on* w bierniku rodzaju nijakiego (włóż *go* zam. *je*); użycie spójnika *gdyby* zam. *żeby*, *który* zam. *jaki* i t. d.

Ale jeżeli pani J. K. była zbyt hojną w praktycznéj części swojéj pracy, to znowu zanadto jest oszczędną w części pierwszéj, wyłuszczającéj teoryą pisowni, może nawet niekiedy z uszczerbkiem jasności i dokładności prawd językowych i dlatego na ten teoretyczny jéj kodeks uważniéj spojrzeć nam należy. Na początku p. J. K. mówi o rozmaitych względach, przestrzeganych w zastosowaniu dzisiejszéj naszéj pisowni i między innemi mówi o „duchu“ wyrazów. Coby jednak znaczyć miał ów „duch wyrazów“ zrozumieć nie możemy; raz autorka powiada duch czyli myśl, drugi raz ten „duch“ wkracza w dziedzinę etymologii (np. str. 159 mżyć=duch wyrazu *mglić*, *mgła*). A pomimo, że określenie to tak niejasne, autorka przeważnie posługuje się w uwagach swoich tym „duchem wyrazów.“ Po tym wstępie idą prawidła używania samogłosek, na które niezawszebyśmy się zgodzili. Tak np. omówienie stosowania w pisowni samogłosek czystych i pochylonych, albo zbyt ogólnikowe (np. *a*, *o*, podług autorki używają się wtedy, gdy są wymówione wyraźnie), albo błędne, jak np. gdy mówi, że *ó* pochylone „pisze się dla zwyczaju językowego lub podobieństwa do innych języków“ (str. 12). Z podanych na to prawidło przykładów widzimy, że tam chodzi nie o „zwyczaj“ jakiś, ale o źródło, o pochodzenie wyrazów. Zamiast tego dziwnego wynalazku, wolelibyśmy widzieć znane powszechnie zasady pochodzenia samogłosek pochylonych; tutaj bowiem ani o ściąganiu wyrazów (*twojeja—twojéj*, *kotoryj—który*), ani o dawniejszym iloczasie, t. j. o samogłoskach długich i krótkich nic się nie dowie uczennica p. Kamockiéj. Cały w ogólności ustęp o samogłoskach jest bardzo pobieżnie i ogólnikowo traktowany, a nawet niebaczność posunęła p. Kamocka tak daleko, że wcale nic nie mówi o używaniu samogłosek *i* i *y*. Więc w książeczce dość sporéj, o 200 przeszło stronicach, *specyalnie pisowni* poświęconéj, niéma nawet wspomnienia o tém, gdzie pisać należy powyższe samogłoski! a przecie każdemu z nauczycieli dobrze wiadomo, ile młodzież w tym względzie błędów popełnia.

Stosunkowo lepiéj jest opracowana pisownia spółgłosek, a zwłaszcza spółgłoski mocne i słabe, lubo niekiedy autorka zanadto ryczałtowe podaje prawidła, jak np. na str. 15: „*rz* pisze się zawsze po *p*, z wyjątkiem *pszenica* i *pszczoła*.“ A jakże należy pisać nazwisko „Pszonka?“ Albo w inném miejscu (str. 164), p. Kamocka mówi, że dwa tylko mamy wyrazy, w których po *d* piszemy *ż*: *dżdżysty* i *dżuma*. A przecież mamy tak dobrze znane w literaturze nazwisko *Wydżga*, przecież mamy czasownik *dżgać*, nie licząc już wielu takich obcego pochodzenia wyrazów, jak *Dżyngischan*, *dżyn* i t. p. Niedostateczne albo błędne jest określenie użycia *ch* i *h*, a zwłaszcza ostatniéj, gdy mówi: „*h* pisze się w wyrazach, gdy brzmienie jego *ginie* i które są

nam przyswojone“ (?). Jestto, o ile wiem, trzecie z kolei dziełko wydane w Warszawie, które opaczne to prawidło rozpowszechnia, jakobyśmy nie mieli rodowitych wyrazów polskich przez *h* piszących się; takie nieoględne wynaturzanie języka, zamiast szczeréj polszczyzny, popiera chyba gwarę mazowiecką, która, niestety, aż nadto częste miewa dziś zastosowanie w niektórych czasopismach warszawskich.

Spółgłoski miękkie i twarde nie zawierają błędnych prawideł, chociaż p. Kamocka, jak zwykle, niekiedy nie domawia ważniejszych rzeczy. Powiada, że *t* przechodzi w *ć* i w *c*, a z przykładów widzimy zamianę *t* na jedno *ć*. Nie rozumiemy następnie lakonicznych przykładów podanych na spółg. *f: traf', trafić, traf, traf'*. Taki lakonizm dla jakiegoś nawet Miklossicha byłby zagadką, a cóż dopiero dla dziewczynki rozpoczynającéj naukę języka! Wzory znowu miękczenia *s* przekonywają, że autorka *rozmyślnie* unika zawilszych kwestyi, o których musi wiedzieć że są trudne, gdy miała w ręku choćby jedną Gramatykę Małeckiego. Cóż np. nauczycielka, nieświadoma innych źródeł, jedynie z dziełkiem p. Kamockiéj w ręku, odpowié na takie np. pytania uczennicy: jak trzeba pisać: *spi* czy *śpi? miłosny* czy *miłośny*, *bolesny* czy *bolešny?* Ani w teoryi, ani we wzorach do poprawiania błędów, nie mamy na to odpowiedzi. A przecie, jeżeli nawet uczennica np. będzie miała słowniki Lindego i Wileński, i tam zechce sprawdzić wątpliwość swoję, to również się zawiedzie, bo np. Linde mówi: *miłosny*, słownik Wileński *miłośny*. Na takie przeto subtelności, jedynie zaradczym środkiem *specyalne dzieło pisowni poświęcone* [1]).

W ustępie o rozdzielaniu wyrazów (str. 18—20), wdaje się p. Kamocka w drobiazgi, a o istocie rzeczy, t. j. o przenoszeniu wyrazów z wiersza w wiersz, według etymologicznego składu, mówi ubocznie tylko (pod numerem 3). Przenoszenie spójnika *i* stanowi jednę z tych zagadek, jakie p. Kamocka lubi rzucać swojemu czytelnikowi. Pisze się, powiada autorka: „ty i ja, albo ty—i ja, a nigdy ty i—ja.“ Dlaczego? niewiadomo i zostanie to nazawsze podobno tajemnicą, gdzie umieścić należy tę szaradę gramatyczną. Przyrostki wyłożone dostatecznie. W dziale przysłówków, kiedy przeczenie *nie* pisać należy osobno, a kiedy ono zrosło się ze słowem, wyraża się ogólnikowo i ciemno, tak,

[1]) Na str. 16 p. Kamocka stanowczo twierdzi, że *książ*, *książę* są to wyrazy czysto polskiego pochodzenia; a lubo definicya ta należy do zwykle używanych ogólników przez p. Kamocką, to jednak zważywszy co mówi gdzieindziéj (np. na str. 163 *porządek* wspólność ze słowiańskim, str. 164 *kożuch* dla powinowactwa ze słowiańskim), wnosićbyśmy mieli prawo, że według autorki „czysto-polskie“ wyrazy będą inne, niż mające źródłosłów słowiański. A przecie staro-słowiańskie *kniaź*, to nasz *książę*, a nawet badając dlaczego po *k* stoi bezgłoska, możebyśmy doszli do przeświadczenia, że ten słowiański wyraz ma swój źródłosłów gdzieindziéj, tak, że może *konung*, *książę*, *książ*, a nawet *kacyk*, będą miały wspólny źródłosłów. A w każdym razie *książę* „czysto-polskim wyrazem“ nazwać nie mamy prawa.

że chyba sam nauczyciel dostępnie uczniowi wyjaśnić zdoła. Znaki pisarskie (przestankowe) nie mogą być dobrze wyłożone w najistotniejszém ich zastosowaniu, bo autorka budowę okresu niedość jasno sobie tłómaczy. Przy używaniu np. przecinka, mówi się o jakichś „pojedyńczych wyrazach do zdania nienależących," że się tym znakiem oddzielają. Co to za wyrazy? gramatyka przecież im jakieś stosowne miejsce dać powinna? jakoś je określić? bo przecie nie mogą być one bez związku logicznego w mowie, tak sobie... „pojedyńczemi wyrazami."

Po takiém określeniu nic dziwnego, że w jednym z dwu przykładów, jako wzór podanych, spotykamy już błędy w przestankowaniu; np. „Krzyż jest ogromny a taki lekki, że i najmniejsze dziecko w pokorze (,) Na swoich barkach unieść go może" (str. 23). Dlaczego tu w środku zdania stoi przecinek, tego inaczéj wytłómaczyć sobie niemożna, jak tylko chyba tém, że to „są pojedyńcze wyrazy, nie należące do zdania..." Użycie średnika jeszcze ciemniéj wyrażono: nie wspomina autorka nic o mowie ucinkowéj, a przedewszystkiém o wieloczłonkowym okresie, gdzie tak konieczne bywa używanie średnika. Wprawdzie przy wzorze na dwukropek, używa p. J. Kamocka średników poprawnie, teorya więc tylko nie odpowiada praktyce, co oczywiście mącić tylko będzie umysł młodzieży w początkowém nauczaniu. Dwukropek, kropka, znak wykrzyknienia, nawias, nie nastręczyły nam żadnych uwag. Natomiast nie zgodzilibyśmy się na prawidła używania znaku zapytania, łącznika, a zwłaszcza pauzy. Wzory podane do pytajnika są całkiem niestosowne („Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary?"). Wszak pytaniem się nazywa takie zdanie, na które czekamy odpowiedzi, a we wzorze Kochanowskiego tego właśnie niéma, jestto tylko zwrot retoryczny, zwany u nas *zamiennią krasomówską*. Zapewne, że i tam się kładzie znak pytania, ale w teoryi autorka nic o tém nie mówi. Więc teorya znowu z praktyką w niezgodzie... Najgorzéj zaś wygląda pauza: tu i teorya i praktyka złożyły się na to, żeby nieprawdę wygłaszać. W przytoczonym wierszu Jaśkowskiego, cztery razy użyta pauza niestosownie zamiast przecinka, piąty zaś raz użyta, chyba dałaby się usprawiedliwić. Zauważmy, że ten znak wogólności niéma szczęścia w naszéj literaturze; najwięcéj zawinili tu poeci i to nie tacy, jak Jaśkowski, ale może głównie niepoprawnością używania pauzy celuje Zygmunt Krasiński, albo raczéj jego wydawcy: w jednym z jego najpopularniejszych utworów (*Przedświt*), czytamy całe szeregi tego rodzaju błędów, którym p. Kamocka prawo obywatelstwa nadać pragnie.

W trzeciéj nakoniec części dziełka, mamy „wzór do poprawiania i objaśniania błędów" (od str. 157 do 200). Większa część tych wzorów jest dość dobrze ułożona, a jednak musimy przyznać, że i tu w wielu miejscach spotykamy określenia niejasne, niedostateczne, albo niedomówienia w rodzaju np. owego „ducha wyrazów," o którym nadmieniliśmy wyżéj. Poprzemy tę uwagę naszą dowodami.

Str. 159 *dzisiejsze;* przysłówek *dzisiaj* w przymiotniku, zmienia *a* na *e*. Czyto tylko w tym wyrazie ma miejsce, czy zawsze w podobnych sufiksach, uczeń tego nie wié. Str. 168 „*kupić* domyślamy się, że o część czyli o trochę masła tu idzie..." Z tego określenia wcale nie widać, czy słowo kupić rządzi albo nie rządzi biernikiem. Str. 169 „rzeczownik *rodzeństwo* może więcéj niż dwie osoby oznaczać i dlatego uważa się za rzeczownik zbiorowy rodzaju nijakiego." Więc np. wyraz *szlachta* jest także rzeczownikiem zbiorowym, więcéj niż dwie osoby w sobie zawierającym, powinien być przeto podług téj definicyi rzeczownikiem rodzaju nijakiego? Str. 167 *zabiorę się*, a nie *zabierę*. Taki lakonizm nie nauczy nikogo, a jednak ważna to kwestya i tak powszechne w tym względzie popełniamy błędy (np. w wyrazie *przedsiębierstwo*, zamiast *przedsiębiorstwo*) i usunąć je można tylko drogą dokładniejszego wyłuszczenia zasad głosowni, t. j. wpływu samogłosek na spółgłoski i odwrotnie.

Wreszcie w téj części trzeciéj dziełka p. J. Kamockiéj, lubo niezbyt często, ale spotykamy całkiem błędne dowodzenia, stanowczo sprawdzenia wymagające. Do takich zaliczamy: autorka sądzi, że *humor* jestto wyraz francuzki (str. 161); że *wykształcony* (str. 162) jest wyrazem czysto-polskim i sili się na wyjaśnienie, dlaczego po *k* pisać należy *s* (str. 173); p. J. Kamocka sądzi, że *należéć* ma tylko rząd *do kogo*, rząd zaś *komu*, tylko w znaczeniu zapłaty. A przecie np. Linde taki daje przykład: „Tobie się należy rozkazanie, mnie zaś powolne tylko wykonanie;" „Orlandowi nic upadek i trwogi owego ludu nie należy." Czyż i to ma być „zapłata?" (str. 174). „Proś *pani*, a nie proś *panią*," mianowicie wtenczas, kiedy się prosi w braku czegoś. Linde daje o tym rządzie powszechnie używane zdania: „Proszę *cię*, bądź łaskaw," albo „Usty własnemi upraszałem go." W ogólności rząd ten jest: nietylko *kogo*, *czego*, ale i *kogo o co*. Str. 174 „ufać *czyjéj dobroci*, a nie *ufać w czyją dobroć*." A Kochanowski mówi: „Oni *w swoje wozy* i ufają *w konie*, A my w Pańskiéj kładziemy nadzieję obronie." Zresztą patrz Linde t. VI, str. 28.

Te są, podług naszego zdania, ważniejsze usterki „zasad poprawnego pisania," nie licząc błędów korrektorskich, których tu znacznie więcéj się znajdzie, niż wymieniła autorka. Sądzimy przeto, że po odpowiedniém sprawdzeniu wymienionych tu szczegółów, po gruntownem przerobieniu teoretycznéj części dzieła, oraz po wyrzuceniu tych błędnych wzorów, które są tylko próżnym balastem, praca p. Kamockiéj stać się może prawdziwie pożyteczną książeczką elementarną.

*A. B.*

*M. Tulii Ciceronis Laelius sive de amicitia dialogus.* (M. T. Cycerona Leliusz, to jest rozmowa o przyjaźni), objaśnił Stanisław Sobieski. W Rzeszowie, czcionkami i nakładem J. A. Pelara. 1880.

W naszém letargowém życiu—w sferze nauk ścisłych a szczególnie filologii klasycznéj, pojawienie się na półkach księgarskich wydania którego z klasycznych pisarzy, sprawia to samo niezwykłe wrażenie, jak w nocy bezksiężycowéj zjawienie się meteora; jedno i drugie odbija silnie na tle ciemności, na jedno i drugie zwraca uwagę przypadkowo tylko niewielka liczba śmiertelników i to na krótko, oba przemijają bez śladu. Czy nam brak sił, chęci i inicyatywy, albo czy sądzimy, że nasi sąsiedzi na Zachodzie tyle już zdziałali, że nam nic nie pozostało do czegoby z powodzeniem i skutkiem rękę przyłożyć można; na te pytania odpowiedzi mogą być tak różne, jak różne są zapatrywania: pewnym tylko fakt, choć dosyć smutny.

Imię p. Sobieskiego (obecnie dyrektora gimnazyum rzeszowskiego) nie pierwszy raz spotykamy na tytułowéj karcie wydawnictw klasyków łacińskich; jestto obok Br. Trzaskowskiego, Z. Sawczyńskiego, Z. Samolewicza, jeden z owych rzadkich u nas członków ciała nauczycielskiego, którzy postawili sobie za cel życia nie wykonywanie rzemiosła i uważanie go za spełnienie obowiązku względem kraju i społeczeństwa, ale którzy zostawszy raz hołdownikami nauki, starają się stosownie do okoliczności, choć nie wielkie ale szczere składać jéj zawsze ofiary. *Gramatyka łacińska większa i mniejsza* (obecnie wydanie 4) i przykłady do niéj zastosowane, wydanie i objaśnienie Cezara ksiąg *De bello gallico*, Sallustyusza *Bellum Jugurthinum*, Cycerona *Cato maior sive de senectute* i najnowsze Cycerona *Laelius sive de amicitia;* wskazują kierunek pracy p. Sobieskiego na tém polu. Są to prace poświęcone młodzieży szkolnéj, jéj do użytku oddane, jak to wskazują przy każdém wydaniu w tytule umieszczone słowa, *dla użytku szkolnego;* dziwi nas przeto tém więcéj, dlaczego dawnym idąc śladem, p. Sobieski na ostatniéj swéj pracy, tych słów nie umieścił. Czy przeznaczył ją może dla szerszéj publiczności, która się takiemi rzeczami nie zajmuje, lub dla szczupłego grona filologów polskich, dla których znowu podobna praca byłaby niewystarczającą? Ale nie ceniąc dzieła z tytułowéj kartki, zajrzyjmy do wnętrza.

Pierwsze dwie kartki druku (str. III i VI) zajmuje wstęp. Czém powinny być takie wstępy do wydań pisarzów klasycznych i czém są w rzeczy saméj, można się łatwo przekonać wziąwszy do ręki pierwszy lepszy tomik wydawnictw niemieckich Teubnera lub Weidmanna, a z naszych przekłady pism Cyceronowych przez E. Rykaczewskiego. P. Sobieski jako wydawca i interpret, pojmuje owo zadanie bardzo dobrze, jak się to z przedmowy do Cezara pokazuje, ale nie zawsze tą

znaną, jednakowo postępuje drogą; p. Sobieski wié, że „w pierwszym rzędzie przewodniczy tu cel szkoły i potrzeby ucznia, w drugim stoją potrzeby uczącego," ale w Laeliuszu pierwszym nie zupełnie odpowiedział a drugie pominął.

Dziełko Cycerona *Laelius*, czytający uczniowie nie czytają tego samego autora dyalogu *Cato maior sive de senectute;* zbyt bowiem niewiele w ogóle czasu poświęcić można w naszych (galicyjskich) gimnazyach lekturze Cycerona, a gdzie się czyta już jedno z jego mniejszych filozoficznych pisemek, tam o drugiém mowy być nie może. P. Sobieski uczył i uczy sam może dotąd, żyje w tych stosunkach a mimo to zaczynając wstęp *Laeliusa* wychodzi od wydanego przedtém przez siebie (w r. 1866) *Cato maior*. Kiedy tamto, wtedy i to, jak tam tak i tu; są to prawie te same zwroty, któremi p. Sobieski wstęp swój rozpoczyna. W rzeczy saméj paralela dobra i zrozumiała dla tych, co znają jedno i drugie; jak tamto atoli tak i to czytają uczniowie pojedyńczo i porównania nie zrozumieją. Zbytecznem wydawało się p. Sobieskiemu dodać na początku choćby tylko w nawiasie, kto był ten Cycero i co on przed Leliusem napisał, coby nauczycielowi ułatwiało wielce drogę do podania poglądu na działalność Cycerona, a przedewszystkiem wpływało na oszczędzanie czasu, z którym się bardzo rachować potrzeba. Że toby nie było zbytecznem a możliwém, wskazują wydania niemieckie, które właśnie w ten sposób postępują, jak np. wydanie obydwu dyalogów G. Lahmayera; że nadto nawet obszerniejszy życiorys i obraz działalności literackiéj Cycerona podany przy pierwszém pisemku jego, które p. Sobieski ze swemi objaśnieniami wydawał, nie byłby od rzeczy odstępował a wielce się przyczyniał do podniesienia wartości pracy p. Sobieskiego—trudno zaiste zaprzeczyć.

To co po pierwszych krótkich ustępach wstępu następuje o życiu Leliusa, głównéj dyalogu osoby, i jego przyjaciela Scypiona, zebrane krótko i jasno. Należało tylko daléj napomknąć przynajmniéj o tém, że Cyceronowi za wzór do ułożenia tego dyalogu służyło podobnéj treści pisemko Teofrasta, którego my dzisiaj nie mamy ani śladu, a które Cycero znać musiał dobrze, jak to poświadcza Gellius *Noct. Att. I, 3, 10 n.* „Super hac quaestione diligentissime a Theophrasto disputatur, eaque disputatio scripta est in libro eius de amicitia primo. Eum librum M. Cicero videtur legisse, cum ipse quoque librum de amicitia componeret. Et cetera quidem, quae sumenda a Theophrasto existimavit, ut ingenium facundiaque eius fuit, sumpsit et transposuit commodissime aptissimeque... cett." Podając dyspozycyą postąpił p. Sobieski bardzo rozsądnie; podał bowiem sam szkielet tylko, a ciało do niego umieścił w objaśnieniach na początku każdego ważniejszego ustępu. W ten sposób spływa wstęp z objaśnieniami w jednę organiczną całość, uzupełnianą i uzupełniającą, a mającą tę dobrą stronę, że uczeń który wstępu czytać nie zechce, przy korzystaniu z objaśnień mimowolnie się spotka z pięknie i jasno przedstawionym porządkiem myśli dyalogowych i zyska łatwy a niezbędny pogląd na całość.

Pominął p. Sobieski potrzeby uczącego i to pominął zupełnie. Na sposób niemieckich wydawców umieszczał p. Sobieski zawsze dotąd w swych wydaniach przed „wstępem" jeszcze krótką przedmowę. W takowéj obok powodów do téj pracy wyłuszczał zasady, jakiemi w ułożeniu i objaśnieniu przeważnie się kierował, wyliczał pomocnicze dzieła, z których korzystał. Wskazywał nakoniec wydanie, którego w przepisaniu tekstu przeważnie się trzymał, a w razie odstąpienia od powszechnéj lekcyi, odmienną, przyjętą, lub własną konjekturę podawał. Dlaczego tego wszystkiego zaniechał przy obecném wydaniu Laeliusa, domyślić się trudno i pojąć niepodobna. Dlaczego mając (według wszelkiego prawdopodobieństwa) potrzeby szkolne, a więc uczniów na oku, o uczących zupełnie zapomniał? Porównywając rozmaitość lekcyi u różnych wydawców, domyślać się tylko musimy (podobnież jak się celu tego wydania domyślać musieliśmy), że w ułożeniu tekstu szedł p. Sobieski przeważnie za Halmem i Baiterem, jakkolwiek przyznać trzeba, że w kilku miejscach oddał pierwszeństwo lekcyom Madwiga i rękopismów, a w paru nawet za własném poszedł zdaniem (§ 32, p. Sobieski: *Ab iis*, zamiast *Ab his* Lahmayera i Baitera, a *At ii* Halma; § 57, p. Sobieski: *facimus amicorum*, zamiast Halma: *facimus* [*causa*] *amicorum* i Lahmayera: *facimus causa amicorum*). Daje to chlubne świadectwo o p. Sobieskim, że nie ogranicza się do zadania interpreta, ale je łączy z zadaniem krytyka i nie daje nam tylko przedruku tekstu, ale sumienną jego rewizyą. Nie rozumiemy tylko, dlaczego p. Sobieski przenosi w pisowni *quidquam* (§ 20) nad lepsze i przez Halma również przyjęte *quicquam*, lub dlaczego pisze: *afferret* (§ 104), znowu gorszéj trzymając się pisowni i nie idąc za Halmem i Baiterem, za którymi poszedł pod innemi względami.

Do przedmowy, któréj brak znowu w tym względzie czuć się daje, należało umieszczenie dawnym torem kilku słów przynajmniéj o wydaniach Laeliusa polskich i jego przekładach. Mecherzyński w *Indeksie historyi języka łacińskiego w Polsce* podaje między innemi dokładny spis wydań tego pisemka Cyceronowego, a było ono, jak się z tego spisu pokazuje, dosyć u nas w użyciu, skoro w samym wieku XVI, a mianowicie w pierwszéj jego połowie, pięć razy było ogłaszane drukiem, bądź samo, bądź z innemi (r. 1510 samo, 1515 samo, 1516 z dziełem: *De officiis*, *Cato maior*, *Somnium Scipionis*, 1528 samo, według wydania Erazma z Roterdamu, 1535 samo), nadto w r. 1680 w podobném towarzystwie, jak r. 1516; wreszcie 1811 r., w Wilnie i Warszawie, naturalnie staraniem Pijarów. Wprawdzie tłómaczeń tego pisemka nie posiadamy wiele, ale choćby tylko wspomnienie o Bieniaszu Budnym (bracie Szymona, tłómacza *Biblii*), który przełożył Cycerona: *Księgi o starości* (Wilno, u Karcana, 1595) i *Księgi o przyjaźni* (tamże, 1603) i o najnowszém E. Rykaczewskiego (t. VII), który również na końcu każdego wstępu o polskich wydaniach wspomina; byłoby lepsze, jak nic, jak pozostawienie ciekawych w tém fałszywém mniemaniu, że skoro nic nie przytoczono, to nic nie było. A przecież sądzę, że p. Sobieskiemu nie były

znowu tak nieprzystępnemi do zaczerpnięcia tych wiadomości (które nawet bez szukania posiada), bądź Mecherzyńskiego dziełko, bądź Estreichera: *Bibliografia*, a w końcu nawet Maciejowskiego: *Piśmiennictwo polskie*. Szkoda, bo przez to cały wstęp nosi nieszczęśliwe piętno, jakoby go p. Sobieski tylko dlatego napisał, *ut aliquid fecisse videatur*.

W objaśnieniach trzyma się p. Sobieski przeważnie uwag Lahmayera, chociaż nie krępując się tém, stosownie do własnéj szkolnéj praktyki, wiele rzeczy samodzielnie objaśnia. W tym dziale zarzucilibyśmy p. Sobieskiemu w niektórych miejscach zbyt lakoniczne, w innych zbyteczne uwagi. Do zbyt lakonicznych zaliczyć musimy przedewszystkiém uwagę podaną na str. 9 do § 5: *te ipse*, właściwie *te ipsum;* a więc to wszystko jedno, czy tak, czy tak, więc to dowolność niémająca w stylu łacińskim i Cycerona najmniejszego znaczenia? Nie. P. Sobieski bez uszczerbku własnéj zasłudze mógł był przynajmniéj podać tu to do tego miejsca, co podaje Lahmayer i przykładami z samego Cycerona popiera i objaśnić, że postawienie *ipse* w nom., równie jak: *tu*, wzmacnia przedmiot i uwydatnia, podczas kiedy *te ipsum* byłoby słabym zwrotem. Więcéj da się powiedzieć o zbytecznych uwagach, których jest spora liczba, a wszystkie grzeszą tém, że są tylko uwagami leksykalnemi. Czy potrzebuje uczeń, aby mu objaśniać np.: *quidem*=zaprawdę, istotnie; *intermissio*=przerwa (§ 8), lub: *viriditatem*=świeżość (§ 11); *eventu*=los, koniec: skoro takie objaśnienie znajdzie w słowniku przy przygotowaniu się, jeżeli przypadkiem znaczenia słów tych nie zna. Podobnie jak powyższe wyrazy, objaśnia p. Sobieski 1) zbytecznie: *morte*=Abl. *causae* (§ 8); *tanta vis probitatis*, tak wielki wpływ (potęga) uczciwości (§ 29); *invehi*=nastawać, napaść na kogo (§ 57); *suis commodis*, własne korzyści (§ 57); *querebatur*, użalał się, narzekał (§ 62); *redundet*, spada, spływa (§ 76); *fructuosum*=korzystne, zyskowne (§ 79); *habere*, posiadać; *verebuntur*=szanować, poważać (§ 82); *evitare*, unikać; *elevare*, umniejszać (§ 88); *flexibile*, niestały, chwiejny; *devium*, błędny (§ 93); *ex quo*, wskutek czego; *efflorescit*, rozkwita (§ 100); 2) fałszywie: *nemo*, my, żaden (§ 10); bo tu *nemo*=nikt, bardzo dobrze się tłómaczy, przełożywszy *qualis*, poprzedzające przez abl. („jakim, jak sądzę, nikt nigdy nie będzie" i t. d.); 3) niepotrzebnie po dwa razy: (§ 72 i 76) *amicitiae*=związki przyjacielskie; podobnie jak *itaque=atque ita*. Błędem stylistycznym polskim jest użycie przez p. Sobieskiego zwrotu: „pod tym wyrazem rozumiał" (str. 39 do § 46: *inhumanius*), jak również wyrażenie w przekładzie *insectarique vehementius*=dosadzić komu do żywego, zamiast: dojąć komu do żywego; błędem przeciw pisowni łacińskiéj, prawdopodobnie przypadkowym, bo jedynym jest na stronie 13 do § 11: *jud. est*, zamiast *iud est;* kardynalnym zaś i największym błędem objaśnień p. Sobieskiego jest zbyt częste odwoływanie się do paragrafów gramatyki swojéj większéj, lub mniejszéj.

Jak zestawianie stylistycznie lub gramatycznie podobnych miejsc z różnych pisarzy, ma tylko wtedy wartość, jeżeli się wynotowane

miejsce dosłownie przytoczy, tak i zwracanie uwagi na właściwości gramatyczne, wtedy tylko, naszém zdaniem, przy autorze może przynieść rzetelną korzyść, jeżeli się treściwemi słowy uczniowi, znane już przypomni prawidło. Jeżeli uczeń zaleniwy, aby podanego szukać paragrafu, znajdzie prawidło powtórzone w autorze, mimowolnie przywoła na pamięć to czego się kiedyś uczył, a p. Sobieski wié niezawodnie, jakim środkiem dydaktycznym jest przypominanie i powtarzanie tego samego w różnych kształtach. Gdyby się zresztą odwoływał p. Sobieski do paragrafów gramatyki najpowszechniéj używanéj w naszych gimnazyach, np. Poplińskiego lub nowo wprowadzonéj Samolewicza, miałoby to jeszcze jakieś prawdopodobieństwo korzyści; powołując się atoli na gramatykę swoją mniejszą lub nawet na większą, którą rzadko który posiada uczeń, nietylko że nie może spodziewać się korzystania z podanych miejsc gramatycznych, ale nadto szkodzi swemu wydaniu, bo je czyni zależném od innego dzieła; nie każdy zaś mogący nabyć np. Laeliusa, p. Sobieskiego do lektury, jest w stanie tylko dla tego dziełka nabyć umyślnie obydwie gramatyki p. Sobieskiego.

A jednak, mimo braków i usterek, za to co jest, winniśmy tylko wdzięczność p. Sobieskiemu, bo niezapomniał o postawioném sobie zadaniu, bo od nas usuwa zwątpienie, a wlewa nadzieję lepszéj nawet w téj gałęzi nauk przyszłości. Szkoda tylko, że ta ostatnia praca w porównaniu z poprzedniemi, odsłania cofanie się w tył p. Sobieskiego a nie postęp, bez którego przecie niéma rzetelnéj i prawdziwéj nauki.

w Nowym-Sączu, d. 29 listopada 1879 r.

*Roman Zawiliński.*

---

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

### NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Styczeń 1880 r.—Rozbiór krytyczny pieśni „Bogarodzica.“* Napisał dr. Antoni Kalina. Lwów. Nakładem Włodzimierza Spasowicza. Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1880. Cena 1 złr. 60 cent. wal. aust.—Pod tym napisem wyszła na widok powszechny praca obszerna, całym filologicznym przyrządem opatrzona. Z powodu poważnego znaczenia téj książki, tylko *tymczasowo* ograniczamy się na pomieszczeniu jéj w rzędzie zwykłych wiadomości literackich, zapowiadając ocenę jéj naukową, jakiéj się i doniosłością samego za-

dania i godném jego opracowaniem sprawiedliwie domaga. Szanowny badacz, położywszy na wstępie jako podstawy, studya: W. Nehringa, dra Rymarkiewicza, dra Romana Pilata, uznaje za niedostateczną w badaniu zabytków pismiennictwa staropolskiego, wszelką metodę jednostronną, i radzi brać na uwagę, obok formalnéj i stronę wewnętrzną pod względem właściwości językowych i stosunku w budowie jego całości. Powtarzamy tu myśl wstępną autora: „Żaden zabytek staropolskiéj literatury od najdawniejszych aż do najnowszych czasów, nie budził takiego zajęcia w uczonych Polakach, duchownych i świeckich, jak pieśń „Bogarodzica.“ Znaczenia takiego w piśmiennictwie polskiém pieśń ta nabrała z jednéj strony przez tradycyą przypisującą od dawien dawna autorstwo jéj św. Wojciechowi, a z drugiéj także przeznaczeniem swojém, służąc za pieśń kościelną narodowi całemu, będąc śpiewaną przez wojsko przez czas niejaki przed rozpoczęciem bitwy.“ W wywodzie ostatecznym dr. Kalina stawia wniosek co do tekstu pieśni: „Rękopism wynaleziony przez dra Wisłockiego, przedstawia nam najdawniejszą formę pieśni „Bogarodzica.“ t. j. dwie pierwsze pieśni, które nie stanowią żadnéj całości, a tylko poprostu następują po sobie jako części należące do jednego kancyonału.“

— Smutne głosy odzywają się bezustannie w prasie krajowéj z powodu klęski, jaka dotknęła nasze plemię na Górnym Szlązku — straszliwa klęska głodu! Rysy, w jakich ją przedstawia prezes komitetu głodowego p. Karol Miarka, nawet zaprzysięgłego wroga ludzkości wzruszyć i rozrzewnićby musiały. Prasa nasza podjęła tę sprawę z właściwą sobie żarliwością, i głos jéj nie przeszedł bez skutku.—Ofiary czy to w pieniądzach, czy w gotowych materyałach, żywności, przesyłane być mogą do spedytora kolei p. Zygmunta Hercberga, w nadgranicznéj stacyi Sosnowice, z zawiadomieniem go, że to jałmużna dla Górnego Szlązka, która ma być posłaną na ręce Józefa Nieradzika, kupca w Mikołowie (Nicolai Oberschlesien). Szlachetny rzecznik miłosierdzia p. Karol Miarka, tak kończy list swój z 20 grudnia do Gazety Warszawskiéj: „Bracia! modli się za was cały Górny Szlązk i nigdy nie zapomni Waszéj pomocy w okropnéj niedoli, jaka go spotkała.“ Znieważylibyśmy uczucia naszych czytelników, *zachęcając* ich do miłosierdzia, bo u nas jest ono czémś więcéj niż obowiązkiem — jest *dogmatem wiary* społecznéj. Ratujmy ukochanych, nieszczęśliwych Szlązaków!

— Za staraniem Akademii Umiejętności w Krakowie, niebawem wyjść ma z druku praca znakomitego badacza przeszłości naszéj, ks. Waleryana Kalinki, p. t.: *Sejm czteroletni.*

— Na posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 15 grudnia, pod przewodnictwem dyrektora K. Estrejchera, sekretarz Akademii Szujski, przedstawił słownik języka greckiego, wypracowany przez Michała Jurkowskiego, profesora liceum w Krzemieńcu. Tego Słownika tom I wyszedł był przed r. 1831, druk zaś pozostałych dwu tomów nie przyszedł do skutku. Obecnie wnuczka profesora, p. Nie-

mekszyna składa Akademii jego pracę, do któréj rozpatrzenia wydział wyznaczył referentów. Następnie wydział przyjął do wiadomości przysłane Akademii przez członka korrespondenta Aleksandra Chodźkę, dzieło: *Les chants historiques de l'Ukraine*, wraz z załączonym przekładem trzech historycznych pieśni bulgarskich, a mianowicie dwu o zgonie Władysława Warneńczyka, a jednéj o zwycięztwie Jana Sobieskiego pod Wiedniem.

— Komisya historyi literatury i oświaty w Polsce otrzymała od dra Franciszka Nowakowskiego odpis nieznanego dramatu Stanisława Konarskiego, pijara p. t.: *Epaminondas*. Dramat ten, wraz ze wstępem dra Nowakowskiego, drukowanym będzie w drugim tomie archiwum téj komisyi.

— Wyszedł Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa, wydany przez dra Fr. Piekosińskiego; część 1 obejmująca prawa i przywile miasta. Dalsza część obejmować będzie wilkierze i dokumenta prywatne. Kodeks stanowi tom piąty dokumentów średniowiecznych, wydanych przez komisyę historyczną. Tom szósty, w druku będący, obejmować będzie: kodeks listów w. ks. Witolda, pod redakcyą dra A. Prochaski. Powstał on ze studyów autora w bibliotekach królewieckiéj i petersburskiéj. W dziale aktów historycznych (1506—1795), wydawanych przez komisyę, wyszedł tom III, obejmujący pierwszą część (1674—1677) archiwum spraw zagranicznych francuzkiego do dziejów Jana III, obrobione przez dra K. Waliszewskiego.

— W *Revue politique et littéraire*, czytamy niedługą, ale charakterystyczną wzmiankę o naszéj rzeczy literackiéj. Podajemy ją więc w dosłownym przekładzie:

„Wielki powieściopisarz polski Kraszewski, niedawno obchodził swoje pięćdziesięciolecie literackie. Z tego powodu p. Juliusz Słowacki „przetłómaczył wierszem francuzkim jeden ze swoich mniejszych poematów“ *Dżuma w pustyni*.“

„Oto obraz, pod którym podpisu czytać niepotrzebujemy, iżby dowiedzieć się, że to nie jest obraz p. Theuriet. Jest on tak mroczny i czarny, że dreszcze wzbudza: mamy tu szereg scen żałobnych. Są to czteréj synowie i siedm córek nieszczęśliwego opowiadacza opłakanéj swojéj historyi, w ciągu kilku dni padający ofiarą dżumy sinorękiéj,— siedm trupów wywleczonych z namiotu hakami pogrzebników i ciągnionych po piasku; następnie przychodzi koléj na matkę, która ukradkiem, po nocy, poszła była uciąć parę włosków złocistych z głowy najmłodszego dziecka, które zmarło w przeddzień. Zdaje się, że taki szereg obrazów identycznych, powinienby być straszliwie monotonnym. Otóż tak nie jest; poeta polski za każdym razem umiał wynaleźć nowe barwy. Przekład ma tę rzadką zaletę, że zdaje się nam jakgdybyśmy czytali utwór oryginalny.“ W odsyłaczu zaś czytamy tytuł francuzki: „*Venceslas Gasztowt, la peste au désert, traduit de Jules Słowacki*.“

— We Lwowie, nakładem Augusta Skerla, wyszła zajmująca powieść z XVIII-go wieku przez A. P., w dwu tomach, p. t.: *Jedna*

*miłość przez całe życie.* Rzecz odnosi się do czasów saskich, za panowania Augusta II.

— We Lwowie, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, wyszły „Trzy opowiadania historyczne przez dra Antoniego J.," w których się zawierają trzy obrazy z dziejów: „Iwan Podkowa." „Wielka prywata," „Semen Nalewajko." 1880. W drukarni Władysława Łozińskiego.

— Na skutek wezwania, z jakiém zwrócił się J. I. Kraszewski do redakcyi pism peryodycznych, powtarzamy Jego ogłoszenie z dnia 27 listopada 1879 r.:

„Udzielone przezemnie pozwolenie tłómaczenia moich powieści na język niemiecki osobom, które dotąd nie zgłosiły się do mnie z oznajmieniem wyboru, jaki uczyniły, niniejszém odwołuję. Te tylko osoby mieć będą prawo wydawania przekładów, które na każde z pism pojedynczo uzyskały upoważnienie. *J. I. Kraszewski.*"

— Na posiedzeniu komisyi prawniczéj w Akademii umiejętności w Krakowie, w dniu 5 grudnia r. p., profesor Bobrzyński wyjaśnił znalezioną przez siebie w archiwum państwowém w Poznaniu księgę sądu obozowego województwa kaliskiego, z wyprawy Jana Olbrachta na Wołoszę w roku 1597. Księga ta dostała się przypadkiem między księgi grodu poznańskiego. Mieści ona w sobie obszerne zapiski sądu obozowego, który się odprawiał na każdéj stacyi obozowéj w ciągu pamiętnéj wyprawy; posiada też niezmierną wagę, najpierw dlatego, że na instytucyę sądów obozowych, o których dotychczas prawie nic nie wiedziano, rzuca wielkie światło; powtóre, że nam całe życie obozowe z końca XV w., aż do najdrobniejszych faktów wyjaśnia. Ponieważ dyrekcya archiwów pruskich zezwoliła p. Bobrzyńskiemu na ogłoszenie tego pomnika, komisya prawnicza uchwaliła wydać go w siódmym tomie: *Starodawnych prawa polskiego pomnikach.*

— W Akademii umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 28 listopada r. p., pod przewodnictwem p. Łepkowskiego posiedzenie komisyi archeologicznéj, na którém dr. J. Kopernicki przedstawił wydany już pierwszy zeszyt: *Zabytków przedhistorycznych*, ogłaszanych przez tę sekcyą. Zajmowano się następnie układem przysposobionego już do druku dalszego tomu wydawnictwa, oraz przygotowaniem drugiego zeszytu: *Wykazu wykopalisk* (pierwszy wyszedł w r. 1877). Nadto na wniosek ks. kan. Polkowskiego postanowiono ogłaszanie materyałów co do epigrafiki polskiéj rozpocząć od wydania zbioru najstarszych napisów z nagrobków w kościołach krakowskich.

— Posiedzenie wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu odbyło się w dniu 1 grudnia r. p. Dr. W. Skarzyński czytał w dalszym ciągu rozprawę swoją: *O teoryi wolnego handlu i systemie protekcyjnym.*

— Krystyn hr. Ostrowski, znany tłómacz Szekspira, autor *Jambów polskich* i kilku dramatów francuzkich, ofiarował 300,000 franków na rzecz uczącéj się młodzieży polskiéj.

— *Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych*, z roku szkolnego 1878/9 opuścił prasę. Jestto spory tom, obejmujący w dużéj ósemce str. 374, tudzież str. 69 części sprawozdawczéj. Część literacka zawiera najprzód odczyty dyrektora Instytutu p. Papłońskiego, miane w r. b. na dochód Osad Rolnych o zasadach i zakresie wychowania domowego, oraz historyą metody poglądowéj. Daléj idzie rzecz o dwunastu Instytutach głuchoniemych, które zwiedził i opisał Marceli Brzeski; kurs nauki głuchoniemych na sześć lat rozłożonéj, opracowanéj przez tegoż samego autora; rozmaitości zebrane przez Henryka Trojanowskiego. W części sprawozdawczéj znajdujemy wiele szczegółów, dotyczących wzorowo prowadzonego naszego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych. Książka kosztuje rs. 1.

— W prospekcie, ogłoszonym przez Redakcyę *Biblioteki Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiéj* na r. 1880, czytamy pomiędzy innemi, iż Redakcya do szeregu swoich publikacyi wprowadza dział nadzwyczaj ważny, który słusznie nazywa ona „pierwszą tego rodzaju próbą w naszém piśmiennictwie.” Nowość tę stanowić będą: *Dzieje literatury powszechnéj z illustracyami.*

Zasadniczą pobudką do rozszerzenia, w tym kierunku, wydawnictwa swojego stanowił dla Redakcyi ten wzgląd, iż ani zbiorami najcelniejszych utworów, ani monografiami unaocznić zbiorowéj pracy ducha ludzkiego niepodobna, ani wykazać organicznéj łączności jéj objawów. Że podobna łączność istnieje, że wielkie prądy w utworach natchnienia i rozwagi odbywają się podług praw równie głębokich i opatrznych, jak i prądy dziejowe społeczeństwa, to dogmat nieulegający zaprzeczeniu. Podziwiamy arcydzieła nauki i poezyi, którym krytyka i sąd ogólny przyznały tytuł nieśmiertelnych, ale dosięgnięcie wszystkich krańców tego widnokręgu siłami jednostki jest niemożebném. Otóż *Dzieje literatury powszechnéj* i tylko one zapewnić mogą czcicielowi piękna i prawdy, uzupełnienie sobie sfery pojęć o zbiorowym skarbie myśli i twórczości ludzkiéj.

Co do innych ciekawych szczegółów, odsyłamy czytelnika do samego „Prospektu,” przytém do rozwagi Redakcyi przedstawiamy, ważny zdaniem naszém, acz z pozoru podrzędny postulat: przytaczanie mniéj lub więcéj obszernych tekstów, tak, abyśmy tam nietylko o *wielkich mężach*, lecz i samych *wielkich mężów* usłyszeć mogli.

W przekonaniu, że nowy ten dział stale utrzyma się przy duchu swojego programu, czego rękojmią dają nam siły, powołane tu do współudziału; wydawnictwu życzymy powodzenia i rozgłosu.

— Do hołdów, jakie odbiera poza granicami kraju nasze pióro i pędzel, przybywa tryumf na trzeciém polu. Panna Derynżanka, szeregiem występów swoich w Pradze, zdobyła sobie iście kapitolińskie owacye! Na benefisowym występie w *Romeo i Julii*, p. Derynżanka otrzymała wieńce laurowe ze stosownemi napisami od literatów czeskich, od tłómaczy autorów polskich, od dziennikarzy czeskich, od artystów teatru czeskiego, od czytelni akademickiéj czeskiéj i i...

— W Warszawie wyszedł zeszyt I-szy *Poezyi Antoniego Pileckiego*. 1880 r. Nakład autora. Jestto niewielki zbiórek utworów natchnienia, pomiędzy któremi spotykamy kwiaty prawdziwéj poezyi, jak np.: *Królowa balu*, *Wigilia sieroty*, *Do matki*.

— Opuściło prasę dziełko p. t.: *Prawa własności, rzecz ekonomiczno-prawna dla nieprawników*, przez Karola Dunina, format małéj ósemki, str. 161.

— W Tarnowie, z dniem 1 stycznia 1880 r., zacznie wychodzić nakładem drukarni J. Styrny: *Biblioteka uniwersalna arcydzieł polskich i obcych*. Do wydawnictwa wejdą dzieła takich autorów. jak: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Zaleski, Goszczyński, Pol, Rzewuski, Homer, Dante, Szekspir, Kalderon, Molier, Goethe, Szyller, Puszkin, Tołstoj, i wielu innych. Co miesiąc ukaże się tom jeden, zawierający stron 160, co na rok uczyni 1,920 czyli tomów 12. W tych dwunastu tomach pomieści się dzieł najmniéj dziesięć, z tych cztery większe, sześć mniejszych. Prenumerata razem z przesyłką pocztową wynosić będzie: w Galicyi i w całéj Austryi rocznie 4 złr.

— Zwracamy uwagę czytelnika na pracę zalecającą się wysokiemi zaletami pod względem treści i jéj wykładu, a oddawna w swojéj sferze pożądaną. Jestto dzieło p. Nikodema Krakowskiego, buchaltera banku handlowego w Warszawie p. t.: *Wykład teoretyczny i praktyczny korrespondencyi handlowéj*. Dzieło to uwieńczone na konkursie, ogłoszonym przez Szkołę handlową prywatną w Warszawie i nakładem téjże wydane (Warszawa, 1880 r. W drukarni Aleksandra Ginsa, Nowozielna nr. 37).

— Wydawnictwo Spółki nakładowéj (Warszawa, ulica Chmielna nr. 8) ogłosiło drukiem dzieło J. Luys'a, nader ważne i wielkiém zaszczycone rozgłosem p. t.: *Mózg i jego czynności* w przekładzie dr. Teodora Dunina, asystenta kliniki terapeutycznéj. Warszawa. 1879 roku. Praca ta, znanego lekarza w szpitalu Salpetrière powstała z jego własnych badań i poglądów wygłoszonych przez niego w wykładzie, miewanym w Salpetrière. Podstawą i punktem wyjścia jest pierwsza połowa książki; druga czysto filozoficzna, stanowi dopełnienie pierwszéj.

Za pomocą nowéj, swojego pomysłu metody, autor-badacz zdołał nieco daléj zagłębić się w okolice ośrodków nerwowych, dotychczas mało, albo wcale nieznanych.

Zwraca téż uwagę na ważność téj metody, polegającéj na robieniu cienkich skrawków w różnéj głębokości substancyi mózgowéj, na ich dokładnéj reprodukcyi za pomocą fotografii i użycia znacznych powiększeń, dla lepszego uprzytomnienia niektórych szczegółów.

— Na poważną wzmiankę zasługuje studyum p. t.: *Przyczynki do dziejów medycyny w Polsce, I*, przez Ernesta Swieżawskiego. (Osobne odbicie z kwartalnika: *Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego* i dwutygodnika *Zdrowie*. Warszawa. 1879. W drukarni M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krak.-Przedmieście nr. 415).

— We Lwowie z dniem 1 stycznia 1880 r. ma zacząć wychodzić *Tygodnik literacki*, a nadto zapowiadają wydawnictwo *Osy*, nowego pisma humorystycznego, wreszcie: dwutygodnika poświęconego literaturze, sztukom pięknym i modom.

— Dr. Karol Lohmeyer profesor uniwersytetu Królewieckiego, wydał w tych dniach, nakładem księgarni Perthes'a w Gocie, dzieło p. t.: *Geschichte von Ost- und West-Preussen*, 1 tom. W tomie tym doprowadził autor historyą Prus do r. 1407. W tomie drugim zawarta będzie historya tych krain aż do r. 1701; to jest do wyniesienia całych Prus do godności królestwa.

— Opuścił prasę obraz dramatyczny na tle biblijném osnuty, w pięciu odsłonach p. t.: *Izrael na puszczy*, napisany przez Juliana Łętowskiego.

— W Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, prócz pana Wiesiołowskiego, otrzymali i inni studenci Polacy medale. I tak: w oddziale malarstwa wielkie srebrne medale: Bakałowicz Stefan, Kotarbiński Miłosz, Stefański Zenon i Gołębiowski Kazimierz. Małe srebrne medale: Stanisław Roztworowski i Kazimierz Dunin. Na wydziale architektury wielkie srebrne medale: Dąbrowski Władysław i Stefan Szyler; małe: Dąbrowski Karol, Jasiński Edward, Emeryk Adolf Tochwiński, Wójcicki Władysław, Kowalski Roman i Jabłoński Antoni. Na wydziale architektonicznym Benoit dwa medale: mały i wielki.

— Nie możemy pominąć znaczącego studyum p. S. Bohdanowicza, wydanego w Lipsku (Skład komisowy Wilhelma Frydrycha, skład czasopisma *Magasin für die Literatur des Auslandes*) p. t.: *J. I. Kraszewski w swojéj działalności i dziełach*, Rys biograficzno-krytyczny (*J. I. Kraszewski in seinen Wirken und Werken*), Lipsk 1879 r. Autor pracę swoją przypisał Jubilatowi. Składa się ona z czterech części: 1-sza obejmuje całą treść tytułową; w 2-iéj podaje wybór zdań, wyjętych z niektórych dzieł naszego dostojnika; w 3-éj pomieszczony jest głos Jubilata w czasie obchodu; 4-ta część stanowi porządkiem lat prowadzony poczet prac (z włączeniem i nieogłoszonych drukiem), z podaniem roku i miejsca wydania. Większą połowę studyum zajmuje część życiorysowa. Autor pojmuje trudność zadania, „albowiem, jakkolwiek biografia tego męża (wyrazy p. S. Bohdanowicza) w lapidarnéj zwięzłości, trzema wyrazami dałaby się scharakteryzować: *Praca połowy stulecia*, jednakże zasługi jego na polu literackiém są tak wielostronne, a w każdym kierunku tak wielkie, owoce *zjawiskowéj* jego twórczości tak liczne i tak drogocenne, że dla samego nakreślenia ich, choćby tylko pobieżnego, ujęcia w ramy i oświetlenia takiego obrazu poglądem na tysiące szczegółów, już wymagaćby należało (po piszącym) pewnéj powagi w każdym z podjętych przez Kraszewskiego kierunków, chciałem powiedzieć: potrzebaby było dorównać Jemu ową wielostronnością, jaką umysł ludzki, chyba tylko wyjątkowo poszczycić się może."

Płodność J. I. Kraszewskiego przypomina autorowi znakomitą osobistość naszą z wieku XVI, Stanisława Bzowskiego, do którego stosowano słowa, wyrzeczone w swoim czasie o Murecie, że więcéj ksiąg napisał, niż inni przeczytali. Pan S. Bohdanowicz, mówiąc o przekładzie dzieł J. I. Kraszewskiego na języki obce, wspomina o udzieloném przez niego upoważnieniu do przekładu wszystkich dzieł na język angielski, z prawem wyboru podług uznania. Przy téj sposobności autor przytacza ustęp z dokonanego przez p. Sobolewskiego przekładu: *Swiata i poety*. Jestto ustęp tłómaczący owe:

„O! mój aniele, pójdziem połączeni"

Wierność i wdzięk przekładu ośmiela nas do powtórzenia kilku z niego wierszy:

„Ah! my dear Angel, united we'll be
Through the world, thro'life, thro'pleasure and grief
As the green vine that dings' around the oak-tree
And fondles the bark with its tender leaf,
Thus will we ever together be.
Ah! my dear Angel, together we'll go
Through this cold world, and through life's changeful role,
Through storms of Autumn, through whirlwinds May blow,
Ever together, thou friend of my Soul,
Like unto two crystal tears" (str. 14).

— W Ameryce, jak pisze p. Sygurd Wiśniowski, pod firmą Appeltona, wychodzi zeszytami (których liczba dojść ma do 24), dzieło nadzwyczaj ważne dla inżynierów, górników i mechaników p. t.: *Encyklopedya mechaniki stosowanéj* (*Cyclopaedia of applied Mechanics*). Mają tam być podawane najnowsze wynalazki i systematy wyłącznie amerykańskie. Wyjątkowo interesującém dla nas jest fakt, że w poczet pracowników tego zakresu wchodzi i nasz ziomek, p. Tomasz Krajewski, współredaktor pisma *Railroad Gazette*.

— Zwracamy uwagę czytelników, a szczególniéj etnologów, na dzieło dr. Ludwika Gumplowicza, docenta prawa państwowego w Gradcu, wyszłe w Insbruku p. t.: *Prawo narodowości i języków w Austro-Węgrzech* (*das Recht der Nationalitäten und Sprachen in Oesterreich-Ungarn.*). Wagner'sche Universitäts-Buchhandlung, 1879.

Autor dwiema drogami prowadzi swoje poważne rozumowania: dziejową i teoretyczną. W odszukiwaniu zarodka obu pojęć tytułowych sięga do wieków średnich, t. j. do okresu indyferentyzmu narodowego i językowego. W wiekach średnich powstające na gruzach świata rzymskiego indywidualności polityczne układały się w państwa *szczepowe*, które téż w stosunku do innych stały w antytezie: nie *narodowości* lub języków *narodowych*, lecz jedynie jako szczepy wobec

szczepów i języka szczepów. Państwo narodowe, a więc i język narodowy, są to pojęcia obce wiekom średnim, pochodzenia daleko późniejszego (a podług nas autor zadaleko posuwa linią graniczną pomiędzy ich okresem nowożytnym a średniowiecznym). Przeprowadziwszy czasowy rozwój pojęcia narodowości i państwowego znaczenia mowy, szczególniéj w Austro-Węgrzech, autor zwraca się w kierunku filozoficznym: przedstawia nową, nieznaną dotąd funkcyą, naukowe pojęcia narodowości i wagi języków narodowych.

Najpoważniejszą część tego znakomitego pisma stanowi postawienie obu kwestyi na wysokościach teoryi filozoficznéj. I w tym względzie czytelnik z rozkoszą prawdziwą zatrzyma się na wykładzie i ocenie poglądu koryfeuszów nauki: Fichtego, Puchty, Zachariä, Ahrens'a, Eötvös'a, Stahl'a i innych. W skutek głębokich i logicznych wywodów, autor upatruje oczekiwane w przyszłości zbliżenie i spokrewnienie się społeczeństw, do którego środkiem będzie z jednéj strony zniknięcie gwar ubogich w ducha i kulturę, a z drugiéj poliglotyzm uszlachetnionego i wyżéj udoskonalonego typu człowieka przyszłości.

— *Mitologia północna* zyskuje ważny nabytek przez dzieło p. Wirt Sikes p. t.: *Brytańskie Koboldy* (*British Goblins*), baśni ludowe walijskie, mitologie czarodziejskie, legendy i podania, z ilustracyami Thomas'a. Londyn, 1880 (Sampson Low). Autor podaje tu obszerną, na faktach opartą genezę wierzeń ludowych o duchach, geniuszach domowych i stopniowém tych wierzeń asymilowaniu do pojęć chrześciańskich. Dla nas szczególniéj zajmującemi są rysy pokrewieństwa mitów brytańskich z pojęciami naszéj ludowéj mitologii (zmorami, wiedźmami i t. p.).

— *Dziady* Mickiewicza. W roczniku literackim: *Die Dioskuren*, za rok przeszły (wydawanym w Wiedniu corocznie od lat siedmiu), znajdujemy prześliczne studyum o *Dziadach* Mickiewicza (*Die Todtenfeier*), pióra Blumenstok'a. Autor jak widać i subtelny estetyk i gorący wielbiciel wysokich namiętności i filozof przenikający nawskroś psychologiczne tajniki poezyi, wpatruje się w ten cudowny „dramat o nieśmiertelnych bazylikach, których gmachu budowniczy nie śmiał doprowadzić do uwieńczenia" [1]), a wpatruje się z uwagą zwróconą na Fausta, Wernera, Hamleta, Danta i Manfreda. Głębiéj wczuć się, wmyśléć, bezpośredniéj upodmiotować sobie ducha poety niepodobna. Po doskonałym wstępie, wtajemniczającym słuchacza w zewnętrzne otoczenia dramatu, a następnie podawszy główne rysy Gustawa, p. Blumenstok podaje w całéj rozciągłości głos Konrada, wierszem białym, silnie akcentowanym, a tak wiernym, że czytelnik niemiecki śmiało zawołać może: „słyszałem mistrza samego."

Podług zdania p. Blumenstok'a, o Mickiewiczu powiedzieć można i należy to, co on sam wyrzekł o Bajronie: „wszystko to, co poruszało umysły młode w naszém stuleciu, odzwierciadla się wiernie w jego pis-

[1]) Wyrazy p. Sand.

mach." Nawet na tak zwane aberacye w wewnętrznych zwrotach téj zagadkowéj duszy, zdaniem autora, dadzą się odszukać pewne normy, naturalnie na wyższym punkcie pojmowania. Przeciwko modłom „cyrkla, miary i wagi," nasz autor krytykom stawia przed oczy to, co poeta mówi do widzów, poglądających z cichego wybrzeża na jego żeglugę. O studyum p. Blumenstok'a szczegółowiéj pomówićby należało, aniżeli pozwala rubryka prostych *Wiadomości literackich.*

---

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*

Redaktor odpowiedzialny **Feliks Jezierski.**

Wydawca *Józef Berger.*

# CYCERO,

## JAKO FILOZOF I MORALISTA.

(Pisma filozoficzne Marka Antoniusza Cycerona, przełożył E. Rykaczewski. Część I i II, rok 1874 i 1879. Poznań, nakładem Biblioteki kórnickiéj).

PRZEZ

*Kazimierza Kaszewskiego.*

Czy istniała jaka rodzima filozofia rzymska? Dzieje powszechne téj nauki na to pytanie odpowiadają przecząco. Nie istniała ona podobnie, jak nie było poezyi i sztuki wpośród społeczności oddanéj przedewszystkiém polityce, administracyi i ekonomii. Najsłynniejsi, jeżeli nie jedyni filozofowie rzymscy: Lukrecyusz, Cycero i Seneka byli uczniami szkół greckich, ich kompilatorami. Pierwszy, jeszcze w pełni formy republikańskiéj, przyswoił myśli rzymskiéj czysto materyalistyczne pojęcia Epikura, a właściwie Demokryta; drugi, u schyłku republiki, był platonistą; trzeci, wśród najsromotniejszego ucisku cezaryzmu, wyznawał stoicyzm. Przychodzili oni do pojęć gotowych, sami nie stworzywszy ani jednego. Byli to rzecznicy wybranego systematu; rysownicy prawdziwi i utalentowani, którzy na daném tle kreślili nowe, a czasem bardzo zręczne i wdzięczne arabeski własne. Kiedy więc mówimy: *Pisma filozoficzne Cycerona*, nie możemy rozumiéć, że tam znajdziemy jaki system jego wynalazku, to tylko wykład systematów innych, eklektyzm, oświadczający się za pewną teoryą. Cycero, względem szkoły platońskiéj, ma się tak, jak np. nasz Kremer względem szkoły niemieckiéj, mianowicie do doktryny Hegla, jak francuzki Cousin względem Kanta.

Jeżeli Cycerona nazywamy platonistą, musimy uczynić to z pewném wyjaśnieniem. Platonizm, począwszy od swego wielkiego założyciela, obradującego w tak zwanéj Akademii, uległ zczasem różnym modyfikacyom, do tego stopnia, że niektórzy dziejopisowie filozofii liczą aż sześć akademii [1]). Jakkolwiek zatém Cycero wszędzie uwielbia Platona, niemniéj jednak daje on ucho wszystkiemu, co się mówiło w Akademiach młodszych i zostaje pod wpływem najwziętszego z reformatorów platonizmu, Karneadesa, który urodzony w r. 213 przed

[1]) *Dissertatio de philosophia academica*, z r. 1692 przez Fouchera. *Commentatio exhibens academicorum juniorum de probabilitate disputationes*, w Gettyndze.



BIBLIOTEKA WARSZAWSKIEJ

Chrystusem, przez pewien czas przebywał w Rzymie i zyskiwał tam oklaski. Filozof ten, więcéj sprytny niż głęboki, za pomocą pewnego argumentu logicznego, zwanego sorytem, podsadzał się pod inne systematy dla ich obalenia; mówił zręcznie za i przeciw temu samemu przedmiotowi, zacierał różnice między prawdą i fałszem; mierzył rozległość prawdopodobieństwa: słowem, wprowadzał sceptycyzm co do wszystkich pojęć ustalonych. I takiegoto mistrza kierunek odbił się i na myśli filozoficznéj Cycerona, który wreszcie zajęty głównie pracami około polityki i trybuny sądowéj, tylko w chwilach wypoczynku, dla oderwania się od druzgoczących duszę spraw publicznych w czasach największego rozstroju Rzeczypospolitéj, uciekał się do filozofii, jako do źródła ukojenia i pociechy.

Pierwotnie, Plato zdaje się był mistrzem jego jedynym. Zrazu tłómaczył go tylko zamłodu; późniéj napisał zupełnie według jego wzoru, traktaty swe o państwie i o prawach, tytułów nawet nie zmieniając. Więcéj już samodzielną jest jego rozprawa p. t.: *Hortensius*, stanowiąca zachętę do filozofii. W *Rozprawach akademickich* rozpoznaje on zasadę i znamiona pewności, gwoli temu założeniu wprowadzając na drogę sporu filozoficznego stronników téj nowéj akademii z jéj przeciwnikami. I w témto dziele najwięcéj może odbija się ten wpływ sceptycyzmu Karneadesa, o ile wnosić można z końcowych rozdziałów rozprawy, reasumujących wszystkie poprzednie debaty. Jakoż, jeden z rozmówców powiada (ks. II, roz. 46): „Ty, skoro uczujesz jakieś wrażenie, zaraz się zgadzasz, twierdzisz, pochwalasz, a to coś uczuł, za prawdziwe, pewne, pojęte, poznane, zrozumiane, niezachwiane, niewzruszone, poczytujesz i od tego żadnym sposobem odwieść się i odciągnąć nie dajesz: ja zaś myślę, że niemasz nic, o czém, gdybym z pewnością twierdził, często nie musiał o fałszu twierdzić, albowiem fałsz od prawdy żadnym się znakiem nie różni, ile że w dyalektyce podawane sądzenia o tym sposoby, istném są urojeniem.” Tu przytacza tenże sam rozmówca rozmaite kryterya pewności i prawdy, jakie rozmaici filozofowie greccy przyjmowali, wykazując tym sposobem zadziwiającą niezgodność pojęć, największych powag filozoficznych o tym przedmiocie. Pozostaje zatém niepewność tylko i prawdopodobieństwo, czyli pewność względna. Opinią taką wzmacnia pewien wzgląd praktyczny, zawierający się w tych słowach (ks. II, roz. 47): „Tę naukę potwierdza ostrożność przodków naszych, którzy chcieli: naprzód, ażeby każdy przysięgał w sądzie „podług swego sumienia;” powtóre, żeby ten tylko był winien „kto oszukiwał,” wiedząc, że oszukuje, dlatego, że wiele jest w życiu błędów, pochodzących z niewiadomości; potrzecie, żeby składający świadectwo mówił „zdaje mi się,” choćby świadczył o tém, co na własne oczy widział; żeby nakoniec sędziowie przysięgli wydawali taki wyrok: „zdaje się, że to się stało,” nie zaś: „to się stało [1]).”

[1]) Wszystkie cytaty tu przytaczane, wybieramy z przekładu samego Rykaczewskiego.

Ponieważ autor tak przemawiającemu daje głos ostatni i na tém rozprawa się urywa, przeto słusznem jest opinią taką przypisać i samemu autorowi, co widocznie świadczy za zdaniem naszém o sceptycyzmie Cycerona, przejętym od Karneadesa.

Jedyne to jest dzieło, w którém filozof rzymski traktuje obszernie kwestyą logiki, pozostając przy probabilizmie Nowéj Akademii. Wszystkie inne jego dzieła dotyczą pojęcia o bóstwie (*de Natura deorum*, *de Divinatione*, *de Fato*), o duszy, o wolnéj woli, o szczęściu, a nadewszystko o obowiązku, czyli o warunkach zachowania godności ludzkiéj w związku ze wszystkiemi pojęciami poprzedniemi, co wypełnia treść wielkich i znakomitych jego traktatów, jakiemi są: *de Finibus bonorum et malorum*, *Tusculana*, *de Officiis*, tudzież kilka rozpraw pomniejszych, jak: *de Senectute*, *de Amicitia*, *Consolatio*. Oprócz traktatu *de Officiis*, w którym autor wykłada rzecz o obowiązkach wprost od siebie, wszystkie inne mają formę dyalogów, co już wynikło z samego sposobu, jakim się przedmiot w głowie autora przedstawiał.

Powiedzieliśmy już, że Cycero nie był myślicielem samodzielnym; wszystkie więc teorye swe, zapożyczając od wielkich szkół greckich, od Perypatetyków, Akademików, Stoików i Epikurejczyków, przez stosownie dobranych reprezentantów, przedstawia rozwój i podstawy pojęć historycznie; w zbijaniu nawet zdań przeciwnych swojemu poglądowi nie idzie za myślą własną, ale krytykę czerpie z systematów gotowych, zdawna pewnym innym systematom przeciwnych, oryginalność własną ograniczając do rozjaśnienia kilku podrzędnych szczegółów, dotyczących moralności. Jakie zaś jest jego samego stanowisko w téj kontrowersyi pojęć i zdań, niezawsze odgadnąć snadno. Sceptycyzm jego, tak wyraźnie zaznaczony w *Badaniach akademickich*, ciągnie się wszędzie: nigdzie nie widać stanowczości dogmatycznéj. W najdogmatyczniejszém ze swych dzieł, w traktacie *O obowiązkach*, jeszcze powiada on (ks. II, roz. 2): „Inni filozofowie utrzymują, że jedno jest pewne, drugie niepewne; ja zaś jedno *podobném*, drugie *niepodobném* do prawdy nazywam, i taka tylko między nami różnica. Cóżby mi zabronić miało iść za tém, co mi się widzi być podobném do prawdy, a co jéj przeciwne odrzucić? albo dlaczegobym miał tak wiele o sobie trzymać, *iżbym nie unikał rozmyślnéj w twierdzeniu śmiałości*, która mądremu człowiekowi bynajmniéj nie przystoi?"

Cóżkolwiekbądź, jeśli w Cyceronie dopatrzyć nie można oryginalności i stanowczości, widać w nim wszelako pewną skłonność i predylekcyą. Epikura potępia on z potężną siłą wymowy za jego ateuszostwo i moralność, opartą na rozkoszy; szkołę Stoików gani za przesadne wyobrażenie o potędze człowieka, za jego jakoby samoubóstwienie, za moralność, polegającą na nieczułości; ale gotów jest przystąpić do niektórych pojęć téj szkoły, któréj nie może wielkości i bezinteresowności odmówić. Wybór téż, czyli eklektyzm Cycerona, ściąga się istotnie do tych systematów, które okazują najwięcéj wyniosłości duchowéj i idealizmu ludzkiego; najbardziéj mu zawsze imponują Arysto-

teles i Plato, a że i pomiędzy nimi napotyka jeszcze różnice ważne, radby ich pogodzić, i w swéj chwiejności, za najprawdopodobniejsze, (bo na prawdziwość absolutną, jak widzimy, trudno mu się zgodzić), uznaje uczucia tych rozmaitych filozofów, których systemata najbardziéj oddalają się od egoizmu, zmysłowości i wszelkich pobudek niższych, służyć mających za wskazówkę życia. Przez takie trzebienie i wybieranie w całym inwentarzu filozoficznym, dochodzi on nareszcie do pewnéj doktryny, którą za jego osobistą poczytać można, w ścisłém znaczeniu nie za własną, lecz za przywłaszczoną, jak wreszcie praktykował i w życiu.

Za Platonem i Sokratesem, a przeciwko Demokrytowi tudzież innym fizykom, w porządku, jakiemu ulega świat widzi on myśl i Opatrzność Bożą; deistą jest w całém znaczeniu, choć się jeszcze zbyt jawnie za jednością Bóstwa nie oświadcza. Lubo jego pojęcia, tak teologiczne jak moralne, rozrzucone są po wszystkich pismach, trzy wszelako jego traktaty, to jest: *De natura deorum*, *De divinatione* i *De fato*, wyłącznie poświęcone są kwestyi teologicznéj. W nichto Cycero głównie roztrząsa rzecz o istnieniu i opatrzności bogów, o znakach prawdziwych lub fałszywych, przez które bogowie odsłaniają ludziom rzeczy ukryte, tudzież o pogodzeniu konieczności z wolną wolą człowieka. Jego wiara w bogów jest tak szczerą, jego przekonanie o ich interwencyi w sprawach ludzkich jest tak głębokiém, że nietylko objawia się w pismach, ale również udziela się życiu. Kiedy wyśledził ów wielki spisek socyalistyczny w Rzymie, wahał się jak ma postąpić ze spiskowcami. „Skutkiem łagodnego charakteru, powiada Plutarch w jego życiorysie (nagł. 19), z obawy przytém, aby go nie posądzono, że się zbytecznie upaja władzą, uciemiężając ludzi przedniejszych urodzeniem i mających potężnych przyjaciół w mieście, chciał on uniknąć kary nadzwyczajnéj, a odpowiedniéj tak wielkim zbrodniarzom; z drugiéj strony lękał się grożącego od nich niebezpieczeństwa, gdyby obszedł się z nimi zbyt miękko.” Z téj przykréj i uciążliwéj niepewności dopiéro wyprowadził go cud. Kobiéty w domu jego, pod przewodnictwem żony Terencyi, odprawiały uroczystość Cybeli i wtedy ukazał im się znak. Gdy ogień użyty do objaty zdawał się już gasnąć, nagle zpod popiołu i spalonéj kory wzbił się na ołtarzu wielki i jasny płomień. Inne niewiasty zestraszyły się tém, ale westalki oświadczyły żonie Cycerona, ażeby natychmiast udała się do męża i kazała mu wykonać dla dobra ojczyzny to co zamyślił, „bo oto bogini darzy go takiém wielkiém światłem ku zbawieniu i chwale” [1]). Co tu tak naiwnie opowiada Plutarch, równie bogobojny jak Cycero, mogło być tylko zręcznym i umyślnym wybiegiem, użytym dla wywołania stanowczości i obudzenia energii w słabym mężu przez Terencyą, o któréj sam Cycero, za świadectwem tegoż biografa, odzywał się, że „więcéj od niéj

[1]) Plutarch: *Życie Cycerona*, 20.

otrzymywał pomocy w sprawach politycznych, niż wiadomości o sprawach domowych;" ale niemniéj charakterystycznie cechuje jego deizm i wiarę w Opatrzność aż do bezpośredniéj interwencyi, jakkolwiekbądź pojmowanéj.

Ta bogobojność Cycerona niemało téż wpływa na przyjęcie pewnych pojęć psychologicznych i moralnych, których analizie poświęconą jest reszta pism jego [1]). Duszę uważa on za niecielesną, za istność nakształt entelechii Arystotelesa albo monady Leibnitza, czyli za *formę* wszelkiego ciała zorganizowanego, a posiadającego życie *in potentia* swego ustroju. Ilekroć o duszy rozprawia on słowami swych rozmówców, a widać że się przechyla na stronę jednego z nich, lub kiedy zdarza mu się mówić o tym przedmiocie samemu od siebie, zawsze nam się wydaje, jakoby zostawał pod natchnieniem dziewiątéj i jedenastéj księgi metafizyki Arystotelesa. Ale chociaż pojęcie o duszy tego mistrza nad mistrze ogranicza się raczéj do form żywotności ustrojów, do zasady ruchu mechanicznego ciał organicznych, przez co wyobrażałoby tylko siłę w rozróżnieniu od materyi, a następnie w skupieniu z nią jednolitém; Cycero idzie daléj. Za Platonem przypisuje on jéj boskość, a choćby miał, jak powiada, omylić się z nim razem, przeznacza dla duszy ludzkiéj życie przyszłe, szczęśliwe lub dolegliwe, w miarę postępowania tutejszego. W konsekwencyi téż z tą ostatnią zasadą, pomimo uznania praw z góry nakreślonych przez Boga dla ludzkości, obstaje on za wolną wolą człowieka, bez któréj, rozumie się, nie byłoby odpowiedzialności. W etyce swéj, wychodzi z zasady ogólnego prawa moralnego, którém nie co innego jest, tylko rozum wiekuisty i wola niewzruszona Boga. W praktyce życia, w czynach, nie nadwerężając wyższości, jaką ma w jego oczach piękno nad pożytkiem, głosi on przymierze konieczne jednego z drugiém.

Wszystko to, jak przyzna każdy obeznany z systematami szkół greckich, nie wyrażone nawet z siłą i ekspresyą stanowczego przekonania na zasadach dyalektyki racyonalnéj, nie jest ani w całości, ani w części jego własnym pomysłem. I nie chodziło téż Cyceronowi w tym razie o chwałę oryginalności, ale o pożytek ogółu. Nie ukrywa on nigdy swego ubóstwa w duchu, nie pozuje na pomysłowość, nie ukrywa źródeł swéj wiedzy, by blaskiem pożyczanym zajaśnieć: dla niego dosyć chwały, jeżeli potrafi za mistrzami powtórzyć, co mu się czasami niedosyć nawet szczęśliwie udało, i według własnego rozumu wybór pomiędzy ich zdaniami uczynić. W polityce nieumiarkowanie próżny i chełpliwy, w nauce o tyleż okazuje się skromnym i bezzazdrosnym, za co téż słuszne ma dlań uznanie Plutarch, mówiąc w rozdziale 24: „Dalekim on był od zazdroszczenia drugim, nader chętnie, owszem, udzielał pochwały poprzednikom swym i spółczesnym... O Arystotelesie powiedział on, że jest rzeką płynącą złotem; o rozmowach Platona, że gdyby Jowisz używał mowy, nie inaczéjby się wyrażał. Teo-

[1]) *De finibus bonorum et malorum; Tusculana*; *De officiis* i. t. d.

frasta nazywał on swoją rozkoszą; a zapytany, którą mowę Demostenesa uważa za najpiękniejszą, odpowiedział: „najdłuższą!" Nie możemy nic dodać do tego świadectwa nad to, żeśmy to samo w pismach jego filozoficznych na każdéj stronnicy spostrzegli.

Zadaniem więc jego filozofii nie było stworzenie systematu, ale rzecz zgoła inna.

Nasamprzód w wieku, kiedy Rzym po długiém zaniedbaniu niwy umysłowéj przyszedł nareszcie przy pomocy Greków do własnych ksiąg i do teatru; kiedy miał poetę własnego jak Enniusz, komedyopisarzy jak Plaut i Terencyusz; kiedy zjawił się zwłaszcza taki potężny poeta-filozof jak Lukrecyusz: wtedy ten umysł niepospolity, ten krasomówca znakomity, ten obywatel wielki, Cycero, pomyślał, że potrzebą cywilizacyjną dla jego ojczyzny jest obeznać się z tém, co ówcześnie nazywano *mądrością*, a co było myśleniem nad rozwiązaniem najwyższych zagadek świata i człowieka, co wyszukiwało wskazówek dla życia odpowiedniego godności ludzkiéj. Zdawało mu się, że uczyni przysługę ziomkom, wprowadzając ich w ten majestatyczny świat myśli, jaki stworzyli Grecy i stał się on, mówiąc językiem dzisiejszym, profesorem objektywnym i krytycznym dziejów filozofii. Tak to i jemu samemu się wydaje, gdy mówi do syna [1]): „Do czego, jak mi się widzi, niemałą pomoc przyniosłem moim spółziomkom, tak, iż nietylko greckich nauk nieświadomi, ale nawet uczeni myślą, iż nieco postąpili i w sztuce mówienia i w filozoficznem o rzeczach sądzeniu." Z takiego téż stanowiska uważane jego prace, były dla Rzymu zjawiskiem nowém, a pełném zasługi, która wzrosła jeszcze z czasem u potomnych.

Powtóre, ten wiek, w którym twórczość umysłowa zaczęła się pojawiać w Rzymie, był zarazem wiekiem zepsucia obyczajów obywatelskich, które gwałtownym posuwało się pędem. Trzeba było ratować Rzeczpospolitą przed tym nowym wrogiem, straszniejszym od Parta i Germanina. Konsul, pamiętny zachęt, jakiemi dawny senat pobudzał konsulów, *ne quid respublica detrimenti capiat*, przed tém niebezpieczeństwem, przeciwko temu zniszczeniu działalność swą rozwinął. Jest ślad w Plutarchu (nagł. 24), że retora Gorgiasza, który był snadź rozwiązłym Epikurejczykiem, gromi za to, iż mu psuje syna oddanego mu na naukę, „że mu chłopca zachęca do przyjemnostek i pijatyki." Zabrania synowi obcować z takim mistrzem. List do Gorgiasza, jak zapewnia Plutarch, napisany był *z uniesieniem*, co się Cyceronowi dwa razy tylko w życiu zdarzyło. Dowód to, że o ile był próżnym, o tyle obstawał za czystością obyczajów. Lękał się zapewne, ażeby świeżo wyszłe dzieło Lukrecyusza, nawskróś epikurejskie i ateistyczne, budujące świat i życie z atomów, do reszty nie rozluźniło obyczajów. I dlategoto rzucił się on do kreślenia z wielką troskliwością zasad moralności, opartéj na deizmie i na wiekuistém prawie rozumowém. Ta jego moralność, o ideałach prześlicznych, rozrzuconą jest

[1]) *De officiis*, ks. I, roz. 1.

wszędzie, tak w mowach, jak w listach i pismach filozoficznych, ale nigdzie nie skupia i rozwija się lepiéj, jak w dziele jego *O obowiązkach*. Lubo i tu, jak i wszędy indziéj, nie stwarza on nic sam z siebie, ale moralność swą bierze to od Perypatetyków, to od Akademików, to od Stoików, czerpiąc zewsząd co uważa za najwznioślejsze. W dziele tém jednak uwzględnia on zarazem fakta moralne a samodzielne starożytnego Rzymu. Tam on jest najściślejszym systematykiem i, że tak powiem, najoryginalniejszym myślicielem. Dlatego téż zamierzyliśmy podać tu to jego dzieło w możliwém streszczeniu, a przy względzie na inne jego traktaty, łączność z niém mające; co nam da zarazem choćby dalekie wyobrażenie o jego sposobie traktowania rzeczy filozoficznych.

Dzieło to pisał on dla nauki syna. Niéma więc już w niém kontrowersyi, ale czysta dogmatyka, jakiéj wymaga powaga nauczyciela. Lubo téż wszędzie indziéj Cycero jest raczéj Nowym Akademikiem, a więc sceptycznym, niepewnym, i zamiast pewności, odwołującym się do prawdopodobieństwa, tu rozstaje się on z metodą Karneadesa, wyrodzonego platonisty. Na wstępie występuje Cycero przeciw wszystkim szkołom, które, zarówno z Epikurem, oddzielają dobro od cnoty, a łączą je z interesem, bo te obowiązek znają tylko z imienia. Jeżeli Epikur ma słuszność, to w takim razie, zdaniem Cycerona, niéma już przyjaźni, ani sprawiedliwości, ani poświęcenia: jak może być silnym i mężnym ten, dla kogo ból jest największém złem? jak może być hartownym, kto rozkosz uważa za najwyższe dobro? Dla Cycerona powagę jedyną w sprawie obowiązku te tylko mają szkoły, które na czele spraw ludzkich stawiają uczciwość. A więc, szkoła Stoików: onato bowiem z największą siłą i świetnością głosiła zasadę, że dobro poszukiwaném być ma dla samego siebie, oraz że pożyteczném to tylko jest, co uczciwe. Ale Cycero, wierny swemu duchowi eklektyzmu, nie trzyma się szkoły samego Zenona, a idzie raczéj za Stoikami późniejszymi, którzy złagodzili surowość doktryny i więcéj ją do natury i potrzeb ludzkich zastosowali. Nie jest jego ideałem ów mędrzec Zenona, niemający ani opinii, ani namiętności, który wié wszystko wiedzą pewną, szczęśliwy wpośród udręczeń, sam jeden silny, sam wolny, piękny, bogaty, sam sobie król i bóg,—słowem, człowiek jakiego nikt nie widział, i nikt nigdy nie zobaczy na świecie. Dla Cycerona potrzeba nie obowiązku *doskonałego* (*perfectum*, *rectum*), według definicyi stoickiéj, który jest jakimś absolutem niedoścignym, ale obowiązków *średnich*, dających się klasyfikować i stosować do rozmaitych okoliczności życia; nie mężów wytrwałych aż do zobojętnienia na zło i dobro, na ból i rozkosz, ale ludzi uczciwych, obywateli prawych i dzielnych. W tém założeniu okazuje się już owa praktyczność umysłu rzymskiego, która nie dozwoliła Kwirytom zajmować się samą spekulacyą dla spekulacyi, ale o tyle ceniła wszelką zasadę, o ile upatrywała związek jéj z życiem, i naodwrót z życia wyczerpywała zasady, tworząc z nich powoli kodeks prawodawczy. Tém mniéj Cycero mógł się obecnie bawić w spekulacyę, skoro mu chodziło o to, ażeby wpośród łamiącéj się moralności

społecznéj, postawić żyjący wzór człowieka moralnego dla zachęty i wskazówki.

Za punkt wyjścia, za podwalinę do ustanowienia obowiązku, Cycero uważa samą naturę człowieka, która jest z konieczności swéj socyalną. Jestto zatém punkt nie z powietrza, nie ze sfer idealnych schwytany, ale oparty na ziemi, tylko niedosyć rozświecony. W naturze człowieka dopatrzył on wyższości pewnéj nad wszystko co go otacza, nazwał ją zacnością i ta to zacność (*honestum*, którego pierwiastkiem jest wyraz *honos*, cześć, cność), zacność bezwarunkowa, pożądana dla saméj siebie, któraby istniała sama w sobie, nawet gdyby jéj nikt nie znał, jest dlań materyałem, z którego snuje się idea obowiązku. Tę zacność bezwarunkową, stanowiącą zarazem niewzruszoną podstawę życia, odsłania nam według niego rozum powszechny, w którym udział mają ludzie wszyscy, bez względu na to, co jednostka osobiście otrzymała z natury. Z takich wychodząc zasad, Cycero dzieli swój traktat na trzy części: w pierwszéj wykładając o zacności, w drugiéj o pożytku, w trzeciéj porównywając jedno z drugiém.

Pierwiastki zacności upatruje on już w saméj naturze ludzkiéj. Ażeby wiedzieć co czynić ma, człowiek powinien nasamprzód się dowiedzieć, czém sam jest: z natury swéj wysnuje on przeznaczenie własne, a z przeznaczenia obowiązki.

Człowiek, zdaniem jego, posiada nasamprzód popęd zachowawczy i naturę niższą zarówno ze zwierzętami, a ponad tém posiada on rozum pobudzający go do poszukiwania dobra; rozum, który jednoczy go z innymi ludźmi, budzi w nim uczucia altruistyczne, nadaje mu moc duszy do znoszenia przeciwności. Onto ułatwia mu dostrzeganie przyczyn po skutkach, wiązanie przeszłości z przyszłością, spostrzeganie porządku w świecie, z czego czerpie człowiek pojęcie o porządku w ogólności, który tym sposobem zaprowadza on w czynach swych i myślach.

Zatém poszukiwanie prawdy (*prudentia*), utrzymanie społeczeństwa przez ścisłość w oddawaniu każdemu co komu należy (*justitia*), wielkość lub siła duszy (*fortitudo*, albo *magnitudo animi*), wreszcie wstrzemięźliwość: oto są cztery żywioły, lub cztery postacie zacności. Rozróżniają się one, ale nie oddzielają od siebie. Ztąd też powstają cztery odpowiednie cnoty zasadnicze, stanowiące fundament obowiązków. Pod nazwą téj ostatniéj, t. j. wstrzemięźliwości, rozumie Cycero cały snopek cnót, jako to: skromność, wstydliwość, przyzwoitość, panowanie nad namiętnościami; ogólnie zwie ją *decorum*.

Staryto podział, sokratyczny, ale przyjęty późniéj przez doktorów chrześciańskich, a między innymi przez S. Tomasza [1]) i przeszedł on nawet do katechizmu, pod nazwą cnót zasadniczych, a jak zobaczymy, można podeń podciągnąć wszystkie obowiązki moralności jednostkowéj i społecznéj. Cycero, Rzymianin praktyczny, całą zasługę cnoty opiera

[1]) Zobacz: *Summa theol.* Ks. II, rozd. 61.

na czynie [1]), a jeśli na szalę stawia spekulacyjną cnotę roztropności, to z uwagi tylko na porządek logiczny, gdyż wprzód trzeba dobrze myśléć, ażeby dobrze działać. Roztropność uczy nas zdrowo sądzić o rzeczach, a ponieważ każdy człowiek pragnie nabierać poznania i błąd uważa za niedolę, przeto niéma cnoty bardziéj zrosłéj z naturą ludzką. Jakiemiż więc prawidłami kierować się będziemy w poszukiwaniu prawdy? Cycero podaje ich dwa tylko: 1) nie brać rzeczy nieznanych za znane i nie zgadzać się na nie lekkomyślnie [2]); 2) nie przyczepiać się do rzeczy ciemnych, nie poświęcać spraw i zajęć czynnych dla nauki.

Ponieważ sposób kierowania umysłem wpływa na użytek, jaki czynimy z naszéj woli, stanowiącéj właściwy przedmiot moralności, niedziwna zatém, że w traktacie o obowiązkach spotykamy prawidła logiki, a poszukiwanie prawdy zastajemy na czele cnot zasadniczych.

Jakoż, roztropność główną zasługę ma w tém, że poprzedza czyny prawe, bo cnotą najdoskonalszą w sobie, nie ona jest, ale sprawiedliwość, jako prawo niezłomne wszystkich czynów i stosunków ludzkich. Tę cnotę Cycero dzieli na dwie części, odpowiadające temu co podzisiejszemu nazywa się sprawiedliwością negatywną i pozytywną [3]). Pierwsza z nich jest sprawiedliwością właściwą; druga zwie się dobroczynnością.

Zasadniczém prawidłem sprawiedliwości, według Cycerona, jest „nieszkodzić nikomu." Na nieszczęście dla siebie, dodał on do téj reguły maleńkie słówko: „jeżeli nie jesteś pokrzywdzonym" (*nisi lacessitus injuria*). Słówko to zwaliło na jego głowę całą burzę późniejszych pisarzy chrześciańskich, nie mogących dość wyżałować, że Cycero tak w tém daleko odstąpił od Ewangelii, któréj nie znał, a która chlebem nakazuje za kamień oddawać. Laktancyusz np., wyraża się [4]): „Cóż mu za potrzeba była dodawać—jeżeliś niepokrzywdzony; tym sposobem on występek, jakby ogon najszpetniejszy zacnemu człowiekowi przyprawił." Nie dziwmy się tym ojcom, którzy wszędzie w moralności Cycerona widząc istotnie doskonałego chrześcianina, naraz spostrzegli taką niespodziankę. Ale my dzisiaj, inaczéj rozumiejąc historyą pojęć, dziwimy się raczéj, że tak mało napotykamy w nim idei odwetu, tak powszechnéj w świecie starożytnym, zarówno pogańskim, jak żydowskim, a dotąd pomimo tytularnego chrześciaństwa, tak wszędzie praktykowanéj. Dobrze się wreszcie rozpatrzywszy, Cycero wszędzie zachwala pobłażliwość i wyrozumiałość, a to jego nieszczęsne zastrzeżenie, powtórzone dwa razy (t. I, rozd. 7 i t. III, rozd. 19, *De officiis*), tłómaczyć trzeba raczéj jako prawo dozwolonéj obrony (*jus inculpatae tutelae*), za

[1]) Virtutis enim laus omnis in actione consistit. *De off.* ks. I, rozd. 6.

[2]) Jestto jeden z przepisów Kartezyusza, podanych w sławném jego: *Discours sur la Méthode.*

[3]) Przedmiot ten rozwinęliśmy obszernie w *Gazecie Polskiej* z r. 1875, nr. 143 i następne, p. t.: *Poezya i proza obowiązków.*

[4]) *Institutiones*: t. VI, rozd. 18.

którém obstaje silnie zawsze, bo jak utrzymuje w mowie „za Milonem:" „Jestto prawo nie pisane, ale przyrodzone, prawo, którego nie uczymy się, ale przyjmujemy, czytamy odrazu: wyrwaliśmy je z natury saméj, wyczerpali, wycisnęli; prawo do którego nie wdrożeni, ale stworzeni jesteśmy, nie nałożeni do niego, ale przesiąkli niém."

Z przepisem nieszkodzenia nikomu, łączy się zarazem drugi, który przestrzega, ażeby „dóbr wspólnych używać za wspólne, ale za swoje tylko osobistych." W ograniczeniu własności nie dochodzi wprawdzie Cycero do powszechnie dziś za prawowite uważanego jéj źródła, t. j. do wolności i pracy, ale za źródła takie poczytuje: zajęcie pierwotne pustki [1]), przedawnienie nabytku, sankcyą prawną, umowę, podział publiczny. Cokolwiekbądź dziśby przeciwko niektórym z tych punktów, legitymujących własność, powiedzieć można, Cycero raz ją po swojemu ustanowiwszy, broni jéj praw i oświadcza, że ktokolwiek jéj nie szanuje, gwałci prawo natury ludzkiéj.

Ale jak na wielu innych miejscach, tak i tu nie radzi on téj własności prawowitéj używać samolubnie, bo „jak pięknie napisał Plato, nie dla samych siebie na świat przyszliśmy, ale częścią ojczyzna, częścią rodzice, częścią przyjaciele roszczą do nas prawo; a jako Stoicy mniemają, wszystko co ziemia wydaje i ludzie także dla ludzi są stworzeni, aby wzajemnie jedni drugim dopomagać mogli, a przeto jest naszą powinnością iść w tém za przewodnictwem przyrodzenia, nasze pożytki do wspólnego użycia znosić, zobopólnie siebie obsługiwać, dając i wzajem otrzymując, a pracą, talentem, usiłowaniem, wzmacniać węzeł ogniw społecznych" [2]). Jestto zatém dzisiejsza sprawiedliwość pozytywna, dobroczynność; idea, jak widzimy, dosyć zgodna z normą chrześciańską, jeżeli zwłaszcza porównamy z ustępem tym, to co na innych miejscach mówi w tym samym przedmiocie. Prześliczne mianowicie pod względem uczucia ludzkiego i wykładu są rozdziały jego w traktacie: *De finibus bonorum et malorum*, dowodzące według doktryny stoickiéj, jak ta wzajemność pomocy i obrony między ludźmi, zgodna jest z naturą człowieka, jak piękna, do jak wzniosłych prowadzi wyników. Zadługo byłoby tu przytaczać tekst, ale jeżeli ktoś pragnie użyć istnie duchowéj rozkoszy, opartéj na zacności myśli i wytworności słowa, radzimy mu przeczytać (jeśli być może w nieuaśladowanym oryginale) koniec księgi trzeciéj pomienionego traktatu; mianowicie od rozdziału dziewiętnastego. Cóż np., może być szczytniejszego nad tę myśl charakterystycznie grecką i zarazem rzymską: „Świat, zdaniem Stoików, rządzi się wolą bogów, stanowi on jakoby wspólne mieszkanie bogów

[1]) Wyraźniéj powiada to w traktacie: *De finibus* (t. III, roz. 20): „Ale jak o miejscach w teatrze, choć on jest budynkiem wspólnym, słusznie powiedzieć można, że miejsce jakie kto zajął, do niego należy; tak w kraju, lub świecie wspólnym (*urbe mundove communi*) prawo nie sprzeciwia się temu, żeby każdy posiadał własność do niego należącą.

[2]) *De officiis*, ks. I, rozd. 7.

i ludzi, a każdy z nas jest członkiem téj wielkiéj społeczności: zkąd naturalnie wynika, że ogólny pożytek nad osobisty przenosić powinniśmy. Bo jak prawo dobro ogólne stawia ponad szczególném, tak człowiek mądry i zacny, posłuszny prawu, obowiązku obywatelskiego świadomy, więcéj dba o dobro ogólne, niżeli o czyj szczególny lub swój własny pożytek, a niemniéj winnym jest ten, kto dla osobistéj korzyści i dobra opuszcza sprawę publiczną, jak kto ojczyznę otwarcie zdradza. Chwała więc tym, którzy biegną na śmierć za kraj, ponieważ ojczyzna droższą nam od nas samych być powinna; a przeciwnie, obrzydzeniem przejmuje zdanie tych, którzy powiadają, że to ich bynajmniéj nie obchodzi, choćby po ich śmierci ziemia ogniem spłonęła, jak to jeden powszechnie znany wiersz grecki opiewa. Pewną więc jest rzeczą, iż nawet o dobro pokoleń przyszłych, dla nichże samych starać się mamy" [1]).

To wreszcie cośmy tu napisali z powodu moralności pozytywnéj, jest tylko luźnym epizodem, który się nam nastręczył z powodu używania własności osobistéj na korzyść innych, w przeciwstawieniu do używania samolubnego; Cycero moralność tę rozwija w osobnych rozdziałach, do których zajrzymy z kolei. Tymczasem stojąc jeszcze przy moralności negatywnéj i po jéj określeniu przez nieczynienie krzywdy nikomu, rozróżnia on rozmaite rodzaje niesprawiedliwości, wymienia jéj przyczyny i określa stopnie.

Czynić źle lub dozwalać na złe uczynki, oto są dwa sposoby uchybienia sprawiedliwości. Namysł dłuższy lub krótszy nadaje niesprawiedliwości cechę więcéj lub mniéj znaczącą. Chęć wyprzedzenia nieprzyjaciela, namiętność, pożądliwość, chciwość, ambicya, są to główne przyczyny pobudzające nas do zgwałcenia praw drugiego. Obawa przysporzenia sobie nieprzyjaciół, kłopotów lub wydatków, niedbalstwo, lenistwo, zajęcia, interesa, upodobania wreszcie indywidualne: oto są przyczyny, które skłaniają do opuszczenia sprawy sprawiedliwości i czynią nas obojętnymi świadkami nadużyć, którym moglibyśmy zapobiedz. Nie grzeszymy więc według niego tylko czynem, ale zarazem, jak to chce mieć Chrześciaństwo, i opuszczeniem.

Gdy chodzi o nas samych, miłość własna i namiętność często łudzą nas co do znaczenia dobra i zła. Ztąd też wyradza się to nieocenione prawidło, zapożyczone przez Cycerona u mędrców starożytności: ażeby nie przedsiębrać nic, dopóki sumienie waha się w wątpliwości, czy to, co mamy uskutecznić, jest dobrém [2]). Zdrowym już tylko rozsądkiem rozwiązuje on pewną liczbę kwestyi, długo rozbijających się po szkołach. Czy mam dotrzymać obietnicy złowrogiéj temu, względem kogo ją uczyniłem? Czy mam oddać złożony mi w depozycie miecz temu, kto pragnie przebić nim kogoś lub siebie?... Nie. Bo dana obietnica albo świętość depozytu, jako obowiązki, niżéj stoją, a na ten raz

---

[1]) *De finibus*, ks. III, rozd. 19.

[2]) Nil unquam agere quod dubites aequum sit an iniquum; aequitas lucet per se, dubitatio cogitationem significat injuriae.

w sprzeczności z ogólném prawem sprawiedliwości *nieszkodzenia nikomu*, w zgodzie zaś z obowiązkiem przyczyniania się do ogólnego dobra. Sprawiedliwość, co większa, obowiązuje nas nawet według niego, względem tych, którzy nam wyrządzili krzywdę, a sama nawet wojna ma swoje reguły i powinności. Niewiele pod względem praw ludzkości mógłby dodać moralista dzisiejszy do tego co w tym przedmiocie mówi Cycero, oświadczając, że oddawanie wet za wet, pomsta za niesprawiedliwość ma swoję granicę i że pokrzywdzony poprzestać powinien na tém, gdy krzywdzący postępku swego żałuje i przeprasza zań. Dwa są według niego sposoby rozwiązywania sporów: jeden przez ugodę, właściwy człowiekowi; drugi przez użycie środków gwałtownych, właściwy zwierzętom; do tego więc drugiego wtedy tylko uciekać się możemy, kiedy pierwszy okaże się niepodobnym. „Można tedy, powiada [1]), prowadzić wojnę, abyśmy bez krzywdy w pokoju żyć mogli, ale po odniesioném zwycięztwie mamy w całości zachować tych, którzy podczas wojny ani okrutnymi, ani barbarzyńskimi nie byli." Wbrew moralności dzisiejszéj, toleruje on i wojny zaczepne, podejmowane dla rozszerzenia panowania, ale i tu żąda on najprzód powodów usprawiedliwiających wystąpienie wojenne, a następnie pragnie, ażeby wojny takie z mniejszą zawziętością były prowadzone. Cytuje mnóstwo przykładów rzymskich i obcych, wykazujących oględność w wypowiadaniu, a ludzkość w prowadzeniu wojny, a wykład wieńczy świetnym czynem Regulusa, postawionym za wzór prawości tak względem współobywateli, jak i nieprzyjaciół, przez poświęcenie siebie samego. Ileżto razy wreszcie Cycero zaleca za najświętszy obowiązek wierność w dotrzymaniu słowa i to potępiając wszelkie środki wykrętne, pozorujące wiarę. „Gdy idzie o dotrzymanie słowa, mówi, trzeba na to pomnieć co myślałeś, a nie na to co wyrzekłeś" [2]). Zgoła niewłaściwém byłoby żądać od Cycerona, ażeby wyprzedzając wieki, odezwał się za zniesieniem niewolnictwa, skoro jeszcze republikanin Rousseau, w swojém *Contrat Social* wahał się, czy dla dobra wolności i ekonomii nie dobrze byłoby utrzymać w państwie niewolnictwo; ale moralista rzymski poleca ten stan nieszczęśliwy miłośnikom sprawiedliwości, każe uważać niewolników tylko za najemników, wymagać od nich roboty, ale oddawać co im przynależy. Jak Dante w wojnie, tak Cycero w krzywdzie widzi dwa sposoby: przemoc i chytrość. „Gwałt lwom, powiada, chytrość lisom jest właściwa: jedno i drugie najniegodniejszém jest człowieka, ale chytrość ma w sobie coś ohydniejszego. Największéj zaś niesprawiedliwości ci stają się winni, którzy oszukując, uczciwych ludzi udają."

W sprawiedliwości pozytywnéj, którą Cycero zwie poprostu dobroczynnością i szczodrobliwością, a nad które nie zna nic coby lepiéj przypadało do ludzkiéj natury, widzi on jednak potrzebę zachowania pewnych środków ostrożności. Jest ich trzy. Naprzód, baczyć

[1]) *De officiis*, ks. I, rozd. 11 i 99.

[2]) *Ibidem*, rozd. 13.

mamy na to, ażeby dobroczynność nasza nie wyszła na szkodę tym, którym dopomódz chcemy lub innym; powtóre, ażeby majątku dawcy nie przewyższała; potrzecie, ażeby każdemu wymierzaną była wedle zasług. Im ściślejsze węzły, uczucia, stopień zbliżenia większy, tém rozciąglejszą i naglejszą winna być dobroczynność. Przebiega on związki rodzinne i przyjacielskie, rozwodząc się nad każdym stosunkiem i wyznaczając mu miejsce w uczuciu naszém oraz w zobowiązaniu; ale jednocześnie wdraża w umysł syna, że niéma droższego i ważniejszego związku nad ten, jaki między obywatelem a rzecząpospolitą zachodzi. „Mili są rodzice i dzieci, powiada, mili krewni i powinowaci, ale wszystkie te miłości jedna ogarnia ojczyzna: któryż prawy obywatel nie zgodziłby się śmierć za nią ponieść, byle mógł jéj dopomódz!" Piętnując téż dawniejszych i spółczesnych sobie warchołów politycznych, którzy dla ambicyi osobistéj poddawali społeczność wszem okropnościom wojen domowych, dochodzi jednak aż do fanatyzmu w swym patryotyzmie, i cieszy się ze śmierci Cezara.

Miłość ojczyzny nie jest jednak u Cycerona granicą uczuć altruistycznych człowieka sprawiedliwego, tak jakby tego oczekiwać można po poganinie, i to wychowanym w żywiole zdobywczéj Romy. Ze zdziwieniem widzimy go niejednokrotnie zachodzącego daléj, a to również za natchnieniem i napomknieniem Stoików o braterstwie i miłości powszechnéj. I pod tym względem niechaj nauczą nas jego księgi *Praw*, jak on pojmuje naturę i posłannictwo człowieka. Człowiek zrodzony został (*generatus*) przez Boga Najwyższego z przeznaczeniem świetném. On jeden wpośród tylu istot posiada rozum, a cóż nietylko w człowieku, ale na całém niebie i ziemi nad rozum bardziéj boskiego jest? Skoro więc rozum jest zarówno w Bogu jak w człowieku, to pierwsze już zachodzi społeczeństwo rozumu między człowiekiem i Bogiem. Daléj, ponieważ rozum ten wspólny jest zarazem prawem, przeto ludzie uważać się powinni za żyjących w społeczeństwie bogów, za ziomków jednego kraju, tembardziéj jeśli ulegają tym samym rozporządzeniom i mocom. Owóż, ulegają oni tym przepisom niebiańskim, duchowi bożemu, wszechmocnemu Bogu tak, iż cały ten wszechświat uważanym być winien za państwo wspólne bogom i ludziom. Wprawdzie, w społecznościach czysto ludzkich, dla pewnych powodów szczególnych, pozachodziły różnice w rodach jednego plemienia, ale tam, w naturze, porządek piękniejszy i wznioślejszy wiąże ludzi z bogami ogniwém plemiennem i rodzinném.

Lecz w moc czegożto następuje ta jednorodność ludzi z bogami? Oto w moc téj duszy nieśmiertelnéj, jaką człowiek po wielu ewolucyach natury, ukazawszy się na ziemi, otrzymał w darze od Boga (*divino munere auctus*). Dusza więc jest niejako pośredniczém ogniwem między człowiekiem i Bogiem, znamieniem familijném. Dlatego téż niéma tak dzikiego narodu, któryby, jeśli nie wié jakiego Boga potrzeba miéć, nie wiedział przynajmniéj że potrzeba miéć jakiegośkolwiek. Skoro więc Bóg zrodził człowieka i spokrewnił z sobą, przeto wypada przy-

jąć za pewnik, że natura ludzka jest postępową i że bez innego już mistrza nad siebie samą, wychodząc z pojęć ogólnych, które zawdzięcza inteligencyi pierwotnéj i zaczątkowéj (*prima et inchoata*), wzmacnia ona i uzupełnia swój rozum [1]).

Do czegoż zmierza ten wzniosły platonista ze swą dostojną genealogią zakrawającą na panteizm? Oto do wykazania, że wszyscy ludzie, według powyższych zasad, są sobie równi po krwi i godności, że są sobie braćmi. Poznanie tego faktu jedynie może im zapewnić szczęście wspólne; ale nie spada ono samo bez trudu. Kiedyż i pod jakim warunkiem szczęście to urzeczywistnić się może? Wtedy, kiedy dusza, poznawszy i zrozumiawszy cnoty (i tu znów przemawia Stoik), odwyknie od wszelkiéj folgi dla ciała, kiedy stłumi rozkosz jako pokalanie piękna, kiedy wyzuje się ze wszelkiéj obawy śmierci i boleści; kiedy zwiąże się ze swemi bliźnimi węzłem miłości; kiedy ludzi uważać będzie za swych sprzymierzeńców naturalnych: kiedy, nareszcie, przejęta czcią dla bogów i religią czystą, wyćwiczy w sobie ten wzrok ducha, na równi z oczyma ciała tak, iżby człowiek dobre ukochał, od złych się odwracał [2]), którąto cnotę Cycero, jak wiemy, pod mianem roztropności, wcielił w skład swojego pojęcia o zacności i postawił ją na czele idei obowiązku.

Taka tedy zasada, mocą któréj wszyscy ludzie są pochodzenia boskiego i równi sobie w całéj naturze, przeniesiona na grunt sprawiedliwości, zastosowanie téj ostatniéj przeciąga poza zakres jednéj rodziny, jednego kółka przyjaciół i jednego kraju; rozsadza dobroczynność rodzinną i obywatelską w znaczeniu gminy, bo dusza, jak to wyraźnie zaznacza filozof ten w traktacie *De Legibus*, „nie jest mieszkanką jednéj miejscowości zamkniętéj murami, ale *obywatelką świata*, grodu jedynego.” Prawo przyrodzone, według téj jego zasady, zrywa ten partykularyzm sprawiedliwości pozytywnéj i wymaga, ażeby jeden człowiek drugiemu, kimbądźby on był, przez to już samo że jest człowiekiem, nie odmawiał swojéj pomocy, i nieinaczéj dopełni on swéj powinności jako człowiek, tylko dbając o pożytek ludzki i wszechspołeczność ludzką [3]). W całéj wreszcie moralności, nic, zdaniem Cycerona, nie posiada większego blasku i obszaru, jak ta jedność ludzi między sobą, jak stowarzyszenie i wspólność pożytków, jak słowem, *miłość* rodu ludzkiego, który powstawszy z pary rodziców, stopniowo wychodzi poza dom, rozciąga się kolejno do krewnych, powinowatych, przyjaciół, sąsiadów, do obywateli i sprzymierzeńców, aż nakoniec ogarnia wszechludzkość. Tento nastrój umysłu, oddający każdemu co mu się należy, a owo zjednoczenie ludzi w jednę społeczność z równą troskliwością i słusznością utrzymujący, zowie się dopiéro sprawiedliwością, z którą łączy się szacunek dla starszych, dobroć, uczynność, życzli-

[1]) *De Legibus*, ks. I; rozd. 7, 8, 9.
[2]) Tamże, ks. I, rozd. 23.
[3]) *De officiis*; III, 6.

wość, uprzejmość i inne podobne cnoty, towarzyszki sprawiedliwości a innym pobratymcze. Bo gdy, powiada, natura człowieka ma wrodzoną sobie skłonność do społeczeństwa, zatem cokolwiek jest dziełem każdéj cnoty, to od owego społeczeństwa i od owéj *miłości* dalekiém nie będzie, i nawzajem, sprawiedliwość przeistaczając się w wykonaniu na inne cnoty, wszystkie mieści ona w sobie, bo przestrzegać sprawiedliwości może tylko człowiek dzielny i mądry: jaką jest tedy ta cnót jedność i zgodność, taką jest moralność czyli zacność, gdyż ta albo jest cnotą samą przez się, albo uczynkiem pochodzącym z natchnienia cnoty; a kiedy życie człowieka zgadza się zupełnie z temi cnotami, wtedy poczytaném być może za dobre, zacne, zgodne z sobą i z naturą [1]).

Pierwszyto raz w starożytności zabrzmiał u Cycerona ten wielki wyraz: miłość rodu ludzkiego (*caritas generis humani*), a lubo nie ma on jeszcze tego szczytnego znaczenia co miłość bliźniego ewangeliczna, bo obok siebie mieści odwety, pomsty, rachunki, zbliża się jednak, przeczuwa, a w każdym razie daje świetne świadectwo humanitarnym pojęciom mędrca Tuskulańskiego.

Z tego co dotąd było powiedziane, widzimy więc, że obowiązki względem inteligencyi naszéj spełnia cnota zwana roztropnością, która zajmuje się poszukiwaniem prawdy; sprawiedliwość, uważana w obu swych częściach, wyczerpuje obowiązki nasze względem społeczności ludzkiéj. Pozostałe zaś dwie cnoty, czyli dwie postacie zacności (*honesti*), stanowią moralność indywidualną.

Jedną z nich, jak wiemy, jest męstwo, albo siła czyli wielkość duszy, która także potrzebną jest dla urzeczywistnienia sprawiedliwości. Przez męstwo rozumie Cycero tę moc ducha, która skłania nas lekceważyć niebezpieczeństwo i gardzić przypadłościami ziemskiemi. Dodaje wszakże, iż męstwo o tyle jest cnotą o ile łączy się ze sprawiedliwością: bez niéj, jest to dzikość i brutalność. Razem więc ze Stoikami męstwo nazywa on cnotą walczącą w obronie słuszności (*virtus propugnans pro aequitate*). To tylko wreszcie jest wielkie, piękne, znamienite—powtarza on ustawicznie—co sprawiedliwe. Wznieść się ponad wszystko co od nas nie zależy, gardzić rzeczami zewnętrznemi, życzyć, pożądać, poszukiwać tego tylko co zacném jest, nie dać się zmódz żadnemu człowiekowi, żadnéj namiętności, żadnemu dopuszczeniu; rozwinąć te przymioty w uskutecznieniu wielkich i trudnych czynów a pożytecznych ludzkości: oto dzieło i charakterystyka duszy dzielnéj i mężnéj. Miłość władzy i chwały, są to opoki, których strzedz się powinny dusze wielkie. Niedość jest nieznać lęku, trzeba nadto niedać się uwodzić powabom bogactw i rozkoszy, niedopuścić ażeby jakabądź namiętność burmistrzowała w duszy. Nie chce jednak Cycero, na wzór Stoików, poszukiwać tego spokoju duszy w oddaleniu od spraw publicznych, w próżnowaniu i jałowéj kontemplacyi. Filozofowi tyl-

[1]) *De finibus*, V, 23.

ko, mędrcowi obdarzonemu świetnemi zdolnościami, pozwala on wyjść z wiru spraw społecznych. Ale ktokolwiek nie będąc filozofem, zdolnym jest przyjmować udział w zawiadywaniu rzecząpospolitą, ma obowiązek schodzić na forum, starać się o urzędy, pracować około gmachu społecznego. Zarówno z naszym Libeltem, odwagę cywilną stawia Cycero wyżéj ponad wojenną, i zdanie swe popiera nietylko świetnym wykładem, ale przytoczeniem mnóstwa malowniczych przykładów z historyi greckiéj i rzymskiéj [1]).

Pozostaje czwarta i ostatnia postać zacności, którą Cycero obejmuje rozmaite przymioty stanowiące ozdobę i godność życia, jako to: wstrzemięźliwość, skromność, wstydliwość, spokój duszy, przyzwoitość, wdzięk i takt we wszystkich rzeczach, co wszystko razem wzięte utrzymuje harmonią cnót i tłómaczy się tu wyrazem *decorum*, wytworność, greckie πρεπον. Ta wytworność jest więc raczéj cechą ogólną wszystkich cnót, niżeli cnotą szczególną. Rozróżnia on dwa rodzaje wytworności: jeden powszechny, będący niejako odbłyskiem zacności całéj jednolicie wziętéj; drugi szczegółowy, odzwierciadlający każdą cnotę pojedyńczą. Pierwszy z tych rodzajów nazywa on tém, co jest odpowiedniém doskonałości natury ludzkiéj. Wszak poeci dramatyczni starają się o to, ażeby każdy z ich bohatérów wprowadzonych na scenę, mówił, poruszał się i działał *stosownie* do danego mu charakteru: otóż i my, pośród wszystkich istot natury, mamy swą rolę na teatrze świata, rolę wyższą potężnemi przymiotami duszy; mówmyż więc, postępujmy, działajmy *stosownie* do téj wysokiéj roli.

Pomijam szczegółowe przepisy tego *decorum* w życiu, jakiemi Cycero ozdabia ostatnie rozdziały pierwszéj księgi swéj o obowiązkach. Pisane są one ze stanowiska starożytnego rzymianina, ale wiele z nich utrzymuje do dziś znaczenie swe powszechne. Nie możemy się tu zbytecznie oddawać szczegółom, chcąc w głównych tylko zarysach przedstawić ideę moralności na tle starożytném, tak jak ją rozumiał eklektyk rzymski raczéj w postaci własnego postulatu niż w odbiciu trybu społecznego. Zwrócimy tylko uwagę na stopniowanie, jakie on między temi postaciami zaprowadza. Pierwsze miejsce w porządku hierarchicznym trzyma tu sprawiedliwość, od któréj zawisł byt społeczeństwa. Obowiązki względem umysłu są zapewne wielkie, ale na cóż przyda się wiedza, którąby nie miała za cel społecznego pożytku? na co przyda się dobrze myśléć, jeżeli ktoś źle postępuje? Nie poświęca on jednak wszystkiego obowiązkom sprawiedliwości i rzeczy publicznéj: wyjmuje z pod tego wstrzemięźliwość, szacunek własny, wstydliwość, a raczéj nie pojmuje ażeby w jakimbądź wypadku, obowiązek sprawiedliwości lub sprawy publicznéj mógł wymagać poświęcenia tych cnot.

Mylnie zarzucano Cyceronowi, że pominął obowiązki względem Boga: mówi on wprawdzie o tém mimochodem, niewiele, krótko, ale jaknajwyraźniéj; obowiązki te stawia w pierwszym rzędzie, oświadcza-

[1]) *De officiis*, I, 22 sq.

jąc [1]), że „bogów zjednywa nam życie pobożne i świątobliwe." To mięszanie liczby pojedyńczéj z mnogą w zastosowaniu do bóstwa, jest cechą Cycerona zarówno jak wszystkich filozofów ze szkoły Platona i Arystotelesa. Wzgląd na religią mas, poetyczne poczucie tradycyi, mają udział w téj foldze dla politeizmu bez zaprzeczenia: rzymianin wymawia *bogi*, wówczas gdy filozof myśli o *Bogu*, i to nietylko w innych pismach, ale w szczególnie temu przedmiotowi poświęconym traktacie: *De natura deorum*. Przypisując Bogu Najwyższemu stworzenie świata i człowieka, jak to widzieliśmy i w niniejszym wykładzie, nie daje wszelako Cycero dokładnego wyobrażenia, jak Go rozumie, ani gdzie tego Boga szukać należy po stworzeniu świata. Rozumowania jego dążą tylko do utrzymania idei Boga, lecz co do Jego Istoty, jest on zupełnie ciemnym. Raz wszakże obstając za tą ideą, przeciwko fanfaronom epikurejskim, których nienawidzi i w kontrowersyach swych po Akademicku niemiłosiernie wyszydza, oraz przeciwko dumnym Stoikom, którzy religię swych zasad postawili wyżéj nad czcią dla bóstwa, Cycero z samego stosunku stworzenia do Stwórcy, musi, dla konsekwencyi, uznać względem Niego obowiązki. Cała téż wreszcie księga jego o obowiązkach, jest jakoby tylko rozwinięciem późniejszéj myśli Seneki; *Si vis deos propitiare, bonus esto.*

Dotąd rozbierał Cycero ideę zacności, w któréj, jak widzieliśmy, najświetniejszym punktem jest sprawiedliwość. Teraz przechodzi do rozbioru pożytku; ale na równi z dzisiejszymi utylitarystami, nie odłącza on jednéj idei od drugiéj. „Najcelniejsi filozofowie, powiada, ściśle bez wątpienia, ale bez ujmy dla zacności, i w myśli tylko odróżniają te trzy rzeczy: co jest sprawiedliwe, uczciwe i pożyteczne. Którzy tego nie dostrzegają, często w podziwieniu mając ludzi chytrych i przewrotnych, chytrość mądrością być sądzą. Trzeba ich wyprowadzić z tego błędu i przywieść do przekonania, że tylko przez postanowienia uczciwe i sprawiedliwe czyny, nie przez chytrość i podstęp, co zechcą osiągnąć będą mogli."

Rozprawiając téż o pożytku, Cycero zda się wciąż jeszcze mówić o zacności, tylko z niektórémi zastrzeżeniami. Wywracałby porządek i podstawę moralności, ktoby przyjemność lub korzyść wyciąganą z dobra, stawiał wyżéj ponad samo dobro i zacność mierzył korzyścią. Cała więc dążność wykładu Cycerona skierowaną jest do okazania, że zacność, jako mająca wartość sama w sobie, stanowi zarazem źródło pożytku i szczęścia, czyli, że te ostatnie sa nieodłącznem następstwem cnoty. Na takim wywodzie polega różnica jego poglądu od Epikurejczyków, którzy utrzymywali, że pożytek istnieć może niezależnie od cnoty.

Pod nazwą pożytku rozumie on, poza obrębem zadowoleń wewnętrznych, powodzenie w świecie, a więc: bogactwo, dostojeństwa, zaufanie, sławę. Sposobem do nabycia tego wszystkiego jest tylko cnota.

---

[1]) *De officiis*, II, 3.

Jakoż, po bogach, cóż na świecie pożyteczniejszém być może człowiekowi nad samegoż człowieka? Owóż, pomiędzy przymiotami cnoty znajduje się i ten, że ona zjednywa nam umysły ludzi i serca. Nie można zaprzeczyć skuteczności przyjaźni i sławy w zjednywaniu nam życzliwości drugich, ale niéma prawdziwéj przyjaźni, ani prawdziwéj sławy, poza obrębem cnoty. Prześliczne karty zapisał Cycero w osobnéj księdze swéj *O przyjaźni;* nie powtarza się więc, ale odsyła syna do téj księgi, w któréj udowadnia, że niéma innéj przyjaźni, tylko ta, która zawiązała się na gruncie cnoty. Rozkładając następnie rozmaite żywioły, jak: miłość, ufność, podziw, składające sławę, przychodzi do podobnegoż wyniku, że niéma innéj sławy prawdziwéj, tylko ta, która wykwitła z cnoty. Miłość bowiem pozyskuje się tylko przez rozgłos, jaki człowiekowi czyni dobroczynność, sprawiedliwość, prawość, oraz wszystkie cnoty łagodzące i uprzyjemniające obyczaje. Ufność mamy tylko w tym, kto w umyśle swym kojarzy roztropność ze sprawiedliwością. Podziwiamy tego jedynie, kto pogardza życiem i bogactwem, kto daje odpór rozkoszy i boleści, a nadewszystko temu, kto rządzi się sprawiedliwością. Ta błyszczy najjaśniejszém światłem wobec tłumów, i bez niéj istnieć nie może żaden z powyższych trzech żywiołów sławy.

W gatunkowaniu pożytków, Cycero rzeczywiście nie wznosi się ponad swój wiek: jego utylitaryzm ogranicza się widokami rzymskiego patrycyatu; przeważnie więc mówi on o zaszczytach i chwale. Nie to więc głównie nas zajmuje w tym wykładzie, co on za pożytek uważa, ale raczéj miejsce, jakie pojęciu temu względnie do cnoty wyznacza. Dzisiejszy utylitaryzm, nie przyjmujący żadnych pojęć powszechnych i duszy ludzkiéj wrodzonych, zarówno z materyalistami wszelkiéj barwy, szuka ich genealogii w instynktach organizmu fizycznego, mianowicie w egoizmie. Ztąd, na równi ze starożytnym epikureizmem, cnota jest dlań tylko rachubą, dobrze zrozumianym interesem jednostki, która przez zebranie pewnéj liczby spostrzeżeń, choćby dziedzicznie przekazywanych i mnożonych, przekonała się, że *pożytecznem* jest dla niéj, czyto ze względu na spokój własny, czy na inne dogodności, praktykować pewne czyny, które dla odróżnienia od innych, nazwane zostały charakterystycznem mianem cnoty. I w takiém rozumowaniu pożytek byłby podstawą, rodzicem cnót; zachęta do nich szłaby od wystawienia korzyści, byłaby interesowną. Cycero, razem ze wszystkimi dawniejszymi i późniejszymi idealistami, przyjmując rozum powszechny, wspólny ludziom z Bogiem, w nim widzi zawarte prawidła doskonałości ludzkiéj, z niego wyprowadza pojęcie cnoty, a w cnocie dopiéro pożytki od niéj nieodłączne. Byłaby i w takim porządku równaż poprzedniemu interesowność, bo każdy mógłby sobie powiedzieć: będę praktykował cnotę dlatego tylko, ażeby mieć dogodności, jakie mi z niéj wykazują. Ale zapobiega temu Cycero z góry, chwytając się teoryi stoickiéj pogardzania przypadłościami ziemskiego życia, rozkoszą i bólem, i pogardę tę stawiając za jeden z warunków zacności, czyli

cnoty. Owóż, w ostatecznym wyrazie pożytek, jakikolwiek on będzie, sprowadza się do pojęcia rozkoszy czyli przyjemności, ból do nieprzyjemności. Wzgląd zatém pożytkowy, w gruncie usunięty jest w teoryi Cycerona z pojęcia cnoty i ona sama wskazana za jedyny cel życia bezwarunkowy, cokolwiekbądź nastąpi; pożytki zaś, jakie filozof wyprowadza z niéj, leżą już bezpośrednio w samym fakcie spełnienia cnoty, innego objawu nie potrzebując: takie tylko odpowiadają godności ludzkiéj, i równoważą się z zacnością. Regulus nic nie zyskał na swym czynie, prócz śmierci, ale pożytek spłynął nań przez to samo, że spełnił ten czyn rzucający na niego taki blask cnoty: przykładem swym dał jéj świadectwo bytu i utrwalił go wśród społeczności.

Tak dalece przejęty Cycero jest koniecznością cnoty dla saméj siebie, że dowodzi niemożliwości pożytków z cnoty udanéj. Obłuda jest dlań czemś tak sromotném i błędném, że niéma dość słów ku jéj potępieniu. „Pięknie mawiał Sokrates, powiada [1]), że najprostsza i najkrótsza droga do sławy jest ta, gdy kto w postępowaniu pokazuje się takim, za jakiego chce być mianym. Jeśli kto myśli, że udawaniem, próżnemi blichtrami, zmyśloną nietylko mową, ale i twarzą, nadługo może zjednać sobie sławę, bardzo się myli. Prawdziwa sława zapuszcza korzenie i krzewi się; udawania wszelkie opadają rychło jak kwiatki: nic zmyślonego nie potrwa długo."

Cały więc wykład pożytku, tak w rozgatunkowaniu zadowoleń, jako i w radach wskazywanych dla ich osiągnienia, w przykładach czerpanych z dziejów, jest znowu niczém inném, tylko wysławieniem i zaleceniem sprawiedliwości, ze względem na jéj rezultaty, a osnowę jego streścić można w tych słowach [2]): „Wszelkim sposobem czcić i podtrzymywać należy sprawiedliwość, raz dla niéj saméj, inaczéj bowiem niéma sprawiedliwości; powtóre, dla nabycia większych dostojeństw i sławy."

Niczém téż inném, tylko dalszém podniesieniem sprawiedliwości, jest cała część trzecia traktatu, gdzie autor porównywa zacność z pożytkiem. Niéma w tym wykładzie myśli nowych, któreby coś dodawały nowego do podstaw moralności, jakie ukazaliśmy dotąd, ale jestto raczéj świetna kazuistyka, w rozmaitych przykładach przypuszczalnych, albo z historyi greckiéj i rzymskiéj wyczerpanych, dowodząca tego określenia moralności stoików, że wszystko co zacne, jednocześnie pożytecznem jest, oraz że niéma nic zacnego, coby pożytecznem zarazem nie było, i naodwrót. Lubo więc niémamy tu nic tak dalece nowego do zanotowania pod względem zasad głównych, moglibyśmy całe rozdziały przepisywać, upajając się wdziękiem i siłą w przedstawieniu ich zastosowania, wielbiąc gorący patryotyzm obywatela, i w wielu razach podziwiając w nim bezwiednego chrześcianina.

---

[1]) *De officiis*, ks. II, roz. 12.

[2]) Tamże, ks. II, roz. 12.

Dosyć zestawić te wspaniałe karty z temi, które w księdze drugiéj traktatu *O granicach dobrego i złego*, tak potężnie walczą przeciw moralności epikurejskiéj, rozkosz za cel życia ustanawiającéj, ażeby zrozumiéć całą doniosłość zamiaru Cycerona. Chciał on przez zwrócenie obyczaju narodowego na drogę cnoty zawartéj w czystości duszy, bogobojności i zaparciu się siebie na korzyść społeczeństwa, podtrzymać walący się gmach społeczny. Głos jego pozostał jednak głosem wołającego na pustyni. Świat rzymski wydał Neronów, Heliogabalów i mnóstwo Karakalli: świat rzymski koniecznie chciał umrzéć; poszedł drogą wskazywaną przez Epikura, i umarł... torując drogę do podobnéj śmierci wszystkim nowym Epikurejczykom, pojedyńczym i zbiorowym. W rezultacie tylu usług wyświadczonych krajowi, w nagrodę za tyle dobrych chęci, Cycero, starzec blizko siedmdziesięcioletni, zamordowany został przez swoich, z podmuchu jednego z tych ambitnych wichrzycieli, istnych wrogów społeczeństwa własnego, których on, jako filozof, tylokrotnie w pismach swych piętnował. Epikurejczyk Antoniusz, w stoickim Akademiku Cyceronie, zamordował ideę: tryumf jego był tylko początkiem tryumfów dalszych i stało się według ewangielicznego słowa: „Biada ludowi, który kamienuje swoje proroki."

Cóż nam tedy przedstawia całość filozoficznych pism Cycerona? Odpowiedź na to mieści się w poprzedniéj osnowie naszego pisma. Jestto, z jednéj strony, wtajemniczenie narodu rzymskiego w ducha filozofii greckiéj, dotychczas obcéj nad Tybrem; sposób, który przedstawiając rzecz samą dosyć objektywnie, w rozumowaniu trzyma się jednak pewnéj linii, wytkniętéj przez własne upodobanie i przekonanie. Z drugiéj strony, pod względem czysto etycznym, jestto zebranie argumentów ze wszystkich szkół na korzyść moralności idealnéj przeciwko epikureizmowi, który, w rozumieniu filozofa, gdyby się rozprzestrzenił pośród ludności rzymskiéj, podsycałby jeszcze bardziéj spółczesną rozwiozłość obyczajów. Nie będziemy tu rozbierać, czy epikureizm w pierwotnéj swéj formie demokryckiéj, a nawet w przedstawieniu Lukrecyusza, jako system świata najbardziéj naukowy ze wszystkich, dąży do takiego rezultatu pod względem obyczajów; ale to pewna, że spostrzegany pod pewnym kątem mógł się podawać do takiego komentarza, gdyż *caeteris paribus*, był on ówcześnie tém względnie naprzykład do platonizmu, czém dzisiaj darwinizm względem Chrześciaństwa, i podobneż pod względem moralności obudzał obawy. Gdyby Lukrecyusz lepiéj był współcześnie zrozumiany i znalazł tylu gorliwych prozelitów, jak dzisiaj Darwin, niezawodnie zawiązałaby się była polemika, i ci ostatni, zarówno z dzisiejszymi, mieniliby swoich przeciwników wstecznikami, zgniłymi idealistami, ultramontanami i tym podobnemi epitetami łatwiejszemi do wynalezienia, niż argumenta. Ale Cycero pozostał bez odpowiedzi; przeciwnie, znalazł kontynuatorów w Senece i Tacycie. Lukrecyusz także, jako systematyk, pozostał bez odgłosu, dopóki go nie zbudził na chwilę z uśpienia Gassendi, by następnie sys-

tem jego w całości przekazać Moleschottowi, tak samo jak łacina przekazała Cycerona ojcom Kościoła chrześciańskiego.

Jeżeli Cycero, jako systematyk, ma takież same znaczenie jak Lukrecyusz, czyli jest tylko tłómaczem myśli obcéj, nierównie wyższém znaczenie jego jest pod względem historyi filozofii. Położywszy sobie za cel nauczanie, urobił on język łaciński do wyrażania myśli filozoficznych, i był pod tym względem szczęśliwszym od naszego Trętowskiego. Wzbogacił go mnóstwem wyrazów technicznych, które niemal wszystkie weszły żywcem do języków nowoczesnych, zwłaszcza romańskich, a przez nie dostały się i do innych. Dla samych dziejów filozofii, dzieła jego są istną i jedyną w swoim rodzaju kopalnią wiadomości. Dzięki jego eklektyzmowi i krytyce, na kartach jego pism filozoficznych pozostały całe ustępy (zwłaszcza Epikura), z dzieł filozofów starożytnych, które w biegu czasu zniszczały; ocalały myśli i zasady szkół rozmaitych, imiona myślicieli, o których bez niego i światby nie wiedział. Z dzieł téż Cycerona czerpano głównie materyał do odbudowy przeszłości filozoficznéj Grecyi.

Z tych wszystkich powodów nie możemy téż dosyć zalecić czytania dzieł filozoficznych Cycerona. Wprawdzie nie potrzebujemy się dziś z niego uczyć historyi filozofii, ponieważ mamy gotowe podręczniki, systematycznie w kilku językach opracowane; nie potrzebujemy się uczyć z niego moralności, ponieważ mamy dziś moralność wyższą, wszczepioną od dzieciństwa: ale zalecamy głównie jego dzieła, jako wspaniały widok talentu krasomówczego, który usiłuje na wszystkie sposoby rzecz swą przedstawić w sposób najdostępniejszy dla umysłu i serca zjednać dla swoich przekonań. Z téj strony Cycero niéma do dziś dnia równego sobie, w kimby miłość mądrości z miłością ojczyzny kojarzyły się tak doskonale, a przez ten związek szlachetny nadawały całéj osnowie jakieś znamię dramatu i wielkości. Dzieła te przedewszystkiém nadają się do usposobienia młodzieży, kochającéj zapał, gdziekolwiek go znajdzie. Z młodzieżą tą, jeszcze niedotkniętą grasującym obecnie realizmem, posuniętym do krańcowości, najłatwiéj porozumie się ten pełen zapału trybun narodowy, którego wykład nikogo, chyba półumarłego dla nauki i swobody, nie pozostawia w spokoju. Młodzieży téż on głównie, pod imieniem własnego syna, poświęcił swoje *De officiis*, zakończone słowami: „Oto masz od ojca swego, ważny, jak mnie się przynajmniéj zdaje, upominek, którego ważność jednak zależéć będzie od tego, jak ty go u siebie ważyć będziesz."

Łatwo wreszcie przychodzi nam dzisiaj poznać się z Cyceronem, gdy zacnéj pamięci Rykaczewski przyswoił go naszemu językowi, a biblioteka kórnicka nie szczędziła na wydanie tłómaczenia nakładu. Rykaczewski szczęśliwie zwalczył trudności w przepolszczaniu dzieł filozoficznych, co do wyrazów i wyrażeń technicznych; ile nam zdarzyło się porównywać przekład z tekstem oryginalnym, nie odstąpił od myśli oryginału; oprócz tego, pracę swą opatrzył wstępami i notatami objaśniającemi, co wielce udostępnia zrozumienie tekstu, ale tylko pod

względem historycznym i obyczajowym. Ażeby zrozumienie to uczynić skuteczniejszém, należałoby choć krótko określić ducha każdéj szkoły, a nawet pogląd każdego pojedyńczego filozofa, na którego w wykładzie swym powołuje się Cycero, témbardziéj, że tych nazwisk, w jednym tylko traktacie *De natura Deorum*, naliczyliśmy trzydzieści ośm, wymagających tym sposobem 38 objaśnień. Język Rykaczewskiego jest płynny i poprawny; nie powiemy jednak, ażeby był dosyć artystycznym, i żeby dykcya polska odwzorowywała dostatecznie tę znaną świetność, obok prostoty, dykcyi cycerońskiéj. W każdym razie, jestto praca, którą śmiało do akademickich zaliczyć możemy, i pochlubić się nią przed sobą.

Ale jestto praca dotąd niezupełna, co do samych dzieł treści filozoficznéj. Dla ich uzupełnienia brakuje traktatów następujących: *Herennius*, o wymowie; *Trzy rozmowy o krasomówcy; Brutus*, czyli rozmowa o najznakomitszych krasomówcach; osobny traktat *Krasomówca; Topica*, czyli figury retoryczne; *O najlepszym rodzaju wymowy; Paradoxa; O państwie; O prawach; O kandydaturze;* wreszcie ułamki dzieł pisanych prozą i wierszem, nie licząc ułamków przekładu dwu rozpraw Platona, które jako tłómaczone, dosyś jeżeli zostaną wskazane. Nie wiem, czy Rykaczewski dokończył całości przekładu Cycerona; jeżeli nie, to byłoby może przyjemném zadaniem dla biblioteki kórnickiéj, która tyle już w tym przedmiocie uczyniła, powierzyć w odpowiednie ręce dokończenie dzieła Rykaczewskiego.

---

# PRZEGLĄD
# LITERATURY BELETRYSTYCZNÉJ
## za rok 1879 *).

PRZEZ

*Waleryę Marrené.*

*Dajmon*, J. I. Kraszewskiego.—*Zwierciadlana zagadka*, Deotymy.—*Cichy Janek i głośny Franek*, Lubowskiego. — *Pisma Sienkiewicza.* — *Z różnych sfer*, *Meir Ezofowicz*, Elizy Orzeszkowéj.— *Za winy nie popełnione*, Bałuckiego.— *O życie*, dramata Wł. Okońskiego. — *Franciska z Rawenny*, przez W. H.— *Przekłady*, A. E. Odyńca.—*Księgi pieśni Heinego*, przekład Al. Kraushara.

Trzecia powieść J. I. Kraszewskiego wyszła w tym roku: *Dajmon*, spokrewnia się znowu z całym cyklem poetycznych bohatérów, których

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za styczeń r. b.

począwszy od Gustawa w napisanym przed czterdziestu kilku laty utworze *Poeta i świat*, spotykamy wielu bardzo rozproszonych w dziełach naszego powieściopisarza, jak Szarski w *Powieści bez tytułu*, Justyn w *Dwu światach* i wielu innych mniéj więcéj wybitnych. Bohatér *Dajmona* Adryan należy do téj saméj rodziny duchów: będących ze światem w rozterce; niemogących się pogodzić z koniecznościami życia; nieumiejących stąpać po realnym gruncie, ani walczyć z burzami losu. Adryan, to istota słaba, wątła, bezsilna a obdarzona kolosalną dumą i większą jeszcze, jeśli to być może, miłością własną.

Nie dziw: w piersi jego gości dajmon tajemniczy, zasłania mu oczy na to co go otacza, wiedzie go w świat marzeń, snów, złudzeń, każe mu pożądać tego czego posiąść nie może, a gardzić szczęściem które się do niego garnie, i w szalonym pochodzie za tajemniczemi ideałami deptać niebacznie po kwiatach losu i po sercach ludzkich. Dajmon ten jestto dajmon poezyi.

Niestety, o dajmonie tym pisano bardzo wiele i śmiało można powiedzieć, iż żaden duch nie był więcéj spotwarzony. Czegoż-bo nie kładziono na karb jego. Wybryki społeczne i obyczajowe dziwactwa, fantazye chorobliwe, lekceważenie najświętszych obowiązków: wszystko to było jego robotą. Niejednokrotnie téż owe smutne objawy rozstrajające społeczeństwo, podszywały się pod nazwę dajmona poezyi wówczas nawet, gdy żadne arcydzieło nie dawało mniemanego prawa do ich popełnienia.

Jeśli bowiem burzliwéj pamięci Byron uświęcił niejako swoim przykładem i arcydziełami odszczepieństwa od prawowierności na jakimbądź gruncie, to może winny temu były okoliczności postronne; a najprzód ten formalny i formułkowy ówczesny świat angielski, który mięszał z sobą istotne obowiązki i ciasne pojęcia towarzyskiego kodeksu, a co gorsza, podnosił je do współrzędności, srożéj może oburzając się i karząc wykroczenie przeciwko pierwszym, niż przeciwko drugim.

Nieszczęśliwe małżeństwo z zimną, sztywną, samolubną kobietą będącą uosobieniem tych wszystkich wstrętnych poecie właściwości społecznych; z kobietą, która niedostatki własnéj natury podszywała pod nieskazitelną cnotę i stawała się tym sposobem jéj parodyą, wpłynęło także stanowczo na dalsze jego życie. Fakta podobne pobudzają do buntu nietylko poetów: działają na zmysł sprawiedliwości każdego człowieka, wywołują konieczną reakcyą, a nieszczęśliwe małżeństwo często bardzo rzuca na zgubne drogi tych nawet, co najmniéj są do nich skłonni. Jeśli więc te czynniki buntu spotkały się w wysoko wyrobionéj indywidualności z geniuszem poetycznym, nie idzie zatém by wina spadała za to jedynie na poezyą. Historya pokazuje nam przynajmniéj równą liczbę geniuszów, którzy posiadali wszystkie domowe cnoty, jak tych co wiedli szalone życie. Jestto często więcéj rzeczą temperamentu i okoliczności, niż wynikiem dajmona poezyi, tylko że talent i sława stawia ludzi na świeczniku, więc postępowanie ich ma większą doniosłość. A przytém wrażliwość, ów konieczny warunek

twórczości, podnosi do potęgi każdy dodatni lub ujemny czynnik i sprawia, iż występują też one jaskrawo w utworach. Są zresztą epoki przejściowe i burzliwe, w których zakwestyonowane są wszystkie tradycye i prawa, w których społeczeństwo drży w posadach jak ziemia, kiedy ma z niéj wulkan wytrysnąć. Wieszcze-geniusze podobnych epok muszą jéj burze odczuwać w sobie i odzwierciedlać w dziełach, nachylają się więc mimowoli pod tchnieniem prądów wieku, jak igła magnesowa ku północy.

Wszystko to jednak nie jest w ścisłym związku z *Dajmonem* Kraszewskiego, a bohatér jego Adryan, niéma nic wspólnego z owymi olbrzymiemi duchami, co cierpią bólem całéj ludzkości, co płaczą jéj łzami, chociaż przyznaje się dumnie do tego pokrewieństwa, chociaż zdaje mu się że wstępuje w ich ślady. Ale purpurowy płaszcz wielkości jakim się drapuje, co chwila spada mu z ramion; koturn wieszczy jest dla niego zbyt wielki, odwiązuje mu się od stopy, a w pośród narzuconych szat, które do niego nie pasują, ukazuje się skrzywione oblicze rozgrymaszonego dziecka. Jego zapały to chorobliwe fantazye suchotnika, a dajmona który go opętał, posądzamy mocno, że uzurpuje tylko nazwę poezyi a w rzeczywistości nosi najpospolitsze miano, gdyż zowie się poprostu samolubną pychą.

Któż z nas nie spotkał na swojéj drodze takich opętańców, co niosą nieszczęście sobie zarówno jak drugim, łamią serca które im się oddały, i wyczerpują bezmyślnie czarę życia nie na wielkie czyny, ale na gryzące troski miłości własnéj?

Takim jest Adryan. Los postawił go w najszczęśliwszych warunkach. Troskliwa, poświęcona opieka matki otacza go od kolebki, odbiera wykształcenie staranne, materyalny dostatek pozwala mu czynić zadość zachciankom, a piękna powierzchowność, wykwint obejścia i świetność umysłu jednają mu wszystkie serca. Niedość mu być bożyszczem matki, staje się nim i dla młodéj ślicznéj kuzynki Leni, która kocha go pokorną i dumną zarazem miłością. Adryan kocha ją także a przynajmniéj kochał w dzieciństwie, ale skoro ta miłość nie spotyka żadnéj przeszkody, skoro przeciwnie, małżeństwo z Lenią byłoby szczęściem dwu rodzin, chore serce Adryana odwraca się od niéj. Fakt ten daje nam miarę jego. Gdyby doznał zawodu, gdyby w zamian za czyste złoto uczucia odpłacono mu fałszywym liczmanem, lub gdyby wreszcie inna silniejsza namiętność zawładnęła jego sercem i zatarła w nim obraz pierwszéj miłości, Adryan byłby stokroć więcéj żywym i sympatycznym. Tymczasem serce jego zdaje się dotknięte kalectwem niemocy. Odwraca się od Leni pod pozorem, że on, który piastuje w myśli genialne dzieło, on poeta, on wielki, nie powinien się wiązać domowemi obowiązkami. To starczy, by dać jego miarę. On zanadto kocha siebie, by módz dać innym jakąbądź cząstkę serca. Ma on dla wszystkich jedynie samolubne uczucie dziecka, w miarę usług lub hołdów jakie mu oddają, nie widzi cierpień niczyich, lekceważy poświęcenie, wymaga ofiar i przyjmuje je bez wdzięczności, jako rzecz sobie na-

leżną. A wszystko to dzieje się niby nie w imię miłości własnéj, tylko w imię poezyi, któréj jest, a przynajmniéj sądzi się być reprezentantem. Postawiwszy się raz w tém wygodném położeniu, wyzyskuje je do ostatka. Jestto jedném słowem olbrzymia pycha zaszczepiona na olbrzymim egoizmie. Charakter wstrętny zupełnie i niemający nic z prawdziwą poezyą wspólnego, tak dalece, iż czytając *Dajmona*, przychodzi na myśl wątpliwość, czy Kraszewski nie chciał przedstawić parodyi poety. Ale dalsze karty świadczą, iż jakkolwiek autor nie szczędził mu ostrych rysów, wierzył przynajmniéj, że zdolnym był stworzyć i tworzył rzeczywiście wielkie dzieło.

Czytelnik jednak tego przekonania podzielać nie może. Wielkie dzieła zazwyczaj mają zupełnie odmienną genezę. Ten poeta noszący się pracowicie z myślą poematu, któryby wcielił dzieje ludzkości, szukający pracowiciéj jeszcze po całym świecie miejsca, któreby sprzyjało narodzinom jego, przypomina bajkę o górze w połogu. Chodzi on ciągle na szczudłach, sam przed sobą udając tę wielkość do któréj dąży, wmawiając geniusz nieobjawiony niczém, prócz ciągłych deklamacyi na prozaiczne warunki życia; słowem, na to wszystko, co nigdy nie przeszkodziło żadnemu istotnemu talentowi wypowiedzieć się w jakiémbądź dziele.

Niektórzy upatrują w bohatérze *Dajmona*, w jego kapryśném sercu i fantazyjném usposobieniu a nawet w zewnętrznych okolicznościach życia, podobieństwo do usposobienia i życia Słowackiego. Ale podobieństwo jest tu tylko pozorne; niéma w Adryanie ani jednego z tych rysów głębokich a sympatycznych, które rozsiane są w korrespondencyi naszego wielkiego poety, a które właśnie sprawiają, że pomimo licznych usterków i fantazyi, on był tym wielkim poetą. Na spróchniałém drzewie nie zrodzi się owoc żaden: istota pozbawiona strun szlachetnych i szlachetnych poczuć, może stworzyć dzieło sztuki: nie zdoła nigdy przemówić potężnym głosem tysiąców i znaleźć oddźwięk w piersiach wszystkich współbraci.

To nie fantazya tylko, to nie sama trwoga obowiązku, nie maleńka pycha stawała pomiędzy Słowackim a kobietami jakie spotykał na drodze. Było tam coś więcéj jeszcze: niemożność zharmonizowania się z niemi w zupełności. Miękka natura poety lgnęła do nich może więcéj niżby sam pragnął, a w każdym razie dużo więcéj niżby należało. Był on zmienny i kapryśny, ale nie odpychał uczucia z serca, w imię wymarzonych poetycznych obowiązków. Arcydzieła przeplatał miłostką, ale nie miał nigdy chłodnego pedantyzmu Adryana, tego pedantyzmu, który sam starczy na zmożenie natchnienia, za którém on zawsze pozostaje w pogoni.

Wbrew autorowi, mamy ochotę przysiądz że to daremnie, że poemat Adryana musi być suchy, nadęty i zimny jak on sam, bo podobny człowiek nie mógł innego napisać, albo też autor dał nam niezupełny jego wizerunek. Podobny charakter z natury swojéj jest nadzwyczaj złożony, potrzebuje więc mistrzowskiéj analizy ażeby zdołał

zapełnić książkę i zająć czytelnika. Adryan tak zanalizowany nie jest: od pierwszéj kartki mamy jego moralną miarę, ponad którą nie podnosi się nigdy i nigdzie. Co do miary jego umysłu, ta nie wypowiada się wcale; on sam i autor zapewniają nas ciągle, że poemat jego jest wielki, że zamyka w sobie losy całéj ludzkości, ale wszystkie słowa wyszłe z ust jego, nie przekraczają poza obręb najzwyczajniejszych komunałów.

Nie będziemy zastanawiać się nad tém, czy losy ludzkości są właściwym tematem poematu? czy raczéj los człowieka, któryby walki i pragnienia pewnego dziejowego momentu skupił w sobie, nie jest stokroć bardziéj zrozumiałym i wzruszającym, bo to stanowi zupełnie uboczną kwestyą. Zresztą jedyną akcyą dramatyczną powieści, jest blady romans z miss Rossą angielką; postęp suchot wytrącających z rąk poecie tak pracowicie trzymane pióro, i walka otaczających z umierającym, który skraca sobie życie, goniąc za natchnieniem do wyśpiewania ostatniéj pieśni, co ma stanowić koronę dzieła. Śmierć spotyka w końcu poetę, którego do końca czytelnik ma ochotę nazywać pseudo poetą: zrozpaczony pali on całe dzieło. Jest to ostatni akt pychy i przekory. Nieskończonego poematu nie chciał pozostawić po sobie; działalność więc całego życia, to, czemu poświęcał wszystko i wszystkich, zamyka się w garstce popiołu.

Wprawdzie walka człowieka trawionego śmiertelną chorobą, co skraca sobie życie dla dopełnienia ukochanéj pracy; bóle, porywy i wysiłki woli, które muszą towarzyszyć takiéj walce: stanowią niezmiernie dramatyczny temat, ale na to potrzeba przedewszystkiém, by zainteresował sam bohatér, oraz dzieło, któremu poświęca ostatnie chwile bytu i ostatnie tchnienia piersi. Jeśli autor nie zdoła wzbudzić w niego wiary, interes ten istnieć nie może, a niestety, jak to staraliśmy się wykazać, Adryan wiary téj nie obudza. Przedmiot ten mógłby mieć drugą równie tragiczną stronę: szamotanie się bezsilności pozującéj na geniusz, przedmiot może bliższy prawdy, częściéj spotykany, a mający żywotniejsze jeszcze znaczenie w naszym wieku, w którym nikt nie chce poprzestać na tém czém jest, a gorączka wyniesienia się pcha ludzi nieraz na tory sprzeczne z ich siłą i uzdolnieniem.

Tego zamiaru jednak Kraszewski niémiał z pewnością; nietylko bowiem poeta, ale wszyscy otaczający, ale sam autor są przekonani o prawdzie powołania i monumentalności utworu *Adryana*. Jestto więc geniusz, który czuł swą potęgę, geniusz, któremu zbrakło tylko odrobiny tchu dla wypowiedzenia się w zupełności, ofiara tajemniczego dajmona, który pożarłszy go na kształt upiora, szuka sobie miejsca w innéj piersi ludzkiéj. Takim upiorem staje się każdy dajmon, jeśli zamiast być poddanym człowieka, zostanie jego władzcą. Gdyby kwestya była jasno postawiona w ten sposób, powieść czy fantazya zyskałaby na tém niezmiernie. Tak przecież nie jest, myśl ta zrodzić się może jedynie po dojrzałéj rozwadze w głowie czytelnika. Na dajmona każdego istniało zaklęcie, które uczynić go mogło posłusznem narzę-

dziem człowieka, na dajmona poezyi takiém zaklęciem może być tylko ukochanie czegoś więcéj, niż samego siebie, własnéj sławy i własnego dzieła. Tego czynnika Adryan nie posiadał: oto podobno powód jego choroby pożerania się w sobie, a wreszcie przedwczesnéj śmierci.

Jeśli powieść ta nie dorównywa wielu innym powieściom Kraszewskiego, jeśli liczyć się nie może do jego arcydzieł, posiada tę wielką zaletę, że dotyka wysokich zagadnień chwili i jak każdy utwór podobnego nastroju budzić musi myśli, spory i starcie zdań. Jestto jedna z głównych zalet psychologicznéj powieści i to, co stawia ją stanowczo ponad wszelkie inne rodzaje, bo studyum charakteru chociażby nawet jednostronnie i niedokładnie skreślone, otwiera zawsze pole badaniom i nasuwa dalszy rozwój myśli, z których inny talent skorzystać może. A ta myśl zarówno jak dajmon przenieść się może do innéj piersi.

Dajmony, których mieszkaniem są mózgi i serca ludzkie, bywają rozmaitego rodzaju, a ilekroć zagarną pod panowanie swoje człowieka, zamiast być przez niego ujarzmione, one, co mu służyć powinny, stają się powodem jego zguby, chociażby dajmon ten, jak ów, co opętał wedle Alfreda de Musset Lorenzacya w jego pysznym dramacie, miał archanielskie oblicze.

Dajmony muszą miéć pana nad sobą, sąto siły potrzebujące rozumniejszego kierunku, tém bardziéj, im większą jest ich potęga. Inaczéj ludzie im podlegli, stają się opętańcami i sprowadzać muszą nieszczęście sobie i drugim. Ze wszystkich jednak najniebezpieczniejszym podobno jest dajmon wiedzy, jakkolwiek szlachetnym wydawać się może z pozoru. Niweczy on naprzód szczęście i spokój domowy, pożera dostatek i dobrą sławę rodziny, przyszłość dzieci, a wreszcie uczciwość i inteligencyą nieszczęśliwego, który mu się oddał w poddaństwo.

Życie takiego opętańca i postęp dajmona w jego umyśle i sercu, oddał z nieporównaną prawdą Balzac w nieśmiertelnéj powieści: *La recherche de l'absolu.* Widzimy jak dzień po dniu zachmurza się myśl i sumienie Baltazara Claës jéj bohatera, jak uczucie po uczuciu składa mu w ofierze, aż wreszcie zostaje się tylko ruiną dawnéj istoty, ze szczęśliwego męża, ojca, obywatela żebrakiem, a co gorzéj zniesławionym starcem. Daremne są usiłowania żony, córki, najbliższych; dajmona nikt zwalczyć nie może, tylko ten, co go w łonie swojém nosi i stosownie do wypadku téj walki stać się on musi panem albo niewolnikiem.

Podobną myśl przeprowadza Deotyma w swojéj ślicznéj fantazyi: *Zwierciadlana zagadka*, tylko stosownie do swojego poetycznego uzdolnienia i do bujnéj wyobraźni, przeprowadza ją w sposób więcéj plastyczny, niż analityczny Dajmon, iak Mefisto w *Fauście* dostaje cielesną szatę, staje się człowiekiem, łatwo go jednak rozpoznać pod alegoryczną nazwą profesora Hallucini.

Trzeba czytać tę śliczną zagadkę, opracowaną tak umiejętnie, wyrzeźbioną tak misternie, ażeby ocenić ile pracy musiała kosztować

autorkę, ile studyów odbyć musiała, ażeby oprzéć się na najrozmaitszych autorach, zarówno starożytnych jak obecnych i wynaleźć w nich argumenta dla swego zadania. Wszystko tu jest obmyślane starannie, począwszy od dziwnéj nazwy Halluciniego, a skończywszy na téj Mylnéj ulicy i dworku zamieszkiwanym niegdyś przez Hofmana, gdzie on cząstkę swego fantastycznego ducha zostawił, wedle teoryi mistyków i spirytystów, którą autorka widocznie studyowała także. Jednakże wywody autorki są tak logiczne, wśród fantazyi swojéj tak silnie trzyma się realnego gruntu, tak trafnie umie się posługiwać naukowemi danemi, iż czytając *Zwierciadlaną zagadkę*, utrwalenie obrazów w zwierciedle a raczéj odtworzenie tych, które się w niém kiedykolwiek odbiły, zdaje się, rzeczą naturalną i łatwą, jak np. w fantastycznych podróżach Verne'a, (które mają także za sobą prawdopodobieństwo naukowego dowodzenia) dostać się na księżyc, do środka ziemi lub na pokładzie Nautilusa odbywać podróże podmorskie.

Dcotyma pokazuje nam w ostatniéj nędzy bohatera swego opowiadania, pana Cezarego, człowieka najlepszego wychowania i towarzystwa, który straciwszy całe mienie na to, by odkryć sposób odtworzenia obrazów zwierciadlanych, pewny, że fakta te miały miejsce, traci jeszcze ostatnią iskrę dumy i godności, posuwając się do żebraniny. Obraz to strasznéj wymowy. Nie potrzebujemy badać dziejów tego człowieka, samo położenie jego, izdebka zaludniona widmami, nędza, jaka tu panuje, świadczą o potędze dajmona, który zagościł w jego piersi.

Daremnie pan Cezary chce odkrycie swoje powiązać z dobrem ludzkości i wmawia w siebie, że dla niéj pracuje. To fałsz, jemu chodzi tylko i jedynie o wynalazek, to nie dajmon miłości, to dajmon wiedzy go opętał i nie opuści, aż wypije zeń życie. Fakt ten bije w oczy. Zamiast przedstawić psychologiczny postęp zgubnéj namiętności, autorka objektywnie przedstawia jéj skutki i odmienną metodą dochodzi do tychże samych rezultatów.

Z niepospolitą zręcznością umiała ona utrzymać równowagę umysłową na ślizkim gruncie fantazyi i nie przekroczyć nigdy w opowiadaniu swojém granicy prawdopodobieństwa. Nie dała się nigdy unieść przedmiotowi, ale panowała nad nim zawsze, trzeźwa artystyczna rozwaga nie opuściła jéj ani na chwilę wśród trudnéj i znakomicie obmyślanéj akcyi. Forma opowiadania przyjęta przez nią, nadaje się téż jedynie do fantastycznych powieści, odpowiedzialność za cudowne zdarzenia, na jakich się tu węzeł dramatyczny opiera, spada tym sposobem nie na nią, tylko na pana Cezarego. Wszakże jest on pod wpływem Halluciniego.

*Zwierciadlana zagadka*, to śliczne artystyczne cacko, ta igraszka bogatéj wyobraźni, karmionéj nauką, jest prawdziwém zjawiskiem w naszéj literaturze, rzeczą zupełnie nową, a przynajmniéj pisaną zupełnie odmiennym sposobem, niżeli wszystkie fantastyczne powieści, jakie posiadamy. Nowością jest tutaj punkt naukowy; niéma tu zgoła

nic mistycznego, chyba w rozmowach o pokazywaniu się duchów i widziadeł, o ich zwyczajach i obowiązkach; ale w rezultacie kończy się na rozmowie, żaden duch się nie pojawia i nie bierze udziału w akcyi, a za to wszystko, co opowiada pan Cezary, spada na niego samego odpowiedzialność. Wszakże jedna ze słuchaczek, pani Marta, ruszała na nie ramionami... i pomiędzy czytelnikami znajdzie się wielu, co pójdą za jéj przykładem, w tém przekonaniu, że opowiadający nie jest zupełnie przy zdrowych zmysłach, że dajmon mu je pomieszał... Ale czy pan Cezary był rzeczywiście lub nie był waryatem, jestto rzeczą indywidualnego sądu i bynajmniéj nie osłabia wrażenia *Zwierciadlanéj zagadki.*

W zupełném przeciwieństwie z tym istnym klejnotem fantazyi, stoi refleksyjna powieść p. Edwarda Lubowskiego: *Cichy Janek i głośny Franek.* Pod tym *quasi* ludowym tytułem kryje się psychologiczny utwór, którego zadaniem jest antyteza i starcie dwu sprzecznych charakterów, na tle głęboko pojętych stosunków społecznych. Cichy Janek, człowiek prawdziwéj zasługi, nieskazitelnego charakteru, wielkiego serca i wielkich zdolności, ale nieśmiały i cichy, jakto sam tytuł wskazuje, wszędzie i zawsze zwyciężony jest przez swego głośnego rywala Franka.

Autor studyuje te dwa charaktery, można nawet powiedzieć, że studyuje je deterministycznie, śledząc od pierwszych lat życia wpływy, które na nich działały. Franek, jedynak, bogatych rodziców, wychowany w pieszczotach i samowoli, idzie w świat gładką drogą powodzenia, wszystko mu się uśmiecha, wszystkie zawady usuwają się przed nim. Nie dziw, posiada wszechwładny talizman naszego wieku— pieniądz. Profesorowie obchodzą się z nim inaczéj niż z Jankiem, współtowarzysze patrzą na niego także inném okiem, niż na nieśmiałego kolegę, bo pieniądz, oprócz tysiąca materyalnych rzeczy, daje nadewszystko pewność siebie, swobodę obejścia i swobodę myśli.

Janek był synem biednéj wdowy, która zapracowywała się we dnie i w nocy, aby wyżywić dzieci i dać im wychowanie. W domu spoglądał na troskę i łzy matki. Niedziw więc, że dwaj chłopcy przedstawiali we wszystkiém zupełny kontrast, że jeden był cichy i przygnębiony, gdy drugi o niczém nie wątpił.

Trzeba jednak zaznaczyć, że wpływ położenia nie zawsze działa w ten sposób; pod tłocznią konieczności nieraz hartują się charaktery, wyrabia dzielność i tę żelazną wolę, która łamie wszystkie przeszkody; dostatek zaś, usuwanie z drogi życia wszelkich trudności, wpływa niemal zawsze na zniedołężnienie człowieka, który nie spotykając walk ani przeszkód, nie przywyka myśléć o sobie, ani działać stanowczo. Powody więc, które wpłynęły na usposobienie dwu bohatérów powieści,nie są stanowcze i mogłyby równie łatwo, trafiając na różne uzdolnienia, wprost przeciwne osiągnąć rezultaty. Nędza, stosownie do charakteru, wyrabia dumę lub téż wyrabia pokorę, czyni człowieka

nieskazitelnym lub gnącym się na wszystkie strony. W każdym razie jednak uczy życia, odsłania oczy na to, co zwykle leży w ukryciu przed okiem szczęśliwych, daje poznać głębie myśli i głębie uczuć ludzkich, a téj praktycznéj mądrości cichy Janek nie osiągnął bynajmniéj ze swego położenia.

Jestto przedewszystkiém marzyciel, widzi zawsze świat rzeczywisty, nie takim, jakim jest, ale jakim odbija się w jego myśli. To téż jeszcze na ławce szkolnéj rozpoczynają się dla niego zawody, powtarzają się kolejno i koniecznie przez ciąg całego życia.

Pierwszém i najdłuższém złudzeniem Janka jest Franek, wierzy on w jego szlachetność, dobroć, przyjaźń i poświęca mu się z namiętném uczuciem, do jakiego był zdolny. Franek, który zna się na ludziach i umie się nimi posługiwać, w najwyższym stopniu wyzyskuje naiwnego kolegę; Janek pomaga mu w lekcyach, robi wypracowania, nawet w potrzebie swoje własne oddaje i cierpi za niego kary, z uczuciem, podobném do téj rozkoszy, z jakiém męczennik cierpi za swoję wiarę, bo wiarą Janka jest przyjaźń.

Ma się rozumieć, w zupełnie odmiennych warunkach wchodzą w życie obadwaj młodzi ludzie, pomimo to trwają pomiędzy nimi stosunki, w ten sposób, że kiedy Franek potrzebuje pomocy Janka, np. przy zdawaniu egzaminów w uniwersytecie, wnet przypomina sobie przyjaciela; Janek zaś nigdy nie potrzebuje Franka, a jeśliby go kiedy zapotrzebował, to zawsze tak się zdarza, że Franek jest wówczas daleko i Janek sam poradzić sobie musi.

Stosunek ten daleko częściéj istnieje pomiędzy ludźmi, niżby się zdawać mogło; stał się on nawet przysłowiowym we Francyi, gdzie mówią: pomiędzy przyjaciołmi, zwykle jeden tylko jest przyjacielem drugiego. Tutaj jednak dochodzi on do ostatecznych granic. I tak Janek słysząc przypadkiem, jak nieznani mu młodzi ludzie pomawiają Franka o haniebne przestępstwo, wyzywa jednego z nich i ranny w pojedynku, długo bardzo pokutuje za swój czyn rycerski. Franek naturalnie z tego poświęcenia zbiera owoce, a przed światem gra komedyą czułości dla tego nieocenionego przyjaciela, ma temat do wypowiadania pięknych tyrad i sentymentalnych frazesów, a świat ten tak poczciwy, tak dobroduszny, gdy chodzi o młodych dziedziców pięknéj fortuny, uwielbia jego dobre serce, aż Franek tak bardzo bierze na seryo swoją rolę, iż rzucając się na piersi zgorączkowanego Janka, przysięga mu całe życie poświęcić. Przysięga podobna do niczego przecież nie obowiązuje, a brzmi ładnie i wyciska łzy wdzięczności choremu. Zresztą łatwiéj o przysięgę, jak o istotną pomoc. To téż pomoc pieniężną nawet Franek ofiaruje w ten sposób, że ją matka Janka odrzuca.

Komedya, jaką Franek odgrywał przed światem, przed Jankiem, a może i trochę przed samym sobą, to także rys głęboki a charakterystyczny. Takich komedyantów na seryo często spotyka się w życiu i częściéj niżeli się to wydaje, ludzie oszukują się sami na własnéj wartości. Zresztą chociaż w jednych oczach uchodzić za wielkiego, za

szlachetnego, posiadać chociażby w oczach jednego człowieka wszystkie cnoty, jakich się niéma śladu w rzeczywistości, to warte jest kilku godzin czasu i kilku ładnych słówek. Franek umiał dość dobrze obrachowywać szansy życiowe, by to zrozumiéć. Wiedział on już, że przyjaźń i wdzięczność są to także moralne kapitały, które rozmaicie procentować mogą.

Daléj los rozdziela dwu młodych ludzi: Franek straciwszy ojca, jedzie na wieś objąć majątek; Janek wchodzi do domu bankiera Krudyńskiego, w charakterze nauczyciela jego syna. Krudyński, jedna z głównych powieściowych postaci, nie jestto bynajmniéj jeden z tych skąpców, co żałują pieniędzy na pożyteczne wydatki, nie należy on do tych pysznych parweniuszów, co to pragną każdego olśnić zewnętrznemi oznakami bogactw; nie jest on ani wyniosły, ani niedostępny, ani zgoła niéma żadnéj z tych śmiesznych stron, rzucających się w oczy, które dowodzą istnienia jakiéjbądź namiętności: Krudyński jestto chodząca cyfra i nic tylko cyfra, w życiu, w ludziach, w stosunkach domowych i towarzyskich, widzi on tylko pewne arytmetyczne kombinacye. A cyfra nie jest przecież ani dumną, ani tkliwą, ani zabawną, ani uprzejmą, Krudyński niczém nie różni się od niéj; wraz z cyfrą majątku swego wzrasta i nabiera znaczenia, ale nie bryzga w oczy nikomu wielkością, wié że ją posiada i to mu wystarcza. Przywykł także do tego, że wszystko na świecie kupić można, więc gdy Janek waha się z przyjęciem u niego miejsca, podwyższa z uśmiechem oznaczoną sumę wynagrodzenia, pewien, że tym sposobem usunie wszystkie trudności. Rzeczywiście tak się dzieje przynajmniéj... przynajmniéj dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto.

Ta żyjąca cyfra, bankier Krudyński ma jednak córkę piękną, łagodną, wykształconą i smutną jak Janek. Pomiędzy nią a młodym nauczycielem zawiązuje się wkrótce miłość cicha, niewyznana a głęboka, jak te dwa serca szlachetne i stworzone wzajem dla siebie; kochają się naprzód dlatego, że są młodzi oboje, a potém także dlatego, że są smutni. Panna Aniela bez matki, która odumarła ją dzieckiem, czuje się sierotą w domu ojcowskim. I nie dziw, pan Krudyński zaopatruje hojnie wszystkie potrzeby córki, dał jéj staranne wychowanie, da majątek, myśli po swojemu o jéj przyszłości, ale nigdy nie przeszło mu przez głowę zatroskać się o pragnienia młodego serca, o jego sny i bicia. Jakżeżby to wszystko zajmować go mogło, skoro zostawało poza granicami jego pojęć.

Aniela jest pod specyalną opieką ciotecznéj siostry bankiera, kobiéty lekkomyślnéj i mającéj wiele tłumionych żalów do niego, uważa więc, iż najlepszym sposobem pomszczenia się jest protegowanie romansu z nauczycielem, a to tém bardziéj, że nudziła się bardzo w zamkniętym domu Krudyńskiego i że lubiła towarzystwo młodych ludzi.

Gdyby kto był powiedział cichemu Jankowi, gdy wchodził w progi bankiera, że pokocha się w jego córce i że otrzyma wzajemność, był-

by oburzył się na podobne posądzenie i zaprzeczył, a jednak stało się to, stało się przypadkiem i popędem nieobrachowanym z góry. Wprawdzie to porozumienie się dwu serc młodych, było rzeczą bardzo łatwą do przewidzenia. Krudyński przecież jéj nie przewidział, miłość nie wchodziła do jego gry, nie doświadczył jéj nigdy. W swoim czasie będąc młodym, oświadczył się po kolei o trzy siostry w domu, w którym bywał i było mu zupełnie rzeczą obojętną, czy ożeni się ze starszą, średnią, czy najmłodszą; przypuszczał zapewne, że córka odziedziczyła jego usposobienie, nadewszystko nie mógł sobie wyobrazić, by ona pokochała się w człowieku, niemającym ani grosza majątku, a przynajmniéj, by podobna miłość mogła stanąć na wspak jego zamiarom względem jéj przyszłości.

Zajęty swemi interesami, na Anielę nie zwracał długi czas najmniejszéj uwagi, a z tego powodu czuły stosunek młodéj pary mógł trwać bardzo długo, gdyby nie to, że Anieli zdarzyła się stosowna partya i że bankier postanowił wydać ją za mąż. Starającym się o nią był Franek.

Skoro Janek dowiedział się o tém, pobiegł do mniemanego przyjaciela, opisał mu swój stosunek sercowy i zaklinał w imię dawnych przysiąg, by zaniechał swoich zamiarów. Ale Franka do wściekłości przywiodła sama myśl, że ten cichy, zawsze przyćmiony przez niego towarzysz, zyskał serce pięknéj i bogatéj panny, o którą on się starał, przyjął go więc bardzo chłodno, a żądaniu wręcz odmówił. Charakterystycznym rysem jest, że odmawiając tak prostéj rzeczy, wymaganéj nie już przez przyjaźń, ale przez prostą uczciwość, podszywa się pod szlachetne pozory i tak twierdzi on, że był już związany słowem z Krudyńskim, że zerwać go nie może bez ujmy honoru. Charakterystyczniejszą jeszcze i niezmiernie subtelną jest uwaga samego autora, iż Franek byłby zapewne całe życie sprzyjał Jankowi, gdyby go widział jak zwykle ubożuchnym, cherlającym, maluczkim i przyćmionym przez siebie, ale niemógł znieść myśli, by tenże Janek ubiegł go w czémkolwiek, dostał piękną i bogatą pannę, która na niego patrzéć nie raczyła.

Wbrew więc woli i serca Anieli, Franek popierany przez jéj ojca, stara się o jéj rękę. Bankier miał wzrok bystry, skoro tylko zwrócił na co uwagę, spostrzega łatwo zkąd pochodzi niechęć córki dla pięknego, wesołego i bogatego chłopca, którego jéj za męża przeznacza, a to tém łatwiéj, że kochankowie postępują jak prawdziwi kochankowie z komedyi i zdają się nie domyślać nawet przepaści, jaka pomiędzy nimi leży. Aniela mówi ojcu o swojém uczuciu, miłości i t. p., czyli przemawia do niego językiem równie mu obcym, jak chiński lub sanskrycki.

Staje się więc to, co w tych okolicznościach stać się musiało, Krudyński zawsze grzecznie, ale stanowczo oddala Janka ze swego domu, a on i Aniela przysięgają sobie wiekuistą miłość na przekor okrutnemu ojcu.

Dotąd wszyscy są wierni charakterowi, jaki im autor nakreślił, ale od téj chwili akcya toczy się mniéj logicznym biegiem. Aniela lękając się by ojciec nie mścił się za jéj opór na Janku, oddaje rękę Frankowi, oświadczając mu z góry, że go nienawidzi, że nim pogardza, a do śmierci kochać będzie jego dawnego przyjaciela. Franek pomimo to się z nią żeni i wywozi ją do dóbr swoich, gdzie młoda kobiéta wkrótce dostaje suchot.

Janek trawiony tęsknotą, wiedząc, że ona jest nieszczęśliwą, że mąż o nią nie dba, wybiera się przebrany do majątku, w którym zamieszkuje, za pomocą podstępu dostaje się do Anieli, widzi jéj stan zrozpaczony i chce jéj osłodzić ostatnie chwile. Zaczyna się drugi akt smutnéj sielanki, którą brutalnie przerywa powrót Franka, tak jak pierwszy przerwała interwencya Krudyńskiego.

Jakkolwiek Franek czułym małżonkiem nie jest zupełnie, pojmuje przecież iż w oczach świata nie należy mu się z tém wydawać i że jeśli chce być wiernym jego kodeksowi, powinien być przy umierającéj Anieli i okazać tym sposobem swoję dla niéj troskliwość. Oto jedyny powód jego powrotu. Ale szanując nadewszystko świat i opinią, nie może także pozwolić, by Janek spędzał z nią dni całe. Nie chodzi mu wcale o miłość żony, ale o pozory, których właśnie Aniela i Janek silni swoją niewinnością, bynajmniéj szanować nie myślą. A przytém on nienawidzi tego dawnego przyjaciela, bo go więcéj oszukać ani wyzyskać nie może, bo on przejrzał go do głębi i wypowiedział jasno swoję pogardę jeszcze wówczas, gdy starli się poraz ostatni w chwili, gdy nie chciał odstąpić Anieli. Ludzie jemu podobni nie przebaczają nigdy tym, którzy ich zdemaskować umieją.

Teraz Janek przywiedziony do ostateczności cierpieniem ukochanéj, uważa Franka za prostego zabójcę: pragnie jakimbądź kosztem uwolnić od jego tyranii policzone chwile życia Anieli.

W tych warunkach wywiązuje się pojedynek, z którego Janek wychodzi znowu z przestrzeloną ręką, a Franek z lekką kontuzyą na czole; ale ponieważ omdlał na razie, Janek sądzi, że go zabił i patrząc na mniemanego trupa, dawnego przyjaciela, czuje żal jedynie, że tego wcześniéj nie uczynił. Rzeczywiście pytanie to nasuwa się uparcie czytelnikowi. Wprawdzie w owéj pamiętnéj chwili, kiedy Janek poznał się wreszcie na moralnéj wartości Franka i rzucił mu w oczy to co o nim myślał, była także mowa o pojedynku; wówczas Franek z wyrafinowaném okrucieństwem odpowiedział, że bić się będzie dopiéro po ślubie. Ależ istnieje zawsze sposób zmuszenia do pojedynku człowieka, który się rachuje z opinią. Czemuż Janek się do niego nie uciekł, czemu zamiast znieważyć Franka na cztery oczy w jego mieszkaniu, nie uczynił tego publicznie? Naówczas albo pojedynek byłby miał miejsce przed ślubem, albo téż bankier rachujący się z opinią świata, jak z każdą potęgą, nie byłby wydał Anieli za człowieka pozbawionego czci.

Dalszy ciąg powieści łatwy do zrozumienia: Aniela umiera, Janek przebywa śmiertelną chorobę, spowodowaną więcéj jeszcze wzruszenia-

mi, jakie przechodził, niż skutkami pojedynku. Ale od téj chwili życie traci dla niego wszelki urok. Obowiązek byłby go jeszcze trzymał na ziemi. Obowiązki jednak osobiste przestały na nim ciążyć z dniem śmierci matki i zamęźciem siostr; w obowiązki społeczne wierzyć przestał, bo świat ten naraz wydał mu się jaskinią łotrostw, wielką parodyą wszystkich szlachetnych uczuć, w które wierzył niegdyś kiedy kochał i był szczęśliwy. Wszakże świat ten wielbił jego antagonistę, sankcyonował wszelką podłość uwieńczoną powodzeniem, wynosił na szczyty Krudyńskiego i Franka, dwu zabójców Anieli.

Raz tylko ocknęła się w nim energia, kiedy dzięki sławie literackiéj, jaką sobie zjednał, stronnictwo polityczne chciało go wybrać na posła i przeciwstawić jego kandydaturę, kandydaturze Franka. Jednak po świetnéj mowie do wyborców, w któréj napiętnował hańbą swego antagonistę i wypowiedział głębią swéj zbolałéj myśli, gorączkowa działalność jego upada nagle i przegrana jest mu już rzeczą obojętną zupełnie.

Złamany niepowrotnie, zniechęcony do życia, uderzony tylko ciemną i złą stroną jego, Janek jeszcze czas jakiś opiera się pokusie samobójstwa, która go coraz silniéj nagaba, opiera się jednak więcéj przez apatyą, przez wstręt do jakiegobądź czynu, niż z jakiéj racyonalnéj przyczyny lub walki. Walka zamarła w nim na zawsze. Aż wreszcie wiesza się na różowym pasku, pamiątce po ukochanéj.

Autor dodaje jeszcze epilog pełen głębokiéj, życiowéj ironii o dalszych losach Franka, który umarł w późnym wieku syt sławy i rozkoszy i na którego grób posypały się nekrologi, pełne szumnych frazesów, jakich świat nie szczędzi nigdy powodzeniu.

Nad trupem Janka odzywa się jeden z jego przyjaciół:

„Świat traci w nim prawdziwego człowieka."

Otóż przeciwko temu orzeczeniu, które streszcza pogląd autora, zaprotestować musimy w imię samychże powieściowych faktów.

Janek posiada niezaprzeczenie zacne, szlachetne serce, charakter niezachwianéj prawości i znakomitą umysłową zdolność, skoro książka jego bez protekcyi i reklamy utorowała sobie drogę na świecie i zyskała autorowi tak wielką sławę, iż stawiono jego kandydaturę na godność poselską. Ale nawet te wszystkie razem zebrane przymioty nie stanowią jeszcze człowieka, albowiem pierwszym warunkiem człowieczeństwa jest zrozumienie warunków ludzkiéj doli i przystosowanie się do niéj.

Dziwna rzecz jednak; Janek jakkolwiek wychowany wśród twardych realnych warunków, wśród walki o byt nieustanny, nie nauczył się wcale téj sztuki życia, bez któréj człowiekiem być niepodobna. Janek chodzi wśród świata i ludzi, jak gdyby ich nigdy nie widział i dziwi się nieustannie najpowszedniejszym faktom, jak gdyby one nie leżały w naturze rzeczy. Dziwi się gdy go szwajcar nie puszcza odrazu do bankiera Krudyńskiego i żąda legitymacyi; dziwi się, że zręczny Franek jego palcami wygrzebuje kasztany z ognia; dziwi się, że kiedy w zamian za to żąda od niego ofiary, odbiera odmowną odpowiedź; dzi-

wi się, gdy bankier okazuje się zupełnie obojętny na czułe zaklęcie jego i Anieli; dziwi się nawet temu, że Franek nie pozwala mu doglądać z czułą troskliwością swojéj choréj żony, jakkolwiek obadwaj wypowiedzieli sobie jasno, że są śmiertelnymi wrogami: słowem najprostsze fakta są dla niego niepojęte od początku do końca książki.

To samo już dowodzi, jak niezdolnym jest on podołać warunkom bytu, kiedy ich zrozumiéć nie może i tłómaczy poniekąd, czemu w całym biegu akcyi popełnia same niezręczności i błędy.

Jeszcze w szkołach, kiedy cierpi za Franka niesłuszną karę, cierpi ją z powodu, iż chcąc przyjść w pomoc napastowanemu przyjacielowi, podsuwa się tak niezręcznie, iż tenże przypadkiem podbija mu oko. Ten drobny fakt służyć może za godło jego całego dalszego postępowania; gdyż zawsze i wszędzie czyni on i mówi to wszystko, czego czynić i mówić nie należy.

Trudno prawdziwie było żądać, by pan Krudyński na pierwsze czułe westchnienie córki, wyrzekł się swoich planów świetnego zamęźcia i pobłogosławił jéj związek z nauczycielem syna, bo takie nagłe postanowienia i zwroty mają jedynie miejsce w sentymentalnych komedyach.

Niebyło jednak wcale rzeczą niepodobną, by z biegiem czasu, gdyby Aniela nie zezwoliła na inne śluby, a Janek dobił się sławy i niezależnego przynajmniéj stanowiska, małżeństwo to przyszło do skutku. Różnice społeczne istnieją i prawdopodobnie zawsze pod rozmaitemi formami istnieć będą, to ślepy nawet dostrzega; ale różnice te wytrwałością zwyciężone być mogą: ludzie silnéj woli łamią je, podnoszą się na wyższe stopnie w hierarchii społecznéj, a talent i sława równoważą majątek. Są to także fakta znane i codzień przykładami stwierdzane.

Aniela przecież i Janek, jak dzieci, nie pojmują zwłoki i upadają na duchu przed pierwszą przeciwnością, właśnie dlatego, że jéj przewidzieć nie umieli, że wśród życia zachowywali się jak lunatycy. Dziecinność jednak nie jest wcale znamieniem wyższości.

Janek po nieszczęśliwéj rozprawie z Frankiem, nie wiedzieć czemu przystaje na ten urągliwy warunek pojedynku *po ślubie*, a Aniela po krótkim oporze przystaje na małżeństwo uprojektowane przez ojca. Wprawdzie autor dodaje, że jest przymuszona, ależ w dzisiejszych czasach przymus istnieje dla tych tylko, którzy mu się chcą poddać. Aniela łagodna i wrażliwa cierpiałaby zapewne, opierając się woli ojca, cierpienie to jednak niczém jest w porównaniu z cierpieniem, jakie sobie i Jankowi zadać musi, wyrzekając go się na zawsze.

Uległość Anieli dałaby się tylko wytłómaczyć jakimś przymusem moralnym; tymczasem groźba ojca, że Jankowi szkodzić będzie na każdéj drodze, nie jest tutaj wcale dostatecznym motywem. Krudyński nie jest przecie wszechpotężnym, podobna groźba jest rzeczą zbyt nieokreśloną, ażeby można jéj poświęcić przyszłe szczęście własne i kochanka. Aniela, biorąc ją w dosłownem znaczeniu, jest tak samo naiwną, jak Janek, kiedy przystaje na ów poślubny pojedynek.

Fakta te mają miejsce jedynie dlatego, ażeby stało się nieszczęście, ażeby Aniela miała powód do śmierci, a Janek do samobójstwa. Są może czułe czytelniczki, dla których powód ten jest dostatecznym; nie może on jednak wystarczyć tym, którzy biorą powieść na seryo i szukają w niéj życiowéj prawdy, a nie fantazyi autora.

Franek także w téj sprawie nie postępuje logicznie. Motywa popychające go do ożenienia się z Anielą, która mówi mu z góry, że go nienawidzi, że nim pogardza, nie są dość silne. Ożenić się z kobiétą, która kocha innego, a małżonkiem pogardza, jestto rola bardzo nieprzyjemna. Człowiek popełnia podobne małżeństwo tylko wtedy, kiedy jest do tego zmuszony, ślepą namiętnością, koniecznością, lub demonicznem pragnieniem złego. Franek nie znajduje się w żadnym z tych wypadków. Nie kocha on Anieli, posag jéj nie stanowi dla niego wcale kwestyi bytu. Aniela nie jest jedyną posażną panną, którą może poślubić: jest poprostu jedną z wielu. A jakkolwiek przewrotny, jestto najpospolitszy w świecie człowiek, demoniczności w sobie niéma, ani też na nią nie choruje; przeciwnie, jest zbyt zręczny, by pozwalał sobie na wybryki złości, które tak samo, jak wybryki dobroci nie powinny wchodzić w grę człowieka, chcącego wyzyskać wszystkie szanse życia. Postępek więc ten Franka jest równie głupi, jak zły i możemy śmiało przypuścić, że także spełnia go dlatego tylko, ażeby stało się nieszczęście, ażeby Aniela umarła, a Janek się powiesił i ażeby przed śmiercią miał pole do wszystkich sentymentalno-rozpaczliwych refleksyi, jakie przed nim uczynili już Werther i Jakób Ortis, tylko uczynili w skutek ważniejszych pobudek i świetniéj nierównie, a nadewszystko uczynili niemal przed upływem całego wieku.

Tak jest, Janek jest w widocznem pokrewieństwie z temi ponurymi duchami, które rzuciły cień swojéj żałoby na początek tego stulecia, pulsują w nim tętna wielkich, zrozpaczonych, z tą przecież różnicą, że tak Göthe, jak Ugo Foscolo chcieli przedstawić charaktery melancholiczne, dotknięte nieuleczoną chorobą Weltschmerzu, gdy przeciwnie, p. Lubowski daje, a przynajmniéj stara się dać obraz pięknéj i prawidłowéj natury, którą łamie życie powszednie.

Tutaj jednak nasuwa się pytanie, czy życie to i świat po macoszemu obeszły się z Jankiem? Na pytanie to według dokumentów zawartych w powieści musimy odpowiedzieć zaprzeczeniem. Janek niémiał prawa, ani powodu się uskarżać, los dał mu wiele bardzo, dał mu wszystko prawie prócz majątku.

Miał on bystrą inteligencyą, talent, dowcip i wykształcenie, miał powierzchowność szczęśliwą, dar jednania sobie ludzi, nadewszystko zaś serdeczne ciepło domowego ogniska, matkę i siostry kochające i zupełnie oddane sobie, wierne, niezmienne kobiéce serce. Wszakże poeta wołał, że to jedno ostatnie starczy mu na szczęście życia, da mu siłę walki, rozkosz zwycięztwa, wytrwałość i męztwo.

Na okoliczności także Janek skarżyć się nie mógł; zaledwie wyszedłszy z uniwersytetu, dostał świetne pod względem materyalnym

miejsce u Krudyńskiego, a daléj kiedy wydał swoje pierwsze dzieło, odrazu zdobył sobie taką sławę, na jaką ludzie przez długie lata pracować muszą. Słowem, Janek dostał bardzo wiele od natury i losu, a jeśli zniechęcony zakończył samobójstwem, przyznać trzeba, że dary losu sam zmarnował. Oto jak się przedstawia jego historya nie wedle słów autora, ale wedle faktów.

Czy będziem mu to mieli za złe, czy potępimy go z tego powodu? Nie: ludzie różni bywają pod słońcem, a słabych daleko jest więcéj, niż silnych i los ich jest bardzo gorzki.

Tylko chcielibyśmy sprostować zdanie wyrzeczone nad trupem Janka, że świat traci w nim prawdziwego człowieka. Przeciwnie; twierdzić należało, że historya jego jestto poprostu historya niedołęgi. Nie będzie ona przez to ani mniéj dramatyczną, ani mniéj prawdziwą, tylko zamiast biografii prawdziwego człowieka, przedstawia biografią jednego z wielu, jednego z najcięższéj wydziedziczonych na tym świecie, wydziedziczonych z woli i siły do życiowéj walki, a zatém skazanych z góry pomimo najświetniejszych przymiotów na zmarnowanie.

Podobnego człowieka i jego smutne koleje opisał Gustaw Droz w bohatérze powieści *Babolain*. Babolain jednak był zupełnie ograniczony, Janek wprawdzie według zdania autora ograniczonym nie jest, ale ponieważ postępuje jakby nim był, wychodzi to zupełnie na jedno, z tą różnicą, że Babolain cierpi, nie pojmując zkąd spadają na niego ciosy, a Janek zdaje sobie z nich sprawę.

Ogólnie zarzucają powieści p. Lubowskiego spóźniony romantyzm, a nadewszystko tę smierć na różowym pasku kochanki, która nie pasuje do dzisiejszych powieściowych obyczajów. Można im odpowiedzieć, że miłość jest ową starą historyą, która wedle słów Heinego, wiekuiście nową pozostaje; że dopóki świat będzie istniał, miłość będzie zawsze jednym z głównych powodów samobójstwa, a fakta współczesne, na które często własnemi oczami patrzymy, lub które szczegółowo opisują dzienniki, stwierdzają to mnóstwem przykładów.

Szczęśliwi tego świata ci, którzy ślizgają się po powierzchni fal życiowych, nie sięgając głębi, co nie są zmuszeni koniecznością walczyć ze sprzecznemi prądami, znajdą może, iż historya a nadewszystko reflexye Janka trącą komunałem, że podobne uwagi o stanie społeczeństwa, o przemocy brutalnych okoliczności nad sercowemi i myślowemi pierwiastkami, słyszeli już tysiąckroć razy powtórzone. Ale tym także odpowiedzieć można, że jestto znowu rzecz stara a wiekuiście nowa, dla tych co ją odcierpieć muszą. Historya Janka jestto poprostu biografia istoty niestworzonéj do walki o byt, i którą ta walka strawiła, a więc przedstawia najboleśniejszy w świecie dramat dysharmonii pomiędzy uzdolnieniem człowieka a jego losem, i to stanowi wartość powieści. Wadą jéj znowu, wadą główną jest to, że sam autor przecenia widocznie charakter swego bohatéra i sądzi go równie wielkim jak nieszczęśliwym. Że czytelnik tego zdania podzielać nie może, tego staraliśmy się dowieść szczegółowym rozbiorem książki, któréj pomimo

tego kardynalnego rozdźwięku pomiędzy założeniem a wykonaniem, pomiędzy zamierzonym a otrzymanym efektem, lekko zbyć niepodobna.

Tego rodzaju zarzutu niepodobna uczynić pracom p. Sienkiewicza, rozrzuconym niegdyś po odcinkach gazet, a które dzisiaj wyszły w osobnym tomie. P. Sienkiewicz jest skończonym artystą, umie obliczać się ze środkami, zastosować je do przedmiotu, i wydaje zawsze dzieła tak wykończone, iż nie możnaby im słowa dodać, ani słowa ująć bez szkody. Wié on zawsze doskonale czego chce, do czego dąży, i idzie do swego celu niezachwianie, bez zboczeń, bez omówień: rozwaga artystyczna jest u niego zawsze w parze z twórczą siłą. *Stary sługa*, *Hania*, *Szkice węglem*, *Janko muzykant*, są to dzieła różnéj może doniosłości, ale tak świetnie przeprowadzone, wykończone tak artystycznie, iż każde w swoim rodzaju jest równie doskonałe, czy autor opowiada historyą młodych lat, młodych wpół dziecinnych wrażeń i uniesień. czy kreśli z całą potęgą realizmu opłakane a proste dzieje wieśniaczéj pary, czy wreszcie historyą rozmarzonego duchem melodyi dziecka, które ginie męczeńską śmiercią, niezrozumiałą ani dla niego samego, ani dla tych co stali się jéj sprawcami.

P. Sienkiewicz umié z dziwną trafnością zastosować środki do przedmiotu jaki opracowywa i ożywić tchnieniem talentu najdrobniejsze szczegóły powszedniego życia. Temat z pozoru najbardziéj wyczerpany, opisywany tysiąc razy, pod jego piórem nabiera świeżości, staje się zupełnie nowym, zajmuje, jak rzecz nieznana. W literaturze naszéj szczególniéj nie brak typu starego sługi, wiarusa, przywiązanego jak wyżeł do swoich państwa, co kocha ich dzieci jak własne, a więcéj niż własne bierze do serca ich kłopoty i radości. A jednak z tego tak wyzyskanego typu wysnuwa się śliczny obrazek, i stary Mikołaj staje przed czytelnikiem jakby żywy, czyto kiedy z nosem zaczerwienionym od zimna brnie przez śnieg z kuchni, niosąc dymiące garnuszki śmietanki do kawy, i tłucze je z pośpiechu widząc zajeżdżającego ze szkół na święta ukochanego panicza, czyto kiedy rozgniewany, że córka jego dawnego pułkownika zostaje żoną wiejskiego doktora, nazywa ją niezmiennie panienką; czy wreszcie gdy konając, jedyną wnuczkę swoją Hanię oddaje w opiekę rodziny pańskiéj, do któréj przyrósł sercem.

Głębokie wpatrzenie się w naturę, oto co nadaje indywidualizm postaciom powieściowym; różnica pomiędzy osobnikami należącemi do jednego typu, zasadza się na drobnych a różnolitych rysach, które talent pochwycić i odtworzyć umié.

Historya téj Hani to także najzwyczajniejsza historya młodéj dziewczyny, w któréj kocha się dwu studentów. Cóż może być pospolitszego na świecie? A jednak znowu z tego pospolitego tematu p. Sienkiewicz wysnuł cudną wiośnianą sielankę, która mieć będzie wartość dopóki serca młode uderzać będą uczuciem, dopóki w zaraniu ży-

cia płonąć będzie miłość, przyjaźń, wiara, i kipieć będzie warem krew gorąca.

Niech słabe siły, niech niedołężne umysły i cieplarniane zdolności wyszukują pracowicie ekscentrycznych charakterów i zawikłanych intryg: prawdziwy talent tego nie potrzebuje. Chwyta śmiało szarą nić codzienności i wysnuwa z niéj obrazy zahaftowane czystém złotem prawdy i téj poezyi, która drga ukryta w całym wszechświecie, w lotusowych kwiatach fantazyi jak w skromnych trawach ścielących się pod stopy; bo talent jestto owe zaklęte słowo dawnych czarodziejów, które otwierało im wzrok na skarby, ukryte w łonie ziemi, w pyle dróg wielkich lub w głębiach wód. Wszystko jest piękne, wszystko jest zajmujące, wszystko zawiera ciekawe problemata psychiczne, albotéż nic takiém nie jest. Rozpacz dziecka, któremu zburzą pracowicie z kart wznoszoną budowlę, w danéj chwili nie jest mniejszą od rozpaczy człowieka, gdy zamiary jego spełzną na niczém. A rozpacz bohatéra *Hani* Henryka, kiedy słyszy w altanie szmer słów miłosnych i pocałunków pomiędzy ukochaną a Selimem, równa się pewnie cierpieniom wszystkich sławnych bohatérów powieści, którzy byli kiedy w podobném położeniu.

Dziecinny romans, rozgrywający się pomiędzy tym trojgiem dochodzi téż wkrótce do tragicznych rozmiarów, jakkolwiek może w późniejszym wieku mogliby śmiać się z tych przedwczesnych zapałów. Fakt ten jest przeprowadzony tak naturalnie, iż nikogo dziwić nie może. Wartość téj prześlicznéj powieści polega na doskonałych psychologicznych studyach, na prawdzie uczuć i charakterów, na sile wrażeń i na téj plastyce przedstawienia, która sprawia, że Henryk, Hania, Selim, jego ojciec, a nawet podrzędne osoby, jak ksiądz Ludwik, pani d'Yves, i Kazio, stają się dla nas dobrymi znajomymi. Podzielamy ciche życie wiejskiego dworu, a późniéj, gdy pojedynek i choroba je zakłócą, podzielamy trwogę, jaka w nim panuje: drżymy o to, że przedwczesne szaleństwo tych serc młodych może się tak tragicznie zakończyć.

Stokroć mniéj sielankowym, mniéj spokojnym obrazem są *Szkice węglem*. Dzieło to dojrzalszego wieku, a jeśli nie przenosi *Hani* talentem i obrobieniem, przenosi ją o wiele doniosłością. Jestto cały bolesny dramat, dotykający ważnych społecznych zagadnień, oparty z jednéj strony na niewiadomości i ciemnocie, z drugiéj na jéj wyzyskiwaniu. Gdyby jednak rzecz rozgrywała się tylko pomiędzy temi dwoma czynnikami, byłby to najzwyczajniejszy fakt życia, którego koleje toczą się zwykle pomiędzy wyzyskującymi i wyzyskanymi; tutaj dramat ten komplikuje się świadkami, bo ci gdyby chcieli tylko, jedném słowem potrafiliby wyratować ofiary z toni nieszczęścia: oni przecież nie wyrzekają tego marnego słowa. Czy przez złą wolę? przez sprzymierzenie się z wyzyskującą stroną? Bynajmniéj: lekceważenie, obojętność na złe jakie się dzieje przecież w promieniu ich wzroku: oto jedyne czynniki powodujące ich działanie, a raczéj wstrzymujące ich działanie.

I to właśnie czyni tę prostą powieść tak prawdziwą a tak rozdzierającą.

Przecież autor nie przedstawia wyjątkowo złych lub samolubnych ludzi; przeciwnie, wszyscy oni są na swojém miejscu, postępują wedle swego poziomu, wykształcenia i moralności, właściwéj temu poziomowi, wykształceniu i położeniu.

Wójt gminy, chłop przebiegły i chciwy, pisarz gminny doskonale uchwycony, z całą sumą śmieszności i wad, które zbrodniami nazwaćby można, gdyby ten człowiek miał jasne pojęcie swoich czynów; pisarz równie przebiegły i niesumienny jak wójt, a mający na posługę swoją środki, jakie wyższy stopień cywilizacyi dał mu w rękę; daléj arendarz będący z nimi w zmowie: wszyscy sprzysięgają się na młodego zagrodnika Wawrzona Rzepę, którego piękna i młoda żona miała nieszczęście podobać się panu pisarzowi.

Ale ona kocha męża i dziecię, na pisarza patrzeć nie chce, więc pisarz układa intrygę: po pijanemu wyłudza podpis Rzepy pod pozorem prośby o las, który ma się dostać gromadzie, a w rzeczywistości na układzie, mocą którego Rzepa obowiązuje się losować za syna wójta i za niego wojskowe lata odsłużyć.

Oczywiście, podobny układ w ten sposób spisany, nie był wcale obowiązującym, ale zkądże chłop miał o tém wiedzieć? Rozpoczyna się więc smutek straszny w chacie Rzepów, smutek i wzajemna obraza, jak to często bywa pomiędzy ludźmi gdy ich cierpienie podrażni. Mąż z rozpaczy pije coraz częściéj, żona zaczyna myśleć o tém by wyplątać go z téj biédy.

Udaje się więc po radę do księdza, do dziedzica i do urzędu. P. Sienkiewicz nie popełnił powszedniéj wady autorów, chcących wywołać silne wrażenie, nie otoczył bohatérki swojéj Rzepowéj samemi wrogami lub nieprzychylnemi ludźmi. Jest on na to zbyt wielkim artystą. Tragiczność jéj losu uwidocznia się tém lepiéj, kiedy w pośród ludzi zwyczajnych, prędzéj nawet dobrych aniżeli złych, nikt nie podaje jéj pomocnéj dłoni.

Ksiądz Czyżyk jest wzorowym kapłanem; dowiedziawszy się, że zapłakana kobiéta chce się z nim widzieć, wstaje od obiadu i śpieszy do niéj. Ale cóż, ksiądz ma dla niéj duchowne pociechy, opowiada jéj łagodnie historyą Hioba, który więcéj cierpiał od niéj i jéj męża, upomina by Bogu ofiarowała swoje zgryzoty i uważała je jako karę za ciężki grzech pijaństwa, jakiego się Rzepa dopuścił, ale ludzkiéj, prostéj rady dla niéj nie znajduje.

Wówczas Rzepowa udaje się do dworu.

Dziedzic ten to także człowiek dobry, a dwór wiejski stanowi jeden z tych mistrzowskich obrazków, które wychodzą z taką prawdą z pod pióra p. Sienkiewicza. Jest tam nadewszystko znakomita para, panna Jadwiga i jéj młody kuzynek akademik; oboje romansują trochę, mówią o poezyi, cytują tkliwe wiersze Elego, przekomarzają się, sprzeczają o wartość poetyczną tego lub innego autora, ale przez głowę im

nie przejdzie wejść w położenie kobiéty, która czeka na ojca panny Jadwigi, ażeby mu swój interes przełożyć. Ojciec zaś jéj ma gości i pije z nimi spokojnie na ganku herbatę, jak się to zwykle dzieje w niedzielę, w lecie, w wiejskim dworze.

Jestto przecież dzień i godzina odpoczynku, każdy ma swoje prace i kłopoty, i nie lubi, by mu przerywano kiedy się bawi.

Rzepowa więc czeka cierpliwie aż się goście rozjadą: z wielkiego frasunku nic jeść nie mogła w południe, teraz z daleka dochodzi ją woń potraw i brzęk talerzy, a głód jéj się przypomina. Ale nikt o tém nie wié, nikt o tém nie pomyśli, i ostatecznie pomyśleć nie jest w obowiązku. Rzepowa przecież biédną nie jest.

W końcu rozjeżdżają się goście, a ona zbliża się do dziedzica. Ale cóż kiedy dziedzic zrażony głupstwem, niesumiennością i złą wiarą włościan, dał sobie słowo, że się w sprawy gminne mieszać nie będzie; i bardzo rad z tego postanowienia, które go od tysiąca kłopotów uwalnia, naturalnie dla Rzepowéj słowa swego łamać nie będzie. Rozmawia on z nią bardzo po przyjacielsku, jakkolwiek było już późno i spać mu się chciało; tłómaczy jéj, że w podobnych sprawach on przecie rozrządzać się nie może, że to należy do władz powiatowych i do tych władz odsyła Rzepową.

Zawiedziona przez swoich naturalnych opiekunów, nieszczęśliwa kobiéta idzie do powiatu. Ale tutaj zaczyna się dla niéj świat obcy i nieznany. Jest tu ona po raz pierwszy w życiu. Pełna rozpaczy i przerażenia, błąka się z dzieckiem na ręku po urzędowym gmachu; każdy się śpieszy, nikt na nią nie uważa, odsyłają ją szorstko od drzwi do drzwi, nie racząc dać informacyi: bo pocóżto baby z dziećmi włóczą się po biurach.

Po długiém błądzeniu, onieśmielona, zestrachana, gdy wreszcie staje przed naczelnikiem powiatu, nie umié zebrać myśli i porządnie a treściwie opowiedzieć o co rzecz idzie. Naczelnik przecież zapytuje ją łagodnie; ale on śpieszy się także, bo właśnie z powodu zbliżającego się poboru i on i wszyscy w biurze byli bardzo zajęci. Czeka więc chwilkę, a gdy kobiéta nie jest w stanie przyjść do słowa, ani wytłómaczyć się porządnie, wnosi że jest pijana; każe jéj przyjść jak wytrzeźwieje i idzie daléj, biadając nad nałogiem w tak młodym wieku.

Chociaż kropli wódki nie wypiła, Rzepowa rzeczywiście wychodzi z biura prawie nieprzytomna; zawiodła ją ostatnia nadzieja i to zawiodła z jéj własnéj winy. Poczucie to przygniata nieszczęśliwą kobiétę. Gorączkowa jéj energia wyczerpuje się: powraca do chaty wśród strasznéj burzy; pijak ją napastuje i rzuca na nią kamieniem, zwyczajnie jak ten który nie wié co robi. W domu zaś spotykają ją wymówki męża: Rzepa wścieka się, pije i szuka tylko przyczepki do ludzi, bo go dusi zgryzota, a czasem tylko spojrzy na żonę i przypadnie jéj do nóg i ryknie płaczem wielkim. Ale zgoda nie trwa długo, bo im obojgu jak kamień leży na sercu straszna groźba rozłąki.

Autor nie zastanawia się długo nad uczuciami bohatérów, boć i oni nie należą do tych wykształconych, co zdają sobie sprawę z najmniejszego zawiązku myśli, z wrażeń i ich pobudek. Proste jednak uczucia bywają niepohamowane; tragiczna zgroza unosi się nad chatą Rzepów, bo namiętność i rozpacz, podżegane rozpalającym trunkiem, nie przebierają w środkach: a widocznie w głowie Rzepy roją się straszne myśli.

Aż wreszcie strach ażeby mąż nie został żołnierzem, rzuca nieszczęśliwą kobiétę na pastwę pisarza gminnego; oddaje się sama za okup tego kontraktu, którym zobowiązał się zastąpić wójtowego syna, a mąż zabija ją w przystępie czarnéj rozpaczy.

W ten sposób dramat cały kończy się potworną zbrodnią; a jednak zbrodniarza winić o nią w zupełności nie można. Wina tutaj spada całém brzemieniem na tych, co jedném dobrém słowem, jedném wyciągnięciem bratniéj ręki, mogli go wydźwignąć z toni rozpaczy, a nie uczynili tego.

Gdyby ksiądz lub dziedzic, jako ludzie wykształceni, weszli w położenie kobiéty zasięgającéj ich rady; gdyby który zadał sobie pracę pojechać z nią do powiatu, ułatwił i wytłómaczył jéj położenie, kosztem małéj ofiary uczyniłby wiele dobrego.

Ogólnie twierdzono zaraz po ukazaniu się *Szkiców węglem*, kilka lat temu w odcinku jednéj z gazet, że autor tendencyjnie przedstawiał w złém świetle wyższe warstwy społeczne, i że z tego powodu widnieje w téj powieści nieznajomość stosunków wiejskich. Przeciwko zdaniu temu protestować musimy w imię sprawiedliwości. Przeciwnie, uważamy, że p. Sienkiewicz doskonale wystudyował świat jaki opisuje i trafił w samo jądro zła które go pożera, pokazując z jednéj strony zgubne skutki ciemnoty, z drugiéj obojętności.

Być może, że w wielu miejscach inteligencya ujęłaby się za pokrzywdzonym, temu z pewnością sam autor nie zaprzeczy; ale nikt nie zaprzeczy także, iż w wielu miejscach podobne fakta nie tylko mogą mieć ale mają miejsce.

W wielu razach właściciele nie mieszkają w majątkach swoich, a w wielu innych rzeczywiście odsuwają się od wszelkiéj solidarności z tym ludem, który dał im dowody nieufności, umywają ręce od spraw gminnych i pozwalają tém samém na tysiączne nadużycia.

Na stosunek ten wzajemny wpłynęło zapewne wiele okoliczności, które bezpotrzebnie byłoby wyliczać, bo są aż nadto powszechnie znane; mogą one zapewne przynajmniéj po części służyć za wymówkę dla tych, co odsunęli się od obywatelskiego obowiązku zajęcia się sprawami miejscowemi. Ale czy powody te są lub nie są słusznemi, to nie zmienia faktu, ani jego następstw. Ksiądz Czyżyk nie był temu nic winien, że nie wychodził poza zakres rzeczy duchownych, a jeżeli kto przyszedł do niego po radę, dawał radę i pociechę pobożną. Dziedzic także za to nie odpowiadał, co działo się w gminie; wszakże to właściwie do niego nie należało: miał dość własnych kłopotów i interesów.

Zapewne gdyby jeden i drugi przewidywał straszne następstwo, byłby wziął więcéj do serca prośbę Rzepowéj, ale zkądże oni mogli to przewidzieć?

Tutaj właśnie leży powód nieszczęścia. Tu leży wina tych, którzy mając więcéj światła i rozumu, powinniby chociażby w imię dobrze zrozumianego własnego interesu, wejść w potrzeby i uczucia tego świata maluczkich, będącego tak blizko nich.

A jednak, jak słusznie zauważył pan Sienkiewicz, przepaść oddzielała dwór od chat, a para młodych ludzi: strojna panna Jadwiga i pan Wiktor, chociaż na spacer szli przez wieś, nie mieli nic wspólnego z tym nizkim, poziomym, parcianym światem mieszkańców chat. Szukali oni poezyi po gwiazdach i książkach, nie przyszło im na myśl nawet, żeby ona mogła istnieć w piersi tych prostych, otaczających ich ludzi.

Zestawienie tych dwu odrębnych światów jest mistrzowskie, i wskazuje na jednę z ran naszego społeczeństwa, na ranę tém głębszą, że uchodzi powszechnéj uwagi.

Prasa peryodyczna, teatr, powieściopisarze i moraliści, wykazują bardzo wiele wad naszych: wyśmiewają francuzczyznę, życie nad stan, manią podróży i rozmaite przesądy; ale dotąd rzadko bardzo występowały przeciw temu życiu wśród abstrakcyi, które zamyka nam oczy na otaczające warunki i czyni obcemi we własném społeczeństwie. Ileż istot zmuszonych żyć na wsi, nudzi się, narzeka, a nie umié znaleźć sobie tak blizkiego, tak pożytecznego pola działalności, jakiém jest świat maluczkich i nieświadomych.

Jeśli tę obojętność na cudze cierpienia i krzywdy uogólnimy więcéj jeszcze, jeśli z tego punktu rozpatrywać będziemy stosunki na szerszéj widowni świata, przekonamy się, że jestto może jeden z najszkodliwszych i najbardziéj powszechnych czynników. Ludzie są rzadko bardzo złymi zupełnie, ale cóż ztąd, kiedy najczęściéj obojętność dobrych zostawia złym wolne pole działania.

W tém miniaturowém społeczeństwie, przedstawionćm przez pana Sienkiewicza, właściwie złym jest jeden Zołzikiewicz, który także zapewne nie przeczuwa strasznych skutków swego podstępu.

Prawdziwie, do całego światka, wśród którego rozgrywa się krwawy dramat śmierci Rzepowéj, możnaby zastosować ten wiersz z bajki Krasickiego:

Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie!

Tą myślą tchną nietylko *Szkice węglem*, ale także maleńki a prześliczny obrazek, p. t.: *Janko muzykant*. Krótkie to, ale rozdzierające dzieje biédnego dziecka, opętanego iście od dajmona dźwięku.

Chudy, blady, wątły i nierozgarnięty Janek, na jedno tylko miał zmysł i poczucie — na muzykę. Dla niego grał wicher w gałęziach drzew i w gąszczach boru, grała woda w strumieniu i owady na wiosnę wzbijające się w złociste od słońca powietrze; grały wszystkie głosy

natury, odzywające się wśród Bożego świata. I zamiast wykonywać porządnie jaką pożyteczną pracę, wiecznie stawał wśród niej zasłuchany w jakieś dźwięki dla niego tylko wyraźne.

Nic podobno gorszego na świecie, jak talent źle umieszczony; otóż ten dar podchwytywania dźwięków, które w inném położeniu społeczném byłoby może chlubą, sławą i majątkiem dla Janka, okazywał się fatalnym darem. Bił go ekonom, gdy zamiast roboty, słuchał tajemniczego grania powietrza; bili go ludzie, gdy w lesie, zamiast pilnować bydła, zajmował się szeptem liści i swarem gałęzi: biła go i matka za to samo. Ale wszystko było daremne: chłopak się nie poprawiał, był co się zowie do niczego i tylko w głowie było mu granie i granie.

Na wiosnę kręcił sobie ligawki z wierzbiny, a marzeniem życia jego (boć każdy ma swoje marzenia!) było mieć w ręku skrzypki i na nich wygrywać, jak słyszał że nieraz wygrywali w karczmie w niedzielę.

We dworze były takie skrzypki, a posiadał je lokaj i miał czas na nich grywać dowoli, bo państwo byli zagranicą. Te skrzypki nęciły Janka jak istna pokusa, żeby choć raz je mieć w ręku i sprobować wygrać to co słyszał wokoło. Te skrzypce stały się powodem jego zguby, bo raz zakradł się do kredensu wśród nocy.... i cóż? wzięto Janka za złodzieja, stawiono na sąd do wójta, a wójt niechcąc mu robić wielkiéj krzywdy, machnął ręką i kazał stójce Stachowi, żeby mu dał pamiątkę; a na trzeci dzień po téj pamiątce chłopak skonał.

Stach miał ciężką rękę, dziecko było wątłe i słabe: oto wszystko. A przez ten czas kiedy się to działo w wiosce, pan i pani byli we Włoszech i zachwycali się tym szczęśliwym krajem, gdzie można tak łatwo spotkać się z wielkim talentem i zaprotegować go.

Te kilka słów ostatnich spokrewnia *Janka* ze *Szkicami węglem*, snadź jeden i drugi obraz natchniony był jedném uczuciem; a złożywszy książkę, przychodzi na myśl przypowieść o tych, co mają oczy a nie widzą, uszy a nie słyszą, bo nie chcą patrzeć na to co się wkoło nich dzieje, ani słyszeć tego co ich otacza. Jestto jedno z największych kalectw naszéj inteligencyi.

Pomimo to, nie można nazwać powieści p. Sienkiewicza tendencyjnemi. On opisuje fakta, fakta nie naciągane wcale, a jeśli fakta te nasuwają myśli, to jestto znamieniem wspólném wszystkich faktów życiowych, dobrze obserwowanych.

(*Dokończenie nastąpi*).

# KALEWALA.

## EPOS NARODOWE FINNÓW *).

PRZEZ

*Feliksa Jezierskiego.*

Przechodzimy do najjaskrawszéj postaci—do trzeciego bohatéra: Kullerwo. Geniuszowi Runoi widocznie tu rozszerzają się skrzydła; gdyby nie jakieś, prawie przypadkowe ogniwo, którém przygody Kullerwa stykają się z losami Ilmarynena i jego małżonki, możnaby następujące sześć run o Kullerwie uważać za obraz oddzielony ramami od całości.

Kullerwo, może najwięcéj z czterech przodowych osób nadaje się do nastroju naszego poety. Jestto charakter najdaléj odsunięty od owego świata, który, podług znanego podziału Wikona (*la Scienza Nuova*) przypadałby na *wiek boski.* Kolosalność, jeszcze głęboko mityczna, w jakiéj się przedstawiał Wajnamojnen, wymiary nadprzyrodzone, znikają przed nami na widok Kullerwa, a natomiast mamy olbrzyma na miarę ludzką.

Synowiec Untama Kullerwo, jako mąż, już nie boskiego, lecz heroicznego okresu, może niéma równoważnego sobie nigdzie w eposie pierwotnym. W dramacie greckim, w *Nibelungach;* a bliżéj nas sięgając: w *Miltonie* spotykamy jakoby odrębne członki tego typu: nieszczęścia, zbrodni i rozpaczy, choć może w wyższéj potędze. Tło powieści jest następujące (jego początek powtarzamy dosłownie):

„Matka zagania swoje kurczęta, zagania stado swych łabędzi; kurczęta spędza pod parkan, a łabędzie na rzekę. Przylatuje orzeł i płoszy je; przylatuje jastrząb i rozpędza; przylatuje sokół i porywa je. Tego niesie do Karyoli, tego uprowadza na ziemię Rusów, trzeciego zostawia w ojczyźnie."

To znaczy, że była sobie gromadka synów, którzy rozeszli się po świecie. Ten co został w ojczyznie, imieniem Untamojnen, chował się na nieszczęście ojca, na boleści serca matki... Untamojnen podnosi rękę przeciw bratu swojemu, sprowadza na niego bojowników i zabija brata wraz z jego obrońcami. Z całego domu brata pozostała tylko żona zabitego—wyrzucona z siedziby męża, zostaje niewolnicą w domu szwagra: zamiata izby i sklepiska... Po kilku tygodniach niewoli, rodzi ona pogrobowca. Był to Kullerwo, który już w kolebce poprzysiągł zemścić się na stryju za śmierć ojca. Nie uszły oka bratobójcy zło-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za styczeń r. b.

wieszcze spojrzenia dziecka. Co może, to obmyśla on na zabicie ducha w téj sierocie. To go każe w beczce rzucić na morze i topić, ale sierota, zamiast utonąć, zarzuca wędkę na ryby. To go przeznacza na piastuna dzieci swoich, to na stróża trzód swoich. Wszystko nadaremnie. Wreszcie sprzedaje go, jako niewolnika Ilmarynenowi. „Sługa kupiony za złoto, odzywa się dumna, już podstarzała gospodyni, na co on mi się przyda?... Ha, niech mi pilnuje stada." Wypycha go więc w pole ze stadem, upiekłszy mu na strawę wielki kęs chleba z mąki u dołu owsianéj, u wierzchu pszennéj, a w ośrodku był... kamień. „Słuchaj, Kullerwo (tak gospodyni nakazuje mu na drogę) ten chleb zjesz mi nie pierwéj, aż stado zajdzie do lasu."

Nieszczęśliwa! dlaczego to uczyniła? dlaczego śpiącego w téj, już skrzywionéj duszy złego ducha (hiizi) rozdrażniła szyderstwém? Był to bezwątpienia jeszcze jeden wybuch plemiennéj nienawiści, ostatnie żądło laponki, co to wypuszczone i życie za sobą wyciąga. Wysyłając nieszczęsnego sierotę z kęsem chleba kamiennego, laponka nie zapomniała jednak o modlitwie. Prześliczny to ustęp.

Kullerwo wychodzi na dalekie pastwisko, słońce go pali, znój dręczy, głód i pragnienie. Ogryza korę z sosen i jodeł, szczypie trawę, zdziebełka zbiera i żuje, sok wysysa ze skóry drzew. Aż nakoniec dostał się do lasu. Wydobywa nóż, kraje chléb; rozkroić nie może; nóż łamie się na kamiennym ośrodku: nóż, ostatnia pamiątka po jego plemieniu! Zrozumiał Kullerwo, że godzina jego nadeszła, godzina pierwszéj zemsty. Wpędza więc bydło na bagno, a zamiast niego, zaczarowywa niedźwiedzie i wilki i wieczorem zagania do domu. Gospodyni przychodzi wieczorem do obory dla wydojenia krów—a Kullerwo niecierpliwie wyglądał téj chwili, jak gospodyni wyglądała chwili dojenia. Biedna złośnica! a tak się cieszyła, słysząc jeszcze z daleka dźwięk różka, na którym mściwy pastuch przygrywał trzodzie i wydziwić się nie może, zkąd nienawistny chłopiec dostać mógł róg wołowy? Wchodzi więc pomiędzy bydło—a już było po zachodzie: pociąga za wymię raz, drugi i trzeci: wilki i niedźwiedzie rzucają się na nią i szarpać zaczynają.

„Ach! Kullerwo, pasterzu niepoczciwy, nagnałeś mi stado wilków i niedźwiedzi." „Ach! niepoczciwa gospodyni, odpowiada mściwiec, pastucha nakarmiłaś chlebem kamiennym, o który złamał się nóż, ostatnia pamiątka po mojém plemieniu." „Pastuszku, luby pastuszku, ucisz gniew, odwołaj słowa czaru, wybaw mię od paszczy wilka, od łap niedźwiedzia. Ja ci nową koszulę podaruję, masła dam i chleba pszennego; mlekiem napoję, na jeden rok zwolnię od pracy, drugi rok sama karmić będę. Jeżeli nie odczynisz czaru, to się nabawię śmierci, w ziemię się obrócę." „Umrzesz? to umiéraj coprędzéj. Dla umarłych tam, pod ziemią jest miejsce u Kalmy." Żona Ilmarynena, szarpana przez wilki i niedźwiedzie, skonała (XXXIII).

Kullerwo tymczasem puszcza się do lasu na tułactwo, osłodzone na chwilę urokiem świeżo dokonanéj pierwszéj zemsty: a czeka jeszcze

inna w przyszłości. Mroczało zwolna, wreszcie zupełny mrok zapada. Tułacz kładzie się pod drzewem i rozmyśla nad swoją niedolą.

I już zrywał się w podróż na odszukanie domu Untama, dla spalenia go i zgładzenia tam wszystkiego. Wtém zatrzymuje go staruszka, obiecuje doprowadzić do rodziców i oznajmia, że rodzice, brat i siostra jeszcze żyją. Odszukawszy dom rodziców, Kullerwo dowiaduje się od matki, że starsza siostra wybrawszy się kiedyś na jagody do boru, zginęła. Z początku zdawało się, że tułacz odżyje, uspokoi się. Inaczéj się stało. Robota szła mu oporem, przestwór daleki wabił go w swoje objęcia, spokojność zmęczyła. Ojciec tedy wyprawia go na odbieranie podatków.

Runa XXXV opisuje przygody podróży. Nie obeszło się tam i bez przygody miłosnéj. Na dalekich błoniach lodowatych, na samym spadku pobrzeża morskiego, około sanek Kullerwa przechodzi dziewczątko; w piękném obuwiu brnie po śniegu, po tych zamarłych błoniach, po których przed wieki przeszedł Wajnamojnen.

„Najpiękniejsza, woła Kullerwo, wstąp do moich sani, spocznij na rozesłaném futrze." Odbiegło dziewczę rozdąsane, krzycząc: „niech tam śmierć wstąpi do twoich sani: choroba na twoje futro." Kullerwo, syn Kullerwa, zaciął konia rózgą, zaciął biczem o trzonku perłowym: szybko pędzą konie po białéj drodze, szumią łyżwy pod saniami. Co spotka dziewczę, to powtarza swoje: a każda odcina mu się to „chorobą, to śmiercią, to bogińkami: Tuoni, Manalai (=podziemne bóstwa).

W końcu nie ścierpiał już zuchwałéj, rzuca się z sani i przemocą porywa jednę z nich i usadza na futrach. „Płwam na twoje sanie, wykrzykuje branka, mroźno mi na futrze twoim, truchleję na saniach twoich; wypuść dziecko z rąk, bo cię przeklnę." Kullerwo wtedy wydostaje skrzynkę z sani, zdejmuje pokrywę, a tam—piękne srebra, pyszne suknie, pasy ze srebrną naszywką, wstęgi ze złotemi prążkami... Więc nie Kullerwo, ale szaty drogocenne, ale wstęgi nawpół złote, ale taśmy srebrne uwiodły dziewczynę; zaślepiły, zabiły. Zapytana o ród swój, dziewczę bezwiednie odkrywa straszną tajemnicę... Poeta nowszego świata słowo zagadki położyłby na samym końcu. Poeta pierwotny nie odkłada ciosu śmierci—piorun uderza na samym wstępie.

Już świtać poczęło; pomiędzy Kullerwem a nieznajomą towarzyszką zawiązuje się rozmowa:

Ot, niebawem dzień nastanie,
Bóg przemądry dał świtanie:
Więc pogwarzmy, skoro świta.
„Hej, ty śmiałku, dziewczę pyta,
Toż niech mowa mię nie zwodzi:
Wynurz mi się, kto cię rodzi?
Bo zdaje się, że szczep wielki,
Z rodzica i rodzicielki."
Ujął uzdę w ręce obie,

Usta jego nie kłamały:
„Szczep, powiadasz? ot tak sobie,
Ani wielki, ani mały;
Średnie gniazdo w bożym świecie;
Mniéj tam iskier, więcéj cienia:
Ja—jestem Kallerwy dziecię,
Dziecię szału, zatracenia,
Czarnéj doli i rozpusty,
Płód rzucony gdzieś na stepie...
Teraz niekłamczemi usty,
Powiedz ty o swoim szczepie:
Jakiegośto gniazda? rodu?
Czy ze wschodu, czy z zachodu?"
— Ta, z pochwianiem ciężkiéj głowy
Odpowiada temi słowy:

„Nie wiem ty zuchwały,
Nic Średnienój ród, nie mały,
Średnie gniazdo w bożym świecie:
Mniéj tam iskier, niźli cienia;
Jam Kallerwy nędzne dziecię,
Dziecię szału, zatracenia.

Nie dorosłszy w matki domu,
Ja, niewiedna co to smutki:
W bory zaszłam pokryjomu,
Na poziomki, na jagódki...
Biegnę; w górach, rwę maliny,
Na padołach, żurawiny;
Rwę, a biegam przez dzień cały,
Acz i oczy się zdrzemały.
Zszedł dzień drugi, trzeci, czwarty:
Gdzie tu wracać? ślad zatarty,
Wszystkie drogi i drożyny
W odmęt wabią, w głąb gestwiny.
Błądzę—a tu mi łez strugi
Płyną, płyną, dzień i drugi;
Aż kiedyś, o szarym świcie,
Staję ja na wzgórnym szczycie:
I krzyczę: „biadaż mnie biada!
A tu las mi odpowiada:

„Oszalałaś ty, że lęku
Wybijasz mię wrzaskiem z ciszy?
Nikt tam, w chacie, twego jęku,
Nikt wołania nie dosłyszy."

„Pięć minęło dni; na szósty—
Nie kłamczemi mówię usty,

Ze tą nędzną kłodą ciała
Na śmierć-em się rzucić chciała,
Na śmierć!... daremnie, daremnie:
Śmierć odstąpiła odemnie!
Bodaj, wśród drzewnéj czeredy
Bodajbym skonała wtedy.
Kto wie—może, pierwszéj wiosny,
Możebym drugiego latka
Wykluła się w igle sosny,
Wykwitła w liściu bławatka;
Lub wyrosła na kalinę,
Na czerwienną żurawinę,
Nie płonęła wstydem lica,
Zhańbiona ja żałośnica!"
Ledwie umilkł głos jéj skargi,
Zacięła zsiniałe wargi;
W szaleństwie wypada z sani,
Pędzi lotem ku otchłani:
W iskrzącą bezdeń się rzuca;
W wodospadu czarne płuca.
Tam (wybrnąwszy zpopod wieka
Ogniem buchającéj toni),
Na sierotę śmierć już czeka:
Pokój, w królestwach Tuoni.

A on? twarzą padł do ziemi,
Jęknął piersiami całemi,
I zanosi się od płaczu:
„O! Kullerwo! o, tułaczu!
Na takąż to zchodzisz dolę
Wyrzucone ty pacholę!
Matko! ojcze siwo-głowy,
Otom przekląć was gotowy.
Potożeście, w czarnéj chwili
Na ten świat mię porodzili?
Bodajbym gwiazd był nie zoczył,
A po ziemi tej nie kroczył;
A w szaty się nie oblekał,
A urodzin nie doczekał.
Źle, źle śmierć poczęła sobie,
Że nie zgniotła mię w chorobie;
Nie zdusiła w uściśnieniu,
W drugą noc po urodzeniu."

Do tych krwawych słów dodajmy przypuszczalne draperye królewskości Edypowéj, a miéć będziemy majestat dramatu greckiego. Odczuć wszystkie fazy męczeństw życia wewnętrznego, poeta pierwot-

ny był w stanie; ale sformułować się w straszliwą samowiedzę zgrozy moralnéj, to już przechodzi jego stanowisko. Przestwór akcyi, ocean namiętności, to są pola, na których przelot starczyła intuicya pierwotna; ale dno oceanu i w ogóle kierunek w głębią, należy już do poetów drugiéj kreacyi. Może dla zadosyćuczynienia wymogom sztuki ze stanowiska owoczesnych kompetencyi, możebyśmy tu żądali tego, co świat starożytny nazywał *katarsis* (ekspiacyą)? może Eumenid, co to biczowały sumienie, ukształtowawszy się na piekielne potęgi? co to wyrzucone na zewnątrz, uprzedmiotowane aż do dotykalności, pastwiły się nad tym mózgiem właśnie, który je od bólu wysadził z siebie? Mamy tu i Eumenidy, ale wytworzone prościéj, z bezpośredniejszych pierwiastków:

Kullerwo dopędza do domu; staje przed oczyma matki:

„Matko, matko! coś dni krocie
Nosiła mię w swym żywocie;
Raczéj, póki była pora,
Po powiciu, mnie potwora
Raczéj było, moja złota,
Z ludzkich oczu uprowadzić,
W dymie łaźni mię usadzić,
A zatrzasnąć drzwi i wrota;
Udusić w dymu wybuchach,
A nie w dymie, to w pieluchach:
A nie, to podsadzić szczypki
Pod biegun mojéj kolébki,
Spalić mię, jak garść łuczywa...
Tak, tak, matko nieszczęśliwa."
„Lud się zchodzi, sioło pyta:
Przecz kolebki brak w komnacie
Łaźnia deskami zabita."
Ty im na to: „ot gadanie:
Piec rozgrzała mi kołyska,
Ziarno suszę, niech kłem pryska,
A tam w łaźni, w ciepłéj parze,
Dziś na słód jęczmiona prażę."
„Synu, kto ci duszę skłócił,
(Pyta matka, a łzę roni),
Ach! doprawdy... czyś ty wrócił
Do mnie z podwórca Tuoni?

Kullerwo wyznaje wszystko i tak kończy:

...O! nieszczęsna, o! kochana,
Rzuciła się w wód objęcie;
Kędy wir i czarna piana
Przewalają się w odmęcie;
Już ja, ani sobą władnę,
Ani rozumem odgadnę

Gdzie tu znaleźć śmierć, gdzie? chyba
W wilczym kle na gołoledzi,
Chyba w paszczęce niedźwiedzi,
Albo w trzewiach wieloryba."

Porywa się do miecza, na samobójstwo.

Matka powstrzymuje go, namawia, aby puścił się w przestworze świata, bo „Saomi (ziemia Finnów), jest tak rozległą, że hańbę człowieka osłonić i ukryć jest w stanie." „Nie pójdę do Saomi, odpowiada jéj szaleniec, nie pójdę do Sawo (=Sawotar, część wschodniéj ziemi Finnów), pójdę do kraju Untamo (do stryja), i pomszczę się." Odchodząc, zapytuje z kolei siostry, brata, ojca, czy będą po nim płakać, jeżeli usłyszą, że umarł. Odpowiadają mu z kolei wszyscy, że ani łzy po nim nie wyleją, tak wszystkich oburzał na siebie. „Nigdy, mówi ojciec, nie pożałuję ciebie; jeśli usłyszę, żeś umarł, spłodzę innego syna, stokroć lepszego." „Ani ja po tobie nie zapłaczę, odpowiada Kullerwo, a jeśli usłyszę, żeś umarł, uczynię sobie innego ojca: usta i głowę jego z gliny i kamieni; oczy z jagód bagniska; brodę ze ścierniów; nogi z gałęzi wierzbowych; ciało z drzew przegniłych."

Podobna wymiana uczuć z bratem i z siostrą, jednakże nowa siostra ma dostać „uszy z kwiatów wodnych, a ciało z gałęzi klonowych"... A matka? Matka w epopei Finnów, to bogini królująca nad potęgami ich świata moralnego, przedwzór anioła chrześcian; pomiędzy matką a synem nawet jędze sumienia w pośrodku stanąć nie śmieją. Kullerwo i do niéj z kolei zwraca się z tém samém zapytaniem:

„O! ty jedna i jedyna,
Ty, coś w poranku żywota
Na pasku wodziła syna,
Czy choć *tobie*, moja złota,
Rzewna łza oczęta zmyje,
Na to hasło: „już nie żyje!"

„Synu, odpowiada mu staruszka, nie znasz ty serca matki; będę płakała, gdy usłyszę żeś umarł, żeś zginął z domu twojego i plemienia twojego, aż izba spłynie, sklepisko zatonie pod łzami, na każdéj ulicy płakać będę, w stajni i oborze, aż śnieg stopnieje i gleba zzielenieje od płaczu mojego; a kiedy już płakać nie będę mogła przed oczami ludzkiemi, to w łaźni płakać będę."

Kullerwo puszcza się w podróż na spełnienie zemsty. Po drodze dochodzi go wieść po wieści: „Kullerwo, ojciec twój już umarł, pójdź tam i zobacz, jak chowają umarłego;" „ha! niech sobie umiera, jest tam klacz stara, co go odwiezie do grobu, do łona Kalmy." „Kullerwo, brat twój już umarł i t. d.;" „jest tam źrebak, odpowiada Kullerwo, co go odwiezie." „Kullerwo, siostra twoja umarła;" „jest tam klacz, co ją odwiezie." „Kullerwo, matka twoja umarła, pójdź i zobacz, jak umarłą chowają." Na tę wiadomość, kamienne serce tajać w nim poczęło; po śmierci matki już utulić się nie mógł.

Tak z krwią miota jęk bez przerwy
Nieszczęśliwy syn Kallerwy:
„Skonała — o! moje złoto!
Zostawiła mię sierotą.
Matko! a któżto w komorze,
Kto uścielał moje łoże
Z wonnéj trawki, miękkiéj sierci?
Ciepłą nakrywał oponą,
Zmywał sprzęty, wiódł wrzeciono?
A ja, nie byłem przy śmierci!
Bezemnie oddałaś ducha;
A może mróz, zawierucha,
Piorun, trupem cię położył,
Na przednowku głód zamorzył!
Ach! obmyjcież domownicy,
Przeczystą wodą krynicy;
Spowijcie ją w szaty lniane,
W jedwabiowe prześcieradło,
Aby ciało ukochane
Wolno w Kalmy toń zapadło.
Piosnka, piosnka, moi mili,
Niech się nad jéj grobem kwili;
Ja... nie pójdę... aż to ramie
Zbroczy pomsta na Untamie!
Ja nie pójdę, aż źrenicę
Widmem śmierci, krwią nasycę!"
Biegł i ginął gdzieś w oddala,
A wiodła go tylko ścieżka
I ten jeden Bóg, Jumala,
Co na wysokościach mieszka.
„Ach! daremnież będę wołał?
Potężny Ukko-Imala,
Miecz mi ześlij z ostrzem lśniącém,
Abym krociom dziś podołał,
Nie ugiął się przed tysiącem."
Ot, i zdobył miecz nad miecze,
Głownią lśniwą tłumy siecze,
Trupem kładzie lud Untama:
Bramy, spichrze, izba sama
W ognia falach się topiły,
Tylko świecą zgliszcza pyły,
Czarny kadłub od komina
I w podwórcu jarzębina.
I znów biegnie syn Kallerwy;
Tam, do chaty biegł bez przerwy,

Do izby ojca swojego,
Śmugów pola matczynego.
Pustką leży polne staje;
Pustą izbę pustka chłodzi;
Nikt mu ręki nie podaje,
Nikt z uściskiem nie wychodzi.
Chciał uścisnąć węglów stosy:
Zimne—siwy pył je kryje;
„Ha, zawołał w niebogłosy:
Więc mateczka już nie żyje!"
Do pieca rękę przykłada:
Zimny—szary szron go kryje.
„Biada mi nędznemu, biada;
Więc i ojciec już nie żyje!"
Spojrzał w ziemię, a tam, świeci
Pasmo kurzu, płachta śmieci;
Ciężka boleść dech mu sparła:
„Ha, więc siostra już umarła!"
Ani spichrza, ani płota,
Pustka, słup za słupem gnije;
Zrozumiał, jęknął sierota:
„Więc i brat mój już nie żyje!
Nikt a nikt..." i szemrał gorzko
Nad mateczką, nad nieboszką:
„O! prześliczna moja miła,
Cożeś ty mnie po żywocie,
Co, mateczko mnie sierocie
Na tym świecie zostawiła.
Oj! nie słyszy pierś rodzima,
Choćbym przemówił oczyma,
Użalał się ócz rzęsami,
Nawoływał powiekami."
— Otóż nie: na podziw ludzi,
Acz ją zimna więzi bryła,
Słyszy, i w grobie się budzi
I odpowiedź mu zasyła:
„Synu, wszakem zostawiła
Psa czarnego, niech on radzi,
Niech cię borem zaprowadzi
Na dwór modréj Katajatar,
Księżny lasów; gdzie granica
Jest światłości, wieczne cienie,
Gdzie jest borów wszechstolica:
Tam, u modréj Katajatar
Wyproś sobie opatrzenie."

Tedy, z czarnym psem przy boku,
Nie zbaczając w żadną stronę,
Kroczy po jodłowym mroku,
A tu gąszcze niezmierzone.
Niedaleko on ukroczył:
Ot—i zoczył... a co zoczył?
Wzgórze... mózg się w nim rozżarzył
Do wściekłości... tu są świadki...
I patrzyły jak znieważył,
Córkę biedną własnéj matki!
Tu darń leśna, tu barwinki,
Sosen igły, brzózek liście
Opłakują uroczyście
Hańbę i rozpacz dziewczynki;
Trawki płaczą miłosiernie;
A na wzgórzu? o! tam ściernie
Nową trawką nie porosło,
Ziele główki nie podniosło.
„Płaczcie darnie, zioła, kwiatki,
Tum ja spełnił straszną zbrodnię,
Tu znieważyłem wyrodnie
Biédne dziecię mojéj matki."
I struchlał na myśl o siostrze,
Chwyta miecz, iskrawe ostrze
Opatruje z każdéj strony,
Co téż myśli głownia lśniwa,
Czy jéj żądza nie porywa
Wiarołomną pierś rozkroić?
Krwią złoczyńcy się napoić?
Nie darmo on miecz swój bada,
Miecz nie ogłuchł, nie oniemiał,
Odgadł myśl, więc odpowiada:
„Kullerwo! czemużbym niémiał
Zbrodniczéj piersi rozkroić?
Występną krwią się napoić?
Tyle prawych ciał zabijam
I niewinnéj krwi wypijam."
I miecz, ze wściekłą boleścią
Sparł na glebie rękojeścią,
Gałkę miecza wbił pod darnie,
Ostrze utkwił w pierś wszechsiłą...
Przeszły mdłości, żal, męczarnie,
Śmierć—i wszystko się skończyło!
Takim to był kres młodziana;
Taką, sroga, opłakana,

Niedostojna acz dostojna
Śmierć Kullerwa Kullerwojna...
— O! woła z pochwianiem głowy
Wajnamojnen przedwiekowy,
(Gdy go o tułacza zgonie
Doszła wieść w dalekiéj stronie).
„O! na smutne dzieje pomny,
Słuchaj mię, ludu potomny!
Niechże losy cię ustrzegą,
Abyś sam, ku przyszłéj męce,
Śmiał powierzyć cudzéj ręce:
Kołysanie dziecka twego."

Po sześciu runach, poświęconych przygodom Kullerwy i bezwątpienia najwydatniejszych w całym poemacie, wracamy z poetą do Ilmarynena. Jeżeli czytelnik wyrozumiał naszą charakterystykę téj postaci i typową jéj rolę w epopei, tedy i w następnym ciągu nie napotka on takiego rysu, któryby z tą charakterystyką stał w sprzeczności. Ilmarynen opłakuje żonę, rozszarpaną przez wilki i niedźwiedzie, ale sama ta żałość równie jest typową. Cóż zamyśla on na stłumienie żalu? Oto chwyta swoje przyrządy wulkaniczne, spędza czeladź do gromadzenia stosu węgli, zasadza ją do miechów, nakłada miedź, złoto, srebro i żelazo, topi i kuje dniem i nocą, oglądając, jaki mu posąg ukaże się z mistrzowskiéj kuźni. Kolejno ulewają się tam postacie rozlicznych zwierząt: to zając, to koń, to owca; on zająca i konia i owcę spycha napowrót do ognia. Aż nakoniec, pod dęciem miechów, z masy stopionéj wytwarza się postać najpiękniejszéj dziewicy. Ale nie jestto owa grecka, półidealna piękność z kości słoniowéj, dla któréj niegdyś Pigmalion wymodlił życie u Afrodyty. Jestto ideał wdzięków zmysłowych. Nasz Wulkan nie troszczy się o duchowe dopełnienie bronzowéj kobiéty, niepokoi go tylko to, że „ot piękna kobiéta, ma ręce i nóżki, ale nóżkami temi chodzić nie może; ale jéj ramion uścisnąć nie można." A więc kładzie ją na łoże puchowe, obok swéj lewicy: napróżno, napróżno. Zamiast ożywotniéć od jego uścisków, bronzowa kobiéta odziębia prawą połowę jego ciała, tak, że ją odsunąć musi od siebie i sprzedaje, przekuwszy poprzednio na rozliczne sprzęty.

Niestrudzony zalotnik sięga znów na Północ, do krain téj saméj Louhi, któréj pierwszą córkę był poślubił i utracił. Louhi właśnie stała na dziedzińcu, przed domem. Wypytuje się więc zięcia, jak się miewa jéj córka, jak się tam sprawuje względem męża i świekry.

Spuścił oczy Ilmarynen, głowę pochylił, „krzywo nasadził czapkę." Nic tak dobitnie nie maluje odrębności tego charakteru wobec Wajnamojnena, jak następujące, spokojne zestawienie w jego odpowiedzi:

„Nie pytaj mię, świekro, o to, jak się miewa córka, jak sprawuje teraz moja wierna. Już ją śmierć chwyciła, już wczesnego kresu do-

biegła, w ziemi leży jagódka, w stepie, prześliczna moja; pod ścierniem, czarno-kędzierzawa, pod murawą srebrno-piękna moja; przychodzę teraz po drugą, młodszą z córek twoich; oddaj mi młodszą, niech wejdzie do komnat pierwszéj żony, niech zasiędzie na krześle siostry swojéj."

„Źlem sobie poczęła, odpowiada mu Louhi, że pierwszą córkę rzuciłam w paszczę wilkowi, w gardziel mrukliwego niedźwiedzia. Nie dam ci drugiego dziecka na to, aby cię z sadzy obcierała, po żużlach obmywała; prędzéj dziecię moje zepchnę w otchłań szumiącego wodospadu, w wir bezdenny, w gardło okunia Many (=śmierci)."

Ilmarynen porywa córkę przemocą, wciąga do sani i puszcza się do ojczyzny. „Sierota ja, woła dziewczę wyrywając się z objęć, oto idę do jagód bagniska, do chwastów nadwodnych, zaginę ja tam, kurczątko, zamrę ja tam, ptaszę. Jeśli mię nie puścisz, Ilmarynenie, ja te sanie roztrzęsę, a nie puścisz mię, to się w rybę przemienię, a nie puścisz mię jeszcze, to zostanę gronostajem i ucieknę do lasu, a nie puścisz mię jeszcze, to w postaci skowronka zaświergoczę i wzbiję się pod obłoki." „Co ja poczne z tą dziewczyną, zawołał nakoniec: zabiję—i porwał się do miecza. Ale głownia miecza zrozumiała myśl jego i mówi: „nie na tom ja stworzona, abym zabijała kobiétę." Rozgniewany mąż przemienia dziewczę w mewę i puszcza na skały pomorza.

Po powrocie następuje połączona wyprawa przeciw władczyni Północy, dla odzyskania skarbu (Sampo); udział w niéj biorą wszyscy trzéj bohatérowie: Wajnamojnen, Ilmarynen i zapomniany już dawno wietrznik: Lemminkajnen. Tu powieść przerzuca się w dziedzinę fantastyczną; co krok, to cudowność. Łódź wyprawy dostaje się na wodospad i utyka na olbrzymiéj rybie. Zabijają rybę, raczą się jéj mięsem, a z kości jéj śpiewak nasz wyrabia sobie kantelę i śpiewać poczyna. Poeta podaje tylko treść, bez pieśni saméj, i urok, w jaki wprawiła ludzi, zwierzęta, góry lasy i wody.

Pod względem lirycznym cała ta runa (XLI) należy do najpiękniejszych. Nietylko współżeglarze płakali, słuchając, rozpłakał się i sam muzyk. Łzy jego spłynęły ze źrenic na krawędź łodzi, a potém upadły na fale błękitnego morza. Są tu zwykle w *Kalewali* hyperbole, zwykłe i w naszych pieśniach ludowych; usuwamy je zprzed oczu czytelnika, ale pominąć tu nie możemy szczególniéj jednego kwiatka: Wajnamojnen prosi, aby kto z obecnych powrócił mu jego łzy. Odpowiadają mu, iż żaden syn ojca swojego łez tych zebrać nie jest mocen. Śpiewak tedy zwraca się z prośbą do przelatujących ptaków, obiecując im futro pierzane w nagrodę. Jeden z nich zapuszcza dziób w morze i co do jednéj wszystkie łzy wybiera z głębi „i składa je do rąk Wajna (=Wajnamojnena); ale łzy już swą postać zmieniły pod falą i cudownie wypiękniały, perłami się stały i przezroczym błękitem świecą może w jakiéjś koronie, ku wiecznemu urokowi mocarzy."

Kiedy przybyli do brzegów Północy, Wajna dźwiękiem kanteli usypia lud Północy, bohatérowie zdobywają Sampo i odpływają z powrotem. Przebudzona ze snu władczyni, nakazuje pogoń, grozi znisz-

czeniem, czarami sprowadza zarazę na kraj; w ucieczce przed pogonią, Sampo wypada z łódki i rozbija się na cząstki. Ale Wajna czarem pieśni spaja je napowrót.

W miarę zbliżania się (XLVII) poematu do końca, omdlała na chwilę cudowność coraz znów mocniéj przeważać zaczyna. Ponieważ zaś poemat ten dochodzi aż do chwil upadku pierwotnéj religii Finnów, więc powiedziećby można, że poeta chciał tu przedstawić ostatnie wysiłki pierwotnego społeczeństwa na wyłomie upadających tradycyi pogańskich. I tak:

Kiedy Wajnamojnen, upojony zwycięztwem brata, grać począł na nowéj kanteli i pieśń przy niéj zaśpiewał, to słońce i księżyc zstąpiły na ziemię dla słuchania pieśni, któréj dźwięki doszły były do „pokoju księżyca i pod okno słońca." Mściwa Louhi schwytać każe oboje i uwięzić w skale. I stał się mrok na przestworzach, tęskniły ludy, tęsknił sam Ukko-Imala (bóg powietrza i grzmotów) i wypuścił z miecza swojego płomienie po zmroczonym niebokręgu. Następuje pożar świata, oddany z majestatem godnym poety.

Ilmarynen zamyśla wykuć nowy księżyc i nowe słońce, wykonywa zamysł, ale światła z nich wywołać nie może. Tymczasem śpiewak (Wajna) wywiedział się, gdzie zamknięto więźniów nieba; Ilmarynen uderza na skałę więzienną i Louhi przerażona, wypuszcza słońce i księżyc z niewoli. Wajnamojnen wita wyzwolonych hymnem chwały i modlitwy (XLIX).

Na przedostatniéj od końca runie Kalewali, przełamuje się pierwotny świat Finnów. Zamykając za sobą bramę ustępującego cyklu, Wajnamojnen składa ostatnie dla niego błogosławieństwo na ręce nieba słonecznego i księżycowego, gdyż pomimo przejścia ludów i tradycyi w nowe okresy, dwa te światła pozostaną. Jak Halban na Wallenroda, tak Wajnajmojnen na obu więźniów niebieskich, których wyzwolił, zdaje robotę przyszłości: „Wajnamojnen wesoło podniósł oczy ku niebokręgowi... Tam pokój przywrócony: na wysokości stanął księżyc po dawnemu, słońce wydostało się na wolność!" Czuł i rozumiał ostatni mąż pierwoświata, że już przechodzi jego królestwo, ale świadkowie tego królestwa zostać powinni. „Złoty księżycu, mówi, wyzwolono ciebie ze skalnéj jaskini, i ty, słońce, wybiłoś się z jeństwa; ty podobne złotéj kukułce (słońce), ty podobne srebrnéj gołębicy (księżyc), wstąpiliście na pierwotne dzielnice i drogi wasze! Wschódź-że słońce co ranku, poczynając od dnia dzisiejszego; co ranku przynoś pozdrowienie, aby rosło mienie nasze, aby zdobycz zbliżała się do palca rąk, a szczęście do klamki drzwi naszych. Krocz pogodnie po gościńcach, spełniając obieg wspaniały, a w odwieczerzu radośnie zasiadaj na odpoczynek!"

Runa ostatnia, jedna z najdłuższych, opowiada o Bogu-przychodniu. Przedziwny to obraz! Zatrzymując jeszcze krój i barwę całego eposu, opowiada on niejako dzieje społeczeństwa, uśpionego podczas przesilenia, a budzącego się wśród nowych otoczeń. Nowa wiara

wchodzi tu na widownią, jak owoc jeszcze nie wyłuskany z mitu i ludowéj mądrości. Same imiona osób Nowego Testamentu dziwacznéj uległy asymilacyi. Marya jest to Maryatta, Herod występuje pod imieniem Ruotus. Jest tu wąż biblijny, lecz jest i kukułka, którą Maryatta w przemówieniu swojém, z niepojętéj dla nas przyczyny, nazywa poziomką teutońską. Chwile dziecięctwa Maryatty i pierwsze lata dorastania, również wplotły się tu w stare tradycye żywota Finnów. Maryatta jest pasterką. Ale ojciec i matka w niedorosłéj jeszcze dziewicy upatrują wyższe przeznaczenia, a ich wskazówka najwydatniejsza w jéj cichości, w jéj zamiłowaniu do zadumy i samotności; ale wszystkie te znamiona, z ideałem dziewictwa na czele, oddane są w rysach tak jeszcze pierwotnych, tak starożytnych, z taką współmiernością z wyobrażeniami, wiejącemi przez czterdzieści dziewięć run poprzednich, iż stanowczo powiedzieć można, że runa o Maryacie nie leży po za czarodziejskiém kołem Kalewy. Pokazuje się więc, że pomiędzy poezyą subtelności duchowych a poezyą plastyczną, czyli pomiędzy dwoma obozami, wiekuistą prowadzącémi z sobą walkę o grunt piękna, jest jakaś sfera trzecia, określić się nie dająca—sfera *ciała duchowego,* którą z takim wdziękiem i pocieszającą dowodnością przeprowadził w filozofii Fichte młodszy.

Przypatrzmy się na kilku obrazkach téj runy, jak to szczęśliwie epos pierwotne, zgoła bez idealistycznych przyrządów, obywając się niejako prostym toporem, dochodziło do celu. „Maryatta, prześliczne dziecię, długo żyła w pasterstwie. Nędzą jest żywot pasterski, ale najsmutniejszą nędzą dla dziewicy: w trawie czołgają się gady, po skibach pełza jaszczurka. Ale wtedy nie czołgały się węże, nie pełzały jaszczurki po skibach; nie! poziomka wtedy wołała na Maryattę ze wzgórza, z zarośli leśna wołała borówka: pójdź do mnie, dziewico, a zerwij mię, pójdź świeżuchna ty moja, a zbierz mię rączkami, pierw nim ślimak mię rozerwie lub czarny robak przylgnie z pieszczotami."

Nic naiwniejszego jak opowiadanie trosk Maryatty, kiedy zostawszy błogosławioną, szuka schronienia. Jakaś wierna służebnica Piltri (podług Renwalla ma to oznaczać chłopca, po szwedzku: Pilt), krząta się po wsiach i dworach, żebrząc o przytułek dla Maryatty. Każdy odwraca się, odmawia. Żona Ruotusa (Heroda), prawdziwa kobiéta-Heród, odsyła ją do stajenki.

Opisy trosk i pielęgnowania nowo-narodzonego również trzymają się w tonie właściwym duchowi ogólnemu runowi. Kiedy Maryatta trzyma dziecię na rękach, kiedy go piastuje, huśta, kołysze swoje „złote jabłuszko, ukochaną bryłkę srebrną," kiedy muszcze jego włosy, nagle dziecię znika jéj z kolan. Maryatta, żałośnica, prawie całą ziemię obiega, szukając zguby. Przebiega lasy, góry, łąki i pustynie; szuka go pomiędzy kwiatkami pola, po górach sosnowych, przegląda wskroś każde krzewie, korzenie jałowców odgrzebuje, podnosi najdrobniejsze drzew gałązki. Aż tu na spotkanie wychodzi gwiazda. „O ty gwiazdo, którą Bóg stworzył, czy nie wiész o synku moim? gdzie jest

jabłuszko moje?" Umiała gwiazda odpowiedzieć, odpowiada też: „Gdybym i wiedziała, nie powiedziałabym, bo On to mnie stworzył właśnie, a na to, abym na te złe czasy świeciła po nocach." Podobną odpowiedź daje i księżyc. Szczęściem dla Maryatty, słońce nie miało żalu do tego dziecięcia Bożego. I kiedy Maryatta je zapytuje: „Czy nie wiész o synku moim, gdzie się kryje złote jabłuszko moje?" Słońce odpowiada jéj rozumnie: „Znam ja dobrze twojego synka; On jest ten który mnie stworzył na to, abym w dnie piękne złotem się mienił, srebrem promienił." Maryatta więc odnajduje syna. Olbrzym Wirakannas namaszcza go na króla Karyoli (Karelii). Namaszczenie syna Maryatty było aktem śmierci dawnego świata; Wajnamojnen do tego aktu nie mógł przykładać ręki, a więc... zabiera się w daleką podróż. Duchowa potęga świata pierwotnego—czary, po raz ostatni wysilają się: mocą czarów Wajnamojnen buduje sobie statek okuty miedzią i w nim puszcza się na tułactwo po grzbiecie fali morza. Żegnając przeszłość ostatnią piosenką, zapowiada w niéj, że kiedyś wspomną go, i przyjdzie, stworzy nowy Sampo, nową pieśń, nowy księżyc wprowadzi na niebo i nowe słońce.... „Żagle zaszumiały, łódź pomknęła na dolne krańce widnokręgu i tam stanęła, ale Runoja zostawił tu harfę, zostawił śliczną grę w Suomi (ziemi Finnów), ku wiecznéj rozkoszy ludu i piękny śpiew dzieciom Suomi.

W samym końcu epopei ukazuje się na chwilę sam poeta. Wyśpiewawszy, jak powiada braciom, śpiew swój przed braćmi, aby kiedyś jeden z potomnych uchwycił za koniec nici przekazanéj sobie i snuł daléj, coraz daléj, a wciąż ku przyszłości, a wciąż z okiem zwróconém na przeszłość; poeta zdaje się zrywać ze światem, na którym sam jeden tylko pozostał. „Matka odumarła mię dzieckiem; jak skowronek na skale zostałem sam jeden, jak drozdek wśród głazów: na szczebiotanie i świergot; matka słyszeć mię nie będzie; jodły tylko mię słuchają, sosen gałęzie, jałowce a płaczących brzóz korony!"

* * *

Kalewala jestto epos *pierwotne*, oto najistotniejsze, rodzajowe znamię, z którego wszystkie szczegółowe rysy dadzą się wyrozumować. W tém odgrupowaniu za podstawę podziału bierzemy nie wyłącznie pojęcie *czasu*, t. j. stopień starożytności, do jakiéj dany poemat odnieść-by można; chociaż epos podobne zwykle ukazuje się w okresie, względnie bardzo odległym, a jego utwórcę zwykle widzimy stojącego na ostatnim wyłomie upadającego cyklu wiar, pojęć i porządków społecznych, i dlatego dla oznaczenia wielkich okresów cywilizacyjnych, śmiało epopee uważać można za ostateczne uosobienie ducha okresu. Ale nie każde epos jest pierwotném w ściśle czasowém znaczeniu wyrazu; może być ono *wskrzeszoném* z pierwiastków epoki zapadłéj w gruzy i w takim razie zyskuje ono wyższe znamiona sztuki, jako genialne podsłuchanie echa od ubiegłych epok dochodzącego. I tak: z przeddziejowych podań Litwy w oczach naszych powstał poemat *Anafielas*. Każda przeszłość, chciałem powiedzieć: każdy okres cy-

wilizacyi zapadającéj w zwaliska, gruzami swojemi przedewszystkiém przygniata systemata religijne. Wszelki duch zniszczenia, instynktowo, naciera przedewszystkiém na te żywioły, które są ogniskiem czci, główną osią danéj kultury. Każda téż walka pomiędzy plemionami Nowéj Zelandyi rozpoczynała się zwykle od wytępienia przedmiotów kultu: głowy i główki bożków wieńczących szczyty ostrokołu warowni spadały naprzód pod maczugami przeciwników. Otóż epos, rehabilitujące bogów, skazanych na wygnanie, epos z pola zagładczego boju unoszące zwłoki i szczątki byłego systematu, z religią jego na czele, jest epopeą pierwotną. Łatwo domyśleć się, że im bezpośredniejsze echo dochodzi tu do uszu pieśniarza, im mniéj luźnym jest tu ów sznurek rodowy, wiążący dziecię z żywotem matki, tém gorętszém, żywotniejszém jest epos: taką jest *Iliada*, taką *Szachnamech*, takiemi są *Nibelungi* i *Edda*. Przeciwnie, fabrykacyami na temata *pierwotne*, są epopee łacińskie, pogrobowcze płody, stojące już w czysto-objektywnym stosunku do matki, któréj nie zaznały. W utworach tych, sztucznych, *wyciętych z papieru* (jak powiedział nasz dziejopis), znajdujemy piękności, znajdujemy nawet arcydziełowe pociągi pióra, mnóstwo ozdób krasomówskich, znajdujemy nawet prawdziwą grozę tragiczną. Krzyki rozpaczy, wybiegające z płuc Dydony na jéj stosie samobójczym, świadczą o twórczéj potędze talentu poety. Ale obraz i zakończenie walki Tankreda z Kloryndą (u Tassa), nie wytrzyma porównania z powieścią boju Rustema z Sorabem; nie wytrzymają go bójki bohatérów krzyżowych i Saracenów z rozpaczliwym pojedynkiem Hektora z Achillesem. Tu bowiem pasuje się duch z duchem, prawie że żywioły z żywiołami, grzmoty i zaćmienia słońca wtórują wypadkom, a tam... tam grzechoczą tylko pioruny zakulisowe, zamiast błyskawic buchają ognie bengalskie. Tam krew i drganie konwulsyjne, a tu—optyczne złudzenia namiętności; arcydzieła kontrapunktu, bez żywéj melodyi.

Przy bliższém wglądnięciu w epos *Kalewala*, szczegóły, jakie tam spotykamy, wymowniéj nam wykażą ową rdzenność ducha pierwotnego, aniżeli jakakolwiek charakterystyka *a priori*. Osobliwszy pogląd jéj na przyrodę, jakieś wysłowić się nie dające ciepło w opisach uczuć rodziny; żywym ogniem ziejące uniesienia bohatérów, coś pośredniego pomiędzy idealizmem a rubaszną konkretnością; a wreszcie dziwna pokrewność z naszą pieśnią ludową: oto znamiona prawdziwéj oryginalności *Kalewali*, które upoważniają nas do nazwania jéj epopeą pierwotną.

Obok tych znamion typowych, są tam jeszcze pewne rysy etnograficzne, wskazujące odległą starożytność *Kalewali*, są to nazwy miejscowości, plemion ościennych, morza, rzek, gór i t. p., dowodzące przedhistoryczności opisywanych w niéj wydarzeń. Ta jednak strona w zadanie nasze nie wchodzi; nadmieniamy wszakże o jednym szczególe wyjątkowo. Upowszechniona od pewnego czasu pangermanizacya wszystkich i wszystkiego, zadaleko zdaje nam się posuwać, odnosząc pewną część żywiołów Kalewali do Nibelungów i Eddy. Nibelungi,

to świat inny w saméj podstawie, świat mniéj pierwotny. Walka dwu stron w Nibelungach jest wprawdzie walką osobową, ale mocno zakrawającą na bój polityczny; w Kalewali mamy walkę plemienia z plemieniem, uosabiających odwrotne pierwiastki etyczne. W Nibelungach składowe czynniki nie sięgają warstw tak głębokich. Sprzeciwieństwa tego rodzaju, jak dwa stronnictwa Nibelungów, mają i początek mechaniczny, bo ich źródłem jest czyn pojedynczy: zbrodnią, więc i kres swój mieć mogą, jako zamknięte w granicach ludzkich. Krwawy koncert Krymchildy kończy się jéj śmiercią. Ale sprzeciwieństwa takie jak świat Finnów i Lappów, są już walką głębszą, bardziéj pierwiastkową, w granicach ludzkich bezkreśną. Grimm Jakób, dla dowiedzenia pokrewności Kalewali z Nibelungami, odwołuje się pomiędzy innemi do *skarbu*, grającego tak wielką rolę w obu poematach. Fakt sam wprawdzie nie ulega wątpliwości: tu i tam obie strony upominają się o niego; tu wpada on do morza, tam dostaje się on na dno Renu, i teraz (jak powiada dziad Hagen do Krymchildy), jedno Bóg i ja wiemy, gdzie jest skarb; ale ty, dyablico, nigdy się o tém nie dowiész!" Ale skarb w Kalewali (Sampo) pochodzi z zupełnie innéj sfery: jestto coś głęboko mitycznego.

Nierównie więcéj do myślenia dają pewne rysy Kalewali i Eddy, jakoby wspólne. Wspólność ta jednak dotyczy właściwie tylko głównych zrębów i fantastyczności w przeprowadzeniu. Uderzającym rysem w obydwu jest brak wyraźnego odgraniczenia okresu kosmogonicznego, od okresu bohatérów i przeznaczeń ludzkich. Dwulicowość postaci głównéj w epopei fińskiéj, t. j. Wajny (Wajnajmojnen), który w ciągu długiego żywota na ziemi, otrząsa się ze znamion kosmogonicznych, zwolna, ale ciągle: zasiewa lasy, zaprowadza zboża, zostaje pieśniarzem, a w końcu bohatérem o tysiącu przygód; to tajemnicze, stopniowe, uczłowieczenie się żywiołowego pół-boga, daleko więcéj spokrewnia *Kalewalę* z apokalipsą Północy, aniżeli z Nibelungami. Przybywa tu jeszcze jedno znamię wprawdzie, już nie tyle charakterowe, ale pod względem układu epopei wcale wydatne: *Kalewala* w układzie swoim ma trzy epokowe warstwy. Zawiązuje się ona w świecie cudowności i to cudowności kosmogonicznéj, w dziedzinie elementów wszechświata: (Wajnamojnen jest synem „córki powietrza, pierwszéj córki stworzenia") i napowrót w końcu rozwiązuje się w cudowność (Maryatta w cudowny sposób zostaje matką, a syn jéj w ubóstwie powity, zostaje ochrzczonym i namaszczonym na króla Karyoli, t. j. ziemi Karelów). Podobnież i mit islandzki rozwiązuje się w *Kristni-Sage* (w legendę chrześciańską). Wpośrodku zaś tych dwu przeciwległych sobie okresów snują się główne pasma fińskiéj epopei, któréj ostatnia pieśń (pięćdziesiąta), o dziewicy Maryatta, jest oczywiście warstwą napływową, późniejszą.

Z tego ogólnego charakteru (że *Kalewala* jestto epos pierwotne,) wypływa nowe jéj znamię: maluje ona wypadki, osoby i zjawiska przyrody w prostocie, w objektywnym spokoju; zdala od tych napomknień

o walce, jaka zachodzi zwykle w duszy poety nowożytnego w chwili opowiadania. Pomówmy chwilkę o tém znamieniu.

Któż nam odpowie wyczerpująco na zapytanie, co myśléć mamy o owéj nieugiętéj przedmiotowości, która kierowała strunami lutni lub gęśli pra-wieszczów świata; jak sobie tłómaczyć nieustanne trzymanie na wodzy wszelkich uczuć, w chwili opowiadania? Nie z zimną krwią, to prawda, ale z majestatycznym spokojem wysnuwa zarówno Homer, jak *Nibelungi*, jak wreszcie *Kalewala*, nici dramatu, nie zostawując dla siebie czasu na jęk boleści. Żaden z poetów nowożytnych nie mógłby powstrzymać w swojém sercu wrażenia na widok krwi i mordu, na widok zdrady lub wiarołomstwa; zapukałby on natychmiast do potęg życia wewnętrznego, i płakałby nad płaczącymi, współuczuwałby z ofiarami zemsty lub niesprawiedliwości. Ale psychiczna postawa ludzi pierwotnych wobec wypadków opowiadanych, była zupełnie inną. Gorącość faktów, które przedstawiali, ich własnéj ręki nie rozgrzewała. Epos pierwotne, a przedewszystkiém *Kalewala*—jak szkło palące; ześrodkowywa ono w sobie wszystkie promienie życia, zapału lub zgrozy, ale samo zachowuje niezmiennie chłodną obojętność. W *Iliadzie*, subjektywność opowiadacza gubi się w samym sposobie prowadzenia wypadków; wykrzyk, któryby oświadczył o przejęciu się wypadkiem ze strony poety, zastąpionym bywa, co najwięcéj, dramatyczném postawieniem następstw wypadku. Oto np. jeden z ostatnich obrazów katastrofy: Hektor kona pod ciosem zwycięzkiego Achillesa; młodziuchna dusza ulitowawszy się nad mękami ciała, schodzi do piekieł. Scena, jak widzimy najponętniejsza dla poety. Pytamy się więc, czy poeta nowoczesny, mógłby tu potłumić bicie serca? czy mógłby nie powołać na sąd wyrocznych sprężyn przeznaczenia ludzkiego, nie zapoznać fatum, depczącego wszystko a wszystko? Inaczéj postąpił tu sobie nasz pieśniarz: oto, w dalszy wątek wypadku wzionął głosy boleści swojéj, udramatyzował wzruszenia swoje, mówi więc: (wokoło świeżego trupa) „zbiega się czerń, zdumiewa nad lśniąco-hełmym (Hektorem), rosłym mężem, obliczów jego majestatem; a ponieważ każdy z nich odebrał kiedyś ranę z téj, martwéj dziś ręki, więc wzajem poglądając sobie w oczy, pogwarzali: „O! zmiękł i bardzo, już on nie taki zawzięty; nie tento Hektor, co ogniem prażył nam okręty."

W saméj tylko epopei perskiéj (Szah-nameh) dusza opowiadającego zrywa się niekiedy z protestem; kiedy umiłowany przez niego młodzieniec bohatér, krwią niewinną broczy kwiatki pola, na którém go zamordowano, wówczas poeta (Ferdusy) już powstrzymać się nie może, nie może przebaczyć niebiosom i światłom niebieskim, że z takim spokojem spozierać mogą na dzieje téj ziemi. Jak na Azyą, wielki to wyłom w pojęciach religijnych, zimnych, niczém nie zasnuwających próżni pomiędzy człowiekiem a martwą abstrakcyą nieosobistego nieba. Spojrzyjmy na najcudowniejszy z obrazów Szah-nameh, na powieść o Rustemie i Sorabie. Sorab, dorósłszy lat młodzieńczych, po całéj ziemi odszukuje ojca swego, Rustema, którego nie znał, bo go matka

po urodzeniu wysłała była z domu. Pragnie on jednak pierwéj zasłynąć, a potém dać się poznać ojcu. Otóż chwila się nadarza: Rustem wyzywa wrogów do pojedynku, nikt stanąć nie śmie, tylko jeden młodzieniec. Sorab przyjmuje wyzwanie, następuje bój zaciekły, Rustem rani śmiertelnie przeciwnika i przez znamię na ramieniu konającego poznaje w nim syna. Rozpacz ojca przechodzi wszelkie granice. Chwyta sztylet, i z synobójcy chce zostać samobójcą; zaledwie powstrzymują go książęta, współwojownicy, a tymczasem Sorab umiera. Pelewanowie zasiadają naokoło nieszczęśliwego, ze słowami pociechy, daremnemi.

Po takiém nakreśleniu okropności, poetę opuszcza już spokojność; z żółcią, jeśli nie z szyderstwem odzywa się on: „Tak to, niestety, przeznaczenie w rękach swoich trzyma i koronę i arkan; prawicą podaje ci dyademat królewski, lewicą spycha cię z tronu.“ Nawet Szach, usłyszawszy o nieszczęściu Rustema, niéma innego balsamu nad ten fatalistyczny dogmat: od Elbursu aż do trzciny nadbrzeżnéj wszystko co istnieje, jest zdobyczą śmierci.

*Kalewala* przed wszystkiemi eposami odznacza się tą nieugiętą objektywnością. Z równym spokojem przenosi ona nad słuchaczami i tryumf zwycięztwa i nieszczęście i błogosławieństwo i wyrok śmierci. Nieubłagany, jak wyroczny świat Pohioli, ta kraina lodów i śmierci, runoja przepuszcza przez ręce swoje równie czarne jak i białe pasma, nie dotykając się ich prawie. Ale każde z tych pasm, już z kłębka samego wychodzi w najwydatniejszém ubarwieniu.

Wprawdzie i tu spotykamy pewne, jakby przypadkowe przegrywki do wypadków, ale te wyraźnie zdają się napływami późniejszego pochodzenia. I tak na samym wstępie runy pierwszéj słyszymy, prawda, że prześliczne zagajenie wieszcza, ale tak dziwnie odbiegające od ogólnego stroju, tak prawie: Owidyuszowskie, że niepodobna oprzéć się tu pokusom zwątpienia. „Oto, mówi poeta, jakaś żądza pociąga mię ku pieśni, ku pieśni o mojém plemieniu. Oto słowa roztapiają mi się w ustach, dźwięki mi się wymykają, język mój ubiedzby chciały.“

Podobne zwroty spotykamy i w innych runach, szczególniéj w ich zaczęciu, i te jednak również za późniejsze glossy uważać należy, jak i sam koniec epopei. Poeci nowożytni poczytują sobie za obowiązek pośredniczyć w akcyi głównéj, szczególniéj tam, gdzie ta akcya dosięga wysokiego natężenia: wtedy zdaje się im prawowitém, odsłonić piersi, aby słuchacz poczuł tam przyśpieszony puls. Jestto przywilej usprawiedliwiony psychiczną dojrzałością, jaka się dopiéro wiekom późniejszym dostała w udziale. Poeta nowożytny uważa jakoby sam siebie za sprawcę podanych sytuacyi i dlatego winien je przegradzać rytmami własnego współczucia. Tymczasem epos pierwotne uważa siebie jedynie za rzecznika woli bogów lub przeznaczenia, a jako rzecznik ich, ani za łzy, ani za krew przelaną nie odpowiada. Rzeczywiście téż epos pierwotne zdaje się być dosłownie: mechaniczném odciśnięciem się wypadków na tle pamięci człowieka, bez troski i obliczeń na przyszłe

wrażenie słuchaczy. Znamieniem takiém najwydatniéj odznacza się *Kalewala*. W runie XXVII Lemminkajnen, rozdąsany na to, że go na ucztę weselną nie zaprosiła księżna Pohioli, najeżdża jéj pałac, wyzywa na bój pojedynkowy jéj męża i zabija go w dziedzińcu i to w oczach żony jego, staruszki Ilpotar, i głowę zabitego wpycha na słup dziedzińcowy. Następnie mściciel wraca do komnat zabitego i wykrzykuje: „hej! dziewczę, niedobre dziewczę, przynieś mi wody: abym sobie umył ręce z krwi niepoczciwego gospodarza." Cóż na to Ilpotar? Ona, przesuwa tylko daléj pasmo powieści. „Pani Północy, mówi poeta, rozgniewała się i zasmuciła; zebrała stu czarodziejów z mieczami, stu bohatérów z mieczami i tysiąc uzbrojonych, na zagubę Lemminkajnena." A rozpacz żony? a piorunujące wrażenie nagłego, nieprzewidzianego przejścia?... Poeta je pomija i ponad tą niedostrzeżoną przepaścią daléj popycha tok wypadków, t. j. wojnę powszechną przeciw zabójcy, a następnie jego ucieczkę i inne przygody. To, co stanowi u nowożytnych prawdziwy punkt wyjścia subjektywności, wdanie się w życie wewnętrzne bohatéra, w *Kalewali* jest czynnikiem stanowczo nieobecnym, nieznanym.

W cóż, więc pytamy, przejść mogły te wielkie zasoby poetyckie, jakie ożywiały ducha wieszczów pierwotnych, prawie jasnowidztwem gorejącą jeszcze intuicyą na rzeczy boskie? na jaką z funkcyi twórczych przedewszystkiém uderzyć mogły? Oto na władzę kształtującą, na organa postaciowania zdarzeń, scen przyrody i ludzi. W tym zawodzie pierwotni pieśniarze są niezrównanymi. W *Iliadzie*, w *Sakuntali*, ile wierszy, ile zdań, tyle brył spiżu korynckiego. Aby je zrozumiéć, potrzebujemy je odczuć, my ludzie nowożytni; każdy z podobnych okruchów ducha pierwotnego musi pierwéj wywołać w nas cały proces psychiczny, walkę żywiołów moralnych i dopiéro osadziwszy się do równowagi, stawić przed nami w całym uroku to, co dla tamtych było zwykłém powietrzem, oddechem. Ztąd owe „kwiaty morza" (*Fale*); owa „krew duszy" (*Łzy*), u Homera; ztąd „serce chore śmiertelnie;" „płakanie krwią" i „kopanie sobie grobu własną ręką" (*Rozpacz*); ztąd odezwanie się konającego Soraba: „Przyszedłem, jako błyskawica, a odchodzę, jako powiew wietrzyka;" u Ferdusego.

Władza kształtująca rozciąga się tu nietylko do żywego malowania scen natury, albo uczuć i t. p.; panuje ona i w przedstawieniu całych typów. Kiedy Hektor idzie na śmierć niechybną w oczach matki, jakichże sprężyn używa ona na powstrzymanie syna? jaką jest akcya sceniczna w najstraszliwszéj chwili? Oto akcya, jaką podpowiadają najpierwotniejsze instynkta; odsłania rąbek z piersi swoich, któremi go niegdyś karmiła i koiła płacz jego i na te piersi go zaklina. Wysokie pod

[1]) Początek i piękniejsze ustępy z 4-ch run, pięknym wierszem przełożone przez p. Sewerynę z Żoch. Duchińską. *Bibl. Warsz.*, 1869 r., t. III, str. 244 i dalsze.

tym względem miejsce zajmuje *Kalewala*, a nawet powiedziéćby można: miejsce odrębne. Do każdéj dziedziny życia *Kalewala* wprowadza język cudnéj plastyczności, przedewszystkiém oparty na symbolizmie przyrody.

Osmotar, dając przestrogi siostrze przed jéj zamęźciem, tak przemawia: „Dziewczę, siostro moja luba, ty listku młodéj odrośli, słuchaj, co ci powiem! Oto odchodzisz od nas, kwiatku, puszczasz się w drogę, poziomeczko ty moja, a w daleką drogę, płatku jedwabny.“ Kiedy dla wyleczenia ciężko zranionego Wajnamojnena stary czarodziej naciera mu ranę balsamem, takie daje mu zlecenie: „Wajnamojnen! nie chodź ty własném ciałem, jedno chodź ciałem Stworzyciela; nie krąż siłami własnemi, lecz siłami wszechmocnego Boga; ani mów usty twojemi, tylko usty Najwyższego.“ „Matko, mówi Lemminkajnen (ujrzawszy matkę, którą uważał już za umarłą, zamordowaną przez wroga), myślałem, żem już cię utracił... ach! matko, ja *oczy z głowy wypłakałem*.“ Kiedy głównego bohatéra uciekającego przed pogonią zaskoczyła burza morska, na zażegnanie jéj tak się odzywa: O! przepaści! rozkaż synom twoim i ty falo dzieciom twoim i ty Ahto, gospodyni bezdenności, każ opaść bałwanom; Wellamo, pogróż ludowi morza, niech mi brzegów łodzi mojéj, niech mi bioder jéj nie zlewa... Pierwéj włos mój już widział wiatry, już zaznał burze i broda moja już widziała dni czarne na tém wód przestworzu, ale takiéj nawałnicy nie pamiętam; dziś już wiatr jest ucieczką moją, dziś od bałwanów morskich czekam miłosierdzia.“

Napomknęliśmy wyżéj o symbolizmie natury; a cóż jest ten symbolizm? nie jestżeto wydostanie na jaśnią najpierwotniejszych poglądów religijnych, które następnie w ciągu wieków pod naciskiem nowych wiar, ustąpić musiały i kryć się, jako zwyciężone w pomroku? Ztądto ów tak dla nas pełen wielmożności język pierwotnego eposu, a szczególniéj *Kalewali*, ztąd wołanie po imieniu na potęgi natury, z wiarą religijną, że wysłuchają, bo słyszą. Cóż piękniejszego nad głos Kaukomiela, kiedy zagrożony rozbiciem łódki swojéj nad otchłanią, wyciągając ręce do natury woła: Przyjdź tu orle, turyańczyku (=Lapończyku), przyjdź, a przynieś mi trzy pióra; orle! trzy pióra, a ty kruku dwa pióra, na ochronę łódeczki mojéj, na otulenie czółenka.“

Zdawałoby się niepodobném, aby wieszcz poprzestający jedynie na prostych liniach, snujący całe dzieje duszy na gamie dyatonicznéj, mógł podołać tam, gdzie postawione są najwyższe zadania. A jednak nad wszelki podziw wychodzi on tu zwycięzko. Nie wprowadzając subtelności, półcieni i podziałek skali psychologicznéj, sięga do natury po najjaskrawsze barwy, wypuszcza namiętności, zostawiając im wolę niczém niepowstrzymaną, gromi coraz nowemi akordy, zdumiewa, odurza naturalnością. Przypominamy czytelnikowi ostatnie sceny z powieści o *Kullerwojnie*. Poeta miał tu przed sobą zadanie godne Szekspira. Na szczęście nie przeświadczał się o jego trudności i tém je zapewne ocalił. Pod pierwotną prostotą zawiły temat rozluźnił się sam; ani rozpętany, ani rozcięty węzeł intrygowy pękł pod muskularnym nacis-

kiem saméj akcyi. Potrzebaby chyba przytoczyć cały poemat, aby pokazać czytelnikowi, do jakiego stopnia prawdą jest, że zdarzenia, uczucia, postawy mężów i kobiét, zgoła cały kłębek eposu toczy się od początku do końca własnym ciężarem, gorącą siłą postaciowania, jaką umysły pierwotne posiadały na podobieństwo ziemi dziewiczéj, niespracowanéj jeszcze długiém rodzeniem.

Dla bliższego unaocznienia zestawmy tu dwa obrazy jednakowéj treści, zasięgnięte z dwu najodleglejszych krańców kultury ludzkiéj: z Indyi i z pobliżów świata podbiegunowego:

Sakuntala wybiera się w podróż do oblubieńca swego, a córka Pohioli opuszcza także dom rodzinny i gotuje się do odjazdu w dalekie krainy z nowym małżonkiem. Obie więc żegnają się z ojczyzną. Obrazy, powtarzamy, jednakowe, ale przyjrzyjmy się ich oświetleniu: mamy przed sobą IV akt *Sakuntali* i XXIV runę *Kalewali*.

Sakuntala w orszaku przyjaciołek i pokutnika żegna kraj rodzinny.

„Wy drzewa gaju świętego, mówi Kanwa, czy słyszycie? Oto Sakuntala, która nigdy ust napojem nie orzeźwiła sama, nie napoiwszy was pierwéj; która choć tak lubiła przystrajać się, a przecież odrzeć was nie śmiała z téj gałązki, co to pierwszą dobę rozkwitu wiosennego wita z hołdem, jakby dzień święty, a nie śmiała, kochając was; dziś Sakuntala opuszcza was, odjeżdża do małżonka swojego; błogosławcie ją, póki jeszcze jest z wami (słychać głos słowika). Słuchajcież drzewa! to głos błogosławieństwa, ten głos melodyjny jest odpowiedzią na westchnienia moich pieśni. (Głosy od drzew): „Bywajże zdrowa najmilsza Sakuntalo, oby na téj drodze, po któréj przejeżdżać będziesz, wiele szczęścia zakwitło tobie; oby tam czekały na ciebie jeziora, ozielenione tłumami lotosów, z gęstym baldachimem cieniodajnych liści; oby cię ochłonęły lotne obłoczki wonnego pyłku lotosów, a wietrzyk pieszczotliwie chłodził policzki twoje."

Sakuntala (zbliżając się do krzewia malika) mówi:

„O! maliko, jak ty czule obwijasz się ramionami wokół oblubieńca twego Mango! ale i ja godną jestem twojéj miłości. Otul i mnie gałązkami, które zdaje mi się, jakobyś teraz ku mnie rozpościerała. O! to już poraz ostatni, bo daleko, daleko będę od ciebie... Patrz ojcze, oto brzemienna gazela wlecze się tam powoli, skoro cię ona obdarzy młodém koźlątkiem, ojcze, wtedy poślij do mnie łódkę z wiadomością."

Sakuntala, jak widzimy, ma serce do natury; kiedy gazela niespodzianie chwyta ją za kraj sukni, kiedy dziewica łzawo żegna ją, jak siostrę, a raczéj jako siostra, to bez wątpienia czujemy tu ciepło społeczeństwa pierwotnego. Ale niéma już w niém owéj dziewiczości, co to zdawałaby się przenosić nas w zajutrzejszy dzień stworzenia. W kilku przytoczonych rysach czytelnik łatwo upatrzéć już mógł wkroczenie retoryki i zostawione po niéj ślady, jak po dotknięciu spoconéj dłoni na zwierciadle. Wielki rzeczywiście geniusz Kalidasy mniéj był szczęśliwym we wskrzeszeniu ducha pierwotnego Indyi. Tego ducha, tę dziewiczość niewiedzy dobrego i złego Kalewala posiada jeszcze. Nic tak

krasomówczo żegna się narzeczona syna Kalewy z matką-przyrodą i z matką-rodzicą. „Czémże ja biédna, na odjezdném, czém ja na rozstaniu się, matce drogiéj zapłacę za mleko, czém ojcu za dobroć, bratu za miłość, siostrze za życzliwość?" „Ojcze, dziękuję ci za pierwsze moje życie, za ten pokarm, którym spożyła, za *wszyskie kąski*—a wszystkie były najsłodsze. Dziękuję tobie matko droga, za kołysanie w dzieciństwie, żeś piastowała niemowlę, żeś mię piersiami karmiła... Może kiedyś wrócę do ojczyzny... oto wracam: już matka głosu mojego nie słyszy, już ojciec łkania nie słyszy, kiedy ja nad skronią jego płaczę, nad głową jego nucę! ach! młoda trawka wyrosła *nad ciałem matki*, *jałowiec rozpuścił igielki*, nad głową ojca. Kiedy wrócę, a ukażę się na dziedzińcu, nikt mię nie pozna, poznają mię tylko dwa drobiazgi: wstążeczka na dole parkanu i drążek na końcu pola; dzieckiem drążek ten zatknęłam, dziewczęciem wstążeczkę obwiązałam."

Religia Kalewali jestto najpiękniejszy w swoim rodzaju antropomorfizm, osobliwsza harmonia i grozy przed potęgą złego i dziecięcego pieszczenia się z bogami dobroci. To, co powiedział niegdyś Mickiewicz o mitach Grecyi, w zupełności zastosować się daje do mitu Finnów: posłużył on za przecudną kanwę dla marzeń poetyckich przyszłego śpiewaka. Zdanie Mickiewicza jest słodyczą, jaką pszczoła wysysa z tych samych kwiatów, z których pająk wyssałby sok jadu. Rzeczywiście w systemie religijnym *Kalewali* i Feuerbach znalazłby wiele, wiele na podsycenie swoich poglądów: na każde uczucie ludzkie, na uniesienia rozkoszy, zemsty, błogości, przekleństwa, w *Kalewali* są bóstwa oddzielne. Jak w *Iliadzie*, i tu co chwila bohatér nasz puka to do tych, to do tamtych drzwiczek, za którémi mieszkają bogowie rozlicznych sfer przyrodzenia. Jestto religia kształtów i ludzi, a taka religia otwiera szeroki przestwór piersiom poety do oddychania. Z panteizmu nic się nie da zawiązać. W *Kalewali* niéma panteizmu bezwarunkowo. I dlatego każda modlitwa, a są tam ich tysiące, to gorący monolog duszy; dla *Kalewali* cała natura żyje, a każde jéj odezwanie się: wiatr, piorun, śnieg, świt, czy zachód słońca, zgoła każde zjawisko jest pulsem jakiegoś bóstwa.

Jako wskazówkę, przytaczamy modlitwę kobiéty (wysyłającéj stada swoje na dalekie pastwiska), arcydzieło antropomorfizmu:

„O! Mijelikki, ty stróżko lasów! ty boga gąszczów borowych dziecię w cienkiéj koszuli i rąbku subtelnym, ze złotemi warkoczami; wszak to ty pasiesz stada w gajach Mecoli; paś je leciuchnemi rękami, spędzaj miękkiemi palcami, odprowadzaj mi co wieczór stada moje z pełnémi wymionami. Kuipana! władzco lasu, siwobrody, szlachetny stróżu gęstwin, uwij sobie bicz z miękkich gałęzi, utnij rózgę z prętów giętkich, i wokoło góry, od skał Linny przypędź stado moje na dziedziniec."

Zgoła, religia dla człowieka *Kalewali*, jest nieustającém dopełnianiem samego siebie. Cokolwiek dzieje się ze strony człowieka, dziać się powinno pod domyślném zawróżbieniem bogów. „Nie krocz

inaczéj, mówi się tam, tylko stopami boga;" „ile razy oddychasz, oddychaj piersiami boga." Herodot powiada, że były takie wieki, „kiedy bóstwa jeszcze nazwisk niemiały." W *Kalewali* mamy ich tysiące, a niektóre bóstwa mają po kilka imion, jak w *Iliadzie*. Nic rzewniejszego, jak modlitwy bohatérów *Kalewali*, w chwilach niedoli albo niebezpieczeństw. Usłyszymy je nieraz w ciągu saméj powieści.

Zwracamy się teraz do najpotężniejszego znamienia *Kalewali*.

Jako epos ludowe, *Kalewala* widocznie urosła z piosnek. Tam, gdzie stosunki dziejowe, albo nie dozwoliły wypłynąć na widownią geniuszowi, któryby sprowadził rozrzucone członki do całokształtu, albo mu wśród téj pracy wytrąciły ją z ręki, tam „pieśni ludowe," przedstawiają obraz albo niedokończonych formacyi, albo szczątków jakiéjś rozbitéj postaci.

Taki właśnie obraz przedstawiają pieśni *nasze*. Ta wstępna uwaga wyda się czytelnikowi jaskrawém zboczeniem od przedmiotu; ale bynajmniéj nie zboczyliśmy. W *Kalewali* jest wiele ustępów, do tego stopnia przypominających pieśń *naszą*, czyto narodową, czy plemienną, że wśród studyów nad tem eposem, wzmiankowane podobieństwo nieraz zaćmiło wszelkie inne wrażenia. Kiedy narzeczona opuszcza dom matki, kiedy płacząc w chwili rozstania, żegna się z braćmi, rodzicami i siostrami, to zdaje się nam, że czytamy jedną z pieśni naszych weselnych. W pierwszych runach poeta mówi nam, iż dziewica, któréj narzucano małżeństwo, wstrętne dla jéj serca, utopiła się z rozpaczy. A ileżto razy w naszych pieśniach miłość zawiedziona, popchnęła dziewczę w odmęty „Dunaju." Wajnamojnen zapuszcza sieci, dla złowienia topielicy. Czyliż te same dzieje nie powtarzają się i w naszych pieśniach, co mówię: w naszych poetyckich tradycyach, od Wandy aż do Świtezianki. Komu ten rys wydałby się może zbyt pośpiesznie podciągniętym pod analogię, niech ową gawędkę piastunek: „Tu, tu, sroczka kaszkę warzyła i t. d." zestawi z tym początkiem runy 31-éj:

„Matka zwołała kurczęta swoje, stado łabędzi zwołała, kurczęta spędziła pod parkan, a łabędzie na rzekę. Przyleciał orzeł i zestraszył je, przyleciał jastrząb i rozproszył je; przyleciał sokół i rozchwytał je: „jedno uniósł do Karyoli, drugie uprowadził na Północ, trzecie zostawił w domu..."

Szczególnie ponętną w *Kalewali* jest kukułka, ptaszek wróżebny kochanków, o którym ciągle głoszą i nasze pieśni ludowe. W *Kalewali* kukanie jéj słychać od początku, przez cały poemat; jeszcze w ostatniéj runie, Maryatta, pasąc jagnięta na górach, w krzewiu olszowym słyszy kukułkę i przemawia: „O! złota kukułko moja, wykukaj, wypowiedz mi srebrny ptaszku, wyśpiewaj piersią cynową, czy długo ja jeszcze będę pasterką jagniąt?"

Powszechny sposób zaczynania pieśni naszych od złudzeń optycznych, jest ulubionym zwrotem i u naszego poety. Oto np.: *Śmierć Hassan-Aginicy* (w pieśni serbskiéj):

„Co się bieli u góry zielonéj?
Czyto śniegi? czy łabędzi stado?
Żeby śniegi, dawnoby stopniały,
Łabędzieby dawno odleciały;
Nito śniegi, ni stado łabędzi,
Ale namiot agi Hassan-Agi."

W *Kalewali* jestto zwrot bardzo częsty. Tak np. w runie VI-éj czytamy:

„Aż nakoniec dnia jednego,
Obrócił on o świtaniu
Oczy na zachód północny
I głowę podniósł ku słońcu;
Coś się czerni tam na morzu,
Coś na falach błękitnieje.
„Czyby to obłok na wschodzie?
Czy może świt rannéj zorzy?"
Nie, nie obłok to na wschodzie,
Wcale nie świt rannéj zorzy.
To był stary Wajnamojnen,
Czarotwórca wiekuisty.

Podobnie w runie XVIII. Siostra Ilmarynena stojąc nad brzegiem morza, dostrzega coś na falach i tak mówi:

„Co tam czerni się na morzu,
Co na falach błękitnieje?
Czy ty jesteś stado gęsi?
Czy ty jesteś stado kacze?
Jeśli tak, to wzbij się w górę,
Wzleć wysoko na podniebie i t. p."

Ulubioną formą dla wyrażenia smutku, w *Kalewali* jest rozmowa zasmuconych, z matką lub krewnymi:

„Czego płaczesz? czego się smucisz?"
„Jakże nie płakać, nie smucić się i t. p."

Komuż tu nie zatętni w uszach owa piosenka ludu naszego:

Wyszła dziewczyna...
„Czego ty płaczesz, czego lamentujesz?
Dziewczyno moja?"
„Jak ja niémam płakać,
Niémam lamentować:
Nie będę twoja."

Zbliżając się do kresu naszego sprawozdania, wspomnieć winniśmy jeszcze jedno z wielkich zgrupowań mitu ludowego: *Hiawatę*, eddę amerykańską, jak ją nazwał sprawiedliwie jéj utwórca, Longfellow. Do tego wspomnienia obowiązuje nas dziwnie blizkie pokrewieństwo, jak saméj treści, tak i jéj kroju. *Hiawata*, jak Wajnamojnen, jest dziecięciem saméj przyrody, a za przodka swojego ma jeden z jéj elementów. Ten rys jednakże nie upoważniałby nas daléj, jak do podciągnięcia *Hiawaty* pod przyrodzoną wspólność pierwotnych poglądów człowieka. Ależ pokrewieństwo nieskończenie daléj tu sięga. Dziecko żywiołów zostaje mistrzem ludzi, jak i Wajnamojnen. Obaj posiadają tajemnicę czaru i zażegnywania potęg świata. Obaj do półboskiego serca przygarniają braci, jakkolwiek indyjski bohatér ukazuje się w warunku już *narodowym*, fiński tylko w plemiennym, na półspółecznym. Obaj pobudzają siły natury do pracowania i rodzenia dla człowieka: ten zasiewa lasy, tamten kukurydzę cudem wyprowadza z ziemi. U obu na równi duch stoi „za pan brat" z przyrodzeniem, w rajskiéj jeszcze prostocie i ufności. Obu pochłania *lewiatan* morski, obaj czarują pieśnią świat żywy i umarły.

Nakoniec, ograniczając się w szczegółach, wspomnieć należy, iż obaj, w poczuciu, że ich oko nie przeniesie wschodzącego światła chrystyanizmu, cofają się wgłąb widnokręgu, z którego wyszli, i chowają się w pozaświecie, dokąd i jednego i drugiego odwiozła łódka pożegnalna. Również uderzającém jest podobieństwo w wykładzie: ten sam rytm, dwuczłonkowość obrazów, też same powtórzenia wiersza „dzikie odświetlania," jak je nazwał Longfellow (*the wild reverberations*). Doprawdy, mimowolnie nasunąćby tu się mogła myśl o zapatrzeniu się Longfellowa w epos Finnów, ale na szczęście: posiadamy dokonany przez Schoolcraft'a zbiór starożytnych legend indyjskich, z których snuł powieść swoją Longfellow, oraz, jak dowiadujemy się od wielu powag naukowych, podania o „proroku, zesłanym dla oczyszczenia rzek i borów" dotąd istnieją wśród plemion, zgniecionych przez zdobywcę, wypędzanych coraz daléj w stepy, a opłakiwanych dziś, jedynie przez poetę z plemienia *białonogich!* Zamykamy rzecz ustępami jednakiéj treści, zaczerpanemi z *Kalewali* i *Hiawaty*.

**Zkąd początek tych pieśni?**

„Gdzieśmy słowa te zebrali?
Wszędy, wszędy je znachodzę...
Gdym pacholę niegdyś młode
Po wygonach ganiał trzodę,
Lub na błoniach pasał krowy,
Pieśń mi gwarzył mróz zimowy,
Deszcze pieśń mi pluskotały:
Rozhukane morza wały,
Straszne wichry, dębów szumy,
Pobrzmiewały tęskne dumy;

Dzieckiem jeszcze, ptacy leśni
Wyuczyli mię swych pieśni [1])."

„Zapytacie mię, zkąd te dzieje? zkąd podania? Oto z łąk i borów, od jezior Północy, pieśniarz stary znalazł je w gnieździe leśnych ptaków, w tropie żubra, w skrzydłach orła; wszystkie ptaki je śpiewały i łyska i nurek i dzikie gęsi i t. d." (*Hiawata*, pieśń I).

Tak: Hiawata i Wajnamojnen są głęboko spokrewnionymi z sobą, lecz i różnica jest głęboką.

Rozstając się z ojczyzną, obaj obiecują jeszcze wrócić kiedyś do niéj, ale Wajnamojnen szydzi sobie z nowego cyklu, przed którym ustąpić musi, a na odchodném zostawia ludom Suomi swoją kantelę (lutnię); Hiawata przyjmuje gościnnie apostołów białonogich i pozwala im zasnąć na swojém łożu; kiedy żegnał matkę, to żegnał ją pocichu, „aby snu gościom nie zakłócić."

---

# CIOTKA WAWRZYŃCÓWNA.

## PRZYCZYNEK DO CHARAKTERYSTYKI LUDU CZESKIEGO.

PRZEZ

**Karolinę Świetlę.**

PRZEŁOŻYŁ

*Bronisław Grabowski.*

— Gdzie człowiek dziś spojrzy, wszędzie sąsiedzi pracują już po gajach—mówiła ciotka Wawrzyńcówna, powróciwszy do izby z ogródka, gdzie przy płocie na ciepłém słoneczku kwietniowém garnuszek wodzianki zjadła była na obiad—możebym i ja mogła dziś w naszym lesie zrobić trochę porządek.

Gospodarz obojętnie odpowiedział staruszce: jak sobie chcecie. Tak z nią obchodził się zawsze. Nigdy jéj nie rozkazywał, ale téż nigdy za nic nie dziękował; przez cały rok nie słyszała od niego uprzejmego

---

[1]) *Kalewala*; runa I-a, przekład Sew. z Żoch. Duchińskiéj.

słowa, chociaż był to rodzoniutki syn jedynego jéj brata i po nieboszczyku ojcu objął gospodarstwo Wawrzyńców, na którém ciotka miała dożywocie. Ciężko mu było trzymać ją w domu, a szczególniéj żonie jego, kobiecie skąpéj i bez serca. A jednakże staruszka, mając prawo do własnéj komory, zadawalniała się najmniejszym ponad oborą kątkiem, gdzie obok swéj staréj malowanéj skrzyni, miała liche na noc pierzyny. Nie wymawiała się od żadnéj pracy, szanowała każdego z domowników, a swawolnym dzieciom zrzędnego synowca nigdy złego nie powiedziała słowa, lubo przez nierozum i z namowy matczynéj nie mało jéj częstokroć dokuczyły. Znana to rzecz, iż gospodarze nasi żadnego podatku z taką niechęcią nie płacą jak te trochę dożywocia ludziom, co takąż jak i oni krew mają w żyłach.

Ciotka Wawrzyńcówna (tak ją nazywali ludzie, gdyż urodziła się w domu, nazywanym domem Wawrzyńców) wzięła z komórki grabie, miotłę i szuflę. Kroki swe skierowała do lasu, który należał do ich gospodarstwa; był to piękny kawałek gęstwiny o kilkaset kroków za wioską pod dziką rozpadliną, nad którą wznosiły się góry do samego nieba.

Według zwyczaju ciotka Wawrzyńcówna ochoczo i żwawo zabrała się do pracy; szła jéj ona niby jakiéj młodéj dzieweczce, lubo wodzianka na obiad niezbyt ją na siłach była pokrzepiła. Zgarniała pod drzewa suche liście, zbierała chrust, który wiatry zimowe strąciły i układała go w kupki, kamienie zaś, przyniesione z gór nawałnicą, rzucała do szufli i zasypywała niemi wyboje, jakie wody wiosenne były wyżłobiły. Potém miotłą czyściła krótką jeszcze i lichą trawę, żeby ta lepiéj rosła i żeby kozy niezadługo czém pożywić się miały.

— Z liści będzie pewno na cały tydzień podściołki—mówiła staruszka do siebie półgłosem, rozglądając się po lasku z zadowoleniem— a z chrustu, gospodyni będzie miała na kilka razy ogień do śniadania. Na wieczór pastuch będzie musiał z dziesięć razy zajechać z taczkami, aby odwieźć to, com przygotowała.

I ciotka Wawrzyńcówna, obcierając czoło z potu, uśmiechnęła się radośnie, choć z góry już wiedziała, że nikt nie uzna jéj pracy. Naraz staruszka drgnęła i nadstawiła uszu.

— Co to? Jakiś dźwięk doleciał ją z daleka. Wprawdzie zauważała już była, że się zciemnia, lecz sądziła, że to wieczór się zbliża. Zaniepokojona szła na brzeg lasu i tam spostrzegła, że nad nią zwiesza się ciężka, czarna chmura. Wtém z chmury wypadła silna wężykowata błyskawica tak nagle i rażąco, że staruszce aż w oczach się zaiskrzyło.

— Święty Boże!—krzyknęła przerażona ciotka—to niedobra na tegoroczny urodzaj wróżba! Jeśli zdarzy się burza już przed św. Jerzym, będą jeszcze zimna, a te zniszczą zboże na polu, kwiat zaś na drzewach zwiędnie od błyskawicy.

Wtém, nad górami zaszumiało, zahuczało, jak gdyby dziewięć zek popłynęło pędem; szara, falująca chmura pokryła góry płachtą

tak gęstą, iż ani można było zmiarkować, gdzie się podziały. Ciotce wydało się, że były tylko rozpadliny i przepaście, ale góry same znikły bez śladu. Naraz spadła na ziemię szalona wściekła nawałnica, z straszliwym hukiem zrywała wszystko i wywracała, a drogi nagle w głębokie zamieniała potoki.

Staruszka oglądała się niespokojnie na wsze strony, gdzie się ukryć przed ulewą, aby jéj do szpiku kości nie przemoczyła. Gospodyni marszczyłaby na nią czoło, gdyby chciała wieczorem na żerdzi przy piecu suszyć swoję suknią płócienną, a gdyby położyła ją w spichrzu, grube jak worek płótno nie uschłoby tam do rana: musiałaby nazajutrz wziąć na siebie do roboty suknie świąteczne, a toby znowu innego rodzaju zgorszenie wywołało.

Gdy tak stoi zakłopotana, wzrok jéj zawadził o chałupkę, wciśniętą w rozpadlinę skalną. Przez potoki deszczu dojrzała, że przy okienku stał mężczyzna.

Znowu ciotka zrobiła znak krzyża świętego, lubo na ten raz nie błyskało się wcale, wszelako zaiskrzyło się jéj w oczach, jak gdyby u nóg jéj poseł boży w ziemię uderzył. Staruszka poznała, że przy okienku w domu w skalnéj rozpadlinie stoi stary Daniel, człowiek w najwyższym stopniu po całéj okolicy okrzyczany.

Ludzie nie nazywali go inaczéj tylko „ancykrystem," albo „szatanem," a człowiek ten osławiony kiwał na nią, by przed wściekłością żywiołów w jego domu szukała schronienia.

Ciotka Wawrzyńcówna, trzymając szuflę nad głową, by się zakryć przed potokami wody z nieba spływającéj, długi czas stała zakłopotana, nie wiedząc co ma wybrać, czy niechęć swéj gospodyni, czy schronienie, jakie jéj dawał człowiek tak okropny, przed którym zawsze na tysiąc kroków schodziła z drogi.

Staremu Danielowi ze strony ludzkiéj nie działa się krzywda; był to naprawdę dyabeł wcielony. Nieustannie sarkał na Pana Boga, wyrzucając Mu, że niedobrze rządzi na świecie; nieraz bluźnił nawet poprostu, twierdząc, że nie miał po co stwarzać świata, jeśli na nim lepszego zaprowadzić porządku nie myśli. Mawiał, że pragnąłby dnia sądnego doczekać nie dlaczego innego, tylko żeby zobaczyć, jak to wszystko zginie i przepadnie, i że wtedy dopiéro, jak się należy, lekko zrobiłoby mu się na sercu.

Stary ten bezbożnik miał we wsi na dole piękną po rodzicach chałupę, ale sprzedał ją i w rozpadlinie skalnéj lichy domek sobie uklecił. Nie podobało mu się wszystko piękne, to, co innych ludzi cieszy i raduje: nie mógł wokół siebie widzieć łąk kwitnących, złotego zboża na polu, drzew uginających się pod owocem. Jedynie rozpadlina skalna przypadała mu do smaku; wszystko zaś, co budziło się do życia, co rosło i kwitło, wstręt mu sprawiało. Nie znosił wokół swego nędznego legowiska ani źdźbełka trawy; skoro tylko coś zazieleniło się między kamieniami, wnet to wyrwał, wyrzucił, rozdeptał nogą, aby i gdzieindziéj przyjąć się i rosnąć nie mogło; ilekroć zaś na wiosnę ja-

skółki chciały gnieździć się pod jego strzechą, zaraz je ztamtąd wypłoszył, zrzucał im gniazdko zaczęte i nielitośną nogą zdeptał, aby po niém ani pamiątki nie zostało.

Ciotka Wawrzyńcówna unikała go, kiedy był jeszcze chłopcem, a gdy oboje podrośli, nigdy na zabawie nie chciała z nim iść do tańca. Nie mógł jéj ktoś więcéj dokuczyć, jak kiedy utrzymywał, że Daniel ją z pomiędzy wszystkich dziewcząt wybrał sobie, że nikogo tak nie kocha jako ją. Już naonczas miał w sobie tylko szyderstwo, złośliwość i jad. Gdy ją brał za rękę, zdawało jéj się, jak gdyby ją kto rozpaloném żelazem oparzył, a on właśnie, gdzie mógł, chwytał ją za rękę, rozumie się, jak ciotka sądziła, po to tylko, by ją tém do złości doprowadzać.

Jakże nie miała namyślać się, czy ma próg jego przestąpić, zwłaszcza gdy przypomniała sobie mimowoli, co jéj onegdaj dopiéro powiadał o nim grabarz, człowiek pobożny i poczciwy, który usiłował błędną tę duszę naprowadzić na drogę prawdziwego poznania. Grabarzowi Daniel miał mówić, że właściwie niéma nic w niebie, że to co tam ludzie o tém prawią, jest niczém inném tylko kłamstwem i złudzeniem.

— Że nic niéma w niebie!—myślała ciotka.—Gdzież ten błędnik podział oczy i rozum? Przecież naokół siebie musiał widzieć i czuć same dziwy i cuda.

I ciotka oburzyła się w duchu, patrząc w świętym gniewie na legowisko tego wcielonego szatana. Zkąd się to wszystko na świecie wzięło, jeśli tam niczego niéma nad nami?

Naraz ciotka namyślać się przestała, sięgnęła do skórzanéj kieszeni pod szerokim fartuchem i znalazła tam szczęśliwie obok zeschłéj skórki chleba swój różaniec. Wprawdzie nie lękała się tego, by jéj kacerz mógł wyrządzić krzywdę na duszy, jeśli niecny próg jego przestąpi, wszelako rada była że ma przy sobie coś świętego, poświęcanego. Obwinąwszy różaniec koło ręki, szła śmiałym krokiem ścieżką, wiodącą do rozpadliny przez wodę, gwałtownie z góry pędzącą.

— Pochwalony Jezus Chrystus—pozdrowiła Daniela ciotka Wawrzyńcówna z naciskiem, zamykając drzwi izby, w któréj daremnie szukała oczyma kropielnicy, obrazu świętego, Chrystusa na krzyżu, wianeczków, co na Boże Ciało na monstrancyi wisiały i wierzbowych prątków, w Kwietnią niedzielę poświęcanych.

Stary Daniel zapraszał ją za stół pod okienko, jak gdyby nie widział jéj badawczego wzroku i nie słyszał pobożnego pozdrowienia.

— Dlaczego tak długo wahaliście się wejść do mnie pod strzechę? Przecieżeście się mnie nie bali?

I stary Daniel chrapliwym głosem rozśmiał się tak straszliwie, iż ciotkę Wawrzyńcównę mróz przebiegł po kościach.

Tak zasyczał wąż w raju, gdy chciał kusić Ewę, pomyślała sobie, głośno jednak odrzekła stanowczo i z powagą:

— Ja nie boję się nikogo z ludzi, boję się tylko Boga, pod którego władzą wszyscy żyjemy. Wahałam się wejść do waszego domu dlatego, ponieważ sądziłam, że nawałnica tak gwałtowna długo trwać nie będzie. Całe popołudnie byłam w gaju i chciałabym już wracać do domu.

— Tam w domu na was czekają i wzdychają za wami—docinał ciotce „ancykryst," a oczy zpod gęstych brwi błyszczały mu niby dwie iskry z piekielnéj otchłani.—Oni martwiliby się bardzo, gdyby was ta nawałnica porwała i gdzieś na inny świat zaniosła, zkądbyście do nich wrócić nie mogli.

Ciotka posępnie zwiesiła głowę.

— Tak źle o moich gospodarzach nie myślę—mówiła drżącym głosem, ale w duszy powiedziała sobie, że zgadł stary Daniel i żal jéj się zrobiło, że taka niepiękna rzecz, tycząca się syna po rodzonym jéj bracie wyszła na jaw, choć z tém jeszcze żywéj duszy się nie zwierzyła. Wszelako stary Daniel, jak to już była zauważyła, patrzał ze swego okienka prosto w dół na dom Wawrzyńców, a złe jego oczy z pewnością wypatrzyły to i wyśledziły, co, jak sądziła, dla wszystkich ludzi było tajemnicą.

— Choć sobie tak nie myślicie, tak jest wszelako—twierdził uporczywie stary Daniel, umacniając staruszkę w domysłach, że chytrze stosunek jéj z gospodarzami wyszpiegował.—Mnie nikt nie oszuka; jak spojrzę na człowieka, już go do głębi duszy przenikam i wiém doskonale co się w nim dzieje. Ale dobrze wam, że gospodarze krzywią się na was, a dzieci ich poniewierają wami. Czegoście im zostali w domu na karku? Czegoście nie poszli zamąż? Teraz bylibyście na swojém, a gdyby wam dzieci nie dobrze służyły, śmiało moglibyście wygnać je na świat Boży między obcych ludzi.

Dziwnym sposobem głos zawiódł starego bluźniercę; chciał jeszcze coś dodać, ale jakoś mu przez usta wyjść nie chciało. Co to mogło być takiego?

Znowu ciotka spuściła smutnie głowę; zaiste pod strzechą starego Daniela nic przyjemnego jéj nie czekało.

— No, czemuście za mąż nie wyszli?—ciągnął daléj śmiejąc się jak zwykle, ale teraz śmiech ów brzmiał jakoś niby z musu—przecież z pewnością mieliście kawalerów dowoli? O ile wiem, mogliście wybierać między nimi. Czyście jakoś nie byli pewni siebie i baliście się by się mąż o tém nie dowiedział?

Ciotka dumnie podniosła głowę do góry.

— Niemam powinności spowiadać się wam i oczyszczać się z waszego zarzutu, bezwstydny starcze; aniśmy z sobą spokrewnieni, ani pokumani. Ale uczciwy człowiek ma zawsze i wszędzie obowiązek bronić czci swojéj. Wiedzcie przeto, że dlatego nie wyszłam za mąż, żem komuś ślubowała.

— A więc to prawda, że chcieliście się pobrać z Frankiem Blażyną—mruknął stary Daniel ponuro spuszczając pomarszczoną głowę

na piersi; naraz jednak krzyknął z podwójną złośliwością.—Kiedy Franek pojął inną, najprędzéj dlatego, iż miała większe niż wy wiano, czemuście i wy nie poszli za innego?

— Przecież wam tylko co mówiłam, żeśmy sobie z Frankiem ślubowali. Tam pod sosną na rozstajnych drogach, gdzie dotąd jeszcze wisi ten stary wielki krzyż, pewnego razu w nocy pomiędzy jedenastą a dwunastą z soboty na niedzielę, gdy na niebie świeciły wszystkie gwiazdy, które Bóg stworzył ludziom na uciechę, a Dzieciątku Jezus do zabawy, ślubowałam, że jemu tylko służyć będę w miłości i wierności, a nikomu innemu.

Trzeba było słyszéć, jak „ancykryst" zgrzytnął zębami, odpowiedź ciotki widocznie czarnéj jego duszy wielce zaciążyła.

— Ale ożenił się przecież, wziął inną, bogatszą od was, którą więcéj niż was kochał, a przezto zwolnił was odrazu i nazawsze od ślubu waszego.

— Człowiek niéma mocy zwalniać człowieka od ślubu, w obliczu nieba uczynionego: ślub taki obowiązuje aż do grobu.

Stary Daniel zmarszczył czoło.

— Tylko dajcie pokój z tém waszém niebem—krzyknął na ciotkę—przecież tam nic takiego niéma; to, co o niém gadają, wszystko to bajki dziecinne i kołowacizna babska.

I znowu zpod siwych brwi dwie iskry piekielne wypadły.

— Gdyby tam nic nie było, zkądżeby się wzięło to wszystko, co naokoło siebie widzimy, zkądby to miało początek swój i przyczynę?

Pobożna staruszka zasłoniła się przed bezbożnikiem tarczą niezłomnego przekonania, mimo to jednak mocno ściskała obiema rękoma różaniec, aby jéj Matka Boska nie opuszczała i pozwoliła znaleźć właściwe słowa, któreby błędnikowi ślepemu mogły stać się światłem, oświecającém drogę do prawdy.

Długo w izbie nie było słychać nic prócz pluskotu deszczu, szumu wód z gór z jednaką ciągle gwałtownością pędzących i cykotania starego zegaru, wiszącego na ścianie.

— Wszystko, co naokół siebie widzimy—począł stary Daniel głuchym głosem, który jak gdyby zamiast z piersi ludzkich z otwartego wychodził grobu—nie jest niczém inném, tylko dotykalnym, zbitym, kolorowym dymem bez podstawy i trwałości.

I „szatan" zaśmiał się, niby w piekle jego brat rodzony.

— Czy znacie drzewo bez korzenia? Prawda, że nie znacie! Chociaż korzenia nie widać u drzewa, ponieważ siedzi w ziemi głęboko, aby pień oparł się wiatrom i burzom, wszelako każdy, komu idzie o to, żeby dostać się do korzenia, potrzebuje tylko zabrać się do roboty, a z pewnością do niego się dokopie. Według mego słabego kobiecego rozumu, świat ten ma gdzieś swój korzeń i to tam pewno, gdzie, jak powiadamy, jest niebo, a ludzie ślepi nie widzą go, ludzie zaś tępego i mdłego ducha nie mogą albo nie chcą dokopać się do niego, a słabsi i leniwcy krzyczą w gnuśności swéj i głupocie, że go niéma i chcieli-

by ze wszystkiego zrobić taką bańkę migotliwą i pustą, jak ich własne sumienie.

Po tych słowach, które ciotka ze łzami w oczach i z zapałem przemówiła, w izbie starego Daniela znowu nastało długie milczenie, przerywane tylko cykotaniem starego zegara i szumem i hukiem pędzącéj z gór wody.

— Prześliczny, doprawdy prześliczny wyrósł płód z tego waszego niebieskiego korzenia! Ten świat powszedni—i to mówiąc „ancykryst" pogardliwie głową potrząsnął — to same kłopoty, nikczemność, zmartwienia; każda godzina swoję troskę przynosi, każdy dzień ma swe osobne strapienie. Doprawdy, niewielka będzie szkoda, jak kiedyś ten świat przepadnie u licha!

— Nie powiem, żeby na świecie zawsze było przyjemnie, ale gdyby tak ludziom bez ustanku dobrze się działo, czyżby nie popadli w pychę i rozpustę? Przecież przykład tego codziennie na bogaczach widzimy.

— Oh! być bogaczem i mieć możność wynosić się nad innych, nie potrzebować jako wielcy panowie nikogo, to przecież rzecz bardzo piękna, jedyna, która mi się na tym świecie podoba.

— Mówicie, że wielcy panowie nikogo nie potrzebują? Onegdaj widziałam w kościele naszę księżnę, panią młodą i piękną, i serdecznie żal mi się jéj zrobiło. Tylko nie śmiéjcie się jak wprzódy, powiem wam zaraz dlaczego, a z pewnością przyznacie mi słuszność, jeśli choć raz zechcecie być sprawiedliwymi.

— Doprawdy ciekawym, co mi powiécie — mówił szczerząc zęby przyjaciel i krewniak Lucypera.

— Tak jest, żałowałam bardzo téj bogatéj i wielkiéj pani — obstawała przy swojém ciotka Wawrzyńcówna. — Choć podobno zdrowa jak ryba, przecież dwaj lokaje musieli ją wysadzać z powozu i wsadzać napowrót, nieśli przed nią książkę do nabożeństwa, a gdy chciała uklęknąć w ławce, położyli przed nią aksamitną poduszkę. Gdy wyszła z kościoła, zaraz roztworzyli nad nią parasol, żeby ją głowa od słońca nie rozbolała. Słyszałam, jak naokoło mnie mówiono, że zachorowałaby jednéj chwili, gdyby nie miała dzień w dzień pieczeni, ciast i wina, że boso ani stąpić nie może, bo inaczéj zaziębiłaby się i mogłaby umrzeć. Innych sukni nie weźmie na siebie prócz jedwabnych, a bielizny nie może mieć innéj tylko batystową; płótno robione w ręku, podobno mogłoby pokaleczyć jéj delikatną skórę. Ty, mój Boże,—pomyślałam sobie, idąc do domu śmiało i ostro, z nowemi trzewikami w ręku, żeby ich nie rozdeptać,—Ty, mój Boże! jakże Ci dziękuję, żeś mię żadną taką wielką panią nie stworzył! Mam lat siedmdziesiąt bez pięciu; biegam, jakby mię wiatr nosił; nie czuję ani gorąca, ani zimna; wszystko mi jedno, co gospodyni na stół postawi: mam zimą i latem do roboty jednę płócienną suknię i zadowolona jestem, jeśli dziur na niéj niéma. Poznałam wtedy więcéj niż kiedyindziéj, że nie to co mamy czyni nas bogatymi, ale to, czego mieć nie

potrzebujemy. Téj niedzieli, w południe, bosa, na kamienistéj drodze, na upale, kurzawie, z czczym żołądkiem, czułam się doprawdy szczęśliwszą i bardziéj zadowoloną, aniżeli ta księżna, która zmęczona, z zamkniętemi oczyma rozwalała się w swéj złocistéj karecie, do któréj nie wolno było ani słońcu zaglądać, ani wietrzykowi zakraść się pocichu. Przynajmniéj tak mi wydawało się, kiedym ją widziała, jak koło mnie przejechała. Cały wieczór chwaliłam Boga, żem urodziła się w mierności pod słomianą strzechą, i że Bóg zamiast bogactw dał mi siłę i zdrowie, że nie potrzebuję by kto na mnie pracował i kłopotał się o mnie, żem zawsze mogła żyć z pracy rąk własnych i na saméj sobie polegać.

Długo starzec siedział przed staruszką w głębokiém zamyśleniu. Zaprosił ją do siebie bynajmniéj nie z dobrego serca, bojąc się, aby na ulewie nie zmokła, ale dlatego tylko, jak to pewno odgadł już każdy, aby jéj mógł porządnie dokuczyć. Miał-ci na nią oddawna chrapkę, nienawidził ją kiedy była dzieckiem pilném i pobożném, nienawidził gdy była młodą dziewczyną, celującą między innemi cnotą i rozsądkiem, kiedy gardziła nim, że nie miał pięknych obyczajów, spokojnego charakteru i poważnéj mowy, i z tego powodu nic sobie nie robiła z jego wielkiego, intratnego gospodarstwa, gładkiéj powierzchowności i przenikliwego umysłu. Głównie jednak nie zwracała nigdy uwagi na to, że Daniel nie chciał żadnéj innéj dziewczyny, tylko ją jednę, i że wolał zostać w bezżeństwie, aniżeli pojąć którą z jéj towarzyszek, chociaż wszystkie byłyby chętnie poszły za jedynaka, syna zamożnych rodziców. Chciał jéj dokuczyć, a tymczasem ona mu dogryzła należycie.

— To wam musi być przykro, kiedy spotykacie Franka?—zapytał Daniel ze szkaradnym uśmiechem.

— Dlaczegóż miałoby mi być przykro? Przecież względem niego nic nie zawiniłam.

— Ale on względem was zawinił.

— Nie jestem jego sędzią i nie wtrącam się do jego sumienia. Zresztą, Frankowi dobrze się powodzi, a ja niczego nie pragnęłam nigdy, tylko żeby mu się dobrze wiodło.

— Wy umiécie wszystko obracać na dobrą stronę. To rozumié się samo przez się, że nie przyznacie się przedemną, co czujecie w sercu, kiedy przypomnicie sobie, że kiedyś chciał się żenić z wami.

— Chętnie o nim wspominam—mówiła ciotka ze łzami w oczach —i dotąd dziekuję Bogu i Frankowi, że mi dozwoloném było przeżyć naonczas tyle chwil radosnych. Poraz pierwszy widziałam Franka na weselu w sąsiedniéj wiosce. Było to w zimie, jechaliśmy z tatusiem saniami. Tak mi zdaje się, jak gdyby to było wczoraj dopiéro; dotąd jeszcze widzę samą siebie jak w zwierciedle. Miałam na sobie suknię czarną jedwabną, kapotkę i fartuch także jedwabne, ale stalowego koloru. Podobałam się każdemu, najwięcéj jednak Frankowi. Wyszedł naprzeciwko nas do sieni, jako najstarszy pomiędzy drużbami; miał

obowiązek gości do izby wprowadzać. „Witam cię, druchno!" mówił do mnie słabym głosem, jak gdyby go kto ścisnął za gardło. Więcéj nie mógł wyrzec ni słowa, ale ja poznałam zaraz, żem mu głęboko wpadła do serca. Wziął mię za rękę i od téj chwili przez cały dzień ręki mojéj nie puścił. Ktoby to był powiedział, że z inną pójdzie do ołtarza?

I na rzęsach ciotki zadrżały dwie łzy wielkie i ciężkie. Wstała od stołu i dodała:

— Bądźcie zdrowi; dészcz ustaje, muszę wracać do domu. Gospodyni zechce ogień do wieczerzy rozniecić, muszę jéj garstkę suchych szczypek przygotować.

Stary Daniel zatrzymywał ją przy stole.

— Pozostańcie tu jeszcze kilka chwilek—mówił do ciotki z niezwykłą sobie miękkością — tak prędko jak z wami jeszcze mi nigdy czas nie upłynął, choćby nawet z grabarzem, a przecież z nim rąbiemy się co się zowie. Czy wiécie co mi przyszło do głowy, kiedym słuchał waszego opowiadania? Przypomniałem sobie, że się starzeję i że potrzebuję kogoś przy sobie, coby nietylko posiedział zemną dla zabicia czasu, ale jeszcze pielęgnował, gdy mnie spotka choroba, coby mnie nakoniec do czarnéj ziemi ułożył. Jak żyję na świecie, jeszcze od nikogo nic darmo nie żądałem, wiem, że każdego serce pełne jest chciwości. Chciałem właściwie wszystko to com za życia uskładał, rzucić gdzieś do wody, by tego ktoś czasem nie wytropił, skoro poczuję, że mój koniec blizki, ale teraz rozmyśliłem się inaczéj.

Daniel zerwał się, pobiegł do pieca, wyjął ze ściany kamień, a oczy ciotki Wawrzyńcówny uderzył stos srebrników.

— To wszystko będzie wasze—mówił do niéj—jeśli przeniesiecie się do mnie niezwłocznie, abyśmy razem gospodarowali. Jeśli zechcecie, mogę z wami nawet iść w kościele do ślubu: tożto będzie ludziom uciecha, kiedy zobaczą przy ołtarzu „ancykrysta" z największą w całéj okolicy nabożnisią.

I stary szatan roześmiał się tak głośno, iż teraz ciotkę na dobre zdjęła trwoga. Wstała z powagą i z powagą pokręciła głową.

— Czyż wam już nie powiedziałam, iż zrobiłam ślub święty, że tu na ziemi nie będę służyła nikomu innemu tylko jednemu Frankowi?

Stary Daniel drgnął z niecierpliwości.

— Przecież Franek ma żonę, porządnie młodszą od niego, a przytém zdrową podobno jak ryba, pewno ona go przeżyje; niemacie więc co myśleć nawet, żebyście jeszcze kiedyś z nim pobrać się mogli.

— O niczém podobném nie myślę, nie czekam niczyjéj śmierci; owszem, życzę każdemu zdrowia i długiego na ziemi żywota: ale ślub jest ślubem.

I ciotka Wawrzyńcówna obstawała przy tém nieugięcie i nieodstąpiła ani na krok od swego postanowienia, chociaż stary Daniel, jako prawy potomek owego chytrego szkódnika, co na pustyni przystąpił był do Chrystusa Pana i kusił Go, odmalowywał jéj w najpowabniej-

szych kolorach, jak się będzie dobrze u niego miała, jak będzie żyła przy nim w obfitości i jakie dostatki po jego śmierci zabierze.

Kręcąc głową i szydząc z jéj prostoty, a nie wierząc, by przy swojém wytrwała, niebezpieczny dusz ludzkich zwodziciel puścił w końcu ciotkę Wawrzyńcównę.

— Rozmyślicie się inaczéj — wołał na nią przez okno wzgardliwie — gdy gospodyni pocznie o was przy krajaniu chleba zapominać, a dzieci wyrzucą wam pierzyny do wozowni, abyście tam sypiali. Wtedy przypomnicie sobie to, co wam dzisiaj powiedziałem, zbierzecie manatki i przyjdziecie prosić pod mémi drzwiami, abym i ja przypomniał sobie dzisiejsze moje słowa. Ale jako wy teraz udajecie głuchą, tak i ja głuchym zostanę: nie będę miał litości, będę śmiał się z was, gdy ztąd zobaczę, jak tam w domu najgorszą wkładają na was pracę, jak was prześladują od najstarszego aż do najmłodszego, jak skręcacie za płot od ogrodu, aby zapłakać w cichości. O, jakże będę śmiał się, jakże będę się cieszył z waszego poniżenia i poniewierki.

Ciotka nie dała zbić się z tropu.

— Niech mi się stanie to, co mi prorokujecie, niech się zatrapię między swojemi, nie odstąpię od tego, com Bogu przed wszystkiemi gwiazdami ślubowała.

— Ale przecież tam nad témi gwiazdami nic niéma, wierzcie rozumnemu człowiekowi, który przez całe życie nic innego nie robił, tylko badał te rzeczy i próbował umysłem nieuprzedzonym, babskiemi wymysłami nie wykoszlawionym.

Ciotka Wawrzyńcówna wskazała tryumfująco ręką na tęczę, która niby most błyszczący wspaniale ponad ciemnemi w dali borami, przez cały widnokrąg pokryty chmurami, wyginała się z jednego końca nieba na drugi.

— Oto znak przymierza pomiędzy duchem świata a nami śmiertelnymi! — zawołała pełna radosnéj dumy, ale już nie obejrzała się, spieszyła do domu, drżąc cała od niedoznanego jeszcze nigdy wzruszenia, niecierpliwie pragnąc dostać się coprędzéj do łóżka, aby przy modlitwie zapomnieć o wszystkiém, co pobożna jéj dusza dnia dzisiejszego usłyszała bluźnierczego i niezwykłego doznała.

Ciotka Wawrzyńcówna owego wieczora nie doczekała się chwili spokoju, w któréj mogłaby całą duszą oddać się pobożnemu rozmyślaniu. Skoro weszła na podwórze, gdzie gwałtowna nawałnica głębokie wyżłobiła bruzdy, usłyszała straszliwe w izbie narzekanie.

Gospodyni chciała na drugi dzień robić masło i przygotowywała potrzebne ku temu naczynia. Aby rano nie tracić czasu na mycie i wyparzanie, postawiła wszystko na podwórzu, żeby wyschło. Naraz spada ulewa. Gospodyni szczęśliwie zabrała wszystko do izby oprócz kierzni, którą woda unosić poczęła. Pobiegła za nią, lecz silny prąd wody bił ją po nogach, poślizgnęła się, nie mogła się utrzymać i upadła tak nieszczęśliwie na kamień z gliny stérczący, iż mąż zaniósł ją do izby omdlałą i bezwładną. Dzieci z straszliwym krzykiem otoczy-

ły bezprzytomną matkę, któréj z głębokiéj rany na skroni krew płynęła. Ciotka Wawrzyńcówna przybiegłszy do łóżka gospodyni swojéj, niesłychanie przelękła się jéj zemdlenia, bladości, oraz sinéj barwy, która coraz więcéj twarz jéj powlekała. Wnet poznała, że to cień nieubłagany ręki śmierci, która dziatkom płaczącym tak gorzko, matkę porwać zamyśla. Usiłując jednak panować nad sobą, próbowała wszelkich znanych sobie środków w celu zatrzymania krwi z rany płynącéj. Przykładała na rozciętą skroń pajęczynę, talar z krzyżem św., kawałek jaskółczego gniazda, kwiat czarnéj dziewanny, ale wszystko to na nic się nie zdało. Daremnemi także były zażegnywania guślarki słynnéj w całych górach, do któréj ciotka najstarsze z dzieci posłała; a gdy lekarzowi, po którego wyjechał gospodarz do miasta, udało się krew zatrzymać, gospodyni na kilka zaledwie minut oczy otwarła. Nieprzezwyciężona niemoc znowu ją powaliła na łoże, a w niemocy téj gasła cicho i powoli, niby płomyczek kagańca, któremu zbrakło oleju.

Nie spodziewała się ciotka Wawrzyńcówna, że odprowadzi gospodynią swą do grobu; wielce bolała nad tém i to tém więcéj, iż cała cicha praca domowa i troska około rodziny, spadły na stare jéj ręce. Robiła co mogła, krzątała się o ile sił jéj starczyło, ale cóż kiedy starych lat przerobić już niepodobna było. Gospodarz uznawał, że nad siły staruszki było to, co na nią spadło; poszukiwał więc jakiéj młodszéj pomocnicy, ale żadna do niego iść do służby nie chciała; zanadto znano go jako nieprzyjemnego zrzędę, a dzieci jako rozpieszczonych swawolników.

Łatwo sobie każdy wyobrazi, z jaką szatańską radością Daniel poglądał przez las na dom Wawrzyńców, ze swéj w rozpadlinie jamy. Po całych godzinach nie odchodził od okienka, śledząc z zadowoleniem, jak jego współzawodniczka musiała krzątać się po podwórzu i ogródku, jak wielokroć dziennie wchodziła do obórki, upadając pod brzemieniem szufli z otrębami, albo pod świeżą trawą dla bydła, którą ciężką kosą własnemi musiała narżnąć rękoma; jak tyle razy wchodziła do wozowni z drzewem wyschłém na słońcu, które tam na zimę, w kupki układała, jak znowu szła do stodoły, aby powoli w niéj wszystko na przyszłe żniwa przygotować.

— O! przyjdzie ona do mnie, tylko co patrzéć—mówił chichocząc do rozpuku—może dziś jeszcze wieczorem zakołacze do drzwi, płacząc i narzekając, że téj u synowca pańszczyzny dłużéj już nie zniesie, prosząc, bym się zlitował nad nią i spełnił to, com chciał dla niéj uczynić onegdaj, gdy ją tu ulewa zapędziła. Ale napróżno, napróżno prosić mię będzie: nie będę miał nad nią litości. Niech jéj pomoże ten, którego, jak powiada, widzi i czuje we wszystkiém, na co spojrzy, o czém pomyśli. Niech przekona się ta uparta nabożnisia, czy czuwa nad nią ów opatrzny obrońca, bez którego, jak powiada, włos człowiekowi z głowy nie spadnie; niech przekona się nareszcie, czy rzeczywiście coś podobnego istnieje.

Ten złośliwy monolog staremu szkodnikowi przerwał naraz odgłos drobnych, żwawych kroczków, które zbliżały się do jego legowiska, po stromej ścieżce z gór do rozpadliny wiodącéj. Daniel ze zdumieniem nadstawił ucha, czyje to mogły być kroki? Tą stroną ludzie nie chodzili przez góry, nietylko z powodu przykréj drogi, ale i dlatego, by nie przechodzić koło mieszkania człowieka, o którym cała okolica myślała, że jeśli nie pozostaje w bezpośrednich z piekłem stosunkach, to przynajmniéj już do piekła należy. Może byłto jaki sąsiad, który bawiąc w handlowych interesach poza górami, a otrzymawszy z Niemiec pilne zamówienie drobiu, lub zwierzyny, albo przędzy, albo też wreszcie dartego pierza, śpieszył najkrótszą drogą do domu, by co prędzéj załatwić interes i mało dbał o to, że rozpadlina prowadzi tuż obok mieszkania wyklętego bluźniercy. Ale pod skałą nie ukazał się handlarz drobiu, bydła lub masła, ale całkiem nieznana Danielowi dziewczyna, z obcéj wsi, dwadzieścia mniéjwięcéj lat licząca, smukła, z powagą w twarzy, zadumaném spojrzeniem, z wielkim węzełkiem sukien i bielizny pod pachą.

Stanąwszy tuż pod okienkiem, które każdy z miejscowych z takim wstrętem omijał, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo, zapytała starego Daniela głosem dźwięcznym i tkliwym:

— Którędy droga do Wawrzyńców?

Stary Daniel zmierzył dziewczę surowym wzrokiem.

— Czego tam szukasz?—zamiast odpowiedzi szyderczo ją zapytał.

— Słyszałam, że tam potrzebują służącéj —odrzekła z westchnieniem—spuszczając ku ziemi wielkie ciemne oczy.

Stary Daniel znowu ją zmierzył swém ostrém śledczém spojrzeniem.

Ubiór czarnookiéj dziewczyny był porządny i dobrze uszyty z materyi, jak na wieśniaczkę drogich, nawet zbytkownych; na szyi miała sześć sznurków dobrych granatów, a między niemi trzy wielkie dukaty.

— Tegom się nie spodziewał—ozwał się stary bezwstydnik szyderczo—że mię córka Franka Blażyny kiedyś pytać będzie, którędy najkrótsza droga do służby! Czyście nagle mienie stracili, że ci ojciec nie może dać wiana i zamiast chłopca poszukać, do służby posyła? Czy może przypadkowe podobieństwo mię myli i ty nie jesteś z rodu Blażynów?

Na te natrętne pytania, dziewczę poczerwieniało jak ogień.

— Tak jest—odpowiedziało z dumą—jestem z rodu Blażyny, najmłodszą z jego siedmiu córek, Milda mi na imię. Idę do służby nie dlatego, że ojciec mienie postradał i nie może mi dać wiana, owszem, dobrze nam się wiodło i ojciec dokupił wielki kawał łąki i lasu. Ale idę do Wawrzyńców do służby, aby, o ile można, wynagrodzić krzywdę, którą ojciec mój w młodszych latach wyrządził staruszce, żyjącéj tam na dożywociu. Jak słyszę, w skutek śmierci gospodyni spa-

dły na nią wszystkie kłopoty domowe, a ja postanowiłam uwolnić ją od nich.

Bezbożnik spojrzał na nią ze zwykłém sobie szyderstwem, które widocznie dziewczynę bardzo niemile dotknęło, gdyż, zaczerwieniwszy się poraz drugi po uszy, mówiła prędko:

— Ciotka Wawrzyńcówna i mój ojciec ślubowali sobie w młodości, że się pobiorą, a ciotka przysięgła mu, że nikomu innemu prócz niego w miłości i wierności służyć nie będzie. Ciotka Wawrzyńcówna dotrzymała wiernie swéj obietnicy i przez wzgląd na mego ojca, odrzuciła wielu bogatych i porządnych kawalerów. Inaczéj postąpił sobie mój ojciec. Dał się zaślepić bogatém mojéj matki wianem i opuścił kochankę wierną i rozsądną. Przy dobréj żonie wiodło mu się nieźle, ale nikt go nigdy naprawdę wesołym nie widział. Gdzie się tylko ruszył, wszędzie ciężyła mu jego niewierność, ciężyła i mnie także, skorom się o niéj dowiedziała; od téj chwili niémam pokoju i aby ulżyć swéj duszy i oczyścić pełne zgryzot sumienie ojca, stojącego nad grobem, idę znosić dobre i złe, razem z dawniejszą jego narzeczoną i służyć jéj tak, jak ona zamierzała służyć memu ojcu, nie odstępować jéj w ostatniéj chorobie, czuwać nad jéj skonaniem, po śmierci zamknąć oczy, ubrać ją do trumny, usłać ostatnie posłanie i ze łzami i z modlitwą odprowadzić do grobu, jakby jéj wierna, miłująca córka rodzona.

Stary Daniel, słuchając tych słów, nie przestawał uśmiechać się pogardliwie i głową potrząsać.

— A ja ci powiem coś innego, kochanko—mówił do pobladłéj dziewczyny.—Kawaler porzucił ciebie, dla innéj bogatszéj, tak, jak ojciec twój porzucił był tę starą nabożnisię dla twojéj matki.

— Mylicie się, najzupełniéj się mylicie!—zawołała gniewnie dziewczyna—nie porzucił mnie narzeczony dla jakiéjś bogatszéj lub piękniejszéj, ale ja porzuciłam mego narzeczonego, ponieważ nie widziałam w nim tego, czegom przedewszystkiém od przyszłego męża wymagała. Z początku bardzo mieliśmy się ku sobie oboje, ale kiedy mu wspomniałam, że myślę wziąć do siebie ciotkę Wawrzyńcównę, nigdy mi na to nie dawał odpowiedzi, a gdy pewnego razu spytałam go poprostu, dlaczego milczy na te moje słowa, poprostu mi oświadczył, że nie myśli pokutować za winę mego ojca i że obcego człowieka nigdy nie przyjmie do swego domu. I z niesłychaną poznałam przykrością, że niéma on tak szlachetnego serca, jak zawsze sobie myślałam i poznanie owo wielce mnie zmartwiło. On zauważył to niebawem i coraz przykrzejszémi słowy łajał mnie za mój nierozum, za moję względem niego niesprawiedliwość... Co wam będę długo prawiła, dość, że wkrótce przestaliśmy rozumiéć się wzajemnie, a ja bynajmniéj nie starałam się powolnością załagodzić sprawy, nie był on bowiem takim, za jakiego miałam go. Przestał chodzić do nas, a ja go wcale nie zapraszałam. Postanowiłam więc sobie dla uspokojenia rozżalonego serca, iść za ciotkę Wawrzyńcównę do służby.

Stary Daniel zmrużył jadowite swe oczy tak okropnie, iż zdawało się, że z nich same iskry się sypią.

— Gospodarz u Wawrzyńców jest wprawdzie wdowcem, ale czterdziestka dawno mu już minęła. Nie byłci on nigdy ładnym chłopcem, ale teraz nawet najlichszy w okolicy parobek nie wygląda tak licho jak on. Jeśli przyjdzie tam, gdzie go nie znają, każą mu czekać w sieni, a od czasu, jak jest wdowcem, jeszcze żadne z naszych dziewcząt nie zapraszało go do siebie, a to coś zawsze znaczy. A panny nasze wyglądają ślubu niby zbawienia. Niewiele tu zyskasz, kochaneczko droga, a nie będziesz miała czém pochwalić się przed ludźmi.

I stary dyabeł zęby na dziewczynę wyszczerzył.

Z oczu Mildy wypadła na bluźniercę taka błyskawica, iż mimowolnie cofnął się od okienka.

— Wyście to zapewne ten, którego tutejsi ludzie nazywają szatanem, ponieważ zaprzecza, by w ludzkich sercach coś dobrego urodzić się mogło?

Zapytanie to zrobiła tak wyniośle, że staremu Danielowi przytrafiło się to, czego jeszcze nigdy, o ile zapamięta, nie doświadczył; zarumienił się wobec Mildy, jakby żak jaki.

— Tak, tak!—wyjąkał zakłopotany starzec—jak sądzę, tak mię nazywają niektórzy prostacy, którzy więcéj innym wierzą, aniżeli własnym oczom, własnemu doświadczeniu, własnemu przekonaniu.

— Ktoby się tam sprzeczał z wami—rzekło dziewczę, dumnie wznosząc głowę do góry.

— Szalony ten, kto szydercom pozwala ściągnąć się z drogi prawdy.

I dziewczę, odwróciwszy się ze wstrętem od bluźniercy, o którym przez góry wieść aż do jéj domu doleciała, nie czekało już, by jéj wskazał, którędy coprędzéj dostać się do Wawrzyńców. Biegło prosto na dół, aby, jak się zdaje, co prędzéj uciec od tak straszliwego człowieka.

— Zadzieraj nosa do góry, zadzieraj, ty pyszałko!—wołał za Mildą starzec drżąc ze złości—niezadługo jednak wyjdzie na jaw, po co wynosisz się za dożywotnicą, czego szuka rozżalona dusza twoja, czy pociechy w dopełnieniu obowiązku, czy téż rozpusty i hulanki tam, gdzie cię nikt nie zna. Zabłądziłaś tutaj, aby uniknąć dozoru rodzicielskiego, porzuciłaś narzeczonego, bo nie dość ci na jednym mężczyźnie, chciałabyś miéć kochanków we wszystkich, co ci wpadną w oko. Zobaczymy my to niezadługo, co cię do nas przywiodło, usłyszę ja i tutaj, jak będziesz biegała na tańce, z parobkami włóczyła się po nocach, straszyła narzeczone i żony...

Milda zatrzymała się na chwilę i z niewysłowioną pogardą zwróciła się ku staremu Danielowi.

— Jakże moglibyście wierzyć, że w ludziach jest coś dobrego, kiedy w was nic podobnego niéma—odparła ze szlachetną godnością.

Błędnik wściekle zgrzytnął zębami, tak do żywego nikt mu jeszcze nie był dopiekł, jak to młode, niedoświadczone dziewczę, a przecież wiódł był spory z proboszczami, urzędnikami i nauczycielami. Z każdego sporu wynosił tryumfujące przeświadczenie, że jeśli przeciwnika swego nie przekonał, to przynajmniéj zaszczepił mu w duszy cierń, którego ten nie prędko się pozbędzie, ale który długo tam boléć i zawadzać będzie.

— Tylko miej się na baczności, ty obłudnico!—wołał za nią kipiąc złością i wściekłością—możesz każdemu zatkać oczy i uszy, ale nie staremu Danielowi. Ja czuwać będę i żaden twój zamiar, żadna chytrość i obłuda nie ujdą mego oka. Wszystko wyśledzę, a kiedy najmniéj spodziejesz się tego, roztrąbię po świecie, czém się wydajesz i czém jesteś...

Ale Milda nie obejrzała się wcale, poczytując potwarczego starca za niegodnego odpowiedzi. Poważnie, wolnym krokiem szła do wioski, a rozejrzawszy się po dolinie, nie rozpytując się już więcéj, zmierzała prosto do domu, gdzie miała wejść do służby, aby dopomódz staréj dożywotnicy i aby zapomnieć narzeczonego, który tak mało miał w sobie uczucia i litości i na którym serce jéj tak boleśnie się zawiodło.

Łatwo się każdy domyśli, że stary Daniel dotrzymał swojéj obietnicy i teraz dopiéro zważał na wszystko, co się w domu Wawrzyńców działo.

Milda rzeczywiście została w służbie; wszystkie ciężkie, męczące prace, które w ostatnich czasach wykonywała staruszka, na co Daniel z taką radością poglądał, teraz spełniało dziewczę raźno, jak sarenka, a w każdym jéj kroku znać było ochotę i zadowolenie ze swéj roboty. Ciotka Wawrzyńcówna siedziała teraz wygodnie pod jabłonią w ogrodzie, skrobiąc tam przed południem kartofle na obiad, po południu zaś z wielkiéj, staréj książki odmawiając modlitwy.

Milda na inną pracę staruszce nie pozwalała. Daniel często oczyma bystrémi, jak u rysia, widział, jak staruszka za dziewczyną, biegającą tu i tam, jak fryga, robiła znak krzyża świętego, a żółć kipiała w nim, gdyż zdawało mu się, że aż do niego szept jéj błogosławieństwa dolatuje; zdawało mu się, że przed nim migocze odblask tego błogiego spokoju, opromieniającego duszę staruszki, która tak nagle i niespodzianie najtroskliwszą córkę była znalazła.

Nie chciał „ancykryst" własnym wierzyć zmysłom, uporczywie utrzymywał, że to nie prawda, co na własne widział oczy. Nie mógł wytrzymać, przemógł samego siebie i kilkakrotnie ciemnym wieczorem wylazł ze swéj dziupli i ostrożnie, aby go kto nie spotkał i nie poznał, skradał się do domu, niby lis, obchodzący gołębnik, stawał pod oświetlonémi oknami izby, rzucając na nią chciwe spojrzenia. Wszelako widział to tylko, co za dnia w ogrodzie; wzrok jego napotykał jedynie obraz cichy i rozkoszny: ciotka siedziała na stołku obok półki, poglą-

dając z upodobaniem na stół, przy którym Milda z dziećmi albo przebierała groch lub soczewicę, albo też darła pierze.

Rzadko kiedy zwracała pracowita Milda marzycielskie swe oczy na staruszkę, która starała się domownikom wieczorne uprzyjemniać chwile, opowiadając im jakieś dawne zajmujące zdarzenie, albo też podania, powoli w pamięci młodszego pokolenia niknące. Milda nie zwracała uwagi, że gospodarz, palący fajkę pod piecem, nie spuszcza z niéj oczu, nie zauważyła, że za pługiem nie chodzi już tak zgarbiony, że coraz bardziéj zapomina zrzędzić i marudzić, że dba o swoję powierzchowność, jak jeszcze nigdy nawet za lat młodszych; nie zauważyła, że kupił sobie takie suknie odświętne, jakich niémiał żaden wieśniak w okolicy, a w których wyglądał nietylko o połowę młodszy, ale nawet jak narzeczony przed ślubem. Témbardziéj wszakże zauważył to stary Daniel, kipiąc coraz bardziéj gniewem, że się jeszcze nie spełnia jego proroctwo, że zamyślona Milda ciągle siedzi w domu, bawi się z dziećmi, pilnuje obowiązku, a jeśli kiedy po wieczerzy przed pójściem do łóżka wyjdzie z domu, to stąpa tylko powoli nad potokiem po łące i pocichu, ukradkiem gorzko zapłacze nad tém, że słodki sen młodocianéj miłości nie wypełnił się tak, jak sobie tego była życzyła.

Stary Daniel myślał, że na dobre rozchoruje się ze złości, gdy pewnego dnia rano usłyszał wesołą muzykę w dolinie i huk uroczystych strzałów i ujrzał drużynę weselną, wracającą z kościoła. Na jéj czele postępowała blada Milda, poglądając załzawionemi oczyma na dwu pięknych, wystrojonych chłopców, którzy ją, jako drugą ukochaną matkę, z widoczną dumą prowadzili do domu. Tak długo prosiły ją były dzieci, aby ich nie opuszczała, aby na zawsze została przy nich, zwłaszcza dziewczątko, które teraz prowadząc uśmiechniętego od szczęścia ojca za rękę, niosło w drugiéj ręce poduszkę z rozmarynowym na niéj wieńcem. Tak długo ściskało ją było za szyję, aż Milda rozpłakała się rzewnie i przyrzekła, że nie opuści ich do śmierci i że przywiązanie ich każdą inną miłość jéj zastąpi.

Wszelako stary Daniel niedługo się gniewał.

— Teraz to zobaczymy, teraz dopiéro zobaczymy—mówił ze śmiechem co rano i co wieczór, stojąc przy oknie na czatach.

Stawał tak na wywiadach całe dnie, tygodnie i miesiące i nie dopatrzył nic innego nad to, co mu dawno było znaném. U Wawrzyńców ludzie żyli ciągle w zadowoleniu i spokoju. I teraz młoda gospodyni nie ruszyła się z domu, przy robocie była pierwszą i ostatnią, a gdy pewnego razu „szatan" przez kilka dni nie widząc jéj koło domu, znowu cieszyć się zaczął, że teraz w końcu poleciała na odpust, gdzie będzie hulała do woli, toż się dopiéro zawiódł. W piękny dzień niedzielny po południu pokazała się mu znowu nad potokiem, na kwitnącéj łące i niosła coś w różową zawiniętego pierzynkę, białą chustką zasłoniętego od słońca, coś, co z wyrazem szczęścia i radości przyciskała do serca. A gospodarz odmłodniały, z rozpromienioném obliczem, w którém przebijało się toż samo uszczęśliwienie co i w jéj twarzy, przystą-

pił za nią na paluszkach i objąwszy ją wpół ręką, usta swe do jéj czoła przycisnął, a ona przytuliła się do niego z zaufaniem i miłością.

Widok ten przeszył jego stare, pełne zawiści serce, niby rozpalonym prętem żelaznym. Padł na zydelek stojący pod oknem i do wieczora nie ruszył się z miejsca. Siedział tam niby skamieniały i tak siadywał dzień w dzień ponuro, z głową na piersi spuszczoną, z oczyma odwróconemi od okna.

Ani razu nie wyszedł na próg, aby wołać na przechodniów i natrząsać się z ich wiary. Sąsiedzi zauważyli to i zdumieni pytali jeden drugiego, co to ma znaczyć. Wszelako gdy „szatan" pozwolił na wiosnę muchołówce ulepić gniazdo pod belką, tuż prawie nad ulubioném jego niegdyś okienkiem, gdy dopuścił, by trawa rosła między kamieniami pod progiem, ba, gdy nawet tuż obok drzwi wykwitł cały pęk modrego, jak niebo rozchodniku, a on takowego nie wyrwał i nie zdeptał: ludzie poczęli domyślać się, że coś krucho z Danielem i wyprawili grabarza, aby przekonał się, czy stary błędnik nie mięknie w swéj zatwardziałości i czy nie zamyśla czasem o pokucie.

Ulegając ich wezwaniu, grabarz udał się do słynnego kacerza, lubo zarzekł się był, że nigdy już progu jego domu nie przestąpi; za ostatniéj u niego bytności miał z nim spór tak gwałtowny i zacięty, że zapomnieć go nie mógł, ciągle mu tkwił w mózgu i serce toczył. Tak szkaradnych błędów, jak naonczas, stary Daniel nigdy jeszcze przed nim nie był wypowiedział.

Grabarz znalazł posiwiałego grzesznika wychudłym, zżółkłym, skurczonym na łóżku.

— Wam jakoś niedobrze?—rzekł, przystępując do niego.

Bezbożnik długo nie ruszył się z miejsca i milczał uporczywie.

Grabarz lubo gniewał się nań niemało, wszelako żal mu go się zrobiło, gdy słyszał, jak Daniel ciężko i nierówno oddychał.

Nakoniec starzec słabym ruchem ręki wskazał na piec.

— Weźcie więc sobie to, co tam za tym poczerniałym kamieniem znajdziecie—mówił głuchym głosem. Chciałem to rzucić gdzieś do jamy i tam zasypać, albo wpakować do wody, by to sobie zabrała i nikt nie dostał ni grosza z tego, co po mnie zostanie...

Grabarz nie wiedząc czego się trzymać, przystąpił do pieca, gdzie ruszył kamień oznaczony, który łatwo się wyjmował. Wielce się zdziwił, ujrzawszy w otworze owe srebro, które naonczas tak mało na ciotce Wawrzyńcównie zrobiło wrażenia.

— Co mam z tém robić?—zapytał grabarz zdumiony.

Stary Daniel znowu milczał uporczywie i długo grabarzowi kazał czekać na odpowiedź, nie chciała mu wyjść przez usta, zawsze tak zacięte i zuchwałe.

— No, więc w mojém imieniu—powiedział z wysileniem, spazmatycznie odwracając się ku ścianie—no, więc w mojém imieniu dajcie to... na szkołę...

Grabarz sądził, że się przesłyszał, albo, że stary Daniel majaczy w chorobie. Czekał niecierpliwie, że ten słowo swoje odwoła i że śmiać się będzie z samego siebie i z tego co powiedział, nie chciał bowiem chwytać go za słowo i dawać choć trochę poznać, że do niego jakąś wiarę przywiązuje. Ale głośny błędnik i kacerz okrzyczany nie pisnął ni słówka, a gdy zniecierpliwiony w końcu grabarz nachylił się nad nim, aby z ust jego nabyć pewności, na co pieniądze przeznacza, czy rzeczywiście zamierza poświęcić na wychowanie tych istot, na jakie zawsze wymyślał, co się zmieści, przeklinając je ryczałtem razem z tym światem, na którym się urodziły, z tém niebem, co było nad niemi: usłyszał tylko szept, przerywany głębokiém bolesném westchnieniem, a w szepcie tym rozeznał jedynie te słowa:

— Widać jest coś takiego...

Nim wieczór zapadł, stary Daniel swój zacięty, niezmordowany, szalony bój z doczesnym żywotem zakończył.

---

## Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA *).

Ks. Renard i J. Murray zakomunikowali sekcyi geologicznéj Stowarzyszenia Brytańskiego [1]), którego sesya odbyła się r. z. w Sheffield, rezultaty badania materyałów dobytych z dna centralnego oceanu Spokojnego, przez wyprawę naukową okrętu „Challenger“ (Napastnik). Przestrzeń, z któréj pochodziły dostarczone księdzu Renard do badania materyały, rozciąga się od wysp Sandwichskich do 30° szerokości południowéj. Materya wulkaniczna, jak znaleziono, grała bardzo ważną rolę w tworzeniu się dna, będąc obecną pod formą kamyczków (*lapilli*) i popiołu, rozrzuconych w wielkiéj obfitości w „czerwonéj glinie.“ *Lapilli* prawie wszystkie należą do typu bazaltowego, przechodząc od bazaltu feldspatowego do pokrewnych skał. Z kształtów odłamków wulkanicznych, które często pokryte są manganezem, z ich połączenia z popiołem wulkanicznym, oraz z ich budowy litologicznéj widać, że nie mogą pochodzić z podmorskich potoków lawy. Są to raczéj niespojone produkta wulkaniczne, tak zwane *lapilli*, których nagromadzenie w oceanie Spokojnym tworzy szereg tufów podmorskich.

Jednym z najgodniejszych uwagi faktów, wyświetlonych przez te sondowania na oceanie Spokojnym, jest to, że znaczną część w for-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za styczeń r. b.

[1]) *Nature*, 18 September, 1879.

macyi tych pokładów osadowych zajmują palagonity, zupełnie identyczne pod względem cech litologicznych z takiemiż utworami Sycylii, Islandyi i wysp Galoppagos. Małe kamyczki (*lapilli*), od 2—3 cali w średnicy, spojone są zeolitami.

Pomiędzy minerałami, obecnemi w popiele wulkanicznym, znajdują się romboidalne tablicowate kryształy plagioklasu, augitu, magnetytu oraz nieco hornblendy. Na szczególną uwagę zasługuje zupełny brak ziarnek kwarcu, co jest w zupełném przeciwieństwie z pokładami nadbrzeżnemi. Fakt ten wszakże, zdaniem pomienionych badaczy, nie jest tak niespodziewany, jak powstanie zeolitów w stanie wolnym. Drobne, promienisto-włókniste kulki utworzone zostały w szlamie, wykazując cechy krystalograficzne. Oprócz tych kulek zeolitycznych, inne kryształy tego samego rodzaju napotykają się w kształcie drobnych pryzmatów, i to w tak wielkiéj liczbie, iż stanowią prawie trzecią część czerwonéj gliny. Te ostatnie, podobnie jak i kulki zeolityczne, zdaniem autorów, należą do jednego gatunku mineralogicznego.

* * *

Aleksander Agassiz ogłosił pod koniec 1879 r. obszerny raport o sondowaniach amerykańskich w morzu Karaibskiém, dokonanych przez parowiec „Blake“ z początku pozostający pod dowództwem znakomitego badacza przyrody, kapitana Sigsbee. Raport ten [1]) zawiera bardzo bogaty zbiór ciekawych informacyi, odnoszących się do różnych gałęzi nauk przyrodniczych, i dla tego uważamy za właściwe podać niektóre szczegóły, dotyczące téj podróży i zebranych podczas niéj rezultatów naukowych.

Al. Agassiz wsiadł na parowiec „Blake“ w Waszyngtonie, 27 listopada 1878 r. Wyprawa naukowa, według pierwotnéj instrukcyi, miała udać się do Nassau, i tam poświęcić pewien czas na sondowania, aby ustalić związek między fauną północnego krańca ław Bahamy i cieśnin Florydzkich. Z powodu ostrego powietrza, projekt ten nie dał się wykonać, i wyprawa zmuszoną była skierować się ku cieśninie S. Heleny, i zamiast przerzynać prąd morski zwany Gulf-Stream, aby się dostać do Nassau, „Blake“ skierował się do Key West, a następnie przez Kingston i Jamaikę, wzdłuż północnych brzegów Kuby, przez dawny kanał Bahamski. We wschodnim końcu tego kanału dokonano szeregu sondowań, w kierunku od Caya Crux do Lobos Light. Nic szczególnego tu nie napotkano; znaleziono wszakże kilka okazów pławów rurkonośnych (*Siphonophora*) głębi morskich, opisanych niedawno przez Studera w czasopiśmie: *Zeitschrift für wissenschaftliche Zoologie*. Następnie napotykano często więcéj lub mniéj kompletne okazy tych syfonoforów, przyczepione do liny drucianéj. Studer podaje długą listę głębokości, z których dobywały się, przyczepione do liny sondującéj; wszakże zdaniem Agassiz'a, nie jest rzeczą

[1]) „Report on American Dredgings in the Caribbean Sea.“ By Alexander Agassiz.

pewną, aby te pławy rurkonośne pochodziły z głębokości, wskazywanéj przez drut. Prawdopodobném jest, że one zazwyczaj żyją w pewnéj głębokości, pod powierzchnią, a niektóre z nich, jak Cassiopea, wolą przebywać blizko dna. Dopóki wszakże, powiada Agassiz, nie będziemy posiadać przyrządów tak zbudowanych, aby te dawały nam pewną wskazówkę co do bezpośrednich głębokości, w których pojmane zostały zwierzęta, żyjące w różnych odległościach między powierzchnią a dnem, ryzykownem byłoby oznaczać odpowiednią głębokość miejsca przebywania wielkiéj liczby zwierząt morskich, takich jak pławy (*Acalepha*), rurkonośne (*Siphonophora*), skrzydłopławy (*Pteropoda*), liczne otwornice (*Foraminifera*), oraz inne tym podobne, zwyczaje których mało są znane.

Niedaleko Nuevitas, w głębokości 994 sążni, dobyto wielkie odłamki kredy białéj, złożonéj głównie z globigeryn (*Globigerinae*) i rotalin (*Rotalinae*). Dobyto również wielkie ilości szlamu i gliny białéj, która okazała się być tylko białą kredą w rozmaitych stanach skupienia. Jeżeli istniejące w téj głębokości warunki, powiada autor, podobne są do warunków okresu kredowego, łatwo możnaby pojąć, jakim sposobem mięczaki i inne istoty zostały zachowane, będąc niegdyś pogrążone w tę jednorodną substancyą.

Przy jedném z sądowań, dokonaném pomiędzy przylądkiem Maysi a Jamaiką (z głębokości 1200 sążni), dobyto pierwszy okaz t. z. *phormosoma*. Te jeżowce, zupełnie wydęte i półkuliste, a które Agassiz widział żywe po raz pierwszy, bardzo przypominają t. z. *Perischoechinidae*, i mają z niemi wiele wspólnych punktów podobieństwa, wielkiego znaczenia pod względem budowy.

Okolica, nad którą głównie pracowano w tym roku, rozciąga się od St.-Thomas do Trinidad. W ciągu sezonu zajęto nie mniéj nad 200 stacyi i dobyto przeszło 230 próbek i okazów z głębokości, wynoszącéj od 100—2412 sążni. Kilka próbek dobyto przypadkowo z wody płytkiéj, ale te nie wchodziły w skład głównie obmyślanego planu. Jakkolwiek otrzymano z Indyi zachodnich niektóre okazy bardzo ciekawych zwierząt kręgowych, jednak nic nie wskazywało, aby fauna wschodniego krańca morza Karaibskiego, co do istoty swojéj, różną była od fauny zatoki Meksykańskiéj i cieśnin Florydzkich. Nie jest ono z pewnością wcale tak bogate w życie zwierzęce na wielkich głębokościach. Rzadko bardzo dobywano z głębokiéj wody, t. j. z głębokości pomiędzy 1500 i 2400 sążni, bogate próbki, tak pospolite i zwyczajne w zatoce na głębokości od 1200—2000 sążni. Znaleziono jednak, co było nierównie ważniejszém dla powodzenia wyprawy, że szereg większéj liczby gatunków, żyjących w głębokiém morzu, rozciąga się w granicach bardzo łatwo dających się badać przez sondowanie, i niebawem odkryto, że przy robieniu poszukiwań, głównie na głębokości od 300—1000 sążni, nietylko otrzymywano prawie wszystkie gatunki, rozciągające się do linii 2000 sążni, ale nadto otrzymywano je w znacznéj ilości. To, ma się rozumieć, pozwoliło zebrać

wielką ilość potrzebnego materyału, a zbiory wyprawy 1878/79 r!, połączone ze zbiorami poprzedniego roku, dokonanémi również przez A. Agassiza, oraz z dawniejszemi zbiorami hr. Pourtales, na statku „Bibb," jak również zbiory „Hasslera," czynią tę kolekcyą z głębi morskich nie wiele niższą od zbiorów, dokonanych przez „Napastnika" (Challengera).

A. Agassiza uderzyła była nadzwyczaj wielka liczba gatunków, które, jakkolwiek nie identyczne, były co najmniéj bardzo pokrewne z gatunkami, przywiezionemi przez Challengera. Uczony naturalista sądzi, że ogólne zarysy fauny głębi morskich są obecnie znane, i że jakkolwiek wiele ciekawych form zostanie niewątpliwie wydobytych z wód płytszych, na głębokości od 100—300 sążni, z tém wszystkiém jednak trudno się spodziewać, aby można było co dodać do typów, odkrytych przez wyprawy naukowe ostatnich lat dziesięciu. Jak słusznie powiedział Moseley, jeden z naturalistów, należących do wyprawy Challengera, któréj, jak wiadomo, przewodniczył sir Wyville Thomson, monotonném jest znajdować ciągle te same bezkręgowe przy głębszych sondowaniach, i tylko na płytszych wodach można otrzymać świetne rezultaty po kilku miesiącach pracy. Z doświadczeń przeszłych dwu lat A. Agassiz wyprowadza wniosek, że granica fauny głębi morskich dochodzi do 300 lub 350 sążni od powierzchni, a fauny nadbrzeżnéj 100 do 150 sążni; w granicach od 100 do 300 albo 400 sążni rozciągają się gatunki, które nie są ani nadbrzeżne, ani też nie mają wielkiego rozszerzenia geograficznego, należąc do gatunków znajdowanych po za tą głębokością. Ale ta wyższa granica fauny głębi morskich musi naturalnie zależeć od temperatury, i niewątpliwie zmienia się bardzo z przyczynami miejscowemi lub częściowo miejscowemi.

W kierunku wysp Karaibskich napotkano wielkie nagromadzenie materyi roślinnéj i szczątków lądowych t. z. *débris*, zaniesione z głębokiéj wody na wiele mil od brzegu. Na głębokości 1000 sążni znajdowano, w odległości od 10—15 mil (angielskich), masy liści, kawałków bambusu, trzciny cukrowéj, muszli lądowych, oraz innych lądowych *débris*, które niezaprzeczenie dostają się tam działaniem wiatrów. „Znajdowaliśmy często, powiada daléj autor, pływające po powierzchni massy roślinności, więcéj lub mniéj przesiąknięte wodą i gotowe już opaść na dno. Dobywane przy sondowaniach próbki zdziwiłyby niewątpliwie paleontologa: z formami skorupiaków głębi morskich, oraz promieniaków, ryb, jeżokorów, gąbek i t. p., mieszały się liście drzew pomarańczowych, gałęzie bambusów, drzew orzechowych, muszli lądowych, a formy te królestwa zwierzęcego i roślinnego były w takiéj obfitości, iż trudnoby mu było rozstrzygnąć, czy ma do czynienia z fauną morską, czy też lądową. Taką próbkę szczątków kopalnych możnaby naturalnie objaśnić tém, że reprezentuje ona płytkie ujście, otoczone lasami, a jednak głębokość mogła wynosić do 1500 sążni."

Jak objaśnia autor, zbiory dokonane przybyły do Cambridge, i będą przesłane jak najprędzéj do zdeterminowania tym naturalistom,

którzy przedsięwzięli sporządzenie sprawozdań z różnych grup kolekcyi lat ostatnich. Z tego to powodu Agassiz dotyka w ogólnych zarysach tylko najciekawszych typów. Pomiędzy otwornicami (*Foraminiferae*) jest pewna liczba typów, zanotowanych przez Brady'ego w zbiorach wypraw statków „Challenger“ i „Porcupine;“ pomiędzy gąbkami gatunki zbliżone do Phoronema, Hyalonema i inne; piękny Dactylocalix, wykazujący sposób wzrostu od najprostszéj formy globularnéj; oraz olbrzymia Euplectella. Zbiór gwiazd morskich jest bardzo mały i nie zawiera nic godnego uwagi. Kolekcya holoturyi zawiera, oprócz form z głębi morskich, wymienionych w poprzednich sprawozdaniach autora, nierównie większą liczbę gatunków, niż w roku zeszłym, rodzaje pokrewne z Malpadia, Caudina, Echinocucumis i t. d.

Echinoturye są bogato reprezentowane. Zebrana została wielka kolekcya kędziornic (*Comatulae*), oraz pewna liczba okazów Rhizocrinus (dosłownie: korzeniowłos), ale tylko kilka z nich w dobrym zachowały się stanie. Kolekcya pentakrynów jest bardzo bogata: znajdowano je w Montserrat, St.-Vincent, Grenadzie, Gwadelupie i Barbados, na wielu miejscach i w takiéj obfitości, iż naraz wyciągano przeszło po 100 sztuk, ale szczegóły te pomijamy, nie mogąc iść za Agassizem krok w krok, ani nawet wyliczać tego, co przytacza w raporcie, ograniczając się na tém, co jest najważniejsze.

Kolekcya wężogonów (*Ophiura*) [1]) jest może najbogatsza. Zdają się one grać najważniejszą rolę w determinowaniu charakteru fauny. Napotykają się wszędzie, na wszelkich głębokościach, częstokroć w niezliczonéj ilości. Za każdym razem, przy zarzucaniu sondy, nie brakowało przynajmniéj jednego ich reprezentanta. W niektórych miejscach literalnie *dno morskie było niemi wybrukowane*, podobnie jak mielizny wyłożone bywają nieraz gwiazdami morskiemi i jeżowcami, a liczne gatunki, uważane dotąd za nadzwyczaj rzadkie, znajdowane były rzeczywiście w wielkiéj obfitości. Bardzo liczne, a może i wszystkie gatunki głębi Atlantyku, dobyte przez „Challengera,“ odnalezione zostały powtórnie w wielkich ilościach. Te rzadkie gatunki, tym razem w obfitości znajdowane, są: *Sigsbeia murrhina* [2]), *Ophiozona nivea*, *Hemieuryale pustulata* i *Ophiocanax hystrix*.

Staranne poszukiwania hrabiego Pourtalesa w cieśninach Florydzkich, wyprawa „Haslera,“ badania „Challengera,“ oraz dwie wyprawy parowca „Blake“ ustaliły większą część gatunków wężogonów, gdyż, jak powiada Agassiz, pomiędzy ogromną masą otrzymanych tym razem okazów, liczba nowych gatunków jest stosunkowo niewielka.

Hydroidy i mszanki (*Bryozoa*) były głównie reprezentowane przez te same formy, które zebrane zostały w roku zeszłym, albo w dawniejszych wyprawach do cieśnin Florydzkich.

---

[1]) Pentakryny, kędziornice, wężogony i t. p., należą wszystkie do gwiazd morskich, rzędu jeżokorów (*Echinodermata*).

[2]) Tak nazwaną została na cześć naturalisty, kapitana Sigsbee.

Korale, jakkolwiek bogate w okazy i gatunki, zawierają niewiele dotąd nieopisanych. Bardzo piękne okazy większych, pojedyńczych korali, otrzymanych przez wyprawę „Challengera," a których poprzednio nie znajdowano podczas sondowań w zatoce Meksykańskiéj, oraz cieśninach Forydzkich, dobyte zostały obecnie; takiemi są: *Flabellum*, *Trochocyathus*, *Ceratotrochus*, i inne.

Z pomiędzy skorupiaków znaleziony był *Bathynomus giganteus*, odkryty w roku zeszłym, *Astacus zeleneus;* z pomiędzy mięczaków najważniejsze typy wymienione w raporcie Dalla.

Kolekcya ryb jest znakomitą; specyalną jéj cechą jest wielka liczba typów żabo-rybowatych (*Lophioid types*), jakie zawiera. Otrzymano również wiele rodzajów, zebranych przez wyprawę „Challengera." Niektóre z rzadkich ryb morskich, tylko przypadkiem łapanych w morzu, są jużto zupełnie dojrzałe ryby głębi morskich, już ich młode. „Ciekawa to kwestya, powiada A. Agassiz, gdzie pozostają młode, zanim zostaną stałymi mieszkańcami wód głębokich."

Fauna morska wschodniéj części morza Karaibskiego była w zimowym sezonie bardzo ubogą. Z wielkiéj liczby odłamków syfonoforów (rurkonośnych), ciągle znajdowanych, wnosić można, iż są tam bardzo licznie reprezentowane. W pobliżu wysp niewiele znaleziono reprezentantów życia morskiego. Wszystko pozostaje jużto w niewielkiéj odległości pod powierzchnią, albo téż odparte jest od wysp w stronę morza. Wskutek tego fosforescencya jest mniéj świetną, niż w zatoce meksykańskiéj, chociaż tu i owdzie masy pławów grzebykonośnych (*Ctenophora*), pływając w rozmaitych głębokościach, sprawiają bardzo uderzające oświetlenie; nagłe błyski światła pojawiają się niespodziewanie, jak gdyby pochodziły z wielkich kul ognistych, unoszących się w niewielkiéj odległości pod powierzchnią. Najgodniejsze uwagi zjawiska fosforescencyi sprawiane bywają przez mały okaz, pokrewny *Syllis*, który porusza się po powierzchni wody z szybkością nadzwyczajną, dokonywając podziwienia godnych obrotów i znacząc drogę swoją jasną linią światła. Z pomiędzy form wód głębokich liczne gatunki, jak: *Gorgonia* i *Antipathes*, przy ich dobywaniu sprawiają zjawiska fosforescencyi.

Jednym z najbardziéj interesujących rezultatów, zdobytych przez wyprawę tegoroczną, jest wyświetlenie kwestyi co do dawniejszéj rozciągłości kontynentu południowo-amerykańskiego, przez sondowania, które ostatecznie uzupełnione zostały przez wyprawę Blake'a, pod kierownictwem kapitana Bartlett prowadzoną. Kwestyi téj, ze względu na jéj ważność, nie możemy zbyć kilkoma słowami. Sondowania te, w połączeniu z poprzednio dokonanemi, pozwalają nakreślić z dostateczną ścisłością szkic dawnego kontynentu i otrzymać tym sposobem wyjaśnienie szczególnego geograficznego rozmieszczenia fauny i flory Indyi

Zachodnich (wysp). Jak wiadomo, Kuba, wyspy Bahama, Haiti i Porto-Rico, zamiast wykazywać (jakby to sądzić należało z ich obecnego blizkiego sąsiedztwa z Florydą) stanowcze pokrewieństwo w swéj faunie i florze ze Stanami Południowemi, przedstawiają przeciwnie niewątpliwą łączność z Meksykiem, Hondurasem i Ameryką Środkową; wyspy karaibskie wykazują po części to samo pokrewieństwo, jakkolwiek pokrewieństwo z fauną i florą Wenezueli i Brazylii jest jeszcze wybitniejsze.

„Z tych sondowań, ciągnie daléj Agassiz, starając się odbudować stan rzeczy, jaki istniał w poprzednim okresie, przedewszystkiém uderzeni zostajemy faktem, że wyspy wirginijskie są wycięciem rozległéj ławicy (*the outcropping of an extensive bank*). Największa głębokość pomiędzy temi wyspami nie przenosi 40 sążni, jest więc taka, jaką znaleziono na ławie na wschód od Porto-Rico i stusążniowa linia tworzy w rzeczywistości zarys wielkiéj wyspy, która obejmowała całe wyspy Wirginijskie, Porto-Rico, rozciągając się cokolwiek w stronę morza. Stusążniową linią tworzy również obszerna wyżyna, łącząc Anguilla, St. Martin i St. Barthélémy; łączy również Barbudę i Antyguę, tworząc ławę Saba, łączy St. Eustatius, St. Chistophore, Nevis i Redondę. Tworzy wydłużoną wyżynę, rozciągającą się od Bequia do południowozachodniéj Grenady i biegnie więcéj lub mniéj równolegle do brzegu Ameryki Południowéj, od wysp ś. Małgorzaty, pozostawiając stosunkowo wązki kanał pomiędzy stusążniową linią na południe od Grenady i obejmując Trinidad i Tobago w swoich granicach, biegnie ku Południo-wschodowi, w kierunku prawie równoległym do linii nadbrzeżnéj. Na zachodnim krańcu morza karaibskiego, stusążniową linię tworzy olbrzymia ławica od wybrzeża Mosquito, rozciągając się na $^1/_3$ odległości od głównego lądu, do wyspy Jamaiki. Ławy Rozalinda i Pedro, utworzone przez tę samą linią, oraz kilka innych mniejszych ław, oznaczają położenie więcéj lub mniéj ważnych wysp, które niegdyś istniały między wybrzeżem Mosquito i Jamaiką. Badając linię długości 500 sążni, znajdujemy, że Jamaika jest tylko północną kończyną olbrzymiego przylądka, który niegdyś rozciągał się ku Haiti, od głównego lądu, sięgając od Costa-Rica, do północnéj części wybrzeża Mosquito i pozostawiając jedynie stosunkowo wązki przesmyk pomiędzy 500-sążniową linią, obejmującą Haiti, Porto-Rico i wyspy Wirginijskie, w jedną olbrzymią wyspę. Przejście między Kubą a Jamaiką ma głębokości 3000 sążni, między Haiti i Kubą nie mniéj nad 873 sążni, i to ostatnie jest prawdopodobnie odnogą Atlantyku. Pięćset-sążniowa linia łączy, jak olbrzymia wyspa, ławy łączące Anguillę z St. Barthélémy, biegnąc na południe i włączając Gwadelupę, Marie Galante i Dominikę. Ta linia tworzy zatém olbrzymią wyspę z wysp północnych, rozciągając się od Saba-Bank, do Santa-Cruz i pozostawiając wązki tylko kanał pomiędzy wschodnim krańcem linii 500-sążniowéj, biegnącéj naokoło Santa-Cruz. Ponieważ Santa-Cruz i St. Thomas oddzielone są kanałem 40 mil (angielskich), gdzie największa głębokość nie

przechodzi 2400 sążni, to okoliczność ta jasno wykazuje związek z północnemi wyspami archipelagu Karaibskiego raczéj, niż z St. Thomas, co zresztą wskazuje dokładnie geograficzne rozmieszczenie mięczaków. Pięćset-sążniowa linia łączy znowu w jedną olbrzymią całość, rozciągającą się na północ od ujścia Orinoco, wszystkie wyspy do południowéj części Martyniki, pozostawiając Barbados na wschód i wązkie przejście pomiędzy Martyniką, a wyspami Dominika i ś. Łucyi. W czasie zatém tego związku, morze Karaibskie było połączone z Atlantykiem tylko wązkiém przejściem, kilka mil (angielskich) szerokiém, pomiędzy St. Lucia i Martyniką, oraz jedném nieco szerszém i znacznie głębszém pomiędzy Martyniką i Dominiką, inném pomiędzy Sombrero i wyspami wirginijskiemi, oraz stosunkowo wązkiém przejsciem pomiędzy Jamaiką i Haiti. *Morze Karaibskie zatém musiało być odnogą oceanu Spokojnego*, albo téż być połączone z nim wązkiemi przejściami, których ślady znajdujemy w pokładach trzeciorzędowych i krédowych międzymorza Panama i Nicaragui. Środkowa Ameryka i północna część Ameryki południowéj musiały w tym czasie być szeregiem wielkich wysp z przejściami pomiędzy niemi od oceanu Spokojnego do morza Karaibskiego."

W ten sposób mniéj więcéj odbudowywa Agassiz dawne kształty lądu téj części świata. Ze względu na ważność téj kwestyi, oraz tę okoliczność, iż wywody podane oparte są na ściśle naukowych podstawach, pozwoliliśmy sobie podać z niéj nieco obszerniejszy wyjątek. W następstwie autor rozbiera prawdopodobny kształt i kierunek dawnych prądów morskich, ale kwestyą tę pomijamy, gdyż i tak poświęciliśmy raportowi autora dosyć miejsca w stosunku do ram naszych sprawozdań, a co uwzględnione być winno z powodu ważności przedmiotu.

* * *

Profesor Gümbel z Monachium, zakomunikował bawarskiéj Akademii nauk rozprawę o wulkanach szlamistych i ich produktach, których badanie doprowadziło go do następujących rezultatów. Masa wyrzuconego szlamu niczém inném nie jest, jak rozmiękczoną skałą warstwowaną, złożoną z gliny i piasku, pochodzącą z blizkiego sąsiedztwa i prawdopodobnie przyniesioną z niewielkiéj głębokości. Zawiera ona często szczątki organiczne, podczas gdy prawdziwe produkta wulkaniczne (jak lawa, pumeks, i t. p.), nie biorą udziału w jéj tworzeniu. W wyjątkowych tylko razach te ostatnie dostarczają materyału wybuchowego, i żaden podobny przypadek dotąd nie jest znany z pewnością.

Oprócz obfitego wypływu wody, dobywanie się gazów przy wysokiém ciśnieniu, wiąże się koniecznie z wulkanami szlamistemi. Między niemi pierwsze miejsce zajmuje węglowodór. Wysoka prężność gazów dobywających się i długie trwanie zjawisk, nie dowodzą istnienia wielkiego nagromadzenia w głębi ziemi, gdyż przy takiém przypuszczeniu zapas ten musiałby się wyczerpać w stosunkowo krótkim czasie. Stałe

tworzenie się węglowodoru, głównego z tych gazów wybuchowych, z konieczności każe przypuszczać obecność organicznych części, w głębiéj położonych skałach osadowych, co potwierdza się przez regularne napotykanie oleju skalnego, nafty, asfaltu, oraz materyi bitumicznych, w związku z wulkanami szlamistemi. Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, by fosfowodor wytwarzał się również podczas procesu rozkładu, a obecność tego gazu dostarczyłaby zadawalającego wyjaśnienia dobrowolnego zapalania się dobywających się gazów, co tak często ma miejsce. Z drugiéj strony, obfitsze znajdowanie się kwasu węglanego zdawałoby się wskazywać pewne zbliżenie do procesów wulkanicznych.

Domieszka soli rozpuszczalnych, zwłaszcza chlorku sodu, w masie szlamu, może być w części objaśniona tą okolicznością, że wiele wulkanów szlamistych położone są w blizkości morza, albo téż na gruncie napojonym wodą morską. Popiera to obecność jodu i bromu w masie soli utworzonych. Można również przyjąć, że warstwy przylegające do kanału wybuchowego mogą zawierać w obfitości sole, i wypływająca woda bierze z nich swoje części solne. Otóż te ostatnie mogą być rozpuszczone z innych pokładów przez wodę, przed dostaniem się téj ostatniéj do wulkanów szlamistych, a następnie pozostawione w suchym szlamie po wyparowaniu wody.

Sposób rozmieszczenia wulkanów szlamistych wykazuje pewien ogólny związek z okolicami i wybuchami wulkanicznemi. Wszakże bywają one znajdowane w krajach, wolnych obecnie od zjawisk wulkanicznych; ale w tym przypadku jużto zdarzają się w okręgach, które często zakłócane bywają przez podnoszenia się i opadania lądów, już téż ograniczone do szlaków wielkich geotektonicznych szczelin i linii rozłamu, przecinających skorupę ziemską i sięgających nieraz do znacznych głębokości.

Ze wszystkich tych faktów wynika, zdaniem profesora Gümbela, że prawdziwe ognisko zjawisk, związanych z sobą przez daleko większą liczbę wulkanów szlamistych, nie może być bezpośrednio identyfikowane z ogniskiem działalności wulkanicznéj głębi ziemi, ale że te zjawiska przypisać należy raczéj obecności pewnych skał osadowych i zawieraniu przez nie domieszek, zdolnych dostarczyć substancyi bitumicznych. W odosobnionych przypadkach być może, że gazy związane z procesami wulkanicznemi, wytwarzają zjawiska, podobne do zjawisk zwykłych wulkanów szlamistych, albo téż łączą się z gazami węglowodornemi prawdziwych wulkanów szlamistych, podobnie jak odwrotnie te ostatnie gazy często pojawiają się pomiędzy wyziewami wulkanicznemi. Skały osadowe, wciągnięte do procesu, muszą być położone głęboko w skorupie ziemskiéj, gdzie warunki (ciepło i t. d.), potrzebne do wywiązania gazów, oraz materyały bitumiczne z domieszek organicznych są obecne, a jednocześnie skorupa ziemska poprzecinana jest przez szczeliny dosyć głęboko, aby te pozwalały materyom lotnym, w ten sposób utworzonym pod ciśnieniem, dostać się na powierzchnię. Takie przyjazne okoliczności zdarzają się najczęściéj

tam, gdzie młodsze utwory osadowe są głęboko zagrzebane i poprzecinane głębokiemi szczelinami pod działaniem wulkaniczném. Tym sposobem widzimy, jak zjawiska wulkanów szlamistych pozostają w pewnym dalekim związku z prawdziwém działaniem wulkaniczném. W innych przypadkach działanie wulkaniczne mogło poniekąd doprowadzić do warunków utworzenia się gazów wybuchowych i substancyi bitumicznych bliżéj powierzchni i do wyższych pokładów skały osadowéj. Taki związek pomiędzy wulkanami szlamistemi a działalnością wulkaniczną w ogóle może być przyjęty w Sycylii. Pomimo to, zjawiska tak zwanych wulkanów szlamistych tak są zasadniczo odrębne od zjawisk prawdziwéj działalności wulkanicznéj, iż należałoby uwolnić się od związku, widocznie narzucanego przez nazwę, przez używanie nowego terminu, t. z. „Schlammsprudel."

* * *

Jakkolwiek w jednym z artykułów poprzednich, mówiąc o podniesionéj przez Normana Lockyera kwestyi natury pierwiastków chemicznych [1]), wypowiedzieliśmy przekonanie, że wobec tego nowo odkrywane pierwiastki chemiczne tracą na znaczeniu, skoro pierwiastki, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mogą się w następstwie okazać ciałami złożonemi, z tém wszystkiem jednak, obowiązek kronikarza każe nam zanotować niektóre nowo-odkryte metale.

Nowo odkrytym metalom, w rudzie miedzi i niklu z Oteroë, małéj wysepce, w pobliżu miasta Krageroë, Skjergaarden (w Norwegii), dr. Tellef Dahll dał nazwę *Norwegium* [2]). Pomieniony minerał praży się, otrzymany produkt rozpuszcza się w kwasie i strąca się siarkowodorem, a osad przemyty, wolny od niklu, znowu się praży. Otrzymany w ten sposób produkt jest tlenkiem norwegium. Rozpuszcza się go w wodzie królewskiéj (mieszaninie kwasu solnego z saletrzanym) i po strąceniu w obecności pewnéj części potażu, i tym sposobem otrzymuje się szmaragdowo-zielony osad hydratu metalu norwegium. Metal sam jest biały, bardzo kowalny, twardości takiéj, jak miedź; topi się w temperaturze nizkiéj czerwoności, ma ciężar gatunkowy $9.44$, trudno rozpuszczalny w chlorowodorze (kwasie solnym), łatwo w kwasie saletrzanym; rozpuszcza się również w rozcieńczonym kwasie siarczanym. Inne szczegóły, dotyczące tego metalu, dla braku miejsca pomijamy, ile że i z pomocą wyżéj przytoczonych, czytelnicy mogą sobie utworzyć pewne pojęcie o tym nowym pierwiastku chemicznym.

Podług *Moniteur Scientifique* (lipiec, 1879), jeszcze przed kilkoma laty A. Guyard odkrył metal w platynie handlowéj, otrzymywanéj z rud rossyjskich, i metalowi temu, z grupy metali platynowych, nada-

[1]) *Comptes rendus*, 1879 r. t. II, XXXIX, str. 47.

[2]) *On the Nature of the Elements*, by Norman Lockyer. Ob. *Bibl. Warsz.* poszyt za miesiąc wrzesień 1879 r.

no nazwę *Uralium*. Po srebrze jestto najbielszy ze znanych metali. Kowalność jego jest tak wielka, jak najczystszéj platyny, ciągliwość zaś jeszcze większa. Metal ten jest tak miękki, jak ołów, nie jest lotny, a jego punkt topliwości bardzo się zbliża do punktu topliwości platyny. Ciężar gatunkowy jest również bardzo wielki i wynosi $20._{25}$, t. j. metal ten jest przeszło dwadzieścia razy cięższy od wody. W swoich własnościach chemicznych bardzo trudno daje się odróżnić od platyny.

L. F. Nilson podaje do wiadomości [1]) o odkryciu nowego metalu, któremu dał nazwę *Scandium*. Metal ten nie został dotąd otrzymany w stanie zupełnie czystym. Rozcieńczony kwas saletrzany słabo działa na ten metal przy ogrzaniu do czerwoności; silniejsze nierównie jest działanie kwasu solnego. Scandium zajmuje miejsce między cyną i torem (*thorium*). Inne własności i zachowanie się tego metalu względem odczynników pomijamy.

* * *

Pomijając odkryte niedawno minerały amerykańskie, australskie i inne, jak: *mallardyt*, *luckit*, *randyt*, *stybianit*, *huntylit*, oraz liczne minerały szwedzkie, o których pisze Blomstrand, w liście swoim do *Berliner deut. chemische Gesellschaft* (1879, XII, 1723), powiemy słówko o wielkim meteorycie, spadłym przed kilkoma miesiącami w Stanie Jowa Ameryki Północnéj, a o którym zdaje sprawę prof. Peckham, w liście do wydawcy jednego z naukowych dzienników na drugiéj półkuli [2]). Meteoryt ten spadł o godzinie 5 po południu, d. 10 maja 1879 r., w Estermills. Jeden odłamek jego, ważący 500 funtów, upadł niedaleko drogi żelaznéj i zakopał się w ziemię na głębokość 14 stóp. Inna część jego, ważąca około 170 funtów, spadła w odległości 2 mil angielskich od pierwszéj miejscowości. Mniejsze kawałki, ważące po kilka funtów, rozrzucone zostały po okolicy. Spadnięciu towarzyszył łoskot nadzwyczajny, podobny do grzmotu i uderzenia piorunu. Wymieniony wyżéj mniejszy odłamek ma wymiary: 15 cali długości, 18 szerokości i 6 grubości. Część metaliczną stanowi aliaż żelaza, niklu i cyny; połowa masy jest materyą kamienistą, składającą się z ciemnozielonych mas krystalicznych, otoczonych jasno-szarą powłoką.

* * *

W czerwcowym numerze *Dziennika Amerykańskiego* [3]), znajdujemy artykuł prof. Marsh'a, w którym autor, podając spostrzeżenia swoje nad dzisiejszymi końmi, przytacza ciekawy zbiór faktów paleontologicznych, mających związek z domniemaném pokrewieństwem zwierząt jednokopytnych, obecnie żyjących (*existing Solid-ungulates*). Podług Marsh'a, najpospolitszą formą polidaktylizmu (wielopalczasto-

[1]) *Berliner deutsche chemische Gesellschaft*, 1879 r. nr. 6.
[2]) *Silliman's Journal*, July, 1879 r., pag. 77.
[3]) *American Journal*, June, 1879 r.

ści) u żyjących koni jest obecność nadzwyczaj małego palca (*extra small toe*) i kopyta od strony wewnętrznéj, jużto na przedniéj parze, już na wszystkich czterech nogach; wszakże prof. Marsh wspomina o źrebięciu z trzema palcami (*toes*) na jednéj nodze przedniéj i dwoma na drugiéj, oraz o klaczy (dotąd żyjącéj), która ma trzy palce na każdéj nodze przedniéj, oraz mały palec (*a small extra digit*) na każdéj nodze tylnéj. Można się było spodziewać, powiada, częstszéj obecności nadzwyczajnych palców (*extra digits*) na przedniéj nodze, ale anormalny rozwój palca od strony wewnętrznéj jest ciekawy. O amerykańskich przodkach konia, profesor Marsh mówi co następuje: „Jeżeli badać będziemy szczątki najdawniejszych przedstawicieli konia w tym kraju, to znajdziemy, że zwierzęta te były wszystkie wielopalczaste (*polydactyle*) i małych rozmiarów. Ponieważ to trwało aż do ery naszéj, to musiał mieć miejsce stopniowy wzrost wielkości, oraz zmniejszanie się liczby palców, aż nakoniec powstał obecny typ konia. Pierwiastkowy przodek konia, dotąd nieodkryty, miał niezaprzeczenie pięć palców na każdéj nodze. Najdawniejszy członek grupy, obecnie znany *Eohippus*, miał cztery dobrze rozwinięte palce, szczątkowy palec na każdéj nodze przedniéj, oraz trzy palce z tyłu. Zwierzę to było tak wielkie, jak i lis, i szczątki jego pochodzą z pokładów leżących u spodu Eocenu.

W bezpośrednio wyższym oddziale Eocenu, występuje inny rodzaj konia, *Orohippus*. Był on podobny do swego poprzednika wielkością, ale miał tylko cztery palce z przodu, a trzy z tyłu. Na wierzchu Eocenu znaleziony został trzeci pokrewny rodzaj *Epihippus*, bardo podobny do poprzedniego, t. z. *Orohippus*, w palcach, ale różnił się zębami. Blizko podstawy następnéj formacyi, miocenicznéj, występuje nowe ssące z rodzaju konia: *Mesohippus*. To zwierzę było prawie tak wielkie, jak owca, i miało trzy zwykłe palce zawiązek jednego, na każdéj nodze przedniéj, oraz trzy tylko palce z tyłu. Na wyższym nieco horyzoncie, znaleziony został blizko pokrewny rodzaj *Miohippus*, który ma zewnętrzny, czyli piąty palec, zredukowany do szczątkowego (*reduced to a short remnant*). W Pliocenie górnym trójpalczasty koń, *Protohippus*, prawie tak wielki jak osieł, napotyka się w wielkiéj obfitości, a jeszcze wyżéj, blizko spokrewniony z nowożytnym koniem, z jednym tylko palcem na każdéj nodze, t. z. *Pliohippus*, występuje na scenę. Prawdziwy *Equus*, tak wielki, jak obecnie istniejący koń, pojawia się właśnie ponad tym horyzontem i szereg staje się zupełnym.

Uwagi te profesora Marsh'a *Dziennik Amerykański*, wyżéj wspomniany, objaśnia ciekawym szeregiem rycin, przedstawiających budowę odpowiednich części w przedstawicielu konia w pomienionych pokładach.

* * *

W sprawozdaniu, zakomunikowaném Wiedeńskiéj Akademii nauk, w maju 1879 r., dr. K. T. Liebe opisuje jednę jaskinią moraw-

ską, zwaną Wypustek. Kości zwierząt ssących, znalezione w téj jaskini, przedstawiają następujące gatunki: *Lynx vulgaris* (ryś), *Felis Catus* (kot dziki), *Canis spelaeus* (wilk jaskiniowy, dyluwialny), *Canis familiaris* (pies), *Vulpes vulgaris* (lis), *Vulpes lagopus* (lis biegunowy), *Gulo borealis* (rosomak), *Martes abietinum* (kuna), *Erminea* (gronostaj), *Arvicola amphibius* (szczur wodny), *Lepus variabilis* (zając), *Myoxus glis* (koszatka), *Sciurus vulgaris* (wiewiórka) i kilka innych. Podług d-ra Hochstettera, oprócz 17 gatunków, podanych przez d-ra Liebe, jaskinia zawiera jeszcze szczątki następujących, jakiemi są: *Elephas primigenius* (mamut), *Rhinoceros tichorhinus* (nosorożec wełnisty), *Equus fossilis* (koń), *Bos priscus* (bizon) *Cervus tarandus* (renifer), *Ursus spelaeus* (niedźwiedź jaskiniowy), *Felis spelaea* (lew jaskiniowy), *Hyaena spelaea* (hyena jaskiniowa), i niektóre inne. Liczba wszystkich ssących téj jaskini dochodzi do dwudziestu dziewięciu.

Porównanie tych kości z kośćmi otrzymanemi z jaskiń turyngskich, prowadzi do ciekawych rezultatów. Jasną jest rzeczą, że wspomniana wyżéj jaskinia morawska zajmowaną była w ciągu długich okresów jużto przez familie hyen, już przez familie niedźwiedzi, a przypadkowo nawiedzaną była przez jaskiniowe lwy, wilki i rysie, podczas gdy jéj liczne galerye boczne, które niekiedy wychodziły na otwarte powietrze, dawały schronienie mniejszym zwierzętom drapieżnym, jak np.: kuna, rosomak. Niektóre zwierzęta mogły dostać się do jaskini w stanie szkieletów, ale większą część szczątków stanowią jużto zwierzęta, które zamieszkiwały ją i wyginęły w niéj, już te, które były przyniesione jako zdobycz przez tamtejszych mieszkańców. Cała fauna jaskini jest przeważnie fauną leśną, co dowodzi, że w ostatnich czasach dyluwialnych, w jéj sąsiedztwie miały przewagę lasy; gdy tymczasem badanie jaskiń turyngskich i innych pokładów tego samego okresu w północnych Niemczech, wykazuje również jasno, że cała ta okolica była nagim stepem, zupełnie pozbawionym lasów. Ztąd wynikałoby, że górzysty kraj południowych Czech i Morawii był punktem wyjścia, z którego pierwotny las rozszerzył się po wielkim dyluwialnym stepie środkowéj Europy, na północ od Alp.

* * *

Profesor H. G. Seeley przedstawił Towarzystwu geologicznemu, na jedném z posiedzeń 1879 roku, dowody, które, zdaniem jego, wykazują, że pewne gatunki rybojaszczura (*Ichthyosaurus*), rodziły prawdopodobnie żywe dzieci. Opisał on kilka okazów, w których szczątki jednego lub wielu małych osobników zachowane zostały w większych. Jeden z nich był opisany i przedstawiony w r. 1822 przez Jägera; o innym podał wiadomość, w r. 1846, dr. Chaning-Pearce, który przypuszczał, że dostarcza to dowodu na korzyść opinii, iż rybojaszczury rodzą się żywe. Inne okazy zachowane są w muzeach w Niemczech, a jeden w Madrycie, i większa ich część była badaną przez autora, który przytacza stan zachowania małych osobników (w przeciwieństwie ze stanem śladów ryb i głowonogich, szczątków po-

karmu, które zawsze są znajdowane w okolicy żołądka większych osobników), jako dowód, że nie zostały one pożarte przez większe. Położenie małych szkieletów, z głową wogóle zwróconą w stronę miednicy większych osobników, dowodzi, iż były do siebie w stosunku rodziców i potomstwa [1]).

* * *

W rozprawie o fizycznym początku mgławic, [dr. Croll, znany z licznych prac swoich z zakresu geologii, zwłaszcza w stosunku do okresu lodowego, stara się zbadać początek ciepła słonecznego. Ostatecznie musi ono pochodzić jużto z ciążenia, już z ruchu w przestrzeni: ale kiedy pierwsze źródło energii nie mogłoby wystarczyć dłużéj nad 20 do 30 milionów lat, przy dzisiejszym stosunku promieniowania słonecznego, zapas pochodzący z ruchu w przestrzeni, zależny od stosunku tego ruchu, mógłby naturalnie dojść do pewnéj określonéj ilości. Masa równa masie słońca, poruszająca się z prędkością 476 mil (angielskich) na sekundę, posiada dostateczną energią do pokrycia obecnego stosunku promieniowania słonecznego na 50 milionów lat.

Ten ruch postępowy musi być zamieniony na ruch cząsteczkowy przez uderzenie. Jedyném przypuszczeniem, jakie stawia ta teorya, jest istnienie materyi i ruchu. Przypuśćmy, że dwa ciała, których masa, każdego oddzielnie, wynosi połowę masy słońca, zbliżają się do siebie z prędkością 476 mil (angielskich) na sekundę; uderzenie ich zamieniłoby cały ruch w ciepło, dostarczając znaczną jego ilość do zastąpienia obecnego stosunku promieniowania na 50 milionów lat. Każdy funt téj masy, w skutek zatrzymania się ruchu, posiadałby taką ilość ciepła, któraby była w stanie stopić 90 tonn (1350 centnarów) żelaza. Cała masa mogłaby być zamienioną na gaz, rozpalony do białości, o temperaturze, o któréj nie moglibyśmy sobie utworzyć pojęcia, t. j. przynajmniéj 140000 razy większéj, jak powiada dr. Croll, niż temperatura łuku Volty, o którym mówiliśmy w jedném z ostatnich naszych sprawozdań [2]).

*T. Skomorowski.*

---

[1]) „The position of the smaller skeletons, powiedziano w sprawozdaniu, with the head generally turned towards the pelvic region of the larger ones is also regarded as indicative of their standing in the relation of parent and offspring."

[2]) Ob. *Bibl. Warsz.* z r. 1879, poszyt za miesiąc maj.

# GŁOSY
# PRASY ZAGRANICZNEJ

## O NASZEM PIŚMIENNICTWIE.

W *Wiadomościach literackich* za ubiegły miesiąc uczyniliśmy wzmiankę o *VII Roku*, jednego z najponętniejszych zbiorowych pism niemieckich: *Dioskury*, które już ze względu na swój ustrój składowy, w osobliwszy sposób zdaje się nam charakterystycznem [1]). Poświęcać cząstkę indywidualności autorskiéj, zrzekać się owego uroku, jaki w pewnym stopniu sprawiać musi pisarzowi wystąpienie z pracą swoją *na własną rękę*, zgoła pozwolić, aby myśl jego lub natchnienie stało się jedynie składową sylabą jakiegoś zbiorowego wyrazu czci, idei lub człowiekowi poświęconego, jestto bez zaprzeczenia jedna z wysokich cnót obywatelskich. Ale tym razem inne pobudki, niemniéj poważne, skłaniają nas do zwrócenia uwagi czytelnika na *Dioskurów*. Jedno z najpocześniejszych miejsc zajmuje w nich praca p. Henryka Blumenstoka: *Dziady*, Adama Mickiewicza (Adam Mickiewicz's: *Todtenfeier*). Na ten posąg literacki, wielkiemu imieniu wystawiony, składały się dwie siły: tekst główny jest pióra p. Blumenstoka, przekład zaś wierszem p. Siegfrieda Lipiner'a. Utwórcę studyum, powtórnie dopiero wspominanego przez nas, czytelnicy poznają z mających się przytoczyć ustępów. Imię zaś p. S. Lipinera, spodziewamy się, że przypomną sobie z powodu jego przekładu: *Głosy ś. Teresy* [2]) a jesteśmy pewni, że z powodu przekładu *Dziadów* głęboko do serca im zapadnie. S. Lipiner jest dziś *uznanym bohatérem* w piśmiennictwie niemieckiém. Niechże nam wolno będzie o téj osobistości, spokrewnionéj i dźwiękiem nazwiska i wspólnością zamiłowania przedmiotów, odezwać się kilku wyrazami, aby uprzedzić czytelnika, kto to zasiadł do instrumentu na wykonanie wiekopomnéj kompozycyi. P. Siegfried Lipiner, który tłómaczy nasze arcydzieła, jest utwórcą pomiędzy innemi: *Wyzwolonego Prometeusza* (*Der Entfesselte Prometheus*). Podług zdania prasy niemieckiéj *Prometeusz* ten śmiało spojrzéć może w oczy swojemu współimiennikowi męczeństw, którego wielki Shelley postawił w swojéj tragedyi. Ale jakże różnymi od siebie są ci dwaj Prometeuszowie. Shelley'owy gigant dla wyzwolenia ludzkości musi zdeptać wprzód Zeusa i królestwo olimpijskie, u Lipiner'a wyzwala on ją koniecznem pojęciem wiary i przywróceniem religii. Tym samym duchem tchnie ostatni jego poemat: *Renatus* (*Odrodzony*).

---

[1]) *Die Dioskuren.* Literarisches Jahrbuch. Siebenter Jahrgang (str. 172—193.

[2]) *Biblioteka Warszawska*, 1879 r. tom II, str. 314.

Podobno równie podniosły strój ma trzymać niewydany jeszcze jego poemat: *Echo*. Spodziewają się, że będzie to w połączeniu z dotychczasowemi jego utworami, akt ery w odbudowaniu tego, co zburzyła armia pesymistów z Schopenhauerem na czele. Otóż takiéjto potęgi młodzieniec tłómaczył *Dziady*. Najpiękniejsza ich część, którą mamy w téj chwili pod ręką, a którą łatwo z pierwszych już dźwięków poznać po jéj grozie metafizycznéj, po najwyższém natężeniu siły elektrycznéj, która przypomina i *Kaima* Bajronowego i *Fausta* i wszystkich razem *Prometeuszów*, przełożoną została przez pana Lipinera wierszem białym-piorunującym. Tém lepiéj oceni ją publiczność niemiecka. Inne z przytoczonych wierszy są rymowe. I tu jednak miarę dokładności czytelnik brać może np. z tego wstępnego zagajenia *Dziadów:*

Ueb'rall Düster, ueb'rall Schweigen,
Was mag kommen, was sich zeigen.

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie."

Z powodu zdania Mickiewicza o Garczyńskim, wypowiedzianego tak gorąco w listach i odczytach paryzkich, p. Blumenstok słusznie upatrując tu dogmat samego utwórcy *Dziadów*, przytacza przekład niemiecki ustępu z ody Garczyńskiego (w *Wacławie*) wybornym siedmiomiarem, w strofie dłuższéj, a czteromiarem w krótszéj, który prosimy porównać z pierwotworem:

Genius! du wirst mit Rachengesang mir auch die Brust beseelen,
Und so voll Gefühl soll mein sein, wieder Mutter Schluchzen,
Racheschnaubend, wie nicht einmahl in der Hölle man Rache träumt,
Ja, die Menschen und der Himmel, sie sollen es ihm bezeugen:
Wie dem Herzen der hohe Gedanke,
Wie den Gedanken, der Thatenschwang,
Wie die Zeit, dem Prophetengesange,
Wie der Wahrheit, die Unsterblichkeit.

„Geniuszu! i ty pierś natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią,
I ludzie, niebo, staną mu na świadki:
Jako sercu—myśl wysoka,
Jako myśli—czynów dzielność,
Jako—czas pieśniom proroka,
Jako prawdzie—nieśmiertelność."

Wróćmyż do *Dziadów*, czyli, jak w języku tłómacza niemniéj namaszczonym nazywają wyrazem, do *Święta umarłych*.

„Z uczuciem religijném, mówi p. Blumenstok, każdy współziomek poety, każdy znawca piśmiennictwa rodzinnego, wymawia to słowo *Dziady*—z uniesieniem nabożeństwa. Nikomu nie przyjdzie tu na myśl ani źródłosłowne, ani kulturalne znaczenie wyrazu! Nie! budzi się tu

natychmiast głęboki w myślach, wiekuiście piękny poemat Adama Mickiewicza. Imienia tego od imienia książęcia pieśniarzy oddzielić niepodobna; niepodobna czytać *Dziadów*, a nie zapuścić siebie całego w to epos, nie wchłonąć go w siebie, z całym tytanicznym jego polotem, z fantazyjnemi i mistycznemi jego zdaniami, jego ujemnościami. Jest to utwór narodowy i nie da on się porównać ze współrodnemi utworami innych ludów. W *Dziadach* wprawdzie *każdy* odkryć może to, co tylko zachce każdy *szperacz* literacki: może z niego wywołać zaklęciem: ducha i duchy Manfreda, może rozmyślać o świecie z Faustem i Hamletem, opłakiwać cierpienia Wertera, kroczyć po piekłach Dantego i truchléć przed grozą *piekielnéj komedyi* (*höllische Komödie*) Zygmunta. Wszyscy poeci mają za wspólny swój pierwiastek jedno: geniusz. Mamy tu jeden i ten sam geniusz i ztąd możliwość paralelizmu; ale znów geniusz każdego poety oddzielnego, który wypowiada świat *swoich* uczuć, myśli i zasobów. Co najpowierzchowniejszemu sądowi o arcytworach wielkich poetów obecnego wieku podobném się wydaje, to: ton główny, krój pieśni, ta sama skarga, ten sam ból, to samo wydzieranie się na jaśnią, toż samo ocknięcie się ducha i wybuch płomieniem. Co tylko wzruszało umysły, co drgało w przeczuciach młodych serc naszego wieku, wszystko to odzwierciedla się w jego pismach i jakkolwiek drażnić to może dumę mas, muszą one kroczyć za śladem takich duchów, jak żeglarze trzymać się muszą szlaku tych, co pierwsi na nieznany ocean puścić się odważyli. Takim pionerem i przewódzcą drogi dla swojego społeczeństwa był Mickiewicz."

Nadzwyczaj umiejętnie p. Blumenstok wywodzi duchową genezę *Dziadów*. Należy nam jednak tok wywodów autora pod tym względem przyjmować z pewnemi zastrzeżeniami. Podług niego część pierwsza ma w podstawie swojéj mit ludowy, i z tego względu ta część przedewszystkiém ma być narodową. Fantazyjna strona *Dziadów*, mówi daléj, zesnucie się życia rzeczywistego ze światem metafizycznym, bytu widomego z królestwem duchów: był to fakt dany poecie w wierzeniach ludu, w jego pieśni wcielonych. I w tém znamieniu, podług autora „Mickiewicz przypomina Szekspira." Nic sprawiedliwszego nad to zdanie p. Blumenstoka! Wszakże i Goethe na ludowych żywiołach wzbił się do wysokości swego *Fausta*. Jak w Niemczech, jak w Anglii, tak i u nas: ludzie porządku klasycznego nie z samowiednego wstrętu deptali po tych żywiołach z pogardą, a przynajmniéj... z lekceważeniem. Pochodziło to raczéj z pewnego rodzaju gnuśności; poskąpili tego estetycznego zachodu, jakiego wymaga w ogóle zdjęcie pierwszych warstewek z mitu, pod któremi tuż zaraz leży jego poetyczność; woleli mit gotowy, ociosany, starożytny. Szkoła romantyczna, jak wszędzie tak i u nas, a książę pieśni nad wszystkimi, zadali sobie pracę skierowania się ku mitowi ludowemu z tém godłem, że co duch ludzki w ciągu wieków i pokoleń składał w dziedzinę objektywną—w świat, jako ideę, jako pojęcie, to wydostać z niéj powinien jako pięknotę. Na to wielkiemu człowiekowi nie potrzeba koniecznie

być naśladowcą. Mniéj więc sprawiedliwie p. Blumenstok w dalszym ciągu *Dziadów* wprowadził mitowy i duchowy świat Goethego i Byrona (str. 175). Wszak i Byron protestował dobitnie przeciwko zdaniu Goethego, który w *Manfredzie* chciał widzieć odbicie przeprowadzonego w *Fauście* wcielenia myśli metafizycznych. Nic podobnego, podług nas, w dalszym ciągu *Dziadów* dostrzedz się nie daje. Mickiewicz nie więcéj jak tylko odnalazł pierścień Kunegundy, wydostał na jaśnią ową myśl religijno-filozoficzną z tradycyi, jaką pierwotna spółczesność w nią złożyła. Jako naczelny dowód przeciw mniemaniu szanownego miłośnika naszéj poezyi, przytaczamy ten fakt, że najgłówniejsze z konkretnych sprężyn tego poematu nic wspólnego z otoczeniem *Fausta* mieć nie mogły. Oto jedyne *ale*, z jakiém przeciw wybornemu, z sercem i rozumem poprowadzonemu studyum p. Blumenstoka, odważyliśmy się wystąpić. Oprócz braterskiego usposobienia ku przedmiotowi, widać w tém studyum i głębokie wniknięcie w tajniki duszy bohatéra i rozległe oczytanie i wpatrzenie się w postacie przeszłości: jest tu i Kołłątaj, i Euzebiusz Słowacki, i Ursyn, i Czacki, i Baliński, i bracia Śniadeccy.

Kończymy tę część sprawozdania energicznym wierszem, wyjętym z tekstu studyum:

O! strebe nach des Himmels Licht,
Zerbrich, was kein Verstand zerbricht,
Damit durch uns der Klumpen Erde
In neue Bahn geleitet werde.

* * *

Zwracamy się teraz ku innéj sferze.

Oddawna w naszéj prasie, szczególniéj codziennéj, odzywały się głosy niezadowolenia, to podziwu, z powodu, że prasa angielska, tak niegdyś bacznie wglądająca w objawy naszéj umysłowości, uporczywe zachowuje milczenie właśnie w chwili żywszego i samowiedniejszego jéj ruchu. Jednakże ta apatyczna postawa, jak wiemy, zmieniła się. Z kolei przychodzi nam dołożyć poważny szczegół, dowodzący téj zmiany.

Jeden z najdojrzalszych organów naukowéj prasy angielskiéj: londyńskie *Athenaeum* koniec roku zwykł był zamykać rozległym artykułem p. t.: *Literatura stałego lądu* (*Continental Literature*) w alfabetycznym porządku narodów. Przez długie lata napróżno wyglądaliśmy tam wzmianki o piśmiennictwie naszém. Aż wreszcie doczekaliśmy się sprawozdania.

W grudniowym zeszycie *Athenaeum* podany jest obraz głównych zjawisk, który, jak czytamy w innych pismach angielskich, przyjemne sprawił *zdumienie*,—zdumienie, powtarzamy, bo publiczność dziwi się, że dopiéro dziś jéj gazety literackie głoszą to, o czém wiedziała już cała wykształcona atmosfera Lądu. Artykuł, o którym mówimy, napisał dla *Athenaeum* p. Adam Bełcikowski. Jedną z trzech kolumn

jego sprawozdania zajmuje dział historyi i dziejów literatury. Co się tyczy poezyi, autor nasz mówi, że „złote dni poezyi w Polsce— i podobno nietylko w Polsce—przeszły.“ Młodszemu pokoleniu, mówi sprawozdawca, brak tętna duchowego, nie ma ono ideału, a co najwyżéj, stara się zdobyć sobie doskonałość formy. Wspomina Stanisława Grudzińskiego, Biernackiego i wydanie utworów Słowackiego przez prof. Małeckiego. Co do sceny polskiéj, autorowi ze smutkiem wyznać przychodzi, że repertuary zapełnione bywają półświatowemi utworami pióra francuzkiego! Jednakże autor wymienia z uznaniem trzy imiona z komedyi polskiéj: Józefa Blizińskiego, Kazimierza Zalewskiego i Michała Bałuckiego; o tragedyi i dramacie historycznym mówi z pewnego rodzaju tęsknotą, iż rzadko one ukazują się na deskach teatru w Warszawie, w innych zaś miastach istnieją tylko trzy teatra i to biédne, o prywatnych tylko środkach. Wymienia jednak utwory W. Rapackiego, Adama Bełcikowskiego, Juliana z Poradowa i *Franceskę da Rimini*, p. H. W. Odrębne stanowisko, mówi daléj, zajmują utwory Wł. Okońskiego. Najszerzéj rozpisuje się sprawozdawca o dziejopisarstwie. „Historya, mówi p. Bełcikowski, zawsze była ulubionym przedmiotem pracy u Polaków, dlatego téż od niéj zaczynam. Ze zbiorów materyałów wspomnieć wypada o II-m tomie Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski, listów Andrzeja Zebrzydowskiego biskupa krakowskiego, o 1-éj części zbioru: *Codex Diplomaticus Civitatis Cracoviensis* i innych. „Z zakresu właściwéj historyi p. Bełcikowski wspomina o *Historyi pierwotnéj Polski* J. Bartoszewicza, uważając za szczególniejszą zasługę to, że zajmuje się stosunkami Czechów, Rusi i innych Słowian, zostających wówczas w związku z Polską. O *Historyi* p. Bobrzyńskiego odzywa się w ten sposób: „Dzieło to wywołało niezwykłe wrażenie. Historyą we właściwém znaczeniu wyrazu to dzieło nie jest; jestto traktat napisany w duchu politycznéj filozofii, dziś panującéj w zakresie badań nad przeszłością tego państwa. Odznacza się ono pesymistycznym poglądem autora na dzieje Polski i takich osobistości jak Zygmunt I i syn jego Zygmunt August.“

Najpokaźniéj przedstawiającym nas w obliczu publiczności angielskiéj będzie podobno ten z końcowych ustępów sprawozdania, którego bohatérem jest Jubilat.

„W dziale o powieści, mówi p. Bełcikowski, najpierwsze miejsce należy się wspomnieniu o obchodzonym w tym roku jubileuszu Nestora współczesnego piśmiennictwa polskiego—J. I. Kraszewskiego. Uroczystość na cześć jego obchodzona w Krakowie, nadała powszechny rozgłos jego imieniu i spowodowała, że tam, gdzie piśmiennictwo nasze było mało znaném, albo zupełnie nieznaném, dowiedziano się z zadziwieniem, że jeden Polak napisał nie mniej jak pięćset tomów; że więc piśmiennictwo to nie może być tak nieznaczącém i tak ubożuchném, jak sobie wyobrażano. W tym roku (1879) nasz weteran napisał nie mniéj jak dziesięć powieści w ośmnastu tomach, nie mówiąc już o innych jego dziełach.“

Najpierwsze miejsce po Kraszewskim p. Bełcikowski przeznacza pani Elizie Orzeszkowéj; następnie wymienia T. T. Jeża, Z. Kaczkowskiego. Koúczy ogólném podaniem liczby wychodzących pism czasowych, około 120: 40 w Galicyi, 15 w Poznaniu i na Szlązku, 60—70 w Królestwie Polskiém.

Zachowując się objektywnie w niniejszém streszczeniu artykułu p. Bełcikowskiego, w ogóle wdzięczni mu jesteśmy, że przyczynia się do przebudzenia prasy angielskiéj z téj obojętności, któréj podobno— *my sami* byliśmy powodem.

---

# KRONIKA PARYZKA,

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość w Akademii francuzkiéj: mowy Henri Martin i Ksawerego Marmier.—Rozprawa profesora Fustel de Coulanges *O własności w Sparcie.*—*Pamiętniki pani de Rémusat*, z czasów pierwszego cesarstwa.—*Pamiętniki Meternicha.*—*Les Rois en exil*, powieść Alfonsa Daudet.—Poeta Sully Prudhomme.—Przekład dzieł Schoppenhauera: *Ustęp o kobiécie.*—Przedmowa A. Dumasa do nowego wydania prac dramatycznych.—*Anna Kerwiller*, dramat Legouvégo.—*Melidona*, powieść Edwarda Schure.—Wykopaliska na polach Maratonu.—*Mieszkania ludzkie w różnych epokach*, p. Karola Lucas.—*Robotnicy w Europie*, p. Le Play.—Biblioteka narodowa w Paryżu.—*Ojciec zadżumionych*, przekład p. W. Gasztowtta.—Uroczystość Mickiewicza.—*Pan Tadeusz.*—*Monseigneur Vladimir Czacki*, życiorys nuncyusza.—Prace bibliograficzne p. Gustawa Pawłowskiego.—Koncerta panien Bulewskich.—Otwarcie kursu profesora Chodźko: lekcya wstępna.—*Jubileusz Kraszewskiego.*

Przyjęcie znakomitego historyka Henri Martin odbyło się w Akademii w połowie listopada. Nigdy może podobna uroczystość nie poruszyła tak żywo literatów i polityków, nigdy jeszcze nie zamąciła tak głęboko olimpijskiego pokoju nieśmiertelnych. Mnóstwo okoliczności, na których obliczenie starczyć nie mogą nasze ramy, zbiegło się tu razem, i z prostéj uroczystości akademickiéj uczyniło prawdziwy dramat. Zawzięte walki stronnictw politycznych, wstrząsające dziś Francyą, dostarczyły mu podostatkiem żywiołów

Długie życie Thiersa, po którém krzesło obejmował Henri Martin, przeważny wpływ jaki minister Ludwika Filipa wywierał na ogólne wypadki w świecie, wyższe jeszcze stanowisko prezydenta Rzeczypospolitéj, wielkiego finansisty, który umiał obliczyć siły Francyi i wyciśniętemi z niéj miliardami, oswobodził kraj od najazdu pruskiego; nakoniec prace znakomitego historyka i ekonomisty: wszystko to po-

ruszało mnóstwo najważniejszych pytań, w dziedzinie polityki i teoryi społecznych. Jakże tu mówić o Thiersie, bez ocenienia jego działań w sprawie Wschodniéj, podniesionéj w roku 1840, za jego ministeryum? On pierwszy jak wiadomo, użył Słowiańszczyzny na poparcie polityki francuzkiéj. W tym celu ustanowił katedrę, zatytułowaną mylnie *katedrą języka i literatury słowiańskiéj*, jak gdyby na całym obszarze, zajętym przez ludy mówiące po słowiańsku, istnieć miał tylko jeden język i jedna literatura!? Jakże tu mówiąc o Thiersie nie podnieść pytania o własności, skoro on w roku 1848, stanął jako jeden z najznakomitszych obrońców prawa własności osobistéj, gdy to prawo zagrożoném było przez socyalistów paryzkich? Jakże znów rozbierając dzieło świetnego historyka wojen i tryumfów Napoleońskich, nie pokazać, że on to właśnie, tak dziełem swojém, jak również sprowadzeniem zwłok cesarza z wyspy Świętéj Heleny, rozdmuchał w płomień iskrę Bonapartyzmu, tlejącą w sercach, a témsamem utorował drogę dla nowego cesarstwa, któremu okazał się późniéj tyle wrogim?

Wszystkie te pytania tak żywotne, tak palące w dzisiejszym stanie umysłów, mąciły w dziwny sposób zwyczaje akademickie i poważny pałac Mazaryniego przemieniały na Forum. Aby uniknąć skandalicznego starcia, rozważni akademicy, usunęli kilka miesięcy temu z areny swojéj, ostatniego ministra napoleońskiego, Emila Oliviera, który jako pełniący obowiązki dyrektora, w chwili gdy Thiers umarł, wprowadzać miał nowego członka w podwoje Akademii. Zastąpił go Ksawery Marmier, znany podróżnik i literat, daleki od sporów politycznych.

Jeśli jedne trudności usunięte zostały, inne zato nie dały się usunąć. Henri Martin, szczery republikanin, zapalony zwolennik rewolucyi 1789 r., zanadto ma wybitny charakter polityczny, aby mógł w mowie swojéj nie potrącić o najdrażliwsze zagadnienia. Jakoż mowa jego cała, wbrew akademickim tradycyom, była rozprawą polityczną. Nie mógł wypowiedzieć w niéj wszystkiego co mu leżało na sercu. W sprawie zwłaszcza słowiańskiéj, był on od dawnych lat silnym i stałym przeciwnikiem Thiersa; był promotorem innéj zupełnie polityki, opartéj na federacyi wszystkich ludów aryjsko-europejskich [1]). Okoliczności zmuszały go do milczenia; odczuli jednak ten przymus obecni, i to właśnie milczenie stanowiło dramatyczną stronę jego akademickiéj rozprawy. Niechcąc i niemogąc ogarnąć w niéj długoletniego zawodu Thiersa, pokazał go ze strony najsympatyczniejszéj dla siebie, jako patryotę, jako syna wielkiéj rewolucyi, jako jéj gorącego

[1]) Prace Henri Martina, przyczyniły się najwięcéj w roku 1868 do zmiany prawa Thiersa z roku 1840, dotyczącego katedry słowiańskiéj w kollegium francuzkiém: nowe prawo dało jéj tytuł katedry *języków i literatur słowiańskich*. Rzecz naturalna, że ani Izbie, ani rządowi francuzkiemu, nie szło tu o samą nazwę, jak to wyjaśnił w Izbie prawodawczéj Carnot, b. minister oświecenia.

apologistę. Pomija on działania Thiersa za monarchii lipcowéj, nie dotyka jego wschodnio-słowiańskiéj polityki, przeciw któréj niegdyś tak stanowczo sam występował; z zapałem zato przypomina słowa Thiersa, wyrzeczone z trybuny w roku 1848: „jestem, mówił on, stronnikiem rewolucyi! Pragnąłbym, aby rząd rewolucyjny pozostał w ręku ludzi umiarkowanych, ale gdyby ten rząd przejść miał w ręce ludzi mniéj umiarkowanych odemnie i przyjaciół moich... nie opuszczę dlatego sprawy; będę zawsze stronnikiem rewolucyi!"

Łatwo pojąć, jak te słowa, odbite o ściany pałacu akademickiego, zamącić musiały tradycyjny ich spokój, jak dziwnym dysonansem odbrzmiewała tu owa apoteoza rewolucyi.

Odpowiedź Marmiera miała zato czysto akademicki charakter. Z życia Thiersa opuścił on zupełnie stronę polityczną, a podniósł tylko znaczenie dzieł literackich, niesłychany blask i czarodziejski urok stylu. Pokazuje żelazną jego wytrwałość w pracy. Jakim sposobem, pyta, Thiers mógł podołać tylu podjętym trudom? W odpowiedź na to przytacza jego własne wyrazy: „Zwolennicy wiecznego pokoju nie znają ani człowieka, ani jego przeznaczenia na ziemi. Świat jest wszechstronną działalnością, człowiek stworzony do działania. Czyto przeznaczony do szczęścia, czy téż skazany na cierpienie, to pewna, że wtedy życie najmniéj mu ciąży, kiedy silnie zajęty pracą."

I na potwierdzenie tych słów Thiersa, Marmier pokazuje bezustanną jego działalność. Co dnia wstawał równo ze świtem i natychmiast chwytał za pióro. Do ostatnich chwil zachował wiernie ten zwyczaj. Podczas wakacyi parlamentu, zwykł był często powtarzać: „Moje wakacye, to ośmnaście godzin codziennéj pracy!"

W podróżach swoich Thiers niemniéj był czynnym, ztąd ogromne odnosił z nich korzyści. W roku 1856, uwolniony od obowiązków ministra, pośpieszył do Włoch. W Rzymie, pod przewodnictwem Ingresa, zwiedzał z zapałem odwieczne pomniki, kościoły i galerye. Te starożytne zabytki Romy, katakomby i bazyliki średniowieczne, dzieła mistrzów z epoki odrodzenia: wszystko to porywało jego umysł spragniony wiedzy, a zarazem wysoko artystyczny.

Chciwość nauki nie opuszczała go do ostatnich dni życia. Mając lat ośmdziesiąt, codziennie zwiedzał naprzemian, to muzeum historyi naturalnéj, to obserwatoryum, to jakiś inny zakład ściśle naukowy. Z Le Verrierem badał obroty ciał niebieskich, z uczonym Pasteur czynił sam doświadczenia chemiczne; w galeryach zoologicznych, z mikroskopem w ręku, śledził kształty najdrobniejszych żyjątek. Prace te podejmował w celu utworzenia wielkiego dzieła, o związku człowieka z otaczającym go światem, o pierwotnym jego początku i ostatecznem przeznaczeniu. Śmierć przerwała tę olbrzymią pracę; pozostały z niéj przecież ustępy niemałéj doniosłości.

Mniéj względnym okazał się Marmier, w ocenieniu prac historycznych Henri Martin'a. Podnosi on wysoko jego historyą Francyi, objętą w szesnastu wielkich tomach, zaszczyconą trzykrotnie najwyższą nagrodą akademicką; czyni jednak w niéj niejakie zastrzeżenia.

Gorący legitymista, w królewskości jedynie widzi całą potęgę, całą chwałę Francyi. Dzieje dla niego rozpoczynają się od Klowisa, w czasach krucyat dochodzą najwyższéj apoteozy. Henri Martin, głosi niemniéj chwałę krzyżowych wojen, postać Ludwika świętego otacza jasną aureolą, ale początki narodu swego i pierwsze promienie jego chwały, odnosi do nierównie dawniejszych czasów.

Inicyatorem wielkiego historyka Francyi był Joachim Lelewel. Dzieło naszego archeologa o numizmatyce galskiéj, otworzyło mu oczy; zobaczył jasno, że Gallowie, w dziejach Francyi, nie byli jakąś abstrakcyą, godną zająć tylko erudytów, ale że krew Gallów płynie w żyłach Francuzów dzisiejszych, jak się wyraził Lelewel [1]). Przypominamy sobie, z jakiém uniesieniem Henri Martin, na jednéj z dawniejszych konferencyi (1869 r.), opowiadał licznym słuchaczom radość, jakiéj doznał w chwili, kiedy prawda uderzyła go pełnym blaskiem. Przedtém już pisał on o Gallach, lecz nie rozumiał ich znaczenia, nie pojmował ich wpływu na obecne dzieje Francyi; dziś zaś w żywiole galskim, widzi jedyne kryteryum, na którém opiera całą przeszłość, a co więcéj i przyszłe odrodzenie narodu!

Ten zapał historyka dla Gallów, nie podoba się ani legitymistom, ani też demokratom. Legitymiści patrzą z pogardą na dzieje, poprzedzające królewskość germańskich Sykambrów, demokraci zaś radziby zatrzéć cały wątek odwiecznych podań, aby tém świetniéj rozpoczynać dzieje od wielkiéj rewolucyi. Dziwna zaprawdę ich ślepota! Henri Martin lepiéj służy sprawie ludu, niż wszyscy demokratyczni teoretycy. Gdy ci opierają się na abstrakcyi, podnosząc prawa człowieka, bez względu na jego ród i przeszłość dziejową; on tymczasem, z praw uświęconych wiekami, wyprowadza prawa na przyszłość. Dzisiejszy lud francuzki, według niego, to krew z krwi, kość z kości starych Brenusów i Wercyngetoryksów; to granitowy pokład, po którym przepłynęły rzymskie i germańskie powodzie, a który mimo to pozostał solą ziemi, kamieniem węgielnym przyszłego społeczeństwa.

Idei téj nie zrozumiał Marmier, niesłusznie też wyrzuca historykowi jego druidyczne mrzonki, jak gdyby Henri Martin chciał budować Menhiry na gruzach chrześciańskich przybytków!

Zostawiamy na boku wiele innych, równie ważnych pytań, poruszonych obiorem Henri Martin'a, na następcę Thiersa w Akademii. Dodajmy za to kilka rysów, określających sympatyczną osobistość nowego akademika.

Urodzony w roku 1810, liczy on blizko lat siedmdziesiąt. Piękny to starzec w całém słowa znaczeniu. Rosły i kształtny jak dąb, rysy ma dorodne i wyraziste, oko czarne tryskające życiem. Rumiane lica pięknie odbijają obok białéj brody i śnieżnych włosów. Znamy

[1]) Tęż samą myśl sformułował nasz historyk w dziele polskiém p. t.: *Narody na ziemiach słowiańskich.*

cudny portret jego, malowany przed laty trzydziestu, słynnym pędzlem Ary Scheffera. Oblicze zmieniło dziś charakter, nabrało powagi, lecz nie zatraciło młodzieńczego uroku.

Dziecinne lata spędził w Pikardyi, w rodzinném mieście St. Quentin, gdzie ojciec pełnił urząd sędziego trybunału. Miał lat ośmnaście, kiedy, po ukończeniu nauk szkolnych, udał się do Paryża. Tu ojciec umieścił go przy notaryuszu w mniemaniu, że z czasem upodoba sobie ten zawód. Ale nieprzeparty pociąg pchał młodzieńca na drogę literatury. Zbudzony romantyzm rozpłomienił jego wyobraźnią. Pod wpływem nowych pojęć, napisał w roku 1830 szczególny romans: *Wolfthurm* (*Wilcza Baszta*); podpisał ją pseudonimem „Irwen," gdyż nazwisko Martin, zbyt pospolite w Paryżu, raziło smak młodego zapaleńca.

W dniach lipcowych czynny wziął udział w walce na ulicach Paryża; posłuszny ojcu, nie opuszczał jednak archiwów, mimo że praca biurowa dziwnie mu była wstrętną. Po ustalonym porządku we Francyi, okoliczności zbliżyły go z Pawłem Lacroix, żyjącym dotąd, i głośnym w świecie pod pseudonimem Jacob le Bibliophile. Lacroix zajmował już wydatne stanowisko w literaturze; kierował czterema dziennikami, miał wstęp do wszystkich redakcyi. Pod jego życzliwą opieką młody orzeł poprobował skrzydeł do lotu; jakoż wywalczył wkrótce byt niezależny; złagodzony tém ojciec, uwolnił go wreszcie od wstrętnego mu notaryatu.

Mając lat 21, Henri Martin poślubił młodą panienkę w mieście Saint-Quentin; z tą nieodstępną towarzyszką przeżył już lat blizko 50, z nią przetrwał ciężkie lata początkowego zawodu, z nią przyszedł do znaczenia i dostatków. Za rok poważna para obchodzić ma złote wesele.

Od 1830—1835 roku młody autor, pod skrzydłami przyjaznego mu Jakóba Bibliophila, zasilał liczne dzienniki i przeglądy płodami swego pióra. Porzucił wkrótce romantyczny pseudonim; pod własném imieniem pisywał do *Merkurego*, do *Gastronoma*, do *Gwardzisty narodowego*, do dzienników mód, do ilustrowanych albumów salonowych. Krytyki literackie, nowelle, obrazki z życia, satyry i ulotne poezye, rozsiewał tu i owdzie z niesłychaną łatwością. Zamiłowany w legendach i podaniach, zbierał je skwapliwie, odtwarzał w sposób prawdziwie poetyczny; w tym celu wyuczył się wschodnich języków.

W zbiorze stu i jednéj powieści, czytamy: *Odwiedziny w Saint-Germain* i parę innych pełnych życia nowelli. Wkrótce potém wydał dwa historyczne romanse: *Libellistę* i *Tankreda de Rohan*. Zabrał się wreszcie do pracy ściśle historycznéj, p. t.: *La vieille Fronde* i skreślił cały szereg obrazków z czasów wojny domowéj przeciw Mazariniemu, za małoletności Ludwika XIV. Praca ta była przygotowaniem do innéj, nierównie obszerniejszéj, któréj Henri Martin zawdzięcza głównie imię swoje: mówimy tu o *Historyi Francyi*. Autor rozpoczął to dzieło za podnietą Pawła Lacroix: wydawał je częściowo, zrazu

bezimiennie; na dziesiątym tomie dopiéro, ośmielony powodzeniem, położył swoje nazwisko. Publikacya przeciągnęła się od r. 1833—1836, obejmowała piętnaście małych tomów. Pierwsza to była historya Francyi w tak szerokim zakresie, dotąd istniały tylko bogate monografie. Młody historyk zadowolił nią ziomków i zyskał gorący ich poklask: sam przecież nie czuł się zadowolonym; w miarę jak widnokrąg dziejowy rozwidniał się przed nim, widział tém wyraźniéj niedostatki pracy wykonanéj nazbyt dorywczo. Podczas gdy wydawcy rzucali w świat powtórny nakład, autor wzbogacony doświadczeniem, zabrał się do zupełnego przerobienia dzieła, dopełniał je coraz nowemi materyałami. Wreszcie, po siedmnastoletnich trudach, doprowadził je do końca i uczynił ważnym pomnikiem narodowym. Historya ta, wydawana częściowo do 1854 r., objęta w dziewiętnastu wielkich tomach, zjednała trzykrotnie autorowi pierwszą nagrodę akademicką i ustaliła jego sławę. Tymczasem nowe badania nad religią, obyczajami i poezyą starych Gallów, odkryły świat nowy przed niezmordowanym badaczem: przerobił znów dzieło swoje, oparł je na nowych podstawach i wydał po raz czwarty w r. 1860.

W ciągu téj pracy, Henri Martin zżył się ze starymi Gallami, gorącą ukochał ich miłością; ocenił wielkie ich zalety, poznał wady, które nie pozwalały im zawiązać się w potężne i jednolite państwo. Zrozumiał wytrawny historyk, że w takim stanie rzeczy podbój Cezara stał się dziejową koniecznością. Nie powstrzymał rzymskich legionów wojenny geniusz Wercyngetoryksa, nie stawiły im tamy wysilenia i ofiary klanów galskich. Wielką tę chwilę wziął Henri Martin za przedmiot dramatu: osnuł go ściśle na faktach historycznych, ozdobił całą fantasmagoryą druidycznego świata; wiersz silny, pełen harmonii, podnosi wartość utworu. Henri Martin okazał się w nim znakomitym poetą. Wspaniały ten dramat p. t.: *Wercyngetoryks*, ukaże się wkrótce w przekładzie polskim.

Przed dziesięciu laty niezmordowany pracownik rozpoczął wydawnictwo popularnéj historyi: było to streszczenie prac poprzednich, dostępne dla ogółu. Publikacya ta, ozdobiona drzeworytami, objęta w czterech wielkich tomach, zjednała mu znów pierwszą nagrodę akademicką (20,000 franków). Tu także Henri Martin wprowadził nowy żywioł: ukazał Francyą w grupie ludów aryjsko-europejskich, w obliczu ludów turańskiéj cywilizacyi. Streścił on tu długoletnie badania swoje nad słowiańszczyzną; pod tym względem dzieło historyka francuzkiego zasługuje na szczególną uwagę badaczy naszych, z których niejeden, przez źle pojętą miłość kraju, patrzy na Polskę jako na społeczeństwo oderwane od innych ludów aryo-europejskiéj cywilizacyi, opartéj na indywidualizmie. Tak wyłączny pogląd musiał sprowadzić, i w rzeczy saméj sprowadził, mnóstwo błędów w ocenieniu dziejowego życia Polski. Dla nas przecież określenie miejsca, jakie naród nasz zajmuje pomiędzy aryjskiemi a turańskiemi ludami, nieskończenie większą ma wagę, niżeli dla Francyi. Bodajby Henri Martin przykła-

dem swoim zachęcił badaczów naszych do rozpatrzenia się we własnych pracach i dopełnienia ich, jak to po tylekroć czynił znakomity historyk francuzki!

---

Na jedném z ostatnich posiedzeń Akademii Nauk Społecznych, profesor historyi Fustel de Coulanges odczytał bardzo ważny memoryał o pierwotnych formach własności w Sparcie. Streścił w nim całoroczny kurs wykładany w Sorbonie w ciągu roku 1878. Wybrał on Spartę za przedmiot badań swoich, gdyż ta, według opinii powszechnéj, reprezentuje w starożytności ustrój społeczeństwa ściśle komunistyczny. Autor powstaje przeciwko téj opinii, tak sprzecznéj z duchem cywilizacyi europejskiéj.

Przebiegłszy poglądy starożytnych autorów na instytucye Sparty, Fustel de Coulanges okazuje wyraźnie, że żaden z nich nie mówi o wspólném posiadaniu ziemi. Rys tak charakterystyczny nie mógłby ujść uwagi takich badaczy jak Herodot, Ksenofont, Arystoteles, Plutarch i tylu innych. Były wspólne stoły, ale ziemia nigdy nie była wspólną. Przeciwnie, nawet kiedy Arystoteles mówi o stanie ziemi w Lacedemonii, używa zawsze wyrażeń, które w greckim języku oznaczają zupełne jéj posiadanie; mówi o donacyach, testamentach, nawet wprost o dziedzictwie. Na poparcie wywodów swoich, profesor przytacza dwa starożytne teksty: Heraklidesa i Plutarcha. Cytuje téż ważną uwagę Tucydydesa, że w Lacedemonii wszyscy obywatele noszą jednaką odzież i prowadzą jednaki rodzaj życia, lecz nie posiadają równych dostatków. Powtarza wreszcie słowa Arystotelesa, że za czasów jego, w Sparcie majątki spoczywały w ręku niewielu rodzin. Profesor udowadnia, że w czasach pierwotnych liczba właścicieli ziemskich daleko była większa.

W drugim rozdziale autor rozpatruje sposób uprawy roli w Lacedemonii. Prawo zabraniało tam obywatelom trudnić się bezpośrednio rolnictwem; praca ta ciężyła wyłącznie na ujarzmionych Ilotach. Ci zajmowali ziemię panów swoich i płacili z niéj czynsz ograniczony prawem. Pozostała oprócz tego w Lakonii miejscowa ludność, niezupełnie pokonana przez Doryjczyków, posiadająca własną ziemię.

Trzeci rozdział poświęcony domowemu życiu Spartanów. Herodot, który pilnie badał ich obyczaje, nie wskazuje nigdzie radykalnéj różnicy między stanem rodzin w Lacedemonii a w innych częściach Grecyi. Ani Tucydydes, ani Ksenofont, ani Arystoteles, nic podobnego nie nadmieniają.

Fustel de Coulanges dowodzi stanowczo, że wspólność żon nigdy nie istniała w Sparcie; małżeństwo było aktem świętym; jednożeństwo powszechnie panowało, według Herodota i innych starożytnych autorów. Władza ojca nad dziećmi nie była absolutną, rząd nakazywał synom ćwiczenia wojskowe, mimo to dziatwa wracała wieczorem pod dach rodzicielski. Spartanie, równie jak inni Grecy, mieli swe groby familijne.

Niesłusznie też pomawiano Spartę o brak węzłów rodzinnych. Każda rodzina posiadała własny dom i własne ognisko. Dyonizyusz z Halikarnasu świadczy, jak dalece to domowe sanktuaryum szanowaném było w Lacedemonii. „Wszelkie, mówi on, złamanie porządku, publicznie popełnione, pociągało surową odpowiedzialność; ale rząd nie miał prawa mieszać się do spraw domowych. Wrota podwórca stanowiły granicę jego władzy; poza niemi panowała zupełna wolność. Domy bogatych obywateli urządzone były ze zbytkiem; kobiéty używały wszelkiéj swobody i przeważną wywierały władzę. Sami tylko mężowie powoływani byli do życia publicznego: wszystek czas poświęcali sprawom państwa." Stwierdza to profesor wielką liczbą autentycznych tekstów.

W następnym rozdziale mówi o publicznych ucztach *Syssytyach*. Wielu nowożytnych pisarzy utrzymuje, że zwyczaj ten świadczył o wspólności majątków, a przynajmniéj że był szczątkiem pierwotnego komunizmu. Z tekstów jednakże widzimy, że uczty publiczne nie odnoszą się do najdawniejszych wieków Sparty. Herodot mówi, iż nieznane były w pierwotném społeczeństwie; zaprowadził je Likurg. Plutarch widzi w nich reformę tegoż prawodawcy; Ksenofont twierdzi wyraźnie, że przed Likurgiem Spartanie jadali osobno w domach własnych. Wspólne uczty opisane są dokładnie w rozrzuconych tu i owdzie tekstach: profesor zebrał je razem i objaśnia kategorycznie.

*Naprzód:* Mężowie sami brali udział w tych ucztach, kobiéty nie były do nich przypuszczone, zarówno jak i dzieci. Greccy historycy zapisali to najwyraźniéj. Owóż nieobecność kobiét i dzieci u wspólnego stołu, dowodem jest, że te uczty nie były wcale instytucyą komunistyczną; rodzina bowiem cała, oprócz męża, jadała w domu przy swym stole. Plutarch zapisał ciekawy szczegół, że Spartanin sam kupował codziennie na targu żywność dla całéj swéj rodziny.

*Powtóre:* Wspólna uczta odbywała się raz na dzień, wieczorem. Niekiedy obywatel wymawiał się od niéj obrzędem ofiarnym przy domowém ognisku. Część nieodłączną ofiary stanowiła uczta rodzinna: obok wspólnych stołów, widzimy też i biesiady domowe.

*Potrzecie:* Wspólne wieczerze nie odbywały się kosztem miasta: każdy obywatel obowiązany był dostarczyć część żywności wskazaną prawem; a Plutarch oznacza nawet wymaganą ilość mąki, wina, séra, fig i pieniędzy na mięso. Państwo nie dostarczało nic; rząd nie karmił jednostek.

*Poczwarte:* Ubodzy nie brali udziału w ucztach wspólnych. „Trzeba, mówi Arystoteles, aby każdy członek przyniósł oznaczony dział; ale są obywatele ubodzy, dla których byłoby to ciężarem. Prawo zatém wymaga, aby każdy, kto się uchyla od wspólnego stołu, tracił zarazem tytuł obywatela." Dodaje uwagę, że prawodawca zamierzał utworzyć instytucyą demokratyczną, ale chybił zupełnie celu; przeciwnie, uczty nie miały wcale demokratycznéj cechy.

Fustel de Coulanges okazuje nakoniec, iż te wspólne wieczerze stanowiły rodzaj tajemnych towarzystw i narad. Rozprawiano wiele u tych stołów, ale tajemnica musiała być ściśle zachowaną. Kiedy Spartanie wchodzili do sali, mówi Plutarch, prezydujący u stołu odzywał się do każdego ukazując drzwi: „Żadne słowo tędy nie wyjdzie!“ Wstęp do towarzystw nadzwyczaj był utrudniony; wotowano tajemnie na kandydatów: jedna kula czarna zabraniała przystępu.

Wykazawszy dowodami, że wspólny stół nie miał kumonistycznego charakteru, profesor okazuje cel jego rzeczywisty. Szło tu prawodawcy o przedłużenie życia obozowego podczas pokoju, o utrzymanie ścisłych związków między współobywatelami. Pragnął on przyzwyczaić obywateli do posłuszeństwa, utrzymać ich w karności, nagiąć ich do życia publicznego, dać uczuć Spartanom, że należą raczéj do państwa, niźli do siebie samych. Prawodawca niemniej chciał wygnać zbytek, a zaprowadzić surową wstrzemięźliwość.

W innym rozdziale autor rozbiera prawo cywilne w stosunku do posiadłości ziemskich; w innym znów oblicza majątki ruchome w Sparcie. Zbija tu mylne wieści, powtarzane za Plutarchem, jakoby wszelkie bogactwa wygnane były ze Sparty, a pieniądze prawie tam nieznane. W samymże Plutarchu autor znalazł przeciwne dowody; Ksenofont i Arystoteles mówią obaj, że ludzie bogaci w wielkiém tam byli poważaniu i radzi przechwalali się ze swych bogactw. Miłość Spartanów do pieniędzy znaną była pomiędzy Grekami. Przytaczają nawet wiele dowodów przedajności: otrzymywano tam wszystko za pieniądze od eforów i królów. Wprawdzie historycy Greccy odnoszą tę chciwość złota i rozmiłowanie w zbytkach do czasów, kiedy Lizander opanował Ateny; w przeszłości zaś podnoszą wstrzemięźliwość i prostotę Spartańczyków. Profesor cytuje przecież fakta, świadczące, że miłość zbytku panowała tam w czasach nierównie dawniejszych.

Fustel de Coulanges nie wyczerpał dotąd zajmującego przedmiotu: powróci do niego na przyszłém posiedzeniu Akademii. Rzecz to nadzwyczaj ważna, dziś szczególniéj, kiedy niektórzy ekonomiści francuzcy, znani dotąd z węższych poglądów, jak Laveley, stają się propagatorami idei komunistycznych. Usiłują oni dowieść, jakoby komunizm, przeważający w instytucyach Turków, Arabów, Mongołów, Chińczyków i ogólnie ludów turańskich, miał być również cechą plemienia aryjskiego; ztąd wyprowadzają wniosek, że realizacya komunizmu w Europie przyczynić się może do dalszego rozwoju jéj cywilizacyi. Taki gwałt społeczny gdyby mógł nastąpić, nietylko że zniszczyłby do gruntu wszelkie tradycye historyczne, ale co więcéj, zburzyłby fizyologiczno-psychiczne instynkta ludów europejskich, u których przez czterdzieści wieków dziejowego bytu, indywidualizm oparty na osobistém dziedzictwie ziemi, był główną zasadą moralności. Ślady zaś komunizmu, jakie się tu lub owdzie pojawiają, są tylko przypadkowym wyjątkiem. Dowodem na to historya Rzymu, a bardziéj jeszcze historya

Rzeczypospolitych greckich. Z tego to powodu badania p. Fustel de Coulanges tak głębokie sprawiły wrażenie.

Co do Słowian, niezliczone dowody historyczne pokazują najściślejszą jedność ich plemienną z innemi ludami aryjskiemi. Naruszewicz, jak mówi sam, dlatego tłómaczył dzieła Tacyta, że wśród rzeszy germańskich widział ojców dzisiejszych Słowian. W ostatniém dziele swojém uczony W. A. Maciejowski, wyjaśnia rozszerzenie prawa magdeburskiego do Kijowa i Smoleńska tém właśnie, że owe prawo, tak silnie indywidualistyczne, było słowiańskiém w duchu. Dodajmy do tego sam instynkt włościan, tak nad Wisłą, jak i nad Dnieprem, instynkt pędzący ich do wyrobu indywidualizmu, do dziedziczenia osobistego. Wszystko to razem jakże silnie zbija rozumowania tych teoretyków, którzy opierając się na wyjątku z jakiegoś pisarza lub budując systema na podstawie samego racyonalizmu, rozszerzają u nas idee komunistyczne!

Bodajby ci propagatorowie tak fałszywych idei, zwrócili pilną uwagę na znakomite dzieło profesora Fustel de Coulanges, o ustroju społecznym w Sparcie!

---

Pamiętniki pani de Remusat, znane częściowo z ustępów drukowanych w *Revue des Deux Mondes*, pojawiły się w osobném wydaniu. Pierwszy tom wyszedł właśnie zpod prasy, dalsze ukażą się niebawem. W ciągu dni dziesięciu wyczerpane zostały trzy nakłady. Świadczy to nie tyle o wartości dzieła, jak raczéj o gorączkowym stanie umysłów we Francyi. Stronnictwo republikańskie przyklaskuje téj publikacyi, widząc w niéj nowy akt oskarżenia przeciw cesarstwu.

Łatwo pojąć oburzenie Bonapartystów. Zapytują oni, dlaczego pamiętniki te, pisane przed sześćdziesięciu laty, tak długo spoczywały w ręku spadkobierców autorki? dlaczego nie wydał ich rodzony jéj syn, zmarły niedawno akademik? Ztąd podejrzenie, że dzisiejszy wydawca, Paweł de Remusat, uczynił z pamiętników babki nowy oręż przeciw nienawistnemu stronnictwu, że aby osiągnąć cel tém pewniéj, zaostrzył ten oręż i palącym zaprawił jadem.

Pani de Remusat, dama dworska Józefiny, przez czas konsulatu i cesarstwa, kreśliła dorywczo pamiętniki swoje w chwilach wolnych od służby pałacowéj. Po powrocie Napoleona z wyspy Elby, spaliła je z przestrachu. W lat kilka późniéj, poraz drugi spisała je z pamięci. Chateaubriand miał w ręku ów powtórny rękopism. „Koloryt jego słaby, mówi on, są to wspomnienia, odbite z dawnych wspomnień." Taki sąd Chateaubrianda musi zdziwić każdego, ktokolwiek rzucił okiem na wydane dziś pamiętniki; barwa ich bowiem jaskrawa aż do zbytku, snać przeszły przez pędzel namiętnego kolorysty.

Nie myślimy wdawać się w szczegóły: skandaliczne sceny, jakiemi autorka do przesytu karmi czytelników, budzą w nas obrzydzenie. Nie potrzeba być Bonapartystą, aby uczuć wstręt do osoby, która po-

zyskawszy zupełną ufność rodziny cesarskiéj, korzystając przez lat kilkanaście z jéj względów, wypłaca się potwarzą i niewdzięcznością.

Pamiętniki te oburzyły samychże legitymistów. Krytyk ich organu *Union*, wyraża się nadzwyczaj ostro o téj skandalicznéj publikacyi. Przytaczamy tu jego słowa: „Jeżeli ci, którym służysz, wydają się w oczach twoich godnymi potępienia zbrodniarzami, opuść niezwłocznie ich dom. Ty czynisz inaczéj! Przybierasz ton cnoty obrażonéj, pokazujesz pierwszego konsula, jako złoczyńcę godnego szubienicy, a jednak zostajesz pod jego dachem, siadasz do jego stołu; przedstawiasz go jako nikczemnika, jako bandytę, bez czci i wiary... a przyjmujesz jego dobrodziejstwa!"

Ta właśnie strona skandaliczna podoba się publiczności i nadaje dziełu tak wielki rozgłos. Nie wiemy, o ile wnuk wydaniem tych pamiętników, przyczyni się do zabicia nienawistnego mu stronnictwa, to wiemy tylko, że znieważył pamięć babki, pokazując światu nikczemny jéj charakter.

---

Inne jeszcze pamiętniki z czasów pierwszego cesarstwa, ukażą się niebawem w druku. Czy wszystko tu nosić będzie rzetelne piętno prawdy, trudno nam o tém wyrokować; wyszły bowiem zpod pióra zaprawnego jadem nienawiści, a drukowane w trzydzieści lat po skonie autora, mogły także uledz wielu przeistoczeniom. Mówimy tu o pamiętnikach Meternicha, które drukują się równocześnie w Wiedniu, Londynie i Paryżu. Niektóre przeglądy otrzymały od wydawców mniejsze lub większe ustępy i te, jako nowość, ogłaszają w kolumnach swoich. Przytaczamy z nich ciekawy opis ostatniego spotkania dyplomaty z cesarzem Napoleonem. Było to w Dreznie, na krótki czas przed przystąpieniem Austryi do koalicyi.

„Słuchałem go przeszło pół godziny, pisze Meternich, przerwałem nakoniec uwagą, że w tém wszystkiém, co mówił, widzę konieczną potrzebę zawieszenia wojennych działań."

„Fortuna, rzekłem, chybić może, tak samo, jak zdradziła Waszą Cesarską Mość w roku 1812. W czasach zwyczajnych, armie stanowią małą cząstkę ogólnéj ludności; dziś lud wszystek powołany pod broń. Armia dzisiejsza wyciśnięta z przyszłéj generacyi! Widziałem żołnierzy, to niedorosła dziatwa. Czujesz się NPanie potrzebnym koniecznie narodowi, ale i naród potrzebny ci nawzajem. A kiedy zginie ta cała armia niedorostków, świeżo dziś zaciągnięta, pytam, co daléj będzie?

Na te słowa Napoleon uniósł się gniewem; zbladł, rysy jego dziwny przybrały wyraz.

— Nie jesteś pan żołnierzem!—zawołał ostro—nie wiesz, co się dzieje w duszy żołnierza. Ja wzrosłem na polach zapasów, a człowiek jak ja, mało się troszczy o życie miliona ludzi!

Rzekłszy, a raczéj wykrzyknąwszy te słowa, rzucił w kąt sali swój kapelusz. Stałem oparty o konsolę, między dwoma oknami; słowa te głęboko mnie poruszyły.

— Czemu WCMość udajesz się do mnie?—zapytałem—czemu wśród czterech ścian pokoju czynisz mi podobne zwierzenie? Otwórzmy drzwi naoścież, bodajby te słowa odbrzmiały po wszystkich krańcach Francyi. Sprawa, którą przedstawiam, nie utraci nic na tém.

Napoleon powściągnął się; ton głosu jego był odtąd spokojniejszy, ale słowa niemniéj znaczące.

— Francuzi—rzekł—nie będą się na mnie uskarżać; dla oszczędzenia ich, poświęcałem Niemców i Polaków. Straciłem trzykroć sto tysięcy ludzi w kampanii rossyjskiéj; w téj liczbie, ledwie było trzydzieści tysięcy Francuzów.

— W. C. Mość przepomina! — zawołałem — że mówi wobec Niemca.

Napoleon począł przechadzać się ze mną po sali, okrążając ją, podjął z ziemi kapelusz. Mówił znów o swojém małżeństwie.

— Tak jest—rzekł— popełniłem wielką niedorzeczność, biorąc za żonę arcyksiężniczkę austryacką.

— Jeśli W. C. Mość chce wiedzieć moje zdanie, wyznam najotwarciéj, że Napoleon *zwycięzca* popełnił błąd—odpowiedziałem spokojnie.

— A więc cesarz Franciszek chce zdetronizować własną córkę?

— Cesarz—odrzekłem—zna tylko powinność swoją i wiernie jéj dopełni. Cokolwiek los przeznacza córce jego, cesarz Franciszek jest przedewszystkiém monarchą, a dobro ludów swoich więcéj waży, niż wszelkie inne względy.

— Tak—przerwał Napoleon—co pan mówisz, nie dziwi mnie bynajmniéj; wszystko to utwierdza mnie w przekonaniu, że popełniłem błąd wielki. Pojmując arcyksiężniczkę austryacką, chciałem połączyć teraźniejszość z przeszłością; gotyckie przesądy z instytucyami mego wieku. Omyliłem się, czuję dziś cały ogrom méj winy; okupię to może kosztem tronu, lecz pogrzebię świat pod jego zwaliskami.

Rozmowa przeciągnęła się do pół do dziewiątéj wieczorem. Zapadła już noc czarna. Nikt nie śmiał wnijść do gabinetu. Żywa dyskusya nie przerwała się ani na chwilę. Po sześć kroć słowa moje były wyraźném wypowiedzeniem wojny. Nie przytaczam tu wszystkich słów Napoleona, w tym przedłużonym sam na sam; uwydatniłem tylko najważniejsze punkta, te właśnie, które bezpośrednio odnoszą się do mojéj misyi. Z jakie dwadzieścia razy odbiegliśmy od przedmiotu; ktokolwiek znał Napoleona i miał z nim do czynienia, wcale się nie zadziwi.

Kiedy mnie cesarz żegnał, głos jego spokojny był i łagodny. Nie mogłem już dojrzéć jego rysów; odprowadził mnie do drzwi sali.

— Zabaczymy się jeszcze, mam nadzieję—zagadnął—kładąc rękę na klamce.

— Gotów jestem na usługi W. C. Mości—odrzekłem—lecz niémam nadziei osiągnięcia celu misyi mojéj.

— A więc—odparł Napoleon, uderzając mnie po ramieniu—czy wiesz pan co nastąpi? Wy nie będziecie walczyć ze mną.

— Zgubiony jesteś, Najjaśniejszy Panie!—zawołałem żywo.— Przeczuwałem to, gdym tu wchodził: odchodzę najsilniéj o tém przekonany!

W kilka dni potém armia francuzka zginęła pod Lipskiem, przytłoczona liczbą, a bardziéj jeszcze zdradą korpusów saskich!

---

Ostatnia powieść Alfonsa Daudet p. t.: *Les Rois en exil*, żywe obudziła tu zajęcie. Autor, głęboki psycholog, przedstawia jednego z wydziedziczonych monarchów w fikcyjnéj osobie Krystyana, króla Dalmacyi i Illiryi. Przebywa on w Paryżu: tu otoczony wymysłami najwytworniejszéj cywilizacyi, wśród zabaw i uciech, zapomina o wszystkiém. Dnie całe trawi na bulwarach, wieczory w teatrze, noce w arystokratycznym klubie, przy zielonym stoliku, gdzie rozrzuca złoto pełną garścią.

Krystyan nie żałuje straconego królestwa, żal mu tylko listy cywilnéj. Zrazu wystawia weksle, zaciąga długi, ale kredyt wyczerpał się nakoniec. Pozostały przecie inne środki ratunku. Eks-król wymienia ordery za brzęczącą monetę; rozdaje tytuły książąt, hrabiów, baronów. Królowa zabrała z Raguzy koronę, drogocenny klejnot, zachowywany w rodzinie przez lat sześćset. Krystyan, w tajemnicy przed żoną, kazał wydobyć z niéj dyamenty, zastąpić je błyszczącémi szkiełkami, Spostrzega to królowa, posądza o kradzież domowników. Stary sługa przyjmuje na siebie winę i hańbę, dla ocalenia królewskiego honoru. Podczas gdy stary Gruel ucieka z Paryża, odsądzony od czci i wiary; eks-król przegrywa w klubie złoto, otrzymane za sprzedaż koronnych klejnotów.

Ów król, tak nisko upadły, ma jednak dość liczne stronnictwo, wierne zasadzie królewskości. Stronnictwo to przedsiebierze zbrojną wyprawę do Illiryi. Dwustu młodych Dalmatów wsiada na statek, towarzyszy im garstka szlachty francuzkiéj, „gotowa służyć dobréj sprawie," naczelne dowództwo obejmuje pułkownik z armii Karlistów. Zbrojny oddział wyruszył do Raguzy, gdzie królewszczycy pobudzili już proletaryat miejski do powstania. Król niebawem pośpieszy, ale niestety, uczta pożegnalna w Fontainebleau nazbyt długo się przeciągnęła. Krystyan wypowiedział tajemnicę do ucha jednéj z współbiesiadniczek. Policya uwiadomiona telegrafem, zatrzymuje króla w chwili, kiedy wsiada na statek; ostrzega władze raguzkie o zamachu. Królewszczycy, pochwyceni u brzegu, skazani na śmierć, padają z okrzykiem: „Niech żyje król!" Krystyan tymczasem bawi się jak poprzednio, topi wyrzut sumienia w odmęcie szalonéj rozpusty.

Obok tego króla, autor pokazuje piękną postać królowéj Fryderyki. Dzielna ta kobiéta łączy w sobie wielkie cnoty z królewską prawdziwie powagą. Waleczna, jak dawna amazonka, przez pół roku broniła się w Raguzie; onato dowodziła na szańcach, ona pilnowała

ambulansów, ona była duszą wszystkiego. Wyparta z gniazda, nie traci wiary w przyszłość, nie upada na duchu. Aby zabezpieczyć tron dla syna, pracuje dniem i nocą, nie spuszcza z oka Illiryi, utrzymuje korrespondencyą z członkami królewskiego stronnictwa, przyjmuje tajemnie wysłańców. Układa manifesta, podsuwa je do podpisu królowi. Mimo to Fryderyka jest kobiétą w wielkiém słowa znaczeniu; zaciera się całkiem w obec ludzi, własne trudy i prace składa na karb niedołężnego męża. Znosi cierpliwie codzienne zniewagi; gniew i boleść kryje głęboko w sercu. Raz tylko pękła struna zbytecznie wyciągnięta, kiedy król gotów był podpisać zrzeczenie się praw do korony, w zamian za powrót skonfiskowanych dóbr, wartości dwustu milionów. Wówczasto królowa rzuca mu w oczy grad palących pocisków; słowa sypią się z jéj ust, niby ogniste race: cicha kobiéta staje się straszną lwicą.

Téj nieszczęśliwéj została jedyna pociecha w małym synku. Zara wzrasta pod okiem matki, otoczony jéj miłością i opieką. Przewodnikiem jego uczony Elizeusz Merault, syn langwedockiego wieśniaka, niegdyś zaciętego przywódzcy królewszczyków. Biegły w naukach mistrz ten, nie umie jednak obchodzić się ze strzelbą. Razu jednego, gdy probował karabinka małego Zary, wystrzelił mu przypadkiem oko. Nerw sympatyczny między obu źrenicami, nadwerężony został: biédne dziecko zagrożone ślepotą. Nieszczęśliwa matka idzie z nim do najbieglejszego z okulistów paryzkich; ten powié całą prawdę, nie zna bowiem królowéj, ani następcy tronu.

— Jeżeli dziecko zdrowe—rzecze doktor—operacya nie przedstawia niebezpieczeństwa. Rozbiera więc chłopczyka, auskultuje, mierzy go przenikliwym wzrokiem.

— Pani!—doda po chwili namysłu—ślepota grozi mu w rzeczy saméj, a jednak, gdyby moim był synem, nie śmiałbym przedsiębrać operacyi. Zdrowie jego wątłe; krew nadzwyczaj uboga.

— Krew królewska!—zawoła Fryderyka w uniesieniu rozpaczy.—Chwila ta niszczy wymarzoną jéj przyszłość. Biédne dziecko nie zniesie operacyi; ślepy król panować nie może. Miłość macierzyńska przemaga wreszcie nad dumą królowéj.

— Mniejsza o tron, mój Boże!—zawoła ze łzami—niech, aby żyje: nie odbieraj mi dziecka!

Scena to bardzo dramatyczna; charakter królowéj oddany po mistrzowsku. Ostatnia powieść Daudeta nie ustępuje poprzednim jego utworom.

---

Odczyty poezyi zaczynają coraz bardziéj upowszechniać się w Paryżu; kilka miesięcy temu, Franciszek Coppée zajął publiczność tutejszą czterema z rzędu konferencyami, na których odczytał kilkanaście poemacików swoich, dodając do nich ciekawe komentarze, słowem, wyprowadzając tajemne pobudki, pod których wpływem rozkwitały jego liryczne pieśni i poetyczne obrazki. Francuzi żartowali

dowcipnie z tych poufnych zwierzeń, wygłaszanych z katedry; słuchali ich jednak z żywém zajęciem i przyklaskiwali chętnie pięknym zwrotkom swego ulubieńca.

W tych czasach wystąpił inny poeta, Sully Prudhomme; ten już nie dał się słyszéć osobiście, ale znalazł biegłego zastępcę w Monny-Sullym, świetnym artyście teatru francuzkiego.

Tak Coppée, jak Sully Prudhomme, zajmują dziś pierwsze miejsce na Parnasie francuzkim. Niechże nas kto nie posądzi o zacofanie, jeśli wspominamy arcy-klasyczny *Parnas;* piszemy w Paryżu, a tu Apollo z muzami nie jest takim, jak u nas anachronizmem. Greckie mity, czyto w malarstwie, czy w poezyi, nie rażą oka, ani ucha północnym Ateńczykom, za jakich uważają się Francuzi. Co więcéj, istnieje tu, jak już wspomnieliśmy, szkoła tak zwanych *Parnasistów*, którzy wzięli sobie za cel, doprowadzić formę poetyczną do najwyższéj doskonałości: Sully Prudhomme i Franciszek Coppée, głównymi są filarami téj szkoły.

Obaj poeci, w równym stopniu mistrze co do formy, w duchu rzeczy rożnią się całkiem między sobą. Coppée głównie jest przedmiotowym poetą, biegły kolorysta, maluje on po mistrzowsku sceny z codziennego życia, podnosi w nich rzeczywistość do ideału. W dramacie nie rwał się nigdy do wielkich utworów, ale jednoaktowe jego obrazki, jak: *Przechodzień*, *Skrzypek z Kremony* i t. d., oddają wybornie grę uczuć w sercu ludzkiém i głęboko poruszają czytelników. W lirycznych zato pieśniach, Coppée dziwnie monotonny i ckliwy. Charakter jego talentu wymaga koniecznie akcyi dramatycznéj; bez niéj gubi się w mglistych mrzonkach.

Sully Prudhomme przeciwnie, lirycznym jest poetą w pełném znaczeniu słowa. Nigdy nie probował sił w dramacie; obrazy z życia zewnętrznego nie przystają do rodzaju poetycznéj jego zdolności, ale głęboki psycholog, umie sięgnąć do dna duszy własnéj i wydobywać z niéj słowicze dźwięki. Dwa tomiki ulotnych poezyi rozsławiły imię jego w Paryżu i zjednały mu wieńce akademickie.

Młodzieńcze te zwrotki podzwaniają krzepką i samodzielną nutą. Pełen wiary w przyszłość, poeta śledzi dumném okiem wszechstronny postęp wiedzy ludzkiéj. Szczęśliwy, że się urodził w czasach wielkich wysiłeń, kiedy ramiona pracowników, sprzężone w olbrzymi łańcuch, ułatwiają życie jednostkom; wyraża tę myśl w sonecie, który ośmielam się przytoczyć, lubo tłomaczenie odbiera mu siłę i urok.

Rolnik rzekł do mnie we śnie: ja nie dam ci chleba,
Karm się sam; czas mi spocząć: weź lemiesz do ręki;
Rzekł mi tkacz: oto krośna, oto włókna pęki!
Rzekł murarz: weź sam kielnię, gdy ci domu trzeba.
Patrzę wkoło, cierniskiem najeżona głoba;
Drżę jak liść i okropne czuję głodu męki,

Wyciągam obie ręce o litość do nieba.
Wtém lwy zaszły mi drogę z strasznomi paszczęki!
Rankiem przetarłem oczy, smutno jeszcze marzę,
Słyszę pieśń, po drabinach biegają murarze.
Warczą koła warsztatów, wieś ze snu się budzi.
Faluje kłosem niwa, brzmią fletnie pastusze;
Wielka radość w zbolałą wpłynęła mi duszę
I odtąd całém sercem ukochałem ludzi!

Na tenże sam ton nastrojony piękny wiersz do Musseta, poety przesiąkłego Byronizmem, który, targany rozpaczą, szukał odurzenia w bezrządach i swawoli. Pełen zapału młodzian, gromi surowo skłóconych z życiem, niewierzących w przyszłość poetów. W pięknym obrazie stawia im przed oczy to wszystko, co człowiek dokonał, co dokona jeszcze w tym świecie, tak przez nich wyszydzonym, tak smaganym piorunami ich klątwy. Oto początek poematu:

Widziałeś płaskorzeźby ryte mistrzów dłonią,
Co wskazują początek i postępy sztuki?
Tu roje pszczół; tam woły pod jarzmo się kłonią,
Wobec poważnych starców, orzą ziemię wnuki.
Gdzie rzuć okiem: na łanach podzwania kłos płowy,
W sadzie zgina się jabłoń owocem bogata,
Dziarski łowiec gna zwierza przez ciemne parowy,
Junak pochwyca w arkan krnąbrny kark bachmata;
Mędrzec tajemne zgłoski nakreśla na piasku,
Żeglarz rozwija żagle, porywa za wiosła:
Wyrasta pod obłoki wieżyca wyniosła;
Spiż pod młotem nabiera ogłady i blasku,
Twarda bryła się zmienia w tarcze i topory;
Niewiasta w krośnach tkankę wyrabia we wzory,
Rzeźbiarz skrę duszy własnéj zaklina w marmurze,
A pasterz na śpiewaka namaszczony w duchu,
Swoje żale i troski zawiesza tam w górze,
Wśród eterów powietrznych na dźwięków łańcuchu!
Piękny obraz! dziś jeszcze przedstawia go życie,
Zmieniły się zdobycze, lecz trud się nie zmieni;
Ojcowie go podjęli przy zorzy rozświcie:
My pracujem przy blasku słonecznych promieni!

Ulotne pieśni poety wytworną formą i pełnym wdzięku urokiem, przypominają cudne dźwięki Bogdana, którego Mickiewicz nazwał słowikiem ukraińskim. Z nieśmiałością dajemy w przekładzie trzy dumki, wybrane z dawniejszych utworów Sully-Prudhomm'a. Pierwsza z nich nosi tytuł: *Wazon rozbity.*

Kwiat werbeny, tam, w wazonie
Zwinął listki, padł bez siły:

Nieostrożnie białe dłonie,
Szkło wachlarzem potrąciły.
Ledwie rysę dojrzy oko,
Lecz ta rośnie coraz szerzéj;
W kryształ wgryza się głęboko,
Dno wazonu w krąg obieży.
I usycha w nim pomału,
Kwiat wilgoci nie dość syty;
Woda sączy się z kryształu,
Nie dotykaj!... on rozbity!
Ukochana czasem ręka
Zrani serce mimowoli;
Potém samo serce pęka:
Kwiat w niém uczuć schnie powoli.
Świat nie dostrzegł nawet zmiany,
Łzy i bóle przed nim skryte;
Ale w sercu ład stargany:
Nie dotykaj!... bo rozbite!

Inna piosenka: *Myśl zgubiona*, równie rzewném nacechowana uczuciem:

W myśli słodkich czarów tyle!
Ach! najcudniéj nęci ona,
Gdy zabłyśnie nam na chwilę,
I uleci niewyśniona!
Puste serce tęskni do niéj,
Za ubiegłą dąży skrycie;
Czarodziejka w duszy dzwoni,
By ją schwycić dałbym życie!
Próżno pytam, gdzie, do czego,
Myśl rączemi pędzi loty?
Czemu z powiek łzy mi biegą?
Gdzie mi zniknął sen mój złoty?
Połysk szczęścia zgasł mi wcześnie,
Znów go roztlić w sercu trudno;
Znałem radość tylko we śnie:
A sen tylko... marą złudną!

Oto trzecia jeszcze dumka: *Tu i tam*, jéj najstrój dziwnie idealny.

Tu jesienią więdnie kwiecie,
Z gniazd się ptastwo już zerwało:
A ja marzę o tym świecie,
Co trwać będzie wieczność całą!
Miłość w sercu gdy zagości,
Drga w niém ledwie chwilkę małą;
A ja marzę o miłości,
Co trwać będzie wieczność całą!

W krąg tu groby i cmentarze,
Ileż ziemię łez oblało!
O tém życiu błogo marzę,
Co trwać będzie wieczność całą!

Liczba tych dumek bardzo wielka; przed laty piętnastu młody lirnik rozsiewał je wkoło, niby kwiaty tchnące przeczystą wonią. Zobaczmy jak sam ocenia one młodzieńcze zwrotki. Zapytany przez Mouny-Sullego, jaki ma wybór zrobić z jego poezyi na publicznym odczycie, odpowiedział mu listem wysokiéj wartości krytycznéj.

„Nie łatwo mi przyszło, mówi on, uczynić wybór wśród moich poezyi; przerzuciłem wszystkie zbiory od najpierwszych do ostatnich i wyznam ci szczerze, mało z nich dzisiaj mnie zadawalnia. W wieku, gdy wrażenia poetyczne tryskają z duszy naszéj, pełne życia i naiwnéj prostoty, nie zdobyliśmy jeszcze tajemnicy wytwornego wierszowania; późniéj, kiedy ją posiadamy, wysycha źródło świeżych natchnień. W początkach brak nam artyzmu, późniéj sztuka zabija w nas poezyą. Ilekroć odczytuję pierwsze moje pieśni, ubolewam nad nieświadomością moją w chwili kiedym je pisał; ostatnie zaś mniéj poruszają mnie, lubo więcéj pieszczą ucho, i lepiéj zadawalają smak estetyczny."

I dlaczegóż to, zapytamy, źródło natchnień wyczerpało się w dwudziesto-kilkoletniéj piersi? czemu? bo wyschła w niéj wiara wyssana z mlekiem pobożnéj matki. W jednym sonecie poeta opiewa tę chwilę straszliwego przełomu. Napróżno klęka, wyciąga ręce, pragnie się modlić; niestety! słowa *credo* konają mu na ustach. To okropne! okropne! woła uniesiony rozpaczą.

Odtąd poeta szuka innych źródeł natchnienia; spotyka je na polu nauk i abstrakcyi filozoficznych. Zobaczmy jak ten zwrot określa w powyżéj przytoczonym liście:

„Zamiłowany w naukach ścisłych i filozofii, mówi on, zapragnąłem gorąco wprowadzić w dziedzinę poezyi cudowne zdobycze naukowe i wysokie syntezy spekulacyi nowoczesnéj. Możnaż naprzykład miéć ogólne pojęcie astronomii, a nie odrzucić mrzonek mitologicznych, z których składa się głównie poezya starożytna?

„O ileżto wóz Apollina, złote strzały i rozhukany pęd jego biegunów, zdają nam się nikczemne, w porównaniu z przerażającym blaskiem i straszliwym ogromem słońca, jakiém je dziś poznaliśmy? Myśl tę oddałem w poemacie *Wschód słońca*, chciałem wyświetlić w nim poezyą wiecznego ruchu ziemi. Ileż ta nowa hypoteza ewolucyi i świeże odkrycia geologiczne rozszerzyły nam widnokrąg ubiegłych czasów?

„W skutek postępu wiedzy ludzkiéj, mnóstwo przedmiotów, które dotąd nie potrąciły nigdy estetycznego zmysłu człowieka, stały się dziś przedmiotem poezyi! Homer zapewne godzien jest uwielbienia, ale wyznać muszę, żaden ustęp z jego poematów nie przeniknął mnie takim dreszczem zachwytu, jaki uczułem, gdy poraz pierwszy wyobraźnia moja w trop za myślą, rzuciła się w nieskończone przestrzenie,

zasiane miryadami gwiazd, których prawa określił Newton. Podziwiam głęboki geniusz Szekspira, kiedy jedném słowem objawia nam najgłębsze tajniki serc ludzkich, lecz i to wyznam: że jeżeli przepaścią jest serce, inną przepaścią niebo, a palec Le Verriera wskazujący na niém miejsce planety, obliczonéj tylko cyframi, niedostrzeżonéj ludzkiem okiem, większy obudza we mnie podziw i wydobywa z duszy mojéj zdrój poetycznych natchnień."

Wiedza w parze z filozofią, sprowadzają poetę z ubitych szlaków a wiodą go na chaotyczne bezdroża. Boleść z powodu klęsk Francyi, czyni go nieprzebłaganym pesymistą. Widok cierpień ludzkich przepełnia goryczą jego serce. Głuchy jęk płynący wiecznie z ziemi ku niebu, zamąca mu spokojność. Stanąwszy na téj pochyłości, poeta staczа się coraz głębiéj w przepaść nirwanizmu. Zmordowany walką, pozbawiony wiary i nadziei, wyrabia w sobie chłodną rezygnacyą. Ztąd ostatnie jego filozoficzne poemata, mimo wytwornéj formy, nie poruszą serca czytelników. Określił je wybornie znakomity filozof Caro, zawzięty wróg nihilistycznych teoryi. „Poezya, mówi on, powinna wierzyć; jeżeli nieszczęściem zwątpi, niechże przynajmniéj szarpie się rozpaczliwie, a nie wdaje się w próżne *dilemma*. Zwątpienie Alfreda Musseta poetyczném jest, można je bowiem wyrazić temi słowy: chciałbym wierzyć, ale nie mogę! nie przypuszczamy tymczasem iskry poetycznéj w stanie duszy, godzącej się z chłodną rezygnacyą."

Sciągnął na siebie tak surowy sąd filozofa, poemat niewielkich rozmiarów p. t.: *Le Destin* (Przeznaczenie). Sully Prudhomme pokazuje w nim walkę dwu potęg: *Zła i dobra*, toczącą się wiecznie w przyrodzie i ludzkości.

Ostatni poemat: *La Justice* (Sprawiedliwość), nie tyle już nihilistyczny; poeta bowiem czepia się wiary w postęp nauk, który pogodzi kiedyś uczucie z rozumem i sprowadzi na świat zmąconą harmonią. Poemat to szerokich rozmiarów; obejmuje tom cały. Forma wiersza wytworna, ale styl ciemny, czasami prawie niezrozumiały. Oto treść w kilku słowach.

Spragniony wiedzy poeta, odrzuca precz dawne ułudy zmysłów, chwyta pochodnią wiedzy, szuka na ziemi sprawiedliwości bezwzględnéj. Nie widzi jéj w przyrodzie; tu siła jedyném prawem; mocny pochłania wciąż słabego. W stosunku człowieka do człowieka, osobistość przemaga również nad uczuciem sprawiedliwości: mocny czerpie siłę w samolubstwie, słaby szuka bezpieczeństwa pod tarczą mocniejszego. Toż samo widzi poeta we wzajemnym stosunku państw, jak i w wewnętrznym ich ustroju. Sprawiedliwość nie istnieje na ziemi; wątpić należy aby inne światy, związane prawem fatalności, w przebiegu swym po niezmierzonych przestrzeniach, lepiéj były uorganizowane od naszego.

Poeta szuka zatém sprawiedliwości w własném sercu, lecz i tu nowy spotyka go zawód. Niegdyś wiara usuwała trudności, goiła rany serc, odganiała z nich rozpacz. Pozbawiony dobroczynnéj busoli, pe-

symista błąka się w pośród filozoficznych systematów. Teorya *ewolucyi* budzi w nim nakoniec otuchę: wsparty na niéj, nie wątpi, że pojedna rozum z uczuciem i znajdzie sprawiedliwość!

W takichto chaotycznych pojęciach, utonął dziś jeden z najzdolniejszych poetów francuzkich. Ma on około lat czterdziestu; w tym wieku umarł Bajron. Mickiewicz wyrzekł niegdyś z katedry kolegium, że gdyby wieszcz Albionu przeżył był lata chorobliwych szałów, byłby niewątpliwie powrócił do wiary, i z całą wtedy potęgą rozwinął twórcze skrzydła. Zwolennicy talentu Sully-Prudhomma, ubolewając szczerze nad dzisiejszym obłędem, stosują do niego prorocze słowa naszego filozofa-poety.

---

Smutny wpływ Schopenhauera oddziaływa na Francuzów, mimo że profesor filozofii Caro silnie walczy przeciw niemu z katedry sorbońskiéj. W tych dniach właśnie ma wyjść z druku książka p. Bourdeau: *Myśli, maksymy i fragmenta Schopenhauera*, zebrane z rozmaitych jego dzieł. Są to rozprawy o niedoli świata, o człowieku, o życiu, o społeczeństwie, polityce, sztukach pięknych, religii i t. d. Poprzedzi rzecz obszerny życiorys filozofa niemieckiego.

Pisma francuzkie przytaczają wyjątki z nieogłoszonéj jeszcze pracy. Zobaczmy jakiém okiem pesymista pogląda na kobietę.

„Inteligencya człowieka, mówi on, obłąkana miłością, musiała dziwnéj uledz ślepocie, kiedy nazwała piękną płcią te istoty małe, wązkie w ramionach a szerokie w biodrach. Należało raczéj nazwać je płcią nieestetyczną.

„Kobieta niéma poczucia ani zrozumienia muzyki, równie jak poezyi i wszelkich sztuk pięknych. Zachcianki jéj w tym kierunku są prostém małpiarstwém, kłamliwym pozorem, dla zjednania sobie oklasków. Niezdolną jest do bezstronnego działania w jakiéjkolwiekbądź sprawie; czemu? zaraz to zobaczymy.

„Mężczyzna usiłuje bezpośrednio panować, czyto inteligencyą, czy też siłą fizyczną. Kobieta tymczasem, wszędzie i zawsze panuje tylko w sposób pośredni, to jest przez mężczyznę. Dlatego wrodzony instynkt popycha ją do chwytania wszelkich środków jakiemi może go podbić. Rzeczy zewnętrzne nie budzą w niéj żadnego interesu używa ich tylko za przynętę. Rousseau nie napróżno powiedział: „kobiety w ogólności nie lubią żadnéj sztuki, nie znają się na żadnéj, brak im twórczego geniuszu.” Ktokolwiek nie patrzy na rzeczy powierzchownie, może łatwo to sprawdzić. Przypatrzmy im się naprzykład na koncercie, na operze lub komedyi: w najpiękniejszych ustępach arcydzieła, gotowe zawsze szczebiotać między sobą. Jeśli to prawda że Grecy wzbraniali kobietom wstępu na widowiska, mieli w tém wielką słuszność. W naszych czasach do znanéj sentencyi: *mulier taceat in ecclesia*, wartoby dodać: *taceat mulier in theatro*, i wyrok ten wielkiemi wypisany literami zawiesić na kurtynie.

„Ale czegóż można spodziewać się po kobiétach, gdy rozważymy, że na świecie całym ta płeć nie wydała ani jednego wielkiego umysłu, ani jednego dzieła oryginalnego w sztukach pięknych, słowem, ani jednéj pracy znakomitéj, na jakiémkolwiek polu. Weźmy oto malarstwo: Strona techniczna dostępna przecież dla nich, oddają się pilnie téj sztuce, a jednak nie poszczycą się żadném arcydziełem, gdyż brak właśnie ich umysłom téj objektywności, potrzebnéj koniecznie malarzowi: nie potrafią wyjść same z siebie. Kobiéty nie zdolne nawet ocenić piękności pędzla. Słynny uczony hiszpański Huarte w dziele p. t: *Examen de l'ingenios para las ciensas* (*Badania nad geniuszem*), napisaném trzysta lat temu, odmawia kobiécie wszelkiéj wyższéj zdolności. Pojedyńcze wyjątki niczego nie dowodzą. Kobiéty wzięte razem, są i będą zawsze nieuleczonymi *Filistynami*.

„Dzięki naszéj społecznéj organizacyi, niedorzecznéj w najwyższym stopniu, która pozwala kobiétom dzielić tytuł i położenie mężów na jakimkolwiek one stoją szczeblu, podbudzają zawsze najmniéj szlachetne uczucia. Skutkiem tego *absurdum*, przewaga ich psuje dzisiejsze społeczeństwo. Należałoby przyjąć sentencyą Napoleona I: „Kobiéta niéma rangi." Chamfort słusznie téż powiedział: „Wpływ kobiéty działa na słabostki, na szaleństwo nasze, lecz nie działa na rozum. Sympatya między nią a mężczyzną, trzyma się całkiem na powierzchni; mało sympatyi w rozumie, w duszy i w charakterze. Kobiéty stanowią zaiste, płeć drugorzędną pod każdym względem; miejsce ich na uboczu, na drugim planie. Trzeba zapewne miéć wzgląd na ich słabość, ale śmieszna rzecz oddawać im hołdy, bo to poniża nas w ich oczach. Przyroda rozdzielając ród ludzki na dwie kategorye, nie obdarzyła obu stron jednakowo.

„Tak po wszystkie czasy myśleli starożytni i w ogólności ludy wschodnie. Lepiéj tamci pojmowali rolę kobiét, niż my z naszą galanteryą, według mody staro-francuzkiéj i z niedorzeczną *weneracyą* germańsko-chrześciańską.

„To właśnie wzbiło je w impertynencką pychę. Nieraz patrząc na nie, myślę o małpach ubóstwianych w Benares, które w przeświadczeniu o swéj godności, wszystkiego sobie pozwalają.

„Kobiéta na Zachodzie, czyli tak zwana *dama*, fałszywe zajmuje stanowisko; u starożytnych kobiéta nie wymagała przecież poszanowania, ani hołdów, nie zadzierała głowy, nie myślała porównywać się w prawach z mężczyzną. Dziś skutki fałszywego położenia aż nazbyt są widoczne. Należałoby w Europie postawić na swojém miejscu ten *drugi numer* rodu ludzkiego i usunąć całkiem *damę*, przedmiot szyderstwa Azyi całéj, *damę*, z któréj Grecy i Rzymianie szydziliby zarówno. Reforma ta, ze względu społecznego i politycznego, byłaby prawdziwém dobrodziejstwem. Zasada salickiego prawa, tak słuszna, tak niezaprzeczona, że nie trzeba jéj formułować. To, co zowiemy *damą* europejską, istniećby nie powinno. Na świecie powinny być tylko gospodynie zajęte domem i młode dziewczyny, sposobiące się do tego

przeznaczenia, zaprawne od młodu nie do arogancyi, ale do pracy i uległości. Ponieważ istnieją *damy* w Europie, ztąd właśnie kobiéty niższych warstw społecznych, tworzące większość, nieszczęśliwsze tu, niż na Wschodzie."

Pomijamy dalsze wywody, wypowiedziane z grubiańskim cynizmem, których powtarzać nam niepodobna; wstrzymujemy się téż od własnych uwag, oddając rzecz pod sąd czytelnikom. Przytoczymy jeszcze zdanie Schopenhauera o Francuzach i Niemcach.

„Inne części świata, mówi on, posiadają małpy; Europa ma Francuzów, dobra to dla niéj kompensata."

Sąd o ziomkach wcale nie względniejszy.

„Wymawiają powszechnie Niemcom, twierdzi filozof pesymista, że naśladują to Francuzów, to znów Anglików; słusznie to czynią, bo zostawieni własnemu przemysłowi, nic mądrego nie pokażą światu.

„Lichtenberg liczy sto przeszło orzeczeń niemieckich na wyrażenie pijaństwa: i cóż w tém dziwnego? alboż to od czasów najdawniejszych Niemcy nie byli zawołanymi pijakami? Lecz co mnie zadziwia, to to, że język niemiecki, słynny z uczciwości, posiada więcéj niż inne, wyrazów określających oszustwo, a w niektórych podzwania nuta tryumfalna.

„W przewidywaniu rychłéj śmierci, mówi daléj autor, wyznaję, że gardzę narodem niemieckim, z powodu jego niesłychanego głupstwa, rumienię się, że należę do niego."

Tą pogardą ziomków, Schopenhauer przypomina zupełnie Woltera, który plugawił własne gniazdo, wyrzucając tylekroć Welschom ich wady i tradycyjną głupotę.

---

Wielki hałas w świecie literackim sprawiła przedmowa Aleksandra Dumasa, do dramatu: *Cudzoziemka*, pomieszczonego w VIII tomie świeżo wydanych dzieł dramatycznych. Autor silnie uderza na tak zwaną szkołę naturalistów. Nie wymieniając nazwiska Zoli, chłoszcze go do żywego. „Potrzeba być szaleńcem, mówi Dumas, aby marzyć o rewolucyi w literaturze i mienić się naczelnikiem nowéj szkoły. W sztuce, a szczególniéj w sztuce literackiéj niéma szkół, niéma rodzajów, niéma form, niéma prawd, jest to tylko, co zapewnia jéj powodzenie i trwałość."

Sentencya według nas bardzo paradoksalna; pomijamy szkoły i rodzaje, ale jak tu pojąć sztukę bez formy? Dumas rozumié dobrze potrzebę formy, nawet konwencyonalnéj, w innem miejscu bowiem, opierając się na Szekspirze i innych dramaturgach, utrzymuje wbrew naturalistom, że są rzeczy nawet prawdziwe w gruncie, których na scenie wypowiedzieć ani przedstawić niepodobna. Nie myślimy przeczyć zasadzie, ale dziwno nam, że ją głosi tak śmiało autor, który wypowiedział i przedstawił tyle rzeczy obrażających smak i uczucie powszechne. Wprawdzie język jego wytworny, daleki od cynizmu naturalistów, ale trucizna niemniéj jadowita, przeciwnie, jeszcze niebezpieczniejsza,

gdy podana w kryształowym puharze. Z tych wszystkich pseudo-moralnych wywodów widzimy tylko, że laury Zoli zganiają sen z powiek Dumasa.

Potrąca on z kolei o mnóstwo przedmiotów. Wniosek Naqueta, co do sprawy rozwodów, znajduje w nim gorliwego obrońcę. Nie żali się jednak dramatyczny autor, że prawo to dotychczas nie istniało. Gdyby wolno było mężom odtrącać niewierne żony, wówczas zbrodnia zabójstwa byłaby zbyteczną, a niejeden dramat obu Dumasów, pozbawiony rozwiązującéj go katastrofy, straciłby cały efekt.

Rozwód w pojęciu słynnego dramaturga, dobroczynny dla porządku społecznego, gdyż usunie domowe skandale, niekorzystnym będzie dla sztuki, czyniąc jéj pole jałowém i bezbarwném. My nie podzielamy téj obawy. Otello był małżonkiem Desdemony, przecież ją zamordował. Społeczeństwo zresztą, wychowane pod wpływem dzisiejszych moralistów, długo jeszcze dostarczać będzie wątków skandalicznych nowym Zolom i nowym Dumasom.

---

W teatrach francuzkich głucha cisza, we wszystkich prawie grają znane sztuki, wydobyte z dawnych repertuarów, podniesione tylko świetniejszą wystawą. Pisma zapowiadały tryumfalnie nowy dramat Legouvego, z czasu wojny wandejskiéj. Ukazał się nakoniec i zawiódł powszechne oczekiwanie. Siwy akademik, uchodzący za głębokiego moralistę, nie umiał wydobyć się z zaklętego koła, w jakiém szamocze się i dogorywa dramat dzisiejszy. Treścią sztuki: wiarołomstwo małżeńskie. Nie myślimy poruszać tych skandalów, powiemy tylko, że *Anna Kerviller*, przez wzgląd na autora, tolerowana jeszcze na deskach teatru francuzkiego, upadnie wkrótce, jak na to zasługuje.

Więcéj spodziewamy się po zapowiedzianym dramacie Henryka Bornier, autora *Córki Rolandowéj*, znanéj u nas w przekładzie Lucyana Siemieńskiego. Nowy czteroaktowy dramat wierszem, pod tytułem: *Weselne gody Atyli*, przenosi nas w epokę najburzliwszą w dziejach świata. Rzecz dzieje się w Panonii, pomiędzy Dunajem a Cisą. Dwie galskie branki, ujęte w niewolą przez Hunów, głównemi są bohatérkami dramatu. Oczekujemy niecierpliwie pierwszego przedstawienia w teatrze odeońskim.

---

Pod tytułem *Melidona*, Edward Schure wydał zajmującą powieść, wprost przeciwną dążeniom szkoły, tak zwanych *impresyonistów* dzisiejszych. Młody Szkot, rozmiłowany w archeologicznych badaniach spotyka w Capri piękną Melidonę; widzi w niéj żywe uosobienie Grecyi starożytnéj. Autor maluje uczucia Szkota i Greczynki z byronowskim zapałem. Malowniczo skreślone krajobrazy urozmaicają opowieść; dramatyczny ustęp z powstania Kreteńczyków, pełen życia i prawdy, podnosi znaczenie fantastycznego utworu. Każda scena głęboko obmyślana. Idealny świat grecki oddany z pełnym wdziękiem. Wymowna

to odpowiedź realistom, którzy utrzymują, że chcąc złapać życie na gorącym uczynku, trzeba go szukać w karczmie, lub po rynsztokach.

---

Ważne odkrycia archeologiczne na polach Maratonu zajmują dziś świat naukowy. W miejscu tém, według tradycyi, stała świątynia bogini Nemezys, zbudowana po sławnym pogromie Persów. Podziwiano w niéj posąg téj bogini, wykonany dłutem Fidyasza. W pobliżu Ateńczykowie wznieśli tryumfalny pomnik, na cześć zwycięztwa. Odkopano dziś mnóstwo posągów i płaskorzeźb, między innemi statuę kolosalnych rozmiarów, dobrze zachowaną. Byłożby to dzieło Fidyasza? uczeni dotąd nie wyrzekli stanowczego sądu. Konserwator starożytnych pomników greckich chciał przenieść te drogocenne zabytki do muzeum w Atenach, ale mieszkańcy gminy Maratonu sprzeciwili się temu na mocy prawa, że wydobyte z ziemi dzieła sztuki, mają pozostać w miejscu, gdzie odkryte zostały. Pisma greckie żywo poruszone tą sprawą. Według litery prawa, Maratończyki zupełną mają słuszność. Ateny nie przeczą im tego, żądają tylko w imię sztuki, aby zbudowali odpowiednie muzeum i utrzymywali konserwatora własnym kosztem, na co ubogi Maraton zdobyć się w żaden sposób nie może. Niewiadomo jak się rzeczy rozstrzygną. Prawo zachowania pomników w miejscu postanowioném było głównie, aby położyć tamę grabieży cudzoziemców, a szczególniéj turystów angielskich.

---

Wśród dzieł, poświęconych archeologii, znajdujemy jedno bardzo ciekawe, pod tytułem: *L'Habitation à toutes les epoques.* Autor dzieła, Karol Lucas, opisuje mieszkania ludzkie od najdawniejszych czasów; przechodzi kolejno jaskinie i pierwotne budy na palach, wydobywane z głębi jezior, późniéj rezydencye królewskie, według Homera, pałac grecki w Palatitsy, w Macedonii, dom w starożytnych Atenach, siedzibę zamożnéj rodziny w Rzymie, willę grecko-rzymską w Pompei. Następują potém zamki i dworce średniowieczne. Do każdego typu dodane historyczne objaśnienia i praktyczne skazówki, o ile dzisiejsza architektura skorzystać może z tych starożytnych wzorów.

---

Znany ekonomista Le Play, autor wielu dzieł tyczących się najważniejszych zagadnień społecznych, wydał w tym czasie ostatnie wyniki badań swoich, w obszernéj publikacyi pod tytułem: *Les Ouvriers Européens.*

Dzieło to w nierównie szczuplejszych ramach, wydane poraz pierwszy w r. 1856, pod opieką Akademii nauk, zjednało autorowi nagrodę *Monthion.* W rok potém cały nakład wyczerpany został. Odtąd przez lat dwadzieścia Le Play rozszerzał pracowicie swoje ramy, stosownie do nowych potrzeb społecznych; ogromna publikacya obejmuje dziś sześć tomów in 8-vo. Nie biorąc żadnego udziału w podniesionych obecnie walkach, wytrawny autor wziął sobie za cel, przyczy-

nić się do uspokojenia umysłów i przywrócenia porządku społecznego, zagrożonego w całéj Europie.

---

Paryż zajął się pilnie odnowieniem przepysznéj biblioteki narodowéj, fundacyi kardynała Richelieu'go; prace w wielkiéj części ukończone zostały. Według powszechnego uznania, na całéj kuli ziemskiéj niéma podobnego księgozbioru. Podajemy w krótkości bogaty jego inwentarz.

Oddział druków mieści się na żelaznych półkach, otaczających ogromną pięciopiętrową salę, oświeconą wyłącznie z góry. Długość tych półek wynosi pięćdziesiąt kilometrów (8 mil polskich). Liczba książek 2,200,000 tomów.

Rękopisy, zebrane w wielkich woluminach, tworzą dział osobny. Jest ich do stu tysięcy.

W galeryi, zwanéj Mazaryniego, urządzono historyczną wystawę pisma i druku od czasów najdawniejszych. Mistrzowskie freski i gobeliny zdobią tę wspaniałą galeryą.

Sala do czytania otwarta dla publiczności, obejmuje 20,000 tomów. Osobny dział tworzą niezliczone mapy i plany.

Oddział rycin liczy 2,500,000 sztuk, zgromadzonych w 15,000 woluminach i 4,000 portofoliach.

Wystawa nauk geograficznych zajmuje osobne sale. Inne znów przeznaczone na archiwa.

W ogromnéj sali mieści się sławny globus Coronellego, oraz przyrządy kosmograficzne i astronomiczne wielkiéj wartości.

Oddział medalów składa się z 150,000 okazów.

Z końcem dnia zamykają się drzwi biblioteki; sztuczne światło wcale w niéj nieznane. Sale zimą ogrzewane rurami.

---

Pisma francuzkie rozpisały się dosyć obszernie o jubileuszowéj uroczystości Kraszewskiego, nie zrozumiały jednak wielkiego jéj znaczenia. Literatura polska mało wogólności znana Francuzom; przytoczymy na to świeży dowód.

W jednym z przeglądów (*Revue Politique et Litteraire*) czytamy, że dla uczczenia Jubilata, poeta Słowacki przetłómaczył na język francuzki poemat Kraszewskiego p. t.: *La Peste au Desert!*

Przekład *Ojca zadżumionych* ukazał się w rzeczy saméj, poświęcony jubilatowi przez tłómacza, p. Wacława Gasztowtta. Krytyk francuzki podziwia piękność przekładu; utrzymuje najsłuszniéj, że czytelnik gotówby wziąć poemat za oryginalne arcydzieło, gdyby okładka nie oznajmiała, że jest tłomaczeniem. Okładka ta, z wypisaném nazwiskiem tłómacza, nie była jednak dla krytyka dostateczną skazówką. Skoro w jego mniemaniu Kraszewski miał być autorem poematu, a Słowacki tłómaczem, czémże był Wacław Gasztowtt? chyba owym starym Arabem, ojcem zadżumionéj rodziny.

Dzięki naszemu utalentowanemu ziomkowi, który tak dzielnie włada francuzkim językiem, świat pozna wreszcie niezrównane arcydzieła wieszczów naszych. Mamy już poemata Słowackiego, przełożone świetném jego piórem na prozę francuzką, mamy również cudny poemat Brodzińskiego: *Posłanie do braci*, najpierwszy z jego przekładów. Obecnie p. Gasztowtt rozpoczął przekład *Pana Tadeusza*.

Na zebraniu Towarzystwa dawnych uczniów batiniolskich, w rocznicę śmierci Mickiewicza, tłómacz odczytał pierwszą pieśń, tak po polsku jak po francuzku [1]). Podziwialiśmy wyborny przekład, w którym pod osłoną obcego języka, czuć balsamiczną woń litewskich lasów. Jakim sposobem tłómacz, urodzony daleko od ojczystego gniazda, potrafił tak do gruntu przesiąknąć duchem narodowym, tak zrozumieć najdelikatniejsze odcienia mowy naszéj, tak odczuć cały urok rodzinnéj poezyi, trudnoby to pojąć zaprawdę, gdybyśmy nie wiedzieli, jakie cuda spełnić może praca, ożywiona talentem, podniecona miłością, wsparta żelazną siłą woli. Z pierwszéj pieśni *Pana Tadeusza* wnosimy, czém będzie cały przekład; wnosimy to zarówno z dziwnie pięknego sprawozdania, zaimprowizowanego w języku francuzkim. Mówca przesunął przed nami cały szereg mistrzowsko wyrzeźbionych

---

[1]) Na próbę wierności i piękności przekładu, przytaczamy początkowy ustęp, wezwanie do N. Panny.

Transporte, en attendant, mon coeur rempli d'amour
Dans ces bois montueux, dans ces vertes vallées,
Aux bords du bleu Niemen largement étalées.
Dans ces champs par les blés teintes diversement,
Par le seigle argentés, dorés par le froment.
Où l'ambre du colza, l'orge à la tige blanche
Et la luzerne en fleurs qui rougit et se penche
D'un ruban verdoyant sont comme emprisonnés
Et de poiriers épars tristement couronnés!

Zobaczmy jeszcze śliczny obrazek Zosi.

Il relève les yeux... sur le mur du jardin
Ciel! une jeune fille, en robe du matin,
Qui dessinant sa taille et couvrant sa poitrine
Montre son cou, ses bras aussi blancs que l'hermine.
Jamais Lithuanienne en ce dèsabillé
Aux profanes regards d'un homme n'a brillé.
Et même sans temoins, elle cache inquiète
De ses mains les appas que montre sa toilette.
Ses cheveux sur son cou ne tombent pas bouclés,
Mais dans du papier blanc savamment enroulés,
Ils entourent sa tête... et le jour qui rayonne
Comme aux portraits des saints lui fait une couronne.

typów, zacząwszy od *Wojskiego Hreczechy*, od *Jacka Soplicy* w bernardyńskim kapturze, do dziarskiego *Tadeusza*, uroczéj *Zosi* i romansowéj *Telimeny*. Słuchaliśmy wszyscy z najżywszém zajęciem, a kiedy mówca skończył wśród grzmiących oklasków, słuchaliśmy jeszcze...

I wszystkim się zdało,
Że to Wojski gra jeszcze, a to echo grało!

---

Wśród broszur tylko co wyszłych z druku, uderzyła nas jedna p. t.: *Monseigneur Vladimir Czacki, archevêque de Salamine, Nonce apostolique à Paris.* Jestto krótki życiorys nowego nuncyusza. Urodzony w Porycku r. 1835, wysoki dostojnik kościoła jest rodzonym wnukiem słynnego Tadeusza Czackiego, synem Wiktora i Pelagii z książąt Sapiehów.

Wątły z natury, w pierwszéj młodości zagrożony piersiową chorobą, nie mógł znosić ostrego klimatu ziemi ojczystéj. Troskliwi rodzice wywieźli go zatém do Rzymu, w piętnastym roku życia; tu powierzony opiece blizkiéj krewnéj, księżnéj Odescalchi z Branickich, czując od młodości powołanie do stanu duchownego, kształcił się w naukach teologicznych. W roku 1867 otrzymał święcenie kapłańskie, a zarazem urząd w sekretaryacie stanu. Późniéj Pius IX mianował go przybocznym sekretarzem, a następnie poruczył mu organizacyą uniwersytetów katolickich, we Francyi i szkół duchownych w Rzymie. Wówczasto ksiądz Czacki zajął się gorliwie urządzeniem seminaryum polskiego, pod szczególną opieką Piusa IX. Szkoła ta, kwitnąca dziś w Rzymie, wydała już wielu doktorów teologii i prawa kanonicznego, a między nimi jednego z profesorów wszechnicy krakowskiéj.

Postępując na coraz wyższy szczebel, młody prałat został sekretarzem Świętéj kongregacyi do nadzwyczajnych spraw duchownych. Po śmierci Piusa IX, papież Leon XIII równe okazywał mu względy. W roku bieżącym mianował go arcybiskupem Salaminy i nuncyuszem swoim w Paryżu. Pierwszyto raz Polak takie otrzymał dostojeństwo.

---

W tutejszym świecie bibliograficznym, od lat kilkunastu wyrobił sobie stanowisko i zaszczytne uznanie p. Gustaw Pawłowski. Czytamy właśnie imię ziomka naszego, w liczbie świeżo ogłoszonych laureatów w Akademii napisów i literatury. Przysądzono mu nagrodę fundacyi Brunet'a, za konkursową rozprawę o produkcyach, wierszem francuzkim, z epoki średniowiecznéj, z dokładném wskazaniem rękopisów, według których były drukowane.

Na ostatniém posiedzeniu téjże Akademii, członek Delisle przedstawił nową publikacyę p. Pawłowskiego p. t.: *Prace bibliograficzne od r. 1867 do 1878.* Dzieło to obejmuje sprawozdanie ze wszystkich prac wykonanych tak we Francyi, jak w innych krajach w ciągu lat jedenastu, na polu bibliografii. Akademik, przedstawiający rzecz, za-

leca ją w najchlubniejszy sposób. „Uwagi p. Pawłowskiego, mówi on, pokazują w nim doświadczonego bibliografa i na pilne zasługują zbadanie."

---

Czyto w naukach, czy w sztuce, polskie imiona corazto częściéj zyskują w świecie rozgłos. W początku roku ubiegłego wspominaliśmy o koncercie panien Balewskich w Paryżu, wróżąc im świetne powodzenie; i otóż rok nie upłynął, a chlubne świadectwa dobiegające nas kolejno z Londynu, Brukselli i Niemiec, pokazują, że nadzieje te zupełnie się spełniły. Ramy nasze nie wystarczyłyby na powtórzenie gorących pochwał, głoszonych w Stutgardzie, w ciągu listopada. Przytoczymy tylko znaczące wyrazy, zamieszczone w stutgardzkim *Neues Tagblatt.*

„W szczególny sposób, mówi sprawozdawca, uderzył nas silny zakrój smyczka panny Jadwigi Balewskiéj. Trudno byłoby nam zrozumiéć taką energią, przy delikatnéj postawie artystki, gdyby nie tłómaczyła tego jéj narodowość, którą łatwo téż odczuć w bogactwie fantazyi i w przeciągłém oddawaniu elegijnych tonów." Tento rys charakterystyczny odznacza kompozycye Chopina.

Jestże większa pochwała dla artystki, nad uznanie, że umie być wyrazem geniuszu narodowego?

---

Profesor języków i literatur słowiańskich Aleksander Chodźko, dziś właśnie otworzył kurs swój w Kolegium Francuzkiém. Za przedmiot tegorocznego wykładu obrał powieść historyczną i humorystyczną. Rozpoczyna kurs od ostatniéj powieści Deotymy *Zwierciadlana zagadka* i od historycznéj powieści Danielewskiego p. t.: *Mirowie.*

Lekcyą dzisiejszą poświęcił profesor uroczystości krakowskiéj, z powodu jubileuszu Kraszewskiego. Pokazał wielkie zasługi Jubilata, położone w ciągu pięćdziesięcioletniego zawodu. Zakończył odczytaniem jego mowy, wyrzeczonéj przy uczcie w Sukiennicach w dniu 3 października.

---

# KORRESPONDENCYA.

## Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj [1]).

Na łaskawe uwagi szanownego krytyka, w interesie rzeczy, kilka swoich uczynić pozwalam sobie.

Kto tłómaczy Greków z oryginałów, przyzna mi łatwo, iż niepodobna mu, przy geniuszu nawet, nie poddać się tu i owdzie wpływowi ducha, który te dzieła tworzył. Nie trudno byłoby mi przywieść ku stwierdzeniu zdania, przykłady z dzieł Cycerona, żywcem z pierwowzorów helleńskich latynizowane. Wszak wpływ ten może i *pozornym* tylko być, gdy się przenosi dzieła filozofów, którzy nie inną logiką powodowali się w myśleniu od téj, która naszym dziś rozumowaniom przewodniczy. Jednak nie przeczyłem i nie przeczę, iż niejedno w tłómaczeniach moich mogło być łatwiéj oddane, toż że niejedno bez potrzeby w kształt starożytnéj dykcyi wciśnięte zostało. Nie powołam nawet ku obronie „ogromu pracy, przy stosunkowo szczupłym do jéj wykonania wymiarze czasu," tudzież „nacisku gotyckiéj atmosfery, wszelkie komórki jestestwa przenikającéj, gdyż tylko pod jéj sklepieniami władać piórkiem dozwoliły tory." Ale „zniewolony" już jestem zwrócić uwagę szanownego krytyka na wszystko to, co tylekroć uprzedzająco wypowiadałem, a co (widzę) jednak nie zostało uwzględnioném, niestety!

Na zapytanie któregoś z uczniów, nie pomnę w którym z Dyalogów Platońskich (podobno w Theatecie czy Filebosie) „co to jest myślenie?" odpowiada Sokrates, iż „jest cichą rozmową duszy ze sobą." Zaprawdę, nie zdołamy nic pomyśleć, czegobyśmy w wyrazach nie myśleli, ni też odwrotnie, nic nie wypowiemy, coby jakiejbądź treści pustém było. Kiedy więc tak ścisły zachodzi związek pomiędzy myślą a jéj słowowym wyrazem, wyjawy jednéj i drugich u Greków na najbaczniejszą zasługują uwagę tłómacza, któren pochód obojga uwidomić w kolei duchowego rozwoju ludzkości usiłuje następnym. Chyba zaprzeczymy, iżby ten duch, nad inne wysoko, zamanifestował swą ewolucyą w Helladzie, czego przecież nikt świadom rzeczy nie uczyni. Prócz pomienionych powodów, nie mogłem nie uwzględniać także i tego, że styl Platona stosuje się do materyi także, a nietylko do osoby Sokratesa. W ogóle tłómaczy się Sokrates prosto, rozwlekle poniekąd, jakby rozsądnie pragnący usilnie pokazać każdemu, że „nie tylko nic sam nie wié," ale i że wypowiedzieć tego czego nie wié, nieposiada najmniejszéj zręczności. Najwybitniéj odznamionował to Platon w *Apologii*, ale i indziéj wszędzie mniéj więcéj. Proszę porównać dykcyą

[1]) Patrz *Bibl. Warsz.*, t. IV z roku zeszłego, str. 483.

Sokratesa we wszystkich *Rozmowach* z dykcyą *Atheńczyka* w *Prawach*, którego sam przedstawia.

Oceniając więc przekłady Platona, proszę uwzględnić to, co nadmieniłem—wszystko. Zamieniwszy dykcyą grecką na naszą dzisiejszą, a więc ogołociwszy ją i z partykuł na jakie nasze języki stać, robi się luźną mowę rzymską, o potocznych rzeczach zwykle, a o subtelnych z natężeniem wszędzie widomém, rozprawiającą. Treść dzieł Platona jest niekiedy zawiłą, wszak w szczupłych tylko już punktach, i dość już ciemną; ogół zaś dostępnym uczyniono oddawna tłómaczeniami Cousina, Schleiiermachera, Hieronima Müllera. Słusznie nie słusznie, o to posprzeczać się warto. Ja utrzymuję, że umysłowość nasza nie w górę się wznosi, ale w poziom zniża, od punktu kulminacyjnego, który w Grecyi zajęła, gdzie umysł ludzki zdobyć przeznaczony był to, co sam zdobyć możen, wskazując oraz, dokąd nie podniesie się nigdy o własnéj tylko sile. Z tego wychodząc przekonania, uważałem za surowy obowiązek swój jako tłómacza, aby okazywać na przekładzie, nie jedno: *co* ta wielka przeszłość mówiła; ale oraz: *jak* ona to w najściślejszém słowa znaczeniu, wypowiadała ustami najpierwszych swych przedstawicieli.

Upraszałbym nareszcie panów na mnie łaskawych, aby sądów swych nie ograniczali kilku przytoczeniami, toż z jednego tylko Dyalogu wyjętémi. Język Lachesa, Protagorasa, Euthydema, Alcybiadesa, a nawet Menona zadowoliłby, przekonany jestem, nawet tak ścisłego lingwistę. Czemuż z jedynego Gorgiasza zaczerpywał strofujące przykłady, jeżeli są niemi?

Kończę gorącą prośbą, aby tłómaczeń moich nie puszczano mimo ucha, lecz rozbierano ściśle „wszystko to co dawniéj i świeżo ku uzasadnieniu wznowień językowych przytaczam, jeżeliż tak rażącém to jest, czemu przeczę. Bez takiéj krytyki nie posuniemy się o krok naprzód. Panowie! powoływać nie będę do trzymania się skrupulatnie toku mowy, jaki myślenia rzymskie, francuzkie, niemieckie, wytłoczyły na jéj postaci, a ja wciąż odbijać będę, że samoistnego myślenia i stylu żądam, a jeżeli i sam go wynaleźć nie zdołam, to przenoszę naśladownictwo wzorów, które tak samodzielnemi uczynić się umiały, iż na każdego słowa głosu tę samodzielność wykazują, nie ukrywając żadną co wyrazić chciały.

Ostrów, 2 stycznia 1880 r.

*Antoni Bronikowski.*

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Herman Hettner. *Historya literatury angielskiéj od czasu przywrócenia królestwa aż do drugiéj połowy XVIII wieku. Od r. 1660-1770.* Przekład podług 3-go wydania niemieckiego przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego. Nakład i druk Lewentala. Nowy Świat 39. 1879.

Prześwietne, bo tak je nazywać mamy, prawo piśmiennictwo angielskie, obok niesłychanych zasobów w dziedzinie myśli i natchnienia, posiada jeszcze wyjątkowy wdzięk dla badacza. W żadnéj innéj literaturze spójność ogniw dziejowych do tego stopnia nie jest widoczną, w żadnéj innéj utwory literackie nie były tak dalece wskazówką względnéj dojrzałości całego społeczeństwa. Przy tém zamilczeć niepodobna jeszcze o jedném znamieniu, ściśle związaném ze względami osobliwszego bogactwa mowy angielskiéj: że oto ten doskonały całokształt porusza się wszystkiemi naraz składowemi żywioły. Jestto dosłownie—zjednoczone królestwo jak kultur tak i języków z zachowaniem ich pierwiastku a nawet i samego ustroju wyrazowego i ich własności dźwiękowych. Zgoła przezroczystość składowych warstw mowy, cywilizacyi a więc i literatury dochodzi do takiego stopnia, że prawie dzień jéj urodzenia oznaczyć można. W chwili zmężnienia i wysoko wyrobionego taktu, jakie do dziś umysłowość nasza zdobyła sobie wobec umysłowości obcych, studya dotyczące ich są już i prawowitemi, i koniecznemi. Pożądaném jest tylko, aby zaznajomienia nas ze stanem i dziejami piśmiennictw zagranicznych dokonywał umysł rzutny, szeroko poglądowy, doskonale oswojony z bitemi i niebitemi drogami obszaru; aby obok powagi wykładu, z zachowaniem kolejności dziejowéj, zajmując umysł czytelnika, zostawił mu w możliwym stopniu rozkosz *używania* widoków przesnuwających się w pochodzie przed oczyma. Rola dziejopisarza literatury, tak postawiona, wymaga połączenia w jednym ręku warunków uczonego i artysty; dzieło Hettnera bez zaprzeczenia stoi na téj wysokości, bo i wtajemnicza w plan ogólny przedziwnego gmachu i pojedyńcze jego wdzięki wskazując, budzi silne wrażenia coraz to innéj sfery, zgoła daje *utile dulci* na wielką skalę. Pod tém téż ostatniém godłem zamierzyliśmy obecne sprawozdanie, ufni że nam czytelnik, pew-

nych wycieczek, w związku z głównym ciągiem zostających, za złe nie weźmie.

*Już w wieku XIV* ukazują się poważne zawiązki literatury angielskiéj. Pracownicy drugiéj połowy owego stulecia już mieli poza sobą znaczące, jeżeli nie studya piśmiennictwa ściśle narodowego, to przynajmniéj pomniki ogólnych wysiłków umysłowych. W r. 1362 poraz pierwszy posiedzenie parlamentu zagajoném zostało w języku angielskim. Właściwym jednak patryarchą piśmiennictwa angielskiego jest Chaucer.

Geoffrey Chaucer (urodzony około r. 1328—1400), którego utwory poetyckie wyobrażają ducha dwu epok: romantycznéj, już dogorywającéj, i epoki odrodzenia: Chaucer już nie zastał Dantego, który umarł prawie w roku jego urodzenia. Współcześni Chaucerowi: Petrarka i Boccacio odumarli go również. Tak więc przez ostatnią ćwierć wieku XIV był on, powiedziećby można, królem w poezyi na całą Europę. Jako mąż wysokich zdolności, przez Edwarda III wysyłanym był w poselstwie do Francyi i Włoch, a wiedza zdobyta przez te wycieczki na ląd stały, wyprowadziła go z błędnego kółka średniowieczności ku nowym ogólniejszym widnokręgom. Oprócz wybornych poezyi pisał i podróże. Do najpiękniejszych utworów jego zaliczają się *Romanse Róży* (*Romanuts of the Rose*) *i Śmierć księżny Blanki* (*Death of Blanche the Duchesse*). Obok Chaucera, ale w nieskończenie mniejszym blasku, stoi jego współczesny i przyjaciel: John Gower, autor trzech poematów: łacińskiego, francuzkiego. i angielskiego, wszystkich jednak z tytułami łacińskiemi: *Zwierciadło Rozmyślanego*, *Głos wołającego*, *Spowiedź kochającego*, (*Speculum Meditantis*, *Vox Clamantis*, *Confessio Amantis*). Resztę imion, jako podrzędnych pomijamy.

Czternaste stulecie od imienia przodownika swojego nazwano wiekiem Chaucera.

Okres następny, od śmierci Chaucera do czasów królowéj Elżbiety, przedstawia się nam, jako chwila mniéj produkcyjna; kiedy polskie piśmiennictwo stoi w pełni złotego wieku Zygmuntów, twórczość w Anglii pochłaniają walki *Dwu Róż* i pasowanie się szczątków ustroju średniowiecznego ze swobodami municypalnemi oraz: reformacya. Główną zasługą tego okresu jest wytworzenie prozy.

Caxton wprowadza druk w r. 1491. Spory religijne wprawiają w ruch siłę rozumowania, ukazują się pisma religijne i filozoficzne; z jednéj strony padają ofiary nietolerancyi, z drugiéj strony budzą się uczucia własnowolności przekonań. Kanclerz Tomasz More występuje ze zdumiewającą jak na czasy Henryka VIII śmiałością w swoim romansie politycznym *Utopia;* Wilson pisze wyborną Logikę i Retorykę. Poezya, stosunkowo do czasów Chaucera, nadzwyczaj się słabo przedstawia. Wyjątkowo uprawianą tu była liryka i w tym względzie przewodzi Szkocya. Jakób I, książe szkocki, jako więzień sprowadzony do Anglii, wychowuje się tam przez ciąg panowania Henryka

IV i V i jako więzień, wypowiada cierpienia swojéj ciężkiéj samotności w rzeczonych pieniach. Również synem Szkocyi był Robert Henryson, pierwszy autor ballad. Ale najważniejszą może spuścizną jaką zostawił po sobie ten okres, są stare „ballady" pochodzące przypuszczalnie z XV i XVI wieku, których gniazdem był brzegowy pas ziemi pomiędzy Anglią a Szkocyą, będący przez wieki widownią walki wrogich sobie plemion. Pomiędzy bohaterami tych ballad najgłośniejszy imieniem i najczęściej opiewany, jest sławny Robin Hood. Zebranie staro-angielskich ballad winniśmy biskupowi Percy, z którego skarbnicy czerpali natchnienia poeci okresu romantycznego, a szczególniéj Walter Skott.

Słabą stosunkowo płodność pomienionego okresu, dziejopisarze literatury angielskiéj tłómaczą sobie ze stanowiska *psychologii narodu*, a to w ten sposób, że przeciąg stu osiemdziesięcu lat przedstawia im się jako doba nabierania sił i rozpędu na wytworzenie wiekopomnéj i jedynéj może w dziejach, epoki Elizabetyńskiéj.

Epoka ta (III z kolei od czasu zawiązków piśmiennictwa angielskiego), jest tyle znaną ogółowi czytelników, a szczególniéj z imion Szekspira, Spensera, wiekopomnego życiem i zgonem swoim Filipa Sydney'a w poezyi; Raleigh'a w dziejopisarstwie; Hobbesa i Bakona w filozofii, że nad nią rozszerzać się nie będziemy.

Otóż z chwilą zamknięcia się tego prześwietnego cyklu, rozpoczyna się zadanie pracy Hermana Hettnera, z którą postanowiliśmy zapoznać czytelnika.

Jak wszelką zbiorową działalność ludzką, tak przedewszystkiém działalność duchową, uważać potrzeba jako posuwającą się w kierunku od źródła ku ujściu. To podobieństwo, powiedzmy raczéj, tożsamość mechanizmu w sprawach przyrody i sprawach umysłowości ludzkiej, która ani zasmucać, ani upokarzać, ani odwagi odbierać nie powinna, w szczególnie prosty sposób tłómaczy nam ważne w dziejach literatury zjawisko: że od chwili ukonstytuowania się życia umysłowego w narodzie, rozmiary tego życia rozgałęziają się coraz widoczniéj i coraz rozleglejszą sferę zagarniają pod bieg swój; jeżeli jego wzrostowi i rozrostowi jakaś wyjątkowa sprężyna w drodze nie stanie.

Cykl, podjęty przez naszego autora, obejmujący nie więcéj jak trzecią część ciągu czasów, pomiędzy Chaucerem a Restauracyą, dostarczył mu treści do bogatych, w najwyższym stopniu zajmujących obrazów. Tak więc literatura angielska w rozwoju swoim, nigdy i nigdzie stanowczo powstrzymaną nie była. Nawet częściowy zastój okresu II-go byłto jedynie fakt fluktuacyi, wewnętrznéj, naturalnéj, a jak widzieliśmy, poniekąd nie bezowocnéj.

Przy podobném, coraz szerszém rozgałęzianiu się zakresu piśmiennictwa, trudném było a konieczném, upatrzyć pewne stałe prądy, któreby i czytelnikowi ułatwiały rozejrzenie się w faktach i ogólnie dziejowe tych faktów znaczenie wskazywały. Hettner wiernie dokonał pod tym względem zadania; książka jego jest wzorem metody. Mamy tu przed sobą prawdziwy *system dziejów* piśmiennictwa angiel-

skiego danéj epoki. Drugą jego książki zaletą jest umiejętna kwiecistość wykładu. Nie czujemy tu ciężkiéj ręki gotyckiéj, pod którąby osoby działające wykonywały tylko mechanicznie narzucone sobie ruchy lub przybierały postawę, dogadzającą samowoli poglądów pisarza. Przeciwnie, autor oprowadza nas po obszarze stu dziesięciu lat najżywotniejszéj epoki, wskazując każdą osobistość w chwili, gdy jéj myśl albo fantazya pracuje.

Przewodniém hasłem autora jest ta myśl Goethego, że dzieje umiejętności przyrównać się dają do fugi muzycznéj, gdzie głosy ludów nie odrazu, lecz jedne po drugich słyszéć się dają. Tego rodzaju kolejność w udziale trzech wielkich narodów cywilizacyjnych (Anglików, Francuzów i Niemców), szczególniéj charakteryzuje piśmiennictwo ostatnich stuleci w ostateczném sformułowaniu: sama działalność ta pojmowaną być winna, jako „boje o oświecenie."

Dziejami literatury, ze stanowiska poglądu na kulturę powszechną, jak dotąd, zajmowali się tylko pracownicy: Villemain i Schlosser. Otóż wypełnienie zarysów, rzuconych przez owych wielkich myślicieli (Villemain bowiem pominął zupełnie literaturę niemiecką, w Schlosserze znów żywioł polityczno-dziejowy przeważa nad literackim) uważa nasz autor za zadanie pożyteczne, na co się bezwarunkowo zgadzamy.

W obranym do opracowania cyklu, Hettner upatruje trzy doby, a to odpowiednio trzem politycznym zwrotom dziejów Anglii:

1. *Czasy ostatnich Stuartów*, 1660—1688 r. (księga I).
2. *Czasy królowéj Anny*, 1688—1727 r. (księga II).
3. *Czasy Jerzego II i Jerzego III*, 1727—1770 r. (księga III).

Niepodobném jest wprowadzać tu poszczególe wszystkie postaci, jakie od czasu ostatnich Stuartów, aż do zakończenia cyklu, przeszły po przestworzu świata angielskiego, zabudowawszy je dziełami lub arcydziełami. Z rozkoszą i wzniosłym pożytkiem czytelnik pod przewodem autora przyjrzy się z kolei każdemu z wielkich pochodów, twórczości i wiedzy, prowadzonych równolegle z rozwojem politycznym narodu angielskiego.

Opisując każdą z trzech epok podług działów piśmiennictwa: umiejętności, poezyi, dramatu, na samym téż wstępie autor mówi o Newtonie i naukach przyrodniczych, w których Anglia, zostająca przez długi czas poza badaniami i odkryciami stałego lądu, w drugiéj połowie wieku XVII zajęła stanowisko przodownicze. W r. 1645 zawiązuje się „kolegium niewidzialne" (*the invisible college*), ukonstytuowane następnie w „Towarzystwo królewskie w Londynie" za Karola II. Daléj występuje Izaak Newton, odkrywa prawo powszechnego ciążenia, a przez nie daje na zawsze ostateczne wykończenie przyrodoznawstwu mechanicznemu.

Wspaniały wiersz Halley'a wypowiada wrażenia hołdu, z jakim już współcześni przyjęli odkrycie Newtona:

...„Wstańcie, o śmiertelni! i troski ziemskie porzućcie,
Znajcie i śledźcie odwieczną myśli niebieskiéj potęgę,
Chwalcie wielkiego odkrywcę boskiéj prawdy, Newtona,
Tego muz kochanka, największą ludzi ozdobę:
Bliżéj niewolno śmiertelnikom do bogów przystąpić."

Newton więc przedewszystkiém stoi na czele owych walk o swobodę myśli: które wiek XVIII uczyniły wiekiem oświecenia.

Następują początki deizmu, inaugurowane w poezyi jeszcze przez Szekspira, którego poglądy autor uznaje protestanckiemi z gruntu; w nauce zaś przez Hookera, Bakon występuje tu dwulicowo. Jaskrawiéj już przemawia Browne. Zpoza kanału zawiewać poczyna wpływ Spinozy, (za czasów Jerzego I występuje czysty ateizm).

Z powodu teoryi politycznych w okresie tym, autor, przedstawiając Hobbesa, modyfikuje przesadzone pojęcia o jego dogmacie, jakoby wyłącznie podnoszącym absolutyzm.

Dział poezyi rozpoczyna się od Miltona; na czele mamy znakomicie skreślony obraz sytuacyi, jaką zastała młodość poety. „Jan Milton, mówi Hettner (str. 40), stoi na punkcie zwrotnym dwu okresów. Można go jeszcze nazwać współczesnym Szekspira, gdyż urodził się w r. 1608, a jednak mógł z wszelką słusznością często a gorzko uskarżać się na to, że przyszedł na świat o całe pokolenie zapóźno.

„Jakże szybko i przelotnie przebrzmiały złote dni poezyi angielskiéj. Szekspir dlatego tylko był tak wielkim, jak to wybornie zauważano, że księżyc romantyczności świecił jeszcze na niebie, chociaż już jaśniało słońce oświecenia. Ta średniowieczna atoli romantyczność bladła coraz to bardziéj; jéj miejsce zajmowały rozumne, ale trzeźwe formy i urządzenia państwa nowożytnego, życie i obyczaje straciły powabną swą świeżość i pełnią. Poezya ucierpiała na tém niezwłocznie. I ona stała się chłodną i trzeźwą, uczoną i sztuczną... Nakoniec muza zamilkła prawie zupełnie wśród wrzawy wojennéj „długiego parlamentu" i rzeczypospolitéj. Ponure nabożnisiostwo Purytanów nienawidziło sztuki piękne, a walki polityczne powołały wszystkich znakomitych ludzi na widownię państwową."

Wybornie określa autor stosunek wewnętrzny pomiędzy dwiema epopeami Miltona: *Rajem utraconym* i *Odzyskanym*.

„Jeżeli *Raj utracony* był okrzykiem boleści nad tym nikczemnym światem, który się toczy *wrogo* dla dobrych, *uprzejmie* dla złych, stękając pod własnym swym ciężarem; to *Raj odzyskany* jest głośném napomnieniem do oczyszczenia się i odkupienia samego siebie, do dumnego odparcia wszelkich zaślepiających powabów i pokus ziemskiéj wspaniałości."

Na ostateczny wywód autora o znaczeniu i poetycznéj wadze *Raju utraconego* zgadzamy się. Strona dydaktyczna rzeczywiście przemaga tam i *Raj utracony* raczéj za teodyceą poetyczną, aniżeli za epos religijny uważanym być może. I to prawda, że zasadniczą myślą jego

jest ulubiona naówczas kwestya bieżąca: *o początku* złego. Ale niezupełnie podzielamy to zdanie Hettnera, jakoby Milton założył sobie podźwignąć dogmat własnowolności ludzkiéj, na przekór predestynarystom. Owszem, popod całą budowę epopei Miltona zdaje się być podłożoném wierzenie Kalwina, ale z pewnym dyalektycznym odcieniem, z pewną subtelnością, która jednak mówiąc nawiasowo, rdzenia rzeczy nie zmienia.

Nie jestto wybór téj, a potępienie innéj jednostki ludzkiéj, ale mądre przejrzenie wszechmądrości Bożéj, jéj przedwiedza o wszelkich zgoła możebnościach, tak przestrzeni, jak i czasu (mówimy tu w domyślnym duchu poety). Główne wady organiczne *Raju utraconego* Hettner sprowadza do tego, że Milton nie potrafił zawrzéć bez cielesnéj postaci Boga i aniołów, w granicach widoméj plastyki, która przecież (w poezyi) ma być zdaniem autora *nieodzowną*. Dlaczego? Nic-że to autor nie liczy na symbolizm? W takiém przypuszczeniu w cóż się obrócą arcydzieła innych, nowszych poetów tego kierunku? czy *Messyasz* jest rzeczywiście poematem chybionym? Zresztą odwołujemy się do jednéj z najświeższych powag, do Marka Pattisona, o którym wzmiankowaliśmy już kiedyindziéj. „Poezyą, mówi on, określają zwykle, jako źródło szlachetnych wzruszeń, a czyliż istnieje w świecie epos, któreby mogło współzawodniczyć z *Rajem utraconym?*... Widnokrąg *Raju utraconego* jest nieciaśniejszy, jak wszechprzestrzeń, jego chronologia nie krótsza, jak wieczność." Takimto jest pogląd najznakomitszego dziś badacza dziejów umysłowości angielskiéj i trudno nie uchylić przed nim czoła, jakkolwiek zastanawia nas, że Pattison nieco zalekko zbywa ową wielką myśl Keble'a, że: „poglądy katolickie, oparte na symbolizmie sakramentalnym, są nierównie poetyczniejszemi, aniżeli inne."

Pod „tragedyą" mamy podany obraz wpływów francuzkich i wspomnień staro-angielskich. Okres Purytański zgnębił scenę prawie na śmierć. Prawdziwe tragedye i komedye, mówi współczesny pisarz Dryden, obudzały zgrozę w owych poczciwcach, co to łatwiéj potrafili zabić swego prawowitego władzcę, niż znieść żart wesoły. Karol II, który wróciwszy na tron w r. 1660 znalazł był scenę w stanie ucisku i wykoszlawienia, zamyślił o jéj podźwignięciu i obdarzył przywilejem dwa towarzystwa aktorskie. Ale nie było to podźwignięcie twórczości dramatycznéj. Uczucie piękna do tego stopnia stępiało, Szekspir w oczach tłumu spadł tak nizko, że ówczesny kronikarz, Samuel Pepys, nie waha się nazwać *Otella* sztuką mierną, *Sen nocy letniéj* i *Jak się wam podoba* największém bzdurstwem, jakie kiedykolwiek widział na scenie.

Jakkolwiek tradycye staro-angielskie odzywały się jeszcze ciągle, była to przecież smutna dla poezyi dramatycznéj epoka; garnąc się ku szkole francuzkiéj, a odsuwając od pojęć złotych czasów Elżbiety, epoka ta, jak mówi nasz autor, nie mogła współzawodniczyć ani z Szekspirem, ani z Corneillem, gdyż ani jednego, ani drugiego nie ro-

zumiała dostatecznie. Jedynie poważniejszą postacią tego okresu jest Jan Dryden, któremu też obszerny ustęp poświęca Hettner. Komedya również popadła w stan zdziczenia. Nie pocieszający też widok przedstawia poezya liryczna. Zgoła wszystkie prawie sprężyny twórczości w dziedzinie fantazyi uległy zepsuciu, również jak i sama społeczność.

---

Z tego, może zbyt obszernie przez nas dokonanego streszczenia okresu ostatnich Stuartów, czytelnik miał sposobność zapoznania się z tokiem i metodą pisarską naszego dziejopisa. W dalszém prowadzeniu treści ograniczać się musimy a tém mimowolniéj, że w miarę postępu czasów opisywanych, interes coraz żywiéj się wzmaga. Jednakże wypada zaoszczędzić sobie miejsce na okres ostatni, trzeci. W końcu epoki Stuartów, spotykamy się z dwoma pisarzami komedyi: Wycherley'em i Congreve'm; ostatniego jednakże zdaniem naszém pod tą epoką wspominać nie należało, gdyż jako autor dramatyczny, występuje on dopiéro za czasów Anny, a jego nowela, od któréj rozpoczął zawód piśmienniczy pod przybraném nazwiskiem *Cleophil'a*, jest utworem bez wartości. Zresztą jako dramaturga i autor nasz następnie rozbiera go obszernie w okresie Anny.

Jego *Narzeczoną w żałobie* (*The mourning bride*), Johnson uważa za najlepszą tragedyą angielską: pełna jest dowcipu. Zarzucano mu wprawdzie i słusznie, że swemi utworami podnieca do rozpusty i tak już zachwianą w zasadach społeczność, że ma zawiele dowcipu, ale Horacy Walpole, najsprytniejszy obserwator ówczesnego świata, odpowiada na to: „wielka szkoda, iż żaden inny poeta komiczny w ten *sam błąd nie popadł*."

---

Następują czasy Wilhelma Orańskiego i królowéj Anny. Konstytucyonalizm odnosi zwycięztwo, myśl swobodna zyskuje potężną siłę i znaczenie. Hallam miał prawo odezwać się: „Czujemy dumę i godność republikanów, a zarazem tę tęgość i spokojną trwałość, która zkądinąd bywa zazwyczaj właściwą tylko jedynowładztwu." Z rozszerzeniem się widnokręgu politycznego, wzmaga się i życie wewnętrzne. Powstają organa opinii publicznéj. W r. 1666 założono *Gazetę Londyńską*, która początkowo wychodziła dwa razy na tydzień, pół arkusza *in folio*. Nowy rząd utworzył sobie organ własny: *The Orange Intelligence*. W r. 1709 założono *Kuryer Codzienny* (*Daily Courant*). Najznakomitsze talenta (Defoe, Swift, Bolingbroke, Steele, Addison) na tém wyrobiły się polu. I owa to społeczność, któréj lordowie niegdyś nie umieli się podpisać na karcie króla Johna, teraz oto wstępuje na pełne morze umysłowości, dokonywa przebudowania filozofii z gruntu, zawiązuje ogniska teoryi społecznych, etycznych, wydaje Locke'a, Rowego, Southerna, Addisona i w ogóle poważną, przy całém naśladownictwie i dydaktyzmie, literaturę poetyczną.

Jak w tamtym okresie Newton, tak w tym okresie Locke występuje na pierwszy plan w dziejach umysłowości angielskiéj. Autor po-

święca mu cały rozdział, nader charakterycznie streszczający ducha jego filozofii, która odtąd została bezwarunkowo panującą w Anglii. Podnosimy nader udatny rys, zestawiający tych dwu olbrzymich myślicieli. „Jeżeli Newton przemienił astronomią fizyczną w mechanikę nieba, to Locke z logiki i metafizyki zrobił naukę o wrażeniach zmysłowych człowieka. Jeżeli wolno tu użyć wyrażenia technicznego, to można powiedzieć, że co u Newtona jest mechanizmem, to u Locke'a jest sensualizmem.“ Równie udatnie ocenia autor polityczne, religijne i wychowawcze poglądy Locke'a.

Z powodu daleko sięgającego wpływu Locke'a na umysły pokolenia, w rozdziale p. t.: „Deiści, moraliści i wolnomularze,“ szczególniéj zajmującym jest ustęp poświęcony Shaftesbury'emu i Mandeville'owi, moralistom, oraz obrazek Wielkiéj Loży.

W dziale o poezyi mamy obszerny ustęp o Pope'm, następnie dramat moralizujący (Southerne, Rowe, Addison) i komedyą (Cibber, Stelle i Gay, utwórca *Opery żebraczéj*).

Charakterystycznemi w téj epoce były *tygodniki moralne*, z dążnością satyryczno-obyczajową, wymierzone przeciw rażącemu zepsuciu. „Anglia zawdzięcza im najzbawienniejsze przekształcenia zarówno smaku artystycznego, jak i całego sposobu myślenia obyczajowego i politycznego.“ Tak się o nich wyraża Natan Drake.

Świetném zamknięciem okresu są dwie kolosalne postaci: Daniel Defoe (autor nieśmiertelnego dzieła *Robinson Krusoe*), którego sam żywot przedstawia w sobie niemal coś epopeicznego i z prawdziwą werwą jest tu odmalowany, — tudzież Jonatan Swift, książe humorystów, dotąd jeszcze żadném piórem niedościgniony. Słusznie powiada Hettner, że najlepszym probierzem wartości jego *Podróży Gulliwera* jest to, że zachowały one cały urok aż do dzisiejszéj chwili, choć czas zatarł barwę na rozrzuconych tam osobistych napomknieniach i aluzyach.

* * *

Z początkiem drugiéj ćwierci XVIII wieku dzieje Anglii wstępują w pełnią dojrzałości społecznéj, politycznéj i literackiéj, przed którą najobojętniejszy widz czoło pochylić musi. Niedziw więc, że i w opowiadaniu autora, tak zakochanego w swoim przedmiocie, co chwila czuć się daje wrażenie wielkości. Na scharakteryzowanie głównych działaczy tego okresu już pędzel mu nie wystarcza, i zastępuje go dłuto. Bolingbroke, Stern, Adam Smith, Thomson, Richardson, Goldsmith, nawet Samuel Johnson, tak dziś zapomniany, są to bohatérowie zaiste godni rzeźby, od których cień rozłożył się przestrono na czasy przyszłe.

Okres ten przedstawia widok rozgałęzień i głębi i rozsuwania się sprzeciwieństw na wielką skalę.

I tu więc spotykamy powtórzone też działy pojedyncze: umiejętność i poezyą, ale w nieskończenie wydatniejszém uczłonkowaniu. I tak: z etyki jakoby z pnia głównego wychodzi nowa odrośl—estety-

ka psychologiczna, nietylko wysnuwająca teorye piękna niezależnie od systemów stałego lądu, ale owszem nadająca kierunek teoryom niemieckim (Burke, Gerard, Home). W filozofii znowu mamy tu: religią naturalną i filozofią moralną (Tyndal, Morgan, Chubb), a wreszcie lockianizm rozwinięty materyalistycznie (Hartley, Priestey). Obszerniejszy ustęp zajmuje „krytyka S. Johnsona," po którym następują ogniwa zwrotu ku samorodnéj twórczości na gruzach klasycyzmu.

Z poetów autor również udatny zrobił wybór, umieszczając na czele romansistów Richardsona, nad którym długo i z gorącą sympatyą zatrzymuje oko; za nim mamy romans komiczny Fieldinga, Goldsmitha, Smolletta i rysunki satyryczne Hogartha, romans humorystyczny Stern'a. Z tego powodu czytamy tu ciekawą wycieczkę autora w kwestyi o „humorystyce" (str. 39—40). Pod dramatem mamy Jerzego Lillo, Edw. Moora, Cumberlanda, Garricka, Goldsmitha i Sheridana; w dziale liryki i eposu występuje Thomson i Young; a wreszcie po wzmiance o tak zwanéj *Forgery* (Kuźnia, t. j. podrabianie mniemanych starożytności), Cowper i Burns zamykają ostatnią część znakomitéj pracy Hettnera.

Najgłówniejszą jéj zaletę stanowi ścisłe utrzymanie od początku do końca wątku genetycznego, szczęśliwe pochwycenie łączności pomiędzy dwoma czynnikami postępu: umysłowością i ruchem form państwowych w Anglii. Nie utrzymujemy bynajmniéj, aby autor pominął w tym przeglądzie którąkolwiek z imponujących osobistości. Jednakże nie zbytecznem będzie zwrócić uwagę czytelników na pewne punkta, zdaniem naszém, zasługujące na zaznaczenie. Mamy tu na myśli Akenside'a, Shenstone'a, Younga, oraz jedną ze stron dopełniających charakterystykę Smollett'a.

Marek Akenside chronologicznie wchodzi całym żywotem swoim w ramy okresu Jerzych, rodzi się bowiem 1721 r., a zgon jego zbiega się w zupełności z rokiem zamykającym ten okres u autora († 1770). Co do ducha, jako najgorliwszy bojownik, dotrzymujący pola w obronie wyobrażeń starego porządku, klasyczny jak nikt, wyjąwszy chyba Miltona, z którym spokrewnia go także purytański duch opozycyi,— Akenside jednakże dwoma znamionami zachodzi w sferę nowych prądów: nastrojem idealistycznym i poetyckiém zamiłowaniem przyrody. Pod tym względem wysoko stawiamy jego obszerny poemat p. t.: *Rozkosze wyobraźni* (*Pleasures of Imagination*).

Gorącą też jest jego pieśń p. t.: *Filipika Brytańska* (*the British Philipic*), napisana w 17 roku życia poety, powodem: zniewaga wyrządzona Anglii przez Hiszpanią, w chwili kiedy właśnie czyniono przygotowania do wojny. Już tu Akenside staje z gotowym programem, jakiego trzymać się miał przez całą przyszłość: „honor ojczyzny, autonomia ducha i osoby, opieka nad zgnębionymi—oto moje godła!"

I, rzecz dająca wiele do myślenia, człowiek, dla którego nie zdawała się przygnębiającą bezwarunkowa zależność od klasycyzmu starożytnego, wzdrygał się na widok smaku francuzkiego, który był

owładnął sceną. Z powodu przybycia do Londynu trupy francuzkiéj w r. 1749, wygłosił w teatrze królewskim piorunującą odę p. t.: *Głos przestrogi od Szekspira*, w któréj pomiędzy innemi, tak przemawia do zfrancuziałych potomków: „Jeżeli, pamiętając o ziemi ojczystéj, raczycie jeszcze rozumieć mowę starego Szekspira, oto z błogosławionych przybytków, jakiemi niebo nagradza mędrców budujących ducha a bardów niepokalanych, zstępuję do was ja (Szekspir), starożytny założyciel sceny, ze słowem przestrogi. Przebóg! prawdażto, że przejmując się stopniowo wzgardą ku żywiołom rodzimym, chcecie zedrzeć z mojéj skroni wieniec laurowy, a ukoronować nim współzawodników sławy naszéj ojczyzny? Nie, mężowie Anglii! dla upiększenia życia marnemi barwidłami, nie pożyczajcie wy sromotnych nauk od téj rasy chełpliwéj, którą straszliwe fatum, którą sędzia losów ziemi na to przeznaczył, aby i na polu bitwy, i na wiecach, i w zawodzie sztuki wrogiem była waszym“ (księga II, oda 1). Co zaś w jego *Rozkoszach wyobraźni* szczególniéj chwyta nas za serce, to wpół jeszcze senne przedchwyty odrodzenia się w przeczystéj duchowości, odgrzebania popiołów upadłego platonizmu, owéj iskierki, którą, przed wiekiem już prawie, nasz Kochanowski odświeżył był widnokrąg, kiedy opisawszy majestat rzeczy widomych, dodaje: „takim to jest świat ziemski, a cóż dopiero być musi tam,

gdzie nasze oczy
Dosiądz nie mogą? gdzie myśl, która niebem toczy,
Gdzie sama piękność świeci i *kształty* wszechrzeczy?
Nie może tego pojąć mdły umysł człowieczy.

Również za właściwe uważamy wspomnieć dodatkowo o poważnéj osobistości trzeciego okresu: o Wiliamie Shenstonie.

Shenstone (urodzony r. 1714 † 1763) był w swoim czasie jednym z najpopularniejszych poetów. W jego utworach idylicznych czuć dotknięcie czarodziejskiéj dłoni Spensera, poprzez dwa oddzielające ich stulecia. W najpowabniejszym może ze wszystkich poemacie swoim: *Ochmistrzyni* (*The Schoolmistress*) sam zapowiada naśladowanie mistrza XVI wieku, tego, powiedziéćby można: Kochanowskiego Anglii. Ton i układ poematu, jego posągowy dziewięciowiersz, urok melodyi, wymownie pokazują, pod czyim był wpływem Shenstone. Co ważniejsza, w okresie klasycyzmu, wysilającego się ostatecznie na ocalenie wszechwładztwa, które wkrótce runąć miało, Shenstone, obok hołdu Apollinowi, obok nieustannych umizgów do Fillidy, zbacza chwilami do ballady. Na nieszczęście, serdeczne te instynkta dalszéj drogi torować sobie nie śmiały, i zagasły pod mitologią grecką, moralizmem i dydaktyką. Ocalała jedna tylko ze sprężyn zbliżającego się odrodzenia: duch zamiłowania przyrody. Shenstone rozkrzewiał nawet praktycznie to zamiłowanie, bo utworzył i wprowadził nowy styl urządzenia ogrodów w stylu narodowym, usuwając styl francuzko-włoski i holenderski. *Ochmistrzyni* jest wyrazem téj idei. Zacna, domoro-

sła bohatérka, zna każde ziółko i kwiatek i roślinę w swojém rajskiém zaciszu, o każdym bławatku, balsaminie, nagietku, bluszczyku, umié coś powiedzieć. Doprawdy, doznajemy tu wrażenia przedwstępu do Mickiewiczowskich opisów, majestatycznie spokojnéj melodyi i harmonii kwiatu i roślin. Niéma tu jeszcze tak upragnionéj dla naszego stadyum podmiotowości, niéma symbolu, ale jest zdrowa i czerstwa wonność natury. Na „pierwiosnek" jeszcze to było zawcześnie.

W *Sądzie Herkulesa* (*The Judgment of H.*) Shenston wpada znowu w nieubłaganą moralistykę; Pany, Alcydy i Filomele wracają znowu na porządek dzienny. Ale w każdym razie oszczędniejszym jest nasz poeta w aluzyach arkadyjskich i olimpijskich od klasyka czystéj wody, Akenside'a. Nic rzewniejszego, jak jego ballada *Jemmy Dawson*, któréj bohatér serca ginie, jako ofiara wstrząśnień państwowych. Usłyszawszy wyrok śmierci na swego oblubieńca wydany, Jemmy zwraca się z błaganiem do króla: „o Jerzy, władzco mój! gdybyś tchnął miłosierdziem, gdybyś go ocalił, ach! jabym nigdy nie kończyła pacierzy bez modlitwy za ciebie."

Teraz słów kilka o ocenie Younga. Hettner za główną—prawie za jedyną podstawę sławy Younga uważa jego *Rozmyślania nocne*. Nic nad to sprawiedliwszego. Może jednak nazbyt solidaryzuje się Hettner z owém zdaniem Johnsona co do tragedyi Younga że: „wolno jest o nich zamilczéć, gdyż i publiczność nigdy o nich nic nie mówiła." Prawda, że *Zemsta* (tragedya z dziejów hiszpańsko-afrykańskich) grzeszy najistotniejszą wadą: luźnością węzła intrygowego. Wprawdzie podstępny Maur, Zanga, mocno jest skopiowany z Jaga (w *Otellu* Szekspira); knowania, jakiemi zamierza on zburzyć spokój swojego pana, z którym ma krwawe rachunki z przeszłości, knowania te rzeczywiście nie wiele są mocniejszemi w zawiązku od siatki pajęczéj; ale intryga raz zadzierżgnąwszy się, snuje się już daléj energicznie.

Zanga, były książę, syn władzcy afrykańskiego, dziś niewolnik Alonza, spoliczkowany przez niego, poprzysiągł zemstę; i rzeczywiście owoce intrygi do jakich w końcu dramatu dochodzi, są arcydziełem *Zemsty*. Tak między innemi ostatnia scena, a mianowicie głos Zangi nad zwłokami Alonza, (który się przebił z rozpaczy po odkryciu niewinności żony) powinienbył w oczach krytyka posłużyć za odkupienie dość licznych wad téj tragedyi. W akcie piątym scenie pierwszéj, scenie czwartéj tegoż aktu, Young jest wprawdzie naśladowcą Szekspira, ale naśladowcą genialnym, jeśli tak wyrazić się wolno.

Autor nasz uważa i ocenia Smoletta głównie jako pisarza romansów i w tym charakterze porównywa go z Fieldingiem, jego poprzednikiem. Przyznając Fieldingowi wyższość artystyczną nad Smollettem, w nim zato podnosi bogactwo i dosadność malowidła. „Drastyczność i prawda, mówi Hettner (str. 336), rysy znamienite, które po dziś dzień tak korzystnie odróżniają romans angielski od romansu wszystkich narodów, dostrzegać się dają już u Fieldinga; daleko wszakże wyraźniéj występują u Smolletta. Zwłaszcza w malowaniu życia

na morzu wszyscy nowsi poeci mogli się od niego wiele nauczyć. Romanse jego, zwłaszcza trzy najsłynniejsze: *Random*, *Peregrine Pickle* i *Humphry Clinker* wraz ze wszystkiemi osobistościami, wypadkami i okolicznościami, zostały zaczerpnięte z przygód samego poety.

Pozwalamy sobie wszakże jednego pociągnięcia pióra dla dopełnienia charakterystyki Smolletta w okresie trzecim. Jeżeli Smollett jest utwórcą wybornych romansów, jest on przytém znakomitym poetą lirycznym. Hettner słusznie zaznacza ten fakt, że „Smollett pochodził ze znakomitéj rodziny i że przeciwieństwo pomiędzy nim a Richardsonem, otrzymuje przez to głębsze tło dziejowe." Otóż ten objektywny warunek, ważny w zawodzie ówczesnego powieściarza, jako apostoła wyobrażeń towarzyskich, religijnych, lub politycznych; warunek ten może silniéj jeszcze zaważyć na szali, skoro zużytkowanym zostaje z wysokości poezyi. Powołujemy się na jeden fakt, który nam wypowie zarówno jaskrawo obywatela jak i poetę.

Kiedy pod Culloden Szkocya została złamaną w wojnie domowéj, z rozkazu księcia Cumberland rzucono na nią straszliwe klęski i okrucieństwa: Smollett pochodził z rodziny szkockiéj, zaszczytnie znanéj i starożytnego imienia; tam się wychował, tam wykształcił. Czyn tedy księcia nie mógł ujść bezkarnie przed sądem ducha poety: Smollett w uczuciu zgrozy i boleści napisał elegią p. t.: *Łzy Szkocyi* (*Tears of Scotland*), w sześciu strofach, którą niżéj przytaczamy, a za którą człowiek innego rodu i stanowiska mógłby być zmuszonym do długiego milczenia. Tymczasem dawane mu ostrzeżenia o przypuszczalnych skutkach, bynajmniéj nie przejęły go trwogą; owszem, dodał jeszcze siódmą strofę. Oto jego pieśń zgrozy na owoce wojny domowéj, w odręcznym przekładzie; wszędzie tu domyślać się należy imienia Cumberlanda.

*Łzy Szkocyi.*

(elegia z roku 1746).

Płacz Kaledonio, płacz o! nieszczęśliwa:
On skruszył twego spokoju ogniwa,
Starł przenajświętsze wawrzyny;
Głośne ze zwycięztw przed ludy wszystkiemi,
Krwią zbroczone twoje syny
Zwłokami kryją pierś rodzinnéj ziemi.
Dach twój gościnny w opiekuńcze progi
Już nie zawabi przychodniów zdaleka;
Gruzy się bielą i dymy pożogi:
Pomnik sromotny dzikości człowieka!

A smutny dziedzic spogląda zoddali,
Jak bój pochłania gniazdo w krwawéj fali:
Wspomniał na matkę, na żonę, na syna
I piersi szarpie i żywot przeklina;
Głodna pasterka ucieka na skały

Gdzie wczoraj stada jéj, trawkę szczypały;
Jęczą twe branki, Kaledonio święta,
Giną mdlejące w stepie niemowlęta.
Cóż, że synowie będą rozsławieni
Po wszech granicach wieków i przestrzeni?
Że do prawnuczéj wieści się dochowa
Niepokalana twoja cześć marsowa?
Złamano w tobie olbrzymiego ducha,
Kark przykuto do łańcucha:
Ach! i nie horda najezdniczo zbrojna,
Nie: bratobójcza zgubiła cię wojna.
Baśń dawna, piosnka przy pastuszym flecie
Nie rozweselą cię o skwarném lecie;
Nocy zimowych, ni to gra wesoła,
Ni gwar rodzinny rozjaśnić nie zdoła;
Zamilkły śpiewy, tylko gdzieś tułaczy
Snuje się pobrzęk wspomnień i rozpaczy,
Tylko po nocach, przez parów zielony
Widem wybladłe koczują legiony.
Ha! wszak na ciebie, o! dniu wiarołomny
Już tam z przekleństwem czeka wiek potomny.
Wszak brat na brata kuł miecze ze stali,
Ojcowie, dzieci swych krew przelewali...
Ucichł bój—wrzawy ustały złowieszcze:
Wściekłość zwycięzcy nie ostygła jeszcze;
Jeszcze nad nagim i głodnym wciąż sterczy
Mściwych płomieni snop i miecz morderczy.
Na śmierć skazana, w burzliwą zadymkę,
Matka po wrzosach odbywa pielgrzymkę;
Gdzie skroń jéj wiatry smagają i słoty,
Chleba wołają zgłodniałe sieroty;
Tak noc za nocą, mrok zapuszcza sieci
Na biedną matkę i łaknące dzieci,
Aż się pod mroźném niebem rozciągniona
Nad dziatki mdłemi zapłacze i skona.
Nie—póki ciepła krew bije tu w łonie,
Póki szaleństwo myśli nie pochłonie:
Nigdy, za wiary i czci stratowanie
Zemsta w synowskiém sercu nie ustanie;
Niech on wysila się na sprosne czyny,
Ja śpiewać będę: „płacz, płacz, nieszczęśliwa!
On stargał twego pokoju ogniwa,
Starł przenajświętsze wawrzyny."

Odważyliśmy się na przydłuższą nieco wycieczkę do Smolletta, w ossyaniczny świat owéj górskiéj poezyi, z któréj tyle nabrano pereł do dyademu poezyi angielskiéj. Ale nie takto łatwo oderwać się od

wrażeń cudownego obrazu, któremu i nasz autor nie szczędzi hołdu, zamykając wspaniałą opowieść swoją. Ostatnią bowiem postacią w jego książce jest najzdolniejszy, najsympatyczniejszy poeta, Robert Burns, prosty wieśniak szkocki, w którego pieśni pod rosą ducha ludowego odmłodniała poezya angielska. Powtórzymy tu zdanie autora wraz z kilku dźwiękami trenu Burnsa nad zmarłą oblubienicą, w godnym pierwotworu przekładzie p. M. Gawalewicza:

„Zakres, w którym Burns się obraca, nie jest rozległy. Ale wszędzie spotykamy się z jasném i baczném okiem rześkiego dziecięcia wiejskiego. Miłość, górska natura i swoboda, która się tu iście patryarchalnie objawia, jako tęsknota za przywróceniem dziedzicznych Stuartów: oto i wszystko" (str. 379).

„Rym i rytm Burns'a, jak mówi Carlyle, nietylko do muzyki nagina się, ile raczéj jest już samą muzyką. Wszędzie, gdzie tylko żyje mowa angielska, rozlegają się piękne jego pieśni. Na nim wspierają się i Walter Scott i Tomasz Moore, szkoła jezior, nawet Byron i Shelley. Dopiéro od jego czasów można znów mówić o prawdziwéj liryce angielskiéj."

*Do Maryi wniebowziętéj.*

Ty blada gwiazdo za obłokiem,
Poznaję cię, posłanko dnia —
Świeciłaś równie tak przed rokiem,
Gdy umierała Marya ma.
O! drogi cieniu ukochanéj,
W światłości niebios gdzieżeś ty?
Czy słyszysz tam mój głos złamany?
Czy widzisz méj tęsknoty łzy?
Jakże mi dziś przez wszystkie smutki
Ostatniéj schadzki świeci dzień!...
Ten nad rzeczułką gaj cichutki
Pełen rozkosznych wiosny tchnień.
Jakże mi w duszy dotąd płonie
Ostatni pocałunek nasz;
Gdym z pożegnaniem ściskał dłonie,
Ostatni, ach! ostatni raz.

Z wysoką rozkoszą naukową i pożytkiem czyta się dzieło Hettnera; sumienny, życia pełny jego wykład, oprócz bezpośrednich zalet, wyświadcza nam jeszcze tę przysługę, że sięgając samego korzenia genezy nowoczesnego piśmiennictwa w Anglii, zaopatruje nas w klucz do wielu jego, dotąd ciemnych dla nas piękności. Obszerne wyjątki z najcelniejszych pisarzy, wyborne przekłady wierszem, podawane w odsyłaczach wiadomości o tłómaczeniach polskich, wreszcie wzorowe pod względem stylu spolszczenie, w zupełności uzasadniają *naczelny napis* w niniejszéj publikacyi: krzesło kurulne najsłuszniéj się jéj należy.

*F. Jezierski.*

## Z DZIAŁU EDUKACYJNEGO.

*Algebra*, przez G. H. Niewęgłowskiego profesora matematyki w Paryżu. Część pierwsza zawierająca algebrę elementarną. Paryż. Nakładem właściciela biblioteki kórnickiéj, przewodniczącego w Towarzystwach naukowéj pomocy i nauk ścisłych w Paryżu, 1879 r.

Dzieło to, znanego i zasłużonego pracownika na polu pedagogicznéj literatury matematycznéj, z 893 stronnic in 8-vo złożone, zawiera w sobie kurs algebry, wykładany w szkołach średnich. Składa się ono z dziesięciu rozdziałów i czterech not (przypisów), podzielonych na pięćset kilkanaście paragrafów. Oto tytuły rozdziałów: wiadomości wstępne i określenia, rachunek algebraiczny, równania pierwszego stopnia, zagadnienia pierwszego stopnia, o wyznacznikach, równania drugiego stopnia, maksymum i minimum niektórych wyrażeń, postępy i logarytmy, kombinacye i dwumian. W przypisach jest mowa o przenoszeniu wyrazów z jednéj strony równania na drugą, o metodzie granic, o pewnych własnościach liczb i liczbie cyfr okresów dziesiętnych, wreszcie o pierwiastkach równania stopnia drugiego w pewnym przypadku szczególnym.

Dzieło, pod względem układu, jako też sposobu i zakresu wykładu, jest zbliżoném do podręczników francuzkich. Obfitość zadań i zagadnień, szczegółowo w tekscie rozwiązywanych i roztrząsanych, czyni książkę bardzo użyteczną dla tych, co bez pomocy nauczyciela pragną wykształcić się w algebrze elementarnéj. Zaletę pedagogiczną książki stanowi należyta jasność i przystępność wykładu. Autor stara się o to, by w umyśle czytelnika nie pozostawić żadnéj wątpliwości i każdy wywód, każde działanie szczegółowo objaśnia. Staranność autora pod tym względem dochodzi często do drobiazgowości, czyniąc wykład niekiedy zbyt rozwlekłym. Tak np. przy rozwiązywaniu pojedyńczych zadań na równania, autor za każdym razem przypomina czytelnikowi, co i jak robić należy, chociaż po tém, co było poprzednio, każdy, najmniéj nawet uzdolniony czytelnik, sam sobie poradzić powinien. Takie ciągłe przypominanie i powtarzanie w książce, zdaniem naszém, zarzuconém być winno.

Nie mogąc tu rozpatrywać szczegółowo wszystkich rozdziałów téj obszernéj książki, zatrzymamy się nieco dłużéj nad początkowemi ustępami, ważnemi w książce do nauki szkolnéj, a następnie zwrócimy uwagę na wybitniejsze ustępy w innych rozdziałach,

Autor rozpoczyna w ten sposób: „w rozwiązywaniu zagadnień, aby ułatwić rozumowanie, przedstawia się ilości niewiadome, te, których się szuka, ostatniemi literami $x$, $y$, $z$ alfabetu i dla zogólnienia wyników oznacza się pierwszemi literami $a$, $b$, $c$, ilości wiadome, jakiemi są liczby, wyrażające rozmaite wielkości dane.” Po tych kilku

słowach następuje bezpośrednio zdanie: „Umiejętność ogólnych własności ilości i działań przedstawionych literami, stanowi część matematyki, która nazywa się *algebrą*." Zdaje się nam, że określenie to, zaraz we wstępie pomieszczone, bez wyjaśniających przykładów, zrozumiałém dla czytelnika nie jest.

Na stronnicy znów 7-éj autor rozwiązuje w pewien sposób proste zadanie arytmetyczne. „Znaleźć dwie liczby, których suma czyni 15 a różnica 9," dodaje, że użyty przezeń sposób rozumowania, stanowi tak zwaną metodę syntetyczną, na któréj stoi arytmetyka, a która gra przeważną rolę w geometryi; a o kilka wierszy niżéj podając drugie rozwiązanie tegoż zadania, przy pomocy prostego równania stopnia 1-go, autor nazywa tę metodę analityczną, dodając w przypisku: „metodą analityczną szuka się prawdy niewiadoméj, metodą syntetyczną dowodzi się prawdy wysłowionéj." Sądzimy, że to przejście od najprostszego zadania do ogólnego poglądu na metodę, jest za nagłém i dla czytelnika niejasném. Zbyt też pośpiesznie autor wyprowadza wniosek następujący: „Jak widzimy (?) ta metoda polega na przekształceniach wyrażeń algebraicznych, idąc od zawiłego aż do najprostszego, które jest szukaném rozwiązaniem" i dodaje, zbyt pośpiesznie znowu, o ile nam się zdaje, rzecz uogólniając, że „algebra jest umiejętnością przekształceń." Prawda to i piękna, ale potrafi ją zrozumiéć ten, co gruntownie poznał już zasady algebry elementarnéj i któremu nie jest obcą algebra wyższa.

Wprowadzenie ilości odjemnych do wykładu elementarnego jest, jak wiadomo, połączoném z trudnościami, z któremi walczyli nawet pierwszorzędni matematycy. Autor omija te trudności w sposób, który nie wydaje się nam dostatecznie umiejętnym i pedagogicznie uzasadnionym. Rozpoczyna on rzecz o ilościach odjemnych, mówiąc wprost: „Do rachunków algebrycznych wchodzą ilości, poprzedzone znakiem —, jako $-a$, $-ab$, $-3$, które nazwano ilościami odjemnemi" i następnie objaśnia rzecz na prostym przykładzie. Uczeń nie widzi tu żadnéj konieczności wprowadzenia nowych ilości, z jakiemi nie spotykał się dotąd jeszcze, a których potrzeby zrozumiéć nie jest w stanie. Wiadomo zresztą, że nie tyle potrzeby praktyki, ile teoryi, były powodem uogólnienia pojęcia liczby. Autor na rzecz tę nie zwraca dostatecznéj uwagi, mówiąc tylko, że „mnogie są przykłady użytku ilości odjemnych w rozmaitych gałęziach matematycznych, co popiera przykładami z mechaniki i trygonometryi, t. j. nauk nieznanych jeszcze czytelnikowi, zaznajamiającego się z początkami algebry. Nie jasnym też wydaje nam się ustęp następujący: „Ale nie trzeba myśléć, żeby ilości odjemne były koniecznie przeciwne dodatnym; nie szukając daleko i przestając na prostym przykładzie, powiemy, że jeden i ten sam kierunek przedstawia sieczną trygonometryczną dodatną albo odjemną według łuku." W ogóle cały ustęp o ilościach odjemnych wymagałby, zdaniem naszém, nieco staranniejszego opracowania.

Dalsze rozwinięcie działań nad ilościami odjemnemi nie jest dostatecznie powiązaném w całość. Czytelnik tylko z trudnością może wyrobić sobie jasne pojęcie o nowych ilościach. Zasady działań z wielomianami są wyłożone najprzód w założeniu, że te wielomiany mają wartość dodatną, potém dopiéro, w oddzielnym ustępie, zatytułowanym: „zogólnienie prawidła znaków," autor mówi, że „prawidło znaków, które objawia się samo w mnożeniu wielomianów dodatnych, nie daje się dowodzić dla ilości osobnych sposobem samoistnym, dlatego, że nie można *a priori* określić, co znaczy mnożyć przez ilość odjemną. Ale to prawidło nie jest dowolną ugodą, ani zależy od wartości wielomianów. Jest ono konieczną ustawą znaków mnożenia ilości algebrycznych, która się sprawdza. rozwiązując następujące zadanie..." I autor na przykładzie wykazuje konieczność téj, jak ją nazywa, ustawy. Nie pojmujemy, dlaczego autor twierdzi, że mnożenie przez ilość odjemną określić się nie da; dlaczego, wedle słów jego, nie przedstawia samoiście logicznego sensu. Jeżeli tylko wprowadzenie nowych ilości, przy pomocy pewnego ścisłego ich określenia, zostało należycie uzasadnioném, to można w sposób również ścisły określić działania z niemi, bacząc, by to określenie nie było w sprzeczności z własnościami działań na ilościach dawnych, albo, innemi słowy, można rozszerzyć określenie działań w ten sposób, aby to uogólnione określenie, obejmowało w sobie przypadek ilości dawnych i nowych. Taki jest charakter wszystkich uogólnień w matematyce.

Podobny charakter ma wprowadzenie wykładnika zero i wykładników odjemnych; tę rzecz autor przeprowadza jednak racyonalnie.

Dobrze jest wyłożonym ustęp o dzieleniu wielomianów. Pożytecznym téż jest ustęp o średniéj arytmetycznéj i średniéj. Rzecz o ilości nieskończenie wielkiéj, powinna być, zdaniem naszém, pomieszczoną w dalszych ustępach książki; podane tutaj rozróżnienie między zerem *względném* i zerem *samoistném*, z trudnością może być pojętém przez początkującego czytelnika.

Ogólne zasady rozwiązywania równań są wyłożone z należytém rozwinięciem i uzasadnieniem. Toż samo powiedzieć można o rozwiązywaniu równań stopnia pierwszego i układu takich równań. Rozdział ten należy do najlepszych w książce.

Pożytecznym są ustępy o nierównościach zwykle zaniedbywanych w kursach elementarnych.

Uznanie należy się autorowi za wprowadzenie do książki krótkich wiadomości o wyznacznikach. Teorya wyznaczników, stanowiąca obecnie niemal samodzielną gałąź algebry, ważna i pożyteczna w wielu badaniach matematycznych, znalazła ostatniemi czasy wstęp i do kursów elementarnych. U nas pan Niewęgłowski, o ile wiemy, pierwszy wprowadza ją do kursu elementarnéj algebry, podając niektóre początkowe teoryi téj twierdzenia, wraz z zastosowaniami do rozwiązań ogólnych równań stopnia pierwszego i opierając na tych wiadomościach dyskusyą rozwiązań ogólnych tych równań.

Równie szczegółowym i zupełnym jest wykład teoryi równań stopnia drugiego wraz z zastosowaniami, po których następuje rzecz o równaniach, rozwiązujących się przy pomocy równań stopnia drugiego i o niektórych równaniach, tak zwanych dwumiennych. Rozwiązanie układów równań stopnia drugiego, daném jest w przypadkach najprostszych, w mierze wystarczającéj jednak dla wykładu gimnazyalnego.

Zagadnienia stopnia drugiego ciekawie i trafnie dobrane, są podane wraz z roztrząśnieniem rozwiązań. Między innemi szczegółowo jest rozpatrzoném zagadnienie Pappusa: „przez punkt wzięty na dwójsiecznéj kąta prostego, poprowadzić sieczną tak, aby jéj część, zawarta między ramionami tego kąta albo ich przedłużeniami, miała długość daną."

Następuje rozdział „o *maximum* i *minimum* niektórych algebrycznych wyrażeń," zwykle opuszczany w podręcznikach elementarnych i nie wykładany w obowiązującym u nas kursie gimnazyalnym.

Po teoryi postępów, które autor *postępniami* nazywa, następuje teorya elementarna logarytmów, uważanych jako wyrazy postępu różnicowego, zaczynającego się od zera i odpowiadającego wyrazom postępu ilorazowego, rozpoczynającego się od jedności, —zwykle podawana we francuzkich kursach arytmetyki. Po zupełnym wykładzie teoryi téj i zastosowań logarytmów, autor podaje drugą zwykłą teoryę logarytmów, uważanych jako wykładniki. Sądzimy, że ta druga teorya byłaby wystarczającą i odpowiedniejszą w podręczniku algebry, i że autor zbytecznie powiększył rozmiary książki, rozwijając pierwszą z nich.

Ostatni rozdział traktuje o teoryi przemian, kombinacyi i waryacyi z zastosowaniami i o dwumianie Newtona dla wykładników całkowitych dodatnych.

Oto mniéj więcéj treść obszernéj książki, którą pan Niewęgłowski wzbogaca naszą ubogą literaturę pedagogiczno-matematyczną. Wskazane przez nas niektóre usterki, nie zmniejszają w niczém uznania, jakie się słusznie należy szanownemu autorowi za jego staranną i mozolną pracę, owocem któréj jest bardzo pożyteczna książka szkolna.

Dodajemy jeszcze, że słownictwo autora różni się w wielu razach od powszechnie używanego. Autor mówi: *postępnia* zamiast *postęp*, *stosunkowy* zam. *wymierny*, *odciąganie* zam. *odejmowanie*, *wieloczyn* zam. *iloczyn*, *wielownik* zam. *wielokrotna*, *niezredukowny* zam. *nieprzywiedlny*, *eskont rozumowy* zam. *eskont matematyczny*, *algebryczny* zam. *algebraiczny*, *wskaz pierwiastku* zam. *skaźnik pierwiastku* i t. p. Pisownia téż autora różni się niekiedy od pisowni będącéj w użyciu.

*Samuel Dickstein.*

*Teorya wyznaczników (determinantów).* Kurs uniwersytecki wyłożył Maryan Aleksander Baraniecki. Paryż. Nakładem właściciela Biblioteki Kórnickiéj, przewodniczącego w Towarzystwach Naukowéj Pomocy i Nauk Ścisłych w Paryżu. 1879, in 8-o, str. XXII i 600.

Nauka o wyznacznikach stanowi obecnie jeden z ważniejszych rozdziałów algebry. Prawdziwy rozwój téj nauki rozpoczyna się właściwie od Vandermonde'a (1771 r.), chociaż sam jéj początek zawdzięczamy jeszcze Leibnitzowi (1693). W ostatnich czasach literatura dotycząca wyznaczników, wzbogaciła się znacznie pracami wielu znakomitych matematyków, pomiędzy któremi w języku polskim zaznaczyć wypada prace pp. Babczyńskiego, Zajączkowskiego, Żmurki i Trzaski (Wł. Kretkowski).

W dziele, o którém mowa, p. Baraniecki założył sobie zebrać o ile możności wszystko, co dotyczy teoryi wyznaczników, ułożyć to w organiczną całość i utworzyć tym sposobem podręcznik dla młodzieży uniwersyteckiéj. Dwuletni (1876—1878) wykład tego samego przedmiotu, prowadzony w uniwersytecie Warszawskim przez p. Barancieckiego, pomógł mu w znacznéj części do wykonania tak zamierzonego celu. O ile jednak dobrze, a o ile źle wywiązał się p. Baraniecki z przedsięwziętego zadania, sąd o tém wydać stanowczy byłoby dzisiaj zatrudno; dopiero praktyka, któréj wyników przed upływem lat co najmniéj dziesięciu spodziewać się nie można, mogłaby w tym względzie zawyrokować dokładniéj.

Obszerność dzieła (str. 600) pokazuje już dostatecznie, że do napisania musiał być spożytkowany bogaty materyał; a jeżeli dodamy do tego brak jednostajności w rozrzuconych pracach, które służyły p. Barancieckiemu za materyał surowy, to przyjdziemy do jaśniejszego wyobrażenia o ogromie pracy, podjętéj przez autora w tak krótkim stosunkowo czasie. Pod tym względem należy przyznać z całą słusznością wielką zasługę p. Barancieckiego, bo pominąwszy już trudy około wyszukania i zebrania samych materyałów, potrzeba było ujednostajniać metody wykładowe szczegółów w nich zawierających się, co przy tak obszernem dziele wymagać musiało wiele zachodu. Tak więc *Wykład wyznaczników* p. Barancieckiego należy do dzieł najpracowiciéj wykonanych w literaturze matematycznéj polskiéj.

Pod względem obszerności, dzieło p. Barancieckiego przewyższa nawet podręczniki obce, o czém najlepiéj przekonywa spis treści rozdziałów, który tu przytaczamy.

Rozdział I. Określenie, rozwinięcie i zachowanie wyznacznika.—Rozdział II. Przestawienie w systemacie elementów wyznacznika rzędów równoległych.—Rozdział III. Rozkład wyznacznika według elementów rzędu. Szczególne przypadki.—Rozdział IV. Upraszczanie

i obliczanie wyznacznika.—Rozdział V. Mnożenie wyznaczników.—Rozdział VI. Rozkład wyznacznika według wyznaczników częściowych pewnéj kombinacyi jego rzędów równoległych. Dodawanie i odejmowanie wyznaczników. Szczególne rozkłady wyznacznika.—Rozdział VII. Różniczkowanie wyznacznika. Wyznacznik systematu dołączonego. Rozdział VIII. Wyznacznik układu równań liniowych.—Rozdział IX. Wyznacznik przekształcenia liniowego.—Rozdział X. Wyznacznik symetryczny.—Rozdział XI. Wyznacznik skośny. Pfaffian.—Rozdział XII. Wyznacznik funkcyjny. Dodatek I. O wyznacznikach sześciennych i wyznacznikach porządku wyższego.—Dodatek II. Zastosowania wyznaczników do geometryi (wyjątki z prac: Joachimsthal'a, Mertensa, Trzaski i Brioschi'ego).

Każdy z przytoczonych rozdziałów jest wyczerpująco opracowany, w wykonaniu czego autor nieszczędził sobie trudu, jak to widoczne z przypisów świadczących chlubnie o jego erudycyi. Często nawet ta chęć wyczerpywania przedmiotu przechodzi w przesadę i wtedy autor stając się zbyt drobiazgowym, robi swe dzieło miejscami nużącém dla czytelnika i być może z tego powodu mniéj jasném dla umysłów niedostatecznie przywykłych do rozumowań matematycznych. Pomimo téj staranności, nie ustrzegł się autor pewnéj nieścisłości w paru miejscach. Lecz czy istnieje dzieło ludzkie wolne od błędu? Dlatego téż zarzutu z tego powodu p. Baranieckiemu nie robimy, ale przeciwnie przyznajemy mu wielką zasługę za wykonanie pracy, trudnéj przedewszystkiém ze względu na swój ogrom.

Warszawa, dnia 11 stycznia 1880 r.

*W. Gosiewski.*

---

## *Biblioteczka ludowa.*

Pod powyższym tytułem księgarnia Gebethnera i Wolffa rozpoczęła pierwsze w tym rodzaju wydawnictwo. Ma to być bowiem w sześciu książeczkach streszczenie i wybór całéj rodziméj literatury naszego ludu, uskuteczniony przez Zygmunta Glogera, a przeznaczony zarówno dla klas wszystkich, przedewszystkiem jednak dla ludu. Materyał do tej pracy znalazł się obfity, bądź w dziełach Wojcickiego, Paulego, Wacława z Oleska, Konopki, Kolberga i wielu innych, bądź po czasopismach rozrzucony, bądź przez Glogera w różnych okolicach kraju zebrany.

Najpierw nakładem firmy wzmiankowanéj wyszły *Starodawne dumy i pieśni.* Książeczka ta na 152 stronicach, obejmuje 112 klejnotów poezyi starodawnéj gminnéj a właściwie narodowéj, bo cóż może być więcéj narodowego nad płody umysłu, który nie wykarmił się na wzorach zagranicznych. Są tam wybrane zpośród niezliczonych

waryantów te pieśni, w których zachował się najczystszy język, najcharakterystyczniejsze pojęcia i najpoetyczniejsze wyrażenia. Niektóre pieśni są nieznane w innych zbiorach a ważne dla etnografii. Tak np. spisana przez Glogera w Tykocińskiem (nr. 43) zaczynająca się od słów „A w sadeńku dwie drożeńki a trzecia miedza," przechowała się także dotąd na oazie słowiańskiéj wśród morza germanizmu u Serbów łużyckich, co daje świadectwo jéj odległéj starożytności.

Druga z kolei wydana książeczka obejmuje *Krakowiaki*, to jest 657 śpiewek ludu krakowskiego, zebranych ze źródeł etnograficznych i własnych notat przez Glogera, który powiada we wstępie: „Nad brzegami płowéj Wisły, w pięknych dolinach Chrobacyi a w sercu staréj Słowiańszczyzny, wykwitła najbujniéj pieśń wesela i miłości. Pieśń ta przy krótkiéj formie uderzająca żarem uczuć, głęboką znajomością serca ludzkiego, żywém obrazowaniem, szczerością, dowcipem staropolskim, siłą słowa i dosadną melodyą, zajmuje wybitne stanowisko w samorodnéj literaturze ludów słowiańskich. Krakowiak rozbrzmiewał ongi zarówno w zamku pańskim jak dworcu szlachcica, domu mieszczanina i chacie kmiecia, ą rozplenił wśród ludu wszędzie jako piasek w morzu i gwiazdki na niebie."

Trzecia książeczka mieści w sobie *Kujawiaki*, *mazurki*, *wyrwasy*, *i dumki pomniejsze* w liczbie 180. Jest tu serdeczna wesołość przeplatana rzewnym smutkiem, po okrzyku tanecznym żal za swobodą i krasą dziewiczą, poetyczne myśli splatają się z westchnieniami tęsknoty lub niedoli. A w tém wszystkiém mnóstwo klejnotów czystéj wody i wszystkie uczucia wykołysane z krwi i kości nad falami modrego Gopła i na zielonych niwach Mazowsza.

Czwarta książeczka *Biblioteki ludowéj* zawiera kilkanaście *Baśni i powieści*, mających przedewszystkiém znaczenie moralne a wybranych lub skompilowanych z tysiąca klechd i legend starodawnych, drukowanych już dawniéj lub nie drukowanych nigdzie.

Jak słyszeliśmy, to w mającéj wyjść piątéj książeczce Gloger zebrał i uporządkował *pieśni weselne*, stanowiące piękny poemat z życia rodzinnego przodków naszych, pełen scen rzewnych i dramatycznych. W książeczce szóstéj, która ma zamknąć cykl utworów ludowych, pomieszczone zostaną, *gry i zabawy*. Tu więc znajdą się opisy i odwieczne śpiewy sobótkowe, dożynkowe, przy rozmaitych zwyczajach dorocznych i tradycyjnych zabawach ludu używane.

Biblioteczka ludowa ma ważne przeznaczenie. Dla oświeceńszych ma służyć jako podręcznik do poznania staréj rodzinnéj literatury. Lud ma ujrzeć w niéj sumę rodzinnych estetycznych pojęć, czysty język starodawny i cały obraz własnéj poezyi idącéj dziś u mędrków przebierających się w paltoty i tużurki, w pogardę i zapomnienie. Książeczki, które sprzedają się oddzielnie po cenie bardzo umiarkowanéj, służyć mogą za najlepszy dla czeladzi i prostaczków podarek. Dziś właśnie kiedy chodzi o uczciwe, powszechne zasłonienie ludu przed paczącemi się pojęciami o moralności, o prawie własności i przy-

rodzonych stosunkach społecznych, *Biblioteczka ludowa*, jako pokarm najzdrowszy, domowy, nawracający umysł ku pojęciom etycznym, ku poezyi ginącéj, ku czystéj, zacnéj uczuciowości serca i tradycyjnej miłości Boga i ludzi, spełnić może przy współdziałaniu ludzi dobréj woli, ważne, zacne zadanie obywatelskie. Szczęść jéj Boże!

X.

---

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

## NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

## WARSZAWA.

*Styczeń 1880 r.*—W Poznaniu nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i spółki, wydaną została książka, prawdziwą rzadkość dziś stanowiąca: *Zygmunt Krasiński. Grób rodziny Rejchstalów.* Powieść oryginalna z dziejów wojny trzydziestoletniéj, 1880 r. Wydawca p. B. T. prawdziwą wyświadczył przysługę naszéj społeczności, składając jéj do rąk niejako nową książkę, bo rzeczywiście za taką prawie uważać ją można wśród młodego pokolenia. Jeżeli z zapałem rozchwytywano kartony, pozostałe po wielkich malarzach, tedy niewątpliwie ciekawemi są i kartony poetyckie. Przyszły wieszcz zamierzając napisać tę powieść „miał zaledwie lat 15," t. j. małoco był starszym niż Bajron w chwili tworzenia rzewnéj elegii, na widok byłego gniazda swojego. Im wcześniejszy utwór, tém więcéj przedstawia interesu dla czytelnika, doszukującego się genezy talentu. Przytém *Grób rodziny Rejchstalów* podobno był drugim utworem Zygmunta Krasińskiego. Nie powiemy, aby ta powiastka (stronnic 88) zapowiadała ów przeciętny kierunek, jaki się z późniejszych arcydzieł wieszcza naszego wyformułować daje. Owszem, jeżeli poza obrazami opowiadania można tu wypatrzyć skazówkę jakiéj przedmiotowości ducha, to będzie ona raczéj natury ujemnéj, raczéj będzie zapowiadać poetę krytycyzmu i przeczenia, aniżeli geniusz pokoju i wszechmiłości. Piszemy się na to zdanie wydawcy p. B. T., że znajdują się tu już ustępy i myśli, które zapowiadają przyszłego twórcę Irydyona. Zwracamy uwagę czytelnika na pewien fakt, który posłuży nam za wskazówkę, pod jakiemi to wpływami rozpocząć się mogły dzieje rozwoju poetyckich zdolności pieśniarza: oto z jedenastu rozdziałów téj powieści, w pierwszych pięciu godła brane są z Mickiewicza (ze *Switezianki*, z sonetów, z *Grażyny* i w. i.). Co szczególniéj uderzyć musi czytelnika w utworze, sięgającym zaledwie dopiéro pierwiosnkowego okresu przyszłego

mocarza, to wyjątkowy nad wiek objektywizm, fakt niesłychanie rzadki w psychologicznym porządku rzeczy!

Na dowód, pomiędzy innemi, prosimy czytelnika o wpatrzenie się np. w opis nastroju duszy Wallenstejna, w chwili, kiedy nic nie wiedząc o krwawéj katastrofie na uczcie Butlera, zatapia się w obrazach majestatu, jaki go czeka po strąceniu Ferdynanda: „Dumne widoki, obrazy sławy i nieśmiertelności stawiała mu gorejąca wyobraźnia. Już lud i kapłani, witając go z drżeniem, stali u stóp zwycięzcy" i t. d. (str. 83, 84). W samém znowu zakończeniu mamy wymowne napomknienie o nadziei i wierze w metafizyczną przyszłość istoty ludzkiéj, którym na chwilę w sercu swojém zachwiać się nie dozwolił. „Już dzisiaj niéma na wzgórku domu Rejchstalów. Ale mieszkańcy Ery twierdzą, że grób ich rodziny zachowuje się dotąd we wnętrzu ziemi i że tam Adalbert, otoczony rodziną we śnie śmierci, oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnią."

— Stanisława Wegnera: *Życie literackie w starożytnym Rzymie.* Lwów. Nakład księgarni N. Kamieńskiego i spółki, w Poznaniu 1880 r. Nie znaczna objętością (str. 29), ale na wyjątkową specyalność swoję obszerna monografia ta ma za cel wytłómaczenie, w jaki sposób dzieła pisarzów starożytnych, bez pomocy druku, dochodzić mogły do upowszechnienia i rozgłosu wśród ówczesnéj publiczności. Środkiem zastępującym druk były odczyty. Autorowi słusznie daje wiele do myślenia ta okoliczność, że Rzym tak ogromną wydał literaturę i o równie olbrzymie rozpowszechnienie jéj płodów postarał się, gdy tymczasem literatura i bogactwo książkowe innego wielkiego narodu, Chińczyków, którzy już w owym czasie znali drukarstwo i w użyciu je mieli, dotąd jeszcze pozostaje w niemowlęctwie.

— Ograniczamy się tymczasowo na wzmiance o pracy p. Stanisława Grabowskiego, o tragedyi Eurypidesa *Medea*, przełożonéj wierszem miarowym. Eurypides najmniéj u nas jest znanym z trzech wielkich tragików greckich. Przekład więc, dokonany piórem tak gorliwego czciciela starożytności, jak p. Stanisław Grabowski, jest faktem zasługującym na uwagę. O wartości jego, w stosunku do pierwotworu i do sztuki wogóle, późniéj pomówimy.

— Zaszczytnie znany z literackich utworów swoich, Pr. Bronisław Grabowski, współpracownik naszego pisma, wydał pięcioaktowy dramat: *Królewicz Marko*, osnuty na podaniach południowo-słowiańskich z wieku XV-go. Warszawa, 1880 r., druk Ungra. Autor przypisał go Strossmayerowi, biskupowi bośniackiemu i sriemskiemu w Djakowie. Utwór ten, świadczący o poważnym wzroście talentu autora i gorliwie prowadzonych studyach w obranym kierunku, zasługuje na obszerniejszą ocenę, któréj téż podać nie omieszkamy.

— W swoim czasie zwróciliśmy już uwagę czytelników, na zamierzoną, wysokiéj ważności publikacyą: *Słownika Geograficznego.* Pierwszy jéj zeszyt, który nie wątpimy, znajduje się w rękach każde-

go miłośnika tak żywotnego działu wiadomości, daje wymowne świadectwo o godném pojęciu zadania przez wydawcę i sumiennem wykonaniu. Obok wyczerpująco rozległych artykułów, dotyczących miejscowości historycznych (jak np. Babin i t. d.), spotykamy tu wiadomości o możliwie wszystkich miasteczkach, wsiach i osadach kraju, w których niejeden z czytelników przypomni sobie z uczuciem rzewności gniazdo urodzenia swego. Ponawiając gorące wezwanie do popierania téj publikacyi, pozwalamy sobie powtórzyć tu głos jéj kierownika, w którym ponownie zaprasza czytelników i korrespondentów, aby mu podawali, każdy ze znanéj sobie sfery, materyały (opisy gruntów, jezior, rzek, lasów, stawów i t. p.).

„W połowie grudnia, mówi p. Filip Sulimierski, gdym już miał wydrukowane trzy arkusze pierwszego zeszytu *Słownika Geograficznego*, posłałem je pod opaską do Drezna, Czcigodnemu Jubilatowi J. I. Kraszewskiemu, w téj myśli, żeby je przedstawić najpierw Mężowi, którego niespożyte zasługi literackie i obywatelskie czyniły najodpowiedniejszym do pobłogosławienia swoją ręką dzieła, podjętego i wykonanego w duchu literackich i obywatelskich potrzeb ogółu. Nie zawiodła mnie nadzieja. W dniu 28 grudnia otrzymałem z Drezna list, a w nim następujące wyrazy, które tu z chlubą powtarzam:

*Drezno, 26 grudnia.* „Wczoraj odebrałem z łaski pańskiéj pierwsze arkusze tak pożądanego *Słownika Geograficznego* i śpieszę z wyrazami wdzięczności, wielce uszczęśliwiony, że ta olbrzymia praca już na świat wyszła. Można jéj Panu Dobrodziejowi z całego serca powinszować: brakło nam jéj, będziemy winni Panu ten nadzwyczaj ważny materyał dla wszystkich. Z najszczerszém: Szczęść Boże, pełen szacunku, sługa wierny *J. I. Kraszewski.*"

Przytaczając te słowa, pisane ręką najznakomitszego z naszych nietylko powieściopisarzy, ale i krajoznawców spółczesnych, nie mogę, zwłaszcza w chwili, gdy pierwszy zeszyt *Słownika* wyszedł już zpod prasy, nie mogę się wstrzymać, żeby nie złożyć na tém miejscu wyrazów wdzięczności panu Władysławowi Walewskiemu, obywatelowi z okolic Kutna, który przez spółudział swój w wydawnictwie dał mi możność poświęcenia się téj pracy, przybrania pomocników, rozpoczęcia druku i stał się poważną rękojmią wykończenia dzieła w terminie zapowiedzianym, przy regularném wydawaniu zeszytów. Jeżeli dzieło to, jak się spodziewam, w literaturze naszéj krajoznawczéj pozostanie, to w szeregu zasłużonych opiekunów naszego piśmiennictwa pozostać téż winno imię Władysława Walewskiego, który tak pięknie podtrzymuje zasługi obywatelskie swojéj rodziny i wstępuje w ślady nieodżałowanego brata swojego, ś. p. Cypryana, niegdyś spółredaktora *Biblioteki Warszawskiéj.*"

— Zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie, ogłosił „Sprawozdanie z czynności swoich za czas od 10 lipca 1878 r., po tenże dzień 1879 r.," podane do wiadomości członków na 13-ém walném zgromadzeniu tegoż Towarzystwa, odbytém w Brodach, w dniu

21, 22 i 23 lipca 1879 r. Dział I sprawozdania zawiera czynności zarządu głównego, II-gi podaje członków honorowych, zarządy oddziałów i ich czynności, tytuły rozpraw, mianych na posiedzeniach, liczbę walnych zgromadzeń, daty utworzenia oddziałów, ich fundusze, biblioteki, kółka pedagogiczne. W dziale III-im mamy sprawozdanie ze stanu wyższych szkół żeńskich, założonych i utrzymywanych staraniem Towarzystwa pedagogicznego, przedłożone przez zarząd główny na 13-tém walném zgromadzeniu. Dział IV zawiera zamknięcie rachunków za rok szkolny 1878/9. Zamyka sprawozdanie alfabetyczny spis członków.

— Sala rysunkowa wkrótce otwartą będzie w Lublinie. Zaopatrzono już ją we wzory potrzebniejsze, modele gipsowe i oświetlenie dla zajęć rysunkowych wieczornych, które rozpoczęły się w dniu 14 z. m. Opłata za lekcye wieczorne ustanawia się na rs. 6 miesięcznie, od rzemieślników zaś na rs. 4. Oprócz lekcyi wieczornych, zamierzone są w téjże sali lekcye dzienne w niedziele i święta, głównie dla klasy rzemieślniczéj, za opłatą rs. 2 kwartalnie. Kierunkiem naukowym zajmie się p. Witold Urbański, malarz.

— Henryk Jarecki, dyrektor opery lwowskiéj, uwieńczony podwójną nagrodą na konkursie muzycznym w r. 1871, napisał pięcioaktową operę *Mindowe*. Tekst dorobił sam kompozytor ze znanéj tragedyi Juliusza Słowackiego.

— Niedawne, ale oddawna pożądane u nas pismo, poświęcone *Ogrodnictwu* doznało jak wiadomo, życzliwego przyjęcia ze strony ogółu. Mamy w téj chwili przed sobą I i II zeszyt *Ogrodnika Polskiego*. W słowie wstępném „do Czytelników“ wyczytujemy budzącą otuchę myśl, że przyjdzie ta chwila, „kiedy po kraju rozbiegną się wykształceni, młodzi ogrodnicy, jak pochodnie nauki, które światłem sobie właściwém oświecą każdy jego zakątek; kiedy nietylko możni założą sady i o parkach pomyślą, lecz kiedy i kmiotek w hodowli drzew i kwiatów zasmakuje; gdy każdy mieszkaniec ziemi naszéj zapragnie otoczyć się pięknemi darami Bożemi, których pielęgnowanie jest zadaniem sztuki ogrodniczej. Czy chwila ta nadejdzie za rok, za dwa lub dziesięć, nieumiemy powiedzieć; lecz sądząc po roku upłynionym, który znaczne zasługi dla ogrodnictwa polskiego położył, wnosząc po ogólném zainteresowaniu się naszą piękną nauką, mniemamy, że czas ten nadejdzie prędzéj niż się spodziewamy.“

Do każdego zeszytu *Ogrodnika* dołączany jest jeden arkusz *Biblioteki;* pierwszą książką, jaką utworzy ta dodatkowa publikacya będzie *Teorya Ogrodnictwa* przez Maksymiliana Kolba; dwa pierwsze zeszyty zawierają właśnie dodatkowo dwa pierwsze jéj arkusze (prenumeratorowie *Ogrodnika* pragnący otrzymać *Bibliotekę* opłacają przy wnoszeniu rocznéj prenumeraty jednorazowo 1½ rs.). Po gorącéj odezwie do ogrodników krajowych, aby zebranemi w swojém kółku faktami i spostrzeżeniami dzielili się z Redakcyą, a przez nią po-

średnio z ogółem, wstępne słowo kończy się wyrazami dowodzącemi prawdziwego poczucia literacko-obywatelskiego:

„Pragniemy służyć krajowemu ogrodnictwu i zespolić wszystkie siły jakiemi ono dziś rozporządza, żeby śpiesznie pójść naprzód i zająć pod względem ogrodniczym to stanowisko wśród innych narodów, które nam się z powodu naszéj cywilizacyi ogólnéj z prawa należy.

Niechże w tem szlachetném współubieganiu, każdy zdolny do walki stawia się z orężem jaki mu jest dany: zdolności, nauki lub praktycznych spostrzeżeń."

— Wymieniliśmy już poprzednio studyum niemieckie: „*Kraszewski in seinem Wirken und in seinen Werken* v. S. v. Bohdanowicz." Obecnie poczuwamy się do obowiązku podzielenia się z czytelnikami wiadomością o wrażeniu, jakie wywarło to studyum na publiczności niemieckiéj. Oddając sprawiedliwość pismu p. Bohdanowicza, z punktu ogólnie literackiego, gazeta literacka *Magazin für die Liter. des Ausl. (nr. 48)* oznajmia wdzięczność autorowi: „Poczytujemy to panu B. za zasługę piśmiennictwu powszechnemu wyświadczoną, że publiczności niemieckiéj nastręczył sposobność *poznania bliżéj* i *pokochania* najznakomitszego z pisarzy polskich, szlachetnego męża i gorącego miłośnika tego, co swoje." Szczególniéj sympatyczną wydała się część studyum zawierająca *pokłosie* z dzieł Jubilata, majestatyczna skromność, jaką tchnęła przemowa.

— W pierwszych dniach bieżącego roku otrzymaliśmy sprawozdanie z czynności Biblioteki polskiéj w Rumunii za r. 1879. Pośpieszamy więc z jéj streszczeniem, w przekonaniu, że czytelnikom miło będzie dowiedzieć się, jak szlachetnie, bo pożytecznie, upływają dni i lata ziomkom naszym wśród obcych:

„Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Biblioteki Polskiéj w Rumunii za rok 1879. Rok czternasty istnienia Biblioteki Polskiéj w Rumunii pozostanie dla jéj członków na zawsze pamiętnym. Był to rok powszechnéj a rzewnéj radości, rok uroczystego uczczenia 50 letniéj pracy najulubieńszego z naszych pisarzów, który mimo tysiącznych mozolnych zatrudnień, naszą skromną instytucyą wiernie od 9-ciu lat się opiekuje. Wprawdzie już w r. z. złożyliśmy Jubilatowi hołd należny, atoli dla tem trwalszéj pamiątki zawiązaliśmy Towarzystwo Bratniéj Pomocy imienia Kraszewskiego.

Zakład ten filantropijny, zaledwie od kilku miesięcy powstały liczy 68 członków i zebrał franków 232 wydawszy zaledwie franków 14,50.

Prócz tego posunęliśmy sprawę szkółki polskiéj naprzód o tyle, o ile było możebném.

Mamy przyobiecaną pomoc kilku mężów w kraju, staraliśmy się drogą prywatną zjednać zwolenników; dotychczas o skutku naszych zabiegów sądzić nie wypada: jest to rzecz nieustannych a cierpliwych starań, które może w kilka lat rachować będzie trzeba. O ile bowiem pojmujemy niezbędność szkółki polskiéj w Jassach, o tyle zale-

camy oględne postępowanie, aby gorączkową porywczością wszystkiego niepopsuć. Dopóki niebędziemy posiadali najmniéj 12,000 franków żelaznego funduszu, dopóty *o trwałém* istnieniu szkółki ani marzyć nam nie wolno. Przy pomocy kraju i własnej naszéj ofiarności kapitał ten, którego już posiadamy $^1/_3$ część, w krótkim zbierze się czasie, zwłaszcza że opiekun nasz Kraszewski udzieli nam moralnego poparcia." (Tu następuje obraz funduszów który pomijamy).

„Dziękując wszystkim za życzliwe poparcie instytucyi narodowéj, która na obczyznie służy rozpierzchłym za punkt zborny i ognisko, odwołując się z duszném zadowolnieniem a pewną chlubą i z czystém sumieniem na to, cośmy w ostatnim roku zdziałali, prosimy ludzi dobréj woli w kraju, aby nas i nadal wspierali radą i uczynkiem, członków zaś Biblioteki wzywamy, aby mieli przedewszystkiem dobro publiczne, dobro instytucyi na oku, przed którą wszelkie prywaty i osobiste widoki zamilknąć powinny, aby postępowali jak dotychczas: zgodnie, wytrwale, solidarnie."

Jassy, dnia 31 grudnia 1879.

Zarząd Towarzystwa Biblioteki Polskiéj w Rumunii.

Przewodniczący *Dr. Łukaszewski.* Sekretarz *P. Miziumski.*

Członkowie: *Gąsiorowski, Grimm, Dr. Lippe, Turliński, Zwas.*

— Wydział czytelni akademickiéj we Lwowie, ogłosił *Sprawozdanie z czynności* za rok 1879 (Lwów. Nakładem Towarzystwa. 1879). Ku wielkiemu zadowoleniu dowiadujemy się ze sprawozdania, że pokonawszy wiele trudności, jakie zwykły towarzyszyć z natury rzeczy wszelkim poważniejszym zadaniom, wydział nietylko nie zraża się niemi, ale coraz żywszą poczuwa w sobie otuchę do działalności na chwalebném polu. Jak wszędzie, tak i tu objawia się duch ofiarności ze strony społeczeństwa miejscowego i zamiejscowego. Sprawozdanie zawiera obraz funduszu obrotowego, żelaznego i stan majątku wydziału; następnie stan biblioteki, spis odczytów i pogadanek naukowych w lokalu czytelni akademickiéj, a mianowicie: I. *O stosunkach Leopolda II do Polski*, czytał kolega Emil Pelikan.—II. *Pierwsza księga Iliady*, własny przekład na język polski czytał kolega Oswald Balzer.—III. *Kazimierz Wielki, król polski, zrzeka się Szlązka na rzecz Czech*, czytał kolega Klemens Dzieduszycki.—IV. *O fałszywém pojmowaniu ideału piękna, dobra i prawdy*, czytał kolega Stanisław Szwajkart.—V. *O oku ze stanowiska fizyki*, mówił kolega Józef Puzyna.—VI. *Rycerze*, Arystofanesa, akt I; własny przekład na język polski czytał kolega Franciszek Konarski.—VII. *Janusz Radziwiłł*, podług Rudawskiego, czytał kolega Władysław Menda.—VIII. *O panowaniu trzydziestu tyranów w Atenach*, czytał kolega Korneli Heck.—IX. *Rycerze* Arystofanesa, dokończenie, własny przekład na język polski czytał kolega Franciszek Konarski.—X. *Kilka uwag o Maryi Stuart, Schillera i Słowackiego*, czytał kolega Bronisław Lipiński.—XI. *O zjawiskach atmosferycznych*, mówił kolega Walenty Głowiński.

— Zanim książka poświęcona opisowi obchodu październikowego dojdzie rąk czytelników, pośpieszamy przedstawić im: *Zupełny spis darów złożonych Kraszewskiemu dnia 3 października r. z. w Sukiennicach w Krakowie* [1]):

### I. Wieńce.

1. Wieniec srebrny z inkrustowanemi na liściach tytułami dzieł Jubilata. Dar miasta Krakowa.
2. Wieniec srebrny w pudle mozajkowaném. Dar Akademii Mickiewicza we Włoszech.
3. Wieniec olbrzymi z fiołków (sztucznych). Dar od Polaków z Tuluzy.
4. Wieniec z cierni i nieśmiertelników. Dar osoby prywatnéj.

### II. Medale i medaliony.

5. Medal odbity na cześć Kraszewskiego we Lwowie. Trzy egzemplarze: złoty, srebrny i bronzowy.
6. Medal odbity w Poznaniu. Egzemplarz złoty.
7. Medal odbity w Belgii. Egzemplarz srebrny (unikat: matryca zniszczona).
8. Medalion z marmuru. Dar prywatny z Białéj Rusi.
9. Medalion z bronzu. Dar osoby prywatnéj.
10. Medalion z cementu. Dar z Poznania.

### III. Puhary.

11. Puhar srebrny. Dar artystów dramatycznych krakowskich.
12. Puhar srebrny. Dar od Polaków z Chicago.
13. Puhar srebrny. Dar z powiatu Brodzkiego.
14. Puhar srebrny. Dar osoby prywatnéj.
15. Róg żubrzy, bogato oprawny. Dar z powiatu Bialskiego.

### IV. Różne drogocenne wyroby.

16. Pióro złote. Dar prywatny z Mohylewa.
17. Pióro srebrne. Dar Zgromadzenia krawców.
18. Kałamarz srebrny (dziewczyna z dwojaczkami). Dar pryw. z Mińska.
19. Kałamarz (Gladyator). Dar Tow. Hist. Lit. w Paryżu.
20. Kałamarz bursztynowy. Dar z powiatu Ostrołęckiego.
21. Żubr, przycisk srebrny. Dar prywatny z powiatu Prużańskiego.
22. Pieczęć srebrna (Minaret). Dar prywatny z Kamieńca Podolskiego.
23. Pieczęć z kryształu górnego. Dar prywatny z Inflant.
24. Pieczęć. Dar osoby prywatnéj.
25. Pieczęć (czwarta). Dar osoby prywatnej.
26. Lichtarz wielki srebrny (maszt). Dar młodzieży handlowéj.
27. Posąg srebrny bogini Temidy. Dar prawników.
28. Grupa srebrna (wieśniaczka żniwiarka). Dar prywatny ze Żmujdzi.
29. Brama zwana Złotą, wielki odlew. Dar prywatny z Kijowa.
30. Gedymin. Odlew z bronzu. Dar prywatny z Mińska.
31. Adres ryty na zwoju srebrnym. Dar Polaków ze Stokholmu.
32. Kolumna bronzowa z podstawą. Dar przemysłowców lwowskich.
33. Bursztyn z orłem. Dar Polaków z Gdańska
34. Pierścień ze świętym Józefem (po księciu Józefie Poniatowskim). Dar z powiatu Bialskiego.
35. Dwie starożytne monety. Dar osoby prywatnéj.

---

[1]) Dary (mianowicie dzieła dedykowane Jubilatowi), które złożonemi były nie w Sukiennicach, lecz wprost w mieszkaniu Jubilata, do spisu tego nie weszły.

### V. Rzeźby i snycerszczyzna.

36. Dzieciątko Jezus, z marmuru. Dar przemysłowc. polsk. w Dreźnie.
37. Lew mały z gliny palonéj (terracotta). Dar osoby prywatnéj.
38. Popiersie Jubilata. Dar osoby prywatnéj.
39. Popiersie Jubilata (drugie). Dar osoby prywatnéj.
40. Popiersie Kronenberga w marmurze. Dłuto Rygiera. Dar osob. pr.
41. Przycisk marmurowy (winogrona). Dar prywatny z Ekaterynburga.
42. Dwie kolumny z wazonami z chęcińskiego marmuru. Dar z Kielc.
43. Talerz rżnięty z drzewa (pod chleb). Dar osoby prywatnéj.
44. Kałamarz rżnięty z hebanu. Dar przemysł. polsk. we Wrocławiu.
45. Kropielniczka z drzewa. Dar osoby prywatnéj.
46. Stolik drewniany z ozdobami. Dar osoby prywatnéj.
47. Pięć drobnych przedmiotów snycerskich. Dar Zakładu snycerskiego w Rymanowie.

### VI. Obrazy olejne i sztychy.

48. Zygmunt August w Lublinie, miedzioryt Henryka Redlicha.
49. Un Fiorentino, Krajewskiego.
50. Sieroty, Majewskiéj.
51. Krajobraz podlaski, Bogusława Kraszewskiego.
52. Tadeusz Kościuszko, portret. Dar osoby prywatnéj.

### VII. Wyroby krajowego przemysłu.

53. Skarbczyk, inkrustowany numizmatami, medalionami i t. p. Dar subjektów handlowych wyznania Mojżeszowego.
54. Wyrób z soli. Dar z Wieliczki.
55. Olbrzymi chleb. Dar włościan wsi Prądnika pod Krakowem.
56. Wielki bukiet z jarzyn naturalnych. Dar z Czarnéj Wsi pod Krak.
57. Olbrzymi tort. Dar cukierników.
58. Fotel. Dar osoby prywatnéj.
59. Poduszka. ditto.
60. Pantofle. ditto
61. Szkło powiększające. ditto.
62. Teka. ditto.
63. Bukiet wielki z kwiatów sztucznych. ditto.
64. Buty. ditto.
65. Nóż myśliwski. ditto.
66. Piórnik z piórami gęsiemi. ditto.
67. Tuzin chustek z rysunkami. ditto.
68. Kosz na papiery z metalu Brytania. ditto.
69. Burka Sławucka. Dar ze Sławuty.

### VIII. Książki, druki, nuty i fotografie *(bogato oprawne, z dedykacyami)*.

70. Wydawnictwa Akademii Nauk w Krakowie, tomów 3.
71. Wydawnictwa Towarzystwa Historyczno-Literack. w Paryżu, tom 1.
72. Książka Jubileuszowa, wyd. staran. red. „Kłosów“ w Warszawie.
73. Wybór dzieł J. I. Kraszewskiego. Wydanie Ungra, tomów 15.
74. Upominek Wileński.
75. Życiorys Kraszewskiego przez Baranowskiego.
76. Meister Twardowski, des J. I. Kraszewski frei bearbeitet von Hans Max. Wien, 1879, tomów 2.
77. Stara Baśń, J. I. Kraszewskiego. Wydanie zbytkowe z illustracyami Andriollego, Gebethner i Wolff w Warszawie.
78. Złote myśli z dzieł Kraszewskiego, wybrane przez Wegnera.
79. Życiorys Kraszewskiego, przez St. Kij.
80. Książka Sandomierska.
81. Wiązanka od Polaków z Australii i Nowéj Zelandyi.
82. Hymny boleści, J. I. Kraszewskiego. Wydanie i dar drukarzy Krak.
83. Spis dzieł J. I. Kraszewskiego, przez Estreichera.

84. Spis dzieł J. I. Kraszewskiego, przez drukarnią Czasu. Jeden w formie wielkiéj tablicy, drugi w formie wstęgi długości 9 metrów.
85. Album pomników na Wawelu, wydanie litografii Salba.
86. Ubiory dawne w Polsce, Walerego Eliasza.
87. Listy do pani Apatyi przez X. Siemieńskiego.
88. Fizyologia, przez Jachimowskiego.
89. Z nadhoryńskich błoni, przez Jachimowskiego.
90. Zamek na Wawelu, przez Ziemęckiego.
91. Las w stanie natury, przez Henryka Strzeleckiego.
92. Obrazkowa nauka pisania, przez Promyka.
93. Dobry czyn, przez Ligonia.
94. Trzy egzemplarze wierszy X. Głodomanka.
95. Rozbiór Nieboskiéj komedyi, przez Strokę.
96. Dwaj bracia mleczni, przez Leśniowską.
97. Sto figur mazura, przez Kar. Mestenhauzera.
98. Rys miasta Kołomyi, przez Weigla.
99. Statut posługaczy publicznych miasta Lwowa.
100. Mnohyja lita, wiersz Kosteckiego.
101. Pół wieku, wiersz Ilnickiéj.
102. Czcigodnemu J. I. Kraszewskiemu, wiersz Maryi K.
103. Wiersz od Polaków z Górnego Szlązka.
104. Wiersz od księży unickich.
105. Pieśni etc. przez Prawdomówskiego.
106. Polonez jubileuszowy przez Dobrzyckiego.
107. Krakowiak przez Niedzielskiego.
108. Ustawa i sprawozdanie stowarzyszenia subiektów handlowych, t. 2.
109. Portret Kraszewskiego w ramach, drukowany czcionkami. Dar zecerów.
110. Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego t. 4.
111. Fotografia Drohiczyna, w ramach. Dar z Podlasia.
112. Fotografia Zamku Cieszyńskiego, w ramach. Dar z Cieszyna.
113. Fotografia pamiątkowa Szuberta (Kijów).
114. Heliominiatura Kraszewskiego przez Eli.

### IX. Albumy i Adresy.

115. Album malarzy polskich (70 różnych prac).
116. Album muzyków polskich.
117. Album muzyczne (drugie).
118 i 119. Dwa adresy od dzieci polskich.
120. Album widoków miasta Łomży.
121. Album widoków miasta Piotrkowa.
122. Adres lekarzy.
123. Adres prawników.
124. Adres aptekarzy wraz z funduszem stypendyalnym (użytym w następstwie dla Serbów Łużyckich).
125. Adres nauczycielek.
126. Adres uczniów szkoły rolniczéj.
127. Adres uczniów szkoły muzycznej.
128. Album artystów dramatycznych.
129. Adres subjektów handlowych.
130. Adres zgromadzenia krawców.
131. Adres literatów.
132. Adres redakcyi książki Jubileuszowéj.
133. Adres uczących się w wyższych zakładach naukowych.
134. Adres z mnóstwem podpisów wielbicieli talentu Kraszewskiego.
135. Album widoków Wołynia, z Łucka.
136 Takież album pamiątkowe z Żytomierza.
137. Album z Odessy.

138. Album (oprawne w malachit) z Charkowa i Nowo Czerkaska.
139 i 140. Albumy (dwa) z Rygi.
141. Album z S. Petersburga.
142. Album z Pskowa.
143. Album z Dorpatu.
144. Album z Kamieńca Podolskiego.
145. Album Dam Wielkopolskich.
146. Adres drukarzy poznańskich.
147 i 148. Dwa Adresy: „Towarzystwa przemysłowego“ i „Towarzystwa Oświaty“ w m. Pleszewie.
149. Adres rękodzielników poznańskich.
150. Adres Towarzystwa Naukowego w Toruniu.
151. Adres Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.
152. Adres Wyższéj Szkoły rolniczéj w Dublanach.
153. Album Muzeum przemysłowego Lwowskiego.
154. Adres młodzieży Uniwersytetu Krakowskiego.
155. Adres młodzieży Uniwersytetu Lwowskiego.
156. Adres miasta Tarnowa.
157. Adres Szkoły żeńskiéj w Kołomyi.
158. Album i Adres obywateli ziemi Przemyskiéj i miasta Przemyśla.
159. Adres Stowarzyszenia drukarzy Lwowskich.
160. Album prac literackich i adres młodzieży Tarnowskiéj.
161. Adres młodzieży uczącéj się w politechnice Lwowskiéj.
162. Adres Towarzystwa szerzenia oświaty wśród młodzieży starozakonnéj imienia Kraszewskiego, w Przemyślu.
163. Adres i książka pamiątkowa Towarzystwa Pedagogicznego Galicyjskiego we Lwowie.
164. Album miasta Sambora.
165. Adres miasta Tarnopola.
166. Adres koła włościańskiego z WX. Poznańskiego.
167. Album posługaczy Lwowskich.
168. Album Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół“ we Lwowie.
169. Album Kasyna mieszczańskiego we Lwowie.
170. Adres Stowarzyszenia „Gwiazda“ we Lwowie.
171. Adres Rady miasta Kęty.
172. Adres czytelni Ludowéj w Wieliczce.
173. Adres powiatu Lwowskiego.
174. Adres miasta Stryja.
175. Album widoków Tatrów i adres od Towarzystwa Tatrzańskiego.
176—178. Trzy adresy z miasta Kołomyi.
179. Adres posłów Sejmu królestwa Galicyi.
180. Adres młodzieży uczącéj się w Rzeszowie.
181. Adres rady powiatowej Leżajskiéj.
182. Adres kongregacyi kupców Krakowskich.
183. Adres młodzieży handlowéj we Lwowie.
184. Adres muzeum przemysłowego w Krakowie.
185. Adres drukarzy z Tarnopola.
186. Adres Towarzystwa Ogrodniczego we Lwowie.
187. Adres Szlązaków.
188. Adres Czeski z Pragi.
189. Album młodzieży uczącéj się w Pruszkowie.
190. Adres Czeski z Bielska.
191. Adres Czytelni polskiej w Białéj (na Szlązku).
192 i 193. Dwa adresy z miasta Zgorzelca (Görlitz).
194. Adres Serbów Łużyckich z Budziszyna.
195. Adres studentów polskich w Berlinie.
196. Adres kółka Akademików polskich w Gryfii.
197 Adres uczniów szkoły Batiniolskiéj w Paryżu.

198. Adres Studentów polskich z Lipska.
199. Album polaków w Szwecyi (barona Engeströma).
200. Adres stowarzyszenia „Ognisko“ w Wiedniu.
201. Adres polaków z New-Yorku.
202. Adres stowarzyszenia „Wzajemnéj pomocy“ polaków w Szwajcaryi.
203. Adres polaków w Rumunii.
204. Adres stowarzyszenia niemieckiego dzieł sztuki w Frankfurcie nad M.
205. Adres polaków w San Francisko.
206. Adres polaków w Szwecyi.
207. Adres stowarzyszenia „Przytulisko“ w Berlinie.
208. (Anonim drukowany i bezimiennie nadesłany z Genewy).
209. Adres z Podwołoczysk.

### X. Dyplomy honorowe.

210. Dyplom na stopień Doktora filozofii *honoris causa* od Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.
211. Dyplom na stop. D-ra Fil. *honoris causa* od Uniwersytetu Lwowsk.
212. Karta w księdze obywateli honorowych miasta Lwowa.
213. Karta w księdze obywateli honorowych miasta Jarosławia.
214. Dyplom obywatelstwa honorowego miasta Tarnowa.
215. Dyplom obywatelstwa honorowego miasta Jasła.
216. Dyplom honorowy Towarzystwa „Stella“ w Poznaniu.
217. Dyplom honorowy Towarzystwa Strzeleckiego w Krakowie.
218. Dyplom honorowy Towarzystwa Czytelni Akademickiéj w Krakowie.
219. Dyplom honorowy Towarzystwa Bratniéj pomocy w Czerniowcach.
220. Dyplom Salin Wieliczk. z nadaniem nazwy szybowi J. I. Kraszewskiego.
221. Dyplom honorowy Towarzystwa pszczolniczego we Lwowie.
222. Dyplom honorowy Stowarzyszenia Rękodzielników Lwowskich.
223. Dyplom honorowy Stowarzyszenia młodzieży handlowéj Lwowskiéj.
224. Dyplom honorowy Towarzystwa Muzycznego we Lwowie.
225. Dyplom honorowy Towarzystwa „Weteranów“ we Lwowie.
226. Dyplom na członka honorowego Akademii w Sztokholmie.
227. Dyplom od niemieckiego wolnego instytutu w Frankfurcie n. M.
228. Zawiadomienie telegraficzne o wyborze na honorowego prezydenta w międzynarodowém Towarzystwie literackiém w Paryżu.

W spisie powyższym nie wymieniano bliżéj ofiarodawców, nie można bowiem było przewidzieć, o ile odpowiadałoby to ich życzeniom. W każdym jednak razie, wedle możności, odróżniono dostatecznie dary instytucyi publicznych, dary pojedynczych osób i wreszcie dary, składane przez grona wielbicieli talentu Kraszewskiego, zamieszkałych w różnych miejscowościach.

Spis ten, dokonywany nadzwyczaj pospiesznie, w Krakowie, może zawierać drobne usterki; jednakże, jako pierwszy spis zupełny, stanowi wskazówkę dla późniejszych opisów, z drugiéj zaś strony, dostateczną illustracyą obchodu Krakowskiego.

*Stanisław Jan Łuniewski.*

---

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*
Redaktor odpowiedzialny **Feliks Jezierski.**
Wydawca *Józef Berger.*

Druk J. Bergera,
w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

Дозволено Цензурою
Варшава, 23 Января 1880 года.

# Od szkolnéj ławy.

OPOWIADANIE Z LAT 1798—1813 *).

PRZEZ

*Kajetana Kraszewskiego.*

**Stan. Leliwa Adamowiczowi**

PRZYJACIELSKĄ PAMIĄTKĘ

posyła

AUTOR.

Sicut manus manum lavat, et pes pedem fulcit; ita dilectos Dei juvat dilectio proximi et è converso.
(Imp. bon. cogit.
P. Joan. Kraszewski Soc. Jes. 1696).
Po tém ci poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim. (*Jan. 13*).

Czy znałeś pana Antoniego Kuleszę, który był kapitanem sławnego 7-go pułku szwoleżerów francuzkich, czyli właściwiéj zowiąc, pierwszego pułku ułanów Księztwa Warszawskiego, co go mianowano „pułkiem Konopki?" Jeśli go nie znałeś, wielka szkoda. Zapisane i zaregestrowane w historyi dzieje wojenne wszystkim wiadome; martwe to jednak ciało, bez ducha. Aby one w wyobraźni naszéj odżyły, trzeba je poznać z własnych ust uczestników, dopełnione tysiącznemi szczegółami najróżnorodniejszych wypadków z domowego i obozowego życia. Ale gdzież dzisiaj szukać tych ludzi? Kości ich po wszystkich krajach i lądach rozsiane; z niewielkiéj liczby, która na rodzinny zagon wróciła, ani jeden już zapewne nie żyje. Tychto właśnie szczegółów niewyczerpany zapas po-

*) Po skończeniu niniejszego opowiadania, zaczniemy druk powieści E. Castelara p. t.: *Siostra Miłosierdzia*. *P. R.*



REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

siadał kapitan Kulesza, ale i on przed kilku laty, jak to sam nieraz obiecywał, stawił się *do apelu* na Józefatową dolinę. Zszedłszy się tam ci wszyscy, wiarusi nasi, po ich służbistości sądząc, pewno i na sąd ostateczny, razem w porządnym szyku stawić się będą.

Dzieje oręża rycerstwa naszego, od czasu zawiązania się legionów, aż do upadku Księztwa Warszawskiego, ich poświęcenie się, niezłamana wytrwałość i niedorównane męztwo w tylu okazane potyczkach, czekają jeszcze nowego Homera lub Camoensa. W liczbie zaś najwaleczniejszych, sławnym był i prawdziwie niezwyciężonym ów pierwszy pułk ułanów Konopki, który po przypadkowém zatraceniu swoich chorągwi (gdyż je poprostu zgubiono już po bitwie pod Ponte Almaras), przemianowany został siódmym pułkiem szwoleżerów francuzkich. W gronie oficerów byli tam: Klicki pułkownik, późniéj generał; Kostanecki i Routtier, szefowie szwadronów, oraz kilkunastu w ciągu lat kilku zmieniających się kapitanów; wszyscy równie dzielni i godni chwały, między którymi losem wojennego szczęścia odznaczyli się zwłaszcza: Stokowski, Fijałkowski, Tański, Rybałtowski. Hiszpanie przezwali ułanów naszych *Los infernos*. Anglicy w raportach swoich bezustannie o ich nieustraszoném męztwie wspominają. Nie lubią o nich mówić tylko jedni przyjaciele Francuzi; nie tłómaczą wszelako, dlaczego wszyscy generałowie francuzcy ubiegali się, aby chwytać do korpusów swoich, choćby pojedyńcze tego pułku oddziały. Kłócili się o nich między sobą: Sebastiani, Lasalle, Merle, Soulte, Mortier i inni; wreszcie pułk cały przyłączony do armii Józefa, króla hiszpańskiego, w sławnych bitwach pod Almonacid i Albuhera, nieśmiertelną okrył się chwałą.

Tak ćwiertowany, rozrywany i znów składany, posyłany tam, gdzie już z nieprzyjacielem była najtrudniejsza sprawa, zawsze do boju gotowy, a zawsze niezwyciężony, ten pierwszy pułk naszych ułanów wiódł życie prawdziwie awanturnicze; zwali go téż niektórzy żartobliwie „błędnym rycerzem."

Za najlepszy dowód sławy owego pułku posłuży ten wypadek, że po bitwie pod Tudellą, generał Lannes wszelkich starań dokładał, aby mu go oddano. Czego że dokazać nie zdołał, zawerbował do siebie Klickiego, który był naówczas gromażorem. Ten zaś pociągnął razem poruczników: Ojrzanowskiego i Bogusławskiego, zkąd powstał szwadron oddzielny. Do niego zaś weszli późniéj jeszcze: Lusignan i Rybałtowski.

Jeśli nie wiele posiadamy źródeł do historyi naszych legionów i ich działania we Włoszech, mniéj jeszcze nierównie znajduje się takich, któreby nam podawały ciężkie koleje, jakie rodacy nasi przechodzili w Hiszpanii. Może nowe jakie wiadomości odkryją się z czasem i znajdzie się genialny badacz, który cały gmach tych dziejów odbudować potrafi. Tymczasem nam, drobnéj literackiéj czeladzi, trzeba choć małe znosić cegiełki, cenniejsze może, gdy z podań, z opowiadań głównych działaczy pochodzą; boć bez tych cząstek i największy mistrz nie zdoła odbudować całości. Że jednak i obyczajowa strona owéj epo-

ki obojętną być nie może, podaję tu więc dzieje kilku ludzi, sodalisów Lubieszowskiego konwiktu, których losy splotły się z sobą *od szkolnéj ławy*, a serca, po staremu jeszcze, ogrzane wiarą i braterską miłością, niezmienne i niezachwiane potrafiły przetrwać od kolebki do grobu.

---

Są u nas w kraju takie zakątki, o których ludzie dowiadują się dopiéro wtenczas, gdy im czegoś wypadnie szukać na mapie, albo nieunikniona podróż drogę w tamtą stronę skieruje. Taką bezwątpienia okolicą jest część gubernii grodzieńskiéj, ciągnąca się od prawego brzegu Buga, za Włodawką, ku Dywinowi na Polesie, która już sama jest istotném Polesiem. Tu oko nie spotyka nic innego, prócz piasku, błót, karłowatéj sośninki i obszernych jezior; najpierwsze Pulmno, daléj, w bok nieco Switiaź i Szackie. To zaś ostatnie, kilkadziesiąt wiorst obwodu mające, tém jest ciekawe, że wody jego liżąc snać granitowe łożysko, wyrzucają na brzegi piasek najpiękniejszéj fioletowéj barwy. Dla widzenia jednak owego niezwykłego piasku, wlec się potrzeba po najzwyczajniejszym całemi milami, ani wioski, ani karczemki, ani ludzkiéj twarzy nawet nie spotykając po drodze. Prawdziwa pustynia; ale i tu są jednak ludzie, a czasem nawet i niepośledni wcale, czego najlepszym dowodem był właśnie pan kapitan Kulesza, który zamieszkiwał w tych stronach. Stary kawaler i wojskowy, dwór miał téż urządzony po wojskowemu; wszystko się do godzin i raz ułożonego regulaminu stosowało ściśle. Książek i gazet nie brakło, bo czytywać lubił, a że świat cały ze swoich wędrówek wojskowych znał jak własne łany i knieje, od lat zaś wielu nie wydalał się z domu, rad był przeto wiedzieć, co się tam na nim działo. Czas podzielony miał na gospodarskie zajęcia, literaturę i myślistwo; kapitan bowiem lubił konie i polowanie, a szczególnie z chartami. Ztąd poszła i znajomość nasza od lat dawnych; kilku nas, młodych, poznawszy w Chełmskiém na polowaniu z chartami, zaprosił do siebie. Odtąd, co roku już w końcu września lub pierwszych dni października jechało się do p. kapitana na kilka tygodni, które całkowicie zabawie myśliwskiéj były poświęcone. Dla nas, młodych, była to najwyborniejsza szkoła jeździecka. Rano, o ósméj, po bigosie, jużeśmy byli na siodłach: wyjazd, póki drogą z domu, trójkami, w największym porządku; w polu, na komendę rozwijała się linia; bystre oko pana Kuleszy z najdalszego punktu spostrzegało wysunięty lub cofnięty z szeregu łeb koński, albo téż nierówność naznaczonych odstępów pomiędzy jeźdźcami; a co było przestróg w jeździe, siedzeniu, prowadzeniu konia—bez końca! Smycze chartów puszczano kolejno, dojeżdżać miał prawo ten tylko, przed kim zając pomykał; dla szczwania lisa, lub w rzadkim wypadku, wilka, były inne prawidła, ale to szło zawsze na komendę, a tak dokładnie i w tak wzorowym porządku, że nie wiem, czy gdzie na świecie mogły być piękniejsze polowania. W południe mieliśmy półgodzinny odpoczynek, a mię-

dzy czwartą i piątą wracało się do domu. Jakże to się jadło potém, jak się gawędziło wesoło i na wonném sianku spało! Bodajto młodość, trud i zdrowie.

Typowéj postaci kapitana nie zapomni nikt pewno, kto go spotkał choć raz w życiu swojém. Słusznego wzrostu, barczysty, głowa niewielka na krótkiéj obsadzona szyi, wąsy ogromne, jak dwa skrzydła rozciągnięte do lotu, zza uszu jeszcze wyglądały; głos cichy w rozmowie, donośny w rozkazie, a twarz pogodna zawsze i tak spokojna, że na niéj żadne, zda się, uczucie najmniejszym nie zdradzało się znakiem.

Był on téż w istocie filozofem w swoim rodzaju; kiedy mówiono o szczęściu, zawsze się uśmiechał. „Jakiegoż to wy szczęścia chcecie, mówił zwykle, cóż świat więcéj dać może, niż to, co daje? Kto się skarży, że mu źle, sam sobie winien; dowód to, że mu brak prawdziwéj wiary, pobłażania dla ludzi, którzy są tylko ludźmi a nie aniołami i że ma żądze niepomiarkowane. Wierz, pracuj, sądź siebie a nie drugich, dziękuj Bogu za to co masz—ot i recepta gotowa; będziesz miał to, co ludzie dawniéj pojmowali lepiéj niż teraz, a do czego dziś, tracąc wiarę, dążą coraz, zda się, błędniejszemi drogami, i czego wreszcie żadne ci skarby ani bogactwa nie dadzą: prawdziwy spokój ducha to jedyne, możliwe szczęście na ziemi."

Taki był nasz stary kapitan Kulesza. Przyznaję się, że do najmilszych wspomnień moich zaliczam dni w jego domu spędzone: a jeśli mnie tam pociągała zabawa w wesołém towarzyszów gronie, stokroć więcéj miały uroku pełne życia gawędy naszego gospodarza. Z nichto właśnie wysnute podaję, zamieszczone niżéj opowiadanie. Winienem dodać wszelako, że nigdyby się ono w jakotaką całość ułożyć nie mogło, gdyby nie zdarzenie, zaszłe w domu samego kapitana, które mię zachęciło do zasięgnięcia od niego jeszcze wiadomości niektórych i szczegółów, w jedno pasmo wiążących luźnie pierwéj i pojedyńczo słyszane powieści.

Towarzyskie grono nasze, które się co roku u starego kapitana zbierało w jesieni, z biegiem lat dłuższych coraz bardziéj malało. Ja zawsze jednak przyjeżdżałem, ale już w ostatnich latach trafiało się, że prócz mnie nie bywało nikogo. Naówczas wyjeżdżaliśmy wprawdzie na godzin kilka w pole dla przejażdżki i zachowania naszego tradycyjnego zwyczaju. Po większéj części jednak zabawialiśmy się rozmową, w któréj ja zwykle bywałem słuchaczem, z małemi wyjątkami zapytań, jakie od czasu do czasu rzucałem.

Na kilka lat przed niespodzianym zgonem kapitana, jak zwykle, przybyłem do niego na czas oznaczony. Zastałem tylko jednego z sąsiadów pana Kuleszy, a że, jak to powiadają, *tres faciunt collegium*, bardzośmy się dobrze bawili! Tegoż samego dnia, ku wieczorowi, kiedy nasza gawędka szła w najlepsze, ujrzeliśmy bryczkę zajeżdżającą przed ganek i ukazał się gość nowy, i tak dalece nowy, że go nie znał nawet sam gospodarz.

Był to, jak się okazało, syn kolegi niegdyś pana Kuleszy, Zenowicz, inżynier-technik (tak się przedstawiał), któremu ojciec, stary i schorzały, polecił wstąpić tu, po drodze do Warszawy, aby choć przez syna przypomnieć się przyjacielowi, przyczém i list do kapitana przesyłał. Młody gość, mężczyzna przystojny, niedochodzący jeszcze lat trzydziestu, zdawał się być człowiekiem przyzwoitym i wykształconym; ale wiał od niego chłód jakiś, a niedojrzany uśmiech szyderski z ust jego nie schodzący prawie i mina lekceważąca, a zbyt pewna siebie, wzbudzały ku niemu wstręt mimowolny. Rozmowa téż, zrazu żywo poczęta, daléj, rwała się co chwila; zdania bowiem gościa w żadnym przedmiocie, począwszy od pogody aż do polityki, przeszłéj, teraźniejszéj i przyszłéj, w niczém z wyobrażeniami gospodarza zejść się nie mogły.

Z przedmiotu przechodząc na przedmiot, kapitan spytał wreszcie o drugiego kolegę swego, podkomorzyca. Gość mu obojętnie oznajmił, że przed kilku tygodniami właśnie umarł. Wiadomość ta wywarła na kapitana wrażenie silne, i widocznie bardzo bolesne. Westchnął, łzy mu się w oczach zaszkliły i po krótkiém milczeniu zapytał zcicha:

— A cóż robi porucznik?

— Jaki porucznik?—rzekł pan Zenowicz.

— Łukasz Żebrowski, możeś pan o nim co słyszał?

— A! Łukasz, lokaj czy rezydent, wiem; przecież ztamtąd jadę...

— Jaki lokaj!?—przerwał żywo gospodarz—przyjaciel, od lat dziecinnych, towarzysz.

— Tak, tak!—mówił gość—stary Łukasz; po śmierci podkomorzyca syn go odprawił.

Kapitan rzucił się na krześle i osłupiałym wzrokiem wpatrzył się w mówiącego.

— Coto? jakto odprawił?—spytał wreszcie głuchym i jakby zdławionym głosem.

— Naturalnie—ciągnął spokojnie i obojętnie przybyły—byłem właśnie wtenczas na miejscu, u syna podkomorzyca; mieliśmy projekt założenia u niego parowego tartaku; przy mnie odprawił starego, bo mu był zupełnie niepotrzebny, no, i do niczego niezdatny.

— Jezus, Marya!—wznosząc ręce do góry, westchnął gospodarz—jakichże my to doczekaliśmy czasów!

— Cóż tak dziwnego?—spytał żartobliwie pan Zenowicz.

— Co?—odsuwając żywo krzesło i wstając od stołu podniesionym już głosem zawołał Kulesza—chyba aspan dobrodziej nie wiesz, jakie stosunki podkomorzyca z Łukaszem wiązały: on mu życie nieraz ocalił i swoje całe dla niego poświęcił.

— A tak, tak, wiem—mówił gość z lekkim szyderskim uśmiechem—słyszałem, opowiadali te romantyczne historye, ale życie nie jest znów tak wielkim skarbem, kiedy kto goły, a zresztą dziś, te stosunki ustały.

— Aa?!—wyjąknął Kulesza—więc już, według waćpanów, stosunki ojca, syna nie obowiązują.

— Zapewne, jeśli nie są hypoteczne—odparł obojętnie zawsze i zimno Zenowicz—dziś, każdy za siebie, bo i syn przecie ojca o życie nie prosił. A zresztą, dodał po chwili, to zależy od wyobrażenia. Prócz tego syn podkomorzyca nie miał nawet gdzie tego pana Łukasza wsadzić, bo majątek sprzedaje.

— Co—żywo przerwał stary—i majątek sprzedaje?

— Przedaje; już tam kupców zostawiłem u niego.

— Cha! cha!—zaśmiał się kapitan gorzko—śliczne rzeczy, jak mi Bóg miły! Siedziba z dziada pradziada. Cóż? długów takich narobił?

— Ale, gdzież tam! to jest człowiek bardzo rozsądny, umie się rachować i bardzo oszczędny.

— Więc na cóż sprzedaje?

— No—mówił przybyły—najprzód wieś nie jest w stanie dać tych przyjemności życia co miasto, a powtóre, że to jest majątek źle położony i dający zbyt mało dochodu.

— Hlinne mało daje dochodu! toż to pyszne dobra.

— Ja nie wiem, co pan dobrodziéj nazywasz pysznemi dobrami —odrzekł pan Zenowicz—to wiem, żeśmy obrachowywali skrupulatnie i okazało się, że więcéj nad sześć procentów od kapitału wyciągnąć nie można, a lasu towarowego nic.

— A, a!—przeciągle mruknął pan Kulesza wpatrując się w mówiącego—tak, może być, jeśli chodzi o przyjemności... naturalnie, no, i dochód. Wistocie, przypominam sobie, pod samemi mogiłkami, gdzie dziadowie i pradziadowie spoczywają, sporo gruntu leży odłogiem, i to też bez żadnego procentu, a sośniny tam rosną karłowate...

Pan Zenowicz machnąwszy ręką z lekceważącym i pogardliwym uśmiechem już miał coś odpowiedzieć, gdy gospodarz ruszył się żywo i wyszedł z pokoju.

My, obecni zmieszani i przykrém jakiémś przejęci uczuciem, staliśmy jeszcze w milczeniu, ale po chwili młody gość zwrócił się ku nam.

— Otóż to—rzekł—jeszcze jeden ciekawy i dobrze zakonserwowany egzemplarz! kubek w kubek jak mój ojciec; niedarmo się kochają. Cha! cha! wieczne u tych panów romanse i marzenia; tacy-to ludzie przez długie wieki... doprowadzili nas do tego, czém dziś jesteśmy.

Machnął raz jeszcze ręką niedbale.

— Dobranoc panom.

I zwrócił się do starego sługi, który suwając nogami wychodził właśnie z pokoju, dokąd się udał gospodarz.

— Gdzież-to ja mam spać—spytał.

— Na drugiéj stronie, proszę pana, przygotowano—odparł zapytany.

Skinął nam łaskawie głową i wyszedł z pokoju.

W téj chwili, w uchylonych drzwiach od drugiéj izby ukazał się pan Kulesza.

— A! poszedł już ten jegomość—rzekł wchodząc ostrożnie—chwała Bogu! a to, lala! Wybaczcie mi moi kochani, uciekłem, już mi dłużéj wytrzymać nie było podobna, byłbym mu może jakie głupstwo wypalił, a toć przecie gość. Boże łaskawy! cóżto za świat teraz! Otóż to tacy ludzie chcą nami dziś rządzić; dokąd oni nas zaprowadzą? *Utinam falsus vates sim*, zginiemy teraz z kretesem.

Już, dla ułagodzenia sprawy, miałem przemówić do kapitana i szukałem w umyśle jakichś dróg pośrednich dla zbliżenia wyobrażeń skrajnych, z poszanowaniem rzeczy świętych i cnotliwych z jednéj, a, o ile się znajdą, pożytecznych z drugiéj strony, kiedy towarzysz mój, lubiący słuchać opowiadań pana Kuleszy, ciekawy i niecierpliwy zwrócił się ku niemu.

— Panie kapitanie dobrodzieju!—rzekł—zmiłuj się, cóżto za historya była między podkomorzycem a tym panem Łukaszem?

— Jaka historya?—powtórzył roztargniony i zamyślony pan Kulesza.

— Tak; bo po pańskich odpowiedziach uważałem, że to musi być coś ciekawego.

— Ciekawe, jak dla kogo!—odparł gospodarz—dawniéj to takich historyi na setki liczono i wcale były rzeczą zwyczajną. No, dodał ze smutnym uśmiechem, ale jeśli tą drogą pójdziemy co ten pan, albo téż syn mego poczciwego podkomorzyca, wieczny mu odpoczynek, zapewne na świecie będzie nieco inaczéj.

Umilkł i przechadzając się po pokoju, powtarzał tylko zcicha urywane słowa: „odprawił," „hm," „Hlinne przedaje," i chodził wciąż zadumany, zapomniawszy widać i o nas i o spóźnionéj godzinie.

Szanując ten stan duszy gospodarza, wysunęliśmy się cicho z towarzyszem moim z pokoju, udając się na spoczynek. W pierwszéj izbie, na drugiéj stronie domu, pan inżynier spał już snem sprawiedliwego; przeszliśmy do drugiéj, a gdy mój noclegowy towarzysz począł się rozbierać, ja, z troskliwości o zdrowie mego sędziwego przyjaciela, wróciłem jeszcze, aby zobaczyć, co się z nim dzieje.

Kapitan chodził wciąż po pokoju, ale już nieco uspokojony, wedle swego zwyczaju odmawiał wieczorne pacierze; przerwał je, spostrzegłszy mnie wchodzącego.

— A co?—spytał—może wam tam czego brakuje?

— Nic!—odrzekłem—chciałem się tylko dowiedzieć, czy już szanowny kapitanie spać poszedłeś i życzyć ci dobréj nocy.

Uśmiechnął się, podając mi rękę.

— Widzę—rzekł—żeś się o mnie zaniepokoił, a no, Bóg zapłać; ale ja to ratuję się teraz jak nieboszczyk generał Klicki na starość: jak tylko co, zaraz filiżanka rumianeczku. Ot, na co stary ułan zszedł! Może się ze mną napijesz?—dodał z uśmiechem.

— Dziękuję za ten specyał—odparłem—wolałbym, żebyś mię kochany kapitanie objaśnił jeszcze o niektórych szczegółach z życia

podkomorzyca, pana Łukasza i waszego, bo je znam niby dobrze, ale mi się to z braku dat w całości nie składa...

— Wybacz łaskawco—przerwał mi pan Kulesza—nawet dla ciebie, nie mogę... nie mogę, dziś nie jestem w stanie. Ale, dodał po chwili, poczekaj.

To mówiąc, wyszedł do drugiego pokoju i wrócił niebawem niosąc w ręku malutką książeczkę.

— Tu masz—rzekł—niektóre daty i nazwiska, więcéj ci nie potrzeba, bo resztę znasz; przejrzyj sobie ten raptularzyk, ale mi go oddaj jutro rano, bo to droga pamiątka.

Skwapliwie pochwyciłem notatki starego kapitana, a wróciwszy do naszego pokoju, kiedy mój towarzysz chrapał w najlepsze, w pół godziny przebiegłem je od deski do deski. Znalezione daty, nazwiska miejsc i osób pozwoliły mi w istocie ułożyć pewną całość, którą podaję tutaj tak, jak ją sam stary kapitan opowiadał.

## I.

Chwalą się dziś u nas ludzie wielką nauką, a są i tacy nawet, którzy dawniejsze czasy wspominają z pogardą. Że dziś niektóre nauki poszły wysoko, temu żaden rozsądny człowiek zaprzeczyć nie może, niesłusznie jest wszelako przodków naszych obwiniać, że mniéj umiéć mogli; boć przecie były i takie czasy, kiedy do naszéj Akademii w Krakowie z dalekich krajów ludzie po rozum jechali; a jeśli w przeszłym wieku spadliśmy najniżéj, jeszcześmy może na one czasy, tak dalece gorsi od wielu innych nie byli; lubo i ten w oświacie narodowéj upadek, winniśmy, jak to bywa powszechnie, tym, którzy nami rządzili dla siebie, nie dla nas, będąc nam obcy z krwi i kości—Sasom. Ale tém się pochlubić możemy, o czém dziś wielu pamiętać nie chce, że wśród niesprzyjających nawet wcale okoliczności, kraj umiał się dźwigać z upadku i środki do podniesienia oświaty obmyślać.

Pierwszy krok na téj chwalebnéj drodze uczynił w 1750 r. Pijar, Stanisław Konarski, znaczne ku lepszemu zmiany wprowadzając w kolegiach swego zakonu i zakładając konwikty dla dzieci magnatów naszych oraz bogatszéj młodzieży, która do owych czasów wychowywaną była powszechnie w domu, przez obcych zagranicznych nauczycieli przybyszów; a tym, o chleb więcéj niż o spełnienie obowiązków chodziło. Tacy téż wycackani i wychuchani panicze, stawali się całkiem obcy krajowi swojemu i ojczyznie. Mniszchowie podkomorzyce litewscy, Sułkowscy i setki innych, dopiéro w dwunastym roku życia, albo i późniéj, zaczynali się uczyć po polsku, w domu rodzicielskim ojczystéj mowy nie słysząc prawie i do saméj téż śmierci tak haniebnie kaleczyli tę mowę, jakby nie z senatorskich domów ale raczéj ze szwabskiéj pochodzili chałupy. Czy pod tym względem od półtora wieku zaszła w domach panów, a szczególnie półpanków naszych jaka ku lepszemu zmiana, niech inni osądzą. To pewno, że od ludzi szacunku wymagać

trudno, jeśli kto sam nie szanuje najdroższéj spuścizny ojców naszych, mowy i obyczajów. Co do języka zaś, rzecz tém jest dziwniejsza, że z naszym, w bogactwie jego, żaden inny mierzyć się nie może. Bądź co bądź, Konarski szkoły albo konwikty pańskie wprowadziwszy, niejednego z paniąt naszych, rzec można, jakoby z topieli wydźwignął, dając młodzieży wychowanie takie, które ich czyniło prawdziwymi synami własnego kraju a nie jakiemiś mieszańcami, co nazwisko nosząc polskie i polskim żyjąc chlebem, są ludźmi zagranicznymi, do żadnego wszelako nie mogąc się zaliczyć narodu.

W dwadzieścia kilka lat po Konarskim, gdy z upadkiem jezuickiego zakonu, przemyślano o zużytkowaniu ich dóbr ogromnych i funduszów, które na własność Rzpltéj przechodziły, na sejmie 1775 roku, Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, pierwszy głos podniósł za tém, aby majątek ruchomy i nieruchomy po-Jezuicki użytym był na szkoły i wychowanie młodzieży. Wniosek podkanclerzego jednomyślnie przyjętym został, i wyznaczono tak zwaną komisyą edukacyjną do wydania stosownych przepisów i czuwania nad całą sprawą. Nadto, ustanowiono jeszcze komisye sądowe do interesów prawnych i komisye rozdawnicze dla zarządu dóbr, sprzedaży ich lub puszczania w arendę. Tu zataić trudno, że nieszczęśliwie wybrani sami przodownicy owéj rozdawniczéj komisyi: Massalski Ignacy, Młodziejowski i Poniński, rwąc co się dało dla siebie, i innych ku temu dla zakrycia własnych nadużyć popychając, wieczystą hańbą okryli swoje nazwiska. Tak były wszelako wielkie fundusze zakonu, że mimo licznych nadużyć i frymarków, same szkoły litewskie miały jeszcze przeszło 600,000 złp. dochodu; co na owe czasy stanowiło sumę ogromną.

Komisya za to edukacyjna, z największą chlubą narodu, na prawdziwą i powszechną zasłużyła wdzięczność, wydając ustawy i rozporządzenia dla szkół, zważywszy epokę, najwyborniejsze, których wypełnienia z całą gorliwością i znajomością rzeczy pilnowała. Murowano więc gmachy obszerne, zakładano szkoły, urządzając przy nich biblioteki i gabinety naukowe, oraz konwikty i bursy dla ubogiéj młodzieży, ułatwiając jéj bezpłatny przystęp wszędzie, w celu powszechnego rozszerzenia światła i nauki. I najuboższy naonczas chłopak, łachmanami okryty, a złamanego szeląga niemający przy duszy, byle mu ochoty nie brakło, otwartą miał drogę do zapewnienia sobie kawałka chleba, krescytywy, jak nazywano, nieraz i do świetnego nawet losu. Bo jeśli się do konwiktu nie dostał, choćby był jeno kalefaktorem i w piecach palił (co się trafiało) mógł zarówno z paniczami na ławie szkolnéj zasiadać. Inni znów byli w usługach możniejszéj młodzieży, a doszedłszy do retoryki, już pauprom za dyrektorów służyli; i nieraz takiego chudopachołka, jeśli się pilnym okazywał i zdatnym, patrowie profesorowie za przykład stawiali butnym jakim a leniwym kasztelanicom.

Tak téż było i w kolegium naszém pijarskiém w Lubieszowie, alias, Nowym Dolsku na Polesiu; gdzie ja właśnie, od infimy począwszy, pobierałem nauki.

Mieliśmy tam dwie bursy, czyli konwikty: jeden dla uczniów ubogich, drugi zaś zwany obywatelski, gdzie mieścili się już zamożniejszéj szlachty synowie.

Tu, uznając wielkie zkądinąd zasługi tak Konarskiego jako i komisyi edukacyjnéj, nadmienić muszę, iż przy odradzającéj się oświacie przyjęta w kraju zasada dozwalająca zakładania w szkołach dwu burs oddzielnych: jednéj dla bogatych, drugiéj dla ubogich, była śmiertelnym zarodem klęsk dla społeczeństwa nieobliczonych i znamionowała osłabienie już prawdziwego republikańskiego ducha. Pierwéj bowiem, kilkanaście tylko rodzin magnackich, które się w domu po zagranicznemu kształciły, wydzielało się dobrowolnie z łona narodu; z ustanowieniem zaś podwójnych burs, prawda że się pociągnęło nieco dzieci magnackich, ale w ślad za tém, bogatsza szlachta, półpanki, zapominając czém są w istocie, poczęli się już uważać za coś wcale innego niż szlachta uboższa. To dało początek nieznanemu przedtém w naszym kraju zupełnemu i szerokiemu w społeczeństwie rozdwojeniu, które mimo swéj bezzasadności i najzgubniejszych skutków, do dziś dnia istnieje. Kardynalną bowiem podstawą społeczeństwa polskiego była zupełna równość szlachecka, co w stosunku do epoki stanowiło właśnie całą siłę rodu; lud bowiem prosty jak w Polsce tak niemniéj w całéj Europie natenczas przywilejów niémiał.

W *Voluminach legum* widzimy, że u nas od najdawniejszych czasów, każdy sejm następny, wzbraniając używania zagranicznych tytułów, coraz większą jednak ilość zasłużonych z ludu nobilitował; najwyższym wyrazem téj dążności był ostatni wolny sejm czteroletni. Wzrastała ilość szlachty, ale jak w winnicy pańskiéj, pierwsi czy ostatni, byli sobie wedle prawa najzupełniéj równi, jednakie mieli przywileje i jednakie téż na nich obowiązki ciążyły. Za tym, wyżéj wspomnianym rozdziałem w społeczeństwie, rodzi się i nazwa w języku naszym wcale przedtém nieznana: *arystokracyi;* rozdwojenie przyczynia się wreszcie i do upadku kraju. Tu dopiéro, znalazłszy grunt odpowiedni, zaczynają się już setkami roić obce w kraju naszym tytuły, na zadowolenie próżności, od zagranicznych państw nadawane w nagrodę zasług nieznanych, jak niemniéj k'woli pielęgnowania w społeczeństwie rozkładowego pierwiastku.

Ten rozdział w społeczeństwie naszém rozwijał się stopniowo z latami, jako nieuchronny skutek wykazanego wyżéj błędu w wychowaniu publiczném, a z pokolenia w pokolenie przechodząc, rozszerzał się coraz bardziéj. W ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, głęboko, wiekami wszczepiona w narodzie zasada równości szlacheckiéj i chrześciańskiego braterstwa nieraz jeszcze dość silnie opierała się złemu; za dowód czego, wśród tysiąca znanych przykładów, niech służy i nasze dalsze opowiadanie.

Wracajmy więc do Lubieszowskiéj szkoły.

Na konwikt czyli bursę dla uboższych były tu fundusze z daru książąt Wiszniowieckich, niegdyś dziedziców Lubieszowa; Kurzenieckich, domu w Pińskiém możnego, oraz księcia Czetwertyńskiego jakiegoś, który łaską Bożą pociągnięty, światowém życiem wzgardziwszy, do zakonu wstąpił. Było jednak wielu młodzieży z niezamożnych rodziców, którzy, jako się rzekło wyżéj, bądź w służbie u bogatszych, bądź za dyrektorów służąc, lub wreszcie za jakie sto kilkadziesiąt złotych wikt i pomieszczenie znajdując, na on czas łatwo w miasteczku, uczęszczali do szkoły. Prócz tego jednak . trafiało się już, że jacy bogaci, dumni albo zbyt troskliwi rodzice, nie chcieli synów swoich i do obywatelskiego nawet oddawać konwiktu; natenczas mieścili ich u którego z magistrów albo patrów, profesorów naszych.

Podkomorzyca, który był moim kolegą przez lat cztery, że ojciec jego wielce się wysoko nosił, umieszczono u JMksiędza prefekta, gdzie niby najczujniejszą miał znajdować opiekę; w rzeczy zaś, do próżnowania i swawoli, Bogiem a prawdą powiedziawszy, miał on tam większe pole niźli u nas w konwikcie. Schadzaliśmy się téż do niego, po dwu, po trzech pod pozorem wspólnéj nauki, abyśmy mogli zabawić się raczéj i dokazywać swobodnie; bo JMksiądz prefekt jako całéj szkoły gospodarz tysiączne miał sprawy na głowie, co téż spostrzegłszy późniéj jeden z wizytatorów, ksiądz Bohusz, wzbronił, aby nadal prefekci byli razem nauczycielami, bo i to im znacznie czas zajmowało. Swawole te nasze nie były wprawdzie straszne; bez żadnych, uchowaj Boże zdrożności; ale że u młodych zawsze w głowie pstro, niezawsze bezpieczne. Współtowarzysz mój szkolny podkomorzyc Józio, mieszkał u prefekta sam jeden; był przy nim, niby jako dyrektor, z obowiązkiem nieodstępowania swego pupila ani na krok, niejaki pan Piszczało, zagorzały myśliwy, który jeśli jeden dzień w domu posiedział, to już była rzecz osobliwa, a czasem rano wyszedłszy, niby na chwilę, zwłaszcza gdy ponowa upadła, wracał dopiéro wieczorem, zjadł co mu pod rękę wpadło i jak legł na łóżku, to spał kamieniem, że mu nieraz po trzy finfy w nos puszczaliśmy, a on tylko przez sen kichnął i chrapał daléj. Drugim towarzyszem był chłopak ubogi, Łukaszek Żebrowski, jako *emulus* dodany mu umyślnie przez księdza prefekta. Syn to był biednéj wdowy mieszkającéj w miasteczku, którego ojciec pono służył nawet u niegdyś podkomorzego przy lesie; że jednak ojciec naszego Józia był, jak nazywają pysznoskąpski, nie dosłużył się stary leśniczy opieki nad dzieckiem; co téż ksiądz prefekt wiedząc, chciał właśnie zalecić chłopaka protekcyi podkomorzego i koleżeńskiéj przyjaźni syna.

Był ten Łukaszek chłop już prawie pod wąsem, słuszny, chuderlawy nieco i śniady, ale barczysty i silny; poczciwy z kościami, a tak do podkomorzyca przywiązany, że gdy się paniczowi trafiało lekcyi nie umieć, to i ów emulus niby jąkał się a udawał że się jéj nie mógł nauczyć. Nasi wszelako patrowie w nauczycielskim zawodzie doświadcze-

ni, zręcznemi pytaniami umieli się prawdy dobadać. Lubili też Łukaszka wszyscy, bo choć potulny i nikomu nie zamącił wody, krotochwile nieraz i maszkary stroił pocieszne, a dyalogów różnych wierszowanych, przedziwnych, zapas miał niewyczerpany, że gdy je recytować począł, prócz niego, co fizys seryo zawsze utrzymać umiał, wszyscy się od śmiechu trzymali za boki.

Wychowany w lasach, przy ojcu, łowiectwo też lubił zapamiętale; ale że to w szkole owoc był zakazany, więc się z tém taił; regularnie tylko czasu świąt lub rekreacyi wymykał się do matki z miasteczka cichaczem w pole lub do lasu. A i w tém, jeśli miał, prawda, upodobanie, była i zasługa nawet, bo zwierzyny nikt tak dalece nie bronił, a w nędzy, opuszczonéj wdowie i zajączek się do garnka przydał i za skórki różne grosz jaki kapnął od czasu do czasu, a szczególnie za kuny. Tych moc wielka gnieździła się w grobowych lochach kościelnych; odważny Łukaszek, porozumiawszy się ze stróżem, starym pijakiem Andrzejem, w miesięczne nocy, zwłaszcza porą zimową, że lochy były dość jasne, zasiadał pomiędzy trumnami z ojcowską wiatrówką, którą gdzieś w ukryciu trzymał i nieraz po kilka sztuk pod opończą nad ranem wynosił. Żydzi ubiegali się za takiemi skórkami, a poczciwy Łukaszek każdy tynf zarobiony, nie tknąwszy go, jako *sacrosanctum*, na utrzymanie staréj matce oddawał.

Podkomorzyc też wkrótce przywiązał się do swego towarzysza serdecznie, co jednak nie przeszkadzało wcale psotnikowi, że mu różne nieraz wyrządzał psikusy, które chłopak znosił wszelako zawsze z cierpliwością spartańską, bądź z przywiązania, bądź z tego przekonania, że chudopachołkowi, jeśli chce wyjść na ludzi, pokornym być trzeba.

Wszystko jednak na świecie ma swoję granicę; Józio pod koniec drugiego roku nieco się rozpróżniaczył i rozswawolił zbytecznie; że zaś się to wszystko na Łukaszku skrupiało, który z nim krzyż Pański znosić musiał, i jemu się przeto cierpliwości zaczynało przebierać.

Byliśmy naonczas w syntaksie; te nazwy klas komisya edukacyjna była już skasowała, u nas się jednak ze zwyczaju długo jeszcze utrzymywały. Podkomorzyc, Łukaszek, ja i Oskierka, na jednéj siedząc ławie, nierozdzielni prawie, schadzaliśmy się do Józia na naukę niby i na swawolę regularnie, a zwłaszcza w długie zimowe wieczory. Tego roku zapusty, jakoś w początkach lutego wypadły. Śniegu było po uszy i mrozy dobre trzymały. Rektor kolegium, osoba u nas pryncypalna, właśnie w tym czasie, dla spraw jakichś jeździł był do Pniówna, dóbr znacznych do klasztoru należących, o trzy mile od Lubieszowa odległych; tam, najadłszy się marynaty z węgorza i przeziąbłszy w drodze z powrotem, zachorzał mocno i już prawie dogorywał. W klasztorze zamęt był niesłychany, z czego my téż korzystając, gdy nadzoru nie było, używaliśmy swobody. W narożnéj na piętrze celi podkomorzyca zamknąwszy się, tysiączne wyprawialiśmy figle i harce; jużeśmy się byli i umęczyli, gdy podkomorzyc mrugnął na nas.

Miało to nowy jakiś pomysł oznaczać.

— Poczekajcie!—zawołał—odpoczniemy sobie, będziemy robić karmelki.

Cukier na one czasy był to specyał kosztowny, bo go jeszcze przywożono zza morza, a ludziom uboższym ledwie z imienia znany.

— Masz cukier?—spytaliśmy.

— Oho! zobaczycie!

Tu dobył ze skrzynki cztery spore kawałki, rozdał po jednym każdemu, zasiedliśmy w końcu wielkiego stołu, który środek celi zalegał, zabierając się do fabrykacyi owych niby karmelków, a topiąc cukier u płomienia grubéj, tak zwanéj rurkowéj łojówki, w mosiężnym lichtarzu pomiędzy nami stojącéj.

— Czekajcie! czekajcie!—wołał jeszcze podkomorzyc—oto jest i łyżka, nad nią będziemy topić.

— Ale źle topić we czterech przy jednym płomieniu—zauważył Oskierka.

— Łukaszek niech sobie stoczek zapali—odparł, znowu mrugając na nas gospodarz.

Niedomyślając się jeszcze figla, poczęliśmy topić cukier i puszczać krople na łyżkę, którą podkomorzyc trzymał.

Tymczasem Łukaszek, przylepiwszy do stołu kawałek stoczka, wziął się także do roboty, z tém większą jeszcze ciekawością, że to była dla niego rzecz nowa.

— Paniczu! paniczu!—zawołał nagle Łukaszek—już się topi, już, już, prędko, proszę łyżki!

— Poco ci tam łyżka—odparł podkomorzyc żywo—wal na język odrazu.

Prostoduszny Łukaszek, nie czekając, podniósł głowę do góry, gębę szeroko otworzył i nadtopiwszy jeszcze kroplę sowitą, puścił na sam środek potężnego języka.

Ryk jaki się w téj chwili z gardła jego wydobył nie był chyba do żadnego ludzkiego głosu podobnym; i gdy my z owego niedorzecznego konceptu śmiejemy się jak opętani, biedny Łukaszek z rozwartemi szczękami stoczywszy się jak kula po schodach, dopadł w dziedzińcu do koryta w którém konie pojono, sparł się na niém oburącz i język w zimną wodę wsadziwszy, z okrutnego snać bólu stękał tylko i tupał nogami.

Żart to był prawdziwie studencki, o którym, gdyby nie następstwa, wspominaćby nie warto; wszelako, mimo setnych dowodów przywiązania podkomorzyca, ten figiel bolesny mógł dla cierpliwości Łukaszka stanowić ową kropelkę, która się z pełnéj czaszy przelewa. Przez tydzień przeszło nie miał on w ustach i kruszyny chleba, żywiąc się klejkiem albo mlekiem. Zniósł jednak mężnie tę przygodę, żadnych nawet nie czyniąc wymówek. Podkomorzyc, który miał serce poczciwe, postrzegłszy wyrządzoną krzywdę, przepraszał go wielekroć i czém mógł obdarzał, a czując że tak bolesna igraszka niełatwo odkupioną

być może, gorąco się nawet dopraszał, żeby mu Łukaszek czémś podobném odpłacił.

Ta czujność i czułość sumienia była u całéj młodzieży naszéj w konwikcie wpojoną gruntownie, nietylko przez odpowiednie, a gorliwe nauki, ale i przez praktykę samą. Mieliśmy bowiem zawiązane między sobą bractwo Sodalisów, czyli sług N. P. Maryi, do którego niemal cała młodzież wpisywała się dobrowolnie. Co miesiąc tedy szliśmy do spowiedzi, codzień słuchaliśmy mszy świętéj i przepisane bractwu krótkie odprawialiśmy nabożeństwo; ćwiczenie się zaś w dobrych uczynkach nietrudno przychodziło tam, gdzie bogatsi uboższéj braci małym groszem jakim, ubraniem, lub obuwiem mogli ułatwiać pobyt w szkole, za co biedniejsi sercem i kto mógł pomocą w naukach odpłacali się sowicie. Tento jedynie związek bratersko-chrześciański, który na całe życie ludzi z sobą kojarzył, gdzie był zaprowadzony i dopóki trwał w zwyczaju, najskuteczniéj jeszcze działał przeciw zgubnemu rozdwojeniu, rodzącemu się z zaprowadzenia osobnych konwiktów dla bogatszéj młodzieży. Nie bez tego, żeby i swawoli w szkołach naszych nie było, bo młodość młodością, rozumu niespełna, a krew burzy się gorąca, latami jeszcze nie wystudzona. To życie jednak napół klasztorne i zasady wiary wpojone silnie, od większych wybryków powstrzymywały.

Nieopatrzny żart podkomorzyca prędko jednak poszedł w zapomnienie, témbardziéj, że ciężka niemoc, a wkrótce téż i zgon rektora, powszechną w inną stronę odwróciły uwagę. Byłto dla kolegium wypadek wielkiego znaczenia; ruch panował w klasztorze ogromny, pogrzeb przy znacznym napływie duchowieństwa, szlachty i ludu odprawiono z przepychem i okazałością wielką. Jmci ksiądz prowincyał Jakucewicz, który na ten obchód zjechał, nazajutrz zaraz po pogrzebie pośpiesznie klasztor opuszczając, zapowiedział przybycie swoje powtórne, dla instalowania nowego rektora. Cisza więc nastała po owych obrzędach i wszystko zdawało się niby do dawnéj powracać kolei, wszelako nie do dawnego porządku. Rektor bowiem nieboszczyk surowym był niezmiernie, a jako przełożony nad wszystkimi, bo i nad patrami i nad prefektem szkoły, wszystkich téż w karbach trzymał swą żelazną dłonią. Że zaś prefekt nasz człek był łagodny, ciężki, a nie bardzo ruchawy, dawny ład i rygor rozprzęgać się zaczął powoli.

Wieczorami tylko, po ciemnych, a ponurych kurytarzach klasztoru, przemykaliśmy się, spoglądając za siebie ze strachem, a włosy nam stawały na głowach i ciarki po plecach biegały; każdemu się bowiem zdawało, że go nieboszczyk rektor goni i już... już kościste palce ma zapuścić w czuprynę. Jedni téż drugim na psotę dodawali strachu, póki dzień świecił i to było rodzajem zabawy; ale pod noc mało kto półgębkiem nawet odważył się nieboszczyka wspominać. Sam tylko Łukaszek w tym względzie stanowił wyjątek i był teraz górą, bo nie bał się nic, a drugich straszył niemiłosiernie. Wieczorami, jak zaczął jakieś o upiorach, dyabłach, wilkołakach i nieboszczykach prawić hi-

storye, drżeliśmy z niewysłowionéj trwogi i dech nam w piersiach zamierał.

— Boto—mówił—panicze nie uważali, jaki był ksiądz rektor po śmierci czerwony.

— Nie—mruknął Oskierka.

— Oho!—ciągnął uśmiechając się Łukaszek—ja dobrze widziałem; to jest zły znak: będzie biéda.

— Jaka? co?

— Będzie upiorem, będzie chodził po śmierci i napastował.

Obejrzeliśmy się mimowoli trwożliwie, każdy poza siebie.

— To pewna rzecz—mówił Żebrowski—nawet miał jedno oko otwarte, okropnie straszne!

— Co tam wam!—stęknął z cicha podkomorzyc, zwracając się do mnie i Oskierki—wy w konwikcie w waszéj Odzie wszyscy razem śpicie, to nic; ale ja tu sam jeden; w drugiéj celi Piszczało chrapie, żeby z dział bito, nie obudziłby się pewno. A tu prosto ze drzwi schody na dół i zaraz do kościoła, a ztamtąd do sklepów! Jakby wylazł z lochów... aj! aj! aj! Ale to głupstwo—dodał pocieszając się w strachu—to nie może być; jakto? przecież nieżywy.

— To co, że nieżywy—przerwał Łukaszek—właśnie dyabeł włazi w takiego trupa, jakby kożuch wdział i dopiéro dokazuje. A jak tylko kto czerwony po śmierci, a oczy mu się zamykać nie chcą, to już wiadoma rzecz, co to znaczy. Tu w miasteczku przeszłego roku tak samo jeden mieszczanin umarł; okropnie był czerwony, zaraz zmiarkowali, co to jest; więc mu łyczkiem związali trzecie palce, przewrócili w trumnie do góry plecami, dopiéro było cicho. Nie dał rady wstać nieboszczyk. Żeby byli naszemu rektorowi tak zrobili...

W téj chwili mysz zaczęła chrupać pod podłogą; zerwaliśmy się na równe nogi.

— Cha! cha! cha!—zaśmiał się Łukaszek—czegóż się panicze tak boją? e! e! to wstyd, ja tak tylko żartowałem.

Zdjął z szaragów czapkę i starą opończę.

— No, dobranoc paniczom—dodał—już blisko dziewiątéj, trzeba iść.

— Poczekaj! poczekaj!—zawołaliśmy oba z Oskierką—odprowadzisz nas do konwiktu, pójdziemy razem

— Jakże ja tu sam zostanę!—lamentował podkomorzyc.

— Piszczało śpi obok.

— Et, co mnie po nim! ponowa upadła, cały dzień zmachał się na polowaniu, leży jak kamień.

Nie było jednak na to rady, pożegnawszy kolegę, wysunęliśmy się ostrożnie na kurytarze.

Księżyc świecił jasno, a blask jego zdawał się zdwajać odbiciem od śniegu; przez okna pasma światła z cieniami naprzemian słały się na ceglanéj posadzce, ale ciemne kąty i załamki kurytarza jeszcze się czarniejszemi zdawały. Obrazy i portrety, ubierające przeciwległą

ścianę, w niektórych tylko częściach oświetlone, straszne jakieś oczom naszym, jak gdyby z ram wychylające się, przedstawiały postacie, których przedtém nigdyśmy nie spostrzegali. Cicho, na palcach, oglądając się co chwila, oddech w piersiach wstrzymując, trwożąc się odgłosem własnych kroków, postępowaliśmy ostrożnie i bojaźliwie. Wolno z początku, późniéj coraz bardziéj pośpieszając, wreszcie wbiegliśmy zadyszani na dziedziniec. Tu jak w dzień było jasno, noc trochę mroźna, śnieg iskrzący się i chrupiący pod stopami, a księżyc w pełni prawie królował majestatycznie na ciemném tle gwiaździstego nieba. Raźniéj nam się zrobiło i weseléj; w oficynie tuż na dziedzińcu położonéj, w któréj się mieściły nasze ody, czyli konwiktorskie sale, słychać było gwar i rumor; zbierano się na wieczorną modlitwę. Pożegnaliśmy więc Łukaszka w ganku, śpiesząc do kolegów.

W konwikcie naszym tak zwana *oda*, była to wielka sala, oświecona z jednéj strony szeregiem okien od dziedzińca, do trzech zaś ścian innych przytykały małe celki, czyli komórki bez drzwi, z firankami tylko; w każdéj komórce takiéj mieściło się po dwa łóżka i dwa stoliki dla konwiktorów; co dwie celki trzecią, już zamczyste drzwi mającą, zajmował który z księży, albo dyrektor jaki; drzwi wreszcie w końcu sali prowadziły do obszerniejszego pokoju, który przeznaczony był dla jednego z profesorów. Tu nam więc w towarzystwie licznem, lubo prawda pod surowym i ciągłym nadzorem, nieskończenie jednak na ten czas trwogi weseléj było i zdawało się bezpieczniéj, niż biédnemu podkomorzycowi. Zwykłym przeto porządkiem wspólne głośno odmówiwszy pacierze, udaliśmy się żwawo na spoczynek; wnet światła pogasły, tu i tam słychać było jeszcze półgłosem wymówione „dobranoc," sen spadł na powieki, ucichło.

Nazajutrz ledwieśmy się przebudzili, usłyszeliśmy gwar jakiś niezwykły, biegania, rozpytywania się, wykrzykniki. Profesorów kilku w kącie sali, pod oknem stojąc, rozmawiało żywo, ściskali co chwila ramionami, wskazywali na gmach klasztorny, widocznie coś się stać musiało niezwykłego. Zerwaliśmy się z łóżek pośpiesznie, wpadł do naszéj celi Kurzeniecki.

— Wiécie co się stało?—zawołał.

— Co? co?

— Rektor się w nocy pokazał.

— Nie może być?!

— Jak Boga kocham!—wykrzyknął kolega w ferworze.

— Który tam się przysięga?—zagrzmiał głos z sali.

— Przypadkiem, panie profesorze, niechcący.

— Zawsze u niego przypadek—odparł głos znowu.

W téj chwili profesora pilno odwołano; uszło Kurzenieckiemu na sucho.

— Cóż to było?—spytaliśmy ciszéj, przytrzymując kolegę.

— Zjawił się rektor nieboszczyk w nocy, w celi podkomorzyca; ten nieborak, słyszę, okno wyłamał i wyskoczył na podwórze.

— Wyskoczył oknem? w śnieg?

— W śnieg, w jednéj koszuli.

— Alełto z piętra, musiał się potłuc szkaradnie.

Nie, gdzież tam, śnieg jak pierzyna, tylko mówią, że razem z wyłamaném oknem padając, trochę sobie ręce i nogi szkłem pokaleczył.

— Chory?

— A chory, leży; przemarzł, słyszę, bardzo w śniegu.

— A to awantury! i widział rektora?

— Powiadają, że widział.

Zegar na sali, sycząc ciężkiemi wagami, które się obsuwały powolnie, począł wydzwaniać godzinę siódmą; wnet za tym cienkim głosem ozwała się donośna sygnaturka, powołująca nas na mszę studencką; ruszyliśmy się do kościoła. Lekcye zaczynały się o ósméj, a że nabożeństwo codzienne zwykle mniéj, niż półgodziny trwało, spodziewaliśmy się pochwycić chwilę, żeby podkomorzyca odwiedzić. Powiedziawszy prawdę, tą razą nie więcéj przyjaźń, jak ciekawość nas tam ciągnęła. Zaraz więc po benedykcyi, gdyśmy wszyscy, jak zwykle, ordynkiem wyszli z kościoła i rozsypali się na dziedzińcu, ja z Oskierką wymknęliśmy się na górę. Z wielkiém podziwieniem spostrzegliśmy tu drzwi do celi podkomorzyca otwarte, w oknie naprzeciw jedna tylko połowa ramy i ta od góry zerwana, kołysała się na dolnéj zawiasie; w izbie cug, zimno, ani żywéj duszy. Poskoczyliśmy do okna, chcąc zobaczyć co się dzieje na dole; stolarz z czeladnikiem zbierali właśnie, widać dla miary, kawałki podruzgotanéj ramy, śnieg pod oknem zmięty był i zdeptany, a w kilku miejscach krwią nawet lekko zabarwiony. Nie było już żadnéj wątpliwości; to, cośmy własnemi widzieli oczyma, potwierdzało najzupełniéj opowiadany wypadek. Domyślając się, że podkomorzyca przenieść musiano do drugiego pokoju, który pan Piszczało zajmował, chociaż drzwi do niego wiodące, naprędce snać zawieszono kilimkiem, zastukaliśmy do nich ostrożnie.

— Kto tam?—spytał z cicha pan Piszczało.

— To my, Kulesza i Oskierka, chcieliśmy odwiedzić podkomorzyca.

— Nie wolno, idźcie błazny do krocset...—mruknął za drzwiami.

Usłyszawszy tę grzeczną odprawę, spojrzeliśmy sobie w oczy wzajemnie, a skuliwszy się i rękami przytrzymując usta, aby się w głos nie roześmiać, zbiegliśmy na dół.

Obskoczyli nas koledzy.

— Cóż? widzieliście podkomorzyca?

Oba z Oskierką, jedną genialną myślą natchnieni, pokazaliśmy towarzyszom dwie... figi.

Z temi też emblematycznemi figami i koledzy nasi i my sami nosiliśmy się dni kilka; nikt przez ten czas nie mógł się żadnych szczegółów dobadać, a te właśnie największą wzbudzały ciekawość. Trzeciego dnia podkomorzyc zamiast pozdrowiéć, zasłabł jeszcze gorzéj, do-

stał silnéj gorączki i bredził nawet nieprzytomnie; jednak, nakazana, jak się zdaje, przez patrów tajemnica trzydniowéj próby nie wytrzymała i wszyscy już wreszcie rozpowiadali głośno, jak się rzecz miała.

Okazało się więc, że owego wieczoru, po wyjściu naszém, podkomorzyc jak najśpieszniéj pacierze zmówiwszy i rozebrawszy się, zgasił świecę i spać się położył; a dla większego bezpieczeństwa od strachów, otuliwszy się kołdrą z głową, zasnął szczęśliwie. W pierwszych dniach, gdy był jeszcze przytomnym, opowiadał on, że przebudził się w nocy, czując jakiś w pokoju swąd nieprzyjemny. Wyjrzał zpod kołdry: w izbie jak w dzień jasno było od księżyca, rzucił oczyma... na krzesełku, w nogach przy łóżku, z przerażeniem ujrzał wyraźnie, siedzącego nieboszczyka księdza rektora! Podkomorzyc zdrętwiał, głowę szybko schował pod kołdrę, rozmyślał przez chwilę; zdawało mu się, że to sen albo przywidzenie; ogarnęła go niespokojność i trwoga, sam sobie i własnym oczom nie wierzył. Zwolna, ostrożnie, jeszcze kołdrę uchylił... Rektor, nie kto inny, wyraźnie jak żywy, siedział tuż na krzesełku z jedném okiem otwartém, straszném, wlepioném wprost w podkomorzyca. Wątpliwości nie było; podkomorzyc raz jeszcze dał nurka pod kołdrę, trząsł się już jak w febrze, zęby mu klekotały, zimny pot wystąpił na ciało, brakło nawet oddechu, a serce kołatało jak młotem. Myślał, i myśli plątały mu się bezładnie; czuł przecie, że nie śpi, że jest przytomnym, że widział na jawie, bo noc była tak jasna, żeby i książkę mógł czytać. Nie, rzekł sobie w duchu, to być nie może, to mi się tak zdawało, muszę się raz jeszcze przekonać. Dobywając zatém ostatka sił i rozpaczliwéj odwagi, zerwał się żywo i siadł na posłaniu.

Rektor siedział zawsze uparcie; od gwałtownego jednak ruchu podkomorzyca, wstrząsnęło się łóżko i krzesełko zajęte przez nieboszczyka, a wreszcie poruszył się sam nawet rektor... jak gdyby z siedzenia miał wstawać. W tym stanie rzeczy, jak mówiono, co i sam późniéj podkomorzyc potwierdzał, stracił on prawie świadomość tego, co czynił i co się z nim działo. Kiedy się rzucił do okna? jak go wypchnął czy wyłamał z ramami? jak się znalazł na śniegu? nie pamiętał prawie. Pan Piszczało nic byłby się pewno obudził, ale w stajni czuwali jeszcze ludzie, którzy, na odgłos łamanego okna, wybiegli. Nie spał ksiądz prefekt także, ale łoskotu nie słyszał, woźnica i pacholik stajenny, zobaczywszy co się stało, zaczęli nawoływać ludzi, pośpieszył i sam prefekt, księży kilku i służby miejscowéj; podkomorzyca bezprzytomnego odniesiono na górę, że okno jednak było wyłamane, umieszczono go w przyległéj celi. Dano mu nieco wina, oprzytomniał po niejakim czasie; wszelako ze słów jego prawie bezładnych, zrazu nikt nic nie mógł zrozumiéć. Posądzono go najprzód, że jest lunatykiem lub jakieś miewa przywidzenia. Podkomorzyc jednak w krótkim czasie, do zupełnych powróciwszy zmysłów, tak dokładnie, z najmniejszemi szczegółami pokilkakroć opowiadał rzecz całą, że patrowie nasi, przejęci prawdą tych szczegółów opowiadania, zaczęli mocno kiwać głowa-

mi, szukając wytłómaczenia owego zjawiska, bądź w pismach doktorów i teologów, bądź w życiu i stosunkach z ludźmi nieboszczyka rektora.

Ruszono się oglądać celę podkomorzyca; wszystko tu było w porządku, prócz wyłamanego okna i jak się na to wszyscy zgadzali, jakiéjś wcale nieprzyjemnéj i niezwyczajnéj woni.

IMC ksiądz prefekt jednak, wielce przenikliwy i domyślny, zwrócił się żywo do pana Piszczały.

— Bo acan pewno—rzekł—tak jak w przeszłym roku w zakrystyi, położyłeś te twoje jakieś trutki na szczury, gdzieś któryś wlazłszy pod podłogę, zdechł i zapowietrzył celę.

— Ale gdzieżtam, księże prefekcie dobrodzieju—tłómaczył się pan Piszczało—jak mi Bóg miły, nigdzie żadnych trutek nie kładłem, a zresztą tu wczoraj wieczór wcale jeszcze nic słychać nie było.

— Kiedy tu wyraźnie zdechliznę słychać.

— Słychać, słychać!—powtórzyli patrowie pociągając nosami.

— Nic masz się co acan taić—mówił prefekt, zwracając się znowu do dyrektora—toć przecie nie *crimen*, wąchajże sam.

Za przykładem patrów, sapnął potężnym nosem i pan Piszczało.

— No, tak,—odparł—nie zaprzeczam, ale co mówiłem, na to, choćby i zaraz, jurament mogę wykonać, że trucizny żadnéj na szczury, choć te bestye awantury wyrabiają, nie kładłem; że śmierdzi, prawda, ale niech ksiądz prefekt dobrodziéj daruje, cóż to dziwnego, jeśli tu był nieboszczyk ksiądz rektor; gdzież go przecie można komparować do jednego mizernego szczura!?

— Et!—przerwał prefekt—głupstwa acan pleciesz, był... był... że tam chłopcu się coś przywidziało, wielka rzecz!

Tu stary ksiądz definitor zażył tabaki i zrobił minę wielce znaczącą.

— Jegomość mówisz—ozwał się powoli—że się chłopcu przywidziało; więc się chyba i nam tu coś przywąchało, hę?

Uśmiechnęli się nieco patrowie, prefekt ścisnął ramionami, obejrzał się raz jeszcze w około, wreszcie machnął ręką i wysunął się na korytarz; towarzystwo pociągnęło za przełożonym. W milczeniu mieli się już rozchodzić, każdy w swoją stronę, gdy ksiądz kaznodzieja szepnął nieśmiało:

— Jak ono jest, to jest, księże prefekcie dobrodzieju, aleby to przecie nic nie zaszkodziło; moglibyśmy jeszcze egzekwie za nieboszczyka odprawić.

— A owszem, bardzo dobrze!—odparł prefekt—ale należy kilka dni poczekać, żeby znowu nie robić z tego jakiegoś rumoru; młodzież zaraz gotowa posądzić, że i my wierzymy, jakoby tam ktoś mógł po śmierci chodzić.

— A jegomość nie wierzysz?—spytał z uśmiechem definitor.

— Ja, no, ja!—bąknął prefekt—my... co innego...

Urwała się na tém rozmowa, zamyśleni, w milczeniu porozchodzili się patrowie.

Minęło dni kilka, podkomorzyc walczył jeszcze z chorobą, gorączka wracała się uporczywie, dano znać ojcu, który, zaniepokojony o jedynaka, pośpieszył natychmiast.

Byłto, jak mawiano naonczas, personat, mężczyzna pięknéj postawy, ale twarz miał ponurą, namarszczoną i tak zawsze surową, że na niéj uśmiechu nikt nigdy nie widział. Mówiono, iż to był człek sprawiedliwy, ale twardy i nieubłagany.

Gdy mu rzecz całą rozpowiadano, milczał, kiwał głową niechętnie i nie dowierzał widocznie; dosiadując zaś w klasztorze, w oczekiwaniu polepszenia się zdrowia syna, chodził, rozglądał się po wszystkich kątach, badał kogo przydybał; ale się nic nie dowiedział nowego.

Tymczasem nadjechał prowincyał nasz ksiądz Jakucewicz, dla instalacyi nowego rektora, a w ślad za nim i rektor naukowego wydziału Poleskiego, Buchowięcki z Brześcia. Ożywiło się nasze kolegium, dano nam cały jeden dzień rekreacyi; ruch niezwykły panował wszędzie. Że zaś i podkomorzyc, już mając się lepiéj, całą ową nocną przygodę słowo w słowo opowiadał jak pierwéj, a co więcéj, opisywał niektóre drobiazgi stroju nieboszczyka rektora, o których pierwéj cale nie był w stanie wiedzieć; nad owém więc dziwném zjawiskiem nowe rozpoczęły się dysputy.

Gdzie kto mógł, podsłuchiwaliśmy wszyscy; zaiste, było czego i posłuchać! Wszyscy mówili uczenie, mądrze, przekonywająco; chociaż każdy co innego dowodził. Kiedyśmy słuchali jednego, zdawało się nam, że co prawił, było jasném, jak słońce, i nie mogło być inaczéj; jakże zaczął mówić drugi, wprost przeciwnie, to takie stawił argumenta, jakby łopatą w głowę kładł: słuszność miał niezaprzeczoną.

W co wierzyć? byliśmy w okropnym kłopocie.

Szarą godziną, w wielkiéj celi Imć księdza prowincyała, zebrali się patrowie i goście, prowadząc właśnie owe rozprawy, przy lampkach wina lub kawie, wedle upodobania. Spory, dowodzenia i opowiadania różne toczyły się żywo. Ksiądz definitor, opierając się na różnych cytatach i przykładach, przodował tym, którzy dowodzili, że rektor nieboszczyk mógł istotnie, we własnéj osobie, przyjść do podkomorzyca; zdanie to, szczególnie starsi księża podzielali z definitorem. Ksiądz fizyk, przeciwnie, stał na czele młodszych, niedowierzających takim nadzwyczajnościom; lubił on bawić się w wymowę, dowodził bardzo dobitnie i śmiało, tak dalece, że nawet sam ksiądz prowincyał, lubo go w niektórych razach mitygował, zdawał się przychylać do jego zdania.

Ojciec podkomorzyca ciągnął lampkę zaczętą, milczał i słuchał; pan Piszczało pomagał mu w tém sumiennie, pił nie mówiąc słowa, nosem tylko od czasu do czasu pociągając głośno, jak to miał we zwyczaju. Prefekt nasz, nieboraczysko, co chwila wielką kraciastą chustką obfity pot obcierając z czoła, ograniczał się tylko oddaniem niekiedy pochwał trafnym lub dowcipnym spostrzeżeniom zarówno jednéj jak drugiéj strony.

— Niéma tu nic nadprzyrodzonego—mówił poważnie ksiądz definitor, palcami w tabakierę stukając—takim rzeczom może tylko ten negować, kto jest *nomine non re*, teologiem; bo chociaż bez Boga niémasz nic, jak powiedział Jan Święty w rozdziale XV-ym: *sine me nihil potestis facere*, ale téż wiadomo także z Pisma, że aniołowie źli, alias czarci sprośni, z dopuszczenia Bożego, wiele na świecie popełniać mogą zdrożności; a czarnoksiężnicy pomocy ich do swoich spraw używają. Wielcy teologowie pisali o tém wielkie traktaty, a kto ciekawy jest, spernować tém nie powinien; niech czyta księdza Delriona Jezuity: *Disquisitiones Magicas*, *Simona Majolusa*, *Dierum Canicularium*, albo książkę sub titulo: *Malleus Maleficiorum*, lub nareszcie naszego księdza Tylkowskiego; nie są to więc żadne extraordynaryjne rzeczy, albowiem, że się tak wyrażę, *bez słusznéj racyi niéma i negacyi!*

Tu, na waletę, raz jeszcze pstryknąwszy w trzymaną na pogotowiu wielką tabakierę, otworzył ją i podsuwając sędziwemu księdzu Jacentemu, sam téż potężną zagarnął szczyptę, a głowę w tę i ową stronę przechylając, z zadowoleniem pociągał nosem.

Ksiądz fizyk, nauczyciel nasz ulubiony, znający dobrze swego adwersarza, nie przerywając mu dowodzenia, czekał cierpliwie; wiedział bowiem już z góry, że ważna operacya nabijania tabaką poważnego definitorskiego nosa przerwać musi niebawem ciąg argumentów i mnogich cytacyi; korzystając więc z nosowo-puszkarskich manewrów przeciwnika, ozwał się żywo:

— Nie chcę ja bynajmniéj, ani myślę, uwłaczać powadze wielkich teologów i filozofów; wszelako w czasach obecnych eksperyencye fizyczne wykazały, iż wiele rzeczy, które w starożytności przypisywano czarom, czartom i czarnoksiężnikom, daje się eksplikować jasno; są one zjawiskami sił naturalnych, które, jako powszechności przedtém nieznane, tłómaczone były influencyą duchów nieczystych. A i to jest rzeczą godną uwagi, że w dzisiejszych czasach wszystkie owe nadzwyczajności słyszymy tylko w narracyach, a nie widzimy ich sami i nie spotykamy takiego, któryby nam powiedział: „otom ja widział własnemi oczyma."

Definitor kiwnął w tém miejscu głową i uśmiechnął się złośliwie, dając przez to do zrozumienia, że przeciwnika złapał już na słabéj stronie; ale ksiądz fizyk nie w ciemię bity, ruch ten spostrzegając, ciągnął pośpiesznie:

— Bo, jeśli podkomorzyc mówi, że nieboszczyka oglądał, nie jest to koniecznym dowodem, iż świętéj pamięci rektor, *in persona*, przychodził istotnie. Tu wzgląd miéć należy na *imaginatywę* młodzieńczego wieku, na łatwość impresyi przy bliższym widoku, może pierwszy raz w życiu strasznego aktu śmierci człowieka, którego co dzień oglądał żywym; a umysł młodzieńczy w kontrowersyach życia nie miał się jeszcze czasu zahartować, znieczulеć, iż tak rzekę, stwardniéć, nabyć... nabyć...

Tu się ksiądz fizyk nieco zająknął, a definitor dokończył żywo:
— Nabyć nagniotków.

Patrowie, zwłaszcza starsi, głośnym wybuchnęli śmiechem, ale ksiądz fizyk podchwycił bystro:

— Tak jest; porównanie ojca definitora bardzo trafne, dobitnie ono wyobraża stwardnienie umysłu już w późniejszym wieku, ogólnie, generalnie, lubo ekscepcye być mogą; co do nagniotków jednak *specialiter*, zwracam uwagę, że one dlatego właśnie są poniekąd zawadne i dolegliwe, iż same jedne twarde, znajdują się wśród otoczenia miękkiego. Tak też i człowiek, którego umysł stwardnieje, już niejako w rutynicznych formach, czyli pojęciach, nie kwadruje zgoła wśród tych, którzy swą przyrodzoną, a świeżą giętkością, zdolni są do przyjmowania wyobrażeń, rozszerzających się z postępem wieku, w ślad za rozwojem wiadomości ludzkich i nauk. Albowiem...

— Za pozwoleniem! — zawołał Jmci ksiądz prowincyał, spostrzegając, że dysputa zaczyna wkraczać na draźliwe manowce.

— Za pozwoleniem! — powtórzył — tu ichmościowie oba macie słuszność za sobą, ale się porozumieć nie możecie. Rzecz bowiem lubo zdarzyć się mogłaby, czemu zaprzeczać niémamy potrzeby, w teraźniejszych czasach jednak niepraktykowana, żadne przeto z nią nowe eksperymenta czynione być nie mogą, a ztąd słusznie wzbudzać może pewne.. niedowierzania. Ja byłbym nawet za tém, żeby zrobić ścisłą indagacyą ludzi; a kto wié—dodał wreszcie—możeby należało zajrzéć i do sklepów.

— Właśnie—dorzucił ksiądz fizyk—ja proponowałem już to samo.

— No—rzekł tłómacząc się prefekt—ja się na to jakoś nie ważyłem, nie chcąc téj sprawie nadawać zbytniego rozgłosu, ale jeśliby taka wola była ojca prowincyała, to rzecz inna.

— Tak, tak—popierał gorąco ksiądz fizyk—do sklepów najprzód zajrzéć wypada, to możemy sami *privatissime* uczynić.

A no!—zakonkludował prowincyał—nic trudnego, jutro każdy z nas zmówi *memento* za nieboszczyka i po mszy świętéj pójdziemy. Nie zaszkodzi to i dla samego porządku.

Stojąc z Kurzenieckim pode drzwiami i przez dziurkę od klucza zaglądając naprzemian, z ciekawością przysłuchiwaliśmy się całéj rozmowie; gdy ona jednak niebawem na polityczne konjunktury wkroczyła, że to nas wcale nie zajmowało, a baliśmy się, aby nas nie przydybano, pobiegliśmy odwiedzić podkomorzyca.

Miał się on już znacznie lepiéj, z pokoju mu tylko wychodzić nie dozwolono. Poczciwy Łukaszek od samego początku owéj choroby podkomorzyca nie odstępował go ani na chwilę w dzień i w nocy, jakby najczulsza matka, albo siostra służąc. W pierwszych dniach tak silnie to nieszczęście uczuł, że niemal do rozpaczy dochodził; zmienił się nie do poznania, dopiéro gdy podkomorzyc już pozdrowiał, rozweselił się nieco, niemniéj jednak na téj dobrowolnie przyjętéj służbie

trwał ciągle, rzadko i na krótki czas tylko odbiegając do domu. Właśnieśmy z Kurzenieckim przyszedłszy i jego i Oskierkę u rekonwalescenta zastali. Zaczęliśmy więc opowiadać cośmy słyszeli, dodając, że patrowie jutro rano mają iść do sklepów.

— Trzebaby któremu z nas się tam wcisnąć—zauważał Oskierka —ciebie ksiądz fizyk lubi—rzekł zwracając się do mnie—wproś się, to i nam powiész, co tam zobaczysz.

Podobała mi się ta myśl kolegi, tegoż samego zatém wieczoru, zagadnąłem księdza fizyka, żem niby coś słyszał o jutrzejszéj wyprawie i jak zacząłem go prosić, a po rękach całować, żeby mnie zabrał z sobą, zgodził się wreszcie i obiecał.

Nazajutrz zatém po mszy, ksiądz prowincyał, a za nim goście i patrowie, oraz służba miejscowa i ja także, trzymając się mego profesora, ruszyliśmy *processionaliter* do lochów. Pierwszy raz widziałem te sklepy, obszerne, czyste, widne, ceglana posadzka wysypana była grubo żółtym piaskiem. Zaraz w progu przełożony, a za nim wszyscy przyklękli do krótkiéj modlitwy, po któréj powstawszy, ruszyliśmy wszyscy wolnym krokiem daléj, w uroczystém milczeniu. Prowincyał postępując na czele, zbliżał się właśnie do trumny nieboszczyka rektora, lecz nagle wstrzymał się i wykrzyknął:

— A to co?

Na ten głos wszyscy stanęli, jakby wryci w ziemię, patrząc na stojącego w pewném osłupieniu prowincyała; trwało to jednę chwilę, wnet przemogła ciekawość, każdy się cisnął ujrzéć, co było powodem tego wykrzyknika.

W istocie okazała się rzecz dziwna.

Piasek około trumny rektora zdeptany był gęsto, wieko niedomknięte, a co więcéj, z pod niego zwieszał się kawałek sutanny.

— Cóż to jest?—spoglądając po obecnych powtórzył prowincyał.

Nie było odpowiedzi, milczeli wszyscy, w zadumie jakiéjś pogrążeni.

Definitor jednak, po chwili zwracając się do księdza fizyka, rzekł półgłosem:

— Otóż masz jegomość *experiment*, że u podkomorzyca może i nie było żadnéj *imaginatywy*, a że masz umysł giętki—dodał ze złośliwym uśmiechem — możesz sobie z tego jakie chcesz wyciągać konsekwencye.

Przełożony tymczasem zwrócił się do księdza prefekta.

— Każ jegomość podjąć wieko.

Służba i księży kilku, ruszyli się do spełnienia rozkazu.

Nastąpiło nowe zdziwienie.

Ciało nieboszczyka rektora nie na wznak, lecz zupełnie bokiem leżało, jakby się tylko do krótkiego snu ułożył, wcale nieregularnie, a ubranie pomięte było i pokurczone.

Tu prócz patrów, którzy stali dość spokojnie, na służbie i reszcie zebranych odmalowała się widoczna już trwoga: ten i ów zbladł wyraźnie, inni żegnali się nieznacznie, niektórzy ostrożnie cofali się ku drzwiom sklepowym.

— Nie rozumiem—mruknął prowincyał, potrząsając głową.

Wtém zawołał pośpiesznie ksiądz fizyk:

— Za pozwoleniem! stać! niech się nikt nie rusza!

Wszyscy zatrzymali się nieruchomie.

— O co chodzi?—spytał bliżéj stojący ksiądz Jakucewicz.

— Tu są ślady na piasku—wskazując, mówił żywo ksiądz fizyk —trzeba się w nich dobrze rozpatrzéć.

— Wyraźne buty z podkówkami—zauważał ktoś z obecnych.

— No, to już nie są ślady nieboszczyka rektora—podchwycił profesor—bo jego buty przecież bez podkówek.

— Słuszna, bardzo słuszna uwaga—rzekł prowincyał — jest w tém coś zbrodniczego, ktoś tu był.

Poczęto nieboszczyka układać na nowo. Staliśmy wszyscy nieopodal, ksiądz Pius, magister, porządkując około sutanny, wykrzyknął nagle zwracając się do prefekta:

— *Reverendissime!* o! nowe odkrycie!

Tu z trumny wyciągnął rękę i okazał na dłoni kilka ołowianych loftek i siekańców, zaraz téż i na piasku obok inne rozsypane spostrzeżono.

— Cóż to znowu?—ściskając ramionami powtórzył prowincyał — *maleficia* jakieś.

Odeszli na bok nieco z księdzem prefektem i rozmawiali z cicha; trwało to czas krótki, wreszcie prowincyał kończąc rzekł głośniéj:

— To niéma co kunktować, trzeba zrobić ścisłą indagacyą wszystkich sług klasztornych, wziąć ich dobrze na konfesatę; wszystko się wykryć musi, a to jest w każdym razie *sacrilegium*, zbrodnia, która przykładnie ukaraną być musi.

Po uporządkowaniu wszystkiego uklękliśmy, odmówiono jeszcze głośno Anioł Pański za duszę ś. p. rektora i na tém się ów przegląd sklepów zakończył.

Ja, wymknąwszy się z lochów, pobiegłem zaraz na górę, do podkomorzyca, gdzie już na mnie, że to był dzień rekreacyi, czekali: Kurzeniecki, Oskierka i nieodstępny nasz Łukaszek. Zacząłem więc zaraz opowiadać, com widział i słyszał, ale gdym doszedł do owych loftek zwłaszcza i zapowiedzenia księdza prowincyała, że indagacye ścisłe czynione być mają, spostrzegłem jakieś mrugania i spojrzenia rzucane wzajemnie między podkomorzycem i Łukaszkiem, który téż zbladł mocno i stał milczący i pomieszany.

Podkomorzyc, który natenczas siedział na łóżku, zeskoczył żywo zwracając się do swego towarzysza.

— Nie bój się nic—zawołał wesoło, uderzając go po ramieniu, gdy ten stał jakby osłupiały—my na to jakoś poradzimy.

Milczącemu Łukaszkowi łzy strumieniem toczyły się po bladéj twarzy, zaczął podkomorzyca po rękach całować.

Patrzyliśmy na tę scenę, nic a nic nie rozumiejąc, o co chodzi. Podkomorzyc tymczasem poskoczył do drzwi, które, pokręciwszy kluczem, zamknął i zwrócił się do nas.

— Wiécie co jest?— spytał z uśmiechem.

— Co? co?—pytaliśmy ciekawie.

— Ale słowo szlacheckie, że tajemnicy nie wydacie i że mi pomożecie.

Podaliśmy ręce chętnie, Józio mówił daléj:

— Łukaszek mi się przyznał; to on rektora przynosił, chciał mnie nastraszyć.

— On?!—zawołaliśmy ze zgrozą—przynosił nieboszczyka!

— On, on, sam.

— Ale że się odważył—jęknął Kurzeniecki, mrużąc oczy i biorąc się rękoma za głowę.

— I... i... co tam!—rzuciwszy ręką, ozwał się Łukaszek—panicze myślicie, że to co strasznego; ot! nieboszczyk to nieboszczyk, co on mi zrobi? Straszny był póki żyw, ale teraz! drobnostka! Najgorzéj, że go z pośpiechu nie mogłem ułożyć porządnie i z temi loftkami co mi się rozsypały; Andrzej pijak wszystko wygada.

— A cóż to było?—pytaliśmy.

Łukaszek stał zamyślony i zafrasowany, Józio podchwycił:

— E, bo wy nie wiécie, on tam w sklepach, jak w domu. Andrzéj go zawsze wpuszczał, a on z wiatrówki kuny strzelał, po całych nocach tam siadywał.

— W nocy? w grobach?—zawołał szeroko roztwierając oczy Oskierka—Jezus! Marya!

— No to i co, że w nocy—ozwał się powoli Łukaszek—jak *miesiąc* świeci, to tam tak widno, jak w dzień, spokojnie, cicho, tylko po kątach ciemnowato, a kuny, proszę paniczów—dodał ożywiając się, przysiadając i robiąc odpowiednie gesta—ono tak między trumnami: *szmyrg! szmyrg!* albo łazi po wieku: *cup, cup, cup, cup*, to ja cicho przyczaiwszy się, duch w sobie zaprę, wytrzymam dobrze... *puff* loftkami z wiatrówki, to moja kuna *bryk!* tylko nóżkami *fajt, fajt* i jest. A!—kończył kiwając głową—co tam za polowanie! żeby który z paniczów popróbował...

— A niechaj ciebie!—wykrzyknął Kurzeniecki—z takiém polowaniem.

— No—przerwał podkomorzyc—ale radźmy, co zrobimy z Łukaszkiem, krucho będzie koło niego, musimy go ratować.

Chłopak, któremu niepohamowana myśliwska namiętność przy opowiadaniu o kunach pozwoliła na chwilę zapomnieć o swém obecném położeniu, na wspomnienie zaszłych wypadków, z rozpaczą prawie rzucił się do podkomorzyca, znowu go po rękach całując.

— Paniczu kochany!—wołał ze łzami—otóżto, moja głupia głowa do czego mnie doprowadziła; myślałem, że całe życie z paniczem przebędę, teraz niéma rady, trzeba uciekać w świat; a tu i moja matka staruszka, bez chleba. Pan podkomorzy mnie wczoraj pogłaskał po głowie i obiecał dopomagać... teraz wszystko przepadło... Boże łaskawy, co tu poradzić?!

— Czekajże—przerwał Józio—nie bój się nic, my coś musimy wymyśléć; tobie trzeba uciekać, niéma co, ale jak i dokąd?

— To cóż, proszę panicza—zauważył Łukaszek—jakby ja uciekł teraz, to mnie zaraz złapią poblizku; żeby tak gdzie tutaj się schować tymczasem, a późniéj uciec, jużby mnie nie znaleźli tak łatwo.

— Jest racya—rzekł Oskierka—na pierwszy impet schowamy go gdzieś tutaj, może w dzwonnicy?

— E, to się na nic nie zdało!—odparł Kurzeniecki—zimno, włazić tam trudno, a dopatrzéć łatwo.

— Mam! mam miejsce doskonałe!—zawołał Józio—o! patrzajcie, za tą szafą wielką jest okno, od podwórza zamurowane, tylko górą, nad szafą. z pokoju światło dochodzi; tam jest dosyć miejsca, choćby i na czterech. Szafa stara, tylko z szaragami, bez półek, ogromna, ruszyć jéj niepodobna, ale to i lepiéj, bo jest tylna deska poderwana od dołu, można tamtędy wleźć do framugi: ja tam już byłem, zobaczycie, jak pokoik; tam spać może doskonale, podesławszy opończę, jeść mu przyniesiemy.

Klasnęliśmy w ręce.

— Doskonale! do roboty!

Wnet rzuciliśmy się do szafy: deski tylne, nadpróchniałe przy ćwiekach od dołu, odginały się doskonale; za pierwszém naparciem, jedna nadłamawszy się przy środkowéj poprzecznéj listwie, uchyliła się w środek framugi szeroko, wlazłszy tam, można ją było, z tyłu, przyprzéć znowu do szafy, i nawet śladu otworu nie zostawało; w szafie, prócz tego, pełno wisiało ubrania. Wistocie, trudno było lepszéj kryjówki w całém kollegium wynaleźć. W obszerném i szerokiém tém zagłębieniu można było leżéć, siedzieć, a nawet z kąta w kąt przechodzić, słysząc w ukryciu wszystko, co się w pokoju działo; nie jeden, ale dwu najwygodniéjby tam spać mogło.

Ucieszyliśmy się niezmiernie z tego konceptu, ale téż nie było czasu do stracenia, bo już indagacyą prowadzono w celi prowincyała, i można się było spodziewać, że lada chwila oliwa na wierzch wypłynie. Nie czekając téż, narzuciwszy we framugę jakichś rupieci, wpakowaliśmy winowajcę za szafę.

Zaledwieśmy się z tém załatwili i uradowani, śmiejąc się do rozpuku poczęliśmy po izbie swawolić i różne skoki wyprawiać, gdy gęste zbliżające się kroki i głośna rozmowa dały się słyszéć na korytarzu. Podkomorzyc, jako zawsze żywy i przytomny, przyskoczył do drzwi, klucz w nich odkręcił szybko, dla niepoznaki, że były zamknięte, i w dwu susach stał już przy stole, przekładając książki i seksterna.

Wnet téż drzwi otworzyły się szeroko; z ceremoniami w progu wszedł stary podkomorzy, prefekt i pan Piszczało; za drzwiami spostrzegliśmy olbrzymią postać kalefaktora Jana, którego nazywano „żubrem," postrach *Parwy* i *Infimy*, reprezentujący ciężkie *brachium militare* księdza prefekta.

Domyśliliśmy się łatwo o co chodzi.

— Nie było tu Żebrowskiego?—spytał zaraz na wstępie ksiądz prefekt.

— Był rano—odparł niezmieszany podkomorzyc—zapewne teraz jest u matki.

Stary podkomorzy chmurny i namarszczony, twarz miał więcéj jeszcze niż zwykle surową, tak, że ja sam nawet z trwogą poglądałem na niego; syn za to, który wobec niego tak był pogodny, spokojny i uśmiechnięty, wydał mi się bohatérem.

— A no, jeśli u matki—ozwał się sapiąc stary—to już tam tego ptaszka musieli przytrzymać, ale choćby i umknął, nie oprze się daleko; ja go zpod ziemi dostanę... *Sacrilegium*, to gardlana sprawa.

Podkomorzyc, najśmielszy z nas, jakby niewiniątko jakie, zwrócił się do Piszczały.

— Cóżto się stało, proszę pana?—spytał półgłosem.

Pan dyrektor wydął naprzód swoje ogromne konopiaste wąsy.

— Ba!—odrzekł—mała rzecz! to właśnie ten twój ukochany Łukaszek przynosił tu nieboszczyka rektora, żeby cię nastraszyć. Wszystko się, mosanie, wyklarowało; zgwałcenie grobów! kto wié? może to i gardłem przypłacić; właśnie i pan podkomorzy mówił, że takie jest prawo w statucie.

Chwilkę tylko zabawiwszy u nas, prefekt poprosił do siebie podkomorzego, który już miał nazajutrz odjeżdżać. Pan Piszczało zaś udał się obok do swojéj izby, a że się długo nie mógł obejść bez fajki, któréj prefekt nie znosił, zawsze więc, gdy się brał do niéj, drzwi za sobą zamykał, co i teraz uczynił, aby w pierwszym pokoju nie było zbyt wiele zapachu. Na ten raz, jak i w wielu innych, radzi byliśmy z owego zwyczaju, należało bowiem naradzić się co daléj czynić? a baliśmy się, żeby nas nie podsłuchano. O Łukaszka na jakiś czas byliśmy spokojni, chodziło o to, żeby mu ułatwić ucieczkę, a poczciwy Józio i o matce jego zapomnieć nie chciał.

Postanowiliśmy tedy najprzód, w największéj tajemnicy zająć się zebraniem składki pomiędzy kolegami; powtóre, chociażby Łukaszek mrokiem mógł wyjść i powrócić, uważaliśmy za rzecz bezpieczniejszą, aby się pierwszych dni z kryjówki swéj nie ruszał; nakoniec, umówiliśmy się, że ja, jako mający wielkie łaski u księdza fizyka, a to był człowiek bardzo przystępny i serca dobrego, mam go wyrozumieć ostrożnie, i jeśliby się udało, wciągnąć do spisku; coby już nam niewątpliwie zupełną zapewniło wygranę. Ksiądz fizyk bowiem miał znajomości i stosunki obszerne, zwłaszcza na Wołyniu, a tam jakby się Łukaszek

dostał, to już, wedle przypowieści, jak kamień w wodę; czas zresztą, daléj, daléj, podałby cały ten wypadek w zapomnienie.

Owóż, jak na studentów, było to nieźle obmyślane, co w końcu i skutek okazał; lubo nie ze wszystkiém, bo wiadomo, „że chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi."

Zrobił się tedy *larum* za Łukaszkiem i w kolegium i w miasteczku; matka jego, nieboga, nie wiedząc zrazu nic, co się z synem stało, lamentowała w niebogłosy, ażeśmy ją pod sekretem uspokoili. Tymczasem posłańców, żydków, szpiegów rozesłano na różne strony; wszelako Imć ksiądz prowincyał i księża, którzy się do téj sprawy z początku wzięli dość ostro, wkrótce ochłodli znacznie. Podkomorzy bowiem, w poszukiwaniach i surowych a strasznych odgróżkach, gorliwością wszystkich prześcignął, i gdyby ujął winowajcę, chciał go, jak mówił, jako *violatora*, oddać pod sąd grodzki, gdzie w moc jakiéjś konstytucyi z 1611 roku, byłby tę swawolę z lekkomyślności raczéj, a nie ze złych zamiarów popełnioną, niezawodnie gardłem przypłacił.

Patrowie tedy nasi poczciwi, z dziecinnemi psotami obznajomieni, a serce i sumienie każdego ze swych uczniów znający do gruntu, widząc tę podkomorzego zawziętość, użalili się nad losem biédnego chłopaka i całą tę sprawę, jako ich w znacznéj części dotyczącą, obowiązując się wziąść na siebie, wpłynęli przecie tyle na starego, że się nieco umoderował. Wyjechał jednak rozsierdzony mocno, powtarzając uparcie, że lubo gonić Żebrowskiego nie będzie, ale gdyby w jego ręce popadł, toby mu na sucho nie uszło. „Jako, bowiem mówił, obywatel każdy w Rzeczypospolitéj ma być prawodawcą, tak téż każdy surowego zachowania i wypełniania praw i statutów pilnować powinien." Tu już go nikt ani przegadać ani przekonać nie zdołał. Stało się więc tak, jako z owém dzieckiem, które gdy się rozbeczy nadto, matka mu zwierciadło pokazuje, aby się samo w niém ujrzało, jak pięknie wygląda; tu, owém zwierciadłem dla patrów naszych był podkomorzy, który wszystkich w zawziętości przechodząc, zwrócił uwagę ich na to, że byliby niemało własne obciążyli sumienie, gdyby nieroztropną tylko, lubo całe szpetną dziecinną swawolę chcieli za kryminał uważać. To więc, na cośmy najbardziéj narzekali, ułagodziło poniekąd naszych zwierzchników, zkąd okazuje się, jak człowiek nieraz narzeka w nieświadomości na taką rzecz, która mu się złą widzi, nie domyślając się zgoła, że ona dla niego częstokroć jest dobrodziejstwem.

Po wyjeździe podkomorzego w dni kilka, wyprowadzaliśmy już wieczorami Łukaszka z jego kryjówki, aby się i do matki mógł przemknąć; ja zaś, nie zaniedbując tego, co mi powierzono, nieraz w rozmowie z ks. fizykiem wspominałem coś o Żebrowskim. Z odpowiedzi jednak profesora przekonałem się, że owa myśl uzyskania ze strony jego jakiéjś pomocy na nic się nie zdała; przy całéj, bowiem jego łagodności i dobroci, i on nawet uznawał, że Łukaszek na ciężką zasłużył karę. Siedział tedy nieborak już przeszło od półtora tygodnia we framudze i mógłby był bez trudności uciekać, bo i pieniędzy się trochę

znalazło, ale główne rodziło się pytanie: dokąd się udać? bez protekcyi żadnych i znajomości.

Tak rzeczy stały, gdy jednego dnia, z południa zatoczyła się na dziedziniec naszego kolegium kolasa jakaś, i wysiadł z niéj mężczyzna nieznajomy z małym chłopczykiem. Dzieciak to był może dziesięcioletni z jasnemi włosami, jak cherubin piękny; mężczyzna też starszy, co go przywoził, urodziwy wielce, w średnim wieku, twarz miał tak miłą, ujmującą i wesołą, jakie się rzadko po świecie spotyka. Byliśmy więc zaciekawieni mocno, jaki to nam nowy towarzysz przybywa? Okazało się niebawem, że to był Kruszyński, podczaszyc żytomierski, którego ojciec do konwiktu przywoził. Siedząc u nas, pan podczaszy, dni kilka przez ks. prefekta przyjmowany suto, po niejakim namyśle postanowił nareszcie umieścić syna swego razem z podkomorzycem, którego ojca znał dobrze.

Skoro do nas ta wiadomość doszła, zafrasowaliśmy się niemało, uważając, że dalsze ukrywanie Łukaszka za szafą stanie się rzeczą zgoła niepodobną. Naradzaliśmy się i suszyliśmy sobie głowy, co w tym niespodzianym wypadku poradzić, bośmy choć do wiosny i świąt przetrzymać go chcieli. Podkomorzyc Józio, zmartwiony i niespokojny, chodził jak struty. Bystre oko podczaszego wnet dostrzegło tę zmianę, a jako z natury był człek serdeczny i szczery, uwziął się przeto, aby dla syna serce przyszłego towarzysza jego pozyskać. Nietylko więc ujmował sobie Józia darami, ale po kilka razy dziennie przychodząc i przesiadując, gawędził wesoło i baraszkował z chłopcami, jakby sam był jeszcze studentem. Przygoda Łukaszka, wydarzenie zaszłe w kolegium niedawno, a tak niezwyczajne, przez wszystkich niemal w rozmaity sposób opowiadane, bardzo też zajęło podczaszego. W rozmowach z podkomorzycem po kilkakrotnie wypytywał się o szczegóły téj całéj sprawy i o samego Łukaszka; że go zaś wszyscy, nawet patrowie, jednogłośnie, jako słusznie należało, chwalili ze wszech miar, nie znajdując zarzutów żadnych, prócz ostatniego owego wybryku, śmiejąc się więc powtarzał podczaszy, że to być musi chłopak walny; wybryk ten zaś brał tylko za dowód nieświadomości, albo niejakiéj lekkomyślności, lecz zarazem determinacyi i odwagi.

Józio, niespokojny z powodu nowoprzybywającego do pokoju jego towarzysza, słysząc przytém po kilka razy podobne odezwanie się podczaszego, w przeddzień jego odjazdu zwołał nas pocichu do siebie, a wybierając taką chwilę w któréjby i Łukaszka zza szafy wywołać było można, przystąpił do narady.

Gdy nam tedy opowiedział co słyszał, wszyscyśmy bez namysłu nawet uradzili, aby z tego szczęśliwego trafu i dobrego usposobienia podczaszego korzystać i Łukaszka z nim wyprawić. Było to postanowienie może trochę za śmiałe, ale nie widzieliśmy innéj rady; stanęło więc na tém, aby podkomorzyc, o ile można ostrożnie, u podczaszego szczęścia próbował.

Tegoż samego dnia, po obiedzie, gdy ks. prefekt drzemał w swojéj celi, Imć pan Kruszyński, jak zwykle, wraz z synem bawił się u podkomorzyca; rozmowa wpadła znowu na historyą Łukaszka.

— Szkodaby była—rzekł podczaszy—gdyby się chłopak miał zmarnować, może być z niego człek dzielny; niech tam sobie patrowie na niego wocyferują, boć i głupstwo sążniste zrobił, ale ja tam się w teologią, ani w statut nie bawię i gdybym go gdzie przydybał, dalibóg wziąłbym go do siebie. Ot, toby mi dopiéro w moich lasach zrobił z polowaniem porządek, a w dodatku, uczciwy chłopak, to nieoceniona rzecz!

— Gdyby tak pan podczaszy, prawdziwie, chciał go wziąść—odparł Józio—kto wié? możeby on się i znalazł.

— Hę? co mówisz?—spytał pan Kruszyński—doprawdy? gdzież on jest?

Mimo swéj zwykłéj przytomności, zmięszał się mocno podkomorzyc na to zapytanie; ochłonął jednak prędko, a patrząc znacząco w oczy i nastawiając dość butną minę, odrzekł śmiało:

— Niechaj mi pan podczaszy daruje; gdzie on jest, albo ja wiem, albo nie wiem; ale Łukaszek był moim kolegą i przyjacielem, szukają go wszędzie, cóżby pan podczaszy sam o mnie pomyślał, gdybym ja, dajmy na to, wiedząc coś o nim... zdradził przyjaciela?

Na te słowa zerwał się podczaszy z krzesła i zaczął ściskać podkomorzyca.

— Otóż to lubię—zawołał—to ci się chwali, cieszę się, że mój Michaś będzie razem z tobą. Słyszysz Michasiu, rzekł zwracając się do syna. Otóż to tak uczciwy człowiek powinien umiéć milczéć, a przyjaciół bronić.

Tu, jakby sobie coś przypomniał, dodał żywo:

— Zbiegnij na dół, do stajni i powiedz Bazylemu, żeby dodał koniom po garncu obroku, bo jutro w drogę, a jeśli chcesz możesz sobie i na dziedzińcu zabawić się trochę.

Zaledwie Michaś drzwi zamknął za sobą, zwrócił się Kruszyński do podkomorzyca.

— No—rzekł—widzę żeś poczciwy i nie w ciemię bity; jesteśmy sami, jeśli co wiesz, gadaj prędko: ja temu biédakowi chcę pomódz szczerze, a możesz być pewnym i daję ci słowo szlacheckie, że nie zdradzę, i nie będę gorszym od ciebie.

Nie miał co tedy daléj podkomorzyc rzeczy w bawełnę obwijać; zamknięto więc drzwi na klucz, a Łukaszek, który siedząc za szafą całą rozmowę słyszał co do słowa, wywołany z kryjówki, rzucił się do nóg swemu dobrodziejowi, dziękując za opiekę i pomoc udzieloną tak niespodziewanie. Ułożono się że podczaszy nie rano, jak miał zamiar, ale wieczorem nazajutrz wyjedzie, Żebrowski zaś mrokiem przez kolegów wyprowadzony, czekać miał za miasteczkiem pod figurą.

Wszystko tedy zdawało się układać jak najlepiéj, gdyby nie to, że, jak wiadomo, tajemnica żadna nie łatwą jest długo do uchowania,

a my na on czas aniśmy się domyślali, że ks. prefekt był już na tropie wyśledzenia, gdzie się nasz Łukaszek ukrywa. Kilku patrów naszych surowszych uważało, i słusznie bezwątpienia, to lekkomyślne naruszenie spokoju i świętości grobu za przestępstwo nie małéj wagi, i jeśliby winowajcy nie chcieli zapewne poddać karze kryminalnéj, życzyli sobie jednak koniecznie, dla samego przykładu zastosować do niego surowe kary kościelne i dyscyplinarne; wszelkich zatém dokładali starań, tak do odszukania Żebrowskiego jako i do przekonania ks. prefekta, że wybryk taki płazem puszczony być nie powinien. Prefekt nasz, człek był w gruncie poczciwy i dobry, ale jako charakteru słabego, łatwo się ludzkim zdaniom poddawał i pobudzony wymownie, stawał się, jak ludzie słabi zwykle, choć nie na długo, bardziéj jednak niż inni surowym.

Tegoż samego dnia wieczorem prefekt ugaszczał właśnie podczaszego, który nazajutrz miał odjechać. JMPan Kruszyński ułożył się już był o pomieszczenie syna, a że przy tym układzie i kilkadziesiąt czerwonych złotych wpadło do szkatuły gospodarza, był więc rad niezmiernie gościowi, okazując mu najuniżeńsze względy. Pożywiali się właśnie oba wyśmienitą kawą z sucharkami, gdy drzwi uchyliły się zcicha i stanął w progu Andrzej, stróż kościelny, który to właśnie Łukaszka do sklepów dla polowania na kuny zwyczajnie i oddawna wpuszczał. Małego wzrostu, w granatowéj długiéj kapocie, twarz miał na podobieństwo suszonéj gruszki pofałdowaną, oczy przymrużone, a nos pałkowaty i czerwony, pod którym na samym brzegu wargi, wązki pasek podstrzyganéj szczecinki, na przedstawiciela wąsów był przeznaczony. Mocno strofowany Andrzej, chciał teraz przewinienie swoje okupić gorliwością w odkryciu winowajcy i trzeba mu przyznać, jak to się oczywiście pokazało, że lubo ciągle prawie podpiły, umiał się jednak brać dobrze do rzeczy. Ks. prefekt, mimo pijaństwa Andrzeja, miał jednak niewytłómaczoną jakąś słabość do niego, tak, że po owym wypadku, jedynie za wstawieniem się protektora, stary pozostał jeszcze przy klasztorze.

Prefekt, zobaczywszy wchodzącego, jak gdyby się domyślał z czém przybywa, mimo dobréj swéj tuszy podniósł się żywo z siedzenia.

— A co?—spytał postępując kilka kroków.

Andrzej nic jeszcze nie mówiąc, schylił się najprzód do ręki przełożonego, którą ucałował z namaszczeniem, a pozostając w postawie nieco pochyłéj, głowę tylko podnosząc do góry, uśmiechnął się głupowato, przełknął ślinę i odezwał się wreszcie zcicha.

— Jest, proszę księdza prefekta.

— Widziałeś dobrze? pewno?

— Widziałem sam, własnemi oczyma, widziałem—mówił Andrzej, kręcąc głową i dłoń do piersi przykładając—patrzałem *bez* dziurkę od klucza, jak Boga kocham! był w celi a potém wlazł za szafę.

— Pamiętaj—rzekł prefekt grożąc palcem—żebym ja darmo hałasu nie podejmował i nie kompromitował się przy smarkaczach; może ci się tylko przywidziało? bo ty zawsze pałkę zalewasz.

— Ja?—zawołał Andrzej, ożywiając się i rękę znowu przykładając do piersi—niech Bóg Najwyższy uchowa! to jest *oszczyrstwo*, proszę księdza prefekta, *bez* złość, ludzkie gadanie takie; ja nawet żadnego trunku w gębę nie biorę—tu zająknął się i przełknął ślinę, co go dławiła—niech Bóg uchowa! ono, rzadko, rzadko, tam... czasami, jeden *kiliszeczek*...

— I widziałeś? poznałeś?—pytał prefekt.

— A jakże! proszę księdza prefekta; i widziałem i słyszałem jak gadali.

— Cóż słyszałeś?

— Tyle ono słyszałem, bo nadszedłem jak już miał włazić za szafę, że mówił: „no Bogu dzięki, już się ta niewola skończy." O! proszę księdza prefekta—dodał Andrzej—widać że już ma gdzieś daléj świsnąć.

Podczaszy słuchał, pokręcając sumiastego wąsa.

— Cóż to takiego?—spytał—czy nie ten sławny Łukaszek się odnajduje?

— A tak, tak—rzekł prefekt, odwracając się ku gościowi—wytropił go Andrzej: będziemy mieli polowanie doskonałe. Cha! cha! cha! zapraszam pana podczaszego.

— Dobrze, dobrze i owszem; ale gdzie on jest—spytał pan Kruszyński.

— Przechowali go koleżki—odrzekł gospodarz—i to kto? proszę pana podczaszego dobrodzieja! głównie sam podkomorzyc! To mi nawet bardzo przykro: będę musiał przykładnie ukarać.

Rozstawił ręce.

— Ha, cóż robić?!

— Jakto?—pytał ciekawie Kruszyński—więc to u podkomorzyca za szafą się przechowuje? do téj pory?

— A tak, tak—potwierdził prefekt—proszę uniżenie! jakie to te błazny przemyślne!

— Kiedyż reverendissime myślisz go przycupić?

— A no zaraz, tylko kawę skończymy, poszlę po Jana kalefaktora i weźmiemy ptaszka.

— Wybornie!—rzekł podczaszy—ale jeśli tak, to pozwolisz szanowny prefekcie dobrodzieju, że ja pójdę, mego Michasia ztamtąd od podkomorzyca wywołam i tu przyprowadzę; bo to dzieciak jeszcze, malec: ta scena może na nim złą impresyą uczynić. Uważasz jegomość dobrodziéj, sam przykład wyłamywania się zpod władzy szkolnéj...

— A! tak, tak, bardzo, bardzo słusznie—przerwał prefekt—o! tak, uwaga JW podczaszego bardzo sprawiedliwa.

— No—kończył powstając Kruszyński i śmiejąc się wesoło—to będzie ciekawe polowanie: niechże szanowny prefekt dobrodziéj beze-

mnie się nie rusza; ja tu zaraz przyjdę z Michasiem, a potém razem na obławę.

W kwadrans może, nie więcéj, po owéj scenie u prefekta, ja, Oskierka i Kurzeniecki, jak zwykle, siedzieliśmy wraz z podkomorzycem w jego mieszkaniu, z łokciami na stole, rękami podparłszy głowy, zatopieni w głośném, każdy ze swego seksternu powtarzaniu zadanych lekcyi; drzwi otworzyły się zamaszysto, poważnie wkroczył na przedzie ks. prefekt, za nim pan Kruszyński, daléj Jan kalefaktor i Andrzej wreszcie, który stanął przy drzwiach na straży.

Podnieśliśmy się wszyscy z uszanowaniem i stanęli u stołu. Prefekt z twarzą, któréj usiłował nadać wyraz jak najsurowszy, postąpił ku nam kroków kilka.

— No—rzekł do nas, podnosząc i skłaniając głowę—wydały się waszmościów sprawki: będziecie mieli naukę, że przed czujném okiem władzy, żadne niegodziwe sekreta utaić się nie mogą.

Tu wstrzymał się chwilę, badając wrażenie jakie ta przemowa na nas uczyniła; staliśmy spokojnie, podkomorzyc ozwał się nieśmiało:

— Nie wiem za co ks. prefekt na nas się gniewa...

— Co?—zawołał prefekt—nie wiécie? nie wiész nic o Łukaszku? i kłamstwo jeszcze dodajesz do tak wielkiego przewinienia.

— Nie wiemy nic—odrzekliśmy wszyscy razem.

— A! tak?! no, to zobaczymy!—rzekł z tryumfującym uśmiechem prefekt—pamiętajcie, że surowo... surowo będziecie ukarani i za sprzeciwienie się władzy i za kłamstwo wasze. Janie!—zawołał zwracając się do kalefaktora i wskazując na szafę—wleź tam i wyciągnij mi tego gagatka za uszy.

Jan z widocznem zadowoleniem pomknął do szafy: wyrzucać począł na jedną kupę wiszące ubrania i deskę tylną, która była nieco uchyloną, pchnął we framugę. Otwór jednak dla olbrzymiéj postaci Jana okazał się zaciasnym, podważył więc silniéj, trzeszczéć poczęło łamiące się drzewo—znikł we framudze.

W pokoju panowała cisza oczekiwania; wszystkie oczy zwrócone były na szafę: trwało to chwil kilka.

— No! — podniesionym głosem zawołał prefekt — dawajże go tutaj!

Jan siedzący we framudze, wysadził głowę zza deski:

— Proszę ks. prefekta—ozwał się już wyłażąc rakiem mozolnie —tam niéma nikogo!!

— Jak to może być?

— A niéma.

Prefekt zarumieniony z gniewu, zwrócił się do Andrzeja:

— Cóż ty mnie, pijaku, mówiłeś? co? co to jest? powiedziałeś, żeś go widział? gdzież on jest?

Andrzej, drżący i skulony, ręce złożył jak do modlitwy:

— Księże prefekcie! jaśnie wielmożny prefekcie!—jąkał wystraszony—ja, ja, jak Boga kocham! ja nie wiem... żebym z tego miejsca

nie ruszył, niéma i pół godziny jak tu był, widziałem go na własne oczy, *bez* dziurkę, jak tu, o! tu właził za szafę, a panicze koło niego stali i rozmawiali; *dziabli* jego wiedzą, gdzie on się podział!

Pan podczaszy pierwszy, a my za nim wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

Jan kalefaktor z bezskutecznego trudu nieukontentowany, a w wiecznéj zawiści będący z Andrzejem, podniósł basowy głos potężny, do prefekta podchodząc:

— I, i, bo to, proszę jegomości, co to jemu wierzyć! jak łeb zaleje, niestworzone rzeczy gada!

— Ja łeb zaleję?!—przerwał Andrzej, zwracając się z oburzeniem do kalefaktora—kiedyś ty mnie widział pijanego?

— Kiedy?!—buknął Jan—co dzień; a nie gadałeś spiwszy się na Wigilią, że widziałeś jak w naszéj kaplicy Matka Boska siedziała na ołtarzu z pieluszkami na kolanach i śpiewała lu lu, lu lu; to i wszyscy słyszeli! Albo to Matka Boska objawiłaby się takiemu pijakowi jak ty? hę?

— Boże łaskawy!—wykrzyknął Andrzej, podnosząc błagalnie ręce do góry—księże prefekcie, jegomościuniu! to wszystko *oszczyrstwo*, co jegomość słucha tego złodzieja. A czemu ja nie gadam, że on drwa kradnie i żydom do miasteczka przedaje.

— Cicho! cicho!— przerwał prefekt tupiąc nogą—niech was tam trzysta... Pan Bóg sekunduje; no, wynoście się... Otóżto—dodał sapiąc i ocierając pot z czoła—z tymi próżniakami, pijakami... zawsze takie sceny.

A po chwili odetchnąwszy głęboko, nieco uspokojony zwrócił się do nas:

— No... teraz... tego, do nauki, do nauki.

Machnął ręką niechętnie.

— Bóg z nim—mruknął półgłosem.

Ruszył się do drzwi, ustępując przejścia podczaszemu, ale w progu już wstrzymał się i zwrócił ku nam, czując widać, konieczność przemówienia; chrząknął:

— Hm... tego... co chciałem powiedzieć... macie, macie waćpanowie ztąd naukę, że... że, tego... trzeba się tak prowadzić, aby was nawet o nic podobnego posądzić nie było można. O! uważcie... no, a teraz do nauki.

Pan Kruszyński zza drzwi dobréj nocy nam życzył, a do prefekta zwracając się, dodał:

— Szkoda, że się nam polowanie nie udało, ciekawy byłem bardzo, jak ten Łukaszek wygląda.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że pan podczaszy dodnia już z Lubieszowa wyjechał.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

# DAWID HILCHEN *).

SZKIC BIOGRAFICZNY NA TLE DZIEJÓW INFLANCKO-POLSKICH OSNUTY.

SKREŚLIŁ

*Stanisław Leliwa.*

Losy Hilchena za panowania Zygmunta III.—Wojna Polski ze Szwecyą.—Dalszy przebieg sprawy z miastem Rygą.—Działalność literacka.—Zgon.—Rzut oka na kartę dziejów Inflancko-polskich.

## IV.

Posada Hilchena jako Landrychtera wendeńskiego była tylko czasową, dlatego nie złożył on urzędu miejskiego, lecz wybrał na swego zastępcę doktora Jakóba Godemana, syna superintendenta z Lubeki, który sam siebie na tę posadę zalecił. Mikołaj Ecke, życząc sobie, aby zięć jego Tomasz Ramm miejsce to zajął, powziął niechęć ku Hilchenowi i z trudnością zgodził się na zatwierdzenie Godemana przez radę miejską. Uprzednio burgraf sprowadził potajemnie sto beczek solonego mięsa bez opłaty cła, co mu ostro Hilchen na zebraniu rady wymówił. Godemann w imieniu miasta obraźliwy łaciński list napisał do zesłanéj komisyi, na który Hilchen ostro odpowiedział.

---

*) Dokończenie—patrz zeszyt za styczeń r. b.

Wice-syndyk wyzwał syndyka na pięści. Syndyk nie przyjął wyzwania, ale spotkawszy się z nim na przedmieściu, wśród gwałtownéj sprzeczki uderzył prętem, skutkiem czego Godemann zbliżył się do Eckego. Obaj postanowili się zemścić; wstrzymano się wszakże z wystąpieniem do chwili odjazdu komisarzy.

Dopiero 14 czerwca 1600 r. burgraf wbrew przyjętemu zwyczajowi, gdyż w poniedziałki sądowe rozprawy miejsca mieć nie mogły, zaprosił Hilchena do ratusza na przyjacielską rozmowę. Zaledwie Hilchen przybył, ukazał się zaraz Godemann, ostro przemówił do syndyka i bezzasadne rzucał oskarżenia: nazwał go zdrajcą, na co dowody w ciągu 24 godzin złożyć zobowiązał się. Hilchen nalegał o nie i żądał, stosownie do prawa, zawieszenia w urzędzie swego przeciwnika. Postąpiono inaczéj; obsadzono ratusz strzelcami, zamknięto na rygle wejścia i żądano odpowiedzi oskarżonego, który zrzekł się służącéj mu ekscepcyi; dwie godziny dał przeciwnikowi, a dla siebie zażądał tylko kwadrans czasu. Godemann odstąpił a Ecke dał do zrozumienia, że oskarżyciel otrzymał 24 godzin, aby dowieść zdrady Hilchenowi, zatém oskarżony i oskarżyciel muszą przez ten czas w ratuszu pozostać. Hilchen chociaż zaapelował do króla i opierał się na stosunkach ze szlachtą, przeciwna wszakże strona nie zwracała na to żadnéj uwagi. Franciszek Nyenstede żarliwie bronił sprawy swego zięcia, dzielił z nim upokorzenie i więzienie. Obywatele snuli się z bronią, bramy stały otworem, aby niebezpieczną z samćj siebie rzecz jeszcze pokazać niebezpieczniejszą. Wojewoda wendeński Farensbach pośpieszył z zamku ryskiego do Hilchena, ale, równie jak i żona oskarżonego, nie został wpuszczony. Na nią srodze się Ecke rozgniewał: „mąż twój", mówił on, „niedługo pozostanie na świecie, miecz na niego już wyostrzony." Poselstwa szlachty nie przyjęto. „Na co się to może przydać, twierdził burgraf, on już jest osądzony i skazany."

Skarga Godemana przechowana w zamku ryskim powiada: „że syndyk 24 września 1599 r. konno przyskoczył do niego i w przytomności wielu osób wybił go jak psa, nazwał zdrajcą, łotrem, pijakiem, odgrażał się że rozkaże go jak ostatniego łotra swemu słudze zabić, że za głowę takiego łotra trzydziestu złotyma może się opłacić." Za podobną zniewagę rozgniewany Godemann obwinia swego krzywdziciela, że on przeciw swemu miastu złowrogo działał, że chce zadosyćuczynienia za swoją krzywdę i żąda aby Hilchena jako zdrajcę śmiercią ukarać, prosi dobrze strzedz go, aby ptaszek nie uciekł, a on za 24 godzin będzie go miał w swojéj mocy.

Po upływie tego czasu Hilchen żądał, aby go uwolniono, wszakże ani jego, ani przyjaciół, a głównie Farensbacha starania nic nie mogły zdziałać na dzikim umyśle Eckego, który tłómaczył, że 24 godzin znaczyły, że oskarżyciel nie *inclusive* ale *exclusive* żądał tego przeciągu czasu, aby dowieść zdrady.

Kiedy ta następnego dnia nie została udowodnioną i nietylko Farensbach ale i marszałek krajowy Tyzenhaus ze szlachtą Taubem,

Rumlem, Fallenbergiem, duchownymi Janem Dalen, Wawrzyńcem Lemcke, Andrzejem Burmanem razem udali się do ratusza; nakoniec rada zgodziła się przyjąć kaucyą za Franciszka Nyenstede i Dawida Hilchena z obowiązkiem, że w ciągu 6 tygodni, po sejmie, osobiście stawić się winni.

Długie były spory o tę kaucyą, kiedy wojewoda Farensbach ukazał się sam w ratuszu, którego wrota na przedstawienie szkockiego kapitana Ridwana otworzone mu zostały.

Ponieważ sekretarz długo nie mógł wygotować pisma, Hilchen, aby prędzéj uwolnić się, podpisał brulion. Uwolniony syndyk uważał swój podpis za wymuszony i dnia 19 stycznia wystąpił przeciw radzie, która go oskarżonego, za osądzonego uważała, przeciwnika swego nazwał złodziejem honorowym i psem zbrodniczym. Nyenstede popierał Hilchena i w dalszym ciągu całéj téj sprawy.

Za zdradę mniemaną uwięziono także sługi i domowników Hilchena, a nadto oskarżono go jeszcze przed królem. Kanclerz wielki Jan Zamoyski popierał gorliwie sprawę swego przyjaciela; okazał podziwienie, że członkowie rady byli zarazem sędziami i oskarżycielami i że bez badania, cytacyi i terminu, mogli oskarżonego uwięzić; żądał, aby sprawa z całą dokładnością była na nowo rozejrzaną.

Cytacya Zygmunta III z dnia 18 marca, oddawała sprawę przed sąd królewski, zabraniając pod niełaską wszelkiego zamachu na osobę lub majątek Hilchena i Nyenstede.

Na dzień oznaczony 10 czerwca, stawił się Hilchen ze skargą przed sądem królewskim. W imieniu zaś Godemana przybyli, rajca Henryk von Ulenbock i sekretarz Wawrzyniec Eiche. Powoływali się oni na prawo Stefana i zażądali, aby skarga od królewskiego sądu do miejskiego odesłaną została. Przeciwna zaś strona utrzymywała, że postąpiono samowolnie, wbrew prawa uwięziono, zaprzeczono apelacyi, usunięto sąd królewski; zwrócono jeszcze uwagę, że przywilej ten odnosi się tylko do czynności osób prywatnych z prywatnymi, tutaj zaś skarga odnosi się do zwierzchności, którąby sama siebie sądzić musiała. Na to znowu przysłani oświadczyli, że skarżący, jako będący w usługach publicznych i zobowiązany przysięgą, powinien wyczekiwać wyroku; nadto że sprawa z Godemanem prywatnéj jest natury.

Po rozpatrzeniu dowodów za i przeciw, Zygmunt III wziął Hilchena pod królewską swoją opiekę i dał mu prawo swobodnego przejazdu.

Uprzednio już Hilchen na 23 maja zacytowany był do Rygi, a nowy rozkaz królewski zażądał, aby zniesiono nieprawną cytacyą, szanowano dodaną straż, tudzież, aby protokół królowi był przedstawiony i apelacya dozwoloną.

Syndyk zacytował doktora Godemana przed sąd królewski. Panowie rajcy cofnęli cytacyą i kazali, aby Godeman wystąpił jako oskarżyciel, i inną wygotował cytacyą „która, jak mówi sam Hilchen, zamiast obelżywych wyrażeń, skasowanych na mocy królewskiego roz-

kazu, mieściła w sobie jeszcze obelżywsze;" takowa została na ratuszu przybitą.

Ponieważ termin ryski (3 października) przypadł w tym samym czasie, kiedy Karol książę sudermański z wojskiem wtargnął i wszystkie sprawy do dnia świętego Michała 1601 r. odłożone zostały; Hilchen sądził, że i jego sprawę również odłożono. Kaznodzieja ryski Jerzy Ciegler wziął stronę Hilchena przeciw radzie, skutkiem czego musiał z całą rodziną miasto opuścić.

Pomimo rozkazu królewskiego, który, poparty prawem, oskarżonego uniewinniał i wyjmował zpod praw ryskich, osądzono Hilchena *in contumaciam* z obowiązkiem w ciągu sześciu tygodni stawić się w ratuszu, aby odwołać lub zgodzić się na zasądzone koszta.

Zaapelowano do króla, odpis zaś téj apelacyi był przesłany radzie miejskiéj; Godeman pochwycił go z rąk burgrafa i zdeptał nogami.

Pośród ciągłych apelacyi, limit i niebezpieczeństw wojennych, rada miejska ryska poleciła niezwłocznie wykonać wyrok, kazała katowi przyjść z ratusza i w imieniu Hilchena przeprosić dnia 16/28 lutego 1601 roku Godemana i powiedzieć: „ja mistrz sprawiedliwości Marcin Gachleben, świętéj sprawiedliwości wykonawca w Rydze, wywołuję niniejszém i zawiadamiam publicznie, że Dawid Hilchen, który szlachetnego, szanownego i wysoce poważanego pana Jakóba Godemana doktora obojga praw i syndyka tutejszego miasta obelżywemi słowami znieważył, nastawał na jego zdrowie i życie, wspomnianego doktora skrzywdził i złośliwie na niego nakłamał; a ponieważ Dawid Hilchen według wyrzeczonego dekretu od publicznego odwołania i przeproszenia wzdraga się, tedy jego osobę, jego bezcześć i jego kłamliwy pysk (Maul) każdemu mam podać w obrzydzenie." Postępek ten był usprawiedliwiony przez radę miejską, ponieważ, kto, według jéj zdania, nie stawi się aby sprawiedliwość wymierzoną mu została, wpada w ręce oprawcy; wyrok bez egzekucyi podobny jest do dzwonu bez serca.

Na zadosyćuczynienie przyznano Godemanowi dom Hilchena i majątek będący w posiadaniu jego teścia. Żona, będąc blizką rozwiązania, musiała ustąpić z mieszkania i wynieść się do najętego, dzieci były oćwiczone, szlachecki herb został zniszczony.

Tak więc Hilchen ujrzał się obwinionym o krzywoprzysięztwo, uważany był jako wiarołomny urzędnik, zatraciciel wolności miasta i jego przywilejów, naruszający spokojność i potwarca; utrzymywano, że było nawet jego zamiarem niektórych obywateli i rajców z drogi usunąć: wystrzelać lub otruć.

Na dzień 24 kwietnia rano, Hilchen został wezwany do ratusza ryskiego i tam miał usłyszyć, co rada miejska względem niego postanowiła. Na końcu cytacyi był wprawdzie, stosownie do królewskiego dekretu, przyznany bezpieczny i wolny pobyt w kraju, ale nie dano żadnego oddzielnego listu bezpieczeństwa, ani odpisu protokółu i nietyl-

ko zrabowano jego służbę, ale nawet kilku przybyłych do niego szlachty. Zatém Hilchen pójść musiał za radą przyjaciół i pozostał w Polsce.

Z powodu nieobecności, rada ryska zebrała raz jeszcze wszystkie zarzuty, a mianowicie: 1) Że do przywilejów miasta wcisnął piętnaście podstępnych artykułów; 2) że chciał miasto, wbrew woli królewskiéj, uczynić zależném od inflanckiego landgerychtu a nie od królewskiego majestatu i dlatego landrychterem mianowany został; 3) różne w czasie generalnéj komisyi czynił zamachy na wolność religijną; 4) spiskowe pisma nie tylko na ulicach rozszerzał, ale nawet przeciw radzie wymierzone, na drzwiach przybijał; 5) fałszywego posła z Warszawy, w imieniu króla, z uwłaczającą cytacyą do rady we własnym interesie przysłał, a naczelników miasta uważał za rokoszan i burzycieli porządku; 6) wyjednał karny mandat na miasto, pod pozorem, że Franciszek Nyenstede przez miasto na osobie i majątku pokrzywdzonym został, a sam Nyenstede czyn ten jako kłamliwy ogłosił; 7) kryminalną cytacyą w imieniu inflanckiéj ziemi przeciw miastu uczynił, przez co niezgodę zaszczepił; 8) na sejmie w roku 1600 obwiniał miasto, jakoby chciało dopuścić się zdrady stanu i oddzielić od korony polskiéj; 9) układ seweryński podawał jako uwłaczający Jego Królewskiéj Mości; 10) łączył się ze szlachtą w celu wystrzelania i otrucia niektórych radzców; 11) naruszył spokój publiczny, kiedy 24 września 1599 roku siedząc na koniu, wraz ze swoim sługą uzbrojonym, napadł na osobę Godemana, w interesach miasta właśnie do komisyi wysłanego, nieprzyjaźnie z nim się obszedł i rozkazał go zakłuć lub zamordować; 12) wyrzucał miastu złodziejstwo i łotrowstwo i ukrycie kilku beczek złota; 13) z pewnym polskim senatorem knuł zasádzki przeciw pewnemu znamienitemu Inflantczykowi; 14) wiele wdów i sierot, będąc wójtem i opiekunem sierot, uwiódł lub uwieść miał zamiar, nakoniec: 15) fałszywe dokumenty sądowe i takież świadectwa przeciw miastu układał.

„Zatém uważany jest jako krzywoprzysięzca i wiarołomca, uledz winien téj karze, jakiéj podpadają: burzyciele spokoju, buntownicy, krzywoprzysięzcy, mordercy i nieprzyjaciele ojczyzny, i dlatego ma być przez kata, po odjęciu mu zacnego nazwiska, ukarany śmiercią, skoro w obrębie miasta pochwyconym zostanie. Zanim zaś uwięzionym zostanie, życie jego jak ptaszka w powietrzu jest każdego własnością i może go każdy zabić bez obawy kary."

Jak dalece stronny był wyrok, dowodzi i to, że z czterech burmistrzów, dwu tylko zgodziło się na niego, piąty zaś był przybrany. Co zaś do tych piętnastu punktów, Hilchen jasno pokazał, że cienia nawet przekroczenia niéma a mianowicie: 1) rokiem przed tém wydane świadectwo chwali Hilchena, że w ośmnastu punktach przywileje miasta poprawił a dziś skarżą się że je w piętnastu sfałszował; 2) prawo krajowe trzy miesiące przed sporem z Godemanem przez Hilchena ułożone, nietylko Rygę, ale i inne miasta uwalnia z pod landgerychtu, zatém Ryga, jak przedtém, tylko królowi podległą zostaje; 3) komisa-

rze wezwani mogą zeznać Hilchena usposobienie, dalekie od wszelkiéj kłótni w rzeczach tyczących się spokoju religijnego. „Dałby Bóg, wyraża się, aby Godeman i przeciwnicy moi tak zachowali się w rzeczach religijnych, jak się chwalą, będąc podobni do kogutów na chorągiewkach; ale kiedy zaburzenia kalendarzowe rozpoczęły się, Godeman żarliwie myślał po katolicku, a dziś myśli żarliwie po lutersku;" 4) protestu, cytacye, umiarkowane misywy, nazywają obelżywemi, chociaż one wywołane zostały obelgami. Niewiadomo dlaczego Godeman do występków je zalicza; czemuż je pominął, kiedy 24 stycznia 1600 roku, w ciągu 24 godzin zdrady miał dowieść? 5) przysłani z królewskim mandatem nie są posłami; mogą fałszywie za takich się podawać; 6) mandat karny późniéj został wydany z powodu nadużyć i zniewag, którym i Nyenstede uległ; 7) kryminalna cytacya w imieniu szlachty inflanckiéj nastąpiła, również jak i karny mandat w skutek skargi Godemana i doznanych zniewag; 8) zarzucana obraza majestatu niéma najmniejszéj zasady; na sejmie tylko spór prywatny był wniesiony, a o zdradzie mowy nie było; 9) odwołano się tylko do seweryńskiéj ugody z powodu sporu z Godemanem; 10) zarzut zbrodni w tym punkcie nie potrzebuje żadnéj obrony; można dowieść, że żądano tysiące złotych, aby oskarżonego żywym wypuścić; 11) nie siedział na koniu, ale zsiadł z niego, miał broń tylko przy boku, był z jednym służącym jak Godeman, który nie jechał do królewskich komisarzy, ale we własnym interesie; nie chciał go zakłóć ani zamordować, ale wykropił szpicrózgą.

Czytamy w obronie: „kogóż miałbym zakłóć? czy tego, który stał przestraszony i nie śmiał się bronić? Jeżelibym nawet i co powiedział, czyż za to mam nietylko wszystko moje mienie, ale nawet i życie tracić, i czyż to nawet zwykłéj cytacyi warte? Dlaczegóż tak zawzięliście się na mnie? Jakże często się przytrafia, że jeden wybije drugiego nietylko na ulicy, ale i na rynku, że ciężko go porani: czyż wszyscy za to mają być śmiercią karani? Żyje jeszcze Klaus Ecke, który znakomitego obywatela miejskiego, kiedy ten o długu swoim mówił, oświczyć kazał. Nigdy chyba nie słyszeliście o prawie Boskiém i natury. Tam stoi: ząb za ząb i oko za oko. Prawo saskie również zapomniane; a i wasze prawo miejskie, po upłynionym roku, publicznemu mordercy spokojnie do miasta powrócić dozwala." 12) Skarga ta odnosi się do rady, która tutaj oskarża, dowodzi, sądzi, co wszakże tylko do niektórych jéj członków się stosuje; 13) skardze téj, jak wielu innym, brak cytacyi; można się zapytać: jak można tego potępiać za zbrodnię, o którą go nie obwiniono, jak przestąpienie można nazywać zbrodnią, jak wyrzucać mu ją, kiedy ani oskarżenia, ani świadków nie było? 14) ta skarga równie jest fałszywą; oskarżony nigdy nie był wójtem ani opiekunem sierot i żaden uczciwy człowiek nie może mu wspomnionego tam przestępstwa wyrzucać; 15) fałszywe dowody i świadectwa, są to zapewne przesłuchania urzędników miasta, których z powodu téj sprawy do Warszawy wzywano, nie przeciwko miastu, ale przeciw burzycielom w radzie, dla dojścia głównie prawdy.

Z tego widzimy, że Dawid Hilchen *z wyjątkiem uderzenia szpicrózgą* Godemana, nie był zgoła winien i nie zasłużył na nazwę mordercy, kłamcy, fałszerza i zdrajcy.

## V.

Wojna ze Szwecyą spowodowała zawieszenie sprawy Hilchena. Obawiał się król, aby Ryga, skutkiem użycia odpowiednich surowych środków, nie poddała się nieprzyjacielowi; Hilchen zaś, stosownie do papierów obowiązujących, jako osiadły obywatel, wstąpił do oddziału Jerzego Fahrensbacha.

Zygmunt III-ci, najstarszy syn króla szwedzkiego Jana III-go, wezwany na tron polski, po śmierci ojca odziedziczył i tron jego jako prawy następca; jednakże przejście jego na łono kościoła katolickiego oddaliło od niego protestancko usposobionych Szwedów, co dało obszerne pole do działania chciwemu władzy Karolowi ks. Sudermańskiemu. Najprzód wystąpił jako namiestnik, później dopiero wziął tytuł królewski pod imieniem Karola IX, zapewnił sobie partyą protestancką i bez wydania wojny 9 sierpnia 1600 r. pod Rewlem wylądował.

Nie przygotowany zgoła na to Zygmunt mógł tylko generała Farensbacha z małą liczbą ludzi przeciwko nieprzyjacielowi wystawić, ponieważ Stany Rzeczypospolitej nie troszczyły się zgoła o to, do kogo Inflanty należéć będą i dlatego chciały wojny uniknąć. Zanim król polski zdołał usunąć przeszkody i wojna uchwaloną została, wojska nieprzyjacielskie tymczasem w ciągu sześciu miesięcy opanowały całe Inflanty aż po Rygę, Dyament i Kokenhuzę; kraj zajęty został bardziéj przez zdradę jak przez czyny wojenne. Szwedzi, pobici pod Wendenem i Kokenhuzą, rozbite oddziały połączyli znowu pod Rygą 30 sierpnia 1601 r., gdzie wszakże Chodkiewicz zdołał wszystkie usiłowania nieprzyjacielskie w niwecz obrócić. Zbliżenie się samego Zygmunta, niedostatek żywności i Farensbach zmusiły Karola do odwrotu i zwrócenia drogi do Rewla, zkąd na Boże Narodzenie do Abo się udał.

Hetman wielki koronny Jan Zamojski i hetman polny Stanisław Żółkiewski skierowali się z nastaniem zimy ku Dorpatowi aby rozproszyć oddziały nieprzyjacielskie, które pozajmowały bardziéj przez rzucony postrach jak sztukę wojenną niektóre zamki w téj stronie. Że Dawid Hilchen w téj wyprawie był czynnym i zostawał pod wodzą Farensbacha, świadczą nietylko jego listy, z obozu pod Wolmarem z 10 i 11 grudnia 1601 r. z Adsel 17 kwietnia 1602 r., ale nadto własnoręczne Farensbacha zaświadczenie.

Hetman Żółkiewski ze smutkiem widział krzywdę wyrządzoną Hilchenowi, i w następnych słowach do Senatu ryskiego wysłał upomnienie: „Zacni panowie, Przyjaciele milil Sprawa szlachetnie urodzonego pana Hilchena, królewskiego sekretarza i pisarza ziemi Wen-

deńskiéj, mocno mię obchodzi. Jego cnota i nauka ujęły mię dla niego, a roztropność i pilność w sprawach miasta Rygi na sejmach okazana, utwierdziła mię w powziętéj ku niemu przychylności. Słyszę, że z drobnych początków przyszło do tego, iż prawie bez wysłuchania jego obrony ma być wyzuty z majątku, czci i na gardło osądzony przez tych, którym się dobrze zasłużył. Wiadomo mi, że pan kanclerz i hetman wielki koronny polecił szlachetnie urodzonym panom Firlejowi wojewodzie krakowskiemu, Piotrowi Łaszczowi i Janowi Szorcowi podkomorzemu malborskiemu, aby z wami w téj sprawie traktowali, a Hilchen niczego więcéj nie pragnie, jak aby obrony jego wysłuchano. Nie widzę przyczyny, dla któréj mielibyście mu tego odmówić. Obrona istoty rzeczy nie zmienia, i to co samo przez się jest słuszne, nie przestanie być takiem, jakiem było. Jeśli się winnym okaże, dacie świetny dowód swej bestronności; w razie przeciwnym słuszna, iżby się okazała w całym blasku jego niewinność, która uciśniona nie może zajaśnieć pierwéj, dopokąd rzecz nie zostanie wziętą pod ścisłe rozpoznanie. Choddzi tu o dobrą sławę was wszystkich. Wiele zmian dzień jeden przynosi, zuchwałość w szczęściu o wielkie upadki przyprawia. Proszę, aby słuszność sama w téj sprawie rozstrzygła. Zrobicie mi tem największą przyjemność. Człowieka, dla którego mam przyjaźń, jak długo tenże granic słuszności nie przekroczył, opuścić nie mogę. Zdrowia dobrego waszmościom życzę [1]) Dan w Wolmarze dnia 2 Stycznia 1602.— Stanisław Żółkiewski.

W raporcie do Zamojskiego z Neuhauzy dnia 2 lutego 1602 r. zawiadamia Farensbach, że on w tymże dniu w towarzystwie wendeńskiego landrychtera przybył do Neuhauzy, że tenże notaryusz odjechał zaraz do Maryenburga, aby się przekonać, czy i tego miejsca zdobyć nie można.

Hilchen w liście do Farensbacha wspomina o czterech zajętych przez niego na nieprzyjacielu zamkach. Dwa pierwsze były, według listu z 17 kwietnia, zamki Ermes i Helmet, dwa drugie Mariemburg i Adsel.

Po zdobyciu wielu punktów siły polskie pociągnęły do Felina, gdzie Jerzy Farensbach 17 maja życie, a ojczyzna bohatera straciła. Umierającą ręką napisał dwa listy łacińskie, które w hilchenowskim zbiorze listów się znajdują: jeden do króla, a drugi do Rady. Córkę polecił opiece swego monarchy, a dwu synów jego łasce; niezapomniał w nich i o przyjacielu swoim Hilchenie, którego troskliwości powierzył swe dzieci, prosił, aby tak pożyteczny krajowi mąż mógł się ucieszyć królewską sprawiedliwością. „Racz Najjaśniejszy Panie" pisze inflancki Bajard do króla „nie odmówić téj prośbie umierającego ojca i jego pozostałych dzieci."

Jak czuł Hilchen życzliwość przyjaciela, świadczy przypisany synom Farensbacha życiorys ich ojca albo raczéj panegiryk, w którym

[1]) Oryginał tego upomnienia (*commonitio*) jest łaciński.

wystawia zasługi i czyny Farensbacha w sposób poruszający i tkliwy. Dzieło to wyszło w Zamościu 1609 r. i należy do wielkich rzadkości bibliograficznych. W r. 1803 Bergman swoim kosztem i staraniem wydał je na nowo, przez co odnowił pamięć Hilchena i Farensbacha. Z dalszych listów Hilchena dowiadujemy się, że po zdobyciu Felina ciągnął za polskiém wojskiem; z obozu pod Tarwastem i Weissensteinem prosił przyjaciół swoich o wstawienie się do króla, aby ten rozstrzygnął spór pomiędzy nim a ryskimi jego przeciwnikami. „Burza straszliwa ogarnia mię zewsząd“ pisze w liście do kanclerza z Weissensztein dnia 24 września 1602 r. „nieprzyjaciele chcą mojéj zguby, nie przez prawo, ale przez podstęp i zdradę. Nie chcę się chwalić, wyznać wszakże muszę, że na to nie zasłużyłem. Gdzie leży zbrodnia, jeżeli wezwany do walki przez nieprzyjaciela, uderzyłem na niego nie z bronią ale spicrózgą? Z tego jedynie powodu zagrożone moje życie, moje mienie, moja cześć. Za to zwrócona przeciw mnie cała nienawiść. Wszystko inne jest kłamstwem i wymysłem. Stronnie przeprowadzona cała sprawa; dekret królewski zapada, apelacya do króla nie jest mi zabronioną. Jakąż winę zarzucają nieobecnemu? Dla czego wzywają niebo i piekło przeciw niemu? Dlaczego starają się niewinnego zohydzić?... Ja nic nie potrzebuję, niczego nie pragnę, niczego nie chcę, o nic nie proszę, jak tylko, aby król mię wysłuchał, i żeby Ryżanie żadnego gwałtu mi nie uczynili, zanim sprawa moja nie zostanie przeprowadzoną i zbadaną. Jestem szlachcicem, dlaczegoż z pod praw szlacheckich mam być wyjętym? Proszę, aby nic o mnie nie stanowiono, dopóki sprawa moja przeprowadzoną nie zostanie.“

Chociaż Hilchen mógł był żądać sum sobie należnych, zmusiły go wszelako okoliczności pieniężne, własnym bowiem kosztem odbywał wyprawę, otrzymywać żołd, nikt mu bowiem w Inflantach nie chciał kredytować. Listy dalsze świadczą, że w dniu 3 czerwca 1603 r. znajdował się w obozie pod Dorpatem, 25 stycznia 1604 był z powrotem do Polski w zamku Erlaa, 25 maja przybył do Krakowa.

## VI.

Sprawa Hilchena z kończącą się wojną roku 1603 wznowioną została. Pomiędzy niedzielą *Misericordias* i *Jubilate* nadeszły do rady miejskiéj i do syndyka Godemanna królewskie polecenia, aby oskarżeni Nyenstede i Hilchen w przeciągu sześciu tygodni w Krakowie stawić się nieomieszkali.

Od września 1600 roku, Nyenstede z powodu sprawy zięcia z rady miejskiéj był usunięty i również u króla szukać musiał sprawiedliwości. Stronność miasta dla obu, nałożenie na Hilchena kosztów 80,000 złotych, a na Nyenstede 20,000, obraza im wyrządzona, niespełnienie rozkazów królewskich, nakazywały wezwać i członków rady

pod zastrzeżeniem, że czy będą się stawić lub nie, sprawa rozpoznawaną i stosownie do prawa osądzoną zostanie.

Nie wiemy, czy rada i Godemann w oznaczonym wyżéj czasie stawili się w Krakowie, ale gwałt na nowo dopełniony został, który wpośród powziętych nadziei, dotkliwie dał się uczuć Hilchenowi.

Zaledwie teść jego z dworu królewskiego przybył do Wybershofu, położonego niedaleko Rygi, kiedy na fałszywą wieść o przybyciu tam Hilchena, ludzie uzbrojeni pod przewodnictwem zięcia burgrafa, napadli na śpiących, dom splondrowali i złupili. Chciał Godemann pozbawić i żonę Hilchena ostatnich środków i majętność rozszarpać. Przykrości te, połączone z wojną toczoną w Inflantach, powiększyły i tak smutne położenie, które pod koniec sierpnia znowu pożądańszy obrót brać zaczynało. Jan Zamoyski, hetman wielki koronny, mąż głębokiéj polityki, uczony i przyjaciel nauki, ciągle będący w listownych stosunkach z Justusem Lipsyusem, Scaligerem, Casaubonem i innymi uczonymi, miał nietylko dla Hilchena głęboki szacunek, ale nadto widział w nim szczególne administracyjne zdolności, które chciał zużytkować dla nowonabytéj polskiéj prowincyi. Teraz zamierzał go przyciągnąć do siebie i dlatego nabył dla niego majętność Horyszów, położoną niedaleko Zamościa. Dochód roczny sam Hilchen na 1000 złotych oznaczył. O majątku tym pierwszą znajdujemy wzmiankę w liście Hilchena, pisanym dnia 12 lipca 1603 r., jako o posiadłości, któréj nabycie ułatwiła szczodrobliwość jego dobroczyńcy. W późniejszym liście z dnia 26 czerwca 1604 r., donosi, że żona jego powiła córkę w nowonabytym Horyszowie.

Hilchen zmartwiony z powodu zwłoki swéj sprawy wbrew poleceniom królewskim, wydał w Zamościu 1604 r., dzieło po łacinie napisane, któremu dał tytuł: *Clypeus Innocentiae.* Zawarł w niém sprawę swoją i dowodził niewinności. W następnym roku ogłosił je po niemiecku. Dzieła te stały się wielką rzadkością bibliograficzną i dlatego jeszcze w 1802 r., w Rydze w obu językach na nowo wydane zostały. Ponieważ w owych czasach akademie uważane były za najwyższe instancye i sąd ich powszechnie był szanowany, Hilchen zaraz obdarzył niém uniwersytety w Ingolsztadzie, Tybindze, Frankfurcie, Wittembergu, Lipsku i Jenie, tudzież ofiarował współczesnym uczonym, a mianowicie: Justusowi Lipsyusowi, Casaubonowi, Janowi Scaligerowi, Hübenerowi, Sturzowi i Myliusowi, jako *captatio benevolentiae* i zdanie się na sąd w sprawie z Godemannem. Szósta księga listów Hilchena zawiera stosowne materyały i świadczy o przychylnym uczonych dla niego wyroku. Uczony tylko i żartobliwy Taubmann stanął po stronie przeciwnéj.

Czas upływał, nie posuwając naprzód sprawy Hilchena, następowały pogróżki, naznaczano nowe termina, skutku wszakże nie było. Nyenstede, chcąc raz ukończyć ciągnącą się od lat czterech sprawę, na początku 1604 r., jeździł do Polski, jak się dowiadujemy z listów jego zięcia. Wtedy właśnie zaszły znowu w Rydze pewne nieporządki,

spowodowane przez wielką gildę, która wbrew woli rady miejskiéj, powołała oldermanów nie z wybranych siedmdziesięciu obywateli, ale z całego ich ogółu. Ryżanie okazali nową niechęć ku ugodzie seweryńskiéj i powstali na samowolę zwierzchności. Zarzucali oni głównie radzie, że w główniejszych wypadkach sama rozporządza kasą. Teraz zaczęto przebąkiwać, że Nyenstede padł ofiarą dlatego tylko, aby nie było przeszkody w popełnianiu nadużyć. Pracowano nad jego przywróceniem do zarządu miasta i spiskowano przeciw Eckemu. Usposobienie obecne Ryżan bardziéj niż wola królewska, skłoniło syndyka Godemanna, że przybył w początku 1605 r., do Krakowa i zgodę przeciwnikom swoim przełożył, któréj wszakże ci nie przyjęli, lecz sprawę zdali na sąd królewski.

Największa nadzieja Hilchena zgasła ze śmiercią Zamoyskiego, który umarł 3 czerwca 1605 r. „Jestem jak piorunem rażony, pisze Hilchen do jednego ze znakomitszych Polaków, nie mogę się pocieszyć po téj smutnéj wiadomości, wzburzone są wszystkie siły méj duszy. Wiele nieszczęść przebyłem, ten grom wszakże zasilnie mię uderzył, abym mógł powstać. Nie można się dziwić, zaszło moje słońce, a ja znowu pogrążony zostałem w ciemnościach." Zapalony czynami bohatéra, zamknął swe uczucia w łacińskich elegiach, a w nich Francyą i Włochy nazywa kolébką jego ukształcenia, sławi czyny wojenne, dokonane w wojnach przeciw Szwecyi i Moskwie, podnosi cnoty, talenta, zdolności. Utwory te wyszły w Zamościu i Helmsztadzie, a w 202 lata późniéj na nowo w Rydze wydane zostały.

Zamoyski pod nieznanemi na pewno warunkami, nabyty Horyszów na wiele lat zapewnił posiadaniu Hilchena. Śmierć Zamoyskiego i to miejsce wygnańcowi niemiłém uczyniła.

W sprawie znowu jego, Gotard Jan Tyzenhaus i Magnus Nolde, wyznaczeni zostali na sędziów polubownych, którzy położyli warunki ugody, całą winę zwaliwszy na rygską radę miejską. Godeman układ bez wahania podpisał, a skoro powrócił do Rygi, wysłani z nim deputaci zawiadomili radę o zawartéj umowie.

Powstały nowe krzyki. Godemann lękając się losu Wellinga, miasto i urząd opuścił, wyciąwszy wprzódy z protokułów miejskich przeszło trzydzieści arkuszy, mogących przeciw niemu świadczyć.

Wkrótce potém opuścił Rygę i Mikołaj Ecke, wraz ze swoim zięciem Tomaszem Rammem, obaj znienawidzeni i nawzajem dla miasta nieprzyjaźni. Deputacya wysłana do Krakowa w celu niedopuszczenia ich powrotu, tak się w swéj prośbie wyraziła: „aby Ecke, ten ojciec wszelkiéj niegodziwości, nigdy już do rządów miasta nie wrócił, lepiéj już najtwardszy los od nieprzyjaciela znosić, jak tego węża w zanadrzu ogrzewać, który zapominając o interesach miasta, naruszył sumę 4000 złotych, z pieniędzy przeznaczonych na oczyszczenie Dźwiny i takowe przy sobie zatrzymał."

Słabo dzierżąc wodze państwa, Zygmunt obojętnie patrzał na naruszenie Seweryńskiéj ugody, a w dniu 7 października 1605 roku

wygnanego Nyenstede napowrót do urzędu burmistrza przywrócił. Hilchen jednak znowu z tych zmian nie odniósł żadnych korzyści, chociaż znakomici mężowie nad przywróceniem jego usilnie pracowali. Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, przyjaciel Zamoyskiego, upominał radę miejską rygską, aby przyjęła napowrót człowieka, którego zmarły kanclerz kochał i szanował, który odznaczał się w wojnie i pokoju. Upłynął wszakże 1606, 1607 i 1608 rok, a Nyenstede nic nie mógł dla swego zięcia uczynić, chociaż już i stronnicy Eckego na zgodę przystawali.

Nadzieja, którą napewno żywił w sobie Hilchen, na wieść ucieczki Eckego, wkrótce okazała się płonną; przeciwnik bowiem, broniąc zręcznie na dworze królewskim swéj sprawy, odniósł zwycięztwo nad Oettingenem oldermanem wielkiéj gildy, który teraz przed Eckem zmuszony był uciekać, podobnie jak niedawno Ecke przed Oettingenem.

Hilchen w tych czasach szukał pociechy, przenosząc się w świat starożytny Rzymu i Grecyi; układał poezye na wzór Horacyusza.

Udało się przeciwnéj partyi oziębić umysł królewski przez rzucenie podejrzenia, że Hilchen zostaje w tajemnych stosunkach z dworem wiedeńskim. „Ja, pisze on w liście dnia 17 czerwca 1606 r., mam mieć związki z dworem cesarskim? czyż mogę się nawet bronić od podobnego zarzutu? Jeżeli to jest prawdą, dlaczego podejrzenie niéma przejść w pewność, dlaczego niéma się ujawnić?"

Zarzuty te utrzymywały króla w obojętności dla sprawy, do czego się jeszcze niemało przyczyniły: długie trwanie procesu, hanzeatycka hardość Ryżan, przekonanie, że Hilchen ma zapewnioną przyszłość, zajmował bowiem w Zamościu jakiś wyższy urząd cywilny.

Termina, oznaczone dla ukończenia sprawy, nadchodziły i przechodziły. Ostatni wyznaczony został na dzień ś. Michała, sędziowie wszakże nie wygotowali jeszcze wyroku i dzień ten, zamiast pociechy, przyniósł Hilchenowi nową boleść. Na ręku strapionego ojca zgasła ukochana córka Beata. Na grobie jéj w Żdanowie, pod Zamościem, wyrył następny napis, który świadczy, jak srodze tym ciosem dotknięty został:

Quis evadet
Tumulus BEATAE Generosi Davidis Hilchen, Secretarii Regii, Notarii Terrae Vendensis FILIOLAE.

Hic jacet Hilchenio sata Patre, puella Davide,
Dicta Beata, eadem nata, renata Deo,
Mox denata Polo, infantem revocante pusillam,
Nomen ut expleret, requ Beata foret
Siste Viator, iter mortem et meditare posillis
Que si non parcit, parceret illa tibi.

Die 24 Septembris 1606 mortua, moestissimus Pater p(osuit).

Przeciwnicy nawet Hilchena byli już znudzeni tak długo trwającą sprawą. Sam w liście z dnia 6 lutego 1607 r., tak się wyraża: „Kiedyż już koniec nastąpi, może z ἐν ἐστι? kiedy mnie już nie będzie. Nie czasy, nie Ryżanie są temu winni, ci są skłonni do układów, do czego pobudza ich wola Monarchy, ale zazdrośni ciągle mi stają na zawadzie. W rzeczy saméj, kiedy rozważam moję nędzę, religia tylko powstrzymuje mię od myśli, że lepiéjby było, gdybym się był nie urodził."

„Ryżanie chcą się układać, pisze Hilchen z Zamościa, w siedmnaście dni późniéj do jednego z polskich magnatów, ale sumienie moje i poczucie sprawiedliwości, nie dozwalają mi się zgodzić bez przyzwolenia królewskiego."

Jeszcze niecierpliwszym się okazuje w liście do jednego z biskupów, z dnia 19 sierpnia 1607 r.: „Oby tylko nie odłożono méj sprawy do nieokreślonego czasu; czémże byłaby sprawiedliwość, gdyby po czasie wymierzoną została, życie moje trwać może tylko kilka miesięcy." Przypomina sobie daléj dorastające dzieci i uskarża się, że nawet 300 złotych, przeznaczonych mu z ceł, na rozkaz królewski, prawdopodobnie jako nagroda po uspokojeniu rozruchów kalendarzowych, po wygnaniu przestały być wypłacane, a przecież zasługi dla państwa nie zmniejszenia, ale powiększenia dochodów wymagają.

Przyjaciele Hilchena radzili mu zawrzeć ugodę, chociażby ta z ciężką ofiarą połączoną była. „Co, pisze on, miałbym wszystko burzycielom oddać, a sobie nic nie zostawić? Ja trwam przy pierwszém postanowieniu i wiernie go trzymać się będę." Nie potrzebował on jednak gwałtownie pieniędzy, w tym samym bowiem liście wzmiankuje o dwu dłużnikach, z których jeden tysiąc talarów, a drugi tysiąc złotych zostali mu winni.

W Lublinie Hilchen znowu zaniósł skargę, że sprawa jego ciągle jest odkładaną do lepszych czasów, które może nigdy nie nadejdą; upomina się o niewypłaconą pensyą, nakoniec skarży się na wymaganą od niego służbę wojskową, kiedy w tak uciążliwych znajdował się okolicznościach.

Zaległa pensya została wypłaconą, ale liczono dwa lata za rok jeden; chociaż nie zaspokoiła ona słusznych pretensyi, zawsze jednak dawała nadzieję, że lepsza gwiazda zaświta.

W liście do sekretarza królewskiego z dnia 12 maja 1608 r., odwołuje się do przyjaźni Zamoyskiego i Farensbacha, dowodzi słuszności swéj sprawy i spodziewa się, że kiedyś musi być ona uznaną. „Dlaczegóż, mówi, okoliczności nie komu innemu, tylko mnie w wymiarze sprawiedliwości przeszkadzają? Dlaczego innych, a nie moje z Ryżanami sprawy mogą być sądzone? Dlaczego niéma tego samego wymiaru sprawiedliwości w podobnych sprawach?" Przyczyniło się jeszcze niemało do cierpień Hilchena, że małoletniego syna jego Dawida skłoniono do porzucenia protestantyzmu.

„Syn mój, pisze do jednego z kapłanów, liberalnie przezemnie wychowywany i kształcony, niedojrzały pod względem sądu i umysłu, rozdziera węzeł, który go z ojcem jednoczy, opuszcza go i nie powraca. Tego nikt pochwalić nie może, tego sami katolicy nie chwalą. Wygłaszam mój ból, przyjaciele moi cierpią, a ja miałbym być obojętnym?"

Nastąpiła wielokrotna wymiana listów, pomiędzy wspomnianym kapłanem a Hilchenem, który używał wszystkich środków, aby syna do siebie powołać z powrotem. Były przedstawienia i groźby. Zaślepiony młodzieniec zapomniał się aż do złorzeczeń.

Ojciec zmuszony był wyrzekać, że ma syna, aż nakoniec pełen radości zawołał: „Przecież upamiętał się (*tandem resipuit*). W późniejszych listach do syna pisanych, widzimy, jak wielce leżał mu on na sercu; mieszają się w nich uczucia ojcowskiéj miłości i pewnéj bojaźni. „Uspokoiłeś, pisze, miniony niepokój." Że pewne powątpiewanie pozostało, widać z współczesnych listów do przyjaciół pisanych.

Młody Dawid Hilchen udał się do Frankfurtu, aby tam przyuczyć się kupiectwa. Opuścił Polskę z listami polecającemi i ojcowskiém napomnieniem.

Pośród rodzinnych przykrości, zapomniałby może Hilchen i o sporze z Ryżanami, gdyby zawiść ludzka nie starała się dosięgnąć go w tém nawet miejscu, które był winien szczodrobliwości Zamoyskiego. Spadkobiercy, chciwi zysków z Horyszowa, starali się przed terminem usunąć Hilchena. Wtedy udał się do biskupa krakowskiego i Żółkiewskiego. W listach do nich pisanych, przy końcu 1608 r., dowodzi słuszności praw swoich, przywołuje niebo na świadka swojéj niewinności, a szczególniej prosi o poparcie na najbliższym sejmie, na którym przeciwnicy jego oczekują ostatniego rozstrzygnięcia sprawy.

W zachowanych w zbiorze listów Hilchena reskryptach, znajdujemy odezwy biskupa krakowskiego, które upominają Ryżan, chwalą wierność, cnoty, zasługi i niewinność Hilchena, zapewniają, że poufnego swego przyjaciela i domownika opuścić nie może.

W końcu sprawiedliwość wymierzoną została.

W sobotę, przed niedzielą *Jubilate* 1609 r. uznał król wyrok rygski za przeciwny prawu, skazywał przeciwną stronę na przeproszenie i wynagrodzenie strat poniesionych. Hilchen, uszczęśliwiony z pomyślnego ukończenia sprawy, zawiadomił zaraz profesora Taubmanna, który jeden tylko pomiędzy uczonymi bronił Godemana. „Powinieneś był, pisze, bronić nas obu, to jest Godemana i mnie, albo żadnego. Opuściłeś mię i skazałeś na pastwę, nie postąpiłeś jak *Taubmann*, to jest jak człowiek stały i pewny swych przekonań; nie chcę tego co się stało wygrzebywać."

Na mocy wyroku królewskiego i posiadanie Horyszowa zostało mu do końca terminu rocznego zapewnione, nie potrzebował więc u swych możnych przyjaciół szukać tymczasowego mieszkania.

Hilchen nie śpieszył skorzystać ze swego tryumfu i wyjazd do rodzinnego miasta odkładał; zapewne obawa przed niechęcią i zawiścią, tęsknotę osłabiała i wstrzymywała w Polsce. Zapewne i sprawy wojenne oddziaływać mogły; Karol XI właśnie zaczął zagrażać Rydze. Dnia 16 grudnia 1609 r. pisze do jednego z przyjaciół: „Podróż do Inflant odkładam do trzeciego tygodnia, ale nie daléj," W dniu zaś 4 stycznia następnego roku donosi: „w tym miesiącu jadę już napewno."

Inaczéj jednak się stało. Dawid Hilchen umarł ostatnich dni lutego lub pierwszych marca 1610 r. W archiwum rygskim znajduje się prośba rodzinna, w któréj domaga się, aby zmarły pochowany był w Rydze, stosownie do ostatniéj jego woli, i aby dzieciom spokojny pobyt mógł być zapewniony. Rada miejska zezwoliła na jedno i drugie, „pomimo, jak się wyraża pozwolenie udzielone, poprzedniego sporu i długoletniéj sprawy."

* * *

Dawid Hilchen był ozdobą swego czasu, pracował on usilnie dla dobra kraju i miasta.

Rzucić nam potrzeba jeszcze okiem na to, co zrobił dla sztuki typograficznéj w Rydze, podnieść zasługi w urządzeniu szkoły, a nakoniec wymienić prace literackie.

Pierwszy *Łotewski śpiewnik kościelny* musiano jeszcze w r. 1587 w Królewcu drukować. W następnym roku Hilchen wyjednał u rady miejskiéj upoważnienie do sprowadzenia drukarza. Zaraz przybył wezwany Mikołaj Mollin, z zamiarem trzyletniego tylko w Rydze pobytu i założył drukarnię. Nasz sekretarz usilném staraniem wymógł na radzie, że mianowała Mollina drukarzem miejskim i pozwoliła mu założyć księgarnią, nadto zobowiązała się płacić rocznéj pensyi sto talarów albertyńskich i pożyczyła czterysta marek rygskich na lat sześć, 6% był postanowiony.

Pierwszém dziełem, wydaném w oficynie Mollina, było: *Krótki porządek rygskiéj służby kościelnéj na rok 1588;* napisaném było w dolno-szląkim dyalekcie.

Z prac literackich Dawida Hilchena, które zyskały sobie europejską sławę, wymieniamy następujące:

*Oratio, qua Illustr. et Magnificis D. Commissariis Regiis, nomine Senatus et Civitatis respondet.* Rigae, 1589, 4.

*Academiae Zamoscianae recens institutae intimatio.* Rigae, 1594, 4.

*Livoniae supplicantis ad S. Regiam Majestatem Illustrissimosque Ordines Regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae oratio.*

*Carmen in obitum Solikowsky Archiep. Leopoliensis et oratio 1604.*

*Votum nuptiis Stanislai Zolkiewsky Palatini Kiioviensis R. P. Ducis Campestris, destinatum.* Lachico stylo. Zamoscii, 1605.

*Honori Herois Zamoscii.* Ibid. druga edycya wyszła w Helmsztadzie, trzecia w Rydze MDCVII.

Z rękopismów po Dawidzie Hilchenie pozostałych, bliżéj odnoszącemi się do naszych dziejów są:

*Brevis narratio earum rerum quae An. 1585 a 12 die Jan. juxta Calend. Greg.* Rige in mota ibidem seditione attentata et commissa sunt.

*Epistolae ad Principes. Palatinos, Castellanos, Marschaleos, Thesaurarios et Officiales regni Poloniae magnique ducatus Lithuaniae* (118 listów).

*Epistolae familiares ad Polonos et Lithuanos nobiles* (27 listów). W téj części mieszczą się listy pisane do synów: Dawida i Franciszka.

Ostatnie słowa w listach Hilchena skreślone, mówią o szczęśliwém ukończeniu sprawy, w miejskiém zaś archiwum znajdujemy dowody, że wyrok Zygmunta nie był nigdy wykonanym. Król wprawdzie sprawiedliwość wymierzył, ale samo zakończenie aktu, dozwalającego pochować zwłoki Hilchena w ojczystém jego mieście: *pomimo toczącego się z nim procesu* już pokazuje, że strona przeciwna mało zwracała uwagi na odniesione zwycięztwo. Hilchen i potomkowie jego domagali się zwrotu kosztów i strat, które wyniosły 80,000 złotych; król je przyznał, a Nyenstede do roku 1621 ciągle się upominał o ich zapłacenie. Ofiarowano za wszystko zaledwie 12,000 złotych, tych nie przyjęto. Synowie Franciszka, a wnukowie Dawida, w dniu 25 kwietnia 1663 r. zwrócili się w Stokholmie do ówczesnego władzcy Inflant, prosząc o pozwolenie miastu Rydze zwrotu, przyznanéj przez Zygmunta III sumy: „Dziad nasz, powiadają oni, uzyskał od Zygmunta III w r. 1609 dekret przeciwko rygskiemu magistratowi, w którym przyznaną mu została suma 80,000 złotych. Umarł on wkrótce, a małoletni synowie jego nie mogli wypłaty uzyskać, Ojciec nasz Franciszek, służąc pod chorągwią szwedzką, zaczął prowadzić sprawę; utraciliśmy go z zarazy w Elbingen; nasz małoletni wiek, różne zmiany państwowe i wojny, nie dozwoliły i nam praw naszych poszukiwać, aż do téj pory, w któréj Najwyższy państwa i kraje pod berłem Waszéj Królewskiéj Mości pokojem udarować raczył."

Rygska rada miejska, będąc zapytaną przez króla szwedzkiego, okazała swoje zadziwienie, że kłamliwa i bezzasadna sprawa nanowo podjętą zostaje, że już przed pięćdziesięciu laty dekret Zygmunta III nazawsze ją umorzył. Pozostały wnuk Dawida Hilchena, Franciszek, oberlejtenant szwedzki, zaprotestował natychmiast, twierdząc, że tylko sprawa sporu umorzoną została, koszta jednak i straty, na mocy tegoż wyroku, zapłacone być winny, że rada miejska uznała ich słuszność, ofiarując 12,000 złotych, że w latach: 1614, 1615, 1616, 1618 i 1619, kiedy się o zaspokojenie należności Nyenstede w imieniu małoletnich upominał, nikt jéj nie przeczył. Mimo to wszystko jednak, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pretensye Hilchenów skutku nie odniosły. Wiele bardzo lat upłynęło, zanim zasługi, położone

przez Dawida Hilchena należycie przez krajowców ocenione zostały. Współcześni po śmierci jeszcze zniesławiali pamięć zasłużonego męża. Pomiędzy aktami, należącemi do sprawy, znajdujemy uszczypliwy epigramat łaciński, pod którym mieści się podpis: Ravaelus Argetanensis Pol: Caes: D: C: S:, a napis jego jest: *Inscriptio portae aureae* [1]).

Nazwę złotéj bramy dawali Hilchenowi przez urągowisko, niechętni współcześni, dziś potomkowie mogą się nazwać wrotami, prowadzącemi do pomnika, który dokonanemi czynami wzniósł dla siebie człowiek, przez całe życie zmuszony walczyć z ciężkiemi kolejami losu.

Wkrótce po śmierci Hilchena Ryga ze znaczną częścią Inflant odpadła od Polski, która nie umiała skorzystać z posiadania brzegów morza Baltyckiego. Brak sprężystości w działaniu, brak prawdziwego poświęcenia i gotowości do ofiar był tego przyczyną. Rzeczpospolita, doniosłości téj sprawy nie pojmując, stawiała bowiem królom w paktach konwentach warunek wystawienia swym kosztem floty polskiéj, ani razu nie wystąpiła z całą siłą do obrony kraju, którego posiadanie zapewniało przewagę na Północy. Henryk zakrótko panował, aby miał czas pomyśléć o flocie. Stefana Batorego wstrzymywały od urzeczywistnienia téj myśli wojny z Moskwą i wewnętrzna zamierzana reorganizacya, pomimo, że papież i król hiszpański bezustannie potrzebę floty mu przypominali, chcąc użyć Polski do zamiarów swoich przeciwko Danii skierowanych. Dopiéro Zygmunt III urzeczywistnił zamiary wuja swego, do czego skłoniło go zwycięztwo Karola Chodkiewicza pod Szakiem, odniesione za pomocą dwu okrętów, zabranych Szwedom w Parnawie i kilku mniejszych, kupionych od Anglików i Holendrów. Król wystawił zaraz własnym kosztem dziewięć okrętów i w dniu 28 listopada 1627 r. odniósł zwycięztwo nad flotą szwedzką, złożoną z jedenastu okrętów, a pod dowództwem admirała Sternschilda zostającą. Nieszczęśliwa jednak polityka króla, będącego ciągle pod wpływem dworu habsburgskiego, pozbawiła Polaków tego zawiązku siły morskiéj. Władysław IV zajął się szczerze powiększeniem potęgi polskiéj na morzu. W Pucku urządził stanowisko dla floty polskiéj, a na półwyspie Heli wystawił dwie twierdze: Władysławowo i Kazimierz, w celu wzmocnienia i ubezpieczenia Pucka. Nałożył cło na wchodzące i wychodzące z portu Gdańskiego towary, postawił trzy okręty na straży przy ujściu Wisły, a flota polska pod dowództwem Jerzego Dönhoffa zostająca, niemało się przyczyniła do zawarcia dwudziesto sześcioletniego ze Szwecyą rozejmu.

Razem z królem zstąpiły do grobu i zabiegi jego, mające na celu uczynienie Polski potęgą morską i zapewnienie przewagi na Baltyku. *Walka o dominium maris Baltici* zmienia się na niekorzyść Rzeczypospolitéj; nieszczęsna myśl połączenia korony polskiéj ze szwedzką,

[1]) Napis na złotéj bramie.

sprowadza liczne klęski, grom jeden po drugim na nią spada, targają się siły narodu w rozpaczliwéj walce, aż wreszcie pokój Oliwski 3 maja 1660 r. pozbawia Polskę większéj części Inflant i strąca ją ze stanowiska pierwszorzędnego na Północy państwa.

Walka o *dominium maris Baltici* nie ustaje, przenosi się tylko na inną widownię. Jeszcze w wojnie trzydziestoletniéj scierali się o nie hiszpańscy i niemieccy habsburgowie z Gustawem Adolfem. Osłabia ona zapaśników, polityka genialnego kardynała Richelieu dokonywa reszty, z czego zręcznie korzysta Rossya, ośmielona słabością i niedołężnością Polski, zdobywa Inflanty szwedzkie, urzeczywistniając tém myśl Iwana Groźnego.

Ryga, 1879 r.

---

# PRZEGLĄD
# LITERATURY BELETRYSTYCZNÉJ
## za rok 1879 *).

PRZEZ

*Waleryę Marrené.*

Pani Eliza Orzeszkowa w dwu tomach ślicznych noweli, którym dała zbiorowy tytuł: *Z różnych sfer*, dostrzegła i odzwierciedliła także ten jeden z głównych grzechów naszego społeczeństwa, lekceważenie tego co pod oczy podpada. Odzwierciedliła go jednak szczególniéj w arystokratycznych warstwach, w ich stosunku do realnych warunków życia i realnych obowiązków. Wina ta przecież, tak samo jak wina obojętności, któréj skutki tak dosadnie i objektywnie wykazał p. Sienkiewicz, płynie z tegoż samego źródła, a tém jest niezdolność pojęcia i zharmonizowania się z rzeczywistością, szukanie w dali tego, co leży pod ręką, a nadewszystko pogarda dla blizkiego i swojskiego świata.

Jestto smutna puścizna przekazana przez cudzoziemskie wychowanie i otoczenie, a chociaż poczynamy już jéj się pozbywać, skutków wyrobionych przez nią, skutków, które głęboko wpłynęły na przekształcenie i zwichnięcie u nas wszystkich zasadniczych pojęć, pozbyć

*) Dokończenie—patrz zeszyt za luty r. b.

się trudniéj jeszcze i choć samo złe usunięte zostanie, skutki jego długo zapewne ciążyć na nas nie przestaną.

Spójrzmy naprzykład na tę dobrą, łagodną, śliczną Luizę, która bezwiednie i naiwnie popełnia tyle nieuczciwych czynów, tak, iż pomimo wszystkich przymiotów, jakie posiada, biada ludziom, którzy jéj zaufali. Ma ona wysoką pogardę dla interesów, cyfr, pieniędzy i t. p. rzeczy zwanych pogardliwie kuchnią życia. Z drugiéj strony jednak, bez produktu téj kuchni, t. j. bez pieniądza, pani Luiza zgoła obejść się nie może, potrzebuje go, ażeby otoczyć się tym artyzmem i pięknem, które jest dla niéj koniecznym warunkiem istnienia; potrzebuje go, ażeby miéć liczną służbę, coby spełniała to wszystko, do czego ona zupełnie zdolną nie jest; potrzebuje go, ażeby dać się wyzyskiwać swobodnie fałszywéj nędzy i fałszywym przyjaciołom; potrzebuje go nareszcie, ażeby odbywać owe kosztowne podróże do obcych krajów, które skutkiem wychowania i nawyknień, stanowią jéj właściwą ojczyznę. Słowem, pani Luiza jest to doskonały prototyp, utworzony przez nasze niekonsekwencye, istoty wszędzie obcéj i do niczego niezdolnéj, istnéj ofiary wychowania i przesądów.

Pani Orzeszkowa wystudyowała go z bystrością obserwacyi, jaka ją cechuje, a któréj każdy obrazek zebrany w tych dwu tomach byłby nowym dowodem, gdyby autorka nie przyzwyczaiła nas oddawna do tych znakomitych studyów i poglądów, roztaczanych przez nią coraz jaśniéj w każdém nowém dziele.

Niepodobna zastanawiać się nad wszystkiemi nowelami, jakie mieszczą się w tym zbiorze, jakkolwiek wszystkie na to zasługują, tak pomysłem jak obrobieniem.

Zarówno jak powieści pana Sienkiewicza, świadczą one wszystkie, że, ażeby stworzyć dzieło piękne, nie potrzeba bynajmniéj szukać ani osobliwych tematów, ani charakterów dziwnych, ani nadzwyczajnych wydarzeń. Wszystko jest cudem na świecie dla tych, co patrzéć umieją, wszystko przedstawia przedmiot do powieści, a rzeczywistość jest tém nieprzebraném źródłem, w którém talent wiekuiście czerpie i czerpać może wiecznie świeże źródło wzruszeń. Trzeba tylko umiéć patrzéć.

Wieleżto tematów powieściowych podjąć można na bruku małego miasteczka, bo przecież wszystkie te nowele mają za widownią Ongrod, za bohatérów jego obywateli, zarówno tych, co zamieszkują nizkie dworki i poddasza, jak tych, których, jak panią Luizę, przypadek tylko i interesa w niém zatrzymują.

Albo ten wielki zrujnowany budynek, ten dziedziniec pełny dworków i domostw, wśród którego rozgrywają się główne epizody życia Julianki: wieleżto ludzi minęłoby go, nie zatrzymując się wcale, nie domyślając się, że może on kryć dramaty i tragikomedye i sceny godne pędzla Hogartha.

Pani Orzeszkowa opisuje i budynek i światek, jaki zamyka w sobie, piórem myśliciela i malarza; są to godne ramy dla obrazu, który w nich umieściła. Obrazem tym jest historya Julianki.

Proste, zwyczajne a rozdzierające są dzieje biédnego dziecka, tém bardziéj rozdzierające, że codzień w każdém mieście, w każdéj wsi zdarzają się podobne. „Dziś w domu przy ulicy N. pod numerem N. znaleziono podrzucone dziecię." Ten stereotypowy frazes czytamy dzień po dniu w każdém piśmie. Czasem dziecię takie oddają wprost do domu podrzutków, czasem litują się nad niém ludzie, a niewiadomo kiedy los jego jest cięższy, bo jeśli dobroczynność publiczna jest zimna, oschła i skąpa, dobroczynność prywatna podlega kaprysom i wypadkom losu. Pierwsza zagłusza w dziecięciu najczęściéj miękkie pierwiastki, druga pobudza je, ażeby bardziéj jeszcze rozkrwawić serce dziecka i bardziéj gorzką uczynić jego dolę.

Czy może być coś straszniejszego nad dolę Julianki, na którą ona sama skarży się tak wymownie, mówiąc, że wszyscy ją tylko porzucają i wyrzucają. Bo z téj prostéj doli autorka wysnuła epizody rozmaite i otoczyła biédne dziecię girlandą sympatycznych postaci dziwnéj realności, jak ta ślepa żebraczka i panna Janina, nieśmiała, zalękniona i niezaradna, choć kochająca matka Julianki, a wreszcie stara kupcowa Złotka. Najbardziéj jednak bolesną stronę obrazu stanowi kochające serce dziecka, które się garnie do każdéj żywéj istoty zajmującéj się nią, a krwawi ciężko jéj utratą. Aż wreszcie porzucana i odrzucana Julianka, ginie z oczu téj garstki ludzi, która ją znała, Koniec jéj jest równie tajemniczy, jak pochodzenie i zostawia wolne pole domysłom. Czy umarła gdzie zgnębiona nędzą? utopiła się lub znalazła koniec w jaki równie tragiczny sposób, czy padła ofiarą bezecnéj spekulacyi na przyszłość, czy wreszcie trafiła na jakich zacnych a cichych ludzi, którzy przygarnąwszy biédne dziecko, zażegnali wreszcie jéj wrogą dolę? Któż odgadnie, jaki jest los i koniec tych secin dzieci, rzuconych bez nazwiska i chleba na bruk miejski.

W powieści téj pani Orzeszkowa dotyka jednéj z najbardziéj palących kwestyi, zaprzątających umysł prawodawców i moralistów, dzieci naturalnych, dzieci pozbawionych praw wszelkich, a dotyka jéj w sposób bynajmniéj nie dogmatyczny, nie tendencyjny, ale praktyczny: zamiast próżnych rozpraw, kreśli krwawą dolę jednéj z tysiąca, a kreśli piórem maczaném we łzach, drgającém odczuciem cierpień niemających nic sentymentalnego, ale realnych, jak nędza, opuszczenie i sieroctwo.

Takim jest charakter wszystkich tych pięknych noweli, które jeden z krytyków nazwał słusznie studyami nad niedolą ludzką, nad wydzieczonymi rozmaitych sfer i stopni. Każda z nich zawiera obraz jednéj nędzy, jednego cichego bytu, ubiegłego nieraz w pracy i w poniżeniu. Pani Orzeszkowa umie takie egzystencye dziwnie sympatycznemi uczynić, odkrywając tajemnice ich myśli lub serca. Każdy człowiek czémś żyje, każdy czémś żyć musi; skoro więc znajdziemy tę sprężynę, bogdaj najnędzniejsze życie wypowie nam swój dramat, a dramat wzięty z życia, choćby on był tak cichy i prosty, jak rozstanie się Czyńskiego w *Dziwaku* z narzeczoną, lub nieszczęścia Żmindy,

odkrywa nam gorzkie nieraz tajemnice bytu, a pod piórem znakomitéj autorki staje się dziwnie wzruszającym. Jestto galerya kalectw i zaślepień ludzkich.

Tu widzimy matkę tak rozmiłowaną w swoim jedynaku, iż uważa go za istotę stokroć wyższą od siebie i kosztem największych poświęceń pragnie go utrzymać na wyższém stanowisku. A syn przywykły, by wszystkie zachcenia jego spełnione były, nie znając przytém istotnego stanu majątku matki, żąda więcéj i więcéj z bezmyślném okrucieństwem rozpieszczonych synów, u których ubóstwienie rodziców koniecznie egoizm wyrabia (Milord).

Tam znowu niesprawiedliwość społeczna, ciążąca nad kobiétą, która dostaje nietylko czternastą część ojcowskiego majątku, ale dla któréj ta czternasta część rozciąga się i do rzeczy umysłu i serca, znalazła swoję przedstawicielkę w pannie Teodorze. Dobra ta, smutna i ograniczona istota nie jest nią jednak tak zupełnie, by nie czuła, jak bardzo jest wydziedziczoną i skarży się w tych prostych wyrazach, porównywając dolę brata ze swoim smutnym staropanieńskim losem: „Było nas dwoje, te same lata płynęły dla niego i dla mnie... Ja pracowałam i on pracował... Dziesięć lat blizko młodszą jestem od niego, a proszęż spojrzéć na nas, co za porównanie. On zdrów, silny, przystojny, wesoły i bogaty téż i znaczeniem u ludzi... a ja? Ot ciało sterane, z taką jakąś zmęczoną i smutną duszą."

Niedziw, brat pracował, ale i używał, miał żonę, którą kochał, dzieci; a ona Teodora w udziale miała tylko pracę ciężką, zawody gorzkie, łzy samotne, przyszłość niepewną, poniewierkę i śmiech ludzki, czternastą część zawsze i wszędzie.

Nowelle pani Orzeszkowéj, jakkolwiek prześliczne, jednakże przyćmione są doniosłością innego jéj utworu *Meira Ezofowicza*.

Powieść ta przenosi nas w życie umysłowe i domowe, plemienia osiadłego od wieków na ziemi naszéj, a o którém, pomimo to, wiemy ogólnie tak mało, iż może bardziéj nam są znane obyczaje i wierzenia mieszkańców Afryki, niż ci ludzie, z którymi nawykliśmy się spotykać ciągle w życiowych stosunkach, ale którzy poza temi stosunkami nie budzili zwykle naszéj ciekawości, tak jak nie budzą jéj zwykle zjawiska, otaczające nas codziennie. Przywyknienie rzuca tak gęste bielmo na oczy, iż potrzeba właśnie pewnéj wyrobionéj już dzielności myśli, ażeby zwrócić uwagę na podobne zjawiska.

To téż to społeczeństwo żydowskie, tak spoiste i odrębne, a znane nam jedynie z pewnych stron, dopiéro w ostatnich czasach zwróciło uwagę powszechną, a ponieważ zwróciło ją głównie z powodów ekonomicznych stosunków, głosy, które odezwały się w téj materyi, były po większéj części stronne i namiętne.

Panią Orzeszkową więc można uważać na równi z badaczami nieznanych krain, bo rzeczywiście ten fanatyczny światek Szybowski, w którym rozgrywa się smutna historya Meira Ezofowicza, a który jest

obrazem bardzo wielu ciemnych i fanatycznych światków, rozproszonych po naszym kraju, ma dla nas cały urok rzeczy i obyczajów nieznanych.

Książka ta nosi na sobie piętno długich studyów; autorka musiała przewertować mnóstwo ksiąg, znaleść w wielu Izraelitach pomoc i dobrą wolę, ażeby zapanować nad swoim przedmiotem, znaleźć obrazy wyrażenia, a nadewszystko wątek intrygi wpośród stosunków pojęć obyczajów tak różnych od naszych, a tak szczelnie zakrytych przed naszemi oczyma.

Wprawdzie ci, co do tego świata należą, czynią jéj niektóre zarzuty, co do wierności niektórych rysów, wyrażeń, modłów; ale właśnie drobiazgowość tych zarzutów świadczy o sumienności autorki, a usterki podobne, nieunikuione w pracy tego rodzaju, nie osłabiają bynajmniéj jéj znaczenia i nie zmniejszają wartości utworu, w którym za nić przewodnią służyła p. Orzeszkowéj głęboką miłość dla wszystkich wydziedziczonych tego świata, a nadewszystko dla tych, co jakkolwiek innego plemienia i wiary, są przecież dziećmi jednéj ziemi.

W studyach nad kwestyą żydowską w powieści zastanawiałam się nad genezą tego utworu i nad jego związkiem z innemi dziełami téjże autorki. W studyach tych jednak musiałam z konieczności pominąć artystyczną stronę powieści, kładąc nacisk jedynie na jéj kierunek i związek z kwestyą, która mnie zajmowała.

Tymczasem Meir Ezofowicz nietylko jest dziełem rozpraszającém mgłę ciemnoty, nietylko dąży do usunięcia wiekowych nieporozumień i waśni i jako taki, jest dziełem natchnioném prawdziwie obywatelskiém uczuciem, jestto jeszcze i nadewszystko: dzieło sztuki, jeden z tych dziwnie pięknych utworów, w których doskonała architektonika służy za podstawę silnie postawionym charakterom i misternie wyrzeźbionym scenom. A przytém w całym utworze wieje to ciepło serdeczne, którém autorka potrafiła przeniknąć wszystkie postacie; znać że ukochała je serdecznie, a co najdziwniejsze, że pomiędzy tą całą czernią ciemnego małomiasteczkowego plebsu, pleśniejącego w przesądach, nie umieściła ani jednéj karykatury. Zbyt poważnie wpatruje się w życie, zanadto zna jego konieczności i pokusy, by nie rozpoznać prawdziwych powodów czynów z pozoru nieraz śmiesznych, wstrętnych, lub złych nawet, a tym sposobem trzymając się nawet zupełnie realnego gruntu, potrafiła uniknąć trudności, o którą potknąłby się niezawodnie mniéj głęboki umysł.

Co dziwniejsza, pomiędzy ludźmi dopuszczającymi się wielkich przestępstw, przewrotnym z gruntu jest może tylko jeden Jankiel Kamionker, zresztą mełamed, Todros i cała zgraja ich popleczników, to nieszczęsne ofiary fanatyzmu, złe przez głupotę, działające pod wpływem pobudzonych namiętności religijnych.

W Szybowie, ciasnéj, zapadłéj mieścinie, zamieszkałéj jak większa część miasteczek naszych, jedynie przez ludność izraelską, osiadły oddawna dwie wrogie sobie rodziny Todrosów i Ezofowiczów.

Rodziny te jednak nie są rozdzielone żadnym osobistym interesem, pomiędzy niemi jest coś więcéj: walka idei. Todrosy pochodzenia hiszpańskiego, mając w żyłach namiętną krew fanatycznego narodu, tradycye stosów i męczarń inkwizycyi, i jak to zbyt często bywa prześladowani, skoro tylko mogli, zamienili się w prześladowców. Opuszczając niegościnną ziemię, unieśli z niéj najsmutniejszą puścinę: tradycyą nietolerancyi, a otoczeni poważaniem swego ludu, szczepili ją wkoło siebie.

Ród Ezofowiczów miał zupełnie odmienną tradycyą; ród ten pochodził od owego Michała, Ezofowicza, o którym wspominają dzieje nasze i który za Zygmunta I mianowany był seniorem, czyli starszym nad wszystkimi żydami Litwy i Białéj Rusi.

Kiedy wśród odnawiającéj się konstytucyi polskiéj kwestya żydowska stanęła przez chwilę na porządku dziennym, znalazła ona odbicie w potomku Michała w Herszu Ezofowiczu; pragnął on, by współplemiennicy wyzuli się z separatyzmu, by wyszli z grubéj ciemnoty, w jakiéj byli pogrążeni.

Hersz nie jest na nieszczęście już historyczną figurą, jak jego prapradziad, ale za to jest nią poseł Butrymowicz, któremu Hersz czytał wydobyty przez siebie z ukrycia testament Michała.

Jest jednak rzeczą bardzo prawdopodobną, że skoro kwestya żydowska zajmowała wówczas czoło inteligencyi kraju, i w łonie Izraelitów musiała ona znajdować odbicie.

Reformatorskie dążenia całego stronnictwa, do którego należał Butrymowicz, upadły wraz ze smutną zmianą okoliczności, które je wywołały. Ród Ezofowiczów skłonił głowę przed potęgą Todrosów, a Hersz zgorżkniały i zniechęcony prześladowaniami, umilkł i schował napowrót pomiędzy księgi prapradziada jego testament.

Z tego rodu Ezofowiczów o reformatorskich dążeniach, pochodzi bohatér powieści p. Orzeszkowéj Meir, marzyciel, a nadewszystko gorący miłośnik sprawiedliwości i prawdy, który, idąc za tradycyami rodzinnemi, staje odważnie do walki z rabinem Todrosem i z całą sfanatyzowaną przez niego tłuszczą.

Zrazu można było sądzić, że na wieki dążenia te pogrzebione zostały, gdy oto w najmłodszym z prawnuków Hersza, Meirze, odzywa się duch pradziadów, spotęgowany prądami dzisiejszego wieku, które acz tłumione chińskim murem przesądów, przeciskają się przecież i do zapadłego Szybowa.

Przynosi je tam i kantor Eliezer, syn Kamionkera, który dla pięknego głosu, wysłany został na naukę śpiewu do większego miasta, i Witebski, bogaty kupiec, który częściéj się wychylał na świat szeroki, a nadewszystko przynosiły je echa dalekiego świata, który szedł naprzód pośpiesznym torem XIX stulecia. Ale inni słyszeli je i milczeli zgnębieni trwogą fanatyzmu współbraci, a nieraz własnego sumienia; uważali, że chociaż dzieją się pomiędzy Izraelitami rzeczy złe, chociaż ciąży na nich przemoc kahału i pogłębia ich w ciemnościach, przecież

trudno narażać się na niechęć ogólną i ściągać na siebie prześladowanie, jedynie przez miłość ludzkości. Tak myśli Eliezer i Witebski i Saul wreszcie, dziad Meira: tylko on jeden tak myśléć nie może, odzywa się w nim to samo silne poczucie, które biło w piersi Michała seniora i Hersza jego pradziada, pragnienie prawdy i swobody myśli.

Ten ferment buntu tkwi w nim oddawna i popycha do śmiałych czynów, do ujęcia się za każdą krzywdą, jak np., za biedném dzieckiem nędzarza, chorowitym Leibelem, nad którym znęcał się gwałtowny mełamed. Fanatyzm zawsze niemal wyradza okrucieństwo, jestto fakt psychicznie łatwy do wytłómaczenia; bo naprzód fanatyzm odrywa od jasnego poczucia stosunków życiowych, przenosząc całą wagę istnienia w inne światy; powtóre: owocem jego koniecznym jest poświęcenie ciała dla zbawienia duszy: jeśli ciało to cierpi, mniejsza o to, byle dusza pozostała czystą. Jeśli więc mełamed i Todros są okrutni, okrucieństwo to wypływa z ich pojęć, z ich wiary. Tacy ludzie mogą być szkodliwi, ostatecznie jednak potępić ich niepodobna, dopóki pobudki ich są czyste. Wkrótce jednak z reformatorskiemi dążeniami Meira łączą się osobiste podniety; Meir kocha wnuczkę biédnego Karaity, Gołdę, prześladowaną wraz z dziadkiem przez prawowierną ludność Szybowa, a nadto przekonywa się, że wielu z tych, co najgorliwszymi są w téj prawowierności, używają jéj tylko, jako płaszcza do pokrycia swoich niegodziwych czynów. Dostojnik kahalny Kamionker, który najdrobiazgowiéj strzegł przepisów i zabobonów, najostrzéj obchodził szabas i najgłośniéj się modlił, zamierza podpalić gorzelnią obywatela, z któréj potajemnie wykradł okowitę, ażeby uniknąć opłaty rządowéj.

Nieszczęsny przypadek wplątał Meira w tę sprawę, gdyż wysłuchał tajemnéj narady wspólników kradzieży; ale czy może on oskarżyć współbraci swoich? czy może ich wydać w ręce sprawiedliwości, kiedy pomiędzy tymi wspólnikami znajduje się i własny stryj jego? Usiłuje on wprawdzie półsłówkami ostrzedz obywatela zagrożonego, ale on tych półsłówek nie rozumié, Meira nie zna i skłonny jest wierzyć, że ten młody Izraelita o bladéj twarzy, namiętnie błyszczących oczach i biblijnych zwrotach mowy, ma rozum pomieszany, jak mu to Kamionker przerażony wmówić usiłuje.

Fala oburzenia, wywołana zemstą Kamionkera, wzbiera przeciw Meirowi w stronnictwie Todrosa, a on niebaczny podburza ją jeszcze.

Za pomocą stuletniéj babki swojéj, Freidy, a żony Hersza, która niegdyś została przez niego przypuszczoną do tajemnic rodzinnych, Meir odnajduje testament seniora i odczytuje go głośno zebranemu ludowi.

Wówczas Todros występuje jawnie, żąda od Meira by oddał na spalenie to pismo, według niego zbrodnicze, które powstaje wprost na wszystkie przesądy, domaga się światła, zachęca do obywatelskich uczuć względem narodu, w łonie którego żyli Izraelici, a gdy on tego uczynić nie chce, usiłuje wydrzéć mu je gwałtem.

Todros rzuca w synagodze uroczystą klątwę na Meira, ale wówczas wobec tego jawnego czynu występują wszystkie nieśmiałe protesty, tlące we wszystkich młodszych, odważniejszych, szlachetniejszych piersiach i wybuchają błogosławieństwem dla przeklętego.

Tak więc śmiałe myśli jego nie przechodzą bez oddźwięku, a jeśli nie przy nim zostaje ostateczne zwycięztwo, przynajmniéj słabnie doniosłość tryumfu jego nieprzyjaciół. Ludzie, którzy dzisiaj zaledwie zdobywają się na słaby protest, może kiedyś wystąpią czynnie przeciw złemu, jakkolwiek dziś niémają jeszcze na to odwagi.

Meir potajemnie wśród nocy przychodzi pożegnać dom rodzinny i starą prababkę, któréj nigdy więcéj niéma zobaczyć, potém idzie jeszcze za miasto do samotnéj chaty Karaity, zaczerpnąć siły i odwagi w oczach ukochanéj i wziąć na pielgrzymkę życia testament seniora, który w chwili niebezpieczeństwa dał do przechowania wiernéj Gołdzie.

Wierną ona była mu rzeczywiście, wierną aż do śmierci, bo za niego poniosła męczeństwo. Tłum fanatyków wiedział, gdzie mógł ukryć ten skarb praojca i domagał go się od Gołdy; ale ona przeczuwając co się stanie, oddała go w ręce owego małego Leibela, którego Meir obronił niegdyś od przemocy mełameda, a który przywiązał się do niego namiętną miłością dziecka. Kazała mu schować się w krzaki i tam czatować na Meira, bo wiedziała dobrze, że on tutaj powróci, a sama oddała głowę za tego, któremu przysięgła miłość i wiarę. Meir nie może nawet zapłakać nad ciałem ukochanéj, zamordowanéj przez fanatyczną tłuszczę, bo ta, ażeby zatrzéć ślady mordu, rzuciła ciało Gołdy i ciało starego dziadka w moczary, rozciągające się pod miasteczkiem i nie było nikogo, coby ich obronił, lub upomniał się o to u sprawiedliwości ludzkiéj.

Meir idzie w świat z niezagojoną raną w piersi, idzie szukać światła swobody i bratnich duchów. Niestety! jeśli wierzył, iż spotka się z nimi łatwo poza obrębem Szybowa, to z pewnością czeka go na szerokim świecie rozczarowanie ciężkie. Należy on bowiem do tych wybranych, którzy szczęście bliźnich stawiają sobie za cel bytu, co ukochali idee więcéj, niż fakta i nie zaspokoją nigdy serdecznego głodu własném powodzeniem. Tacy ludzie zawsze i wszędzie będą samotni, zawsze i wszędzie potykać się będą o obojętność, złą wolę i szyderstwo, do jakiegobądź należeliby wyznania, narodu i stronnictwa.

Dramat jaki pani Orzeszkowa rozsnuła na tle obyczajów gminu izraelskiego, jest wszechludzkim dramatem i to właśnie stanowi jedną więcéj zaletę utworu, który opisując wiernie postronne okoliczności życia, nie zatraca pojęcia niezmiennych jego pierwiastków i tym sposobem staje na najwyższém stanowisku sztuki.

Meir i jego otoczenie zajmuje silnie, bo daje nam dokładny obraz obyczajów tak blizkich nam a tak zupełnie nieznanych. Zajmuje nas ten patryarchalny dom Ezofowiczów: owa prababka, przedmiot czci całego pokolenia, tak plastycznie przedstawiona wśród półsennéj zadumy stuletniego wieku, w starożytnym stroju lśniącym od brylantów i pereł,

gdy zajmuje pierwsze miejsce przy sabatnim stole, lub patrzy zamierzchłém okiem na wnuki i prawnuki swoje a wśród nich wyróżnia tylko Meira podobnego jak dwie krople wody do jéj ukochanego małżonka. Zajmuje nas ten stary Karaita, znoszący tak pogodnie nędzę, poniewierkę i prześladowanie, cały zatopiony w mistycznych kontemplacyach, a nadewszystko zajmuje ta cicha sielanka pomiędzy Meirem a Gołdą, zakończona tak tragicznie pokątnym mordem. W sielance téj drgają namiętne tony pieśni nad pieśniami, połączone z powagą serc zbolałych, wierzących głęboko.

Być może, iż autorka rzuciła na nie trochę idealnego światła, być może iż ta para cudnéj czystości i zapału, zbyt jest doskonałą i jako taka budzi pewną niewiarę. Tutajto podobno leży główny zarzut, jaki można uczynić téj ślicznéj powieści. Tak Meir jak Gołda, nie mają w sobie żadnéj przymieszki niższych pierwiastków; w ukochaniu swojém autorka otoczyła ich poetycznym nimbusem doskonałości, który więcéj szkodzi niż pomaga wrażeniu, bo obok realnych postaci jak rodzina Witebskich, Kamionker i inni, postacie te zdają się należéć do innego świata, a co gorzéj i do wymarzonego świata. Niéma w nich téj mieszaniny cnót i wad, tych właściwości stanowiących właśnie indywidualność bohatérów, a którą pani Orzeszkowa zwykle tak wyraziście stawiać umié. To samo świadczy o ich odrębnéj genezie. Widocznie, kiedy inne typy brane były z życia, te dwa poczęły się jedynie z wyobraźni: brak im ciała, krwi i nerwów. I dlatego w języku powieściowym mogą one nosić tę nieokreśloną nazwę *on* i *ona*. Reformatorskie dążenia nie stanowią jeszcze indywidualności, a prócz nich Meir innéj nie posiada, a Gołda mniéj jeszcze określoną jest od niego. Wada ta, która byłaby uderzająca w każdéj powieści rozgrywającéj się pomiędzy powszedniejszemi figurami, wśród zwyczajniejszego otoczenia, tutaj uderza mniéj daleko, z powodu biblijnych cytat, odrębnéj mowy i nadewszystko niezwyczajnego tła powieści. Dekoracye i kostiumy są tutaj tak złudne, że mogły w błąd samą autorkę wprowadzić co do realnéj wartości tych dwu głównych postaci.

Brak realizmu bohatérów powieści tłómaczy doskonale wrażenie ogólne, wywołane niepospolitém dziełem. Znajdowano *Meira Ezofowicza* pięknym bardzo i ciekawym, podziwiano erudycyą i znajomość tajemnic i obrządków religijnych żydowskich (bo nawet lekkie zarzuty czynione w téj mierze przez specyalistów, świadczyły jak znajomość ta była głęboką), ale powieść nie obudziła entuzyazmu, jakiego można było oczekiwać.

To obojętne przyjęcie przypisać należy właśnie temu, że bohatér i bohatérka nie mogli wstrząsnąć ani porwać czytelników, jakby to uczynili realni ludzie. Cały węzeł dramatyczny powieści stanowi antagonizm Meira z otaczającém go społeczeństwem; antagonizm ten postawiony jest jednak już od pierwszego rozdziału w ten sposób, że ani na chwilę nie można miéć wątpliwości co do ostatecznego wyniku głuchéj walki stronnictw żydowskich. Nie czynię z tego bynajmniéj zarzu-

tu autorce, gdyż powieść dzisiejsza czysto psychologiczna odrzuca coraz bardziéj zawikłane wypadki, jako zużyte podpory, któremi posiłkowała się dopóty, dopóki nie stanęła na samoistnym gruncie. Tylko tam, gdzie niema intrygi, muszą być konieczne realne charaktery, bo wówczas tylko psychologiczne studya są możebne, a skoro zbraknie jéj tego punktu, powieść musi stać się nużącą i jednotonną, jak to często ma miejsce w *Meirze*. Nie zaciekawiają czytelnika wypadki, bo te są z góry łatwe do przewidzenia--konieczne; nie zaciekawia téż charakter bohatéra, bo niéma on innego prócz doskonałości.

A przytém sam język Meira jest nużący. Ponieważ wszystkie niemal postacie powieściowe mówią biblijnym stylem i przeplatają ciągle najpotoczniejsze rozmowy ustępami z ksiąg świętych, czytelnik doznaje takiego wrażenia, jak gdyby ciągle przemawiała jedna i ta sama osoba.

Być może, iż Izraelici na pewnym nizkim stopniu oświaty nie umieją inaczéj myśli swoich wyrażać jak za pomocą ustępów Pisma, którego się od dzieciństwa uczą napamięć i które stanowi cały ich umysłowy zasób; gra tu także rolę obrazowość wschodnia, nieraz widoczna w sposobie mówienia żydów, dobrze przez autorkę uchwycona w ogólnym charakterze. Stosownie jednak do osoby przemawiającéj i do jéj usposobienia, muszą tu być różnice odznaczające człowieka od człowieka.

W powieści różnic tych nie widzimy wcale: Todros, Meir, dziad jego Saul, stryj Rafał, stary Karaita, Gołda, wszyscy oni mówią jednym językiem, jednako cytują księgi święte, jednakich używają przenośni i obrazów, i tylko naginają je do swoich celów.

Tym sposobem cała książka trzymana w tonie odrębnym, wspaniałym, ale jednotonnym, przy dłuższém czytaniu staje się męczącą. Jestto coś nakształt poematu pisanego prozą; utwór wychodzący zupełnie poza powszednie powieściowe ramy, utwór pomyślany głęboko bardzo, wykonany przepysznie, napisany w podniosłym stylu, ale który właśnie z tych wszystkich powodów trudno sądzić wedle zwykłych praw rządzących powieścią.

Jeśli jednak weźmiemy w rachunek wszystkie trudności, jakie pani Orzeszkowa miała w nim do pokonania i pokonała szczęśliwie, zrozumiemy, iż pomimo nawet lekkich niedoskonałości, *Meir Ezofowicz* jest dziełem ogromnego talentu, szalonéj pracy, owocem gorącéj miłości dla społeczeństwa i wszystkich jego składowych części. Uzbrojona temi trzema czynnikami autorka, nie wahała się dotykać śmiałém piórem tych dziewiczych niejako warstw ludności, dotąd prawie nietkniętych twórczą myślą. Wady *Meira Ezofowicza* wypływają właśnie z tych trudności, wady te są nieuniknione ile razy opisuje się społeczeństwo i stosunki znane połowicznie tylko z opowiadań i wyobraźni. Bo ta chociażby najbujniejsza, obserwacyi zastąpić nie jest w stanie. Obserwacya tylko i natura wlać może życie w postacie powieściowe, a im więcéj są one abstrakcyjne, tém więcéj realistycznemi rysami malować je trzeba, ażeby łatwiéj zrozumiałemi się stały. Rysów tych właśnie

zbrakło autorce, gdyż nie należąc do Izraelitów, nie mogła ich podpatrzéć we wszystkich stosunkach. Uczyniła niezmiernie wiele i właśnie widząc, jak wiele, żądamy niemal niepodobieństwa; chcielibyśmy téj plastyki zcharakteryzowania postaci każdéj, która przechodziła tutaj jéj możność. Żądania bowiem wzrastają w miarę siły i zdolności powieściopisarza, a najlepszym tego dowodem są właśnie wymagania stawiane pani Orzeszkowéj i czynione jéj zarzuty.

Jakże realnemi jednak i wiernie z natury malowanemi wydadzą się postacie *Meira Ezofowicza*, jeśli je porównamy do postaci znajdujących się w utworze Bałuckiego: *Za winy niepopełnione*. I tutaj bohatérką jest izraelska dziewczyna, Amelia i tutaj wchodzi jéj ojciec i narzeczony; ale autor nie troskał się bynajmniéj o oddanie typowych charakterów rasy, tak samo jak nie troskał się ani o prawdę charakterów indywidualnych, ani o psychiczne studya.

Wielkoświatowa zalotna dziewczyna Julia, w przeciwieństwie do skromnéj, cichéj, poświęconéj Amelii; Jan Leszczyc inżynier, z gatunku szlachetnych inżynierów, których użycie i nadużycie w powieści zarzucała niejednokrotnie krytyka współczesna; Leon kryjący kochające serce pod wiekuistą ironią kaleki, salonowiec nie cofający się przed nikczemnością dla dojścia do swoich celów (Adolf) nieostrożny kasyer, który dobrą wiarę swoją i ufność w ludzi, odpokutować musiał w karném więzieniu (stary Leszczyc) rozbójnik, będący zarazem najczulszym ojcem (Grünwald) i wspólnik jego Nuchem: oto urozmaicony bardzo personel powieściowy, który wikła się w najrozmaitsze kombinacye dowolne i fantazyjne, i tworzy jednę z tych książek czytanych łatwo, bez wszelkiego zajęcia i niestety równie łatwo... zapomnianych.

Zbyt dużo wymagałoby pracy, gdybyśmy chcieli rozsnuwać nić intrygi pracowicie zadzierzganą w ten sposób jednak, że ciągle potrzebną jest autorska ręka, aby nadać ruch i życie figurom poruszającym się na powieściowéj widowni.

Adolf i Leon kochają się w Julii, Julia kocha się w Janie, Jan kocha się w Amelii, Amelia wprawdzie kocha się także w Janie, ale żeby tym sposobem nie zakończył się ten łańcuch serc wzajem o siebie zahaczonych, w Amelii kocha się także potworny moralnie i fizycznie Nuchem.

Różnica wiary i pochodzenia nie stanowi wcale przeszkody pomiędzy młodą kochającą się parą; rodzice Jana uważają Amelią za córkę, ojciec Amelii także nie sprzeciwia się stosunkom i zamierzonym związkom z chrześciańską rodziną: słowem, różnica plemienna i różnica wiary najzupełniéj jest pominiętą i Amelia dlatego tylko zapewne jest żydówką, ażeby naturalniejszą była sprawa perłowego naszyjnika, który dostała w darze od ojca, a który to naszyjnik skradziony był matce Julii. Naszyjnik ten staje się powodem zguby Grünwalda: córka jego bowiem pokazuje go Janowi, a Jan poznaje w nim jeden z klejnotów skradzionych rodzicom Julii. Amelia przecież ani na chwilę nie posądza ojca o zbrodnią, a dowiedziawszy się o pochodzeniu kosztow-

ności, z największym pośpiechem oddaje ją Janowi, prosząc by złożył ją gdzie należy, i ażeby idąc za tym śladem, odnaleziono resztę skradzionych rzeczy. Jakoż odnajdują się one rzeczywiście, ale skryte w piwnicy domu, gdzie mieszkała córka Grünwalda i gdzie on przebywał pokryjomu najczęściéj, ile razy do miasteczka przyjeżdżał.

Pomimo gotowości jednak, z jaką Amelia oddała skradziony naszyjnik i tym sposobem naprowadziła na wykrycie złodziejstwa, zostaje ona uwięzioną, hańba ojca spada i na nią, pokutuje za winę nie popełnioną.

Jan przeniewierza się regule postępowania prawowiernych kochanków i jakkolwiek niewinność ukochanéj nigdy przez niego podejrzywaną być nie mogła, opuszcza córkę kryminalisty i co dziwniejsza, jedzie do wód, gdzie bawiła Julia i staje znowu w rzędzie jéj wielbicieli.

Julia uszczęśliwiona, naznacza już dzień ślubu, kiedy Adolf, powodowany zazdrością i nienawiścią do szczęśliwego rywala, zaczyna śledzić jego przeszłość i odkrywa, że ojciec Jana, kiedy ten jeszcze był w kolebce, kryminalnie za nadużycie zaufania został karany. Następują zwykle w podobnych razach szablonowe sceny. Na balu Julia odwraca się od Jana, jak gdyby go wcale nie znała. Adolf rzuca mu w oczy hańbę ojcowską. Jan, który wychował się w czci i miłości dla ojca, odpowiada mu wyzwaniem, ale Adolf z synem kryminalisty bić się nie chce. Wówczas w miejsce Jana staje Leon. Temu Adolf pojedynku odmówić nie może; szlachetny przyjaciel ginie tu znowu za winę niepopełnioną, tak samo, jak Jan i Amelia za takową odpowiadają.

Naturalnie, nad upadłymi pastwią się nieprzyjaciele: ojciec Jana traci maleńką posadę, jaką od lat wielu w miasteczku zajmował, a Jan, złamany nieszczęściem, zapada w gwałtowną chorobę i umiera na ręku zrozpaczonych rodziców i Amelii, powtarzając, że na ziemi odegrał cztery akty tragi-komedyi życiowéj, w któréj podstęp zajmuje miejsce należne uczciwości i zasłudze, ale że po śmierci nastąpi akt piąty.

Słowa te mają zapewne, jak w bajkach dziecinnych, służyć za sens moralny powieści, bo z chaotycznéj mieszaniny rozmaitych zdarzeń, żadnego innego wysnuć niepodobna. Szablonowa powieść, jakkolwiek pełna zdarzeń, bo oprócz wyżéj przytoczonych, wiele innych epizodycznych pozostawiłam na uboczu, nie może wywołać żadnego wrażenia. Niéma tu bowiem charakterów ani umotywowanéj akcyi, osoby działające postępują fantastycznie, a przynajmniéj czytelnikowi postępowanie to fantastyczném zdawać się może, z powodu nie wytłómaczenia przyczyn, bo brak silnie postawionych indywidualności, zdaje akcyą jedynie na wolę autora.

Jeśli jednak, odrzuciwszy psychologiczne wymagania, będące właściwym celem dzisiejszéj powieści, sądzić ją zechcemy tylko ze strony inwencyjnéj, to znowu musimy przyznać, że wyobraźnia p. Bałuckiego, jakkolwiek wymyśliła zawikłaną intrygę, nie wysiliła się ani pod wzglę-

dem nowości tematu, ani też wyzyskania tegoż tematu. Nie jest on rzeczywiście świeżym, przecież na tych danych możnaby zbudować powieść daleko więcéj zajmującą, gdyby każda okoliczność wyradzała właściwe sobie następstwa. W takim jednak razie konwencyonalne figury musiałyby przedewszystkiem nabrać życia, a wówczas i obserwacya, zamiast ograniczać się na pozorach, musiałaby także zapuścić się głębiéj, czyli powieść cała byłaby przekształcona.

Pan Bałucki nie chciał czy nie mógł tego uczynić. *Za winy niepopełnione* jestto nadzwyczaj powierzchowny obrazek, nieodzwierciadlający ani rzeczywistych stosunków, ani rzeczywistych ludzi, a poziom jego, pomimo niejednokrotnie powtarzanych frazesów o niesprawiedliwości ludzkiéj, o tém, jak powodzenie zyskuje ogólny poklask, jak często majątek bywa źle nabyty, a nikt nie pyta o jego pochodzenie; jak uczciwy za winnego pokutować musi—nie przechodzi bardzo średniéj miary. Dowcipy są bardzo wątpliwéj wartości, tak zużyte figury, jak pani burmistrzowa, jéj córka i siostra, lub nibyto arystokratyczna dewotka, hrabianka Zenobia, czynią ujmę autorowi, który nie waha się wprowadzić do swojéj powieści podobnie wyzyskanych i spospolitowanych typów. Powinnibyśmy już raz być uwolnieni od takich starych hrabianek, miłujących pieski stokroć więcéj niż bliźnich i obgadujących ludzi pod płaszczykiem pobożności, a to tém bardziéj, że jak tutaj postronna ta osobistość bynajmniéj na bieg akcyi nie wpływa i że nawet w tym utartym i spłowiałym typie są rysy rażącéj niewłaściwości. I tak np. taka hrabianka Zenobia nie chodziłaby sama do apteki po lekarstwo dla pieska i nie rozmawiałaby poufale z aptekarzem, szczególniéj o jego religijnych opiniach i niewierze, gdyż w jéj oczach taki aptekarz, a do tego z wyobrażeniami takiemi, jakie on posiada, nie istnieje wcale.

Oprócz tego powieść ta zawiera pełno błędów językowych i to jak najbardziéj rażących, tak rażących, że obowiązkiem jest je wytknąć. Nie chodzi tu wcale o sporne lub wątpliwe przypadki gramatyczne, ale o błędy, które świadczą o dziwnéj nie do darowania niedbałości autora, gdyż wié on bezwątpienia, iż nie mówi się: „Z nikim mi się tak dobrze nie walcuje," jak to czyni panna Julia na str. 249, ani „wyjechać przed kogo o parę stacyi," jak to widzimy na téjże stronie," ani „iść do panien kontrolerównych," jak to jest kilka razy powtórzone, ani wreszcie: „zkąd pan przyszedłeś na to odkrycie."

Podobnie wadliwe wyrażenia w każdym ipnym kraju, surowo i jednomyślnie wytknęłaby krytyka: my nie powinniśmy być więcéj pobłażający, gdy nasza piękna, bogata i wyrazista i wytworna mowa, tak strasznie jest kaleczoną przez tych właśnie, którzy ją rozwijać i pielęgnować mają. Czyż potrzeba powtarzać, że język to skarb nasz, to najdroższe dziedzictwo, w którém więcéj stokroć jeszcze, niż w pieśni gminnéj, według wyrażenia poety, wcielają się myśli i uczucia narodu.

Język i styl nie stanowi bezwarunkowéj wartości książki, przecież w skażonym języku nie może wyjść arcydzieło. Styl, to człowiek, mówi znane francuzkie przysłowie, a jakkolwiek zaprzeczano temu nieraz i protestowano przeciw bezwzględności tego twierdzenia, to jednak jest pewnikiem, że temperament i charakter objawia się w wielu drobnych z pozoru faktach, które jednak dla badacza służyć mogą za ważne wskazówki, a styl jest niezawodnie jednym z najbardziéj znaczących. Kiedy autor wié dokładnie czego chce, do czego dąży, kiedy nadto przekonania jego są zupełne, kiedy myśl nie cofa się przed żadnym wynikiem, pióro przed żadném słowem i obrazem, i styl téż kształtuje się odpowiednio, musi być jasnym, jędrnym, dobitnym. Nie może miéć wahań i omówień, które nie postały w twórczym umyśle.

Podobne myśli nasuwają trzy powiastki, związane jednym tytułem: *O życie*, i dramata, a raczéj obrazki dramatyczne pana Okońskiego. Styl tutaj staje za wizerunek autora: co tam ognia, siły i nadewszystko jak echa namiętnéj duszy drgają wszędzie, nawet w tych plastycznych nowelach, wziętych żywcem z życia realnego.

*O życie*, szczupła ta co do liczby kartek książka, bogata jest treścią i jak każde niepospolite dzieło, potrącać musi fale myśli na całym intelektualnym obszarze, na którym się rozpościera. *O życie*, te trzy obrazki przedstawiają walkę o byt, toczącą się u spodu społecznéj drabiny i jak to zwykle bywa pomiędzy ludźmi o pierwotnych instynktach i namiętnościach, walka ta występuje brutalnie i nieubłaganie.

W pierwszym obrazku bohatérem jest strażnik graniczny, Damian Capeńko małorus, który pokochał się w wiejskiéj kokietce, Hortensyi Motylińskiéj, córce ekonoma w nadgranicznéj lubelskiéj wiosce, gdzie pełnił swoję służbę wiernie i uczciwie; postanawia on ożenić się i osiąść tu nazawsze. Daremnie przedstawiają mu życzliwi, że Hortensya to wietrznica, że każdego wabi. Damian dobrym radom nie wierzy. Daremnie matka, owdowiawszy, gorącemi słowy tęsknoty wzywa go z powrotem, bo właśnie kończyła mu się służba: on matce odpisał, by przyjechała tutaj osiedlić się z nim i z przyszłą żoną. Capeńko, jako strażnik, ścigał kontrabandzistów, nadewszystko zaś ścigał niejakiego Tabora, przechrztę, który, zręczniejszy od innych, kierował kontrabandzistami, a sam pochwycić się nigdy nie dał; ścigał go raz dlatego, że to było obowiązkiem, ale więcéj jeszcze podobno z powodu, że ten sam Tabor umizgał się także do tłustéj Hortensyi Motylińskiéj. Życie strażnika, to walka ciągła, a często nie obejdzie się bez krwi rozlewu. Zdarzyło się raz, że wśród utarczki ludzie Capeńki zabili syna sławnego przemytnika Postułki, który za to poprzysiągł zemstę.

Dopóki spodziewano się, że Capeńko, wysłużywszy lata wojskowe, powróci do swojego kraju, zemsty te i nienawiści drzemały; wybuchnęły wówczas dopiéro, gdy się dowiedziano, że kupuje grunt, naprawia na nim chałupę i zamierza ożenić się z ekonomówną. Tabor wmawia w Postułkę, że to Damian zabił mu syna i kiedy ten, zrzuciwszy mundur, jako szczęśliwy narzeczony panny Hortensyi, sadzi spo-

kojnie drzewka w kupionym nad samą granicą ogrodzie i oczekuje przybycia matki: pada strzał i biedny Damian nie doczekał nigdy wesela, a matka jego, dojeżdżając do miasteczka, spotkała zwłoki syna wiezione na cmentarz.

Równie prostą jest treść Chawy Rubin. Biédna żydówka, obarczona czworgiem dzieci i mężem niedołęgą, utrzymuje ich przemysłem i pracą swoją. Autor nie waha się wtajemniczyć nas w najdrobniejsze szczegóły życia i gospodarstwa téj heroicznéj matki, która wprawdzie o heroizmie nie miała najmniejszego pojęcia, ale z dwudziestu złotemi obrotowego kapitału, potrafiła zarobić dwadzieścia do dwudziestu pięciu groszy dziennie i z téj biednéj sumki utrzymać całą swoję rodzinę.

Trzeba czytać opis pracowitego dnia Chawy i jéj trosk palących w téj gonitwie za groszem, w któréj, gdyby zatrzymała się chwilę, spoczęła choćby chwilę, dzieci jéj umarłyby z głodu. Trzeba zrozumiéć życie téj najnędzniejszéj klasy ludzi, żeby pojąć, ile odwagi, cierpliwości, filozofii i znajomości ludzi posiadać musi biédna handlarka, ażeby wyzyskać potrzeby, trafić w słabe strony kundmanów i nie upaść pod brzemieniem codziennego ciężaru. Chawa miała umysł bystry, odwagę wielką i wielką miłość dla téj gromadki piskląt, która żyła jedynie jéj przemysłem.

Chawa mieszkała w Kazimierzu nad Wisłą i handlowała wszystkiém, co jéj pod oczy popadło: nabiałem, jajkami, rybą, owocem; była sprytna, żywa, pracowita, znali ją wszyscy w mieście i w okolicy.

W Kazimierzu była także poczta, a na poczcie pan poczmistrz miał urwisa pocztyliona Franka, który, kiedy tylko miał w ręku list z pieniędzmi, umiał takowe zręcznie z koperty wyciągać i dopuszczał się różnych nadużyć.

Poczmistrz posyłał go często do dworów okolicznych, kiedy nadchodziły pilne listy, a Franek chwalił się, że w jednym z nich dawano mu nieraz rubla całego za drogę.

Gdyby Franek poprzestawał na tak świetnym zarobku! ale on pił, kradł, łotrzył się tak dalece, że zniecierpliwiony poczmistrz ze służby go wypędził, a ponieważ właśnie w chwili, gdy wymierzył tę doraźną sprawiedliwość, nawinęła mu się na oczy Chawa, mianował ją na jego miejsce roznosicielką listów. Pełniła ona swoje nowe obowiązki najzupełniéj, zresztą, godzące ją z handlem zwinnie i sumiennie czas jakiś, a z téj podwójnéj pracy rezultat był taki, że dzieci jéj zaczęły miéć okrąglejsze twarzyczki, a prócz tego szczęśliwa Chawa uzbierała całe dziesięć rubli, które nosiła zaszyte w woreczku na piersiach. Aż dnia jednego nadszedł list do bogatego dworu, zwykle całym rublem opłacany, a nieszczęście chciało, że Franek dowiedział się o tém; gniewny za utratę miejsca i pijany w dodatku eks-pocztylion, który ciągle narzekał, że żydzi wszystkie zarobki ludziom wydzierają, zaczaił się na drodze i napadł Chawę, żądając, by mu list oddała, a gdy tego uczynić nie chciała, rzucił się na nią i kilku uderzeniami

powalił ją na ziemię. Czy chciał ją zabić? nie wiadomo, ale to pewna, że dziesięć krwawo uzbieranych rubli znalazło się w ręku Franka, a biédna Chawa po dwu dniach umarła, wpośród gromadki głodnych i płaczących dzieci.

Najpiękniejszym jednak z trzech obrazków, jest historya Karla Kruga, który właściwie powinien był nosić nazwę Karola Kruga, gdyż był polskiego pochodzenia. Pochodzenie to jednak Karl czy Karol, przypomniał sobie dopiéro wówczas, gdy za robotą przyjechał do Warszawy, ożenił się bowiem z Niemką, mówił po niemiecku i należał do warstwy, wśród któréj idea narodowości nie zbudziła się wcale.

Wprawdzie trudno jest zajmować się ideami, gdy potrzeba chleba dla siebie i rodziny nie zostawia chwili spokoju. Karl Krug, tak samo jak Chawa Rubin, miał żonę i gromadkę dzieci, które kochał i dla których pracował całém sercem od świtu do nocy, w lecie zajmując się mularką, a w zimie tkactwem.

Pomimo téj pracy nieustannéj, brakło często powszedniego chleba rodzinie, bo robota była źle płatną z powodu nawału rąk, a co gorzéj: często brakło roboty.

W jednéj z chwil takich, zdarza się faktor z Warszawy, kontraktujący po dobréj cenie mularzy; Krug uszczęśliwiony, jedzie na czele oddziału robotników, oddających się pod jego wodzę, ponieważ mówił łamaną polszczyzną. Jedzie on pełen dobréj woli i ufności dla nieznanych sobie współrodaków. Ale współrodacy źle przyjmują tego przybysza, na czele zastępu Niemców, tego przybysza, który nie zna ich obyczajów, mówi łamanym językiem, a co gorsza, odbiera im pracę i wpływa na obniżenie zarobku. Ostatecznie dziwić się temu niepodobna.

Autor, jakkolwiek śmiesznym, oszukanym przez żonę, przedstawił Kruga, rzucił na niego snop ciepłych, serdecznych promieni, które czynią tę powszednią postać dziwnie sympatyczną; sympatyczną ona jednak może być jedynie przy bliższém poznaniu, a szczególniéj przy poznaniu stron, których piękność zakrytą być musiała dla współtowarzyszy pracy.

Gniewy i niechęci wrzące przeciw obcym przybyszom, skupiają się w mularzu Czapli, który zrazu podrwiwa z nich, daje im podstępne objaśnienia, wszczyna spór z Krugiem i wreszcie wysuwa w czasie południa podporę z pod rusztowania, na którém pracował przybysz. Biédny Krug spada z wysokości drugiego piętra i umiera w drodze do szpitala.

Gdyby na tém zakończyły się trzy nowelle *O życie*, nie możnaby nic przeciw nim powiedzieć, są to bowiem śliczne artystyczne klejnoty, cenne, pomimo że są maleńkie. Z powodu jednak słów, kończących każdą z trzech powiastek, musimy w nich widzieć coś więcéj, niż rzecz artystyczną; słowa te stosowane koleją do Damiana Capeńki, do Chawy Rubin i do Karla Kruga, których trzy tragiczne śmierci opowiedział nam pan Okoński, brzmią niemal identycznie: „Za to, żeś chciał być moim bratem i ze mną pracować, ja ci przebaczam.”

Słowa te zdradzają, że pod powyższemi powieściami kryje się tendencya społeczno narodowa, a autor, nie dowierzając domyślności czytelnika, objaśnia ją w ten ironiczny sposób.

Końcowy wykrzyknik nadaje dogmatyczny ton utworom, które go wcale nie potrzebują i nasuwa koniecznie myśl, iż jeśli te słowa są zbyteczne w powieści, znaczą one w każdym razie zamało wobec ekonomicznéj kwestyi; doraźny zaś ich skutek jest taki, że ci nawet, którzyby uczuli się wzruszeni losem pojedyńczych ludzi, padających ofiarą antagonizmu plemion, narodowości i stosunków, mogą cofnąć się przed dogmatycznym wynikiem, jaki z nich autor wysnuwa. W takim razie wrażenie z powieści osłabi się, jak to najczęściéj bywa, wrażeniem przyczepionego doń społecznego morału. A to tém bardziéj, że kwestye dotknięte w tak pobieżny sposób przez pana Okońskiego, należą do najbardziéj zawiłych i drażliwych, jakie zajmują świat obecny, gdyż zahaczają się o dwa najważniejsze czynniki: chleb i uczucie.

Jako osobniki, taki Damian Capeńko, taki Karl Krug, nie mówiąc już o Chawie Rubin, która, jakkolwiek uległa jednakowemu losowi, jest przedstawicielką kwestyi innego rodzaju, mogą i powinni budzić współczucie, czy jednak napływ ich do kraju nie stanowiłby istotnéj klęski? Pytania tego nie rozstrzygnie kilka powiastek, chociażby napisanych tak znakomitém piórem, jak to, o którego utworach jest mowa. Krótka przedmowa, jaką opatrzone są te trzy powieści, bynajmniéj nie rozjaśnia kwestyi i nawet staje w niejakiéj sprzeczności z patryotyczno-ironicznem ich zakończeniem. Autor występuje w niéj z deterministyczną teoryą, przyjętą przez siebie i wypowiedzianą kilka razy tak dobitnie w innych utworach. A wobec téj teoryi cóż znaczy owe przebaczenie autora, udzielane każdéj po kolei z istot, ginących wśród walki o byt. Każda z nich, według autora, szła za samozachowawczym instynktem i ginęła również z powodu samozachowawczego interesu narodu, z którym stawała do współzawodnictwa. Jeśli zaś los ofiar budzi interes w czytelniku, dzieje się to z dwu powodów: Najprzód pan Okoński w bohatérach swoich przedstawił typy daleko wyższe pod względem wartości moralnéj, niż ludzie, z których ręki giną. Powtóre, wtajemniczył nas w ich uczucia, myśli i zamiary, pokazał nam, prócz czynników wchodzących w grę przy antagonizmie plemiennym, inne ich domowe dodatnie cechy, gdy w napastnikach strony te zostały pominięte. Wreszcie sympatya czytelnika, w podobnéj walce, zdobyta jest zawsze z góry dla ofiar nie dla morderców.

Tym sposobem owe powieści, które, jako dzieła sztuki, są prześliczne i bez zarzutu, tracić muszą wartość, jeśli się je uważa za rzecz tendencyjną. Możnaby bowiem aż nadto łatwo podjąć tenże sam przedmiot z odwrotnéj strony i pokazać los pracowników, wyzyskiwanych nieraz przez niesumiennych pracodawców, zmuszonych walczyć z obcą konkurencyą, obniżającą zarobek pracowników, którzy także obarczeni są rodziną i widzą, że ze zmniejszonym zarobkiem, zmniejsza się dobrobyt całéj rodziny i dochodzi do stopnia nędzy, na jakim praca daje

już tylko możność przedłużenia konania. A wówczas zaręczam, los takiego bohatéra nie będzie mniéj tragicznym, od losu takiego Damiana Capeńki lub Karla Krug. Bo, jakkolwiek pan Okoński czyni tego ostatniego Polakiem, jednakże jego nawyknienia, charakter, więcéj jeszcze niż złamany język spokrewniają go stokroć więcéj z Niemcami, niż z Polakami. Krug posiada iście niemiecką oszczędność, zimną krew i cierpliwość. I tak naprzykład, otrzymawszy gwałtowne uderzenie od Czapli, ani na chwilę nie myśli o odwecie, tylko skrwawiony i niemy powraca do swoich, a nawet poniekąd rad jest z uderzenia, bo spodziewa się, iż ono mu się opłaci. Te więc niemieckie właściwości bohatéra, przekonywają nas, że jeśli sam Karl Krug pamięta jeszcze kilka słów polskich, zato pokolenie jego Augustów i Fryców, pomnoży w przyszłości szlachetne zastępy kulturträgerów, a to, przyznać trzeba, zmniejsza o wiele sympatyą, jaką budzić umie dla bohatérów swoich pan Okoński i przeszkadza jednoczyć się we wspaniałomyślném przebaczaniu, jakie za społeczne krzywdy udziela.

Jeszcze raz powtarzam: te wszystkie kwestye wywołane są tylko ostatniemi słowami autora; gdyby chodziło o same powieści, nie miałyby miejsca. Autorowi wolno wybierać sympatyczniejsze i mniéj sympatyczne tematy, jestto rzecz jego usposobienia. Krytykę obchodzi to tylko, w jaki sposób wywiązał się ze swego zadania. Czy wiernie odmalował to, co przedstawić zamierzył? Czy utrzymał konsekwencye charakterów? Z jakiego poziomu zapatrzył się na sprawy życiowe? Czy wzrok jego, jak orła z góry, obejmuje przestrzenie, czy téż ogranicza się ciasnym horyzontem krótkowidza?

Horyzonty pana Okońskiego są szerokie. Jak Mickiewiczowski *Farys* całe ogromy ludzkości przenika z końca do końca; dlatego téż całe jego dzieło ma tak wielką doniosłość, budzi tak gwałtowne spory i jakikolwiek byłby sąd czytelnika, wstrząsnąć nim musi do głębi. Mniejsze dramata jego, a raczéj sceny dramatyczne, posiadają w najwyższym stopniu tę właściwość; nastrój ich jest męzki, namiętny, autor nie szuka zbyt subtelnych tematów, ale raczéj potrąca o wiekuiste wszechludzkie struny i tylko z wielkiego ich naprężenia otrzymuje dźwięki potężne. A przytém pan Okoński posiada to, co Francuzi nazywają temperamentem dramatycznym: umie przemawiać językiem silnym, jędrnym, wyrazistym; dyalog jego jest wiernem odbiciem ważnych chwil wybuchu lub przełomu natury ludzkiéj, staje się naprzemiany ostrym, szyderczym, dumnym lub wyzywającym, a jeśli większe utwory, jak *Niewinni*, nie odpowiadały w zupełności scenicznym warunkom, było to może więcéj wynikiem zagadnienia filozoficznego, które z trudnością ująć się dało w ramy dramatyczne, niż niedoborów autora.

W ogóle w panu Okońskim rozeznać można dwu ludzi, z których jeden jest wielkim artystą, a drugi namiętnym apostołem pewnych idei; wartość więc dzieła zależy od tego, który z dwu jest głównym twórcą, bo dotąd nigdy nie doszli do takiego zjednoczenia, by szala słowa stała się istotnie plastycznym posągiem dla idei. Te, w których

autor zapomina o tendencyi, przenoszą o wiele dzieła, stworzone na cześć doktryn filozoficznych lub społecznych. I nie dziw: rzeczą dramatu jest przedstawić starcie namiętności i charakterów; czynniki abstrakcyjne o tyle w nim tylko miejsce znaleźć powinny, o ile wpłynęły na ich wyrobienie, o ile wcieliły się w ludzi.

W tomiku, który wydała w obecnym roku Spółka nakładowa, znajdują się trzy dramata, wzięte ze świata starożytnego i trzy z naszego społeczeństwa.

Ze światem starożytnym pan Okoński zna się doskonale i pojmuje go, jak każdy zresztą prawdziwy artysta; jednak zapytujemy, czytając: *Anteę*, *Na targu*, *Helwią*, czy rzeczywiście autor miał na myśli świat starożytny, czy raczéj nie szukał on jedynie ram, w któreby mógł swobodnie pomieścić własne, a zatém czysto dzisiejsze pojęcia? Ostatecznie takiemi podobno są wszystkie dzieła sztuki, przenoszące nas w odległe epoki, które każdy wiek pojmuje po swojemu i odtwarza wedle pewnéj, sobie właściwéj normy.

Krytyka niemiecka, na końcu zeszłego wieku, wyśmiewała się bardzo z konwencyonalnych Greków szkoły klasycznéj francuzkiéj, którzy swoje kochanki tytułowali *pani* i przemawiali do nich frazesami wyjętemi żywcem z ówczesnego modnego żargonu. Ale Brandes czyni bardzo słuszną uwagę, że greckie sztuki Goethego mają także swój konwencyonalizm, tylko że konwencyonalizm ten jest innego rodzaju.

Dramata pana Okońskiego nie roszczą sobie wielkiéj pretensyi do odtwarzania zamarłych czasów i cywilizacyi; dwa pierwsze przedstawiają smutny stosunek niewolnictwa i znikczemnienia ludzi pod jego wpływem po to, ażeby na tém tle jaśniéj odbijały postacie takie, jak Dulos w *Antei*, jak Polos i Melita w dramacie *Na targu*. Tu i tam uciśnieni górują nad uciskającymi całą siłą szlachetnego charakteru, a autor, ażeby ich pomścić, stygmatyzuje podłością tych, których los, jakby na szyderstwo, postawił na szczytach społecznych.

Tym sposobem tłómaczy się powód, dla którego p. Okoński aż w Grecyi szukał tła dla akcyi prostéj zresztą i dramatycznéj, jak każda akcya wywołana gwałtowną zmianą losu: bo Hellada, doszedłszy pod pewnemi względami do najwyższego rozwoju cywilizacyi, pod innemi została pogrążoną jeszcze w barbarzyństwie, a wśród tego kontrastu uwydatniały się tém wyraźniéj światła i cienie każde, nagość moralna była w parze z nagością ciał, a przytém uciskani i uciskający, stali na równym stopniu umysłowego poziomu, niewolnictwo było rzeczą wypadku losu, wojny lub t. p., i to czyniło tém okrutniejszém, tém bardziéj wzruszającém położenie ofiar przemocy.

Położenie to wyrabiało w nich często, jak to słusznie autor uważa we wstępie do *Antei*, jakąś dziką pogardę dla czynników życia powszechnego, dla tego, że wszyscy pożądali; pojęcia te filozofii ówczesnéj streściły się w szkole Cyników, a daléj Stoików rzymskich. Jedna i druga urąga temu, nad czém zapanować nie może i stara się wyrwać niewolnika z gniotących więzów, podnosząc jego duchową stronę do

apotheozy. Wśród klasycznego świata, ubóstwiającego formę—ciało, filozofia podobna zrodzić się mogła jedynie z bezmiernego cierpienia uciśnionych.

Takim wyznawcą Dyogenesowéj szkoły jest Dulos, a jednak, jak co chwila ból łamie tę maskę spokoju, narzuconą nieludzką filozofią; jak usta, które zawzięły się zbywać szyderstwem cierpienia, wydają krzyk bólu pod jego uciskiem! Prawdziwie, jeśli nawet rozmowa Dulosa z drugim niewolnikiem Protoksem, nie jest czysto grecką, zato jest ona ludzką w całém tego słowa znaczeniu, a ten ból tłumiony wolą, który pomimo to wybucha od czasu do czasu krwawém słowem, świadczy wzruszeniem czytelnika o sile uczucia i talentu autora, co je wywołać potrafił.

W *Helwii*, wśród psychicznego procesu, wywołanego w młodém sercu bohaterki tryumfem Cezara, autor powstaje przeciw haniebnéj tyranii tego wyrodnego syna Rzeczypospolitéj. Jeśli w dwu poprzednich dramatach przedstawił stosunek niewolniczy w całéj ohydzie, tutaj znów ucisk, ciążący nad dumnymi patrycyuszami, których Cezar stał się niespodzianie władzcą, staje się powodem jego szlachetnego oburzenia.

Urok zwycięzcy podbija serce Helwii, widzi ona w Cezarze bohatéra i kocha go namiętném rozmarzoném uczuciem, ale ona kocha Cezara swojéj wyobraźni, Cezara równie wielkiego w pokoju jak w wojnie, równie szlachetnego jak mężnego. Taki Cezar nie istnieje nigdzie, chyba w jéj sercu. To téż, skoro dotknęła się wymarzonego bóstwa, poznała swoje złudzenie i gorzkiemi łzami pokuty obmywa swój błąd jednéj chwili.

Temat to wdzięczny, temat namiętny a subtelny, jak uczucia dziewicze, stanowiące nieraz zagadkę dla tych nawet, które ich doznają; w *Helwii* łączy się on i splata z całą gamą uczuć szlachetnych, których rzecznikami są: Kryspina, matka Helwii, Scypio, jéj brat i Licyniusz narzeczony.

Wśród gorącéj atmosfery bezsilnego buntu złorzeczeń i miłości niewyznanéj, rozgrywa się ten śliczny dramacik, nieco bardziéj urozmaicony niż poprzednie, chociaż może siłą i namiętnością nie dorównywa *Antei*, która wśród téj starożytnéj trylogii jest dziełem naczelném.

Trzy inne dramata: *Poddanka*, *Błazen* i *Za maską*, poczerpnięte są z naszéj przeszłości. Ale tutaj nasuwa się pytanie, czy z naszéj tylko? czy tak jak w rzeczach starożytnych, nie wchodzą tu raczéj w grę odwieczne czynniki, poruszające ludźmi i czy zamiast swojskiego tła, jakie dał im autor, nie możnaby podłożyć każdego innego bez szkody myśli głównéj i całéj akcyi?

Tym sposobem nawet usunęłoby się namiętne krytyki, które upatrywały w tych obrazkach, a szczególniéj w dwu pierwszych, potwarz, rzuconą na przeszłość naszą, na dawne stosunki i czyniły z tego powodu krwawe wyrzuty p. Okońskiemu.

Nie będę z tego powodu wszczynała sporu, który tak namiętnie wstrząsał naszém dziennikarstwem. Nie będę wchodzić w to, czy prawa polskie pozwalały lub nie pozwalały na sprawę podobnego rodzaju, jak ta, co służy za oś dramatyczną w *Błaźnie;* wolę postawić się na gruncie wszech ludzkim i zamiast upatrywać, tak w *Błaźnie* jak w *Poddance*, procesu wytoczonego w szczególności przeszłości naszéj, uważać je za proces wytoczony w ogóle dawnemu porządkowi rzeczy, a szczególniéj uciskom, którym on sprzyjał, jak to ma miejsce w dramatach greckich.

Z tego stanowiska zapatrując się na nie, niepodobna im odmówić pierwszorzędnych piękności, pominąwszy pytanie, czy taka mianowicie sprawa, jak w *Błaźnie*, miejsce mieć mogła lub nie, wedle naszego dawnego prawodawstwa; pozostaje fakt możebny zawsze i wszędzie, że możniejszy krzywdzi słabszego, i potrafi dać mu uczuć potęgę namiętności swoich.

Oto myśl główna dramatów p. Okońskiego, tak tych, które przenoszą nas w świat starożytny, jak tych, które rozgrywają się w niedalekiéj przeszłości.

Kobiéta i jéj miłość na tle rozmaitych stosunków, oto nić, łącząca je pomiędzy sobą. *Poddanka* pod pewnym względem odpowiada *Antei*, jak poddaństwo odpowiada niewolnictwu. Słowo nie zmienia rzeczy, a *de facto* jedno i drugie zarówno upadlało człowieka, szczególniéj kobiétę. Kiedy mężczyznie groziła tylko brutalna przemoc, kobiécie oprócz niéj groziła jeszcze hańba. Kazimiera jednak różni się bardzo od Antei: kiedy tamta ma i duszę niewolniczą, Kaźmiera panuje nad okolicznościami dumą i czystością swoją, co czyni położenie stokroć tragiczniejszém. Za Anteę cierpi tylko Dulos, który ją kocha; Kaźmiera cierpi sama za siebie, rozumie całą okropność swego położenia; oprócz niéj cierpi i Tadeusz, szlachcic, jako jéj pan, który przecież obronić jéj nie byłby w stanie, dopóki prawo poddaństwa istniało. Sama ta postać Tadeusza posłużyćby mogła na odparcie zarzutu szkalowania przeszłości, jakie czyniono autorowi; on sam wreszcie w przedmowie tłómaczy się ze swego tematu, mówiąc, że jakkolwiek nadużycia władzcy były rzadkie, zdarzały się jednak.

Nikt bezstronny przeczyć temu nie będzie, a nadto nikt nie zaprzeczy także, iż nieograniczone prawa wynaturzają człowieka i do nadużyć prowadzą koniecznie. Dowodów na to dostarczają zgodnie psychologia i historya. W dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj, jakkolwiek demokratycznym był jéj ustrój państwowy, naturalnie jeśli uważać ją będziemy jedynie za rzeczpospolitą szlachecką, przewaga i buta magnatów wywoływała nieraz kolizye pomiędzy możnowładzcą a bratem szlachcicem, który choć niby na swojéj zagrodzie równym był wojewodzie, przecież nie powinien był brać tego wyrażenia w dosłownem znaczeniu, a jeśli był tak naiwnym, że to czynił, zazwyczaj srogo swoję omyłkę odpokutować musiał. Poezya nasza dostarcza na to dowodów.

Na takim temacie osnuł Malczewski swoję *Maryą*, Słowacki *Bieleckiego*, i *Horsztyńskich*.

Pan Okoński w swoim *Błaźnie* szedł za ich przykładem, obierając za przedmiot dramatu stosunek magnata do prostego szlachcica. Jeśliby więc przemoc wojewody nad Pieleszem objawiła się nie w téj formie, w jakiéj występuje w dramacie, to jeszcze objawić się mogła w tysiącu innych.

Jako utwór artystyczny, *Błazen* siłą wyrażenia i obrazów, potęgą uczucia, o wiele przenosi *Poddankę* i *Za maską*, a nawet starożytne dramata autora. Nadewszystko gryząca ironia słów Marka błazna, ironia, w któréj drga krwawy ból, błyszczą łzy palące, wypowiada się słowami przeszywającemi, jak nóż wyostrzony. „Dobrze nam tak," mówi (gdy pan jego Pielesz, wywłaszczony z majątku i imienia, wybiera się w świat tułaczy), „po co pan Pielesz ożenił się z panną, którą chciał dostać wojewoda? po co skarżył się za gwałty do sądów? Czyż nie wiész, że bogini sprawiedliwości ma zawiązane oczy, więc umizga się tylko do tych, u których dźwięk dukatów usłyszy? Czyż nie mówiłem, że u nas wolność jest po to, ażeby jeden drugiego mógł swobodnie napaść? Cnota, jak każdy klejnot, ma wartość tylko w obiegu, a u nas z niego wycofana... A więc teraz marsz w drogę, dziedzicu publicznych dróg i różnych pór roku."

Niemniéj dobitną jest mowa Ambrożego do swego nieszczęśliwego klienta Pielesza: „Ażeby panu zadość uczynić, potrzebaby zmienić cały ustrój państwa, ludzi, ich przodków, całą wreszcie historyą, która obecny stan wytworzyła. Czy podobna, aby jedno źle dopasowane kółko zdołało zgnieść całą maszynę, zamiast być przez nią zgniecione."

Jak zwykle jednak, u p. Okońskiego niesprawiedliwość i gwałt wikła się z jakąś sercową sprawą i tutaj dramat rozgrywa się pomiędzy mężem a żoną, Pieleszem a piękną Justyną. Jak to widzimy z mowy *Błazna*, o nią to rzeczywiście toczy się sprawa; wojewoda obrażony, że prosty szlachcic ubiegł go o jéj rękę, mści się za pomocą zajazdów i procesów. Czy przynajmniéj szlachcic w nieszczęściu znalazł pociechę w kobiécie, która była jego mimowolną sprawczynią? Niestety, Justyna nie należy do rodzaju szlachetnych kobiét, jak Kazimiera; odbiera pod tym względem złudzenie mężowi, chociaż ten pragnie długo je zachować całą siłą rozkochanego człowieka. Przychodzi wreszcie godzina, w któréj trzeba jasno widzieć swoje położenie. Ambroży zapowiada swemu klientowi, że losy jego się ważą w téj chwili, ale ważą się tylko pozornie, a on Ambroży wié z góry, że klient ten pobitym będzie. Wówczas Pielesz ma stanowczą rozmowę z żoną. Nie mówi on jéj zdania prawnika, przeciwnie cieszy nadzieją pomyślnego wyroku, zapytuje jednak coby zrobiła, gdyby sprawa inaczéj wypadła.

Justyna, jak druga Antea, przechyla się na stronę kuszących bogactw, słodkich rozkoszy: ona z nędzą nie może, nie chce miéć nic wspólnego. Mąż nie odpowiada jéj nic—ta kobiéta osądziła się sama. A gdy po ostatecznem wygraniu sprawy, wojewoda żąda wydania

*Błazna*, nad którym się chce pomścić srogo, Pielesz woli odstąpić mu żony. Niéma on dla niéj żadnego innego słowa skargi lub pogardy, ale w czasie téj sceny ostatecznie ona także przegrała proces w sercu męża i od wszelkich praw do niego odsądzoną została.

Nad całym dramatem unosi się atmosfera gorąca, namiętna, tém namiętniejsza, że wypowiada się mierzoném słowem, skąpém złorzeczeniem, skąpszą jeszcze skargą. Autor umié niejako skoncentrować akcyą i wywołać wrażenie, za pomocą niezmiernie prostych środków, ale w tych prostych środkach znać potężne tchnienie prawdziwego uczucia, które gryzący sarkazm podnosi i uwydatnia.

Sarkazm i uczucie są jednakiéj siły, splatają się w rzadką harmonią kontrastów, a kierowane artystyczném poczuciem i twórczą rozwagą autora, wydają dzieła dziwnéj piękności.

Dramata te nasuwają myśl, że skoncentrowana akcya, zamknięta w szczupłych ramach kilku scen, odpowiada najlepiéj rodzajowi talentu p. Okońskiego. W każdym razie te drobne utwory przenoszą wartością jego dłuższe sceniczne dzieła. Przeszłość jednak nie upoważnia wcale do przesądzania przyszłości, a świeżość i potęga tego wielkiego talentu każą ufać w jego dalszy rozwój.

Dość ubogą literaturę dramatyczną naszą jeśli nie wzbogaciła, to pomnożyła przynajmniéj *Franceska z Rawenny*, tragedya w pięciu aktach, podpisana literami W. H.

Tragedya ta przechodziła rozmaite losy; jak autor uwiadamia w przedmowie, zrazu napisana na konkurs warszawski 1876 r., zwróciła uwagę sędziów niektóremi zaletami; ponieważ jednak końcowe akta (zawsze według sędziów) nie odpowiadały pierwszym, autor zakończenie odmienił, a obecnie dramat wydał w pierwotnéj i późniejszéj formie, tłómacząc się jednak przed czytelnikiem, że nie jest literatem i jako profan, prosi o pobłażanie. Jeśli gdzie jednak, to w podobnych rzeczach okoliczności łagodzące uwzględnionemi być nie mogą, boć według nieśmiertelnego dowcipu Juliusza Janin, tak łatwo jest nienapisać tragedyi, iż nikt na prośbę autora nie jest obowiązany do pobłażliwego sądu. Jedno z dwojga bowiem: albo utwór swój uważa za słaby, albo téż za dobry; w pierwszym wypadku nie powinien go wydawać, w drugim pobłażania nie potrzebuje.

Autor *Franceski* miał trudne zadanie, mierzyć się musiał najprzód z tradycyjnemi podaniami Dantego, który w kilkunastu wierszach potrafił zamknąć wszystkie fazy wiekuiście rozrzewniającéj walki pomiędzy namiętnością, prawem i obowiązkiem; powtóre: z tragedyą *Silvia Pelico* idącego krok za krokiem za dantejską tradycyą tak dobrze, że nawet na scenie odbywa się czytanie téj zdradliwéj książki, która wywołała pierwszy pocałunek dwojga kochanków, tych dwojga na wieki nierozłączonych, nawet wśród piekielnych katuszy.

Tragedya *Silvia Pelico*, klasycznego pokroju, jak wszystkie ówczesne dzieła, odznacza się logiką akcyi, posiada całą prostotę i jasność wielkich namiętności.

Inaczéj zupełnie rzecz się ma w *Francesce* p. W. H., w któréj rozłamana akcya odpowiada rozłamanym uczuciom. Przedewszystkiém niezrozumiałą jest sama bohatérka. *Francesca*, rozporządzająca sama osobą swoją, jest dziwną anomalią w świecie ówczesnym, w którym kobiéta, a zwłaszcza kobiéta młoda i do tego z książęcego domu, była koniecznie podległą władzy ojca, brata, krewnego, ale nigdy nie używała swobody takiéj, jak nam autor przedstawia. Psychicznie jest ona równie niezrozumiałą, jak historycznie; zrazu zarzeka się więzów małżeńskich, potém poślubia Lanciota; sprzeczność ta jednak najłatwiéj jeszcze da się wytłómaczyć, bo podobno nigdy śluby panieńskie niémiały wielkiego znaczenia. Daléj jednak, charakter *Franceski* wikła się coraz więcéj. Odstąpiona przez Lanciota bratu jego Gwidonowi, który będąc potwornie brzydkim i garbatym, kochał się w niéj bez nadziei, zrazu wybucha złorzeczeniem i skargą, aż wreszcie wzruszona szlachetnym postępkiem Gwidona, który gwałtem zatrzymywać jéj w zamku swym nie chce, godzi się ze swoim losem i chce się poświęcić dla jego szczęścia. Późniéj nagabana miłością Lanciota, który zapomina o bracie, kryje się przed nim i ginie z ręki podejrzliwego męża, nie jako ofiara miłości zbrodniczéj, ale prostéj pomyłki.

Wszystkie te fazy mogą się wprawdzie pomieścić w sercu kobiéty, tylko powinny być lepiéj umotywowane, niż to ma miejsce w tragedyi; w *Francesce* wszystkie uczucia wybuchają po kolei bez żadnéj psychicznéj spójni, a przypadkowa śmierć niéma wcale znaczenia, jakie posiada czyn rozmyślny: z przestępnéj czyni ona ofiarę, a w takim razie *Franceska* niesłusznie przez Dantego pomieszczoną była w piekle wraz z kochankiem. Byłby to arcy nieszczęśliwy pomysł prostować *Boską komedyą;* jeśli autor wiernym jéj być nie chciał, niepotrzebnie czerpał z niéj swój temat.

Co więcéj, zmiana ta charakteru bohatérki nie idzie wcale na korzyść samego dramatu. Rozumiémy stokroć lepiéj *Franceskę* Dantego, niż tę kreacyą niewieścią, złożoną ze sprzecznych pierwiastków.

Równie nielogicznym jest Lancioto. Butny to awanturnik, natura bujna, śmiała, pełna fantazyi. Piękny, młody, popsuty miłostkami, nie dba o kobietę: ta lub inna, jest mu to zupełnie obojętną rzeczą. Widząc nieszczęście brata, postanawia zdobyć dla niego Franceskę: sama trudność i oryginalność przedsięwzięcia go nęci. Późniéj znów zapala się do niéj niepokonaną żądzą, jak gdyby dlatego jedynie, by spełnił się krwawy dramat.

Jakże logicznie i prościéj prowadził rzecz swoją Silvio Pelico, a jednolita intryga czyniła stokroć silniejsze wrażenie. Franceska jego wydaną została za szpetnego księcia, chociaż pięknego brata jego pokochała, a podbita potęgą namiętności, przebywa na dworze mężowskim smutna i zamyślona. Pytana o powód smutku, wyjawić go nie może. Wówczas powraca na dwór brata ukochany i oboje niepamiętni na nic, jak dzieci południa, padają sobie w objęcia. Lancioto Silvia Pelico ma

słuszny powód zemsty, przebija jednym mieczem przeniewierczą żonę i występnego brata.

Téj prostoty i jasności darmo szukalibyśmy w utworze pana W. H. Wprawdzie działania ludzkie w życiu często bardzo nacechowane są właśnie tą chwiejnością, którą mu zarzucamy; ale dramat musi koniecznie skupić akcyą i określić motywa, ponieważ odzwierciedla on nie życie całe, ale jedną jego chwilę: jeśli więc ma wywołać wrażenie, może to tylko uczynić za pomocą silnych i wybitnych rysów; inaczéj rozpływa się w mglistość. Hamlet jest jedynym niemal chwiejnym i tragicznym bohatérem, to téż z jakiém mistrzowstwém Szekspir gromadzi pojedyńcze rysy, ażeby uwadatnić tę chwiejność: wszystko bez wyjątku skierowane jest do tego celu i akcya sama na téj chwiejności się zasadza.

Pan W. H. jest widocznie wielkim wielbicielem Szekspira; reminiscencye jego widzimy w wielu scenach, scenach pojedyńczo wziętych bardzo nawet pięknych i świadczących o istotnym talencie, jak naprzykład scena w pierwszym akcie pomiędzy braćmi, pomiędzy Bianką i Luką, pomiędzy Franceską a Lanciotem, lub początek aktu drugiego. Jest w nich siła, werwa, ruch i oryginalność. W trzecim akcie jednak ton tragedyi się zmienia, wpada w sentymentalizm i płaczliwość. Franceska traci swój rzutny i namiętny charakter, jeden tylko Lancioto, chociaż występuje w roli wbrew sprzecznéj z tém, czém był na początku, zachowuje żołnierski energiczny ton sobie właściwy.

Pomiędzy dwoma zakończeniami podanemi przez autora, wybór jest trudny, gdyż obadwa są równie wadliwe; najlepszym dowodem ich wadliwości jest to, że oprócz rodzaju śmierci Franceski, która w drugim sama się zabija nad trupem otrutego kochanka, głównie zmiana zasadza się na poprzekładaniu scen, które następują po sobie w zmienionym porządku z małemi zresztą waryantami; gdy tymczasem w akcyi dobrze obmyślanéj, każde słowo powinno być na miejscu właściwém i dążyć wprost do rozwiązania. Jeśli zaś rozwiązanie to nie jest koniecznem, ale przypadkowém tylko, jeśli zależy od fantazyi autora, świadczy to, że węzeł akcyi nie jest dobrze zadzierżgnięty i charaktery nie są postawione właściwie.

W jedném i w drugiém zakończeniu, Gwido godzi na życie brata nie żony, ale w pierwszém Franceska pada ofiarą sztyletu męża na jego miejscu, a Lancioto pozostaje przy życiu; w drugiém, chcąc zapewne bliższym być dantejskiéj tradycyi, autor każe Gwidonowi truć brata a Franceska nad jego trupem sama się zabija. Jedno i drugie jednakże zarówno nie odpowiada początkowi dramatu, którego nastroju, siły i konsekwencyi, autor widocznie utrzymać nie umiał.

Jednakże jakkolwiek wadliwa, tragedya ta świadczy o istotnym talencie, talencie niedojrzałym może, twórczości nie dość ujętéj w artystyczne ramy, ale ujawniającéj się dobitnie w pojedyńczych scenach i frazesach.

Pod względem poezyi rok ubiegły jeśli nie przyniósł nam żadnéj oryginalnéj pracy, zasługującéj na bliższą uwagę, za to zbogacił naszą

literaturę kilku cennemi przekładami. A przytém wyszło nowe wydanie znakomitych tłómaczeń A. E. Odyńca, nad któremi zbytecznie byłoby się zatrzymywać, albowiem doskonałość ich jest powszechnie znaną i oddawna cierpieliśmy nad tém, że były już wyczerpane w handlu księgarskim.

Wyszły także w nowém wydaniu i znacznie pomnożone przekłady Aleksandra Kraushara z *Księgi pieśni* Heinego. Heine, jeden z najwyborniejszych poetów naszego czasu, którego wpływ widny jest na całém obecném pokoleniu a imię błąka się na wszystkich ustach, należy do tych geniuszów, które każda literatura przyswoić sobie powinna. Dlatego też przywiązujemy wielką wagę do książeczki pana Kraushara, który nie wahał się podjąć trudnéj, mozolnéj i niewdzięcznéj pracy tłómacza i rozkochany w genialnym autorze *Ata Trolla*, z małemi wyjątkami obdarzył nas prawie całym zbiorem liryk, zawartych w *Księdze pieśni.*

Zanim się osądzi podobną pracę, trzeba sobie zdać sprawę z trudności zadania tłómacza, który skrępowany formą i właściwościami języka, musi w nim niemal dosłownie oddać myśl poety, nie zaniedbując właściwego mu wdzięku. Trudność ta przywiązana do wszystkich tłómaczeń, wzrasta w miarę oryginalności autora, a Heine tak pod względem formy jak myśli, był jednym z najoryginalniejszych poetów dzisiejszego wieku. Zwroty jego są pełne niespodzianek i humorystycznych wybuchów, pomieszanych z najbardziéj rozsubtelnionym liryzmem: rozpływa się on na łonie natury, dobiéra barw migotliwych na jéj obrazy i kłuje ostrym sarkazmem, poza którym migocą łzy krwawe. Jeśli jeszcze dodamy do tego właściwości niemieckiego języka, który tak mało zgadza się z naszym, będziem dopiéro mieli obraz trudności, jakie miał do zwalczenia pan Kraushar.

Kiedy chodzi o pojedyńcze ustępy, jeden i drugi da się czasem przetłómaczyć z łatwością, ale kiedy kto chce dopełnić systematycznéj pracy, spotyka z konieczności takie, które przedstawiają istne niepodobieństwo przekładu, jeśli ma być wiernie zachowaną forma i myśl oryginału. Do takich ustępów należę dwie strofki o palmie i jodle, które z daleka od siebie wśród spiekłéj pustyni i lodów Północy marzą wzajem jedna o drugiéj, strofy niejednokrotnie tłómaczone, a zawsze bardzo dalekie od oryginału. I wiele bardzo innych.

Nie dziw więc, że wśród przekładów pana Kraushara znajdują się wyborne i mniéj doskonałe; wierne zupełnie i mniéj wierne. Pierwszych przecież jest wiele więcéj niż drugich a są i takie, które tak formą jak myślą w niczém nie ustępują oryginałowi. Szczególniéj też wszystkie późniejsze prace odznaczają się wzrastającą wiernością i wdziękiem. Dzięki więc panu Krausharowi, ci nawet co nie znają niemieckiego języka, mogą teraz choć w części zapoznać się z największym tegoczesnym poetą germańskim.

Heine obecnie jest na porządku dziennym. Tanie wydawnictwo p. Wiślickiego zawiera także i słynne *Obrazy z podróży (Reisebilder)*,

a początkowe zeszyty świadczą, że jakkolwiek trudnym jest przekład tego pełnego fantazyi i dowcipu dzieła, jednakże przekład należy do starannych i daje wierne wyobrażenie o rodzaju stylu autora.

---

# PRZYWILEJ ŻYDOWSKI BOLESŁAWA

## I JEGO POTWIERDZENIA.

PRZEZ

R.....

Przez długi przeciąg czasu znano przywilej Bolesława Pobożnego, księcia wielkopolskiego, udzielony żydom wielkopolskim w r. 1264, tylko w téj postaci, w jakiéj go wydrukował po raz pierwszy Łaski, w *Zbiorze praw i przywilejów koronnych*, to jest w potwierdzeniu onego przez Kazimierza W. z r. 1334 [1]).

Wprawdzie i dotąd jeszcze nie odszukano samego oryginału przywileju Bolesława [2]), natomiast znalazła się znaczniejsza liczba jego potwierdzeń, a nawet ukazał się w przerobionéj i pomnożonéj redakcyi.

J. W. Bandtkiemu należy się zasługa, że skrzętnie zbierając materyały do krytycznego swego wydania pomników naszego starego prawodawstwa, pierwszy wydobył na jaw redakcyą pomnożoną przywileju Bolesława i odszukał drugie potwierdzenie oryginalnego przywileju przez Kazimierza W. Korzystając z tych odkryć, wydrukował jedno i drugie w r. 1831 w swojém cenném *Jus Polonicum*. Pomnożoną redakcyą znalazł Bandtkie w należącym do siebie rękopisie, który szczegółowo opisał i oznaczył sygnaturą B. III; drugie zaś potwierdzenie oryginalnego przywileju w manuskrypcie, równie jego własnością będącym i oznaczonym literą B. II.

W trzydzieści kilka lat późniéj dr. Perles, rabin poznański, odszukawszy pomnożoną redakcyą przywileju w archiwum gminy żydowskiéj poznańskiéj, na nowo ją wydał w ogłoszonéj przez siebie historyi żydów poznańskich [3]).

---

[1]) Z Łaskiego przedrukował przywilej Przyłuski, następnie Pijarzy w t. I *Voluminum Legum*.

[2]) Zdaje się, że Czacki oglądał w archiwum koronném oryginał przywileju Bolesława. Nie mając pod ręką starego *Inwentarza* archiwum, nie możemy sprawdzić, czy on w nim zapisany.

[3]) *Geschichte der Juden in Polen*. Breslau 1865, str. 128 i nast.

W r. 1867 tęż samą redakcyą, wziętą z przywileju oryginalnego króla Jana Sobieskiego ogłosił dr. Gumplowicz [1]).

Nareszcie w roku obecnym (1879 r.) ukazała się ta sama redakcya, odszukana w księgach grodzkich poznańskich, w *Dyplomataryuszu Wielkopolskim* [2]).

Takim sposobem mamy teraz ogłoszoną redakcyą krótszą przywileju Bolesława, czyli jak ją zwać będziemy *oryginalną*, w dwu oddzielnych potwierdzeniach Kazimierza W.: jedném z r. 1334, wziętém podług wszelkiego podobieństwa do prawdy z oryginału, który znalazł Łaski w archiwum koronném; drugiém z rękopisu Bandtkiego B. III, pochodzącym z ostatnich lat wieku XV, a cztery odpisy redakcyi pomnożonéj, którą zwać będziemy redakcyą *przerobioną*, jeden z rękopisu B. II, drugi z akt gminy żydowskiéj w Poznauiu, trzeci z oryginalnego potwierdzenia Jana III, czwarty wreszcie z *Akt grodzkich poznańskich*.

Tymczasem znalazły się jeszcze cztery odpisy redakcyi oryginalnéj: jeden w potwierdzeniu z r. 1365, zachowany w rękopisie z połowy wieku XV dawniéj moim, a nateraz zachowanym w Bibliotece Ordynacyi Krasińskich; drugi w potwierdzeniu z r. 1367 w *Aktach grodzkich krakowskich* [3]), trzeci w *Aktach miasta Przemyśla* i czwarty w *Aktach miasta Lwowa*, które to dwa ostatnie przesłać nam raczył w kopiach prof. uniwersytetu Lwowskiego Liske.

Prócz tego, wiadomo z dzieła dr. Gumplowicza, że posiada on dwie redakcye przerobione w potwierdzeniach oryginalnych: jedném udzieloném przez króla Augusta III w r. 1735, drugiém przez Stanisława Augusta z r. 1765 [4]).

Mając zgromadzony tak obfity materyał, nie byłoby bez korzyści zająć się krytyczném obrobieniem oryginalnego przywileju Bolesława, nietrudno bowiem dostrzedz, że wszystkie dotąd wydania onego są defektowe. Wszakże zajęcie podobne leży tymczasem poza zakresem naszego zadania. Wartoby też porównać przywilej Bolesławowski z przywilejem Fryderyka arcyksięcia austryackiego z r. 1244 i z przywilejem króla Beli z r. 1251, z których on niewątpliwie wzięty został. Praca podobna byłaby pod tym mianowicie względem ważną, że nietylko przyłożyłaby się do ustalenia tekstu samego przywileju Bolesława, ale posłużyłaby nadto do ocenienia, co w nim jest zapożyczonego, a co swojskiego [5]).

Zadaniem naszém jest wyłącznie konstatować, ile razy przywilej ten był zatwierdzony przez Kazimierza W., jaka rozciągłość mocy obo-

---

[1]) *Prawodawstwo polskie względem żydów.* Kraków; str. 161 i nast.

[2]) *Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski.* Poznań, t. III, nr. 1368.

[3]) Jak o tém donosi dr. Gumplowicz w swojém dziele; *l. c.* str. 155.

[4]) *L. c.* str. 159.

[5]) Por. dr. Gumplowicza; *l. c.* str. 127—130.

wiązującéj tych zatwierdzeń i wskazać, o ile pozwolą źródła, przez kogo tenże sam przywilej w dalszych czasach był ponawiany, następnie zająć się więcéj szczegółowo redakcyą przerobioną i jéj potwierdzeniami.

Zaczynamy od zatwierdzeń oryginalnego przywileju Bolesława przez Kazimierza W.

Jak wspomnieliśmy wyżéj, długo znaliśmy tylko jedno potwierdzenie z r. 1334. Bandtkie w rękopisie B. II natrafił na inne, ale nie umiał go dostatecznie wyróżnić od poprzedzającego i uważał je jedynie, jak się zdaje, za waryant poprzedniego. Teraz z pewnością już wiemy, że ono pochodzi z r. 1367 i że prócz tego stoi jeszcze we środku, między dwoma temi aktami, potwierdzenie z roku 1364.

Mamy więc obecnie trzy potwierdzenia przywileju oryginalnego Bolesława przez Kazimierza: jedno z początku jego panowania z roku 1334, dwa drugie z końca, a mianowicie z r. 1364 i 1367.

*Potwierdzenie pierwsze.* Zachowało się ono wyłącznie w druku Łaskiego. Za autentycznością podanego przez niego dokumentu, przemawiają obecne przy spisaniu osoby. Są nimi: Spicimierz, kasztelan krakowski; Mszczug, wojewoda sandomierski (wydrukowany błędnie jako Nisczynius zamiast Msczugius); Mikołaj, wojewoda krakowski; Andrzej, łowczy; Krzywosąd, podkomorzy krakowski. Wszyscy oni figurują w spółczesnych dyplomatach [1]). Wstęp do potwierdzenia poczyna się słowami: *ne decreta regia cum fluxu temporis a memoria deciderent hominum* (aby dekreta królewskie przez przebieg czasu nie wyszły z pamięci ludzkiéj i t. d.), potém idzie sam oryginalny przywilej Bolesława od słów: *humani generis actiones nisi vigeant voce testium* (czyny ludzkie jeśli nie są przechowane głosem świadków) i t. d. nareszcie samo zatwierdzenie onego, poczynające się słowami: *nos igitur jure ipsorum* (to jest żydów) *diligenter considerato...* z oznaczeniem miejsca wydania potwierdzenia, t. j. Krakowa i daty dnia błogosławionych męczenników: Dyonizyusza i towarzyszy (9 października) roku 1334. Powodem do zatwierdzenia przywileju Bolesława, stało się, jak akt we wstępie opiewa, że stawili się przed królem i jego baronami: nasi *wierni* żydzi z *ziem naszych* (*nostri fideles judaei terrarum nostrarum*), przedstawili oryginalny przywilej Bolesława i prosili, aby takowy przez króla zatwierdzony został, co też nastąpiło jak w konkluzyi aktu powiedziano. Jakkolwiek słowa te są zupełnie jasne, nasuwa się jednak, co do rozciągłości ich znaczenia, pewna wątpliwość. Skoro bowiem przywilej Bolesława był nadany wyłącznie żydom wielkopolskim, możnaby chciéć utrzymywać, że i potwierdzenie onego nastąpiło wyłącznie na ich korzyść; my jednakże wolimy się trzymać literalnego znaczenia użytych słów i mniemać, że Kazimierz tém potwier-

[1]) Ob. *Kodeks dyplomatyczny Małopolski* r. 1335 Spicimierz nr. CC, Mszczug nr. CXCIX, Mikołaj nr. CXCIX, Andrzej nr. CC; r. 1333 Krzywosąd nr. CXC.

dzeniem rozciągnął moc obowiązującą przywileju na wszystkie ziemie swego ówczesnego królestwa, tém więcéj, że między proszącymi znajdować się musieli i żydzi wielkopolscy, boć oni tylko byli w posiadaniu oryginału Bolesławowego,

*Potwierdzenie drugie*. Pochodzi z r. 1364 i zachowało się w jednym tylko rękopisie hr. Krasińskich. Potwierdzenie to różni się od poprzedzającego głównie tém, że nie wspomina już o przywileju Bolesława, i przybiera tym sposobem postać jakoby przywileju z inicyatywy samego Kazimierza pochodzącego, czém wszakże nie jest, bo powtarza dosłownie i li tylko rozporządzenia oryginalnego przywileju Bolesława. Za autentycznością jego przemawia, że w nim Kazimierz nosi tytuł pana Rusi, co się zgadza z jego datą i że dostojnicy w nim wymienieni, jako obecni przy jego spisaniu, spotykają się we współczesnych autentycznych dokumentach. Są nimi: Wierzbięta, starosta generalny wielkopolski (*capitaneus Poloniae*) i trzej inni starostowie: Chebda, sieradzki; Dzierzek, dobrzyński; Zamak (?), płocki; nadto Piotr, kasztelan wojnicki i Otto, kanclerz wielkopolski [1]). Obecność Wierzbięty, starosty wielkopolskiego i Ottona, kanclerza wielkopolskiego, każe się domniemywać, iż akt był wydany dla użytku w Wielkopolsce, jakoż ku końcowi aktu zastrzeżono, że ma być wręczony Falkowi, żydowi kaliskiemu, zapewne starszemu tamtejszéj gminy żydowskiéj. Pomimo tego wyraźnie we wstępie wspomniano, że prawa, które wyłuszcza przywilej, służą żydom mieszkającym w miastach całego Królestwa (*in civitatibus totius Regni Poloniae*). Wstęp przywileju poczyna się od słów: *quod Magnificentia regum auctoritate fieri decrevit vatum atque stabile debet perpetuo permanere* (co wszechmocność królów władzą swą spełnić postanowiła, to powinno wiecznie w swéj mocy pozostać). Miejsce wystawienia przywileju jest Kraków, data dzień rozłączenia apostołów (15 lipca).

*Potwierdzenie trzecie* z r. 1367. I ono co do układu swego podobne do poprzedzającego, gdyż nie czyni wzmianki o przywileju Bolesława. Posiadamy je w czterech zgodnych z sobą wypisach, w rękopisie B. II, w *Aktach grodzkich krakowskich* i w *Aktach miasta Przemyśla* i *Lwowa*. Powodem do wydania tego potwierdzenia stało się wcielenie Rusi w skład Królestwa. Jako zagajenie przywileju używa Kazimierz wstępnych słów aktu księcia Bolesława: *Humani generis actiones nisi vigeant voce testium;* poczem oświadcza, że akt obecny (*praesens scriptum*) udziela żydom w Krakowie, Sandomierzu, *we Lwowie*, jako też gdziekolwiekbądź w Królestwie znajdującym się (*ubi-*

[1]) Wierzbięta był starostą wielkopolskim do końca 1369 r. Chebdę spotykamy jako wojewodę i starostę sieradzkiego w r. 1362 (*Cod. dipl. Pol.*, t. I, nr. 222), Dzierzkona jako starostę dobrzyńskiego w r. 1364 (*Cod dipl.*, t. III, nr. 291), Piotra jako kasztelana wojnickiego w r. 1364 (*Kod. dypl. Małop.* nr. 324), Ottona jako kanclerza Wielkopolski znajdujemy jeszcze na dyplomatach r. 1357 (*Kod. dypl. Wielk.*, nr. 1557).

*libet in Regno nostro constitutis*). Nowe to potwierdzenie wydane zostało w Krakowie *ipso die conductus Paschae* (d. 25 kwietnia), powyżéj wspomnianego roku [1]), w obecności: Jana, kasztelana krakowskiego; Janusza, kanclerza krakowskiego; Piotra, sandomierskiego i Andrzeja krakowskiego wojewodów; Dobiesława, wiślickiego i Stanisława, małogoskiego kasztelanów [2]).

Porównywając wszystkie te trzy potwierdzenia, które, począwszy od drugiego, jak nadmieniliśmy, występują w formie nadania wprost wychodzącego od samego Kazimierza, nie dostrzegamy w nich, co do głównéj ich osnowy, żadnéj różnicy. Płynie ztąd przekonanie, że przynajmniéj do roku 1367, na schyłku już prawie jego panowania, nie istniał żaden przywilej w treści swéj przerobiony, lub jakiemibądź dodatkami wzbogacony, lub jakiemi opuszczeniami odznaczający się. Całą ich różnicę stanowi, że gdy pierwszy udzielony został żydom w całém Królestwie przebywającym, drugi wydany został dla specyalnego użytku żydów wielkopolskich, a trzeci, wspominając, że obejmuje w sobie prawa żydów całego Królestwa, podciąga pod niego wyraźnie żydów krakowskich, sandomierskich i *lwowskich*.

Opisawszy powyżéj potwierdzenie Kazimierza z r. 1367, albo jak je sam nazywa przywilej (*privilegium*), w tém zaraz miejscu uważamy za właściwe wspomnieć, że przywilej ten następnie znowu zatwierdzony został przez kilku późniejszych królów. Zatwierdzeń takich, znanych nam, jest pięć, a mianowicie: Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta I, Zygmunta Augusta, Władysława IV i Jana Kazimierza.

Potwierdzenie Kazimierza Jagiellończyka znajdujemy w powyżéj powołanych wypisach z *Akt miasta Przemyśla* i *Lwowa*. Data zachowanego przez nie zatwierdzenia jest: *feria secunda ante festum Assumptionis gloriosissimae Virginis Mariae*, czyli dnia 13 sierpnia 1453 r., a miejsce wystawienia Kraków. Wydanie przywileju nastąpiło w obecności: Łukasza z Górki poznańskiego i Stanisława z Ostroroga kaliskiego wojewodów; Hińczy z Rogowa, kasztelana sieradzkiego; Piotra ze Szczekocin, vice-kanclerza Królestwa; Andrzeja z Tenczyna; Jana Kraski z Lubnicy, podczaszego kaliskiego i starosty konińskiego i Krzesława Wojczyka z Wojcza.

Ze wstępu do potwierdzenia dowiadujemy się, że stawili się przed królem żydzi, mieszkający w ziemi krakowskiéj, sandomierskiéj i lwowskiéj i prosili, aby król dla nich zatwierdził oryginalny przywilej sławnéj pamięci króla Kazimierza, który przed nim pokładali, co téż król uczynił, jako świadczy zakończenie przywileju, po rozważeniu

---

[1]) Datę tę zachowały wpisy w *Aktach lwowskich i krakowskich* zachowane. Por. dr. Gumplowicza *l. c.* str. 142.

[2]) W dyplomatach wspomina się pod r. 1367: Jan, kasztelan krakowski (*Kod. dypl. Małopol.* nr. CCXCIII), Piotr sieradzki i Andrzej krakowski wojewodowie, oraz Stanisław kasztelan małogoski (*l. c.* nr. CCXCII), a pod r. 1366: Dobiesław kasztelan wiślicki (*l. c.* nr. CCLXXXII), Janusz kanclerz od r. 1360—1373.

z konsyliarzami swemi zawartych w nim punktów, warunków, zastrzeżeń i artykułów (*punctis, conditionibus, clausulis et articulis*), dla pocieszenia żydów zachowywanych dla skarbu królewskiego (*quos nobis et regno nostro pro speciali servamus tezauro*). Korzystać z niego mieli, jak również w zakończeniu powtórzono, żydzi krakowscy, sandomierscy i lwowscy.

Potwierdzenie to, przedstawione w oyginale, zatwierdza następnie Zygmunt I w Krakowie *feria sexta ante festum Sctae Elisabeth* (d. 17 listopada r. 1531).

Równie Zygmunt August, mając sobie przedstawiony oryginał zatwierdzenia poprzedniego, przez niegdyś Piotra Turowskiego, biskupa krakowskiego w imieniu (*nomine*) żydów krakowskich, sandomierskich, lwowskich i innych ziem ruskich, lubelskich i sandeckiéj, potwierdza je przywilejem wystawionym w Piotrkowie na zjeździe powszechnym w sam dzień popielca r. 1559. Zwraca tutaj na siebie uwagę, że nowe to potwierdzenie obejmuje zarazem w sobie wyraźne rozszerzenie jego mocy obowiązującéj do żydów lubelskich i sandeckich.

Nanowo oryginał poprzedniego potwierdzenia zatwierdził Władysław IV w dniu 22 lutego 1632 r. na zjeździe powszechnym w Krakowie, a Jan Kazimierz w dniu 13 lutego r. 1649 na sejmie w Krakowie.

Wynika ztąd, że żydzi małopolscy ciągle, aż do panowania Jana Kazimierza włącznie, nie posiadali innego przywileju, nad ten, który im udzielony został przez Kazimierza W. w r. 1367, w którym, jak to było kilkakrotnie powiedziane, były jedynie powtórzone rozporządzenia oryginalnego przywileju księcia Bolesława.

Wyczerpawszy wszystko, co dotąd wiemy o dopiéro co wspomnianym przywileju Bolesława i późniejszych jego zatwierdzeniach, przechodzimy do jego redakcyi przerobionéj, w większéj części pomnożonéj, w mniejszéj uszczuplonéj przez opuszczenie kilku rozporządzeń [1]).

Redakcyi jakoby przerobionéj przez Kazimierza W., nie posiadamy ani w oryginale, ani w kopii zdjętéj z oryginału; przechowała się tylko w potwierdzeniu Kazimierza Jagiellończyka.

Powiedzieliśmy wyżéj, że redakcyą przerobioną odkrył pierwszy Bandtkie w rękopisie B. III, pochodzącym z końca wieku XV, a może nawet początku XVI, gdyż mieści w sobie, między innemi, *Ustawę Piotrkowską* z r. 1493.

Drugi jéj odpis, wydany w Kodeksie dyplomatycznym Wielkopolski, znalazł się w aktach grodzkich, poznańskich, pod rokiem 1559 [2]), w zatwierdzeniu Zygmunta Augusta z r. 1558.

Trzeci odpis, drukiem ogłoszony przez dr. Perlesa, pochodzi z potwierdzenia Jana Kazimierza z r. 1649; czwarty wreszcie, który do

[1]) Podług numeracyi Bandtkiego, przywilej oryginalny Bolesława liczy 36 ustępów, a przerobiony 46.

[2]) W *Dyplomataryuszu* zapewne przez omyłkę drukarską podany jest rok 1554.

wiadomości podał dr. Gumplowicz, pomieszczony w zatwierdzeniu króla Jana Sobieskiego z r. 1676.

Wszystkie te odpisy, z wyłączeniem kilkunastu waryantów, zupełnie są z sobą zgodne.

Nim przystąpimy do zdania sprawy z przerobionego jakoby przez Kazimierza Wielkiego przywileju, przypatrzmy się jego potwierdzeniu przez Kazimierza Jagiellończyka.

W potwierdzeniu tém we wstępie powiedziano, że stanęli przed królem żydzi wielkopolscy, a mianowicie: poznańscy, kaliscy, sieradzcy, łęczyccy, brzescy i włocławscy i przekładając, że udzielony im oryginalny przywilej przez sławnéj pamięci króla Kazimierza zgorzał w czasie pożaru miasta Poznania [1]), prosili króla, aby zatwierdził im ich prawa z kopii, którą pokładali; król wysłuchawszy tę prośbę, powtarza, jak się wyraża, od słowa do słowa przywilej Kazimierza W., a w końcu oświadcza, że rozpatrzywszy z należytą rozwagą, wraz ze swemi konsyliarzami prawa przedstawione we wszystkich ich artykułach, zastrzeżeniach i warunkach, takowe zatwierdza i użytkować z nich dozwala pomienionym żydom. Miejsce wydania potwierdzenia jest Kraków, rok zaś potwierdzenia 1453. Na akcie wypisani, jako obecni, ci sami dostojnicy, których podaliśmy, opisując wyżéj zatwierdzenie oryginalnego przywileju Bolesława, przez tegoż samego króla, dla żydów małopolskich.

Sam akt Kazimierza W., który został potwierdzony, tak się przedstawia. Król w tytule występuje, jako król polski, pan Krakowa, Sandomierza, Łęczycy, kupiec i dziedzic poznański [2]); Ruś opuszczona. Po tytule wstęp opiewa, że stawiło się przed królem i szlachtą obecną (tumque nobilium terrigenarum praesentiam) kilku żydów naszych, mieszkających w Wielkiéj Polsce (in Polonia majori) i przedstawiwszy przywilej ś. p. księcia Bolesława, obejmujący w sobie ich statuta i prawa, takowy przywilej porównawszy ze statutami i przekonawszy się, że takowy nie obejmuje w sobie nic takiego, coby majestatowi jego mogło się niepodobać, albo coby w czémkolwiek prawu ubliżało, takowy za zgodą naszych panów i szlachty, ziemian [3]), zatwierdza i stanowi. Po wyłożeniu treści przerobionego przywileju, na końcu powiedziano tylko: że aby to co poprzedza, zyskało moc obowiązującą, przyłożoną została pieczęć królewska (ut omnia praemissa, robur obtineant perpetuae firmitatis, ad praesens sigillum nostrum est appensum). Zresztą akt Kazimierza W., nie mieści w sobie ani miejsca wydania, ani daty pod którą został wydany, ani osób, w których obecności był wystawiony.

---

[1]) Rzeczywiście Poznań, jak o tém donosi Długosz, w większéj części zgorzał w r. 1447 (Edycya krakowska, t. IV, str. 36).

[2]) Tak we wszystkich odpisach.

[3]) Tak w aktach grodzkich poznańskich, w aktach gminy żydowskiéj poznańskiéj i u dr. Gumplowicza.

Wszystko to daje powód do rozlicznych uwag, odkładamy je jednak do przedstawienia dalszych danych.

Jak już kilkakrotnie wspomnieliśmy, potwierdzenie Kazimierza Jagiellończyka, dopiéro co opisanego aktu Kazimierza W., było znowu przez jego następców kilkakrotnie zatwierdzoném.

Pierwszym, który je zatwierdził, był Zygmunt August. O potwierdzenie prosili starsi żydów (seniores judeorum) z ziem wielkopolskich, mianowicie: poznańskiéj, kaliskiéj, sieradzkiéj, łęczyckiéj, brzeskiéj i włocławskiéj. Niewiadomo właściwie, co przedstawili do potwierdzenia, czy oryginał przywileju Jagiellończyka, czy tylko kopią onego, bo akt zatwierdzenia wyraża się ogólnie, iż się zatwierdzają listy niżéj pisane (litterae infra scriptae). Przywilej wydany został w Piotrkowie na zjeździe powyższym *feria tertia post festum Conceptionis gloriosae Virginis Mariae* (11 grudnia) r. 1548 [1]).

Po Zygmuncie Auguście potwierdza przywilej Stefan Batory dnia 2 stycznia, r. 1580, na wstawienie się niektórych panów rad przemawiających za żydami płockimi; po przedstawieniu mu przywilejów poprzedników jego w ekstrakcie z akt grodzkich poznańskich (per modum extractus ex actis castrensibus posnaniensibus [2]). Rozprzestrzenia się tym sposobem moc obowiązująca przywileju wielkopolskiego na Mazowsze.

Zatwierdzenie Stefana Batorego w tymże samym roku *feria rogationum* (8—15 maja), żyd Jakób Bogatek z Gostynia, stawiwszy się przed urzędem starościńskim grodu gostyńskiego, w imieniu swojém i żydów płockich, jako też wszystkich żydów, tak Wielkopolski jako i Małopolski, przedstawił w oryginale i prosił, aby ono wniesione zostało do akt grodzkich gostyńskich.

Następnie ekstrakt z powyższego odpisu, stwierdzony podpisem Szczawińskiego, kasztelana inowłocławskiego, przedstawiono Zygmuntowi III do potwierdzenia, na rzecz żydów miasta Wschowy [3]). W wydaném zatwierdzeniu dnia 12 października r. 1592 zwraca na siebie uwagę, że Zygmunt przywilej Stefana Batorego nazywa służącym wszystkim żydom Wielkopolski i Małopolski [4]).

Nowe zatwierdzenie wyszło od Władysława IV-ego, w którém we wstępie powiedziano, że mając sobie okazany przywilej oryginalny ojca swego, obejmujący w sobie zatwierdzenie przywilejów wszystkich w ogóle żydów wielkopolskich i małopolskich, takowe zatwierdził. Akt zatwierdzenia wydany dnia 11 marca r. 1633 na zjeździe powszechnym koronacyjnym w Krakowie.

---

[1]) Szczegóły te i następne czerpiemy z kopii potwierdzenia, przysłanego nam przez dr. Gumplowicza i z wydania Perlesa.

[2]) Porównaj także: Perles, *loc. cit.* str. 131, 144.

[3]) W odpisie dr. Gumplowicza stoi: *civitatis nostrae Ilkussiensis.*

[4]) Perles: *loc. cit.* str. 130, 131, 145.

Wstępując w te same ślady Jan Kazimierz, przedstawiony sobie w oryginale przywilej Władysława zatwierdził dnia 13 lutego [1]), r. 1649, na zjeździe powszechnym koronacyjnym, odbytym w Krakowie.

Prócz wymienionych potwierdzeń mamy jeszcze dwa inne przez Michała króla, z dnia 5 listopada 1669 r. i Jana Sobieskiego, z dnia 28 kwietnia 1676 r.; oba wydane na sejmach koronacyjnych.

Przywilej Michała wydany został za wstawieniem się niektórych panów rad, na prośbę Mojżesza Markowicza, syndyka żydów Królestwa (syndici judeorum Regni Poloniae), podaną w imieniu wszystkich w ogólności starszych i zgromadzeń żydowskich, w Królestwie przebywających (ex parte omnium generaliter seniorum et communitatum judeorum in Regno commorantium).

Podobnie i Jan Sobieski wydaje swój przywilej na wstawienie niektórych panów rad i na prośby ówczesnego syndyka generalnego żydów [2]), przedstawiony w imieniu starszych wszystkich zgromadzeń żydowskich (nomine seniorum communitatum omnium judeorum).

Niemając odpisów zatwierdzeń Augusta III i Stanisława Augusta, które posiada dr. Gumplowicz, przypuszczamy tylko, iż i one wydane zostały za promocyą niektórych dostojników, na prośby syndyków, reprezentujących cały naród żydowski, osiadły w granicach Królestwa.

Przedstawione fakta, oparte na autentycznych dokumentach, wyjaśniają dowodnie wszystkie koleje, jakim uległ w ciągu istnienia Rzeczypospolitéj przywilej Bolesława, tak pod względem redakcyi, jako też pod względem zakresu swéj mocy obowiązującéj.

Oprócz tych danych, posiadamy jeszcze kilka odrębnych doniesień w źródłach naszych historycznych, rzucających pewne światło na ten sam przedmiot. Dla uzupełnienia więc tego co dotąd podano, nim przystąpimy do zrobienia naszych wywodów, uważamy za stosowne i z nich zdać sprawę, tém więcéj, że może także przyłożą się do uzasadnienia naszego poglądu.

Długosz pod rokiem 1356 donosząc o stosunkach Kazimierza W. z Esterką, pisze, że na prośbę jéj, nadał pojedyńczym żydom, mieszkającym w Królestwie, nadzwyczajne prerogatywy i wolności, które jako fałszywe podejrzywano i któremi znieważony został i obrażony boski majestat [3]).

Nierównie atoli ważniejsze, co wyczytujemy w liście pisanym w r. 1454, w miesiącu maju, przez Zbigniewa Oleśnickiego do Kazimie-

[1]) Perles: *loc. cit.* str. 129, 145. W kopii dr. Gumplowicza oznaczony dzień 3 lutego.

[2]) W kopii dr. Gumplowicza opuszczone nazwisko syndyka.

[3]) Tak tłómaczymy słowa Długosza: ad praeces Hester judeae exorbitanter praerogativas et libertates per literas regias *singulis judeis* in Regno Poloniae habitantibus, quae falso scriptae ab aliquibus insimulabantur, et quibus divina majestas contumeliatur et offenditur concessit. (Edycya krakowska, t. III, str. 263).

rza Jagiellończyka. W nim powiedziano: dawniéj (pridem) W. K. M. z ujmą i obrazą religii, pewnych przywilejów i wolności żydom udzieliłeś i niektóre przywileje najfałszywsze (falsissimae), jakoby przez króla Kazimierza im nadane, które ś. p. ojciec twój w mojéj obecności, gdym sam tego był świadkiem i sam je czytałem, lubo ujmowany licznemi darami przez żydów (licet sollicitatus judeorum largitionibus), przez całe swe życie wzbraniał się potwierdzić i te W. K. M. potwierdziłeś, nie zniósłszy się ani ze mną, który wówczas w Krakowie bawiłem, ani z panami radą... I dla tego proszę i błagam, abyś W. K. M. te tam przywileje i wolności odwołać raczył [1]).

Jakoż jeszcze w tym samym roku Kazimierz Jagiellończyk w statucie nieszawskim tak w redakcyi wielkopolskiéj, jak i małopolskiéj, w głównéj treści jednozgodnie oświadcza: że wszelkie listy swobód, które żydom mieszkającym w Królestwie udzielił po dniu (post diem) swéj koronacyi, przeciwne prawu boskiemu uchyla i wszelkiéj mocy obowiązującéj pozbawia, co ma być przez ogólne ogłoszenie podane do powszechnéj wiadomości [2]).

Pomijając tymczasowo, co nam Długosz o Kazimierzu W. donosi, zwracamy całą uwagę naszę na słowa kardynała Oleśnickiego. Są one tak stanowcze i tak wielkiéj wagi, że nie można ich obejść, zwłaszcza, że wychodzą od dostojnika, który przyjmował potężny udział we wszystkich ważnych sprawach publicznych i przystępował do wszystkiego z niepospolitą rozwagą i znajomością rzeczy: czy zawsze korzystnie dla kraju, to inne pytanie.

Otóż Oleśnicki wyrzuca królowi Kazimierzowi, że zatwierdził przywileje żydom zfałszowane, które ojciec jego Władysław wzbraniał się potwierdzić, dodając, że przeświadczenia o ich zfałszowaniu czerpie z własnego o tém przekonania i z téj okoliczności, iż tentowany był przez żydów darami, dla popierania ich sprawy.

Że tu o niczém inném nie jest mowa, jak o przywileju przerobionym Bolesława, jakoby potwierdzonym przez Kazimierza W., a następnie zatwierdzonym przez Kazimierza Jagiellończyka, którego kształt powyżéj opisaliśmy, nie może być najmniejszéj wątpliwości, bo niepodobieństwo przypuszczać, aby Oleśnicki mógł mieć na myśli przywilej rzeczywisty Bolesława, od dwu wieków w kraju rozpowszechniony i bez żadnéj kontestacyi utrzymujący się w swéj sile.

Historyczna jednak prawda wkłada na nas obowiązek dochodzenia, o ile zarzut ten możemy przyjąć za usprawiedliwiony, lub czy nie pokaże się tylko stronniczém twierdzeniem dla zachwiania króla w jego postanowieniach. Środków do spełnienia tego zadania mamy bardzo mało. Znane nam historyczne źródła zupełnie milczą; pozostaje wła-

[1]) *Monumenta medii aevi.* Cracoviae, 1876, t. II. *Pars posterior*, pag. 146.

[2]) Rozporządzenie to podług wydania prof. Bobrzyńskiego tworzy art. 31 redakcyi małopolskiéj, a art. 34 redakcyi wielkopolskiéj.

ściwie sam tylko tekst przywileju Kazimierza, który jedynie dostarczyć może dowodu na jednę lub drugą stronę.

Poprobujmy, czy mimo tak szczupłego materyału rzecz nie da się stanowczo wyjaśnić. Przypatrzmyż się więc bliżéj temu przywilejowi.

W stanie wiadomości jakie posiadamy, nic nas nie upoważnia abyśmy mogli twierdzić, że Kazimierz W. miał powód do wydania żydom, zwłaszcza samym wielkopolskim, nowego przywileju, obejmującego nierównie szersze swobody jak te, które im były zapewnione przez pierwsze przywileje. Z żydami wielkopolskimi stał w dalszych stosunkach niżeli z krakowskimi, a i wydanie walnego przywileju dla jednéj ziemi, o tyle jest niepodobném, że jest sprzeczne z intencyami jego ujednostajnienia w całym kraju prawnych stosunków, czego między innemi dał dowód, gdy zaraz pierwsze zatwierdzenie przywileju Bolesława rozciągnął na populacyą żydowską w całym obszarze Królestwa siedzącą.

Wprawdzie ci którzy utrzymują, że istotnie Kazimierz W. wydał nowy ten przywilej, powołują się dla podtrzymania zdania swego na Długosza; lecz już zdając sprawę z doniesienia Długosza, zauważaliśmy, że on nie mówi o ogólnym przywileju nadanym żydom, ale o osobistych specyalnych przywilejach udzielonych pojedyńczym żydom. Jakie one były, nie wiemy [1]), ale to nieosłabia bynajmniéj wiadomości jaką nam podaje; przyczém przypuścić nawet można, że niektóre z pomiędzy nich były podrobione, jeśli tu Długosz nie myli się i nieprzenosi podejrzeń, jakie za jego czasów po kraju obiegały o podrobieniu przywileju potwierdzającego przez Jagiellończyka, na koncesye udzielone przez Kazimierza specyalnym żydom.

Jak zresztą przypuszczać, że Kazimierz nadając nowy, różny od poprzedniego przywilej, udzielił go jako proste potwierdzenie przywileju Bolesława? Byłoby to z jego strony albo szalbierstwo albo naganna niebaczność, których domniemywać się nie godzi. Do pierwszego środka nie potrzebował się uciekać, bo gdyby był chciał żydom udzielić wolności, których dotąd nie posiadali, nic go nie zmuszało krok podobny pokrywać imieniem Bolesława; równie przypuszczać nie można, aby potwierdzając kilka razy przywilej oryginalny Bolesława i będąc niewątpliwie dokładnie obznajmiony z jego treścią, mógł się był dać w pole wyprowadzić i potwierdzić pod imieniem tegoż samego księcia, zupełnie coś innego.

Ależ przejdźmy do rozważenia samego tekstu tego nowego przywileju.

Przedewszystkiem wpada nam w oczy, że król przybiera w tytule nazwanie „dziedzica poznańskiego" (*haeres posnaniensis*), jak to wszystkie kopie aktu tego podają, co wielce przemawia za autentycznością wyrażenia, zupełnie nieznanego w tytułach królewskich.

[1]) Mogły być między nimi przyzwolenia na zabezpieczenie pożyczek inskrypcyami na dobra nieruchome.

Druga ważniejsza okoliczność, która nas zastanawia, jest, że w akcie Kazimierz nie nosi jeszcze tytułu *haeres et dominus Russiae,* co wskazuje, że przywilej wydany był przed rokiem 1360, w którym tytuł ten już stale w aktach jego występuje. Cóżby jednakże ztąd wynikało? oto, że Kazimierz, nadawszy przed tym rokiem znaczniejsze swobody żydom wielkopolskim, w kilka lat później, bo w roku 1364 udzielając zatwierdzenie ich wolności Folkerowi, cofnął się znowu na dawne stanowisko i wrócił do rozporządzeń pierwszego swego przywileju.

Daléj uderzają nas we wstępie przywileju wyrażenia: że stawili się ad nostrae majestatis et *nostrorum nobilium* praesentiam, a na końcu tegoż wstępu: że przywilej zatwierdzony cum consensu nostrorum *dominorum* et *nobilium terrigenarum*, wyrażenia, których nie znajdujemy w aktach Kazimierza, świadczące, że zostały użyte przez ludzi nieznających ówczesnych stosunków i ówczesnych formuł kancelaryjnych.

Jeszcze większe powątpiewanie co do autentyczności przywileju Kazimierza rodzi w nas jego treść, pozostawiająca na boku inne, choć nader ważne szczegóły: podnosimy jeden z najważniejszych.

Jest nim przepis o zaciąganiu pożyczek u żydów. Przywilej oryginalny Bolesława, tak samo jak przywileje, z których został zaczerpnięty, po trzykroć zatwierdzany przez Kazimierza W., nie dopuszczał innych pożyczek u żydów, jak tylko na zastaw ruchomości. Tym sposobem chciano z jednéj strony zapobiedz lekkomyślnemu pożyczaniu, z drugiéj, przeciąć żydom drogę do wwiązywania się w posiadanie dóbr nieruchomych. Zachowanie to wzmocnił jeszcze Kazimierz W. postanowieniem *Statutu wielkopolskiego* [1]), w którém wyrzeczono: że żydzi *stosownie do dawnego zwyczaju* (secundum consuetudinem antiquitus observatam), niepowinni pożyczać pieniędzy na skrypta (*super literarum obligationes*) ale jedynie *na zastaw* (pignus).

Przeciwnie zupełnie stanowi przywilej żydowski wielkopolski, o którym mówimy, co tém więcéj podnieca uwagę, że we wstępie jego powiedziano, iż po porównaniu zapewniających się swobód ze statutami i zyskaniu przekonania, że takowe w niczém nie ubliżają prawu, udziela się im zatwierdzenie.

Jak patrzyli na ten sam przedmiot i późniejsi prawodawcy, pokazuje *Statut wartski.* Stanowi on, że nietylko żydom nie wolno pożyczać pieniędzy na skrypta i zapisy (literas et inscriptiones), ale stanowczo wyrzekł, że podobne skrypta i zapisy mają być uważane za żadne i że żydom dozwolono pożyczki udzielać nieinaczéj, jak na zastawy (super vadia et pignora) [2]).

---

[1]) W swojém miejscu udowodnioném zostanie, że rozporządzenie to jest wielkopolskiém. W wulgacie Bandtkiego pomieszczone w artykule CXXXIX.

[2]) Artykuł XIX *Statutu Wartskiego*, edycya Bandtkiego.

W takiém położeniu śmiało utrzymywać można, iż przerobiony przywilej Bolesława nie może być dziełem Kazimierza W. W nim bowiem nietylko dozwolono żydom pożyczać na skrypta, ale co jeszcze ważniejsze, skrypta takowe ubezpieczać wpisaniem (*inscriptio*) na dobra nieruchome i w razie gdyby dłużnik nie uiścił się z długu, żądać wierzycielowi wprowadzenia siebie w posiadanie dóbr, na których wpis był uczyniony. Opisaniu i rozwinięciu rozporządzeń, wiążących się z tém postanowieniem, poświęca przywiléj całych obszernych sześć artykułów (art. XXXII—XXXVII) [1]).

Opierając się na tém wszystkiém, stanowczo twierdzimy, że przerobiony przywilej Bolesława, jest fabrykatem czasów po Kazimierzu W.

Dopiéro téż teraz pojmujemy, dlaczego żydzi poznańscy przedstawiając go do potwierdzenia Kazimierzowi Jagiellończykowi, nie przedstawili oryginału onego, ale kopią, bo oryginału rzeczywiście nigdy nie było, a powołanie się na pożar w Poznaniu, było tylko zręcznem skorzystaniem z okoliczności, zresztą prawdziwéj. Dlatego téż, na przedstawionéj kopii, nie było ani daty wystawienia przywileju przez Kazimierza W., ani wymienionych osób, które przy spisaniu onego obecnemi były, bo w części łatwiéj było treść przywileju podrobić, jak dobrać podobną do rzeczywistości datę i imiona właściwych dostojników.

Lecz jak sobie wytłumaczyć powstanie przerobionego aktu?

Że podrobienie dokonane było za sprawą żydów, nie może podlegać wątpliwości, gdyż oni głównie w sprawie téj byli interesowanymi. Chodziło o uzyskanie nader ważnéj koncesyi, która miała przyłożyć się do rozwinięcia w całéj zupełności operacyi ich pieniężnych. Z drugiéj wszakże strony, to co dogadzało pożyczającym pieniądze, będącym ówczesnymi jedynymi bankierami w kraju, dogadzało także

[1]) Ważniejsze z tych rozporządzeń są: że żydzi mogą ubezpieczać pożyczone pieniądze na dziedzicznych dobrach szlachty (nobilium terrigenarum) (art. XXXII); że przy wprowadzeniu w posiadanie dóbr wierzycieli żydów, wojewodowie, starostowie i burgrabiowie powinni ich bronić i zasłaniać od wszelkiéj zniewagi (art. XXXIII); że dłużnik, którego dobra żyd kredytor obejmie w posiadanie, winien mu stawić poręczycieli, dobrze osiadłych (bene possessionatos); że dobra będzie spokojnie posiadał i zachowa juryzdykcyą służącą tym dobrom (art. XXXIV); że żyd wierzyciel, wytrzymawszy dobra przez przeciąg ziemskiéj dawności (infra decursum annorum terrestri praescriptionis, a jak w przywileju zatwierdzonym przez króla Jana: post decursum trium annorum), jeśli nie zostanie zapłacony, ma prawo sprzedać dobra, lub w inny sposób obrócić na swój użytek (art. XXXV); że żyd, który wysiaduje w dobrach, niéma iść na wyprawę wojenną (tak wszystkie odpisy, wyjąwszy B. III) (art. XXXVI); że dzieci zmarłego dłużnika małoletnie niémają prawa bronienia się małoletniością od płacenia długu żydowskiego (art. XXXVII). Możnaby tu jeszcze zrobić uwagę do art. XXXIV, że wyrażenie *bene possessionatus*, obce czasom Kazimierza W., weszło w użycie późniéj.

tym, którzy potrzebowali zaciągnąć pożyczkę, zwłaszcza w większéj sumie, bo aby pożyczyć większą sumę, nie tak łatwo znaleźć odpowiedni zastaw, w czasach, w których majątek ruchomy był bardzo szczupły, a nawet znaleźć poręczycieli, zwłaszcza że pożyczający, zapewne nie przyjmował byle jakiéj poręki, pozostawał więc do ubezpieczenia jedynie majątek nieruchomy, posiadany przez pożyczającego. Interesa więc z jednéj i z drugiéj strony były zgodne; dla zadośćuczynienia im chodziło tylko o wynalezienie środka do ominięcia rozporządzeń tak pierwiastkowego przywileju Bolesława, jako i przepisów statutowych.

Środek ten wskazała praktyka. Stwierdza to najwyraźniéj *Statut wartski*, który mówi, że żydzi nietylko pożyczają pieniądze na skrypta, ale takowe na dobrach zapisują (pecunias super literas et inscriptiones dare non cessant). Toż samo stwierdza jeszcze *petitum*, jakie przy obradach nad *Statutem wartskim* przedstawione było, choć nie zostało uwzględnioném: że ponieważ rzeczywiście (*de facto*) żydzi posiadają skrypta upoważniające ich do inskrypcyi, aby jeżeli je nie wniosą w ciągu roku do ksiąg sądowych, iżby takowe uznane zostały za nieważne [1]).

W każdym razie wynika ztąd, że sądy ze swéj strony nadawały tym zboczeniom sankcyą i to już co najmniéj na początku w. XV.

Żydzi zapatrując się na takową praktykę, w tych téż zapewne czasach, postarali się o stosowne pod tym względem przerobienia przywileju Bolesława i czekali tylko na chwilę, w któréjby mogli upraszać o zatwierdzenie tego, jakoby Bolesławowego przywileju, potwierdzonego przez Kazimierza W.

W istocie téż, jak nas list Zbigniewa Oleśnickiego przekonywa, wystąpili z przerobionym przywilejem już przed Władysławem Jagiełłą, ale skutkiem zabiegów Oleśnickiego, a pewno i niektórych wielkich dygnitarzy kraju, nie otrzymali żadnego potwierdzenia.

Okoliczności pokazały się dopiéro przychylniejszemi za Kazimierza Jagiellończyka. On rzeczywiście przerobiony przywilej potwierdził; kiedy i w jakiéj formie potwierdzenie nastąpiło, nie wiemy. Z listu tylko Oleśnickiego widać, że to musiałon astąpić znacznie przed rokiem 1454 i jak to zaświadczają *Statuta nieszawskie*, nie prędzéj jak po koronacyi. Również niepodobieństwo wykazać, czy zatwierdzony został w téj formie w jakiéj go dziś w całości posiadamy, lub czy może to, co było przedstawione do potwierdzenia Kazimierzowi Jagiellończykowi, nie zostało jeszcze późniéj zmienioném. Wnioskując ze słów *Statutów nieszawskich*, możnaby nawet sądzić, że Jagiellończyk kilka wydał żydom przywilejów (*privilegia*) [2]), co jednakże mogłoby także znaczyć, iż

[1]) Petitum to znalazł Bandtkie w jednym z rękopismów *Statutu wartskiego*, str. 213—214.

[2]) Dr. Gumplowicz domyśla się, że rozporządzenia powyżéj powołane, zawarte w art. XXXII—XXXVII, stanowiły osobną całość; *l. c.* str. 149. W takim razie artykuły od I do XXXI włącznie, a następnie od XXXVIII

wydanych było żydom dla różnych miejscowości kilka przywilejów autentycznych tego samego rodzaju.

To tylko pewno, że właśnie te przywileje Kazimierza Jagiellończyka uznane zostały przez *Statut nieszawski* za nieważne i że jako takie, miały być opublikowane po całym kraju. Na uchylenie ich nastawała głównie szlachta, jak o tém przekonywają petita jéj w *Opokach* podane [1]).

Jakże się jednak stało, że przywilej podrobiony Kazimierza W., zatwierdzony przez Jagiellończyka i następnie uznany za nieważny, późniéj wznowiony został?

Sam fakt odnowienia jest zaświadczony szczegółowo poprzednio wskazanemi i opisanemi aktami i nie podlega najmniejszéj wątpliwości; jakiemi jednak drogami dało się to osiągnąć, niewiadomo: wolne są tylko domysły.

Jak sądzimy, grała tutaj ciągle przeważną rolę gmina żydowska poznańska, która w wieku XV, podług tego co zkądinąd wiemy, odznaczała się silną organizacyą i w gronie swém liczyła odznaczających się nauką i działalnością mężów [2]). Za staraniem jéj przygotowany został pierwotny przerobiony przywiléj, przeznaczony dla jéj właśnie użytku, jéj téż staraniem powiodło się, że po skasowaniu swém na nowo powstał.

Przywilej skasowany Kazimierza Jagiellończyka, pomimo wywołania go, mógł pozostać w zachowaniu nietknięty, a w każdym razie zachowały się jego kopie. Znowu więc potrzeba było czekać na stosowną porę, aby pozyskać jego potwierdzenie. I w istocie czekano więcéj jak wiek cały, i wystąpiono dopiéro z nim za Zygmunta Augusta. Aby wszakże przygotować sobie możność przedstawienia, potrzeba było nadać mu pewne cechy autentyczności. Usuwając, coby przypomnieć mogło jego powstanie, wystawiono więc na nim datę taką, jaką posiadał inny przywilej żydowski Kazimierza Jagiellończyka, stojący w swéj mocy, i zapisano na nim obecność tych samych dostojników. Do domniemania tego upoważnia nas ta okoliczność, że potwierdzenie przerobionego przywileju Bolesławowskiego przez Kazimierza Jagiellończyka, jak to poprzednio wykazano, nastąpiło znacznie wcześniéj przed rokiem 1453, którą to właśnie datą opatrzony był przywilej Jagiellończyka, przedstawiony Zygmuntowi Augustowi do potwierdzenia. Jeśli zaś przypuścimy, że Kazimierz Jagiellończyk obdarzył żydów poznańskich kil-

---

do XLVI wydania Bandtkiego, tworzyłyby jeden przywilej, a art. XXXII do XXXVII drugi, wsunięty w poprzedzający. Wynikałoby ztąd, że żydzi poznańscy, otrzymawszy naprzód potwierdzenie przerobionego przywileju Bolesława, wyprosili następnie koncesye objęte w art. XXXI do XXXVII, w formie edyktu do wojewodów, starostów, burgrabiów i ich oficyalistów.

[1]) Obacz rozprawę: *Statuta nieszawskie*, Warszawa, 1875, str. 30—52.

[2]) Dr. Perles, *l. c.* str. 33 i nast.

koma przywilejami, tedy i układ całego dziś znanego aktu, został w tym samym celu powoli przysposobiony.

Wątpię, ażeby mając tak przygotowany przywilej, odziano go w formy uroczystego na pargaminie spisanego aktu, z zachowaniem wszystkich form urzędowych; sądzę raczéj, że przedstawiono urzędowi *Akt grodzkich poznańskich*, kopią jego, jakoby zdjętą z oryginału zatraconego i postarano się o wniesienie jéj do tychże akt.

Wiadomo zresztą, że podrobione oryginały i kopie podawane były do oblaty, niekiedy do akt a nawet do akt metryki koronnéj, aby tym sposobem nadać im walor dokumentów autentycznych, co mogło i tutaj mieć miejsce.

Dopiéro otrzymawszy wpis i wyjąwszy z akt grodzkich formalnie poświadczoną kopią oblatowanego w nich przywileju, stawiono się w stosownie upatrzonéj chwili przed królem Zygmuntem Augustem z prośbą o zatwierdzenie przywileju, co téż nastąpiło, jak świadczy poprzednio opisany dokument z r. 1548.

Doprowadziwszy wywód nasz co do przerobionego przywileju Bolesława, aż do tego stanowczego w jego losach punktu, rzućmy jeszcze raz pobieżnie okiem na koleje, jakie dostały się w udziale tak przywilejowi oryginalnemu Bolesława, jak i przywilejowi przerobionemu.

Przywilej oryginalny, jako wyłącznie małopolski, zatwierdzony naprzód przez Kazimierza Jagiellończyka z przedstawionego mu oryginału, znowu z oryginału zyskuje potwierdzenie Zygmunta I (1531), potém Zygmunta Augusta również z oryginału (1559); następnie potwierdza go jeszcze Władysław IV (1632) i Jan Kazimierz (1649) i to zawsze tylko na korzyść żydów małopolskich.

Nierównie świetniejsze ma powodzenie przywilej przerobiony, wielkopolski, potwierdzony naprzód z kopii przez Zygmunta Augusta (1548) i przez Stefana Batorego (1580). Zyskuje w tém samém potwierdzeniu moc obowiązującą w płockiém i co większa, w tém potwierdzeniu nazwany już przywilejem służącym zarówno żydom wielkopolskim i małopolskim. Zygmunt III rozszerza moc jego obowiązującą na Wschowę (1592), nazywając go podobnie przywilejem dla żydów siedzących w Wielkopolsce i Małopolsce, co także czynią Władysław IV (1633) i Jan Kazimierz (1649) w swoich zatwierdzeniach. Stanowczo jednak zmienia się przywilej wielkopolski na ogólny dla całego kraju, dopiéro w zatwierdzeniu Michała i Jana Sobieskiego; w obu tych potwierdzeniach powiedziano bowiem, że wydają się na prośbę syndyków generalnych żydów, działających w imieniu starszych wszystkich zgromadzeń żydowskich w całém Królestwie.

Tak przywilej wielkopolski powoli i stopniowo rozszerzając moc swą obowiązującą na strony początkowo nim nie objęte, przybiera z początku mimochodem nazwanie jakoby przywileju obejmującego Wielko- i Małopolskę, aż nakoniec otwarcie występuje w znaczeniu przywileju ogólnego, spychając na bok i poddając w zapomnienie przywilej mało-

polski. Tak przynajmniéj przedstawia się cały przebieg jego postępów, na podstawie dokumentów, które zgromadziliśmy.

Dla uzupełnienia tego wywodu, nie odrzeczy byłoby porównać we wszystkich szczegółach przywilej początkowy Bolesława, który przez długi czas, zamieniwszy się z przywileju wielkopolskiego na małopolski, pozostał wyłącznym przywilejem Małopolski z przywilejem przerobionym wielkopolskim; wszakże wymagałoby to wdać się w objaśnienie znacznéj liczby szczegółów, co może być jedynie przedmiotem osobnéj, obszernéj pracy, a co w części dopełnił już w ogólnych zarysach dr. Gumplowicz, w tém tylko różniąc się od poglądu naszego, że przerobienie przywileju Bolesława przyznaje Kazimierzowi W. [1]).

Przy téj sposobności musimy wyznać wraz z dr. Gumplowiczem, że przywiléj przerobiony, w wielu względach nosi na sobie cechy postępowych dążności, które go znakomicie wyróżniają od innych tego rodzaju współczesnych aktów.

Zresztą odkryć się jeszcze mogące pomniki, może nakażą z czasem zmienić w niektórych szczegółach nasz wywód, za to jednakże, nie możemy być odpowiedzialni. Dzieje się to ciągle w badaniach naszych historycznych, które dla braku materyałów, w miarę jak się odkryją nowe źródła, potrzebują uledz przerobieniu.

Może téż bystrzejsze oko i świeższy umysł, wyprowadzi i z tego co mamy pod ręką, więcéj uzasadnione wnioski; będzie to nas o tyle cieszyć, że z naszéj strony przyłożyliśmy się choć w części do zwrócenia uwagi na jednę z nader ciekawych i zawiłych kwestyi historycznych.

Tym, którzy raczyli nam dostarczyć nieznanych dokumentów, składamy w końcu najczulsze dzięki.

W październiku 1879 r.

---

[1]) I. W. A. Maciejowski w pracy swéj: *Żydzi w Polsce, na Rusi i Litwie*, Warszawa, 1878, zestawia także rozporządzenia obu przywilejów, str. 16—27. Sternberg: *Geschichte der Juden in Polen*, Leipzig, 1878, podaje tylko same teksta przywileju oryginalnego i przerobionego, ze wstępami Przyłuskiego, jako materyał do dalszych badań.

# CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEŃ O CNOCIE *).

PRZEZ

*Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.*

## IV.

### Koniec świata starożytnego.

Już w drugim wieku po Chrystusie, zaraz w pierwszych latach za cesarza Trajana, sprawował świat starożytny sąd nad samym sobą i wydawał wyrok. A wyrok wypadł: winien. Dawne ideały spełzły i zbladły, nowe utorowały tylko drogę dla nudy i niesmaku. I to co stare złém było, niedobrém to co nowe i nie zostawało poecie i historykowi nic, jak wszystko potępić i wszystko oskarżyć. Tacyt wywołał przed swój trybunał wszystkich, prędzéj jeszcze pochwalał to, co trąciło starą rzymszczyzną, to co pachniało stoicyzmem, ale i to wreszcie rubaszne, dzikie, albo pedantyczne i udane, a zawsze niewiele warte, zdaleka godne poklasku, zblizka raziło. Można było chwalić i czcić dawne Katony surowe i niezużyte, ale niestarczyło już poklasku dla ostatniego cenzora Romy, dla samego Tyberyusza i gdy od drugich wymagał starych obyczajów, zwał się okrutnym; gdy sam się uwalniał od dawnéj etykiety, otrzymywał nazwę rozwiązłego; śmiesznym był tylko Klaudyusz, gdy przywracał dawne obrzędy, pozbawione już znaczenia; zbrodniarzem Neron, co w miejsce rzymskiego ukochał grecki obyczaj. Wszystko, wszystko bez treści było, a jeśli jeszcze gdzie żył człowiek zacny, z którym warto być w przyjaźni, smutno mu było i wlókł się z pałacu do pałacu sentymentalnie, słuchał szumu mórz, kazał Grekom czytać sobie księgi różnorodne, nudził się, nudził śmiertelnie i kończył samobójstwem. A mówił o rzeczypospolitéj, jako o rzeczy trwającéj jeszcze i żywéj, choć był niewolnikiem drżącym cezara na Palatynie i wiedział o tém aż nazbyt dobrze, że sam gra kłamaną rolę wśród kłamanéj życia komedyi.

Obok Tacyta drugim sędzią konającego świata Juwenalis, ze wszystkich poetów Rzymu, obok Lukana, ten co czuł najwięcéj. Na wsi gdzieś znał jeszcze Juwenalis ludzi, co żyli zdrowo, nie o brzuchu tylko myśleli, nie pletli darmo próżnych słów o obowiązku,

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za styczeń r. b.

przeczywając cnotą to, co występném było samolubstwem; na wsi znał jeszcze Juwenalis ludzi, którym nie służyli syryjscy długowłosy chłopcy, zepsuci przed czasem przez wolę wykwintnego pana i ludzi, co woleli strawę zdrową nad koncepta rzymskie, słowicze języki, pawie móżdżki, papuzie wątróbki, cenne dlatego tylko, że drogie; ale czémże było owo życie po starych miastach prowincyi, kędy trawa rosła wśród bruku, gdzieś daleko od Rzymu—serca i mózgu świata, w którym tętniło znudzone życie, karmione sokami wszystkich ludów świata? Cieniem, wspomnieniem, konaniem tylko. A w Romie wszystko złe: złą kobiéta, co po staremu chowana przędzie i z mężem mówić nie zdoła zabawnie; gorszą oczytana, co po Egiptach i Grecyach jeździ, wydając doma kapryśne rozkazy, nie dbając o dzieci, co chwila męża otruć gotowa. Konsularni mężowie trudnią się tém, czém powinien się trudnić tanecznik syryjski, albo masztalerz tracki i zamiast podbijać narody, tańczą *nago* wieczorem, albo sypiają w stajni, a gdy się uda, rozbijają po nocy dla zabawy. I językowi nowożytnemu niestanie słów, by powtórzyć gniewy Juwenalowe.

Jednak, jednak i Tacyt wiedział, że są jeszcze ludzie dzielni, jak Agrykola, którzy póty służą rzeczypospolitéj na czele legionów, póki ich z chlubnéj służby nieodwoła kapryśna zazdrość despoty; ludzie, którzy potém zdaleka zarówno od spisków i od dworu żyją, jak mogą z godnością i uczciwie, dbając o żonę i dzieci i niechcąc niewolników krzywdy, a zabijając czas mądrością grecką póty, póki cezar nie poda puharu trucizny, albo nie każe sobie żył otworzyć w łaźni, zapragnąwszy mienia i hańby córek. A czasem szczęśliwsi mogli umierać w starości bezczynnéj, mogli się doczekać zawsze drogiego Rzymianom cesarza wojownika, coby nowe podbił kraje i mogli w pokoju marzyć o bogów tajemnéj naturze, o losów wszechmocy i o narodach Północy, u których wiara, bogi, rodzina i wolność nie były czczemi słowami i u których żyła jeszcze naprawdę szorstka cnota, do starorzymskiéj podobna.

A jednak Juwenalis miał także ideały i przyjaciół, co ten ideał rozumieli. Litość była mu świętą, litość, o któréj stary Rzymianin i słyszéć nie chciał. Igrzysk ludobójczych, na które lud patrzał, drżąc z brzydkiéj uciechy, zabobonów zwierzęcych, z których uleciała dusza, a których ciało brzydkie świat jeszcze kaziło, nie chciał Juwenalis. Niewolnik był mu człowiekiem, a na ojców wołał, by czcili w dzieciach swoich przyszłych ludzi, a może już widział w duszy i niewiasty ideał nowy: żonę, co dzieli męża troskę, matkę, co rozwija dziecka duszę ku miłości ludzi; wdowę, co się modli do samotnego, wielkiego, nieosobistego Boga, Pana wszechrzeczy i dusz miłośnika. Do tego już tęsknił, a tego mu nie dawały ni Rzym ni Grecya. A wraz z Juwenalisem tęskniło mężów wielu, a niewiast więcéj jeszcze.

Siadywały jeszcze czasem przy kądzieli Rzymianki, i bywało, że sam imperator i August chodził w szacie, którą mu żona uprzędła. Ale czuły, że cnota ich i pobożność tylko uśmiech wywołują na mężów usta, a że czyn mężny sprowadzi naganę. Słyszała Rzymianka wciąż,

że stare podania o wierze baśniami tylko, a nie mogła zasmakować w teoryach filozofów i dlatego, że ich zrozumienie wymagało wielkiego myśli wytężenia i dlatego, że prawie wszystkie wylęgły się w głowach męzkich tylko i przemawiały do hartowniejszéj męzkiéj dumy, a prawiły o tém, jako człowiek we wszystkiém miał szukać złotéj miary, panować nad sobą, rozumować i tłumić uczucie. Kobiéta od świata początku chce ufać, wierzyć i czuć gorąco; kto jéj każe rozumiéć tylko, ten albo pozostanie niesłuchanym, albo zyskawszy posłuch, z uczennicy uczyni nie już niewiastę, ale raroga.

Kapłan rzymski: augur, flamen, albo imperator, uczynił z wiary swéj polityczny tylko przyrząd; filozof podał niewieście suche abstrakcye, albo przepisy samolubstwa męzkiego. Tylko hierofant, albo apostoł ze Wschodu dawali jéj to, czego jéj dusza łaknęła. Do Rzymu ciągnęli bogowie z Indyi, z Persyi, z Syryi i Egiptu. Ten z mężów, co jeszcze nosił rzymską togę i ten, co przyoblekł chlamidę długą greckich filozofów, uśmiechnął się zrazu niechętnie na widok tych poczwar barbarzyńskich, co przychodziły zasiadać przy ognisku domowém Rzymianek, dziwiąc ludzką postacią o zwierzęcéj głowie. Nie piękne to bogi były, ale kapłani ich ręczyli, że one prawdziwe, że dadzą pomoc i dadzą pociechę, a niewiasty téj tylko pragnęły poręki. Wychodziły na płaski dach włoskich domów opłakiwać Adonisa syryjskim obyczajem; ku czci egipskiéj Izydy ciągnęły za miasto, gdzie się bratały z niewolnikami, zapominając o czci rzymskiéj matrony, matki i żony tych, co światem władną; piła matrona ze świętéj czary Ormuzda, ufna w błogosławieństwo przyszłe, szczęśliwa myślą, że Mitra o mieczu ognistym obroni ją przeciw napaści Ahrimanowéj, a może nawet słuchała, jak żebrak w żółtym płaszczu prawił jéj długo o spokoju miłosiernym, który Budda ludziom dał, zwyciężając śmierć pod figą indyjską.

Ze wszystkich narodów najbardziéj w pogardzie byli żydzi, a to za to, że sami choć pokonani i rozproszeni, zwycięzcami swymi gardzili. Mimo to i żyd niewolnik, albo żebrak, znajdywał posłuch u Rzymianki możnéj. Nie byłci to zwykle żyd prawowierny, co mimo klęsk wielu, mimo upadku państwa, wierzył zawsze jeszcze, że wnukowie Abrahama posiędą fizycznie wszystkie role świata. Bywałto najczęściéj człowiek ubogi, którego się żydzi wyparli i którego prześladowali i co zachodził między niewolników pańskich i opowiadał im o tém: że jeśli będą cierpliwi i potulni, dostąpią niebawem swobód i rozkoszy, o których się nie śniło ich panom. Za te powieści dzielili się niewolnicy z żydem tém co mieli i wtedy okazywało się, że żyd ów o pokrwawionych stopach nie dzielił uprzedzeń swego ludu i ukochał w Rzymie wszystkich zarówno i panów i sługi, i okazało się, że niewolnik, co z nim obcował, był lepszym, jak wprzódy. Wreszcie wieści o włóczędze, co goił dusze, a często i ciało dotknięciem tylko i słowem, doszły pani, pragnącéj cudów i nadprzyrodzonéj pociechy, i siwy, bosy żyd, co

przywędrował gdzieś aż z Judei, bywał puszczanym ukradkiem do pokoju pani saméj.

Tu niejeden guślarz, niejeden prorok zaszedł był wpierw; tu święcono już niejeden stary wschodni zabobon; i pani pewna była, że ujrzy gusła lub czary, z tych, w które człowiek czasem chce wierzyć i udaje, że wierzy. Ale zamiast czarów i wróżb opowiadał obcy opowieść o rzeczach, co się stały przed kilkoma laty i których był sam świadkiem. Przed laty, mówił, zarabiał na chleb w Galilei, gdy raz usłyszał naukę młodego nauczyciela, Jezusa, co zamiast dumy żydowskich uczonych, niósł wszystkim, i grzesznym i poganom miłosierdzie. Porzucił, wzruszony słowem nauczyciela, dom swój i rzemiosło, opasał biodra i chodził odtąd za Jezusem z miejsca na miejsce i słuchał jak nauczał, widział jak dotknięciem uzdrawiał chorych, jak słowem wyganiał złe duchy z opętanych, ukajał burze na jeziorach Palestyny i nawet wskrzeszał umarłych. Widział napewno, jako świadek, że Jezus przemienił się na górze Tabor w sposób przedziwny i promienisty, i że chodził po wodzie. Wiedzał tedy, że za życia pokolenia, w którém żył, chodził po ziemi człowiek-Bóg, syn Boga pierworodny.

A gdy pani ze zdziwieniem słuchała niebywałéj a tak pewnéj siebie wieści, prawił daléj o tém, że kłamstwem baśnie wszystkie o różnym różnych narodów początku, o tém, że jednych wydała ziemia, innych morze, a innych bogowie zrodzili. Wszyscy, i żydzi i Rzymianie i inni, ile ich było, choćby nawet do zbytku uczeni Grecy, pochodzili od jednych rodziców, stworzonych przed wieki przez jedynego Boga: od Adama i Ewy. Wszyscy ludzie tedy braćmi, i wszystkich stworzył Bóg nieśmiertelnymi i szczęśliwymi; ale przez grzech pierwszych rodziców wszyscy upadli, i ztądto wzięły się: śmierć i nieszczęście, co nęka i bogatych i ubogich zarówno. Oto Syn człowieczy przybył na to, by ludzi uwolnić od śmierci i cierpienia. Wielu już i na Wschodzie i na Zachodzie mówiło o sobie, że po to przyszli. Ale oni omylili nadzieję tych, co uwierzyli w nich, bo ludźmi tylko byli, jako téż i świadczyli o sobie, że ludźmi tylko są. Jezus zaś, którego zwano Chrystusem, przyszedł ziścić wszystkie ludów proroctwa i posiadł moc, aby je ziścić, albowiem On był Bogiem owym jedynym, co zestąpił na ziemię, cudem wszechmocy swojéj a k'woli swojéj Wszechmiłości. I chcąc jedną ofiarą uczynić zadość za zło i grzech, On, Bóg, postanowił umrzéć śmiercią haniebną za prawdę; i żydzi, którzy nie chcieli uznać Zbawiciela swego, umęczyli Go na krzyżu, ale tym właśnie najwyższym grzechem sprowadzili zbawienie rodzaju ludzkiego. Jezus bowiem umarłszy, zmartwychwstał trzeciego dnia i tém samém zwyciężył śmierć nazawsze. A o tym najdawniejszym ze wszystkich cudów, mógł żebrak świadczyć napewno, skoro sam na własne oczy widział i umarłego, i zmartwychwstałego; skoro widział, jak wstąpił na niebiosa.

Nigdy jeszcze Rzymianka nie słyszała o tak niepojętym cudzie, jak śmierć Boga jedynego, a jednak, choć niemało mawiała z kapłana-

mi wszystkich wiar, nie słyszała, by kto o świętéj tajemnicy mówił, jako świadek naoczny. I gdy raz zrozumiała rzecz dziwną, uwierzyła i w to, co daléj szło; w to, że kto w Chrystusa uwierzy i drugim będzie czynił, coby chciał, aby jemu czyniono, ten po śmierci, jak Chrystus, w chwale zmartwychwstanie i zamieszka w królestwie niebieskiém, kędy On sam każdą łzę obetrze. Trudném było w krzyż uwierzyć, i sam apostoł czy uczeń Chrystusa mówił, że i w nim zachwiała się wiara, zanim jéj Chrystus ogniem świętym nie utwierdził, zanim go nie przejął łaską swoją, co zeszła na jego skronie widomie, w postaci ognistych języków. I on prostak, co szedł nawracać mądre świata narody, był cudem wielkim łaski Bożéj, i cudem widomym. Tak miał Chrystus cudem utrzymać Kościół swój; tak miał na świadectwo prawdy słów swoich zburzyć Jerozolimę, zanim to pokolenie przeminie; tak miał wreszcie ziemię zniweczyć i niebo zwinąć, jakby zwitek jaki, i dźwignąć Jerozolimę nową dla tych, co uwierzywszy w jego słowa, nie nieśli ofiar bogom kłamliwym, nie szli na krwawe lub sprośne igrzyska pogan, mówili prawdę i czynili miłosierdzie.

Czasem pani zaśmiała się z szaleńca; czasem uwierzyła weń, przyjęła chrzest, wyspowiadała się z grzechów swoich i łamała chleby i spożywała w tajemnicy cudownéj, wraz z niewolnikami swymi Ciało i Krew Pańską. Odtąd samą nie była i wiedziała, że Chrystus jest przy niéj.

Neron dla zabawy palił owych wyznawców nowéj wiary, gniewając się za to, że nie uczestniczyli w ucztach, które sprawiał ludowi. Żydzi donosili ciągle Rzymianom, że Nazareńczycy czyli Chrześcianie mącą pokój państwa. Ale proroctwo jedno spełniło się: nim minęło pierwsze pokolenie, i Jerozolima runęła w strasznéj walce z Romą nieugiętą; Tytus patrzał na płomienie co pożerały świątynię, a chrześcianie wskazywali żydom i poganom na spełnienie przepowiedni i wołali, że już blizkiém przyjście Syna człowieczego, że świata koniec nadchodzi. To téż mnożyli się z dniem każdym wyznawcy nowéj wiary, a jeśli mistyczne obietnice nawracały serca kobiét i cieszyły niewolników, mężów przekonywała nieraz wielkość nowéj filozofii chrześcian, co pewniejszym głosem i bez wahania stwierdzała to, o czém Plato i Arystoteles marzyli niepewnie, i co do teoryi dodała naukę o nowéj cnocie i nowém męztwie; nie o tém, o czém niewolno już było marzyć niewolnikom Cezara, ale o tém, co było dostępne dla wszystkich, wszędzie i po wszystkie czasy, a przecie nie było misterném samolubstwem Epikurejczyków i Stoików. W obszernych cmentarzach rodzin możnych chowano ciała chrześcian, oczekujące zmartwychwstania; po oratoryach domów senatorskich, a w czasie niepokojów w tychże cmentarzach podziemnych schodzili się Nazareńczycy dla modlitwy, dla święcenia tajemnic i dla słuchania nauki starszych i nadzorcy czyli biskupa, ale nauka ich rozdwoiła się zawczasu i nie zawsze była jednakową.

Marcyon, Bazylides, Manes, Walens i inni tak na Wschodzie jak w Afryce uczyli, że Bóg stworzył przedewszystkiém duchów tylko, sam

świat anielski, a że pośród duchów tych, jeden Demiurg uczynił, czy też oponował materyą, i z tego co nie jest wyrobił cały świat zły i kłamliwy, świat ciemności, ciężkości i śmierci. Ów Demiurg czyniąc to, uczynił źle i stał się wrogiem Boga i tym, co skaził dobry Boga świat i wielką duchów harmonią. Myśli Bożéj wydrzyźnia się dzieło Demiurga, a iskrę z Bożéj myśli chwycił duch potężny a nieczysty i zakuł w ciało, tak, że ciałem pokryta zbudzić się nie mogła, nic przejrzéć nie mogła i znać świata nie mogła. Ale dzieło złe uległo mocy Bożéj i myśl ukryta musiała się wydobyć z ciała, choć Demiurg chciał by w niém wiecznie śniła i choć chciał, by ciało wszelkie lubo kłamliwe, trwało po wiek wieków żywe i świeże i młode. Nie przeszkodził temu duch zły, by drzewo nie wyrosło wśród ogrodu cielesnych rozkoszy, w którego owocach ukryte były dwa datki oswobodzicieli: poznanie i śmierć co ciało łamie; i nie przeszkodził temu duch zły, by słowo Boże, by myśl Bożéj myśli, by królowa, owa dusza, co po części w ciałach ludzkich pokutowała, schwycona złego podstępem, nie przybyła do raju w postaci pozornéj, a nie rzeczywistéj węża, i nie namówiła pierwszych ludzi by spożyli początek swego zbawienia w postaci owocu z drzewa poznania i śmierci.

Wielkim był gniew Demiurga, gdy ujrzał, że duch więziony poznawać zaczyna. Wysłał jednego z aniołów swoich z ognistym mieczem, by wygnał z raju rodziców pierwszych i znękał ich chorobami, trzymając w wiecznéj przed sobą trwodze, i nie chciał im dać umrzéć, jedno dał im się mnożyć, chcąc dla pomsty swéj miéć w niewoli ciało, cały ród duchów wiecznie udręczony. Ale myśl i prawda zbudziły się w Kainie i brat zabił brata, a stanęła wśród ludzi śmierć oswobodzicielka. I odtąd zaczął się bój długi Demiurga z duchem. Oto on dla ziemi wymyślił różne podstępy: uczynił królestwa potężne, sztukę rozkoszną i bogactwo wszelkie; obrał sobie naród żydowski ku narodów potępieniu i uwiódł Mojżesza na górze Synai zakonem kłamliwym i cielesnym. Ale duch rozbudzony i śmierć działały na świecie ku dalszemu ciała przemienieniu. Platon i Pitagoras, Zoroaster i Budda zjawili się u różnych narodów, a nawet duma cielesna podbójców mnożąc na ziemi cierpienie, gotowała grzechów odpuszczenie i poznanie prawdy. Najpierw w Indyach, potém w Grecyi zjawili się ciała wzgardziciele, poskromiciele woli, myśli miłośnicy, duchy co w ciele chodziły, ale nie należały już do ciała. Pokolenia wciąż się odradzały, duchy te same wciąż się wcielały, ale coraz słabszém było ciała panowanie; i wreszcie nawet w saméj Demiurga stolicy, w Judei, gdzie czczono kamienne zakonu tablice i gdzie ślepo słuchano kłamliwego prawa, zjawili się Esseńczycy głoszący pokutę—i zjawił się wreszcie Chrystus, duch, co uwolniony od ciała przybywał w ciele dla drugich zbawienia; i myśl myśli Bożéj i Słowo przedwieczne skonało na krzyżu, i zmartwychwstało nie w ciele już, ale w uwidomionéj myśli Boga o człowieku. Przyobiecało Słowo, że przyśle ducha, że przyśle miłość

i zlanie się z Bogiem i uleciało, a odtąd świat widomy, ciężki, cielesny na śmierć zasądzony, czeka chwili, w któréj pryśnie i w któréj duch sam i czysty uniesie się wśród przestrzeni, taki jak ten, o którym prorokował Platon przed wieki.

Takiemi i podobnemi były nauki tych, co chcieli wiedzieć, czyli rozumieć a nie wierzyć i których przeto od słowa greckiego gnôsis, rozumienie, przezwano gnostykami. Zresztą, jak to być musiało tam, gdzie rozum ludzki budował sobie samowolnie wiarę z dziejów, ze wszystkich objaśnień pogańskich i z ewangielii w znacznéj mierze przerabianych; były tych gnostyków najróżnorodniejsze odcienia. Niektórzy nie odrzucali Mojżesza i proroków i wraz z katolikami widzieli w nich zwiastunów Zbawiciela, nie wyrzekając się zresztą wiary w świat zły, stworzony przez złego ducha; inni wierzyli w to, że Bóg sam był początkiem i złego i dobrego; jedyny wprawdzie ducha i ciała początek, ale duch żyjący sam z sobą w niezgodzie i wojnie, którego prawica lewicy przeczyła. Byli wreszcie tacy, którzy wierzyli, że przybył już i po Chrystusie wyższy od niego iściciel Manes, co wszystkie pogodził wiary i uczynił pokój między ciałem i duchem, dając panowanie słońcu, Mitrze, co jest ciałem—duchem i obydwu sprzecznych żywiołów zgodą i doskonałością. I jako sprzeczne były ich nauki o początku i końcu rzeczy i o dziejów przebiegu, tak i życie ich bywało różném, a spory ich były głośne. Wszyscy zarówno nienawidzili ciała, mienili ten świat złym i pragnęli albo śmierci jego, albo przemiany. Wszyscy zarówno mówili, że ciało, namiętność i pokusa i nawet wola własna jednostki, jeden mają początek w złym wszechrzeczy stworzycielu, i że tylko duch i myśl, królowa, jak ją wołali zgodnie, mają swój początek w Bogu i tylko pozornie od Boga ciałem i wolą osobistą oddzielone, póty trwają w obłędzie i męce, póki nie dostrzegą, że wola ta i ciało owo kłamstwem i ułudą nasłaną przez złego ducha. Ale podczas, gdy jedni na wzór indyjskich myślicieli rozpoczęli walkę na zabój z ciałem, żyjąc w samotności, uciekając do pustyni, wstrzymując się od wszelkiego mięsa, nie zakładając rodziny, zabijając wolę i ciało mękami różnemi, myśląc nawet o tém, jakby się stać do zwierząt podobnymi, aby zabić ciało, ludzkość i świat i zamieniając padoł ten w cmentarz, zniszczyć siłę Demiurga, spartą o życie i wolę ludzkości; inni mówili, że dość wiedzieć, że ciało i myśl każda ziemska kłamstwem, by dostąpić zbawienia. Jedni wychudli i niedostępni, samotni ździczali kaleczyli się, chodzili na czworakach wlokąc łańcuchy, albo wreszcie popełniali gromadnie samobójstwo, skacząc z przepaści do morza, paląc się w domu modlitwy, albo idąc z pieśnią do świątyń pogańskich, by tam znieważyć posągi i sprowadzić na siebie karę świętokradzców; drudzy zaś pili i jedli, zataczali się pijani po ulicach miast mnogich rzymskiego cesarstwa, gonili za rozpustą wszelką, tak przyrodzoną jak sprzeczną naturze, zabijali przyjaciół i wrogów zarówno, i wśród zepsutego świata dziwili wszystkich zepsuciem, twierdząc, że ciało złe i chuć zła winne służyć Stwórcy swemu, byleby duch służył

Bogu w modlitwie nocnéj, w zachwytach mistycznego pijaństwa i w spekulacyach filozofii spartéj niby na teoryach Platona, a niby na nauce ewangelii.

Taką była wówczas połowa może coraz liczniejszego Kościoła i ona to gorszyła i gniewała pogan i sprowadzała na chrześcian prześladowanie najlepszych nawet cesarzy, nieumiejących rozpoznać różnicy między różnemi wyznaniami nowéj wiary. Zresztą nauka katolików niewiele się różniła napozór i dla oka pogańskiego od tego, w co wierzyli surowsi gnostycy, i można i im było zarzucić niepojęte dla klasycznego pogaństwa stronienie od ludzi.

Zwano ich katolikami dlatego, że w całém państwie czy świecie, jak przezywano państwo Rzymskie kath' olon kosmon, nauczali i mówili zupełnie jednakowo w przeciwieństwie do gnostyków, których sekta każda istniała tylko w jedném mieście lub co najwięcéj w jednéj prowincyi. Tak jak uczył biskup w katakumbach w Rzymie, tak uczyli biskupi ich wszędzie w państwie i wszyscy wymagali nie wiedzy, jedno wiary. To co Chrystus objawił, to co apostołowie po ziemi roznieśli, było zgodném z rozumem ludzkim, ale na to, by to zrozumiéć, trzeba było najwpierw uwierzyć i zrzekłszy się wszelkiego dociekania, usłuchać w pokorze i prostocie głosu biskupów i kapłanów. Kogo sobie Chrystus wybrał, temu dał łaskę nawrócenia, tego potém przez obrzęd chrztu oczyścił od zakały grzechowéj, odziedziczonéj po pierwszych rodzicach. I potém wciąż dawał Chrystus z nadmiaru zasług swoich łaski nadprzyrodzonéj i cudownéj, co umożliwiało i wiarę i cnotę. A kto tego chciał, tylko ten łaski dostąpił wyznając grzechy swe, żałując za nie i przystępując do sakramentów i ofiar tajemnych. Rodzaj ludzki zwątpił był w cnotę i szczęście, a oto chrześcianom zwiastowano, że lubo człowiek cnoty i szczęścia nie dostąpi dla własnéj zasługi, Bóg jedno i drugie da mu darmo z łaski. A nie był to bożek żaden; w bożków mężczyzni już wierzyć nie chcieli, ale nie trudno było wówczas i najmędrszym uwierzyć że Duch, Myśl i Wola czy Byt, Wiedza i Miłość, czy Początek, Trwanie i Koniec, to wszechrzeczy najwyższa Istota. Że jéj tchnienie istotą aniołów i ludzi, co w Trójcy téj uczestniczą; że Duch sam jest bytem i początkiem; że Myślą czy Słowem stworzył świat, pomyślawszy tylko o wszechrzeczy postaci i barwie, o odgłosie i dotknięciu, o przestrzeni, czasie i liczbie; że w Myśli spełnił czyn Woli i że Wolą rządzi świat, że świat przez Słowo tylko istnieje i że w chwili, w któréjby Duch Ojciec Myśl i Wolę, przez Myśl i Wolę od świata odwrócił, światby istniéć przestał. Wierzył każdy bez trudu, że Myśl to Wiedza, i że w téj Wiedzy rzeczy Trwanie, i że Wiedza czy Słowo w ludzkości przebywa, a wcieliła się raz, by ludziom dać uczestniczyć w prawdzie i to nie było niedocieczoną tajemnicą, że Wola Boża Miłością wieczną dla duchów wszystkich, co z tchnienia Jego i Jego istoty, co synami Ojca Przedwiecznego, a braćmi Słowa i uczestnikami w Słowie; i wiara ta wielką pociechą była.

Duchy, co stanęły wśród stworzenia, mogły miłować Boga i miłością być szczęśliwémi w jedności wszechświata, ale mogły także ślepo

ukochać siebie i ciało, do którego zstąpiły i tém samém zerwać łączność świata i harmonią rzeczy. Najpierw niecielesne duchy ukochały siebie tylko, uwiedzione przez Szatana i stworzyły nieszczęście swe, a potém za sprawą Szatana zgrzeszyli Adam i Ewa i stworzyli śmiertelność ciała. I odtąd ludzkość grzeszyć musiała, pogrążona w sobie; odwrócona od Boga, popadła w wiekuiste ciemności i po śmierci czekała każdego śmierć tylko wieczna, aż Chrystus zstąpił i bawiąc w ciele, zbawił rodzaj ludzki; Jego cnota nieskończona zrównoważyła grzech samolubstwa pierworodny i On dał wszystkim uczestniczyć w łasce swéj. Wola ludzka mogła znów się stać w pokorze Wolą Bożą, Słowem przedwieczném, człowiek mógł znów dostąpić szczęścia wiekuistego i wspólności w panowaniu bez końca i w światłości, co nie gaśnie.

Kto wraz ze mną przeszedł przez kartki téj książki, kto ze światem pogańskim wszystko przebolał, pojmie jaką dobrą wieścią było dla Rzymian Chrześciaństwo i jaką mądrością było dla Greków. Wszystkie umysły, oddane więcéj myśli i tęsknocie, wszyscy nieszczęśliwi, którym świata nie starczyło, wszyscy ci, co w coś wierzyć i co ukochać chcieli, lgnęli do nowego zakonu, albowiem jarzmo Chrystusowe lekkiém było, gdy je porównasz do tego, czego chciał Platon, czego żądali Stoicy od mędrca swego. Dość było ukochać Boga nowego nadewszystko, a bliźniego, jako siebie samego, stronić od ofiar i igrzysk krwawych, lub sprośnych, co oddawna odstręczały od siebie wyższe umysły i prosząc Boga o to, by dał łaskę wytrwania pełnić obrzędy kościoła pierwotnego, a wiara, miłość i nadzieja dawały pokój i radość wewnętrzną, których świat pogański nie znał. Zresztą i nawrócony mógł żyć wśród rodziny swéj w używaniu mienia, a jeśli łaską nie wzgardził, sama łaska sprawiała, że był wierniejszym i lepszym małżonkiem, łaskawym panem i człowiekiem szczodrym, co nie za zbytkami gonił i zamiast tego, by się cieszył niedorzecznemi wydatkami, dowodzącemi bogactwa, był rad, gdy ze zbytków swych mógł ulżyć nędzarzom, albo uwolnić niewolników. Podobnież tylko za słodkiém dotknięciem Bożéj łaski poświęcali się niektórzy ze wszystkiem służbie braci, rozdawali mienie swoje między ubogich, i niezawiązując ziemskich ślubów oddawali się zupełnie pod rozkazy biskupa, jako kapłani, dyakoni, albo dziewice poświęcone Bogu.

Gdy Chrześciaństwo zaszło w świat rzymski, nie pędzili wszyscy do nowéj wiary, tak jak wtedy, gdy Szakya Muni zwiastował Indyom, że pokonał cierpienie. Tam królewicz nową naukę głosił, a tu przynieśli ją pogardzeni żydzi; tam mówiła o ofierze i pokucie, którą znała już dawna wiara i nie burzyła świątyń starych bogów, podając ludziom tylko społeczną równość, jako zawsze uroczą nowinę: tu stawała w sprzeczności z religią i przesądami świata starożytnego i jeśli jaką filozofią uświęcała, to nie tę, którą się Rzym i Grecya bawiły za cesarstwa: żadnej politycznéj, żadnéj społecznéj namiętności nie podchlebiało Chrześciaństwo, które polecało bierne dla władz posłuszeństwo we wszystkiém, co się nie sprzeciwiało woli Bożéj, a jeśli co utrudniało,

to tylko piastowanie wszelkich urzędów, choćby pokornego starszeństwa w rzemieślniczym cechu, bo urzędnik każdy winien był nieść bogom ofiary, w których nie było wolno uczestniczyć chrześcianinowi. Przeto szerzyła się ewangelia powoli i pocichu, ale kto raz zaznał chrześciańskiego pokoju i słodyczy chrześciańskiéj rodziny, ten gardził pustemi urzędami despotycznego państwa, w którém nikt już niémiał naprawdę ojczyzny, w którém narzekano na ciężar utrzymania rodziny i w którém każdy żył sam, jak ziarno piasku, bez związku wśród ruchomego tłumu ziarnek pustyni. Budaizm i Gnostycyzm zarówno chciały wszelkiemu społeczeństwu przeczyć i sprowadzić śmierć rodzaju ludzkiego. Chrześciaństwo podawało zbawienie wieczne, zestrajając na nowo rozprzęgnięte społeczeństwo. I dlatego Chrześciaństwo mogło się stać na nowo wiarą prawdziwą odrodzonych narodów.

Tymczasem ogromne, znudzone miasto i świat podbity, patrzały z nieufnością na żydowskie kacerstwo. Senat, choć w nim mało już było dawnych Rzymian, udawał, że wierzy w moc zaklętą miasta i póty udawał, póki naprawdę nie uwierzył. Bezprzykładna pomyślność podbijającéj Romy uderzyła wyobraźnią narodów tak mocno, że niedowiarkowie nawet wierzyli, że Victoria i Fortuna i Jowisz kapitoliński mają jakąś moc i że stare Rzymu obrzędy nadają wzgórzom siedmiu panowanie, co zapewnią pokój i pomyślność świata. Z niepokojem tedy patrzał każdy imperator dobry, z niepokojem patrzeli senat i świat na coraz to mnożące się tłumy tych, co od ofiar stronili i bogom bluźnili. Prawda, że oni chowali nie jednę cnotę starorzymską, o któréj zapomnieli czciciele Jowisza; prawda, że oni tylko dzieci nowonarodzonych nie podrzucali, żony poślubiali i chcieli, by się mnożyli Romy poddani, podczas gdy inni coraz rzadziéj mieli dzieci rodzić, radząc sobie jak mogli adoptacyą i oswobodzeniem niewolników. Ale cóż z tego, kiedy w każdym chrześciańskim domu gasł ogień Westy i ustawały obrzędy. Strach było, by zaklęcie co podtrzymywało świat, nie oniemiało i nie utraciło mocy, by nie zginęła Roma od bogów opuszczona i by z nią wraz nie zginął świat.

Tak myślał mąż stanu. Filozof, czy to Stoik, czy Epikurejczyk, czy Akademik wątpiący o wszystkiém, wtórował mu, gorsząc się zabobonem nowym, co stronił od światła dziennego, sprawował tajne jakieś gusła i odwracał ludzi od używania i dumy, co były filozofów cnotami. I filozof wskazywał imperatorowi myślącemu niebezpieczeństwo, co wzrastało dla państwa w miarę, jak coraz większa ilość ludzi i to często ludzi możnych, nie przyjmowała żadnych urzędów. Niebawem, mówili, niestanie w państwie obywateli: sami będą chrześcianie, co nienawidzą rodzaj ludzki.

A motłoch uliczny, zbieranina najszkaradniejsza, jaką kiedy świat widział, ludzi, co nigdy rodziny nie znali, krzyczał w głos: „śmierć chrześcianom!" Nie mógł im darować tego, że nie lubili igrzysk krwawych, nie mógł ścierpiéć ludzi, co nie wierzyli w bogi egipskie i syryjskie, wielkie gawiedzi ulubieńce, i żądał, by tych chrześcian pa-

lono, ścinano, wtrącano do kopalń i rzucano na pastwę zwierzętom drapieżnym. I nietylko źli, najlepsi imperatorowie czynili zadość tym żądaniom motłochu. Gawiedź, której zabawą były głupie pantominy i śmierć ludzi i zwierząt na arenie, rzucała się na domy chrześcian, znieważając dziewice poświęcone służbie Bożéj, a urzędnicy cesarscy więzili wszystkich, żądając złożenia ofiary Jowiszowi. Wielu ze strachu przed śmiercią, albo niewolą, albo życiem w kopalniach, wypierało się Chrystusa. Ale byli zawsze tacy, którzy wytrwali, którzy śpiewając hymny, z radością na twarzy, szli na śmierć okropną, pod szponami drapieżnych zwierząt, albo wśród powolnego ognia, ciesząc się, że świadczą Chrystusowi; inni wreszcie, a tych było najwięcéj, kryli się w podziemiach, lub uciekali w lasy i pustkowia oczekiwać w samotności przyjścia Chrystusa. I gdy każde prześladowanie minęło, wracali wierni do miasta, a ci co odpadli byli, odprawiali pokutę. Prześladowania te służyły do tego tylko, by rozgłosić naukę chrześcian i choć one coraz sroższemi były, coraz liczniejszą była gromada wiernych. Wreszcie cesarzowie musieli pozwolić na to, by kościoły budowano po rynkach i by chrześcianie, którzy byli w urzędach i wojsku, głośno swoję wiarę wyznawali. Pogaństwo klasyczne było tylko zbiorem luźnych zabobonów, podań i filozoficznych hypotez i nie wydawało się ani wiarą naprawdę, ani ideą żadną, gdy spotkało Chrześciaństwo. Niebawem najlepsi pisarze chrześcianami byli i nikt nie pisał tak wytwornie i rozumnie i jasno, jak: Justyn męczennik, Klemens z Aleksandryi, Tertulian i Orygenes; nikt nie posiadł tyle wiedzy, co oni. Rody możne tylko, staréj szkoły uczeni i świat urzędowy, stały po największéj części wiernie przy staréj wierze. Chrześciaństwo napełniało Wschód cały, a na Zachodzie nawet powstały kościoły liczne i widocznem było, że mieczem i prześladowaniem nowéj wiary nie zwalczy.

Wtedyto uciekło się pogaństwo do broni chrześcian, wtedyto zaczęto pisać pogaństwa obrony i myśléć o tém, jakby różne różnych ludów podania związać w system. Czego zamłodu nie uczynił świat klasyczny, to chciał uczynić na starość, gdy mu niestało już sił do życia, i znaleźli się filozofowie nowi, którzy w system jeden ujęli to, co się naprawdę w system ująć nie dało. Najgłówniejszym z nich był Plotyn, mistrz i założyciel Aleksandryjskiéj, czyli Neoplatońskiéj filozofii. Niczém nie wzgardził, żadnéj wiary, żadnéj filozofii, żadnego zabobonu nie ominął, by w imię starych bogów przeciwstawić Chrześciaństwu równie wykończoną wiarę i stworzył w enneadach swoich coś nad miarę sztucznego i nad miarę niezrozumiałego, coś, czém was na żaden sposób nużyć nie mogę, a co wreszcie było tylko nowém kacerstwem gnostyckiém, w którém tylko o Chrystusie nie było mowy. Bóg trójjedyny, grzech pierworodny, grzechów odpuszczenie i wzgarda świata odnalazły się wszystkie w nowéj teologii klasycznego pogaństwa obok wiary w metempsychozę i w przyrodzoną nierówność ludzi. Mojżesz, Zoroaster, Ozyrys, Budda, Brahma, syryjski Bóg-Przyroda, Pitagoras, Sokrates, Plato i Arystoteles, spotkali się zdziwieni z wiecznie

młodymi bogami greckiego Olimpu i ze stroskanemi cieniami ubóstwionych imperatorów Romy; i człowiek co myślał, że jest starożytnym Grekiem naprawdę, żył tak surowo, jak mnich chrześciański, bez mnicha chrześciańskiego pociech.

Świat był Jednością i na początku było Jedno; z tego Jedna wyszła Myśl, wyszło Słowo, a Słowo uczyniło świat, w którym przebywało jako Duch wszechmocny i wola bytu; zupełnie jak w Chrześciaństwie. Duch ten, ukochawszy ciało, stał się grzesznym i tylko odwróciwszy się od ciała mógł wrócić do szczęśliwości; im więcéj się w ciało pogrążał, tém bardziéj gasło jego światło, tém niżéj schodził w tworów porządku. Kto jeszcze blizkim był Boga, ten był hierofantem: kapłanem natchnionym, prorokiem, filozofem wreszcie, lub poetą takim, jakimi bywali starożytni; poniżéj szli królowie, wojownicy i prawodawcy; daléj szedł tłum robotników, do których teraz i rzeźbiarzy doliczono, widząc i w nich tylko naśladowców ciała i robotników złéj materyi; a poniżéj jeszcze żyły zwierzęta. Słowem, wskrzeszono dawną wiarę Pitagorasa i Buddy i przyobleczono ją w ciężkie szaty subtelnéj dyalektyki, co dowodziło wymownie, że nieda się o Bogu nic orzec, że najwyższa jedność nie jest ani dobrą, ani wszechmocną, ani wszechwiedną, ani istniejącą nawet, skoro to wszystko jest własnością istot ograniczonych, mnogich i przeto przyobleczonych choćby w ogniste tylko ciała; nawet i w tém był zbytek zuchwalstwa, gdy się o jedności najwyższéj mówiło, że jednością jest, boć i jedność przecie liczbą. Ona jest niezrozumiałą zupełnie i niepojętą, a jeśli ją przezywamy czasem Afrodytą boską i jeśli ją sobie wyobrażamy w postaci pięknéj bogini, o jakiéj śpiewał przed wiekami Homer, to oczywiście czynimy to tylko dowolnie: na to, by mdłym i przebywającym w ciele, uprzytomnić to, co się pomyśléć nawet niedało. Boć miłość owa niebieska, to tylko tęsknota za najwyższym Jednym, co płonie u wybranych, u wyjątkowych, u tych co żyją jeszcze w ciele, ale przebywszy długą przez ciało wędrówkę i wytrwawszy w cnocie, duchem tylko żyją.

Tacy, a takimi byli Plotyn i uczniowie jego, stronią od nieczystego tłumu, odwiedzają codzień inne świątynie, wędrując po świecie i słuchając świętych podań, albo nie opuszczając ołtarzy jednego bóstwa, zagłębiając się w starych pism mądrości. Postem, biczowaniem, samotnością i dobrowolném ubóstwem, gotują się do chwili, w któréj zgasną i złączą się z Jednością pierwotną—a czasem popełniają samobójstwo, by przyspieszyć tę chwilę. Do nich, jak niegdyś do Temistoklei i Pitagorasa, przychodzą ogniste widma bogów. Sen niby ich umorzy, niby opanują ich mdłości, a to tylko ciało ich słabnie, by zwolnić ducha, i wtedyto źrenica duchowa widzi najpierw mnogie koła barwne, a potém wśród nich, wśród pierścieni tęcz, barwne oblicze i postać ognistą mieszkańca niebios. Wtedyto język zdrętwieje, oko jak martwe stanie, piersi braknie oddechu, i gdyby nie pot rzęsisty a zimny na czole, myślałby każdy, co przechodził koło widzącego, że umarł. Ale rzadszém i szczęśliwszém widzenie inne, które się nieda wypowie-

dzieć mową ludzką; widzenie dane najmędrszym jako przedsmak szczęścia i widzenie najwyższego niewysłowionego Jedna! Kto jego doznał, ten bogom prawie równy.

Takąto wiarę głosili ostatni pogaństwa filozofowie, aleksandryjscy i ateńscy wszystkich wiar kapłani; a choć to była znowu wiara dana tylko kilku mędrcom, postanowiło pogaństwo raz jeszcze rozpocząć bój w imieniu tego objawienia wieczoru. I tą razą wystąpiło cesarstwo rzymskie z całą siłą którą władnąć mogło, z siłą co świat trzymała w uwięzi, i słała co lat kilka pogrom i przestrach między Persy, Sarmaty i Giermany; i legiony, i kaci wszyscy Rzymu, i cała misterna maszyna administracyjna imperyum została użytą na wytępienie i wykorzenienie nowego zabobonu. Ale okazało się po dwudziestu latach walki i ucisku, że i téj siły niestałoby, aby dokonać dzieła Dyoklecyanowego.

Zbyt wielkie państwa dziwią świat potęgą swoją, napełniają dzieje szczękiem oręża, dają panowanie i bogactwo narodowi, co je stworzył i zapewniają handlowi drogi mnogie i odbyt spokojny, a myślom nowym odpływ na wszystkie strony świata. Ludzkość mnożyła się pod berłem imperatorów rzymskich i wdzierała się tak w bory północne, jak i w piaski południowéj pustyni; i około stu milionów ludzi siadło dokoła morza Śródziemnego, i daléj w głąb' Północy po Dniestr, Men, Ren i szkockie góry, i miliony owe bawiły się przemysłem, znały sztukę i wymowę, i przyjmowały powoli a spokojnie nową wiarę. Ale są i wady wrodzone zbyt wielkim państwom i te wady wychodziły na jaw w cesarstwie założoném przez Italików.

Państwo takie staje się z konieczności despotyczném. Jeśli zostało założoném przez lud wolny i bitny, jest najpierw panowanie jednego narodu nad innemi i najgorszą tyranią—wyzyskiwaniem ciągłém krajów całych. Taką tyranią było panowanie senatu rzymskiego w ostatnich wiekach przed Chrystusem. Ucisk ten jednak sprzykrzył się prędko i wnet się okazało, że na to, by się państwo ostać mogło, trzeba było poddanych czynić współobywatelami. Rzym zmienił się wczas, nie straciwszy i piędzi ziemi, choć po nie jednéj śmiertelnéj walce. Ale skoro przemiana się dopełniła, przestał lud podbijający panować i przestał być wolnym. Niepodobna wtedy było wytworzyć ciał obradujących naprawdę swobodnie, i władza przechodziła z dniem każdym bardziéj w ręce panującego i nielicznéj jego rady. Senat słuchał skinienia imperatorów, skoro chodziło o sprawy sięgające poza okolice miasta.

Państwa zbyt wielkie są tedy grobem ducha wolności, a niebawem i czynnego patryotyzmu. Ludzie odwykają od obywatelskiéj służby a przywykają do służby dworskiéj i miejsce wojska patryotycznego obywateli, zajmuje najpierw wojsko poddanych a potém najemników.

Za dni ostatecznéj rozprawy pogaństwa z Chrześciaństwem, przeszedł już był Rzym wszystkie stopnie wiodące do zamiany państwa żywego w ogromną martwą maszynę administracyjną, o którą nikt, prócz urzędników, nie dba. Miliony narodu myślały tylko o sprawach pry-

watnych; najęty tylko, barbarzyński żołnierz, żołnierz cudzoziemiec bronił granic, a cesarz na czele mnogiéj i tytułem obarczonéj kancelaryi swéj czynił z państwem co sam chciał. I nikt się nie oparł temu, gdy Dyoklecyan dla ułatwienia administracyi zbyt kłopotliwéj, z jednego państwa uczynił cztery, i czterech cesarzy uczynił panami czterech dzielnic. Wtedyto skończyło się naprawdę i bez oporu żadnego istnienie rzymskiéj rzeczypospolitéj i narodowego państwa Rzymian; odtąd senat i konsulowie już ze wszystkiém bez znaczenia byli, i odtąd Rzym nie był już niczyją stolicą. Powstały na krótki czas nowe cesarstwa Galii, Italii, Iliryku i Wschodu, z których każde stało się przecie wreszcie początkiem nowego żywego narodu; starożytność się kończyła, zaczynały średnie wieki.

Ale tyle jeszcze wskórała pamięć niedawnéj państwa jedności, że Dyoklecyan namówił sprzymierzeńców swoich do wspólnéj walki przeciw nowéj wierze którą znienawidził, czcząc jeszcze zabobonne imię Romy owéj, któréj odjął przecie sam panowanie. Tam gdzie chrześcian było najwięcéj, na Wschodzie, sam panował i sam prześladował tak systematycznie, że chociaż w Syryi, Azyi mniejszéj i Egipcie świątynie bogów jak pierwéj, tak i dziś pustką stały: nie było poza więzieniami i kopalniami nikogo, coby głośno wyznawał Chrystusa. W Iliryku i Italii niewiele słabszém było prześladowanie, ale zachodni władzca Galii, Hiszpanii i Brytanii, Konstans Chlorus, miał tę odwagę, że otaczał się chrześcianami i dawał schronienie zbiegom.

W większéj części świata był ucisk najszaleńszy, jakiego nie znała starożytność, a względny władzca nad Atlantykiem, otoczony miłością własnych poddanych, był nadzieją wszystkich co pod srogim naciskiem wyrzekli się Boga swego pozornie tylko, a jednak we własném przekonaniu, grzesznie. Miłość chrześcian przeszła niebawem na Konstantyna Konstansowego syna i stało się, że młody imperator Galii, wywiesił w Jorku angielskim krzyż na sztandarze swoim i zwyciężył w tym znaku i jako pierwszy cezar chrześciański, zapanował nad wszystkiemi krajami, które niegdyś hołdowały Romie. Ale był to pan nowego już państwa i miał stolicę w Konstantynopolu, czy w Bizancyum przechrzczoném na jego imię.

Zpopod ziemi, z pustyń Egiptu, z więzień, z odludnych puszcz Zachodu, wyszli teraz dziedzice dawnych konsulów, poprzebierani jak oni niegdyś w złote ornaty i dalmatyki, śpiewając hymny i tryumfując w Chrystusie. Choć królestwo Boże nie z tego było świata—i na tym świecie było rzeczą dobrą być starszym wśród braci chrześciańskiéj. Na kurulne krzesła siedli biskupi i sądzili lud, i sprawowali prawo i uwalniali niewolników w imię Chrystusa. Czas jakiś jeszcze stał posąg Wiktoryi w Kuryi, czas jakiś jeszcze niesiono ofiary Jowiszowi kapitolińskiemu, raz jeszcze zasiadł na tronie cesarz pogański i usiłował wskrzesić dawnych bogów za pomocą Aleksandryjskiéj teologii, ale krzyż nie ustąpił już z Watykanu, na którym siadł tryumfując i w nowéj świata stolicy nad Bosforem miał jaśnieć przez tysiąc lat;

krzyż stał się panem Europy; niedługo trwało, a zamknięto starych bogów świątynie i szkoły, w których jeszcze wykładali swoje marzenia smutni filozofowie umarłego pogaństwa. Wszędzie chwalono imię Chrystusowe. I teraz dopiéro garnął się świat cały do Chrześciaństwa; teraz dopiéro gasły święte ognie po ogniskach domowych patrycyuszów, teraz dopiéro sławiono bohatérów Chrześciaństwa powyżéj największych mężów w pogaństwie. Wszak w całéj ludzkości przebywał Chrystus i cała ludzkość uczestniczyła w każdym grzechu i każdéj zasłudze. Więc czas był, czas, by wszyscy wierni radowali się cnotą i błogosławieństwem tych, co umarli świadcząc Chrystusowi. Kości tych, co pomarli w katakumbach, wynoszono na wierzch ziemi i stawiano świątynie wspaniałe tym, co umęczeni w arenie, przysporzyli ludziom łaski Bożéj. Imię ich wspominano w modlitwie, postacie ich barwne odtwarzano na krągłych kościelnych sklepieniach, układając cierpliwie misterne mozaiki; wierzono że zchodzą wraz z Chrystusem między modlących się, i proszono ich, by mieli nad grzesznymi opiekę. A nad innych wynoszono apostołów; wysoko ponad apostołami stanęła z wieńcem gwiazd na głowie nowa niebios Pani, Boga Rodzica Dziewica, niewiasta z gliny stworzona, co Boga zrodziła, orędownica tych, co cierpią na ziemi, łącznik ludzkości i bóstwa. Chwała Jéj zasłynęła mało co mniéj od chwały Syna Jéj, światów Zbawiciela.

A że już męczeństwem nie można było zarobić na niebieską chwałę, garnęły się tłumy tych, co chcieli żyć wiecznie w jedności z Chrystusem jako ludzkości opiekunowie, do życia doskonałego, chcąc gromadzić łaskę Bożą i błogosławieństwo. Za cesarstwa rzymskiego były nadzwyczaj wątłemi węzły rodziny: i Chrześciaństwo łatwiéj zdołało napełnić klasztory, jak ożywić ogniska domowe. Czczość samotnego życia wśród tłumu naprzykrzyła się i mężom i niewiastom, a niemiało wielu odwagi do pracy dla rodziny. Bardziéj uroczém było nabożne próżnowanie, a to tém bardziéj, że można było w niém najlepiéj służyć Chrystusowi, że w niém można było zaskarbiać łaski i dla siebie i dla bliźnich, i modlitwą uczestniczyć w szczęśliwości Boga. Ubodzy, którym teraz zabrakło cyrkowych widowisk, i bogaci, których zniechęciły systemata filozofów, dwór pieczeniarzy i urzędy ciężkie upadającego państwa, przywdziewali czarną mniszą siermięgę, golili sobie głowę i zaludniali niezliczone klasztory i pustelnie; ciągle szły po ulicach miast tłumy nabożne wzywające imię Chrystusa, a krocie zakonnic modliły się po klasztorach Rzymu i Konstantynopola. Miejsce dawnych filozofów i poetów zajęły księgi święte, a pył wieków zaczął osiadać powoli na cudownych pomnikach pogańskiéj sztuki i osiadał póty, póki pałaców i świątyń nie zagrzebał ze wszystkiém wraz z posągi mnogiemi. I mnichów było tyle, że żołnierzy zewszystkiém niestało. Panowała nauka miłości i błogosławieństwa nie było dla tych, co orężem wojują.

A jeśli kto ciężko zgrzeszył przeciw nowym zakonom, jeśli krew ludzką przelał, albo złamał wiarę małżeńską, albo dał jakie inne pu-

bliczne zgorszenie, wtedy mącił pokój i zgodę Kościoła Chrystusowego, biskup orzekał, że z kościoła wykluczony grzesznik, że czartowi oddany i sprawom jego; wtedy wszyscy od niego stronili i jego ogarniał strach, smutek wielki. W koszuli, boso, posypawszy głowę popiołem, stał u drzwi kościoła póty, aż mu biskup nie dał rozgrzeszenia; póty, aż nie osądził, że grzesznik długą modlitwą, żalem i pokutą zrównoważył swoję przewinę i przywrócił zasług tyle kościołowi, ile mu był wpierw ujął. O nic nie dbało społeczeństwo tyle, ile o rzeczpospolitę chrześciańską i o Kościół boży i o państwo boże, i biskup Ambroży zamknął bramy medyolańskiéj katedry przed cesarzem Teodozyuszem, pogromcą Gotów i kazał mu pokutę odprawić publiczną, a cesarz usłuchał.

Ale gdy się rzeczy duchowne tak rozwielmożnią na świecie, że wszystko a wszystko ich ulega wpływowi, i że ksiądz ma prawo zajrzéć do każdego sumienia; gdy nabożne powołanie do samotnéj pokuty całe narody owładnie i zagrozi krajów wyludnieniem: wtedy niepodobna, aby świat nawzajem na Kościół nieoddziałał. I oddziałał zaprawdę i wcześnie zamącił jego oblicze.

A najpierw cesarz, pan wszechwładny mądrze obmyślonéj a samolubnéj i najczęściéj nieuczciwéj biurokracyi, a obok tego władzca wojska z najętych barbarzyńców, zechciał miéć udział w radach i sądach Kościoła potężnego, i choć sam także ulegał duchownemu wyrokowi biskupa, chciał mianować, albo przynajmniéj zatwierdzać przez lud wybieranych biskupów; i naprawdę wiele stolic obsadzał imperator, a jeśli na Zachodzie głos ludu udzielał pastorału dusz pasterzom, zawsze imperator mógł czasem wydanym rozkazem uwięzić biskupa. Więc naokoło imperatora i Augusty w Rawennie i Konstantynopolu stanęli obok dworzan świeckich, niemniéj przebiegli dworzanie duchowni; a że władza biskupa była wielką, i że wielkiemi były kościołów dochody, więc nie jeden z próżności, i dla świeckiego powodzenia przywdziewał ornat.

Bogaci, możni, do dysput oddawna wprawieni mieszkańcy zgreczonego Wschodu, rozpoczęli tedy długi ciąg teologicznych sporów, najpierw o to, czy Syn równy Ojcu, a potém o to, czy Chrystus miał jednę czy dwie natury, jednę czy dwie wole, i czy natury: boska i ludzka były na prawdę, czy tylko pozornie złączone. Co chwila nowy ambitniś nową stawiał hypotezę, spierając się z biskupami, wkradając się do komnat cesarzowéj, żebrząc o opiekę cesarza i wreszcie znajdował posłuch, otrzymywał jakąś stolicę, stawał się wielką figurą we Wschodniem cesarstwie i jako demagog nowego rodzaju, przewodził tłumom, co się po ulicach biły o słowa, których nierozumiały. I wtedyto imperator zwoływał w zgodzie z biskupem, czyli papieżem rzymskim sobór, i sam na soborze zasiadał i zmuszał zwykle biskupów usłużnych Wschodu do tego, by potakując, wywyższyli jego ulubieńców chwilowych. Wtedyto mnisi ze zwycięzkiéj partyi głosili swój tryumf, a gawiedź Konstantynopola, Antyochii i Aleksandryi, czy ta która jeszcze chodziła po świecku, czy owa liczniejsza, która z próżniactwa a nie

z nabożeństwa przywdziała habity, rzucała się z krzykiem plądrować po domach obrońców straconéj sprawy; i wtedyto wstawały w imieniu Chrystusa wszystkie namiętności złe natury ludzkiéj. O to, jakie konie wygrały na wyścigach, i o to, jak dogmat sformułować, rzucały się tłumy stołeczne na siebie z nożami, i ta tylko była różnica, że w pierwszym razie prowadziły woźnice a w drugim mnichy; a widziano raz, jak podczas takiego cesarskiego soboru, biskupi z partyi Eutychesa, nestoryańskich sami kułakami na śmierć ubijali. I wtedyto, podczas burd teologicznych, w których objawiała się niedorzecznie kłótliwa Greków natura, ginęły dzieła sztuki pogańskiéj, umierali w mękach ostatni na Wschodzie poganie. Mnisi i żebracy gruchotali posągi przecudnéj roboty, walili świątynie co sprawiały podziw wieków, a nareszcie wdzierając się do ostatnich szkół starożytnéj filozofii wydzierały ztamtąd z krzykiem zwierzęcym ostatnich nauczycieli. Wtedyto widziano, jak ostatnia w Aleksandryi kapłanka starych bogów, nauczycielka neoplatońskiéj filozofii Hypatya, została przez lud rozszarpana czerepami ostryg, w sposób najokropniejszy i najbardziéj zwierzęcy. I to tylko ocalało, co cesarzowie greccy i oświeceńsi patryarchowie Konstantynopola z posągów i ksiąg sprowadzili do stolicy nad Bosforem.

Na Zachodzie nie było burd gorszących i Kościół nie ulegał samowoli cezara, i nie prześladował licznych jeszcze i możnych pogan; lud każdego miasta biskupa sobie wybierał, a biskupi nie cesarza słuchali, tylko biskupa rzymskiego. Ten co prawił nabożeństwo u grobu apostołów, nie uznawał nowin co się podobały na dworze i stał twardo przy oddawna podanéj: przy katolickiéj wierze. Jednak i tu było niejedno dla świętych zgorszeniem, i wtedy już jak późniéj, po wiekach wielu zachodził do buduaru możnych dam wytrefiony księżyna, co ku zgorszeniu świętego Hieronima, więcéj o plotkach miejskich jak o Chrystusie mówił. Jednak te plotki niemogły zakłócić pokoju Kościoła i niezdołały nigdy zamącić wiary; i tu bywał mnich wielkomiejski próżniakiem i włóczęgą, ale nie brodził w marnie przelanéj krwi, dla niedorzecznego konceptu dworskich teologów; i tu stanął herezyarcha jeden i kacerz Pelagiusz, ale każdy mógł zrozumiéć o co mu chodziło i o co z nim toczył spór Augustyn święty. Pelagiusz mówił, że każdy człowiek sam przez się zbawionym być może, że potrzebuje tylko chcieć czynić dobrze, a potrafi co zechce bez nadprzyrodzonéj pomocy. Augustyn bronił dawnéj Kościoła wiary, głosząc, że wszystko co człowiek uczyni bez łaski Bożéj udzielonéj przez miłosierdzie Chrystusowe i sakramenta kościoła grzechem tylko, a co najwięcéj świetnym występkiem; tylko kto się w pokorze cały odda Panu i przyjmie łaskę Jego w pokorze, i swoją wolę zechce zmienić w Jego wolę, dostąpi zbawienia. I Kościół stanął po stronie Augustyna.

Ale święci patrząc na obfitość grzechu w Kościele, przepowiadali że nic nie wstrzyma gniewu Bożego co zawisł nad głową Romy; i nieomylili się—a na Zachodzie najpierw wybuchła burza. Jak wicher,

jak dżuma, jak szarańcza, przyleciał ze stepów Azyi lud niszczyciel, lud konnych łuczników, Hunnów szkaradnych i roztratował swiat starożytny i ludy Niemiec i Słowiańszczyzny, rzucił się w zamieszaniu na cesarstwo chrześciańskie. Najemnik rzymski niedługo chciał walczyć z bracią, co wdzierała się z borów Północy, cesarz i senat bezbronni drżeli przed orężem Wandalów i Gotów; Alarych najpierw, Genzerych potém zdobył miasto na siedmiu wzgórzach, Rzym bezbronny był u stóp nowych ludów i lud każdy z prowincyi jednéj wykroił dla siebie królestwo. I zdawało się że to dzień sądny, i miasto co było matką narodów, stanęło w przestrachu opustoszałe prawie i pozbawione purpury. A jednak imię Romy do grzmotu podobne wywierało urok taki, że nowi nowych państw królowie, władzcy Anglii i Hiszpanii, Francyi, Włoch i Niemiec, mówili o sobie, że panują w imieniu senatu i cesarza, co na złotym tronie zasiadł w Carogrodzie. I nie już moc, ale pośmiertne słowo Romy miało panować nad ludzkością raz jeszcze lat tysiąc.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

# PIEŚNI
# BULGARÓW MACEDOŃSKICH
## W RODOPIE.

ZEBRANE PRZEZ

**Stefana Werkowicza.**

(Zarys kwestyi ich autentyczności).

PRZEZ

*Bronisława Grabowskiego.*

## I.

W ostatnich miesiącach ubiegłego roku rozeszła się po gazetach wieść, ze Stefan Werkowicz, głośny przed kilku laty odkrywca prastarych pieśni słowiańskich, znalazł nakładzcę na dalszy ciąg swych zbiorów, w osobie p. Michała Sołtana, obywatela z Poznańskiego. Lubo kwestya ta, tyle dla wszystkich Słowian ciekawa i ważna, i nas także niemało obchodzi, wszelako okoliczność powyższa jeszcze bardziéj na-

sze zajęcie zaostrza. W dodatku jeden z dzielniejszych naszych talentów poetycznych, pani Seweryna Duchińska poświęciła niemało pracy na przekład owych zabytków i to nie łatwiejszéj mechanicznéj pracy [1]) zwykłego tłómaczenia, ale przelała je w formę poetyczną nowszych czasów, rymową, wygładzoną, tak jak niegdyś postąpił był sobie z *Rękopismem Królodworskim* Lucyan Siemieński lub Krasicki, Goszczyński i Ilnicka z *Pieśniami Osyanowemi*. Mając na uwadze ów wkład kapitałów naszych duchowych i materyalnych w sprawę, któréj rzeczywista wartość była i jest przedmiotem usprawiedliwionych całkiem wątpliwości ze strony wielu uczonych, czujemy się w obowiązku przedstawić obecny stan téj kwestyi, o ile możności w sposób objektywny, daleki od wszelkich uniesień lub zaciekłości stronniczéj, oraz własne nad nią uwagi, nie roszczące sobie żadnéj pretensyi do stanowczego rozwiązania kwestyi, a nawet nie kuszące się o to bynajmniéj.

Autentyczność zbiorów Werkowicza bezwarunkowych zwolenników liczy bardzo niewielu, zato więcéj ma stanowczych przeciwników; najpoważniejsi zaś uczeni zajmują w téj sprawie stanowisko pośrednie: wątpiących niedowiarków. Są pisarze, którzy bez apelacyi zbiory Werkowicza potępiają, jako podrobione, samego zaś Werkowicza piętnują nazwą fałszerza. Prof. A. N. Pypin, w drugiém wydaniu swéj: *Historyi literatur słowiańskich* (str. 134—136) poczytuje rzecz całą za wytwór *pychy narodowéj*, za mistyfikacyą, która *zaledwie podlega wątpliwości*. Prof. Wincenty Makuszew, ze zwykłą sobie pewnością i nieodwołalnością sądu, powiada przy innéj sposobności, że „Serb Milojewicz i Bułgar (?) Werkowicz bez wahania komponują całe księgi pieśni ludowych i są ludzie, którzy w prostocie serca wierzą im.” O ile wiemy, obydwaj ci panowie nie złożyli bynajmniéj dowodów, żeby kwestyą, o któréj tak stanowczy wydali wyrok, nieco głębiéj zbadali. Podobnie gołosłownych zaprzeczeń i potępień było więcéj. Inaczéj nieco zapatrują się na rzecz uczeni, którzy oględniéj i staranniéj przyjrzeli się takowéj; i oni, jedni mniéj, drudzy więcéj wypowiadają nasuwające się im wątpliwości i podejrzenia, a jednak nie ośmielają się robić stanowczego zarzutu fałszerstwa i owszem usiłują, o ile możności, wydobyć dowody przemawiające na korzyść autentyczności. Prac jednak takich jest bardzo niewiele, właściwie nauka nie wié jeszcze, *co robić z tym fantem*. Wszelako konsul francuzki August Dozon, Wsiewołod Miller z Petersburga, oraz profesor gramatyki porównawczéj w uniwersytecie Zagrzebskim Leopold Geitler (Czech rodem), poświęcili temu przedmiotowi mniéjwięcéj baczniejszą uwagę i postawili kwestyą, jeśli nie na drodze do stanowczego rozwiązania, to przynajmniéj do sprawiedliwszego na zasadzie obecnych danych ocenienia. Postaramy się, korzystając z prac trzech owych uczonych, dać czytelnikom, o ile możności, jasny pogląd na stan owéj kwestyi.

---

[1]) Zobacz zeszyt *Bibl. Warsz.* luty, 1875 r.

Przedewszystkiém należy nam przedstawić genezę samego zbioru. Rozpocząć musimy od osobistości, pod któréj egidą zbiory te na świat wychodzą.

Stefan Werkowicz, rodem Bośniak, w młodości był zakonnikiem, Franciszkaninem i czas pewien (podobno niedługi) pobierał nauki w seminaryum zagrzebskiém; późniéj porzucił zakon i osiadł w mieście Seresie w Macedonii, gdzie trudni się zbieraniem i przedażą antyków i rękopismów słowiańskich. Już w roku 1860 wydał w Belgradzie: *Pieśni ludowe* (żeńskie) *Bulgarów Macedońskich*, z przedmową w języku serbskim; późniéj znowu wyszło w Moskwie r. 1868: *Opisanie bytu Bulgarów, zamieszkujących Macedonią* (przełożone przez kogoś nieznanego z bulgarskiego na rossyjski).

Werkowicz oprócz wytrwałości i zamiłowania swego przedmiotu, nie okazuje żadnych danych nietylko na uczonego, ale nawet na zwykłego literata. W pojęciach swoich jest zapalonym wyznawcą idei znanego dziennikarza literata i agitatora bulgarskiego, Jerzego Stojkowa Rakowskiego z Kotly (ur. 1818, um. 1868 r.). Rakowski nauki pobierał w Konstantynopolu, Atenach i Paryżu, potém prowadził awanturniczy żywot, wydawał poza granicami Bulgaryi, w Serbii i Rumunii bulgarską gazetę; nader gwałtownego charakteru, organizował legiony powstańcze, które do rodzinnego kraju wyprawiał, sam nawet brał udział w walce i czas jakiś był hajdukiem w Bałkanach. Zawodzony w nadziejach, prześladowany, w ciągłych walkach jużto piórem, już szablą, znajdował jednak czas na prace naukowe, zawierające w sobie niejednę rzecz cenną, ale przywaloną stosem fantastycznych pomysłów, dających dowód gorącego patryotyzmu, ale przytém nieudolności krytycznéj i słabego przygotowania naukowego. Najcharakterystyczniejszą pod tym względem pracą Rakowskiego jest: *Wskazówka czyli podręcznik, jak zbierać i badać najstarsze rysy naszego bytu, języka, kultu narodowego, sławnéj naszéj przeszłości* i t. d. Odessa, 1859 r.

Są tam nader ciekawe szczegóły z narodowego żywota w połączeniu z przedmową i programem, pełnemi najdziwaczniejszych wybryków fantazyi. Idee te rozwijał daléj Rakowski w swéj pracy: *Bălgarska Starina* (Bukareszt, 1865 r.). Główne tezy Rakowskiego są następujące: Bulgarowie wyszli z Indostanu i na wiele wieków przed erą chrześciańską zajęli i ciągle zajmowali miejsca, w których dzisiaj zamieszkują, język ich zaś niewiele różni się od sanskrytu (któremu Rakowski nadaje nazwę *samskritij*) i zendu (mówiąc nawiasem, Rakowski oba te języki znał bardzo słabo). Daléj autor rozszerza się nad wyższością Bulgarów nad Grekami, w starożytnéj Grecyi widzi same bulgarskie nazwy geograficzne, Bulgarów czyni założycielami wyroczni dodońskiéj i t. d. Dziwaczne te chaotycznego i fantastycznego umysłu idee, upadły za lekkim naukowéj krytyki podmuchem, ale znalazły zwolenników i oddziałały między innemi na Werkowicza bezpośrednio, czy téż pośrednio, gdyż Werkowicz utrzymuje, że dzieła Rakowskiego nie zna wcale.

Pod wpływem takich idei Werkowicz, jak sam powiada, żywił ciągle nadzieję odszukania w ludzie bułgarskim pieśni i tradycyi, wiążących się z pobytem Słowian bułgarskich w Indyach, wspomnień o królach macedońskich: Filipie, Aleksandrze, lub o poetach trackich: Orfeuszu, Muzeuszu, Linusie, Tomyrisie i w. i. Nadzieje swoje pokładał szczególniéj w ludzie gór Rodopskich, zwanych dziś Despotodag...., począł więc zbierać pieśni, podania i obyczaje téj okolicy. Pisał nadto do wielu znajomych w Salonice, Kukuszu, Meleniku i t. d., prosząc o robienie poszukiwań między ludem, w celu odkrycia wyglądanych przezeń pieśni i tradycyi. Wielu z nich idee Werkowicza przyjęło ze słusznem niedowierzaniem. W roku 1857, w miasteczku Walowiszte (po turecku Demir-Hissar), Werkowicz dowiedział się o śpiewakach we wsi Kruszowie, którzy do pięciuset pieśni umieli. W r. 1865 przypadkiem zabrał znajomość z młodym mnichem, z klasztoru św. Jana Poprzednika, niedaleko Serresu. Mnich ten, imieniem Teodozyusz, mówił mu o swoim bracie, nauczycielu w Kruszowie, umiejącym pisać nietylko po grecku (szkoły w Macedonii są greckie), ale i po słowiańsku; Teodozyusz zaproponował, że do niego napisze, aby tenże podjął się zbierania pieśni i podań. Werkowicz przyjął propozycyą i obiecał należycie wynagrodzić owego nauczyciela.

Po piętnastu dniach otrzymał od niego pieśni wraz z listem, w którym tenże objawiał wątpliwość, by oczekiwane przez Werkowicza tradycye, mogły znaleźć się w Bułgaryi. Niezadługo (1 marca 1865 r.) poznali się obaj ci ludzie osobiście i odtąd prawie co tydzień Werkowicz otrzymywał od nauczyciela plikę pieśni, prawie całkiem mitologicznéj treści, ale nie odpowiadających marzycielskim tegoż nadziejom. „Nareszcie, powiada Werkowicz, zabłysnął dzień najuroczystszy i najdroższy w mém życiu, dzień 8 sierpnia, w którym otrzymałem z Kruszowa wiadomość, że domysły moje nie były czczém marzeniem.” Nowina ta dotyczyła odkrycia pieśni „o carze Macedonii Filipie.” Liczy ona 22 wiersze i jest pieśnią taneczną; podyktował ją pasterz Stojan Merkarew, ze wsi nazwiskiem Karczewo. W tymże roku Werkowicz otrzymał jeszcze ułomek, według niego, mówiący „o przybyciu Słowian do Europy;” daléj od nauczyciela ze wsi Jelesznicy, Bożycza Atanasowa, pieśń z 39 wierszy złożoną *O Orfeuszu*, a potém długi poemat z 853 wierszy także *O Orfeuszu*, którą przesłał mu nauczyciel z Kruszowa.

Pośrednictwo nauczyciela kruszowskiego, nazwiskiem Jan Gologanow (nazywano go także Ekonomowem, ponieważ ojciec jego był *ekonomem*), wydało się Werkowiczowi tak pożytecznem, że naznaczył mu pensyi rocznéj 2,000 piastrów tureckich (co wynosi niewiele więcéj nad 400 złp.) i namówił go, aby oddał się całkowicie spisywaniu i zbieraniu pieśni i podań. W tym celu Gologanow porzucił swoje smutnie opłacane stanowisko nauczycielskie, Werkowicz zaś założył mu sklepik *bakkala*, t. j. rodzaj szynku, połączonego z handlem ko-

rzennym: podobne handelki są rzeczą zwyczajną po wsiach tureckich. Przez Kruszowo idzie bardzo uczęszczana droga, prowadząca z Saloniki przez Demir Hissar (czyli po bulgarsku Walowiszte) do Newrokopu, a ztamtąd do Tracyi wyższéj i Bulgaryi. Na nowém swém stanowisku Gologanow miewał codzienne stosunki z *kiradżami*, t. j. mulnikami, wiozącymi towary, którzy byli Pomakami t. j. Bulgarami wyznania mahometańskiego. Za kawałek chleba i sera, za szklankę wódki i kilka piastrów bakczyszu, Pomacy dawali się nakłaniać do wypowiadania swych pieśni; pozyskanego sobie mulnika, Gologanow prowadził do małego domku, leżącego w tyle sklepiku, albo do ogródka warzywnego i tam z podziwienia godną wytrwałością, zapisywał dyktowane sobie pieśni i podania, oznaczając zczasem skrupulatnie nazwisko śpiewaka, jego wiek, wieś, z któréj pochodził, czasami nawet bliższe o nim szczegóły, a nadto datę zapisywania pieśni.

Sam Jowan (t. j. Jan) Gologanow, mimo swego nauczycielskiego charakteru, jest człowiekiem nader małéj nauki; całe wykształcenie swoje winien jakiemuś popowi wiejskiemu, ograniczało się ono na umiejętności czytania ksiąg świętych; w szkole uczył po grecku, pisownią bulgarską znał bardzo słabo.

Teraz należy nam dać czytelnikowi pewne wyobrażenie o ludzie, z którego pochodzą owi *kiradżowie*, co Gologanowi i Werkowiczowi tyle pieśni dostarczyli. Bulgarowie mahometanie, czyli Pomacy, mieszkają głównie w okręgu Mogleńskim, pomiędzy rzekami: Wardarem i Strymonem w górach, oraz w okolicach Lowczy i Plewna. Konstanty Jireczek, autor *Historyi bulgarskiéj*, oblicza ich ilość na 500,000 [1]). Przyjęli oni islamizm podobno (jak mówi Zachariew we swém *Opisie okręgu Tatar-Pasardżiku*, str. 67) r. 1657, kiedy po niepomyślnym rokoszu obawiali się kary; przez odstępstwo swoje pozyskali pewne przywileje. Do czasu wojny krymskiéj byli wolni od służby wojskowéj i żyli w górach, mało dbając tak o chrześciańską jak i mahometańską wiarę i trudniąc się rolnictwem, hodowlą bydła, oraz, jak to już widzieliśmy, przewożeniem towarów. Jeżeli u innych Bulgarów zachowało się nader wiele prastarych obyczajów, pojęć i zabobonów pogańskich, tém więcéj mogły przechować się one u Pomaków, obojętnych dla wyznawanéj przez siebie urzędowo religii. I przed poturczeniem chrześciaństwo nie musiało głęboko zapuścić korzeni w duszach ich przodków; herezya Bogomilów, tyle mająca punktów zetknięcia z pogańskim starych Słowian dualizmem, krzewiła się głównie w okolicach Lowczy, gdzie dziś właśnie są siedziby pomackie. Według Werkowicza, Pomacy cenią wielce swoje tradycye i pieśni i podają je z całą ścisłością następnym pokoleniom. Zwykle ojciec wybiera sobie jednego ze synów i tego pieśni swoich uczy; jeśli dzieciak uczyć się nie chce, biciem do tego zmuszanym bywa.

---

[1]) *Diejiny národa bulharského*, sepsal Konstantin Josef Jireczek. Praha, 1876, str. 525.

Jak powiedzieliśmy, do czasu wojny krymskiéj Pomacy używali pewnéj wolności i wyznawali islamizm nader powierzchownie do tego stopnia, że nawet taka ważna w religii Mahometa rzecz, jak obrzezanie, nie zawsze była praktykowaną. Rząd turecki postanowił zabrać się do nich na ostro. Rozpoczęto od poboru do wojska. czemu się Pomacy nie bardzo sprzeciwiali, owszem chętnie brali karabin do ręki i wielu z nich służy w *sejmenach*, t. j. w straży, pilnującéj *ward* (po turecku *beklemich*), czyli strażnic, jakich pełno po drogach i przejściach górskich. Część młodzieży odbiera nawet wychowanie w koszarach wojskowych w Stambule. Za werbownikami wojskowymi przyszli imanowie i hodżowie tureccy, wysłani przez rząd w celu utwierdzenia owych połowicznych giaurów w wierze proroka. Otworzono kilka szkół, rozpowszechniono do pewnego stopnia znajomość języka tureckiego; nakoniec zakazano wszelkich obyczajów, będących w niezgodzie z Koranem. Że takowe postępowanie nie odrazu przyniesie pożądane przez rząd stambulski owoce, rzecz jasna; sami Pomacy klną, na czém świat stoi, hodżów i imanów i sądzą, że od czasu, jak dawne obyczaje upadać poczęły, niebo za karę nie daje już polom takiego jak wprzódy urodzaju. Mimo to rezultat pewien okazał się w niedawnym oporze zbrojnym Pomaków, po zawarciu pokoju w San-Stefano; wychowanie w koszarach stambulskich musiało wszczepić w młode dusze zwykły muzułmanom fanatyzm i nienawiść do giaurów. Że przytém stare pieśni i tradycye znikają powoli, domyślić się łatwo; starzy Pomacy skarżyli się, że młódź w koszarach traci pamięć i nie może już uczyć się długich pieśni. W obec takiego położenia rzeczy ratowanie kołaczących się jeszcze zabytków jest niemałą dla nauki przysługą.

Ljuben Karawelow w swych *Pamiętnikach Bulgara* (ogłoszonych w *Ruskim Wiestniku* r. 1867) powiada, że Pomacy (zapewne tu mowa o starszém pokoleniu) zachowali wiele obyczajów chrześciańskich, dzieciom dają chrześciańskie imiona: Panczo, Nedielko i t. d. Matka Pomaka lub wdowa ma zapalać na grobie nieboszczyka świecę woskową, a niektóre święta kościoła wschodniego obchodzą się na równi z ramazanem i bajramem, w czasie zaś wielkiego postu żaden poturczeniec na mięso się nie złakomi. Karawelow przytacza ciekawą pieśń, dającą poznać nienawiść Pomaków do swych współwyznawców Islamizmu, Osmanów, co przypomina podobneż dla tychże uczucia zbisurmanionych begów i agów bośniackich [1]).

Pewna ilość pieśni w zbiorach Werkowicza pochodzi od Marwaków wyznających wiarę chrześciańską i mieszkających pomiędzy Sierem, Walowisztem, Newrokopem, w krainie nad środkowym biegiem Mesty, noszącéj jeszcze w wieku XIV nazwę Morra. Pieśni te mają wielką wartość poetyczną; Geitler zowie je prawdziwemi pod tym

[1]) Zobacz artykuł: *Bulgarya i Bulgarowie*, w *Ateneum*, 1876 r. maj, str. 402.

względem perłami; za to pomackie mają w sobie więcéj materyału mitologicznego, oraz materyału, który możnaby poczytywać za dziejowy.

Gdy tak Gologanow zapisywał pieśń za pieśnią, Werkowicz ukazywał światu swoje odkrycia. Pomiędzy Bulgarami znalazł, jak się domyślać nietrudno, oprócz wierzących i uszczęśliwionych odkryciem, niejednego niedowiarka, a nawet otwartego przeciwnika. Korzystając ze zjazdu Słowian na wystawie etnograficznéj w Moskwie w r. 1867, Werkowicz przysłał tamże pieśń *O Orfeuszu*, trzecią ze wspomnionych przez nas powyżéj. Zinzifow, rodowity Bulgar, bawiący w Moskwie, dostarczył przekładu i takowy wraz z oryginałem drukiem ogłoszono. Werkowicz oczekiwał, że to nada pożądany całéj sprawie rozgłos, tymczasem literatura milczała o niéj, a tylko przez czas krótki rozmawiano o tém w kółkach prywatnych. Uczeni wzruszali ramionami z niedowierzaniem, sam tylko Hilferding przyjął odkrycie z zupełną wiarą i uniesieniem. Wkrótce jednak zapomniano o wszystkiém.

Więcéj daleko niż w Rossyi, okazano interesu dla owego odkrycia na Zachodzie. Werkowicz przesłał pierwsze zeszyty swych pieśni do Belgradu, gdzie troskliwie zajął się niemi Janko Szafarik, dyrektor muzeum tamecznego. Sam zaś o pieśniach, dotyczących Orfeusza, zawiadomił Burnoufa, dyrektora szkoły francuzkiéj w Atenach, który ze swéj strony wyprawił do Belgradu Alberta Dumont, by ten naocznie o stanie rzeczy się przekonał. Dumont nie umiał po bulgarsku, musiał więc polegać na objaśnieniach ustnych Szafarika i wyniki swych spostrzeżeń przedstawił w liście do Burnoufa, drukowanym w *Bulletin de l'Ecole française d'Athènes* nr. III i IV, a przedrukowanym w tomie VI zbioru p. t.: *Archives des missions scientifiques*. Na kwestyę ową zwrócił także uwagę przebywający naonczas w Filippopolu, czyli po bulgarsku Plowdiwie, August Dozon, dobry znawca języka bulgarskiego, znany już z przekładu na francuzki język pieśni serbskich. Dozon w powyższym *Buletynie ateńskim* (nr. VI i VIII) pomieścił rozbiór długiéj pieśni o *mniemanym*, jak powiada, Orfeuszu, oraz przekład kilku sztuk drobniejszych. Sprawa zaciekawiła Zachód. Posypały się protestacye ze strony Niemców; akademia Francuzka zaś postanowiła rzecz zbadać bliżéj i z jéj inicyatywy minister oświecenia publicznego polecił Dozonowi, naówczas już konsulowi francuzkiemu w Janinie, by ten przekonał się na miejscu osobiście, na ile można przywiązywać wiarę do nieoczekiwanych wcale odkryć Werkowicza.

Zanim Dozon zdążył zabrać się do zleconego mu zadania, Werkowicz sam zadał dotkliwy cios własnemu dziełu.

W odcinku gazety wychodzącéj w Zagrzebiu, *Narodne Novine*, pomieszczono w roku 1869 i 1870 dwa jego listy, dające dowód braku wszelkiego krytycznego zmysłu, oraz bujnéj, chaotycznéj fantazyi. W obszernych tych listach, drugi zwłaszcza ciągnął się coś przez dwadzieścia pięć numerów, prawi on cudaczne rzeczy, które prowadzą do następnych fantastycznych wywodów: że starożytni Illiro-Trakowie byli Słowianami (tu spotyka się z ulubioną ideą Gaja, Babukicza i całego

*koła ilirskiego*), że pozostali ze starożytnych czasów czyści i niepomieszani, a zmienili tylko imię, którém obecnie jest imię Bulgarów, że więc Orfeusz (a zapewne i Aleksander W.) byli Słowianami i Bulgarami, że ciż Bulgarzy są twórcami cywilizacyi, mylnie przypisywanéj aż dotąd Grekom. Rozumie się, iż podobne tezy podkopały z góry wiarę w autentyczność zbioru, który w dodatku znany był zaledwie z próbki, drukowanéj w Moskwie.

Dozon, przyjeżdżając do Serresu, bynajmniéj niémiał korzystnego względem Werkowicza uprzedzenia; owszem jego dwa sprawozdania, złożone ministrowi oświecenia [1]), aż nadto wskazują, że na fantastyczne uniesienia tegoż, również jak na szowinizm bulgarski pogląda z pewném uczuciem wzgardliwego politowania. „Na dnie tych dziwacznych paradoksów," powiada [2]) o wywodach Werkowicza „opartych przedewszystkiém na zasadzie: *natura non facit saltum*, które mogły zrodzić się jedynie w głowie Słowianina, ożywionego... całą nienawiścią, jaka wrze z większą niż kiedykolwiek gwałtownością pomiędzy Bulgarami i Grekami, kryje się wszelako myśl słuszna, że narody i plemiona rzadko nikną całkowicie. Jeśliby więc ograniczono się na tém, że w żyłach obecnych mieszkańców Macedonii i Tracyi płynie jeszcze nieco krwi pokoleń, bardzo mało zresztą znanych, które zaludniały kraj ów przed trzema tysiącami lat, zdanie to możnaby przyjąć w warunkach, albo raczéj w granicach, w jakich łączonoby np. Paryżanina z r. 1872 z Gallem z Lutecyi. Ale identyfikować dzisiejszego Pomaka z Illiro-Trakiem i opierać się na ciemnych legendach o Orfeuszu, by przypisywać mu zaszczyt wytworzenia kultury helleńskiéj, z któréj tenże Pomak tak mało dla własnego zachował użytku, jest to stawiać fakty nietylko bez dowodów, lecz nawet sprzeczne z mnóstwem dowodów. A jednak podobne potworności niejednemu przypadają do smaku. Czyż nie słyszeliśmy, jak ktoś poważnie utrzymywał, że Arystoteles był Bulgarem, ponieważ urodził się był w Macedonii? „Jaka to szkoda, że nie pisał po bulgarsku!" odpowiedzieliśmy na to."

Daléj (str. 8) Dozon oburza się na Rakowskiego i Werkowicza, iż ci Greków nie poczytują za Aryów, nadto potępia zamysł Słowian i Niemców wytępienia lub odrzucenia do Azyi jednego z najlepszych (*les plus méritants*) ludów europejskich, Madżiarów, jedynie dlatego, iż są *Turanami*, gdy tymczasem co najmniéj dwa ludy słowiańskie niezaprzeczenie mają w sobie znaczną przymieszkę owéj krwi turańskiéj. „Zdaje się, że nikt rozsądny nie postawi narodowi pytania: czy jesteś aryjskim, turańskim lub co podobnego? ale: coś uczynił dla ludzkości? Otóż odpowiedź, jaką dzieje dają Bulgarom, powinna ich natchnąć większą skromnością, dla ich własnego dobra, jeżeli nie chcą postradać użytecznych sobie sympatyi." Dozon szydzi także z końcowéj

[1]) Zostały one ogłoszone drukiem p. t.: *Les chants populaires Bulgares, Rapports sur une mission littéraire en Macedoine.* Paris, 1874.

[2]) Strona 5 i 6.

wspomnionych już listów apostrofy do *majki Slavy* i przekleństw, jakie Werkowicz miota na ów dzień, w którym Słowianie „porzucając zasady moralne swych przodków Aryów, tak surowe i święte, rozpoczęli małpować zwyczaje skażone i bezbożny a niemoralny tryb życia Greków a później narodów zachodnich!" Dozon słusznie widzi w tém echo partyi słowianofilskiéj z Moskwy.

Przytoczyliśmy naumyślnie powyższe ustępy na dowód, że Dozon nie był człowiekiem, któremu możnaby tak łatwo zamydlić oczy błyskotliwemi frazesami i pozorami, jakie oszołomiłyby prostodusznego Bulgara, pragnącego naród swój jak najświetniejszą uwieńczyć chwałą. Dozon jechał do Serresu z usposobieniem chłodnego, niedowierzającego badacza, ale niemniéj pragnął poznać rzeczywistą prawdę. Już przedtém utrzymywał stosunki listowne z Werkowiczem, który teraz w Serresie przyjął go z otwartemi rękoma, pokazał mu wszystkie swoje zbiory, składające się naonczas z 6-ciu działów i liczące pieśni 177, wynoszących razem 82,532 wierszy. Sześć tygodni przepędził Dozon w gościnnym domu zbieracza (w maju i czerwcu 1872 r.), zadawał mu mnóstwo pytań, z nim razem chodził na wycieczki w celu naocznego przekonania się co do pochodzenia pieśni. Dozon nie ograniczył się na odczytaniu tekstów w Serresie, ale zapragnął jeszcze widzieć i zbadać Jowana, udał się przeto de Kruszowa. Po drodze wstąpił do małéj wioski Radowo, w pobliżu Demir-Hissaru, gdzie stary pop bulgarski powiadał mu, że znał dwu śpiewaków, zmarłych niedawno w podeszłym wieku, ale słyszał tylko jednego z nich, i to przypadkiem, gdyż w podobnych rzeczach niéma upodobania. O ile sobie przypominał, śpiewał mu coś o Marku królewiczu, który, mówiąc nawiasem, w eposie bulgarskim nie mniejszą niż u Serbów odgrywa rolę. O Orfenie (tak zowie się ów bohatér pieśni pomackich, którego Werkowicz za Orfeusza poczytuje) pop ów nigdy nic nie słyszał. Utwierdził on nadto Dozona w przekonaniu, że pieśni bulgarskie nie śpiewają się tak jak u Serbów przy wtórze gęśli (*gusle*), ale poprostu recytują bez żadnego instrumentu.

Daléj Dozon całe dwa dni spędził w Kruszewie, w towarzystwie Jowana Gologanowa i opisuje go jako młodego człowieka, w wieku lat dwudziestu czterech, żonatego, mającego czworo dzieci, bojaźliwego, obdarzonego charakterem słodkim i sympatycznym, a przytém pozbawionego wszelkiego poetycznego zapału. Rzemiosło swoje *zbieracza* uważa jedynie jako środek zarobku na kawałek chleba. Na prośby Dozona sprowadził z sąsiedniéj wioski Czarwiszte, wieśniaka, Kostadina Wolczana i ten konsulowi wyrecytował kawałek pieśni *O Orfenie* tak, iż tenże nie wątpił o autentyczności owéj długiéj pieśni, którą w *Bulletynie* był rozebrał. Zapisał także z ust tegoż wieśniaka pieśń, z 37-iu wierszy złożoną, któréj bohatérem był *haramija* (rozbójnik) Urfen; później jednak znalazł tę samą pieśń, z małą różnicą, w rękopismach Werkowicza, tylko że bohatérem jéj był nie Urfen a Jogunen.

Śpiewak ów, za kilka piastrów, obiecał Dozonowi dostarczyć hymn, odnoszący się do uroczystości, odprawianéj w Karczewie corocznie w dzień św. Eliasza. Święty ów, prorok w podaniach i pieśniach południowych Słowian (a równie i u Białorusów), ma wszystkie atrybuty i znamiona *boga gromu* (Peruna). W dzień ten zarzynają na ofiarę za wieś całą trzy lub cztery jałowice, a nadto każdy ojciec familii za swój dom ososobno kozła zabija. Jałowice spożyte zostają przez wszystkich mieszkańców, a gdy mięso ich gotuje się w kotle, stare niewiasty tańczą naokoło ognia, śpiewając hymn, który Wolczan przyobiecał dostarczyć Dozonowi. Potém zakopują głowy, a kości zachowują po domach *za berikiet*, t. j. na sprowadzenie urodzaju. W Kruszowie także były w użyciu podobne ofiary, ale przed dziesięciu laty ustały. Dozon mówi, że w téj okolicy biskup Melenicki (Grek Fanaryota, jak się samo przez się rozumie) pomiędzy chrześcianami, w podobnyż sposób jak hodżowie muzułmańscy między wyznawcami Proroka, pracuje nad zniszczeniem poezyi ustnéj bulgarskiéj. Zajmując od lat trzydziestu biskupią stolicę, zakazuje pod groźbą wyklęcia, wszelkiego publicznego odmawiania pieśni [1]).

W pierwszém swém sprawozdaniu, które Dozon wysłał do ministra, z Janiny, z datą 4 września 1872 r., zastanawia się on nad możnością sfałszowania pieśni. „W przypuszczeniu, że poezye te są fabrykatem, dwa są możliwe wypadki: albo p. Werkowicz sam jest fałszerzem, albo téż, działając w dobréj wierze, stał się igraszką jakiegoś oszusta... Rozumuję za tych, co nie znają p. Werkowicza; co do mnie bowiem, po kwadransie obcowania z nim, już najzupełniéj nie wątpiłem o jego szczerości. Oszustwa literackie nie są zbyt wielką rzadkością, ale te mają za cel jużto zysk bezpośredni... jużto sławę... Otóż co się tyczy nadziei zysku, wiadomo, że od lat piętnastu p. Werkowicz wydał część zaoszczędzonych przez siebie pieniędzy, na gromadzenie utworów ustnéj literatury bulgarskiej, i że obecnie na druk tekstu ponosi ofiary bez nadziei odzyskania wydanych pieniędzy, podobne dzieła bowiem nie wielu znajdą nabywców. Z drugiéj strony sława zbieracza lub wydawcy, jedyna rzecz o którą mu idzie, będzie zawsze zbyt skromną na wynagrodzenie kolosalnéj pracy, jakiéj wymagałaby fabrykacya na tak rozległą skalę. Ddodajmy do tego, że należyte jéj wykonanie byłoby dla niego niemożliwém już ze stanowiska języka, którego nie posiada dość gruntownie." (Przypominamy tutaj, że Werkowicz jest Bośniakiem nie Bulgarem) [2]).

Dozon zastanawia się również nad możliwością zarzutu, że oszustwo popełnioném zostało w celu politycznym: w celu wyniesienia Bulgarów wobec Greków. Zarzut ów znajduje pewnego rodzaju potwierdzenie w uprzedniém postępowaniu Werkowiczą, który *à priori* poszukuje pieśni dotyczących takiéj a takiéj osoby, otwarcie wyznaje, w jakim zamiarze pragnie je posiadać i obietnicami nagród pobudza do

[1]) Str. 21 i 22. [2]) Str. 18.

dostarczenia takowych. Może to służyć za przynętę chciwości fałszerza, mało wymagającéj w każdym razie: zgadzamy się na to; ale przyznajmy téż, że podżegacz téj mistyfikacyi literackiéj, jeśliby nie był szczerym, postępowałby inaczéj: z większą tajemniczością, nie głosząc pobudki, którą tyle bierze do serca i która, ogłaszana z takim hałasem, przedewszystkiém staje się bronią przeciwko niemu" [1]).

Dozon odtrąca także myśl, by Jowan Gologanow mógł być fałszerzem. Niémiał on żadnéj pobudki w chciwości, gdyż wynagrodzenie jakie pobierał i którego części jeszcze używał na zapłacenie śpiewaków, było tak małe, iż zaledwie wystarczyłoby na zapłacenie kopisty; o ileż byłoby mniejszém, gdyby stanowiło wynagrodzenie trudu autorskiego? „Jego bezinteresowność byłaby już sama przez się zdumiewającą, ale nadewszystko jakąż trzebaby przypuszczać płodność wyobraźni i rzadką zdolność, aby w przeciągu lat sześciu od 1865—1872 roku mógł dostarczyć takie mnóstwa utworów, które zdumiewają już nie jako dzieło jednéj osoby, ale jednegu ludu."? Takich zdolności i przymiotów Dozon nie znalazł ani śladu w Jowanie, a rozmowy z nim jeszcze go więcéj w tém utwierdziły [2]).

Resztę tegoż sprawozdania również jak i następne poświęca Dozon przeglądowi każdéj z kategoryi, do których można sprowadzić *Pieśni rodopskie*, co według niego, ma przemawiać na korzyść ich autentyczności. Rozpoczyna od najbardziéj intrygującego działu: od Orfena, poczytywanego za Orfeusza i przedewszystkiém zastanawia się nad tém, że podrabiacz miałby z pewnością jakiś wzór przed oczyma. Podrabiacz bulgarski, gdyby chciał sfabrykować coś wiążącego się z imieniem Orfeusza, zapatrzyłby się albo na apokryficzne hymny orficzne, albo na którąś z legend, jakie przetrwały do pierwszych wieków Chrześciaństwa i które tego bohatéra muzykalnego z założyciela kultu religijnego przetworzyły z postępem czasu na czarnoksiężnika. Tymczasem w poematach, gdzie występuje Orfen, Ufren, Forlen, Farklen i t. d. jedynemi punktami zetknięcia ze starożytnym mitem trackim są: podobieństwo imienia, według Dozona całkiem przypadkowe, oraz posiadanie cudownéj fujarki (*judna svirka*, *zlaten kaval)*, która głównie służy do celów czarodziejskich, czaruje bowiem potwory, węże, demoniczne istoty i przez to ułatwia ich zabicie. Zresztą pozostają tylko klechdowe szczegóły, pełne cudowności, nadzwyczajności, jak zwyczajnie w klechdzie, ale w niczém nie przypominające już trackich podań i legend.

W drugiém sprawozdaniu z 15 listopada 1872 r., również z Janiny datowaném, Dozon rozbiéra daléj ważniejsze pieśni ze zbioru Werkowicza, grupując je według kategoryi. Pierwszą kategoryą stanowią pieśni o Orfenie; konsul francuzki podaje już to tłómaczenie (w notach zaś oryginał), jużto treść trzech krótszych stosunkowo pieśni, mających za przedmiot ulecenie Orfena do nieba, dokąd udał się za swą

[1]) Str. 18 i 19. [2]) Str. 19.

uniesioną poprzednio żoną Rosicą (Rosidą), aby tam służył Bogu i chwalił Go grą na złotéj piszczałce. Mówiąc nawiasem, możnaby na upartego dopatrzéć tu dalekiego podobieństwa do mitu greckiego, każącego Orfeuszowi szukać Eurydyki w podziemném państwie Hadesa. Z témi pieśniami zbliża inną, opiewającą koniec Marka, który zestarzawszy się i widząc się opuszczonym przez swą kochankę, *judę* Drynidę, spina konia ostrogami, a ten unosi go do nieba, gdzie dotąd Marko „służy Bogu."

Ciekawe bardzo są dwie glosy z ust Pomaków o Urfenie. Z porady Szafarika, Werkowicz polecił Gologanowi wypytywać śpiewaków o niektóre ważniejsze i niezrozumialsze słowa, aby ci wytłómaczyli, jak rozumieją takowe. O Urfenie mówił pewien Pomak, że on pierwszy przywiódł przodków ich do kraju, który obecnie zajmują i *siłą piszczałki* przeprowadził przez morze Czarne. Gdy nadszedł czas, kiedy miał umierać, prosił Boga, by nie przysyłał po niego *Mory judy*, któraby mu ucięła głowę, ale *Żywę judę z zielem życia* (*żiva bilka*), aby mógł wstąpić do nieba i tam służyć Bogu. I Bóg wysłuchał jego prośby, *Żywa Juda* napoiła go *zielem życia* i Orfen frunął (*farknal*) do nieba i tam służy Bogu. „Dlatego to w dawnych czasach dziadowie nasi sławili go jako cara, który nie umarł i corocznie składali mu ofiarę (*kurban*); podczas kurbanu junacy grali na fujarkach, a *momy* (dziewczęta) tańczyły *horo* (to samo, co serbsko-chorwackie *kolo*) i śpiewały wiele pięknych, umyślnie ku temu ułożonych pieśni." Podobneż objaśnienie, nie wspominając już o owéj ofierze, a zato z dodatkiem, że Urfen był zięciem *Sindzè Krate*, dał inny Pomak.

W przypiskach podaje Dozon dwie jeszcze pieśni. Pierwszą z nich zapisał z ust owego Kostadina Wolczana, którego mu sprowadził do Kruszowa Gologanow. Treść jéj jest następująca: Urfen leżał chory od lat trzech; matka zapytuje go jaki grzech popełnił, za który karę teraz ponosi. Urfen powiada, że kiedy był jeszcze młodym, bez doświadczenia, szedł przez las zielony i napotkał dwoje młodych ludzi, których pochwycił i do dwu bratnich dębów *białą* przywiązał *lozą* (winnym krzewem). Po trzech latach powraca tąż samą drogą i znalazł oboje martwych, oba dęby uschnięte, winny krzew zaś zrodził winogrona. Urfen kosztuje winogrona i dostaje gorączki. Matka na to opowiadanie rokuje junakowi, że już zdrowia nie odzyska, gdyż to byli brat jego Stojan-smok (zmej) i siostra Samowila. Gdy tak leżał chory Urfen, *głowa mu się pozłociła* (w złoto zamieniła (?) ).

Podobnąż jest pieśń o Orfenie, pierwsza, którą był dostał Werkowicz ze wsi Jelesznicy. I tu Orfen leży chory przez trzy lata, ani umiera, ani podnieść się może. Udawał był chorego, aby wyszpiegować kochanka swéj matki i schwycił ją z... murzynem. Dobył więc złotego noża i chciał jéj uciąć *rusą* głowę. Ale skoro podniósł rękę, ręka mu uschła, a usta *pozłociły się* (zobacz wyżéj). Matka przeklina Orfena, by nie wrócił więcéj do zdrowia, by swym potem zmoczył trzy łoża, trzy poduszki (częsta formuła przekleństwa)! Junak umiera, odlatuje do nieba i ztamtąd mówi do matki: „o! matko, droga matko, cze-

muś mię z takim gniewem przeklęła? Niepohamowana *juda* pochwyciła mnie i uniosła do nieba, osypano mię pociskami i odebrano życie."

Przechodząc do kategoryi pieśni, odnoszących się do Aleksandra W-go, Dozon sądzi, że tradycya o tym monarsze nie całkiem zniknęła w Macedonii; on sam dwukrotnie przekonał się o tém bezpośrednio. W mieście Demir-Hissar pewien turek proponował mu kupno medalu starożytnego, mówiąc że pochodzi od Iskander Dramalu kral. Drama jest miasteczkiem, leżącém w okolicach Serresu. Drugi raz, gdy Dozon zwiedzał jakieś ruiny, przewodnik pokazał mu szereg skał, które nazwał *żłobem konia Aleksandrowego*, przyczém, lubo mówił po grecku, użył wyrazu bulgarskiego: *jasla*.

Daléj Dozon powiada, że rumak bohatéra macedońskiego, głośny Bucefał, znajduje się jeszcze w pieśniach, z przydomkiem *volo glawat*. Potém podaje on przekład owéj krótkiéj tanecznéj pieśni, pochodzącéj od pasterza Stojana Merkarewa ze wsi Karczowa, która, jak już mówiliśmy, stanowiła epokę w działalności Werkowicza. Opiéwa ona cudownego i mocnego konia z *wolą głową*, którego dostał ojciec młodego Leksandra. Wielu było królów zebranych w białém mieście, ale nikt dosiąść konia nie zdołał. Wtedy młody Leksandr siadł nań, niby ptak na swe gniazdo. Ojciec i królowie zdumieli się i przeczuli, iż młodzian świat cały podbije. Aleksander dorósłszy dosiadał owego rumaka, jeździł w dalekie strony, pustoszył państwa potężne, aż wreszcie przyszedł do państwa Hinska (Indyi?). W bitwie koń otrzymał śmiertelną ranę i padł, ale wnet zerwał się, by ocalić Aleksandra, a gdy się o tém upewnił, życie zakończył.

Dozon, przypisując téj pieśni zabarwienie historyczne, przyznaje, że „gdyby jedynym była okazem, *wydawałaby* się nieco podejrzaną." Jest ona krótką, ma refren-*lele* po każdym wierszu i różni się od innych pieśni tegoż cyklu, rozwlekłych i przepełnionych cudownemi wypadkami. Imiona obu królów macedońskich występują w różnych formach; obok cara Filipa, znajdujemy nazwy Felipa, Felisze, Feliszena krale; syna zaś imiona są Leksandr, Olesandra, Ligesandra, z przydomkiem *wojwoda*. Daléj podaje Dozon treść długiéj (760 wierszy mającéj) pieśni o urodzeniu Aleksandra oraz drugą podobną, w któréj, rzecz szczególna, jest mowa o stosunku Gruzdiny, żony starego Feleszyny, ze smokiem, owocem któregoto związku miał być *wojewoda Ilesandra*. Przypomina to starożytne podanie, o którém Lucyan w rozmowach umarłych wyraża się ze zwykłym sobie sceptycyzmem i cynizmem, mówiąc, że na smoka złożono dzieło jakiegoś dworzanina; taż sama legenda powtarza się późniéj w podaniach o wielkim wojowniku albańskim, Jerzym Kastryocie, Iskender-beju. Nawiasem powiemy, że zdaniem naszém mit ten urodzenia Aleksandra ze związku ze smokiem mógł przechowywać się w podaniach ludowych i drogą analogii przyczepić się do bohatéra albańskiego, który miał wspólne z Aleksandrem imię czy przydomek w formie tureckiéj Iskendera. Pytanie tylko, jaką drogą dostał się do ludu, czy bezpośrednio w dziedzictwie po

Macedończykach, czy też ze średniowiecznego romansu pseudo-Kallistenesa, który był dobrze znany Słowianom, czego dowodem są przeróżne Aleksandreidy i bułgarskie i serbskie i czeskie. Dozon kwestyi téj nie dotyka, lubo widać z dalszych słów, że o Aleksandreidach ma pewne wyobrażenie.

Daléj następuje kategorya wędrówek narodów, zaprowadzenia sztuk i nazw etnograficznych i geograficznych. Kilka pieśni opowiada o tém, jak lud, u którego było przeludnienie, wyprawił nadmiar populacyi do obcych krajów i jak tenże, nowe zdobył sobie siedziby. Trzy pieśni z tego działu przełożyła na polski język pani Seweryna Duchińska (*Biblioteka Warszawska*, luty, 1875). Werkowicz, poczytujący zapisane w rocznikach bizantyjskich podania o przyjściu w wieku VI i późniéj drużyn słowiańskich do półwyspu, za wymysły tychże kronikarzy, sądzący, że Słowianie zawsze zajmowali obecne swoje siedziby, odnosi pieśni téj kategoryi do epoki przedhistorycznéj, w któréj Słowianie przybyli do Europy razem z innemi gałęziami rasy aryjskiéj. Dozon, jak się zdaje, niedowierza temu paradoksalnemu twierdzeniu, ale nie wdaje się w jego rozbiór, jedynie tylko poświęca pewien ustęp fantastycznéj geografii, „któréj wyjaśnienie zdolniejszym od siebie pozostawia." Taka geografiia i bałamutna i urojona, nie jest wyłączną rodopskich pieśni własnością: hojne jéj przykłady i u innych południowych Słowian znaleźć można.

Inne pieśni przypisują wynalezienie pisma, sztuki pasterskiéj, gry na flecie i t. d. objawieniu z nieba, pośredniczkami którego są owe nadziemskie istoty *judy*. Pierwszy krzew winny był wzięty z ogrodu słońca i przyniesiony na ziemię. Dozon dopatruje w tém waryantów legendy o Demetrze (Cererze) i Tryptolemie; potém zaś podaje treść niezmiernie długiéj (2464 wierszy) i chaotycznéj pieśni: *O wynalezieniu pisma*.

Brak czasu nie pozwolił konsulowi francuzkiemu przejrzéć działu, odnoszącego się do królów bułgarskich, mówi więc tylko że w spisie tymczasowym spotykał imiona jak: Sima-Care (Symeon?), Car Bojana, Krismina Krale, albo Care, Kur bratica junak i inne; zdaje mu się że widział także imię ostatniego z królów bułgarskich Szyszmana. Jednę z tych pieśni czytał wszelako, mówi ona o królu Hassana cara, w czém Dozon widzi skażenie imienia Asiena, odnowiciela państwa bułgarskiego w r. 1186. Jest ona jak zwykle, pełna cudowności, tym razem chrześciańskiego charakteru; gra w niéj rolę św. Dymitr w towarzystwie Samowili i smoka ognistego, zresztą dość dobrze zgadza się z dziejowém życiem Asiena.

Daléj podaje Dozon krótką listę mitologiczną i religijną, do któréj powrócimy późniéj, przyczém widzimy jeden jeszcze dowód trzeźwości jego sądu, przyznaje się bowiem niejednokrotnie do nieumiejętności wytłómaczenia danego szczegółu.

W końcu, rozbierając formalne strony pieśni rodopskich, robi trafną uwagę, że „pieśni te, a to stosuje się do wszystkich pieśni bul-

garskich, z charakterem mitologicznym, są tylko wierszowanemi *klechdami (contes)*, albo mówiąc dokładniéj, stanowią materyał, z którego późniéj tworzą się klechdy. Są to opowiadania mniéj lub więcéj epiczne, zawierające w sobie znaczne szczątki wierzeń religijnych, żyjących jeszcze, lub wygasłych, gdy tymczasem w klechdach innych ludów wierzenia te, podkopane przez nowsze wyobrażenia i sprowadzone do rozmiaru faktów magii i czarnoksięztwa, figurują jedynie, jako konwencyonalny już żywioł fantazyi i środek zabawy. Ta właściwość mityczněj poezyi bulgarskiéj, świadcząca o starożytności, przynajmniéj pod względem ducha, nadaje jéj, jeśli się nie mylę, szczególniejszy interes, podobny do tego, jaki budzą opowiadania *Kalewali fińskiéj*, w któréj panuje żywioł kosmologiczny."

W kwestyi dawności owych pieśni, Dozon bardzo słusznie nic pewnego powiedzieć nie chce i tłómaczy, dlaczego duch tu panujący nie może rzucić żadnego światła. „Bulgarzy, według niego, czyto chodzą do kościoła, czy do meczetu, żyją wszelako prawie w tymże świecie moralnym, jak przed ośmiu albo dziesięciu wiekami, a jeśli obyczaje ich złagodniały, widnokrąg idei niezbyt się rozszerzył." Na dowód przytacza pieśń nie ze zbiorów Werkowicza, zapisaną w Tracyi: *Chrystus i Samodiwy*, a będącą legendą chrześciańską na tle pogańskiém. W pieśni téj, w celi klasztoru świętego Eliasza, Marya rodzi Chrystusa, a trzy *samodiwy* pomagają jéj: jedna szyje koszulkę, druga plecie powijaki, trzecia stroi czapeczkę. Wpływ muzułmański jest całkiem powierzchowny i przejawia się jedynie w imionach własnych, w pieśniach zapisanych z ust Pomaków.

Na tém kończy Dozon, wyrażając swe zdanie, że jestto zbiór drogocenny, który po oddaniu go do druku, może być osądzony lepiéj i bardziéj stanowczo, aniżeli to on był uczynił. Dozon był tak przekonany o jego autentyczności, że kiedy w r. 1875 ogłosił drukiem swój własny zbiorek pieśni ludowych bulgarskich, nie wahał się przyjąć do niego jedenastu pieśni, od Werkowicza otrzymanych i jednéj klechdy. Zdaniem naszém, postawił on pierwszy krok w kwestyi nader trafny i dobrze o jego trzeźwości umysłu i sumienności świadczący. Wiarę swą w autentyczność oparł na własnéj obserwacyi i na rozumowaniu bardzo logicznem; przedstawił jasno światu to, co widział własnemi oczyma, nie wdawał się przytém w głębsze wywody, gdyż nie uważał się wcale za uczonego slawistę. Mimo to uwagi, jakie poczynił, bardzo trafiają do naszego przekonania.

W dwa lata późniéj (1874 r.), wyszło z druku piętnaście pieśni rodopskich w Belgradzie p. t.: *Veda Slovena, Bălgarski narodni pesni ot predistoriczno i predchristijansko doba, otkril w Trakija i Makedonija i izdal Stefan I. Werkowicz, Kniga I.* W tomie tym pomieścił pieśni piętnaście, wybrawszy te, które jego zdaniem, najlepiéj popierały ulubioną myśl o prastarości tradycyi rodopskich, o przedhistorycznéj Słowian cywilizacyi i o Orfeuszu, jako Słowianinie. Pierwszych pięć pieśni stanowią waryanty o: *Przesiedleniu narodu z krajnéj ziemi nad*

*Dunaj;* stosunkowo są one jeszcze dość krótkie, najdłuższa liczy 265 wierszy. Daléj idzie ogromna pieśń o: *Małżeństwie słońca z dziewicą Walkaną*, 1028 wierszy; daléj trzy pieśni o: *Weselu króla Talatinskiego z córą króla Sitskiego* (*Kiticzeskiego* w pieśni trzeciéj); jedna pieśń: *Bój króla Talatina z Surą łamiją z ziemi Ricznéj;* cztery pieśni o: *Narodzinach Orfeusza* i w końcu jedna o: *Małżeństwie Orfeusza z córką króla Arapskiego.* Obok oryginału po drugiéj stronie ciągnie się dosłowny przekład francuzki, wygotowany podobno przez jakiegoś Czecha, bawiącego w Belgradzie, a może przez samego Szafarika. Książkę rozpoczynają dwie przedmowy: jedna po serbsku samego Werkowicza, druga krótka francuzka Janka Szafarika.

Jak już wprzódy, tak i teraz *idée fixe* Werkowicza złą całéj sprawie oddała przysługę. Nadaremnie trzeźwiéj patrzący na rzeczy Szafarik nakłaniał go, aby nie dawał tytułu: *Wedy* swemu zbiorowi, nasz archeolog uporczywie obstawał przy swojém. W przedmowie obecnéj występuje już nieco oględniéj, aniżeli w listach do *Gazety Zagrzebskiéj*, ale i tu nie mógł pohamować uniesień swéj fantazyi i szowinizmu. Od słusznych poniekąd uwag co do krzywdy, jaka niejednokrotnie dzieje się Słowianom ze strony uczonych, przechodzi do wyższości Bułgarów nad dzisiejszymi Grekami, którzy nie okazują obecnie żadnéj skłonności do *svirki* i *piesnicztwa* (muzyki i poezyi) „owego kamienia węgielnego pierwotnéj cywilizacyi, gdy tymczasem u Bułgarów i jedna i druga pielęgnują się z niezwykłém upodobaniem i miłością." Daléj opowiada on znane już nam dzieje poszukiwań swoich, co do najstarszych pieśni i rzuca poglądy, pełne niekrytyczności i fantazyi. „Jedna część, powiada, owych pomników bierze początek z czasów przedhistorycznych, przedstawiając nam dotąd nieznaną, zapomnianą cywilizacyą świata, któréj ani śladu niéma w starych latopisach i u pisarzy historycznych, a któréj początek ginie w pomroce wiekowéj. Z treści tych tradycyi możnaby wnioskować, że odnoszą się do pierwotnego rozwoju rodu ludzkiego (?)... Kilka pieśni wspomina o przesiedleniu się osiadłego narodu z *„krajnéj* (krańcowéj) ziemi nad białym Dunajem;" narodem tym nie może być inny, tylko ów, u którego owe pomniki przez tak długi czas aż do dnia dzisiejszego mogły zachować się, przechodząc ustnie z ojca na syna. A pod imieniem ziemi krańcowéj, jak sądzę, należy rozumieć jakiś kraj Azyi wschodniéj, lub półwyspu Indyjskiego, *białym Dunajem* zaś nie może być nasz Dunaj, tylko jakaś inna większa rzeka azyatycka, może Indus, lub Ganges, jeśli nie Oksus, lub Jaksartes (?).

Mitologią tych pomników Werkowicz poczytuje za nader podobną do indyjskiéj w hymnach Rig-Wedy, a nawet sądzi, że słowiańska nie jest li-tylko jéj siostrą, płynącą z jednego źródła, ale raczéj w skutek swéj prostoty i starożytności matką tamtéj. Za główne rysy owego pokrewieństwa poczytuje bogów Wisznu i Ogne, oraz ofiarę *czarnéj pujke* (indyka?) w tylu pieśniach wspominaną. Dziwactw takich jest w przedmowie jeszcze więcéj; najklasyczniejszém jest przypuszczenie,

że ci pierwotni Słowianie mogli umieć robić skrzydła i latać niemi, ponieważ *judom* dają takowe. Przypomina to ową prelekcyą p. Józefa Grajnerta: *O literaturze ludowéj* (r. 1871), w któréj prelegent przypisuje ludowi przepowiednią, czy tam przeczucie wynalazku balonów, ponieważ w klechdach kobierzec-samolot po powietrzu lata.

Z tego widzimy, jak słabe i mętne są podwaliny naukowéj wiedzy Stefana Werkowicza; przedmowa jego już sama przez się zachwiała wiarę w autentyczność jego zbioru. Niewiele pomogła, a raczéj zaszkodziła obrona ze strony profesora w *Collège de France* Aleksandra Chodźki, który przyjął odkrycie Werkowicza z wielkiém uniesieniem i do wywodów tegoż w znacznéj części wiarę zupełną przykładał. Echem prelekcyi Chodźki o tym przedmiocie był artykuł p. Seweryny Duchińskiéj (*Bibl. Warsz.* 1875, luty), do którego dołączyła przekład czterech pieśni, z niebardzo szczęśliwémi przypiskami. Nie ubliżając bynajmniéj zasługom w literaturze p. Aleksandra Chodzki, musimy jednak wyznać otwarcie, że autor *Derara* jest przedwszystkiém poetą, podobnie jak i mistrz jego i poprzednik Mickiewicz, a ognista obydwu fantazya unosiła ich często zadaleko.

Inaczéj całkiem zapatrywał się na *Wedę słowiańską* uczony Józef Jireczek, były minister cislejtański. Poczytuje on takową, lubo nie stanowczo, za podrobioną. Do takiego wniosku doprowadza go przedewszystkiém nieprawidłowość formy wierszowéj, w któréj mieszają się z sobą wiersze sześcio, ośmio, dziesięcio, dwunasto i piętnastozgłoskowe. Dziwna rzecz, iż podobny zarzut postawił obrońca *Rękopismu królodworskiego*, który właśnie taką nieprawidłowością formalną się odznacza. Wiele pieśni tego zbioru ma miarę całkiem prawidłową; ośmio, lub dziesięcio-zgłoskowy wiersz z pewném trochaicznem zacięciem, a jeśli trafiają się tam wiersze, którym jednéj zgłoski niedostaje, to może być winą albo niepamięci dyktującego, albo nieuwagi zapisującego. Że pieśni, mogące rościć pretensyą do nader odległych czasów, mają ową nieprawidłową formę, nas to wcale nie dziwi; mogą być one przecież płodem téj epoki, w któréj forma była w procesie przejściowym od prozy, do stałéj formy metrycznéj. Przykładów podobnych oprócz *Rękopismu królodworskiego* mogą dostarczyć jeszcze stare *byliny* rosyjskie. Jireczek sądzi, że nic podobnego u Bułgarów się nie trafia, tymczasem w zbiorku Dozona (nr. 57, str. 95) znajdujemy pieśń *Snoszti mama Janka bila godila*, w któréj w podobnyż prawie sposób wiersze krótsze łączą się z dłuższemi, a gdyby poszukać po innych zbiorach, możeby więcéj takich znalazło się przykładów.

Józef Jireczek pyta z podziwieniem, czy możebném jest, by w ludzie, od całego świata odciętym, zachowały się tradycye o „pierwszém przesiedleniu się z praojczyzny." Przedewszystkiém jestto wielkie pytanie, czy owe pieśni, w których mowa o „przesiedlaniu się z krańcowéj ziemi na Dunaj," należy rozumieć w taki sposób, w jaki je sam Werkowicz rozumié, a przytém i tego nie należy spuszczać z uwagi, że wła-

śnie ludy górskie, odcięte od świata, nie ulegają tak łatwo obcym wpływom i najdłużéj zachowują starodawne obyczaje i tradycye.

Iireczek nader słusznie nie wierzy w możność boga Wisznu u Słowian i oprócz Werkowicza nikt zapewne w to nie uwierzy. Ale już Dozon z owego Wisznu indyjskiego robi poprostu przymiotnik *wiszni*, który po bulgarsku znaczy wysoki, najwyższy i służy za przydomek Boga. *Naj imam stracha ot wisznago Boga*, mówi jedna pieśń w jego zbiorze (nr. 42, str. 73). Końcówka drugiego przypadku wskazuje, że formuła ta datuje się od dawien dawna i powtarza się stereotypowo, kiedy mogła w téj staréj formie przechować się w języku, co już przypadkowanie zatracił. Podobneż znaczenie i użycie tego przymiotnika widzimy w języku serbo-chorwackim. Geitler (str. 6) *wisznu* poczytuje za rodzaj nijaki, zamiast *wiszno*, a w narzeczu macedońskiém rodzaj męzki i nijaki często zastępują się wzajemnie. Zresztą w rękopismach Werkowicza znajdował on i formę *Wiszne-bog*.

*Koleda-bog* także podejrzanym wydaje się Iireczkowi i sądzi, że tylko głowa spekulatywnego mitologa mogła wytworzyć odrębnego, uosobionego boga Koledę, dotąd bowiem znaliśmy jedynie uroczystość kolędową. Do pewnego stopnia zbijają Iireczka pieśni białoruskie, które znają kolędę jadącą: *w czerwonom wozoczku, na siwym konioczku*, albo znowu kolędę przylatującą z wysoka. Wyprowadzano wyraz ten w rozmaity sposób, najwięcéj od łacińskiego *calendae*, ale etymologia ta nie wytrzymuje krytyki; a najtrafniejszym zdaje się być wywód od wyrazu *koło*, które jest metaforą słońca. *Kolęda* prawdopodobnie znaczy młode słońce, narodzone w dobie, kiedy obchodzone są święta tego nazwiska. Potwierdza to poniekąd i *Koleda* w pieśniach rodopskich, jeździ ona bowiem na koniu sześcio-skrzydłym, w którym konia słonecznego widzieć należy.

Zarzuty Józefa Iireczka łatwo obalić, jak to już był Geitler uczynił [1]); nie brał on rzeczy głębiéj, nie poświęcał przedmiotowi rozleglejszych studyów, ale na posiedzeniu Towarzystwa naukowego w Pradze dnia 17 grudnia 1874 r. wypowiedział wątpliwości, które, że tak powiem, same mu się nastręczały. Jak to łatwo zrozumieć, nie myślał on bynajmniéj stanowczo obalać autentyczności *Wedy*, ale podawał ją tylko w wątpliwość, co nie przeszkodziło lekkomyślnemu francuzowi, Ludwikowi Leger, wystąpić ze stanowczym, a gwałtownym protestem, opierając się na zarzutach Iireczka. Już to samo, że Aleksander Chodźko stawał w obronie Werkowicza, wystarczyłoby zawistnemu i samochwalczemu profesorowi z Sorbony, aby przeciwne zajął stanowisko. Leger piętnuje pieśni rodopskie nazwą oszustwa i dziękuje Iireczkowi, że zdarł śmiało zasłonę złéj wiary. Leger wprawdzie stoi o wiele wyżéj od pp. Rambaud, Courrière *e tutti quanti*, którzy z oburzającą nieświadomością i nieuctwem piszą o świecie słowiańskim, ale nastrzelał już tyle

[1]) *Poetické tradice Thrákó a Bulharo*, podava dr. Leopold Geitler, str. 6 i 7.

bąków w swéj literackiéj karyerze, że mu i ten także wybaczyć można. W każdym razie zważywszy, że to, co Iireczek stawia, jako podejrzenie, poczytuje już za rozwiązanie kwestyi, wystąpienia lekkomyślnego francuza na seryo brać nie można.

Mniéj lekkomyślnie, ale także niezbyt oględnie postąpił sobie w téj sprawie syn byłego ministra, Konstantyn Józef Iireczek, autor: *Dziejów narodu bulgarskiego.* W rozdziale o literaturze nowo-bulgarskiéj (str. 515), wspomina o książce Werkowicza, dodając, że „już zupełny brak metru świadczy, że *Wedy* te nigdy przez lud śpiewane nie były i daje nam prawo zjawisko to ogłosić za wymysł literacki, za co je i sami Bulgarzy poczytują." Jak widzieliśmy, zarzut ten niéma wielkiéj wagi; co się zaś tyczy zdania Bulgarów, to ono bynajmniéj nie jest takiém, jak młody Iireczek powiada. Przeciwników Werkowiczowi między Bulgarami niebrak, ale większość inteligencyi, jakto mieliśmy sposobność słyszeć od jednego z najwykształceńszych Bulgarów, p. Cankowa, obecnie sekretarza najwyższego sądu w Sofii, wierzy w autentyczność pieśni, odtrącając tylko przesadne z takowych wywody.

Młody Iireczek czuł widocznie, że podobnie lakoniczny wyrok potępienia nie uchodzi, dodał więc jeszcze przypisek. Powtarza tu pokrótce zarzuty swego ojca, przyczém dodaje, jako swoje zdanie: „Żeby w Rodopie, od Mielniku, aż do Ciepiny i Didymotichu, zakłóconéj tylu orężnemi pochodami Bizantyjczyków, Bulgarów, Serbów i Turków, do dziś dnia zachowały się w pamięci mieszkańców tak starodawne pieśni, to już *a priori* budzi wątpliwości. Nadto kraj Rodopy zbyt jest dobrze znany, aby pieśni tak znakomitych i tak rozpowszechnionych (?) już wprzódy ktoś nie był zauważył; sam Neofit Rylski pochodzi z Rodopy, a i Zachariew znał dobrze góry te i ich ludność... Wszelako żeby Werkowicz sam był twórcą tych śpiewów, wątpliwą jest rzeczą. Sądząc z opisu Dozona... były nauczyciel w Kruszowie, który *Wedy* za drogie (?) pieniądze Werkowiczowi sprzedawał, najlepiéj będzie wiedzieć ich autora."

Jak widzimy, nowe te młodego Iireczka zarzuty ślizgają się po powierzchni rzeczy, nie wnikając głębiéj w ich istotę. Nie możemy mu brać za złe, że o *starodawności* takiéj, o jakiéj myśli Werkowicz, już *a priori* powątpiewa, ale że góry Rodopskie są nieprzystępne, odcięte od świata, to rzecz wiadoma, a pieśni w téj okolicy nikt przedtém nie zbierał. Że Neofit nic nie wié o nich, nic dziwnego, całe życie przepędził w murach klasztornych, Zachariew zaś przykładał wiarę do odkrycia, a nawet wniosków Werkowicza, jak o tém świadczy wspomnione już *Opisanie okręgu Tatar-Pazardżyku.* Powierzchowne przejrzenie *Wedy* już okazuje wielkie bogactwo fantazyi i nawet niemały talent poetyczny twórcy pieśni (przyznał to Leger); pytamy więc, czy za takie pieniądze, jakie pobierał Gologanow, a choćby daleko większe znalazłby się człowiek z talentem i nauką (bo i nauki tu trzebaby niemałéj), aby poświęcać czas swój i zdolności na tak niewdzięczną robotę, jaką byłoby podrabianie tak długich poematów.

Z tego wszystkiego poznajemy, że opinia Konstantyna Józefa Iireczka mało zaważyć może w téj sprawie, a jednak, jak to zobaczymy poniżéj, posłużyła ona za punkt oparcia przy wydaniu niekorzystnego o autentyczności pieśni rodopskich zdania.

W roku 1875 Marcin S. Drinow, profesor uniwersytetu Charkowskiego, ten sam, który późniéj sprawował czas jakiś obowiązki ministra oświecenia w świeżo powstałem Księztwie Bulgarskiém, zapisał z ust prostéj kobiety, w innéj okolicy Tracyi, pieśń o *Małżeństwie słońca z ziemską dziewicą* i drukował ją w dzienniku *Periodiczeskoje Spisanie*, wychodzącym w Brajle; podobnaż pieśń znalazła się i w zbiorze Dozona (nr. 13, str. 17), a coś podobnego było nawet w dawniejszym zbiorze braci Miladinowców. Są to pieśni o wiele krótsze od rodopskiéj (Drinowa ma około 150 wierszy, Dozona 110; tymczasem rodopska aż 1028); opowiadają one fakt zakochania się słońca w ziemskiéj dziewie, która w każdéj pieśni inne nosi miano (Marya, Grozdana, Jania, wszystko nowsze imiona, Wałkanę zaś ma pozór starożytnego imienia). Bóg unosi ją do nieba. do słonecznego dworu i słońcu zaślubia ukochaną. Oprócz słońca i Boga występuje tam jeszcze matka słońca, brat jego „ogień (ognian t. j. ognisty)" i siostra Dena Denica (jutrzenka); mają więc charakter całkiem mityczny, przypominający niektóre pieśni litewskie [1]). Zdawałoby się, że odkrycie tych pieśni da pochop do studyów porównawczych, które rzucą światło na pieśń u Werkowicza, tymczasem uczony profesor zbywa sprawę kilku słowami, sądząc, czy tam przypuszczając, że ta ostatnia została utworzoną lub przynajmniéj *przemajstrowaną* (priemajstorena) przez jakiegoś przesadnego patryotę bulgarskiego. Drinow obiecuje oddzielnie pomówić o zbiorze Werkówicza, ale dotąd obietnicy nie dotrzymał.

Głębszego wniknięcia w sprawę i pewnéj analizy naukowéj, początek dał Wsiewołod Miller w artykule p. t.: *O pieśniach Bulgarów macedońskich*, zebranych i wydanych przez Werkowicza, pomieszczonym w *Gońcu Europy* (*Wiestnik Jewropy*) r. 1877 za miesiąc czerwiec.

Miller rozpoczyna od rozbioru kwestyi autentyczności i poczytuje świadectwo Dozona za *ważne dla nas*. „Ale daleko ważniejszemi są świadectwa samych pieśni, albowiem po przeczytaniu takowych zaledwie ktoś wątpić będzie o tém, iż rzeczywiście stanowią one własność Bulgarów macedońskich. Inna kwestya, czy udawadniają teoryą Werkowicza, czy zawierają w sobie mitologią wedyjską i wiarogodne podania o królu bulgarskim Aleksandrze, albo o śpiewaku Orfeuszu?"

Aby dać pojęcie o charakterze wedy słowiańskiéj, Miller wybiera jednę z pieśni o *Urodzeniu Orfeusza*, podaje jéj treść, a potém przystępuje do zdania Werkowicza, że w niéj zawierają się wspomnienia o najdawniejszéj Słowian historyi. Jużto dziwném wydaje się Millerowi, że w żadnéj z pieśni I tomu *Wedy* niéma imienia ni Słowian, ni Bułgarów. Zamiast prowincyi i miejscowości Macedonii i Bulgaryi

[1]) Zobacz *Chrestomatyą Litewską* Szlejchera.

znajdujemy tu jakieś całkiem nieznane kraje: ziemię Riczną, Judinską, Mornę, Sitską, Czytajską, Szerenie, Jańską i Arapską; zamiast imion bulgarskich królów Sadę, Talatina, Szerę, Rindę, Sindże, Brawa-Samandara. Jeden tylko „biały Dunaj" wiąże pieśni owe z półwyspem Bałkańskim, ale w nim należy uważać raczéj jakąś nieokreśloną rzekę epiczną, aniżeli rzeczywisty Dunaj; zresztą jesttu mowa także o dwu *białych Dunajach* (nawiasem mówiąc i w naszych pieśniach bywa wzmianka o Dunaju w znaczeniu poprostu jakiéjś wielkiéj rzeki). Pieśni mówią o przeniesieniu się jakiegoś narodu nad Dunaj, w jednéj wodzem w téj migracyi jest muzyk Urfen, w drugiéj król Czytajski, w trzeciéj król Sada, w czwartéj król Gulema (t. j. wielki). Miller jest zdania, że podobieństwa imienia Urfena do Orfeusza, i to, że obaj byli cudownymi muzykami, nie wystarcza jeszcze do identyfikacyi obu tych osób. Typ takich muzyków znany jest wielu epopeom, ale każdy z nich ma własne rysy narodowe. „Urfen występuje jako pierwszy król na ziemi, przesiedla naród swój, uczy ludzi rolnictwa, buduje pierwsze miasto, z pomocą jud zyskuje żonę, jest wnukiem słońca, a nic podobnego o greckim Orfeuszu nie wiemy. Wszystko to okazuje, że Urfen u Bulgarów ma daleko większe znaczenie, aniżeli to, jakie miał Orfeusz u Greków." Miller, na poparcie swego zdania, przytacza jeszcze glosę o Ufrenie, którąśmy wyżéj ze sprawozdania Dozonowego przytoczyli.

Miller sądzi, że pieśni, przez Werkowicza dotąd wydane, przedstawiają ułamki jakiéjś całości epicznéj. Jedne mówią o przesiedleniu ludu pod dowództwem króla, inna powiada o małżeństwie słońca z krasawicą Walkaną, a w końcu mówią o wnuku słońca Ufrenie. „Dotychczas podobnego mitologicznego eposu u Słowian nie znaleziono i mimowolnie budzi się wątpliwość co do słowiańskiego pochodzenia pieśni bulgarskich." Miller sądzi, że rysy typowe owego eposu dyszą czémś niesłowiańskiém i znajduje analogią w fińskiéj *Kalewali*, owéj epopei, którą pracowity zbieracz Lönnrot, z ust ludu w pierwszéj połowie naszego stulecia zapisał i wydał na świat r. 1835.

Miller przywodzi następujące trzy punkta podobieństwa pomiędzy *Wedą* Werkowicza a *Kalewalą:*

1. *Słowiańska Weda* pełna jest mitologii, na czele bogów stoi Najwyższy Bóg (ów wisznu-bog), zasiadający na wysokościach niebieskich. Rządzi on światem oraz pozostałymi bogami, posyłając im przez *dewów* swoje rozkazy. Pod rozkazami jego zostają: bóg słońca, bóg wody i bóg ognia. Bohatérowie ziemscy bezustannie wznoszą do niego modlitwy i składają w ofierze czarne ptaki (Miller nie odważa się *pujkę* tłómaczyć przez indyki) i jałowice. W *Kalewali* owa najwyższa istota nosi nazwę Ukko i okazuje się takimże władzcą bogów i ludzi. Do niego np. zwraca się z modlitwą Wainamojnen, kiedy roślinność zaprowadził na ziemi, i prosi go, aby takową skropił deszczem miodowym.

2. W przeciwieństwie do eposu słowiańskiego *Weda* Werkowicza nie odznacza się wojowniczością. Siła oręża ustępuje czarom, cudowna piszczałka czaruje potwory i usypia takowe; dźwięki jéj podbijają całę przyrodę, wyczerpują wodę i rozdzielają morze Czarne. Bohatérowie polegają nie na mieczu, lecz na pomocy boga, do którego zwracają się z modlitwą. Miller w ogóle nie znalazł w pieśniach ani jednego wypadku, gdzieby przedstawioném było męztwo i nieustraszoność; bohatérowie bynajmniéj nie okazują się walecznymi, a więcéj polegają na ziołach i zaczarowanych strzałach, aniżeli na własnych siłach. Takaż przewaga czarów i zaklinań nad męztwem i siłą fizyczną stanowi cechę charakterystyczną *Kalewali*.

3. Główne podobieństwo *Kalewali* z *Wedą* Werkowicza, Miller widzi w Urfenie, który żywo przypomina najważniejszą w *Kalewali* osobę Wajnamojnena. Obaj urządzają ziemię; Wajnamojnen osusza błota, zamienia pustynią w kraj kwitnący, pokrywa ziemię trawą, sadzi drzewa i zasiewa zboże, a wszystkiego tego dokonywa jako czarodziéj, gędziebnik i śpiewak. XLI runa *Kalewali* przedstawia wpływ cudownéj gry Wajnamojnena. Kiedy Wajnamojnen zagrał na arfie (*kantalet*) z kości szczupaka, ze wszech stron zwierzęta zeszły się, aby go posłuchać: wiewiórka skacze po drzewie, gronostaje biegają po płocie, łoś skacze po łące, wilk przybiega z błota, niedźwiedź słucha o płot oparty, orzeł przylatuje, porzuciwszy w gnieździe orlęta, kaczka i łabędź opuszczają błota i jeziora, a ptaki śpiewające zachwycone, siadają na barkach muzyka. W *Pieśniach rodopskich*, gdy Orfen, młody junak, zagra na *judinskiéj* piszczałce, kamienie i drzewa płaczą, ptaki zatrzymują się i słuchają, zwierzęta i ludzie wpadają w omdlenie, nawet człowiek pada martwy na ziemię i nie może przyjść do siebie, póki piszczałka nie zamilknie i t. d.

W. Miller nie wchodzi w szczegóły podobieństwa pieśni bułgarskich z *Kalewalą*, podobieństwo to jednak rzuciło mu się samo w oczy przy pobieżném takowych czytaniu. Może podobieństwo to jest przypadkowém, ale i przypuszczenie inne ma za sobą pewną podstawę. Bułgarowie są mieszaniną Słowian z plemieniem, przybyłém znad Wołgi i stepów czarnomorskich, które ma współplemieńców w Hunnach, Madżiarach, a zatém i w Finnach. Plemię to, noszące nazwę Bułgarów, nadało podbitym imię swoje, ci zaś pochłonęli w sobie przybyłców; którzy zaledwie drobne po sobie zostawili ślady. Miller przypuszcza, że przy dokładniejszém badaniu dzisiejszego *Słownika bułgarskiego*, znalazłyby się w nim i szczątki języka zdobywców. W *Pieśniach rodopskich* znajdują się pewne słowa, nie dające się objaśnić językiem słowiańskim, a, jak Dozon zapewnia, ani tureckim także. Gdy zapisujący pieśni zapytywał opowiadaczy o ich znaczenie, ci tłómaczyli je odpowiednim wyrazem, albo tureckim, albo słowiańskim. Tak np. nie zrozumiały wyraz *in* tłómaczyli przez turecki *harslanina* t. j. *lew*. Miller nie czuje się w możności zbadania pieśni Werkowicza pod tym względem, choć mniema i to słusznie, że to najprędzéj

rozstrzygnęłoby kwestyą ich narodowości. Zdanie swoje stawia jako domysł, że w nich zachowały się motywy nie słowiańskiéj, lecz jakiéjś innéj, nawet nie indo-europejskiéj narodowości i podobieństwo z *Kalewalą* daje może wskazówkę, jak należy objaśniać istnienie obcéj przymieszki w pieśniach słowiańskich.

„Nie przesądzając niczego, mówi w końcu Miller, dla braku danych, chcieliśmy w artykule naszym zwrócić uwagę osób kompetentnych na bogaty materyał, zebrany przez Werkowicza i okazać, że materyału owego nie należy ignorować z winy tych fantastycznych wywodów, jakie czyni serbski archeolog."

Powyższe zdanie Wsiewołoda Millera, bardzo sumiennie wypowiedziane jako domysł tylko, nie zewszystkiém trafia do naszego przekonania. Geitler [1]) słusznie powiada, że ma ono w sobie coś łudzącego, gdyż, według Rösslera, Bulgarowie nadwołżańscy byli Samojedami, przez nich więc mity czudskie (fińskie) mogły trafić do dolin rodopskich; mimo to jednak jestto podobieństwo przypadkowe tylko. Co do nas, zgadzamy się na tyle z Millerem, że przypuszczamy, iż w literaturze ludowéj bulgarskiéj powinnyby znaleźć się ślady fińskie, czy tam w ogóle turańskie. Narody i plemiona, jak trafnie mówi Dozon, rzadko niknąą całkowicie; turańscy Bulgarowie rozpłynęli się wprawdzie w żywiole słowiańskim, a jednak krew ich pozostawiła właściwe sobie ślady; niepodobieństwem więc nam się zdaje, by nie przekazali oni swych tradycyi, które w części do dziś dnia przechować się mogły. Sumienne zbadanie ludu bulgarskiego przez ludzi kompetentnych, obeznanych z Finnami, powinnoby do pewnych doprowadzić rezultatów. Jednakże trzy punkta, które podaje Miller, nie trafiają nam do przekonania.

Przedewszystkiém nie widzimy potrzeby uciekania się do analogii z bogiem Ukko, w celu wytłómaczenia stanowiska Wiszne-boga (Najwyższego Boga) względem bóstw innych. Jest ono najzupełniéj w zgodzie z podawaną wprawdzie przez niektórych w wątpliwość, teoryą o *bogu bogów* w mitologii słowiańskiéj i takową pieśni Werkowicza poprą znakomicie, gdy autentyczność ich żadnéj już podlegać nie będzie wątpliwości.

Brak wojowniczości, przewaga czarów, zaklinań nad osobistém męztwem i fizyczną siłą, dobrze odpowiada charakterowi Finnów, czyli mówiąc ze słowiańska Czudów, narodu spokojnego, a nadto z dawien dawna znanego z czarodziejstw i zabobonów. I Bulgarowie nadwołżańscy również mieli zabobonów i czarów bez liku, ale pierwiastek ten u Słowian nie o wiele poprzednim ustępuje. Brak jednak ducha wojowniczości, przejawiający się *cząstkowo* w zbiorze Werkowicza, żadną miarą według nas Bulgarom nadwołżańskim przypisywany być nie może. Byłto lud dziki, koczowniczy, łupiezki i zaborczy; dokonał znacznego na półwyspie podboju, nie mógł więc nie okazywać męztwa

[1]) *Poet. trad.* str. 8.

i nie polegać na sile fizycznéj. Motywów strachu bohatérów *Wedy*, pokonywania wrogów lub potworów przy pomocy czarodziejstwa, nie w tém szukać należy; zresztą analogie znajdą się i gdzieindziéj, nawet w klechdach naszego ludu. Nie zawsze junak bajki jest tak nieustraszonym i zuchwałym jak Marko królewicz.

Również niewiele do nas przemawia podobieństwo Urfena do Wajnamojnena. Jeśli wyprowadzenie Orfena od Orfeusza wydaje się naciąganém, to tém więcéj wydałoby się wyprowadzenie tegoż od cudownego muzyka *Kalewali*. Takich gędziebników i takie czarodziejskie instrumenta znają podania i klechdy innych także narodów; przypomnijmy sobie dla przykładu, choćby owę fujarkę w *Klechdach* Wojcickiego, wykręconą z drzewa, co nigdy *pianía koguciego* nie słyszała, fujarkę, na któréj dźwięk drgały do mimowolnego tańca nieochotne nogi, która umarłych z grobu do szalonych pląsów budziła. Czyż to nie jest dostatecznym dowodem, że wszystkie owe podania powstały tylko z jednego mitologicznego motywu, że naród żaden nie potrzebował zapożyczać ich od drugiego.

W. Miller w artykule swym rozpoczął poważniejsze traktowanie przedmiotu, mając odwagę, jakto mówią Czesi, *nadgryźć kwaśne jabłko*. Skromne i oględne podawanie swego zdania jako domysłu, sumienne rozważenie argumentów Dozona, przemawiających na korzyść autentyczności, przynoszą zaszczyt uczonemu, który sprawie téj, jakto zobaczymy późniéj, więcéj jeszcze uwagi i badań poświęcił.

Do artykułu Millera dodał prof. Pypin, trochę ni w pięć ni w dziewięć, własną uwagę. W przeciwieństwie do poprzednika, Pypin usiłuje wyciągać dowody na niekorzyść autentyczności i przywodzi *in extenso* wspomniony już przypisek Konstantyna Iireczka, nadto prawi o różnych fałszerstwach pomników starodawnéj poezyi słowiańskiéj. Jestto wstęp do wspomnionego już wyroku w *Historyi literatur słowiańskich* (str. 134—136), gdzie Pypin stanowczo twierdzi o fałszerstwie i mistyfikacyi i zbiór Werkowicza zowie dopełnieniem programatu Rakowskiego, nie dając jednak dowodu, by przedmiot sam zbadał nietylko głębiéj, ale choćby dotykalniéj jedynie.

# Kronika lwowska.

Walne zgromadzenie Towàrzystwa przyjaciół sztuk pięknych.—Mowa Leszka Borkowskiego.—Stan Towarzystwa i sprawozdanie z jego czynności.—Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego, przez prof. Małeckiego.—Inne wydawnictwa naukowe.—Nowomianowani konserwatorowie zabytków starożytniczych na Galicyą wschodnią.

Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych odbyło z końcem stycznia swe zwykłe walne zgromadzenie doroczne. Sprawozdanie przedstawione zgromadzeniu przez dyrekcyą Towarzystwa, obejmuje dokładny obraz całorocznych tegoż czynności i stanu majątkowego, a jakkolwiek zajmującém jest przeto dla wszystkich, interesujących się bliżéj losami Towarzystwa i wzrostem zamiłowania sztuki w ogóle u nas, to liczną publiczność gromadzi zarazem na te zebrania chęć usłyszenia przemowy, jakiemi zwykł zagajać te walne zgromadzenia prezes Towarzystwa Leszek Borkowski. W przemowach tych rozwija on zazwyczaj ze znaną swą wymową, świetniejącą zarówno pięknym stylem, jak głęboką rzeczy znajomością, poglądy na pewne kierunki sztuki, na zasadnicze jéj cele, lub na główniejsze chwile jéj dziejów, odnosząc takowe zawsze do obecnego jéj kierunku i spółczesnego jéj stanu. Przemowy te z całego lat szeregu razem zebrane, utworzyłyby obfity zasób pomysłów, rozświecających istotę sztuki i ducha wybitniejszych jéj epok. Tym razem prezes Towarzystwa, jakkolwiek w zagajeniu swém dotknął niemniéj zasadniczych pod pewnym względem zadań, wyłuszczył bowiem, jak użyteczne jest tak dla postępu saméjże sztuki, dla wykształcemłodych talentów, jak rozszerzenia znawstwa i smaku estetycznego nieustanne badanie dzieł mistrzów starożytnych, nawiązał swą rzecz do ściśle miejscowéj sprawy i w jéj obrębie się ograniczył. Zarzucano mianowicie ostatniéj zeszłorocznéj wystawie tutejszéj, że urządzono ją w oddalonym od miasta nowym gmachu politechniki na Nowym-Świecie, co z powodu zbyt wielkiego oddalenia mogło utrudniać publiczności zwiedzanie wystawy; powtóre, że wystawa pomieniona, stosunkowo do lat dawniejszych mało posiadała obrazów nowych, a składała się głównie z dzieł dawniejszych mistrzów, zgromadzonych staraniem dyrekcyi od osób prywatnych, mających zbiory tego rodzaju. Owóż tegoroczne przemówienie Borkowskiego miało na celu odparcie obu tych zarzutów, i usprawiedliwienie postępowania dyrekcyi, które przedstawił jako najstosowniejsze, odpowiednie właśnie zadaniom estetycznym sztuki.

Co do pierwszego, wyłuszczył, że nie sam wzgląd oszczędności, (albowiem salę na urządzenie wystawy w gmachu politechnicznym

otrzymano bezpłatnie), kierował postanowieniem dyrekcyi Towarzystwa; albowiem lubo i oszczędzenie wydatku na najem sali ma pewną wagę dla Towarzystwa początkującego, szczupłemi rozporządzającego funduszami, to przecież sam przez się wzgląd ten nie mógłby tu być rozstrzygającym, ale dyrekcya postanowiła przenieść wystawy do nowego gmachu politechniki głównie dlatego, że budynek ten przeznaczeniem i wykonaniem wybornie odpowiada temu celowi, a udatnością artystycznego pomysłu i powabem okazałych kształtów, jako wzór pięknéj sztuki budowniczéj, jest w mieście naszém jedynie stosownym, prawdziwie godnym przybytkiem Muz.

Obszerniéj rozwiódł się mówca nad drugim przedmiotem, wykazując ze stanowiska estetycznego potrzebę umieszczania na dorocznych wystawach, obok nowych współczesnych utworów pędzla i dłuta, także dzieł starych mistrzów, tak dla porównawczego badania, jak i obznajamiania publiczności z wybitniejszemi epokami i kierunkami sztuki. Zamiast streszczenia myśli zawartych w tym pięknym ustępie mowy Leszka Borkowskiego, będę się starał powtórzyć go tutaj dosłownie, ile z pamięci i notatki stenograficznéj będę to w stanie uczynić:

„Dyrekcya Towarzystwa naszego starała się, mówił on, gromadzić zazwyczaj na wystawach przeważnie utwory polskich artystów. Więc publiczność, mając przed oczyma najcenniejsze ich prace, mogła nabywać praktycznie—to jest z samego widzenia, pewnych wyobrażeń o ich talencie i wyróżniających go właściwościach, o ich duchowéj sile i dążności. W skutek tego, znajdzie się już wielu pomiędzy nami, którym samo wymienienie jakiego ze znakomitszych naszych artystów, przywodzi na myśl pewne wybitne znamiona, po których poznaje swoich znajomych, lub pokrewne im talenta i naśladowców. Wszelako w estetycznem wychowaniu umysłów, jest to dopiéro krok pierwszy. Poprzestać na nim nie można. Byłoby to zapoznawać istotę umnictwa po chińsku: zamykać drogę postępu. Bo umnictwo pomimo nieskończonéj rozliczności objawów, jest przecież jedną z głębin ducha ludzkości wynurzającą się całością. Przy jednostronném, częściowém zapatrywaniu, nie możnaby dostrzedz tych praw ogólnych, wszędzie niezmiennych: poczęcia, rozwoju i mniéj lub więcéj bujnego rozkwitu sztuki.

„Jak w botanice nie wystarcza znajomość roślin jednego kraju, ale potrzeba znać wszystkie strefy wegetacyjne, tak téż i w sztukach pięknych poznanie arcydzieł z różnych wieków i narodów jest dla artysty konieczne, dla znawcy potrzebne, dla miłośnika pożądane, a wogóle ducha zdobiące.

„Wystawy botaniczne, odpowiadające celowi takiemu, urządziła na wysokich górach sama natura. Pasmo gór oddzielających kraje Wielkiego Mogoła od Kaszmiru, mieści na południowej stronie rośliny indyjskie, na północnéj europejskie. U podnóża Araratu znajdziemy same rośliny Armenii, wyżéj rośliny włoskie, daléj rośliny z okolic Paryża,

jeszcze wyżéj roślinność szwedzką, aż nareszcie w pobliżu odwiecznych śniegów, porosty lapońskie.

„Narody w szczęśliwych okolicznościach mają bogate galerye obrazów, mają publiczne i prywatne zbiory dzieł sztuki, nietylko z różnych pojedyńczych szkół a nawet pojedyńczych mistrzów. My tego wszystkiego niémamy. Wypada zatém przynajmniéj te zabytki sztuk pięknych, które się w kraju naszym znajdują, skupiać na wystawach dla powszechnego użytku. Przeto wdzięczni jesteśmy tym właścicielom zbiorów prywatnych, którzy się przyczynili do tego celu za pośrednictwém naszego Towarzystwa. Usiłowania te umiała także ocenić światlejsza w kraju naszym publiczność. Niektórzy przyjeżdżali umyślnie z prowincyi, aby korzystać z téj blizkości wystawy naszéj, bo sławna galerya degli Uffizii była im już zadaleko.

„Również początkujący artyści, którym środki nie pozwalają na zwiedzanie zagranicznych galeryi, mogli wiele korzystać z tego podniecającego wpływu, chociaż nielicznych, ale wymownych mistrzów dawniejszych. Bo wyrabianie pojęć o warunkach i istocie piękna z samych wzorów tegoczesnych, jest nawet niebezpiecznėm dla młodych talentów. Wszakże nie o to tu chodzi, czego się uczyć nie potrzeba a nauczyć nie można, nie o ideały, bo ideały są przyrodzoną własnością odczuwającego pragnienia ludzkości talentu, są wynikiem stopnia oświaty i narodowych stosunków; ale dopiéro z naocznego porównania ogniw, łączących pory rozkwitu z porami wypoczynku przekonać się można, że przeobrażenia w rozwoju sztuki nie odbywają się stałym zwięzłym ciągiem, tylko przerywanie, jakby w uderzeniach tętna.

„Na tutejszych wystawach mieliśmy już sposobność zauważać, jak wielka jest u artystów naszych rozmaitość motywów, pomysłów i stylu, dawania nie już pojedyńczych myśli i uczuć, nie pojedyńczych kwiatów duszy, ale że się tak wyrażę; naraz całych ogrodów, całych równianek. Cóż ztąd? Czy sztuka u nas dosięga już zenitu i albo się zatrzyma, albo chylić się będzie ku zachodowi? Skupianie najrozmaitszych tysiącznych wdzięków na jedném płótnie, rozrzutność bogactw duchowych, do przebaczenia Krezusom, może pojęcie piękna wypaczyć, może wschodzące wątłe talenta w samym zarodzie przygłuszyć; powstające z tądteorye mogą przytłumić pierwotne natchnienie. Ażeby temu skutecznie zapobiedz, potrzeba oswajać z prostotą sztuki starożytnéj, która nie przeładowywała mnóstwem szczegółów i ozdób, tylko kładła w utwory więcéj siły wewnętrznéj, niż zewnętrznych blasków. Wzory klasyczne są, zdaniem mojém, tém cudownėm źródłem, gdzie wysilona sztuka może się pokrzepić i odmłodzić; bo do znakomitych produkcyi artystycznych niedość jest talentu, potrzeba jeszcze rasowego zapłodnienia. W takito sposób piękny talent Siemiradzkiego urósł w olbrzyma. W sławnych zabytkach z XV i XVI wieku znajdziemy liczne na to przykłady, że pojedyńcza postać, nawet rys pojedyńczy, może mieć więcéj artystycznéj wartości, niż całe grupy. Zdarza się i w poezyi, a tam też łatwiéj to dostrzedz, iż

wystrojenie jednej myśli bywa cenniejsze, więcéj zajmujące niż cały zresztą poemat.

„Wystawy dzieł sztuki spełniają wtenczas tylko powołanie swoje, kiedy uwzględnimy rozmaite ich cele i potrzeby zwiedzających. Aby z księgozbiorów korzystać, niedosyć jest patrzéć na książki. Potrzeba najprzód umiéć czytać, a potém przeczytane rozumiéć. Otóż i wystawy powinny się przyczyniać do takiego uzdolnienia. Chociażby płody sztuk pięknych sypały się u nas jak z rękawa, to jeszcze nie należałoby zapełniać wystaw corocznie samémi nowémi utworami. Takie pobłażanie łakomej ciekawości sprowadzałoby gorączkowe pragnienie i utwierdzało w tém bardzo błędném mniemaniu, że obraz raz widziany, skoro wiemy co w sobie mieści, jest już naszym dobrym znajomym. Aż nadto dobrym podobno, kiedy nie chcemy z nim się więcéj zdybywać. Tacy dobrzy znajomi nie przynoszą żadnéj korzyści, jak łapczywe czytanie, aby tylko czemprędzéj dowiedzieć się końca powieści, Gdyby chodziło tylko o zyski pieniężne, dosyć byłoby zapewne zwabić widzów nowościami i dostarczać im zawsze świeżych łakoci dla ócz, bez względu na to, iż tępiałaby wrażliwość estetyczna i smak takby się zużył, iż trzebaby nareszcie chyba jak Stanisławowi Augustowi piżmem nacierać talerze. Druki olejne zastąpiłyby twórczość. Jeżeliż tedy uwzględniamy po części wymagania tych, którzy pożądają samych nowości, niechże i oni będą względnymi dla tych, którzy im częściej widzą dzieło natchnienia, tem głębiéj wnikają w myśl artysty, tem wyżéj nastrajają własnego ducha. Genialne utwory sztuki nie starzeją się nigdy. Są to kopalnie, z których się zawsze świeże wydobywa skarby, jak nasienie wydające w odpowiedniéj glebie ciągle nowe życie i kształty. Wiadomo, do iluto obrazów i rzeźb były podnietą Apuleusza Amor i Psyche. Tam szukali natchnienia, tam znachodzili popęd do nowych kreacyi: Rafael, Tycyan, Rubens, Anibal Caraccio, Kanowa, Juliusz Romano. A czyliż wyczerpali już tę woń kwiatu, źródło natchnienia? Rafaela Galatea czyliż nie odrodziła się w drugiéj części Fausta Goethego? Albo i wielkie utwory naszych mistrzów teraźniejszych."

Tutaj przeszedł mówca do dwu wielkich arcydzieł Matejki i Siemiradzkiego i w treściwym poglądzie wyłuszczył myśl zasadniczą, tkwiącą w obu kompozycjach: w Bitwie Grünwaldzkiéj i w Świecznikach Chrześciaństwa.

W sprawozdaniu, odczytaném po przemówieniu prezesa, usprawiedliwia się znów Dyrekcya Towarzystwa z zarzutu, że urządziła wystawę w oddalonym od miasta gmachu politechniki, a usprawiedliwia się nie już względami estetycznemi, jak to uczynił prezes w przemowie zagajającéj, ale liczbami, które bądź cobądź zawsze najmocniejszym bywają argumentem. Obawiano się i zarzucano głównie, że urządzenie wystawy tak daleko od miasta utrudni jéj zwiedzanie. Owóż wbrew temu twierdzeniu okazało się, że wystawę zeszłoroczną zwiedziło ogółem przeszło 6,800 osób, a zatem przeszło o całe tysiąc więcéj niż .

w którémkolwiek z lat dawniejszych. Tak pomyślny wynik rozprószył zatem obawy i skłonił dyrekcyą do postanowienia, aby odtąd wszystkie przyszłe wystawy urządzać w tymże samym gmachu. Wystawa tegoroczna będzie otwartą dnia 15 maja b. r. a do artystów rozesłano już zaproszenia, aby na ten termin utwory swe przysyłali. Dyrekcya udała się pomiędzy innemi także do Siemiradzkiego z prośbą, aby znajdujące się obecnie na wystawie Wiedeńskiéj najnowsze jego obrazy, z Wiednia na wystawę Lwowską przywieźć pozwolił. Jeżeli Siemiradzki na to zezwoli, o czem prawie wątpić nie można, to jesteśmy z góry przekonani o świetném powodzeniu tegorocznéj wystawy tutejszéj, albowiem nie znajdzie się niezawodnie nikt ze sfer wykształconych w całym Lwowie, coby nie pośpieszył z gorączkową, rzekłbym ciekawością oglądać arcydzieła ulubionego wielkiego artysty, którego niedawno temu Lwów tak serdecznie gościł u siebie.

Towarzystwo liczyło w tym roku siedmiuset siedmdziesięciu kilku członków, których składki uczyniły przeszło 4,000 guldenów dochodu. Niejest to zapewne wiele, ale zawsze dosyć na chwilowe przynajmniéj zabezpieczenie bytu Towarzystwa, albowiem po strąceniu sumy obróconéj na zakupno obrazów do losowania i całorocznych wydatków administracyjnych, powstało z końcem roku, w zapasie funduszu obrotowego 1,200 guldenów; jest więc zawsze przewyżka w budżecie, z którą chociaż Towarzystwo nie jest w stanie rozwijać działania na wielką miarę, wszelako pewném być może, iż mu nie zagraża upadek i że rozżarzone już raz ognisko sztuki u nas nie wygaśnie marnie.

Pozostająca pod zarządem Towarzystwa fundacya stypendyalna, pochodząca z daru Matejki, została obecnie przez rząd zatwierdzoną. Fundusz ten, zwiększający się ciągle procentowaniem, wzrósł już obecnie do 4,400 guldenów, a gdy odsetki od niego wystarczają już na określone statutem fundacyjnym stypendya, przeto fundacya niebawem już wejdzie w życie.

* * *

Prof. Antoni Małecki wydał *Gramatykę historyczno-porównawczą języka polskiego* w dwu tomach. Nie jestto bynajmniéj powtórne poprawne lub uzupełnione tylko wydanie gramatyki tegoż autora, wydanéj przed laty szesnastu, które wówczas otrzymało nagrodę konkursową; gramatyka obecna jest dziełem zupełnie nowo, na rozleglejszych opracowaném podstawach, mianowicie głosownia i etymologia, która sama już większą połowę dzieła stanowi. Różnicę zachodzącą pomiędzy zakresem obu tych dzieł, t. j. gramatyki dawniejszéj i niniejszéj, tudzież, stanowiskiem z jakiego wychodził w pracy swéj, wyłuszcza autor gramatyki w przedmowie do niniejszego dzieła. Tam założył on sobie zadanie w sposób jasny i prawie elementarny, spożytkować wyniki umiejętnych postronnych badań w dziedzinie powszechno-słowiańskiego porównawczego mównictwa. Starał się, jak nam powiada, o to tylko, aby naukę języka naszego z poziomu,

na jakim ją poprzednicy jego trzymali i zostawili, wznieść bodaj przy téj obcéj pomocy na wysokość, w rzeczach podobnych gdzieindziéj już osiągniętą. Nie przedsiębiorąc otwierania nowych widoków, szedł za przewodem najcelniejszych obecnych i tamtoczesnych znawców tego przedmiotu z całą wiarą w ich powagę i nieomylność, uzupełniając jedynie zakreślone w ten sposób ramy zasadnicze, szczegółami odnoszącémi się wyłącznie do naszego języka. Przeciwnie, w dziele niniejszém zawarł już wyniki, do jakich po sumiennéj i mozolnéj pracy z własnego doszedł stanowiska. Autor nie spodziewa się, aby te jego nowe twierdzenia, na których polega jego metoda, wyłuszczone w niniejszéj gramatyce, zyskały narazie uznanie bezwzględne sfer nadających ton w nauce, słuszną czyniąc uwagę że ci, co długoletnim badań szeregiem wyrobili sobie już pewną metodę i pewien własny system zapatrywania, nie łatwo zechcą rozstać się z nim, aby odmienne, nowe podzielić zapatrywania. „Kiedyś jednak, są słowa jego, zasady i odmienności wzięte za podstawę w téj książce, będą musiały nie tylko w słowiańskiéj lingwistyce znaleść uznanie, ale sprawią maleńką zmianę frontu i w nierównie dalszych kręgach téj naszej umiejętności. Szczegółowych wprawdzie twierdzeń, powiada daléj, będzie tu pewnie szereg niemały, niejedna kombinacya moja może upadnie jako zbyt śmiała; lecz główne podwaliny metody, mianowicie jéj *genetyczność*, zamiast panującego podziśdzień w mównictwie dogmatyzmu porównawczego, i zasada tu wszędzie przeprowadzona, zasada traktowania *wszystkich* szczepowych języków indo-europejskich zarówno, z *równém* uwzględnieniem tego, co one nam o przeszłości swéj świadczą, zamiast żeby sam tylko sanskryt miał być tém, czém on dzisiaj w lingwistycznéj praktyce *de facto* jest, choć w teoryi czynią się zastrzeżenia w duchu przeciwnym: to wszystko musi kiedyś, prędzéj czy później, wziąć górę nad tegoczesném niedostateczném, i pomimo całéj swojéj niebyto pozytywności, na bezdroża prowadzącém postępowaniem."

Chociaż gramatyki niniejszéj przedmiotem jest właściwie tylko polski język *dzisiejszy*, aby jednak ogarnąć organiczną całość jego i okazać, jakie przechodził koleje i jak się tworzył język dzisiejszy, musiał autor zwrócić się ku przeszłości i tam szukać tych zasadniczych pierwiastków, z których się logicznie dzisiejszy wytworzył język. Tym sposobem dochodzimy do zrozumienia tych form, dzisiaj niezrozumiałych, *nieregularnych*, niedających się na pierwszy rzut oka pogodzić z dzisiejszą logiką języka, które przecież są wynikiem dążności, panujących niegdyś na całym obszarze mowy i przechowały się w niéj, jakby na świadectwo właśnie jéj wieku i okresów, które przebywała. „Bez historyi, powiada prof. Małecki, niéma racyonalnéj teoryi języka." Na wszystkie pytania w zakresie gramatyki, daje odpowiedź zawsze tylko historya języka. Z tego też stanowiska opracowana jest w dziele niniejszém głosownia i etymologia, w któréj autor rozwija genezę naszego języka, przez wszystkie tegoż koleje, aż do chwili obecnéj.

Że jednak nie posiadamy dostatecznéj liczby pomników piśmiennych z wszystkich okresów czasu, aby wytłómaczyły w nieprzerwanym ciągu całą historyą rozwoju naszego języka, przeto zmuszony był autor użyć metody porównawczéj. „Gdyby, powiada, odszukane dotąd zabytki dawnéj polszczyzny pokrywały przestrzeń całego jéj życia, nie byłoby tu żadnéj potrzeby przekraczania granic tego języka; każde stulecie miałoby swój dostateczny komentarz w ustroju językowym poprzedniego stulecia, co się zaś działo tymczasem w innych językach, byłoby rzeczą zupełnie obojętną." Gdy jednakowoż pomniki nasze, jak wiadomo, nie sięgają daléj, jak do początku XIV wieku, nie pozostało więc, aby poznać wcześniejsze czasy, jak przybrać do pomocy inne języki słowiańskie i przez porównanie z niemi odgadywać domniemany stan i zakrój *pierwotnéj* mowy słowiańskiéj, któréj wszystkie języki słowiańskich szczepów, a więc i polski, były niejako latoroślami. Za główny punkt oparcia w tych poszukiwaniach obrał prof. Małecki język *staro-słowiański*, nie dlatego, aby go uważał za źródło wszystkich języków słowiańskich, lub mu przyznawał szczególniejszy wpływ na urobienie się języka polskiego; lecz dlatego, że jestto język, który najdawniéj ze wszystkich pobratymczych stał się piśmiennym i posiada zawiązek literatury jeszcze z IX wieku, a chociaż najdawniejsze jego zabytki doszły nas w odpisach znacznie późniejszych, z XI dopiéro pochodzących stulecia, to i tak są one o całe, co najmniéj trzysta lat starsze od najdawniejszych zabytków polskich, od polszczyzny floryańskiego psałterza. Tam, gdzie język starosłowiański nie wystarczał do porównawczego wyjaśnienia rzeczy, uciekał się autor do języka *litewskiego*, którego zabytki zaczynają się wprawdzie bardzo późno, bo dawniejszych nad wiek XVI dotąd nie znaleziono; wszelako wskutek konserwatyzmu tego, jak nazywa, mamuta między językami, fizyognomia litewszczyzny, lepiéj w wielu razach, zamierzchłość językowéj starożytności objaśnia, niżeli staro-słowiańskie pomniki. W ogóle do porównawczych badań w układzie niniejszéj gramatyki służyły prof. Małeckiemu, oprócz języków słowiańskich, sanskryt, greczyzna, język łaciński i słowiański.

W ten sposób mamy wyjaśnioném stanowisko, z jakiego się autor gramatyki zapatruje w dochodzeniu budowy i prawideł języka, tudzież obraną przezeń ku temu metodę. Dzieło prof. Małeckiego zajmie znakomite miejsce w nauce językoznawstwa i do jéj postępu niemało się przyczyni, a krytyka umiejętna nieomieszka zapewne szczegółowo je rozebrać i ocenić.

* * *

Z dziedziny naukowéj mamy jeszcze do zarejestrowania ukazanie się drugiéj części powtórnego wydania: *Ekonomii polityczněj* profesora Leona Bilińskiego; nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Całe dzieło wyjdzie w ciągu bieżącego roku.

Dyrektor Zakładu Imienia Ossolińskich, p. Wojciech Kętrzyński, ogłosił bardzo w swoim rodzaju użyteczną pracę: *Nazwy miejscowe polskie Prus zachodnich, wschodnich i Pomorza, zestawione wraz z nazwiskami niemieckiemi.* Podczas, gdy żywioł niemiecki coraz bardziéj

ruguje i zaciera ślady polszczyzny w pomienionych okolicach, gdy nazwy miejscowe polskie coraz bardziéj znikają, przeistaczając się na niemieckie w stylu urzędowym i użyciu powszedniém; zamiar przechowania ich w pierwotném brzmieniu, w spisie obejmującym systematycznie zalane niemczyzną powiaty, ma tém donioślejsze znaczenie, iż z każdym dniem coraz się więcéj tychże niepowrotnie zaciera i w niepamięci ginie. P. Kętrzyński przedsięwziął w niniejszéj pracy trudne zadanie, trudniejsze, niżby się napozór zdawało. Zniemczenie nazw miejscowych w dawnych Prusiech pochodzi jeszcze z czasów krzyżackich, dzisiaj zaś germanizacya z gwałtownym postępuje tam naciskiem. Wielu nazwom pododawano zakończenia niemieckie, lub je potwornie poprzekręcano, inne zastąpiono zupełnie niemieckiemi. Źródła rękopiśmienne, dostarczające materyału w tym przedmiocie, nie są dostateczne; albowiem, mieszając częstokroć nazwy niemieckie z polskiemi, nie zawsze dają niezbicie pewne wzkazówki ku odszukaniu nazw polskich, mogąc mniéj uważnego i nieobeznanego z rzeczą czytelnika przy niejednéj nazwie na mylne wprowadzić tory. Potrzeba koniecznie poznajomić się z nazwami miejscowemi, będącemi do dzisiaj w użyciu i tym sposobem sprawdzać niejako nazwy podane w źródłach rękopiśmiennych, lub uzupełniać te, których tam się znaleźć nie dało. Ta właśnie znajomość miejscowych stosunków posłużyła p. Kętrzyńskiemu za dobrego przewodnika w jego pracy niniejszéj, albowiem są to okolice jego rodzinne, gdzie większą część młodości przepędził. Oprócz tedy źródeł rękopiśmiennych, których mu wiele dostarczyły pomiędzy innemi rękopisy Zakładu Imienia Ossolińskich, posługiwał się p. Kętrzyński własną znajomością okolic, objętych niniejszym spisem i materyałami dostarczonemi mu przez znajomych, mieszkających w tamtych okolicach, zaczém najlepiéj nazwy miejscowe, dotąd zachowane, znających. Spis niniejszy ułożył p. Kętrzyński powiatami w sposobie słownika, zestawiając obok nazwy niemieckiéj każdego miejsca, nazwę polską; następnie zaś dla lepszego zoryentowania czytelnika przyłączył indeks, w którym wszystkie nazwy uporządkowane są alfabetycznie.

* * *

Konserwatorami zabytków starożytniczych na Galicyą wschodnią mianowani zostali przez centralną komisyą archeologiczną wiedeńską pp.: Wojciech hr. Dzieduszycki i prof. Ćwikliński. Przez dwa lata od czasu śmierci ś. p. Mieczysława Potockiego, wakowała posada konserwatora rządowego we wschodniéj Galicyi, a pomniki tutejsze sztuki i architektury pozbawione były opiekuńczego oka i skrzydła. Obecnie uznała centralna komisya, że jeden konserwator nie jest w stanie podołać zadaniu i w miejsce jednego dwu zamianowała, pomiędzy których zakres czynności ma się podobno podzielić w ten sposób, że prof. Ćwikliński ma czuwać nad wykopaliskami i innemi tego rodzaju zabytkami starożytności, a p. Wojciech Dzieduszycki nad historycznemi pomnikami sztuki i budownictwa. W tym właśnie kierunku oddawał on się

szczegółowym studyom i posiada wielką znajomość rzeczy, gruntowne wykształcenie umiejętne, znawstwo i zamiłowanie estetyki i historyi, widoczne z kilku jego dzieł, w tym przedmiocie ostatniemi czasy wydawanych. Są to przymioty, dające rękojmią, że nowy konserwator odpowié należycie zadaniu, do którego został powołanym. W Galicyi niezmiernie wiele jest jeszcze pod tym względem do zrobienia; mnóstwo zabytków historycznych zaniedbanych oczekuje ręki restauratora, któraby je od dalszego ocaliła zniszczenia. Zawiązane przed kilku laty we Lwowie Towarzystwo archeologiczne, do którego w tym względzie mogliśmy słuszne przywiązywać nadzieje, nic w tym właśnie kierunku nie uczyniło, nietyle dla braku funduszów, które stosunkowo dosyć się obficie sączyły, lecz głównie dlatego, że odrazu na mylny tór wstąpiono, obróciwszy wszystkie fundusze na wydawnictwo pisma peryodycznego. To zaś się mało rozchodziło, a nie będąc rozpowszechnione, przy niewielkiéj liczbie czytelników, nie mogło téż i wielkiéj przynosić korzyści. Wyczerpało niebawem zasoby Towarzystwa, które téż od niejakiego czasu nie daje znaku życia, usnąwszy, nie wiem, snem śmierci, czy tylko chwilowego letargu. Obecnie p. Pawłowicz, dyrektor muzeum Zakładu Imienia Ossolińskich, przedstawił Akademii umiejętności memoryał z wnioskiem zawiązania we Lwowie z ramienia Akademii komisyi archeologicznéj, pod przewodnictwem członka Akademii prof. Węclewskiego, na wzór istniejących już tu komisyi historycznéj i językowéj. Komisya rzeczona objęłaby zakresem swego działania historyczne zabytki sztuki i pospołu z konserwatorami rządowymi czuwała nad ich zachowaniem i restauracyą. Nie można wątpić, że Akademia przychyli się do wniosku p. Pawłowicza, albowiem zawiązanie takiéj komisyi wiele rokuje pożytku.

*Władysław Zawadzki.*

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Album uczącej się młodzieży polskiéj, poświęcone Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu z powodu jubileuszu jego pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj.* Lwów. Staraniem i nakładem Czytelni Akademickiéj Lwowskiéj, w drukarni N. J. Dobrzańskiego i K. Gromana. 1879.

Z głęboką otuchą spoglądamy na ten owoc zbiorowéj pracy i pobudek, z jakiemi do jéj wykonania przystąpili przedstawiciele umysłowéj przyszłości.

Obszerną tę księgę, (o 660 stronnicach) zapełnia trzydzieści pięć utworów wierszem i prozą, starannie dobranych, tak że szczególniéj co do prac naukowych sprawozdawcy trudno było radzić sobie z wyborem i pogodzić się z koniecznością zachowania pewnych granic w rozmiarze sprawozdania. Wszystkie naczelne działy umiejętności znalazły tu dla siebie pracowników: dzieje, lingwistyka, estetyka, matematyka, medycyna, historya kultury narodowéj, a przytém poezya, utwory sceniczne, przekłady epopei i komedyi greckiéj, filozofia, ekonomia, dydaktyka. Najbogaciéj uprawiono dział historyczny, a wśród téj specyalności szczególniéj okres Jagielloński; nie przepomniano też i o wykopaliskach, dołączając do tekstu cztery starannie przygotowane tablice litograficzne odkrytych zabytków.

Z działu poezyi mamy tu utwory obszerniejszego i mniejszego zakresu, wyszłe zpod pióra pp. I. Puzyny, Czermaka I., Pierożyńskiego Konstantego, Rogalenko i bezimiennych; z działu historyi: pp. Lukasa Stanisława, Papée Fryderyka, Mardyrosiewicza Bohdana, Mikrota Walentego, Kruszyńskiego Stanisława, Mendy Władysława, Finkla Ludwika, Jana Leniek, Kwiatkowskiego Saturnina, O. F., Gorczaka Bronisława, Biegeleisena Ludwika; z działu filozofii Ciąglewicza Władysława; z estetyki: Garlickiego Tomasza, Szymusika Franciszka, z dydaktyki: Rawera Karola; z medycyny Eichhorna Ferdynanda, z lingwistyki: Krasnowolskiego Antoniego. Pan Bolesław Erzepki, uczeń wydziału filozoficznego w Uniwer. Wrocław. podał „Opis wykopalisk Grabsko-Robakowskich, rzecz czytaną w Towarzystwie literacko-słowiańskiem we Wrocławiu." Pan Oswald Maryan Balzer dał przekład I-éj pieśni Iliady oraz komedyą w I-nym akcie *Konkurenci panny Eudoksyi;* pan Franciszek Konarski przekład 1-go aktu komedyi Arystofanesa *Rycerze;* Pan Birkenmajer Ludwik dr. napisał *o całkowaniu algebraicznem funkcyi algebraicznych.*"

Słowem księga ta, z powodu wszechstronności swojéj, na stole literackim każdego zgoła miłośnika rzeczy umysłowych znajdować się powinna, jako zadatek poważnéj szlachetnéj publikacyi, która, niewątpimy i na przyszłość, z równą wytrwałością ze strony pracowników, z równem też ze strony publiczności współudziałem posuwać się będzie.

Zwracamy się do kilku ustępów z téj obszernéj całości, aby, o ile granice sprawozdania pozwalają, usprawiedliwić nasze o niéj zdanie.

Z erudycyą i zwykle prawdziwéj erudycyi towarzyszącą skromnością napisaną jest przez dra. Lukasa Stanisława rzecz o rzekoméj wyprawie na Turka w r. 1497 jako przyczynek do dziejów Jana Olbrachta i do ocenienia kroniki Bernarda Wapowskiego. Zdaniem autora niema podobno ciemniejszéj epoki w dziejach naszych, jak panowanie Jana Olbrachta, tak pod względem zewnętrznéj polityki, jak i rozwoju stosunków wewnętrznych. Każda z wielkich dat tego panowania, a szczególniéj też uważana w ugrupowaniu, jest sfinksową dla dziejopisarza zagadką. Myśl krucyaty, bratnie przymierza Jagiellonów, jakieś despotyczne zachcianki króla, Kallimach z całych rad swoich kodeksem, jakby z grobu wywołane Nieszawa i Opoki z tłumem szlachty domagającym się wrzaskliwie potwierdzenia przywilejów temi nazwami objętych; w perspektywie mające się dopiero narodzić, tak różne od siebie, akt mielnicki i uchwały radomskie, a ponad tém wszystkiém wyprawa r. 1497, i to wszystko bez połączenia, jedno przeciwne drugiemu, jest to chaos prawdziwy w którym trudno się znaleźć, nad którym zapanować zupełnie niepodobna. Otóż autor postanowił rzucić jakiś promień przynajmniéj na jeden z owych tajemniczych punktów, a mianowicie sprowadzić do pewnych istotowych sprężyn, myśl wyprawy Olbrachta podjętéj na Wołoszczyznę w 1497. Najistotniejszą tedy pobudką do owéj nieszczęśliwéj wyprawy, zdaniem jego, był stosunek Olbrachta do najmłodszego brata, przyszłego króla.

Szło tu o „zaopatrzenie" Zygmunta w jakąś dzielnicę; nasuwa się więc pytanie: czy nie dla Zygmunta i czy nie dla niego *głównie* podjęto wówczas ową tak głośną a tak zagadkową wyprawę, skoro zamyślane inne drogi zaopatrzenia go nie dopisały.

Oto jest w głównem streszczeniu duch pracy dr. Lukasa. Ulegając pociągowi hipotezy swojéj, autor dokonywa ważnéj krytyki Wapowskiego, Miechowity, Kromera i innych.

Pan Stanisław Lukas, jak wiadomo już naszym czytelnikom, szczególniéj oddany jest krytycyzmowi owéj epoki. Z tego względu przypominamy zeszłoroczne jego studyum, zamieszczone w rozprawach i sprawozdaniach z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności w Krakowie (w tomie X), p. t.: *Rozbiór po-Długoszowéj części kroniki Bernarda Wapowskiego* (wiadomość o tém studyum podaliśmy w tomie IV *Bibl. Warsz.* za r, 1879, str. 165).

Ciekawém też jest studyum d-ra Fryderyka Papée p. t.: *Kandydatura Fryderyka Jagiellończyka na biskupstwo warmińskie* (*1489—*

*1492*), ustęp z dziejów centralizacyjnéj polityki Kazimierza IV wobec Prus po odzyskaniu onychże." Czytelnik obok kilku nowych dróg, wprowadzających go we wnętrze dziejów Kazimierza IV, znajdzie nawet pewne, mało znane dotąd fakta, dopełniające charakterystyki najpoważniejszego podobno z Jagiellonów. W takim np. rodzaju jest jego list do papieża Innocentego VIII, w którymto liście wyrzuca mu, że „poruszony namową nieprzyjaciół (Kazimierza), uważał za stosowne i sprawiedliwe dotknąć jego królestwo i wzniecić krwawą wojnę wśród takiego stanu spraw chrześciańskich, w jakim się teraz znajdują; co jeśli dobrze uczynioném jest, blizka przyszłość okaże." Następnie wyrzuca Innocentemu VIII, że pozbawił go lennika, oddając Stefana wołoskiego pod opiekę Macieja, a to w takiéj chwili, kiedy pomoc wołoszyna przeciw Tatarom najbardziéj mu się przydać mogła. Ponieważ zaś Innocenty VIII, pomimo że zgotował Polsce takie położenie, żądał jednak wysłania posłów do Rzymu, celem narady o wspólnéj wyprawie tureckiéj, przeto Kazimierz dodaje tam: „królestwo moje przez Waszą Świątobliwość tak dotknięte i zamieszane, musi naprzód o sobie radzić, nim się do innych spraw zwróci." I tu zwraca się do papieża z prośbą w sprawie syna swego Fryderyka, co do biskupstwa warmińskiego.

Zasługuje na uwagę umieszczony w końcu studyum list Jana Olbrachta (łaciński) do Łukasza Watzelrode (powiernika króla Olbrachta i Aleksandra) datowany z Radomia 15 czerwca 1492 r. z powodu odzyskania zabranych przez Krzyżaków ziem Pomorskich i Mazowieckich pod (nową) nazwą Prus Królewskich w r. 1466.

Autor, na początku studyum, poświęca kilka rzewnych rysów na opisanie, w jakim to widoku wróciły do pierwotnego ogniska owe niegdyś Bolesławowskie dzielnice. A jeszcze wymowniejszém jest zakończenie, do którego powód mu dała wzmianka o późniejszéj działalności Hozyusza na owych kresach. Oto są wyrazy autora:

„Król Kazimierz dawno już spoczywał wśród przodków swych na Wawelu, ale ziarno przezeń rzucone nie zmarniało, owszem zeszło i wydało owoc. Władza, na czele Warmii stojąca, stała się, jak było koniecznem, przedstawicielką interesu państwowego w kraju. Nie szło jednak za tém bynajmniéj prześladowanie żywiołu niemieckiego; w Warmii i Prusiech autonomia krajowa co do spraw wewnętrznych nigdy naruszoną nie została, języka nikt się nie tykał. Na takie bowiem konsekwencye, jakie dzisiejszy rząd pruski wysnuwać potrafi, Korona polska nigdy się nie zdobyła."

Po studyum tém mamy bardzo dobry przekład aktu I komedyi Arystofanesa: *Rycerze*, dokonany wierszem z pierwotworu (wraz ze wstępem) przez Franciszka Konarskiego.

Następnie mamy w *Albumie* obszerną monografią p. Walentego Mikrota, ucznia uniwersytetu Krakowskiego, p. t.: *Włodko z Domaborza, kasztelan nakielski i jego stosunki z Kazimierzem Jagiellończykiem.* Po kilku szczegółach życiorysowych, autor przedewszystkiém nakreśla tło polityczne sytuacyi, na któréj bohater jego studyum tak

sławną i tak osławioną odegrać miał rolę. I tu nasz autor nie poprzestaje na zadaniu zwykłego malarza, przedstawiającego stan kraju w jakiéjś pojedyńczéj postawie; przeciwnie mamy tu obraz wszechstronny charakterystyki o promieniu historyozoficznym. Korzenie walk i wstrząśnień wewnętrznych za rządów Kazimierza, zdaniem autora, tkwią jeszcze w epoce pierwszego Jagiełły. A mianowicie byłyto istniejące już od Ludwika węgierskiego dwa w narodzie stronnictwa, które byt swój różnemi czasami wyrażały w sporach: Małopolan i Wielkopolan, a w końcu panowania Jagiełły wystąpiły do walki jawnéj, jako żywioły nieuporządkowane jeszcze, ale nieprzyjaźne sobie.

Przeciwieństwo tych dwu stronnictw, po śmierci Władysława, występuje już groźnie za Warneńczyka. Za początek walki stronnictw tych autor uważa zgubną dążność pojedyńczych stanów i kółek do osiągnięcia przewagi nad innemi stanami, rozpoczętą przez nich walkę o przywileje i w końcu pozbawienie, w wieku XV, innych stanów, a nawet władzy królewskiéj jéj praw niewątpliwych.

Łatwo domyślić się, kogo tu autor rozumie przez stronnictwo zwycięzców: hierarchią i możnowładzców; a naprzeciwko nich: stronnictwo szlacheckie. Utrzymanie przewagi przez pierwsze z tych stronnictw, pochodziło głównie z osobistéj wyższości głównego przedstawiciela, męża olbrzymich zdolności i niezłomnie obywatelskich uczuć: Zbigniewa Oleśnickiego. Za panowania Warneńczyka opozycya ześrodkowała się pod chorągwią husytyzmu i skierowała działalność swoję nie tyle przeciw szlachetnéj rodzinie Jagiellonów, jak przeciw rządom Zbigniewa w imię pachołęcia królewskiego i wszechwładnym jego wpływom. Zastęp opozycyi, głównie złożonéj z szlachty, wzmocnionym został następnie i przez pewne rody magnackie, obrażone tém, że je pomijano w rozdawaniu godności. *Na nieszczęście* (podług autora) nie znalazł się w tém stronnictwie mąż obdarzony siłą i gorliwością Zbigniewa, który *nawet w chwilach osobistych działań myślał o szczęściu i sławie narodu.* Owszem byli to ludzie nieodznaczający się czystością i prawością charakteru. Nie miało ono jasno postawionych zasad, jako stronnictwo polityczne, dojrzałe pod przewodnictwem ludzi z rozumem politycznym i znaczeniem. Nie pragnęło ono zrównania wszystkich stanów wobec prawa i wobec obowiązku ponoszenia ciężarów powszechnych, chciało ono złamać przywileje stanu rządzącego, ale uważało za rzecz bardzo naturalną, aby pomnożyć przywileje szlachty.

Opozycya husycka nigdy należycie nie zorganizowana, spoglądała z równą niechęcią i na króla; zapomniała ona, że tylko podaniem w jego ręce silnéj władzy wykonawczéj stanąćby mogła nakazująco wobec przeciwnego sobie stronnictwa. Wreszcie łupieztwa, wyprawy rozbójnicze, prowadzone na własną rękę wojny i najazdy, słowem czysto kondotyerskie sprawki zastępów husyckich spowodowały upadek stronnictwa husyckiego, czyli, jak autor je nazywa: słowiańsko-husyckiego. Wszelako jego upadek i porażka moralna nie pociągnęła za sobą upadku ducha opozycyi. Jéj tedy chorągiew, za Kazimierza, uję-

ło w ręce nowe stronnictwo. „Tworzył je zastęp ludzi młodych, gruntownie i wszechstronnie wykształconych, których usiłowaniem i głównym celem dążeń była chęć, by natchnąć państwo nowym duchem. Stronnictwo to znalazło silne poparcie ze strony panującego Jagiellończyka. Kazimierz również pragnął, jak i młode stronnictwo, przekształcić państwo w średniowieczny urządzone sposób, w państwo, któreby odpowiadało więcéj rozwiniętemu stanowi społeczeństwa; ufny w pomoc społeczności ziemiańskiéj, wystąpił sam do walki z panami pod przewodem Zbigniewa."

I tu właśnie występuje na widownią Włodek z Domaborza. Kazimierzowi Jagiellończykowi, przy jego dążeniach centralistycznych, przy jego zamysłach o złamaniu przywilejów stanowych, bardzo był na rękę (podług autora) Włodek z Domaborza. Jasna rzecz, iż z takiego punktu widzenia autorowi znów jest nie na rękę Zbigniew Oleśnicki, jakkolwiek przyznaje mu żarliwość obywatelską i uczucia głębokiéj narodowości.

Nie będziemy daléj snuć wątku pięknéj, uczonéj opowieści p. Mikrota, przyznajemy jednak, że w imię *swojéj* konsekwencyi prowadzi on ją nader logicznie. Jedynie to daje nam nieco do myślenia, że autor, obok wyrażonego przyznania, że na sztandarze Oleśnickiego i jego orszaku państwowego jaśniało godło ducha *Zachodu*, żywi przeciwko niemu jakąś myśl zanawiasową. Powtarzamy: jedyny to rys w całém piękném studyum p. Mikrota, pod którym kładziemy nasze *ale*. Bo zresztą tchnie ono tą powagą i sądem o wielkich postaciach owoczesnych i tym krojem historyozoficznym, który zniewala czytelnika na stronę autora, niekiedy nawet mimowolnie. W końcu dodajemy, że żywot Włodka pod piórem p. Mikrota przybrał znamiona i studyum poważnego i żywéj powieści, od chwili, kiedy Kazimierz po klęsce chojnickiéj, wysyłając list do starosty słuchowskiego z doniesieniem o téj klęsce, wyciska na nim pieczęć Włodka, od chwili pierwszego wyniesienia się Włodka, od chwili najwyższych jego powodzeń, wzbogacenia się, dostojeństw, sławy, aż do chwili, kiedy podnosi zuchwały rokosz i z rozkazu króla, schwytany przez Piotra z Szamotuł, kładzie głowę pod topór w Kaliszu r. 1467.

P. Antoni Krasnowolski, słuchacz wydziału filologicznego w uniwersytecie berlińskim, wygotował rzecz: *O języku ludowym polskim w ziemi chełmińskiéj*, noszącą znamię prawdziwie mrówczéj pracowitości. Rzecz ta poprowadzoną została przez autora z całym przyrządem filologicznym; obok niesłychanie starannego nagromadzenia szczegółów, p. Krasnowolski utrzymuje się od początku do końca na wysokości systematu mowniczego, albowiem podaje ogólne zarysy: 1) głosowni (samogłoski i spółgłoski); 2) podaje morfologią (przypadkowanie rzeczowne, zaimkowe, słowo); 3) etymologią; 4) składnią; 5) część leksykalną. W końcu zaś podaje słowniczek prowincyonalizmów, zebranych w ziemi chełmińskiéj i świeckiéj.

Autor, jak sam zapowiada we wstępie, ograniczył się na jednéj tylko ziemi; przyrzeka nam jednak dokonać podobnych poszukiwań na Kociewiu i na Krajnie, a może i w innych ziemiach. Chciwie oczekując spełnienia obietnicy, tymczasem wdzięczni jesteśmy badaczowi głównie za to, że czerpał wszystkie fakta wprost z mowy *ludu*, zamieszkałego na tym obszarze. Przed uwagami zaś naszemi przedewszystkiém zaznaczamy następne szczegóły, bardzo ważne, a prawdopodobnie nie każdemu z czytelników wiadome: „Ziemia chełmińska, mówi autor, wraz z lubawską i michałowską (pomiędzy Wisłą, Osą i Drwęcą), od czasów przedhistorycznych polska, przed wprowadzeniem do niéj Krzyżaków, politycznie należąca do Mazowsza, ma ludność pochodzenia mazurskiego. (Ob. Kętrzyński: *O narodowości polskiéj w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich*). Przeciwnie ludność Pomorza i Pomezanii, czyli ziemi malborskiéj jest pochodzenia pomorskiego i pod wielu względami różni się w mowie od ludności chełmińskiéj. Wypada mi się więc wytłómaczyć, czemu w pracy niniejszéj uwzględniłem także ziemię świecką, a przynajmniéj południowo-wschodnią część powiatu świeckiego, przyległą do Wisły i do ziemi chełmińskiéj, chociaż ziemia ta leży już z lewéj strony Wisły, a więc na Pomorzu.

„Otóż nie znalazłem rzeczywistéj różnicy w mowie pomiędzy ludnością najbliższéj okolicy miasta Świecia, a ludnością chełmińską. Dopiéro w północnéj części powiatu świeckiego, począwszy od Nowego, poczyna się ludność, różniąca się w mowie wyraźnie od chełmińskiéj. Jestto tak zwane Kociewie, którego mowa, rozpościerająca się aż za Wisłą do Pomezanii, bardzo wiele przedstawia właściwości i bardziéj jest zepsuta, niżeli w ziemi chełmińskiéj. Jest tu niejako przejście do narzecza kaszubskiego, które daléj na północ i zachód panuje. Wpływ poprawnéj polszczyzny nie wyrugował *jeszcze* ztąd niektórych właściwości kaszubsko-pomorskich, które na południu dawnego województwa pomorskiego, już uległy silniejszemu wpływowi polszczyzny."

Uznając ważność faktową pracy p. Krasnowolskiego, uznając również i jego ogólne wywody mowoznawcze, pozwalamy sobie jednak zapytać, dlaczego sumienny badacz nasz różnic przedstawionych w swojém studyum nie uważa za narzeczowe? dlaczego, wyjąwszy mowę Kaszubów, języka ziemi chełmińskiéj nie uważa za dyalekt? Zaprawdę, na wyrażenie stosunku pomiędzy językami słowiańskiemi wyraz ten jest może zasłaby, ale dla oznaczenia różnic pomiędzy gwarami ludów na przestworze naszéj mowy, zdaje on się nam najwłaściwszym. Rzeczywiście, nie sądzimy, aby odcień pomiędzy dyalektem np. jońskim i doryckim daléj zachodził.

Zdaniem naszém, pojęcie *narzecza* bliżéj tak dałoby się określić: „różnica narzeczy polega głównie, a nawet prawie wyłącznie na podniesieniu (więcéj lub mniéj wydatném) pewnéj własności organizacyjnéj." Z tego znowu względu oświadczyć winniśmy, że niektóre z dotkniętych przez autora znamion czy to w głosowni, czy téż na innych stopniach organizacyi, w mowie chełmińskiéj nie są *wyłącznemi jéj* znamionami.

Przeto nie tytułem zarzutów, lecz jedynie w celu dopowiedzenia, przedstawimy tu pewne, pojedyńcze fakta, z tą podstawową myślą, że właśnie język ludowy za prawdziwy punkt wyjścia w podobnych zestawieniach obierać należy, co właśnie i nasz autor głównie miał na względzie.

I tak: następujące szczegóły zpod działu prowincyonalizmów wyłączyćby należało, jako ogólnie ludowe:

Zwątlenie samogłoski *e* zamiast *o* w wyrazach np.: *niesę*, *pierę*, *miełła* i t. d., jest ludowém i w Małopolsce.

Zwątlenie *a* na *e* (miękkie) np.: *powieda* (=*powiada*), również jest ludowém w Małopolsce. Wstawne *e* (szczególniéj przed *r*), np.: *wiater* (=*wiatr*) podobnież

Pochylanie się *e*, np.: *mojéj* (w wymawianiu: *moi* córki) jest powszechnie ludowe.

Istnienie trzeciéj samogłoski nosowéj (*an*) pomiędzy *ą* i *ę*, np.: w wyrazie *będę*, jest także ludowém i u nas.

Rozkład nosowego *ą*, *ę* (w imiesłowach na *l*), np.: *wzion* (=*wziął*), *wzieni* (=*wzięli*) tak samo.

Podobnież toż samo powiedzieć należy o przechodzeniu *d* na *r*, *zaświarczyć* (=*zaświadczyć*).

O przechodzeniu *k* na *ch*, *chtóry* (=*który*).

O przechodzeniu *n* (miękkiego) w *m*; np.: *miedźwiedz* (=*niedźwiedź*), *miemiec* (=*niemiec*).

O wzmacnianiu spółgłoski *f* gardłowym *ch*, *ochfiara* (=*ofiara*).

Podobnyż stosunek napotykamy i w morfologii. Tak np.: w odmianie słowa *jestem*, trzecia osoba *je* (=*jest*), zwykłą jest u naszego ludu. Podobnież i formy: *stojałem*, *bojałem* się.

Cząstka: *ady*, *adyć* (=*wszak*) jest i u nas zwyczajną.

Oto szczegóły, które, powtarzamy, nie jako zarzuty, lecz jako dopełnienie przedstawiamy.

Za najważniejszą część pracy p. Krasnowolskiego uważamy jego słowniczek prowincyonalizmów ziemi chełmińskiéj i świeckiéj. Jeżeli przykro jest pomyśléć, że tyle tam naleciałości obcych, tedy z drugiéj strony miło jest dostrzedz, jak właśnie pod warstwą obcą doleżały tam wyrazy i formy pierwotnie polskie, oraz jaką siłę asymilacyjną upatrzéć można w przeistoczeniu wyrazów niemieckich na polskie.

---

Pan Jan Leniek, uczeń filozofii uniwersytetu krakowskiego, w artykule: *Pełka, biskup krakowski*, podaje nam szereg faktów z końca XII i pierwszych lat XIII wieku naszych dziejów, wskazując niejakie prądy wewnętrzne, a mianowicie dążenie, walkę wyższego duchowieństwa, z biskupem krakowskim na czele, przeciwko centralistycznym dążeniom władzy książęcéj, oraz walkę dwu zasad, co do następstwa tronu, a mianowicie: senioratu, broniącego sprawy potomków Władysława II; na odwrotnéj stronie: praw faktycznych, pod których tarczą wstąpił na tron Kazimierz Sprawiedliwy, najmłodszy syn Krzywoustego.

Kazimierz Sprawiedliwy przypomina pod pewnym względem Władysława Hermana, albowiem równie jak i ten, popierać musi to stronnictwo, które go na tron wyniosło. Po śmierci Gedeona, który tyle się był przyłożył do podkopania zasady senioratu, wybór Pełki na osieroconc po nim biskupstwo krakowskie, było arcy-pożądaném dla Kazimierza. Pełka bowiem do końca życia pozostał wiernym polityce swojego poprzednika, tak pod względem państwowym, popierając prawa młodszéj linii (przeciw Mieczysławowi Staremu), jak i w niezmordowanéj działalności ku podniesieniu powagi biskupa krakowskiego. Powaga ta nastąpiła nawet z uszczerbkiem praw metropolii gnieznieńskiéj, albowiem Pełka będąc konsekrowanym przez papieża Urbana III, wyrobił sobie u niego pomiędzy innemi i ten przywilej, że biskupi krakowscy nietylko mają pierwsze miejsce i głos po metropolicie na zgromadzeniach synodalnych i t. p., ale, że wolno im powagą Stolicy apostolskiéj sprzeciwiać się tak woli książąt, jak nawet samego arcybiskupa, jeżeliby ci godzili na wolności kościoła krakowskiego.

Ciekawy rys porównawczy, dotyczący postępów autonomii duchowieństwa w Polsce, ze stanem rzeczy w innych krajach Europy, podaje nam autor: „Na Zachodzie wybór biskupów od czasu konkordatu kalikstyńskiego zależał jedynie od kapituły. U nas jednak było inaczéj. W ogóle nie można mierzyć naszych stosunków kościelnych w wieku XII, miarą stosunków zachodnich. U nas nie było jeszcze wolnéj elekcyi biskupów, nie była ściśle przestrzeganą zasada celibatu, zaprowadzona przez Grzegorza VII, a i stanowisko naszych biskupów do władzy rządowéj było zupełnie inne od tego, jakie było na Zachodzie. Tam byli oni feudalnymi panami, wasalami korony i tylko tym węzłem feudalnym związani byli z władzą rządzącą. W swych terytoryach rządzili jak inni świeccy wasale, mieli swój własny sąd i zastęp swoich wasalów. U nas nie było feudalizmu, a biskupi byli tylko urzędnikami duchownymi, posiadłości ich były traktowane na równi z posiadłościami świeckiemi, t. j., obowiązani byli do ciężarów na rzecz księcia, jakie ponosiły inne stany. Dopiéro z początkiem XIII wieku dążą właśnie biskupi nasi do wywalczenia sobie niezależności, wolności od ciężarów publicznych, t. j., egzempcyi i czynią przez to wielki wyłom w władzy książęcéj, stają się jakby osobném państwem w państwie. Mimo to biskupi polscy przed wiekiem XIII byli, dzięki hojnym darowiznom pobożnych książąt i panów, pierwszymi magnatami w państwie i jako tacy, odgrywali znaczną rolę polityczną."

Z pomiędzy dwu obozów, walczących o przewagę, autor zdaje się przechylać uczuciem swojém na stronę senioratystów z uwagi, że zmierzali do skoncentrowania władzy w ręku panującego, a tym sposobem i do odbudowania przedpodziałowéj jednolitości państwa. Mieczysław III, przedstawiciel i obrońca zasady pierworodztwa, jest także, jak wiemy, ulubioną postacią dla wiekopomnego Juliana Bartoszewicza, który nie może znaleźć dosyć wyrazów na odmalowanie jego majestatu i potęgi wpływowéj. Rzeczywiście, pomimo bezwiednéj jakiéjś sympatyi ku

Kazimierzowi, któréj głównem może źródłem jest jego osierocenie i prawie wydziedziczenie przez ojca, żałować przychodzi, że ród Mieczysława nie utrzymał się na tronie przeciw postanowieniom synodu łęczyckiego.

Autor nasz przeciwnie, zniesienie senioratu uważa za nader korzystne dla Polski, gdyż ten równie u nas, jak i u sąsiednich Czechów, był zgubnym; żałuje przecież i za klęskę uważa to, *że go zniosło duchowieństwo*, ale z drugiéj strony uważa za szczęśliwe zrządzenie, że zamierzone przez Iwona Odrowąża wyniesienie biskupstwa krakowskiego do godności arcybiskupstwa, nie przyszło do skutku. Krok Iwona, zgadzamy się z autorem, był bardzo niepolityczny, gdyż jedyne naówczas ogniwo całości byłby stargał do reszty. „Majestat arcybiskupa gnieznieńskiego, mówi Bartoszewicz, wyniósł się wtedy ponad Lechią całą i więcéj w niéj mógł, jak każdy, choćby najpotężniejszy, a pojedyńczy książę z Piastów."

W ogóle p. Leniek dobrze opracował swój przedmiot i ze źródeł nawet mniéj znanych skorzystał. Należy mu się wyraz uznania.

---

Ciekawym przyczynkiem do dziejów kultury naszego narodu przysłużył się p. F. O., uczeń uniwersytetu warszawskiego. Rzecz podana przez niego ma tytuł: *Prześladowanie czarów w dawnéj Polsce.* Nie zakładając sobie rozstrzygnięcia tego pytania, „jak powstała wiara w czary, jakie przyczyny spowodowały tak niesłychane poniżenie umysłów ludzkich;" p. F. O. ograniczył się na zbadaniu procedury czarowniczéj w dawnéj Polsce. Badania zaś jego poprzedza „krótki rys historyczny prawodawstwa naszego względnie (sic!) czarów i pomników literatury, o ile takowe dotyczyły kwestyi tu podjętéj."

Od statutu wiślickiego poczynając, a kończąc na konstytucyi roku 1543, żaden zbiór praw nie wspomina u nas o czarach. Pierwszy raz dopiéro sprawy o czary poruszonemi zostały na sejmie krakowskim r. 1543, gdzie ustawa wkłada na duchowieństwo prawo sądzenia zaklęć i magii, z tém jednak zastrzeżeniem, że o ile wynikała z nich dla kogo szkoda, sądy świeckie miały prawo mieszania się w rozpoznanie sporu. Od tego czasu uchwała ta sejmowa obowiązywała. Dopiéro w r. 1776, król Stanisław podał projekt zniesienia tortury, a w rok późniéj zapadła nawet uchwała, znosząca karę śmierci.

Procedura sądowa w tych sprawach powstała u nas na wzorze, jaki w Niemczech długoletnia praktyka wytworzyła. Pierwszy w tym przedmiocie zabrał u nas głos Stanisław Ząbkowicz, narzekając, że sądy nie karzą czarownic. Przetłómaczył on niemiecką broszurę: *Młot na czarownice* (w Dubnie, 1614 r.).

Następnie pan F. O. podaje obraz procedury sądowéj w całéj obszerności, gdzie szczególniéj zajmującemi są zeznania obwinionych. Niektóre z faktów, tam przytoczonych, dają rzeczywiście smutne świadectwo o ogólnym poziomie kultury podsądnych i sądzących. Słusznie też autor ku końcowi pisma przypomina owe słowa Czackiego (*O litew-*

*skich i polskich prawach*): „Wysilało się okrucieństwo na męczarnie ludzi za występek, o którym, po zapadłém prawie niekarania, (r. 1776), już nikt nie słyszy."

Autor zadaje sobie pytanie, dlaczego u nas czarami trudniły się kobiety a nie mężczyzni? Otóż źródło tego faktu upatruje on w charakterze poglądów naszego ludu na kwestyą kobiecą, na stanowisko niewiasty. Podstawą tych poglądów było przekonanie o niższości kobiety; przekonanie takie pomiędzy innemi objawiać się zwykło w antropomorfizowaniu chorób, nawałnicy, wojny, i wogóle potęg niszczących, w postaci kobiety.

Wśród utworów wierszem, szczególniéj wyróżnia się *Burza*, znakomity obraz, pióra p. Józefa Czermaka. Co szczególniéj pomyślnie wróży o talencie p. Czermaka, to: imponujący zmysł przyrody, silnie uorganizowane oko na *duchowe* jéj piękności, a przytém potężne kierowanie formą. Jak zauważyliśmy z *Burzy*, specyalnością młodego pisarza będzie majestat natury, który, czego życzymy gorąco, posłużyć może za przejście ku równie poetyckiemu opracowywaniu dziedzin duchowych. Autor widocznie posiada w tym kierunku rozległą gamę i pojęciową i formową. Porusza wszelkie możliwe warstwy bogatéj mowy naszéj, chociaż winniśmy uczynić zastrzeżenia co do pewnych wyrazów np. „krwawy trup miesiąca *łypnął* (przewrócił) źrenicą," „zpod łusek łba złotego pod ogniste *ślepie*, stem syczących języków gorejących *trzepie*." Nie radzilibyśmy téż p. Czermakowi nagromadzać *bezpośrednio* po sobie idących dwu sprężyn, z których każda, *odrębnie* wzięta, jest arcy-ważną, t. j. porównań i tuż obok nich: podmiotowania zjawisk przyrodzonych. Tu bowiem jedna figura przeszkadza drugiéj, albo jéj znaczenie osłabia: w tym np. pięknym wierszu:

„U góry czarny obłok dymu w krąg *kłębuje*,
Jak szatan, który wejścia do piekieł pilnuje."

Otóż wolelibyśmy, aby pieśniarz poprzestał tu na wyraźném upodmiotowaniu i powiedział wprost: „czarny obłok—szatan, który" i t. d.

Podobnież zjednoczenie obydwu sprężyn, nadając więcéj ściśliwości, wzmocniłoby następujący obraz, który z rozkoszą powtarzamy:

„U wzgórza, co skroń w silne uwieńczyło krzaki,
Rozpięła czarną wstęgę, jak żałobne znaki,
Smutnie szemrząca Wisła, i srebrnym potokiem
Łez świeci, drżąc przed nocy ponurym widokiem;
Na brzegu klękła brzoza z rozpuszczonym włosem
I ręce załamując, liści srebrnym głosem,
Skarżąca, tak się zgięła u czarnéj topieli,
*Jakby* chciała się rzucić do zimnéj pościeli."

Utwory wierszem pp. Pierożyńskiego Konstantego, Puzyny Józefa, Rogaleńki, na głos uznania i zachęty ze wszechmiar zasługują.

Nie możemy téż pominąć przekładu pierwszéj pieśni *Iliady*, dokonanego przez p. Oswalda Maryana Balzera, ucznia wydziału filozoficznego we Lwowie. Tłómacz widocznie pracował z całym przyrządem studyów i komentarzy, bo w każdym prawie wierszu uderza w główny nerw pierwotworu; z drugiéj téż strony powiodło mu się zachować duchową wonność świata Homeryczuego z dziewiczym jego heroizmem. W téj wstępnéj pracy, tłómacz omija trudności epitetowe, co naturalnie pragnęlibyśmy, aby przy powtórnéj robocie nie pozostało *statu quo*. Również odradzamy tłómaczowi używanie pewnych z zbyt głębokiego pokładu sięgających archaizmów (*żertwa*=ofiara, sudna=łódki, cumy=statki, żachnąć się=zaciąć się, władyka=władzca (anaks); a wogóle jesteśmy zdania, aby wszelką staroświeckość zachować sobie na miejsca, wypowiadające majestat bogów albo ludzi. Należałoby się również wystrzegać już nie wyrazów, ale i pewnych pojęć nieodpowiednich typowi homerycznemu. Tak np. w odpowiedzi Ceusa do Tetydy, nasz tłómacz wyrażenie: *loigia erga* (zgubna sprawa) oddaje polskiém: *czy licho nadało* (wiersz grecki 517). Otóż zwracamy na to uwagę szanownego pracownika, że *licho* przenosi nas w dziedzinę oderwanego dualizmu, gdy tymczasem mit grecki w najogólniejszém rozumieniu leży właśnie poza abstrakcyą.

Odrywając się zresztą od tych niewielu zarzutów, na które może tłómacz niezupełnie pisać się nie będzie, uznajemy jego przekład za piękną wróżbę przyczynku do prac poetyckich nad wiekuistą epopeą. Że zaś niepłonnie wróżymy, niech czytelnik osądzi z tych np. kilku wierszy (475—488):

„Wreszcie skryło się słońce i ciemności ścieli:
Wtedy wszyscy pokotem przy cumach spoczęli,
Lecz gdy różowa Eos [1]) zabłysła na zrębie,
Już ich łódź wartkim pędem morskie pruła głębie.
Feb zesłał wiatr pomyślny. Toż wznieśli maszt w górę,
Raźno porozpinali białe żagle, które
Hys nadymał potężnie, a o tram wciąż biła
Fala, którą jutrzenka wschodząc szczerwieniła.
Gdy tak płynąc na statku po morskiéj topieli,
Dobili do obozu Argów, zaraz jęli
Łódź na nadbrzeżno ciągnąć piaskowe zatory,
I spójne pod nią wsuwać belki i podpory.
Potém się rozsypali pomiędzy okręty
I namioty."

Prawdziwy zadajemy sobie przymus, odrywając się od dalszych przytoczeń i sprawozdania z tego zbiorowego dzieła uczącéj się młodzieży. Dla człowieka, który widział jak to *wesoło*, *zanadto wesoło* upływają półrocza i całorocza młodzieży akademickiéj—tam, na dalszéj

[1]) Eos=jutrzenka.

ku zachodowi długości geograficznéj, poza granicami naszéj mowy—dla człowieka, który patrzył tam na semestrowe ciągi nieustannych gwarnych zapust, ostygających nie pierwéj, aż pod popielcowém hasłem: *Examen;* doprawdy nic wznioślejszego, żywszą budzącego otuchę, nad widok pracy młodych pokoleń, pracy rozesnutéj po wszech sferach i szczeblach ludzkiéj doli, od apartamentów, aż kędyś tam do poddasza, gdzie młodzieńcowi nieraz bywa i głodno i chłodno i do domu daleko, a jednak ten nasz głodny, zziębnięty wyznawca nauki: pracuje, pracuje—*sic itur!*

---

*Medea.* Tragedya Eurypidesa. Przekład Stanisława Grabowskiego, magistra nauk filologiczno-historycznych b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj, b. nauczyciela gimnazyum. Warszawa. 1880 r. Drukiem J. Ungra (Nakład tłómacza).

Hellenowie złotego wieku, wpracowawszy w spółczesny swój żywot i umysłowość niejeden cykl kultury i religii, obok treści uroczo pięknych, bohatérskich, rozrzewniających, mieli i typy demoniczne, nie ustępujące pierwszym co do majestatu, rozmiarów i wykończoności w swoim rodzaju. Niobie, skamieniałéj z rozpaczy nad ginącemi dziećmi, mieli odpowiadającą na drugim biegunie namiętności: Medeę.

Nie tak łatwo jednak zdać sobie sprawę z pobudek, jakie wprowadzić mogły na scenę grecką to arcydzieło okrucieństwa. Spełniają wprawdzie zbrodnie bojownicy Eschylosa: Polinejk i Eteokles, ale pod wyroczną powagą przekleństwa, kiedy goniec, przynosząc wieść o bratobójczym zgonie obydwu, mówi:

„Los unicestwił to nieszczęsne plemię:
....Dwaj króle własną rozdzielili ziemię
Żelazem na miecz kowaném u Scyty.
Stało się zadość klątwie niespożytéj
Ojcowskiéj [1])."

Otóż wyroczność nadaje tym i tym podobnym faktom namaszczenie tragiczne. Najeżone są zbrodniami dramata i powieści francuzkie, Monte Christo ma także swoję *Medeę*, żarliwie prowadzącą studya chemiczne nad truciznami i uwieńczającą je własną i dziecka swojego śmiercią. Ale Monte Christo obliczonym był na stępione nerwy ówczesnego społeczeństwa, na konieczność zadraśnięcia czytelników do krwi, aby ich wzruszyć. W wieku zaś Eurypidesa odrętwienia takiego jesz-

[1]) Eschylos: *Siedmiu pod Tebami.* Przekład Kazimierza Kaszewskiego.

cze nie było. Zanosiło się wprawdzie na pewien przesyt filozoficzny, ale społeczność zachowała jeszcze ostatki czerstwości. Przytém wiara w fatalizm, usprawiedliwiający fakta, a więc dramatyzujący je tém samém, w czasach Eurypidesa mocno się już zachwiała: Eurypides prowadzi dramat na mocno już ukształtowanéj samowiedzy człowieka. *Medea* idzie ku zbrodniom drogą zimnéj krwi, z najsubtelniéj obmyślanym planem zemsty nad mężem wiarołomcą, najwyraźniéj odznaczając w swojém sercu dwie istoty: matki kochającéj dzieci i nieubłaganéj w gniewie małżonki. Zamierzając otruć współzawodniczkę, nową żonę swojego małżonka, Medea snuje daleko sięgające plany, zabezpiecza się osobą Egeasza i otrzymuje od niego obietnicę małżeństwa.

„Nieszczęśliwą jestem (mówi do chóru), to prawda:
Nie jest jednakże tak, jak się wam zdaje.
Przez ciężkie znoje przejdzie obłubieniec:
Czy myślisz, że korzyłabym się czołem,
Gdybym korzyści nie myślała zyskać?
Nigdybym słówka ja nie przemówiła,
Ani głaskała Kreona rękami.
Doszedł do stopnia takiego głupoty,
Że choć zamiary moje mógł podchwycić,
Z téj ziemi wygoniwszy mię, jednakże
Dzień jeden tutaj pozostać dozwolił,
Dzień, który ujrzy, jak trzech wrogów swoich:
Ojca i córkę i męża mojego,
Tych troje wrogów ja położę trupem."

(od wiersza 363—375, przekład Stanisława Grabowskiego).

Otóż ta zimna krew, to utopienie wściekłości w najtrzeźwiejszym rozmyśle nadzwyczaj podkopuje tragiczność *Medei*. I dlatego krytycy różnych czasów nie mogli się uspokoić w swoich skrupułach co do *Medei*. A przecież czczono ją zawsze imieniem wielkiéj tragedyi i *jest* taką podług mody greckiéj.

Sam Arystoteles, rozmierzający cyrklem piękno, nazywa Eurypidesa „najdramatyczniejszym" (*tragikôtatos*). Warto więc zapytać się o klucz tajemniczy: oto Medea była *cudzoziemką*, córką króla Kolchidy, zkąd uwiózł ją był Jazon, Argonauta. Jedyny to wprawdzie, ale, zdaje się, potężny wzgląd nadający całéj grupie znamię tragiczności.. Jazon pada ofiarą zemsty *barbarzynki*, ku któréj zaślepił się na chwilę namiętnością, a potém wzgardził nią dla Glauki, dziewczęcia krwi greckiéj, rodzinnéj. Medea z osobliwszą była czcią dla Hekaty. A Hekata mocno zakrawa na jeden z owych typów Wschodu, które w zasadowém stoją sprzeciwieństwie z jasnym, przezroczym światem pojęć greckich: droga rozstajna, czarodziejstwo, nocne wycie psów przy bladym księżycu, widma i cienie koczujące nocami po grobowiskach, oto są mroczne insygnia świata, w który przypadek wplątał Jazona. Jako tedy smutna ofiara serca, zabłąkanego w świat cudzy, Jazon staje

się postacią tragiczną, a sprawczyni katastrofy postacią tytułową. Uczucie dumy narodowéj, uczucie hellenizmu wobec dzikiéj cudzoziemki, wypowiada on sam w oczy Medei, kiedy go ta przekleństwami i złorzeczeniem obrzuca. Prawda, mówi on, że doznałem ja od ciebie nieco dobrego (wiersz 534 i daléj)

„Lecz większe dobro dla siebie zabrałaś,
Niźliś mnie dała; zaraz cię przekonam:
Naprzód w *Helladzie* mieszkasz, czyli w kraju
Co nie jest ziemią *barbarzyńców*. Umiesz
Korzystać z praw: poznałaś sprawiedliwość,
Rozumiesz także, że prawo i siła
Nie są tu jedną i tąż samą rzeczą."

Samo uczucie Medei ku swoim dzieciom trąci również duchem niehelleńskim, jestto nic więcéj, jak ideał miłości zwierzęcéj. Kiedy Medea myśli o dzieciach, które wkrótce z jéj ręki zginąć mają, to słyszymy z ust jéj pieszczotę, określającą charakterystycznie to uczucie; mówi bowiem (wiersz 1067 i daléj):

„Lecz kiedy idę na drogę zuchwałą,
Chcę się pożegnać jeszcze z dziećmi. Dajcie,
Dajcie, o dzieci, matce prawą rękę,
By ją pozdrowić. O! najmilsza rączko!
Najmilsza główko! o! najmilsza minko.
...Szlachetna dziecka mojego postawo!
...Słodki uścisku, delikatna skóro" i t. p.

(Przekład Stan. Grabowskiego).

Hellenizm więc, szlachetne samolubstwo narodowe, wyjednało *Medei* wstęp na scenę grecką i rzeczywiście doczekała się ona rozgłosu po wszystkich czasach i miejscach, weszła na lutnią poetów, na marmury, bronzy i terrakotę. Sama zaś tragedya, którą nam obecnie daje w przekładzie p. Stanisław Grabowski, stała się źródłem wielu znakomitych utworów poezyi. Najpoważniejszym i najobszerniejszym z nich jest poemat angielski Williama Morrisa p. t.: *Życie i śmierć Jazona*, wydany w r. 1872.

Przebieg wypadków w tragedyi Eurypidesa jest następujący:

W prologu dowiadujemy się, że Medea, córka króla Kolchidy, zakochawszy się w Jazonie, który tam przybył z Argonautami po złote runo, uciekła z nim z ojczyzny. Lecz Jazon porzucił ją, zaślubiając córkę króla korynckiego, Glaukę. Medea zapalona rozpaczą, zamyśla o zemście. Król Koryntu, zasłyszawszy o jéj zagniewaniu, skazuje ją na wygnanie z kraju i przychodzi oznajmić to Medei:

„Ciebie ja gniewną Medeę na męża,
Wyrokiem swoim na wygnanie-m skazał,
Abyś precz poszła, zabrawszy swych dwoje

Dzieci, i abyś długo nie zwlekała.
Ja sędzią jestem sam tego wyroku
I nie wprzód nazad odejdę do domu,
Nim cię z méj ziemi granic nie wyrzucę."

Po tych słowach myśl zemsty wzmaga się w duszy Medei. Przybywa Egeasz, który ulitował się nad losem skazanéj na wygnanie, przyrzeka jéj gościnność w swojéj ziemi, zaślubienie jéj i zasłonięcie przed wszelkiemi klęskami. Wtedy Medea nabrawszy potężnéj otuchy, układa całą machinę zemsty. Ponieważ zaś Kreon zezwala na pozostawienie jéj dzieci w kraju, Medea udaje, że pojednała się z losem i wdzięczna Jazonowi, posyła dary na dwór królewski: były to dary zatrute. Kreon i Glauke umierają w boleściach. Zrozpaczony Jazon wybiega i w szalonym gniewie szuka trucicielki, aby jéj się odpłacić, a jeszcze bardziéj z trwogi o swoje dzieci. Spotkawszy blizko jéj domu stojące kobiety, wypytuje się o Medeę. Wówczas to dostrzega ją wznoszącą się na wozie powietrznym, z dziećmi obok siebie... własną jéj ręką zamordowanemi. Prośby, błagania Jazona, aby mu zwróciła ukochane zwłoki, pozostają bez skutku.

Cały dramat, którego wątek streściliśmy, składa się z 1419 wierszy, licząc w to chóry. P. S. Grabowski dokonał przekładu wierszem nierymowym. Z tego tytułu nie myślimy czynić mu zarzutu, ponieważ brak złudzeń fonetycznych wynagrodziło dochowanie wierności tekstu. Już więc i z tego względu praca niniejsza zasługuje na uznanie i zachętę do dalszych usiłowań w tym zawodzie, że posłużyć może za punkt oparcia dla przyszłych pracowników. Przekładów bowiem tego rodzaju nigdy zanadto nie będzie. Subtelności metryczne pierwotworu tłómacz oddaje rozlicznemi zmianami rytmu. Język przekładu wogóle jest czysty, poprawny, w wielu nawet miejscach, gdzie tego nastrój myśli wymaga, sięga głębszych warstw natury swojéj. Byłoby jednak pożądaném, aby p. Grabowski zechciał uwzględnić gatunkowy charakter chórów i postarał się o jakowąś sprężynę, odpowiadającą stosunkowi doryzmu do innych części tragedyi.

Najpierwszą zaletę stanowi tu naprzód wpatrzenie się tłómacza nietylko w myśl grecką, ale, co jest *conditio sine qua*, i w elementa téj myśli. Bez takiego bowiem, ujemnego niejako warunku, przekład prawdziwy jest niemożliwym. Drugim, już dodatnim warunkiem, jest: *głęboka* znajomość mowy własnéj, t. j. odgadnięcie, gdzie w niéj spoczywa główne tętno na każdą myśl, podsłuchanie owéj *harmonia praestabilita* pomiędzy duszą a ciałem języka swojskiego. Pewne nalecialości, jakie zwykło sprowadzać za sobą rozwijanie się na piśmiennictwach obcych, odpłyną, tego jesteśmy pewni.

Już wyżéj przytoczyliśmy kilka wierszy, dobrze świadczących o tłómaczeniu p. Grabowskiego. Szczegółowy tok oceny nastręczy nam sposobność podania jeszcze innych cytacyi.

Żałujemy szczerze, iż pan Grabowski, zamiast odsyłać nas do Wecklejna (*Ausgewählte Tragödien des Eurypides*, Erstes Bändchen. *Medea*, Leipzig 1870), nie zagaił swojéj pracy treściwym wstępem do tragedyi. Wprawdzie Eurypides już stoi daleko poza idealizmem mitologicznym, nie jest już hołdownikiem wieku bożego, jak jego poprzednicy, ale przecież są i w Medei napomknienia, wymagające klucza. Tak np. odwoływanie się Medei do swojego boskiego rodowodu, nie dla każdego w równym stopniu zrozumiałém będzie. Nie dla każdego z czytelników do dna przejrzystemi będą te słowa Jazona (w końcu tragedyi): „spełniwszy ten najbezbożniejszy uczynek, patrzysz w *słońce* i w *ziemię* patrzysz." Ogólne rzuty estetyczne, w drugiéj połowie przedmowy tłómacza, są nader trafne i charakteryzują Eurypidesa wydanie.

Zwracamy się do saméj tragedyi, z uwagą zwróconą na tekst pierwotworu i na przekład.

Tragedyą otwiera prolog, w którym mamka złorzeczy owym chwilom, kiedy korab' argonautów pożeglował ku ziemi kolchidzkiéj, gdzie królewna pokochała przychodnia Jazona. Prolog przetłómaczony jest i ściśle i ozdobnie. Cokolwiek razi wracająca zbyt często cząstka *by:*

„Oby był okręt Argo nie przeleciał
Mimo cienistych brzegów Symplegady,
I oby nigdy w parowie lesistym
Pelionu ścięta sosna nie upadła;
By nie skierować ręki dzielnych mężów
Ku wiosłom, by przywieźli złote runo."

W wierszu piątym (polskim, odpowiadającym czwartemu w oryginale) jest coś chwiejnego; tłómacz niepotrzebnie używa jakoby celowego, spójnika *by*.

W ustępie drugim:

„Medea nieszczęśliwa zbeszczeszczona,
Przysięgę obwołuje strasznym krzykiem;
Woła że podniesiona *jest* prawica:
Jest wiary słów jéj najlepszym zakładem."

W wierszu trzecim w wyrazie *jest*, widocznie czuć pomyłkę druku, zamiast *jéj* prawica.

Po rozmowie z Kreonem, który jéj zapowiedział wygnanie, następuje chór współubolewający nad dolą Medei: a przełożony prawie dosłownie:

O! nieszczęsna niewiasto... i t. d. (str. 23).

Posuńmy się teraz w samą głębią tragedyi.

Jazon, dowiedziawszy się o wszystkiém od chóru, rozkazuje wyważyć drzwi sługom, aby ujrzéć *podwójne nieszczęście:* (jak tłómacz rozumie: matkę).

„....dzieci zabite i matkę,
Którą natychmiast śmiercią ja ukarzę."

(a jak my, idąc za zdaniem Scholiasty rozumiemy):

„Podwójne nieszczęście, to jest dwoje dzieci zabitych."

Kiedy Medea z tryumfem oznajmia mężowi, że już jéj nie dosięgnie, bo wsiadła na cudowny rydwan powietrzny, Jazon wykrzykuje: (od wiersza greckiego 1323).

„O! zgrozo! wroga niewiasto i bogom
I mnie i ludzi całemu plemieniu,
Co śmiałaś dzieci swym mieczem *uderzyć*
I mnie *zgubiłaś*, *zabijając* dzieci.
I chociaż to zdziałałaś, patrzysz w słońce,
I patrzysz w ziemię, spełniwszy uczynek
Najbezbożniejszy...."

Przekład tu nie wiele pozostawia do życzenia: zamiast jednak *uderzyć* mieczem, właściwiéj podobno byłoby *wetknąć* miecz (*embalein*). W czwartym znowu wierszu zaginął koloryt, wprawdzie trudny do oddania, ale niesłychanie potrzebny: Eurypides bowiem chciał powiedzieć: „zgubiłaś mię, czyniąc *bezdzietnym*."

Tego rodzaju półtonów nigdy pomijać nie wypada. Oba wyrażenia wprawdzie oznaczają *realnie* toż samo, ale w zupełnie innym kluczu. Mickiewicz mówi:

„...wielcy ojcowie bezdzietni."

Poezya ma swoją dyalektykę.

W dalszym ciągu klątewnéj mowy Jazona słyszymy te wyrazy, wcale energicznie myśl wypowiadające:

„Niema pomiędzy greczynkami takiéj,
Coby *ścierpiała* (śmiała) to, co ty uczynić;
Jednakżem ciebie zaślubił na wieczne
Moje zmartwienie, ciebie, zgubną lwicę
A nie kobietę; ciebie, co posiadasz
Naturę gorszą od Scylli tyrseńskiéj;
Lecz nie potrafię ciebie miryadami
*Poskromić obelg*, taka twa zuchwałość.
Przepadnij *złoczyńczynio... zabójczynio...*
Już nie będę miéć dzieci, by, *chociażby* do nich
Przemówić, *wrazie gdyby* żyły jeszcze."

Eurypides tu mówi: „nie będę miał (nie będę mógł przemówić do) żywych dzieci."

Ale mściwą odpowiedź Medei tłómacz oddał wybornie, całkowicie, co do kropelki:

„...Dlatego jeśli chcesz, możesz mię lwicą
Nazywać, albo Scyllą, która mieszka
W ziemi (jaskini?) tyrseńskiéj. Już bowiem, jak trzeba,
W twoje się serce wpiłam bezlitośnie."

W krótkich, docinkowych wierszach, gdzie małżonkowie wyrzucają sobie nawzajem przyczyny rozbratu, kiedy Jazon zapytuje, czy rzeczywiście za jego nowy ślub (z Glauką) zabiła dzieci, Medea odcina się tém zapytaniem:

„A czy sądzisz że to jest małe cierpienie dla żony? (pierwszéj);" tłómacz mniéj właściwie uszczególnił ten zwrot:

„Czy małą rzeczą był nowy ślub *dla mnie?*"

W wybornie przełożoném narzekaniu Jazona (wiersz 1405--1415), jeszcze raz wracamy do lwicy; Jazon mówi w doskonale urytmowanym przez tłómacza wierszu:

„O! Zeusie! ty słyszysz jak mię odtrącają,
Ile ja cierpię od żony ohydnéj,
Od *dzieciobójczyni*, od *lwicy téj!*
Lecz przynajmniéj o ile mi siły dozwolą,
Płaczę i jęczę, przeklinam—na świadki
Demonów przyzywam, że dzieci zabiwszy,
Ty nędzna dozwolić mi nie chcesz nawet,
Abym się zlekka rękami ciał dotknął;
Nigdybym nie był powinien (obym?) ich zrodzić,
Kiedy po śmierci związane są z tobą."

Cały ten ustęp zupełnie równoważy się z piewotworem; i znów tylko ten jeden półton tracimy (w wierszu trzecim); Medea, w oryginale ma nazwę nie *dzieciobójczyni lwicy,* lecz *lwicy dzieciobójczéj* (pajdofonu leaines).

Nie radzimy tłómaczowi kłaść na początku wiersza wyrazów atonicznych, jak np. (str. 62, wiersz 4 i 5 od góry):

„To była Ino szalona, gdy Hera
*Ją* na tułactwo po świecie skazała."

Podobnież str. 57 (wiersz 14 i 15 od dołu):

„Jednakże późniéj dziwne widowisko
*Się* przedstawiło..."

Podobną usterkę co do toniczności, spostrzegamy na stronicy 53 i na 54 (gdzie zresztą cały ustęp oddanym jest wymownie):

„O! dzieci! dajcie matce prawą rękę,
By ją pozdrowić. O! najmilsza rączko!
Najmilsza główko *mi!*

Przyrostek słowny *ś* nie powinien przypadać po spółgłosce, ani nawet po jocie, jak to ma miejsce na str. 68 (wiersz 4 od góry):

„Teraz ich wołasz? teraz je witasz,
A *pierwéjś* odtrącał.

Wyrazy: opinia, racya, sens fachowy, są niepoetyczne; wyrażenia: „już powiedziano to, w *przedmiocie czego*" i t. p., są nie nasze.

Jeszcze słówko o układzie wiersza:

Nie możemy téż zgodzić się na przełamywanie wyrazu rytmem, z widoczném uszkodzeniem naszéj średniówki, podług niéj bowiem ostatecznie kształtuje się u nas każdy z dłuższych wierszy. Przełamywanie to dość często spotykamy w przekładzie p. S. Grabowskiego. I tak np.:

„Bóg cię, Medeo, skierował do morza,
Do morza *niezgłębionego* nieszczęść."

albo w tym wierszu:

„Żebym, ród w jednych prawach wychowawczy,
Szczęśliwym był. *Dlaczegoż tobie* dzieci
Więcéj potrzeba?"

Dla zabezpieczenia się od téj niewłaściwości, należy unikać wyrazów wielozgłoskowych w środku wiersza.

Nakoniec zaprotestować winniśmy przeciw zbyt częstemu przenoszeniu zdań prostych z jednego wiersza na drugi, gdyż tym sposobem zaciera się taktowy układ naszego wiersza, który to wiersz nie na okresach polega, lecz na zdaniach. Tak np. Egeasz mówi:

„Z wielu powodów dank ci tém wyświadczyć
*Jestem gotowy*, najpierwéj dla bogów...
Taki jest mojéj duszy stan. Gdy przyjdziesz
Do *mego kraju*, ciebie się postaram
Ugościć...."

— Takie to szczegóły nasuwają się pod pióro krytyka, w chwili czytania przekładu *Medei* p. Grabowskiego. W wykazaniu usterek może byliśmy i zbyt gorliwymi, jak znowu zbyt skąpymi w przedstawianiu stron dodatnich. Ale zdaje się nam, że ścisłość oceny wymowniéj dowodzi uznania pracy wziętéj pod rozbiór, aniżeli jakieś oderwane pochwały. Co zaś do stron dodatnich przekładu p. Grabowskiego, wyznajemy, że wyliczanie ich więcéj nierównie zajęłoby tu miejsca. W przekładzie p. Grabowskiego czujemy dłoń poważnego filologa i zdanie to wyrzekamy na podstawie przejrzenia téj pracy z pierwotworem w ręku. Wprawdzie przekład nierymowy, na jaki Niemcy, a szczególniéj Anglicy, stanowczą dali sobie dyspensę, zostawił i naszemu pracownikowi ruchy swobodne; ale z drugiéj strony, świadcząc o wierności, niekiedy aż dosłowności téj polskiéj Medei, dodać winniśmy, że filolog bynajmniéj tu nie pochłonął artysty. Zachęcając przeto czytelników do zapoznania się z tą (podobno pierwszą) pracą p. Grabowskiego, przedewszystkiém poręczamy za tożsamość myśli z oryginałem, co szczególniéj ważném będzie dla *młodych* miłośników koturnu greckiego. Jako wskazówkę

podajemy głos Medei, gotującéj się na zbrodnią zemsty nad mężem wiarołomcą, który nową żonę poślubia (wiersz 394):

„Bo *nie*—(zaklinam się na tę boginię,
Którą czczę więcéj od wszech innych bogów,
Którąbym z chęcią miała pomocnicą;
Klnę się Hekatą przy mojém ognisku
Zamieszkującą), nie może mi serca
Radować ten z nich, który sam się cieszy;
Tęskne i gorzkie małżeństwo im sprawię
I gorzką troskę za moje wygnanie.
Ale, pamiętaj niczego nie szczędzić,
Medeo, co rozumne śnisz fortele,
Wesnuj się w samo wnętrze okrucieństwa.
Teraz odwagi skrajne wysilenie:
Widzisz, co cierpisz. Na śmiech więc nie zasłuż,
Z powodu nowych godów Jazona."

Kiedy w końcu tragedyi Jazon błaga, aby mu zamordowane dzieci pozwoliła uczcić pogrzebem, Medea odpowiada mu:

„O! nie, zaprawdę, *ja* własną je ręką
Pochowam; do świątyni bowiem Hery
Zaniosę, aby nikt ich nie pokrzywdził,
Kości ich z grobu dobywając. Święto
Pobożne dla ich czci ustanowić
Zamierzam z religijnemi obrzędy,
I wszystko dla zadosyćuczynienia
Za śmierć bezbożną dzieci. Sama pójdę
Do kraju Erechteja, za mąż wyjdę.
...Ty zaś, jak słusznie, zginiesz podły podle,
Szczętem okrętu Argo uderzony:
Takiém to będzie godne uwieńczenie
Krzywoprzysięzkich twoich ślubów ze mną.

---

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

### NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

— *Luty 1880.—W sprawie nazwy Macierzy.* Pod takim napisem p. Kajetan Kraszewski w *Kłosach* (Nr. 763) podnosi głos w obronie zamierzonéj pierwotnie nazwy (Macierz), którąby zawiązującą się instytucyą zamianować, a więc z góry, raz na zawsze uczcić należało. Po-

trącając ogólnie o zarzuty, z jakiemi przeciw téj nazwie wystąpiono, oraz o subtelności pojęciowe czeskiego wyrazu *matice*, pan Kajetan Kraszewski omawia téż i przedstawioną z biedy i jedynie na żądanie nazwę *skarbnicę*, którą uważa za mniéj odpowiednią istocie i duchowi instytucyi. Nazwa *Skarbnica* mówi p. K. Kraszewski, jest bez wątpienia również poważną i piękną, ale wyobraża ona pewny tylko zamknięty przybytek, sprzęt, miejsce, w którem leżą i są już nagromadzone bogate w wielkiéj ilości zapasy; gdy *macierz* jedynie swą siłą twórczą ma nam dopiero z roku na rok, coraz nowe płody ducha wypiastowywać i na świat wydawać; i daléj, jako miłująca matka, ma nad dziećmi swemi rozciągać opiekę, ma je nauczać i kształcić. Kończy więc pan K. Kraszewski gorącą prośbą o utrzymanie podanéj z samego początku przez J. I. Kraszewskiego nazwy: *Macierzy Polskiéj*, bo na jéj zastąpienie, w pełni znaczenia, jakie przedstawia, pomimo największego bogactwa naszego języka, w całéj jego skarbnicy lepszego ani nawet równie właściwego nie znajdziemy wyrazu.

Całą duszą przyklaskujemy głosowi p. K. Kraszewskiego. Nie możemy też pominąć przytoczonych przez autora następnych wyrazów z listu, w którym dostojny Jubilat, brat autora, tak mówi: „*Co do Macierzy*, nie wiem, dla czego jéj nie chcą, podobno (dodaje żartobliwie) dla podobieństwa do maciory" (!). Smutne doprawdy nasuwają się myśli na samo wspomnienie, do jakiego stopnia w pewnych warstwach społeczeństwa, drętwieje najpotężniejszy z nerwów estetycznych: uczucie majestatu starożytności. Kiedy przewódzca estetyków francuzkich naszego wieku, przekładając Mickiewicza, odżałować nie mógł, że naród jego pozbawionym jest języka Biblii, że nie posiada ani śladu tych szat świątecznych, bez których wszelka myśl namaszczenia jest niemożliwą, nie wykonalną we wcieleniu—to my przechowaną wielmożność mamy wydrwiwać? Gdyby taką drażliwością fonetyczną powodowali się byli nasi mocarze w pieśni lub wymowie, nie mielibyśmy Woronicza! Właśnieto puryści doprowadzili nas do tego, że łzy nad Urszulką zabarwiać potrzeba, że jęki Kasandry omawiać, pioruny Skargi ociosywać potrzeba pierwéj, nim się je wygłosi przed młodym uczniem, albo uczennicą. A cóż tu począć z tym cudownym wierszem Wincentego Pola:

„Oj! nie zawsze, oj, nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!"

Nie! kiedy idzie o wypowiedzenie *dogmatu* w wyrazie, nie godzi się nam oglądać na czyjąś tam wrażliwość dźwiękową; owszem sięgnijmy dziedziny błogosławieństwa, *siwego włosa* naszéj mowy.

Dziękować Bogu, jesteśmy jeszcze tak czerstwi, że dla nas od szczytności do śmieszności jest więcéj niż jeden krok! Przemawiamy tedy i my za *Macierzą*.

— Wyszły świeżo z druku w Wilnie dwie następujące książki: *Patryotyzm i kosmopolityzm*, studyum społeczne Elizy Orzeszkowéj

i *Upominek wileński*, pismo zbiorowe poświęcone J. I. Kraszewskiemu. Dochód z téj ostatniéj książki przeznaczonym jest na stypendyum imienia Kraszewskiego. Szczegółową ocenę tych dzieł podamy późniéj.

— *Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego* przez d-ra Antoniego Małeckiego; 2 tomy; Lwów, nakładem autora; w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1879. W dziedzinie piśmiennictwa naukowego, dzieło to zasłużonego pisarza ze wszech miar za pomnikowe uważać należy. Sama ważność przedmiotu i powaga stanowiska, z jakiego autor ogarnął zadanie, zniewala nas do ograniczenia się na ogólnéj wiadomości literackiéj. Przedewszystkiém uprzedzić należy czytelnika, aby wyraz tytułowy (gramatyka), nie naprowadzał go na przekonanie, jakoby dzieło to miało jedynie uwzględniać cele praktyczne, t. j. zasady mówienia i pisania poprawnie, jakkolwiek i tego celu autor ani na chwilę nie spuszcza z oka—owszem, prawidła czystości i poprawności języka narodowego uzasadnia on nie na jakicheś urywkowych przepisach, ale na zbadaniu jego ducha i istoty. Podług autora, „główną ozdobą i miarą wartości języka jest logiczność, jednolitość i wynikliwość w całym jego ustroju, a tę burzymy, ilekroć tak używać poczynamy naszéj mowy, jakbyśmy nie tą mową, ale jakąś inną mówili."

Wszakże nauka języka ma, podług autora, jeszcze inne, i to wyższe zadanie: wyjaśnić ma ona całą *„wewnętrzną* istotę mowy, tak wogóle: jako mowy ludzkiéj, jak w jéj szczególném zastosowaniu do danego szczepu, narodu i wieku." Zgoła dr. Małecki zamierzył dokonać i dokonał takiego poglądu na mowę naszą, jaki miał niegdyś na myśli wiekopomny Kopczyński, ale przeprowadzić go nie był w stanie, przy owoczesnym braku przyrządów filologii porównawczéj. Najgłówniejszą powagę stanowiska d-ra Małeckiego, a tém samém naukową doniosłość jego pracy stanowi to, że jest ono *genetyczném*, to jest, że proces budowy naszego języka przed oczyma czytelnika przeprowadza od podwalin aż do szczytu, a to sprowadzając do właściwych granic zbyt przesadzony dotąd kierunek sanskryto-logiczny, a uwzględniając zamiast niego, *wszystkie* szczepowe języki indo-europejskie.

Poprzestając na takiéj ogólnéj wiadomości o *Gramatyce historyczno porównawczéj*, uprzedzamy czytelników, że ocena jéj w jednym z następnych zeszytów *Biblioteki Warszawskiéj* podaną zostanie.

— Pan Stanisław Wegner w Poznaniu rozpoczął wydawnictwo zeszytowe na wzór słynnéj *Sammlung wissenschaftlicher Vorträge* Virchowa i Holtzendorfa. Będzie to zatem zbiór krótkich, poszytami wychodzących monografij naukowych, zarówno oryginalnych, jak tłómaczonych. Pierwszy zeszyt zawiera szkic historyczny Froelicha: *Pochód tryumfalny Germanika*, w przekładzie St. Wegnera. Dalsze zeszyty pomieszczą oryginalne prace Leona Wegnera, d-ra Mrozińskiego, Kazimierza Jarochowskiego, d-ra Zygmunta Masłowskiego i innych. Ten ostatni przygotował ciekawe studyum o *Halce* Moniuszki.

— *Poezye Izy* (Warszawa, Gebethner i Wolff. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1880 r.). Pod tym napisem w pięknem wydaniu

ukazała się na widok publiczny książka o 202 stronnicach, godna uprzejmego powitania. Zawiera ona cztery obszerniejsze całości, a mianowicie: *Srebrny dzwon* (legenda nadreńska), *Beduin* (powieść wschodnia), *Trzy obrazki z życia Reja z Nagłowic* i *Nowy rok w niebie*. Następują przekłady z Uhlanda, Szyllera, T. Moora i w. i., liryki i ballady. Najudatniejszym ze wszystkich jest *Beduin*, obraz wschodni, z życiem i całą malowniczością dotrzymujący typu od pierwszego do ostatniego wiersza, prowadzony odpowiednim rytmem amfimakrowym, widocznie ulubionym przez autorkę. Z mniejszych obrazków wcale udatnym jest *Złoty Włos*, w treści z wojen krzyżowych. W liryzmie pani Izy mamy pełno wdzięku uczuciowego, miłość przyrody, gorące tętno dla bogów domowych. Najponętniejszym i, podług nas, najodpowiedniejszym talentowi jéj zakresem, jest tak zwany typ ludowy. I dlatego też najpoczesniejsze miejsce, zdaniem naszém, należy się drobnemu, lecz perełkowo pięknemu utworowi p. t.: *Latawiec* (podług podania ludowego). Przekonani, że w pojęciu autorki, tak zwany typ ludowy jest wyrażeniem przenośném, i bynajmniéj nie zamyka w sobie jedynie rubasznych gawędek o *Jagnach* i *Baśkach*, lecz przeciwnie jest szczątkiem jakiegoś zatraconego cyklu naszéj poezyi, przekonani o tém, radzimy autorce dalsze wczuwanie się w ten kierunek, ponieważ, jak nadmieniliśmy, dziwnie nadaje się do jéj nastroju pieśniarskiego. Oto np. wzorek tego kroju:

(Matka szuka córki swojéj, zwabionéj przez podniebnych młodzieńców)

„Gdzieś przepióreńko gniazdko schowała?
W ścierń na zagonie;
Oj! córko moja, gołąbko moja,
W któréj ty stronie?
Dni tylko siedm nim złoży głowę,
Będzie czekała;
Natożem, drzewko me kalinowe,
Ciebie chowała?
Oj! gdzie ci gniazdo, gdzie ci rodzina,
Ptaszko stracona;
Oj! w któréj stronie twoja drożyna,
Córko rodzona?"

— W Wilnie drukiem Józefa Zawadzkiego wyszło ciekawe z powodu swojéj specyalności pisemko p. t.: *Mikołaj Rej z Nagłowic* i *ks. Józef Wereszczyński* (1880 r., str. 33). Zadaniem autora było zestawienie trzech dziełek Wereszczyńskiego z *Żywotem Mikołaja Reja;* w końcu autor podaje ten wywód, że Wereszczyński w swojéj *Regule* korzystał z Reja i w wielu innych dziełach swoich brał z niego całe ustępy.

Pisemko to, jak autor zapowiada w tytule, stanowi ustęp z większéj całości.

— Zwracamy uwagę czytelników na ważny artykuł p. Juliana Klaczki, pomieszczony w *Revue des deux Mondes* (ze stycznia 1880 r., zeszyt II) p t.: *Pogadanki Florenckie* (*Causeries Florentines*). Dział I-szy w tym zeszycie umieszczony ma tytuł: *Dante* i *Michał Anioł*. Zdaniem naszém artykuł ten jest prawdziwą ozdobą pomienionego numeru pisma *Revue des deux Mondes*.

— Z zasłużoném uznaniem wspominany przez nas p. Henryk Blumenstok, z powodu znakomitego studyum o *Dziadach* Mickiewicza, ze szczególném zamiłowaniem swoją działalność literacką skierował ku zapoznawaniu publiczności niemieckiéj z naszém piśmiennictwem. Jeżeli ta publiczność, zwykle z taką usilnością wpatrująca się w powszechny ruch umysłowy, niegdyś w skutek niedokładnych lub tendencyjnie fałszywych sprawozdań z lekceważeniem spoglądała na świat nasz, tedy dziś stosunki zmieniły się nader pomyślnie. Już poprzednio zapoznawaliśmy czytelników z przekładami utworów Malczewskiego, Słowackiego z tak zwanym *Parnasem Polskim* i t. p., wskazując zarazem sumiennych na tém polu sprawozdawców lub tłómaczy. Obecnie dzielimy się z czytelnikiem miłą wiadomością, że pan Blumenstok, oprócz innych wielkich postaci naszych (w piśmie *Dioskury*) daje studyum o *Niebosklej Komedyi*, zamierzając opracować *Niedokończony poemat* i w. i. W najbliższym tedy zeszycie naszego pisma podamy główne zarysy tak 1-o (*Die Ungöttliche Komödie*, Wien, 1880), jak i dawniejszego studyum pana Blumenstoka p. t.: *Die Ukraine und ihre Dichter*, Bohdan Zaleski.

— *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich.* Obecnie wyszły z druku zeszyt II-gi téj ważnéj, sumiennie prowadzonéj publikacyi, zawiera ciąg od w. *Bagienica* do w. *Besarabia* i na ostatniego części zamyka się. Jak w poprzednim tak i w obecnym zeszycie, pod nazwami ważniejszemi spotykamy nie już opisy, ale prawdziwe traktaty w jednéj z tych dziedzin, na jakie dany fakt (rzeka, wieś i t. p.) naprowadza. Takiemi są np. artykuły: *morze Bałtyckie, Berezyna, Beskidy. Berdyczów* i i.

— *Malczewski* czy *Malczeski?* Kwestya pisowni nazwiska twórcy *Maryi* była dotychczas nie rozwiązaną. Jedni pisali to nazwisko przez *cz*, inni znów opuszczali w niém tę literę. Otóż *Tygodnik Illustrowany*, podając pewien akt urzędowy, znaleziony obecnie w papierach po byłéj komisyi wojny pozostałych, rzuca na sprawę tę dostateczne światło. Na akcie tym *urzędowym*, noszącym datę dnia 12 grudnia 1815 r., położony jest podpis: *Antoni Malczewski*, porucznik sztabu kwatermistrzowstwa. Tak więc ze względu na urzędowy charakter dokumentu, sprawa zostaje wyjaśnioną.

— Twórca muzeum Kopernikowego w Rzymie, dr. Artur Wołyński, donosi *Tygodnikowi Illustrowanemu*, iż według wiadomości pomieszczonéj w dniu 12 b. m. w półurzędowym dzienniku *Diritto*, de Sanctis, minister spraw wewnętrznych wyasygnował na urządzenie te-

goż muzeum 12000 lirów i że roboty odpowiednie już w tym miesiącu rozpocząć się mają.

— *Zarys geologii z uwzględnieniem Królestwa polskiego, Galicyi i W. Ks. Poznańskiego*, skreślony przez dra Jana Trejdosiewicza, profesora uniwersytetu, ze 154 drzeworytami (odbitka z II tomu *Encyklopedyi rolnictwa*), wyszedł świeżo z druku.

— W *Kuryerze Warszawskim* czytamy co następuje: „Polecamy czytelnikom ostatnią pracę ś. p. Woycickiego p. t.: *Warszawa, jéj życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu, od 1800—1830*. Ustępy z tych pamiętników pomieszczane były w swoim czasie w *Bibl. Warsz.* Są to wspomnienia naocznego świadka w bardzo zajmującéj epoce. Ludzi i rzeczy Woycicki opisuje wiernie, jak ich znał i jak mu się przedstawili. Pamiętniki tego rodzaju, jako charakteryzujące dane chwile w dziejach piśmiennictwa i przejść społecznych, bardzo są pożądane i zapełniają widoczną a krzyczącą lukę w naszéj literaturze pamiętnikowéj. A Woycicki dużo wiedział i częstą a ścisłą miewał styczność z ludźmi, których stanowisko i prace wpływały na kierunek, jaki społeczeństwo u nas w danéj epoce przybierało."

— *Kosmos*, organ przyrodników lwowskich, pisze co następuje: „Otrzymaliśmy książkę, któréj sam tytuł i imię jéj autora, stanowią dostateczną rękojmię o jéj użyteczności. Są to dra Bremikera *Logarytmy liczbowe i trygonometryczne sześcio-cyfrowe*, wraz z tablicami Gaussa, do użytku szkolnego zastosowane, a objaśnione przez d-ra Daniela Wierzbickiego, adjunkta obserwatoryum astronomicznego krakowskiego.

„Z przedmowy autora dowiadujemy się, że pierwsze tablice logarytmiczne w języku polskim ukazały się w r. 1787 w Warszawie p. t.: *Logarytmy dla szkół narodowych*, w drukarni *Scholarum Piarum*. Autorem jest ks. Ignacy Zaborowski; *Logarytmy* te powtórnie były wydane w r. 1806. Dziś obydwa wydania należą do rzadkości antykwarskich, wskutek czego szkoły posługiwać się musiały książkami francuzkiemi, lub niemieckiemi. Zaradzając temu brakowi, dr. D. Wierzbicki zajął się wydawnictwem *Logarytmów*, które objaśnił wstępem, zwięźle i jasno napisanym. Książka ta złożoną jest z 520 stronnic, ścisłego, drobnego druku stereotypowego."

— Dnia 15 b. m., Tow. Nauk. akademików Polaków w Berlinie obchodziło czterdziestą rocznicę swego istnienia. Na uroczystości téj znajdowało się przeszło 90 osób, pomiędzy któremi było dziesięciu posłów polskich z sejmu i parlamentu. Posiedzenie zagaił p. Dobrzyński, wice-marszałek, a jeden z członków odczytał napisaną przez siebie: *Historyą Towarzystwa akademickiego w Berlinie*. Przy kolacyi wniósł p. Tadeusz Jackowski, pisarz Towarzystwa, zdrowie wszystkich gości obecnych, a szczególnie posłów i Towarzystw polskich, reprezentowanych przez członków swoich na uroczystości, a wice-marszałek odczytał życzenia Towarzystwa akademików, przez kolegów z Gryfii i Wrocławia przesłane. Dr. H. Szuman, prezes koła polskiego, w pięknych

słowach podziękował za wzniesione swoje i kolegów zdrowie, przypomniał młodzieży jéj obowiązki wielkie i zakończył toastem na jéj powodzenie. Nastąpił koncert p. Limperga, ucznia akademii muzycznéj tutejszéj, przyjęty oklaskami. Dr. Chłapowski wzniósł potém toast na powodzenie dra Adamkiewicza, opuszczającego Berlin, by zająć katedrę profesorską przy uniwersytecie Jagiellońskim; na tém skończyły się mowy. Pogadanka przerywana czasem wesołą pieśnią, trwała aż do północy.

— Akademia nauk w Petersburgu zamierza upamiętnić pięćdziesięcioletnią rocznicę muzeum zoologicznego akademii wydaniem jego historyi. Do historyi téj mają być dołączone portrety założyciela i członków muzeum.

— Nowa wyprawa. Pan Sibiryakow, znany filantrop w Syberyi, przedsięwziął wkrótce wyprawić na ocean Lodowaty swój własny parostatek „Nordenszyld." Celem téj ekspedycyi będzie przeprawienie się przez cieśninę Berynga, około Niedźwiedzich wysp i turuchańskiego kraju, dla zbadania tych miejscowości.

— Donoszą z Rzymu, że Siemiradzki wykończa obecnie bardzo wiele rozpoczętych kompozycyi. Do większych z nich należą: *Korsarze*, olbrzymie płótno, które artysta zobowiązał się wystawić w Melbourne, w Australii. Z mniejszych rzeczy odznacza się: *Wróżbita egipski*, którego szkic piórkowy przeznaczył Siemiradzki do zbiorowego pisma: *Dla głodnych*. Nadto pracuje obecnie nad obrazem: *Dzieci uganiające się za motylem* i zamierza wykonać pendant do *Świeczników chrześciaństwa*, oraz wielką kompozycyą: *Tyberyusz na wyspie Capri*.

W oczekiwaniu nowego arcydzieła Siemiradzkiego (*Tyberyusz na wyspie Capri*), przypominamy czytelnikom o wybornem piśmie Gregorovius'a, jeszcze w r. 1856 wydaném w Lipsku (*Figury, życie i sceneryе Włoch*). W piśmie tém pisarz-estetyk poświęca czwartą część temuż samemu przedmiotowi p. t.: *Kaprejska Pustelnia* (*Capri eine Einsiedelei*), gdzie czytelnik spotka się z iście Mickiewiczowskiemi rzutami pędzla, przypominającemi *ruiny* z sonetu krymskiego. Jest tam dotąd podanie ludowe, że głęboko we wnętrzu góry, na któréj leżą zwaliska willi Tyberyusza, pustelnik siedzi na koniu bronzowym, sam z bronzu, z oczami równie, jak i oczy konia, bronzowemi.

Wspomnienia o Tyberyuszu żyją dotąd jeszcze wśród ludu, które go zowią dziś Timberio. Nawet wyborne wino kaprejskie nazywa się *łzą Tyberyusza*, jak wezuwijskie: *łzą Chrystusa*. „Zdaje mi się, mówi nasz autor, że wysoką cenę mieć muszą w przyrodzeniu łzy, ronione przez takiego człowieka, jakim był Tyberyusz."

„Przez ciąg lat jedenastu (czytamy tamże) mała wysepka ta była Romą i środkowym punktem świata. Zesrożały czasy i posiwiały, jak sam pustelnik owego skaliska, jak same dzieje świata były mrocznym monologiem, który Cezar prowadził z głową Meduzy. Kiedy zasiadłszy na gruzach willi Jowisza, spoglądam na promieniejącą zatokę, to mi zdaje się dymiący wulkan Tyberyuszem natury, który siadywał tu

i w szatańskim sceptycyzmie pasł się widokiem swojego odwzoru, demona zniszczenia... Tu w jednym człowieku warem kipiała dusza, a kiedy ją wściekłość niszczenia wzdęła w nadpełnią, wtedy mąż plwał wyrokami śmierci, wygnaniem, rabunkami miast, przekleństwy i wszechziemię zagrzebywał w ciemnościach."

— Nieznany obraz Matejki będzie wkrótce wystawiony na widok publiczny w Sukiennicach. Jestto dawniejsza praca mistrza i zupełnie odmienna od innych dzieł artysty; przedmiot bowiem, choć posiadający zwykłą Matejce dramatyczność, nie sięga w odległe czasy, ale przedstawia pełną grozy scenę z niedalekiéj przeszłości, na ten sam temat, który kilkakrotnie natchnął Grotgera. Obraz ten, dość znacznych rozmiarów, choć niewykończony, jest własnością ks. Władysława Czartoryskiego. Właściciel wystawia go na widok publiczny, przeznaczając dochód z wstępnego na t. zw. internat dla kandydatów stanu nauczycielskiego.

Również inny szkic Matejki także nieznany, a będący własnością p. Dyonizego Skarzyńskiego, ma się ukazać na ten sam cel w Sukiennicach. W szkicu tym Matejko przedstawił jeden z najważniejszych ustępów Zygmunta Krasińskiego, którym kończy się *Psalm dobréj woli*. W obłokach wznosi się postać Matki Boskiéj z dwoma kielichami w rękach, obu pełnemi krwi. Co Zyg. Krasiński wyśpiewał w *Psalmie*, to Matejko ukazał w obrazie, poraz pierwszy wstąpiwszy na pole malarstwa religijnego.

— Wysoce ceniony w świecie artystycznym rzeźbiarz Weloński, wykończył w Rzymie biust Siemiradzkiego, który ma być wystawiony na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Prócz tego wykonał płaskorzeźbę p. t.: *Kalina* i posąg *Gladyatora*, który ma być przepysznym typem Słowianina.

— Przekład *Mohorta* na język niemiecki wyszedł świeżo w Krakowie, łącznie z tragedyą Szujskiego: *Śmierć Władysława IV.* Tłumaczenia dokonał znany uczony i b. profesor historyi i literatury niemieckiéj w uniwersytecie Jagiellońskim ks. dr. T. Bratranek.

Pan Trefowel przełożył na język rossyjski poemat Syrokomli *Spowiedź Korsaka*, drukujący się w petersburskiém piśmie *Ruskoje bogatstwo*.

W końcu znany br. Baumann (Hans Sachs) wydał w Wiedniu przekład powieści Korzeniowskiego: *Spekulant*.

— W gazecie *Nowosti* nr. 27, spotykamy poczet znakomitych myśli, dotyczący wielkiéj kwestyi pedagogicznéj; wytrawność poglądu, znakomity takt w rozumowaniu a przedewszystkiém, wiejący z całego artykułu duch życzliwości ku młodocianemu pokoleniu, zniewalają nas do pochlebnéj a prawdą tchnącéj wzmianki. *Formalizm pedagogiczny* (bo taki ma napis pomieniony artykuł) stoi w związku z artykułem *Gołosu*, dotykającym wychowania fizycznego i moralnego w uczelniach. Obraz podany w *Gołosie*, jakkolwiek nakreślony *ciepłemi barwy i od głębi serca*, nie zdaje się naszemu autorowi zupełnym, albowiem

„uwzględniono tam jedynie ilość pracy i brak czasu na wypoczynek i rozrywkę, w wieku młodocianym niezbędną; ale pominięto arcy-ważną stronę: system sprawdzania i ocenę wiadomości wychowańców. A wszakże ten systemat, mówi daléj autor, jest źródłem najstraszliwszych chwil w życiu młodziana, stanowi on epoki w życiu jego i określa główne rysy jego charakteru i przyszłych stosunków do państwa i społeczności." Zdaniem tedy naszego autora, nie zbytecznem było przy wyżéj wspomnianych ocenach uwzględnić i czynniki etyczne, pośrednio wprawdzie, lecz niewątpliwie wpływające na umysł wychowańca, w chwili, gdy rozwiązuje podane sobie zapytania. Do rzędu czynników tego rodzaju autor zalicza np.: nieuniknione w podobnéj chwili nastrój psychiczny wychowańca, wzruszenie, obawy, szczególniejsze natężenie wszystkich władz duszy, wyjątkowy nastrój nerwowy i t. p. Zaprawdę, niepodobna prawie pomyśléć rozumowania w wyższym stopniu dojrzałego, goręcéj popierającego ideę główną, nad myśli wypowiedziane na trzech kolumnach, zawierających rzecz o „formalizmie pedagogicznym" i szczerze ubolewamy, iż na tém miejscu w całéj rozciągłości podać jéj nie możemy.

## SPROSTOWANIE

w zeszycie Biblioteki Warszawskiéj za miesiąc luty 1880 rok.

W spisie darów ofiarowanych w dzień jubileuszu J. I. Kraszewskiemu: nr. 72, zamiast: *redakcyi Kłosów*, czytaj: *staraniem komitetu jubileuszowego.*

*Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.*
Redaktor odpowiedzialny **Feliks Jezierski.**
Wydawca *Józef Berger.*

Druk J. Bergera,
w Warszawie, Elektoralna Nr. 14.

Дозволено Цензурою
Варшава, 19 Февраля 1880 года.

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM,

Z R. 1880.

—

stron.

*Filozofia.*

Cycero, jako filozof i moralista. Przez Kazimierza Kaszewskiego . . 181

*Etyka.*

Cnota i występek. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Ciąg dalszy. Koniec świata starożytnego). . . . . 52, 443

*Dzieje kultury.*

Przodownicy ruchu umysłowego w wieku XVIII. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . . 73

*Historya i biografia.*

Przywilej żydowski Bolesława i jego potwierdzenia. Przez R . . . 426
Dawid Hilchen. Szkic biograficzny, na tle dziejów inflancko-polskich osnuty. Przez Stanisława Leliwę. . . . . 1, 383

stron.

## *Literatura.*

Kalewala. Epos narodowe Finnów. Przez Feliksa Jezierskiego. . 29, 225
Głosy prasy zagranicznéj o naszém piśmiennictwie. . . . . 282
Pieśni Bulgarów macedońskich w Rodopie, zebrane przez Stefana Werkowicza. Przez Bronisława Grabowskiego. . . . . 460

## *Powieść.*

Ciotka Wawrzyńcówna. Przyczynek do charakterystyki ludu czeskiego. Przez Karolinę Świetlę. Przełożył Bronisław Grabowski. 251
Od szkolnéj ławy. Opowiadanie z lat 1798—1813. Przez Kajetana Kraszewskiego . . . . . 349

## *Przegląd literacki.*

Przegląd literatury beletrystycznéj za r. 1879. Przez Waleryę Marrené. . . . . 106, 202, 400

## KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość w Akademii francuzkiéj: mowy Henri Martin i Ksawerego Marmier.—Rozprawa profesora Fustel de Coulanges *O własności w Sparcie.*—*Pamiętniki pani de Rémusat*, z czasów pierwszego cesarstwa.—*Pamiętniki Metternicha.*—*Les Rois en exil*, powieść Alfonsa Daudet.—Poeta Sully Prudhomme.—Przekład dzieł Schoppenhauera: *Ustęp o kobiécie.*—Przedmowa A. Dumasa do nowego wydania prac dramatycznych.—*Anna Kerwiller*, dramat Legouvégo.—*Melidona*, powieść Edwarda Schure.—Wykopaliska na polach Maratonu.—*Mieszkania ludzkie w różnych epokach*, p. Karola Lucas.—*Robotnicy w Europie*, p. Le Play.—Biblioteka narodowa w Paryżu.—*Ojciec zadżumionych*, przekład p. W. Gasztowtta.—Uroczystość Mickiewicza: *Pan Tadeusz.*—*Monseigneur Vladimir Czacki*, życiorys nuncyusza.—Prace bibliograficzne p. Gustawa Pawłowskiego.—Koncerta panien Balewskich.—Otwarcie kursu profesora Chodźko. Lekcya wstępna.—*Jubileusz Kraszewskiego.* . . . . . 287

## *Nauki przyrodzone.*

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . 129, 268

stron.

## *Korrespondencye.*


Kronika poznańska . . . . . 140
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Przez Zygmunta Glogera . . 154
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Przez Antoniego Bronikowskiego . . . . . 315
Kronika lwowska. . . . . 484


## *Przeglądy piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*


Nauczanie bez książki, czyli wskazówki teoretyczno-praktyczne, odnoszące się do pierwszego nauczania, z piśmiennictwa angielskiego zebrane przez Adolfa Dygasińskiego. Przez Henryka Sokolnickiego . . . . . 158
Zasady poprawnego pisania w przykładach. Ułożyła Józefa Kamocka. Przez A. B. . . . . 161
M. Tulii Ciceronis Laelius sive de amicitia dialogus. (M. T. Cycerona Leliusz, to jest rozmowa o przyjaźni), objaśnił Stanisław Sobieski. Przez Romana Zawilińskiego. . . . . 167
Herman Hettner. Historya literatury angielskiéj od czasu przywrócenia królestwa aż do drugiéj połowy XVIII wieku. Przekład podług 3-go wydania niemieckiego przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego. Przez F. Jezierskiego . . . . . 317
Algebra. Przez G. H. Niewęgłowskiego, profesora matematyki w Paryżu. Część pierwsza, algebra elementarna. Przez Samuela Dickatein . . . . . 331
Teorya wyznaczników (determinantów). Kurs uniwersytecki wyłożył Maryan Aleksander Baraniecki. Przez W. Gosiewskiego. . . 335
Biblioteczka ludowa. Przez X . . . . . 336
Album uczącéj się młodzieży polskiéj, poświęcone J. I. Kraszewskiemu, z powodu jubileuszu jego pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj. Lwów. Staraniem i nakładem Czytelni akademickiéj lwowskiéj, 1879. . . . . 493
Medea. Tragedya Eurypidesa. Przekład Stanisława Grabowskiego. Warszawa, 1880 r. . . . . 504

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 171, 338, 512

Sprostowanie. . . . . 520